ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

1887.



TOM I.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XLV.



Tadeusz Kowalski

WARSZAWA.
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO
ulica Królewska, N. 29.

1887.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 19 Февраля 1887 года.

SPIS RZECZY.

I. PSYCHOLOGIA.

2. RZECZY SPOŁECZNE.

3. NAUKI PRZYRODNICZE.

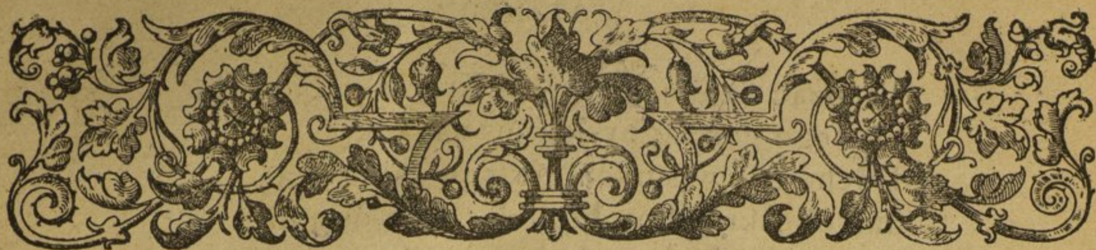
4. LITERATURA.

5. BELETRYSTYKA.

6. HISTORYA.

7. ETNOGRAFIA.

8. ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.



Z POEMATU
„KNIAZIOWIE ROŻYŃSCY.“ (1)

VI.

Chrystophoros.

W dali sinieją ogromnym taborem
Gór Jahorlickich rozciągnięte pasma;
A z nich Jahorlik, wyżyn dzieckiem skorem,
Jako stalowa wywija się taśma
W step, gdzie się długą nie umęczy drogą —
Wnet u stóp mistrza, Dniestru, spocznie błogo.

Nad stepem niebo cięży dziś ołowiem;
Zieleń zsiniała, barwy kwiatów bledsze,
Tonie wód zdają się mętne, a nowiem
Wschodzący księżyc, co trochę się przetrze
Przez brudnych płachcisk rozwłóczone strzępy,
To go czémprędzéj ich rąbek znów chłonie.
Wiatr świszcze w trzcinie, a z rozległéj kępy,
Nad Jahorliku wznoszącéj się tonie,
Z wrzaskiem wciąż rybitw podlatują stada,
Popłoch po całém nadbrzeżu roznoszą.
Czy jaka na nie czyha dzisiaj zdrada,
Czy téż je w zwykłym tu spokoju płoszą
Ciągłe pluskania owe w pośród rzeki,
Które dziś człowiek, gość tu nader rzadki,

---

(1) Poemat ten w XVIII pieśniach jest już w całości do druku przygotowany. Podajemy z niego dwa ustępy odmienne nastrojem; jeden, humorystyczny, znajduje się w zeszycie niniejszym; drugi, rzewny, wydrukujemy w następnym.

Brodząc w niéj, sprawia? Kraj widać daleki
Śle tego gościa, by jakiéjś zagadki
Dochodził w sinych nurtach Jahorlika.
Szerokoskrzydlny kłobuk twarz osłania
Człowieka tego, a chałat pątnika
Postać okrywa. Dolną część ubrania
Zakasał wyżéj kolan i jak czapla
Wielkiemi kroki po mieliznach brodzi;
A jak na stopach woda, tak się skrapla
Pot znów na skroni jego, którą chłodzi
Przewiew na rzece. Nieledwie co chwila
Dziwny ów człowiek przystaje, jak gdyby
Stopą próbował dna, lub się nachyla,
Rękę zakasze i lustr wodnéj szyby
Pruje nią, dłonią sięgając aż do dna....
Kiedy zaś znowu wyprostuje postać,
Twarz jego smutna wprawdzie, lecz łagodna,
Zdradza doznany zawód. — Czy wydostać
Nie może z nurtów czego, lub odszukać
Na dnie strumienia? czy też tak starannie
Strudzone stopy chciałby w nich opłukać?
Lecz czemuż rzewnie wzdycha nieustannie
Pacierze szepcąc?

W okół cisza głucha
Zalega całe to miejsce odludne;
Smętnie szeleści tylko trzcina sucha
I ptak zawrzeszczy, albo echa złudne
Głosów, szczebiotów i szmerów tajemnych
Podmuch od stepu zaniesie niekiedy.
Resztki dnia blasków wsiąkły w chmurach ciemnych,
Wśród których księżyc jak tabliczka kredy
Majaczy, całkiem obrany ze złota....
Nad okolicą całą i wieczorem
Zawisła jakaś żałość i tęsknota
Straszna, — a człowiek ów raczéj upiorem
Zda się zesłanym tutaj na pokutę,
Niźli istotą, cieszącą się życiem.
Spojrzał on właśnie na niebo, wyzute
Ze wszelkich blasków, jakoby odbiciem
Będące tego szarego pustkowia,
Na którém bawił — i szepnął z westchnieniem :

„Tę łachę jeszcze z ostępem sitowia
„Przeszukać muszę, i daléj strumieniem
„Kroków ze trzysta; lecz nadzieja mała,
„Jeżelim dotąd i ułamka jeszcze
„Nie znalazł zbroi. — Czy woda zabrała
„Nawet żelazo? — Zimno! czuję dreszcze —
„I ciemno. Trzeba znów przerwać do świtu
„Pilną robotę. Wspomagaj, o Boże,
„Zamiar i siły! Wszakci to los bytu
„Sług Twoich wiernych, pogańską obrożę
„Noszących, zawisł od skutku mych starań;
„Rękę przezemnie podaj im pomocną!
„Dwudziesty dzień już od najpierwszych zarań
„Do najpóźniejszych wieczorów, a nocną
„Niekiedy porą, o bladym miesiącu,
„Mącę te nurty i szukam i brodzę,
„Na chłodzie po dniu, a w dzień na gorącu —
„I dotąd śladu nawet nie znachodzę
„Téj drogiéj zguby. Miejsce jest to samo —
„Dobrze pamiętam. Tu, wśród czystéj strugi
„Stanął nam Tatar nieprzepartą tamą,
„Z kępy wypadłszy. Koń jeden i drugi
„Padł pod Eustachym; najzawziętsze harce
„Tutaj staczano, nie widząc się prawie
„Przy mdłéj, jak dzisiaj, księżyca latarce...
„Tam nas wiązali na piaszczystéj ławie —
„Miejsce to samo! — O precz! precz zwątpienie!
„Na tom jest tylko, bym wytrwał do końca....
„Lecz co to? głosy? Jakby ludzkie cienie
„Na brzegu kręcą się, choć ani słońca
„Ani gwiazd nie ma teraz, cień znaczących..."
A w tém od brzegu po fali, po rosie,
Głos go już doszedł: „Jeżeliś z żyjących
„Jest, ty na rzece tam Chrystoforosie,
„A duszę w sobie masz téż chrześciańską,
„To przyjdź-no bliżéj i zacnym wędrowcom,
„Co aż krainę rzucili dardańską
„By się ojczystym znów przyjrzeć manowcom,
„Bród wskaż téj rzeki, wskaż, jeślić Bóg miły!"

Człowiek na rzece błagalne zaklęcie
Słysząc to, zaczął przez oczeret zgniły,

Siecie wikliny, przez szuwar i pręcie
Krzaczastéj łozy przedzierać się żwawo
Do brzegu rzeki, co nad wód zwierciadłem
Piaszczystą wznosił się w tém miejscu ławą.
I znów go doszedł głos: „Dobrze ja zgadłem
„Żeś człek godziwy jest i chrześcijanin,
„Choć pokazujesz tu z siebie szczupaka.
„Co, przez Bóg żywy, wśród tych niecnych tkanin
„Pokrzyw, wikliny, w téj stolicy raka
„I gadów wodnych, a krabów, pijawek,
„Na których samą myśl czub mój się jeży,
„Robisz tą porą? Czy milszych zabawek
„Nie znacie tutaj? Chyba-że więcierzy
„Dopatrzeć chciałeś, lub zażyć niewodu?
„Bodajże ciebie! samiutki jak palec
„I w noc, na rzece! Gdyś więc tego brodu
„Świadom, to wiedź nas tak, aby padalec
„Jaki złośliwy do naszych się łydek
„W tych wodach stęchłych nie przypytał czasem.
„Królowo! — dodał ów głos — na bok wstydek;
„Rąbek sukienki zadzierżgnij za pasem,
„Ot tak! — buciki zzuj teraz, do czysta
„I stopek swoich skórki aksamitnéj
„Dziś nie pożałuj, boć rzecz oczywista
„Że przy attencyi całéj, czołobitnéj
„Dla cię, królowo, strumień ten sromotny
„Wód nie osuszy swoich na wyścigi,
„I że grząść trzeba nam w téj toni błotnéj...“
Mówił, lecz więcéj znać dawał na migi
Swéj towarzyszce, okrytéj po oczy
Płaszczem i obok stojącéj w milczeniu,
Że w téj przeprawie swe nogi zamoczy,
Jeżeli ujmy nie zrobi odzieniu.
Ona też, niema ciągle, słucha bacznie
Wezwania tego; a gdy człowiek z rzeki
Na brzegu wreszcie stanął, znowu zacznie
Ów nieznajomy: „Chrystus Pan po wieki
„Bądź pochwalony i płać ci człeczyno
„Za tę przysługę! Rychło przyjdzie, tuszę,
„Czas ten, gdy z inną ujrzysz mnie tu miną,
„To wtedy inną też wdzięcznością ruszę
„Za twój ochotny trud i pomoc ludzką;

„A jakoś widzę pątnik, mój szczupaku,
„Szczerą ci kiedyś perłą kałakucką
„Konchę zastąpię ową na pakłaku,
„Bom jest i hojny i możny dość także,
„Choć mnie chudziną dziś widzisz golutką
„Jak owa klinga bez pochwy, a jakże?
„Jeśliś też ciekaw: com zacz? — powiem krótko:
„Król na Kipczaku teraz — a zaś dawne
„Miano me: rycerz rozgłośny Sieniuta,
„Którego czyny pewno ci są jawne...“

W słowach i w głosie mówiącego buta
Z prostodusznością w mierze szła jednakiéj.
Rosły a chudy chłop był ten Kipczaku
Władca; a ręce mu jak nocne ptaki,
Albo jak skrzydła latały wiatraku,
Kiedy, bywało, mówiąc na kieł bierze.
Zaś człowiek z rzeki tę mowę wyniosłą
Przerwał w te słowa: „Służę waści szczerze,
„Choć to po prawdzie nie moje rzemiosło —
„Nie dla wdzięczności służę lub zapłaty,
„Lecz żem katolik jest i rycerz prawy,
„Lubo mnie żadne w życiu majestaty
„Nie wywyższały... A nie dla zabawy,
„Ani dla marnych ryb w téj rzece brodzę,
„Ale zacniejszy cel mam w owych trudach...“
Tamten podchwyci: „To bodaj osłodzę
„Waści te trudy! O krajach, o ludach
„Wiem ja przeróżnych, a te strony właśnie
„Znam jak zły szeląg, boć ztąd to mnie wzięto
„Na króla ordy — piorun niech zatrzaśnie
„To ich królestwo i ordę przeklętą
„Z końskiémi zrazy! — Swemi to mnie ścierwy
„Wygnali oni precz od siebie w końcu,
„Żreć je surowe każąc i bez przerwy
„To miesiącowi, to gwiazdom, to słońcu
„Czołem bić, siedząc na ziemi rozkrakiem —
„Sobacze syny, smoka im, nie króla!
„Otóż znów wracam do Polski Polakiem,
„Jak owa pszczoła zbłąkana do ula,
„Miodów pragnąca po leciech dziesięciu
„Końskich frykasów. Ich Ałłah jegomość

„Niech drży, jeżeli memu przedsięwzięciu
„Pan Bóg poszczęści. Ot, mógłbyś wiadomość
„Dać mi waść zaraz, czy prawda w istocie,
„Że ów zamorski pan i król tutejszy,
„Henryk, po nocy zemknął, a że w błocie
„Łapcie pogubił, słyszę?—w czém już mniejszy
„Mój własny despekt, gdy plunąwwszy także
„Na tron ordziński, stawam ot, obuty
„Po ludzku zgoła i pięknie, a jakże?“

Pątnik zdziwiony, słów pana Sieniuty
Słucha i w duszy znać bawi się setnie,
Bo uśmiech lice rozjaśnił mu smutne
Gdy rzekł: „Bóg z waścią! toż dziewięcioletnie
„Już po Henryku mamy rezolutne
„Rządy i sławną moc miłościwego
„Króla Stefana—niebo niech go chroni
„I Cherubini boscy niech go strzegą,
„Bo jest pan strasznéj wszelkim wrogom dłoni,
„A wielkiéj duszy i serca słodyczy
„Dla wszystkich swoich.“

„Jako żywo!“—krzyknie
Tamten, za głowę wziąwszy się i krzyczy
Daléj: „Waść nie łżesz?—jak owo nawyknie
„Człek i do tego!—nie łudzisz mnie jeno?
„Dziewięć lat, mówisz? Patrzcie, a ja śpieszę,
„Najlepszą w sercu ożywiony weną
„Że tu elekcya! że powiększę rzeszę
„Braci na Woli! że ten-tego... panie...
„Że stanę na czas w okazyi tak zacnéj—
„Że miejsce jeszcze i dla mnie zostanie—
„Że poczekają, bo wybór niełacny...
„Niechże to piorun znów zimny zatrzaśnie!
„Po com ja rzucał tron? prawda, bydlęcy,
„Ale tron zawsze! Nie, waść mi tu baśnie,
„Fąfry w nos puszczasz, do krośset tysięcy!
„Jakiż to Stefan, u licha, już włada
„W Polsce? Stefana jednego poznałem
„W Pińszczyznie, drugi u mego sąsiada,
„Sławki, marszałkiem był... A słowo-ciałem!
„Któryż z nich marzył o koronie kiedy?“

W boki się weźmie nasz z rzeki znajomy:
„To waść tu szedłeś Henrykowéj schedy
„Pilnować?“—spyta, śmiech tłumiąc kryjomy—
„Szedłeś z własnego tronu wysokości
„Tu, gdzie i szpilka do ziemi nie spadnie?
„Prawda, że z tronu na tron jest najprościéj,
„Ale téż za toś się waszmość szkaradnie
„Przepóźnił, bracie. Jeźliś ciekaw rodu
„Miłościwego nam dziś w Polsce pana:
„Z wielkich on idzie książąt Siedmiogrodu,
„Batorych, których wielkoduszność znana
„Całemu światu. Sam jéj doświadczyłem
„Świeżo, nieszczęsny; boć dwa razy prawie
„Po dziesięć latek pod lubém nie żyłem
„Ojczystém niebem; a gdy Bóg łaskawie
„Wrócić dozwolił tu, swe pierwsze kroki
„Do pana tego skierowałem tronu,
„Poznałem jego majestat wysoki
„I jeszcze wyższą duszę, że do zgonu
„Dobroci jego będę wdzięcznie świadom!“
A król Kipczaku znowu puści wodze
Swojéj wymowie: „Takowym przykładom
„Jużci, dać trzeba wiarę; choć po drodze
„Grosz znaleziony nie zawsze jest szczery...
„Nie, żebym waści nie wierzył, to mówię,
„Lecz żem już nieraz ze dzbanka kostery
„Octem pić musiał, zamiast winem, zdrowie;
„Jako się często trafia ta niecnota
„W naszéj ojczyznie. Więc Stefan, powiadasz?
„Hem, hem! to ładna tu była robota!—
„Ot, prawda święta, że nigdy nie zbadasz
„Umysłów polskich do ostatniéj chwili,
„A już najbardziéj w elekcyjnéj szopie!
„Cóż, u kaduka, oni upatrzyli
„W Stefanie owym? Ni len, ni konopie,
„Książątko znowuż jakoweś zamorskie,
„Co to zapewne słuch boży szwargotem
„Kaleczy niecnym, a urzędy dworskie
„Małpom powierza. Nicpotem! nicpotem
„Elekcya taka; lepiéj było zwlekać,
„Badać, a męże upatrywać godne.
„Ano, gdy oto nie chcieli poczekać,

„Niech sobie króle te chowają modne,
„Wszak według stawu grobla, a to także
„Dobra jest prawda, że jak tam nawarzysz
„Tak i wypijesz!—Nicpotem, a jakże?"

A na to tamten: „Waść się nie poważysz
„Tak bezbożnego używać języka,
„Skoro sam poznasz, jaka cześć głęboka
„I miłość naród dziś cały przenika
„Dla pana tego. W złego waść proroka
„Wdałeś się, widzę, a toż rada szczera
„Bardzoć się przyda: daj rozwadze pole!
„Bo ów król wielki, w gniewie nie przebiera;
„Niedawno jeszcze kazał za swawolę
„Ściąć Zborowskiego—nie uszło na sucho—
„I nic nie pomógł rumor ani fochy
„Panów warchołów, dał dzbanek swe ucho!
„Prośby i groźby, jak od ściany grochy
„Od majestatu odbiły się marnie!"

Skoczy Kipczaku król: „Gwałt i sromota!
„A niechże jego noc jasna ogarnie!
„Ściąć Zborowskiego kazał? jak huncfota?
„Być-że to może? Jezu miłosierny,
„Co waćpan mówisz przejmuje mnie dreszczem!
„Widzę, że lepszy był mój tron mizerny
„Niż ta zabawa; żem chcąc ujść przed deszczem
„Zabiegł pod rynnę. Owóż pan Sieniuta
„Kłania się panu temu uniżenie...
„A jakże?"—

„Jeśli waćpana pokuta
„Nie poprawiła, nieczyste sumienie,
„Lub grzechy niesiesz jakowe do kraju—
Pielgrzym znów na to odpowie poważnie—
„To dziś w ojczyznie nie zaznasz waść raju;
„A jużby zgoła było nierozważnie
„Od waści, iść tam, jak umiesz, przebojem,
„Z języka swego czyniąc szerpentynę.
„Oby Bóg waści obdarzył pokojem
„I pod miecz nie dał pójść za jaką winę
„Przeciwko prawu! ile żeś, jak widzę,
„Nie sam, a słabą niewiastę masz z sobą."

A pan Sieniuta: „Téj się nie powstydzę
„Choćby przed królem! Mogłaby ozdobą
„Pierwszą być dworu, bo z krwi jest carzyków
„Dardańskich, jeśli waszmość o tém nie wiesz —
„Jątrewka (1) ona chanów możnych, Błyków,
„A sam w Stambule sułtan jest jéj dziewierz,
„Przez co ja znowu z nim *per* „panie szwagrze."
„Bo była ona królową u boku
„Mego w Kipczaku, rozumiész? a jakże?—
„No, i jest na co spojrzéć—nie żal wzroku!—
„Powiadam waści: anielska uroda.
„Na każdym tronie błyszczałaby godnie.
„Wszak znasz tatarski szwargot?—nie?—to szkoda!
„Mógłbyś się sam tu przekonać dowodnie,
„Że szczerą jeno prawdą darzę waści!.."

Przerwie mu pielgrzym: „Owszem, mówię gładko
„Językiem owym..."

A on: „Mówisz? Naż-ci!
„Chciałbyś z nią może rajać, jak z gamratką (2)
„Pierwszą w bazarze, lub się poufalić
„Zbytnio? A wara!—Zresztą, tęskni ona
„Za domem, mogłaby się znów rozżalić
„Swoim szwargotem, ile że strudzona—
„Najlepiéj, daj waść pokój tatarczyznie!
„Mór czarny na nią! Hem, hem, anim sądził,
„Że tak jest ciężko dziś w naszéj ojczyznie,
„Co zaś do grzechów mych—tom i pobłądził
„Może potrosze w tych stronach ojczystych,
„A to przez zbytek cnoty, Bóg mi świadkiem!
„Dowodów na to takich oczywistych
„Nie znajdą, tuszę; chybaby przypadkiem
„Moja babina dawna, jejmość pani
„Z Gzów Sieniucina... Et! plotę—bo, plotę!
„Już tam się pewno dobrze spasły na niéj
„Glisty cmentarne.—Aleś mi ochotę
„Dyablo okroił waść, mego zapędu
„W rodzinne strony. Król Stefan! no proszę!—

(1) Jątrew, jątrewka, bratowa.
(2) Gamratka, zalotnica.

„Mają w Kipczaku dosyć jeszcze względu
„Na swego króla, lecz jakież rozkosze
„Żreć ścierwo końskie, mlekiem końskiéj krowy
„Je zapijając? sam to waszmość uważ!
„A tak, jam przecie spróbować gotowy
„Miłéj ojczyzny. Waści, że uczuwasz
„Troskę o los mój, Pan Bóg niech zapłaci!
„A niech też stanie się, co On chce, potém,
„Muszę po latach ujrzéć miłych braci,
„Choćbym miał gardło dać, bom ci brzeszczotem
„Przejechał kilku tam zacnych kumpanów...
„Et! dawne dzieje, i wzmianki nie warte!
„A toż i nad tém człecze się zastanów,
„Że lat już dziesięć, jak myszy, rozżarte
„Srodze na wszystko, co trąci bibułą,
„Grodzkiemi akty tuczą się, aż miło.—
„Coś waść też wspomniał, że duszę ma czułą
„Nasz miłościwy król?—bodaj mu było
„Na dobre zdrowie, cnotliwemu panu,
„Gdy słodycz łączyć umie z majestatem!
„Ach, czyż kondycyi mojéj, mego stanu
„Robaczek, mógłby lwa, co trzęsie światem,
„Do gniewu, zemsty, srogości pobudzić?
„Tak mocno jeszcze ludzkość nie upadła
„W Rzeczpospolitéj! Nie zechce zabrudzić
„Król najjaśniejszy cudnego zwierciadła
„Sprawiedliwości swojéj, memi skazy—
„Co? jak waść myślisz?—Czuję ja to—wszakże
„Skóra coś świędzi. Ha! nikt mi dwa razy
„Szyi nie utnie, choćby zdechł, a jakże?—
„Mości Sieniuto tedy, daléj steruj
„W rodzinne strony, niech cię nieba strzegą—
„A waść też zaraz wyroków nie feruj
„Na gardło! O! o! chyba nic lepszego
„Już by nie mieli? Ja waćpanu dzięki
„Ponownie składam za bratnią przestrogę,
„I jeśli przyjmiesz, nie poskąpię ręki,
„A w trudzie owym waszmości pomogę,
„Co cię tu trzyma, jakoś rzekł, na wodzie;
„Bom znów już nie jest jak taki ostatni,
„Abym się lenił w bliźniego przygodzie,
„Doznawszy troski i przysługi bratniéj.“

Pielgrzym nie umiał utaić frasunku
Tak zagadniony, i odrzekł po chwili:
„Całą chorągwią i w pełnym rynsztunku
„W tym brodzie my się z Tatary czubili,
„Lat temu będzie już siedmnaście z górą.
„A teraz szukam ja w wodzie daremnie
„Brzeszczota, który się z tatarską skórą
„Dobrze tu poznał. Przezeń i przezemnie
„Pewny w jasyrze rycerz mógłby snadnie
„Wolność odzyskać; więc trudu nie szczędzę—
„Choć Bóg nie łaskaw dotąd...“

Tu nań spadnie
Sułtański szwagier: „W méj bracie potędze,
„Jest waści brzeszczot! Bóg mnie widzę zsyła.
„Abym waćpana w tem dobrze pouczył
„Jak go masz szukać. Człek bo się już siła
„Nażył w tych stronach, a w stepie nawłóczył,
„Że wie, gdzie jaka trawa tutaj rośnie...
„Gdybyś więc w rzece nie znalazł swéj zguby,
„To o człowieka pytaj, co ukośnie
„Nogi jak kraczoch stawia (1), tołub gruby
„Jak owa locha ma, kark zasię byka,
„A czarnéj owcy łeb—i jak step duży
„Pod nazwą znany jest kowala Gdyka,
„Bo swém rzemiosłem każdemu usłuży,
„Sobaka ludzka zgoła i uczynna.
„Jaka mu była mać? mniejsza; osoba
„Jest niepoczesna, lecz czy mu rodzinna
„Ziemia cygańska, judzka, czy choroba,
„Człowiek jest zawsze i podróżnym chętny,
„Owóż ten tedy Gdyk, na stal łakomy
„Jak każdy kowal, pilny jest i skrzętny
„W poszukiwaniach za nią, gdzie pogromy
„Po sobie jakie pozostawią ślady,
„Co często trafi się w stepie odludnym;
„Toż on umyślnie wyrusza na zwiady
„W tym właśnie celu, mozolnym a żmudnym
„Jeśli więc tylko zasłyszał o owéj
„Okazyi waściów, albo się przypadkiem

(1) Kraczoch, brukowiec, włóczęga.

„Na ten bród natknął, ów gmerek stepowy,
„To już on dobrze przebrodził ukradkiem
„Wody te wszystkie i gdy były szczątki
„Żelastwa jakie, wyniósł, do podkowy,
„Do ćwieka nawet. Lecz ów Gdyk pamiątki
„Rozróżnić umie zbroi, od surowéj
„Stali, jak waść sam, i pewno brzeszczota,
„Co, jak ów zacny, nie przekuł na rożen;
„A jeśli tylko klinga uszła młota,
„Prędko dopytasz jéj, bo kto już korzeń
„Wymacał, łacno dojdzie i korony.
„Tę waści radę daję, miły bracie;
„A dodam jeszcze, że jeślibyś onéj
„Kuźnicy Gdyka, po wszelkiéj już stracie
„Nadziei tutaj, nie mógł wymyszkować,
„To prosto wtedy wal ztąd do Kamieńca,
„Gdzie żyje człowiek, co radby ratować
„Każdego w łyka ztąd wziętego jeńca,
„Ormianin zacny, Dermos mu na imię.
„Człek to, jak szukać drugiego w tym kraju;
„Kupczy on różnym japrałem (1) aż w Krymie,
„I do każdego tam ma wstęp seraju.
„Ten waści pewno da lepsze wskazówki,
„Ile że czas to już uszedł sromotny
„Jakem od mojéj drapnął lubéj wdówki —
„Chciałem powiedziéć, jakem ztąd markotny
„Na nierząd w kraju, krzywd doznawszy licznych,
„Królować poszedł Ordyńcom — mór na nich!
„A jakże? — Teraz w drogę nam! Swych ślicznych
„Trzewiczków bosych, a nad inne tanich,
„Nie szczędź królowo, abyśmy przed zorzą
„Wytchnąć już w Polsce mogli raz godziwie.
„Waćpana zdaję na opiekę bożą,
„A jeśli celu byś dopiął szczęśliwie
„Za moją radą, to westchnij tam, proszę,
„Miłościwemu nam by Jezus panu
„Dał łagodności ojcowskiéj potrosze!
„A ot, gotowiśmy już, jak do tanu
„Kuso podpięci; wiedźże nas w bród, z łaski.
„Brr! woda widzę dzisiaj jadowita —

(1) Japrał — towar.

„Jakaż to szkoda, żem chociaż kolaski
„Nie wziął swéj dworskiéj, ile że kobiéta...
„A to jest wszystko z przyczyny téj niecnéj
„Elekcyi; dyabeł mózg mi zamroczył,
„Żem szedł, dystynkcyi próżen, nieobecny
„W duszy, tak prawie jakem z tronu skoczył.
„Brr! — jak tam kąpiel smakuje, królowo?
„Te wody zgoła są dziś nieuczciwe!
„No, Bogu dzięki i waści, że zdrowo
„Kończym przeprawę; poznaję tę iwę
„Spróchniałą, która na bliskim już brzegu
„Drugim, bród znaczy. Łasce się oddaję
„Waści i życzę dobrego noclegu,
„Co jest niełatwą rzeczą, jak na kraje
„Tak niegościnne. — Król Stefan, hem, ii — bo
„Nie taki dyabeł!.. a jakże?.. — No, bywaj
„Z Bogiem waść, schroń się pod jaką kolibą,
„Lub się rogożą bodaj ponakrywaj,
„Bo chłód się wzmaga.“

„Ostańcie wy z Bogiem“ —
Rzekł pielgrzym, gdy mu wędrowców tych dwoje
Znikało w mroku; poczem szedł, pod stogiem
Skoszonéj trawy i trzciny, swe znoje
Zakończyć dzienne na twardem posłaniu....
Ale nim spoczął tu, westchnieniem rzewném
Słał dzięki Stwórcy na tém z dniem rozstaniu,
Jakkolwiek bowiem nie zdało się pewném
Wszystko, co słyszał od pana Sieniuty,
To jednak wierzył, że człek ten spaczony,
Nie jest tak całkiem już z prawdy wyzuty,
By go tam także swojemi androny
Zbył, gdzie rycerski miał i chrześciański
Parol, na który baczy sam Bóg w niebie;
Wierzył, że Gdyk ów, lub kupiec ormiański
W Kamieńcu, dadzą mu pomoc w potrzebie....

„W Kamieńcu?“ — echem myśli jęknął cicho
I w modłach dłonie załamał kurczowo.
„Panie! — rzekł — widzisz, żem jest jeno krychą, (1)

(1) Kra, krycha.

„Ślepo tam pchany falą wypadkową,
„A nie ochotą, ani żądzą własną!“

Niebawem usnął spokojnie i słodko —
A teraz miesiąc na twarz jego jasną
Patrzył ciekawie i jakby z niej złotko
Czerpiąc dla siebie, świecił coraz jaśniéj;
Wiatr w chmury odszedł, tylko szeptem baśni
Gwarzy noc w stepie i fali szelestem
Anioł śpiącemu mówi: „Z tobą jestem!“

Bronisław Komorowski.





WOLA I HYPNOTYZM

SZKIC PSYCHOLOGICZNY.

> L'inconnu restera toujours plus considerable que le connu. L'homme est un infiniment petit perdu au sein de l'infiniment grand. Le connu restera la goutte d'eau, l'inconnu restera l'ocean.
>
> *Camille Flammarion.*

I.

Życie psychiczne jest wynikiem wpływów świata zewnętrznego na nasze zmysły i wpływów naszych wyobrażeń, uczuć i popędów na nasze odczuwania i wrażenia odbierane od tegoż świata. Zasadniczym pierwiastkiem naszego poznania jest obraz; organizowanie obrazów, uwarunkowane ich własnościami, stanowi akt rozumowania. Rozumowanie jest czynnością odruchową, wywołaną przez podnietę zewnętrzną lub wewnętrzną.

Rozwój ewolucyjny jest wynikiem odczuwania wrażeń. Gdyby atom nie odczuwał zmian zewnętrznych, nie mógłby oddziaływać. Odczuwanie wrażeń w człowieku jest zróżniczkowaném odczuwaniem zwierzęcém, to zaś, podobnie jak i odczuwanie roślinne jest wynikiem wrażliwości protoplazmy.

Percepcya jest stanem świadomego odbierania wrażeń z zewnątrz pochodzących, połączonego z pewną reakcyą mózgu; jest ona jakoby rodzajem odruchu, w którym prąd odśrodkowy nie przejawia się na zewnątrz, lecz zużywa się wewnątrz, budząc skojarzone z sobą wyobrażenia.

Iluzye zmysłowe mają swe źródło w umyśle; umysł wytwarza i uzewnętrznia złudne obrazy, mające pozór wrażeń rzeczywistych. Złudne te obrazy towarzyszą każdemu wrażeniu zmysłowemu, umysł bowiem uzupełnia przez nie niedokładności swego wrażenia.

Wrażenia i *obrazy* (inaczéj *wyobrażenia*) stanowią materyał dla wszelkich naszych czynności umysłowych, polegających na grupowaniu i podporządkowywaniu tychże, oraz na uświadamianiu stosunków już istniejących i na kojarzeniu stosunków nowych.

Każdy obraz wogóle jest właściwie słabém tylko i niezupełnie wyraźném odtworzeniem wrażenia rzeczywistego, czyli stanu świadomości wytworzonego przez działanie podniety zewnętrznéj na nasze zmysły. Obraz jest zatém zjawiskiem, wywołaném przez pobudzenie ośrodków zmysłowych w naszym mózgu.

Wszelkie zjawiska psycho-fizyologiczne, dokonywające się w mózgu, pozostawiają po sobie pewne ślady; komórki nerwowe mózgu, które raz już znajdowały się w stanie pewnego falowania pod wpływem zewnętrznéj podniety, mogą uledz ponownie temu samemu rodzajowi falowania pod wpływem podniety wewnętrznéj. Im częściéj komórka nerwowa znajduje się w stanie jednakowego falowania, tém łatwiéj w tenże stan może być wprowadzoną. Im częściéj doznajemy jakiegoś wrażenia, tém łatwiéj je sobie przypominamy. Często powtarzające się wrażenia utrwalają się w pamięci, ślady bowiem, jakie pozostawiają po sobie w komórkach mózgowych, czyli obrazy, zlewają się razem i stają się skutkiem tego wyraźniejszemi. Wszelkie obrazy zlewają się również z wytwarzającemi je wrażeniami. Percepcya jest zatém kombinacyą wrażenia otrzymywanego, wrażenia teraźniejszego z podobnemi wrażeniami otrzymywanemi poprzednio, z wrażeniami przeszłemi, czyli z pozostałemi po owych wrażeniach obrazami. Wrażenia są jakoby jądrem percepcyi, około którego grupują się najprzód obrazy najpierw wywoływane, przedstawiające zasadnicze własności danego przedmiotu, a następnie obrazy późniéj wywoływane, przedstawiające indywidualne cechy przedmiotu (1).

Z punktu widzenia logiki percepcya jest *sądem*, mającym na celu stwierdzenie stosunku podobieństwa i styczności przestrzennéj i czasowéj pomiędzy dwoma przedmiotami.

Obrazy podobne wspólne mają siedlisko w mózgu; gdy jeden z nich zostaje odtworzony, wówczas wywołuje odtworzenie się obrazu pokrewnego. Takie odtwarzanie się obrazów podobnych dokonywać się może bez żadnego udziału świadomości. Obrazy mogą się organizować w obrazy ogólne, w wyobrażenia bez pośrednictwa naszéj jaźni, jedynie dzięki podobieństwu warunków ich odtwarzania się, dzięki jedności pierwiastku, będącego podstawą tego podobieństwa. Czy tak jest w rzeczywistości, czy inaczéj—nie wiemy i nigdy

---

(1) Alfred Binet. La psychologie du Raisonnement. Paris. 1886 p. 73.

się nie dowiemy. Przypuszczamy tylko, że tak jest, gdyż innego przypuszczenia przy dzisiejszym stanie pozytywnéj wiedzy psychologicznéj utworzyć sobie nie umiemy.

Przedmioty, stykające się z sobą w czasie lub przestrzeni, łączą się również w swych odbiciach obrazowych w mózgu—i odwrotnie: obrazy i wyobrażenia skojarzone z sobą w mózgu każą nam sądzić o istnieniu podobnego skojarzenia pomiędzy odnośnemi przedmiotami. Ponieważ praca umysłu polega na wytwarzaniu nowych kombinacyi i skojarzeń pomiędzy stanami świadomemi przy współudziale świadomości pośredniczącéj, na wytwarzaniu kombinacyi i skojarzeń obrazowych i wyobrażeniowych, mogących nie odpowiadać rzeczywistości, pojęcia zatém nasze o świecie zewnętrznym nie mogą być dokładnemi. Rozumowania nasze mogą być zupełnie logicznemi, nie dają nam jednak dokładnych pojęć o rzeczywistości, zmysły bowiem nasze nie przedstawiają nam realnéj natury przedmiotów, lecz tylko symbole rzeczywistości. Wrażenia, jakie odbieramy od świata zewnętrznego, są zupełnie subiektywnemi. Żaden psycholog nie może dziś temu zaprzeczyć. Znamy tylko stany własnego naszego umysłu i w miarę rozwoju naszego umysłu wzrasta wiedza nasza umysłowa. Pomiędzy istotą rzeczywistego świata a wiedzą naszą niezgłębiona istnieje przepaść, której nigdy przekroczyć nie zdołamy. Umysł ludzki łudzi się jak zbłąkany na falach niepewności.

Świat, jakim go sobie wyobrażamy, istnieje tylko w naszym umyśle. Świat rzeczywisty, którego cząstką jesteśmy, innym jest niewątpliwie, nie możemy go jednak przedstawić sobie inaczéj, jak tylko jako połączenie faktycznych świadomości i nieświadomych popędów.

Poznawanie zasadza się na odróżnianiu i upodobnianiu przedmiotu i podmiotu; wszelkie zaś odróżnianie i upodobnianie jest ograniczaniem, skończoność zatém i ograniczoność może być jedynie przedmiotem naszego poznawania. Poznawanie nasze ogranicza się na poznawaniu stosunku przedmiotu do podmiotu, bezwzględność zatém nie może być przez nas poznaną. Czy jednak bezwzględność istnieje, czy jest tylko łudzącym produktem naszego umysłu? Istnienie względności każe przypuszczać istnienie absolutu, inaczéj bowiem względność pozostaje niezrozumiałą.

Świadomość jest ostatecznym i najwyższym rezultatem życia ludzkiego, najwspanialszym płodem łańcucha procesów stanowiących historyą rozwoju jednostki. Ponieważ głównym warunkiem świadomości jest antyteza przedmiotu i podmiotu, czém będzie w takim razie podmiot spostrzegający, jeżeli przedmiotem spostrzeganym będzie *ja*? Podmiot i przedmiot będą identycznemi, antyteza—

warunek świadomości — zniknie wówczas i *ja* przestanie zupełnie istniéć. W miarę zatém coraz zupełniejszego poznawania, a więc w miarę coraz większego znikania antytezy pomiędzy przedmiotem a podmiotem, świadomość nasza powinna znikać stopniowo, przy dojściu zaś do zupełnego poznania—zniknąć powinna zupełnie. Dążąc do zupełnego poznania, dążymy do unieświadomienia się.

II.

Uczucia, podobnie jak wyobrażenia, wytwarzają się pierwotnie z wrażeń. Są one reakcyą — oddziaływaniem komórek mózgowych na otrzymywane wrażenia. Do kategoryi uczuć zaliczyć należy: potrzeby, pożądania, namiętności i wzruszenia.

Potrzeby są to odczuwane dążności organiczne, pochodzące z bezczynności lub nadmiernéj czynności naszych organów. Jeżeli bezczynność organów je wywołuje, połączone są one wówczas z przykrościami ujemnemi; wynikające zaś z nadmiernéj czynności organów powodują cierpienia dodatnie.

Pożądania tém się tylko różnią od potrzeb, iż przejawiają się więcéj świadomie.

Namiętności i właściwe uczucia, jak miłość, nienawiść, czułość, litość i t. d. są również potrzebami, lecz potrzebami przeważnie mózgowemi. Gwałtowne namiętności i łagodne uczucia, tak samo jak potrzeby, sprawiać mogą przyjemności i przykrości. Odnośnie do wywołującego je przedmiotu uczucia mogą być podzielone na: *antyaltruistyczne* (chęci szkodzenia innym dla własnéj przyjemności), *egoistyczne* (z miłości własnéj pochodzące), *altruistyczne* (mające za przedmiot mniéj lub więcéj podobne nam istoty) i *bezinteresowne* (mające na celu urzeczywistnienie pewnéj idei abstrakcyjnéj) (1).

Uczucie zaspokojone znika wogóle dość prędko; natomiast zaś inne uczucia się wzmagają. Jeżeli uczucie społeczne zagłuszoném zostaje przez uczucie egoistyczne, to po zaspokojeniu tego ostatniego uczucie społeczne przejawi się znowu, spowodowana zaś w ten sposób reakcya wytwarza w naszym mózgu stan, nazywany przez nas wyrzutami sumienia. Częste zagłuszanie uczuć moralnych przez czyny egoistyczne osłabia siłę reakcyi i sprowadza zanik wyrzutów sumienia.

Zaspokojenie lub niezaspokojenie potrzeb, pożądań, uczuć i namiętności wywołuje stan wzruszenia. Przestrach, bojaźń, nadzieja,

---

(1) F. Paulhan. La Physiologie de l'Esprit. Paris, p. 88.

radość są wzruszeniami. Widok nieprzyjaciela, lub widok ukochanéj osoby wywołuje w nas wzruszenie. Wzruszenia łączą się zwykle z pewnym stanem umysłu, z pewném wrażeniem, lub wyobrażeniem.

Wpływ obrazów i wyobrażeń na uczucia jest dość znacznym. Niekiedy wyobrażenie może dać początek uczuciu lub może je uwydatnić. Nieświadome pożądanie połączone z pewném wyobrażeniem stać się może określoném zupełnie uczuciem. Wyobrażenia mogą do pewnego stopnia tłumić uczucie, stłumić go jednak zupełnie nie są w stanie. Uczucie można stłumić prędzéj inném, przeciwném uczuciem niż drogą rozumowania.

Wpływ uczuć na wyobrażenia daleko jest silniejszy. Wpływ ten o tyle bywa silnym, iż może przeszkodzić odczuwaniu rzeczywistych wrażeń, i wywołać natomiast halucynacye. Potrzeba jakaś lub uczucie zwraca nasz umysł bezustannie na ten sam przedmiot i nie pozwala nam myśléć o niczém inném. Uczucia wpływają także w znacznym stopniu na kojarzenie się wyobrażeń; zaciemniają nasze sądy, modyfikują je, fałszują, lub też nie pozwalają im się wytworzyć. Pod wpływem uczucia pewne tylko obrazy biorą udział w akcie rozumuwania, mianowicie obrazy, mające pewną styczność z témże uczuciem. Kochając kogoś, trudno najczęściéj wydać o nim sąd bezstronny, sprawiedliwy. Miłość lub przyjaźń nie pozwala nam widziéć wielu wad w danéj osobie, uwaga bowiem nasza zwróconą bywa naówczas na jéj dodatnie przymioty; wyobrażenie zgodne z uczuciem bierze zawsze górę nad wyobrażeniem, nie podtrzymywaném przez uczucie, a więc słabszém. Uczucie przeszkadza zawsze należytemu badaniu i trzeźwemu poglądowi na rzeczy. Tak w działaniu praktyczném jak i w nauce uczuciowość bywa niekiedy przeszkodą do wydania bezstronnego sądu.

Uczucia oddziaływają także wzajemnie na siebie, kojarzą się i wykluczają. Miłość gwałtowna połączona z obawą stracenia wzajemności rodzi zazdrość, a niekiedy nawet nienawiść ku innéj osobie.

III.

Wszelka czynność staje się łatwiejszą, im częściéj jest powtarzaną, im więcéj się do niéj przyzwyczajamy. Czynność, do któréj się przyzwyczailiśmy, którą umiemy już na pamięć, nie wymaga współudziału świadomości. Można grać na fortepianie i myśleć o czém inném, jeżeli się ma wprawę do téj gry. Przyzwyczajenie osłabia zatém świadomość, a wskutek tego osłabia także uczucia i wzruszenia, przyjemności i cierpienia, stany te bowiem są żywemi przejawami świadomości.



Przyzwyczajenia przekazywane bywają dziedzicznie. Nasze popędy, dążności nieświadome są dziedzicznemi przyzwyczajeniami naszych przodków. Nosimy w sobie przyzwyczajenia ludów pierwotnych, przyzwyczajenia ludów dzikich i barbarzyńskich, nawet przyzwyczajenia zupełnie zwierzęce, które zawsze przechodzą w stan czynny, zawsze się przejawiają, gdy nie są powstrzymywane przez popędy szlachetniejsze i przez świadomość. W chorobach umysłowych i w pewnych okresach hypnotyzmu, gdy ostatnie zdobycze umysłowego naszego rozwoju zostaną zniszczone lub zatarte, budzą się wówczas bezwiednie dzikie przyzwyczajenia naszych przodków, przejawia się wtedy natura nasza pierwotna. Jeżeli owe dzikie popędy zostaną zbudzone w człowieku, znajdą sprzyjającą chwilę do przejawienia się i wezmą górę nad popędami szlachetnemi, wówczas staje się on niemoralnym w właściwém znaczeniu tego wyrazu. Umoralnianie się wtedy tylko może mieć miejsce, gdy obecnemi są warunki sprzyjające rozwojowi szlachetnych popędów.

Przyzwyczajenia dziedziczne i nabyte, stanowiące naszą pamięć, modyfikują kojarzenia się naszych wyobrażeń i uczuć i wytwarzają nowe dążności umysłowe i moralne. Dążności te utrwalają się i stają się dziedzicznemi, stają się popędami. Natura popędów nieustannym ulega zmianom, zależnym od dziedziczności, od warunków egzystencyi i od naturalnego doboru. Popędy uważać zatém należy jako rezultat doświadczenia wielu generacyi, odziedziczony po przodkach drogą embryogenicznego odtwarzania, a więc jako rezultat świadomości, jako trwałą, dziedziczną, unieświadomioną świadomość.

W miarę rozwoju umysł przechodzi ze stanu poznania świadomego, rozciągłego, do stanu poznania nieświadomego, trwałego. Świadomość przestrzenna przetwarza się w świadomość czasową, w popęd, czyli inaczéj w nieświadomość. Przychodzimy więc powtórnie, choć inną drogą, do sformułowanego już powyżéj wniosku, mianowicie: dążąc do zupełnego poznania, dążymy do unieświadomienia się.

Wpływ obrazu lub wrażenia na czynności nasze jest znaczny, a znaczniejszy jeszcze, jeżeli przyłączy się doń uczucie. Obraz czynu wywołać może w nas dążność do wykonania tego czynu, jeżeli czyn ten zmierza do zadowolenia pewnego uczucia. Pojęcia mogą być kierownikami działań, lecz zawsze prawie prowadzą do oznaczonych przez uczucia celów. Najrzeczywistszemi jednak motorami woli są popędy. Wola jest wypadkową rozmaitych czynników, lecz najsilniejszemi z nich są popędy, w danéj chwili *jaźń* stanowiące.

Popęd jest podnietą wewnętrzną do wykonania czynności potrzebnych do osiągnięcia pewnego celu ostatecznego, niezrozumia-

łego wogóle dla wykonawcy, i tém się różni od inteligencyi, będącéj zdolnością korzystania z środków właściwych dla doścignięcia pewnego celu zrozumiałego, a który tém łatwiéj bywa osiągnięty, im jaśniéj jest pojmowany. Znajomość ostatecznego celu nie jest nawet potrzebną, ani użyteczną dla zaspokojenia popędu. Zaspokojenie popędu jest samo przez się celem. Popęd nie troszczy się o cel rzeczywisty. Ptak wędrowny odlatuje w pewnéj porze roku, ponieważ ciągnie go do tego wewnętrzny popęd, który musi zadowolnić.

Postanowienie jest ostatnim wyrazem walki wewnętrznéj, pomiędzy rozmaitemi prowadzonéj popędami i życzeniami, walki. kończącéj się zwycięstwem jednego z nich. Przyczyną wszelkich czynności jest wola danéj jaźni, danego podmiotu.

Wola i uczucie są nierozłącznym wyrazem osobowości. Ztąd ograniczanie i krępowanie woli wpływa podrażniająco na uczucie i staje się sprawcą cierpienia.

Według teoryi determinizmu, wszystko jest nieuniknionym wynikiem poprzedzającego. Znając przeszłość i teraźniejszość, można przewidzieć do pewnego stopnia przyszłość.

Teorya wolnéj woli uznaje możliwość *wielu* wyników wypływających z danéj ilości zjawisk poprzednich. Pomimo wszelkiéj wiedzy, pomimo największego rozwoju naszéj umysłowości, nie będziemy mogli przewidywać przyszłości, gdyż rozmaite przyszłości są możliwe.

W miarę umysłowego rozwoju człowieka mechaniczny determinizm, warunkujący do pewnego stopnia umysłowe jego życie, przekształca się i znika stopniowo.

Człowiek jest istotą skomplikowaną, poznać go zatém całkowicie jest rzeczą niemożliwą. Jeżli więc człowiek jakiś działa wbrew wszelkiemu oczekiwaniu, możemy śmiało przypuścić, iż nieoczekiwane to działanie jest wynikiem dążności i popędów nam nieznanych.

Idealiści uprościli człowieka i jego otoczenie, naturaliści zaś przedstawiają naturę człowieka w całości wraz z otoczeniem zupełném. Idealiści wyzwalają człowieka z mnóstwa drobnych szczegółów okolicznościowych życia, drobnych dążności, nałogów, nawyknień i manii. Człowiek idealistów więcéj jest harmonijnym, więcéj wolnym niż człowiek naturalistów.

Wola jest dla Spinozy świadomą dążnością, gdyż wola i rozum są identycznemi. Hegel, Schopenhauer, Bain uznają istnienie woli absolutnéj, przedmiotowéj (*idei*), przejawiającéj się indywidualnie z konieczności w postaci woli podmiotowéj. Według Spencera, wola jest agregatem przeciwstawiających się sobie dążności. Takie okre-

ślenie woli wyklucza pojęcie czynnościowego stanu naszego ducha, lecz jest może lepszém, niż metafizyczne określenia idealistów i bardzo niedokładne i niezrozumiałe określenia innych sensualistów.

„Człowiek jest wolnym jak ptak w klatce“ — powiedział Lavater. Zdanie to jest zupełnie słusznėm, jeżeli przez „klatkę wolności“ rozumieć będziemy możliwość, warunkującą czyny człowieka, możliwość składającą się z przypadku otoczenia i z wyniku przeszłości.

Czy akt wytwarzania się naszych pobudek i poznawania ich jest aktem wolnym i indywidualnym? Zobaczmy, jaką odpowiedź na to pytanie dać nam dzisiaj może badanie zjawisk hipnotycznych.

IV.

Mesmer przyjął za podstawę swego systemu istnienie pewnego płynu powszechnego, ulegającego nieznanym prawom mechanicznym, ożywionego ruchami mniéj więcéj ogólnemi i złożonemi, podobnemi do przypływu i odpływu; płyn ten jest przyczyną wzajemnego oddziaływania na siebie ciał niebieskich, ziemi i ciał żyjących. Płyn ten nieprzenikliwy rozlany jest wszędzie, posiada zdolność otrzymywania, rozprzestrzeniania i przekazywania wszelkich postaci ruchu, odczuwanych przez istoty żyjące. W ciele ludzkiém płyn ten posiada własności magnesu; wyróżniać w niém można téż same bieguny przeciwległe, ztąd ową magnetyczną własność ciał żyjących nazwał Mesmer *magnetyzmem zwierzęcym*. Działanie magnesu na organizm jest tylko przejawem tego powszechnego płynu.

Zasada teoryi Mesmera nie była nową; wpływ ciał niebieskich na istoty ludzkie posłużył za podstawę astrologii Chaldejczyków. W XV w. Paracelsus utrzymywał, iż siła życiowa pochodzi z gwiazd i że pomiędzy niemi a istotami ludzkiemi istnieje pewien płyn sympatyczny; wykładał również teoryą biegunów, jaką spotykamy u Mesmera. Ficyniusz i Pompanacyusz wcześniéj jeszcze przypuszczali, iż niektórzy ludzie posiadają siłę oddziaływania na innych. W XVI w. Goclenius i van Helmont pisali o leczeniu magnetyczném. W XVII wieku sławny Robert Fludd rozwijał doktrynę magnetyzmu zwierzęcego. Fizyk Kircher, jezuita, uważał wszechświat jako pewną całość, części któréj powiązane są z sobą i rządzone przez pewną siłę przyciągającą i odpychającą, podobną do siły magnesu; on pierwszy użył nazwy „magnetyzmu zwierzęcego.“

Wirdig, profesor medycyny w Rostocku, uogólnił doktrynę swych poprzedników: wszystko ulega potędze magnetyzmu, nawet zjawiska życia i śmierci od niego zależą.

Zasługa odkrycia właściwego somnambulizmu magnetycznego należy się markizowi de Puységur; siłę magnetyzującą przypisywał on woli.

Hipnotyzm czyli somnambulizm przez poddawanie odkryty został przez księdza Faria. Teorye jego mało się różnią od teoryi dzisiejszych hipnotystów. Siła magnetyczna, według niego, nie pochodzi z zewnątrz, lecz wewnątrz ma swe siedlisko; zjawiska magnetyczne są zjawiskami podmiotowemi. Braid utrzymywał, iż powstawanie zjawisk hipnotycznych (pierwszy użył téj nazwy) zależy od stanu fizycznego i psychicznego jednostki, nie zaś od woli hipnotyzera, ani od płynu magnetycznego.

Braid nie wyróżniał hipnotyzmu od mesmeryzmu, czyli magnetyzmu zwierzęcego. Chcąc zwalczyć teoryą magnetyzmu, odkrył hipnotyzm i tylko ten ostatni stan uważał jako faktyczny.

Dla prof. Charcot stan hipnotyzmu jest stanem nerwowym, sztucznym; liczne objawy tego stanu zjawiają się i giną stosownie do chęci badacza.

Heidenhain podziela w zupełności zdanie Braida co do istoty hipnotyzmu.

D-r Baréty przedstawił w 1881 r. w paryskiém Towarzystwie biologiczném następującą teoryą. Istnieje w człowieku pewna siła specyalna, różna od ciepła i elektryczności, tak zwana siła newryczna. Siła ta podobnie innym siłom jest pewnym kształtem ruchu i znajduje się w człowieku w stanie statycznym i dynamicznym i może promieniować tak samo jak światło, ciepło i elektryczność.

Czém jest właściwie hipnotyzm? czy chorobą, czy tylko przejściową modyfikacyą organizmu, podobną do pewnych modyfikacyi fizyologicznych, jak np. sen? Zdania dzielą się w téj kwestyi. Prof. Charcot uważa hipnotyzm jako newrozę doświadczalną; w ostatnich czasach zmienił wprawdzie swe zdanie i tylko wielki hipnotyzm, czyli hipnotyzm histeryczny zalicza do kategoryi newroz. Według Pawła Richer, hipnotyzm jest zaburzeniem regularnego funkcyonowania organizmu, zlewającém się z usposobieniem histeryczném. Dumontpallier zapatruje się na hipnotyzm jako na newrozę doświadczalną o kilku stopniach. Magnin, Ball i Chambard zaliczają hipnotyzm (*hypnoza*) do chorób nerwowych. Bernheim zupełnie przeciwnego jest zdania; większa część hipnotyków nie przedstawia, podług niego, żadnego nawet śladu usposobienia do chorób nerwowych. Obecność pewnych zjawisk, wychodzących po za obręb zwykłych faktów fizyologicznych, nie wystarcza, ażeby można je było słusznie nazywać patologicznemi. Do histeryi hipnotyzmu zaliczać nie można, gdyż przejawia się także w osobach zdrowych. Histerya jest

tylko przyjaznem bardzo polem dla badania hipnotyzmu. Trzy okresy hipnotyzmu: letarg, katalepsya i somnambulizm, określone przez prof. Charcot, obserwować można tylko u osób histerycznych.

Z ostatnich badań nad hipnotyzmem wynika, że osoba zahipnotyzowana jest automatem nieświadomym i działa według poddawanych jéj rozkazów. Wykonanie rozkazu może być naznaczone za kilka dni, tygodni, miesięcy nawet i zostanie najzupełniéj spełnionem przez osobę zdrową cieleśnie i umysłowo, któréj poddano ów rozkaz. Osoba ta może być pewną faktów, które nigdy nie miały miejsca. Szklanka czystéj wody może być dla osoby zahipnotyzowanéj winem, lub środkiem przeczyszczającym i wywoływać odpowiednie skutki stosownie do woli hipnotyzującego. Skazany na śmierć, w którego wmówiono, że mu przecięto cztery żyły, umarł rzeczywiście, przeszedłszy okresy agonii opisanéj przez lekarza. Osoba zahipnotyzowana może zapomnieć swe nazwisko i swą osobowość i może się uważać za jakąś inną istotę, stosownie do poddanego jéj wyobrażenia.

Wiele osób, które już były kilka razy hipnotyzowane, może ulegać wpływom poddawania i oddziaływać częściowo przynajmniéj tak, jak w okresie somnambulizmu. Niektóre nawet osoby zupełnie niewrażliwe na hipnotyzm ulegają wpływom poddawania. U osób takich wywoływać można paraliże, ruchy automatyczne, amnezyą pewnych słów, liter, cyfr i t. d., jednem słowem te same zjawiska, z któremi się spotykamy w somnambulizmie. U pewnego somnambulisty Bernheim tak silne wywołał znieczulenie w stanie czuwania, iż bez żadnego bólu mógł wykonywać rozmaite obroty, potrzebne do wyrwania pięciu korzeni zębowych. Tak samo można wywołać znadczulenie, uczucie zimna lub ciepła, zwiększenie lub zmniejszenie wrażliwości zmysłów. Bernheim i Charpentier wywoływali przez poddawanie w stanie czuwania wzmocnienie osłabionego wzroku, przewyższające siłę wzroku normalnego. Halucynacye wywołane w stanie czuwania trwać mogą nawet kilka godzin.

W stanie takim wola jest sparaliżowaną, funkcye umysłowe bywają podniecone, a zamiast zawieszonéj czynności woli występuje popęd naśladowania i uwydatnia się niekiedy bardzo silnie w odtwarzaniu dokładnem i niewolniczem postawy, ruchów, słów, wyrazu twarzy osoby poddającéj. Jestto stan podobny do stanu, w jakim się znajduje ptak wobec węża, d-r Brémaud nazwał stan ten z tego powodu *stanem uroku*, *oczarowania* (*état de fascination*). Stan ten ustępuje pod wpływem dmuchnięcia w twarz i oczy danéj osoby. Osoby *czarowane* już w taki sposób, bardzo łatwo wpadają w stan ten następnie, niekiedy pod wpływem jednego tylko spojrzenia. Niektóre

jednostki odczuwają nawet pewną bojaźń i niemoc wobec tego, przez kogo były czarowane.

Osoby wrażliwe na hipnotyzm nie mogą być czarowane, stan oczarowania bowiem poprzedza stan właściwego hypnotyzmu, a przy częstém powtarzaniu stan ten przechodzi nawet w hipnotyzm. Mężczyźni, jako mniéj wrażliwi na hipnotyzm, częściéj znajdować się mogą w stanie owego oczarowania. Stan ten uważać można za coś pośredniego pomiędzy czuwaniem a właściwym hipnotyzmem. Oczarowanie wskutek częstego powtarzania może przejść w katalepsyą.

V.

Objawy psychiczne, spostrzegane w hipnotyzmie, polegają na mniéj lub więcéj zupełném i postępującém zawieszeniu zdolności umysłowych, poczynając od najwyższych i najpóźniéj zdobytych w rozwoju jednostki i w rozwoju gatunków, a kończąc na najniższych i najpierwéj wytworzonych. Najprzód zawieszoną zostaje wola, następnie świadomość, daléj uczucie osobowości, a w końcu nieświadoma czynność psychiczna. Ponieważ zdolności umysłowe mają owe siedlisko w szaréj czyli zewnętrznéj substancyi mózgowéj, można zatém powiedzieć, iż zjawiska hipnotyczne są przejawami słabego. częściowego lub zupełnego zawieszenia czynności szaréj substancyi mózgu.

Wiadomo, iż draźnienie pewnych nerwów wywołuje zatrzymanie się pewnych ruchów. Draźnienie nerwu błędnego powstrzymuje bicie serca, draźnienie nerwu górnego krtaniowego powstrzymuje oddychanie, draźnienie struny bębenkowéj niszczy zdolność ściągania się nerwów naczynio-ruchowych gruczołu ślinowego; draźnienie nerwu czucia ogólnego zmniejsza wrażliwość odruchową rdzenia kręgowego; ukłucie mózgu podłużnego powstrzymuje wszystkie funkcye głównego mózgu. Na zasadzie tych i tym podobnych faktów Brown-Séquard, profesor w Collège de France, następującą zbudował teoryą.

Początkowym czynnikiem, wywołującym stan hipnotyzmu, jest nic innego jak tylko pewne podraźnienie peryferyczne (zmysłu lub skóry), lub ośrodkowe (wpływ pewnego wyobrażenia lub uczucia), powodujące zmniejszenie lub zwiększenie potęgi pewnych punktów mózgu, rdzenia kręgowego lub téż innych części ; hipnotyzm zaś jest stanem bardzo złożonym utraty lub podniesienia energii, w którym system nerwowy i inne organy poddane są wpływowi owego pierwszego podraźnienia peryferycznego lub ośrodkowego. Podra-

źnienie peryferyczne, spowodowane przez rozmaite sposoby hipnotyzowania, lub podrażnienie ośrodkowe, dokonane przez poddawanie, wywołują zatrzymanie się, ustanie, zawieszenie, czyli inaczéj zniknienie chwilowe pewnéj funkcyi, pewnéj własności, lub czynności szaréj substancyi mózgu, bez żadnych widocznych zmian organicznych. To zawieszenie czasowe lub téż unicestwienie zupełne pewnéj funkcyi, pewnéj czynności Brown-Séquard nazywa stanem *inhibicyi*. Jeżeli inhibicya jest częściową tylko, jak to ma miejsce w somnambulizmie, ogranicza się tylko na pewnych częściach szaréj warstwy mózgu, wówczas w innych częściach tejże warstwy występują inne zjawiska, zjawiska *dynamogenii*, t. j. egzaltacyi funkcyonalnéj. To nam tłómaczy ostrą wrażliwość zmysłów, głębokość i dokładność oddziaływań ruchowych, pobudzenie wyobraźni i pewnych sfer pamięci, czyli jedném słowem, tłómaczy nam egzaltacyą odruchów mózgowych i szaro-mózgowych.

Psychiczno-ruchowe części szaréj substancyi mózgu działają jednak same inhibitorycznie na odruchy ganglionarne, podłóżno-mózgowe i rdzeniowe. W stanie hipnotycznym działania tego niema, odruchy więc mózgo-rdzeniowe znacznie się wzmagają i to tém więcéj, im większa część szaréj substancyi mózgu znajduje się w stanie inhibicyi. Widzimy to w letargu (ubezwładnienie mózgu i zwiększone odruchy) a więcéj jeszcze w katalepsyi, gdzie odruchy dochodzą do maksymum i przejawiają się w silnych skurczach mięśni. Kataleptyczne skurcze w somnambulizmie wywołać można przez nadzwyczaj silne podrażnienie rdzenia. Spotęgowanie odruchów przejawia się nietylko w dolnych ośrodkach mózgo-rdzeniowych, lecz także i w górnych; na tém polega automatyzm psychiczny, tém zupełniejszy, im znaczniejszą jest inhibicya. Inhibicya powstrzymująca wyższe funkcye psychiczne: wolę, świadomość i sprzyjająca automacznemu odbywaniu się innych zdolności, tłómaczy skuteczność i potęgę poddawania.

Odruchy tém łatwiéj się przejawiają, im częściéj się powtarzają. Ztąd téż osoby często hipnotyzowane mogą nawet w stanie czuwania ujawniać te same zjawiska, wykonywać te same czyny pod wpływem jedynie poddawania.

Osoba, znajdująca się w stanie lekkiego hipnotyzmu, posiadająca jeszcze świadomość świata zewnętrznego, albo w stanie oczarowania, chciałaby oprzéć się narzuconemu jéj przez obcą wolę rozkazowi, chciałaby właściwie miéć wolę stawienia oporu woli obcéj, lecz nie może. Organizm jéj jest automatem, wola nie może ze stanu statycznego przejść w dynamiczny, gdyż jest sparaliżowaną przez osobę obcą. Jest-to stan *abulii*, spostrzegany u osób dotkniętych po-

czynającém się rozstrojeniem umysłowém. U takich osób podnieta rozkazująca zrodzić się może wewnątrz i również paraliżować ich wolę. „Wola znika i jednostka wpada pod panowanie popędów — mówi Ribot. Wola, w znaczeniu dokładném, jest początkiem, ostatnim wyrazem ewolucyi, rezultatem znacznéj liczby wyćwiczonych dążności w porządku hierarchicznym po sobie następujących.“

W pewnych razach podnieta zjawia się nagle, nieświadomie, a wywołany przez nią czyn posiada cechy odruchu. U niektórych jednostek np. zjawia się w pewnych chwilach silna chęć pozbawienia się życia; podnieta ta istnieje lecz nieświadomie i budzi się na widok rewolweru, noża, rzeki i t. d.

Automatyzm świadomy lub nieświadomy, hipnotyczny lub patologiczny ztąd pochodzi, iż myśl pewna zjawiająca się nagle w umyśle danéj osoby, albo téż poddana, jest o tyle przeważającą, że zagłusza wszelkie inne myśli. Jest-to stan monoideizmu, w którym czynności warunkują się wrażeniami i wyobrażeniami chwili.

Chcenie ściśle jest połączoném ze zdolnością uważania; osoby wielkiéj uwagi posiadają wogóle silną wolę. Osoby niezdolne do skupiania uwagi, osoby bardzo ruchliwe, jak histeryczki, posiadają wolę słabą, zmienną, zależną od podniet chwilowych. Siedliskiem uwagi są przednie części półkul mózgowych; automatyzm więc powstaje prawdopodobnie wskutek zawieszenia czynności ośrodków kierujących ruchami, które mają się znajdować w przedniéj części mózgu.

Osobowość w stanie hipnotyzmu zredukowaną jest do stanu świadomości, który „nie jest obrany lub odrzucony, lecz poddany, narzucony“ — jak się wyraża Ribot. Dla osoby zahipnotyzowanéj istnieje tylko teraźniejszość, a tą jest myśl poddana.

Osoba, któréj w stanie hipnotyzmu poddano wykonanie jakiegoś czynu po upływie pewnego czasu, lubo nic nie pamięta po przebudzeniu, a jednak po upływie oznaczonego czasu myśl poddanego czynu zjawia się w umyśle i staje się podnietą do wykonania tego czynu. W jaki sposób myśl ta zachowała się w pamięci i w jaki sposób ujawniła się w chwili, w któréj rozkazano jéj się ujawnić? Nieświadoma czynność psychiczna, nieznana nam dotąd, dokonała tego. Amnezya, czyli utrata pamięci, jest tylko względną w hipnotyzmie; wspomnienie może się odtworzyć po nowém zahipnotyzowaniu, a niekiedy zależy zupełnie od woli hipnotyzującego, który przez proste poddanie może sprawić, że osoba zbudzona przypomni sobie lub nieprzypomni, czego będąc uśpioną doświadczała. Świadomość więc istnieje, lecz jest nadzwyczaj słabą, ażeby mogła zdać sobie sprawę z tego, czego biernym była świadkiem; potrzeba zatém interwencyi siły obcéj dla uświadomienia tego, co pozostawiło po sobie ślad w pamięci.

Poddanie jakiegoś czynu w stanie hipnotycznym lub w stanie oczarowania może się zbudzić po długim nawet czasie i stać się podnietą niezwalczoną do wykonania owego czynu. Automat hipnotyczny może zostać w ten sposób zbrodniarzem i niewinnie może być skazanym. Sprawiedliwość publiczna powinna baczną zwrócić na to uwagę. Człowiek zahipnotyzowany jest igraszką w ręku hipnotyzera, a wpływ ten przejawiać się może nawet w pewnym stopniu i po przebudzeniu, może spowodować stan mniéj lub więcéj trwałego oczarowania. Osoba zahipnotyzowana może jednak zachować pamięć życia swego normalnego i pamięć poprzednich stanów hipnotycznych. Niekiedy pamięć bywa nadzwyczaj pobudzoną: wrażenia, obrazy, wyobrażenia, zatarte oddawna w pamięci, gromadzą się i cisną chaotycznie w umyśle, podobnie jak we śnie. Długie ustępy z książki odczytane wobec osoby zahipnotyzowanéj, zupełnie dokładnie bywają przez nią powtórzone; po przebudzeniu osoba ta niezdolną jest do powtórzenia kilku słów nawet.

Osoby zahipnotyzowane mogą ujawniać swe skłonności, popędy, dążenia, ukryte w stanie normalnym, mogą uzewnętrzniać pewne usposobienia do kradzieży i zabójstwa, jak również i do samobójstwa, a nawet, szczególniéj histeryczki, do erotyzmu cynicznego, odosobnione bowiem w pewnym stopniu od świata zewnętrznego tracą poczucie zachowywania się, poddawane im nieświadomie przez zwykłe ich otoczenie. Zależne są one wtedy od woli hipnotyzera, niekiedy do tego stopnia, iż ten tylko, a nikt inny, zdolnym jest wywoływać w nich dowolne halucynacye i automatyczne czynności. Jestto dowodem działania siły woli, albo inaczéj siły myśli. Zjawiska hipnotyczne zatém nie zależą wyłącznie tylko od siły poddawania, którą Bernheim uważa za klucz do wyjaśnienia wszystkich tych zjawisk.

Fakirzy indyjscy (*yogi*) zdolni są powstrzymać w sobie na pewien czas wszystkie czynności życiowe, tj. zdolni są przez nieustanne zwracanie całéj swéj uwagi w jednym stałym kierunku i przez stopniowe pokonywanie w sobie wszystkich innych popędów i potrzeb organizmu dojść do stanu tak zwanéj *anabiozy* (bezżyciowości), do zupełnego zahipnotyzowania się Utrzymują oni nawet, iż mogą porozumiewać się z sobą na znacznéj odległości jedynie siłą woli, siłą prądu magnetycznego przez nią wywołanego; mogą ukazywać się sobie, jak mniemają, pomimo znacznéj dzielącéj ich przestrzeni w zwykłéj postaci. Wysiłek ich woli, jak sądzą, uzewnętrznia rzut ich ducha, czyli powietrzny okrąg ich ciała (?) i przenosi go do oznaczonego miejsca z szybkością myśli. Wysiłkiem woli tłómaczą, również zdolność unoszenia się na kilka stóp nad ziemią bez żadnego punktu oparcia.

Yogi pragnący nirwany rozumuje i sądzi, po pewnym jednak czasie przestaje sądzić i rozumować i odczuwa tylko przyjemność wewnętrznego zadowolenia. Następnie zadowolenie znika, *yogi* staje się obojętnym na wszystko, posiada jednak jeszcze świadomość słabą i czuje pewną błogość fizyczną. W ostatnim okresie kontemplacyi wszelkie poczucie znika zupełnie, nawet poczucie obojętności. Czy wola znika także? Nie, wola, przejawiona w postaci dążności do kontemplacyi nie ginie, gdyż opiera się czynnikom, mogącym wyprowadzić *yogi* z tego stanu.

Być może, iż organizm nasz lub pewne jego części składają się z aparatów elektrycznych, wytworzona zaś przez nie elektryczność jest czynnikiem zjawisk magnetycznych.

Zjawiska oddziaływania myślą z odległości, hipnotyzowania myślą, nie należące do bardzo rzadkich wypadków, objaśnione być mogą wytwarzaniem się prądu nerwowego (magnetycznego) w danéj osobie i oddziaływaniem tegoż prądu na mózg osoby, w stronę któréj został skierowany (1).

Takie oddziaływanie myślą, oddziaływanie magnetyczne jednych osób na drugie bywa w wielu nawet zapewne wypadkach źródłem pobudek nieświadomych, stających się w danéj chwili wyrazem woli w magnetyzowanych jednostkach.

Ch. Richet siłą swéj woli jedynie budził ze snu hipnotycznego pewną kobietę w paryskim szpitalu Baujon; zjawienie się jego w sali szpitalnéj, w któréj leżała, wystarczało dla wprowadzenia jéj w stan hipnotyzmu.

Héricourt zahipnotyzował myślą pewną kobietę, którą już poprzednio hipnotyzował, w własném jéj mieszkaniu, znajdującém się o kilka minut drogi od jego mieszkania, w chwili, gdy wybierała się na przechadzkę. Uczuła ona wówczas gwałtowną chęć do snu, z którego po upływie dwóch godzin siłą tejże oddziaływającéj na nią myśli została zbudzoną.

Mnie samemu udało się kilkakrotnie oddziaływać myślą na pewną osobę na blizkiéj lub nawet dość znacznéj odległości, jak również odgadywać jéj myśli. Wypadki podobne komunikowane bywają często w londyńskiém i paryskiém Towarzystwach psychologicznych.

Ilość czynników składających się na wytworzenie naszéj woli, a właściwie wpływających na jéj kierunek, znaczniejszą jest więc niż jak to sądzono dotychczas. Wola zależną jest od naszéj jaźni, wszy-

---

(1) Zob. artykuł mój: Hipnotyzm w obec ostatnich badań naukowych. Ateneum. 1885 II.

stkie zaś czynniki, wpływające na zmianę jaźni, zmieniają charakter i kierunek naszéj woli. Czynniki, wpływające na zmianę naszéj jaźni do pewnego tylko stopnia ulegać mogą kontroli naszéj świadomości, znaczna ich część nie dochodzi do naszego poznania.

VI.

Stan hipnotyczny ograniczać się może tylko na jednéj połowie ciała; stan taki nazwać można *hemihipnotyzmem*. Dowodzi to, że człowiek świadomy swego *ja*, swéj inteligencyi, swéj woli czynnéj nie jest jednym tylko automatem, w chwili zawieszenia świadomości, ulegającym obcéj woli, lecz jest dwoistym. Człowiek jest istotą składającą się z dwóch osób, posiada dwie świadomości, dwa *ja*. Hipnotyzm pokazuje nam, iż jedno *ja* może płakać jednocześnie, gdy drugie *ja* się śmieje. Człowiek w stanie hemihipnotyzmu czuje się jednostką całkowitą pomimo, iż jest tylko połową siebie. Ztąd wynika, iż każda połowa mózgu stanowi zupełną i niezależną od drugiéj połowy całość, czyli inaczéj, że człowiek ma dwa mózgi, z których każdy zachowuje świadomość osobowości. Czynność psychiczna jednego mózgu może być zawieszoną bez żadnego uszczerbku dla całkowitéj świadomości swego *ja* i dla zdolności umysłowych. Oba mózgi pogrążone w stan hipnotyzmu mogą się znajdować jednocześnie w różnych stopniach działalności.

Oba mózgi różnią się pomiędzy sobą pod względem wagi i rozwoju. Jestto zjawisko ogólne i uzewnętrznia się niekiedy w asymetryi czaszki, szczególniéj u obłąkanych. Nawet układ zwojów obu mózgów nie jest jednakowy; dowodzi to podziału pracy. Mózg prawy rozwija się wcześniéj niż lewy, który dłuższego wymaga czasu dla zupełnego rozwinięcia się i dla udoskonalenia swych funkcyi. Ręka prawa, wprowadzona w ruch przez mózg lewy, wykonywa wogóle czynności delikatniejsze i więcéj skomplikowane. Zdolność mowy ma także swe siedlisko w lewym mózgu. Wskutek podziału pracy każdy mózg oddzielnie wyrabia w sobie pewną potęgę dla niektórych tylko funkcyi.

Już Esquirol przypisywał paraliż woli niejednakowości w czynnościach obu półkul mózgowych. Zdwojenie osobowości, spostrzegane u niektórych obłąkanych, było już dla sir H. Hollard'a wynikiem braku harmonii pomiędzy obu półkulami mózgu. Zdanie to podzielają dziś Luys, Ball i inni specyaliści. Człowiek obłąkany może posiadać świadomość swego stanu, jeżeli jedna tylko półkula mózgowa została porażoną. Jansen utrzymuje, że jak dwa obrazy wzrokowe zlewają się w jeden, tak samo dwa wrażenia półkul mózgo-

wych łączą się razem; w pewnych jednak warunkach patologicznych wrażenia te mogą istnieć obok siebie i wytworzyć w ten sposób iluzyą dwóch różnych osobowości, podobnie jak przy zezowatości podwójnemi przedstawiają się widziane przedmioty.

Dualizm mózgowy wystarcza do wyjaśnienia wszelkiéj niezgody w umyśle ludzkim, niezgody pomiędzy chceniem uczynienia czegoś dobrego a chceniem dokonania zła jakiegoś, chceniem pewnéj przyjemności a chceniem wyrzeczenia się jéj, do wyjaśnienia, jedném słowem, walk wewnętrznych, wahania się i niezdecydowania.

Opozycye funkcyonalne półkul mózgowych, wytwarzające stan niezgody umysłowéj „nie są opozycyami w przestrzeni, jak mówi Ribot, lecz w czasie, są to kolejne postawy *ja*, według ulubionego wyrażenia Lewes'a." Stan świadomości przeważający w każdéj chwili, mówi daléj, jest dla jednostki i dla innych jéj osobowością.

Dr. Antoni Złotnicki.





LUDY ZNIKŁE I GINĄCE.

Dwa wielkie fakty, poznanie pod koniec zeszłego stulecia piątéj części świata i odkrycie w środku bieżącego śladów człowieka kopalnego, rozszerzają zakres historyi. Pierwszy pozwala jéj objąć wszystkie ludy, zamieszkałe na całéj kuli ziemskiéj. Drugi cofa ją do rzeczywistych jéj początków, do człowieka pierwotnego. Dopiero tak rozszerzona historya na nazwę powszechnéj zasługuje.

Te dwa fakty, aczkolwiek na pozór nic z sobą nie mają wspólnego, wzajemnie się w nauce uzupełniają. Jeden dostarcza klucza do należytego zrozumienia i ocenienia drugiego.

Istnienie ziem na wodach Oceanu Spokojnego stało się wiadomém w Europie od czasu pierwszéj podróży, odbytéj na około ziemi przez portugalczyka Magalhaensa na początku XVI stulecia (1519—1521). W ciągu XVII Holendrzy kilkakrotnie docierali do brzegów Australii i wysp sąsiednich. Lecz właściwie piąta część świata pozostawała po dawnemu nieznaną. Dopiero otwarli Oceanią dla Europy i prąd kolonizacyjny na ową piątą część skierowali podróżnicy z końca XVIII stulecia, francuzi: Bouguinville, La Pérouse, Bruni d'Entrecasteaux, anglik Cook.

Oceania była zaludnioną, chociaż nie w stosunku właściwym do swych rozmiarów. Złożona z wysp rozmaitéj wielkości, rozrzuconych po przestrzeni wód, odpowiadającéj rozległością lądowi Ameryki południowéj, przedstawia szczęśliwe warunki klimatyczne, które pozwoliły zamieszkującemu ją człowiekowi przetrwać dłużéj niż gdzieindziéj w stanie pierwotnym. Odosobnienie pomiędzy cząstkami lądu bardziéj niż gdzieindziéj niepokonane, zabezpieczało ludność od wpływu na siebie wzajemnego.

Po odkryciu Oceanii, po spotkaniu się w niéj przedstawicieli społeczeństwa europejskiego z ludami, stojącymi na najniższym stop-

niu cywilizacyi, rozmaite powstały teorye, tłómaczące stan owych ludów. Jedni ludy dzikie poczytywali za zdziczałe, za odpadłe od pierwotnego pnia ucywilizowanego w osobie pierwszego człowieka; drudzy, przepełnieni idylizmem, cechującym wiek XVIII, wielbili w poznawanych wyspiarzach Oceanu Spokojnego twór przyrody doskonalszéj od siebie, gdyż nieskalany dotknięciem cywilizacyi i sztuki; nakoniec jeszcze inni, nic wspólnego pomiędzy sobą a niemi nie dopatrzywszy, na równi ze zwierzętami ich w stosunku do siebie postawili.

Z drugiéj atoli strony, pomiędzy ludźmi, których istnienia na ziemi w czwartorzędowym okresie geologicznym dowodzą narzędzia kamienne, pierwotnie łupane a następnie gładzone, przedewszystkiém zaś kilka czaszek i resztek szkieletów, a tymi, którzy na początku naszéj doby dziejowéj w dolinie Nilu lub Mezopotamii wznosili gmachy różne i na nich swe czyny pismem upamiętniali, tak wielka zachodzi różnica, że ci i tamci, rzec można, stanowią niby dwa skrajne w jednym łańcuchu ogniwa. Wielką, niczém niezatartą różnicę ową podnosi jeszcze bardziéj ta okoliczność, że przeszłość nie przechowała żadnych takiego rodzaju zabytków, żeby na ich podstawie dziejopis mógł odtworzyć ogniwa pośrednie. Człowiek przeto pierwotny pozostałby wieczną zagadką, byt i rozwój umysłowy tysiąca pokoleń. poprzedzających w dziejach Egipcyan i Akkadów, wieczną by były pokryte zasłoną, gdyby rozwój człowieka wszędzie, gdzie tylko on zamieszkał, odbywał się równomiernie, gdyby ludzie w swym pochodzie cywilizacyjnym nie zależeli od bardzo wielu warunków, które bądź wstrzymać, bądź też przyśpieszyć ów pochód mogą.

Że rozwój nie odbywa się równomiernie, dowiodła tego kultura ludów amerykańskich, po odkryciu czwartéj części świata. Że warunki miejscowe mogą wstrzymać rozwój zupełnie, wykazało poznanie bliższe Oceanii.

Odkrycie człowieka kopalnego rozwiązało zagadkę, co stanowi właściwie dzikość ludów oceanijskich. I odwrotnie. Stan kultury owych ludów pozwolił odtworzyć stopnie rozmaite w rozwoju człowieka pierwotnego. Czém bowiem są w XIX stuleciu ludy dzikie w piątéj części świata, tém były wszystkie świata starego. Czém był człowiek w pierwotnéj dobie swojego istnienia, tém jest jeszcze obecnie w Oceanii. Oni są teraz, jacyśmy byli dawniéj.

Tak więc, gdy jedni uczeni w człowieku współczesnym z Oceanii ujrzawszy pierwowzór człowieka pierwotnego, zwrócili się do badania bytu ludów dzikich, by zapełnić treścią dzieje rozwoju ludzkiego w czwartorzędowym okresie; drudzy znowu w odkryciu czło-

wieka kopalnego znaleźli klucz do stanu umysłu i kultury ludów poznawanych w piątéj części świata a następnie i na krańcach dawniéj znanych. Prace Tylora, Lubbocka oraz wielu innych ten mianowicie kierunek w nauce zaznaczają.

Lecz nim nauka wypowiedziała swoje spostrzeżenia i wnioski, rzeczy poszły utartą koleją. Rozpoczęła się kolonizacya Oceanii. Europejczyk wystąpił w dwojakiéj roli cywilizatora i zdobywcy.

Wiedząc ile pracy, trudu, mozołów kosztował każdy wynalazek, ile wymagały ofiar w ludziach i czasie, nim zwyciężyły, każdy pomysł rozsądniejszy, myśl światlejsza, sądzić należało, że los szczęśliwy spotkał oceańczyków. Otrzymują oni wszystko bez pracy i ofiar, otrzymują gotowe i w czasie tak krótkim, co zdobywały narody świata starego przez dziesiątki wieków, do czego dochodziły znacząc krwią i potem każdy krok stawiony naprzód. Europejczyk stawał wśród ludów dzikich w roli Prometeusza, przynoszącego w darze porwany z przybytku bogów ogień; stawał niby owi mytyczni bogowie, którzy wcielają się w człowieka, by odkryć ludziom te prawdy, do których oni nigdyby dojść sami nie mogli. Piękną więc była misya jego wśród dzikich oceańczyków. Lecz stając wśród nich, zapomniał, że wyobraźnia ludzka działanie długiego czasu i tylko czasu upostaciowała w mycie o Prometeuszu i bogach wcielonych; nie znając ani się domyślając swego rzeczywistego początku, nie widział w nich siebie, jakim był przed kilku dziesiątkami lub setkami tysięcy lat, nie przypuszczał nigdy istotnego związku pomiędzy sobą a owymi na pozór tak różnemi od siebie istotami. Był więc dla nich bardziéj obcym niż Prometeusz dla obdarzonych przez siebie dobrodziejstwem. Europejczyk przynosząc ogień, ciskał nim zarazem. Był więc niby ów bóg indyjski, którego zobaczenie ofiarą życia okupić należało, którego głos obalał tych, czyich uszu dochodził.

Rola zdobywcy była łatwą i wielce korzystną. Nie wojna to była, narażająca na wszelkie niebezpieczeństwa, nie walka z równym sobie przeciwnikiem, lecz wielkie polowanie. Trofeami nie skóra, rogi lub kły padłych zwierząt, lecz nie objęte nawet żądzą przestrzenie, rozkoszniejszych niż wyobraźnia przedstawić sobie zdoła krain.

Nie zważając na role różne, w których europejczyk wystąpił, na środki działania odmienne, wypływające z roli, skutki ich działalności okazują się takie same. Ludy giną—opierając się kulturze; giną — przyjmując ją. Jednakowo w tym razie odziaływają kule z ręki żołdaka jak i wzniosłe słowa o wspólnym w niebiosach ojcu a miłości braterskiéj na ziemi, wychodzące z ust misyonarza chrześciańskiego.

XIX stulecie, będące widownią zetknięcia się z sobą ludzi z dwóch możebnie krańcowych okresów kultury, staje się dla przedstawicieli przeszłości ostatnim aktem istnienia, dla przedstawiciela współczesności zwycięskim przekroczeniem zapory, niedozwalającéj mu dotychczas zwać się w rzeczywistości obywatelem świata całego. A nadto walka taka, jaka w tém stuleciu się odbywa, już powtórzyć się nie może nigdy, chociaż by przeszłość w stosunku do przyszłości stała się sekundą w wieku. Warunki nadające walce téj całe jéj znaczenie znikają bezpowrotnie.

I przybywa dziejom XIX stulecia, i to im wyłącznie, kilka kart nowych. Z całéj przeszłości niema podobnież co do treści ważnych, oraz podobnież z dniem każdym nabierających coraz większego znaczenia. Proces przeobrażania się ludów dzikich zbliża się ku końcowi. Pierwowzór więc człowieka pierwotnego z życia na karty te się przenosi. Do nich zwróci się etnograf, gdy zechce poznać człowieka dzikiego w XIX stuleciu; do nich paleoetnolog, gdy zechce odtworzyć człowieka przedhistorycznego. Przytém żadna nie przedstawia wyników bardziéj pouczających. Któraż bowiem z poprzednich tak do głębi odkrywa naturę ludzką psychologowi, któraż moraliście dodatnie i ujemne strony naszéj cywilizacyi również dosadnie wykaże?

Lecz jeszcze nie koniec. Warunki, które utrzymywały te ludy na pierwotnym stopniu kultury, wpłynęły także na czystość ich krwi. Niejeden lud stanowi sam w sobie całą rasę, szczep lub plemię; sam jest jedynym przedstawicielem odmiany, stanowiącéj podstawy podziału naukowego rodzaju ludzkiego. Wygaśnięcie więc ludu takiego bywa wygaśnięciem zarazem całéj odmiany. Całość tracąc swe składowe części, objąć się już nigdy w zupełności nie daje. Rodzaj ludzki zbliża się do typu jednego. Lecz czy pozbawianie się członków rodziny nie naraża istnienia całéj rodziny? Czy pożeranie się zabezpiecza trwałość, tępienie oznacza rozwój? Są to pytania, które zastanawiają antropologa, a w zadumę pogrążyć mogą filozofa.

Poznawszy ważność tych kart, parę przerzućmy, i to dla ułatwienia sobie zadania, w porządku zupełnie dowolnym.

I.

Tasmańczycy.

Rzuciwszy okiem na kartę Oceanii, pomiędzy 41 a 43 stopniami szerokości geograficznéj południowéj, poniżéj Australii, ujrzymy wyspę. Rozległość jéj zajmuje środek pomiędzy rozległością Sycylii

lub Sardynii i Irlandyi. Stanowi ona z zamieszkałych przez ludzi krajów najbardziéj odległy od Europy zakątek. Przytém jest zupełnie samotną. Tylko bowiem z jednéj strony, od północy, przymyka do niéj kilka wysepek, tworzących niby dwa rozerwane łańcuchy, rzucone równolegle pomiędzy nią i lądem stałym piątéj części świata; parę zaś innych od wschodu przylega tuż do jéj wybrzeży. Najbliższy ląd od strony północnéj, Australia, oddalony jest o ćwierć tysiąca kilometrów. Najbliższy od strony wschodniéj, Nowa Zelandya, o półtora tysiąca.

Wyspa ta stanowiła w czasach odleglejszych jedną całość z Australią. Dowodzi tego konfiguracya brzegów, po obu stronach cieśniny, i owe dwa szeregi wysepek, pomiędzy dwoma wyspami, powstałych z wyniosłości zatopionego obecnie a łączącego je z sobą kiedyś lądu. Jest więc ona maleńką cząstką Australii, oderwanym od niéj cyplem południowym, odpowiadającym w Ameryce południowéj Patagonii, w Afryce Caplandowi. Te same również co i Australią Oceany i jéj omywają brzegi.

Od chwili, kiedy się pokazał pierwszy okręt europejski na wodach tych oceanów, losy mieszkańców nawet kawałka tego małego, oderwanego od większéj całości lądu, od siebie samych zależeć już przestały. Ku nim wypadki dziejowe prąd kultury skierowały. Nad nimi zawisł już był wyrok przeciw spóźniającym się w pochodzie cywilizacyjnym. Niby fale wezbranéj rzeki nowe życie ogarnąć ich siedzibę miało, a oni, prądem jego unoszeni, płynąć z nim tylko mogli, lub nim objęci utonąć. Nawet wypadki zachodzące w Europie zmienić nie mogły przeznaczenia: odraczały tylko wykonanie wyroku; stanowiły tylko, czyje ręce wykonać go miały.

1.

W XVI stuleciu nad przestrzeniami wód i lądów, pokrywających drugą półkulę naszéj ziemi, panowały dwa sąsiednie i bratnie z sobą narody, Hiszpanie i Portugalczycy. Pierwszym za śmiałość i przedsiębierczość w udziale dostała się Ameryka; drugim—przypadała Oceania. Z dwóch stron, od zachodu i wschodu, dwiema przez Vasco de Gama i Magalhaensa odkrytemi drogami, do niéj Portugalczycy mogli podążać. Już w ręku ich były nawet wyspy Zondskie i Moluckie, stanowiące wyborny punkt oparcia w wyprawach na oceany Spokojny i Indyjski, gdy powstrzymani zostali u wrot samych piątéj części świata.

Przyczyną tego było przyłączenie ich ojczyzny pod koniec stulecia do krajów zostających pod berłem Filipa II. Ubezwładnionych

rządami Filipa Portugalczyków z wrót Oceanii wyparli Holendrzy, którym się właśnie wtedy udało oswobodzić od panowania Hiszpańskiego. Osiedliwszy się na wyspach Zondskich zwiedzać poczęli zarównikową część Oceanu Spokojnego i odkryli w 1606 r. największy ląd w Oceanii, któremu nadali nazwę oddalonéj swojéj ojczyzny. Następnie, badali północny i wschodni brzeg owego lądu. Gdy nadeszła kolej na zachodni, dowódca wyprawy, Abel Tasman, wypłynąwszy na Ocean Indyjski, wziął się bardzo na zachód i opłynął Nową Holandyą, wcale jéj brzegów nie widząc. Dopiero ujrzał ląd (24 listopada, 1642), gdy się zwrócił we wschodnim kierunku. Był to południowo-zachodni cypel naszéj wyspy. Płynąc następnie wzdłuż niéj, okrążył od południa i wypłynął na wody Oceanu Spokojnego. Tu dopiero zatrzymał się w małéj zatoce (Fryderyka Henryka); lecz na brzeg nie wysiadał. Opuściwszy odkrytą wyspę, popłynął daléj w kierunku wschodnim i odkrył Nową-Zelandyą (1).

Tasman wnioskując z sąsiedztwa odkrytego lądu z Australią, a również z wielkiego podobieństwa w ustroju powierzchni, że z nią stanowi jedną całość, nazwał ów ląd nie wyspą, lecz ziemią Van Diemen, od nazwiska owczesnego rządcy Batawii (2).

Holendrów w rozpoczętych odkryciach powstrzymała konieczność bronienia swych swobód politycznych i religijnych w wojnach prowadzonych w drugiéj połowie XVII stulecia. Dali się więc wyprzedzić Anglikom i Francuzom. Jednakże upłynęło sporo czasu nim na odkrytym już lądzie stanął pierwszy europejczyk. Miało to bowiem miejsce dopiero w 1772 roku, a owym europejczykiem był Francuz, Marion du Fresne, wsławiony wkrótce tragicznym swym na Nowéj Zelandyi skonem, dokąd się udał, płynąc śladami Tasmana.

Wylądowawszy na brzegach zatoki Fryderyka Karola Marion du Fresne zobaczył krajowców. Krótki jego z Tasmańczykami stosunek wprowadza ich po raz pierwszy do historyi.

Dziennik podróży Mariona du Fresne prowadził uczestniczący w niéj Crozet. Na nim oparte zostało urzędowe z niéj następnie sprawozdanie. Ponieważ obecnie nikt już nie może sprawdzić tego,

---

(1) Szczegóły tyczące się wypraw holenderskich oraz odkrycia Tasmanii biorę z dzieła G. L. Domeny de Rienzi, *Océanie*, Paris, I—III, 1830—56.

Autor sam znany podróżnik w dziele tém zgromadził, co tylko do jego czasów o téj części świata pod jakimkolwiek bądź względem wiadomém było. Obszerne wyjątki z opisów i ze sprawozdań innych podróżników zwiększają jeszcze wartość téj pracy.

(2) W lat dwieście dwanaście nazwa ta ustąpiła innéj, związanéj bardziéj bezpośrednio z tym wypadkiem. W roku 1854 mieszkańcy obecni ziemi Van-Diemen uchwalili nazywać wyspę Tasmanią, ku uczczeniu jéj odkrywcy.

co kto o Tasmańczykach napisał, ani też uzupełnić, wszystko przeto co poprzednio o nich napisano, otrzymuje znaczenie wyjątkowe dokumentu historycznego.

Oto jak wyglądali Tasmańczycy według Crozeta: „Są oni czarni, wzrostu miernego, wszyscy nadzy, mężczyzni i kobiety. Mężczyzni są uzbrojeni we włócznie i siekiery kamienne. Oczy mają wogóle małe, usta duże, zęby białe, nosy płaskie. Włosy u nich jak u Kafrów rosną kosmykami; a obsypują je ochrą czerwoną. Zresztą są oni wysmukli, dobrze dość zbudowani, barczyści; piersi pokrywają sobie tatuowaniem rytem. Język ich jest twardy. Przeważają w nim dźwięki gardłowe.“

Gdy Francuzi podpływali do brzegu na łodziach, Tasmańczycy wchodzili w wodę na przeciw nich, nie okazując żadnéj bojaźni lub nieufności. Po wyjściu na brzeg kapitana, jeden z krajowców zbliżył się ku niemu i podał zapaloną głównię. Na brzegu leżały nagromadzone stosy suchego drzewa. Podanie ognia było obrazowém zapytaniem o cel podróży i zamiary przybyszów. Skoro bowiem Marion du Fresne wziął w rękę głownią i zbliżywszy do jednego ze stosów, podpalił go, wszyscy na brzegu zgromadzeni krajowcy rzucili się na sąsiednie wzgórze, stąd poczęli ciskać kamieniami na Francuzów. Widocznie rozpalenie ogniska przyjęli za oznaczenie zamiarów nieprzyjaznych. Marion i kapitan z okrętu De Castries zostali ranieni. Wówczas odpowiedziano im kilku wystrzałami. Jeden padł zabity; kilku ranionych. Pozostali, wydając okrzyki trwogi, uciekli do lasu.

W czasie swéj trzeciéj wyprawy Cook, wypłynąwszy z Plimouth 12 czerwca 1776 r. w siedm miesięcy (26 stycznia, 1777) stanął w Tasmanii, w zatoce Adventure. W opowiadaniach jego o krajowcach przedewszystkiém uderza brak zupełnie w nich bojaźni, względem przybyszów, obojętność na wszystkie dary, a dawano im przedmioty ogólnego użytku, np. wyroby żelazne rozmaite, narzędzia, itd. oraz przyzwoite zachowanie się kobiet z obcymi. Opis powierzchowności, zgodny z podanym przez Crozeta, uzupełnia on kilku szczegółami. Brodę i włosy, a nawet całe ciało, mężczyzni namaszczają tłustością, wydającą woń przenikliwą. Te kobiety, które są matkami, mają zarzuconą na plecy skórę kangura i w niéj niby w koszu mieszczą małe dzieci. Wszystkie zaś golą sobie głowy, bądź całkowicie, bądź tylko po środku lub połowę. Stan Tasmańczyków porównywa Cook ze stanem dzikich zwierząt. Tak samo ciągle jak zwierzęta, według niego, przebiegają oni z miejsca na miejsce, bez żadnego widocznego celu i zajęcia, w zupełnéj obojętności na wszystko, co ich otacza. Stałych miejsc schronienia, odpowiadających domom naszym, nie znają. Na noc zgromadzają się w jedno miejsce a sypiają

pod drzewami lub w szałasach. Szałasy te budują wbiwszy kilka kołków w ziemię w kwadrat lub półkole, od strony wiatru; następnie kołki te oplatają gałęziami i na nie je narzucają dla pokrycia.

W 1792 i 93 roku podwakroć przybijał do Tasmanii admirał francuski Bruni d'Eutrecasteaux, wysłany na wody Oceanu Spokojnego przez rząd w celu odszukania zaginionego na nich La Pérouse'a. W wyprawie d'Eutrecasteaux brał udział znany naturalista Labillardiére. Częste stosunki z krajowcami pozwoliły mu zebrać więcéj niż innym szczegółów o krajowcach.

Przypatrzmy się wraz z nim ich uczcie.

„Tylko słabe mieliśmy dotychczas pojęcie o pracy, jaką podejmują kobiety, by dostarczyć pożywienia całéj rodzinie. Matki wraz z dorosłemi córkami zabrały kosze i zanurzyły się w morze, poszukując na dnie jego raków i muszli. Gdy długi czas nie wypływały na powierzchnią, byliśmy już w obawie o nie. Zanurzyły się bowiem w miejscu, gdzieśmy zauważyli wielką ilość porostów wodnych. Przeważał *fucus pyrifer*. Mogły więc z łatwością zaplątać się wśród porostów i nie módz już wypłynąć na powierzchnią. Nakoniec pokazały się. Przekonało nas to, że są zdolne dwa razy dłużéj, co najmniéj, pozostawać pod wodą, niźli nasi najwprawniejsi zaledwo zdołają nurkowie. Dla zaczerpnięcia powietrza dość im było chwili czasu. Zanurzyły się ponownie. Powtarzało się to tak długo aż kosz został całkowicie napełnionym. Niektóre z nich zabrały z sobą kawałki drzewa ostruganego w formie noża. Domyśliliśmy się, że używały do odrywania od skał podwodnych przylegających do nich skorupiaków. Prawdopodobnie nawet wybierały z nich lepszych. Niektóre okazy bowiem były wspaniałe.

„Widząc w ich koszach wielkie raki baliśmy się, by te zwierzęta kleszczami swemi nie pokaleczyły biednych. Lecz przezorniejszemi były Tasmanki niż się nam zdawało. Łowiąc raki, rozbijały je odrazu. Zawartość koszów składały mężom i wnet wracały na dno morskie, by je jeszcze raz napełnić, w razie gdy połów jednorazowy nie wystarczał do obdzielenia wszystkich zgromadzonych. Grzały się stojąc twarzą do ogniska, na którém piekła się ich zdobycz, lub téż rozniecały kilka pomniejszych na około siebie, by jednoczasowo ogrzewać się ze wszystkich stron.

„Wcale nie odpoczywały. Grzejąc się, z wielką starannością układały na rozżarzonych węglach muszle. Tylko raki rzucały wprost w ogień. Wyjąwszy spieczone, mężczyznom i dzieciom oddawały łapy i szyje, same zaś zadawalniały się środkowemi częściami."

Podczas gdy kobiety zanurzając się w wodzie, zdobywały ślimaki i raki, mężczyzni siedzieli przy ogniskach, podsycali ogień, ga-

łęźmi, łamiąc je na głowie, i żuli rośliny morskie pieczone lub korzenie paproci. Po zaspokojeniu głodu kobiety szły po wodę. Czerpały ją w naczynia z liści porobione w miejscach najbliższych, wcale nie bacząc na jéj czystość lub smak. Nakoniec następował odpoczynek. Ojca rodziny okrążały żona i dzieci. Niektórzy silniejsi obok siebie mieli po dwie kobiety. O stosunku rzeczywistym każdego do obu a jednakim—samo zachowanie się ich w obec wszystkich wątpić nie pozwalało.

Jednakże dla wszystkich podróżnych pozostawało do tychczas jeszcze tajemnicą, gdzie się właściwie znajdują, czy na Nowéj Hollandyi, czy téż na wyspie oddzielnéj. Dopiero dwaj marynarze angielscy Flinders i Bass w r. 1798 opłynąwszy całą wyspę dowiedli, że stanowi ona odrębną od Australii całość.

Powodzenie Anglików w Oceanii zwróciło na siebie uwagę Napoleona. Przedsięwziętą została nowa wyprawa, na czele której stanął admirał Baudin, a uczestnikami byli dwaj naturaliści: Peron i Freycinet. Podróż trwała lat cztery. W 1802 zawadzili o Tasmanią. Kilkakrotne spotkanie się podróżników z krajowcami, opisane szczegółowo i umiejętnie w sprawozdaniu z podróży, pozwala dorzucić do obrazu znanego kilka szczegółów charakterystycznych. Zatrzymali się w kanale d'Entrecasteaux.

„Zaledwośmy parę kroków postawili na brzegu, mówi Peron, pokazali się dwaj krajowcy na sąsiednim wzgórzu. Na dany znak by się zbliżyli, jeden z nich rzucił się bardziéj niż zbiegł z góry i w mgnieniu oka stanął przy nas. Był to młodzian dwudziesto kilko letni. Budowy ciała w ogóle silnéj. Raziły tylko wielka cienkość łydek i ramion—co zresztą jest właściwe téj rasie. Twarz jego nic nie miała w sobie srogiego lub téż dzikiego. Oczy—żywe i rozumne. Cała postawa wyrażała jakąś dobrotliwość i zadziwienie. P. Freycinet uściskał go; ja téż zrobiłem to samo. Lecz z zachowania się jego łatwośmy zauważali, że to cośmy zrobili, nie miało dla niego żadnego znaczenia. Uderzyła go przedewszystkiém cera twarzy. Chcąc się przekonać, czy całe ciało jest takiego koloru, odchylał kamizelkę, odgarniał koszulę. Podziw jego uwydatnił się w gwałtownym krzyku i żwawym tupaniu nogami. Następnie spostrzegł szalupę, co go zajęło bardziéj niż my, rzucił się więc ku niéj... Podczas oglądania jeden z marynarzy podał mu butelkę z arakiem, wziął w rękę, lecz wnet rzucił w morze, daléj przypatrując się statkowi. Na krzyk marynarza żałującego napoju, na ruch jego towarzysza, rzucającego się w wodę, by wydostać butelkę, pozostał obojętny..."

Budzącego się zmysłu spostrzegawczego w kierunku własnego ciała i przedmiotów już sobie znanych z własnego doświadczenia

i użytku (kolor ciała i łódź zwróciły uwagę, butelka żadnéj) dowodzi i ten fakt. Czytamy daléj. „Jeden z naszych majtków miał na ręku rękawiczki podbite futrem. Zbliżając się do ognia, zdjął je i schował do kieszeni. Na ten widok młoda kobieta (zeszła się bowiem cała rodzina, jak się zdawało, młodzieńca owego, złożona z dwojga staruszków i kobiet z małém dziecięciem) wydała okrzyk tak gwałtowny, żeśmy się przerazili... Przyczyną okrzyku były owe rękawiczki, które wzięła za rzeczywiste ręce odejmowane, lub też skórę z rąk „dowolnie dającą się ściągać.“

Peron uzupełnia opis legowiska krajowców następnym szczegółem: „Obok szałasu znajdowały się szczątki ogniska niedawno zgasłego i wielki stos uformowany ze skorup ostryg, wydający, wskutek gnicia resztek zwierzęcych, woń wstrętną i szkodliwą.“ Mamy więc przedhistoryczne śmietniska kuchenne (*Kioekkenmoeddingi*). Sprzęty i narzędzia tak opisuje: „Są one o tyle proste o ile nie liczne. Liść rośliny *fucus palmatus*, którego końce są połączone kółeczkiem drewnianém, służył im za naczynie na wodę. Ostry odłamek granitu zastępował im nóż przy obłupywaniu kory z drzewa lub struganiu dzid. Kopystka z drzewa pomagała im odrywać od skał skorupiaki. Kosz czy też wór pleciony z sitowia był składem pożywienia.“ Łodzie ich „były złożone z trzech zwojów kory, połączonych z sobą skręconém łykiem.“

Mamy i idyllę, niby wyjętą z Pawła i Wirginii. Gdy nasi podróżnicy spotkali się po raz drugi z rodziną wzmiankowaną, powracającą z połowu, o czém świadczyły zapasy ostryg i raków, a która obecnie była powiększoną osobą szesnastoletniéj dzieweczki, „starzec wziąwszy p. Freycinet za rękę, skinął na nas byśmy szli za nim i zaprowadził do nędznego swego schroniska. Ogień wnet został rozpalony. Wtedy powtórzył kilkakrotnie *medi*, *medi* (siadajcie), co gdyśmy zrobili, dzicy przykucnęli na pięty i każdy zajął się pożywaniem połowu. Przyprawianie nie było długiém ani też mozolném... Wówczas przyszło nam na myśl sprobować na nich wpływu śpiewu naszego. Usłyszawszy, dzicy bardziéj zostali zmięszani niż zadziwieni. Po kilku minutach niepewności, zaczęli uważnie słuchać. Uczta została zawieszona. Dowodzili swego zadowolenia zapomocą tak dziwacznych grymasów i ruchów, że zaledwo wstrzymać się od śmiechu zdołaliśmy... W czasie téj sceny młoda dziewczyna zwracała na siebie uwagę łagodnym wyrazem oblicza i spojrzeniem to tkliwém to figlarném. Ur-ur (takie było imię owéj dzieweczki) jak jéj rodzice, była całkiem nagą. Lecz zdawało się, że zupełnie tego nie wie, że w takiéj postawie jest coś nieskromnego lub nieprzyzwoitego. Delikatniejszego składu ciała niż jéj rodzeństwo, była żywszą i na-

miętniejszą. P. Freycinet obok niéj siedzący, był przedmiotem bardziéj niż inni jéj zalotów.

Ur-ur pokazała nam następnie jakich środków upiększania się używają kobiety w tym kraju. Porwała parę kawałków węgla z ogniska i miażdżąc dłońmi, na proch je starła. Wtedy trzymając w lewéj ręce ów kosmetyk, prawą nacierała nim czoło sobie i oba policzki. Stała się w jednéj chwili czarniejszą. Uderzyła nas przedewszystkiém uprzejmość, z jaką się ku nam po téj operacyi zwróciła, oraz zadowolenie, odbijające się na jéj twarzy, że potrafiła jeszcze piękniejszą się stać...."

Przytoczone urywki jeszcze całkowicie charakteru Tasmańczyków nie odkryły. Uzupełni to scena następna, dokładnie malująca zmienność usposobień.

Podróżni ruszyli ku północy i zatrzymali się w zatoce Ostryg. Po kilkodniowym pobycie wyszli, jak to miewało zawsze miejsce, na brzeg: Peron, rysownik ekspedycyi Petit i oficer okrętowy Rouget. Otoczyli ich krajowcy, najprzyjaźniéj usposobieni. Każdy z podróżników zajął się swoją robotą. Przedmiot zajęcia dowodzi wzajemnéj ufności. Petit zdejmował portrety z kilku bliżéj stojących, Peron zapisywał nazwy rozmaitych przez innych wskazywanych przedmiotów. Naraz wydają wszyscy okrzyk trwogi i chwytają za broń. Popłoch ten wywołało ukazanie się łodzi okrętowéj. Uspokoili się wszakże, gdy łódź się oddaliła, a zdziwieni podróżnicy znakami ich przekonywali, że na łodzi są tacy ludzie jak oni, więc się lękać nie mają powodu. Wzbudzona nieufność już ich jednakże nie opuściła. Zdawali się rozdrażnieni i czujniejsi jak zwykle. Wtém jeden zbliża się do Perona, chwyta go za kamizelkę, jak gdyby chciał ją zedrzéć, i grozi przebiciem dzidą. Drugi pochwycił za kolczyk, w kształcie koła wiszący mu u ucha, i tak silnie pociągnął, że byłby przerwał ucho, gdyby się kolczyk sam nie otworzył. Rouget skierował w obronie towarzysza lufę strzelby ku napastnikom, a napastowany wymawiając kilkakrotnie wyraz *mata* (śmierć), ostrzegł ich przed niebezpieczeństwem. Wówczas dopiero odstąpili spokojnie, jak gdyby nic wcale nie zaszło. Podróżnicy wszelako dłużéj pozostawać na brzegu już nie mieli ochoty.

Ekspedycya francuska zamyka prolog dramatu, który dla Tasmańczyków spowodowało odkrycie ich wyspy przez europejczyków.

2.

Lecz nie dłużéj, niż prolog, miał się ciągnąć sam dramat.

W roku 1803 Anglicy założyli na Tasmanii dwie osady. Jedną w nieznanéj dotychczas części północnéj wyspy, nad brzegami rzeki

Tamar, o kilka mil w głąb kraju od jéj ujścia, stanowiącego wyborny port Dalrymple. Drugą w miejscowości zwiedzonéj przez d'Entrecasteaux i Baudina, na brzegu odkrytéj przez pierwszego rzeki Północnéj, przezwanéj przez Anglików Derwent. Z osady założonéj na północy powstał następnie Launceston, drugie co do znaczenia miasto na wyspie; z założonéj na wschodzie—stolica wyspy Hobart-Town. Gdy Anglicy osiedlili się na Tasmanii, ludność miejscowa dochodziła do 8000. W trzydzieści dwa lata późniéj (1835 r.) napływowa podniosła się do trzydziestu kilku tysięcy, Tasmańczyków nie stało na Tasmanii.

Obie osady tasmańskie były filiami australskich. Dał im obu początek dbały o dobro kolonii australskiéj centralny jéj zarząd, chcąc w ten sposób zmniejszyć ilość przybywających z Anglii nowych gości narzuconych. Nowe więc warstwy były niepotrzebne, albo dla wzrostu kolonii szkodliwe. Że nie mogły być niepotrzebne, dowodzą tego obszary Nowéj Walii Południowéj i fakt, że samo Sidney przed laty piętnastu dopiero założoném zostało, trudno przeto było obawiać się przeludnienia w mieście a tém bardziéj w okolicy. A więc dla wzrostu kolonii szkodliwe.

Nawet założenie Sidney i początkowa kolonizacya Australii nie była wynikiem przeludnienia w Anglii. Brak pracy nie dawał się jeszcze uczuwać w Europie. Ze starego świata wyganiała nie nędza, lecz wyrok sądowy. Do nowego nie nęciło szersze pole do pracy, lecz wygórowana chęć zysków nadzwyczajnych i przygód awanturniczych. Jak pierwsza osada angielska w Australii, tak téż i dwie jéj filie w Tasmanii były karnemi.

Lecz dla utrzymania w porządku i posłuszeństwie zbrodniarzy potrzebną jest siła wojskowa. Zbrodniarze i dozorujące ich wojsko wymagają oprócz czujnego oka władzy zaspokojenia jeszcze wielu innych potrzeb. Osada karna zwabia przeto kupców i rzemieślników. A nadto, jeśli miejscowość takiéj osady wynagradza uprawę roli i przedstawia przestrzenie odpowiednie dla hodowli bydła, jeśli przytém w łonie ziemi kryją się bogactwa mineralne, dla wyzyskania skarbów przyrody napływać zaczynają rolnicy i przemysłowcy, wyrobnicy i wykształceni kierownicy robót. Zakres pracy już dobrowolnych kolonistów coraz się bardziéj rozszerza. Wyżywienie i odzianie zbrodniarzy i wojska przestaje być wyłącznym ich celem. Wytwarzać zaczynają przedmioty handlu wywozowego. A gdy nakoniec, co się zwykle zdarza w uprzywilejowanych od przyrody krajach, produkta kolonii zyskają popyt stały na rynkach odległych świata starego i przez to dobrobyt wychodźców własnowolnych staje się zapewnionym, wówczas ludność wolna, wzrastając ciągle i boga-

cąc się, zaczyna brać przewagę nad skazańcami; wówczas nietylko peryodycznych wysyłek świeżych zbrodniarzy z ojczystego kraju przyjmować nie chce, lecz nawet dawniejszych stara się wydalać. Kolonia wtedy z osady karnéj staje się wolną i, jak wszystkie angielskie, wywalcza od metropolii prawa początkowo autonomiczne, a następnie dąży do politycznych.

W takim właśnie stanie przejściowym znalazło się już Sidney w piętnaście lat po założeniu, kiedy wysyłając do Tasmanii partye zbrodniarzy, dawało początek dwom pierwszym osadom karnym na Tasmanii; w takim samym również stanie znalazły się i owe osady karne tasmańskie, gdy w trzydzieści parę lat po powstaniu na trzydzieści kilka tysięcy ludności zaczęły liczyć większość emigrantów wolnych.

Tak szybki wzrost ludności wogóle a w szczególności wolnéj wskazuje, że warunki kolonizacyi na Tasmanii są świetne. Rienzi, znany podróżnik i autor dzieła *Océanie*, tak się o téj wyspie wyraża: „jeżeli weźmiemy klimat Prowancyi, krajobrazy Szwajcaryi, urodzajność Turenii i złożymy w jedną całość, wówczas dopiero powziąć będziemy mogli przybliżone pojęcie o tym pięknym kraju.“

Będąc oderwaną cząstką Australii, posiada Tasmania te wszystkie bogactwa naturalne wewnątrz ziemi i na jéj powierzchni, co i ona, oraz w ogólnych zarysach przedstawia jéj właściwości. Lecz wskutek tego, że jest bardziéj oddaloną od równika i tak dalece mniejszą, uwydatniają się w Tasmanii raczéj tylko dodatnie właściwości Australii, nikną zaś ujemne, pochodzące przedewszystkiém z klimatu gorącego i rozmiarów. W Australii nadbrzeżne kraje, dające się jedynie zamieszkiwać i uprawiać, odłączone są od siebie przez płaskowzgórza wewnętrzne, na których człowiek jest skazany wskutek braku wody na śmierć z pragnienia w jednéj porze roku, w drugiéj na zatopienie przez wodę. W Tasmanii kraje nadbrzeżne australskie niby stykają się z sobą. Cała wyspa przedstawia się jak rozkoszny ogród, wiecznie pokryty zielenią, obficie wodami zroszony. Znój lata ochładzają w niéj powiewy wiatru morskiego, przelatujące całą wyspę w każdym kierunku. W zimie nie dopuszcza nawet do przymrozków wysokość nad nią słońca (1). Warunki przeto miejscowe pozwalają wyzyskiwać w Tasmanii bogactwa przyrody równe australskim z większą wszakże niż w Australii łatwością (2).

---

(1) Średnia temperatura lata w Hobart-Town jest 17 stopni; średnia temperatura całego roku 13° C.

(2) W lat 30 po założeniu dwóch pierwszych osad, a więc w 1833 ludność napływowa Tasmanii wynosiła 33,000. W lat 50 następnych, a więc w 1883 — 126,000.

Tak więc te same przyczyny, które utrzymywały ludność miejscową na pierwszym stopniu rozwoju, przynęciły inną, z drugiego krańca ziemi, stojącą na najwyższym. W chwili zetknięcia się dwóch ras, przedstawiających w taki sposób dwa krańcowe ogniwa kultury ludzkiéj, już nie przelotnego, jak poprzednio razy kilka, lecz stałego, jako współmieszkańców jednego kraju, kulturę europejską w pierwszéj chwili starcia przedstawiali zbrodniarze, z Europy dla spokoju i bezpieczeństwa publicznego wydaleni, i dozorujące ich wojsko.

Tacy przedstawiciele nie w cywilizatorów lecz w zdobywców roli stanąć jedynie mogli. Ze wszystkich zaś sposobów zdobywania jeden, najprostszy, niszczenie, był dla nich tylko dostępnym. Do czego wyłącznie usposabiały ich charakter moralny oraz uzdolnienie specyalne.

Lecz jakie posiadamy źródła do poznania wypadków zaszłych w najodleglejszym zakątku świata, pomiędzy garstką zbrodniarzy i kolonistów a ludźmi, o których tyle tylko było wiadomem w Europie, że istnieją? Czy pokrył je, jak tyle innych świetnych i haniebnych czynów ludzkich, mrok tajemnicy, a tylko ze skutków wnosić możemy o ich przebiegu? Wszak zainteresować one współczesnych nie mogły ani doniosłością w chwili bieżącéj, ani też spodziewanymi skutkami. Korespondenci pism londyńskich nie towarzyszyli wysyłkom skazańców. Wszelkie przesyłki pomiędzy Europą i Tasmanią w pół roku dopiero dochodziły miejsca swego przeznaczenia. Przytém jedna ze stron już nie istnieje. To co o Anglikach utrzymywali Tasmańczycy, jak o wypadkach sądzili, skargi ich i opowiadania wraz z dźwiękami ich mowy rozwiały się w przestrzeni i jak echo tych dźwięków przebrzmiały w czasie. Więc przedewszystkiém źródła mogą być jednostronne. Zasada *audiatur et altera pars* pozostać musi bez zastosowania.

Wszelako źródła są i są obfite, autentyczne, prawdziwe. Charakter dokumentów, pomimo ich wyłącznie angielskiego pochodzenia, pozwala rozpatrywać sprawę zupełnie przedmiotowo; rozmaitość ich z wielu różnych stron rzuca na wypadki światło rzeczywiste. Dopiero dotknąwszy się źródeł spostrzegamy, że mamy do czy-

---

Przewyżka nad ludnością z roku 1882 stanowiła osób 3,741. Co dowodzi coraz szybszego wzrastania. W tymże roku było owiec 1,800,000, bydła rogatego 130,500, świń 50,000 i koni 30,000 sztuk. Głównemi produktami wywozu są: wełna, cyna, ołów, tran rybi, skóry. W 1883 r. wywieziono wszystkich produktów w sumie 35,600,000 rubli według kursu dzisiejszego; o 2,800,000 więcéj niż w roku poprzednim. — Wydobywaniu złota poświęca się 2,200 ludzi. Wydobywają oni na sumę od 2 do 3 mil. rubli. Cyny wywożą na sumę od 3 do 4 mil. Przytém wydobywają żelazo i węgiel kamienny,

nienia z narodem, który długi żywot polityczny i wysokie wykształcenie społeczne przyzwyczaiły do zupełnéj, bezwzględnéj jawności, w którym poszanowanie dla prawdy przewyższa drażliwość zwykłą, prawość odnosi w końcu zwycięstwo nad interesem. Fakty, które gdzieindziéj pod grozą zakazu mówienia o nich, utonęłyby w tajemnicy, tu wydobyte z archiwum, ocalone z zapomnienia świadczą o rzeczywistości, jakkolwiek ona jest straszną.

Zródła historyczne do wypadków tasmańskich są trojakie. Wskutek rozwoju pomyślnego kolonii ustanowiony został na Tasmanii saméj zarząd centralny. Z charakteru swego regulował on stosunki pomiędzy obu ludnościami, oraz brał pod opiekę tę, któréj interesa były zagrożone. Ślad działalności rządu przechował się w ogłaszanych rozkazach, instrukcyach, odezwach, proklamacyach, dochodzeniach sądowych.. W chwili założenia kolonii na Tasmanii w Australii wychodziła już *Sydney Gazette*. Kolonia australska była zainteresowana losami swéj młodszéj siostry. Częste i długie pojawiają się w owéj gazecie korespondencye z Tasmanii. W lat kilka w saméj Tasmanii wychodzą już czasopisma. W 1810 istnieje *Derwert Star*, następnie pokazują się *Hobart-Town Gazette*, — *Review*,— *Times*, *Launceston Advertiser*. Wszystkie one mieszczą szczegółowe opisy wypadków współczesnych. Nakoniec, gdy walka już się skończyła, a rezultaty jéj niespodziewane przeraziły ogół, biorący bezpośredni udział w wypadkach, lub tylko ich bliżsi świadkowie poczęli ogłaszać swoje wspomnienia, pamiętniki, opowiadania (1).

W 1803, pod koniec roku były założone dwie kolonie w Tasmanii. W 1804 dnia 3-go maja pod jedną z nich, wschodnią, nad rzeką Derwent, zdarzył się fakt następujący: gromada krajowców, złożona z kilkuset osób płci obojéj, wraz z dziećmi, zbliżyła się do brzegu. Gnali oni kangurów. Obecność kobiet a zwłaszcza dzieci mogła zaświadczyć o zupełnie pokojowych względem kolonistów zamiarach. Wojsko na brzegu odbywało zwykłe ćwiczenia. Dowodzący oficer, Moore, „mając wzrok przyćmiony od użycia znacznéj dozy rumu“, kazał dać ognia do téj gromady. Kilkudziesięciu krajowców padło. Pozostali rozpierzchli się. Obawa oddalała już ich następnie od tego wybrzeża.

---

(1) Dzieło G. Bonwicka p. t. *The last of the Tasmanians, or the Black War of Van Diemen's Land*, można by było nazwać *Zbiorem dokumentów do czarnéj wojny*. Autor, inspektor szkół w prowincyi Wiktorya, sam kilkakrotnie zwiedzając Tasmanią, zebrał w niéj wszystko, co tylko tyczyło się téj wojny. Jest-to jedyna praca, która znajomi zarazem z biegiem wypadków i ze źródłami. Służy mi ona za główną podstawę do opowiadania.

W 1806 roku dał się czuć wielki głód w osadzie. Zarząd, by uchronić od śmierci, uwolnił z pod straży skazańców. Wojsko również zostało zwolnione od rygoru koszarowego. Poformowały się więc pojedyńcze oddziały. Szukając pożywienia zwróciły się w głąb kraju. Oręż tam nie praca rolna miał im je zapewnić. Tasmańczycy nietylko w nich współzawodników w pogoni za zwierzętami znaleźli, lecz sami dla wielu przyczyn stali się przedmiotem pogoni.

Wyzwani do walki z wrogiem uzdolnionym do niéj wszystkiemi zasobami cywilizacyi, występowali nadzy, uzbrojeni w dzidy drewniane i maczugi. Nie mieli nawet domów, w którychby mogli od kul chronić się sami, lub zabezpieczać życie kobiet i dzieci. Pozostawały im tylko gęstwiny lasów i góry. Lecz i te stanowić przeszkód dla ludzi należycie uzbrojonych i czerpiących śmiałość w przewadze swojéj i przeświadczeniu o niższości wroga, nie zdołały. Zdobyta przez rozpuszczonych zbrodniarzy nazwa *Bushrangers* (włóczęga leśny) świadczy, że i lasy przenikli. Nazwa ta wkrótce nabyła wielkiego rozgłosu.

Nie tylko atoli pod względem materyalnym, uzbrojenia nie byli Tasmańczycy przygotowani do walki. Nie ulegając sama żadnym wskutek pór roku zmianom, przyroda téj krainy nie zaszczepiła w ich umysłach troski o jutro, gdyż jako matka dobra codziennie im dostarczała tego samego pożywienia. Troska o jutro nie doprowadziła ich do przewidywania tego w przyszłości, czego z dnia wczorajszego nie zapamiętali, nie nauczyła ich podejrzliwości, nie wyrobiła bojaźni w stosunkach z ludźmi. Zresztą innych oprócz swoich rodaków nie znali. Rozmiary zaś wyspy, mogącéj pomieścić miliony ludzi, kilku tysiącom ich zabezpieczały byt spokojny, bez narażania na tępienie się wzajemne.

Nie będąc więc do walki przygotowani pod żadnym względem, nawet konieczności podjęcia jéj, konieczności bronienia się nie pojęli odrazu. Wypadki przeto musiały ich przedtem doprowadzić do zrozumienia pozycyi własnéj, musiały w ich duszach rozwinąć po kolei te uczucia, które w długim szeregu wieków uzdolniły ludy kulturowe do walki eksterminacyjnéj, do udoskonalenia jéj sposobów wszelkich przywiodły.

Wskutek tego w wojnie, która się rozpoczęła na Tasmanii po przybyciu Anglików, dwa odrębne zaznaczyć możemy okresy.

Wojna owa nosi osobną nazwę: *czarnéj* (The black war), zapewne nietylko dla koloru cery jednéj ze stron walczących. W pierwszéj Tasmańczycy pozostają bierni zupełnie. Wypadki odwetu wyjątkowo się tylko zdarzały. A tymczasem każde spotkanie się z Anglikami przynosiło im śmierć, hańbę, cierpienia. Nie spotykać się zaś

nie mogli. Odpierani od wybrzeży morskich w sąsiedztwie zakładanych osad, w głębi kraju mieli zawsze za sobą *Bushrangerów*, za którymi znowu zdążali koloniści, wznoszący na znak stałego pobytu domy i zabudowania gospodarskie.

Anglicy mając zawsze w broni palnéj przewagę nad krajowcami uzbrojonymi tylko sagają (rodzaj dzidy czy też oszczepu ręką rzucanego) i maczugą, — strzelali do nich, gdy ci polowali, by ich uprzedzić w łowieniu zwierzyny; strzelali, gdy ci znosili łupy myśliwskie, by je od nich odebrać; strzelali, ilekroć ich psy były zgłodniałe, by zaoszczędzając sobie pożywienia, nakarmić je nieużywanem na jadło przez siebie mięsem ludzkeim ; strzelali w zbite masy, gdy ci skupieni przy ogniskach odpoczywali, a to dla tém pewniejszego rozgromienia. By posiąść ich kobiety zabijali mężczyzn, a na szyi porwanych zawieszali czaszki zabitych mężów ; nieudatne lub ciężarne, gdy się wśród drzew chroniły, zwykle za cel służyły dla wprawiających się w strzelaniu. Dostawszy w ręce mężczyzn, pozbawiali ich cech płciowych. Rodzicom porywali dzieci; tęższe brali do posługi; słabsze mordowali. Nawet zbliżenie się pod pozorami przyjaźni nie było bezpiecznem. Wtedy pozwalali sobie rozmaitych figlów. Naprzykład. Pokazywali Tasmańczykowi dwa pistolety. Jeden z nich bywał nabity. Nienabity przykładali sobie do głowy i spuszczali kurek. Gdy namówiony do naśladowania uczynił to samo z drugim, nabitym, kula rozsadzała mu czaszkę (1).

Zarządzający kolonią Collins, Davey, Sorel, czuli się bezsilnymi wobec wypadków. Bronili krajowców odezwami, w których wykazywali, że wszelki z ich strony odwet był zasłużonym, w których grozili karą za gwałty i rozboje. Lecz słowa, nieraz nawet wymowne, nie przekonywały nikogo, ani też groźby zastraszały.

Postępki Anglików (dla czegóż muszę tych ludzi nazywać Anglikami!) budzą dopiero w Tasmańczykach nieznaną im dotąd nieufność; doznane krzywdy szczepią nienawiść; codzienne przeświadczenie, że życie i byt są zagrożone, doprowadza do rozpaczy; rozpacz zmusza szukać środków obrony ; najskuteczniejsza obrona przedstawia się im nakoniec w postaci napadu uprzedzającego strzały. Lecz by dojść do tak prostych wniosków, potrzebowali długiego czasu. Okres pierwszy, przygotowawczy (1804 — 1819), jest znacznie dłuższy od następnego.

I rzecz dziwna. Uzdolniwszy się psychicznie do oporu, pojąwszy konieczność walki, zorganizować sił swoich nie zdołali sami. Zaczepne kroki rozpoczynają się z chwilą, gdy na ich czele stanęli lu-

(1) Bonwick. The last of the Tasmanians, passim.

dzie, choć w części obeznani z kulturą europejską (1819). Byli to: Mosquito, australczyk, z kolonii australskiéj za karę przewieziony na Tasmanią, oraz dwaj porwani w latach dziecięcych, wychowani wśród Anglików ich rodacy, Tomasz Brzozą i Jakób Czarnym przezwani. Lecz raz wystąpiwszy do walki, już się nie cofali. Owszem, im bardziéj, wskutek ciągłego napływu kolonistów, niebezpieczeństwo wzrastało i na każdym punkcie stawało się groźniejszém, tém opór stawał się systematyczniejszym, walka powszechniejszą. *Śmierć białym* było hasłem ludności całéj.

Jak poprzednio gromady krajowców nie były nigdy wolne od napadu *Bushrangerów*, tak obecnie koloniści. Na nich, jako przywiązanych poniekąd do miejsca, a więc łatwiéj dających się wyszukać, nienawiść przez tamtych wzniecona zwróciła się w całéj swéj grozie. Każdy dworek stać się musiał fortecą. Z każdego ukrycia, z za drzew i z ich wierzchołków, dniem i nocą rozsypani wokrąg czyhali z dzidą w ręku na pokazanie się białego w otwartych drzwiach lub oknie. Kule ich odpędzały. Lecz gdy się zapasy wyczerpały, liczba zwyciężała.

Wtedy składali dowody, że z danéj im nauki skorzystali. Domy palili, mieszkańców mordowali, broń i zapasy żywności zabierali. Sprostać jednakże europejczykom w dwóch rzeczach nie zdołali. Oszczędzali kobiety. Z zabranéj broni palnéj, powodowani przesadną obawą, nigdy użytku żadnego nie robili. Wrodzona zwinność oraz szybkie przy znajomości dokładnéj okolicy przenoszenie się z miejsca na miejsce stokrotnie w oczach wystraszonych kolonistów powiększały ilość ich oddziałów. Trwoga zapanowała na całéj przestrzeni zajętéj przez przybyszów.

W roku piątym (1824) w ten sposób prowadzonéj wojny udało się Anglikom porwać zdradą Mosquito, a następnie i dwóch jego pomocników. Stracono ich. Lecz z ich śmiercią stan rzeczy na wyspie się nie zmienił. Przez lat kilkanaście budzone uczucia i namiętności powstrzymać się już nie dały. Gdy poprzednio mężczyźni występowali, obecnie kobiety formowały oddziały i na ich czele walczyły. Jedna z nich, Walloa, wsławiła swe imię wielu czynami odważnymi.

Nowy, a czwarty z kolei *Lieutenant-Governor* kolonii, Jerzy Arthur, początkowo trzymał się polityki swoich poprzedników i środki obrony prywatnéj pozostawiał inicyatywie. Widząc atoli wzmagające się okropności wojny, probował koniec im położyć przez wyznaczenie krajowcom pewnego w zajętéj części wyspy terytoryum, w którego granicach mieli już być bezpieczni od najścia białych. Pomijamy, że to terytoryum okazało się najgorszą częścią wyspy i w żaden sposób wyżywić osiadłéj na nim ludności, trudniącéj się

rybołówstwem i łowiectwem, nie mogło; lecz krajowcy konieczności skupienia się na pewnym jednym kawałku ziemi i nieprzekraczania pewnéj linii również obecnie nie rozumieli, jak poprzednio pojąć konieczności obrony nie zdołali. Pomysł ten nie dał się wcale wprowadzić w życie.

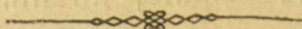
Wówczas rząd rozpoczął działania stanowczo eksterminacyjne. Tworzył *oddziały łowieckie* (*capture parties*), których celem było łowienie żywych Tasmańczyków. Za każdego dorosłego płacił po pięć, po dwa funty za dzieci. Oddziały rozbiegały się po kraju (1828 r.), polując na krajowców, misyą dawniejszych włóczęgów leśnych spełniały. By porwać jednego — zabijano dziesięciu. Gdy się starsi bronili, porywano dzieci. I ten środek wszelako nie uspokoił obu stron walczących. W 1830 r. rząd urządził *wielką obławę* (linet).

Całe wojsko, koloniści wszyscy, przestępcy trzymani pod strażą i na wolę puszczeni, zebrani zostali w jedną masę. Wyniosło to 3000 ludzi. Podzielono ich na oddziały drobne (było ich 119) pod dowództwem doświadczonych i walecznych. Oddziały rozmieszczono tak, że sformowały łańcuch. Łańcuch przechodził od jeziora Echo, leżącego po środku wyspy, do wschodniego jéj brzegu. W oznaczonym dniu wszystkie oddziały ruszyły ku południowi i wschodowi, zakreślając wielkie półkole. Celem owego ruchu jednoczasowego było spędzanie wszystkich krajowców na mały półwysep Tasmana, przylegający do południowo-wschodniego wybrzeża wyspy. Oddziały stanęły na półwyspie. Lecz krajowców na nim nie znaleziono. Nie dowodziło to, że w południowo-wschodniéj części wyspy, w promieniu Hobart-Town, już byli wyplenieni. Owszem, tajemniczy szelest po lasach, utkwiona sagaja w ciele niejednego z uczestników obławy, zresztą świeżo opuszczone ogniska o ich istnieniu i bliskości nieraz świadczyli. Udawało się im tylko pomyślnie przemykać pomiędzy oddziałami w północnym kierunku. Równocześnie bowiem napady na kolonistów w północnéj części wyspy stały się częstsze, co być mogło tylko skutkiem wzmocnienia się tam żywiołu nieprzyjaznego. Niejedni z członków wyprawy powróciwszy do siebie zastali zgliszcza tylko domu i trupy swoich.

Wielka ta obława kosztowała rząd 70,000 funtów. — Trofeami jéj były: pojmany żywcem z zaskoczonéj przedniéj straży jednéj gromady dorosły tasmańczyk i dwa trupy poległych, oraz dziecię, widocznie w popłochu ucieczki zostawione.

Rok 1830 zamyka okres drugi czarnéj wojny.

(*d. c. n.*) *Ign. Radliński.*





O KRYTYCE LITERACKIÉJ W NIEMCZECH.

I.

Krytyka z katedry. Krytyka książkowa.

Krytyka literacka pełniła oddawna pomocniczą rolę w rozwoju cywilizacyjnym: objaśniała, oddzielała ziarno plenne od pustego, a miała przytém stały probierz, od starożytnych pożyczony, miała ideał, do którego stosowała płody ludzkiego umysłu, oznaczając w ten sposób ich wartość wedle wypróbowanego już miernika. Nie było krytyków z zawodu: trudnili się nią poeci i rozmaici uczeni, artyści i mężowie stanu. Było to skromne, bezpretensyonalne zajęcie. Jedni, wzruszeni jakimś utworem sztuki, spisywali zgoła subjektywnie własne wrażenia; inni—doświadczeni i uczeńsi, mierzyli produkcye talentu ludzkiego podług szablonu, jaki się w ciągu wieków wytworzył i starali się czynić to obiektywnie, co się właśnie nazywało krytyką naukową. Dopiero w bieżącém stuleciu stan rzeczy przybrał inną postać, a mianowicie najpierw we Francyi. „Krytyka—mówi Emil de Montégut—jest dziesiątą Muzą. Z nią był Goethe potajemnym ślubem związany. Cóż jest podstawą literatury niemieckiéj, jeśli nie krytyka? Czémże są spółcześni poeci angielscy? Ruchliwi krytycy. Czém szlachetny Leopardi? Krytykiem—pełnym zapału."

Przez romantyków wzniesiona do godności najmłodszego geniusza ludzkości, zmężniała i urosła ona pod opieką realistów. To, co przeczuwał Gautier lub Montégut, to urzeczywistnił niebawem Sainte-Beuve, Taine, Brandes i Hillebrand.

Chodziło o to, aby krytykę wyzwolić z niewoli okoliczności, których była służebnicą, aby ją następnie ustrzedz od indywidualnych sympatyi i antypatyi, a zarazem uchronić od wady—jednego

wspólnego miernika sądu krytycznego. Uwolniona od powyższych niedostatków—stałaby się umiejętnością niezależną. Sainte-Beuve wypełnił połowę reformy przez to, iż w swych niezmiernie licznych artykułach (liczba ich dosięga 800) nie traktował dzieł luźnie, jeno wiązał je z rozwojem umysłowym ludzi, dawał krytyce podkład psychologiczny i historyczny.

Hipolit Taine usunął subiektywizm, rozszerzył zakres psychologicznéj analizy, nadał jéj w krytyce może nawet za obszerną rolę, ale téż utwierdził słupy, na których się wznosi budowa krytyki nowożytnéj. Metoda jego da się ująć najzwięźléj w trzy postulata. Jeżeli się krytycznie ocenia działalność jakiego autora, trzeba mieć odpowiedź na następne pytania:

a) gdzie się urodził, jacy byli jego rodzice i przodkowie? jakie są wrodzone idee danéj rasy?

b) w jakich stosunkach się wychował? jakie stanowisko zajmomował w społeczeństwie? jakim ulegał wpływom? w jaki sposób odczuwał ducha czasu?

c) Jakie były znamiona i tendencye czasu i jak się takowe manifestowały?

Program to zatém nader obszerny: wyklucza on subiektywizm, zaprowadza ścisłą kontrolę między objawami życia jednostki a społeczeństwa, w którém jednostka działa, zmusza do konsekwentnego sprawdzania i tłómaczenia wszelkich zmian w umysłowym rozwoju jednostki przez zmiany w organizmie społecznym i odwrotnie; a daléj—co ważne—całkowicie usuwa stały szablon, a podnosi znaczenie indywidualizmu. Przykład okaże doniosłość téj reformy. Wenecyanin Prococurante, oceniając Raj Utracony Miltona, nie może dlań znaleść dość słów potępienia i nagany—a mówi w imieniu wszystkich Włochów. Nazywa Miltona barbarzyńcem, wiersze jego szorstkiemi i twardemi, widzi w nim naśladowcę Greków, który piękne dzieło stworzenia przekształca w karykaturę (1). Jest to oczywiście pogląd zupełnie subiektywny, oparty na wrażeniu. Addison bierze za miernik reguły Arystotelesa i konstatuje, że Milton jest doskonały—*sans tache et sans reproche*. „Raj utracony nazywa się poematem—boskim—i to wystarcza. Posiada wszystkie piękności najwznioślejszéj poezyi, a jeżeli ma jakie plamki, to nie potrzeba zapominać, że słońce ma je również."

---

(1) Namiętny Włoch staje się w końcu swéj subiektywnéj krytyce wysoce niesprawiedliwym. „Le mariage du Péché et de la Mort et les couleuvres, dont le Péché accouche, font vomir tout homme, qui a le goût un peu délicat—et sa longue description d'un hôpital n'est bonne que pour un fossoyer. Ce poême obscur, bizarre et dégoûtant fut méprisé à sa naissance.

Macaulay w edymburskiéj Review poświęca również artykuł poematowi Miltona. Szuka on odpowiedzi na pytanie: jakie Milton czyni na mnie wrażenie? Bogactwo obrazów, dykcya, wytworna miara wiersza zachwycają go. Rozentuzyazmowany woła, że poemat jest wyższym, niż wszystko, co poeci późniéj napisali. To krytyka dawna. Nową metodą posługiwali się dwaj krytycy: Taine i Edm. Scherer. Obaj dochodzą do jednakich wniosków. Pierwszy postępuje wedle zwykłego swego programu. Analiza epoki i psychologiczna analiza poety nasuwają krytykowi zdanie, że twórczość poetycka Miltona jest przeważnie rozumową. Geniusz w całéj pełni okazuje się tylko w opisach przyrody Raju Utraconego. Natomiast osoby: Bóg i pierwsza para ludzi są to zwykłe ówczesne angielskie typy. U Shakespeare'a przeważa fantazya, u Miltona rozum. Poemat jest wzniosły, ale nie doskonały. Krytyk wyjaśnia ówczesne prądy socyalne: pokrewieństwo przekonań szatana z republikańskiemi. Cała ta krytyka daje wymienionemu poematowi nowe oświetlenie..

Edmund Scherer w swych studyach o spółczesnéj literaturze (Paryż 1882 t. VI) idzie w ślady metody Taine'a; najpierw kreśli tło czasu, na którém rozwija zasoby talentu Miltona, zaznacza wpływy poprzedzające powstanie poematu, rozbiera na podstawie pism poety rozwój jego umysłowy,—ale—zauważyć trzeba—obraz wypada dość blady a cała krytyczna budowa wygląda tak, jakby się składala z luźnych odłamów, nie spojonych wewnętrznie. Wynik zresztą jest surowszy, niż u Taine'a? Scherer widzi w Raju Utraconym mieszaninę i płód renesansu, starożytności i purytanizmu. Nieśmiertelność poematu polega na piękności epizodów.

W ten sposób jednostronnym ocenom przeciwstawiła nowa krytyka wyczerpujące i umotywowane sądy. H. Taine walczył w obronie swego systemu szeregiem cennych studyów, bądź charakteryzujących indywidua i dzieła, bądź téż zbiorową literacką i cywilizacyjną pracę społeczeństw. Zola wyrządza mu krzywdę, nazywając go bibliotecznym mólem lub genialnym kompilatorem, który wyszedłszy z biblioteki na ulicę, nie widzi nic, nawet dorożek przed sobą (1). Doskonałe opisy podróży do Pireneów i Anglii udowadniają, że Taine posiada bystry dar spostrzegawczy. Metodę jego krytyczną przyswoił i przeniósł na grunt germański Duńczyk Jerzy Brandes. Przyjął on w zasadzie i szczegółach system Taine'a, ale rozszerzył takowy. Należy uważać literaturę pewnego społeczeństwa jakby jednę gałęź wielkiego drzewa; ażeby poznać genezę i wartość owocu, potrzeba badać nie tylko stadyum rozwoju téj gałęzi, ale także

---

(1) Documents littéraires, Paris 1881, artykuł La critique contemporaine str. 339.

i innych, bo owoc jest produktem zbiorowym soków całego drzewa. Każda literatura pozostaje w ciągłym związku i pod nieustannym wpływem innych literatur. Brandes, opatrzony wielkim zasobem erudycyi i ogromnym talentem kombinacyjnym, zrealizował ideę powyższą w dziele „Główne prądy literatury XIX wieku,“ i oznaczył na długie lata badaniom krytycznym zdrowy kierunek.

Krytyka naukowa w takiém pojęciu staje się rzeczywiście umiejętnością nowożytną i jeżeli wogóle godziwą byłoby rzeczą układać z szeregu umiejętności hierarchią ważniejszych i mniéj ważnych, to krytyka wcale nie na mocy swego znaczenia zajęłaby miejsce „najmłodszego“ geniusza.

Oprócz licznych sił pomocniczych, które nowa krytyka liteacka wcieliła w swój zakres, oprócz psychologii i fizyologii, historyi i nauk społecznych, dąży ona pod względem formy do artystycznéj doskonałości. Prace krytyczne Taine'a, Brandesa lub Hillebranda, pomimo całéj swéj naukowéj ścisłości, okazują w obrazowaniu i kompozycyi takie bogactwo fantazyi i wytworność języka, że śmiało je można uważać za dzieła talentów poetyckich. Nie jest to paradoks i nie ubliża bynajmniéj naukowéj wartości. Fantazya poetów κατ' ἐξοχὴν czerpie kształty z rzeczywistego życia, a siła jéj i doskonałość nie zależy wcale od absolutnego zmyślenia. Zola powiedział prawdę, że „rzeczywistość bywa bogatszą od zmyślenia i często daje nam takie kombinacye efektów, że przewyższa najśmielsze oczekiwania. Twórcza siła wyobraźni nie przyozdabia rzeczywistości, ale łączy w całość rysy, które nam życie podaje oddzielnie i ułamkowo.“ Jeżeli zatém mówię: Brandes jest krytykiem-poetą, to bynajmniéj nie osłabiam naukowéj wartości jego badań.

Krytyka jest „najmłodszym“ geniuszem ludzkości—z wieku. Rozwija się ten geniusz i wzrasta potężnie, nie zadowala się bierną rolą interpretacyi, lecz częstokroć staje się w pochodzie nowożytnych społeczeństw—inicyatywą. Obala on i niszczy zmurszałe dawne bogi. Krytyka wykazała ułomność romantyzmu—na całéj przestrzeni Europy, krytyka zabiła niemiecką metafizykę, ona dopomogła francuskiéj literaturze do zachowania dawnéj przewagi, zachwianéj przez romantyzm, ona duńskiéj produkcyi wyjednała prawo europejskiego obywatelstwa. Wszędzie, gdziekolwiek ją szanują i cenią, świadczy niezliczone dobrodziejstwa. Ale nie potrzeba zapominać, że nowożytna krytyka jest z natury swéj kosmpolityczną.

Wszelkie narodowe sympatye i antypatye usuwają się, wszelkie namiętności polityczne, nienawiści rasowe niszczą obiektywność i niweczą naukową podstawę. Które społeczeństwo nie zdoła wznieść się do wysokości spokojnego poglądu na postępy innych społe-

czeństw, w tém—krytyka naukowa znajduje się w stadyum osłabienia. Występują objawy chorobliwe: bezwzględne uwielbienie własnych produkcyi, a ślepe potępianie obcych; rozbicie na tysiąc klik i stronnictw; obawa wobec wpływów zagranicy, cechująca bezsilność; pedantyzm naukowy, a w rezultacie zastój na polu działalności artystycznéj i literackiéj.

Taki smutny obraz przedstawiają pod tym względem dzisiejsze Niemcy. Dwaj wybitnym talentem obdarzeni krytycy—Hermann Hettner i Karol Hillebrand pomarli. Pierwszy za życia nie doznawał u społeczeństwa takiego uznania, na jakie zasłużył (1); drugi, znakomity znawca literatury europejskiéj i celujący pisarz, nie wywierał odpowiedniego wpływu w Niemczech, bo wielką część życia spędził zagranicą i rozkruszył pracę swą na artykuły. Być może, że świeżo ukończone zbiorowe wydanie dzieł pozostawi trwalsze ślady, niż krytyczna jego czynność za życia (2).

W spółczesnéj krytyce naukowo literackiéj Niemiec rozróżnić trzeba dwa niezawisłe od siebie kierunki: krytykę z katedry i książkową. Dwoistość taka jest objawem specyalnie niemieckim. W żadném społeczeństwie europejskiém nie odgrywa w systemie wychowania narodowego tak ważnéj roli uniwersytet, jak w Niemczech. Młodzież, nie umiejąca jeszcze samodzielnie oddzielać ziarna od plewy, chwyta w dobréj wierze i przyswaja z wiarą *in verba magistri* podawany jéj pokarm. Profesorowie zaś poprzestają na wykładzie ustnym, nie publikując takowego. Wykład ten posiada liczne zalety; jednakże ujemną jego stroną w danym razie jest to, że przekonania wypowiedziane gorącém słowem wsiąkają w młode umysły i tworzą zastępy uczniów profesorskich w najściślejszém pojęciu tego słowa. A profesorowie literatury na niemieckich uniwersytetach, przewodniczący seminaryom, są to ludzie wyrośli w uwielbieniu chwały narodowéj, bezpośredni epigonowie jeśli nie Goethego lub Schillera, to braci Schleglów, Tiecka, Hölderlina i całéj plejady romantyków,—ludzie starzy, głoszący z rękami wzniesionemi do góry klątwę nowym prądom, których wyrozumiéć nie mogą i nie chcą.

Tak jest we Wiedniu, Lipsku, Monachium, tak w Zurychu, Bazylei—i innych ogniskach życia uniwersyteckiego. Edward Hartmann w artykule o studyum filozofii (3) wyraża się z gorzkim sar-

---

(1) W świeżo wydanéj korespondencyi Arnolda Ruge'go znaleść można wyrazy lekceważenia i niechęci uczonych niemieckich ku Hettnerowi.

(2) Dzieła Hillebranda wydane p. t. „Zeiten, Völker u. Menschen. Berlin tomów 6. W skład wydania nie wchodzą prace pisane po francusku i angielsku.

(3) Moderne Probleme. Leipzig 1886. Das Philosophie-studium.

kazmem o filozofach z katedry. „Nie są oni zdolni—powiada—nie tylko do samodzielnéj budowy, ale nie wzrośli do pośredniczenia między filozofią a młodzieżą. Męczą się dawnemi systemami. Wyjątków trzeba ze świecą szukać. Najradykalniejszym środkiem reformy byłoby spensyonować profesorów filozofii, a przedmiot ten wykreślić z rzędu wykładów.“

Prawie toż samo możnaby powiedziéć o krytyce literackiéj profesorów uniwersyteckich w Niemczech. Pomimo tego, że potrzeba traktowania literatury porównawczo dość głęboko się już w Niemczech przyjęła, profesorowie ograniczają się przeważnie na interpretacyi najświetniejszéj epoki literatury niemieckiéj—epoki klasycznéj. I nie można tego nazwać krytyką. Skoro profesor niemiecki ma mówić o Goethe'm lub Schillerze, pełen uwielbienia—zakrywa oczy na usterki, i splata bukiet, uwity wedle metody ś. p. spekulatywnych estetyków niemieckich, bukiet, złożony z najpiękniejszych kwiatków niemieckiéj wymowy i poezyi. Dla trwalszego efektu rzuca się naturalnie, porównawcze pociski na nędzne i ułomne utwory spółczesne zagranicą, zaprawia się wykład sarkastycznym dowcipem, który wywołuje salwę tłumionego dyskretnie śmiechu,—i obie strony zadowolone z odegranéj komedyi.

Sala uniwersytecka jest w Niemczech świątynią; katedra—kazalnicą, z któréj się głosi chwałę półbogów niemieckich. Któryż profesor literatury ośmieli się z katedry wypowiedziéć jaki ujemny sąd o niezrównanych wieszczach niemieckich? Wywołałoby to tysiące protestów, grożących ukamienowaniem.

W 1882 roku berliński profesor Du Bois-Reymond ośmielił się w rektorskiéj swéj mowie p. t. „Goethe und kein Ende“ wskazać psychologiczną wadliwość Fausta i przecenianie zasług, oddanych przez poetę naukom przyrodniczym. Co do Fausta—mniema Du Bois-Reymond—fałszywém jest, że Faust odbiera sobie życie dla tego, że zdobywa przekonanie, iż „ignorabimus“; wykazuje daléj niekonsekwencye i sprzeczności między przekonaniami Fausta a jego czynami, naśladownictwo Hamleta (1), nazywa wreszcie Fausta „der Hexenglaube in höherer Sphäre.“ Co do nauk przyrodniczych udowadnia, że Goethe nie rozumiał Newtona, z ubolewaniem przypomina, że optykę Jounga i Fresnela nazywał ironicznie „Katzenpastete,“ stwierdza następnie, iż pojęcie mechanicznéj przyczynowości było dla Goethego kompletną tajemnicą—a naukę o „barwach“ mieni

(1) w Fauście: „Zu diesen Schritt sich heiter zu entschliessen
Und wär'es mit Gefahr ins Nichts dahin zu fliessen,“
a Hamletowskie: „To sleep, perchance to dream...“

„todtgeborene Spielerei eines autodidaktischen Dilettanten“. Metamorfozę roślin odkrył przed nim Caspar Frd. Wolff; teoryą stosu pacierzowego Oken itd.

Wprawdzie już przed Reymondem osłabili znaczenie Goethego w naukach przyrodniczych Helmholtz i Brücke; ale uczyniono to okolicznościowo, i pomimo tego u ogółu Goethe uchodził za genialnego przyrodnika. Wszakże taki uczony jak Haeckel mieści go w równym rzędzie z Lamarckiem i Darwinem (1). Można sobie tedy wyobrazić, jaki popłoch sprawił sąd powyższy. „Mowa o Goethem—pisze Du Bois-Reymond (2) wywołała w prasie przeciwko mnie prawdziwą burzę.“ „Osobliwie parę stronnic dotyczących Fausta zrodziło powódź artykułów, pełnych oburzenia, pogardy i sarkazmu. Nie mogło być inaczéj. Istnieje w Niemczech szeroko rozgałęziona gmina, która wychowała się i urosła w bałwochwalczém ubóstwieniu wielkiego poety i uważa za profanacyą wszystko, co nie tchnie bezwarunkową pochwałą.“ „Wydaje się jéj to zuchwałym występkiem, jeśli kto się ośmieli podpatrzéć, czy też bożek ich nie spoczywa na glinianych nogach“ (3).

Jeszcze parę rysów do uzupełnienia poglądu na krytykę z katedry. Najpierw—literatury narodów słowiańskich—jakby nie istniały. Stosunek, w jakim pozostaje znajomość cywilizacyi niemieckiéj u Słowian do znajomości słowiańskiéj cywilizacyi u Niemców jest anormalny i rażący. Jeśli profesor niemiecki, wykładający europejską literaturę porównawczo, raczy okolicznościowo nadmienić słówko i o literaturze np. polskiéj, to w dziewięciu razach na dziesięć bywa to—absurdum. Wszakże pomimo tego, że Mickiewicz mieszkał ćwierć wieku zagranicą, że dzieła jego przekładano wielekroć na obce języki, że niemiecki—posiada po niemiecku pisane zarysy polskiéj literatury, nie wahał się sławny i znakomity profesor Maurycy Carriere twierdzić w r. 1883, że Pan Tadeusz jest naśladowaniem byronowskiego Don-Juana i że Mickiewicz w poemacie swym opisuje miłosne awantury na Litwie.

Ale i téj podobne wzmianki zdarzają się nie często. Wogóle powiedziéć można, że w krytyce z katedry literatury słowiańskie pomijają się zupełném milczeniem.

---

(1) W pracy „Die Naturanschauung von Darwin, Goethe und Lamarck. Deutsche Rundschau T. XXXIII str. 69.

(2) Reden v..... 1-e Folge. Litteratur, Philosophie, Zeitgeschichte. Leipzig 1886 str. 418 i d.

(3) Pojawiły się całe książki skierowane przeciw téj mowie. Np. Kalischer: Goethe als Naturforscher und Herr Du Bois-Reymond als sein Kritiker. Eine Antikritik. Berlin 1883. Albo: Alfred Berger: Goethe's Faust und die Grenzen des Naturerkennens wider Goethe und Kein Ende v. E. d. B—R. Wien 1883.

Zresztą—taki sam los spotyka najnowszą produkcyą wogóle: krytyka z katedry po za okres romantyczny niemiecki nie lubi przekraczać.

Dalszym ciekawym rysem krytyki z katedry jest kult Szekspira. Szczęśliwy! On jeden ze wszystkich mocarzy słowa przedarł grubą powłokę szowinizmu. Proszę przeglądnąć programy uniwersyteckich wykładów: niemal w każdym uniwersytecie co roku znajdują się prelekcye o Szekspirze. Dla niego mają profesorowie tyleż pietyzmu, co dla własnych mistrzów, tyleż, co dla Goethego, z którym się go zwykle we wstępie i epilogu wykładów porównywa. Romantycy kult ten rozpoczęli. Spekulacya filozoficzna nic w nim nie nadwerężyła. Hegel naznacza Szekspirowi najwyższe miejsce w dziejach poezyi.

Późniéj Gervinus w ogromném czterotomowém dziele napisał apoteozę angielskiego poety. Czyni go największym z moralistów, najwymowniejszym obrońcą wyroków opatrzności, doskonałym kierownikiem ludzkości na drodze cnoty! Dopiero atoli od r. 1866 poczęły się gruntowne badania na tle epoki. Zainaugurował je Gustaw Rümelin, a typowo niemieckim rysem jego dzieła jest to, że przeprowadza paralelę między Szekspirem a Goethe'm i rzecz naturalna—ostatniemu przyznając wyższość.

Jednym z najlepszych znawców i tłómaczy Szekspira jest obecnie monachijski profesor Michał Bernays, inteligentny wydawca przekładów Tiecka i Schlegla. Interesującą jest różnica w metodzie, jakiéj docent ten używa przy omawianiu dzieł klasycznéj poezyi niemieckiéj a Szekspira. Tam—pełen świętego zapału, wielbi podniesionym głosem piękności i deklamuje całe stronnice z pamięci; tu zaś umiejętnie i spokojnie rozważa genezę utworów, bada wpływ ich na następne wieki w Anglii i po za nią, z ołówkiem w ręku najstaranniéj notuje i wyjaśnia najpiękniejsze ustępy, a nie przebacza wadom.

Dość jednak o krytykach z katedry: nie znaczyliby oni wiele w zakresie ogólnéj krytyki literackiéj, gdyby z ziarna przez nich rzuconego nie wyrastał tłum krytyków książkowych.

W prasie polskiéj spotkać można utarty dość frazes, że Niemcy wznieśli poetom swoim piękne pomniki z dzieł krytycznych, że wyszukali i zebrali najdrobniejsze szczegóły, dotyczące życia poetów.

Zdawałoby się zatém, iż praca krytyczna ukończona, a skoro napisano tysiące i dziesiątki tysięcy dzieł i rozpraw krytycznych o literaturze niemieckiéj, oświetlono i najgruntowniéj oceniono już wszystko.

Tak nie jest. Krytyka książkowa w Niemczech była i jest dotychczas filologiczną. Wzorów dostarczała jéj starożytność, a mianowicie szkoła gramatyków aleksandryjskich: Zenodot, Arystofanes, Arystarch. „Oni rozumieli krytykę—mówi jeden z profesorów niemieckich (1)—zupełnie tak, jak my ją dziś pojmujemy. Mieli niższą i wyższą krytykę: koniekturalną i historyczno-estetyczną.“ Taką też jest i dzisiejsza krytyka niemiecka. O Goethe'm zgromadzono stosy książek; sam brałem udział w prywatném seminaryum profesora niemieckiego, na którém przez trzydzieści godzin, rozłożonych na miesiące zdołano zaledwie objaśnić dwa niewielkie okolicznościowe poemaciki Goethego: „Zueignung“ i „Ilmenau“. Każdy wiersz, bez przesady powiem—co trzeci wyraz ulegał uwagom i zastanowieniom. Pedanterya pod tym względem nie ma granic. A pomimo tego—mowa Du Bois-Reymonda i skutki jéj świadczą, jak niewyrobionym i ułomnym jest dotychczas ogólny sąd o Goethem. Tak samo rzecz ma się z Schillerem. Dość powiedziéć, że istnieje cały szereg rozpraw o kościach Schillera. Nie każdemu może u nas wiadomo, że Schillera po śmierci wynieśli na swych barkach przyjaciele o pierwszéj po północy z 10-go na 11-y maja 1805 r. i złożyli w kaplicy, do któréj od czasu do czasu rzucano inne zwłoki. W 1826 roku, a więc we 20 lat potém, gdy chodziło o usunięcie kości z kaplicy i oczyszczenie jéj, postanowił burmistrz wejmarski Schwabe odszukać szczątki Schillera. Okazało się atoli, że kości dwudziestu trzech osób złożonych tamże są pomieszane. Pomimo trudności Schwabe wynalazł najpierw czaszkę, która imponowała wielkością i posiadała wszystkie zęby, jak u Schillera, a następnie z pomocą Goethego i trzech rzeczoznawców odszukano za pośrednictwem pomiarów anatomicznych cały kościotrup. Sprawa—zdawałoby się—załatwiona, zwłaszcza, że ściśle porównywano pośmiertną maskę poety z czaszką. Tymczasem w roku 1883 profesor anatomii w uniwersytecie w Halli, Hermann Welcker powtórzył porównanie maski pośmiertnéj z czaszką i wydobył odmienne wnioski.

Na masce prawe ucho leży wyżéj, niż lewe, na czaszce odwrotnie; nos i otwory oczu odmienne, stosunek linii profilu u obu różny; cały rzekomo szyllerowski szkielet musiał należeć do człowieka o 20 lat młodszego. Można sobie wyobrazić, jaką wrzawę wywołały rezultaty nader sumiennych, miesiące trwających badań Welckera, ogłoszone w książce „Schillers Schädel und Todtenmaske nebst Mittheilungen über Schädel und Todtenmaske Kants. Braun-

---

(1) Znany filolog Jakób Mähly w wykładzie „O krytyce literackiéj,“ mianym w uniwersytecie bazylejskim w zimowém półroczu 1885/6 r.

schweig 1883." Podniosły się liczne protesty i dowodzenia (1). Polemika ta okazuje dostatecznie kierunek i sposób badania krytycznego. Każda część ciała, każda kość Schillera uwzględniona, wszystkie szczegóły życia dotknięte i znane, korespondencya zebrana, ale sąd ogólny Niemców o twórczości tego poety nie zadawala trzeźwego krytyka. Namiętne obniżenie wartości poematów Schillera przez romantyków przeszło bez wpływu: kult—trochę ślepy—nic na tém nie stracił. A kiedy w 1883 r. Scherer w swéj historyi literatury poważył się zakwestyonować artystyczną wartość takich utworów jak Fiesco lub Intryga i miłość, ściągnął na siebie liczne gromy prawowiernych czcicieli. Więc nie pomogły owe setki i tysiące broszur, dzieł i rozpraw, skoro sąd w społeczeństwie niewyrobiony; więc krytyka literacka nie spełniła swego zadania. Podczas gdy zbieranie szczegółów biograficznych, pracę koniekturalną, ocenę materyału uważa się za wstępne badania, krytycy niemieccy, wyjątki można na palcach zliczyć—upatrują w tém cel.Stąd wytworzyła się formalistyka bezpłodna, zapanował szablon krytyczny, obejmujący nawet styl. Typowym przedstawicielem tego rodzaju krytyków jest Rudolf Gottschall, redaktor lipskiego miesięcznika „Unsere Zeit," autor wielu dzieł krytycznych, a zarazem romantyczny poeta i powieściopisarz (2). Ma on dla wszystkich autorów, których ocenia, jednę miarę, rozprasza się na mnóstwo szczegółów, pokrywa niedostatek ogólnego poglądu zgrabnym frazesem, a oprócz tego przystępuje do krytycznéj pracy w rękawiczkach, nie szczędzi pochwał i wyznawca zasady „de mortuis aut nihil aut bene" umie zachować, gdzie potrzeba, ugrzecznioną dyskrecyą. Jest on idealistą. Nie potrafi ocenić twórczości psychologicznie. Lubi się bawić w ładne słówka: podrzuca je i pieści się niemi jak małe dziecię z piłką.

Jakie prądy oddziaływały na zmianę dążeń i wyobrażeń pisarza, jak się kształtował jego rozwój, i wogóle dążenie do łączenia umysłowego rozwoju człowieka z jego produkcyą—wszystko to nie

---

(1) Wymieniam:

a) Karol Schwabe w Gartenlaube 1883 nra 46 i 47.

b) Jan Schütze—Pamiętniki.

c) Karol Siegen: Das Schicksal von Schillers Gebeinen (Gegenwart 1883 w 30 i 31).

d) Welcker: Zur Methode der wissenschaftlichen Beweisführung. Aus Anlass der Frage nach den Schillergebeinen (tamże nra 46 i 47).

e) Weimarische Ztg. 1883 nra 142 i 143.

f) Nationalztg. berlińska Nr. 293 r. 1883.

(2) Najnowsza książka jego krytyczna jest: Litterarische Todtenklänge und Lebensfragen. Berlin 1885. Ocenia tu działalność Gutzkowa, Laube'go, Freiligratha, Geibla, Dingelstedta, a oraz zajmuje się romansem francuskim, dramatyczną poezyą Francyi, Niemiec, jako też niemiecką komedyą.

istnieje. Gottschall uważa człowieka, jako świat sam w sobie, odrębnie od wpływów otoczenia. Jeżeli pisarz ma zaszczyt być Niemcem, doznaje łaskawych względów. Błędy się zakryją, zasłonią. Rys ten w krytyce niemieckiéj powtarza się tak często, że pozwolę sobie przytoczyć parę przykładów. Gottschall wydał monografią o Gutzkowie. Poeta ów — autor „Uriela Akosty“ — napisał był utwór sceniczny p. t. „Urbild des Tartuffe.“ Za treść posłużyły mu dzieje zakazu cenzury co do Molierowskiego Tartuffe'a w roku 1667; jest-to więc utwór historyczny. Gutzkow atoli popełnia bardzo wiele historycznych i niehistorycznych błędów. Nie znał on Tartuffe'a, nie znał dzieł Moliera, najzabawniéj pomięszał jego komedye powstałe przed rokiem 1667 z późniejszemi, nie umiał nawet języka francuskiego. Radcę parlamentu Lefevre'a tytułuje „huissier“, nazwisko Fleurant'a, aptekarza w „Malade imaginaire“ wywodzi od słowa „fleurir“, podczas gdy imiesłów tego czasownika byłby „fleurissant.“ A daléj — zupełnie fałszywie formułuje zarzuty, czynione od czterech obrażonych przez Moliera stanów, t. j. lekarza, prawnika, członka akademii i urzędnika policyjnego; obrzuca błotem pamięć ówczesnego prezydenta parlamentu Lamoignon'a, czyniąc go Tartuffem, gdy tymczasem Molier miał na myśli inny model, mianowicie abbé Roquette; niemiecki poeta, złudzony podobieństwem nazwisk Chapelle i Chapelain bierze pierwszego za drugiego i najfałszywiéj go charakteryzuje: jedném słowem utwór jest obrazem smutnéj ignorancyi i nagannego lekceważenia. Długi regestr tych i innych błędów spisał Paweł Lindau w starannéj i obszernéj krytyce (1). Gottschall zajmując się dziełami i życiem Gutzkowa, znał oczywiście recenzyą swego przyjaciela, bo na inném miejscu cytuje jego książkę. Pomimo to, mówiąc o sztuce powyższéj, ani jedném słówkiem nie dotyka wad jéj i ma dla niéj tylko wyrazy uznania. Nie przeszkadza mu to wcale do porównywania Gutzkowa z Bulwerem, Goethem, Schillerem, nawet Szekspirem.

Inny przykład tendencyjnego przemilczenia faktów, a zarazem wpływu odmiennych przekonań na ton krytyki, dotyczy poety Henryka Laubego. Był on realistą — należał zatém do przeciwnego obozu.

Laube kierował teatrem lipskim właśnie w czasie, kiedy Gottschall był wpływowym sprawozdawcą teatralnym dziennika „Leipziger Tageblatt.“ Laube rządził sceną lipską wybornie: pracował bez znużenia, spędzał na scenie dni całe, wybierał sztuki starannie. Mimo to nie uniknął kolizyi z krytykiem dziennika lipskiego. Po-

(1) Litterarische Rücksichtslosigkeiten. Leipzig 1871, str. 179—236.

częły się gorszące sceny: zarzucano sobie wzajemnie lekkomyślność, stronniczość, głupotę. Doszło nawet do burd w foyer teatru.

Po śmierci Laubego Gottschall napisał o życiu jego i pracach monografią. O całém powyższém stadyum w życiu poety przemilcza; ale nie zaniedbuje ostrem żądłem niechęci kłóć pamięć zmarłego, ilekroć przy ocenie dzieł lub życia znajdzie ku temu sposobność. Nic dziwnego zatém, że krytyka naukowa — czy to z katedry czy książkowa — nie wywiera w Niemczech wpływu dodatniego. Gubi się ona w scholastycznym formalizmie, staje się częstokroć służką namiętności i uprzedzeń, a przedewszystkiém grzeszy jednostronnością. Złe skutki ciężą tak na produkcyi literackiéj, jakotéż na handlu książkowym.

Spółcześni niemieccy autorowie obracają się w szczupłém kółku, po za które im trudno przekroczyć. Szablon panuje szeroko i wszechwładnie. Liryk Geibel przed kilkudziesięciu laty wykształcił formę swéj pieśni i przez długie życie nic innego prócz pieśni nie śpiewał; forma noweli przyrosła do Heysego. Niemiec przywykł do myśli, że mu Heyse poda co roku, jako dar noworoczny, nowy tom noweli, że otrzyma od Ebersa lub Feliksa Dahna świeżą powieść historyczną, od Rosegger'a lub Anzengrubera jeszcze jeden romans ludowy. Rzecz naturalna—wszystko to muszą być arcydzieła—bezwarunkowo. Kiedy przed rokiem pomarli Geibel i Auerbach — sypnęło się mnóstwo nekrologów i nie było człowieka, coby nie uległ ślepemu entuzyazmowi i nie złożył dłoni do bezmyślnych oklasków. Wśród niezliczonych krytyk twórczości Heysego nie znam żadnéj, którąby się ośmieliła pominąć tytuł „mistrza." Porównania odgrywają w takich krytykach bardzo ważną rolę. Geibel mierzy się z Berangerem i Wiktorem Hugo, głowa Heysego jak dwie krople wody podobna do głowy Goethego, ale także i Rafaela i t. d.

Krytyka naukowa nie posiada też w Niemczech żadnéj powagi. W Anglii rozstrzyga ona los dzieła, w Niemczech również, jeno w odwrotnym sensie: pochwały krytyki budzą powątpiewanie o wartości dzieła i zmniejszają jego rozpowszechnienie, a ostre napaści i polemika wywołuje zaufanie i zbliża publiczność do autora (1).

I

Krytyka okolicznościowa.

„En ce moment, nous n'avons pas de critique en France" — pisał Zola w 1881. „Czy mamy jeszcze krytykę literacką?" — woła

---

(1) Por. *a*) Hartmann: Moderne Probleme Der Bücher Noth.— *b*) Wolfg. Kirchbach: Ein Lebensbuch. München 1886. Artykuł „Die deutsche Kritik."

Kirchbach w 1886. Jeżeli zdanie Zoli, zastosowane do Francyi, nie jest tak stanowczo pewném, jak mu się zdaje, to przecząca odpowiedź literata niemieckiego wydaje mi się słuszną w zastosowaniu do krytyki okolicznościowéj. Paradoksalnie brzmi sąd: „niemasz krytyki w Niemczech“ dla tego, kto wié, że przecież istnieją tygodniki, wyłącznie krytyce poświęcone, że każdy miesięcznik, każdy literacki tygodnik, każdy z licznych dzienników pielęgnuje i strzeże powinności krytycznych. A jednak zdanie to prawdziwe, o ile się ma na myśli krytykę okolicznościową. Posiada ona dziś wielkie znaczenie. Dzieła naukowe coraz mniéj się rozpowszechniają i mniéj mają nabywców: skargi w tym względzie znaleść można w całéj Europie. Natomiast czasopisma zaspakajają potrzeby nawet inteligentnéj klasy, która się zadawala temi okruchami wiedzy, jakie znajduje w miesięcznikach, tygodnikach i dziennikach. To staje się powodem, że okolicznościowa krytyka literacka nabiera wagi i znaczenia. Od jéj wpływu i wartości zależy — rzecby można — powierzchnia przeciętnéj inteligencyi społecznéj. Zrozumieli to, jak nie można lepiéj— francuscy krytycy literaccy. Dość przeglądnąć roczniki paryskiéj „Revue critique d'histoire et de littérature“ aby się przekonać, że pismo to posiada jasną świadomość swego zadania i wzorowo je wypełnia. Krytyka okolicznościowa nie ma wcale specyalnego celu wskazywania usterek dzieł lub gruntownéj analizy twórczości: wykonywa ona raczej funkcye bióra informacyjnego. Pośredniczy pomiędzy czytelnikiem a autorem, objaśnia, oświetla główne punkta dzieła, a wreszcie w sposób, o ile można, przystępny i popularny podaje rdzeń jego dla tych, którzy nie mają sposobności czytać obszerniejszych książek. Oczywiście, jeśli ma nastąpić porozumienie— ton musi być spokojny, nienamiętny.

Kiedy np. sprawozdawca powyższego tygodnika A. Chuquet pisze o publikacyach niemieckich, nie wdaje się w wyszukiwanie błędów, jeno treściwie i umiejętnie usiłuje czytelnikowi przedstawić jasny obraz książek (1). Napróżno szukałbyś tu jakiejś szykany, sarkazmu. Inna jest metoda krytyki okolicznościowéj w pismach niemieckich. Sławne niemieckie „das Grübeln“ wsiąka i tu z całą siłą. Recenzentowi nie idzie o to, aby dać treściwy wyciąg z dzieła—gdzie tam. Recenzent—najczęściéj nerwowy, rozdrażniony, gorzki, często niegrzeczny i brutalny, wpada odrazu *in medias res*, zaczyna wyławiać drobne błędy z dzieła i prezentować je przed zdumionym czytelnikiem, który nie zapoznał się wcale z treścią. Biorę z pośród se-

(1) Za wzór takiéj metody służyć może np. sprawozdanie z 12 publikacyi niemieckich o Goethem w 45 numerze tego pisma z r. 1885.

tek na chybi-trafi jeden przykład. Stefan Pawlicki wydał w tłómaczeniu niemieckiém znane dzieło „Początki chrześciaństwa“ (1). Recenzent niemiecki w poważnym, specyalnie-krytycznym tygodniku (2) zaczyna w następujący sposób: „Nie wiadomo, co należy więcéj podziwiać, czy zręczne uszykowanie dowodów, czy też umyślne przemilczanie i fałszowanie; powierzchowność, okazującą się w pomijaniu problematów, czy wiarę autora w ignorancyą czytelników.“ Grzeczny wstęp. Oczekuje się — rzecz jasna rozumnego umotywowania sądu, ale nadaremnie. Za całą odpowiedź recenzent chwyta kilkanaście drobnych usterek z dużego dzieła, zaznacza je jako błędne, opatruje cytaty, wypisane z książki prof. Pawlickiego imponującemi wykrzyknikami w nawiasach—i sprawa załatwiona. Nie uznaje za właściwe podać treści dzieła lub wymienić jego cechy znamienne. Podług tego wzoru kształtuje się $^3/_4$ recenzyi niemieckich.

Przyczyny tego zła rozmaite.

Ważną jest wielka ilość stronnictw, hołdujących odmiennym przekonaniom, tworzących szkoły i kliki. Szkodliwie panoszy się mylne wyobrażenie, że w okolicznościowéj krytyce literackiéj tak jak np. w polityce stronnictwa i koterye odgrywać powinny ważną rolę: skutkiem tego czuć się daje coraz dotkliwiéj brak obiektywnego sądu. Jedno stronnictwo chce pisać głoskami gotyckiemi, drugie łacińskiemi, jedno potępia romans historyczny, a zachwala obyczajowy, drugie wprost przeciwnie; jedno w metodzie naukowéj większą wagę kładzie na zużytkowanie materyału, inne na układ; jedno zaleca produkcyą literacką, drugie działalność receptywną. Ci chcą, aby materyał naukowy zużywać w tekście, tamci uwzględniają liczne cytaty.

Taka rozmaitość osobliwie w krytyce okolicznościowéj jest szkodliwą i niepożądaną. Jakże często zdarza się czytać recenzye pisane przez krytyków przeciwnego, niż autor dzieła, obozu. Wówczas recenzent odrzuca na bok względy parlamentaryzmu, staje się niegrzecznym, a takie zwroty, jak „für den Papierkorb“, „Makulatur“, „Stupidität“, „Impotenz“, „Bornirtheit“ i t. d. należą jeszcze do łagodnych. Przyjaźń lub nienawiść osobista, dążenie do jednego celu materyalnego, ubieganie się np. o jednę posadę, konwencyonalne fałsze wszelkiego gatunku kształtują i zabarwiają krytykę okolicznościową. „Jest to jeden z najsmutniejszych objawów nowożytnéj cywilizacyi, że takie koterye i związki wynoszą częstokroć

(1) Der Ursprung des Christianismus. Mainz 1885.

(2) Litterarisches Centralblatt für Deutschland, red. prof. Zarncke; dział teologii numer 44, 1885 r.

w górę ludzi nic nieznaczących, a przygniatają tęgich: szeroki świat pozwala się w wielu wypadkach łudzić" (1). Anomalie te spotyka się nawet w sferach, gdzieby się ich nie oczekiwało, a mianowicie przy ocenie prac docentów przez profesorów zwyczajnych. „Prace te — pisze Flach — bywają naturalnie zazwyczaj, wedle zdań profesorów, nie dość przetrawione, pobieżne. Może to być często prawdą, ale w każdym razie profesorowie powinniby uwzględniać to, że oni pracują spokojnie i w dostatku, podczas gdy docent potrzebuje częstokroć szybciéj wydać pracę, aby sobie na chleb zarobić. Niektórzy zwyczajni profesorowie, lękliwi i zazdrośni, obawiają się współzawodnictwa zdolnych docentów na tejże wszechnicy, podszczuwają więc swych młodzieńczych uczniów, aby pisali zjadliwe i szydercze recenzye, a sami dostarczają im tylko skromnie i niewinnie kilku żółcią zaprawnych pigułek do użycia. Niemieccy profesorowie!..."

Innem znamieniem krytyki okolicznościowéj jest brak oryginalności. Przyczyna téj wady spoczywa niezawodnie w smutnym objawie, że krytykę okolicznościową traktuje się jako zatrudnienie uboczne dość podrzędnéj natury. Jest to w Niemczech — pomimo specyalnych pism krytycznych—rzemiosło literackie. Poeci, artyści i uczeni z zawodu albo wcale nie mieszają się do pracy krytycznéj, albo téż raczą (dotyczy to zresztą wyłącznie niemal uczonych) wypuścić od czasu do czasu w świat jaką notatkę (*Anzeige*) mało znaczącą i anonimową. Krytyka więc okolicznościowa spada z konieczności na słabe barki niefachowych i drugorzędnych publicystów, którzy zatrudnieni ważnemi kwestyami życia społecznego i politycznego — tak olbrzymio rozwiniętego w Niemczech — lekceważą krytykę i poświęcają jéj chwile, wolne od innego zajęcia. Taką jest geneza zgubnego dla rozwoju oryginalnéj krytyki okolicznościowéj powtarzania sądów, wypowiedzianych już przez inny organ, powtarzania bez kontroli i w dosłownem brzmieniu. Utworzył się nawet język stereotypowy, pewna maniera, zabijająca oryginalność. Obiega od dziennika do dziennika garstka wyrazów technicznych i młodzieńczy aspirant dziennikarski potrzebuje jeno wybębnić odpowiednią ilość porównań z dziedziny sztuki: malarstwa, architektury, muzyki, potrzebuje ułożyć sobie taką podręczną mozaikę, aby w danym razie z zupełnem powodzeniem operować nią w rozmaitych kierunkach. „X. należy niewątpliwie do najzdolniejszych i pełnych nadziei młodych poetów. Makartowski koloryt obudza w nas nastrój jakiegoś upojenia; utwór jego można nazwać poprostu genialnym.

---

(1) Der deutsche Professor der Gegenwart v. Dr. Johannes Flach. Universitäts professor. Leipzig 1886. Rozdział: „Die deutsche Kritik.

Niekiedy przypomina Böcklina, niektóre jego poezye podobne do fresków, rzuconych i wykonanych śmiałą ręką" i t. d.

Rzecz jasna — inne formułki tworzą się dla młodych, inne zaś dla starych i uznanych już autorów. Lecą one, jakby wichrem gnane, i obiegają łamy dziennikarskie— z Wiednia do Berlina, z Berlina do Lipska, z Lipska do Frankfurtu, z Frankfurtu do Monachium.

Dla młodych autorów niemieckich ma krytyka okolicznościowa stałą formułkę pobłażliwéj zachęty ; dla uznanych wyrazy rozentuzyazmowanych pochwał. „Pojawiło się nowe dzieło X! Poprzednie dzieło sławnego autora znalazło w krytyce i u publiczności najlepsze przyjęcie. Niniejsza książka, jako arcydzieło stoi jeszcze wyżéj. Autor zdobył sobie poczestne miejsce obok Schillera i Szekspira (jeżeli jest dramatycznym pisarzem), obok Spielhagena i Freytaga (jeżeli to powieściopisarz."

Jestem przekonany, że w żadném społeczeństwie nie rozwinął się w tak gorszący sposób system wzajemnéj adoracyi, jak w Niemczech. Wszakże sami Niemcy, a przynajmniéj ci z nich, co sądzą bezstronniéj, przyznają, że krytyka okolicznościowa niemiecka—jest to „eine Gesellschaft zur Rückversicherung auf gegenseitige Lobhudelei" (towarzystwo ubezpieczenia wzajemnéj adoracyi). Biorę jako przykład na chybi-trafi oceny najlepszéj noweli Heysego p. t. „Unvergessbare Worte." Węzeł główny noweli następujący.

Wiktorya v. Hainstetten, bogata obywatelka Styryi, zwiedza w podróży pewną sławną willę koło Vicenzy i poznaje tam niemieckiego uczonego, którego zaprasza do dóbr swych. Wkrótce oboje się kochają. Połączenie bliskie. Raz Wiktorya opowiada cały fakt powyższy jednéj ze swych przyjaciółek i dodaje, że dawno już pragnęła ową willę „z całym jéj inwentarzem" zakupić i cieszy ją, że zamożność pozwala jéj nabyć na własność zamiast np. Tycyana— owego niepozornego uczonego. Profesor słyszy przypadkowo te słowa, opuszcza zamek, zrywa swój stosunek i umiera, bo mu serce z bólu pękło. Wiktorya umiera także niezamężną, a na grobach obojga wyryto słowa: *oblivisci nequeo.*

Jak widzi czytelnik, pomysł kunsztowny, psychologiczne prawdopodobieństwo kruche ; etyczne motywa wątpliwéj wartości, bo gdyby każdy człowiek kierował się w życiu taką wyrafinowaną spekulacyą uczuć, jak ów uczony, toby życie stało się bardzo gorzkiém. Krytyka zaś niemiecka posiada jedynie słowa zachwytu. Jedni głoszą, że to najlepsze ze wszystkiego, cokolwiek Heyse napisał ; drudzy sądzą, że pod względem artystycznym jest to niezrównana doskonałość, jeno z pesymistycznem zabarwieniem; inni naiwnie mniemają nawet, że utwór to „za doskonały."

Znany psycholog Juliusz Duboc w delikatny i oględny sposób wypowiada wprawdzie wątpliwość co do podkładu psychologicznego, ale tę grzeczną pigułkę owija w niezliczoną ilość komplementów: „poetyczna potęga autora“, „złoto szczere jego poezyi“. „wspaniały pomysł“, „czarująca świeżość“, „orzeźwiający posiłek“, „nieskazitelna czystość moralna“ i t. p.

Ten, kto nie zna zakulisowéj wartości owych błyszczących ogólników, a spotyka je na wszelkich miejscach w tygodnikach, dziennikach, nawet miesięcznikach, gdzie tylko mowa o produkcyi niemieckiéj, szuka z ciekawością np. prób historycznego romansu niemieckiego. Czyta—najkorzystniéj uprzedzony — parę romansów Jensena Wilhelma, niekontent ale z wiarą bierze się do Feliksa Dahna, przechodzi nareszcie do Jerzego Ebersa, i znajduje przeważnie utwory pod względem artystycznym manierowane, bezduszne. Następuje przykre rozczarowanie, zwłaszcza jeżeli czytelnik rozpieścił smak na wytwornych historycznych obrazach Walter-Scotta. A krytyka głosi wciąż swoję oklepaną piosnkę o „narodowych świecznikach.“ Istotnie: *lucus a non lucendo!*

Ważną gałęzią okolicznościowéj krytyki literackiéj jest krytyka teatralna. Dość powszechnie słyszéć się dają dziś głosy, że teatr upada. Zola zaproponował nawet reformę sztuki dramatycznéj, reformę zarówno radykalną, jak romansu. Zobojętnienie publiczności dla teatru występuje na jaw z osobliwą siłą wówczas, gdy teatr ma współzawodnika np. w cyrku. Publiczność tłumnie daje pierwszeństwo cyrkowi, a teatr pozostawia próżnym. Prawda, że objaw ten nie spotyka się jeszcze wszędzie; w Niemczech atoli—często. Produkcya dramatyczna w dzisiejszych Niemczech jest ubogą. Poważny dramat i tragedya nie mają żadnego przedstawiciela europejskiéj sławy. Komedya salonowa krzepi się jak umie, sokami poetów francuskich: Dumasa, Augier'a, Sardou. Rozmaite, specyalnie niemieckie pomysły, jak „bürgerliches Schauspiel, Lustspiel, Schwank, Posse“—są zdawkową monetą sztuki. Z dnia na dzień słabnie interes dla teatru. Opera odświeża utwory Wagnera, a zresztą żywi się płodami zagranicy. Część winy tego zastoju dramatycznego spada na krytykę teatralną.

Byłoby to — rzecz jasna — przesadą żądać od krytyki teatralnéj takiéj gruntowności, jakiéj się wymaga np. od naukowéj. Jednakże przyzna mi to każdy, że sprawozdawca teatralny, jeśli chce być cenionym, musi posiadać wytrawny sąd, zdolność szybkiego oryentowania się, znajomość sceny, a nadto dość rozległe wiadomości literackie. Zanotowanie wrażeń, oklasków, położenie nacisku na miejsca efektowne w sztuce — to nie wystarczy, w przeciwnym bowiem razie każdy widz z galeryi mógłby być recenzentem teatralnym.

Potrzeba przecież uchwycić nić przewodnią sztuki, trzeba znać rozwój poetyczny autora, przeczuć—że tak powiem—genezę utworu na podstawie znajomości dotychczasowych prac pisarza. To, co przy spokojném odczytywaniu dzieła spostrzega się odrazu, to pod wpływem rozmaitych czynników teatralnego przedstawienia, uchodzi uwadze i rozprasza się.

Wszakże każdy autor buduje sztukę wedle pewnych zasad; w każdéj sztuce odzwierciedla się mniéj lub więcéj wyraźnie—indywidualność. Recenzent musi ją ująć i zrozumiéć, że się tak wyrażę, na gorącym uczynku. Wszystko to utrudnia zadanie sprawozdawcy.

Jakże się wobec powyższych wymagań zachowuje niemiecka krytyka teatralna?

Oto co krok spotyka się tu taką samą „misère“, jak w działach wymienionych.

Należy rozróżnić trzy grupy krytyk teatralnych.

Prowincyonalne sceny żywią się po części okruchami sztuk, wystawionych na głównych scenach: i wobec tych utworów krytyka czasopism prowincyonalnych przeżuwa sądy stolicy.

Ale istnieje t. z. produkcya dzienna. Setki utworów wypływają co chwila na powierzchnię, jak bańki w mętnéj wodzie i te czynią zadość potrzebom chwili. Niekiedy można całemi tygodniami studyować recenzye teatralne prowincyonalnych czasopism i wciąż spotykać nowe nazwiska autorów. Recenzenci sławią świeżo upieczone znakomitości, które równie szybko toną w morzu niepamięci, jak powstały. A tymczasem smak publiczności tępi się i psuje....

W dużych miastach kontrola sztuk scenicznych, zależna od dyrekcyi i inteligentniejszéj publiczności, nie pozwala panoszyć się na scenie miernym siłom autorskim. Ale krytyka postępuje nie lepiéj: zaznacza ona wrażenia, zadowala się notowaniem błędnych często wzruszeń sali teatralnéj. Głównym powodem tego jest znów niewykształcenie recenzentów. Dzienniki uważają recenzye za rodzaj t. z. michałków (1). „Sam znam—powiada Gottschall (2)— w stołecznych miastach pisma, w których reporterzy dzierżą rózgę krytyczną: pocztowi ekspedyenci albo subiekci, jaka dama, któréj uzdolnienie zaledwie starczy na zbieranie lokalnych wiadomostek.“ Na całym obszarze krytyki i produkcyi teatralnéj upowszechnił się fałszywy aksyomat: „rien ne réussit, que le succès“, świadczący niepochlebnie o jednéj i o drugiéj.

---

(1) Jest-to specyalna nazwa wiadomostek brukowych. Być może, że różne miejscowości posiadają na oznaczenie tego pojęcia różne wyrazy. W niektórych miastach niemieckich nazywa się to: „Eselwiese.“

(2) Die deutsche Schauspielkritik (Unsere Zeit. 1886, styczeń).

Istnieje nareszcie szczupły zastęp zdolnych recenzentów. Uważają oni krytykę jako kołek, na którym mogą zawiesić własny portret. Chodzi im nie tyle o poetę lub dzieło, nie tyle o sceniczne przedstawienie, jak o własną sławę krytyczną. Krytyka musi być dowcipniejszą, niż dowcipna komedya, świetniejszą, niż pełen talentu dramat.

Subiektywizm odgrywa tu wyłączną rolę. A niekiedy pobudki delikatnéj natury wpływają także na ton krytyki: trzeba np. poprzéć dyrekcyą lub jaką agenturę teatralną, trzeba się rozprawić z autorem, należącym do przeciwnego obozu, trzeba przyklasnąć jakiéj wdzięcznéj artystce i t. d.. „Że krytyka nasza teatralna (1) w swéj dzisiejszéj postaci nie jest dla prawdziwie utalentowanych autorów zachęcającą — to jasna. Nie wierzę w proklamowany dość często upadek sceny, jakkolwiek trudno nie przyznać, że posuwa się ona po pochyłości ku dołowi; jednak niema co myśléć o gruntownéj jéj reformie, dopóki się nie przekształci krytyki teatralnéj, dopóki się jéj nie powierzy ludziom wykształconym, bezstronnym i spokojnym tak, aby przestała być w pismach zbiegowiskiem młodzików, aby zaniechała wyszukiwania i wynoszenia *ad sidera* pozornych talentów, reklamowania interesu prywatnego lub bezpłodnego dowcipkowania.“

III.

Szowinizm krytyki niemieckiéj.

Starałem się w rozdziałach poprzednich kłaść nacisk na sposób, w jaki krytyka ocenia literackie płody autorów niemieckich. Jest-to wszakże jedna strona medalu. Uprzedzenie i stronniczość usposabiają krytykę do sądów łagodnych, każą jéj zamykać oczy na błędy i przyczyniać się do tego, aby miernota tamowała postęp i psuła gust powszechny. Niemcy nie mogą się wydziwić i mają to za wielkie zgorszenie, że każda nowa powieść Zoli lub Daudeta dosięga w krótkim czasie stu wydań, że w ciągu paru miesięcy po opuszczeniu prasy obiegają po Europie przekłady we wszystkich cywilizowanych językach, podczas gdy z olbrzymiéj, 15,000 tomów rocznie liczącéj produkcyi niemieckiéj, niepospolicie drobna ilość przebija graniczne kordony i doznaje zaszczytu przekładów we Francyi lub Anglii. Mniemaćby zatém można, że ten wymowny fakt otrzeźwi szowinizmem płonące głowy krytyków, że skłoni ich z jednéj strony do oszczędniejszego szafowania tytułami „arcydzieł“ dla utworów własnego piśmiennictwa, „mistrzów“ i „geniuszów“ dla własnych pisarzy,

---

(1) Die deutsche Schauspielkritik (Unsere Zeit. 1886, styczeń).

a z drugiéj strony każe im staranniéj przypatrzyć się zaletom i właściwościom dzieł obcych. Dotychczas błahe są ślady samopoznania w krytyce niemieckiéj.

Solą w jéj oku jest oczywiście Francya — zarówno spółczesna, jak dawna. Zdaje mi się, że przyczyna tkwi nie wyłącznie w antagonizmie politycznym.

„Powinnaś synów swych tak wychować—woła Arndt do matki niemieckiéj — aby przezwisko „Francuz“ stało się dla nich obelgą, a córki swe tak wykształcić, aby wyraz francuski w ustach kobiety niemieckiéj równał się hańbie.“ „A mowa ich—najnędzniejsza i najuboższa staje się wówczas tylko bogatą, gdy rozwija obraz zepsucia i nieobyczajności; wtedy tylko lekką, gdy język paple bez sensu;— niemelodyjna, bez rytmu, bez wierności (!? ohne Treue) nie zdoła ona odtworzyć ani obrazu natury ani nastroju duszy“ (1). Ze słów tych tchnie nienawiść rasowa, wobec której porozumienie niemożliwe.

Ogólnie napotyka się w krytyce literackiéj Niemców głęboka niechęć dla panującego we Francyi kierunku realistycznego. Krytyka zajmuje się nim przy każdéj sposobności, walczy z każdym nowym objawem na polu piśmiennictwa francuskiego tak, jakby o własną chodziło skórę, nawołują społeczność własną do baczności, a mimo wszystkiego nie zdoła przeszkodzić temu, że francuska produkcya wciska się do Niemiec. „Francuzi są wszyscy wrodzonymi aktorami—woła dr. Julian Schmidt w artykule o Dumasie młodszym. Trzeba naszéj publiczności od czasu do czasu powtarzać, że w téj nowomodnéj literaturze nie ma ani prawdziwego piękna, ani też istotnego zepsucia, jeno sama czczość i próżność.“ „W naturalistycznym romansie nie może być nawet mowy o poezyi; fantazya nie odgrywa tu żadnéj zgoła roli.“ „Kult obrzydliwości—oto główne zadanie sztuki naturalistycznéj. Nie znaleść w niéj ani odrobiny dobrego smaku, zaginął zupełnie sąd estetyczny“ (2). „Jest to estetyczne *Hexen-Ein-mal-eins*—mówi J. Mähly; jest to brodzenie w błocie i gnoju. Obraża się nawet zmysł powonienia: potrzeba sobie nos zatykać. Naturalizm obiera sobie umyślnie historyjki rozpustne i tworzy nowe suplementa do Pitavalu. Skoro się czyta taki np. romans jak Curée—to mimowoli zbiera podziw, czemu papier nie rumieni się od wstydu. Romanse Zoli są najjadowitszą rośliną bagien, największém absurdum europejskiéj literatury, pornograficznym specyałem iście francuskiego wymysłu“ itp.

---

(1) E. M. Arndt. Fantasien uber ein kunftiges Teutschland. str. 81 i 23.

(2) Gottschal. Der Naturalistische und photografische Roman in Frankreich.

Ale jakież motywa stwierdzają ten szereg wykrzykników, pełnych pobożnego oburzenia? Wzywa się poprostu na sędziów-estetyków niemieckich: bierze się Schillera, Rosenkranza i wedle ich przepisów ocenia się utwory nowéj szkoły francuskiéj. Zdaniem Niemców, kierunek naturalistyczny nie jest wcale przez Francuzów stworzonym; pojawił się on najpierw w Niemczech, a mianowicie w dziełach Ifflanda i Kotzebue'go. Schiller zatém podał już dawno receptę na wyleczenie téj choroby.

Najsmutniéj obszarpany, odarty na podstawie Schillera i Rosenkranza ze wszelkich zalet, wychodzi oczywiście Zola.

Jest on kompletnym nieukiem, nie czytał nawet Szekspira (1). Głównym błędem Zoli jest jego nadzieja, że umiejętność powinna i będzie wspomagać romans. Przeciwnie: umiejętność z romansem niema nic wspólnego; u romansopisarza działa jako czynnik twórczy—intuicya. Zola jest jednostronnym: stwarza tylko obrzydliwe i niemoralne charaktery i sytuacye; nie masz w jego dziełach wcale dodatnich charakterów. Jest on przeciwnikiem wszelkiéj poetyckiéj inspiracyi, a ze swego delfickiego trójnoga głosi wyznanie, w którém zresztą niczego więcéj nie szukać, jeno błędnych lecz apodyktycznych wyroczni.

Dziełom Zoli odmawia krytyka niemiecka wszelkich zalet: posiadają one same wady. Twierdzi on, że należy zwrócić się do natury i naśladować ją; sam tego wcale nie czyni. Co więcéj Zola chwyta naturę w żelazne kleszcze i męczy ją, nagina, torturuje, aż utworzy rzecz nienaturalną. Taki sposób tworzenia—niewłaściwy. Przecież Goethe powiedział:

Lässt sich Natur des Schleiers nicht berauben
Und was sie deinem Geist nicht offenbaren mag,
Das zwingst du ihr nicht ab mit Hebeln und mit Schrauben (*Faust*) (2)

Takież niesprawiedliwe i jednostronne pojęcia krążą w Niemczech: o Daudecie. Są one nieco łaskawsze, lubo i w tym wypadku przebija się przez nie niechęć i uprzedzenie. Biorę naprzykład ocenę znanéj powieści „Ewangielistka." Teofil Zolling, wydawca czasopisma „Gegenwart", ceniony krytyk niemiecki, zarzuca powieści powyż-

---

(1) Nie wiem doprawdy, skąd ma tę wiadomość Gottschall. Jego-to bowiem są słowa w pracy cytowanéj powyżéj, str. 235.

(2) Zedrzéć zasłony z natury nie można, a czego ona sama duszy twéj objawić nie pragnie, tego jéj nie wydrzesz za pomocą śrub i heblów.

Zdanie to Goethego—wielekroć przez krytyków cytowane, jest mimochodem mówiąc błędne. Należycie urządzone i użyte instrumenta rozszerzają poznanie i wzmagają siłę ludzką w granicach natury.

széj głównie to, że nie jest zajmującą. Liczne, długie rozdziały (?) o sektach religijnych wogóle i o zakładzie armii zbawienia są suche i czytają się mozolnie. Czuje się, że są pisane bez interesu. Krytyk ma Daudet'owi za złe, że nie daje własnego zapatrywania na nowe wyznanie, zarzuca, że autor pozostawia nas w wątpliwości, czy jego fanatycy są istotnie wierzącymi, czy też hipokrytami. Główna postać jest pod tym względem dla krytyka także znakiem zapytania. Zollingowi nie podoba się naturalnie także pogląd Daudet'a na „ponure markotne“ wyznanie protestanckie. Powieściopisarz francuski—sądzi Zolling—nienawidzi protestantyzmu, jak każdy prowansalczyk, a scharakteryzowanie pięknéj postaci pastora Aussandona nic nie znaczy. „Wogóle w Daudecie moralista o wiele słabszy od artysty.“ Cóż dziwnego, że krytyk „słabemu“ artyście daje rady? On—krytyk—przekształciłby charakterystykę prezydentowéj; rozwój obłędu religijnego Elmy zakreśliłby głębiéj: już w kołyskę jéj włożyłby religijną egzaltacyą; usunąłby opis skórnéj choroby Autemana itp.

Oto jak się ocenia prądy i ludzi w społeczeństwie, które corocznie wydaje 15000 tomów i chlubi się wysoką cywilizacyą.

Ale, może kto powie—to rzecz naturalna. Nowy kierunek francuskiéj literatury nie przyjął się w Niemczech, więc nic osobliwego, że przeważają niekorzystne dla realizmu powieściowego sądy. Niestety, jeszcze smutniéj wypada obraz krytyki romantyzmu, jeżeli chodzi o ocenę pojawów francuskich. Jak wszędzie tak też i tu nie szukam przykładów wyjątkowych. Idzie mi o wskazanie rysów znamiennych krytyki, o oświetlenie jéj z różnych stanowisk. Chcę też zwrócić uwagę na ową sławną gruntowność i staranność niemiecką, rzecz jasna, w zastosowaniu do autorów francuskich. Victor Hugo jest jak wiadomo romantykiem czystéj krwi. Prawda,—był on także politykiem, pisał polityczne poezye, wydawał nawet manifesta, a ruchliwe, wszechstronne, pełne zmian życie jego nie daje się z łatwością ująć w ramy jakichś estetycznych przepisów. W krytyce niemieckiéj znaleść można wiele wzmianek o tym poecie, począwszy od Goethego.

Ale obraz ogólny otrzymuje się smutny, podarty; obskurantyzm, niedbałość i powierzchowna znajomość podały sobie ręce, a dopiero nadzwyczajna cześć, z jaką naród francuski ubiegłego roku prowadził poetę do Panteonu wprawiły w zdumienie niejednego, co znał Hugo'na, jako „personam comicam“, jako człowieka „niespełna rozumu.“

Z głównych prac o Hugo'nie w języku niemieckim dwie najlepsze wyszły z pod pióra obcych. Bardzo cenne są ustępy, poświęcone poecie przez Duńczyka, Jerzego Brandesa w „Głównych prą-

dach.“ Obraz atoli nie jest kompletny (1). Gruntowne dzieło napisał Józef Sarazin; ale jest on Szwajcarem i praca jego obejmuje tylko jeden dział twórczości Hugo'na (2). Z Niemców pisali o poecie obszerniéj Paweł Lindau, obecny redaktor miesięcznika „Nord und Süd“ i Edward Engel, redaktor tygodnika „Magazin für die Litteratur des Auslandes“ (3).

Lindau ośmiesza Hugo'na, jako polityka, drwi zeń i szydzi. Dla poety zaś posiada gotową receptę; wzrost, punkt kulminacyjny, upadek; a że jéj zastosować w danym razie nie może, odmawia zatém poecie „prawidłowego rozwoju“ i twierdzi, że tylko w początkach poetyckiego zawodu czynił istotny postęp. Widzi takowy mianowicie w poematach, opiewających życie rodzinne, w znanych Feuilles d'automne. Zbiór poezyi Contemplations zbywa pobieżną wzmianką; zbioru „L'art d'être grand-père,“ wydanego w 1876 roku nie zna wcale.

O gruntowności krytycznéj świadczy np. taki ustęp: „Czy można sobie wyobrazić poetę—pisze Lindau—który w ciągu roku tworzy kilkaset pieśni o szczęściu familijném, a ukończywszy tę pracę, nigdy już więcéj nie czuje ochoty do powtórnego wyrażenia swéj czułości?“ Najpierw zbiór „listków jesiennych“ nie powstał w jednym roku, jeno w przeciągu 4 do 5-ciu lat; „Contemplations“ zaś zawierają nawet poezye z lat 20-tu (1834—1856); powtóre Victor Hugo w „l'art d'être grand'père“ wrócił znów do tych samych uczuć i dźwięków w poezyi. Słusznie, lubo niezbyt grzecznie wyraża się o pracach powyższych profesor Koschwitz (4).

„Tak bogatéj kollekcyi całkowicie lub napół nieprawdziwych danych, połączonéj z taką pewnością sądu o rzeczach najwątpliwszych, nie pozwoliłby sobie chyba najgłupszy i niedojrzały młokos.“

Edward Engel odmawia poecie romantycznemu jednego z głównych pierwiastków twórczości. „Prawdziwe dźwięki uczucia znaleść można u retora *par excellence* Victora Hugo, niesłychanie rzadko. Trzeba zauważyć, że tylko niektóre jego poemata natchnęły kompozytorów.“ Wnet potém następuje wspaniałomyślne ustępstwo: „Co najwięcéj, można chyba w Contemplations wyszukać parę ustępów, wolnych od retorycznych antytez.“ Dziwniejsze to tém bardziéj, że

---

(1) Ob. piąty tom str. 89—112 (niem. 2-gie wyd.).

(2) Victor Hugo's Lyrik und ihr Entwickelungsgang. Bad.-Baden 1885.

(3) Pierwszy trzykrotnie: w Nord und Süd r. 1877 i 1879 i w Litterarische Rücksichtslosigkeiten. Drugi w książce Die Physiologie der französischen Litteratur. Berlin 1884.

(4) Deutsche Litteraturztg. 1883 nr. 14.

krytyk niemiecki poważa się sypać podobny piasek w oczy łatwowiernéj publiczności po tém, kiedy już znakomite dzieło Brandesa obiegło wszystkie dłonie ludzi inteligentnych, a Brandes położył nacisk na rzewne, wolne od retoryki, w najprostszych wyrazach pojawiające się uczucie „listków jesieni.“

Kilkakrotnie wybiera z przedziwną trafnością piękne miejsca, przekłada na język niemiecki, a wskazując na nie—powtarza toż samo zdanie: „oto małe sceny, które w swéj prostocie i naturalności zarówno świetnie namalowane, jak głęboko uczute.“

Lecz i to prawda, że Brandes zna i rozumie Hugo'na; nie możnaby mu uczynić takiego zarzutu, jak Englowi, że myli się o dziesiątki lat w oznaczeniu daty „les statues“ (z „les Quatre Vents de l'Esprit“), którą kładzie pomiędzy 1830—1840, podczas gdy utwór cytowany przez Engla kilkakrotnie—powstał w czasie wygnania (1).

Ale dość już tego. Myślę, że czytelnik przekonał się z powyższych wskazówek, w jaki sposób krytyka niemiecka ocenia produkcye francuskie. Ktoby pragnął sądzić na podstawie jéj o literaturze francuskiéj, ten musiałby powziąć najgorsze wyobrażenie o jéj upadku i rozstroju. Nie tylko polityka rzuca cień na sądy krytyczne: w sojuszu z nią działają rasowe nienawiści i ignorancya.

Cokolwiek inaczéj ma się sprawa literatury angielskiéj. Niemiec lubi porównywać siebie z Anglikiém i przypominać, że oba społeczeństwa wyszły z jednéj kolebki. Już Klopstock w przeszłym wieku, w jednéj z najlepszych od swoich (*Die beiden Musen*) dał obraz współzawodnictwa, pogoni ku jednemu celowi: zwycięstwo zaś osłonił tumanem pyłu, przez szybki bieg wzniesionego.

Odtąd ciągle śpiewa się w krytyce ową piosnkę współzawodnictwa; jeno wyższość i zwycięstwo Niemcy coraz śmieléj i chętniej sobie przyznają. Cały świat będzie kiedyś należał do Niemców i Anglików, a ich wzajemne stosunki wypełnią annale całéj ludzkości (2). Psychologia obu społeczeństw okazuje wszelako bogatszy zasób znamion dodatnich u Niemców. Charakter angielski cechuje się, jako samowolny, nieprzystępny i pewny siebie. W Niemczech zaś nie istnieje to, co Szekspir nazywa: „I am I,“ jakkolwiek zasada poszanowania jednostki tak samo wysoce rozwinięta, jak i w Anglii. Charaker niemiecki jest elastyczniejszy, przystępniejszy.

Anglicy posiadają wprawdzie silną wolę, ale zato rozwój intelektualny jest wyższy u Niemców. Poświęcają się oni od wieków zbyt mało realnym interesom i to właśnie uczyniło je tém, czém są wła-

---

(1) Por. Le Rhin I, 193.

(2) Deutschtum und Engländertum p. Karola Petersa. 1883.

ściwie—woła z dumą Peters—tj. wielkiem intelektualném i naukowém ogniskiem świata. Anglia niema filozofów (*sic*!); proszę wziąć którąkolwiek umiejętność w Anglii—wszędzie górują tam uczeni niemieccy: w dziejach, naukach przyrodniczych, medycynie, geografii... W sztukach pięknych także zależność od Niemców. Dyrektorem opery londyńskiéj—Niemiec; na scenie przedstawiają się niemieckie sztuki; Niemcy są przeważnie nauczyciele muzyki (1). W malarstwie uczuwać się daje niedoskonałość metody, pospolitość smaku, niedostatek technicznego wykształcenia. Nawet angielskie dziennikarstwo stoi niżéj od niemieckiego (2). Taki bezstronny i słuszny sąd porównawczy, jak Hillebranda (Ein englischer Journalist w 6-ym tomie dzieł str. 120 i d.), w którym za wzór dla całéj Europy daje dziennikarstwo angielskie, należy w Niemczech do białych kruków i wzbudza niedowierzanie.

Tak oceniają krytycy niemieccy Francuzów i Anglików. Gorszy los spotyka—jak to już na początku wspominiałem—literatury słowiańskie. Z całéj masy autorów słowiańskich wyrobił sobie prawo obywatelstwa w Niemczech tylko jeden tj. Iwan Turgeniew.

Może fakt ten przypisać trzeba temu, że Turgeniew wielką część życia spędził zagranicą, że odbył studya w Berlinie, że w nowelach swych wiele razy sympatycznie wspomina o literaturze niemieckiéj.

Cały zresztą obszar literatury rosyjskiéj, polskiéj lub czeskiéj dotychczas dla Niemców prawie nieznany. Zapewne—pojawiają się sporadycznie niedokładne biografie Kraszewskiego, Mickiewicza lub Jeża; są to jednak prace okolicznościowe, wywołane procesem, nowym przekładem Pana Tadeusza lub jubileuszem; prace, nie dające wyobrażenia o spółczesnym rozwoju literatury, stojące poza życiem społecznéem danego społeczeństwa; bez rozbioru pism autora i zbiorowéj tegoż działalności.

Oto obraz krytyki. Naukowa nie przyswaja sobie najświeższych zdobyczy: psychologia nie odgrywa w niéj żadnéj roli. Skutkiem tego mozolne skupianie szczegółów uważa się za cel. Prawdą jest zatém, że Niemcy do oceny swego piśmiennictwa zebrali olbrzymie materyały; ale nie rychło jeszcze w ocenie téj ostatnie wyrzekną się słowa. W krytyce okolicznościowéj—powierzchowność, szablon opływający w krąg całe Niemcy; tworzenie na prędce geniuszów i talentów, koteryjność—smutny objaw zepsucia. Ponad wszystkiém stoi szowinizm, wielbienie z zamkniętemi oczami własnych bo-

(1) Artykuł Englische Kunstzustände (Gegenwart. 1883).

(2) Por. Art. Englische und deutsche Journalistik p. Quidam (Gegenwart. 1883).

gów, a potępianie lub pogardliwa obojętność względem obcych. Nie potrzeba się zatém dziwić, że powieści niemieckie nie bywają tłómaczone na języki obce, że dramata niemieckie starczą zaledwie dla scen krajowych, że poezya niemiecka upada, rozlewając się na liryczne jęki i westchnienia.

Wprawdzie coraz częściéj i śmieléj odzywają się głosy niezadowolenia, nawołują krytykę literacką do życia i zrzucenia zmurszałéj skorupy starożytnéj (1). Czy znajdą one łaskawy posłuch u masy krytyków? Myślę, że nie prędko, że pozostaną jeszcze przez lata całe głosami wołających na puszczy.

Antoni Mazanowski

(1) Ob. Bleibtreu: Die Revolution der Litteratur 1886, oraz wymienione już prace Kirchbacha, Jana Flacha i inne.





MIERNIKI WARTOŚCI

W PRZESTRZENI I CZASIE. (1)

Przez miernik wartości w najrozleglejszém znaczeniu należy rozumiéć każdy przedmiot, używany do odmierzania wzajemnéj wartości towarów przy ich zamianie i tym sposobem w ich zamianie pośredniczący. Mierniki wartości są prostym wypływem zasady, na któréj cały wogóle handel spoczywa, zasady: za nic—nic nie dostanie. W téj téż zasadzie leży ich niezbędność.

Z powszechnéj jednak potrzeby mierników wartości nie wynika bynajmniéj, by mierniki te były wszędzie i zawsze téż same. Otwierało się owszem w téj mierze człowiekowi rozległe pole do dowolności, bo właściwie każdy przedmiot mógł być w tém znaczeniu użyty, byle tylko uznawały go za taki większe koła społeczne. To téż rzeczywiście tak w różnych czasach, jak i dziś w przestrzeni u różnych ludów były mierniki wartości i są jeszcze bardzo rozmaite.

Wyjątkowo nie znaleść ich u ludów pierwotnych, na najniższym szczeblu kultury stojących, nie dlatego wszakże, by ludom tym obcym był jeszcze handel i jego zasadnicze warunki, lecz tylko, że u takich ludów nie obudziła się jeszcze potrzeba pewnego powszechnie obowiązującego środka zamiennego. U takich ludów odbywał się téż lub jeszcze odbywa prosty *handel zamienny*, t. j. handel oparty na prostéj wymianie jednego towaru za drugi, bez pośrednictwa jakiegoś miernika wartości. Taki to właśnie handel zamienny odbywał się niegdyś u ludów przedhistorycznych; w ten również sposób wymieniały jeszcze ludy środkowéj Europy i mieszkańcy wybrzeży baltyckich wyroby etruskie na bursztyn, i w ten a nie inny sposób

(1) *Uwaga.* Jest to jeden rozdział z przygotowującego się do druku *Podręcznika ogólnéj geografii handlowéj.*

jeszcze dzisiaj otrzymuje np. plemie Orang-kubu w południowo-wschodniéj części Sumatry tytoń i ryż od kupców malajskich, chińskich lub arabskich za żywicę i kadzidła, Ainowie na wyspie Jezo ryż i noże od Japończyków w zamian za słodki wodorost (*fucus saccharinus*), a Eskimosi grenlandzcy drzewo, którego brak w ich siedzibach, za tran wielorybi.

Używanie więc tego lub owego przedmiotu, jako powszechnie w pewnéj okolicy przyjętego miernika wartości, należy już uważać za objaw wyższéj dojrzałości odnośnych narodów. Cała różnica między temi narodami może jeszcze tylko zachodzić i zachodzi rzeczywiście w wyborze przedmiotów, mających spełniać usługi mierników wartości. Za najpierwotniejsze zaś mierniki wartości należy naturalnie poczytać przedmioty, których użyteczność po za tą funkcyą pośrednika wymiany jest żadną, lub tylko bardzo małą. Takiemi miernikami wartości są np. *kamienie*, a spotykamy je w znaczeniu monety na niektórych wyspach Oceanii, mianowicie na wyspach Pelew, na wyspie Eap (Yap), jednéj z Karolińskich i na wyspach Nowych Hebrydach. Na wyspach Pelew noszą te kamienne pieniądze nazwę „Audou", a są po prostu kawałkami wypalonéj gliny lub kawałkami szkła. Krajowcy rozróżniają w nich kilka kategoryi, według tego, czy są czerwone, czy żółte, czy emaliowane. Niektóre sztuki z kategoryi czerwonych lub żółtych przedstawiają bardzo nawet wysoką wartość, emaliowane od 50 — 85 franków, a szklanne stanowią niejako drobną monetę. Wszystkie zaś są w środku przekłute i dają się nosić nawleczone na sznurki. Z uwagi, że wyrób ich nie jest niekiedy bez wyższego smaku, że krajowcy zgoła nie umieją ich sami wyrabiać, a nawet nie posiadają na swych wyspach potrzebnego do tego materyału, nie trudny wniosek, że tego rodzaju pieniądze musiały się dostać na wymienione wyspy z obczyzny, nie dającéj się wszakże bliżéj oznaczyć. Kursująca na wyspie Eap moneta kamienna przedstawia się w czém innéin znowu charakterystyczną. Posiada mianowicie kształt prążków to mniejszych, to większych, z których ostatnie dochodzą niekiedy do rozmiarów naszych kół młyńskich. Pochodzenie ich jednak jest miejscowe, t. j. krajowcy sporządzają tę monetę sami, sprowadzając tylko do niéj materyał, t. j. kule aragonitu, z wysp Pelew. Na Nowych Hebrydach wreszcie posiada moneta kamienna kształt pierścieni, o średnicy dochodzącéj niekiedy do 2 metrów i o ciężarze wynoszącym nierzadko 20 kilogramów. Krajowcy wyrabiają ją z feldspatu lub kalkspatu i zwią ją „nawatae" (1).

(1) R. Andree: Ethnogr. Parallelen und Vergleiche. Stutgart 1878, str. 230—233.

Najbliżéj spokrewnioną z tą monetą kamienną jest moneta *„muszlowa“*, skoro i ona po za swą rolą pieniądza, co najwięcéj, może być użytą jako ozdoba. Taką właśnie monetą posługiwali się do niedawna jeszcze mieszkańcy północno-zachodnich wybrzeży Ameryki północnéj od Alaski począwszy aż do wyspy Vancouver; odmierzali mianowicie wartość towarów długością sznurków nawleczonych skorupkami ślimaka *Dentalium entalis*. Wcześniéj, bo już przed 200 laty zarzuciły podobną monetę inne plemiona Czerwonoskórców w północnéj Ameryce, a sporządzały ją sobie głównie ze skorup małży *Venus mercenaria*, które nawleczone na sznurki nosiły nazwę „wampumów.“ Są wszakże okolice ziemi, w których jeszcze po dziś dzień muszle w pełném znachodzą się użyciu jako mierniki wartości. Do tych okolic należą zaś wyżyny Kingsmill w Mikronezyi (1), daléj wyspy Nowéj Brytanii, gdzie krajowcy nazywają je „diwarro“ lub „tambu“ (2), poczęści cesarstwo siamskie, przedewszystkiém jednak Sudan, gdzie specyalnie usługi monety spełnia skorupa ślimaka „monetki“ (*Cypraea moneta*), krótko nazywana muszlą „kauri“ (3). W największéj ilości żyje ten ślimak w wodach oblewających wyspy Maledywy i Lakkadywy; nie dziw też, że okolice te najwięcéj dostarczają jego skorup. Prócz tego i wyspy Filipińskie odgrywają w ich dostawie pewną rolę. Zakupnem ich i to na Ceylonie, gdzie dla tych skorup znachodzi się główne targowisko, trudnią się przedewszystkiém Anglicy, płacąc za tonę (t. j. 20 ctn.) 1750 – 1875 franków. Ztamtąd też rozwożą je częścią do Siamu: 8000 tych skorup znaczy tam mniéj więcéj 3 franki,— w największéj jednak ilości do Zanzybaru i na wybrzeża Gwinei górnéj, skąd ostatecznie dostaje sie muszla kauri do Sudanu. Sudan jest bo też obecnie największém dla niéj polem zbytu, jako klasyczna właśnie kraina, gdzie muszla ta w znaczeniu monety zdawkowéj (około 2,000 sztuk téj muszli przedstawia wartość 3 fr.) nie tylko cieszy się już zdawna bardzo rozległem wzięciem, ale nadto jeszcze ciągle rozszerza swoje panowanie. Między innemi rozpostarła się niedawno po państwie Bagirmi, a tu i owdzie dotarła już ku południowi średniego biegu rzeki Kongo (4). Jak odległych czasów sięga użycie téj muszli jako monety, nie podobna dziś ściśle oznaczyć; bo że ją znaleziono w przedhistorycznych grobach litewskich i pomorskich, do-

---

(1) The Nature. Vol. 30. 1834, str. 577.

(2) Zeitschrift f. Ethnologie 1885. Verhandlungen d. Gesellschaft str. 276.

(3) Jestto skorupka kształtu jajowatego, 2—3 centimetrów długa, porcelanowa, żółtawa lub biaława.

(4) Mittheilungen der k. k. geograph. Gesell. in Wien 1886, str. 257—259.

wodzić to tylko może, iż ją bardzo wcześnie znano i poszukiwano jako przedmiot ozdobny, a czém jeszcze i dziś być nie przestała np. u kobiet Mordwinów, Czuwaszów, u Arabek w kraju Hadramaut itp. W każdym razie to pewna, że muszla kauri, jak to można wnosić z jéj malajskiéj nazwy „beja“, która znaczy cło, podatek, już w niepamiętnych czasach zdobyć sobie musiała znaczenie miernika wartości, że mianowicie już w IV w. naszéj ery była w obiegu jako taka w Indyach przedgangesowych i że już pierwszych żeglarzy portugalskich u zachodnich wybrzeży Afryki uderzyło użycie jéj tamże w znaczeniu monety (1).

Do téj saméj kategoryi najpierwotniejszych mierników wartości, co kamienie i muszle, można zaliczyć cały szereg innych jeszcze, a równie osobliwych monet, jakoto: kawałki porcelany, opatrzone napisami chińskiemi w państwie Siamskiém; czaszki bawole, tygrysie i małpie u ludu Miszmi w Assamie; paciorki szklane, umyślnie na ten cel sporządzane w Europie, u wielu plemion murzyńskich w środkowéj Afryce jako téż między Indyanami Ameryki południowéj nad rzeką Madejrą; skórę z głowy dzięcioła, nie odartą z pierza, u Kahroków w Kalifornii; zęby haii, używane dawniéj na wyspach Fidżi itp.

Rozumie się samo przez się, że w przeciwstawieniu do tego rodzaju przedmiotów, posiadających nader problematyczną, a w każdym razie bardzo względną użyteczność, bez porównania odpowiedniejszą monetą były lub są jeszcze przedmioty, dające się same przez się w ten lub w ów sposób spożytkować, jako to pewne środki pożywienia, napoje, materye na odzież, pewne materyały służące do wyrobu naczyń i narzędzi lub gotowe już fabrykaty. Taką monetą były np. ziarna kakao w starożytnym Meksyku, a dziś jeszcze ryż na Filipińskiéj wyspie Mindanao. Podobnie uchodził dawniéj w Wirginii tytoń za miernik wartości, a niedawno jeszcze arak w Nowéj Południowéj Walii lub dorsz na Islandyi. Między Mongołami, Tybetanami, Tangutami i poniekąd w Syberyi cieszą się tém znaczeniem sprowadzane z Chin cegiełki pośledniejszéj herbaty, ważące $1\frac{1}{4}$—$1\frac{1}{2}$ funta (2). Zluzowały one też dawne półfuntowe tabliczki soli, których jeszcze za czasów Marka Polo używano jako pieniędzy w Chinach zachodnich i w okolicach jeziora Kukunor. Natomiast zachowała sól znaczenie monety jeszcze po dziś dzień w Abisynii tém łatwiéj, że kraj ten zgoła soli nie posiada i dopiero z wybrzeża Danakilskiego musi ją sprowadzać. Według tego też nawet, czy pewna okolica w Abisyniii leży bliżéj czy daléj tego wybrzeża,

---

(1) R. Addree. Ethnogr. Parall. u. Vergl. str. 233—239.

(2) Russische Revue, 1879, str. 54.

przedstawia ta sama ilość soli to mniejszą, to większą wartość. I tak np. w bezpośredniém sąsiedztwie wybrzeża danakilskiego wyrównywa 100 kawałków soli (po 36 łutów) swą wartością jednemu talarowi Maryi Teresy, nieco daléj ku zachodowi 80, w większéj odległości od wybrzeża 60, w Adoa 40, a w Gandar już tylko 30 takich samych kawałków. W różnych nawet porach roku staje się wartość tych kawałków rozmaitą, według tego mianowicie, czy kawałki te tracą na wadze jak w porze dżdżystéj, czyli też nie. Wprawdzie nie jest już dzisiaj sól głównym w Abisynii miernikiem wartości, jak to jeszcze było na początku XVII wieku, gdy przebywał w tym kraju misyonarz Lobo, bo w najnowszych czasach rozpowszechniła się w Abisynii inna moneta jako panująca, t. j. talar Maryi Teresy. Mimo to i kawałki soli nie wyszły tam jeszcze w zupełności z obiegu. Podobnie utrzymują się jeszcze po części w Abisynii, ale tylko północnéj, w znaczeniu pieniędzy kawałki tkanin bawełnianych, 8 łokci długie, a 1 łokieć szerokie t. zw. Girbab. Daleko szersze jednak użycie jako moneta znajdują wyroby bawełniane w Sudanie, kursując tam obok muszli kauri jako drugi miernik wartości. Nie inne usługi oddawały dawniéj w całéj Gwinei dolnéj t. zw. makuty, t. j. plecionki z włókien palmowych, a Portugalczycy opatrywali je nawet stemplem, celem ściślejszego oznaczenia ich wartości i nadania im tém wybitniejszego charakteru monety. Dziś już tylko na wybrzeżu Loango można się jeszcze spotkać z tego rodzaju miernikiem wartości (1).

Natomiast, skutkiem częstszego w najnowszych czasach obcowania ludów Gwinei dolnej z kupcami europejskimi, wytworzył się tam od niedawna inny rodzaj pieniędzy. Oto krajowcy wyrażają tam cenę swych produktów, głównie kości słoniowéj, ilością strzelb, lubo przez nie nie same tylko strzelby rozumiéć należy, bo nazwa ta ogarnia zarazem cały zbiór najrozmaitszych towarów. W Gabunie np. „jedna strzelba“ obejmuje nie mniéj jak 122 artykuły, a mianowicie: 1 strzelbę, 4 kilogramy prochu, 8 metrów materyi bawełnianéj, 1 koszulę, 4 garści pereł szklannych, 4 sztaby miedzi, 2 talerze, 2 noże, 2 butelki araku, pewną ilość soli i t. p. (2), przyczém jednak zauważyć należy, że im głębiéj w ląd, na tę samę ilość strzelb przypada coraz to mniéj artykułów; czyli, co na jedno wychodzi, wymagania krajowców, daléj od wybrzeża mieszkających, pomniejszają się stopniowo. Nie w saméj wszakże tylko Afryce dostąpiły tkaniny zaszczytu monety. Używali ich bowiem w tém znaczeniu także Czer-

(1) R. Andree, l. c. str. 245—248.

(2) l'Explorateur, 1875, N. 6, str. 124.

kiesi jeszcze przed 60 laty, mianowicie kawałków płótna, dość wielkich, by z jednego można było zrobić koszulę, a dziś pełnią jeszcze usługę monety tkaniny bawełniane na archipelagu wysp Zulu (Sulu) i we wschodniéj Peruwii, podobnie, jak znowu na północno-zachodniém wybrzeżu Ameryki północnéj kołdry wełniane, odkąd je kupcy europejscy zaczęli krajowcom dowozić. Kołdry te wyparły tam właśnie dawniejszą skorupkową monetę zupełnie tak samo, jak u innych plemion indyańskich północnéj Ameryki pierwotne wampuny ustąpiły miejsca futrom, odkąd Europejczycy, zwłaszcza francuscy osadnicy w Kanadzie rozpoczęli na wielką skalę zakupywać je od krajowców. W szczególności dobiły się w ten sposób między Indyanami Ameryki północnéj znaczenia miernika wartości futra bobrowe. Że zaś i tego rodzaju moneta nie należy bynajmniéj do wyjątkowych w świecie, przekonywa fakt, że i w Syberyi zaraz po zetknięciu się Rosyan z krajowcami nie inny wytworzył się i utrzymał jeszcze poniekąd dzisiaj miernik wartości, t. j. futra sobole, podczas gdy niegdyś takiego samego znaczenia monety używały u ludów nadwołżańskich futra kuny (tumaki), a w średniowiecznéj Skandynawii prócz tego jeszcze futra lisie, gronostaje i sobole.

Tém więcéj urozmaiconém przedstawia się to muzeum monet, że nie brak w niém również samych nawet istot organicznych, w szczególności zwierząt domowych, głównie krów, wołów, koni i owiec. Spotykamy naturalnie tego rodzaju mierniki wartości u samych tylko ludów pasterskich lub rolniczych, jako to w okolicy jeziora Kukunor—owce, u wielu plemion murzyńskich nad górnym Nilem białym oraz w kraju Damara — krowy i woły, podczas gdy Osseci na Kaukazie, choć już między nimi kursuje moneta bita, nie pozbyli się jeszcze po dziś dzień dawnego zwyczaju oceniania wartości towarów według ilości krów. Z tych nielicznych przykładów byłby jednak fałszywy wniosek, jakoby zwierzęta domowe należały już w historyi i geografii monet do rzadszych i mniéj rozpowszechnionych mierników wartości. Owszem, w czasach poprzedzających monetę bitą, były właśnie krowy, woły, konie i owce bardzo nawet szeroko rozpostartym miernikiem wartości, jako to w Medyi, Rosyi, u Greków, Rzymian i Germanów, a najwymowniejszém tego świadectwem jest sama rzymska nazwa, służąca do oznaczenia pieniędzy wogóle, t. j. *pecunia* (od pecus=bydło), Co się zaś tyczy początku tego rodzaju monet, to niezawodnie należy go odnieść do samejże kolebki ludów białéj rasy.

Najosobliwsza bez wątpienia, że między istotami organicznemi nie uchronił się sam nawet człowiek od zostania monetą, a dziedziną tego najoryginalniejszego z mierników wartości jak był tak i pozo-

stał głównie świat murzyński, a obok niego poniekąd jeszcze Nowa Gwinea. Prawda, przypadła człowiekowi między Negrami przynajmniéj rola monety grubszéj — w przeciwstawieniu do muszli kauri i tkanin bawełnianych. W Segu np. płaci krajowiec jednego niewolnika za dwa woły, a za konia trzech niewolników (1).

Osobne miejsce w przeglądzie mierników wartości należy się metalom, skoro one to właśnie utorowały bezpośrednio drogę monecie bitéj i to nietylko ze względu, że moneta bita sporządza się z metalów, ale i dla tego, że przy użyciu tychże jako mierników wartości było już prędzéj czy późniéj rzeczą nieuniknioną dzielić je na cząstki, a następnie wagę tych cząstek oznaczać. Nieuniknioném stało się to oczywiście od czasu wynalezienia wag i miar i u wszystkich tych ludów, które w swym rozwoju kulturalnym dostatecznie już były dojrzały, aby mogły dobrodziejstwa podobnego wynalazku ocenić i, zapoznawszy się z tym lub owym systemem wag i miar, przyswoić je sobie lub nawet pod ich wpływem wykształcić własny, odrębny ich system. Nie może nas też zadziwiać, że u ludów barbarzyńskich, nie mających zgoła jakiegokolwiek systemu wag i miar, a nawet ich potrzeby, istniały lub kursują jeszcze jako moneta kawałki metalów o najdowolniejszym ciężarze i o najrozmaitszych kształtach, wprost zastosowanych do tego lub owego ich użycia, jako to w starożytnym Meksyku kawałki miedzi w kształcie litery *T*, na wyspie Borneo wielkie bronzowe lufy armatnie, u ujścia Nigru (w Bonny) kawałki miedzi o kształcie podkowy, u murzynów Bongo kawałki żelaza w kształcie łopaty, u murzynów Djur w kształcie ostrza włóczni, o tym samym kształcie nad średnim biegiem Kongo, gdzie oraz napotkał był Lenz i druty mosiężne, tak jak znowu nad dolnym Kongo druty miedziane (2), w Darfurze kawałki cyny w kształcie pierścieni, podczas gdy nad Senegalem jeszcze pod koniec przeszłego stulecia używały znaczenia monety sztaby żelaza, skąd też poszło, że ilość jakiegokolwiok towaru, równająca się co do wartości jednéj sztabie żelaza, nazywano tam krótko sztabą tego towaru, a więc np. sztabą wódki, sztabą tytoniu i t. p. Nigdzie wszakże w gronie ludów barbarzyńskich nie spotyka się tak charakterystycznego sposobu sporządzania monety jak u ludu Niam-Niam. Wprawdzie i tam jak niegdyś nad Senegalem oddają usługi miernika wartości sztaby metalu, mianowicie sztaby miedzi; ile razy jednak Niamniamczycy widzą się w potrzebie drobniejszéj monety, odłamują z tych sztab mniejsze kawałki i robią z nich pierścienie, które też

(1) R. Andree, l. c. str. 248—250.

(2) Mitth. d. k. k. geogr. Gesell. in Wien. 1886, str. 142 i 257—259.

jako takie używają u nich w stosunku do całych sztab miedzi znaczenia monety zdawkowéj (1). Charakterystyczne to ze wszech miar zjawisko, bo tkwi w niém już, pomimo że Niamniamczycy nie posiadają jakiéjkolwiek umiejętnéj metody odważania metalu—najwyraźniéj idea podzielności monety, która właśnie przewodniczy wszelkiéj monecie bitéj.

W rzeczy saméj dzielenie i ważenie metalu, przyjętego za miernik wartości, były pierwszym warunkiem, jaki spełnić musiano i spełniono, zanim wogóle mogła być mowa o monecie bitéj. Problem ten rozwiązały dopiero, jak się powiedziało, miary i wagi, jako dające właśnie możność zarówno odważać cząstki metalów jak i odmierzać wszelkiego rodzaju towary, temi cząstkami metalu płacone. Skoro zaś wynalazcami pierwszych miar i wag i to nawet w dwóch systemach, dwunastkowym i szesnastkowym, byli Babilończycy, i miary te i wagi dopiero od nich dostały się do Fenicyan, Żydów, Egipcyan, Greków i daléj na zachód, przeto téż nie bez przyczyny spotykamy się u samych tylko cywilizowanych ludów starożytnych, ilekroć razy chodziło o wypłaty, z praktyką odważania przyjętych za monetę kruszców. Tak było w szczególności w Babilonii, Fenicyi, Palestynie, Egipcie, w Grecyi, a jakby zabytek z tych odległych czasów utrzymuje się podobna praktyka jeszcze dzisiaj w Chinach, Birmie, Tonkinie, Kochinchinie, u ludów zamieszkujących góry Hindukusz i u ludu Mandingo w Senegambii (2). W języku niektórych ludów europejskich zachowały się nawet do dziś dnia pewne wyrażenia, wprost pochodzące z czasów, kiedy jeszcze ze sztab metalu odrąbywano drobniejsze cząstki i według ich ciężaru oznaczano wartość towarów. Mianowicie Fińczycy używają ciągle jeszcze wyrażenia „rąbać pieniądze“ w znaczeniu „zmieniać pieniądze“ i nie mniéj nazwa rosyjskiego rubla pochodzi od *rubit'*, t. j. rąbać.

Od téj metody pozostawało już uczynić jeszcze krok tylko, ażeby ostatecznie ideał miernika wartości mógł zostać urzeczywistnionym. Potrzeba było mianowicie do tego, ażeby moneta nie tylko dawała się dzielić na mniejsze cząstki jak metalowa, ale nadto jeszcze, aby była możebnie najtrwalszą, aby była wygodną w użyciu i łatwą do przenoszenia, aby przy małéj stosunkowo objętości i ciężarze reprezentowała największą możebnie wartość i to wartość jak najmniéj narażoną na zmiany, i nareszcie potrzeba było rękojmi, że ten lub ów kawałek metalu jest czystym i rzeczywiście taką posiada wagę, jaką opiewa.

---

(1) R. Andree, l. c. str. 241—245.

(2) Roscher: Nationalökonomik des Handels u. Gewerbflusses. Stuttgart, 1882, str. 195—197 i Andree, l. c. str. 221—225.

Te wszystkie zaś warunki mogła tylko spełnić i spełniła dopiero moneta, sporządzona z najwięcéj właśnie wartościowych i najtrwalszych metalów, t. j. z kruszców szlachetnych, złota i srebra, i opatrzona nadto stemplem władzy publicznéj, który, obdarzając ją jako taki zaufaniem powszechném, czynił przez to samo zbytecznem ciągłe w czasie jéj obiegu odważanie i poddawanie próbie. Te warunki też, w jakie ujrzała się uposażoną moneta bita, zwolniły ją ostatecznie od charakteru towaru (1), jakim jeszcze były i są wszystkie inne mierniki wartości, a podniosły ją do znaczenia *pośrednika zamiennego* między towarami, t. j. do znaczenia prawdziwego pieniądza.

Zdawało by się, że pierwsze monety bite winny się były pojawić tam, gdzie pierwsze właśnie powstały miary i wagi, a więc w Babilonii albo przynajmniéj w drugiém a nie zbyt od niéj odległém ognisku handlowém starożytnego wschodu, t. j. w Fenicyi. Tymczasem ani ludy Mezopotamii, ani Fenicyanie, ani ich sąsiedzi Żydzi i Egipcyanie nie zdobyli się na podobny wynalazek o własnych siłach. Owszem kolebka monety bitéj leżała znacznie daléj ku zachodowi i to najprawdopodobniéj w łonie tego narodu, któremu przypadła jedyna w dziejach rola nie tylko przyjąć dary cywilizacyi starożytnego wschodu i podać je daléj na zachód, ale oraz wykształcić je i pchnąć na nowe tory rozwoju. To przynajmniéj pewna, że jakkolwiek najstarsze znane monety bite są pochodzenia lidyjskiego i datują się z VII w. przed Chr., nie Lidya przecież była ich rozsadnikiem — bo owszem ze względu na monetę bitą pozostała Lidya wyjątkowém państwem w rzędzie wszystkich azyatyckich — lecz Grecya, gdzie już w połowie VI wieku przed Ch. wszystkie niemal większe miasta od Eolidy, Jonii i Dorydy, aż po Sycylię posiadały swe własne mennice (2). Pewna również, że miasta greckie, Teos i Cyzikus, były pierwszemi, które na swych monetach wybijały swoje nazwy, podczas gdy na monetach lidyjskich figurowały dopiero wizerunki lwa i byka. To pewna wreszcie, że podczas gdy pierwsze monety lidyjskie i greckie były jeszcze sporządzane z mieszaniny złota i srebra (z t. zw. elektronu), nie w Lidyi, lecz w Grecyi zaczęto wybijać monety z każdego z tych kruszczów z osobna, — jako to: srebrną monetę w Atenach już w r. 594 przed Chr. i ostatecznie nawet monetę zdawkową z miedzi, jako to w Eginie na początku V wieku przed Chr.

---

(1) Towarem bowiem jest w monecie bitéj tylko kruszec surowy jako materyał służący do jéj sporządzania,—p. H. H. Gibbs „Die Doppelwährung“ (tłóm. z angielskiego). Berlin 1883, str 24.

(2) J. Brandis. Das Münz-, Maas- und Gewichtswezen in Vorderasien bis auf Aleksander d. Gr. Berlin 1866 apud R. Andree, l. c. str. 223—224.

Rozpowszechnienie się użycia monety bitéj za przykładem i inicyatywą Greków było już tylko po prostu rzeczą czasu. Najskuteczniéj oddziałali w téj mierze Rzymianie, u których pierwsza moneta bita pojawiła się za decemwirów. Od Rzymian téż dostała się ostatecznie moneta bita do państw średniowiecznych, a od tych znowu do państw dzisiejszych.

Łatwo zrozumiéć, jak wielkie korzyści odniósł był handel z rozpowszechnienia się monety bitéj i niezbędnych jéj towarzyszów, miar i wag. Oto dawna ogólnikowość i dowolność tak w oznaczeniu cen towarów jak w ich odmierzaniu ustała raz na zawsze, bo zluzowały ją nadal pewne stałe normy i matematyczna ścisłość. W ten sam sposób stały się i wypłaty niezmiernie odtąd uproszczonemi, bo zyskały pewną prawidłowość i nową, na wskróś umiejętną formę. Wszystko to ułatwiło naturalnie w wysokim stopniu wymiany handlowe i musiało się przyczynić do coraz to większego ożywienia się ruchu handlowego. Z drugiéj jednak strony nastała z monetą bitą i pewna nowa dla handlu niedogodność, pochodząca stąd mianowicie, że jak każdy niemal naród wytworzył sobie w kolei czasu własny odrębny system miar i wag, że tak samo każdy niemal wykształcił sobie także odrębny system monetarny, wskutek czego już wcześnie zapanowała niezmierna rozmaitość i chaotyczność tam właśnie, gdzie w interesie handlu winna panować o ile możności największa jednostajność i zgodność. Szczególnie w najnowszych czasach, kiedy przy tyle udoskonalonych środkach komunikacyi weszły narody i państwa w tak ścisłe i zażyłe z sobą stosunki handlowe, zaczęła niedogodność ta coraz dotkliwiéj dawać się we znaki i coraz wyraźniéj rozbudzać dążność do zaprowadzenia w świecie jednostajnych miar i wag i jednego systemu monetarnego. I trzeba przyznać, że ta dążność nie jest już dzisiaj bez walnych owoców. Rozpowszechniający się bowiem z Francyi, gdzie w r. 1792 został najprzód wprowadzonym, system metryczny uchylił już rzeczywiście w znacznéj części pierwotną dowolność w miarach i wagach, panując dziś w Europie we wszystkich państwach z wyjątkiem Anglii i Rosyi, w Ameryce wszędzie prócz Kanady i Stanów Zjednoczonych, a nadto jeszcze w Algieryi, Egipcie i Indyach angielskich (1). I coś podobnego od-

---

(1) Jak wiadomo jednostką miar długości w systemie metrycznym jest *metr* = $^1/_{10000000}$ kwadratu południka ziemskiego; jednostką miar ciężkości *gram* tj. ciężar jednego centimetra sześciennego, wody o 4° Cl.; jednostką miar objętości *litr* tj. decymetr sześcienny. Obok systemu metrycznego tylko jeszcze systemy miernicze angielski i rosyjski obejmują sobą większe obszary ziemi. Angielski panuje bowiem w W. Brytanii, w St. Zjedn., Kanadzie, Australii, kraju Przylądkowym; rosyjski zaś w Rosyi europejskiéj azyatyckiéj.

bywa się na polu monetarném z systemem frankowym. Mimo to przecież utrzymuje się w systemach monetarnych zbyt jeszcze wiele różnic i właściwości lokalnych, aby można już dziś mówić o tryumfie idei ujednostajnienia monety w całym świecie.

Przekonywa o tém najlepiéj sam przegląd obowiązujących dziś w poszczególnych państwach monet (1).

Frank (o 100 centimach) panuje: we Francyi i we wszystkich jéj koloniach (z jedynym wyjątkiem jéj posiadłości w Indyach wschodnich) w Szwajcaryi, Belgii, we Włoszech (jako t. zw. lira=100 centesimi), w Grecyi (jako t. zw. drachma=100 lepta), w Rumunii (jako t. zw. ley=100 bani), w Bułgaryi (jako t. zw. lewa=100 stotinkom), w Serbii (jako t. zw. dinar=100 para), w Hiszpanii (jako t. zw. pesata=100 centavo), w Finlandyi (jako t. zw. marka=100 penni). Prócz tego przyjęły w ostatnich czasach system frankowy prawie wszystkie państwa Ameryki południowéj i środkowéj, a to w ten sposób, że dawne tamtejsze jednostki monetarne zwane „peso" (a w Peruwii „sol") przyjęto=5 frankom (2) a mianowicie: Kolumbia, Ekwador, Peruwia, Chile, Argentyna, Uragwaj, Boliwia, Wenezuela, Gwatemala, S. Salwador, Nikaragwa, Costa-Rica, Honduras (3) i Haiti. Jedna sztuka w złocie à 20 fr. zwie się Napoleon d'orem.

Dolar (à 100 cents=2·5 guldena w. a.=5 fr. 18 cent.) panuje w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnéj, a nadto w Kanadzie, na wyspie Jamajce, na wyspach Hawaii (Sendwich), w rzeczypospolitéj Liberyi (w Afryce) i w Japonii, gdzie dolary noszą nazwę yen'ów. Od tego dolara trzeba odróżnić t. zw. *dolar kupiecki* (Trade-dollar), pod którą to nazwą figuruje dzisiaj w handlu zarówno dawny srebrny piaster hiszpański, zwłaszcza piaster Karola IV (dolar karolowy=2·16 guldenów w. a.) jakotéż i dawny srebrny piaster meksykański (dolar

---

W angielskim jednostką miar długości jest yard (à 3 stopy) = 0.914 metra, jednostką miar ciężkości funt = 453 gramy, a jednostką miar objętości gallon imperial= 4·543 litrów; 8 gallonów tworzy t. zw. bushel (36·347 litrów) używany do mierzenia zboża.

W rosyjskim jednostką miar długości jest arszyn=0·7 metra, jednostką miar ciężkości pud (à 40 funtów)=16·3 kilogr.; ważniejszemi zaś miarami objętości są: dla zboża i innych towarów sypkich czetwert=209·9 litrów i wiadro=12·2 litrów dla płynów.

(1) Następujący przegląd ułożony po części na podstawie dat „Annuaire du bureau des longitudes pour l'an 1881, str. 226 i nastp. po części Ottomara Haupta (L'histoire monetaire de notre temps" Paris-Berlin 1886, passim), po części wreszcie K. Scherzera („Das wirtschaftliche Leben der Völker. Leipzig 1885, str. 749—756).

(2) Jest to jednak tylko nominalna ich wartość, bo faktycznie według ich obecnego kursu wartają tylko 3 fr. 85 ct.

(3) W Honduras panującym jest system frankowy tylko faktycznie, bo urzędownie obowiązuje tam system monetarny angielski.

meksykański=2·19 guldenów w. a.). Znajduje on wyłącznie użycie w handlu z ludami wschodniéj Azyi, zwłaszcza z Chinami i Indo-Chinami.

Dukat. Należy rozróżnić kilka jego rodzajów, jakoto holenderski, austryacki i rosyjski. Wartość ich wynosi od 5·7 do 6 guldenów w. a. Szczególnie ważnym jest dukat rosyjski z holenderskim stemplem, ze względu na jego użycie w handlu persko-rosyjskim. Na dukaty t. zw. metikale albo metgale obliczają wartość także Marokanie; 1 metikal odpowiada wszakże w Marokko tylko 1.32 guld. w. a. czyli 2 frankom i 70 centimów. Jest to tylko idealna moneta, bo osobne sztuki monetarne tego nazwiska nie istnieją. Właściwą zaś jednostką monetarną w Marokko jest srebrny drahem (albo okeat) wartujący 26—27 centimów. Na jeden metikal przypada ich więc 10.

Funt szterling=25 frankom (à 20 szylingów, 1 szyling à 12 pensów) panuje w W. Brytanii, na Malcie, w kraju Przylądkowym i w Natalu, w posiadłościach angielskich w Indyach zachodnich (prócz Jamaiki), w Australii i na Nowéj Zelandyi.

Gulden: a) austryacko-węgierski (=około 2 fr.) w monarchii austro-węgierskiéj, b) holenderski (=2 fr. 10 centim.) w Holandyi i koloniach holenderskich,

Korona (à 100 ore=1 frank 38 centm.=0·67 guld. w. a.) obowiązuje w Danii, Szwecyi i Norwegii.

Marka (à 100 fenigów=1 fr. 25 centim.=0·60 guld. w. a.) panuje w cesarstwie niemieckiém.

Milreis a) w Portugalii (à 1000 reis=5 fr. 60 centim=2·72 guld. w. a.) b) w Brazylii (=2 fr. 83 centim.=1·37 guld. w. a.).

Piaster: a) dzisiejsza jednostka monetarna w Meksyku, gdzie zwie się także „peso", posiada wartość nominalną 5 fr. 43 centim. b) w Egipcie, Turcyi i Trypolitanii (à 40 para=10—11 krajcarów w. a.=0·22—0·25 frank.). 100 piastrów w złocie zwie się w Egipcie sekinem (cekinem=12 guldenom i 45 kr. w. a.), w Turcyi turecką lirą (=11 guldenom 6 kr. w. a.); c) w Tunisie, gdzie jego wartość wynosi 0·61 franka.

Rubel srebrny jest panującą jednostką monetarną w Rosyi i jéj posiadłościach w Azyi. Nominalna wartość jego=4 fr.=2 guld. w. a., faktycznie według obecnego kursu 2½ fr. albo 1 ¹/₅ guld. w. a. Złote sztuki w wartości 5 rubli noszą miano półimperyałów, złoty zaś dukat rosyjski=3 rublom srebrnym.

Rupia panuje w Indyach angielskich; wartość jej wynosi 2 fr. 36 centim., kwota 100.000 rupii nosi miano 1 laka.

Tael (czyt. tehl) w Chinach. Jest to idealna tylko moneta, bo osobnych sztuk bitych tego nazwiska nie ma wcale. Właściwie jest

to tylko jednostka wagi o ciężarze mniéj więcéj 37 gramów,—mniéj więcéj, bo w różnych prowincyach Chin reprezentuje tael różny ciężar. Jednostka ta służy do oznaczania ciężaru sztab srebra, któremi Chińczycy posługują się w większych wypłatach. Jeden tael srebra odpowiada wartości około 7½ frank. czyli około 3 guld. w. a. Jedyną faktyczną monetą chińską jest t. zw. tsien albo li (po angielsku cash, po francusku sapegue); ale i on nie jest bitą, tylko laną monetą i to z mieszaniny cynku, ołowiu, cyny i miedzi, przyczém miedź zajmuje 79%. Na jeden tael idzie tych tsienów od 1400 sztuk (lepszych), —1700 sztuk (gorszych). Moneta ta jest przedziurawioną we środku, aby ją można nawlekać na sznurki. Znajdują się i większe sztuki téj monety, mieszczące w sobie 10, 20, 50 i 100 tsienów. Z Chin rozpowszechniła się ta moneta i po Anamie, Tybecie, Korei i Japonii. Obok tsienów i sztab srebra kursuje także w Chinach i moneta srebrna obcego pochodzenia, jako to stare hiszpańskie i meksykańskie dolary (Trade-dollars). Złotéj natomiast monety nie posiadają Chińczycy zgoła.

Talar, dawna jednostka monetarna w Niemczech, ale i dziś mająca kurs obowiązkowy w wartości 3 marek.

Talar Maryi Teresy zwany także talarem lewanckim; należy on obok dolarów kupieckich do tych nielicznych już starszych monet, które jeszcze do dziś dnia nie wyszły z obiegu. Jak tamte bowiem w handlu z Chinami, Indyami zagangesowemi, tak znowu talar Maryi Teresy ciągle jeszcze oddaje usługi w handlu z ludami Afryki północno-wschodniéj, Sudanu środkowego i wschodniego oraz po części z Arabią. Rozpościeranie się jego po wymienionych okolicach rozpoczęło się niedługo po śmierci cesarzowéj, któréj miano talar ten nosi, a po dziś dzień rozrósł się już obszar jego rozpostarcia nie mniéj jak do 180.000 mil □. Szczególnie panuje on w Bornu, Wadaju, Darfurze, Kordofanie, między koczującą ludnością Egiptu, na obu wybrzeżach Morza Czerwonego, w Abisynii i w Zanzybarze. W Sudanie jest jego monetą zdawkową muszla Kauri, w Bornu np. idzie 140—150 funtów téj muszli na 1 talar Maryi Teresy tj. licząc na 1 funt 32 muszle 4480—4800 sztuk muszli; w Abisynii zaś tabliczki soli. Nie dziw też, że w Wiedniu ciągle jeszcze biją ten talar, obdarzając go przestarzałą datą 1780 r., a nawet nadając mu sztucznie pozór wyszarzały. Nie nowe bowiem lecz właśnie stare i brudne sztuki téj monety znajdują u ludów wymienionych okolic zupełne zaufanie i swobodny obieg. Przekonali się o tém najlepiéj Anglicy w czasie swéj wyprawy do Abisynii w r. 1867; zupełnie bowiem świeże sztuki tych talarów, w jakie się zaopatrzyli z mennicy wiedeń-

skiéj, przyjmowali krajowcy tylko z trudnością i z niedowierzaniem (1).

Tikal w Siamie; pięć sztuk jego równa się trzem dolarom kupieckim.

Toman w Persyi; wartość jego=5½ guld. w. a. albo 11 fr. Obok tomanów kursują jednak w Persyi i niektóre obce monety, mianowicie dukaty rosyjskie z holenderskim stemplem i dukaty austryackie.

Moneta bita, choć spełniła niezawodnie ideał miernika wartości, nie spełniła przecież jeszcze wszystkich wymagań obrotu handlowego. Sama przez się bowiem nie jest jeszcze wyposażoną w nic takiego, coby pozwalało tranzakcyom kupieckim odbywać się i bez konieczności uskuteczniania natychmiastowych wypłat, coby przeto zwalniało kupujących od obowiązku przechowywania jéj ciągle pod ręką lub też od uciążliwości przewożenia jéj każdym razem z miejsca na miejsce, zwłaszcza większéj jéj ilości. Jako taka potrzebowała też najwyraźniéj jeszcze czegoś pomocniczego, coby jéj użycie mogło na razie zastąpić, a więc i ją samą chwilowo wyręczyć i w ten sposób usługi jéj jako środka zamiennego ułatwić i rozszerzyć. Téj potrzebie zaś uczynił dopiero w zupełności zadość *kredyt* i oparte na nim pieniądze papierowe i banknoty.

Ale i te, zanim się mogły pojawić i drugim obok gotówki zostać nerwem handlu, musiały mieć odpowiednio przygotowaną dla siebie glebę a téj użyczyć im dopiero mogła wyższa oświata narodów, skoro ta dopiero uszlachetnia ludzi i rozbudza między nimi wzajemne zaufanie, uczy ich pilności w pracy a umiarkowania w używaniu i stwarza instytucye, stojące na straży bezpieczeństwa życia i mienia. To też nie dziwna, że w świecie starożytnym, pełnym codziennych niemal bezprawiów, zdzierstw i niedowierzania zwłaszcza w stosunkach międzynarodowych, kredyt zgoła jeszcze nie był znanym, że również przedwczesnym lub co najwięcéj wyjątkowym musiał być jeszcze pojawem w społeczeństwach średniowiecznych, tak luźnych w swym składzie i surowych w swych obyczajach, że, choć już w XIII i XIV wieku zaczął kiełkować, nie pierwéj urósł w dojrzały owoc, jak dopiero wśród cywilizacyi nowożytnéj.

Rzeczywiście, pomijając Chiny, gdzie pierwsze pieniądze papierowe pojawiły się już w IX w. po Chr. w formie asygnat, wystawianych kupcom za złożony w bankach kruszec, spotykamy w Europie pierwszą zapowiedź papierowych pieniędzy dopiero w XIII

(1) Bliższe szczegóły, odnoszące się do rozpostarcia geograficznego talara Maryi Teresy zob. w R. Andree'go: Ethnogr. Par. n. Veregl. str. 225—230

i XIV wieku w postaci wekslów. Pojawiły się one najprzod we Włoszech i Niemczech—jako środek, uchylający potrzebę przewożenia większych kwot pieniężnych w gotówce, a podyktowany po części obawą przed rozbojami na ówczesnych drogach, po części względami na trudności, z jakiemi ówczesny transport miał jeszcze do walczenia. We Włoszech również i w tym samym mniéj więcéj czasie, co weksle, wzięły początek i banki, jako instytucya, służąca zarówno do wymiany różnych monet, napływających z najrozmaitszych okolic, jako też do odważania sztab kruszczu, przeznaczonych do wypłat przy większych zamianach handlowych, a które, pochodząc z różnych okolic, bywały według różnego systemu wag sporządzane. Właściwe wszakże rozpowszechnienie się pieniędzy papierowych i banknotów przypada w najnowsze dopiero czasy (począwszy od końca XVII w.) bo wtedy dopiero, przy coraz to większym rozroście tranzakcyi handlowych, dała się coraz dotkliwiéj uczuwać potrzeba środków zamiennych, któreby, przedstawiając znaczne nawet wartości (kwoty pieniężne), dozwalały się mimo to przecież wygodnie, tj. nie zajmując wiele miejsca i nie ciążąc zbytecznie, przechowywać i przenosić.

Wymieniamy osobno pieniądze papierowe i banknoty, albowiem należy rzeczywiście stanowczo jedne od drugich odróżnić. Zasadnicza zaś różnica między niemi polega na tém, że papierowe pieniądze—w Austro-Węgrzech zwiące się „Staatsnoten,“ w Niemczech „Reichskassenscheine“—tylko i wyłącznie ustanawiają i wydają czyli puszczają w obieg rządy, że przeto pieniądze te mają znaczenie przekazów płatniczych do kas rządowych, a jako osobnemi ustawami nakazane, posiadają zarazem zawsze w granicach odnośnych państw kurs przymusowy, co znaczy, że każdy w granicach państw odnośnych podobnie jak kasy rządowe ma obowiązek przyjmować je w wartości, na jaką opiewają; podczas gdy banknoty czyli bilety bankowe (przekazy płatnicze do pewnych banków) mają tylko kurs dobrowolny, bo wydawane są nie przez rządy lecz przez osobne banki, choć najczęściéj do tego przez rządy wyraźnie upoważnione i uprzywilejowane (1). Do takich banków należy np. w Anglii bank angielski (od r. 1844), we Włoszech bank narodowy włoski (od r. 1860) obok 5 innych jeszcze banków, w Austro-Węgrzech od r. 1816 bank narodowy austryacki, noszący od r. 1878 tytuł austryacko-węgierskiego itp. Pomimo wszakże wskazanych różnic między papierowemi pieniędzmi a banknotami, mają rządy w zasadzie te same obo-

(1) Dr. A. Wagner: „System der Zettelbank-politik.“ Freiburg in Br. 1873 str. 5 i nast.

wiązki co i banki tak co do ścisłego przestrzegania ilości wydawanych papierów jak i co do ich wymiany na gotówkę w każdéj chwili. Tylko w wyjątkowych wypadkach nie przestrzegają rządy tych obowiązków, a mianowicie gdy wypadnie im zaciągnąć większe długi, czyli co na jedno wychodzi—pomnożyć zbytecznie ilość papierowych pieniędzy w stosunku do ilości gotówki, służącéj im na pokrycie. Jeżeli—co właśnie najczęściéj się praktykuje—ten lub ów rząd zaciąga swe pożyczki w bankach, które właśnie posiadają upoważnienie do wydawania banknotów, to naówczas otrzymują banki te oczywiście i prawo puszczania w obieg odpowiedniéj ilości banknotów, a rząd nadaje wtedy tym banknotom kurs przymusowy, tj. podnosi je do znaczenia pieniędzy papierowych.

Już sama okoliczność, że panujące dziś w świecie cywilizowanym środki zamienne występują w trzech różnych formach, tj. jako bite z kruszcu szlachetnego i jako papierowe, pierwsze zaś jako srebrne i złote, zniewala nas przyjrzéć się bliżéj wzajemnemu tych pieniędzy stosunkowi i znaczeniu tak w ogóle jak w poszczególnych państwach. W szczególności nasuwają się następujące pytania do bliższego rozbioru:

a) które z tych trzech rodzajów pieniędzy są w poszczególnych krajach panującemi?

b) jakim jest stosunek wartości monety złotéj do srebrnéj i *vice versa*?

c) w jakim przedstawia się stosunku ilość monety bitéj do ilości pieniędzy papierowych i banknotów w poszczególnych krajach i we wszystkich razem?

Co się tyczy pierwszego z tych pytań, to należy przedewszystkiém zaznaczyć, że stosunki monetarne téj natury, w których by wszystkie trzy rodzaje pieniędzy używały razem i jednocześnie równorzędnego znaczenia, są wprost niemożebnemi, a to z powodu, że pieniądze papierowe lub banknoty pełnią w obiegu pieniężnym jedynie usługi monety zastępczéj i posiłkowéj. Tém mniéj naturalnie mają warunków do odgrywania roli samoistnego miernika wartości same tylko pieniądze papierowe lub banknoty. Ztąd téż w zasadzie może być właściwie tylko mowa o trzech ewentualnościach w stosunkach monetarnych państw poszczególnych, tj. albo w jednych może być uznaną za obowiązujący miernik wartości i środek wypłat, moneta złota, albo w innych moneta srebrna, albo w innych jeszcze moneta złota i srebrna razem obok siebie. Skoro zaś rodzaj monety, ustanowiony przez władzę publiczną jako powszechnie obowiązujący środek wypłat, zwie się *walutą* (etalon, standard, Währung), przeto może być tylko w poszczególnych państwach mowa

o trzech rodzajach waluty tj. albo o walucie złotéj, albo o walucie srebrnéj, albo téż o złotéj i srebrnéj razem. Gdzie panuje bądź to złota, bądź srebrna waluta, tam, powiadamy, obowiązuje monometalizm czyli waluta pojedyncza, gdzie zaś obie razem obok siebie, tam bimetalizm, czyli waluta podwójna. Nie wyklucza wprawdzie i waluta złota używania monet srebrnych, podobnie jak i waluta srebrna monet złotych. W tém jednak zachodzi zasadnicza różnica między walutą pojedyńczą a podwójną, że przy walucie pojedyńczéj monety, obce téj walucie, ani nie mają siły prawa obowiązującéj w wypłatach, ani téż ustalonéj wartości i z tego powodu są właściwie prostym tylko towarem, którego cena każdéj chwili jest zależną od podaży i popytu; podczas gdy przy walucie podwójnéj oba rodzaje monet, tj. tak złota jak i srebrna, zupełnie równorzędne co do swego charakteru posiadają znaczenie i celem zachowania téj swojéj równorzędności potrzebują tylko, aby stosunek wartości jednego kruszcu do drugiego był stale oznaczonym czyli, innemi słowy, aby ustawa stale naznaczała, ile jednostek wagi srebra ma odpowiadać jednostce wagi złota.

Innych walut ponad wymienione trzy rodzaje nie znaleść. Bo choć wprawdzie w wypadkach wyjątkowych, jak np. w razie wielkiego zadłużenia się tego lub owego państwa, przyjmują i pieniądze papierowe pozornie charakter waluty (papierowéj), a czego najlepszym objawem jest, że na ówczas kasy rządowe lub banki, w których państwo dług zaciągnęło, zwolnione są od obowiązku wymieniania swych asygnat na gotówkę, to przecież pieniądze papierowe nie mogą nigdy dzierżyć znaczenia istotnéj waluty, bo właśnie z istoty swéj są tylko monetą zastępczą i posiłkową w obiegu pieniężnym. Dlatego téż i w tych wyjątkowych wypadkach obowiązuje—przynajmniéj nominalnie, inna a nie waluta papierowa. Również i drobna czyli zdawkowa moneta, bita z kruszców nieszlachetnych jak miedź, bronz i nikiel (1) nie może być podniesioną do znaczenia waluty, bo i ona posiada tylko charakter monety posiłkowéj, a nadto i w pewnym stopniu idealnéj z powodu, że jéj nominalna wartość, pod jaką kursuje, nie odpowiada zgoła faktycznéj wartości zawartego w niéj metalu. Właśnie téż z tych względów moneta zdawkowa nie ma innego zadania, jak tylko *przedstawiać* ułamki i cząstki monety, używającéj znaczenia waluty.

---

(1) Bronzowa moneta zdawkowa znachodzi się: we Francyi, Anglii, Belgii, Hiszpanii, Włoszech, w Danii, Swecyi, Norwegii, w Grecyi, Bułgaryi, Egipcie i w Argentynie. Niklowa zaś w Niemczech, Belgii, Szwajcaryi, Serbii, w St. Zjedn. Brazylii, Boliwii, Kolumbii, Ekwadorze, na Jamaice i w Egipcie. p. O. Haupt: „l'Histoire monetaire de notre temps" (Paris-Berlin 1886) passim.

Na dzisiejszą rozmaitość walut złożyły się trzy główne czynniki:

α) w jednych państwach sama siła zwyczaju i tradycyą uświęcona praktyka, a poczęści także brak dostatecznéj własnéj produkcyi złota. Należą tu np. takie państwa jak cesarstwo indyjskie i Chiny, mające walutę srebrną;

β) w innych państwach niepomyślny stan finansów, który jako taki nie tylko nie dozwala im przystąpić do reformy stosunków monetarnych, ale niekiedy nawet zniewala je do wydawania nadmiernéj ilości pieniędzy papierowych, przez co te przyjmują pozór waluty. Należą tu np. Austro-Węgry i Rosya, o obowiązującéj w zasadzie walucie srebrnéj.

γ) w innych wreszcie państwach polityka, oparta bądź to na pewnych teoretycznych założeniach, bądź téż znowu na pewnych praktycznych względach i widokach. Téj polityce właśnie zawdzięczają w najnowszych czasach swój początek waluta złota i bimetalizm i jéj również należy przypisać walkę, jaka w ostatnich dziesiątkach lat między obrońcami tych dwóch systemów waluty zawrzała.

Argumenty, na których się wspierają i któremi walczą zwolennicy waluty złotéj, obracają się głównie około tych pewników, że złoto z pomiędzy wszystkich kruszców posiada największą trwałość i największą wartość a przez to samo niezaprzeczoną wyższość nad monetą srebrną; że daléj wobec niezmiernego wzrostu w najnowszych czasach zamian handlowych i kwot wypłacanych, srebro, jako kruszec tańszy od złota, stało się poniekąd już monetą drobną; że prócz tego jeszcze srebro w ostatnich latach skutkiem gwałtownego wzmożenia się jego produkcyi znacznéj uległo deprecyacyi i ciągle jeszcze jéj ulega, podczas gdy produkcya złota od czasów odkrycia nowych jego kopalni w Kalifornii i Australii bez porównania więcéj miarowym odbywała się krokiem, a w ostatnich czasach nawet zaczęła się zmniejszać, że przeto w takim składzie rzeczy nie podobna nawet myśléć, aby się dał utrzymać pewien stały stosunek wartości złota do srebra, a tém samém i bimetalizm, z konieczności zniewolony na takim właśnie opierać się stosunku.

Inaczéj brzmią wywody bimetalistów. Nie tają i oni sobie naturalnie, że teoretycznie najlepszą byłaby waluta złota, ale tém lepiéj jeszcze oceniają tę prawdę i ten fakt niezaprzeczony, że praktyka wieków uświęciła już z dawna srebro w tém samém znaczeniu miernika wartości i waluty, jakieby obrońcy waluty złotéj radzi byli wyłącznie rewindykować dla złota; że więc srebro, jako takie, nie da się już zgoła swojéj roli pozbawić, zwłaszcza, że w pewnych krajach jak było tak i pozostało jedyną walutą, i z tego stanu rzeczy wypro-

wadzają wniosek, że o zaprowadzeniu w całym świecie jednéj i jedynéj waluty złotéj nie podobna marzyć, że zatém praktycznie najodpowiedniejszym i jedynie wskazanym jest tylko bimetalizm. Tém więcéj jeszcze, powiadają jego zwolennicy, dyktują go względy praktyczne, że on dopiero i on wyłącznie, po zaprowadzeniu go wszędzie, usunąłby stanowczo i raz na zawsze chwianie się stosunku wartości jednego kruszcu do drugiego, skoro w chwili najmniejszego nadwyrężenia tego stosunku musiałby natychmiast ze strony dłużników wzrość popyt na tańszy kruszec, a ustać popyt na kruszec podrożały, coby znowu zaraz poprzedni stosunek wartości obojga kruszców przywróciło. Wreszcie, co nie mniéj ważna, jeźli dziś przyszło do niebywałego zdrożenia złota, czego przyczyny zajmą nas nieco niżéj, i wskutek tego do niezmiernéj obniżki cen pracy i produktów, i jeźli obniżka ta jeszcze większe musiałaby przybrać rozmiary, gdyby nagle wszystkie państwa zaprowadziły u siebie walutę złotą, to tylko jeden bimetalizm byłby w stanie i téj obniżce i wyniklemu ztąd a tak dziś w całym świecie dotkliwemu przesileniu ekonomicznemu skutecznie zapobiedz. Jedynie tylko jako wyjątkowe w tém lub owém państwie zjawisko nie byłby bimetalizm zdolnym sprowadzić z sobą dobrodziejstw, o których mówimy. Bo naówczas ani nie byłby dla odnośnego państwa korzystnym, skoro wszyscy dłużnicy płaciliby naturalnie swe długi w kruszcu tańszym tj. srebrze, ani też nie dałby się wogóle w takiém wyjątkowém państwie utrzymać, skoro prędzéj czy późniéj podkopałby go spadek wartości srebra, zrządzony wyzbywaniem się tegoż przez państwa o walucie złotéj. I w tém też powód, dlaczego jedynym i najważniejszym warunkiem bytu dla bimetalizmu jest, aby go wszędzie przyjęto, czyli ażeby został powszechnie panującym w świecie systemem waluty (1).

Pomimo jednak, że bimetalizm tak wszechstronnym wydaje się odpowiadać wymaganiom i z tego powodu wprost przez najzawołańszych ekonomistów dzisiejszych jest głoszony i polecany jako najzbawienniejszy rodzaj waluty, daremnie jeszcze szukalibyśmy dzisiaj państw, któreby, sprzymierzywszy się między sobą, chciały wziąć inicyatywę w wielkiém dziele jego urzeczywistnienia. Na razie owszem panuje inna w dzisiejszym świecie tendencya, bo właśnie dążność do zaprowadzenia wszędzie monety złotéj jako podstawo-

(1) Porów. W. H. Gibbs: „die Doppelwährung“ Berlin 1883; M. Frewen: „Zmniejszenie się ilości złota i przesilenie w handlu. (z angiel. tłóm.) Lwów 1885.—O. Haupt: „L'histoire monetaire de notre temps, str. 3—18.—Dr. J. Milewski: „Obecny stan kwestyi monetarnéj“ w „Przeglądzie polskim“ w zeszycie październłkowym r. 1886.

wéj. Szczególnie wzięła ta tendencya górę od czasu przejścia Niemiec, Stanów Zjedn. i państw skandynawskich do waluty złotéj i — co za tém poszło — od zaniechania dalszego bicia monety srebrnéj w państwach łacińskiego związku monetarnego, t. j. od okresu lat 1871—1876. Z tém wszystkiém, nie można bynajmniéj jeszcze powiedziéć, aby waluta złota, chociaż na razie zwrot do niéj niezaprzeczenie przeważa, odniosła już była stanowczy tryumf. Przeciwnie, na polu waluty zapanowała obecnie bez mała we wszystkich państwach cywilizacyi zachodniéj niepraktykowana dotychczas chwiejność, połowiczność i wyczekiwanie. Same nawet Niemcy i Stany Zjednoczone, od których właśnie wyszło niejako hasło, nawołujące inne kraje do waluty złotéj, powstrzymują się z zupełném i dosłowném zaprowadzeniem jéj u siebie. O téj chwiejności, jak wogóle o niebywałéj mozaice w dzisiejszych stosunkach monetarnych, świadczy najwymowniéj sam przegląd obowiązujących w poszczególnych państwach walut.

Jedna tylko W. Brytania jest wolną od téj chwiejności, posiadając już od stu lat blisko ustaloną walutę złotą. Jak w całym świecie starożytnym i średniowiecznym tak i w Anglii obowiązywała pierwotnie waluta srebrna. Z nastaniem dopiero czasów nowożytnych zluzował ją w Anglii bimetalizm, który wszakże od 1665—1717 znowu ustąpił miejsca walucie srebrnéj, a ostatecznie walucie złotéj, która — pod koniec XVIII wieku — najprzód faktycznie a od r. 1816 obowiązkowo została wprowadzoną. Jako taka dostała się waluta złota i do wielu kolonii angielskich, a mianowicie do kraju Przylądkowego, do Natalu, do Malty, do Australii, Nowéj Zelandyi i do Kanady, lubo w tym ostatnim kraju została wprowadzoną nie według systemu funtów szterlingów, lecz na wzór Stanów Zjednoczonych północnéj Ameryki według systemu dolarowego.

Z wyjątkiem jednéj Portugalii, która w r. 1854 przeszła z waluty srebrnéj do złotéj, długo żadne z państw kontynentu europejskiego nie myślało o naśladowaniu Anglii. Dopiero gdy przyszło do zwołania międzynarodowéj konferencyi monetarnéj w Paryżu r. 1867, objawiły się między większością reprezentantów mocarstw zdania, przychylne wprowadzeniu waluty złotéj, a decydującą tego przyczyną był ówczesny ustawicznie z roku na rok zwiększający się wzrost produkcyi złota, a więc niezłomne przekonanie, że zasoby złota na wszystkie potrzeby państw europejskich wystarczą. Między Francyą i Austryą przyszło wtedy nawet do zawarcia traktatu, mocą którego oba te państwa przyrzekały sobie wzajemnie przystąpić ewentualnie do zaprowadzenia u siebie waluty złotéj. Wojna jednak francusko-niemiecka 1870—1871 pokrzyżowała te plany i za-

miary, a natomiast w Niemczech rozwarła nagle szerokie do wprowadzenia waluty złotéj podwoje. W kraju tym, chociaż w poszczególnych państwach dawnéj rzeszy niemieckiéj obowiązywała tylko waluta srebrna, panował faktycznie w pierwszych dziesiątkach tego wieku bimetalizm, skoro obok monety srebrnéj bito i złotą według pewnego stałego kursu. Dopiero konwencya monetarna, zawarta między państwami rzeszy w Dreźnie r. 1838 położyła temu koniec, ustanawiając walutę srebrną, jako jedynie obowiązującą. Na podstawie téj waluty przyszło téż w r. 1857 do zawarcia między Niemcami i Austryą traktatu monetarnego. Gdy jednak wskutek wojny niemiecko-austryackiéj w r. 1866 traktat ten został zerwany, a po wojnie francusko-niemieckiéj wpłynęła do Niemiec kontrybucya wojenna w olbrzymiéj ilości 5 miliardów franków, ujrzało cesarstwo niemieckie swą finansową podstawę zbyt wzmocnioną, aby nie miało pomyśléć natychmiast o zaprowadzeniu waluty złotéj. To téż bezwłocznie uskuteczniły to odnośne ustawy z r. 1871 i 1873, lubo faktycznie nie spełniono ich litery jeszcze po dziś dzień z całą stanowczością, skoro nie odjęto w zupełności i dawnym srebrnym talarom znaczenia waluty, lubo ich ilość znacznie pomniejszono.

Tuż śladem Niemiec poszły w latach 1872 i 1873 państwa skandynawskie, t. j. Szwecya, Norwegia i Dania, mające poprzednio walutę srebrną, a zaprowadzając walutę złotą, zawarły zarazem między sobą traktat monetarny w téj mierze.

W rzędzie państw europejskich, które przeszły do waluty złotéj, stanęła wreszcie w roku 1877 i Finlandya.

Ale także i Holandya, jako téż państwa t. zw. łacińskiego związku monetarnego mogą już być dzisiaj wliczone do krajów o panującéj monecie złotéj przynajmniéj faktycznie. Holandya bowiem po pierwotnéj walucie srebrnéj (do r. 1825), następnie bimetalizmie (do r. 1847) i znowu walucie srebrnéj (od r. 1847) ujrzała się ostatecznie w 1875 spowodowaną, wskutek reform monetarnych w Niemczech i państwach Skandynawskich, przyjąć nadal w zasadzie walutę złotą a zawiesić bicie monety srebrnéj. Również i w państwach łacińskiego związku monetarnego zaszły w ostatnich latach wypadki, nadwyrężające dotkliwie obowiązujący u nich bimetalizm. W myśl mianowicie zawartego w r. 1865 związku monetarnego między Francyą, gdzie już od r. 1803 obowiązuje bimetalizm, a Belgią, Włochami Szwajcaryą i niedługo potém Grecyą i Rumunią stał się we wszystkich tych państwach obowiązującym bimetalizm i to według jednego i tego samego stosunku wartości złota do srebra (to jest stosunku 1 : 15½). Tymczasem już niedługo po zawarciu tego związku oka-



zało się, iż ten stosunek wzajemnéj wartości obu kruszców nie da się bynajmniéj stale utrzymać. Właśnie bowiem na targach światowych dały się coraz większe uczuwać zmiany co do stosunkowéj wartości złota i srebra, a mianowicie wystąpiła wyraźnie tendencya do coraz to większego obniżania się wartości srebra. Skoro téż wskutek tego zaczęła do państw łacińskiego związku monetarnego napływać w coraz to większéj ilości moneta srebra i gdy szczególnie wzmógł się tu napływ po przejściu Niemiec i państw Skandynawskich do waluty złotéj, a więc po zdemonetyzowaniu w tych państwach ogromnych ilości srebra, ujrzały się państwa łacińskiego związku ostatecznie zniewolone najprzód coraz to bardziéj ograniczać u siebie ilość mającéj się bić monety srebrnéj, a w r. 1876 zupełnie nawet zaprzestać jéj bicia. W podobnym zaś składzie rzeczy wypada i te państwa, chcć *de jure* o obowiązującéj walucie podwójnéj, poczytać za kraje o panującéj faktycznie walucie złotéj.

To samo mniéj więcéj można powiedzieć i o Hiszpanii, gdzie wprawdzie od r. 1868 obowiązuje bimetalizm, ale wskutek ograniczenia ilości mającéj się bić monety srebrnéj w r. 1876 skrępowany, a więc i wielce problematyczny. Wreszcie i w Turcyi panuje rażąca niezgoda między obowiązującym *de jure* bimetalizmem (od r. 1844) a faktyczną przewagą monety złotéj.

We wszystkich innych natomiast państwach europejskich utrzymuje się z dawniejszych czasów po dziś dzień jeszcze jako podstawowa waluta srebrna, a więc w Austro-Węgrzech i Rosyi, których przykład oddziałał także na stosunki monetarne nowokreowanych państw bałkańskich, Serbii i Bułgaryi.

Jak w Europie tak i w państwach poza-europejskich nie szukać dzisiaj jednéj powszechnie obowiązującéj waluty. Jeszcze najwięcéj w téj mierze jednolitości przedstawiają kraje Azyi, bo tam z wyjątkiem krajów wchodzących w skład państwa Tureckiego, oraz Filippin, gdzie obowiązuje waluta złota, i prócz Japonii, gdzie w roku 1871 wprowadzono bimetalizm, jako téż Indyi holenderskich, gdzie on również obowiązuje, wszędzie zresztą panującą jest waluta srebrna, a mianowicie w Persyi, gdzie wprawdzie urzędownie obowiązuje złota, faktycznie jednak srebrna, w całych Indyach angielskich, Indyach zagangesowych, w Chinach i w Rosyi azyatyckiéj. W Afryce panuje częścią waluta złota, jak w koloniach angielskich i od r. 1885 w Egipcie, częścią srebrna, jak w Trypolitanii, Tunisie i Marokko, jako téż w okolicach, gdzie kursuje talar Maryi Teresy, częścią bimetalizm, jak w posiadłościach francuskich. W Australii, jako w kolonii angielskiéj, panuje waluta złota. W Ameryce zaś obowiązuje częścią srebrna, jak w Meksyku, Kolumbii, Ekwadorze, Pe-

ruwii, Boliwii, w Chile i Paragwaju; częścią złota, jak w Brazylii. Uragwaju, Argentynie, na wyspie Kubie i w Kanadzie; a częścią bimetalizm, jak na wyspie Haiti, w Gwatemali, San Salwador, Nikaragwie, Kostaryce, w Honduras, Wenezueli i w Stan. Zjednoczonych północnéj Ameryki. W ostatnim z tych krajów został już niedługo po ukonstytuowaniu się rzeczypospolitéj (t. j. w r. 1792) wprowadzonym bimetalizm, ale charakter jego był nader chwiejnym, bo najprzód posiadała faktyczną przewagę waluta złota, a potém podczas i po wojnie domowéj moneta papierowa. Wprawdzie w roku 1873 ogłosiły Stany Zjedn. jako obowiązującą u siebie walutę złotą i ta jest nawet po dziś dzień faktycznie panującą, jednakże w roku 1878 wskutek agitacyi ze strony producentów srebra wprowadzono znowu mocą t. zw. blandbilu walutę podwójną (według stosunku wartości złota do srebra 1:15·9) (*).

Jak widzimy, zachodzą rzeczywiście na razie między poszczególnemi państwami bardzo walne różnice co do rodzaju obowiązującéj w nich waluty, pomimo, że w ostatnich kilkunastu latach stala się tak wyraźną tendencya do zapanowania wszędzie jednéj i to złotéj. Skoro zaś ta dążność główny dla siebie znajduje komentarz w stopniowém, a od dłuższego już czasu odbywającém się spadaniu wartości srebra w stosunku do złota, przeto przypatrzmy się z kolei przyczynom, które sprawiły, że stosunek wartości tych metalów nigdy właśnie bardziéj jak dzisiaj nie stał się chwiejnym i zmiennym, a dla srebra mniéj korzystnym.

Górującą po nad innemi przyczyną, dla któréj stosunek wartości złota do srebra nie może być stałym i trwałym, jest okoliczność że złoto i srebro, choć przyjęte raz nazawsze za zasadnicze mierniki wartości, same jako materyał, z którego sporządza się monetę, tym samym podlegają prawom ekonomicznym, co każdy inny towar, to jest zależą w swojéj cenie od podaży i popytu. To znaczy, że im więcéj pozyska się jednego z tych kruszców i im więcéj pojawia się go przez to samo na targach pieniężnych w porównaniu z drugim, tém więcéj wskutek wzrostu téj podaży traci on na swéj wartości, a natomiast w tym samym stopniu cena drugiego wzrasta. Ręka w rękę idzie z tém i druga okoliczność, t. j. ta, że produkcyi złota i srebra, jak wogóle wszelkiéj produkcyi, nie podobna przepisać i narzucić pewnéj stałéj miary, albo innemi słowy, że nie podobna jéj unormować tak, iżby zawsze w stałym ilościowym pozostawała stosunku i jednego kruszcu do drugiego i do każdorazowéj ich obu potrzeby.

(*) Por. O. Haupt: L'histoire monetaire de notre temps—passim; F. Hertzka: Währung u. Handel. Wien 1876, str. 243 i nast.

czyli popytu. Ztąd więc może raz produkcya złota wziąć stosunkowo górę nad produkcyą srebra, innym razem produkcya srebra znacznie przewyższyć produkcyą złota i ztąd w dalszym ciągu musi ta nierównowaga w produkcyi obu kruszców pociągać za sobą nieuchronne zmiany w stosnnkach ich popytu i ofiarowania, a tém samém w stosunkach ich wzajemnéj wartości. Zrozumiałą staje się téż wobec tego rzeczą, że gdy po odkryciu Ameryki zaczęły do Europy napływać coraz to nowe ilości kruszców szlachetnych, a mianowicie srebro w większéj stosunkowo obfitości, niźli złoto, że wskutek tego poprzednio obowiązujący stosunek wartości złota do srebra 1:10·5 — tak dalece uległ zmianie w ciągu XVI i XVII wieku, iż na początku XVIII stulecia przedstawił się już jak 1:15·2 (*). Nie dziwne również, że gdy w ostatnich dziesiątkach lat nastała jeszcze większa nierównowaga między produkcyą złota z jednéj a produkcyą srebra z drugiéj strony, musiał i stosunek wartości obu tych kruszców do siebie uledz dalszym, a jeszcze gwałtowniejszym zmianom. Szczególnie od r. 1863 zwiększyła się produkcya srebra w tak niebywały sposób, że odtąd rok rocznie w przecięciu przybywało i przybywa srebra na targi pieniężne o 100,000 kilogram. więcéj, niż w latach poprzednich, podczas gdy przeciwnie roczna produkcya złota w tym samym czasie zwłaszcza od r. 1871, a jeszcze wybitniéj od r. 1878 stopniowéj doznała obniżki (1).

Gdyby w ostatnich dwóch dziesiątkach lat popyt na srebro zwiększał się był mniéj więcéj odpowiednio do tego gwałtownego wzrostu jego produkcyi, nie potrzebowałby zapewne stosunek wartości jego do złota uledz jakiejkolwiek dotkliwszéj zmianie. Tymczasem właśnie w ciągu ostatniego dwudziestolecia cały szereg czynników złożył się na to, że w miarę jak produkcya srebra wzrastała, potrzeba jego stawała się właśnie jednocześnie coraz mniejszą, a natomiast potrzeba złota coraz większą. Do tych czynników należy zaś przedewszystkiém dokonana między rokiem 1871 a 1876 reforma monetarna w Niemczech, Stanach Zjednoczonych, Holandyi i państwach skandynawskich na rzecz waluty złotéj, jako téż jednocześnie ograniczenie ilości mającéj się bić monety srebrnéj w państwach łacińskiego związku monetarnego łącznie z przejściem Włoch w roku 1881 do wypłat gotówką w miejsce poprzedniego przymusowego kursu pieniędzy papierowych. Przez to bowiem podskoczył np. w Niemczech zasób monety złotéj z 91 milionów marek, ile jeszcze wynosił w r. 1871, na 1800 mil. marek, jak dzisiaj;

(*) Scherzer: D. wirtschaft. Leben d. Völker. Leipzig 1885, str. 662.

(1) Neumann-Spallart: Übersichten der Weltwirtschaft. Stuttgart 1884, str. 347.

Tadeusz Kowalski

w Stanach Zjednoczonych ze 180 milionów dolarów (w roku 1875) na 630 mil. dolarów; a we Włoszech z 215 mil. franków (w r. 1881) na 700 milionów franków (1). Nie obojętną wszakże rolę w tém zmniejszaniu się potrzeby srebra odegrywał i fakt, że właśnie w latach ostatnich zmniejszył się także i wywóz srebra do Azyi, mianowicie do Indyi angielskich, a powiększył się natomiast wywóz złota.

Indye przedgangesowe, jako nieposiadające znaczniejszych źródeł do własnéj produkcyi kruszców szlachetnych były już od najdawniejszych czasów okolicą, ku któréj za rodzime jéj płody surowe napływał z Zachodu kruszec szlachetny. Szczególnie spotęgował się ten napływ zwłaszcza srebra do Indyi przedgangesowych, gdy takowe dostały się pod panowanie angielskiéj wschodnio-indyjskiéj kompanii kupieckiéj i gdy wskutek tego handlowe stosunki z Indyami niepospolicie się wzmogły, nadewszystko zaś, gdy kompania ta zaprowadziła w Indyach srebrne rupie, które téż po dziś dzień pozostały tam obowiązującą walutą. O rozmiarach tego napływu kruszców szlachetnych do Indyi najlepiéj przekonywa fakt, iż w ciągu ostatnich lat 50 (1831—1880) z całego wywozu kruszców szlachetnych z Europy do Azyi, cenionego na 1950 milionów fr. w złocie i 8775 mil. fr. w srebrze, największą część właśnie pochłonęły Indye przedgangesowe. Podczas gdy jednak początkowo odpływało srebro w znacznie większéj ilości niż złoto, — jeszcze między rokiem 1851 a 1866 wywożono srebra rocznie w wartości 225 milionów franków, a złota tylko w wartości 50 mil. fr.— to natomiast w ostatnich latach dwudziestu zmienił się już ten stosunek tak dalece, że między r. 1866 a 1874 wywożono rocznie srebra tylko na 112 mil. fran. a złota na 78 mil. fr., w latach zaś 1881, 82 i 83 wzrósł nawet roczny wywóz złota do wysokości 125 mił. fr., srebra zaś tylko do 188 mil. frank. Spowodowanym zaś był ten wzrost odpływu złota do Indyi tém, że Indye angielskie zaciągnęły w ostatnich latach w Anglii wielkie pożyczki na budowę kolei żelaznych, a od tych pożyczek muszą naturalnie płacić procenta w złocie, jako obowiązującéj w Anglii walucie. Wprawdzie ani ten wzrost wywozu złota, ani téż zmniejszenie się wywozu srebra do Indyi nie przedstawiają się same przez się zbyt wielkiemi; w każdym razie, dodane do przyczyn wyżéj wymienionych, wpłynęły i ze swéj strony niepoślednio na powszechne w świecie zmniejszenie się potrzeby srebra z jednéj, a na zwiększenie się potrzeby złota z drugiéj strony.

Jeżeli w końcu dodamy do tego, że w myśl obliczeń Soetbeera, przemysł jubilerski w tym samym okresie czasu pochłonął znacznie

(1) O. Haupt, l. c. str. 27.

większe ilości złota niż dawniéj, a stosunkowo znacznie mniéj srebra — w ciągu lat 1871—1880 blisko połowę całéj produkcyi złota, a tylko $^1/_5$ produkcyi srebra, — to pojmiemy, dlaczego ostatecznym tych wszystkich przytoczonych wypadków stało się wynikiem, że podczas gdy jeszcze w 1862 stosunek wartości złota do srebra przedstawiał się jak 1 : 15·36, to już

w roku	1866	jak	1 : 15·44
„	1867	„	1 : 15·57
„	1873	„	1 : 15·90
„	1875	„	1 : 16·63
„	1876	„	1 : 17·58
„	1879	„	1 : 18·40
„	1883	„	1 : 18·65
a w czerwcu	1876 przedstawiał się nawet chwilowo	„	1 : 20·20 (*)

Bez porównania jeszcze mniéj stałym i trwałym aniżeli stosunek wartości złota do srebra jest stosunek ilości pieniędzy papierowych i banknotów do ilości monety kruszcowéj zarówno w poszczególnych krajach jak wogóle w całym świecie. Pominąwszy już bowiem okoliczność, że każde państwo może w razach wyjątkowych znacznie powiększyć ilość pieniędzy papierowych, t. j. puścić w obieg znacznie większą ich ilość, niżeli posiada w swych kasach monety kruszcowéj na ich pokrycie i zapewnić im kurs przymusowo, rozstrzyga przedewszystkiém o stosunku ilościowym pieniędzy papierowych i banknotów do monety kruszcowéj stan powszechnego kredytu, który z istoty swéj równie jest chwiejnym, jak chwiejną jest żywotna jego podstawa, t. j. stan gospodarstwa poszczególnych narodów i wszystkich razem. Nie tu miejsce wdawać się w szczegółowe wywody, jakie to przyczyny składają się na to, że w rozwoju gospodarstwa narodów pojawiają się od czasu do czasu jak gdyby chroniczne choroby: gwałtowne przerwy, zastoje i przesilenia handlowe. Na razie dość nam tylko powołać się na te przesilenia i zastoje w gospodarstwie i handlu poszczególnych narodów lub całych nawet ich grup, ażeby zrozumiéć, że każde z tych przesileń, spro-

(*) Neumann-Spallart: Übersichten d. Weltwirtschaft str. 347—369. Nie obojętném wprawdzie jest także zużywanie się monety złotéj i srebrnéj przez ścieranie się ich w obiegu, ale czynnik ten jest już bez wpływu na jakąkolwiek zmianę stosunku wartości złota do srebra, a to z powodu, że zużywaniu się temu podlegają oba te kruszce zarówno i że strata ztąd pochodząca nie jest zbyt wielką w stosunku do ogromu znajdującéj się dziś w obiegu monety srebrnéj i złotéj. W przybliżeniu obliczono, że z całéj ilości cyrkulującego w świecie złota zciera się dziś rocznie około 1000 kilogr., a ze srebra 50000 kilogr. w sumaryczném wartości 15 mil. franków.

wadzając mniejsze lub większe klęski ekonomiczne, w naturalnéj swéj konsekwencyi nadwyrężają i zaufanie powszechne, i że tém samém każde większe i rozleglejsze przesilenie wcale stanowczo musi wpływać na zmniejszenie się ilości wszelkich banknotów i weksli, których całym warunkiem bytu jest właśnie tylko kredyt.

Najlepiéj przekonało o tém przesilenie, jakie dotknęło w r. 1873 Austro-Węgry i Niemcy, a którego następstwa dały się uczuć w całéj Europie i Stan. Zjedn. Podczas gdy bowiem w pierwszym półroczu 1873 r. ilość weksli, zostających w obiegu w Europie środkowéj i zachodniéj, oraz w Stanach Zjednoczonych przedstawiała się w wartości 8,300 mil. franków, a ilość będących w obiegu pieniędzy papierowych i banknotów w tychże krajach w wartości 8,375 milionów franków, to już w połowie roku 1876 ilość weksli przedstawiała w tych samych krajach tylko wartość 6,000 mil. franków, a ilość pieniędzy papierowych i banknotów tylko wartość 7,289 mil. frank., a więc razem przedstawiały wartość o przeszło 3,000 mil. fr. mniejszą, niż przed trzema laty (1). Nie dość na tem. Z drugiéj bowiem strony przyszło ręka w rękę z tém pomniejszeniem się kredytu publicznego i do nagromadzenia się większych ilości gotówki w bankach narodowych celem pokrycia zostających w obiegu banknotów, t. j. w celu okazania swéj wypłacalności. W ostatnich dopiero latach wzmocnił się ponownie kredyt publiczny, a tém samém zwiększyła się napowrót ilość cyrkulujących pieniędzy papierowych i banknotów. W r. 1883 znajdowało się już tych pieniędzy w obiegu w samych państwach cywilizacyi zachodniéj w wartości przeszło 16 miliardów franków. W bankach zaś narodowych jako pokrycie téj ilości spoczywało w gotówce blisko 8 miliardów franków, tak, że ilość pieniędzy papierowych i banknotów przewyższała zasób gotówki leżącéj w bankach narodowych około 9 miliard. fr., w całym świecie nawet o 10 miliardów franków.

Obok téj masy pieniędzy papierowych i banknotów przedstawia się dzisiejsza ilość cyrkulującéj w całym świecie monety złotéj o wartości blisko 18 miliardów franków, a ilość monety srebrnéj o wartości 20 miliar. fr., do czego doliczając wartość (nominalną) téj ilości pieniędzy papierowych i banknotów, które nie znajdują już dla siebie pokrycia w bankach narodowych i kasach rządowych, otrzymujemy w przybliżeniu okrągłą sumę 48 miliardów franków, jako wartość wszystkich dziś kursujących w świecie pieniędzy złotych, srebrnych i papierowych (2).

---

(1) Behm: Geogr. Jahrb. 1876, str. 654 i nast.

(2) Por. Neumann-Spallart, l. c. str. 375—385 i Haupt, str. 414 i nast.

W poszczególnych państwach przedstawia się zasób tych pieniędzy z końcem 1885 r. — według obliczeń Haupta (1) — jak następuje (w milionach franków):

a) **W państwach o podwójnej walucie.**

	Złota	Srebra	Monety zdawkow.	Pieniędzy papierow. niepokryt.	Razem	Na 1-ną głowę ludności
	12428	**7239**	**2124**	**4992**	**26783**	—
Z czego przypadało na:						franków
Francyą	4450	3500	310	675	8935	234
Holandyą	132	315	19	126	592	148
Belgią	270	240	48	262	820	143
Stany Zjednoczone .	3240	1135	468	1622	6465	112
Niemcy	2300	560	611	626	4097	91
Hiszpanią	470	420	237	302	1429	86
Szwajcaryą. . . .	80	70	22	61	233	77
Włochy	560	100	246	850	1756	58
Turcyą	370	180	50	—	600	24

Reszta na Algieryą, Grecyą, Rumunią, Japonią, Kolonie holenderskie i Haiti.

b) **W państwach o walucie złotej.**

	Złota	Srebra	Monety zdawkow.	Pieniędzy papierow. niepokryt.	Razem	Na 1-ną głowę ludności
	4856	—	**942**	**1498**	**7296**	—
Z czego w szczególności przypadało na:						franków
Anglią	2750	—	580	300	3630	100
Australią	550	—	37	—	587	169
Kanadę	80	—	30	220	330	73
Kraj przylądkowy .	170	—	12	—	182	—
Danią						64
Szwecyą . . .	164	—	58	137	359	35
Norwegią . . .						29
Portugalią	230	—	61	24	315	74
Egipt	675	—	87	—	762	108

Reszta na Maltę, Gibraltar, Finlandyą, Brazylią, Argentynę i Kubę.

(1) Tamże, str. 417 i nast.

c) **W państwach o walucie srebrnej.**

	Złota	Srebra	Monety zdawkow,	Pieniędzy papierow. niepokryt.	Razem	Na 1-ną głowę ludności
	1188	**9008**	**311**	**2673**	**13180**	—
Z czego w szczególności na:						franków
Austro-Węgry . .	200	300	94	1006	1600	41
Rosyą	968	36	215	1667	2886	27
Indye wschod. angiel.	—	4000	—	—	4000	16
Chiny	—	3750	—	—	3750	11 ?

a reszta na Straits-Settlements, Boliwią, Kolumbią, Chile i Meksyk.

Zdumiewające to zapewne zjawisko, że w dzisiejszych stosunkach, t. j. przy dzisiejszym rozroście i spotęgowaniu się ruchu handlowego nawet i ten olbrzymi zasób pieniędzy w świecie okazuje się już niewystarczającym. Przybyły mu też w najnowszych czasach w pomoc pewne nowe środki i instytucye, mające na celu zaspakajać wzajemne pretensye kupców bez uciekania się do uciążliwych i wiele czasu marnujących wzajemnych wypłat gotówką. Do tych środków zwłaszcza w państwach zajmujących w handlu naczelne stanowisko, należą t. zw. „checki" (czeki" (1), t. j. przekazy płatnicze wystawione do tego lub owego banku przez osoby, które mają swe kapitały w tych bankach złożone na to, ażeby z nich różnostronne pretensye zostały wyrównane. Należą tu prócz tego instytucye zwane domem wyrównywania rachunków (*Saldirhäuser*), a służące do likwidowania długów kupieckich, za pomocą wzajemnéj wymiany weksli i akceptów pomiędzy różnemi bankami i bankierami—instytucya, która najprzód powstała w Londynie (r. 1775) pod nazwą „Clearing-house", dziś zaś nie tylko rozpowszechniła się we wszystkich niemal większych miastach W. Brytanii, ale oraz w Stanach Zjednoczonych, gdzie od r. 1853 założono takich domów bankowych 31, i na kontynencie europejskim, jako to w Paryżu (1872: *Chambre de compensation*); w Wiedniu (1872: *Wiener-Saldirungs-Verein*); we Włoszech (*Stanze di compensazione* 1882: w Rzymie, Medyolanie, Genui, Florencyi, 1883: w Bolonii i Katanii, obok dawniejszego w Liworno); w Niemczech (*Abrechnungsstellen* od 1883 w Berlinie, Hamburgu, Frankfurcie nad M., Lipsku, Wrocławiu, Kolonii,

(1) Czek różni się od banknota tém, że obowiązuje tylko do jednorazowéj wypłaty, a po jéj uskutecznieniu traci swą wartość i znaczenie.

Bremie, Stuttgardzie i Dreźnie (1). Nic zaś lepiéj nie ilustruje nieocenionych usług podobnych domów bankowych nad to, że te wzajemne wymiany weksli kupieckich w Clearing-hausie londyńskim przedstawiają dziś roczną wartość około 150,000 milionów franków, a w Clearinghausie nowojorskim 200,000 mil. franków z górą, a nawet niekiedy, jak w r. 1881, 250,000 mil. franków.

Niezawodnie do wypłat tego rodzaju sum i to w ciągu jednego roku i na jednym lub drugim tylko punkcie kuli ziemskiéj — nie wystarcza dzisiejszy zasób pieniędzy kruszcowych i papierowych. A jednak te kolosalne kwoty—choć gotówką nie płacone — jakże wspaniałém są świadectwem potęgi panujących dziś mierników wartości, przy pomocy i na podstawie których właśnie zdołał obecny obrót handlowy w samych wymienionych dwóch miastach do takich już rozrość się rozmiarów!

---

(1) Rauchberg: Statistische Studien über den Clearing-Verkehr w „Stat. Monatsschrift", Wien 1886 (XII Jahrg.) Februarheft str. 61—90.

Dr. Franciszek Czerny
prof. geografii w uniwers. Jagiellońskim.





KRZYSZTOFA WARSZEWICKIEGO

DZIEŁA NIEWYDANE. (1)

Christophori Varsevicii opuscula inedita, ad illustres viros epistolae caeteraque documenta vitam ac res gestas ipsius illustrantia, collecta ac edita a Theodoro Wierzbowski. Varsoviae, 8-vo, 1883.

Do rzędu pisarzy z drugiéj połowy szesnastego wieku, którzy jako zbyt ciężcy i nudni z największém uszanowaniem bywają omijani, należy także Krzysztof Warszewicki, słynny w swoim czasie mówca, historyk i statysta. Czy to skutkiem jego łacińskiego języka, który lubo gładki i potoczysty musi z natury rzeczy nam nowoczesnym nastręczać pewne trudności, czy téż skutkiem tego charakteru cudzoziemskiego i kosmopolitycznego jego utworów, w których zapatruje się na sprawy polskie ze stanowiska przeciwnego całemu szlacheckiemu narodowi, albo téż może skutkiem tego, że przez całe życie swoje wyznawał system polityczny dla Polski ówczesnéj niezaprzeczenie zły i niebezpieczny, system połączenia Polski z Austryą pod jedną dynastyą,—dość, że za naszych czasów nazwisko jego stało się ogółowi prawie obce a dzieła uległy zapomnieniu i zaniedbaniu. A przecież mąż ten nie na lekceważenie, lecz przeciwnie na szczególniejszą zasługuje uwagę. Poznać go warto choćby dla saméj ciekawości, bo choć w swych dążeniach i poglądach nie skupia, nie krystalizuje aspiracyi całego społeczeństwa ówczesnego, jak naprzykład Zamojski, geniuszem Polski za czasów wolnego obioru nazwany,—owszem jest jego politycznym antypodą,—to przecież jako myśliciel i pisarz dochodzi miary niezwyczajnéj, a jako obywatel i Polak wymusza na czytelniku cześć dla swo-

(1) Rzecz niniejsza napisana była przez autora w końcu roku 1885.
(*Przyp. red.*)

ich stałych, wyrobionych zasad, dla swéj może zbyt wyłącznéj ale prawdziwéj miłości ojczyzny. Nie chcę przez to powiedziéć, żeby jako człowiek był sympatyczny i ujmujący, nie brak bowiem wskazówek nieszczególnego charakteru, ale w każdym razie przyznać należy, że jest osobistością niezwykłą, poniekąd wyjątkową. W umyśle jego przeważnie rozwinęła się jedna idea, któréj gorliwym szermierzem pozostał do śmierci to jest: potrzeba ustawicznéj walki przeciw wybujałym swobodom szlacheckim, przeciw wzrostowi republikańskich i dysydenckich uroszczeń. Idea ta, z któréj naturalnym biegiem rzeczy płynęła fanatyczna wiara w absolutną władzę królewską, parła go wprawdzie przez cały ciąg politycznéj karyery w ramiona Austryi, utrzymującéj w całéj sile dawną królewskość a nawet przygłuszała w nim chwilami wrodzony instynkt rozeznania złego od dobrego, ale w imię téj saméj idei wrócił na drogę obowiązku i przejednał się ze Stefanem i Zygmuntem III, kiedy zrozumiał, że wzmocnienie władzy monarchicznéj jest także główném ich usiłowaniem i celem.

Warszewickim dotąd mało się zajmowano. Dotychczasowi biografowie i historycy literatury obchodzili się z nim po macoszemu, podając krótkie i ubogie w daty życiorysy. Starowolski Szymon podał o nim skąpe wiadomości w swych *elogia et vitae* p. 121 sq. Obszerniéj ale bez ścisłéj krytyki rozwiódł się biskup Łętowski w katalogu prałatów i kanoników krakowskich t. IV p. 207 sq. opierając się na podstawie dzieł Warszewickiego i luźnych wzmiankach u współczesnych pisarzy jak Sarnickiego, Posswiniego Gwagnina i innych. Artykuł Sobieszczańskiego w Encyklopedyi Orgelbranda jest krótkiém streszczeniem poprzedniego i zawiera dużo starych błędów. Nierównie więcéj wartości mają wiadomości podane przez Michała Wiszniewskiego (Historya literatury t. IX p. 361—377 lecz oparte na ubogich i niedostatecznych materyałach w niejednym szczególe nie wytrzymują krytyki umiejętnéj. Najlepszą po dziś dzień pracą nad Warszewickim lubo nie nad jego życiem, ale pismami, jest rozprawa Stanisława Tarnowskiego umieszczona w Rocznikach Akademii Umiejętności krakowskiéj—wydziału filologicznego tomie I, (r. 1874) od str. 153—222. Autor z właściwą sobie barwnością języka i zdolnością odgadywania wewnętrznéj fizyognomii pisarza kreśli charakter i stanowisko polityczne Warszewickiego i rozbiera najgłówniejsze jego dzieła jako to: *de optimo statu libertatis*, *de legato et legatione*, *de consilio et consiliariis* i jego bardzo liczne oracye. Praca ta jednak, jako nie oparta na szerszém tle historyczném i biograficzném, nie może być uważana za ostatni wyraz studyów nad wspomnianym autorem i ma swoje słabe strony; przedewszystkiém ocena Warsze-

wickiego jako pisarza wydaje mi się za surowa i bezwzględna. Powodem tych niedostatków był brak dostatecznych materyałów i dokumentów odnoszących się do działalności literackiéj i politycznéj téj ciekawéj ze wszech miar postaci. Potrzebie téj zaradził p. Teodor Wierzbowski, wydając przed dwoma laty z pyłów bibliotecznych i archiwalnych drzemiące dotąd w zapomnieniu niektóre utwory, dokumenta i korespondencyą późniejszego kanonika krakowskiego. Z tego to ważnego i cennego wydawnictwa zamyślamy zdać sprawę zwłaszcza, że odnosi się nietylko do osoby Warszewickiego, ale jest także nader ciekawym przyczynkiem do historyi drugiéj połowy szesnastego stulecia.

I.

Cala publikacya rozpada się na cztery części. Pierwsza część od s. 1—142 obejmuje *opuscula inedita*, druga od s. 143—207 korespondencyą Warszewickiego, trzecia od s. 209—239 dokumenta odnoszące się do jego życia, czwarta wykaz chronologiczny dzieł jego od s. 241—261.

W części pierwszéj umieszczono na samém czele fragment z większego dzieła Warszewickiego p. t. „*Rerum polonicarum libri*,“ z którego nadto zachowala się księga trzynasta, wydana przez Ciampiego we Florencyi 1826, który ją Brutusowi przypisał, a opisująca bezkrólewie po Stefanie. Fragment ten obejmujący nie całkowite 3 księgi opowiada dzieje bezkrólewia po Zygmuncie Auguście do połowy sejmu elekcyjnego a zatém czas od 7 lipca 1572 r. do 8 kwietnia następnego roku. Przechowany w spółczesnym rękopiśmie w cesarskiéj bibliotece wiedeńskiéj N. 8892, 4-to, nie uszedł baczności naszych badaczów historyi. Szujski w Dziejach Polski t. III, Piliński w pracy p. t.: *Das polnisehe Interegnum* 1572—1573 *und die Königswahl Heinrichs von Valois* (Heidelberg 1861: przekład polski téj rozprawy w Przeglądzie polskim, czerwiec 1868 i zeszyty następne), Zakrzewski w dziele p. t. „Po ucieczce Henryka,“ (Krak. 1878) wreszcie hr. Tarnowski w wspomnianéj rozprawie wyzyskali w mniéj albo więcéj wyczerpujący i naukowy sposób źródło, dla szerszéj publiczności nieprzystępne. Wypadałoby je teraz krytycznie rozebrać to jest wykazać zależność Warszewickiego od współczesnych Orzelskiego, Heidensteina, Bielskiego i innych, podnieść to co stanowi własność autora historyi, rozebrać tendencyą, ocenić metodę, a oraz zaznaczyć poglądy dziejopisarza na kwestye społeczne epoki. Ponieważ jednak praca taka musiałaby być przedmiotem osobnego obszernego studyum, ograniczę się z obowiązkn sprawozdawczego na

podaniu najważniejszych wiadomości w rzeczonėm dziele zawartych, przy czém od czasu do czasu wypadnie wskazać na zasadnicze różnice chronologiczne i rzeczowe, jakie zachodzą między naszym autorem a innymi współczesnymi historykami.

W I-széj księdze autor opisuje wypadki, jakie zaszły bezpośrednio po śmierci Zygmunta Augusta aż do zjazdu konwokacyjnego w Warszawie.

Po ogólnym wstępie, malującym groźne położenie rozległéj Polski po bezpotomnym zgonie ostatniego z Jagiellonów, wspomina autor o pierwotnym planie prymasa Jakóba Uchańskiego towarzyszenia Annie siostrze zmarłego króla do Knyszyna, ażeby tam powołać i innych senatorów na obrady. Plan ten jednak niebawem musiał prymas porzucić wskutek nalegań biskupa kujawskiego Karnkowskiego, o którym mówi z przekąsem nasz dziejopisarz, że we wszystkiém chciał réj wodzić w Rzeczypospolitéj. Zjazd małopolski uprzedza Warszewicki zjazdem wielkopolskim w Łowiczu, który się w 8 dni po śmierci królewskiéj a zatém 16 lipca miał rozpocząć. Byli na nim wbrew zwyczajnéj wersyi nietylko wielkopolscy, ale i małopolscy panowie,—razem około 30. W kwestyi wyboru króla uchwalono zwołać sejm walny do Knyszyna na dzień 7 września b. r., gdy tymczasem według Orzelskiego miał się on odbyć 17 września a wedle Heidensteina w 2 tygodnie po św. Bartłomieju. Po bardzo ogólnikowéj wzmiance o zbawiennych, ale nie dość taktownych postanowieniach zjazdu łowickiego,—przy czém zupełnie zamilcza o zamierzonéj korekturze czyli rewizyi praw, przechodzi autor do opisu zjazdu małopolskiego w Krakowie i jego rozporządzeń, które również kilku ogólnikami zbywa. Oznaczenie miejsca i czasu dla przyszłéj elekcyi odroczono do pełnego zebrania senatu, które się miało odbyć w Knyszynie dnia 20 sierpnia. Natomiast nie omieszkał nasz historyk przekazać pamięci potomnych odpowiedzi, jaką dał kardynał Commendone poselstwu krakowskiemu, wyprawionemu z żądaniem, aby opuścił kraje Rzeczypospolitéj na czas bezkrólewia. Rzecz ta i w Orzelskim niemal temi samemi słowami opisana.

Mimo, iż zebranie senatu było postanowione na 10 sierpnia, rozpoczęto je dopiero 24 tegoż miesiąca. Pomijając senatorów z Mało-Polski, którzy się dość licznie stawili, przybyło z Wielko-Polski tylko dwóch, wedle Orzelskiego trzech, a z Litwy również niewielu. Wśród nieustających rozterek i powszechnego rozjątrzenia uchwalono zwołać sejm elekcyjny na dzień 13-go października na polach między Lublinem a Bystrzycą. Termin zjazdu znowu przeciwny doniesieniu Orzelskiego, który wspomina o 10 października, ale zgodny z relacyą Heidensteina. O uchwałach, jakie tam zapa-

dły, o tak ważném postanowieniu, jak, że każdy szlachcic nie przez reprezentacyą, ale osobiście ma prawo wybierać króla, milczy nasz autor, jak zaklęty, natomiast dowiadujemy się, że senatorowie opatrzyli samozwańczo z kasy królewskiéj dworzan, nie chcących wydać ciała zmarłego monarchy, i że się przez to narazili na rozliczne obmowy i podejrzenia i t. p. W tym to czasie, opowiada Warszewicki, przybyło do Polski właściwe poselstwo cesarza Maksymiliana II, złożone z Wilhelma Rozemberga i Władysława Bernsteina, kanclerza czeskiego. Do Krakowa wzbroniono im wjazdu, natomiast wyznaczono im Sandomierz na mieszkanie. Stąd jednak nie samowolnie, jak było w rzeczywistości, ale z powodu, że szlachta na nich sarkała, udali się na Konopnicę, Urzędów, Płock, Dziekanów do Łomży, aby widzieć się z królewną, tam przebywającą. Przeszkodził im w tym zamiarze zjazd małopolskiej szlachty w Osieku, który wyprawił do Anny osobne w tym celu poselstwo, wzbraniające jéj znoszenia się z posłami cesarskimi. Ustęp ten obfity w szczegóły skąd inąd nieznane, dowodzi, a przynajmniéj zniewala do przypuszczenia, że autor, pisząc historyą, musiał mieć pod ręką dokładne informacye co do spraw i zabiegów austryackich.

Tymczasem uchwała Knyszyńska co do zjazdu w Bystrzycy, doznała w Wielkopolsce nieżyczliwego przyjęcia. Na sejmikach w Środzie, Radziejowie, Sieradzu, Łęczycy, których nasz historyk w przeciwieństwie do Orzelskiego nie opisuje z osobna, ale łączy w jedną całość, tylko nader słaba mniejszość oświadczyła się za zgodą, większość zaś widziała w postanowieniu Knyszyńskiém ujmę dla zwierzchniczêj władzy prymasa, egoistyczną uzurpacyą. W wyborze Bystrzycy na miejsce elekcyi upatrywano podstępny manewr głowy przeciwnego stronnictwa Jana Firleja, wojewody krakowskiego, który posiadał obszerne majętności w województwie lubelskiém i przez liczną klientelę i wojsko mógł wywrzéć stanowczy wpływ na elekcyą, a nawet sam się pokusić o koronę. Wiadomość to bardzo ważna, a jak mogę wnosić z cytatu w pracy Pilińskiego, tylko jeszcze w dziele markiza de Noailles (*Henri de Valois et la Pologne en 1572*, 3 tomy, Paryż 1867) podana. Istotnym sprawcą téj porażki Małopolan był ambitny biskup kujawski, wspomniany powyżéj Karnkowski. Siłą argumentacyi i energią opanował tak dalece nieudolnego i chwiejnego prymasa, że go złośliwi, a do nich należał i nasz dziejopisarz, mamką prymasa nazywali („*vulgo eius nutrix ad individiam dicebatur*“). Jego to wpływowi przypisać należy, że Uchański przystał na żądanie szlachty wielkopolskiej i wyznaczył termin elekcyi na dzień 27 października w Łomży; gdyby zaś ten termin dla większości okazał się niedogodnym, mają wszyscy senatorowie Rzeczypospolitéj

zjechać do Woli pod Warszawą, celem ostatecznego porozumienia się co do miejsca i czasu dla wyboru króla. Terminu tegoż powtórnego zjazdu nasz historyk nie podaje. I co do powyższéj daty współcześni dziejopisarze różnią się od jego relacyi. Orzelski naprzykład nie uznaje alternatywy powtórnego zjazdu, a zabranie w Woli odnosi do dnia 10 października, Heidenstein zaś twierdzi i to najprawdopodobniejsze, że 9 października miał się odbyć zjazd senatorów w Woli, a 27 tegoż miesiąca sejm elekcyjny w Łomży.

Gdy na termin elekcyi nie zgodzono się, a na zjazd warszawski nikt z Małopolski i Litwy nie przybył, udali się panowie wielkopolscy z prymasem na czele do Koła na sejmik. Przebieg jego i uchwały opisuje Warszewicki niemal temi samemi słowami, co Orzelski. Wysłuchano skarg posłów cesarskich, żalących się na zjadliwe paszkwile przeciw nim zwrócone i proszących o pozwolenie widzenia się z Anną; roztrząśnięto zażalenia, wniesione przez Stanisława Przyjemskiego i towarzyszy przeciw Pomorzanom o krzywdy, jakie im zbrojnymi napadami wyrządzili. Jedna i druga rzecz, opowiedziana dokładnie i szczegółowo, stanowi cenny przyczynek do historyi bezkrólewia. Ale stała wada autora, zasadzająca się na ignorowaniu rozwoju i wzrostu życia parlamentarnego w Polsce i tu objawiła się w całéj pełni. Ani słowem nie dowiadujemy się o tak ważnéj przecież konfederacyi obu stanów, która miała uniemożebnić wszelkie usiłowania wyboru króla przez jakąś część narodu lub opanowania tronu przemocą.

W piąty, czy szósty dzień zjazdu, nadeszła do Koła radośna wiadomość, że panowie małopolscy, pokonawszy w sobie separatystyczne dążności, zjechali zgodnie do Woli i czekają Wielkopolan. Po dłuższych pertraktacyach i układach, zgodzono się ostatecznie na zjazd w Kaskach, któremu miał przewodniczyć nie marszałek, lecz prymas. Zjazd ten odbył się wedle naszego historyka z końcem października b. r., gdy wedle Heidensteina przypadł on na 25 paźdz., a według Orzelskiego, dopiero na początek listopada.

Pod tę samę porę przybyło poselstwo francuzkie do Polski. Aby przedstawić jego losy, autor zrywa wątek dotychczasowego opowiadania i przechodzi do szczegółowego opisu zabiegów francuzkich. Na czele poselstwa stał biskup Walencyi Jan de Monluc, mąż nie wzbudzający wcale zaufania, o którym wielu wiedziało, jak opowiada autor, „*non episcopum sed aposcopum potius esse et catholicae religionis desertorem*". Listu, jaki ów bezsprzecznie najznakomitszy dyplomata ówczesny przywiózł od Karola IX do szlachty, historyk nasz nie podaje w całości na wzór Orzelskiego, ale w streszczeniu. Wrażenie, jakie obietnice w nim wyrażone wywarły na szlachtę,

było tak potężne, że wobec kandydatury francuskiéj zbladły i moskiewskie i rakuskie nadzieje; Polacy już nie dali się „wzruszyć znaną dobrocią i łagodnością Ernesta, w którym nie było i cienia okrucieństwa, o które po śmierci admirała zewsząd oskarżano księcia andegaweńskiego.“

Przy téj sposobności autor rozpisuje się szeroko o nocy ś. Bartłomieja, lecz jako zagorzały papista, upatruje jéj przyczynę nie we wstecznéj nietolerancyi sfanatyzowanéj ludności katolickiéj, nie w machiawelskiéj polityce króla, ale w osobistéj, partyjnéj nienawiści; zabójstwo admirała było wedle niego dziełem prywatnéj zemsty Gwizów dziełem, do którego także i książę andegaweński przyłożył ręki, ale rzezi Hugonotów nikt z góry nie układał, nikt nie przewidywał, była ona przypadkowym, nieprzewidzianym wybuchem rozpętanych namiętności ludu.

Po téj dygresyi wraca Warszewicki do zjazdu w Kaskach i wbrew dotychczasowemu zwyczajowi podaje uchwały na nim powzięte. Przedewszystkiém postanowiono, że konwokacya (tak nazwano przyszły sejm) ze względów formalnych miała się zebrać w Warszawie dnia 7 stycznia 1573 r., lubo Orzelski odkłada ją na 20 stycznia a Heidenstein na 6 lutego; w skład jéj mieli wejść nietylko senatorowie, ale i posłowie ziemscy, których każde województwo delegewało w pewnéj, bliżéj nam nie określonéj liczbie. W téj sprawie wyprawiono umyślne poselstwa do Prus, do Rusi, do Inflant i do Litwy, która lubo na tém zebraniu nie była reprezentowana, zawstydzała, zdaniem historyka, Polaków jednomyślnością i zgodą. Agentów cesarskich, Gastalda, Cyrusa, Gerstmana polecił zjazd wydalić z granic Rzeczypospolitéj, samym posłom wyznaczono miasteczko Urzędów na stałe miejsce pobytu aż do otwarcia sejmu elekcyjnego, — jedynie legatowi papieskiemu dano zupełną swobodę i wolność. Nowet siostrę królewską skrępował zjazd uchwałą w formie rady, że do elekcyi ma zabawić w Łęczycy albo w Krasnymstawie. W sprawie Przyjemskiego, niezałatwionéj na zjeździe poprzednim, postanowiono zarządzić dochodzenie na miejscu, a w końcu poruczono wybranéj komisyi rewizyą czyli korekturę ustaw. Ostatnia ta wiadomość dosyć wydaje mi się opaczną wobec okoliczności, że Piliński w bardzo gruntownéj swéj pracy str. 36—37, ani słowem o niéj nie wspomina, a taka sama uchwała zapadła na zjeździe knyszyńskim, jak o tém wyżéj wspomniano. Wobec widocznéj skłonności autora do ściągania kilku wypadków historycznych w jednę całość, nie jest rzeczą nieprawdopodobną, że autor i w tym wypadku sprawy chronologicznie pomieszał.

Dwumiesięczna przerwa, jaka nastąpiła między zjazdem w Kaskach a konwokacyą warszawską, nastręcza autorowi sposobność do przedstawienia równocześnie czynionych zabiegów francuskich i austryackich. Opowiada tedy szczegółowo o podróży opata Cyrusa do Litwy w celu zjednania jéj dla Ernesta, nadmienia, że zabiegi jego odniosły pożądany skutek, gdy tymczasem skądinąd wiadomo, że skutek tejże misyi był nader problematyczny, a w końcu żali się i dziwi, iż w celu zdyskredytowania kandydatury austryackiéj nie wahano się o Erneście rozsiewać najfałszywszych wieści. Lepiéj o wiele wiodło się francuskiemu poselstwu. Montluc z właściwą sobie zręcznością i zapobiegliwością pracował głównie nad pozyskaniem całéj nieprzeliczonéj masy drobnéj szlachty, nie zapominał jednak i o magnatach; jakoż niebawem Zborowscy (Piotr) i Maciejowscy (Mikołaj) stanęli na czele stronnictwa Henrykowego i przysporzyli mu wielu członków.

Pod koniec rozdziału opowiada autor epizod z własnéj działalności na arenie publicznéj. Duszą i ciałem będąc oddany sprawie kościoła i wiary katolickiéj, rozumiał, jak silnie zaważy na szali wyborów współudział prawowiernéj szlachty mazowieckiéj, wśród któréj, jako syn byłego kasztelana warszawskiego, miał wielkie zachowanie. Zobowiązał tedy zgromadzonych braci szlachtę na sejmiku w Zastowie pod groźbą surowych kar, że bez wyjątku stawią się wszyscy na sejmie konwokacyjnym i wezmą udział w głosowaniu. Przykład jego naśladowano skwapliwie w innych województwach.

Ku wielkiemu niezadowoleniu i szemraniu szlachty Anna wbrew rozkazowi zjazdu w Kaskach powróciła bezpośrednio przed rozpoczęciem konwokacyi do Warszawy.

Księga druga (str. 24—39) obejmuje dzieje bezkrólewia od konwokacyi aż od właściwéj elekcyi, to jest przeciąg niespełna trzech miesięcy. Zachowanie Litwy, które niemałego nabawiło Polskę kłopotu, zbywa autor dyskretnie w kilku słowach; ogranicza się na suchém stwierdzeniu faktu, iż wyprawili dwóch posłów senatorów, tudzież kilku szlachty z żądaniem, aby elekcya odbyła się w Liwie albo Parczowie. Natomiast z widoczném upodobaniem kreśli historyą tajnego zeznania, jakie złożył Jan Dymitr Solikowski, dworzanin królewski co do śmierci Zygmunta Augusta i skarbów po nim pozostałych. W opisie przebiegu sejmu przeważa widoczna skłonność do podnoszenia rzeczy mniéj ważnych drobnostkowych, — rzeczy, które bardziéj skupiają się około poszczególnych osobistości, aniżeli znamionują ducha i aspiracye społeczeństwa. I tak opowiedziany spór między biskupem poznańskim a kasztelanem krakowskim o pierwszeństwo w senacie, daléj sprawa księcia pruskiego, domaga-

jącego się uczestnictwa w elekcyi, sprawa Leśniowskiego, sprawa biskupa Krasińskiego a wreszcie Przyjemskiego, który nie mogąc doczekać się wykonania uchwał, na sejmiku w Kole zapadłych, napadł zbrojną ręką sąsiednie pruskie osady i orężem sobie wymierzył sprawiedliwość. Orzelski przedstawia tę sprawę zupełnie tak samo, tylko że według niego, Przyjemski dopiero umyślił przedsięwziąć wyprawę, ale jéj jeszcze nie podjął, i to 19-go a nie 21 stycznia, którą to datę podaje Warszewicki.

Opis rekryminacyi podniesionych przeciw Litwie i zatargu prowincyonalno - religijnego między marszałkiem wielkim koronnym a prymasem nie przynosi żadnych nowych szczegółów. Mowę Karnkowskiego w obronie prerogatyw arcybiskupa gnieźnieńskiego podaje historyk w zwięzłém streszczeniu, spisaném wedle opowiadań wiarogodnych świadków. Samegoż prymasa. zdaniem Warszewickiego, protestanci nie dopuścili do głosu, wbrew świadectwu Bielskiego, który przytacza długą jego mowę przy téj sposobności wypowiedzianą. O ostatecznem załatwieniu téj piekącéj i zasadniczéj kwestyi, to jest że prymasowi przyznano prawo zwoływania sejmu w czasie bezkrólewia i oznajmywania wyboru (*nominatio*), marszałkowi zaś prawo obwoływania nowego króla (*proclamatio*) — nie dowiadujemy się ani słowem.

Jest jednak jedna rzecz w naszém dziele, z którą nie spotkałem się w najgruntowniejszych opracowaniach sejmu konwokacyjnego, którą dlatego pozwolę sobie dokładniéj wyłuszczyć. Oto królewna Anna, któréj kroki — nawiasem mówiąc — nasz autor otacza szczególniejszą pieczołowitością, wniosła przed zgromadzone stany skargę o nieuszanowanie swej osoby a zarazem prośbę o ratyfikacyą testamentu królewskiego. Sprawa ta wywołała żwawą dyskusyą i gorącą wymianę zdań. Przeciwnicy królewnéj i ratyfikacyi gruntowali swe wywody prawno-polityczne na sofizmacie, że król, jako najwyższy urzędnik państwowy, opłacany z dochodów publicznych, nie może tak jak prywatny człowiek rozporządzać dowolnie swoim majątkiem, który z natury rzeczy przechodzi po jego śmierci na własność państwa; powtóre, że statuty litewsko-polskie zakazują dowolnie rozporządzać majątkiem nieruchomym; w końcu powoływali się na brak formalności prawnych w legacie testamentowym. Przeciwnie zwolennicy ratyfikacyi utrzymywali, że nie można przecież wyjmować królów z pod powszechnego przywileju legowania swych dóbr testamentem, że nie brak w historyi minionych wieków antecedensów do ratyfikacyi pośmiertnych legatów królewskich, że królowie już dla słusznego wymiaru sprawiedliwości potrzebują swobody w tym względzie, że wola ich wyższa nad wszelkie prawo a słowo królewskie

stokroć więcéj waży od czczych formalności prawnych. Niestety, dziejopisarz nasz nie podaje, która opinia odniosła zwycięstwo, czego tém więcéj żałować wypada, ile że w sporze powyższym nie można jedynie upatrywać walki o paragrafy i literę prawa, ale raczéj konflikt monarchistów z wolnomyślnymi republikanami polskimi. Niemniéj pożałowania godném jest milczenie, jakiém pominięto rozwój konstytucyi polskiéj na tym sejmie w kierunku demokratycznym, to jest równouprawnienie wszystkich przy elekcyi króla i zasadę głosowania *viritim*. O Zamojskim nie słyszymy wcale. Natomiast wiecznéj pamięci potomnych przekazany jest dosłowny odpis dokumentu normującego porządek elekcyi, znajdujący się również u Orzelskiego.

Pod koniec wspomina autor o protestacyi, jaką zanieśli niektórzy posłowie mazowieccy przeciw wynikowi sporu między prymasem a marszałkiem, a kończy doniesieniem o przytrzymaniu opata Cyrusa przez Górkę w Malborgu.

W księdze trzeciéj historyk nasz pomija zupełnie akcyą sejmików, które odbyły się w przeciągu dwóch miesięcy czasu, jaki upłynął między konwokacyą a sejmem elekcyjnym, a przechodzi wprost do opisu przygotowań i samegoż zjazdu na elekcyą. I w tym względzie zgadza się zupełnie z Orzelskim I, 39—41. Podnieść jednak wypada to, czego dotąd nie zużytkowano w opracowaniach owéj chwili dziejowéj, a mianowicie, że z początkiem sejmu wniósł Stanisław Szafraniec, kasztelan biecki, dla pozyskania sobie popularności u szlachty, ażeby wybrano z pośród siebie komisyą z 10 mężów, która miała się zastanowić nad kwestyą, czy sejm powinien odrzucić czyli też aprobować uchwały konwokacyi. Zwyciężył jednak tą razą zdrowy rozsądek, zalecający ścisłe przestrzeganie jedności. Zachowano w całéj sile powziętą uchwałę, że od wysłuchania poselstw zagranicznych rozpocznie się czynność sejmu; emulacyi zaś między niemi zapobieżono w ten sposób, iż pierwszeństwo w zabieraniu głosu przyznawano tym legacyom, które wpierw przybyły na pole obrad. Tyle co do szczegółów dotąd niezużytkowanych. Następuje z kolei rzeczy opis audyencyi udzielonéj posłom cudzoziemskim w „Szopie.“ Pierwszy przemawia kardynał Commendone, legat papieski. Mowę jego tak jak mowy wszystkich innych dyplomatów miał zamiar nasz historyk przytoczyć dosłownie. Niestety fragment urywa się w środku przemowy Commendoniego — reszta rękopismu zaginęła bez wieści.

Ażeby streścić pokrótce uwagi, jakie mi się przy referacie nasunęły, dodam słów parę. Historya Warszewickiego jest cennem źródłem historycznem, gdyż podaje wiadomości skąd inąd nieznane, a tém samém uzupełnia innych historyków współczesnych. W auto-

rze widać pewien talent konstrukcyjny i zmysł grupowania faktów w przeciwstawieniu do Orzelskiego, który odznacza się bałamuctwem i chaotycznością. Przymiotem jego jest także styl piękny i klasyczny. Niejasność na kilku miejscach wynikła raczéj z błędnego oddrukowania tekstu, aniżeli z winy historyka. Mimo to przedstawienie rzeczy w wielu wypadkach jest niezupełne albo błędne. Pochodzi to ztąd, że autor, jako legitymista katolicki i zwolennik absolutnéj władzy królewskiéj, z umysłu pomijał dyskretném milczeniem wszystko, co się odnosiło do zdrożnego konfliktu między dysydentami a katolikami, między liberalną i demokratyczną szlachtą a możnowładcami, którzy bądź-co-bądź reprezentowali pierwiastek władzy i rządu. Milczy przeto o konfederacyi a podaje dokument normujący porządek elekcyi, któréj w zasadzie jest przeciwny. Mimo iż stara się historyi swojéj nadać pozór bezstronności, sympatye jego austryackie są aż nadto widoczne. Wplata nadto w opowiadanie własne moralne sentencye i ogólne refleksye na temat chrześciańskiéj miłości i pobłażliwości, co nie przeszkadza, że przy nadarzonéj okazyi chłoszcze przeciwników politycznych biczem zjadliwéj lecz skrytéj satyry.

II.

Po historyi, która bezsprzecznie jest ozdobą niniejszego wydawnictwa, umieszczono pisma polityczne, nie dorównywające wprawdzie wartością źródłom historycznym, ale nie mniéj potrzebne do gruntownego poznania dziejów ówczesnéj Polski; w nich bowiem skupia się i niejako rekapituluje to wszystko, co było rozproszone w setkach innych publikacyi. Konkluzya wprawdzie, do któréj Warszewicki w nich dochodzi — jest mylną, bo zmierza do najściślejszego połączenia Polski z Austryą pod jedną dynastyą habsburską, ale mimo to są jego apologie, dyalogi i mowy wybornym komentarzem ilustrującym, jak Polska podówczas o sobie myślała, jak oceniała swoje interesa i stosunki z ościennemi państwami, jak pojmowała własne zadania i cele.

Traktat pod tyt. „*De rebus in Polonia gestis in Regem eligendo*“, wydany z rękopisu spółczesnego, wyszedł z pod pióra Warszewickiego, jak można wnosić ze wskazówek zawartych w samém piśmie, niedługo po posłuchaniu udzieloném przez sejm ratysboński wysłańcom Stefana Batorego, Janowi z Krotoszyna i Dymitrowi Solikowskiemu, a zatém po 15 czerwca 1576 r., — a przed śmiercią Maksymiliana, to jest przed 6 października t. r. Traktat ten zapewne jest od-

powiedzią na żądania posłów polskich i zasługuje pod każdym względem na miano „apologii.“

Autor usiłuje dowieść, że jedynie cesarz Maksymilian jest prawym królem polskim, bo tylko jego elekcya odbyła się w legalny sposób, gdy tymczasem Batorego zaledwie jedna drobna i to mniéj poważna część narodu powołała na tron, winien przeto jako przywłaszczyciel i uzurpator bezwłocznie opuścić Polskę. Celem udowodnienia tego bezprawia przechodzi nasz publicysta dzieje bezkrólewia po ucieczce Henryka w chronologicznym porządku; wspomina kilku słowy o sejmie warszawskim z 10 września 1574 r., który wedle niego nie był wcale zwołany przez prymasa (por. Szujski: Dz. P. III, str. 31), — mówi o bezskutecznych naradach stężyckich, — a co ważniejsza, nadmienia o sejmie konwokacyjnym warszawskim z dnia 3 października, o którym nawet Heidenstein, acz najdokładniejszy w opisach, nie czyni wzmianki. Obszerniéj rozwodzi się nad sejmem elekcyjnym, w miesiąc niespełna po konwokacyi odbytym. Z początku cały senat świecki i duchowny, Litwa, Prusy, Inflanty, a z pośród szlachty Mazowsze były ciałem i duszą oddane sprawie domu habsburskiego. Trwało to tak długo, dopóki partya Piastowska, kryjącą pod płaszczykiem patryotyzmu upatrzonego kandydata, nie poczęła wichrzyć i zbrojną swą postawą nie steroryzowała senatu. Niebezpieczeństwo mianowicie wzrosło, gdy stronnictwo narodowe mszcząc się porażki poniesionéj z kandydaturą Kostki i Tęczyńskiego ściągnęło z okolic Warszawy nieprzeliczone mnóstwo drobnéj szlachty, gotowéj do broni na pierwsze skinienie. Z obawy rozruchów, jakie się stąd bardzo łatwo mogły wywiązać, tudzież z powodu nader ostréj zimy prymas wraz z senatorami przeniósł się dnia 12 grudnia do miasta, a nie widząc po całodziennném bezskutecznném wyczekiwaniu innéj drogi wyjścia z drażliwéj sytuacyi, zamianował Maksymiliana królem. Akt nominacyi odbył się w sposób zupełnie legalny, wobec licznie zgromadzonego senatu i szlachty. Jakież więc — woła mówca — było zdziwienie a zarazem oburzenie senatorów, gdy koło rycerskie jakby nie wiedząc o uskutecznionym wyborze i nie licząc się bynajmniéj z wolą Litwy i Prus, obwołało samozwańczo elektami Annę Jagiellonkę i Stefana, księcia na Siedmiogrodzie. Kandydat ów, który przedtém z obłudną skromnością doradzał wybór cesarza, nie przez przymioty swoje ale uporem kilku przekornych zagorzalców wypłynął na widownię publiczną i odebral cesarzowi dawną sympatyą narodu. Poselstwo, jakie doń wnet po ogłoszeniu wyprawiono, posłużyło się niegodną bronią fałszu, zapewniając go, że frakcya cesarska nieliczna, składa się z kilku polskich senatorów, jednego litewskiego wojewody i trzech biskupów, a sie-

bie podając za prawą reprezentacyą całego zjednoczonego narodu Polski, Litwy i Prus. Nie mniejszém bezprawiem wywracającém porządek społeczny był zjazd Jędrzejowski, zwołany na dzień 18 stycznia, bez przyzwolenia i wiedzy prymasa; uchwały na nim powzięte nie mają prawnéj podstawy, a jako takie nie obowiązują.

Po dłuższéj retorycznéj deklamacyi na temat świętości bronionéj sprawy i sumiennego spełniania obowiązków, autor podejmuje na nowo zerwany wątek apologii. Odważnie stawia czoło każdemu bez wyjątku zarzutowi, jaki podniesiono przeciw legalności wyboru Habsburga,—idzie niejako przeciw potwarcom i ściera ich w proch; zamyka zaś całą obronę uroczystém zawezwaniem, aby zaniechano już raz niegodnego szarpania poczciwéj sławy domu rakuskiego, który jest zbyt cnotliwym, aby się umiał sam skutecznie obronić przeciw oszczercom i nieprzyjaciołom.

Traktat ten, chociaż aż nadto wyraźne ma znamiona austryackich sympatyi autora, robi na czytelniku korzystne wrażenie. Apologista nawet w przesadzie umie zachować pewną szczęśliwą miarę, o którą tak mu trudno w następnych traktatach. Wywody jego cechuje silna wiara w zbawienność wyznawanéj doktryny politycznéj, a chociaż nie poznać w nim Polaka, przecież nie popada w zbytnią uniżoność i serwilizm.

Równą zupełnie zawartość historyczną posiada następujące pismo p. t. „*Apologia I-ma, qua divi Maximiliani Caesaris, regis Poloniae electi ius et dignitas defenditur*“, — wydana z rękopisu spółczesnego, poprawionego przez autora. Jest ona dalszém waryowaniem tego samego tematu z różnych tonów. Wiele jednak motywów przeniesiono tutaj z poprzedniego memoryału. Są nawet ustępy równobrzmiące, co naprowadza na domysł, że oba pisma powstały równocześnie,—może pierwsze dla Polaków, drugie dla cesarza, na co zdaje się wskazywać i tytuł i forma zewnętrzna o wiele staranniejsza w drugiém piśmie aniżeli pierwszém.

Jeżeli wymienione rozprawy czyta się z przyjemnością i pewném uszanowaniem dla zasad autora stałych i wyrobionych— to memoryał podany przezeń Maksymilianowi na sejmie ratysbońskim dnia 7 września 1576 napełnia czytelnika wstrętem i odrazą do człowieka, który w swéj zaciekłości stronniczéj przekroczył granicę czynów dozwolonych sumieniem uczciwego człowieka i Polaka. Memoryał nosi tytuł „*Rationes et argumenta pro regno Poloniae recuperando*“ i składa się z 3 części. W pierwszéj wyliczone powody, dla których cesarz powinien podjąć koniecznie wyprawę do Polski, a zatém skrupuły sumienia, wzrost potęgi i domu habsburskiego w Niemczech, obrona zagrożonego chrześciaństwa, nabytek Wołoszy i Moł-

dawii itd. W drugiéj części zastanawia się nad konstelacyą stosunków w Polsce i z prawdziwie machiawelowską przebiegłością poucza go, jak ma korzystać z niezgód i ambicyi polskich, jak podchlebstwem i przekupstwem ma Polskę poddać pod swoję władzę. W trzeciéj rozbiera autor klęski i niebezpieczeństwa, jakie spadną na Europę i chrześciaństwo, jeżeli Austrya nie poda Polsce, stojącéj nad przepaścią rozterek wewnętrznych, bratniéj dłoni. Główną rolę między argumentami miotanymi przeciw Stefanowi gra oczywiście bajka, jakoby Polskę w niewolę Turcyi zaprzedał, a tém samém półksiężycowi wolną drogę do wnętrza Europy otworzył. Nadto wybór Batorego naraża bezpośrednio Austryą na niebezpieczeństwo, albowiem Batory nie omieszka Węgrów przeciw Habsburgom podburzyć.

Memoryał ten, jakkolwiek w wysokim stopniu obraża patryotyczne uczucia każdego Polaka, zawiera jednak bardzo wiele trafnych uwag i prawd, świadczących o bystrym zmyśle obserwacyjnym Warszewickiego. Spostrzeżenie naprzykład, że Polacy zwykli się zabierać do dzieła z zapałem i gorliwością nie do opisania, z czasem jednak jak ów strumień w piasku, stają się leniwi i opieszali a w końcu zupełnie bezczynni i bezradni, sięga w najgłębsze tajniki narodowego charakteru; natomiast pewność, z jaką mówi o korupcyi senatorów i szlachty, policzyć należy raczéj na karb wielkiego uprzedzenia autora do klas uprzywilejowanych w narodzie aniżeli przypisać faktycznemu stanowi rzeczy.

Następuje z kolei ciekawy dyalog Polaka z Czechem: *Lechitae et Bohemi colloquium*, wydany z rękopisu spółczesnego, który się przechowuje w bibliotece watykańskiéj. Jak łatwo można dorozumiéć się, Lechita jest reprezentantem narodowéj antyaustryackiéj opinii, podczas gdy Czech reprezentuje cudzoziemski sposób zapatrywania się na Polskę i jest stronnikiem rakuskiéj kandydatury. Lechita to zwyczajny, naiwny, rubaszny szlachcic, dbały przedewszystkiém o zachowanie swobód i polskości. Czech to człowiek bystry, trzeźwy, wymowny, obrońca pierwiastku władzy i rządu, pieczołowity szczególnie o dobro chrześciaństwa i Europy,—to sam Warszewicki. Dyalog odbywa się po śmierci Batorego, kiedy rzeczpospolita po raz trzeci w krótkim przeciągu lat znalazła się wobec nierozwiązanego problematu zgodnéj elekcyi króla.

Po kilku przedwstępnych i solą attycką zaprawnych uwagach zaczyna autor (Czech) od dowodzenia, że kandydatura Piastowska tylko na szkodę Polakom wyjść może. Widmo zalewu bisurmańskiego i tu odgrywa najpierwszą rolę. Już ta okoliczność,—mówi Czech,—że sułtan zaleca wybór Piasta, daje pewność, że w razie wy-

boru byłby najniższym sługą sułtana; Polskę wówczas spotka los, który spadł na Węgry przed pół wiekiem, za czém pójdzie podbicie całéj Europy pod panowanie Porty ottomańskiéj. Wybór Piasta pociągnie daléj za sobą rozliczne wydatki, których szlachta nie zechce ponosić; wybuchną więc bunty, rokosze, a Polska stanie otworem dla wszelkich zagranicznych intryg i machinacyi. Kandydatura piastowska raz do życia powołana rozbudzi uśpione ambicye magnatów, które sprowadzą na Polskę nowe zakwikłania i niebezpieczeństwa. Polakom potrzeba monarchy, któregoby otaczał urok królewskiego pochodzenia, któregoby zalecało długoletnie doświadczenie i prywatny majątek. Temu ideałowi monarchy odpowiada tylko rakuski książę. Lechita jednak ani chce słyszéć o tém, odpowiada znaném przysłowiem: Jak świat światem, nie będzie Niemiec Polakowi bratem. Czech przeto przystępuje do wykazania trudności, z jakiemi jest połączony wybór Szweda na króla polskiego. Szwed będzie się przedewszystkiém dopominał oddania Litwy i Mazowsza jako wiana Katarzyny Jagiellonki. Z Jagiellonami łączy go dalsze pokrewieństwo aniżeli Habsburgów. Daléj niepodobna połączyć pod jedném berłem dwóch tak odmiennych, morzem od siebie przedzielonych państw. Szwecya otoczona zewsząd nieprzyjaciołmi, nie da Polsce ani materyalnéj ani moralnéj pomocy, a natomiast wciągnie ją w wir domowych niesnasek dynastycznych, które ją jeszcze bardziéj osłabią. Królewicz szwedzki jest młody i niedoświadczony, prawdopodobnie sam ojciec nie zechce go wyprawić do rozdwojonéj i niezgodnéj Polski, gdzie potrzeba żelaznéj dłoni do kierowania nawą państwa.

Na tak przekonywające argumenta Lechita nie ma innéj obrony prócz przykładu Karola V, który w 19 latach zostawszy cesarzem świetną swych rządów pozostawił pamięć. Czech jednak wskazawszy na odmienne warunki, wśród których rządził cesarz niemiecki, poczyna dowodzić, że i trzecia kandydatura, moskiewska, nie ma racyi bytu. Już sam charakter Moskala despotyczny, tyrański, pod wpływem barbarzyńskiéj religii urobiony, wzbudza niemałe obawy i podejrzenia. Analogia z ojczystéj przeszłości za argument służyć nie może, bo od tego czasu fizyonomia narodów się zmieniła i ani na chwilę nie można przypuszczać, że Moskwa zmieni wiarę dla Polski jak to Litwa uczyniła. A co do mrzonek o wielkiém państwie północno-słowiańskiem, to pochodzą one z braku dostatecznéj znajomości historyi, która uczy, że wielkie organizmy państwowe o wiele prędzéj upadają, aniżeli małe.

Zaczyna się materya druga o zaletach i wyższości kandydatury austryackiéj. Przedtém jednak Lechita zapala się przeciw do-

tychczasowéj polityce domu rakuskiego, w najwyższym stopniu nieszczeréj, podstępnéj, zasadzającéj się na przeniewierstwach i niespodziewanych napadach zbrojnych. Otrzymawszy sofistyczną odpowiedź, że wojny między sąsiadami są koniecznością geograficzną, zwraca następnie uwagę przeciwnika na opłakany stan Węgier i Czech, od czasu, jak zostały przyłączone do korony Habsburgów. Nietylko rozwój ich narodowy poniósł szwank dotkliwy, ale nadto jęczą pod jarzmem niewoli, okrucieństwa i podatków. Zaskoczony z nienacka Czech sprzeciwia się stanowczo niegodnym potwarzom rozsiewanym przez ludzi nie znających ani łagodności rządów austryackich ani kwitnącego stanu nadłabskiéj krainy. Że im odebrano prawo wolnego wyboru króla, to jeden więcéj powód do wdzięczności względem domu habsburskiego; Polska bowiem jest odstraszającym przykładem, do czego prowadzi wolność elekcyi.

Po téj złośliwiéj, ale trafnéj uwadze, przystępuje Czech (Warszewicki) do wykazania nieporównanych korzyści jakie Polska odniesie z wyboru Habsburga. Przedewszystkiém nie powinna się zrażać, że król habsburski może jéj przynieść wojnę z Turcyą; lepiéj bowiem wcześnie, przygotować się do wojny i siły swe udziałem w lidze umocnić, aniżeli ufać przymierzu z Turkiem i wyczekiwać, aż pokrzepiwszy nadwerężone siły rzuci się na Polskę bezsilną i nieprzygotowaną. Że partya cesarska używa pieniędzy do jednania stronników, także nie powinno Polaków razić, bo nie przekupywanoby ich, gdyby nie dali się przekupywać, a powtóre wiadomo powszechnie, iż nawet przy wyborze papieża pieniądze grają niepospolitą rolę. Korzyści zaś będą następujące. Polska zjedna sobie szacunek w całéj Europie. Król rakuski umorzy pretensye Rzeszy niemieckiéj do Prus i Inflant, zabezpieczy granicę od wschodu tj. Moskwy i Tatarów, odzyska Wołoszę dla korony polskiéj, wreszcie umocni Polskę na wewnątrz i będzie Polska wielka, bogata i szczęśliwa.

Na wszystkich punktach pobity Lechita szuka ostatniego schronienia po za zasłoną opinii powszechnéj, która jest przeciwną Austryakowi. Nawet i Czech czuje się wobec téj wszechwładnéj pani bezsilnym, ucieka się więc do broni zjadliwego sarkazmu: Cóż począć z wami—woła uniesiony—skoro słyniecie z szczególniejszego przywileju być mądrymi dopiero po szkodzie i wszystko czynić po niewczasie.

Lechita rozdraźniony urywa rozmowę—spieszy na śniadanie, na które go w sąsiedztwie zaproszono.

Dyalog ciekawy—może najciekawszy i najlepszy ze wszystkich, w naszéj publikacyi pomieszczonych pism politycznych. Cie-

kawy jest, bo pozwala nam zajrzéć w głąb duszy i wyczytać całe jego polityczne *credo*; najlepszy, bo w sposób wyczerpujący i mądry przedstawia, jak Polska podówczas sądziła swoje położenie i przeznaczenie na świecie, swój stosunek do mocarstw zagranicznych. Mimo to dyalog ten nie jest sympatyczny; a nie jest nim dlatego, że nie można powziąć szacunku dla człowieka, który może przed kilku miesiącami wynosił pod niebiosa w oracyi pogrzebowéj swego dobroczyńcę, króla Stefana a tutaj wyraża się o nim z niechęcią i lekceważeniem; tak więc miłość i szczere uwielbienie powzięte do Stefana za życia stopniało po jego zgonie w promieniach łaski cesarskiéj.

Jeszcze jedna uwaga nasuwa się co do znaczenia aktorów dyalogu. Dla czego Warszewicki wybrał właśnie Czecha na adwersaryusza politycznego Lechity, a nie innego Słowianina, Węgra lub drugiego Polaka. Oto wiadomo (Szujski Dz. P. III p. 17), że podczas pierwszego bezkrólewia Rozemberg i Bernstein, Czesi rodem a posłowie cesarscy, pobratawszy się na biesiadach z Polakami, mieli ich sami przestrzegać przed elekcyą Rakuszanina wskazując na los własnéj ojczyzny. Pamięć o téj pełnéj znaczenia przestrodze żyła zapewne dotąd między szlachtą i nieraz zapewne była używana jako rozstrzygający argument przeciw namowom cesarskich agentów. Biorąc pochop z téj okoliczności, włożył autor w usta Czecha wymowny protest przeciw kłamliwym potwarzom podochoconych ziomków.

Po tém, w każdym razie niezwyczajném piśmie następuje traktat p. t. „*Apologia II qua alterius Maximiliani archi ducis Austriae in Regem Poloniae et Magnum Ducem Lithuaniae legitime electi ius et dignitas defenditur.*" Jak już z tytułu można wyrozumiéć, autor porusza w tym traktacie sprawę podwójnéj elekcyi, jaka miała miejsce po śmierci Batorego na sejmie elekcyjnym z r. 1587 i udowadnia, że jedynie prawnym królem jest arcyksiążę Maksymilian. Opowiada tedy w porządku chronologicznym wypadki bezkrólewia lecz oczywiście pomija uchwały i rozporządzenia, jakie zapadły na sejmie konwokacyjnym i elekcyjnym. O burzy, jaka się podniosła na konwokacyi przeciw Zamoyskiemu, o konfederacyi generalnéj warszawskiéj, lustracyi szlachty zdolnéj do broni nie dowiadujemy się ani słowem. Lepiéj ale także chaotycznie opisany przebieg sejmu elekcyjnego, szczególniéj charakterystyka obu stronnictw tak zwanego koła czarnego i generalnego, poniekąd bezstronna i wyczerpująca, zasługuje na uwagę; w tém jednak, co mówi o Zborowskich, słychać głuche echo jego własnych krzyków na konwokacyi przeciw Weseliniemu o rozdrapanie skarbów Stefana. O innych szczegółach sejmu jak o zbrojnych zatargach stronictw, o morderstwie dokonaném na

biskupie Rozrażewskim, poselstwie Leśniowolskiego do Zygmunta i t. d. dowiadujemy się tylko mimochodem, to jest kiedy autor odpiera niezliczone zarzuty przeciwników a broni własnego stronnictwa. Mowa ta nieodznacza się ani świeżością motywów, ani żywością języka i formy, dla tego pomijam dokładniejsze jéj streszczenie. Kończy ją autor szumną, napuszystą dysertacyą o zacności sprawy austryjackiéj i zaletach domu habsburskiego.

Następująca mowa, wydana z rękopisu spółczesnego znajdującego się w Insbruku, zwraca się również do Maksymiliana. Miał ją autor na naradzie we Wieluniu 17 stycznia 1588 r. w chwili, gdy przednie straże Zamoyskiego docierały do Krzepic i lada chwila kazały się obawiać przybycia samego kanclerza. Radzi przeto mówca arcyksięciu wykonać jak najszybszy odwrót do którego z silnie obwarowanych miast i tam oczekiwać przybycia posiłków.

Mowa ta z tego względu ważna, iż potwierdza hypotezę Nachera w pracy p. t. Bitwa pod Byczyną (Lwów 1883) wypowiedzianą, iż autorem dzieła: *ab excessu Stephani regis ad Maximiliani Austriaci captivitatem liber singularis*, — nie jest Bruttus, jak Ciampi utrzymywał, lecz Warszewicki.

Jeżeli w téj mowie autor widocznie pod wpływem niebezpieczeństwa podnosi się do niezwyczajnéj sobie żywości stylu i wymowy, to nie masz nic bardziéj suchego i pedantycznego jak następująca oracya do cesarza Rudolfa II, miana w Pradze dnia 2 marca r. 1588 a zatém po bitwie pod Byczyną. Składa w niéj autor zapewnienie wiernopoddańczych swych uczuć względem tronu i prosi, by jak najspiesznéj przedsięwzięto odpowiednie kroki celem uwolnienia Maksymiliana II z więzienia. Jest to jeden wielki szumny dytyramb na cześć potęgi domu habsburskiego. Nie brak w mowie także alluzyi do opłakanego stanu majątkowego w jakim znajdują się rozbitki z pogromu byczyńskiego. Nadto dowiadujemy się, że Warszewicki nie dostał się wraz z innymi do niewoli, jak sądził Szujski (Dz. P. III s. 125).

Następujące 2 memoryały, jeżeli je tak nazwać można, rzucają bardzo ciekawe światło na sieć intryg, jaką dom austryjacki na Polskę zarzucił. Pierwszy: *propositio archiducis Maximiliani liberandi*, zawiera 2 plany obmyślane przez Warszewickiego celem oswobodzenia Maksymiliana. Pierwszy z nich zasadzał się na ułatwieniu mu przeprawy przez Wisłę i ucieczki do Szląska, drugi zamierzał wyprawę zbrojną na własną rękę i uwiezienie arcyksięcia do Węgier lub Szląska.

W drugim zaś memoryale p. t. „*Consilium de rebus polonicis turbandis*“ poucza Rudolfa jak ma mataczyć, aby zjazd komisarzy, mający zmusić Maksymiliana do abdykacyi, nie przyszedł do skutku.

Ostanim płodem literackim na większe rozmiary jest *oratio pro Maximiliano electo Poloniae rege ad regni Poloniae et Magni Ducatus Lithuaniae ordines*, wydana ze spółczesnego, przez autora poprawianego rękopisu. Jest to znowu retoryczny panegiryk na cześć potęgi Habsburgów — bez większéj wartości historycznéj a zarazem jeden dowód więcéj arogancyi i fanfaronady, z jaką przystępowała komisya cesarska do układów w Będzinie. Mówca opisuje ze stanowiska swojej sympatyi politycznéj wyprawę Maksymiliana do Polski, sławi jego łagodność i ludzkość a oburza się na warcholstwo niektórych osób (Zamoyskiego), łowiących ryby w mętnéj wodzie. Od komisyi żąda przyjęcia następujących 3 warunków: wydania arcyksięcia i utrzymania jego pretensyi do tronu polskiego; w tym celu— jako trzeci postulat — komisya jeszcze raz rozpatrzy sprawę podwójnéj elekcyi i zawyrokuje kto ma na władcę Polski więcéj danych i więcéj przymiotów. Mowa zamyka się groźbami niebezpieczeństw, jakie spadną na Polskę, jeżeli nie skorzysta z téj ostatniéj sposobności wprowadzenia na tron Habsburga.

III.

Część następna obejmuje listy Warszewickiego w liczbie 59 od i do znakomitości spółczesnych z lat 1574 — 1603, ułożone nie wedle osób ale w porządku chronologicznym. Najwięcéj z nich bo 18 odnosi się do dziejów 2-go, a 13 do 3-go bezkrólewia. Do dziejów 1-go interregnum nie ma wcale korespondencyi, jak przypuszczam na podstawie wzmianki o Warszewickim w 1-éj księdze jego Historyi tudzież listu pierwszego do kardynała, z tego powodu, że nasz dziejopisarz w owéj epoce nie miał jeszcze ustalonych zasad i sympatyi politycznych i stojąc na stanowissku ściśle katolickiém, miał wyłącznie ogólny interes kościoła na oku.

Liczebnie najwięcéj bo aż 9 a przytém nie bez wartości historycznéj są listy do kardynała Commendoniego. Nr 1, 2, 4, 5, 6, 17, 19, 20, 29. — Pisane w latach 1574 — 1583, jużto z Krakowa, jużto z Francyi, dokąd zapewne udał się nasz dyplomata z polecnia Tęczyńskiego (Zakrzewski: Po uc. Henr. s. 197 uw.), już to wreszcie z Ratyzbony, gdzie bawił po nieudałéj elekcyi Maksymiliana II,— grupują się około najważniéjszych wypadków z owéj epoki dziejów Polski, nie podając jednak wiadomości skąd inąd nieznanych i ważnych. Nowy natomiast, o ile wiem, jest szczegół zawarty w drugim liście z Lugdunu, że pierwotnie na posłów do Polski od Henryka byli przeznaczeni nie marszałek Bellegarde i Pibrak ale marszałek Beffianus i Raumbuleti.

Żywszy interes budzą obfitością szczegółów i większą swobodą listy do Dudycza, niegdyś biskupa pięciokościelskiego a następnie jednego z najzdolniejszych agentów cesarskich. (Nr 3, 10, 12, 14, 15, 27). Szczególnie korespondencya z 15 stycznia 1576 r. jest ważnym przyczynkiem do dziejów stronnictwa rakuskiego i daje miarę intryg, jakiemi zarzucono Warszawę i kraj cały, aby nie dopuścić wyboru Habsburga. Oto podczas bankietu u marszałka — opowiada Warszewicki—pokazywano sobie z tryumfem list od biskupa chełmskiego, w którym uwiadamiał marszałka, iż cesarz w odręcznem piśmie do niego wystosowaném zrzekł się uroczyście korony polskiéj. Wiadomość ta zaniepokoiła i ździwiła niezmiernie, ale nie mając żadnych dowodów na podorędziu, nie mogłem jéj zaprzeczyć. Wtém, szczęśliwém zrządzeniem losu, otrzymuję w téj właśnie chwili list od cesarza z Wiednia, zawierający wręcz przeciwne wiadomości. Przejrzałem matactwa przeciwników; pełen oburzenia wystąpiłem przeciw niecnym intrygantom i zażegnałem w porę złe skutki, jakie taka mistyfikacya mogła dla cesarza pociągnąć.

Jeszcze więcéj wtajemnicza nas w drobiazgowy mechanizm dyplomacyi austryackiéj list pisany z Warszawy 23 stycznia 1576 r. Jest to relacya o wypadkach zaszłych w ciągu tygodnia. Przed 6 dniami przybył do Anny wysłaniec od Batorego ze Siedmiogrodu— niewiadomo w jakim celu. Krąży tu pogłoska, że Batory nie przyjmie korony — może to jednak być podstęp w celu uśpienia naszéj czynności. Marszałek kor. Piotr Zborowski udał się w 100 koni do Jędrzejowa, — zastępuje go chwilowo Zebrzydowski. Do Jędrzejowa pociągnął także pan Kryski, kasztelan raciążki w 150 koni—otrzymawszy poprzód dwukrotne tajne posłuchanie u królewny Anny. Z szlachty mazowieckiéj tylko niższa spieszy na zjazd jędrzejowski— wiekszość trwa wiernie przy cesarzu.

Jedyny list do Mikołaja Radziwiłła (z 4 kwietnia 1575 r.) napisał zapewne Warszewicki z polecenia Henryka, do którego słał niedawno wojewoda po koadyutoryą wileńską dla brata (Zakrzewski l. c. 197 p.). Dowiadujemy się zeń, iż król Henryk zamyślał żądać przez posłów, aby Polacy jeszcze jeden rok wstrzymali się od wyboru nowego króla, tymczasem przesyła 300,000 zł. na potrzeby koronne, a obiecuje w krótkim czasie jeszcze więcéj posłać byleby nie zrywano „tego między nim a Polską świątobliwego związku."—Wiadomość ważna, prawdopodobnie jednak nie prawdziwa, wiadomo bowiem jak okropnie Francya była podówczas zrujnowana i jak strasznie podupadł kredyt królów francuskich. Wszakżeż z posłami na sejm elekcyjny r. 1575 zwłóczył Henryk dlatego, że nie miał ich w co zaopatrzéć a nie mógł ich do Polski z gołemi wyprawić rękami

(Zakrzewski l. c. p. 209 sq.). Wobec tego, sądzę, słowa Warszewickiego należy uważać za czczą obietnicę podsuniętą łatwowiernym Polakom z natchnienia Henryka.

Prawie współczesne listy, jak list do Grzegorza XIII tudzież do członków domu habsburskiego, Ernesta, Ferdynanda, Maksymiliana II i Rudolfa II, wreszcie 3 listy do kardynała Moroni, nie zawierają ważniejszych wiadomości historycznych, odnosząc się przeważnie do agitacyi na korzyść domu habsburskiego i do jurgieltów, jakie Warszewickiemu w nagrodę za jego gorliwą działalność przyrzeczono. Natomiast nie bez wartości historycznéj jest list pisany r. 1577 do Gratianiego sekretarza kardynała Comendone; podaje mianowicie kilka ciekawych szczegółów odnoszących się do wyprawy Gdańskiéj Batorego. Gdańszczanie, — czytamy — ofiarowali początkowo królowi 300,000 zł. Ponieważ jednak król żądał bezwarunkowego poddania się i złożenia hołdu, nie tylko nie chcą teraz ani słyszeć o okupie lecz żądają od króla znacznej sumy tytułem wynagrodzenia kosztów wojennych. Walczy po ich stronie Mansfeld, były dowódca wojsk austryjackich. Mają 800 jazdy a 6000 pieszych i podostatkiem żywności; wspiera ich nadto król duński i miasta nadmorskie. Równocześnie Moskwa zagarnęła Inflanty; wszystko jedném słowem się rozprzęga i idzie na opak. — List ten także z tego względu interesujący, że odkrywa w gruncie szlachetną duszę naszego publicysty; warchoł z natury i przyzwyczajenia, kochał jednak ojczyznę, kochał ją wprawdzie po swojemu, ale szczerze i serdecznie i o złą wolę względem Polski obwiniać go się nie godzi.

Ważnym przyczynkiem do wyświecenia stosunków prywatnych Warszewickiego, jego wziętości i rozgłosu za granicą, jego znajomości w kraju są listy napisane po włosku do nuncyuszów Bolognettiego i Annibala z Kapuy, tudzież list ks. Hieronima Rozrażewskiego, sekretarza w. kor.

Korespondencya z Janem Zamoyskim Nr 26, 50, 51, 52, utrzymywana i po klęsce byczyńskiéj, nie jest tak ciekawą i ważną jakby można się było spodziewać. Jedynie list pierwszy pisany, z Zapola 12 Grudnia 1581 posiada pewną zawartość historyczną. Odnosi się do tak zwanego „Zapolskiego" pokoju, czyli do pokoju w Kiwerowéj Horce, który stanął 15 stycznia 1582. Rosyanie mimo nalegań Possewina wszelkimi sposobami zwlekali, oczekując klęski wojsk polskich pod Pskowem. Pragnęli, jak się dowiadujemy, aby nie oni do Polaków, ale posłowie polscy, między którymi i Warszewicki się znajdował, do ich obozu zjechali na układy. Równocześnie rozsiewali dla postrachu wieści, że Iwan nie zważając na rozpoczęte układy, gotuje groźną wyprawę przeciw Polakom.

Sześć listów do i od senatu gdańskiego wyjaśniają nam jedynie z jak ciężkiemi nieraz kłopotami i trudnościami materyalnemi musieli walczyć nasi literaci z XVI wieku, chcąc swe prace ogłosić drukiem. Bez uszczerbku również dla historyi możemy pominąć 2 listy wystósowane do biskupa ołomunieckiego Eckharda von Schwoeben, list do posła cesarskiego Pawłowskiego i do kanoników kapituły krakowskiej. Wypada natomiast zwrócić uwagę na list do króla szwedzkiego Jana III (Nr 28) datowany ze Sztokholmu dnia 8 lipca 1582 r. Wiadomo bowiem, że Jan III mimo bliskiego pokrewieństwa z Jagielonami i niezakłóconych stosunków sąsiedzkich z Batorym, zajął podczas wyprawy pskowskiéj wrogie względem Polski stanowisko a nawet kilka zamków inflanckich jak Weisenstein i Narwę wziął w posiadanie. Na wieść o tém wyprawił Stefan zaraz z Rygi kuchmistrza swego Allemaniego w poselstwie do Szwecyi, przedstawiając królowi bezprawność i nieuczciwość podobnego kroku. Allemani jednak nic nie wskórał; Batory przeto poruczył missyą Warszewickiemu. Lecz i naszemu dyplomacie nie sprzyjała fortuna. Mimo najsolenniéjszego przyrzeczenia, że otrzyma piśmienną i wyczerpującą odpowiedź w jak najkrótszym czasie, siedział przez 3 tygodnie w Sztokholmie bezskutecznie. Na tę to przydługę a dającą do myślenia zwłokę w rokowaniach żali się Warszewicki w dwudziestym ósmym liście.

IV.

Jeżeli dotychczas Warszewicki przedstawiał się nam w świetle własnych utworów i korespondencyi lub co najwięcéj w świetle przychylnych mu, bo interesem natchnionych relacyi, to ta część dzieła o któréj obecnie mówimy, pozwala nam go poznać z innéj strony, okazuje go nam takim, jakim go sądzili swoi i obcy, przeciwnicy i adherenci, nie związani z nim bezpośredniemi stosunkami. Przeto prawdziwe uznanie należy się wydawcy za tę szczęśliwą myśl. za to, że zebrał sporę stosunkowo wiązankę ekscerptów i dokumentów, które w wysokim stopniu przyczyniają się do tém głębszego przeniknięcia i tém plastyczniéjszego uwydatnienia tej ze wszech miar interesującéj postaci.

Obszerny ekscerpt z dzieła Orzelskiego (Bezkrólewia ksiąg ośmioro) — rzuca bardzo niekorzystne światło na charkter i moralną wartość Warszewickiego w latach młodocianych. Rzecz cała wykryła się na sejmie konwokacyjnym z r. 1574 podczas zaciętéj walki parlamentarnéj o zasadniczą kwestyą, czy utrzymać panowanie króla Henryka i wysłać do niego posłów, czy téż ogłosić bezkrólewie. Z jednéj i drugiéj partyi wybrano do téj sprawy osobnych mówców.

Za bezkrólewiem przemawiali Rafał Leszczyński, Świętosław Orzelski i Abraham Zbąski; ze strony przeciwnéj doświadczali sił swoich Niedziałkowski, Bykowski i Krysztof Warszewicki, najzdolniejszy z obrońców Henryka. Zagorzałość stronnicza zapewne popchnęła go do tego, że się chwycił niegodnego środka. Oto aby nie dopuścić wysłania poselstwa do Henryka, które zapewne zdaniem jego ubliżało powadze władzy monarszéj, odczytał w izbie, niby w imieniu wszystkich posłów mazowieckich pismo podające w wątpliwość charakter przyszłych wysłańców i odmawiające potwierdzenia uchwał. Tymczasem posłowie mazowjeccy przestraszeni krzykami, które się na nich z tego powodu podniosły, zaprzeczyli zgodnie temu, jakoby Warszewickiego umocowali do podobnego memoryału. Oskarżony o zbrodnię przeciw Rzeczypospolitéj, zaledwie uniżonemi prośbami i przyrzeczeniem stanowczéj poprawy, zdołał się ocalić od niechybnéj kary śmierci. Postępek ten jednak nie uszedł mu bezkarnie. Przypomniał bowiem przeciwnikom politycznym, a mianowicie radykaliście Zbąskiemu inne nieczyste sprawki Warszewickiego z czasów jego pobytu we Włoszech. Zarzucano mu mianowicie liczne kradzieże, długi niepopłacone i inne tym podobne występki, a we wszystkiém powoływano się na naocznych świadków i księgi sądowe. Wobec tego domagał się Zbąski, aby Warszewickiego wykluczyć z grona posłów jako niegodnego zasiadać na jednéj ławie z ludźmi honorowymi. Na usilne jednak nalegania posłów mazowieckich, tudzież ze względu na dobro publiczne, izba odroczyła termin ekskluzyi aż do czasu przedłożenia dowodów. Jak ostatecznie sprawa się rozstrzygnęła — nie mamy wiadomości, tyle pewna, że Zbąski pod koniec sejmu rzeczywiście przedstawił już-to naocznych świadków, już-to autentyczne ich listy, które potwierdziły jego oskarżenie.

Rekryminacye te doszły także do uszu senatu. To téż kiedy Warszewickiego wybrano do deputacyi z 20 (10 senatorów — 10 rycerzy) mającéj się zająć obmyśleniem odpowiednich środków do ubezpieczenia uchwał konfederacyi, Jan Tomicki zerwał obrady nie chcąc zasiadać razem z człowiekiem zostającym pod klątwą tak nikczemnego występku. Jedném słowem młody nasz szermierz parlamentarny ściągnął na się powszechną nienawiść i wzgardę. Jego to intrygom przypisywał Drohojowski tak ubliżającą odprawę i nieokreśloną odpowiedź, jaką posłom polskim dał Walezy w drodze do Rheims.

Przedstawiłem rzecz tę z tego powodu szczegółowiéj niż inne, gdyż jest ona także przedmiotem ekscerptu z listów nuncyusza Wincentego Laurei do sekretarza papieskiego Ptolomaeusa Galliusa. Nun-

cyusz prosi kardynała, ażeby przeszkodził wydaniu dokumentów neapolitańskich, po które wysłano Zbąskiego, ponieważ Warszewicki broni gorliwie sprawy kościoła, a mianowicie pozyskanie Mazowsza dla cesarskiéj kandydatury jemu i Radzimińskiemu zawdzięczyć należy.

Do tego chóru kalumnii i najcięższych zarzutów dodać należy jeszcze jeden głos, który nie brzmi wprawdzie tak poważnie jak inne, ale nie mniéj jest charakterystyczny, będąc echem opinii, jakiéj Warszewicki w kraju zażywał. Mówię o ekscerpcie z relacyi kapitana Piotra Dunina Spoth'a z r. 1590. Skarży się w niéj ów oficer, że Warszewicki wraz z drugim przybłędą na każdym kroku przygotowuje nań zasadzki, obrzuca go obelgami i zniesławia przed czcigodnymi ludźmi. Podawszy krótką, ale dosadną charakterystykę jego dotychczasowego życia, prosi cesarza Rudolfa II o wydelegowanie sędziów dla zbadania téj sprawy. Życzeniom jego stało się zadość— o czém zaświadcza dokument pod N. 11 umieszczony.

Że to nie był człowiek wcale wzorowych obyczajów a przedewszystkiém zapalczywy i namiętny, dowodzą także ekscerpta z aktów kapituły krakowskiéj, która była zmuszoną wytoczyć mu za klasztorne przestępstwa sprawę dyscyplinarną a nawet zawotować ekskomunikę.

Z pośród innych mniéj ważnych dokumentów podnieść wypada akt jego instalacyi na kanonią krakowską z roku 1598, zawierający ważne przyczynki do jego genealogii, tudzież akt śmierci, która 12-go września 1603 r. przecięła pasmo jego niespokojnego życia. Majątku tak dalece żadnego nie zostawił, że kapituła była zmuszona własnym kosztem go pogrzebać.

O pochodzeniu jego i urzędzie, a mianowicie, że był synem kasztelana warszawskiego i sekretarzem królewskim dowiadujemy się z legatu króla Zygmunta III, który za wstawieniem się ojca św. Klemensa VIII wyznaczył mu (r. 1593) 100 zł. rocznéj pensyi. Do tegoż przywileju odnosi się następujący dokument z r. 1597.

Przy téj sposobności wspomnieć należy o asygnacyi Stefana Batorego z r. 1581, zastrzegającéj Warszewickiemu również 1000 zł. dożywotnéj pensyi rocznéj. Nie było zatém z nim tak źle, jakby można wnosić z wiecznych utyskiwań w jego listach. Ale nasz Krzysztof był dzieckiem swego czasu,— a jak słusznie zauważył Morawski Kaz. (Andrzéj Patrycy Nidecki, str. 153)—jednym z rysów najwybitniejszych całego ówczesnego pokolenia była zbytnia chciwość nabywania. Nie omieszkał także nagabywać z tego powodu o łaski wielkich tego świata, jak arcyksięcia Ernesta, Annibala z Kapuy, Wincentego Laurei, których pisma polecające do Rudolfa II, pry-

masa Karnkowskiego, Maksymiliana II i kardynała Moroni ujęte są w formę nadzwyczaj pochlebną i uznania pełną.

W końcu wyszczególnić należy dwa listy, odnoszące się do misyi szwedzkiéj Warszewickiego. Jest to list Jana III do Stefana Batorego datowany z Upsali (8 lipca 1582) i spółczesny list Katarzyny Jagiellonki do tegoż Stefana, który ją prosił o poparcie swych przedstawień. Oba zawierają odmowną odpowiedź na żądanie króla polskiego, aby załogi szwedzkie ustąpiły z twierdz zajętych w czasie wojny inflanckiéj. List Jana III dumny, arogancki, wyzywający, charakteryzuje dosadnie zaostrzenie się stosunków polsko-szwedzkich, które pod koniec rządów Stefana z całą siłą objawiło się w zaburzeniu rygskiém r. 1584.

Nie kusząc się o wyczerpanie obfitego materyału biograficznego i historycznego, który w tym dziale jest zawarty, przystępuję do ostatniéj części wydawnictwa, aby i o niéj słów kilka powiedziéć.

Jest to chronologiczny wykaz wszystkich edycyi dzieł Warszewickiego, jakie pojawiły się od r. 1572, t. j. roku wydania pierwszego poetycznego traktatu historycznego p. t. „*Venecia*“ aż do r. 1858, w którym wyszły 3 znakomitsze oracye Warszewickiego w Krakowie; z tych 2 mowy, t. j. na zjezdzie mazowieckim po śmierci Stefana Batorego i o śmierci Anny Rakuszanki — przełożone na język polski staraniem Józefa Turowskiego. Książek opatrzonych nazwiskiem autora jest 83, — cyfra bardzo wymowna i imponująca. Kompletne wydanie a raczéj obejmujące to wszystko, co okazało się do r. 1600, wyszło tegoż roku w Krakowie z dedykacyą Klemensowi VIII. Sława i wpływ autora widocznie zasadzały się na jego pomniejszych pismach, które przeto nader często wydawano, zwłaszcza w XVII w. Szczególnie mowa jego na zawarcie pokoju w Zapolu, czyli jak autor ją nazywa „*ad Zapolsciam*“,—Turcyki, których jest niemniéj nie więcéj jak 14 i panegiryk pogrzebowy Stefana—cieszyły się nadzwyczajnym rozgłosem i poczytnością.

Przeciwnie 3 dzieła większe, bez porównania wyżéj od mów tak treścią jak i głębokością stojące, t. j. „*De optimo statu libertatis*“, „*De legato et legatione*“; tłómaczone z hiszpańskiego na łacińskie Friderici Ceriolao: „*De consilio et consiliariis*“ (1595 wydane) doczekały się tylko nielicznych wydań.

Wydawcy można być tylko wdzięcznym za ten bibliograficzny wykaz dzieł o wiele dokładniejszy i zasobniejszy, aniżeli indeks p. Tarnowskiego umieszczony w dodatkach do rozprawy o Warszewickim. Wykaz taki bowiem jest także otwartą księgą, z któréj można wiele ciekawych szczegółów wyczytać, odnoszących się nie-

tylko od osoby autora, ale i do życia umysłowego i literackich upodobań naszych przodków — jest on poniekąd miarą stopnia polskiéj cywilizacyi w trzech następnych wiekach i świadectwem, czy i po jakich drogach dążyła ona na wyższe stopnie.

Dla zupełności sprawozdania dodać należy, że na końcu znajduje się skrzętny indeks osób i miejscowości.

V.

Wartość i niemałe znaczenie niniejszego wydawnictwa już z początkiem i w ciągu sprawozdania miałem sposobność podnieść i uwydatnić. Tu dodam jeszcze słów parę o przedmowie, która mieści się na 2 stronicach. Autor przez 5 lat pobytu swego za granicą krzątał się około zebrania i uporządkowania rozproszonego materyału. Nie poprzestał na utworach i dokumentach, których mu dostarczyły obfite archiwa watykańskie i wiedeńskie, ale dotarł także do mniéj zasobnych i znanych zbiorów. Archiwa w Bolonii, Padwie, Ołomuńcu, biblioteki w Pradze, Warszawie i Sztokholmie, tak zwane Muzeum ks. Czartoryskich w Krakowie, zakład im. Ossolińskich we Lwowie, biblioteka Kórnicka i t. d. użyczyły mu wielu odpisów pierwszorzędnéj dla badacza wartości. Nietylko łacińskie ale i włoskie, polskie tak dobrze jak niemieckie utwory i dokumenta znalazły w niniejszém wydawnictwie pomieszczenie. Pomagało mu w téj żmudnéj i uznania godnéj pracy wielu uczonych, których z wdzięcznością wspomina w przedmowie. Ale i na tém koniec przedmowy. Fatalizm, jaki widocznie ciąży na wielu naszych wydawnictwach, zawisł także nad naszą publikacyą. „Autor nie pisze dłuższego wstępu, albowiem w roku przyszłym ogłosi osobną rozprawę o Warszewickim“ — a rozprawy téj dotąd nie ma lubo już 2 lata upłynęły od tego czasu. „Autor nie daje bliższych wyjaśnień i komentarzy, gdyż będzie o nich mówił w zapowiedzianym traktacie.“

O sposobie i metodzie wydawnictwa dowiadujemy się tylko tyle, iż poszczególne pisma w części pierwszéj ułożono nie w porządku, w jakim z pod pióra autora wychodziły, ale w następstwie rzeczowém wedle wypadków dziejowych, do których się odnoszą, że zachowano właściwą pisownię jedynie w kilku listach dla przykładu, że nagłówki umieszczone na pierwszym z listów odnoszą się i do następnych; zresztą „trzymano się metody przez innych wydawców zaleconéj.“ Nie mamy nic przeciwko temu, ażeby w wydawnictwie czy to dzieł, czy dokumentów postępować drogą przez pracę i doświadczenie innych utorowaną, jeżeli ta droga okazała się dobrą

i wygodną; ale w tym wypadku musielibyśmy albo bardzo nieprzychylny wyrok wydać o naszych dotychczasowych wydawnictwach, gdybyśmy o nich sądzili z publikacyi p. Wierzbowskiego, albo też wypada nam przypuścić, że wydawcy niniejszéj książki przyświecały najmniéj uznania godne pierwowzory, najnieszczęśliwsze próby na polu wydawnictwa źródeł historycznych. Bo czyż do warunków owéj zaleconéj metody może należéć przywiléj zasadniczego przemilczania o pochodzeniu, czasie, stanie, stosunku wzajemnym i właściwościach rękopismów, z których wydaje się poraz pierwszy utwory i to utwory niezwyczajnéj wartości, z których wydaje się tak cenne źródło historyczne, jak *Historiarum libri tres*? Nie wiem, czy i gdzie znajdują się dotyczące manuskrypta i w jakim zachowały się stanie, ale przecież nie trudno było dowiedziéć się o tém, że w Ossolineum istnieje także rękopism owych pierwszych trzech ksiąg, który należało przy wydaniu koniecznie uwzględnić i zużytkować. Kollacya i rewizya tekstów nie byłaby ani tak dalece mozolna, ani nie zajęłaby nazbyt wiele czasu, a wydawnictwo byłoby niezmiernie na tém zyskało.

A daléj czyż nie godziło się w przedmowie dotknąć bodaj kilku słowy kwestyi przynależności i stosunku naszego fragmentu do wspomnianéj księgi trzynastéj, opisującéj bezkrólewie po Stefanie, zastanowić się nad pytaniem, czy nie ma jakichciś wskazówek lub danych w wydanym ułamku, któreby przemawiały za autentycznością tamtego *liber singularis*, odpowiedziéć w mniéj albo więcéj prawdopodobny sposób, czy historyk nasz napisał całe wielkie dzieło, z którego tylko okruchy zostały, czy też dzieła swego z umysłu albo niezależnych przyczyn nie kontynuował i t. p.

Lecz nietylko o metodzie wydawnictwa nie mówi nic przedmowa, także i co do osoby historyka pozostawia nas wydawca w prawdziwie cymbryjskich ciemnościach. Dowiadujemy się zaledwie, że był to *polono-latinus scriptor saeculi XVI vergentis* i ani słowa więcéj. Nie chcemy przez to powiedzieć, że wydawca miał obowiązek pisać życiorys Warszewickiego lub traktat o jego dziełach, nie zapoznajemy okoliczności, że książka ta jest przeznaczona i obliczona na badaczów historyi polskiéj, obeznanych dokładnie z przedmiotem, ale byłoby, mojém zdaniem, rzeczą zupełnie stosowną a nawet pożądaną choćby dla fachowców, gdyby wydawca przykładem tylu innych znakomitszych wydawców był zwrócił w przedmowie uwagę czytelnika na stanowisko polityczne i społeczne Warszewickiego, na jego wyjątkowość pewną, gdyby skreślił po krótce choćby w najogólniejszych zarysach spółczesną sytuacyą polityczną i tym sposobem wprowadził czytelnika w samą rzecz.

Lecz przystąpmy do rozbioru właściwéj materyi, to jest jak wydawca powinien był się wywiązać a jak się wywiązał z podjętego a przyznać trzeba wcale niełatwego zadania, tj. jak wydał historyczne źródło.

Pierwszym obowiązkiem, który po zebraniu materyału przedstawia się wydawcy jest poprawienie krytyczne wadliwych tekstów. Może się ono a poniekąd musi w dwojaki sposób odbywać. Jeżeli zachodzi ten szczęśliwy zbieg okoliczności, że wydawca ma pod ręką kilka rękopismów, powinien w miejscach trudniejszych i wątpliwych porównać je z sobą, dokładnie takowe roztrząsnąć, zważyć wszelkie *pro* i *contra* i ostatecznie zdecydować się na najodpowiedniejszą lekcyą. Jeżeli jednak tylko jedyny kodeks się zachował, lub z jednego tylko wydawca może korzystać, albo jeśli w pewném miejscu kilka rękopisów podaje zgodnie fałszywą lekcyą, o wiele trudniejsze ale i ponętniejsze otwiera się pole dla wydawcy,— pole krytyki konjekturalnéj. Rozumiem przez to samodzielne poprawki czyli domysły, które błędność tekstu usuwają. Zdrowy rozsądek i logika są tu pierwszym, niezbędnym warunkiem; wspierać je powinna gruntowna wiedza i nauka a przedewszystkiém najdokładniejsza i najsubtelniejsza znajomość języka.

Z drugiéj jednak strony nie powinien krytyk zamyślający błędny tekst poprawić, zbyt samowolnie bujać na polu i manowcach krytyki; nie powinien zbyt daleko odbiegać od tradycyjnego tekstu, który chociaż zepsuty, jest dla wydawcy poniekąd obowiązujący; z tego wynika, że konjektury, o których wyżéj była mowa, jedynie w granicach prawdopodobieństwa paleograficznego i fonetycznego mają racyą bytu.

Zobaczymy, czy p. Wierzbowski tym wymaganiom metody wydawniczej zadosyćuczynił.

Przedewszystkiem zaznaczyć wypada, że wydawca do większej części utworów, które wydobył na jaw z pyłów bibliotecznych, nie posiadał kilku rękopismów, tak N. 2, 3, 4, 5, 7, 9, 10, i 1. Lecz jeżeli za to wydawcy zgoła winić nie można, z wyjątkiem za rękopism Historyi, o którym wyżéj była mowa, to z tém większą ciekawością poszukujemy śladów czyszczącego ognia kollacyi rękopismiennéj w utworach, do których miał pod ręką kilka kodeksów, a zatem w drugiéj apologii i w mowie na cześć Rudolfa. Atoli tu albo los złośliwy wypłatał figla, że rękopisy są spółczesnemi odpisami lub niczém nie różniącemi są duplikatami, albo wydawca nie zadał sobie trudu i nie skolacyonował tekstów a tém samém obniżył wartość swego wydawnictwa, albowiem w tekstach nie widać ani jednej zmiany uwidocznionéj a błędów i w jednym i drugim traktacie sporo.

Tyle co do rękopiśmiennego fundamentu w wydawnictwie p. Wierzbowskiego.

O drugim sposobie emendowania tekstu, o krytyce konjekturalnéj u p. Wierzbowskiego,—jeszcze niekorzystniéj sąd nasz musi wypaść. Z wyjątkiem dwóch niezłych uzupełnień w Historyi (p. 11 uw. 50 i p. 12 uw. 54), tekst przepisany dosłownie z manuskryptu, bez dokładnego wniknięcia w treść i krytyki. To téż książka zwłaszcza część jéj pierwsza roi się od błędów i usterek. Zachodzą od czasu do czasu zdania, których znaczenia tylko domyślać się można, ale nie zrozumiéć. Szczęśliwy, kto od razu przejrzy błędność tekstu i zrozumie że wyraz pewien, interpunkcya, nieraz całe zdanie dostało się przez omyłkę autora lub przepisywacza w niewłaściwe miejsce, szczęśliwy, kto przez zmianę jednéj czasem litery, przez wyrzucenie jednéj sylaby usunie bezsens lub sprzeczność pomiędzy zdaniami; ale stokroć pożałowania godne położenie czytelnika, kiedy utkwi w miejscu, gdzie nieświadomość przepisywacza lub niedozór wydawcy napiętrzyły już nie Ossę i Pelion ale całe Czimborasso błędów, gdzie niezbędnie potrzeba obmyślać całą seryą przypuszczeń, aby zdrowy sens z okresu wycisnąć. Nie można zaś braków językowych składać na średniowieczną łacinę, na niepoprawny sposób pisania, gdyż jeżeli kto, to Warszewicki znał doskonale klasyczną łacinę; wykształcony na wzorach starożytnych, przedstawiciel kierunku humanistycznego w Polsce, używał z pewnością frazesów wykwintnych i wyszukanych, wszelkie sekreta zbudowania zaokrąglonego okresu posiadał lepiéj niż niejeden dzisiejszy uczony a oracye swoje i traktaty starał się, o ile możności, stroić w szaty niedoścignionego mistrza, Cycerona.

Jeżeli zaś p. Wierzbowski nie poczuwał się na siłach do emendowania wadliwego tekstu, albo jeśli jego pietyzm dla ruin wspaniałego niegdyś budynku był tak wielki, że wolał pozostawić tekst poszarpany i wadliwy, aniżeli go oddrukować ze zmianami, to dlaczegoż w notach u dołu nie zaznaczył ani słowem, że tego albo owego miejsca nie rozumie, że ten albo ów ustęp wydaje mu się popsuty lub wadliwy. Taki bodaj komentarz byłby nadzwyczajném ułatwieniem i poniekąd uspokojeniem dla czytelnika.

Dość wskazać na następującą listę błędów mniejszych i większych, drukarskich i niedrukarskich, które referentowi podpadły pod oko, aby przeświadczyć się o bezstronnéj prawdziwości wyżéj wypowiedzianego sądu. Zdań całych mniéj albo więcéj zrozumiałych, z natury rzeczy tu przytaczać i prostować nie mogę. A zatém p. 16 (15a) stoi *enim* zam. *eam*, p. 45 *quantum audeo* zam. *quia ut audio*, p. 45 po *approbatus* należy położyć kropkę, nie przecinek, p.

45 *ut ita* zam. *ita ut*, p. 46 *quam* zam. *quamquam*, p. 47 po *occultare* ma być przecinek nie kropka, p. 47 *intemperie* zam. *intemperies* p. 48 *eo* zam. *et*, p. 48 *usui* zam. *usi*, p. 48 *quid* zam. *quod*, p. 50 *ut* zam. *et*, p. 51 *quam* zam. *quum*, p. 50 *causam suam* zam. *causae suae*, p. 51 po *arbitrio* brakuje przecinka, p. 52 po *licet* nie ma przecinka, a po *fuisset* winna stać kropka zam. przecinka, p. 52 *an* oddzielić przecinkiem od tego co następuje, p. 54 *quam* zam, *cum*, p. 55 *terrorum* zam. *terrarum*, p. 60 po *sanitatis* nie kropka, ale znak pytania konieczny, p. 65 ta sama usterka po *discesserunt*, p. 65 po *videtur* brakuje przecinka, p. 70 przed *arbitraretur* uzupełnić potrzeba *non* albo też zamiast *qui* położyć *quin*, p. 71 *quo* zam. *quod*, p. 72 po *fidendum* brakuje interpunkcyi, p. 72 *at num* zam. *at enim*, p. 72 *nulla tarditate* zam. *nullam tarditatem*, p. 72 *evadit* zam. *evadat*; *denique*, p. 73 *fidet* zam. *fidit*. Klasycznym przykładem wadliwości tekstu jest druga część zdania zaczynającego się na str. 73 a kończąca się na str. 74 u góry. Tam, ażeby jakkolwiek wybrnąć z trzęsawiska, należy mojem zdaniem przedsiębrać całą seryą poprawek. I tak zam. *cupida* czytać *cupido*, *ut* przed *alibi* opuścić, po *speraverit* pytajnik zmienić w kropkę, a *velle* w *vellet*. Lecz idę daléj: p. 75 brakuje przecinka po *tenebatur*, p. 86 *iudicium* wydrukowano zam. *indicium*, p. 86 *lunem* fałszywie zam. *lunam*, p. 87 *numera* zam. *munera*, p. 88 *muctandi* zam. *mactandi*, p. 89 przecinek nie po *adiungimus* ale po *nostras*, p. 91 *cotrariis* zam. *contrariis*. Niewątpliwie błędne jest zdanie p. 92 „*Si non referti pecuniis sacci ad maiorum mutto rerum ostensae expectationes legatione funguntur.*“ Daléj p. 93 *vestri*? błędne,—p. 98 *contineretur* zam. *continerentur* p. 99 po *honestatis* brak komy, p. 100 w *vix recusavit aliquis conditionem ea* tkwi jakaś pomyłka, bo cóż za znaczenie może mieć tutaj *ea*; p. 103 przed *nempe* radziłbym pytajnik zam. kropki, toż samo niżéj po *fuerit*, p. 104 przed *pars* brakuje *utra* v. *quae*; p. 104 *corrumperentur* zam. *corrumperetur*, p. 106 zam. *eis* czytać lepiéj *eas*; p. 106 przecinek przed nie po *diris*; p. 107, zam. kropki po *profiteri* lepiéj pytajnik, zam. *ad* czytać *ab*, p. 109 niezrozumiałe całe zdanie od słów; *itaque*....... do *procuretur*, p. 111 brakuje przecinka po *sustineretur*, tamże *reliquae* fałszywie zam. *reliquiae*, p. 113 po *habeant* kropka nie przecinek; p. 115 *emarata* błędnie zam. *emanata*, p. 119 *quam* zam. *quasi*, *ut* zam. *utrum*; p. 124 *collacatus* zam. *collocatus*, p. 131 po *fuerant* nie ma interpunkcyi. Po *decernente* na tejże stronie nie kropka ma stać, ale przecinek; p. 132 brakuje po *enimvero* negacyi *non*; tamże zam. *quid* czyt. *quod* i pytajnik przed tém zbędny; p. 134 zam. *ultra* czyt. *ultro*, p. 134 zam. *interetur* czyt. *niteretur*, p. 135 *docebatis* błędnie zam. *docebaris* albo *dicebaris*; p. 135 *se* błędnie zam. *re*, p. 136 *priusque* zam. *priusquam*. Niżéj nie-

co całe zdanie bałamutne, p. 140 *incurrent* niemożliwe, p. 141 *et* zam. *se*, p. 141 *qui* zam. *quo*, p. 147 *sed vereor* niezrozumiałe, p. 149 *ne* czyt. *nec*, p. 149 *praesam* czyt. *pressam*, p. 150 *deesse* czyt. *ad esse*, p. 170 *coeperunt* czyt. *ceperunt*, p. 174 *accipitis* czyt. *recipitis*, p. 185 *communicata* czyt. *communicatae sunt*, p. 191 *ac* czyt. *ad*, p. 213 *existimarunt* czyt. *existimarent*; p. 213 *esse* czyt. *se*, p. 214 *spuro* czyt. *spurco*, p. 216 po *adiecit* niepotrzebnie zaczęte nowe zdanie.

Nie mniéj kardynalnym błędem wydawnictwa jest niedokładny i niewystarczający komentarz. Przyznaję najchętniéj, że i do takiego, jaki jest, potrzeba było wielkiego nakładu pracy, że p. Wierzbowski przetrząsnął choć niewyczerpująco rozlicznych historyków spółczesnych, którzy opisują te same wypadki, ale mimo to wszystko komentarz pozostawia wiele do życzenia. Pomijam wielką liczbę osób, miejscowości itd., które pominięto w komentarzu dyskretném milczeniem a przez to utrudniono zrozumienie rzeczy,—słuszny jednak można mieć żal do wydawcy, że do listów żadnych nie dodał komentarzy. W listach bowiem są one z tego względu potrzebne a nawet konieczne, gdyż sytuacya tak piszącego jak i adresata ustawicznie się zmienia, coraz nowi ludzie, coraz nowe wypadki jak w kalejdoskopie przesuwają się przed oczyma czytelnika i prawie niepodobna a przynajmniéj z największą trudnością przychodzi mu oryentować się, jeżeli nie znajduje pomocy w zwięzłym ale trafnym komentarzu. Z tego względu brak koniecznych objaśnień w wydawnictwie p. Wierzbowskiego bardzo się daje uczuć i za wielką ujmę poczytany być winien.

Czasem zdarzają się autorowi drobne wprawdzie ale rażące pomyłki. I tak zapomniał wydawca, iż jest morze pod nazwiskiem *mare Carpaticum* i na *Caspicum* poprawiać go nie ma potrzeby (p. 75). Podobnie nie umiem sobie wytłómaczyć, skąd M. Antoni Mureti Oratio miana r. 1585 dostała się między edycye mów Warszewickiego.

Ażeby po krótce zrekapitulować to, co wyżéj o zaletach i niedostatkach niniejszego wydawnictwa powiedziano, tak sąd nasz wypaść musi.

Publikacya p. Wierzbowskiego zawierająca obfite i cenne źródła i dokumenta jest ważnym przyczynkiem do dziejów politycznych i społecznych trzech bezkrólewi, i jako taka ciekawa i bardzo pożyteczna; byłaby jednak i o wiele ciekawsza i o wiele pożyteczniejsza, gdyby stała na wysokości krytycznego i umiejętnego wydawnictwa.

P. B.



PROJEKT KONWERSYI LISTÓW ZASTAWNYCH TOWARZYSTWA KREDYTOWEGO ZIEMSKIEGO.

Ciężkie położenie obecne rolnictwa europejskiego, wywołane gwałtownymi i dość już długotrwałym upadkiem cen, pobudziło i naszych ziemian do niezwykłego ruchu. Objawy tego ożywienia nie wyszły dotąd, co prawda, z okresu brzemienności w formie licznych dyskusyi, konkursów i projektów, oraz ich poprawek i przeróbek, lecz nie należy wątpić, że niejeden z tych zamiarów po mniéj lub więcéj długich i ciężkich bólach porodowych ujrzy w końcu światło dzienne, chociaż nie mniéj też zapewne ulegnie uduszeniu, lub cefalotomii. Większość tych koncepcyi bierze źródło w namiętném a bardzo chwalebném dążeniu do oczyszczenia hipotek, albo przynajmniéj do ulżenia nadmiernych ciężarów, jakie je dziś gniotą. To téż i najpoważniejsza nasza instytucya ziemiańska, Towarzystwo kredytowe ziemskie, nie chce się dać wyprzedzić nikomu i gorliwie, choć rozważnie przemyśliwa nad sposobami przyjścia w pomoc w tym względzie swoim dłużnikom. Przed dwoma laty władze jéj przedyskutowały znany czytelnikom naszym z zeszytu styczniowego „Ateneum“ z roku 1885 projekt metalizacyi obligów Towarzystwa, mający na celu ustalenie wysokości zobowiązań stowarzyszonych i uczynienie ich niezależnemi od wahań kursu rubla papierowego. Projekt ten upadł, ponieważ i w prasie i w zarządzie Towarzystwa miał większość przeciwko sobie, lecz poważny jego rozbiór i światła znajomość rzeczy, jakiéj dowody, tak jego zwolennicy jak przeciwnicy, z łona władz Towarzystwa w rozprawach złożyli, pozyskały dla nich ogólne uznanie. Obecnie zwykły rzecznik literacki téj instytucyi, p. A. Kłobukowski, przedstawił w zeszycie 283 „Niwy“ nowy projekt konwersyi listów zastawnych T-stwa mający na celu obniże-

nie stopy opłacanego od nich procentu z 5% do 4%. Sprawa ta ma się stać wkrótce przedmiotem obrad zarządu T-stwa, więc chcemy jéj przedtém poświęcić słów kilka, celem wszechstronnego, o ile możności, jéj oświetlenia.

Za pobudkę i punkt wyjścia dla projektodawców téj operacyi posłużył fakt, iż 4-procentowe listy likwidacyjne Królestwa polskiego cieszą się kursem *względnie* lepszym, niż 5% listy zastawne ziemskie. Mają więc oni nadzieję, że te ostatnie, jaką wartości nie mniéj pewne jak pierwsze, uzyskałby przy stopie 4% kurs nie niższy od listów likw. W takim zaś razie rachunek wykazuje, że stowarzyszeni, którzyby zamienili swoje długi z 5-procentowych na 4-procentowe, odnieśliby stąd pewną korzyść. Zobaczymy jaką?

Listy likwidacyjne płacą sie obecnie po 93 z górą za sto; listy zast. ziem. około 101 za sto. Otóż projektodawcy konwersyi przypuszczają, iż znalazłoby się *consortium* poważnych firm bankierskich, któreby się zgodziło nabyć 4% listy zastawne po 92 za sto w nadziei, że potrafiłoby je sprzedać korzystniéj. Uczyniłoby to wszakże tylko pod warunkiem, gdyby Towarzystwo zobowiązało się dostarczyć mu w danym, ściśle oznaczonym i bliskim terminie znaczną, mniéj więcéj parę milionów rubli wynoszącą sumę tych listów. Krótki termin dostawy byłby wymagany ze względu na to, że chwila obecna, skutkiem ogólnéj stagnacyi w przemyśle i handlu i spowodowanego przez nią upadku stopy procentowéj, jest szczególnie sprzyjającą podobnéj operacyi, lecz może nie potrwać długo. Z drugiéj jednak strony, według obowiązującéj ustawy, ażeby Towarzystwo miało prawo puścić w obieg pewną sumę nowych listów 4-procentowych, musi uprzednio wycofać z obiegu takąż samą sumę w listach dawnych 5-procentowych. To wycofanie z obiegu może wogóle mieć miejsce albo przez przyśpieszone losowanie, albo też przez wykupienie po kursie giełdowym. Wobec tego wszakże, że listy 5-procentowe ziemskie stoją obecnie w kursie wyżéj *pari*, pierwsza z wzmiankowanych wyżéj dwóch dróg wycofania z obiegu listów dawnych jest dla Towarzystwa niedostępna, ze względu na interes jego wierzycieli, którzyby tym sposobem niesłusznie byli pokrzywdzeni. Pozostaje więc Towarzystwu tylko droga wykupu po kursie giełdowym, który naturalnie skutkiem zwiększonego zapotrzebowania może się znacznie podnieść i uczynić konwersyą niemożliwą. To jednak projektodawców jéj wcale nie kłopoce. Według tego, co pisze p. Kłobukowski, biedzili oni głowy tylko nad tém, skąd wziąć kapitału na wykup, kiedy stowarzyszeni w odpowiednim terminie i potrzebnéj ilości dostarczyć by go nie mogli, a i Towarzystwo również rozporządzalnych fun-

duszów na zastąpienie ich nie posiada? Zawikłany węzeł téj trudności rozcięli projektodawcy w ten sposób, iż uznali za konieczne „ułożyć się ze wzmiankowaném konsorcyum firm bankierskich nietylko już o wprowadzenie pewnéj sumy listów 4%-wych na giełdę berlińską, ale zarazem o wycofanie z obiegu odpowiedniéj sumy listów 5%-wych po pewnym z góry umówionym kursie i w pewnym również z góry oznaczonym terminie.“

Projektodawcy przypuszczają daléj, że owo konsorcyum podejmie się wykupić listy dawne (5%) po 102 za 100, oraz że nabywszy od T-stwa listy nowe (4%), jak to wyżéj powiedzieliśmy, po kursie 92 za 100, „znajdzie już ono w tych operacyach dostateczne dla siebie za trud i względne ryzyko wynagrodzenie.“ Zjawia się tu jednakże jeszcze jeden szkopuł. Projekt konwersyi ma na celu ulżenie stowarzyszonym ciężarów, którym podołać nie mogą. Tymczasem, gdyby konwertujący swe pożyczki wykupywali listy dawne po 102%, a otrzymywali za nowe tylko 92%, to na każdych 100 rs. swego długu u Towarzystwa ponosiliby na razie 10 rs. straty na różnicy kursu, którą należałoby pokryć gotowizną. Ponieważ przytém przeważna większość stowarzyszonych nie zdołałaby prawdopodobnie siłami własnego jedynie kredytu na opłacających się warunkach wydostać skądkolwiek funduszu dostatecznego na pokrycie powyższéj straty, przeto przystąpienie do konwersyi byłoby, dla niéj niemożliwe. I tę trudność jednak pomysłowi projektodawcy potrafili przezwyciężyć. Chcą oni, ażeby Towarzystwo Kredytowe, za wiedzą i przypuszczalną zgodą p. ministra finansów, podjęło się pośrednictwa w uzyskaniu na ten cel pożyczki, a to na zasadach następujących: Ponieważ stowarzyszony po skonwertowaniu swego długu powinienby płacić od niego procentu zamiast 2½% półrocznie, tylko 2%, przeto mógłby dla umożliwienia sobie konwersyi zrzec się téj ulgi na pewien czas i zobowiązać się hipotecznie względem Towarzystwa do płacenia rat w poprzedniéj wysokości aż dotąd, dopókiby wnoszona przez niego w ten sposób nadwyżka rat nowych (½% półrocznie) w zupełności zaforszusowanych mu przez Tow. kosztów konwersyi, wraz z procentami od nich, nie pokryła (1). Z drugiéj strony T-stwo, zabezpieczywszy sobie tak spłatę kosztów konwersyi, wypuściłoby odpowiednią sumę obligacyj procentowych, umarzalnych w oznaczonym przeciągu czasu, i poręczyło całym

(1) Wierzyciele niżéj zabezpieczeni, ani wydział hipoteczny przeciwko takiemu układowi, zdaniem projektodawców, nic by mieć nie mogli. Dla czego? — dowiemy się późniéj.

swoim majątkiem terminowość opłaty procentów, oraz umorzenia samego kapitału. I oto wszystkie trudności pokonane!

Przejdźmy teraz do obliczenia korzyści, jakieby konwersya, przystępującym do niéj, stowarzyszonym przyniosła.

W warunkach obecnych dłużnicy T-stwa obowiązani są opłacać od zaciągniętéj pożyczki półrocznie $2\frac{1}{2}\%$ na procent i $\frac{1}{2}\%$ na umorzenie kapitału, który armotyzuje się całkowicie w ciągu 73 półroczy. Po dokonaniu konwersyi umarzaliby dług dopiero po 82 półroczach, lecz płaciliby tylko 2% na procent i $\frac{1}{2}\%$ na umorzenie, czyli zyskaliby $\frac{1}{2}\%$ półrocznie. Zysk ten jednak osiągnęliby dopiero po umorzeniu kosztów konwersyi (10 rs. wraz z procentami po 5%), które nastąpiłoby, według obliczenia jednego z byłych radców komitetu towarzystwa, po upływie 28,07 półroczy. Tak więc przez 28 półr. po dokonaniu konwersyi, stowarzyszony opłacałby raty takiéj saméj wysokości, jak poprzednio — dajmy na to od 1000 rs. długu po 30 rs. półrocznie. Przez następne zaś 54 półrocza płaciłby tylko po 25 rs., czyli w porównaniu z dawniejszemi swemi obowiązkami, zyskiwałby przez 73 — 28 = 45 półroczy po 5 rs., które, oddając na procent po 5% rocznie, mógłby skapitalizować na rs. 407,80 kp. Za to jednakże po upływie 73 półroczy byłby jeszcze winien T-stwu rs. 204. Gdyby ten dług pokrył jednorazowo, to zostałoby mu jeszcze rs. 407,80 — 204 = rs. 203 80 kop. Nie byłby to wszakże jeszcze czysty zysk, gdyż przy przemianie pożyczyli 5 procentowéj na 4 procentową musiałby każdy konwertujący ponieść pewne t. zw. koszta uboczne, rejentalne i hipoteczne, które wyniosłyby jakiś 1%, czyli rs. 10 od rs. 1000. Otóż wartość tych 10 rs. wraz z procentem 5% za lat $36\frac{1}{2}$ = rs. 59,39. Odjąwszy ją od otrzymywanéj powyżéj kwoty rs. 203,80 dojdziemy ostatecznie do wniosku, że konwersya przynosiłaby czystego zysku na każdym 1000 rubli rs. 144,41 kop.

Sumka ta, choć konwertujący długo na jéj osiągnięcie czekać będą musieli, przedstawia się dość pokaźnie. Winniśmy jednakże zwrócić uwagę czytelników na to, że autor powyższego rachunku wszystkie sumy wydatkowane, lub zaoszczędzane przez własność ziemską oprocentowywał po 5%, dla wierzycieli zaś jéj uważał za wystarczającą stopę 4%. Na czém się taki przywiléj większéj własności ziemskiéj ma zasadzać — odgadnąć trudno. Kiedy bankier płaci swym wierzycielom procent niższy od tego, jaki pobiera od dłużników, to otrzymuje słuszne (o ile nie jest lichwiarzem) wynagrodzenie za trudy pośrednictwa i ryzyko. Ale właściciele ziemscy nie są bankierami; biorą grosz od publiczności z własnéj potrzeby i na użytek własny, więc nie powinni by nawet w rachunkach na papierze wymagać procentów wyższych, niż sami płacą. Przytém,

jeżeli projektodawcy konwersyi rzeczywiście przypuszczają, że ona obniży wogóle stopę procentową w kraju naszym i „dla skarbu państwa będzie bardzo korzystnym prejudykatem, ułatwiającym mu konwersyą swych własnych pożyczek nadmiernie oprocentowanych,“ to nie rozumiemy, na jakiéj podstawie liczą tak na pewno, iż *będą mogli* oprocentować swoje wierzytelności po 5%. Gdyby zaś tego osięgnąć nie zdołali, to obrachowany przez nich zysk z konwersyi będzie się przedstawiał daleko skromniéj i bodaj czy wynagrodzi zachody i trudy koło niéj poniesione. Lecz pomijając tę kwestyą, któréj rozstrzygnięcie zależeć będzie wyłącznie od osobistych zapatrywań każdego ze stowarzyszonych, przystępujących do przemiany swych zobowiązań, rozpatrzmy kolejno wszystkie wyłuszczone wyżéj argumenty i nadzieje projektu.

Najważniejszym warunkiem możliwości konwersyi jest znalezienie owego *consortium* firm bankierskich, któreby się zgodziło nabyć listy 4-o procentowe po kursie co najmniéj 92% i wycofać z obiegu dawne co najwyżéj po 102%. Przy większéj bowiem różnicy tych kursów przemiana stanowczoby się nie opłaciła. Ażeby bankierzy mogli wejść w układ podobny, musieliby przewidywać, że listy nowe zdołają sprzedać po kursie wyższym nad 92%, a dawne wykupić po niższym, niż 102%. Wątpimy wszelako, żeby ludzie oznajomieni bliżéj ze sprawami giełdowemi mogli się tak łudzić. Kurs listów zast. ziem. jest obecnie 101%. Gdyby się tylko giełda dowiedziała — a, jak wiadomo, nie ma dla niéj tajemnic — że znaczna suma tych listów musi być koniecznie w oznaczonym i do tego krótkim czasie wykupiona, napewno kurs ich odrazu gwałtownie by podskoczył. Żaden kupiec o prawdzie tego twierdzenia wątpić nie może. Podobnie łudzą się projektodawcy co do spodziewanéj wysokości kursu listów 4 procentowych. Listy likwidacyjne zawdzięczają swoję wysoką cenę temu, że jest ich w obiegu mało, a popyt, na nie wskutek rozmaitych szczęśliwych okoliczności większy niż na inne papiery nasze. Na pierwszém miejscu wśród tych okoliczności stoi znaczniejsza dla nich, niż dla innych walorów naszych szansa ich wylosowania. Daléj listy te są jedynym u nas papierem rządowym i najchętniéj nabywane bywają na kaucye, depozyta i t. p. we wszystkich tych razach, w których papiery towarzystw prywatnych nie są przyjmowane, bo chociaż przynoszą procent niższy od papierów rządowych rosyjskich, to jednakże nie wielką tę stratę wynagradza ich posiadaczom nadzieja wygranéj wobec wielkiego prawdopodobieństwa ich wylosowania. Listy zastawne ziemskie nie cieszą się żadnym z tych przywilejów, trudno więc przypuszczać, żeby przy procencie 4% mogły uzyskać kurs równie wysoki. Ra-

chuba na to, że cenę ich podbiłaby giełda berlińska zdaje się być niemniéj złudną. Jak wiadomo bowiem $^{2}/_{3}$ ogólnéj sumy listów zast. ziem. obiega w kraju, a tylko $^{1}/_{3}$ zagranicą, kurs więc ich zależy głównie od naszych stosunków pieniężnych, w których jak wiadomo panuje stopa wysoka. A i Niemcy o 4% nie potrzebowaliby się znowu tak gorąco dobijać wobec tego, że podług najświeższych danych same rządowe walory 4-procentowe w całém cesarstwie niemieckiém dosięgają dziś jeszcze olbrzymiéj sumy 6,200,000,000 marek (*), a według niedawnych zapewnień pruskiego ministra finansów rząd niemiecki nie myśli wcale obecnie o konwersyi. Tenże minister, oraz prezes niemieckiego banku państwowego wyrazili zdanie, że niezmierna obniżka obecna stopy procentowéj jest zjawiskiem przejściowém, które w bardzo niedalekim czasie może się zmienić. Dodajmy nadto, że w tychże Niemczech obiega niesłychane mnóstwo rozmaitych papierów obcych, wysoko oprocentowanych, w liczbie których same walory rosyjskie wynoszą okrągło 2 miliardy rubli. Wprawdzie nasze listy zast. ziem. są na giełdzie berlińskiéj stosunkowo wyżéj od papierów rosyjskich cenione, lecz pomimo to trudno przypuszczać, ażeby przy 4% mogły odrazu osiągnąć kurs tak korzystny, jak to sobie projektodawcy konwersyi zakładają. Naturalnie, że gdyby wbrew naszym przewidywaniom Towarzystwo kred. ziem. zdołało wynaleść *consortium* bankierów, tak różowo, jak ono, na przyszły kurs listów 4-procentowych patrzące, moglibyśmy mu tylko powinszować powodzenia.

Nie mniejsze, zdaniem naszém, szczęście musiałoby mieć Towarzystwo, ażeby potrafiło uzyskać pozwolenie niższych wierzycieli i zgodę wydziału hipotecznego na zabezpieczenie hipoteczne w podany wyżéj sposób forszusowanych swym dłużnikom kosztów konwersyi. P. Kłobukowski rozumuje w tym względzie tak: „Stowarzyszony, zaciągający pożyczkę od T-stwa, nie zobowiązał się do jednorazowego w danym terminie zwrotu wypożyczonego mu przez Towarzystwo kapitału, lecz tylko do płacenia przez pewien szereg półroczy rat, mieszczących w sobie procent od pożyczki, oraz opłatę na powolne i zupełne umorzenie kapitału (art. 7 prawa z r. 1869), Hipoteczne przeto zabezpieczenie kapitału pożyczki na rzecz Tow. ma tylko znaczenie podstawy do unormowania wysokości rat przez dłużnika opłacanych, do kontroli ilości listów zastawnych przez Towarzystwo w obieg wypuszczanych, oraz do wynalezienia kapitalnéj

---

(*) P. Dr. Moriz Ströll, Direktor der bayerischen Notenbank. „Ueber die neueste Konversionsaera in Deutschland" w *Jahrbücher für Nationaloekonomie und Statistik* Conrada. Zeszyt listopadowy z r. b.

cyfry nieumorzonego długu na wypadek, jeżeli dłużnik życzy sobie odnowić pożyczkę, lub spłacić naraz jedną część nieumorzonego jeszcze długu. I dlatego też w zasadniczéj ustawie z r. 1825 nigdzie mowy nawet nie ma o możności wypowiedzenia kapitału pożyczki, a T-stwo wystawiając majątek na przymusową sprzedaż za zaległość w opłacie rat, nie ma prawa dopominać się od nowo-nabywcy majątku spłaty kapitału, lecz tylko zapłaty zaległych rat".... „Postawiwszy się przeto na zasadniczém stanowisku prawném, że istotą zobowiązania stowarzyszonego względem Towarzystwa jest regularne przez pewien przeciąg czasu opłacanie rat, w cyfrze ściśle udeterminowanéj i hipotecznie zabezpieczonéj, twierdzimy, że jakikolwiek mógłby nastąpić układ między stowarzyszonym dłużnikiem a Towarzystwem jako wierzycielem, odnoszący się do niższego oprocentowania, lub przedłużenia ostatecznego terminu umorzenia pożyczki, istniejące zobowiązanie hipoteczne, odnoszące się do opłacanych rat, może pozostać na pewien przeciąg czasu niezmienionéni, jeśli strony o to się umówią. Prawo nasze hipoteczne, jeżeli niema tak nazwanéj nowacyi długu, pozostawia dłużnikowi zupełną swobodę układania się z wierzycielem o warunki pożyczki, jak również o zmianę warunków pożyczki w czasie jéj trwania bez potrzeby uzyskiwania na to zezwolenia niższych wierzycieli. Jeżeli przeto dłużnik ułoży się z wierzycielem o obniżenie stopy procentowéj hipotecznie zabezpieczonéj i stanowiącéj łącznie z niezmienioną opłatą na umorzenie, istotę samego ubezpieczenia, pod warunkiem, że z prawa opłacania niższego procentu dłużnik będzie mógł korzystać dopiero po upływie pewnego przeciągu czasu, to układ taki nie tylko nie pogorszy (?) położenia niżéj zabezpieczonego wierzyciela, ale je polepszy (*sic*), bo gdyby układu wcale nie było, obowiązek opłacania wyższego procentu w kształcie dotąd opłacanych wyższych rat pozostałby ważnym aż do zupełnego umorzenia pożyczki (ale to umorzenie nastąpiłoby o 9 lat wcześniéj). Z tych przeto powodów sądzimy, że ani wierzyciel hipoteczny niżéj zabezpieczony nie będzie miał zasady wystąpić przeciwko takiemu hipotecznie ujawnionemu układowi, ani wydział hipoteczny nie będzie miał powodu odmówić mu swego zatwierdzenia." Nam się, niestety, wydaje przeciwnie, że zarówno wierzyciele niżsi, jak wydział hipoteczny łatwo zrozumieją, że taki „hipotecznie ujawniony układ" jest właśnie nowacyą długu, oraz że podnosi on jakkolwiek nieformalnie, to faktycznie „kapitalną cyfrę długu" o 10%. Co więcéj, nawet po spłaceniu tego dodatkowego długu wierzyciele niżsi będą się ciągle znajdowali w gorszém położeniu, niż poprzednio, bo zawsze ogólna cyfra niespłaconéj należności T-stwa będzie wyższa, niż przed konwersyą. I tak np.

po 36½ latach, zamiast zejść do *zera*, będzie jeszcze na każde 1000 rs. pierwotnego długu wynosiła rs. 204. W razie więc np. sprzedaży przymusowéj majątku, gdyby suma osiągnięta zeń na licytacyi nie pokryła ogółu jego długów hipotecznych, co się obecnie często zdarza, najniżsi wierzyciele ponieśliby stratę daleko znaczniejszą, niż przy obecném unormowaniu spłaty T-stwa. Z tego powodu bardzo wątpimy, ażeby nietylko już wydział hipoteczny podobny układ bez prawodawczego zezwolenia zatwierdzić się odważył, ale nawet, żeby minister finansów zechciał zezwolić na zawieranie podobnych umów pomiędzy T-stwem, a stowarzyszonymi, bez obowiązku pozyskania uprzedniéj zgody wierzycieli niżéj zabezpieczonych.

Dotąd rozpatrywaliśmy projekt konwersyi wyłącznie ze stanowiska możliwości przeprowadzenia go, oraz korzyści, jakie konwersya mogłaby przynieść dłużnikom T-stwa. Obowiązek publicystyczny nakazuje nam jeszcze rozpatrzyć się w interesach drugiéj strony w grę tu wchodzącéj, a mianowicie wierzycieli T-stwa.

Nie potrzebujemy nadmieniać, że interesy tych dwu stron są w zasadniczéj z sobą sprzeczności. O ile dłużnicy pragnęliby zawsze płacić procent jak najniższy, o tyle wierzyciele chcieliby pobierać jak najwyższy. O pogodzeniu więc tych sprzecznych interesów mowy być nie może. Ścierają się one z sobą bezustanku, a na czyję stronę zwycięstwo w danéj chwili się przechyla — rozstrzygają okoliczności. Doba obecna skutkiem zastoju w handlu i przemyśle, oraz upadku dochodów z roli, a co za tém idzie—zmniejszenia się wartości użytkowéj kapitałów i utrudnienia bezpiecznéj i korzystnéj ich lokacyi, sprzyja dłużnikom, dzięki czemu kursy papierów procentowych idą w górę. Właściciele ziemscy chcą z tego skorzystać i obniżyć stopę opłacanego przez nich procentu. Są oni tutaj w zupełnym porządku i niezaprzeczoném prawie. Żądać od nich, żeby się zrzekli korzyści osobistéj przez wzgląd na to np., że wierzycielami ich są w znacznéj części ludzie niezamożni: wdowy, sieroty, wysłużeni oficyaliści, lub dorabiający się biedacy, którzy z trudem zebrane oszczędności oddają im do użytku i oprocentowania (1), byłoby to sentymentalizowaniem bez żadnego pożytku. Z zupełną słusznością odpowiedzianoby nam, że gdy okoliczności sprzyjają wierzycielom, nie wahają się oni wcale z nich skorzystać i kurs listów zniżają. Obowiązkiem jednak prasy jest ostrzedz wierzycieli, co ich może spotkać, ażeby się nie naraziła na zarzut, że popiera interesy jednéj tylko strony.

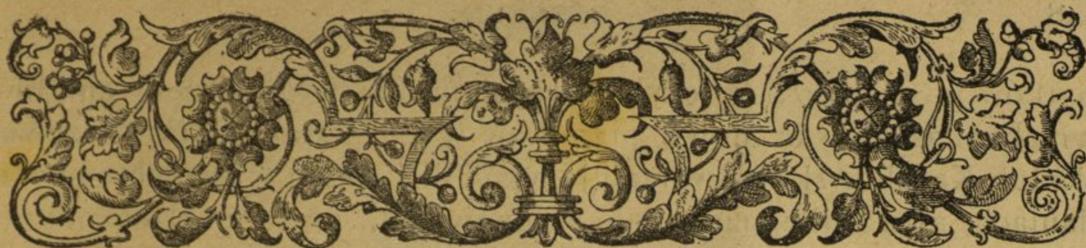
---

(1) Na to kładzie główny nacisk d-r Ströll, występując przeciwko konwersyi papierów państwowych we wzmiankowanym wyżéj artkule w *Jahrb. f. N. u. St.*

Niska stopa procentowa od wypożyczanych kapitałów jest wogóle pożądana dla kraju, bo zachęca do przedsiębiorczości, podnosi wartość pracy i zdolności ludzkich, obniża cenę produktów i zmniejsza wygody życia darmozjadów procentowiczów. Ale ażeby ona mogła stale się utrzymać, musi przyjść drogą naturalną, musi być skutkiem obfitości kapitałów, pewności prawnéj, dokładnego i szybkiego wymiaru sprawiedliwości i dobréj organizacyi kredytu publicznego. My widocznie błogosławieństwami temi się nie cieszymy, kiedy wogóle płacić musimy procenta grube, kiedy nawet przy zupełnie pewném zabezpieczeniu zwrotu pożyczki, dosięgają one nieraz 10 i 12%, a zazwyczaj nie bywają niższe od 8%. Gdybyśmy mieli kapitałów wiele, takie stosunki byłyby niemożliwe. Jeżeli zaś ich nie mamy podostatkiem, to niska stopa procentowa sztucznie wprowadzić się nie da. Dlatego myli się, zdaniem naszém, p. Kłobukowski, gdy przypuszcza, że konwersya listów zastawnych na 4% zdoła przeciętną stopę obniżyć. Jeżeli zaś tego nie uczyni, to gdyby na razie, dzięki zastojowi ekonomicznemu listy 4-procentowe przyjęte zostały dobrze, musiałyby po ożywieniu się interesów znacznie spaść w kursie, na czém ich posiadacze ponieśliby wielkie straty. Wreszcie projektodawcy konwersyi widocznie na trwałe utrzymanie się wysokiego kursu, czyli—innemi słowy—niskiéj stopy procentowéj nie liczą, kiedy tak wyraźny kładą nacisk na potrzebę wielkiego pośpiechu w téj sprawie. Jeżeli zaś rzeczywiście sami w niedalekim czasie przewidują upadek kursu, to powinniby się rachować z tą okolicznością, że zrażeni raz dotkliwemi stratami wierzyciele T-stwa, mogliby na przyszłość przestać je darzyć tém zaufaniem, jakie dotychczas w przezorności jego zarządu pokładają. Gdyby zaś to nastąpiło, to nie wyszłoby ostatecznie na dobre i jego dłużnikom. Mamy nadzieję, że władze T-stwa w obradach nad projektem zechcą wzgląd ten pod baczną wziąć rozwagę, jak z drugiéj strony również nie wątpimy, że gdyby konwersya, pomimo całego nieprawdopodobieństwa możliwości jéj przeprowadzenia, została uchwalona, to tak nabywcy 4-procentowych jak posiadacze dzisiejszych listów okazaliby się dość przezornymi na to, by się potrafili ściśle obliczyć ze swojemi interesami w przyszłości.

W. Wściekłica.





POLSKA W PIEŚNI

DEOTYMY.

Polska w Pieśni. Z księgi pierwszéj: Lech. Warsz. 1859, str. 84. — Wojna Olbrzymów. Wyszymir. Dwunastu wojewodów. Warsz. 1860, str. 371.— Wanda. Warszawa, nakład M. Orgelbranda, 1887, str. 286.

Było-to przed laty 30-stu. Słońce poezyi romantycznéj przyświecało naszéj krainie piękna ostatniemi już jesiennemi promieniami, ale budziło życie ruchliwe i gwarne. Co najdzielniejsze umysły rzuciły się do wyzyskiwania obszarów przeszłości na rzecz poezyi narodowéj, coby swemi wdziękami przemówiła do serc, ożywiła w nich miłość i cześć dla czasów minionych, bez względu nawet na to, czy wszystko w niéj było dobrém i uwielbienia godném. Poezya historyczna zakwitła u nas bujnie, jak nigdy przedtém. Gawędy, rapsody, powieści, tragedye i komedye historyczne ciągnęły się szeregiem nieprzerwanym. Pol, Syrokomla, Romanowski, Chodźko, Rzewuski, Kaczkowski, Kraszewski i Korzeniowski nawet dostarczali co rok po kilka utworów przypominających bliższą i odleglejszą przeszłość, rozniecających dla niéj zajęcie wśród ogółu nadzwyczajne.

Wobec tak gorącego zaprzątnienia się czasami minionemi, łatwo zrozumiéć, że i umysł Deotymy, która już w „Improwizacyach“ chętnie uciekała od prozy dnia dzisiejszego na ukwiecone poezyą błonia wieków minionych, zwrócił się ku nim całkowicie i zaczął snuć przędzę myśli i obrazów w tym właśnie kierunku na daleko większą niż poprzednio skalę. Z natury tego umysłu, zupełnie idealistycznéj, wypadło, że nie mógł się on lubować w tych epokach dziejowych, które, będąc dokładnie znane, zmuszają poetę do trzymania się ściśle rzeczywistości historycznéj, lecz natomiast z rozkoszą przenosił się w owe chwile zamglone lub całkiem nieznane, które pozostawiają fantazyi twórczéj obszerną dziedzinę snów, przeczuć i domysłów. Ponieważ z takich czasów nie posiadamy wcale za-

bytków piśmiennych w języku ojczystym, nie było potrzeby ani obowiązku naśladować mowę przodków w ten sposób jak Pol, Rzewuski lub Kaczkowski odtwarzali język XVIII wieku w swoich opowiadaniach; a za zniknięciem tego skrępowania, poeta mógł się poczuć zupełnie swobodnym i oddać się wyłącznie pod kierunek własnych upodobań, własnych rojeń, własnéj fantazyi.

I.

Pierwszym wyrazem takiego zwrotu Deotymy do przeszłości naszéj jest misteryum p. n. „Tomira“ (Warsz. 1855). Znajdujemy się tu pośrodku romantycznych ułud, to miłych to groźnych naprzemian. Rzecz się dzieje niby za czasów Bolesława Chrobrego; ale to wszystko, co było czysto-ludzkiém i rzeczywistém, staje się tu cieniem, jak sam król i jego otoczenie, a to, co było przeniknięte mistycznym nastrojem, co było idealném urojeniem, nabiera znaczenia przeważnego i jedynie rzeczywistego. Tomira, piękna i młoda poganka, obdarzona poetycznością wyższego polotu, ulega najprzód wpływowi królewicza Emeryka, otoczonego mistyczną potęgą, a za jego radą i wskazówkami chce zostać chrześcianką, uczy się prawd wiary i przygotowuje do przyjęcia chrztu w klasztorze na Łyséj górze; gdy w tém razu pewnego spotyka żyda wiecznego tułacza Ahaswera, nad którym tak samo jak nad Emerykiem, tylko w innym, mniéj przyjaznym względzie, czuwają nadzmysłowe potęgi, i daje się porwać jego sceptycyzmowi, wspomnieniu i odczuciu jego cierpień, chęci dowiedzenia się od niego tajemnicy co do olbrzymich losów świata i boju sił nim rządzących (str. 61). Gdy Emeryk poznał wpływ Ahaswera, postanowił oddziałać przeciwko niemu, ale pomimo swéj mistycznéj potęgi nie zdołał oderwać Tomiry od Ahaswera, bo go kochała, więc też na jéj słowa; „by nie kochać, nie czcić go, trzebaby kamieniem być“, Emeryk, dbając o zbawienie jéj duszy, w kamień ją zamienia. Kamień ten pod Łysą Górą do dziś istnieje, jak to przepowiedział Emeryk czyniąc aluzyą do chęci Tomiry towarzyszenia Ahaswerowi w jego nieustającéj wędrówce:

Podróż jéj straszna, długa, choć tak niedaleka,
Chciała iść, więc iść będzie, lecz gdzie iść nie chciała:
Bo do wierzchołka téj góry,
Gdzie chrzest ją czeka.

Do szczytu dojdzie dopiero w dzień sądu ostatecznego.

Poemat Deotymy wynikł z chęci wytłómaczenia podania ludowego, który na wstępie do utworu przytoczyła; ale urzeczywistniając tę chęć poetka, ani na chwilę nie pomyślała o przejęciu się prostemi

pojęciami ludu; przeciwnie pragnęła ucieleśnić w słowie artystyczném myśl głębszą, która dopiero w naszém stuleciu rozwinąć się w całości mogła. Formę więc ludową napełniła treścią cywilizacyjną wyższą, spółczesną: walką duszy marzącéj i myślącéj pomiędzy wiedzą a jéj poszukiwaniem, pomiędzy pragnieniem spokoju i ubłogosławienia, jakie reprezentuje Emeryk, a żądzą doświadczeń i wzruszeń namiętnych, upostaciowaną w żydzie wiecznym tułaczu. Ten drugi tytaniczny pierwiastek, pod wpływem nowożytnéj poezyi faustowskiéj, uwydatnił się nawet silniéj niż pierwszy, z wolą czy bez woli autorki, tak, iż demoniczny, bluźniący Bogu, ale przerażająco nieszczęśliwy Ahaswer nie tylko w sercu Tomiry, lecz i w duszy czytelnika upamiętnia się sympatyczniéj, niż seraficzny Emeryk, który pomimo potęgi nadzmysłowéj nie umie inaczéj zapobiedz postanowieniu Tomiry, wynikłemu ze spółczucia dla wielkiego cierpienia, jak tylko w głaz ją przemieniając.

W uplastycznieniu atoli swego pomysłu nie potrafiła się Deotyma wznieść do tych wyżyn, na jakich unoszą się kreacye faustowskie naszego stulecia. Zabrakło jéj tchu i lotu orlich skrzydeł geniuszu. Posługując się obficie potęgami nadzmysłowemi, nie zdołała ani na chwilę zapanować nad umysłami w tym stopniu, żeby uwierzyły choćby czasowo w istnienie owych „głosów z wysoka“, w moc cudotwórczą Emeryka i w te nadzwyczajne zjawiska przyrody, jakie się dzieją w atmosferze poematu; cała ta machina poetycka, podobnie jak gromy teatralne mogą tylko na bardzo młodziutkie wyobraźnie podziałać wstrząsająco.

Ten operowy charakter cudowności miał już następnie nazawsze pozostać cechą znamienną twórczości Deotymy zwróconéj do odtwarzania zamierzchłych epok dziejowych, a raczéj fantazyowania na ten temat.

Lecz zanim się do téj dalszéj pracy zabrała, pragnęła—mówiąc jéj frazeologią — „stopami pielgrzyma obejść swą ziemię, gdzie wyrósł lud ludów“, pragnęła sama „zbadać te wody pełne dźwięków, łany pełne kłosów, doliny pełne kwiatów, góry pełne cudów i te polskie oblicza tak pełne niebiosów“; pragnęła „z ust każdego wspomnienia schwycić wszystkie echa“ — i wówczas dopiero „wszystkie w pieśń uwiązać“ (1).

Oddała się tedy najprzód studyom historycznym, a że studya takie wymagały skupienia myśli i samotności wielkiéj, uprosiła rodziców, żeby od r. 1855 zamknęli swe poniedziałkowe wieczory, zastępując je tylko rzadkiemi, proszonemi zebraniami. Następnie po-

(1) Zob. końcowy ustęp w poemacie *Lech*, p. n. „Polka u mogiły Lecha“, str. 81.

stanowiła wraz z rodzicami w kolejnych wędrówkach cały kraj objechać. Jakoż zaraz w r. 1856 rozpoczęły się te wędrówki wycieczką do Gniezna, Kruszwicy i Poznania; w roku następnym zwiedzili wyspę Rugią, „główne ognisko wiary i chwały Lechitów za dni ich pogaństwa, a dziś prawdziwe gniazdo czarów, tak pod względem sztuki i pamiątek, jak zachwycającéj przyrody.“ W r. 1858 obejrzała poetka wraz z ojcem Toruń, Malborg, Gdańsk, Oliwę i wogóle okolice nad Baltykiem; w r. 1859 odbyła dwie wycieczki: jednę na górę Świętokrzyską, drugą do Ojcowa. Łuszczewscy doznawali wszędzie „niezrównanéj gościnności zarówno w wielkich grodach jak i w najcichszych ustroniach“; stąd u poetki do rozbudzenia myśli, do zachwyceń wyobraźni przybywało niejedno wspomnienie miłe sercu. Ze wszystkich tych podróży spisywała Deotyma wrażenia, które następnie z wielką ciekawością odczytywano w pismach peryodycznych.

Ponieważ wiedziano o zamiarze poetki przedstawienia dziejów Polski w pieśni, oczekiwano z niecierpliwością tego utworu, na który złożyć się miała erudycya, spostrzeżenia osobiste i fantazya.

W początkach roku 1859 ukazał się z druku wyjątek z księgi pierwszéj „Polski w pieśni“, a obejmował podanie o Lechu.

W obrobieniu poetycznem tego podania miała już Deotyma poprzedników. W pierwszéj połowie XVII stulecia Sarbiewski utworzył na tle jego epopeję; ale ona czasów naszych nie doszła. Za Sasów Skorski tak samo jak Sarbiewski napisał epopeję w języku łacińskim. W początkach naszego stulecia Woronicz rozpoczął poemat o Lechu na większą skalę, nie dokończył go jednak. Deotyma nie poszła w ślady tych poprzedników; o utworzeniu epopei nie marzyła; szło jéj tylko o zobrazowanie w luźnych rapsodach o formie przeważnie lirycznéj narodzin państwa polskiego i wskazanie zasadniczych idei, które miały rozwojowi jego przewodniczyć. Nie czyny zatém Lecha, ale posłannictwo jego stało się przedmiotem poematu. Przedstawiwszy obrazowo wyłanianie się Słowian z pośród mgławicy narodów, poetka, w dytyrambicznym zachwycie opiewa zjawienie się Lecha, „ojca przyszłości“, „orła z wolą-opoką“, z „czołem jak niebiosy olbrzymiém“, jako jednego z tych ludzi, których rodzą „olbrzymie cierpienia“, a którzy stają się prorokami w czynach, bo najpierwsi przeczucia wzrokiem widzą „posłannictwo ziomków olbrzymie.“ Zdaje się, że autorka nie dowierzając sobie, czy potrafi oddać należycie zjawioną w jéj wyobraźni potęgę tego męża opatrznościowego, złożyła na barki wyrazu „olbrzymi“ wielokrotnie powtórzonego cały ciężar doniosłych zadań, jakie Lechowi przypisywała. Po tak górnem zapowiedzeniu misyi Lecha, Deotyma nie przystępuje odrazu do skreślenia jéj szczegółów, lecz zapoznaje nas

z młodością jego, gdy się w nim obudziła myśl, że bierne uleganie Słowian przemocy obcych jest objawem zgubnym. Na razie nie umie młodzieniec powiedziéć, jak się z téj bierności otrząsnąć, to tylko wié, że inaczéj być powinno, a chcąc nabrać doświadczenia, idzie z dobranymi 12 towarzyszami na wędrówkę, by się przekonać, czy tak wszędzie jest jak wśród Słowian, czy też inaczéj. Szczegółów wędrówki nie podaje autorka, tylko jéj wynik. Po latach wrócił Lech i 12 jego towarzyszy, którzy jakoś wszyscy pomimo rozlicznych bojów, przy zdrowiu zostali, niby „olbrzymy ze krwi i z płomieni“: wzrok ich swobodny, dłoń żylasta, ramię potężne; na czole mieli „smętne, lecz piękne doświadczenia znamię.“ Lech u towarzyszy obudzał największe podziwienie; powiadają o nim: „widzieliśmy twoje cuda odwagi, mądrości i siły; tyś nas zapoznał ze wspaniałym światem; tyś nam ukazał rozumu zdobycze i dał kosztować oświaty słodycze; tyś nam był ojcem i wodzem i bratem; czegóż nie zdołasz?!“ Ufność pokładana w Lechu przez towarzyszy nie zawiodła ich; potrafił on taką samą wiarą w siebie natchnąć naród cały i poprowadzić go do wielkich czynów, do zrzucenia jarzma obcego. I nie pomagali mu w téj sprawie bogowie, jak bohaterom Iliady; wszystko było dziełem własnego jego ducha. Pytał on wprawdzie bogów o radę, jak ma wywyższyć swój naród nad inne, ale bogowie dawali odpowiedzi, które go nie zadowolniły, bo radzili wywyższyć naród albo potęgą wojenną, albo talentem artystycznym, albo bogactwem, albo mądrością;—Lech odrzucał te wszystkie wskazówki dlatego, że już były takie narody, co podobnemi odznaczały się zaletami, on zaś chciał widziéć swój lud takim, jakiego na ziemi nigdy jeszcze nie było. Wzgardziwszy radą zagniewanych bogów, Lech znalazł jedyną prawdziwą na swe pytania odpowiedź w głębi serca własnego, które mu wskazało ideę poświęcenia jako hasło wywyższenia swego narodu. Znalazłszy tę „wielką przyszłość“, obwieścił ją ludowi w górnych słowach, dając równocześnie trzy zasadnicze prawa, od wypełniania których miały zależéć szczęście narodu i jego wyższość nad innemi. Pierwszém z tych praw jest poświęcenie się jednéj części narodu dla obrony drugiéj bez żadnéj nagrody, prócz odznaczenia suknią czerwoną i zwojem piór przy barkach; drugiém prawem jednomyślność w obradach i postanowieniach; trzeciém—wyrzeczenie się zdobyczy na obcych plemionach tak dalece, że gdyby który wódz tknięty „chciwością bojową“ chciał prowadzić rycerstwo na podbój, Lech zgóry zwalnia rycerzy od posłuszeństwa; przeciwnie hasłem nowego państwa ma być poświęcenie dla ludów. Zebranie, które słuchało słów Lecha w upojeniu, zrozumiało i wielkie swe posłannictwo i wywody natchnionego proroka, okrzyknęło go księciem.

Pod jego dowództwem Lechici wypędzili przybyszów, co ich uciskali, a Lech zbudował miasto Bremę (*Brzemię*) na wskazanie, gdzie się kończą Słowian ziemię, Gniezno zaś na stolicę państwa. Tyle tylko o czynach jego opowiada poetka, zaznaczając ogólnikowo, że „od Baltyku do Wezery, od Wezery pod Karpaty, wszędzie jego bieg skrzydlaty porozbudzał bohatery.“ W obronie narodu ginie wreszcie, a umierając śpiewa hymn na cześć jego :

Dzięki wam nieba!... dzięki! — Komuż ziemskie losy
Splotły dolę szczęśliwszą od doli Lechowéj?
Oto w ziemię rzuciłem posadę budowy,
Co tak strzeli w niebiosy, że zdziwi — niebiosy!
Nacechowany zemstą, świat mi pozazdrości
Jedynych, niepojętych mego ludu cech.
Imię moje tak wielkie, że kto powie: Lech —
Ten powie: Naród miłości.
Witam ciebie, o mój synu,
Żywa wstęgo z karmazynu,
Orle chwały, dębie czynu,
O ty, narodzie cierpienia!
O narodzie przebaczenia!
O narodzie poświęcenia!

Jak ten ostatni śpiew Lecha, któremu „z piersi strumieniem toczyła się krew“, tak i wszystkie jego wystąpienia są jakby na pokaz teatralny; w rzeczywistość ich uwierzyć niepodobna wtedy nawet, gdy się przyjmie idealistyczny punkt widzenia autorki. Deotyma, uposażając Lecha myślami, które nie za jego ale za jéj czasów stały się popularnemi wśród inteligencyi z powodu, że natchnieni wieszcze barwnie je wyśpiewali, zrobiła go nie człowiekiem choćby najbardziéj uidealizowanym, ale abstrakcyą, alegoryą; dlatego téż nie czyny go charakteryzują, tylko frazeologia.

Do wyrażenia swych myśli użyła poetka najrozmaitszych miar wierszowych, któremi władała nadzwyczaj zręcznie, choć niezawsze poprawnie ; większéj części form nic zarzucić nie można ; ale jest jedna, która poprostu sztuczką tylko nazwać się może ; ma bowiem kształt dwu stożków podstawami złączonych. Nie wynalazła ona téj formy, używał jéj przed nią Jaśkowski, a może i inni; w każdym razie wybór jéj i zastosowanie dość obszerne (cały pierwszy ustęp p. n. „Lud nieznany“) świadczy raczéj o zamiłowaniu w nadzwyczajności, niż o subtelném poczuciu piękna formy artystycznéj. Cóż pomyśléć o autorze, który sili się zawrzeć myśli w 20 strofach takiego kształtu:

Już wieki
Pożęły swe plony
A jeszcze ów obszar daleki

Od morza Czarnego do Elby zielonéj
Stał w dziejach pustynią jak przyszłość nieznaną;
Któż zbadał zamgloną tę ziemię?
Któż wiedział, jak zwano
Jéj plemię?

Wygląda to zabawnie w druku, dowodzi władztwa nad rymami, ale nie przestaje być figlem tylko wierszopisarskim.

Wśród ogółu nie obudził poemat Deotymy rzeczywistego zajęcia; w czasopiśmiennictwie nawet niewiele się o nim rozszerzano; wojna włoska chłonęła uwagę wszystkich. Poważniejsi krytycy, jak np. Kazimierz Kaszewski (w *Bibliotece Warszawskiéj*, 1859 t. III, str. 186 — 198) stawiali go wprawdzie na czele doówczesnych utworów Deotymy, widzieli z przyjemością, że autorka „zrzuciła z siebie ten ciężar erudycyi, która nie mogła ukryć swéj lodowatéj prozy pod najświętniejszemi wstęgami poetycznych słów i wyrażeń;“ zaznaczali, że „tu już uczucie odzywa się nawet słowami zapału, który nie wybucha jednak nigdy falami potoku, ale jak cichy i narzekający strumyk, w chwilach najwyższego nawet podniesienia, donośniejszym tylko rozbrzmiewa szmerem,“ — w pochwałach atoli była wielka powściągliwość, a nie brakowało i surowych zarzutów. Kaszewski utrzymywał, że „panująca myśl poematu niedość silne ma rozwinięcie,“ że Lech wobec narodu jest więcéj kaznodzieją lub oratorem, niż figurą poetyczną, że w utworze nie ma obrazu, ruchu, życia, ale jest tylko mowa; „stąd téż to, co z prawa założenia winno jak nić złota wić się przez cały poemat, jest tu tylko skupione w jeden ustęp, stanowiący li tylko jakieś zwierciadłowe, ale nie artystyczne odbicie myśli głównéj.“ Zaznaczał i to, że ci, do których Lech przemawiał tak górnie, rozumiéć go nie mogli, „boć to — jak powiada krytyk — senni ludzie zaledwie przecierający oczy i dlatego uderzająco nieprawdopodobnym zdaje się nam wiersz, którym lud odpowiada na ostatnie słowa Lecha: O, Boże poświęcenia, Ty bądź naszym Bogiem!“

II.

Chłodne przyjęcie „Lecha“ nie zniechęciło poetki; już w połowie r. 1860 wyszedł z druku drugi wyjątek z księgi pierwszéj „Polski w pieśni,“ a zawierał trzy nierównéj objętości utwory: „Wojna olbrzymów,“ „Wyszymir“ i „Dwunastu wojewodów.“

„Wojna olbrzymów“ i „Dwunastu wojewodów“ to małe liryczne rapsody wykonane w ten sam sposób co i „Lech,“ ale jako krótsze o wiele, zapełnione były treścią realniejszą, wypadkami, a więc nie są tak mgliste. „Wojna olbrzymów“ gdyby nie kilka nieszczęśliwych

wyrażeń („jak się rzęsa piorunu skrzy pod jéj powieką," „i jak *do dna* rozwarłszy chmurne niebios *wieko*" i t. p.), gdyby nie nastrój zbyt patetyczny, byłby wcale udatnym obrazkiem z bojowego życia Słowian. W ogólnym układzie „Polski w pieśni" jako całości jest ten ustęp zbytecznym, gdyż przebudzenie się Słowian do czynu na polu walki, ażeby zrzucić jarzmo hord najezdniczych, już było opiewaném jako dzieło „Lecha."

Nowy pierwiastek do „Polski w pieśni" wprowadziła Deotyma w „Wyszymirze." Utwór ten ma już zakrój epopei i pod względem obszerności i pod względem wprowadzenia tak zwanéj machiny poetyckiéj. Nazywa go poetka „opowieścią czarodziejską;" jest nią on w istocie. Deotyma pragnęła w niéj wystawić bajeczne panowanie Lechitów na morzu; zdaniem jéj bowiem „najodleglejsza przeszłość nasza jest niezupełną, póki jéj brakuje wojenno-żeglarskiego żywiołu." Jako przedstawiciela żywiołu tego wzięła Wyszymira, prostego rybaka, który pokochany przez boginię Wisławę, za jéj natchnieniem i przy jéj pomocy zostaje dowódcą Lechitów, zagrzewa ich do walki na morzu, robi szczęśliwe wyprawy w obronie kraju od Duńczyków, pod królem Sywardem występujących. Bogini darowała mu żagiel cudowny, pod którym jest niezwyciężony i rannym być nie może, ale wyszedłszy z pod niego, staje się zwykłym śmiertelnikiem, podległym wszelkim przygodom. Uniesiony zapałem wojowniczym, gdy mu Syward nie dotrzymał warunków, udaje się na nową wyprawę, poraża i zabija króla duńskiego, zdobywa Danią i chce ją do swych krajów przyłączyć. Ale wówczas rycerze, którzy dotychczas szli za nim wszędzie bez szemrania i na wszelkie niebezpieczeństwa wystawiali się z ochotą; teraz pomni na trzecie prawo Lecha wypowiadają mu posłuszeństwo, bo na cudze nie są łakomi. Po krótkiéj chwili walki z sobą i Wyszymir uznaje to prawo; wyrzeka się zaborczego planu, pozyskuje tym sposobem nanowo miłość i uwielbienie rycerstwa, zamyśla wreszcie, uspokoiwszy Danią, oddać ją prawemu władcy. Ale tymczasem wpada w sieci córki królewskiéj czarodziejki Hildy, która z początku przez chęć upokorzenia wroga swéj ojczyzny a potém w skutek zażegniętéj w jéj sercu miłości ku niemu postanowiła czarami przykuć go do swéj osoby. Po czary te wyprawia się do Walhalli, przechodzi mężnie próby odwagi i milczenia, zdobywa co jéj było potrzebném i rzeczywiście oszołamia Wyszymira. Gdy przyszedł do tego przekonania, że stanowi jego duszy winny czary, błaga Hildę, by go odczarowała, a tą próbą oraz wyznaniem, że ojczyznie jéj wolność zupełną zamierza pozostawić, wywołuje ducha szlachetności w zaciętéj Germance, która „równie była zdolną ukochanemu poświęcić swe szczęście, jak je poświęcić dla ojczyzny chcia-

ła.“ Czary nikną, ale wówczas gdy Wyszymir z Hildą znajdowali się na morzu w statku, na którym nie było żagla cudownego, siedzących i ucztujących zobaczyła zazdrością palona Wisława; zaczęła wyrzucać zdradę Wyszymirowi, a gdy ten powoływał się na ziemię i nieba, że jest niewinny, Wisława na dowód kazała mu skoczyć w fale, co téż bohater tak zagadnięty wykonywa. Przenosimy się odtąd do „świata podwodnego;“ widzimy, jak Wyszymir napróżno chcąc się wyratować, „uczuł się w końcu igraszką omdlałą jakiéjś nieczułéj a strasznéj potęgi i zaczął wtedy czytać z owéj księgi, któréj żyjące oko nie widziało, bo nikt nie wrócił z tych, co ją czytali;“ nakoniec utracił „straszną moc pamięci i przestał cierpiéć.“ Za sprawą Wisławy ożył atoli przemieniony; „duch jego powstał jak posąg z kryształu,“ lekki, przezroczysty. Zwolna wróciła mu i pamięć dawnego życia; spostrzegł Wisławę, „zbliżył się; ruchem pełnéj tkliwéj cześci podniósł płaczącą, która... w jego objęciach niby kwiat się słania.“

I jak świerk z brzozą rosnące na grobie,
Zaczęli długą wpół-cichą rozmowę,
Pełną powierzeń, płynącą tajemnie,
Jak dwóch strumieni skargi kryształowe...
Nabrzmiałą smętném ich przeszłości echem,
Nieraz przerwaną łkaniami srebrnemi,
Czasem przetkaną promiennym uśmiechem;
Długą rozmowę! — Aż w ostatniéj chwili,
Wzajemnie sobie wszystko przebaczyli
I swą niewinność uznali wzajemnie
I zapomnieli o łzach i o ziemi.

Lecz nie dosyć na tém; ponieważ w owym świecie podwodnym „do ziemskich krajów podobne są kraje,“ więc i formy życia są podobne. Wisława wybrawszy sercem Wyszymira, postanowiła go zaślubić; więc się ślub ten odbywa z całą uroczystością przy zbiegu wszystkich polskich rzek, jezior, trzęsawisk, potoków i źródeł. Bożki były wprawdzie zagniewane, że na śmiertelnika padł wybór bogini, ale gniew ich nie przeszkodził wspaniałéj uczcie na ogromnych stołach kryształowych, z zastawą muszlową, którą poetka w części tylko opisać się odważa. Wisława na „lutni przejrzystéj, z łez dziewic ulotnéj“ zaśpiewała madrygał miłosny, równie chłodny jak żywioł, wśród którego rzecz się dzieje. Nastąpiły tańce; pląs się rozlegał od mórz po Karpaty! Nie zabrakło i błogosławieństwa boga morza. Wyszymir odtąd został monarchą Wisły; lecz „wszystko z rozkoszą oddaje pod Wisławy wolę, bo jego miłość rośnie, wiecznie rośnie!“ Na Wiśle nieraz w ciche letnie noce widać wielką konchę białą, „która tak lekko po falach przechodzi, jakby w niéj bożków skrzy-

dło wiosłowało;“ a w téj konsze płyną dwie postaci, przez których rzewne, przezroczyste lica wieczną jutrzenką nieśmiertelność świeci;“ nad niemi „żagiel utkany z promieni księżyca, w srebrzyste skrzydła trzepoce.“ To Wisława i Wyszymir: „dzień im się chwilą, wiek zdaje godziną.“

Taką jest powieść czarodziejska o Wyszymirze. Poetka mogła fantazyi swojéj dozwolić zupełnie swobodnego lotu, zużytkowując tylko podanie zawarte w kronikach co do wypadków, a zresztą snując tkankę właściwéj baśni całkiem dowolnie. Wyobraźnia Deotymy jest bujna, więc téż potrafiła wyprowadzić z siebie takie mnóstwo obrazów, że wystarczyły na utworzenie obszernego poematu. Oczywiście nic innego wydobyć z siebie nie mogła, jak to co w niéj było złożoném przez czytanie i dostrzeganie; to téż świat ów fantastyczny tylko olbrzymiością powiewnych kształtów i niezależnością w niektórych razach od praw przyrody różni się od świata tutecznego; a jeżeli poetka chce dać poznać coś przechodzącego wyobraźnię śmiertelników, musi się posługiwać zwrotem tak przeciwnym prawdziwéj epice, a tak powszechnym u retorów jak: „Nieba! któż ten cud określi!“ „Teraz na ludzką użalę się mowę“ i t. p.—a zwrotów takich jest w poemacie podostatkiem. Wprowadzenie żywiołu fantastycznego zbliżyło poemat do epopei starożytnéj i do klechd naszych, ale odebrało bohaterowi sławę, że wszystkich czynów wielkich dokonywa własną dzielnością, obniżyło zatém wrażenie, jakiegobyśmy doznać mogli, gdybyśmy w opowiadaniu o wyprawach Wyszymira widzieli tylko czysto ludzkie czynniki. Obrazy fantastyczne kreślone przez Deotymę są albo dydaktyczną alegoryą jak np. w przedstawieniu hidrografii polskiéj, albo aż zanadto przypominają ludzkie stosunki, z ich słabościami. Wisława raz jest wszechwiedzącą boginią, która okazuje Wyszymirowi rzeczy zakryte przed oczyma ludzkiemi, to znowu prostą ziemianką posądzającą na ślepo swego ukochanego o zdradę i dla zyskania dowodu, że tak nie jest, potrzebuje, żeby się rzucił w nurty morza. Raz występuje majestatycznie, jak na boginię przystało, to znów staje się słabą, naiwną dziecinnie kochanką, to wreszcie przemawia jak gderliwa gospodyni, gdy woła na wzburzone fale:

...Héj w szyki!
Na cóż mych starań i opieki tyle?
Że téż nie mogę odejść i na chwilę,
Abym swawoli nie zastała dzikiéj!...

Ta mieszanina wrażeń, kolejno na czytelnika spływających, mieszanina, nie dozwalająca na stanowczą decyzyą, czy się znajdujemy w krainie całkowicie fantastycznéj, czy w czysto-ludzkiéj, jest

może głównym powodem, że poemat pomimo swego poważnego zakroju nie wywiera na nas wpływu, jakiego po utworze poważnie pomyślanym i wykonanym spodziewaćby się było można; ciągle bowiem wydaje się nam, że rzecz o Wyszymirze to igraszka poetycka, którą tworząc autorka sama nieraz ironicznie uśmiechać się do siebie musiała; cieszyła się ze swojéj wirtuozyi, ale zarazem spoglądała zgóry na utworzone przez siebie postaci i na opowiadane zdarzenia.

Publiczność przyjęła ten nowy poemat równie chłodno jak „Lecha;“ a krytyka zachowała się podobnie jak poprzednio; przyznawała mu wprawdzie więcéj plastyki niż „Lechowi,“ ale wytykała mu brak myśli głębszéj. Ktoś nawet z ogólniejszego wychodząc stanowiska, twierdził, że autorka niepotrzebnie kreśli obrazy z przeszłości, bo powinniśmy zupełnie zapomniéć o przeszłości naszéj i na czystym wyprzątniętym placu wznosić nowe budowle. Powstał atoli w obronie Wyszymira rycerz, który przytoczywszy z oburzeniem dopiero co zaznaczone zdanie radykalnego krytyka, zajął się wykazaniem poszczególnych piękności utworu Deotymy. Rycerzem tym był na nowo wtedy do literatury wstępujący F. S. Dmochowski. W końcu r. 1861 pomieścił on w *Bibliotece Warszawskiéj* artykuł (IV, str. 683 — 699), w którym kładł wielki nacisk na to, że Deotyma stwarza nam poemata, jakiemi ludy rozpoczynające swój żywot dziejowy zwykły uwieczniać ideały swoje. „Po upływie czternastu wieków — pisał on — okazuje się talent twórczy, który z krótkich oderwanych wspomnień, z mozolnych badań tegoczesnych historyków, z ledwie dojrzanych, przekształconych podań ludowych, odtwarza nam epokę Lecha i Wyszymira i piśmiennictwo nasze zbogaca utworami, którym tego tylko niedostaje, żeby o nich powiedzieć można: one pochodzą z żywych, szeroko rozpostartych tradycyj ludowych, a dziś wzniesione do ideału, ubarwione wdziękiem nowożytnego wieszczopisarstwa, mieszczą się w rzędzie poematów na ludowéj zbudowanych podstawie.“ Dmochowski widocznie nie oceniał dostatecznie doniosłości tego braku, o którym wspominał, a który sam jeden wystarczał, ażeby do indywidualnych fantazyj poetki o czasach zamierzchłych nie przywiązywać wagi. Stąd téż zdobył się tylko na zaznaczenie faktu, „że ogół nie czując z mlekiem macierzyńskiém wyssanéj wiary w obrazy i przygody bohaterów poematu, niełatwo idzie za duchem poetycznym autorki, i na te poemata zapomnianych wieków, zapatruje się jako na utwory tegoczesnéj sztuki i fantazyi.“ Przy zaznaczeniu tego faktu dodać właśnie wypadało, że nie tylko ogół ale i krytyka inaczéj zapatrywać się ani potrzebowała, ani mogła. Ale Dmochowski był innego zdania. Niepopularność „Polski w pieśni“ złożył na porę nieprzyjazną dla

niéj; „bo—jak powiadał—dla zajęcia się i upodobania sobie w utworach imaginacyi, potrzeba albo prostoty pierwszych epok cywilizacyi, albo swobodnego wypoczynku myśli, pośród skarbów przyrodzenia i sztuki;“ stąd też twierdził, że „czas nie tylko nie umniejszy zalet poematów Deotymy, lecz nowéj ceny im doda.“ Przepowiednia ta, jak dotąd, nie spełniła się; dziś jak przed laty, uznając te i owe w poematach tych piękności, musimy je uważać co najmniéj za spóźnione w swoim pojawie; potrzeba im było o wiele mniéj wymagających, o wiele naiwniejszych czytelników.

III.

Autorka nie ustawała w pracy. W r. 1860 odbyła wycieczkę w Karpaty mając na myśli między innemi i potrzebę przygotowania sobie tła przyrody dla dalszych części „Polski w pieśni.“ Obmyśliła bowiem już wtedy plan obszernéj trylogii dramatycznéj, mającéj zamknąć dzieje Krakusa i Wandy. Krakus występował już w „Wyszymirze“ a w „Dwunastu Wojewodach,“ którzy uciskając lud zmienili „swe orszaki na wojska, swe zwady na wojny,“ on jeden, „czczony i spokojny, sprawiedliwość ojcowską wymierzał z Wawelu, a lud w jego dzielnicy wzrastał w zamożność, szlachta żyła zgodnie. On też się stał gwiazdą nadziei dla narodu; ku niemu wysłańcy uciśnionych, Wyrwidąb i Waligóra, zmierzali, jak się zdaje z zakończenia poematu, ażeby objąwszy władzę, pozbawił jéj tych, co się nad ludem znęcali. Dzieje Kraka miały zapewne stanowić pierwszą część owéj trylogii dramatycznéj. Czy ją wykonała poetka, nie wiemy. Zaszły tymczasem takie okoliczności, które myśl jéj w inną stronę zwróciły lub też od pracy odrywały. I tak w r. 1862 zajęta była pisaniem poematu o Kordeckim, który czy został wykończony, nie wiadomo. Pod koniec tegoż roku (w początkach września) z powodu mocno nadwyrężonego zdrowia musiała Deotyma wraz z matką pojechać do Włoch, skąd dopiero w maju r. 1863 powróciła. W r. 1864 towarzyszyła ojcu swewu, Wacławowi, wysłanemu na Syberyą. Puszczając się w drogę, zabrała z sobą rozpoczęty poemat dramatyczny o Wandzie i „pod niebem północnego wschodu“ powstawały zwolna dalsze jego części, czyli, jak mówi poetka, „z poza mroźnych nasypów ta pieśń wybuchała jak Hekla wre i kipi za ryglami z lodu.“ Jeden ustęp powstał w ziemiach nadwołżańskich, w Jadrynie; powiada o nim Deotyma:

Wśród zadymek i szturmów śniegowego morza
W pochylonéj chałupce siedząc na pudełku,
Pisałam przy okienku o klejoném szkiełku
Gdzie tęczami północna falowała zorza.

Inny utworzony został w starym dworku czembarskim, „gdzie kawki wyprawiały sejmik bez ustanku“ ; inny znowuż rodził się nie pod dachem nawet, lecz „na spiekłym stepie, gdzie gnany postrachem tłum dwudziestotysięczny uciekał z rozpaczą“ w czasie pożaru Symbirska. Po śmierci ojca w r. 1867 poetka nie chciała się rozstać ze swoim utworem jako drogą pamiątką chwil spólnie z nim przebytych; strzegła jéj więc „zazdrosna, przed chłodnemi oczyma, złośliwemi szpony.“ Dopiero po latach dwudziestu od czasu utworzenia poematu, posłyszawszy w sercu swém głos, „iż pieśni są dla rzeszy a nie dla pieśniarza“, wykończyła go w r. 1884, przypisała w pięknym wierszu dedakacyjnym pamięci ojca i wydała wreszcie z datą roku 1887.

Pierwotny pomysł trylogii dramatycznéj został zarzucony; dzieje Kraka nie weszły do obrazu ; powstał dramat o Wandzie tylko w pięciu aktach z prologiem i epilogiem.

W prologu widzimy Wandę wśród białych ksień, „matek wiedzy“, w dolinie Kościeliskiéj. Wykształcona przez nie w ciągu lat trzech, przejąwszy od nich wszystkie tajemnice przyrody i ducha, zahartowana na wszelkie przygody, wyczytuje na skale Pisaną zwanéj starożytną wróżbę, obiecującą szczęście i wielkość Lechitom, jeżeli córa pogromcy smoka do grobu zachowa „kalinowy wieniec.“ Ksienie wytłómaczyły zamyślonéj dziewicy, iż jéj to niewątpliwie dotyczy przepowiednia, wyświęciły ją na ksienię pod imieniem „Władnéj“, wróżąc, że przez nią „może niewiasta dorówna mężowi“; ale nie radziły jéj krępować się ślubem pozostania „samotną i białą.“ Podrażniona nieufnością w jéj siły, Wanda ślubuje Dziewannie, splatającéj wianki dziewicze, iż żaden śmiertelnik jéj ręki nie otrzyma, iż duch narodu będzie jedynym kochankiem, któremu zaprzysięga miłość wierną aż po grób. Wówczas z chmur wiszących w głębi doliny wysuwa się „postać obłoczna“, która przepływa po Dunajcu, podnosi rękę i w mgle się rozprasza. Był-to duch narodu, cień Lecha; Wanda wpatruje się klęcząc w tę postać, potém słania się i upada bezprzytomnie. Ocucona przez białe ksienie, mówi o swém widzeniu; gdy wtém przybywają posłowie narodu Wyrwidąb i Stanisław, donoszą o śmierci Krakusa, o wywołaniu z ziemi młodszego brata za zabójstwo tegoż i o powołanie na tron Wandy. Gdy Wanda udaje się wraz z posłami, aby zacząć życie czynne, na jednéj ze skał pokazuje się czarnoksiężnica Piorunna „w szacie jaskrawéj, czarnym płaszczem po wierzchu owiniętéj“, grozi ręką w stronę odchodzących, zapowiada zemstę czarnych ksień i znika.

W akcie I przedstawiającym nam Wandę jako królowę w otoczeniu rycerek na placu wiecowym pod bramami Krakowa, jest wy-

kład programu postępowania reformatorki doli kobiecéj. Wypowiedziane tu są myśli, które się w entuzyastycznych głowach kobiecych około roku 1860, kiedy jeszcze twarda konieczność jęcia się pracy na polu ekonomicznèm i nauki nie objawiła w całéj grozie, silnie się roiły. Wanda nie dlatego dała w rękę niewiastom „sierp wojowniczy“, by ich do rozlewu krwi zaprawić i żądzą podbojów zapalić, lecz aby je wprowadzić na przyszłe wiece i zażądać „praw nowych dla nowéj zasługi“, mając nadzieję, że z wiecu na wiec z latami bujny plon się zbierze i kiedyś „w wielkiéj kraju gospodarce i ród niewieści własne zdobędzie zagony.“ Pomiędzy rycerkami znajdują się i zawzięte przeciwniczki mężczyzn, któreby przynaglić chciały królowę do wypowiedzenia wojny mężom, ale Wanda nie chce się uciekać „do bogów siły“, pewna, że niewiasta zawsze u nich przegra, karci Włastę za myśl wojny przeciw ojcom, braciom, narzeczonym i powiada:

Choćby nam bitwę stoczyć raz przyszło jedynie;
Choćby nasz los na wieki miał zależéć od niéj;
Choćby nas miała podnieść nad same boginie:
Precz ze zwycięstwem opartém na zbrodni!

Wanda pragnie tylko okazać, że i niewiasty do czynów są zdolne, a tym sposobem zjednać im przyszłość lepszą, niż była przeszłość; lecz nadto pragnie zmienić obyczaje niewiast, oduczyć ich płochości. Właśnie nastała chwila próby a téj rycerki nie wytrzymały. Zaledwie giermek zapowiedział przybycie swatów Rytygiera o rękę Wandy, zaraz myśli rycerek zwróciły się ku wysławieniu jego piękności, zaraz się ożywiły i rozweseliły. Wanda przed najserdeczniejszą przyjaciółką swoją, Tomiłą, wynurza żal z tego powodu. To „rój wietrznic—powiada—jak je chwycić za motyle skrzydła? pochlebiam ich próżności, rzucam im świecidła, oznaki dostojeństwa, zwycięskie obrzędy, ufna, że tą przynętą zatrzymam je w sieci; próżno! łakotkę połkną, a nie tkną się wędy;— przemów do nich poważnie,—ogarnia je nuda; mów o strojach i chłopcach—zapał z oczu świeci.“ A i w garnięciu się do rycerskich zastępów, powoduje niemi próżność: „ta lśniący hełm włożyła, bo jéj w nim do twarzy; ta inna, bo domową pracę ma w ohydzie.“ Żadna zaś nie czyni tego ani przez czysty obowiązek względem ojczyzny, ani „przez szlachetny głód czynu, miłość wielkiéj sprawy“, ani nawet przez żądzę chwały bohaterek. O zalotność rozbija się według Wandy cały jéj trud; dopóki powołuje pod sztandary, „dziewki garną się, matki są wyrozumiałe; kto wie — myślą—czy sława nie przywabi męża? Nawet wahanie się ojców przed tym przypuszczeniem ustępuje. Lecz gdzie trzeba wystąpić odważnie ze swém zdaniem, gdzie trzeba „narazić się męskiemu

sądowi“, Wanda znajduje milczenie i strach; „jeśli która się zerwie i śmiało wysłowi, to chyba z tych, co wszystkie straciły nadzieje przez ciężki zawód serca.“ Nie lepiéj się przedstawiają Wandzie siwe białogłowy; widzi w nich „głębokość serca“ a „ciasność myśli“; póki rzuca „czcze skargi na minione wieki“, lub roi marzenia na przyszłość daleką, słuchają jéj wzdychając; lecz jak tylko chce ściśléj określić, co przedsięwziąć należy dla podniesienia kobiety, zaraz się wzdrygną i mówią: „czemuż właśnie *dziś* zaczynać? czemu właśnie na córkach *naszych* doświadczać téj próby.“ Największym wrogiem dzieła Wandy, zmierzającego do wywalczenia stanowiska wyższego dla niewiasty, jest sama niewiasta. Gdyby jéj bóstwo jakie dało do wyboru: albo być szanowną, mądrą, umieć wieszczyć, lecz pozostać samotną; albo też miéć taką ciemnotą oprzędzone swe myśli, że „mrówka czy pszczoła, najuboższe zwierzątko“ zrównałoby jéj rozumem, lecz za to być uwielbianą przez młodziana, któryby twierdził, że nieświadomość jéj wyższa od mądrości; — żadnaby nie wybrała losu pierwszego.

Te wywody Wandy, w których łatwo odnaleźć odgłos rozmów i rozpraw toczonych przed laty dwudziestu, były podstawą poprzedniego i są wskazówką jéj dalszego postępowania. Na wszystkie oświadczenia miłości odpowiada jednostajnie, że nikomu serca nie odda, że służy tylko sprawie kraju i niewiast. Tak odprawia Stanisława, który odmalowawszy swą miłość w długiéj tyradzie, zakończył ją jak prawdziwy romantyk słowami, że ją będzie czcił milcząc, schyliwszy kolana, „robaczek zakochany w gwieździe złotowłoséj, co nawet o nim nie wie, a jednak mu świeci.“ Tak też traktuje madrygały posła od Rytygiera. Tak też przyjmuje pierwsze oświadczyny samego bohatera, rozmiłowanego w niéj do szału, gdy się wyrwał z Rugii do Lechii wbrew żądaniu ambitnego kapłana-oszusta, który groził zemstą bogów za podjęcie wyprawy w czasie święta Herty, na ten cel umyślnie przezeń inscenizowanego.

Inaczéj jednakże przemówiło jéj serce, którego słabość umiała wyzyskać czarnoksiężnica Piorunna, obiecując Wandzie pokazać bożka miłości Lela i uprosić u niego powrót spokoju. Przebywa wtedy chwilę straszną: przed oczyma jéj wyobraźni stają okropne widziadła, jako wynik jéj słabości, że serce swe ku cudzoziemcowi skłoniła:

Topór huczy... Padają świątyń naszych gaje.
Snuje się tłum obcych twarzy...
Dzieci zapominają ojców swoich mowy...
Młodzież w obcym stroju
Pogardza rolą o pracy surowéj. .
Kto przeszłość jeszcze kocha, jak cień chodzi w tłumie;

Kto dawny obrzęd święci, zamyka się w domu,
Kto dawną piosenkę umie,
Zaśpiewać jéj nie ma komu.
Brat podsłuchuje brata... brat wydaje brata!
I wszystko, co było święte,
Staje się wyklęte.
Lech wychodzi z mogiły, woła dawnéj chwały,
Do serc i do drzwi puka... nikt sercem nie słucha!
Drzwi zamknięte. I kraj cały
Zapada — w poddaństwo ducha.

Ale i te widziadła już nie mogą powstrzymać serca po raz pierwszy silniéj bijącego; dla Wandy „nawet wiedza“ kojącą moc utraciła.

Na wezwanie Piorunnéj, która urządziła scenę taką jaką Wergiliusz opisuje, gdy Eneasz z Dydoną schronić się przed nawałnicą w grocie musieli, zjawia się Wanda o północy w lesie. Sześć czarnych ksień nakłada sześć ognisk, po trzy z każdéj strony wejścia do jaskini. Piorunna, wziąwszy różową laseczkę do ręki, stara się w Wandzie osłabić ducha i nakazuje, żeby za pojawieniem się Lela, wymówiła słowa: „Kocham Rytygiera; czy chcesz wydarte powrócić mi serce?“ Powstaje szum w lesie; zrywa się gwałtowny wicher, z sześciu ognisk wybuchają wielkie płomienie różnobarwne; zwolna wicher ucisza się i w szum dźwięczny rozpływa. Piorunna z laseczką podniesioną staje przed wejściem jaskini; każda z sześciu innych ksień przed jednem z ognisk; rozpoczynają się śpiewy; na wezwanie Piorunnéj: Lelu, pojaw się! występuje z głębi jaskini Rytygier — zupełnie jak w operze czarodziejskiéj. Wanda osłupiała. Piorunna nakazawszy jéj wypowiedzieć owe słowa, odchodzi w głąb sceny, tam podnosi laseczkę różową i czyni znaki ku niebu; wnet zaczyna się chmurzyć i ściemniać; podczas tyrady Rytygiera słychać grzmoty. Wanda cuci się i wrze strasznym ku Piorunnéj gniewem, która też skarcona oddala się z „ponurém podziwieniem.“ Dowiedziawszy się, że Rytygier o podstępie Piorunnéj nic nie wiedział, nie chce mu wprawdzie wyznać, że go kocha, ale odmowę swoję łagodzi prośbą o dzień zwłoki; poczém, choć burza szaleje, pioruny biją, odrzuca propozycyą Rytygiera odprowadzenia jéj do domu; rozchodzą się więc w różne strony.

Nazajutrz odbywa się wielka uczta w książęcym dworze w Krakowie, na którą zaproszony był Rytygier ze swym orszakiem. Tomiła wyrzuca jéj, że się sprzeniewierzyła wielkiemu posłannictwu, ale w końcu, jak prawdziwa przyjaciółka, radzi żeby jeżeli kapłanie nie rozwiążą jéj ślubu, sama go rozwiązała „prawem serca“ własnego. Otuchy i odwagi dodaje jéj także opowiadanie Płomniewy o rozkoszy pocałunku. Ale zatruwa jéj tę rozkosz zawzięta Własta, robiąca jéj wyrzuty:

Po co było zaczynać? W śpiący, zapomniany
Świat niewieści podrzucać pochodnię pożaru?
Namawiać nas do buntu! Sypać sól na rany?
A potém .. potém pierwszéj uciec zpod sztandaru?
Ty dla mnie byłaś Prawdą z nieba zeszłą żywcem.
Ja dumna szłam za tobą jak pies za myśliwcem.
Pyszniłam się, że jestem takich rąk narzędziem.
Teraz cóż mi zostanie? Marzyłam szalenie!
Tracąc cię, tracę wiarę w wielkość i natchnienie.
Gdy i ty nas zawodzisz, w kogóż wierzyć będziem?...

Na te wyrzuty nie umie Wanda znaleźć odpowiedzi.

Podczas biesiady Rytygier tańczący z Wandą i śpiewający krakowiaki pozyskuje uwielbienie kobiet oraz mężczyzn, którzy się w księżnéj nie kochali. To uwielbienie podżega miłość w sercu Wandy, gdy widzi, że naród nie będzie przeciwny jéj wyborowi; ale nadzieje jéj znów zamąca kapłan Niebosz, oświadczając, że nie wie, czy bogowie od ślubu ją zwolnią. Wtedy Wanda w pięknéj modlitwie do Dziewanny, błaga ją „przez czar powitania, dreszcz oczekiwania, rozpacz pożegnania, przez śmierć rozstania,“ by zapomniała o niéj w „swém słoneczném niebie,“ bo ona pragnie ziemi „z radościami jéj gorzkiemi, cierpieniami czarownemi....“ Następuje znów scena czarodziejska, w której czarnoksiężnice wabią ją ku sobie, wystawiając rozkosze miłości, a białe ksienie przypominają obowiązek bronienia doli kobiecéj i przyszłości narodu, a w końcu przepowiadają, że na dziejów sądzie wyprze się jéj narodowy duch. Tego ciosu znieść Wanda nie mogła i choć serce jéj pękało, wyrzekła się miłości. Białe ksienie błogosławiąc to postanowienie odchodzą, a Wanda z okrzykiem: „Światłość zwycięża, wolność!“ uderza włócznią w tarczę i znów się staje dawniejszą rycerką. Następuje walka z wojskiem Rytygiera, który przez galanteryą rozkazał mu się cofać. Wanda, spotkawszy wodza, każe mu walczyć z sobą, ale ten odpowiada: „drzewo na mym grobie uschnie, jeśli kobietę dotknę bronią męża,“ ale na stanowcze jéj domaganie się bierze miecz do ręki. Stoją naprzeciw siebie, ale żadne z nich nie śmie podnieść oręża na siebie. Wanda omdlewa, Rytygier chwyta ją w swoje objęcia; bohaterka wyznaje, że go kocha; wypowiadają duet miłosny, przerwany nadejściem rycerek. Rytygier wzięty do niewoli. Wandzie ukazuje się duch Lecha, duch narodu, jak w prologu, przytłumia w jéj sercu płomień miłości, „okuwa ją hartem zbroi, troski rozwiewa z pamięci“; budzi w niéj postanowienie poświęcenia mu wszystkiego. Z myślą, że „szczęsny, kto kocha i żyje, szczęśliwszy, kto ukochawszy umiera“; rzuca się do Wisły. Rytygier zabija się.

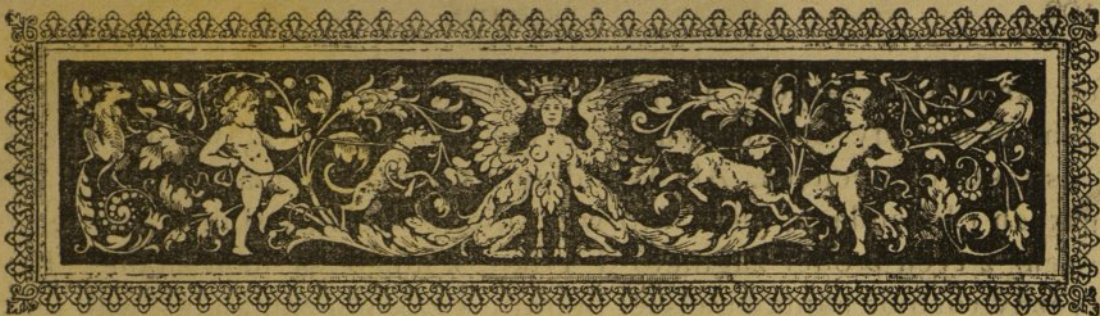
W epilogu „głos lutnistki“ wzywa „głos miłości“, by wyśpiewał chwałę Wandy, jéj ukochanego, Tomiły, Wyrwidęba, Stanisława. „Głos miłości“ spełnia to życzenie i daje przestrogę, że kto się zrzeka miłości i „chce wieczne prawdy głosząc wzbić się nad człowieka, ten żyć musi nad burzami, na lodowym szczycie; lecz kto zejdzie na dolinę, musi żyć jak żywi, lub go dotknie straszna zemsta, bo tych co miłością gardzą, miłość zabija.“ Duch Lecha pozwolił Wandzie połączyć się po śmierci z Rytygierem:

Wiek po wieku dniem się zdaje rozkochanéj parze.
Kwieciem wonny miód młodości piją w jednéj czarze,
Wspólną myślą jak weselnym łamią się kołaczem,
I przez oczy, które nigdy już nie zajdą płaczem,
Zamieniają duszę z duszą jak pierścień zamęścia.

Tak kończy się poemat dramatyczny o Wandzie, spóźniony owoc romantyzmu naszego. Więcéj ma on niewątpliwie zalet poetyckich od poprzednich części „Polski w pieśni“, bo już sam pierwiastek uczucia, tak silnie w nim uwydatniony, a nieporównanie gorętszemi niż w „Wyszymirze“ barwami oddany, wyróżnia go od nich dobitnie; ale pod względem ducha i wykonania jest z niemi spółrzędny. Nie dzisiejszy to sposób pojmowania przeszłości i nie dzisiejsza metoda odtwarzania jéj w poezyi. Całość ma zakrój operowy w tém znaczeniu, że poetce, chodzi o malowniczość scen i sytuacyi bez względu na to, czy można je sobie jako rzeczywiste pomyśléć czy nie. Pierwiastek fantastyczny w nadmiernéj ilości wprowadzony sprawia, że wszystko się przedstawia jako baśń; tam zaś, gdzie się widzi ludzi, ich myśli, rozumowania i uczucia, mamy odtworzony duch spółczesny poetce nie zaś ten, jaki sobie wyobrażamy w przeszłości. Rażącém nawet ze stanowiska poetki jest uwydatnienie szarlataneryi wśród kapłanów i ksień; przypominają się tu bowiem augurowie z czasów zamierania wiary, nie zaś naiwni wyznawcy potęgi i przemożnego wpływu bóstwa. Wskutek takiego wystawienia tego czynnika, wszystko, co się mówi o znaczeniu ślubów bogom składanych, cała dramatyczność położenia Wandy wobec złożonéj przed laty przysięgi, traci swoję doniosłość, a przynajmniéj silnie w podstawie swéj jest zachwianém.

Pięknych, prawdziwie natchnionych ustępów nie brak „Wandzie“; ale są to cząstki tylko całość zaś nie może sprawić głębszego wrażenia, bo nie ma w niéj ludzi prawdziwych, niema kolizyi, któreby na seryo mogły być nam zrozumiałemi i naprawdę wstrząsającemi; są tylko uosobione abstrakcye, albo fantazye, nic spólnego z rzeczywistością obecną lub minioną nie mające.

P. Chmielowski.



ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Memoriale ordinis fratrum Minorum a fratre Joanne de Komorowo compilatum ediderunt Xaverius Liske et Antonius Lorkiewicz. Leopoli 1886, wielka 8-ka, str. 420.

Oddawna uznaną jest rzeczą, że wpływ zakonów w wiekach średnich niepospolitą miał doniosłość i znaczenie w wewnętrznym rozwoju narodów. Jeżeli dziś przy zmienionych warunkach cywilizacyjnych oczywiście możemy i musimy inaczéj zapatrywać się na kwestyą ich bytu, to w odległych owych czasach, kiedy klasztory bywały ogniskami oświaty i kultury, kiedy mnisi z propagandą religii rosnosili światło nauki po krajach, nie możemy zakonom bez ujmy dla sprawiedliwości odmówić zasług i to niemałych. W uznaniu tego rozpoczęto za granicą nie od dzisiaj badać ich dzieje, poświęcać im osobne rozprawy i osobne wydawnictwa. U nas zrobiono pod tym względem jeszcze mało, że jednak i tutaj rozpoczęto umiejętną i wymogom dzisiejszéj krytyki odpowiadającą pracę,—dowodem książka niniejsza, któréj tytuł podałem wyżéj. Dzieło to odnosi się specyalnie do historyi zakonu franciszkańskiego i jest, o ile wiemy, pierwszém u nas tego rodzaju, stojącém na wyżynie obecnéj nauki, a jak znakomite przynosi wyniki, nietylko dla dziejów polskich Minorytów, lecz ogólnych tego zakonu dziejów,— będę się starał pokrótce przedstawić.

Zakon Franciszkanów, założony w początkach XIII wieku przez św. Franciszka z Assyżu, należy do najmniéj jeszcze zbadanych. Sam żywot założyciela, jakotéż pierwsze zawiązki owego bractwa, które w potężny wkrótce wzrosło zakon, spowite w mgły cudownych legend, mnóstwo mają nierozjaśnionych jeszcze kwestyi. Wprawdzie w XVII w. znalazł zakon swego historyografa w Waddingu, którego olbrzymie dzieło: *Annales Minorum* opowiada jego dzieje

od samych początków, ale praca ta chaotyczna, brakiem krytyki i rozumnéj metody badania zupełnie nie odpowiada celowi, a ogromem odstrasza i zniechęca. Ale Wadding rozporządzał materyałem w kronikach i legendach, jaki, kto wie, kiedy zdołamy skupić, wiele bowiem z tych źródeł zaginęło i tylko z niego są nam znane. Krytyczny rozbiór najdawniejszéj literatury zakonu zainaugurował Jerzy Voigt wydaniem najstarszéj kroniki Jordana z Giano (*Die Denkwürdigkeiten* (*1207—1238*) *des Minoriten Jordanus von Giano. Leipzig 1870*), poprzedzonéj wyborną przedmową, roztrząsającą, a w wielkiéj części i rozstrzygającą, znaczną ilość pytań z pierwotnych dziejów i piśmiennictwa zakonu. Zrobiono mimo to niewiele dotychczas, a przyczyna tego głównie w ogromnym braku zaginionych źródeł. Prócz Waddinga bowiem, mającego ostatecznie wartość jedynie dla owych nieznanych kronik, które pochłonął, znamy tylko Jordana, najstarsze źródło i znacznie późniejszego, bo piszącego w r. 1508, Glasbergera. Ogniw, łączących Jordana z Glasbergerem nie mamy, choć pewna, iż istniały. Obecnie przynoszą wydawcy pp. Liske i Lorkiewicz kronikę Jana Komorowskiego, a jakkolwiek powstała dopiero w XVI w., wartość jéj, jest niemałą.

Nową zupełnie ona nie jest. W roku 1873 wydał kronikę Jana z Komorowa prof. Zeissberg w *Archiv für österr. Geschichte* tom 49, część II. Czyż wobec tego wydania obecne nie zdawałoby się zbędném? Zapewne że nie. A to dlatego, że Zeissberg rozporządzał jednym tylko rękopisem, znajdującym się dziś w bibliotece Krasińskich w Warszawie i dochodzącym tylko do r. 1503, podczas gdy obecni wydawcy mają prócz tego jeszcze dwa o wiele obszerniejsze i daléj idące, a powtóre wydanie Zeissberga jest tak błędne, że dość spojrzéć na długi, bo siedem stron (58—65) liczący wykaz omyłek i opuszczeń, popełnionych w niém, a podanych przez wydawców na końcu przedmowy, ażeby książkę jego raz nazawsze usunąć z rąk badaczy.

Na teraźniejsze wydanie złożyły się trzy rękopisy: 1-szy ręk. biblioteki Czartoryskich w Krakowie N. 3792, 2-gi ręk. bibl. Jagiellońskiéj N. 3539, 3-ci ręk. bibl. Krasińskich (1). Opis ich, pochodzenie, czas powstania i wzajemny stosunek do siebie znajdujemy skreślone z nadzwyczajną ścisłością w pierwszym rozdziale szerokiego wstępu (str. 3—18). Najważniejszym jest ręk. Cz., kwartant mający do str. 136*a*, kronikę pisaną własną ręką Komorowskiego, jak widać ze znajdującego się na pierwszéj stronicy napisu: *Fr. Joannes de Komorowo*

---

(1) Stosownie do skróceń przez wydawców używanych będę oznaczał nadal 1-szy rękopis przez *Cz.*, 2-gi—*Jag.*, 3-ci—*Kr.*

hunc librum compilavit. A zresztą liczne poprawki w tekście, dopiski na marginesie i wtręty na osobnych karteczkach, dokonane jedną ręką świadczą niezbicie, że mamy przed sobą brulion kroniki, ręką autora pisany i poprawiany. W ręk. Jag. widzimy wszystkie te boczne dopiski wciągnięte już do tekstu i rękopism ten przedstawia się nam jako odpis na czysto brulionu Cz., wykonany również własnoręcznie przez samego kronikarza. Oba sięgają do roku 1535; nadto mają jednak jeszcze późniejsze kontynuacye wkraczające aż w wiek XVII. Jeżeli zaś Kr. porównamy z poprzedzającemi, to przekonamy się, że pierwotny tekst Cz. uwolniony od wszystkich owych dodatków i dopisków równa się mniej więcéj tekstowi ręk. Kr., oczywiście tylko do r. 1503. Tak więc Cz. i Jag. przedstawiają większą redakcyą, Kr. mniejszą téj saméj kroniki, a właściwiéj z powodu drobnych różnic i odmian: *Kr. mniejszą pierwotną, Cz. pierwszą większą, Jag. drugą większą redakcyą.* Że tak jest, dowodem zresztą czas powstania wszystkich trzech rękopisów, do którego oznaczenia dochodzą wydawcy na podstawie wewnętrznéj analizy, a mianowicie: Kr. powstał około 1512 (między 1511—3), Cz. zaś 1534—5. A zatém dwa razy zabierał się Komorowski do pisania swéj kroniki, przedział między niemi dwudziestokilkoletni. U schyłku swego życia odpisał zaś jeszcze tę drugą redakcyą i z tego powstał Jag.

Wypada nam tu powiedziéć słów kilka o życiu Jana z Komorowa, przyczém pójdziemy za krótką, lecz wyczerpującą biografią, którą wydawcy umieścili w drugim rodziale przedmowy. O młodości kronikarza nie wiemy nic; pierwszą datę swego życia podaje sam, t. j. 8 września 1494 wstąpił do zakonu obserwantów franciszkańskich, czyli t. z. Bernardynów. W r. 1511 obrany został gwardyanem klasztoru wileńskiego, 1513 warszawskiego. Późniéj odbywał kilkakrotne poselstwa na kapituły powszechne w charakterze delegata lub komisarza, a 1517 po zupełném oddzieleniu obserwantów od konwentualnych mianowała go stolica apostolska pierwszym ministrem prowincyi polskiéj i kustoszem przy wyborze nowego ministra. W latach 1520—1523, 1529—1532 piastował Komorowski godność prowincyała, którą złożywszy w r. 1532 usunął się w zacisze klasztorne i oddał pracy nad kroniką zakonu. Zdołał ją też wykończyć szczęśliwie w ostatnich latach życia, a nawet odpisać na kilka miesięcy przed śmiercią, która nastąpiła 3 listop. 1536. Oprócz kroniki napisał on jeszcze dzieło: *Sermones de regula et condicionibus ordinis minorum*, które zaginęło, oraz *Introductio in doctrinam doctoris subtilis*, drukowane w krótkim czasie 1508—1519 cztery razy.

Kronika Komorowskiego rozpada się pod względem wewnętrznego układu na dwie części, których ustępy przeplatają się nawza-

jem, t. j. na dzieje powszechne zakonu i na specyalnie polskich Minorytów. Stosownie do tego dzielą też wydawcy na dwie części badanie swoje, z jakich źródeł i jak korzystał Komorowski w historyi ogólnéj, a szczegółowo polskiéj. Ten rozbiór krytyczny napisany z drobiazgową gruntownością, a dochodzący do bardzo ciekawych wyników, tworzy trzeci, najobszerniejszy rozdział przedmowy (str. 28—58), oraz dodatek na końcu kroniki (str. 409—420). A podnosi on témbardziéj wartość niniejszéj edycyi, ile że wydawcy, jako tacy, nie byli do niego koniecznie obowiązani. Otóż wynikiem tych badań jest: że Komorowski lubo cytuje dosyć często Jordana, nie miał go w oryginale przed sobą, przypisuje bowiem Jordanowi rzeczy, których ten nie posiada. Kronika, którą on podaje jako sięgającą do czasów Bonagracyi i Mikołaja III (1279—1280) nie mogła być Jordanem, jak mylnie twierdzi Komorowski, lecz była według wydawców zapewne kroniką Balduina, który przejął opowiadanie Jordana i za którym nasz kronikarz tego ostatniego powołuje, jak gdyby zeń bezpośrednio korzystał. Kronikę tę miał Komorowski uważać jako Jordana i ztąd owa mylna data zakończenia. Balduin zaginął, kroniki jego nie znamy, a mogła ona sięgać, jak dochodzi Voigt na innéj drodze (z Waddinga) mniéj więcéj do r. 1278. Jakkolwiek jednak hipoteza wydawców dziwnie przystaje do wniosku Voigta, budzi pewną wątpliwość ta okoliczność, że Komorowski widząc Jordana cytowanego (np. *ut dicit Jordanus*, co miał żywcem przenieść z Balduina) musiał spostrzedz, że cytujący Jordana, nie może być Jordanem. A przecież mówi on wyraźnie, że Jordanus sięgał 1279—1280, dokąd opowiadanie tegoż, spisane na kapitule halberstadzkiéj r. 1262 żadną miarą sięgać nie mogło. Sprawa ta niedość jasna, przyznać jednak trzeba, że na razie przypuszczenie wydawców ma najwięcéj za sobą.— Powyższą datę końcową Jordana podał Komorowski w mniejszéj redakcyi, w większéj mówi zaś, że kronika Jordana sięgała do r. 1244. Rzecz to bardzo ważna i ciekawa. Kronikę tę, nieznaną przedtém, wydał poraz pierwszy Voigt (ob. wyżéj) w wydaniu tém jednak urywa się opowiadanie na roku 1238 i to w sposób, każący się domyślać, że sięgało daléj. Dokąd? było dotychczas nieznaném. Jedyny dziś Komorowski daje dokładną informacyą, mianowicie na str. 24 Jag. powiada on: *In hoc capitulo fecit generalis dictus diligenter divinum officium corrigi et rubricas alias suppleri de mandato domini pape et gradualia et anthifonaria missaliaque correcta in provincias missa sunt, licet aduc tempore Gregorii 9. missa fuerint, ut scribit Jordanus de Javo et in hunc annum suam cronicam ab initio ordinis scripsit.* Że przez to *hoc capitulo* należy rozumiéć kapitułę Genueńską z roku

1244, a nie Bolońską z r. 1242, jak chcą wydawcy, dowodem najważniejszym, prócz innych względów, owo *de mandato domini pape*: od 8 października 1241 do 25 czerwca 1243 wakowała stolica apostolska, a więc w r. 1242 nie mógł papież dawać poleceń, bo go nie było. Jako koniec kroniki Jordana przyjąć należy zatém tylko r. 1244.

Ciekawym jest szczegół Komorowskiego tyczący się Tomasza di Celano. Dwóch uważają autorów legend o św. Franciszku, jeden ma być Tomasz di Celano, twórca słynnego hymnu: *Dies irae dies illa*, drugi nieznany bliżéj Tomasz di Ceperano; obaj figurują do dziś oddzielnie w literaturze niemieckiéj. Tymczasem od Komorowskiego dowiadujemy się, że dwaj ci Tomasze to jedna osobistość: *Thomas di Ceperano sive Zelano.*

Brak miejsca nie pozwala nam streszczać całego wywodu wydawców, odnoszącego się do dziejów ogólnych zakonu, dość powiedzieć, że Komorowski, korzystający z licznych bardzo dawnych źródeł, których po większéj części już nie znamy, podający mnóstwo nieznanych a ważnych i ciekawych bardzo szczegółów do najdawniejszéj literatury i historyi zakonu, posiada bardzo znaczną wartość dla badacza owych dziejów.—Zwróćmy się natomiast do téj części kroniki, która opowiada dzieje polskich obserwantów. O pierwszych klasztorach franciszkańskich wogóle mówi on bardzo mało gdyż wziął sobie za przedmiot dzieje Bernardynów, który to zakon, zwany także *Franciscani de observancia*, powstał z początkiem XV w. za wdaniem się Bernarda Seneńskiego, jako odłam wielkiego zakonu Franciszkanów. A ponieważ pierwszy klasztor polski Bernardynów założono dopiero w r. 1453, miał Komorowski zaledwie kilkanaście lat wstecz, w które nie sięgał pamięcią. Żywa tradycya jest u niego wtedy głównem źródłem; co chwila odwołuje się na kogoś ze starszych, którzy widzieli lub słyszeli osobiście o tém lub owém. Nie ulega jednak wątpliwości, że musiał miéć pod ręką także i zapiski jakieś prowincyonalne lub partykularne. Dwa razy powołuje także kronikę Miechowity, oczywiście tylko w większéj redakcyi, korzysta zaś z niego bardzo mało. Stosunkowi Komorowskiego do Miechowity poświęcają wydawcy cały dodatek (409—420) i do tego szczegółowego rozbioru, wykazującego z jednéj strony, że w mniejszéj redakcyi (1512) nie mógł miéć i nie miał Miechowity (wyd. 1519), z drugiéj, że w Cz. i Jag. zagląda do niego bardzo rzadko, odsyłam pragnących się zaznajomić z tą kwestyą oraz pouczyć się co do metodycznego jéj traktowania; zwracam jednak specyalnie uwagę na ustęp o założeniu klasztoru w Inowrocławiu, w którém dochodzeniu bystrość i skrupulatność walczą o pierwszeństwo. Prócz tych źródeł miał Komorowski, jak sam powiada, książeczkę po mnichu Melchi-

zedechu znalezioną w klasztorze wartskim, w któréj książeczce były rozmaite zapiski i to ważne (*multa bona*) a szczególnie podróż Jana Kapistrana z Rzymu do Polski, opisana przez sekretarza biskupa wileńskiego, towarzyszącego Kapistranowi w roli tłómacza, i ztąd pochodzi, że u Komorowskiego znajdujemy o téj podróży takie szczegóły, jakich nie znajdujemy w żadném inném źródle. — Wartość polskiéj części naszéj kroniki odnosi się głównie do dziejów polskich Bernardynów. Przeniesienie ich na grunt nasz łączy się z podróżą Jana Kapistrana do Polski. Kiedy sława tego fanatycznego mnicha, który we Włoszech i Niemczech tłumy porywał grzmiącą wymową, obiła się o Polskę, zaprosił go król Kazimierz do przybycia do Polski. Przez Wrocław z posłami królewskimi przybył Kapistran pod Kraków 23 sierpnia 1453 roku, a król z matką swoją, biskup Zbigniew z masą duchowieństwa, szlachty i ludu wyszli naprzeciw niemu za Kleparz. Na cześć tego męża, którego już za życia posądzano o świętość, wybudował kardynał Oleśnicki pierwszy klasztor bernardyński polski w Krakowie na Stradomiu, a pierwszym tegoż gwardyanem został Władysław z Węgier, jeden ze świty Kapistrana. Porywające słowo mnicha-kaznodziei umiało zjednać zakonowi licznych zwolenników, on sam przyjął do reguły obserwantów przeszło sto osób i to wielu nawet ze znacznéj szlachty. Widzimy w nim wkrótce Kobylańskich, Balów, Melsztyńskich, Tarłów, Komorowskich i innych wielu. Zakon aklimatyzuje się w Polsce wybornie, wzrasta i potężnieje; na całéj przestrzeni Polski, Rusi i Litwy szybko powstają klasztory jeden za drugim. Według Komorowskiego założono u nas w XV w. klasztory Bernardynów: w Krakowie (1453), w Warszawie (1454), w Poznaniu, Kościanie, Wschowie (1455), w Kobylinie (1456), w Tarnowie (1459), w Lublinie, we Lwowie (1460), w Przeworsku, w Kaliszu (około 1460), w Kole (1466), w Warcie (1468), w Wilnie (1468), w Łowiczu, Radomiu (około 1468), w Kownie (1468), w Opatowie (ok. 1470), w Samborze (ok. 1474), w Bodzęcinie (1477), w Tykocinie (ok. 1480), w Bydgoszczy (1480), w Płocku (1490).

Po wprowadzeniu Bernardynów do Polski, tworzyła ona, stosownie do podziału całego zakonu, wraz z Austryą i Czechami jednę prowincyą, na któréj czele stał wikaryusz prowincyonalny, podlegający wikaryuszowi generalnemu, podczas gdy prawdziwi Franciszkanie t. z. konwentualni, w przeciwieństwie do obserwantów, mieli swego generała i prowincyałów. W początkach, kiedy jeszcze umysły zapalały się nowością idei, bo zakon ten powstał, z powodu rozluźnienia się obyczajów Franciszkanów, właśnie w tym celu, aby ściśle przestrzegać reguł założyciela, — życie klasztorne było dość nienaganne, a zwłaszcza gdy na czele stawali mężowie tak surowi i nie-

skazitelni, jak Bernard z Ingolstadu, który będąc wikaryuszem prowincyonalnym, rygorem swoim mnóstwo zrobił sobie wrogów między mnichami. Komorowski opowiada, że ten fanatyczny czciciel ubóstwa kazał w mszałach i śpiewnikach klasztornych niszczyć wszystkie malowane i złocone litery inicyałów. W Krakowie wstąpił na ratusz i wezwał rajców, aby zakonnikom dawali mniéj jadła i napoju, gdyż zbytek odciąga ich od ślubów zakonnych. W Warszawie przyszedłszy do klasztoru znalazł w kuchni pieczeń wołową; kazał więc gwardyanowi zabrać całą tę ćwiartkę i obnosić po ulicach miasta dla podziału między ubogich. „Ludzie — mówi o nim nasza kronika — czcili go jak anioła bożego, bracia nienawidzili, jak szatana.“ Z postępem czasu poczęły się do życia klasztornego wkradać coraz to wolniejsze obyczaje, a mnisi coraz bardziéj oburzali się na wikaryuszy, pragnących ich ująć w kluby pierwotnéj reguły. Zapomniano o ślubie ubóstwa, a zbytek zagnieżdżał się z rozpustą, jak o tém świadczą liczne anegdotki, które Komorowski dość naiwnie podaje. A że podagra, na którą według niego dość często chorują i umierają dygnitarze zakonu, nie pochodziła ze zbyt ścisłéj obserwy, zdaje się nie ulegać wątpliwości. — W r. 1467 nastąpił rozdział prowincyi austryacko-czesko-polskiéj, a Polska miała odtąd stanowić sama w sobie prowincyą: pierwszym wikaryuszem tym czysto polskim wybrano Maryana z Jeziorka. W pół wieku późniéj osiągnęli Bernardyni zupełne oddzielenie od Franciszkanów. Mając dotychczas tylko wikaryuszy gener. i prowincyonalnych, byli obserwanci w zależném stanowisku od konwentualnych. Na kapitule w Lugdunie 1517 otrzymali osobnych swoich generałów i prowincyałów, a pierwszym polskim prowincyałem mianowała stolica kronikarza naszego Jana z Komorowa.

Wszystkie te sukcesy nie zadowoliły jednak Litwinów, którzy przy każdéj sposobności występowali wrogo przeciw Koronie. Separatystyczne ich dążności przeniosły się z pola politycznych zatargów i na religijną odrębność. Magnatom litewskim zachciało się rozłomu prowincyi polskiéj, do któréj terytoryalnie należała Polska, Ruś i Litwa i z téj ostatniéj zapragnęli miéć osobną prowincyą litewską. Gorliwym ich zabiegom udało się uzyskać u kuryi zezwolenie na to, a Jan Komorowski, ówczesny prowincyał, choć wrogi tym dążeniom, musiał w myśl zlecenia papieskiego z bólem serca dokonać tego rozdziału, po którym zakonnicy Polacy musieli Litwę opuścić. Ale z zadowoleniem i pewnym odcieniem szyderstwa notuje Komorowski, że Litwini w żaden sposób nie mogli znaleść między swoimi godnego na urząd prowincyała i zmuszeni byli wreszcie obrać sobie Polaka, Gotarda z Siemiacina. Stało się to w roku 1530.

Prócz tego znajdujemy w kronice wiele drobniejszych rysów tak do dziejów zakonu, jak obyczajów wogóle, np. ciekawe anegdoty o składaniu skrzyń w klasztorach, o oszuście udającym Boga, o Szymonie z Lipnicy, który będąc komisarzem kazał w Warszawie nowicyuszom stać na rozpalonéj kracie bosemi nogami dla wypróbowania ich wytrwałości i t. p. Takich drobnych opowiadań, wypadków mniéj lub więcéj cudownych znajdujemy mnóstwo, a z jaką głęboką wiarą i dziecinną naiwnością umie on je opowiadać. I ani mu przez myśl nie przejdzie wątpić, że Władysław z Węgier wskrzesił osła zdechłego i ten mu niósł daléj rzeczy, że szatan w postaci Bernardyna zalecał się do kobiet i starał się je skusić, ażeby tym sposobem na zakonników rzucić podejrzenie rozwiązłego życia, że mnich po śmierci okazuje się i każe płacić długi swoje, że nienarodzone dziecię w łonie matki przez sześć tygodni głośno płakało i t. d.

Od Komorowskiego dowiadujemy się nadto o różnych zmarłych członkach zakonu, którzy się czémkolwiek odznaczyli i tak: Bernard z Żarnowca był to śpiewak i pisarz, który wiele książek przez siebie napisanych pozostawił po klasztorach, Ludwik z Warki ognisty kaznodzieja, miewający kazania w Warszawie na ulicach, gdyż kościół nie był w stanie pomieścić tłumów, jakie się doń cisnęły, Antoni z Radomska i Stanisław z Korzepia, profesorowie Akademii krak., Władysław z Gielniowa poeta religijny, który skomponował mnóstwo rozmaitych psalmów, hymnów i t. p. poezyi, oraz napisał w r. 1488 pieśń: „Jeszusza Judasz przedal", śpiewaną powszechnie przez braci zakonnych i w. i.

Do politycznych dziejów Rzplitéj nie znajdziemy u Komorowskiego wielkiego połowu. Dotyka on ich wtedy tylko, gdy się wiążą z dziejami jego zakonu, i niewątpliwie można u niego z niejednym spotkać się nieznanym szczegółem. Zwykle te wypadki, których sam był naocznym świadkiem i sam osobiście brał w nich udział, opowiada z szeroką drobiazgowością pamiętnikarza. Tak np. napad Turków i Tatarów w r. 1498, zbyty u Miechowity kilku tylko słowami, kreśli obszernie i bardzo zajmująco. Nie mniéj ciekawém, a zupełnie dotychczas nieznaném jest opowiadanie jego o skarbie królowéj Heleny, które w krótkości pozwolę sobie powtórzyć.

Znaną jest nadzwyczajna hojność i rozrzutność króla, który umierając, nie zostawił, jak mówi Miechowita w 1 wyd. zupełnie nic. Tymczasem dowiadujemy się tutaj o olbrzymim skarbie, który żona jego Helena w 14 skrzyniach złożyła do przechowania w klasztorze bernardyńskim w Wilnie, aby przy sposobności wywieść go do swoich. Wszystko było już ułożone, królowa miała ze skarbem udać się do Brasławia, dokąd miało przybyć kilkutysięczne wojsko brata jéj

w. księcia dla straży i bezpieczeństwa. Plan cały odkryła ochmistrzyni jéj dworu Aleksandrowi ks. Grodzieńskiemu, a ten doniósł o tém ówczesnemu gwardyanowi, Janowi z Komorowa. Komorowski udał się natychmiast do Mik. Radziwiłła, woj. wileńskiego, ażeby on, jako *vicerex* strzegł skarbu i nie dopuścił, by wywiezieniem jego król tak ogromną poniósł stratę. Wojewoda roześmiał się na to i rzekł: „Ojcze gwardyanie, *szydzi wami*, jestem pewny, że ona nakładła tam kamienie ze słomą, a wam powiedziała, że to skarb.“ Komorowski zapewnił, iż widział skarby na własne oczy; to zdziwiło Radziwiłła, ale zarazem i przekonało. Zabrał więc czterech senatorów i udał się do królowéj dla zrobienia jéj przedstawień. Królowa wpadła w gniew, zaczęła wymyślać panom litewskim, tak, że ci chcąc choć trochę się salwować, zwalili sprawę na gwardyana. Wprawdzie Helena wylała teraz swoję złość na mnichów i zupełnie się od nich odwróciła, choć pierwéj hojnie ich wspomagała, ale Komorowski miał to zadowolnienie, że skarb został uratowany, témbardziéj, gdy Helena wkrótce umarła w Brasławiu, otruta przez panów litewskich, obawiających się utraty skarbu. — Jak olbrzymie były to bogactwa, widać z tego, iż po otwarciu dwóch skrzyń znaleziono w jednéj 1600 kóp szerokich groszy i 2000 czerw. złotych, w drugiéj pełno czystego złota, kosztowności, klejnotów, łańcuchów złotych, pierścieni (400 sztuk), drogich kamieni i t. p. Przez cały dzień trzéj pisarze nie zdołali sporządzić inwentarza jéj zawartości. A gdy później wywieziono ten skarb na rozkaz Zygmunta, potrzeba było do tego szesnastu koni do dwóch wozów. Cały skarb zaś według oceny panów obecnych przy jego spisywaniu, wart był, jak mówi Komorowski, przeszło 400,000 flor.

Opowiadanie Komorowskiego szerokie często i plastyczne, obfitujące w mnogość zdarzeń i wypadków z własnego życia lub słyszanych od innych a przynoszące wiele ciekawych rysów obyczajowych i kulturnych robi kronikę jego bardzo poczytną, a autorowi jéj mogłoby nie bez słuszności zapewnić nazwę *pierwszego polskiego pamiętnikarza.*

Wypada nam jeszcze powiedzieć coś o kontynuatorach ; w Cz. jest ich dwóch, w Jag. trzech. Pierwsza kontynuacya Cz. obejmuje rok 1536, druga rok 1608. W ręk. Jag. zaś sięga pierwsza kontynuacya od r. 1536—1557, druga napisana przez brata Innocentego z C. w Radomiu w r. 1581, obejmuje dalszy czas 1557—1581, trzecia wreszcie od 1592 — 1620. — Wartość ich dla politycznych dziejów Rzplitéj jest już znacznie większą, niż sama kronika Komorowskiego, szczególnie odznaczają się kontynucye 1 i 2 Jag. obfitością tego rodzaju zapisek. Mimo to mają one także główną ważność dla hi-

storyi obyczajów. W czasach kiedy ruch reformacyjny rozlewający się po Niemczech ogarnął i Polskę, zaczęły i do klasztorów wkradać się nowatorskie nauki. Znajdujemy tu kilka ciekawych tego przykładów. W r. 537 stał się w Łowiczu „szkandał“, „którego rozgłos w krótkim czasie nie tylko królestwo całe przebiegł, ale i ościenne księstwa.“ Dwaj mnisi warszawiacy wyszli wieczorem pokryjomu na miasto i wrócili aż nad rankiem, a zastawszy cele swe na rozkaz gwardyana zamknięte, wszczęli wielki tumult w refektarzu, rzucając się z mieczem na braci i chcąc gwardyana koniecznie zgładzić. Gdy ustąpili i znowu udali się do miasta, posłał gwardyan natychmiast na zamek po pomoc. Powstał w mieście ruch i zamieszanie, było to z rana w palmową niedzielę. Pachołkowie zamkowi nadbiegli i poczęli dobywać domu, w którym się mnisi zabarykadowali i dzielnie bronili przed nacierającymi, a ludność całego miasta zapchała ulice i przypatrywała się niezwykłemu widowisku. Wreszcie ujęci, zostali odprowadzeni na zamek, a późniéj osadzeni w więzieniu dla duchownych w Uniejowie. W r. 1548 opuszcza klasztor Tomasz Słączyński były gwardyan Radomski i żyje przez dwa lata z kobietą, w następnym Józef z Pleszowa, gwardyan łowicki, który już kilkakrotnie przedtém był gwardyanem, rzuca habit i także oddaje się kobiecie. Wraca napowrót do klasztoru, lecz w 7 lat późniéj stanowczo uchodzi z pod obedyencyi zakonnéj i przywdziewa „*carvatcam et saravary*.“ W 1556 robi to samo gwardyan Ludwik Piec. Wypadki takie się mnożą; ascetyczna surowość pierzchła przed silniejszém rozbudzeniem się natury.

Do najciekawszych epizodycznych opowiadań i kontyn. Jag. należy téż niewątpliwie słynna sprawa ks. Czarnkowskiego ze studentami krakowskimi, któréj skutkiem było opuszczenie akademii i miasta przez młodzież akademicką w r. 1549. Pragnący zaznajomić się z tą sprawą znajdą w kronice, nie jedno nowe i odmiennie oświetlone niż indziéj.

Taką w najogólniejszych zarysach jest zawartość téj książki.

Co się tyczy wydawniczéj strony, to za podstawę wzięli wydawcy tekst Jag., w notach zaś, w górnym oddziele podają odmianki Cz. i Kr., w dolnym zaś wszelkie uwagi pochodzące od siebie. Pod tym względem, jeżeli jeszcze uwzględnimy znakomitą przedmowę, może edycya niniejsza stanąć obok najlepszych zagranicznych wydawnictw. Indeksu na końcu nie znajdujemy, gdyż książka ta jest tylko odbitką z 5-go tomu „Monumentów Poloniae“, który może w prędkim czasie ukaże się i sumaryczny spis rzeczy będzie miał na końcu.

Ferdynand Bostel.

= Pruski minister oświecenia polecił w r. 1884 budowniczemu rejencyjnemu Lutschowi w Wrocławiu wygotowanie *spisu szląskich zabytków sztuki architektonicznéj*, *plastycznéj*, *rzeźbiarskiéj*, *malarskiéj i przemysłowo-artystycznéj*, z dodaniem szczegółów, tyczących się stylu zabytków, ich historyi, a mianowicie czasu ich powstania. Pracy téj wyszedł u W. G. Korna w Wrocławiu pierwszy tom p. t. „*Die Kunstdenkmäler der Stadt Breslau.*“ W pierwszéj części jest mowa o kościołach i kaplicach wrocławskich, jako budowlach, i o zabytkach architektonicznych nie kościelnych, a mianowicie o gmachach publicznych; w drugiéj części o zabytkach, znajdujących się w kościołach, kaplicach i w ratuszu wrocł., a mianowicie o ołtarzach, ambonach, tumbach, kamieniach, tablicach i pomnikach pośmiertnych, stalach, chrzcielnicach, wyrobach ornamentacyjnych z drzewa, kamienia, z żelaza lanego lub kutego, z bronzu, o malowidłach, statuach i t. p. — „*Die Kunstdenkmäler der Stadt Breslau*“, jako i następne tomy Spisu mają być uzupełnieniem zbioru dokumentów i regestrów szląskich (*Acta Publica* i *Regesten zur schlesischen Geschichte*), wydawanych w imieniu Towarzystwa dziejów i starożytności szląskich, mają nadto służyć — jak autor w przedmowie zaznacza — nie tylko celom urzędowym i naukowym, ale mają nadto stanowić przeważnie podręcznik dla tych, którym o oznaczenie czasu powstania zabytków odnośnych i o oznaczenie wartości i ważności ich artystycznéj chodzić będzie. O ile p. L. zadaniu temu zadosyć uczynił, specyaliści fachowi ocenią. Zabytków przedhistorycznych i XIX wieku autor nie uwzględnił. Niepominięcie mianowicie pierwszych byłoby dziełu p. L. dodało ważności. Pominął też autor odnośne okazy archeologiczne, w Muzeum szląskich starożytności w Wrocławiu się znajdujące, i wszystko to, co obie biblioteki wrocławskie, miejska i uniwersytecka, obok księgozbiorów posiadają. Utworom, po 30-letniéj wojnie powstałym, poświęca autor mało w ogólności miejsca; wcześniejszym tém więcéj, im się więcéj zbliżają do czasu wytwarzania się nowszych stylów. Literatura, w bliskiéj i dalszéj styczności z zabytkami spisanemi i opisanemi pozostająca, podana jest obficie w zwięzłych wyimkach, aby przyszłym badaczom oszczędzić — jak autor dodaje — mozolnéj pracy robienia wyciągów. Literatura ta jest niestety bardzo ubogą w ilustracye, które, jeżeli gdzie, to na polu fachowéj oceny i opisu szczegółowego płodów sztuki dla unaocznienia tego, czego częstokroć wcale opisać nie można: harmonii kształtów, barw, wyrazu całości, dysharmonii części w całości i innych rażących lub podnoszących utwór momentów, koniecznie są potrzebne. I autor spisu zabytków wrocławskich nie mógł, jak nam zaręcza, zmódz trudności, z jakiemi w tym względzie walczył—

nie podaje zgoła żadnéj ilustracyi: stany prowincyonalne szląskie i Łużyc pruskich, przeznaczając na wydanie spisu szląskich zabytków sztuki fundusz, odmówiły podniesienia takowego do takiéj wysokości, aby jednemu z najważniejszych warunków przedsięwzięcia zadość się stało. Że w ministeryum oświecenia w Berlinie nie miano na uchylenie trudności téj rady, mocno nas dziwi. Książe-biskup wrocławski chcąc ze swéj strony autorowi ułatwić pracę, polecił swego czasu zarządzcom parafii nadodrzańskiéj ziemi i Łużyc pruskich, aby p. Lutschowi przesyłali z kronik kościelnych odnośne wypiski, zwracali uwagę jego na zabytki, jak wogóle gruntownych udzielali mu informacyi. Podobne polecenie otrzymali nauczyciele od władzy swojéj. — Z ciekawością oczekujemy dalszego ciągu pracy p. L., a mianowicie szczegółów, tyczących się zabytków po szląskich Piastach. *S. J.*

= Dopełnieniem Pism Gabryelli są wydane w Krakowie 1885 **Listy Narcyzy Żmichowskiéj do rodziny i przyjaciół** (2 tomy), opatrzone wstępem bezimiennego autora czy autorki, przedstawiającym na zbyt może szerokiém tle „Gabryellę jako znakomitą niewiastę polską XIX-go stulecia" (str. CLXVII). Wstęp ten, trochę mglisto napisany, wchodzi głęboko w rozbiór umysłu autorki i może posłużyć za dobre przygotowanie do czytania listów Żmichowskiéj, których tu znaczny poczet zebrano. Najprzód idą listy do brata, Erazma; potém listy „do przyjaciółek" wogóle, a następnie poszczególe: „do Mii", „do Józefy", „do Felicyi", „do Julii", „do Elli", „do Bianki", „do młodéj nauczycielki", oraz do przyjaciół: Henryka W., Seweryna M, Seweryna El. Oprócz listów dających obfitą karm dla umysłu i służących do dokładniejszego poznania usposobień i przekonań Gabryelli, znajdujemy w tych dwu tomach wiersze i prozaiczne pisemka saméj Żmichowskiéj, oraz wiersze Bohdana Zaleskiego i list Józefa Szujskiego do niéj pisane. Wydanie Listów jest staranne i piękne.

= **Dernburg. Pandekten.** *1 Band. Berlin 1885.* — Każdy niemal profesor prawa rzymskiego w Niemczech uważa to za swój obowiązek wystąpić bądź z podręcznikiem Instytucyi, bądź Pandektów. Ztąd tak wielka mnogość téj gałęzi prawa poświęconych książek, a poniekąd i trudność wyboru najodpowiedniejszego do nauki dzieła. Prawo rzymskie tak szczegółowo jest już obrobione, tak obszerną ma literaturę, że wytrawny tylko znawca w stanie jest lepszego co z jego zakresu napisać. Również i co się tyczy podręczników, to zawsze bezpieczniéj jest używać książki napisanéj przez profesora z kilkudziesięcioletnią praktyką, niż przez początkującego docenta. Pan Dernburg należy do dawniejszych i znakomitszych niemieckich

romanistów. a „Pandekta“, których tom pierwszy w roku zeszłym ogłosił, są jego ostatniém dziełem. Obszerniejsze od podręczników Puchty, Arndtsa, Barona, nie są jednak tak szczegółowe, jak Windscheida lub Brinza; odznaczają się przedewszystkiém zrozumiałym wykładem, uwzględnianiem najważniejszych kontrowersów, ale nie wpadają w ostateczność i nie są zbytnio przypiskami przeładowane. Do nauki książka ta się nadaje bardzo dobrze i pewno zyska sobie szeroką popularność.

= Jedném z najstaranniéj redagowanych pism codziennych jest **„Dziennik Łódzki“**, mający za „główne zadanie przedstawicielstwo w prasie pracy przemysłowéj kraju.“ Ze względu na warunki szczególne, w jakich się znajduje polskie wydawnictwo w Łodzi, ma on prawo do poparcia wszystkich sfer przemysłowych i handlowych, a udzielić mu poparcie tém łatwiéj, że obniżył dotychczasową cenę prenumeraty o 1/3 część, tak, iż wynosi ona w Łodzi rs. 6, a w Królestwie i Cesarstwie rs. 8 rocznie. Czytelnikom, interesującym się sprawami ekonomicznemi, śmiało „Dziennik Łódzki“ polecić możemy.





KRONIKA MIESIĘCZNA.

Postanowienia noworoczne. — Nasz spokój społeczny. — Kiermasz zamiast pokusy.— Pragnienia torturowanego.—Pokój czy wojna?—Europa rok temu i dziś.—Kiermasz, jarmarki i wystawy.—Wyroby chłopskie w salach Muzeum Przemysłu i Rolnictwa.— Rozwój przemysłu krajowego. — Brak mebli na wystawie i jego przyczyny. — Biórko i maszyna do szycia wobec emancypacyi.—Słówko o „Świecie" i bohaterce z paryskiego bruku. — Z Wystawy obrazów. — Dzieła Matejki i Siemiradzkiego.—Wady gieniuszów.—Święci na obrazie.—Wyklęcie tematów historycznych. — Turniura w rzeźbie.— „Życie." — Program artystyczny. — Hasła społeczne.—Naiwność w poglądzie na naukę i terroryzm.

Znowu kończy się rok stary i rozpoczyna nowy. Dni wyróżnione przez astronomów i zwyczaje mają pospolicie wybitne znaczenie, jeżeli nie w życiu, to przynajmniéj w planach jednostek. Wszyscy ludzie o nieczystém, lecz czułem sumieniu, a słabéj woli robią postanowienia poprawy bądź od poniedziałku, bądź od pierwszego, bądź od Nowego Roku. Zależy to od ważności zamierzonéj reformy, od tego czy chodzi o wcześniejsze wstawanie, czy o wzięcie się gorliwsze do pracy, czy o zaprowadzenie oszczędności w budżecie. Zwykle podobne postanowienia nie widują się z rzeczywistością; dzień jeden od drugiego można odróżnić w kalendarzu czerwoną farbą, ale to nie wpływa, ani na wschód słońca, ani na temperaturę; słabości natury ludzkiéj nie umierają z końcem miesiąca, ani roku. Tém nie mniéj jednak myśl o poprawie, chociażby drażliwość sumienia nie miała być nigdy w całości zaspokojoną, dobrze świadczy o człowieku, którego niepokoi, i chociaż w części musi wpłynąć dodatnio na czyny i życie. Zadowolenie z siebie jest zwykle smutném świadectwem.

Gdybyśmy społeczeństwa sądzić chcieli, jak jednostki, to, widząc u nas brak wszelki postanowień, i spokój godny przedsiębiorcy, przyzwyczajonego do dobrego stanu interesów, musielibyśmy zapytać się, czego nam brak: wyrzutów sumienia, czy jego drażliwości?

Albo może siła woli i poczucie społecznych potrzeb i jedności są tak wielkie, że niemówiąc nic, wykonywamy wszystko, co potrzeba nakazuje? Ach!...

Ileż to dobrych zwyczajów ginie z biegiem czasu! Dawniéj, gdy klęski trapiły naród, gdy nieszczęścia uderzały w nawę społeczną, lud się korzył. Widział w tém palec boży, wyroki sprawiedliwego nieba za grzechy własne. Nakładał na siebie włosiennice, posypywał głowy popiołem, bił się w piersi, pokutą zmywał winy. Naiwny był to w swojéj prostocie pogląd na sprawy świata, zmieńmy jednak tylko brzmienie nazw, a pozostanie prawda trwała, niezaprzeczalna.

Rok 1886 przechodzi do historyi życia naszego z tytułem: *wywłaszczenie—kolonizacya*, a pod czarnym cieniem tych słów kryją się tłumy innych haseł, innych gróźb i czynów, co mają jak bagna Gangesu siać śmierć i zniszczenie.

Rok 1886 myśmy zakończyli Kiermaszem! Z dumą możemy powiedzieć o sobie, że nie my Francuzami północy, lecz Francuzi Polakami południa zwać by się mogli—tak urozmaicić zabawy, zdobyć się na taką ochoczość oni nie potrafią. Była to kwintesencya wszystkich uciech!

Rok przyszły zaczniemy zapewne balem koła polskiego w Wiedniu, zeszłoroczny tak się udał!

Rok Nowy! Do życia potrzeba złudzeń, nadziei, a te o coś zaczepić się muszą. Koło czasu obraca się jakby było częścią dokładnéj maszyny, bez wstrząśnień i zmian. Strapiona, zmęczona, zbolała ludzkość krzepi swe siły nadzieją: zły rok się skończy, może nowy będzie lepszy, czekajmy, wytrwajmy! Czasem, gdy nadmiar cierpień przechodzi zwykłą miarę, gdy gasną pokolei jeden za drugim tęczowe promienie nadziei, wtedy się nie czeka już ulgi, ale widzi dobrodziejstwo w prostéj zmianie.

W dniu dzisiejszym nie brak ani jednego znaku zwiastuńczego burzy, obejmującéj cały świat cywilizacyi. Ziemia drży pod stopami, oko po za chmurami dojrzéć nie zdoła ni słońca, ni błękitu, słychać głuchy łoskot bliskiego gromu. Mord, pożogi, mór, ruina, wszystkie klęski szalejącéj nienawiści wroga i nieobjęta okropność bratobójczéj walki. To skutki pewne. Czy po za tém można spodziewać się czego, czy choć chwilka błogości wynagrodzi dni straszne, czy osłabnie ucisk tłoczących ludzkość niedoli? A jednak, gdyby w rodzinach przy łamaniu opłatka był zwyczaj wyrażania swych pragnień politycznych, to może większość w Europie zapomniała by o grozie przelewu krwi, o ofiarach i wyraziła pragnienie wojny. Czy to słusznie? Zapewne nie, ale czy można na palu być logicznym i trzeźwym.

W roku zeszłym, przebiegając kolejno kraje od oceanu aż do Warty, musieliśmy boléć nad dolą każdego; tu bezprawie, tam zamęt. Widocznie wszystkie te zmory posiadają jeszcze siłę młodości, przez rok urosły i zmężniały. Francya, wielka niegdyś Francya, opromieniona nadzieją przez wiarę narodów, tarza się dziś bezsilna w prochu małostek, niesnasek, zawiści, hańbę ściągając na drogie światu ideały. Dwanaście miesięcy temu można było jednemu chociaż narodowi powinszować ubiegłego roku—Bułgaryi; dzisiaj nikomu—trzeba czekać, gdzie przejdzie burza i jak się skończy.

Zwyczaj wymaga, abym Wam, czytelnicy, a przez Was społeczeństwu całemu złożył życzenia noworoczne. Wybieram, jedno: obyśmy czuli wyrzuty sumienia!

Kiermasz jako zabawa adwentowa na dobroczynność jest niejako świadectwem, że mija już epoka jarmarków, wyczekiwanych niegdyś z taką niecierpliwością przez młodzież hulaszczą i unieśmiertelnionych w utworach poetów. Odtwarzając je ku uciesze widzów i uczestników, obchodzimy się z niemi jak z wyszłemi z użycia zwyczajami. Rzeczywiście gdzieniegdzie znikły one już zupełnie, a tam gdzie zostały jeszcze, jak u nas, tracą nieustannie na blasku i znaczeniu. Miejsce ich zaś zajmują wystawy, powszechne, lub też miejscowe i specyalne. Bez szynków, natręctwa i oszustw wystawa może najzupełniéj pod względem przemysłowym i handlowym zastąpić nietylko w zupełności, ale z korzyścią jarmarki. Kupująca publiczność może odrazu obejrzéć i porównać wyroby różnych wytwórców; wytwórcy poznają siły współzawodników zarówno jak i gusty i żądania publiczności. Jakaś siła wyższa, państwo, czy stowarzyszenie, w jednym jak i w drugim wypadku ma możność zbadania potrzeb przemysłu.

Mamy w téj chwili w Warszawie wiele wystaw, z których nie wszystkie są téj natury, aby je można było uważać za spadkobierców jarmarku, ale jest jedna, któréj się w zupełności takie miano należy, a mianowicie wystawa „sprzętów i odzieży“ w salach Muzeum Przemysłu i Rolnictwa. Są tam wyroby z metalów, z drzewa, z kości, rogu, ze skóry, koronki, tkaniny itd. Sprawozdawcy, a przynajmniéj wielu z nich, oceniając wyroby naszych rzemieślników i fabrykantów zwracają nieustannie uwagę na to, że takowe dadzą się porównać z zagranicznemi. Jestto bez kwestyi bardzo ważna strona sprawy, chociaż, znając naszą, a może nawet powszechną słabość do przeceniania siebie, niewiele możemy przykładać wagi do

pochlebnych sądów i entuzyastycznych nieraz wykrzykników. Natomiast nikt zdaje się dotąd nie zwrócił uwagi na stosunek wystawców. Większość nazwisk spotykanych w sprawozdaniach nie pozostawia najmniejszéj wątpliwości, że posiadacze ich należą do „rdzennie miejscowego żywiołu.“ Nie chodzi mi tu wcale o żaden wniosek porównawczy, różne przyczyny sprzyjały jednym, a zagradzały drogę innym (chociażby w rękodzielnictwie ograniczenia cechowe), rzecz by wymagała wzięcia pod uwagę wielu, wielu względów; ale biorąc rzecz absolutnie pocieszyć się trzeba, żeśmy postąpili i nauczyć się czegoś możemy.

Na „wystawie odzieży i sprzętów“ poraz pierwszy wystąpiły do popisu wyroby paru szkół i zakładów włościańskich, urządzonych za inicyatywą większych właścicieli ziemskich w różnych punktach kraju. Pan Stanisław Zawadzki, właściciel dóbr w kutnowskiém dwa lub trzy miesiące temu urządził w swoim majątku szkołę i fabrykę plecionek, słowianek, tkanin z drzewa, wyrobów galanteryjnych (neseserek, bonbonierek, opraw do albumów i notesów itd.). Jakkolwiek warsztat stanowi własność p. Z., to jednak, zważywszy na rodzaj przemysłu, widzimy, iż jestto tylko rozsadnik i dalszy ciąg szkoły; wkrótce chłopi będą wyrabiać drobiazgi sami i dla siebie, jak to się dzieje w wielu wioskach szwajcarskich; plecionki na wyrób kapeluszy słomkowych sprowadzane były pod nazwą *„ryżu“* z zagranicy, p. Z. wyrabia je na miejscu. Fabryką i szkołą kieruje pan Stanisław Złotowski. Pomimo krótkiego czasu trwania zakładu, wyroby prezentują się bardzo dobrze.

Na Kurpiach znowu za staraniem hr. Ludwika Krasińskiego, założone zostały dla chłopów tamtejszych szkółki i warsztaty wyrobów z rogu i masy perłowéj, jak guziki, spinki, szpilki i t. d. I to przedsięwzięcie ma zaledwie kilka miesięcy wieku, a rozwija się podobno świetnie.

Na wystawie znajdują się również wyroby z drzewa szkoły parobków hr. Stanisława Zamojskiego.

Bardzo zajmujące sprawozdania z wystawy znaleść można w „Gazecie Rzemieślniczéj,“ gdzie sądy wydają nie literaci fachowi, lecz fachowi majstrowie. Niektóre z tych sądów zakomunikuję czytelnikom „Ateneum“. P. Zieleziński zwraca uwagę w N. 49 na „piękny“ regulator ścienny, nakręcany raz na miesiąc, wykonany we wszystkich częściach mechanizmu u nas i wykonany z całą dokładnością, wymaganą w tego rodzaju pracach. Twórcą jest p. Woroniecki. Dotychczas takie wyroby sprowadzano wyłącznie z zagranicy. Toż samo da się powiedziéć o maszynach do szycia i do robienia pończoch p. W. J. Olszewskiego. Są to pierwsze próby samodzielności naszéj w téj sferze.

P. Józef Wenda, stolarz, robi w nrze 50-ym uwagę, że meble na wystawie nie są reprezentowane tak jak by sobie tego życzyć można było. Złożyły się na to dwie przyczyny: jednę stanowią nieuniknione trudności i ciężkie warunki, z jakiemi walczyć musi młody przemysł; brak tradycyi miejscowych, brak przewodników, modeli lub rysunków; drugą zaś obawa majstrów narażania się na koszt wystawy w czasach przesilenia, wobec niesprzedania swoich wyrobów na dawniejszych wystawach. Ostatnią tę okoliczność szanowny sprawozdawca w ten sposób tłómaczy. Majstrowie nie pojmują zadania i celów wystaw naszych, zarówno jak własnego interesu. Na wzór wystaw wszechświatowych paryskich wystawiają oni rzeczy przepyszne jedynie; tymczasem tam co innego, tam na drobniejsze i skromniejsze wyroby miejsca by nie stało i zniknęło by się wśród blasku innych przedmiotów. „Wystawowe zapędy“ należy stosować do warunków, wymagań i potrzeb miejscowych. Na potężnych świata tego liczyć nie ma co, bo oni się meblują za granicą, nabywają tam rzeczy droższe i gorsze. Rzemieślnika u nas podtrzyma szary ogół jedynie, a ten nie kupi ani szafy za 500 rs., ani kredensu za 600, ani łóżka za 200. Tymczasem na wystawie ujrzéć można tylko takie ceny, a jednak mogły by się tam znaleść szafa za 60 lub 80 rs., a łóżko za 30.

Oryginalnym okazem na wystawie jest czarne biurko damskie z ukrytą wewnątrz małą maszyną do szycia. Obawiam się, iż wojownicze zwolenniczki emancypacyi uznają to za złośliwą aluzyą i zechcą przypuszczać, że pomysł urodził się w głowie jakiego konserwatywnego ich przeciwnika, a został tylko podszepnięty pp. Piętnikowi i Olszewskiemu. W „Świcie“ z pewnością takiego skojarzenia nie pochwalą. Jak można łączyć warsztat, na którym kobieta zdobywa sobie w świecie ducha przynależne prawa, z symbolem jéj wiekowéj niewoli!

Ale *à propos* „Świtu“. Można najdaléj zachodzić w żądaniach równouprawnienia kobiet,—to rzecz przekonań, można nawet zuchwale drwić z tego, co doświadczenie wieków nam przekazało— w walce różnie bywa, ale czyż potrzeba było zamieszczać jako wzór kobiety paryżankę, znaną głównie z uczestnictwa w krzykliwych zajściach klubowych i ulicznych. A taką właśnie jest pani, czy panna Hubertyna Auclert. Pani Szeliga, która w 2-ch numerach raczyła nasze siostry opowiadaniem o téj bohaterce, może, żyjąc w świecie i sferze walk, nie czuła w tém niewłaściwości, ale tutejsza redakcya powinnaby być oględniejszą. Wzorem do naśladowania podziwu, lub uznania (a na to się chyba pomieszcza w pismach życiorysy), może być pracowniczka, poważna, uczciwa, najbardziéj nawet gorliwa krzewicielka swych idei, ale nie jakaś przyjaciółka

i współtowarzyszka wybryków panny Ludwiki Michel. To nie obywatelka, to szkodliwa histeryczka. Na czele bandy anarchistów robiła awantury na zebraniach, a dziś ma świecić jako przykład dla kobiet polskich. List jej do rady municypalnéj, który p. Szeliga zamieściła w „Świcie“, jest jednym z przejawów umysłowego rozluźniania i tych pojęć o potrzebach życia społecznego, które dziś Francyę doprowadziły do bezrządu i bezsilności.

Wróćmy do wystaw. Oddawna już, a może nigdy nawet publiczność nasza nie miała takiéj biesiady artystycznéj, jak w téj chwili. W sali Towarzystwa Zachęty Sztuk pięknych oglądać można wielki obraz Matejki: „Wjazd Joanny d'Arc do Reims“, a w sali ratuszowéj—Siemiradzkiego „Chrystus w domu Maryi i Marty.“ Trudno wyobrazić sobie większe przeciwieństwo niż dwa te płótna dwu największych mistrzów naszych. Tu chwila najwyższego uniesienia narodu całego, chwila tryumfu a zarazem zapowiedź nowych bojów śmiertelnych o ziemię ojców, na każdéj niemal twarzy widać mieszaninę uczuć różnorodnych, przebytych bólów, wskrzeszonéj nadziei i zapału, — tam błogość, cisza, spokój; apostoł prawdy i dobra męczony pracą i walką szuka wytchnienia w zaciszu wolném od sporów, gwałtów i namiętności życia; z blasku oczu kochającéj kobiety, z czaru, jaki roztacza tkliwość miłującego serca niewieściego, dusza, stargana w służbie idei, co prowadzi na śmierć i męczeństwo, czerpie otuchę, spokój i siłę. Dla wytrawnych znawców nie może zapewne istnieć nawet pytanie, który z tych dwu obrazów lepszy; rzesze jednak profanów stawiają je sobie i rozstrzygają według upodobań, doktryny, a nawet kaprysu. Różność zdań tak wielka, że nic z nich wyciągnąć nie można. Kto potrzebuje chwili wypoczynku po troskach, pociechy w utrapieniu, niech patrzy godzinę lub więcéj na obraz Siemiradzkiego, z błogiego spokoju, jaki tam panuje, z pewnością spłynie mu ulga. Od płótna Matejki odchodzi się z podniesioném sercem i podniesioną głową. Łączność duchowa z całą ludzkością napawa nas dumą, ile razy napotykamy w dziejach wielkie serca, wielkie czyny — to stanowi jeden z głównych dorobków społecznych.

Obraz Matejki ma wielkie wady techniczne, fałszywe oświetlenie, brak perspektywy, zbytni natłok i t. d. — tak nas uczą znawcy. Jeżeli komu zdarzyło się zwiedzać większe galerye z malarzem, lub krytykiem artystycznym, ten nasłuchał się niemało opowieści o fałszywéj karnacyi, o złém traktowaniu drugorzędnych figur i t. d. w obrazach, przed którémi nieustannie stoją widzowie w skupieniu ducha, a których adepci sztuki studyować nie przestają. Zostawmy więc krytykom krytykę, a sami zachwycajmy się tém, co w nas zachwyt budzić zdolne.

Na kilku z ostatnich obrazów swoich Matejko poumieszczał, jak wiadomo, świętych i święte pańskie. Jeżeli jestto robione w zamiarze szerzenia ducha wiary w narodach, to cel chybiony i do sztuki najniepotrzebniéj wtrącone to, co do niéj nie należy. A jednak wobec trzech nadziemskich figur na obrazie Matejki doznałem wrażenia, które zgorszy może wszystkich realistów i wszystkich moich postępowych przyjaciół. Wiara w świętych nie drażni mnie, sami oni są mi zupełnie obojętni, dla tego na płótno Matejki patrzéć mogłem jako na dzieło sztuki jedynie... i czy nie najwięcéj podobała mi postać w białéj szacie, dająca Joannie lilię. Ile uczucia, ile tkliwości w téj twarzy i całéj postaci, niby matka, dbająca nie osławę i wielkość córki, lecz o jej cnotę i czystość dziewiczego serca. A obok moc nieprzeparta przeznaczeń, ciągnąca nieubłagalnie ludzi i narody na pole walk, klęsk i tryumfów — ś-ty Michał: jaka siła bije z ręki jego, dzierżącéj miecz ognisty. Zdaje mi się, że bez tych świętych obraz byłby dla mnie mniéj wymownym.

Jeszcze jedna uwaga z powodu wystawy obrazów, znowu czysto i wyłącznie moja osobista. Czy wyklęcia, rzucone na tematy historyczne w poezyi, padają również i na inne rodzaje sztuk pięknych na malarstwo i na rzeźbę? Pod względem roli społecznéj nie dzieli ich żadna miedza, jedne i drugie mają kształcić, podnosić, uszlachetniać uczucia; pod względem środków poznania i odtworzenia przeszłości sztuki piękne też nie różnią się między sobą. Czy więc mamy pomysły Matejki i Siemiradzkiego, Munkaczego, Brožika, Roberta Fleury uważać za chybione na równi z szekspirowskim Juliuszem Cezarem. Ciekawym jak by się wydały w rzeźbie fraki i turniury?

A o kwestyach kierunku w literaturze będziemy mogli zapewne nasłuchać się i nagadać w roku przyszłym, gdyż nowo powstały tygodnik „*Życie*“ ma głównie poświęcać szpalty swoje pięknu. Z zapowiedzi wnosić można było, że redakcya hołduje zasadzie „sztuka dla sztuki“ i żadnemi więzami społecznych wymagań nie zechce krępować swéj oblubienicy. Widocznie jest jednak trudno zebrać u nas pod powyższym hasłem zastęp literatów dosyć liczny do prowadzenia pisma, gdyż już w pierwszym numerze odezwały się głosy niezupełnie zgodne z naczelną zasadą. Usłyszymy jeszcze raz sformułowane wyznanie szkoły realistycznéj, Taine'owskiéj i Brandesowskiéj. Jestto bardzo pomyślne, to może choć w części rozwieje chaos i nieporozumienia jakie w téj materyi istnieją. Powaga Brandesa wielu zbiła z tropu i dziś mało kto wie dokładnie, co nazwać ideą utworu piękna, a co tendencyą i t. d.

„Zamiary“ „*Życia*“ obleczone są jak dotąd w zbyt piękne, i zbyt ogólnikowe frazesy, to też niezupełnie można je dobrze wyrozumieć. Będzie to apostolstwo piękna, odświeżanie i wielostronne rozwijanie

smaku estetycznego. Redakcya zapowiada, że dla rozszerzenia widnokręgów literackich, dla wzmocnienia i wysubtylizowania poczucia piękna, szerzéj niż dotąd otworzy okno do Europy. Procz naczelnego — artystycznego — punktu w programie, jest i inny społeczny. Pod tym względem nowy tygodnik różni się od najbliższego sobie wiekiem braciszka nie mniéj niż obraz Siemiradzkiego od obrazu Matejki. Oto co czytamy w pierwszym numerze: „Dalecy jesteśmy od stawiania bezwzględnych, stronniczych programów, od przeprowadzania apriorycznie wytwarzanych doktryn i teoryi na niwie bytu społecznego"... „Dla nas wytrwała praca *zbiorowa* we wszystkich zakresach życia społecznego—to *suprema lex*. Wszelkie chęci wyodrębnienia się, krańcowego przeciwstawiania innym i w ogóle rozbijania społeczeństwa zapomocą bądź zastarzałych uprzedzeń, bądź apriorycznych doktryn na kasty, klasy i wrogie stronnictwa— surowych znajdą w nas sędziów. Nie pora dzielić się na garstki i odsuwać od siebie wzajemnie. Naszém stronnictwem — wszyscy, którzy uczciwie pracują, mając dobro i jedność ogółu na celu: duchowieństwo i intelligencya, lud i obywatelstwo, postępowcy i konserwatyści." Ponieważ niejednokrotnie podnosiliśmy i szerzyliśmy podobne myśli, więc też teraz z całego serca przyklaskujemy zamiarom „Życia"; oby wytrwało na obranem stanowisku i doczekało plonów siejby.

Pomimo to nie możemy nie zwrócić uwagi na niejaką naiwność w poglądach na naukę. „Blaski i promienie nauki, które od obcych do nas przychodzą będziemy *sądzili odpowiednio do naszéj atmosfery* i zastosowywali o tyle, o ile takowe do siatkówek ogółu naszego przypadać będą, — zasilne bowiem wzrok mogą popsuć, zasłabe (?) są nam niepotrzebne." Taka hodowla nauki na domowy użytek jest po prostu herezyą. Jakież to prawdy *naukowe* są za słabe do naszych oczu? W tém oświadczeniu widać steroryzowanie opinii przez głosicieli „*najnowszych wyników wiedzy.*" Naukę przedstawiają ludzie jak zimnego operatora, który najdroższe i najpotrzebniejsze nam organy chce wycinać lancetem, do najboleśniejszych ran przykłada bez litości kamień piekielny. Tak wcale nie jest, uczeni socyologowie uwzględniają nieraz więcéj drobnych i drugorzędnych potrzeb i szczegółów aniżeli uczucia nasze. To tylko ich wyznawcy z dalszych szeregów są tacy gorliwi i zawzięci, że niczemu przepuścić nie chcą. Nie trzeba się przez to dawać sprowadzać z gościńca.

Zewnętrzna szata „Życia" sprawia bardzo miłe wrażenie: i druk i papier i układ. W piśmie, które ma nam nieść rozkosze estetyczne, to wzgląd nie małéj wagi. *Ludwik Straszewicz.*

TOWARZYSTWO HISTORYCZNE
WE LWOWIE.

W dniu 14 października r. z. zorganizowało się już od dłuższego czasu zapowiadane Towarzystwo, które najżywsze zajęcie obudzić musi w kołach nauczycieli i osób, interesujących się rozwojem historyi i literatury polskiéj. Odtąd pracujący na tém polu, a w Galicyi zamieszkali, mają skupić się koło towarzystwa, którego jedynym celem jest popieranie tego, co na poparcie zasługuje a do dziejów naszych się odnosi. Ożywcze jego promienie mają pielęgnować roślinę, choć jeszcze niedostatecznie rozwiniętą, ale już bujny rozrost zwiastującą; pewne jego wskazówki mają prowadzić do celu i na każdym kroku zdawać sprawę, gdzie jesteśmy, czego nam jeszcze potrzeba i czy dobrą wybraliśmy drogę.

Pośredni impuls do zawiązania towarzystwa dał uczony, którego imię nierozerwalnie złączone z rozwojem dziejopisarstwa naszego, którego zadaniem jest prowadzić daléj to, co d-r H. Zeissberg tak świetnie rozpoczął. Oczywiście uczonym tym nie jest nikt inny jak zasłużony wydawca aktów grodzkich, profesor uniwersytetu lwowskiego, d-r Liske.

Jeszcze przed kilku laty akademicy, należący do tutejszego seminaryum historycznego, chcąc uczcić zasługi swego duchowego kierownika zebrali sumę pieniężną, mającą im posłużyć do urządzenia stosownéj uroczystości. Zamiar nie powiódł się jednak, bo złożony wówczas niemocą d-r Liske nie mógł się wychylać po za obręb domu mieszkalnego i narażać na wzruszenia, mogące szkodliwie oddziałać na zachwiane i tak jego zdrowie. Mimoto, w nadziei, że przecież kiedyś plan swój urzeczywistnią, nie wycofali wkładek, lecz złożyli je w miejscu bezpieczném, aby procentowały i w przyszłości do tegoż celu posłużyły. Kiedy zaś dzisiaj te wkładki wzrosły do sumy około 200 złr., kilku byłych uczniów d-ra Liskego powzięło zamiar uczcić zasługi kochanego profesora w sposób trwalszy i pożyteczniejszy dla społeczeństwa. Oto postanowili na wzór podobnych instytucyi zagranicznych zawiązać „Towarzystwo historyczne we Lwowie“, którego dożywotnim prezesem ma być d-r Liske. Według zatwierdzonego przez namiestnictwo statutu ma być stałą siedzibą towarzystwa Lwów, a celem popieranie rozwoju nauk historycznych, z szczególném uwzględnieniem dziejów Rusi Czerwonéj. Do urzeczywistnienia tego celu służą przedewszystkiém odczyty, wydawnictwa naukowe i pismo peryodyczne, mające wychodzić cztéry razy

do roku. Członkowie są albo honorowi, mianowani przez walne zgromadzenie, albo zwyczajni opłacający 1 złr. w. a. wstępnego i 4 złr. jako doroczną wkładkę. Schodzą oni się przynajmniéj raz na miesiąc celem wysłuchania odczytów i wykładów połączonych z dyskusyą, lub zakomunikowania sobie nowych zdobyczy naukowych w luźnéj pogadance. Corocznie w październiku ma się odbywać walne zgromadzenie celem wyboru wydziału i komitetu redakcyjnego. Pierwsze takie zgromadzenie odbyło się właśnie 14 października r. z.

W sali wykładowéj uniwersytetu zebrało się 49 członków z pomiędzy profesorów uniwersytetu i gimnazyalnych, oraz ludzi oddających się z zamiłowania uprawianiu nauki historyi w najobszerniejszém tego słowa znaczeniu. Prawie wszyscy mieszkający we Lwowie a pracujący na polu dziejów ojczystych i niektórzy uprawiający dosyć zaniedbane dotychczas pole historyi literatury, języka i prawa polskiego zgromadzili się tutaj, aby wziąć udział w zebraniu mającém utrwalić byt przyszłego towarzystwa. To téż poważném było to zgromadzenie ludzi nauki i pracy, między którymi znajdowali się tacy, jak d-r Wojciechowski, ks. Walery Kalinka i d-r Kętrzyński.

Podniosłym też był nastrój całego zgromadzenia ale podnioślejszym jeszcze jego przebieg. D-r Aleksander Semkowicz, jeden z najstarszych byłych uczniów d-ra Liskego, pamiętający jeszcze czasy, kiedy tenże obejmował dopiero katedrę po d-rze Zeissbergu, powitawszy zgromadzenie imieniem komitetu organizacyjnego, złożył przedewszystkiém wyrazy hołdu i czci dla swego światłego i zacnego nauczyciela. Onto, sam nie poszlakowanego charakteru i niezmordowanéj pracy, kieruje wzorowo lwowskiém seminaryum historycznéni; on to rozbudza i zaszczepia w młodzieży zamiłowanie do studyów nad dziejami ojczystemi; jego to działalności wynikiem, że dzisiaj we Lwowie istnieje już dosyć znaczne kółko historyków, z zamiłowaniem przedmiotowi się oddających. Jemu więc przedewszystkiém należą się wyrazy czci i wdzięczności za to.

Na podobne zaznaczenie i podniesienie zasług p. Liskego musi się téż rzeczywiście zgodzić każdy, kto tylko, tak jak d-r Semkowicz, miał sposobność do bliższéj styczności z wydawcą aktów grodzkich. Jakkolwiek bowiem rozbudzenie większego ruchu historycznego we Lwowie nie jest wyłączną zasługą d-ra Liskego, ale przedewszystkiem wynikiem przyniesionego z Niemiec kierunku historycznego, zainaugurowanego tu przez Szajnochę, Bielowskiego i Zeissberga (1),

---

(1) Zastrzegam się, jakobym kierunek Szajnochy identyfikował z kierunkiem Zeissberga. Mam tu tylko na myśli rozbudzenie w ogóle nauk historycznych we Lwowie, a do tego wymienieni pisarze w równéj mierze się przyczynili.

a następującego po rozwoju literatury pięknéj, a przed rozwinięciem się nauk ścisłych i przyrodniczych, jakkolwiek więc poszczególna jednostka nie mogłaby być tu rozstrzygającym czynnikiem, to jednak nie da się także zaprzeczyć, że gdyby katedra historyczna w tutejszym uniwersytecie była się dostała w inne, mniéj powołane do tego ręce, rozwój nauk historycznych byłby we Lwowie mniéj ożywiony i powolniejszy. Następnie przeszedł p. Semkowicz do właściwego tematu i wskazawszy na przykład Niemców, posiadających aż 111 przeróżnych towarzystw historycznych, zauważył, że i u nas zawiązanie podobnego towarzystwa stało się konieczną potrzebą którą wszyscy interesowani głęboko odczuwają. Wreszcie oświadczył p. Semkowicz, że zdaje mu się, iż będzie to wyrazem zapatrywań całego zgromadzenia, jeżeli ks. Kalinkę do przewodniczenia zaprosi. Wśród grzmiących oklasków zajął tedy ks. Kalinka krzesło przewodniczącego i wygłosił mowę, która każdegoby natchnęła zapałem do pracowania na niwie dziejów ojczystych.

Zasług p. Liskego, — są słowa mówcy — nikt obniżać się nie ośmieli. Ich wyrazem jest grono młodych adeptów historyi. Kogoż nie poruszy ten mąż, który nawet „na łożu boleści“, śledzi z najżywszém zajęciem rozwój nauk historycznych w Polsce i kieruje młodzieżą, ceniącą wysoko jego zdanie o swych pracach naukowych? We Lwowie, ciągnął daléj mówca, uderza przedewszystkiém brak tradycyi, wprzeciwieństwie do Krakowa, który żyje i oddycha przeszłością. Autor „Sejmu czteroletniego“ był kilkakrotnie świadkiem rozczulenia, jakie w rodakach z za kordonu wywołał widok kopca Kościuszki i starożytnych grobów na Wawelu. W nowożytnym Lwowie nie ma téj nici łączącéj nas z przeszłością. Wytworzyć ją staje się konieczną potrzebą, pilniejszą nawet od pielęgnowania nauk przyrodniczych i matematycznych. Zawsze bowiem będzie nam wolno zbierać rośliny i minerały, zawsze będzie dozwoloném rozwiązywać formułki matematyczne, ale czy zawsze ze zmianą istniejącego rządu będzie wolno zajmować się bezstronnie przeszłością i wysnuwać z niéj prawidła do przyszłego postępowania? Oto pytanie, na które z trudnością twierdząco moglibyśmy odpowiedziéć. Dziękujmy przeto Bogu, że pozwolił nam dostać się pod panowanie tak łaskawego monarchy i miejmy nadzieję, że przy pomocy bożéj nowo zawiązane towarzystwo wyda obfity plon, który nie padnie na ziemię jałową i niewydatną,

Kto zna choćby pobieżnie zapatrywania świeżo zgasłego mówcy, ten z uznaniem musi podnieść tę okoliczność, iż dosyć troskliwie omijał on szczegóły, mogące obrazić uczucia inaczéj myślących. Przemówienie jego nosiło na sobie wprawdzie znamię konserwaty-

wne, ale mimoto zawarte było w granicach umiarkowania i konsekwencyi, licującéj w zupełności z poprzedniemi jego wystąpieniami. Na jedno tylko zgodzić się nie można, t. j. na rzekome pierwszeństwo, jakie mamy oddać naukom historycznym w porównaniu do umiejętności matematycznych i przyrodniczych. Rozumiem i pojmuję ja to dobrze, że mówca nie zaprzeczał pożyteczności nauk matematycznych i przyrodniczych, ale z tém wszystkiem nawet tak umiarkowanego zdania, jak je wypowiedział ks. Kalinka, wygłaszać nie wolno. Cóż bowiem, zapytam, jest pilniejszém, czy badanie przeszłości i wysnuwanie z niéj wskazówek do przyszłego postępowania, czy pielęgnowanie nauk przyrodniczych przygotowujących grunt jedynie racyonalny i jedynie nadający się do oparcia się na nim? Cóż, proszę, jest pilniejszego, czy zgłębianie naszych minionych prądów i dążności, czy zdobywanie sobie za pomocą szerszego rozpowszechnienia nauk przyrodniczych, większego przemysłu krajowego i tych warunków, których brakło nam w przeszłości a na których przyszłość jedynie tylko opierać się może? Ciemnota nasza umysłowa w wieku poniżenia polskiéj literatury przebija się dopiero dosadnie z bezprzykładnéj nieznajomości nauk przyrodniczych. Czyż więc nie bardzo pilną jest sprawa dogonienia i uzupełnienia tego, cośmy w przeszłości tak mocno zaniedbali? Zachowaj nas Panie od tych geniuszów historycznych, którzy nie mając najmniejszych wiadomości o elementarnych zasadach przyrodniczych, zabierają się do kreślenia dziejów ojczystych. Ich sąd nie może być trafnym, ich sąd musi być jednostronnym. Jeżeli zaś tak jest, to czyż nie jasną jest rzeczą, że przynajmniéj równie pilném musi być dla nas pielęgnowanie nauk realnych, jak zajmowanie się badaniem przeszłości.

Po skończeniu swéj przemowy powołał ks. Kalinka na sekretarzy d-rów Finkla i Balzera, z których pierwszy odczytał dosyć liczny, bo przeszło sto nazwisk zawierający poczet członków zwyczajnych, tak we Lwowie i w Krakowie jakotéż i na prowincyi zamieszkałych. Spotkać się tam można było i z nazwiskiem osób zażywających już znacznéj sławy na polu naukowém i z imionami ludzi nie oddających się produkcyi umysłowéj ale interesujących się żywo sprawami naukowemi. Z tego stosunkowo poważnego zastępu członków zwyczajnych przebija się najdosadniéj żywotność towarzystwa, chociaż bowiem prawie każde nowo zawiązane towarzystwo może na to liczyć, że z razu znajdzie stronników całą duszą mu oddanych, to jednakże nie zawsze uda się skupić koło wytkniętego celu tyle tak powołanych do tego osobistości. Z radością też zaznaczyć mi wypada, że liczba profesorów gimnazyalnych, zapisanych w poczet członków towarzystwa, jest stosunkowo bardzo znaczną.

Jeden dowód więcéj, iż sprawy naukowe obudzają w kołach nauczycieli szkół średnich coraz żywsze zajęcie.

Następnie na wniosek przewodniczącego oddano do dyspozycyi nowemu towarzystwu sumę 205 złr. złożoną przed kilku laty na rzecz nieurzeczywistnionego zamiaru wysłania jednego z młodych historyków na dłuższy pobyt za granicę, a wreszcie przystąpiono do wyboru wydziału i komitetu redakcyjnego. Najpierw jednogłośnie obrano zastępcą prezesa d-ra Wojciechowskiego a skarbnikiem d-ra Prochaskę. Następnie zaś znaczną większością głosów powołano do wydziału dd-rów O. Balzera, W. Kętrzyńskiego, Fr. Papée'go i R. Pilata, a do komitetu redakcyjnego dd-rów Finkla, Kętrzyńskiego, Pilata, Semkowicza, Wojciechowskiego i p. S. Kwiatkowskiego. Na tém też zakończono posiedzenie, mające położyć podwaliny do działalności nowego towarzystwa.

Jeżeli teraz rzucimy okiem na przebieg całego zgromadzenia, to przyznać najpierw należy, że przeprowadzenie wyborów było istną formalnością. Organizatorowie towarzystwa porozumieli się między sobą i następnie rozdali między uczestników zgromadzenia drukowane kartki, zawierające nazwiska osób, na których wybór się zgodzili, tak że nie było ani czasu ani sposobności do porozumienia się członków między sobą i do rozwinięcia bardziéj ożywionéj agitacyi. Nikt téż prawie nie chciał umieszczać kogo innego na spisie, bo nie wiedział, czy ten w istocie pozyska większe poparcie. Tak więc przeszła ogromną większością jedyna drukowana lista komitetu organizacyjnego, któremu jednakże z tego względu zarzutu robić nie można. Najpierw bowiem wszyscy wybrani nadają się rzeczywiście do piastowania powierzonych im godności, a powtóre dzieje się to tak prawie we wszystkich innych towarzystwach, zwłaszcza zaś w nowo zawiązujących się, gdzie nie ma jeszcze ani czasu, ani sposobów do bliższego zapoznania się z sobą. Zresztą, gdyby przyszłość wykazała, że nie wszyscy powołani odpowiadają swemu zadaniu, to możnaby już w następnym roku inaczéj wyborami pokierować. Jednéj tylko rzeczy trudnoby obronić, t. j. pominięcia zupełnego Rusinów w towarzystwie, które ma za zadanie uwzględniać szczególnie dzieje Rusi Czerwonéj. Pomoc i współdziałanie w komitecie redakcyjnym przynajmniéj jednego członka narodowości ruskiéj, byłaby nader pożądaną.

Obok tego zasługuje jeszcze na wytknięcie tak małe przy wyborach uwzględnienie nauczycieli szkół średnich, chociaż stosunkowo znaczna ich ilość pośpieszyła zaciągnąć się w szeregi towarzystwa. Jeden tylko z nich p. Kwiatkowski figuruje na liście. Wspomniał p. Semkowicz, iż w Niemczech istnieje aż 111 przeróżnych to-

warzystw historycznych. A na kim, zapytam, one się opierają? Oto przeważnie na nauczycielach szkół średnich. Ani trzeciéj części tych towarzystw by nie było, gdyby głównego kontyngensu członków nie dostarczali profesorowie gimnazyów i innych szkół średnich. U nas wprawdzie niestety odmienne panują pod tym względem stosunki, bo brak bibliotek prowincyonalnych, a nauczyciele, przeważnie w niekorzystnych warunkach materyalnych się znajdujący, muszą ubiegać się za pobocznemi zajęciami i są nadto przeciążeni pracą wskutek przepełnienia gimnazyów, co do ilości uczniów niejednokrotnie czterem niemieckim wyrównywujących. Mimo tego jednak są przecież i u nas tacy, co postępują z rozwojem nauki i biorą sami w nim udział. Obowiązkiem przeto towarzystwa, zgodnym z brzmieniem jego statutu, byłoby skupić tych ludzi i przygarnąć ich do siebie a tém samém oddziałać i na innych. Przecież to ludzie, co również pokończyli studya uniwersyteckie; przecież oni zdołają szczególniejszą przysługę oddać towarzystwu przez to, że właśnie mieszkają przeważnie na prowincyi i mogą dlatego i zajrzeć do przystępnych a nierzadko nader ciekawych archiwów i wpłynąć na szerzenie zamiłowania nauk historycznych między ludźmi innego zawodu.

Ale słyszałem zdanie, że przyjęcie tylko jednego nauczyciela gimnazyalnego w skład wydziału nie może żadną miarą wpłynąć na to, aby się ktoś nie zapisał do niego. Otóż pozwolę sobie być wręcz odmiennego zdania i utrzymywać, że większe uwzględnienie nauczycieli szkół średnich oddziałałoby nader korzystnie na ich ściślejsze z towarzystwem złączenie się. Jesteśmy zawsze ludźmi i jako ludzi a nie idealnie oceniać nas należy. Dlatego też twierdzę stanowczo, że z pewnością niemile to dotknie profesorów szkół średnich, gdy będą się widzieli ignorowanymi i że wskutek tego przynajmniéj po części będą się czuli obcymi wobec towarzystwa, które na nich tak małą zwraca uwagę.

Na razie, oczywiście faktu spełnionego zmienić nie można, na przyszłość jednak w imię dobra towarzystwa, leżącego nam wszystkim na sercu, powinien wydział wziąć sam w tym względzie inicyatywę i w następnym już roku postarać się, czy to o odpowiednią zmianę statutu celem pomnożenia tak wydziału jak i komitetu redakcyjnego o jednego członka, czy też o inne pokierowanie wyborami na przyszłém walnem zgromadzeniu.

Korneli Juliusz Heck.

NEKROLOGIA.

† **Waleryan Kalinka,** urodzony r. 1826 w Krakowie; tu pobierał gimnazyalne i uniwersyteckie wykształcenie. Chociaż studyował na wydziale prawnym, nie mógł naturalnie pomijać wykładów Michała Wiszniewskiego, który właśnie w epoce nauki uniwersyteckiéj Kalinki (r. 1840—1846) wydawał swoję „Historyą literatury polskiéj." Ślady wpływu tego profesora, jak niemniéj i ówczesnéj atmosfery wśród młodzieży odszukać można w pierwszych zaraz próbach literackich, jakie Kalinka w ówczesnych czasopismach, mianowicie w „Orędowniku naukowym" poznańskim drukował. Należał on wtedy do postępowo-demokratycznego stronnictwa. Pierwsza jego osobno drukowana praca odnosiła się do dziejów naszego kraju i miała na celu rozpowszechnienie ich znajomości wśród ludu: „Jaką była dawniéj Polska, napisał Włościanin z nad Wisły ku nauce i przestrodze braci swoich" (Kraków, 1848, str. 28). W gorączkowym ruchu, jaki zapanował w Galicyi pamiętnego roku 1848, brał i on udział, a świadectwem jego prócz artykułów w gazetach jest osobno przedrukowana „Korespondencya z Krakowa" (1848, str. 26). Gdy się ruch ten smutnie zakończył, Kalinka pod pseudonimem Pencławskiego wydał głośne w swym czasie „Listy o Krakowie" (Poznań, 1850, str. 86). Równocześnie ogłosił obszerną 8 rycinami opatrzoną „Historyą pożaru miasta Krakowa" (Kraków, 1850, str. 404). Około r. 1851 wyjechał z miasta rodzinnego i udał się do Poznania, gdzie nakładem Żupańskiego wydrukował „Żywot Tadeusza Tyszkiewicza" (1853). Następnie przeniósł się do Paryża i tu wydał dzieło treści politycznéj p. n. „Galicya i Kraków pod panowaniem austryackiém" (1853, str, 401). To były jakoby przygotowania do wielkich prac historycznych, któremi zajmować się odtąd zaczął, zbliżywszy sie do ks. Czartoryskiego i korzystając z jego archiwum. Przez lat kilkanaście żadnej większéj rozprawy nie podał do druku osobno, prócz artykułów w „Przeglądzie poznańskim" i „Czasie." Dopiero gdy został księdzem w zgromadzeniu zmartwychwstańców, wyszło w r. 1868 znakomite dzieło jego p. n. „Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta." Po niém nastąpiła broszura polityczna: „Przegrana Francyi i przyszłość Europy" (Kraków, 1871); następnie „Polityka dworu austryackiego w sprawie konstytucyi 3 maja" (Krak. 1873), daléj dwie rozprawy hagiograficzne: „Najświętsza Marya Panna w Gierczwałdzie" (Krak., 1878), „Męczeństwo św. Stanisława i jego znaczenie w dziejach narodu" (Kraków, 1879); w końcu rzecz najlepsza, w piśmie naszém oceniona już, „Sejm Czteroletni" (2 tomy,

1880 — 86). Przy pracy nad dokończeniem tego dzieła zastała go śmierć i pozbawiła nas jednego z najbardziéj utalentowanych historyków. Umarł we Lwowie 15 na 16 grudnia 1886 r.

† **Wacław Szymanowski** urodził się w Warszawie roku 1821. Należał do tego u nas pokolenia, które pozbawione nauk uniwersyteckich na miejscu, musiało poprzestawać na gimnazyalnych i własną pracą uzupełniać jego braki. Bardzo wcześnie, bo w 20-tym roku życia wziął już za pióro, by nim kreślić wiersze treści romantycznéj w „Nadwiślaninie“ (r. 1841) wydawanym przez grono takiéj jak on utalentowanéj młodzieży. Następnie jednak służbą rządową i własném wykształceniem zajęty, lubo pisał wiele, nie drukował prawie nic aż do r. 1851, gdy został fejletonistą nowo wtedy założonego „Dziennika Warszawskiego“, którego redaktorem był znany Henryk hr. Rzewuski. Praca fejletonowa wszakże nie przeszkodziła mu tak wówczas jak i późniéj, gdy ją w „Tygodniku ilustrowanym“ uprawiał, do pisania poematów, gawęd, dramatów, komedyi, szkiców powieściowych, oraz tłómaczeń głównie z francuskiego, w których celował. Z prac tych ogłaszanych od r. 1852, ułożył sam autor pod koniec pięć tomów „Wierszy i Dramatów.“ Oprócz tego zbioru wyszły osobno: „Szkice Warszawskie“ (Warsz. 1855), „Gawędy i Satyry“ (1873), „Obrazki z życia znakomitych ludzi“ (1866, 1875). Od r. 1866 został redaktorem najpopularniejszego u nas pisma „Kuryer Warszawski“ i na tém stanowisku wytrwał do końca. Umarł 21-go grudnia 1886 roku. Ubył z nim jeden z najzdolniejszych literatów starszego pokolenia.

† **Jan Nepomucen Leszczyński,** jeden z najstarszych dziś nauczycieli i przełożonych szkół, pamiętający jeszcze czas uniwersytetu warszawskiego, dał się poznać ogółowi w r. 1826 „Elegią na zgon Stanisława Staszyca“ a następnie w r. 1830 i 1831 pieśniami i proklamacyami. W r. 1843 ogłosił „Rozprawę historyczną o Kolumbie“. Od r. 1845 jako przełożony „instytutu wyższego naukowego prywatnego realnego“ przypominał ten zakład „Programami na popis publiczny“ według dawnego dobrego zwyczaju aż do r. 1863. Umarł w Warszawie 26 grudnia 1886 r.

OFIARA.

Dr. Miecz. Bohomolec nadesłał na ręce redakcyi „Ateneum“ rsr. 5, jako składkę na Kasę imienia Mianowskiego na rok bieżący.

POLEMIKA.

Odpowiedź na recenzyą Pana Wład. Kozłowskiego (1).

W zeszycie wrześniowym „Ateneum“ zaszczycił p. Kozłowski moję pracę o „Logice“ Milla dość obszernym rozbiorem.

Na wstępie podobało się Szanownemu Recenzentowi ogłosić mnie „obrońcą eklektyzmu najnowszéj formacyi, znanego pod nazwą idealnego realizmu.“ W obec tak narzuconéj mi nazwy oświadczyć muszę, że uważałbym za wykroczenie przeciw duchowi filozofii wszelkie bezwzględne zaciągnięcie się pod jakikolwiek, chociażby najstarszy i najrozgłośniejszy sztandar filozoficzny, a cóż dopiero pod taki, którego sama nazwa jest nieustalona. Daléj każe mi być Sz. Recenzent „gorliwym szermierzem uznającym główne swe zadanie w zwalczaniu materyalizmu i pozytywizmu.“ Tak lekko, jak to czyni p. Kozłowski, nie zestawiłbym obok siebie materyalizmu z pozytywizmem, nawet w razie, gdybym chciał przeciw nim występować, zbyt zasadniczo bowiem różnią się od siebie dwa te kierunki filozoficzne. Nie miałem zresztą dotąd sposobności mówić o tém, co uważam za moje „główne zadanie“ w filozofii. Wydawszy bowiem dotąd dwie tylko książki, treści przeważnie krytycznéj, jako krytyk uważałem za mój obowiązek jak najmniéj występować z własnemi poglądami, tém dokładniéj zaś rozbierać zdania filozofów, o których pisałem. Na zaliczenie więc do jakiejś szkoły filozoficznéj, zasłużyłbym dopiero napisawszy coś bardziéj samoistnego. Tém mocniéj więc zastrzec się muszę przeciw takiemu przedwczesnemu zaklasowaniu mnie, jakie uznał za właściwe Sz. Recenzent. Nie chcę téż uchodzić za przeciwnika pozytywizmu, i to pomimo że w méj pracy występuję przeciw wielu poglądom pozytywisty Milla, czynię to bowiem dla tego właśnie, że często bardzo nie wydaje mi się Mill dostatecznie pozytywnym, tj. opierającym się wyłącznie na tém co stwierdzone, i budującym na tych podstawach to tylko, co ze ściśle logicznego rozumowania wynika.

Przejdźmy teraz do właściwych zarzutów Sz. Recenzenta. Najpierw wytyka mi niezgodność treści mojéj pracy z nadanym jéj tytułem, powiada bowiem: „Z tytułu możnaby wnosić, że zadaniem autora było *dokładne przedstawienie zasad Milla*, rozbiór ich dobrych i złych stron;“ (str. 545). Za odpowiedź stanie samo przypomnienie tytułu méj pracy: „Podstawy teoryi poznania w systemie logiki indukcyjnéj i dedukcyj-

(1) Pomieszczając odpowiedź niniejszą dra Raciborskiego na recenzyą jego dzieła oraz wyjaśnienie recenzenta, p. Kozłowskiego, uważamy polemikę w tym przedmiocie za wyczerpaną i zamykamy ją. (*Przyp. red.*)

néj J. S. Milla.“ Nie podjąłem się zatém „przedstawiać dokładnie zasad Milla“ a raczéj zasad jego filozofii, chciałem tylko przedstawić *podstawy teoryi poznania w jednéj z jego książek zawarte*; gdybym był pisał *o całości* jego zasad, byłbym niewątpliwie podniósł wiele stron dodatnich. Zarzut więc Sz. Recenzenta nie na miejscu.

Daléj mniema Sz. Recenzent (str. 546), że zarzucam Millowi wkraczanie w psychologią i metafizykę. Tak jednak nie jest, zarzut mój bowiem tyczy się *wyłącznie* wycieczek Milla w dziedzinę metafizyki, jak się o tém ze str. 31 i 32 méj pracy przekonać można. Powołanie się zaś Sz. Recenzenta na zdanie Brocharda (na str. 547) niczego nie dowodzi, Brochard bowiem chwali Millowi tylko odpowiedne uwzględnienie w logice psychologii, nie zaś metafizyki.

Sz. Recenzent mówiąc przy téj sposobności o potrzebie oparcia logiki na „psychologii i metafizyce“ równie lekko zestawia w jednym rzędzie psychologią z metafizyką, jak poprzednio materyalizm z pozytywizmem. Nie wiem, czy i tym razem ironicznie powie Sz. Recenzent, że jestem „mistrzem w słownych odróżnieniach“, przypomniéć jednak muszę z naciskiem że materyalizm to system, to szkoła, to stronnictwo prawie, pozytywizm zaś powinien być przedewszystkiém metodą, kierunkiem, stanowiskiem, jeśli zaś staje się systemem, szkołą, stronnictwem, przestaje być pozytywizmem. Psychologia to przedewszystkiém zbiór spostrzeżeń i faktów systematycznie zestawionych, metafizyka to już nie fakta i nie spostrzeżenia, to już sposoby tłómaczenia i pojmowanie ostatecznych przyczyn tych faktów; opierać logikę, jak tego widzi konieczność Sz. Recenzent, na psychologii, tj. na faktach, zupełnie co innego jak opierać ją na metafizyce tj. na hipotezach.

Oto własne słowa p. Kozłowskiego w téj mierze wypowiedziane: „Logika Milla... musiała z konieczności zapożyczać się u psychologii i metafizyki, gdyż potrzeba było *oprzéć* te zmiany na podstawach *pewnych* (czy to metafizyka ma ich dostarczyć?!) wyprowadzić je z zasad, prawd, które *tylko w psychologii i metafizyce znajdują swe udowodnienie*. Z tém wszystkiém nie ma w niéj zaciekań ani ontologicznych ani teleologicznych. Cała jéj metafizyka polega na *przygodném* poruszeniu zagadnień dotyczących natury myślenia, praw przyrody itp. Zagadnienia te *łączą się jak najściśléj* z rozbieranym przedmiotem i służą ku jego wyjaśnieniu“ (str. 548). Otóż spytam p. Kozłowskiego, czy dla pozytywisty dostarczać może metafizyka podstaw dla logiki? czyż postępowanie takie nie będzie opieraniem domu na dachu zamiast na fundamentach? Pytam także Sz. Recenzenta, jakie to są te „zasady, prawdy, które tylko w psychologii i w *metafizyce* znajdują swe udowodnienie“? Dotąd sądziłem bowiem, że wszystkie zasady i prawdy opierać należy przedewszystkiém na *faktach*, że są fakta i doświadczenia w psychologii o tém wiem, ale gdzież są fakta i doświadczenia w metafizyce?.

Zdaniem Sz. Recenzenta nie ma w Logice Milla „zaciekań ontologicznych.“— A podział substancyi na ciała i duchy, o którym przecież Mill tak wyraźnie mówi? Wszak to wspaniały traktat ontologiczny! Również nie rozumiem w jaki sposób Sz. Recenzent powiedziawszy, że logika Milla „*opiera się na podstawach pewnych*, tylko w psychologii i metafizyce znajdujących swe udowodnienie“, o trzy wiersze daléj może mówić, że „cała metafizyka téj logiki polega na *przygodném* poruszeniu zagadnień, dotyczących natury myślenia, praw przyrody itd.“ Jeszcze dziwniejszém wydaje mi się zdanie o jeden wiersz daléj wypowiedziane: że te *przygodnie* poruszone zagadnienia „*łączą się jak najściśléj* z rozbieranym przedmiotem.“

Bądź co bądź sądzę, że tak źle nie dzieje się w logice Milla, tego co podstawowe i zasadnicze, nie porusza Mill „przygodnie“, zaś to co poruszone „przygodnie“ nie „łączy się jak najściśléj z rozbieranym przedmiotem“—Mill jest logiczniejszy niżby wnosić można z powyższych słów p. Kozłowskiego.

Nie wszędzie jednak w tak niekorzystném świetle przedstawia p. Kozłowski Milla, umie być dla naszego filozofa sprawiedliwym chociaż surowym. Na tejże saméj stronicy powiada bowiem: „Istotę przeprowadzonéj przez Milla reformy stanowi zasada, że prawa myślenia nie są czém innéin, jak prawami świata przedmiotowego... Zasada ta nie jest przeprowadzona ściśle w dziele Milla i *napotykają się w niém z tego powodu liczne sprzeczności.*" Tym razem z przyjemnością oświadczyć muszę Sz. Recenzentowi, że nietylko najzupełniéj z nim się zgadzam, ale nawet większą część mego dzieła poświęcam udowodnieniu powyższego zdania. Żałować tylko wypada, że pan Kozłowski, który umie być czasem sprawiedliwym dla Milla, nie chce nim być nigdy dla mnie. I tak np. na str. 549, 550 i 551, gdzie stara się, wbrew rozlicznym ustępom z Milla, które wszystkie w méj pracy zestawiłem, wmówić w czytelników, że Mill nie dzieli Substancyi na duchy i ciała, czyni mi zarzut, że nie uwzględniłem drugiego rozdziału ks. I. Że rozdział ten uwzględniłem a nawet odpowiedni ustęp z niego zużytkowałem, dowodzą wyjęte zeń słowa: „O nazwach—powiada Mill— będziemy zawsze mówić w tém dziele, *jako o nazwach samychże rzeczy*" (B. I. chap II. § 1. str. 24). Słowa te przypominają zarazem wszystkim tym, którzyby Milla w duchu Sz. Recenzenta pojmować chcieli, że jeśli dzieli Substancye na duchy i ciała, nazywa tak *rzeczy*, a nie nasze wyobrażenia o rzeczach. Ponieważ zaś tego rodzaju ustępów przytoczyłem w méj książce mnóstwo, niechaj że więc o istnienie duchów i ciał walczy Sz. Recenzent z Millem a nie ze mną.

Posłuchajmy teraz co mówi Sz. Recenzent o moim rozbiorze zapatrywań Milla na tworzenie się pojęć. „P. Raciborski utrzymuje, że jakkolwiek duch ludzki wytwarza sobie pojęcia na podstawie wyobrażeń i bez nich nie mogłyby one powstać, *z tém wszystkiém wyobrażenia nie przyczyniają się wcale do rozjaśnienia pojęć, przeciwnie zaciemniają je nawet.*" (str. 551, 552). Zdanie to uważa Sz. Recenzent za niezrozumiałe, ponieważ jednak słów tych a mianowicie w takim związku nigdzie nie wypowiedziałem, nie podejmuję się ich tłómaczenia, témci mniéj obrony. Ażeby jednak właściwą myśl moję przedstawić, przytoczę jeden z ustępów mej pracy, który Sz. Recenzent przeoczył albo nie uwzględnił: „Pojęcie w logicznéin tego słowa znaczeniu nie da się wyobrazić, nie jest ono wyobrażeniem, ale dopiero dalszém logicznem przerobieniem wielu wyobrażeń i polega na połączeniu cech, które w wyobrażeniu—w duchowym obrazie—często wprost się wykluczają; tak np. w pojęciu „człowiek" mieści się zarówno starzec jak dziecko, mężczyzna i kobieta, indoeuropejczyk, mongoł i murzyn. Wyobrazić zaś sobie, a następnie wyrysować lub wyrzeźbić postać człowieka, któryby nie był ani dzieckiem, ani starcem, ani mężczyzną, ani kobietą, a mógł być tém wszystkiém, ani téż poszczególnych cech wyróżniających pojedyńcze rasy rzeczywiście nie posiadał, a mógł każdą z nich posiadać, jest rzeczą niemożliwą. Pojęcie, ten wyrób logiki, przekazany psychologii jako wymagalnik, możemy tylko określić, wyobrażenie zaś jako osobnik—w pewném tego słowa znaczeniu—nie da się określić, ale tylko opisać albo téż zmysłowo przedstawić, np. odrysować, odmalować lub wyrzeźbić. Rozumowania nasze opierają się wprawdzie na pojęciach, w myśleniu jednak występują pojęcia te z domieszką, mniejszą lub większą, wyobrażeń z których powstały. Pojęcia są dla ducha ludzkiego, wykonywającego logiczne działania, wymagalnikami, w zupełnéj, doskonałéj czystości, przypuszczam, że może nigdy nie osiągnionymi." T. I, str. 131, 132.

Stosownie do rozwiniętych tu myśli mogłem potém powiedzieć że „w umyśle naszym obok pojęć będących podstawą i że tak rzekę materyałem każdego logicznego myślenia, jawią się także wyobrażenia *wpływające zazwyczaj w sposób zamącający czystość pojęć*, tak że stają się one tylko logicznym wymagalnikiem" (str. 147). Wspomniałem tu zresztą o zjawisku bardzo znaném psychologom, tém bardziéj się téż dziwię, że mogło się ono wydać Sz. Recenzentowi czémś tak trudném do zrozumienia.

Na str. 552 zdaje się Sz. Recenzent zarzucać mi, że nie odróżniam odrywania od rozbioru, czyli abstrakcyi od analizy, zarzut ten oparty jest wyłącznie na narzuceniu mi określenia abstrakcyi, które Taine podaje, którego jednak ja nie przyjmuję za swoje.

Na str. 553 próbuje Sz. Recenzent poddać rozbiorowi moje zapatrywania na stosunek wyobrażeń do pojęć. Dotyka tego przedmiotu zbyt pobieżnie, żeby go mógł rzeczywiście wyczerpać, dokładna zaś odpowiedź wymagałaby powtórzenia wszystkiego co już w méj książce powiedziałem, poprzestanę więc tylko na zastrzeżeniu że zupełnie nie przyznaję się do zapatrywań Descartesa na stosunek duszy do ciała, chociaż przytoczyłem jego zapatrywania na stosunek wyobrażeń do pojęć.

Nie przyznaję się również do narzuconego mi zdania że: „umysł nasz jest niejako przepołowiony, jedna jego połowa, niższa, zajmuje się urabianiem wyobrażeń na podstawie wrażeń zmysłowych, druga wyższa tworzy pojęcia z pierwiastków nadzmysłowych, i z wyobrażeń“ (str. 553). Nie tylko takich słów nigdzie nie użyłem ale nawet nie wyraziłem nigdzie żadnéj z myśli, które w nich są zawarte, uważam je bowiem wprost za niedorzeczne a narzucanie mi ich za złą wolę Szan. Recenzenta. Upraszam téż o wskazanie ustępów z méj pracy, na podstawie których możnaby mi powyższe myśli przypisać. Tu tylko z naciskiem przypomnieć muszę Sz. Recenzentowi, że teza któréj bronię jest następująca: Pojęcia tworzy umysł ludzki mocą właściwéj mu władzy odrywania, z wyobrażeń, które powstają z wrażeń wywołanych w nim działaniem świata zewnętrznego. Po obszerniejsze rozwinięcie i uzasadnienie tego twierdzenia muszę odesłać czytelników do mojéj pracy, wypowiedziałem je tu dla tego tylko, ażeby odeprzéć insynuacyą Sz. Recenzenta.

Również najfałszywiéj przedstawia Szan. Recenzent z Descartesa wzięty przykład, którym staram się wyjaśnić ów stosunek wyobrażeń do pojęć—Prostowanie jednak wszystkich prawdziwie potwornych insynuacyi, które spadają na mnie ze strony Sz. Recenzenta, byłoby dla czytelników zbyt nużące a o tyle zbyteczne, że kilka próbek wystarczy, a będą jeszcze dostatecznie jaskrawe.

Na stron. 554 narzuca mi znowu Sz. Recenzent zdanie, że „nauki matematyczne biorą swój początek nie z doświadczenia, ale z czystego rozumu, „podczas kiedy ja staram się wykazać, że właśnie *początek* ich odnosić należy do doświadczenia, uważam je bowiem tylko jako wynik pewnego sposobu zużytkowania materyału, *którego nam we wrażeniach doświadczenie dostarcza.*

Czasem przybiera Sz. Recenzent ton żartobliwy powiada bowiem, karykaturując jedno z moich zdań: „W przyrodzie nie masz ani punktów bez rozciągłości, ani linii bez szerokości, płaszczyzn bez głębokości, ani doskonałych trójkątów, kół itd.— a zatém wszystkie dane matematyczne nie są wyobrażeniami rzeczy, ale pojęciami, które pochodzą z rozumu. Tym samym sposobem możnaby dojść do wniosku, że botanika i zoologia zawdzięczają swój byt nie doświadczeniu, ale czystemu rozumowi, ponieważ dane ich, jakiemi są gatunki i rodzaje, nie są wyobrażeniami rzeczy, ale pojęciami, takich bowiem rzeczy, jak gatunki i rodzaje, nie ma w przyrodzie. Są w niéj tylko osobniki, mniéj lub więcéj do siebie podobne“ (str. 554).

Na to odpowiedziéć tylko mogę, że „danemi“ botaniki i zoologii nie są gatunki i rodzaje, ale rzeczywiście istniejące rośliny i zwierzęta, które botanika i zoologia układa w gatunki i rodzaje, „danemi“ zaś matematyki są takie punkty, linie i płaszczyzny jakich w świecie nigdzie nie ma, i ta to właśnie ważna okoliczność jest zarazem podstawą zasadniczéj różnicy między matematyką a naukami przyrodniczemi, jak téż niewłaściwości porównania Sz. Recenzenta.

Również nie wspominam nawet nigdzie o jakimś „poglądzie rozumowym,“ za pomocą którego każe mi Sz. Recenzent przekonywać się o prawdziwości zasad mate-

matyki, przyczém wyraża zdziwienie, że na pytanie: „czém jest ów pogląd rozumowy? nie znajduje w mém dziele dokładnéj odpowiedzi“ (str. 555). Używam wprawdzie wyrazów „pogląd“ (Anschauung), „pogląd przestrzenny“ (Raumanschauung), „czysty pogląd“ (reine Anschauung) pisząc o zapatrywaniach Kanta, Whewella, Helmholtza, Hartmanna i Wundta na zasady matematyki i pojęcie przestrzeni. Wykazanie o ile samo zrozumienie powyższych pisarzy wyklucza tak dowolne utworzenie wyrazu „pogląd rozumowy“ obciążyłoby zanadto moję odpowiedź. Wystarczy mi tylko podnieść raz jeszcze z naciskiem, że tak niewłaściwego zestawienia słów jak „pogląd rozumowy“ *ani razu* nie użyłem!!!

Oburzony „poglądem rozumowym“ bierze mi Sz. Recenzent za złe, że w rozbiorze moim: „nie pominięto żadnego opuszczenia, żadnéj dwuznaczności; każdy wyraz zbyteczny lub niedomówiony skrzętnie zapisany, najmniejszy przeskok we wnioskowaniu wykazany“ (str. 555), co wszystko nie przeszkadza mu utrzymywać, że nie podaję dowodów na zarzuty, które czynię Millowi. Dopiero co wyliczone właściwości méj pracy byłbym chętnie wziął za pochwałę; ironiczny jednak nastrój Sz. Recenzenta każe mi je uważać za osobliwszy rodzaj nagany.

Prawdziwie zabawną próbką sumienności krytyki, na którą odpowiadam, będzie następujące zestawienie: „P. Raciborski dochodzi do wniosku—powiada Sz. Recenzent—że pojęcie przestrzeni jest natury *aprioryczněj*, że *zgadza się ono z rzeczywistością w ogólnych tylko i główniejszych zarysach*“ (str. 555). Ja zaś, streszczając moje wyniki, mówię: „*Aposterioryczne* jest też, na podstawie tych wyobrażeń przez zestawianie, porównywanie, usuwanie sprzeczności i odrywanie, wytworzone pojęcie przestrzeni, z jej cechami i właściwościami będącemi przedmiotem geometryi; *jest ono ściśle i bezwarunkowo zgodne z rzeczywistymi stosunkami przestrzennymi*“ (T. II str. 97 wiersz 7 i 8 od dołu, str. 98 wiersz 1—6 od góry).

A więc: „*aposterioryczne*“ a nie „*aprioryczne*“! „z rzeczywistymi stosunkami *ściśle zgodne*“ a nie „*w ogólnych tylko i główniejszych zarysach*“!! jak mi narzuca Szanowny Pan Recenzent, który może dopiero czytając tę moję odpowiedź, jasno uświadomi sobie do jakiego stopnia posunął, już nie przekręcanie ale zupełne odwracanie myśli, których podać ocenę było jego zadaniem.

Na następnéj stronicy pyta mnie ironicznie Sz. Recenzent: „czy nasze *wyobrażenia* o kolorach, dźwiękach, smakach itp. również uważam za *pojęcia* rozumowe, aprioryczne?“ Tu znowu wystąpić muszę z moją nudną ścisłością, w któréj mi chodzi o słowa, i przypomnieć, że pytanie czy „*wyobrażenia*... uważam za *pojęcia*“ równa się pytaniu czy cegły uważam za domy, wrażenia są bowiem materyałem, z którego urabiamy pojęcia. Wchodząc jednak głębiéj w ducha tego zapytania, odpowiem w myśl zasad wypowiedzianych w rozprawie, ktorą Sz. Recenzent krytykuje, że *nie uznaję żadnych apriorycznych wyobrażeń ani też pojęć*! Wszystkie uważam za *aposteryoryczne*—to jest, na podstawie doświadczeń urobione; apriorycznêm bowiem nazywam tylko to co w naszym umyśle poprzedza i poprzedzać musi wszelkie doświadczenie—taką zaś cechę aprioryczności przyznać mogę tylko owym właściwościom, owym pewnym przymiotom naszego umysłu, z którémi on rozpoczyna swe doświadczenia. O ile zgadzam się pod tym względem z Kantem, oddając jednak pierwszeństwo terminologii Wundta, przedstawiłem obszernie w méj pracy. (T. II, str. 75—79). Nareszcie zarzuca mi Sz. Recenzent (556, 557) że Milla wcale nie rozumiem, ponieważ utrzymuję, że podzielił on substancye na duchy i ciała. Zdanie to udowodniłem tyloma ustępami, przytoczonemi „Logiki“, że mam niejakie prawo prosić Sz. Recenzenta, aby zaprzeczenie swoje poparł jednêm przynajmniéj przytoczeniem własnych słów Milla.

Sz. Recenzent, który tak systematycznie przeprowadza wypaczanie moich myśli, nie waha się utrzymywać, że „przekręcam“ zapatrywania Milla. Pierwszym na

to przykładem ma być zdanie moje, że stosownie do poglądów naszego filozofa „pierwotne przyczyny są *bezładnie* i niezależnie od wszelkich prawideł rozrzucone w przestworach“ (t. II, str. 218).

Osądźmy, czy sprzeciwią mi się własne słowa Milla: „Nie możemy odkryć żadnéj prawidłowości w ich rozmieszczeniu, nie możemy w niém odkryć żadnéj równomierności, żadnego prawa... Współistnienie pierwotnych przyczyn występuje dla nas w rzędzie tylko przypadkowych zdarzeń... Nie ma żadnéj jednostajności, żadnego prawidła, zasady, ani przepisu, któryby dostrzec można w rozdzieleniu pierwotnych przyrodniczych czynników po wszechświecie. Romaite ciała składające ziemię *nie zachowują stałego stosunku* jedne do drugich... *Największy nieporządek* jest widoczny w połączeniu przyczyn...“ (Tom II, str. 216, 217, 218).

I w obec takich słów zapytuje p. Kozłowski: „Czy Mill utrzymuje, że pierwotne przyczyny są *bezładnie* rozrzucone?“ następnie zaś dodaje uwagę od siebie, że „gdzie panuje jakiś stosunek, tam o bezładności mowy być nie może!“ (str. 557).

Sz. Recenzent nie waha się utrzymywać „że znam Milla z tych tylko ustępów, „Logiki“ które przytoczyłem,“ otóż ja mógłbym teraz twierdzić, opierając się na nieco pewniejszych podstawach, że Sz. Recenzent i tych nawet nie czytał dokładnie; nie dziw więc, że z całą swobodą przemawia daléj jak następuje: „Nie jestto, jak powiadam, ani pierwsza, ani ostatnia próbka przekręcania myśli Milla. Następująca jest bardzo charakterystyczna. Mill powiada: „Każdy sąd, dostarczający rzeczywistego pouczenia, orzeka coś o jakiémś zdarzeniu, zależném od praw przyrody, nie zaś od naszéj klasyfikacyi. Orzeka on, że pewien przedmiot posiada pewien przymiot lub nie posiada go... ponieważ taka jest treść wszystkich sądów przeto teorya sylogizmu, która nie uznaje takiéj treści sądów, nie może być prawdziwą.“ Na to odpowiada p. Raciborski: „Stosownie do tego, co Mill tu powiedział, rzeczywistego pouczenia nie zawierałby sąd następujący: „Wszystkim zapadłym wekslom przysługuje przymusowe ściągnięcie sum, które są na nich wyrażone, bez poprzedniego dochodzenia, czy sumy te słusznie się należą żądającemu wypłaty.“ Sąd ten bowiem nie tyczy się zdarzenia, zależnego od praw przyrody. A więc podług p. Raciborskiego zależy on od praw nadprzyrodzonych? Czy p. Raciborskiemu nie wiadomo, że prawa przyrodzone używają się w przeciwstawieniu do tego co jest nadprzyrodzoném, niedostępném poznaniu ludzkiemu?“ (str. 557—558).

W odpowiedzi na takie niezręczne wypaczanie méj myśli zapytać muszę, czy podług p. Kozłowskiego, ściągnięcie sumy wekslowéj zależy od praw przyrody? Czy p. Kozłowskiemu nie wiadomo, że przeciwieństwem praw przyrodniczych są prawa inne jak przyrodnicze a więc nieprzyrodnicze, np. prawo wekslowe, prawo cywilne, prawo karne itp. nie koniecznie zaś jak w swéj nieudałéj ironii utrzymuje „prawo nadprzyrodzone, niedostępne poznaniu ludzkiemu“—bodaj to gardzić logiką formalną! ułatwia to bardzo zestawianie kalamburów.

A może chciałby p. Kozłowski zaliczyć do praw przyrody także prawo wekslowe, pojmując tak szeroko przyrodę, jéj prawa i piękności jak Łatka w „Dożywociu,“ który powiada do Leona:

„Patrzaj jaki świat wesoły—
Patrz na chmury, na te góry
Na ulice, na kościoły
Na te fiakry, na te budki,
Te piękności dzieł natury...“

Mógłbym tu jeszcze chyba, nie czując się być autorem tylu przypisywanych mi niedorzeczności, dołączyć dwa dalsze wiersze:

„Za cóż bierzesz na tortury
Mnie biednego nieboraka?!“

Kończąc tę odpowiedź, ośmielę się wyrazić zbyt daleko nie sięgające życzenie, ażeby nasi szan. panowie Krytycy w pisaniu swoich recenzyi przestrzegali więcéj zasad pozytywizmu, które wymagają przedewszystkiém opierania się na faktach. Temi zaś faktami są dla piszących recenzye, zdania, które autor *rzeczywiście wypowiedział.* Ścisłe ich trzymanie się nie narażałoby recenzentów na arcy niepozytywną, iście donkiszotowską, walkę z wiatrakami, budzącą słuszne podejrzenie, że krytykowanéj książki albo nie przeczytali albo téż nie zrozumieli.

Lwów d. 18-go Października, r. 1886.

Dr. Aleksander Raciborski.

Wyjaśnienie pana Wład. Kozłowskiego.

Na replikę dr. Raciborskiego odpowiadam jak najkrócéj:

1. Zaliczyłem dr. Raciborskiego do wyznawców idealnego realizmu, ponieważ on tak samo, jak przedstawiciele owego kierunku, usiłuje pogodzić założenia szkoły intuicyjnéj z założeniami doświadczalnéj. Nie upieram się jednakże przy swojém. Pragnie dr. Raciborski zachować stanowisko niezależne wobec panujących w filozofii kierunków—tem ci lepiéj!

2. Z zarzutu mego, że dr. Raciborski upatruje główne swe zadanie w zwalczaniu materyalizmu i pozytywizmu, wyprowadza on wniosek, że zbyt lekko zestawiam obok siebie dwa tak zasadniczo różne kierunki filozoficzne. Czy z owego zarzutu rzeczywiście daje się wyprowadzić taki wniosek? Dr. Raciborski utrzymuje, że ja gardzę logiką formalną. Czy powyższe wnioskowanie dowodzi jéj poszanowania?

3. W mém twierdzeniu, że treść dzieła dr. Raciborskiego nie odpowiada jego tytułowi, nie zawiera się nic więcéj nad to, że kto nadał swéj pracy zagłówek: Podstawy teoryi poznania w systemie logiki Milla, ten powinien był naprzód wyłożyć systematycznie owe podstawy, a następnie wykazać ich dobre i złe strony. Żądać od autora czegoś więcéj, niż to zapowiedzianém jest w tytule jego dzieła, byłoby rzeczą nierozsądną.

4. Zarzut, że również lekko zestawiam psychologią z metafizyką, ma taką samę wartość logiczną, co i powyższy, dotyczący zestawienia materyalizmu z pozytywizmem. Nie tylko odróżniam psychologią od metafizyki, ale jeszcze w saméj metafizyce rozróżniam dwa kierunki: jeden, który dr. Raciborski zna, drugi, którego nie zna, ale może go poznać z dzieła Lewesa: „Problems of leife and meind.“ Że ten rodzaj metafizyki nie jest tak bardzo odległym od psychologii, pokazuje się z tego, że teorya poznania stanowi właśnie najgłówniejszą część jéj. Zagadnienia, dotyczące stosunku podmiotu do przedmiotu, źródeł naszéj wiedzy, są natury czysto metafizycznéj, a przecież należą do teoryi poznania i muszą się opierać na danych psychologii. Konieczność wkraczania w metafizykę w tych zagadnieniach, które ze swéj natury do niéj należą, była dla Milla nieuniknioną i za złe mu tego brać nikt nie może, tém mniéj dr. Raciborski, który w inném miejscu swego dzieła, przytoczywszy zdanie Milla, że umiejętność badania prawdy za pomocą oczywistości jest szczęściem niezawisła od sporów o ostatecznym ustroju ducha ludzkiego, i nie potrzebuje posuwać rozbioru zjawisk duchowych do téj ostatecznéj granicy, *co* jedynie może *zaspokoić metafizyka,* woła patetycznie: „Jestto jeden z najpotworniejszych ustępów Logiki! A więc nauka o badaniu prawdy nie potrzebuje rozpoznawać właściwości ducha ludz-

kiego! Wzdrygnie się na to każdy filozof, począwszy od Arystotelesa itd.“ Czy się duch Arystotelesa wzdrygnął na powyższe zdanie Milla, tego nie wiem, ale zdaje mi się, że mógłby się wzdrygnąć na niekonsekwencyą dr. Raciborskiego, który w jednėm miejscu gani Milla, że do swėj logiki wprowadza metafizykę, a w innėm znów oburza się na niego za to, że nie zajmuje się w niėj zagadnieniem czysto metafizycznėm.

5. W uwadze mėj, że Mill *przygodnie* tylko zajmuje się w logice metafizyką i że poruszone przez niego *przygodnie* kwestye metafizyczne łączą się jaknajściślėj z rozbieranym przedmiotem, upatruje dr. Raciborski tak potworną nielogiczność, że aż bierze wspaniałomyślnie w obronę Milla, pokrzywdzonego, jak mu się zdaje, tą uwagą. „Tak źle nie dzieje się w logice Mila... woła on... Mill jest logiczniejszy, niżby wnosić można z powyższych słów p. Kozłowskiego!“

Otóż ze słów dr. Raciborskiego wnosić można, że nie wie on, iż wyraz *przygodny* niekoniecznie ma oznaczać przypadkowy. Kazania przygodne, wiersze przygodne... nie znaczą kazania przypadkowe itd. Mówić o czemś przygodnie, znaczy mówić z okoliczności czegoś, znaczy nie wyczerpywać rzeczy, ale mówić o tyle, o ile tego dana okoliczność wymaga; to zatėm, o czėm mówi się przygodnie, nie tylko może, ale musi zostawać w najściślejszym związku z głównym przedmiotem Dla tego téż ironia dr. Raciborskiego powinnaby w tym wypadku zwrócić swe ostrze nie przeciwko mnie, ale chyba przeciwko temu, co uczył dr. Raciborskiego języka polskiego.

6. Dr. Raciborski zawsze trwa przy swojėm, że Mill zajmuje się ontologicznemi zagadnieniami w logice i że materyą i ducha uważa za dwie substancye. Odpierając gołosłownie me zarzuty przeciwko temu twierdzeniu, każe mi rozprawić się z samym Millem, nie z nim. Ja z Millem nie potrzebuję się rozprawiać, ale Mill musi tu rozprawić się z dr. Raciborskim.

Dr. Raciborski opiera się w swėm twierdzeniu na tėj jedynėj podstawie, że Mill powiada w swėj logice: „O nazwach będziemy zawsze mówić w tėm dziele, jako o nazwach *rzeczy*.“ Wziąwszy tę zasadę Milla za główną premisę, dr. Raciborski rozumuje: materya i duch są nazwami, a zatėm materya i duch oznaczają *substancyą*. Że taki przeskok od rzeczy do substancyi jest błędem logicznym, wnet się przekonamy. Na str. 54. T. I. Mill, zastanawiając się nad tėm, jaki jest wyraz najodpowiedniejszy do oznaczenia wszystkiego, co istnieje, powiada wyraźnie, że wyraz ten powinien obejmować nie tylko substancye, ale także atrybuty i czucia, czyli stany świadomości. Do oznaczenia tego wszystkiego uznaje on za najodpowiedniejszy wyraz: *rzecz*. Jakoż na tėj samėj stronnicy powiada: czucia, najprostsza klasa *rzeczy*, dających się nazwać (Feelings, the simplest class of nameable *things*). Dalėj zaś na str. 69 powiada: „O naturze materyi i ducha absolutnie nic nie wiemy oprócz tego, że pierwsza obudza czucia, a drugi je doświadcza, a gdybyśmy nawet coś wiedzieli o nich, to logika nie może się zajmować ani tą wiadomością, ani sposobem jėj nabycia.“ W przypisku zaś do str. 67, mówiąc o dwóch przeciwnych opiniach, z których jedna przyjmuje rzeczywistość Numenu, Rzeczy w sobie, druga zaś zaprzecza powiada: „Ja, jako metafizyk, nie mam nic do powiedzenia przeciwko opinii, która zaprzecza rzeczywistość Numenu“ (With the first of these opinions, that which denies Noumena, I have, as a metaphysician, no quarret). Kończy zaś uwagę: „Czy jest ona prawdziwą czy fałszywą, logika tėm się zajmować nie może. Po bliższe zaś wyjaśnienia w tym przedmiocie odsyła Mill do swego dzieła: „An Examination of Sir William Hamilton's Phylosophy.“ Do tego dzieła i ja téż odsyłam dr. Raciborskiego, jeżeli go powyższe przytoczenia nie przekonały, że Mill nie zajmuje się

w swéj logice zagadnieniami ontologicznemi i nie uważa materyi i ducha za substancye.

7. Sprostowania dr. Raciborskiego odnoszące się do twierdzenia, że wyobrażenia zaciemniają pojęcia, które z nich powstały, dotyczy głównie formy. Sam on powiada, że słów tych w takim mianowicie związku nigdzie nie wypowiedział. Niezawodnie, że myśl autora w téj formie, jaką ja jéj nadałem, nabiera znaczenia ogólniejszego, niż jakie ma ona u autora;—z tém wszystkiém pozostaje ona zawsze dla mnie zagadką, pomimo, że autor powołuje się na fakt powszechnie znany psychologom. Wiem tylko, że wyobrażenia są jedynym probierzem, za pomocą którego możemy poznać, czy nasze pojęcia mają wartość rzeczywistą, czy są pustemi wyrazami bez treści.

8. Zastrzega się dr. Raciborski, by go nie posądzano o podzielanie błędnego zapatrywania Taine'a na abstrakcyą. Jeżeli dr. Raciborskiemu wiadome było, że zapatrywanie Taine'a jest mylne, że to, co on uważa za abstrakcyą, jest poprostu analizą, to pytam się, jakiém prawem mógł go powoływać na świadka przeciwko Millowi, którego właśnie oskarża nie o pomijanie analizy, ale abstrakcyi? I jaką może mieć teraz wartość zaskarżenie dr. Raciborskiego, kiedy poparte jest jedném tylko zeznaniem i to fałszywém?

9. Mniéj więcéj tak samo ma się rzecz i z Kartezyuszem. Kiedym z przytoczonych z niego cytat wyprowadził logiczne konsekwencye, woła dr. Raciborski: „Nie przyznaję się do zapatrywań Kartezyusza!“ i zarazem oskarża mię o złą wolę o wpieranie w niego zdań niedorzecznych, których on nigdzie nie wygłosił. Że zdania te są niedorzeczne, na to zgoda, że ich dr. Raciborski nie wygłosił, również zgoda, ale że są one logicznemi konsekwencyami tych opinii, które przytacza na obronę swéj własnéj, tego zaprzeczyć nie może. Kto się zaś ciągle odwołuje do wszystkich bogów, jakie tylko były i są, o tym trudno wiedziéć, jakiéj jest wiary—tém trudniéj, że jak sam na początku swéj repliki powiada: „jako krytyk uważałem za mój obowiązek jak najmniéj występować z własnymi poglądami.“

10. Rozumowanie moje, kończące się twierdzeniem, że jeżeli matematykę uznajemy za naukę czysto rozumową, to musimy z tejże saméj racyi uznać za takie i nauki przyrodnicze, nazywa dr. Raciborski żartobliwém, mającém na celu skarykaturowanie jego zapatrywań.“ Nie myli się pod tym względem. Argumentacya zaś jego, usiłująca przekonać mnie o niestosowności mych wywodów, bynajmniéj mnie o tém nie przekonywa. Jeżeli dane matematyczne pochodzą z doświadczenia, to są one takiemi samemi abstrakcyami umysłu, jakiemi są gatunki i rodzaje przyrodnicze.

11. Gorszy się dr. Raciborski, że użyłem wyrażenia: pogląd rozumowy. W zapytaniu mém nie chodziło mi o terminologią, ale o psychologią, o to, na czém mianowicie polega ów pogląd, za pomocą którego poznajemy prawdziwość konstrukcyi geometrycznych. Że ten pogląd jest aktem rozumu, nie zaś sprawą zmysłowego spostrzegania, widzi się z tego, że Kant swoje *reine Anschauung* używa w przeciwstawieniu do *empirische Anschauung*, które po polsku znaczy: pogląd zmysłowy, intuicya zmysłowa. *Intellektuellen Anschauung*, które tak ważną gra rolę u Fichtego, Schellinga i Hegla, jest taką samą herezyą filozoficzną, jak i mój rozumowy pogląd.

12. W miarę, jak dr. Raciborski zbliża się ku końcowi swéj repliki, wpada w coraz większe rozdrażnienie i oskarża mię już po prostu o niesumienność. Za dowód jéj służy mu fakt następujący: przytaczając wyrazy dr. Raciborskiego, za pomocą których określa on nasze pojmowanie przestrzeni, przytoczyłem tylko pierwszą część jego określenia, a przeoczyłem drugą, która znajduje się na odwrotnéj stronie. Wina tu moja niezawodnie ważna—i szczerze żałuję, żem się jéj dopuścił

tém bardziéj, że tą mimowolną niesumiennością pozbawiłem siebie bardzo wdzięcznego tematu do pouczającéj dyskusyi.

Dr. Raciborski odróżnia wyobrażenia przestrzenne od pojęcia przestrzeni. O pierwszych to właśnie utrzymuje, że z rzeczywistością w ogólnych tylko i główniejszych zarysach są zgodne; drugie zaś jest ściśle i bezwarunkowo zgodne z rzeczywistemi stosunkami przestrzennemi. Pozwalam sobie zapytać się go, skąd on wie o tém wszystkiém? Jakim cudem pojęcie przestrzeni, które powstaje z wyobrażeń przestrzennych drogą abstrakcyi, staje się bezwarunkowo zgodném z rzeczywistością, kiedy wyobrażenia przestrzenne są z nią tylko w ogólnych zarysach zgodne? Wszak abstrakcya nic od siebie nie dodaje do wyobrażeń, przeciwnie odejmuje od nich?

13. Tryumfuje dr. Raciborski, że udało mu się złapać mię na błędném wyrażeniu, jakkolwiek nie tyle jest one błędném, ażeby nie można było wyrozumiéć, o co mi chodzi. W zapytaniu mém: czy nasze wyobrażenia o kolorach, dźwiękach itd. również są pojęciami rozumowemi, apriorycznemi—dwa są błędy: pierwszy jest prostym *lapsus calami*; mówiąc uprzednio o wrażeniach, nie mogłem w zapytaniu, do nich odnoszącém się, przeskoczyć do wyobrażeń. Co się tyczy drugiego, to użyłem pojęcia rozumowe zamiast kategoryi, mając na myśli Langego, który przyjmując kategorye czasu i przestrzeni, ustanawia także kategorye dla oddzielnych wrażeń zmysłowych. Że użycie w tym razie rozumowego pojęcia jest błędem, temu nie przeczę, zdaje mi się jednakże, że mniejszym ono jest błędem od tego, jakiego się dopuszcza dr. Raciborski w swéj ciętéj odpowiedzi. Powiada on: pytanie, czy wyobrażenia uważam za pojęcia, równa się pytaniu, czy cegły uważam za domy. Więc między wyobrażeniami a pojęciem zachodzi taki stosunek, jak między cegłami a domem?

14. Dr. Raciborski, odpierając mój zarzut, że przekręca zapatrywania Milla, wmawiając, że podług niego pierwotne przyczyny są bezładnie i niezależnie od wszelkich prawideł rozrzucone w przestworach,—przytacza własne słowa Milla: „*Nie możemy* odkryć żadnéj prawidłowości w ich rozmieszczeniu, *nie możemy* w niém odkryć żadnéj równomierności, żadnego prawa... Współistnienie pierwotnych przyczyn występuje *dla nas* w rzędzie tylko przypadkowych zdarzeń.“ Pomijam dalszy ciąg przytoczeń, które czytelnik znajdzie w replice dr. Raciborskiego. Z przytoczenia tego łatwo się przekonać, że Mill bynajmniéj nie twierdzi, że pierwotne przyczyny są bezładnie rozrzucone, tylko że przedstawiają się nam, jakoby były rozrzucone bezładnie, że my nie możemy w nich odkryć żadnego prawa, ponieważ nie znamy ich początku. W przyrodzie podług niego panują dwie jednostajności: następstwa i współbytności. Pierwsza podlega prawu przyczynowości, druga, o ile dotyczy pierwotnych przyczyn, nie daje się sprowadzić do *prawa przyczynowości.* Nie znaczy to wszakże, żeby w rozmieszczeniu pierwotnych przyczyn panował bezład. Powiada on wyraźnie, że między temi przyczynami zachodzi *pewien stosunek.* (If the causes coexisted in different proportions, or with any difference in these of their relations, by which the effects are influenced. T. 11. str. 41). Jeżeli zaś wyjątkowo Mill odzywa się kiedy o nieporządku przyczyn pierwotnych w sposób bezwzględny, nie można tego brać za coś więcéj, jak za formę retoryczną.

15. Na mą uwagę, że prawo przyrodzone używa się w przeciwstawieniu do tego, co jest nadprzyrodzoném, dr. Raciborski pisze: „W odpowiedzi na takie niezręczne wypacznie méj myśli zapytać muszę, czy podług p. Kozłowskiego ściągniecie sumy wekslowéj zależy od prawa przyrody? Czy p. Kozłowskiemu nie wiadomo, że przeciwieństwem praw *przyrodniczych* są prawa inne, jak przyrodnicze itd.“

Że oprócz praw *przyrodniczych* są inne jeszcze prawa, o tém wiem; ale nie wiem, żeby były jeszcze inne jakieś prawa oprócz praw *przyrodzonych*. Prawo przyrodzone, a przyrodnicze to nie wszystko jedno. Powszechném prawem przyrody jest prawo przyczynowości, rządzące zjawiskami świata fizycznego i moralnego. Prawa pochodne i empiryczne są tylko szczegółowemi jego objawami. Jak mówi się o prawach przyrodzonych umysłu ludzkiego, tak również mówi się o prawach przyrodzonych życia społecznego. Prawa ustanowione takie, jak prawa wekslowe, również muszą opierać się na prawach przyrodzonych. Takie jest zapatrywanie Milla na prawo przyrodzone, o czém może się dr. Raciborski dowiedziéć z jego Logiki ks. III. Roz. IV.

Wolno dr. Raciborskiemu brać za jedno prawo przyrodnicze i przyrodzone, ale nie wolno zręcznie podstawiać w mém zdaniu jedno zamiast drugiego.

Z zacytowanych przez dr. Raciborskiego wierszy z komedyi Al. Fredry, tudzież z jego wycieczek złośliwych przeciwko mnie, pozostawiam mu całą korzyść.

Co się tyczy końcowéj rady, z jaką dr. Raciborski zwraca się do recenzentów, jest ona bardzo słuszna i żałować potrzeba, że sam on o niéj nie pamiętał, kiedy się zabierał do pisania swéj książki o Millu.

Władysław Kozłowski.



Wydawca, **W. Spasowicz**. — Redaktor, **Piotr Chmielowski**.



DLA ŚWIĘTÉJ ZIEMI.

NOWELLA.

I.

Zatrąbiono. Sześćdziesięciu młodych ludzi, jak poruszone sprężyną maszyny, zerwało się ze swego legowiska. Legowiskiem były długie prycze zasłane siennikami, ciągnące się po obu stronach obszernéj sali koszar.

Zatrąbiono raz drugi. Kaprale wyprowadzili żołnierzy z sali na dziedziniec—dwa wyciągnięte szeregi stanęły. Przyszedł oficer, zakomenderował w prawo i dwójkami przez bramę wyprowadził oddział na wielki plac, zwany placem alarmu.

Wiara stanęła, oczy im świeciły radością, twarze ożywione, przyciszone rozmowy i szepty zdradzały niecierpliwość. Oficer z założonemi po za siebie rękami przechadzał się po przed szeregiem. Mgła okrywająca ziemię powoli rzedła, przytulała się do drzew, z drzew opadła na ziemię, przylegając do trawników i zbóż uginających się pod ciężarem rosy.

Wschód oróżowił wąski pas nieba, wydobywający się z po za szarych chmur, w górze powoli rozjaśniały się błękity. Na skłonie widnokręgu świeciła jedna tylko gwiazda poranna, promieniejąc srebrnemi blaskami. Żołnierze wpatrywali się w nią z uczuciem nieokreślonéj czci i naiwnéj wiary. Różowy pas rozszerzał się aż buchnął purpurą, purpura zmieniła się w złoto. Jasność zamajaczyła krótką chwilę i rzuciła snop białego światła na ziemię. Szmer radości przeszedł szeregi, oficer zobaczył pułkownika otoczonego sztabem, wyprostował się i donośnym głosem zakomenderował:

— Baczność!

Żołnierze stanęli jak wryci w ziemię. Powoli zbliżali się do nich pułkownik, doktór, major i adjutant batalionowy, trzymając złożony papier w ręku.

Pułkownik kazał rozstąpić się szeregom, wszedł między żołnierzy, rozmawiał z nimi pytając, czy im się służba wojskowa podobała. Doktór każdego z osobna oglądał.

Stanął przed szóstym z kolei.

Chłopak wyglądał blado, pod płowemi oczami rysowały się ciemne obwódki, wargi miał spieczone, skórę na twarzy wyciągniętą.

— Wojsko ci nie lubuje?—spytał doktór czeską polszczyzną.

— Lubuje — odpowiedział, — tylko tak jakoś dwie noce nie spałem.

— Radbyś bieżał do matusi — pomacał mu muskuły na rękach.

— Ej nie — szepnął chłopak.

— No, no, odpasiesz się na mleku, kapuście i ziemniaczkach.

Poszedł daléj, chłopak odetchnął.

Pułkownik stanął przed frontem.

— No, moje dzieci, idźcie do domu, a pamiętajcie dobrze się sprawować, żebyście mi wstydu nie robili. Żeby tu was żandarmy nie sprowadzali, bo będzie źle. A teraz bywajcie zdrowi!

— Hura! — odpowiedziała wiara.

— A gdy zawołają, nie spóźnić się ani minuty. Idźcie z Bogiem.

— Hura! — powtórzyły szeregi.

Pułkownik odszedł otoczony swym nielicznym sztabem, zostali batalionowy adjutant i służbowy oficer. Adjutant rozłożył papier, czytał imiona i nazwiska urlopowanych, pytając każdego z osobna, do której stacyi chce jechać koleją.

— Józef Sidor — zawołał.

— Tu — odpowiedział blady chłopak.

— Dokąd?

— Do Ropczyc.

Adjutant naznaczył. Gdy przeszedł całą listę, przemówił:

— Po oddaniu broni i mundurów w magazynie, dostaniecie laufpasy i karty na koléj.

Pożegnał oficera i szybko odszedł.

— W lewo! — zakomenderował oficer. Oddział zwrócił się w lewo.

— Marsz!—Żołnierze, jak maszyna o dwustu nogach, poruszali się miarowo.

Wrócili do koszar w chwili rozdawania śniadania.

— No, chłopcy, ostatni raz komiśna strawa przełazić wam będzie przez gardła, ostatni raz cesarskie jadło pakujecie w brzuchy —

zawołał kapral, bratając się z urlopnikami w nadziei poczęstunku przy rozstaniu.

Urlopnicy rozśmiali się głośno z wdzięczności dla pana kaprala i za jego łaskę przemawiania do nich serdecznie.

— Gdyby to ostatni raz — zrobił uwagę Józef Sidor.

— Ha, mój bratku — odparł pan kapral — gdy cię zawołają, żarty się skończą. Nie będziesz wtedy na sienniku w koszarach legiwał. Przyjdzie nieraz i w błocie się przespać i surowe końskie ścierwo zębami rwać. Tak samo rychtyk było pod Königsgrätzem.

Pan kapral zaczął szeroko opowiadać swe przygody pod Königsgrätzem, żołnierze zbierali manatki. Niecierpliwość, wewnętrzny niepokój i błyski radości malowały się na ich twarzach, zdradzały w ruchach. We drzwiach stanął manipulacyjny feldfebel.

— Sakum pak do magazynu — zawołał i wyszedł.

Wiara zarzuciła tornistry, płaszcze przewiesiła przez ramiona, karabiny w ręce.

— Wszystko? — spytał kapral.

— Wszystko.

Po odbytym przeglądzie pomaszerowano do magazynu i tam zaczęła się przemiana z żołnierzy na cywilów, a raczéj na parobków wiejskich. Zdejmowano po kolei z każdego z nich co było cesarskiego, zacząwszy od koszuli, a skończywszy na butach. Znikały mundury, a na ich miejsce okrywały plecy wojaków płócienne świty, białe i granatowe sukmany, kapelusze słomiane, czerwone rogatywki i baranie czapki.

Żołnierze patrząc na siebie żartowali i śmiali się. Śmiał się i pan kapral z panem feldfeblem, przedrwiwiając się z cywilów a najwięcéj z tych, którzy musieli wracać do domu boso.

— Dorobiłem się na cesarskiéj służbie — odezwał się Maciek, gdy mu odebrano buty, a własnych nie miał.

— Ty sobie nie wycieraj gęby cesarską służbą, rozumiesz! — krzyknął feldfebel.

— A nie mówiłem — dodał kapral — Maciek szparuj na buty.

— Z czego? — spytał cicho chłopak.

— Z tego, coś przepił. Sidor zaszparował i ma, patrz jakie? Ale Sidor nie pił.

— Sidor masz. Feldfebel rzucił Sidorowi w darze starą koszulę.

Chłopcu na koszuli nie wiele zależało i darował ją Maćkowi, na którym jego własna, odebrana z magazynu, w fantastycznych festonach wisiała.

— Bóg ci zapłać Sidor — szepnął Maciek — przynajmniéj człek nie przyjdzie jak dziad do chaty.

Z magazynu zaprowadził kapral wiarę do adjutanta, tam odebrali laufpasy, karty i już prosto pomaszerowali na dworzec kolei żelaznéj.

Na pożegnanie znaleźli się kaprale z całéj kompanii, — zaczęto pić wódkę i piwo, a palić papierosy. Braterstwo z kapralami było szczere, po każdym wypitym kuflu przybywało ochoty i serdeczności. Rygor wojskowy rozluźniał się, rozmowy stawały się głośniejsze, ruchy swobodniejsze.

Jeden z żołnierzy ujął pana kaprala za szyję i pocałował.

— Szymfowałeś boś szymfował, natłukłeś się dosyć, ale ujdzie z ciebie chłop — odezwał się wesoło.

Wiara onieśmielona zuchwałością kolegi, patrzała zdziwiona na kaprala.

Kapral otarł rękawem oślinione miejsce na twarzy i odpowiedział spokojnie.

— Moi chłopcy, służba to ci taka sakramencka, zakamieniała rzecz, że choćby człek nie chciał...

Ogólna radość i śmiechy zagłuszyły mowę kaprala, popularność jego była zdecydowaną. Wiara powtarzała sakramencka i zakamieniała, trącała się kuflami z kapralami i cieszyła się ich łaskawością.

Odgłos kolejowego dzwonka rozległ się po salach, elektryzując wiarę włożoną do bębnów i trąbek.

— Do szeregu! — zakomenderował kapral.

Wesoła gromada rozwinęła się szybko w dwa szeregi, portyer drzwi na oścież otworzył. Poprzedzeni przez kapralów, urlopnicy wymaszerowali na peron. Konduktor oddał im trzy puste wagony, wiara weszła po porządku i rozlokowała się. Kaprale żegnali ich skinieniem rąk, wiara odpowiedziała po trzykroć:

— Wiwant!

Pociąg ruszył wśród okrzyków i śpiewów, wesołych rozmów i dowcipów, na które koledzy odpowiadali kolegom lekkiemi uderzeniami w karki, na znak swego zadowolenia.

W jednym kącie wagonu siedział zamyślony Maciek, marszczył brwi i spluwał, w drugim rogu Józef Sidor.

— Maciek, i czego ślepia wytrzeszczasz i plujesz, jak gdybyś medycynę zażywał, a tyś przecie piwo pił? — zagadnął go kolega.

— Daj mu pokój, on żałuje swéj koszuli — odpowiedział za Maćka jeden z towarzyszy. — Takie miała frendzle, że chciał ci ją zawieść za chustkę Marynie.

Głośny śmiech wypełnił wagon.

Na każdéj stacyi ubywało po paru kolegów, żegnano ich żartami i głośném — hura!

— Ropczyce! — Konduktor otworzył drzwi, wyszedł Józef Sidor, dźwigając na plecach zawiniątko.

— Serwus! — wołali za nim towarzysze. — Pokłoń się Kaśce!..

Sidor się odwrócił, uśmiechnął, kiwnął głową i zniknął w drzwiach kolejowego budynku.

Po drugiéj stronie sztachet, zasłonięty gałęziami kasztanów, zatrzymał się i patrzał na ostatnie wagony, w których życie wrzało jak w kotle. Żal jakiś i tęsknota przykuły go do miejsca. Trzy lata przepędził z kolegami, zawsze razem, trzy lata bez troski o kawałek chleba i chociaż się rwał do domu, nie mógł oczu oderwać. Patrzał i słuch wytężał, aby chwytać ostatnie wykrzykniki, zmieszane z wybuchami śmiechu.

— Gotów!... Pociąg powoli ruszył z miejsca, wagony ciężko jedne o drugie uderzały i zaczęły się wolno poruszać. Rozległ się świst lokomotywy długi, przeraźliwy, koła coraz szybciéj się obracały, wagony jedne po drugich mijały kasztany, przytłumiony turkot odbijał się echem z pobliskiego lasu, na stacyi zrobiło się pusto i smutno, żywéj nie zostało duszy. Józek poprawił zawiniątko, czapkę nasunął i poszedł, mijając miasto znanemi sobie ścieżkami w stronę gór.

Szedł szybko, myśląc o matce, Kaśce, znajomych i własném gospodarstwie.

Raptownie, jakby na komendę, przystanął i obejrzał się. Sam— obok niego nikogo. Nie ma ani kaprala, ani frajtra, nie potrzebuje iść „z nogi“, sam jeden na całym widnokręgu. Spojrzał mimowoli na ramię—nie dźwigał karabina, pomacał się po boku—nie było ładownicy... Pierwszy raz po trzech latach uczuł się wolnym, odetchnął głęboko ręce wyciągnął i wstrząsnął się, jak gdyby chciał cały militaryzm zrzucić z siebie. Przyśpieszył kroku, tęsknota w sercu jego wzrastała, rad był jak najprędzéj dostać się do wioski rodzinnéj.

Podrywalo go, aby co prędzéj powitać Matusię i Kaśkę. Kaśka była dla niego dobra, odejmowała sobie od ust, ciułała i co mogła chociaż po parę grajcarów posyłała mu. On téż niósł jéj w podarunku aż za cztery papierki korali, a matusi białą chustkę na głowę. Co to będzie uciechy!...

Zwrócił się w wąską dolinę. Środkiem płynęła rzeczka, szumiąc po kamieniach i wijąc się w rozlicznych zagięciach. Po obu stronach wznosiły się góry, których szczyty pokryte świerkowemi lasy czerniały. Falujące się stoki przedstawiały różnobarwną szachownicę złotych kolorów zbóż, przetykanych ponsowemi maki, ciemnozielonych łodyg ziemniaków i pooranych ugorów. Wśród nich wiły

się wydeptane ścieżki, gubiące się w sadach śliw. Niebieskawe dymy, powoli unoszące się w górę, i szarawe płaty dachów, wyglądające z po za drzew, wskazywały siedziby ludzkie.

Józek znał całą okolicę, wiedział i pamiętał kto w któréj chacie mieszka, do kogo każdy skrawek ziemi należy. Na końcu doliny w górze stoi chata jego matki do niéj przytyka kawał gruntu, jego dziedzictwo po ojcu.

Rzeczka przecinała drogę, obejść było niepodobna. Józek stanął nad brzegiem, przenosząc wzrok z mętnéj wody na swe błyszczące jak lustro buty. Rad był je zdjąć, a wstydził się.

— A nuż go kto zobaczy? Trzy lata chodził w butach, a teraz miałby je zdjąć....

Mimo tych rozumowań, oszczędność i zdrowy rozsądek wzięły górę, usiadł na murawie, ściągnął je, przypatrzył się im z zadowoleniem, zawinął wyżéj kolan spodnie, buty nawdział na kij i powoli stąpając, wszedł do rzeczki. Zimna woda ochłodziła go. Doznał przyjemnego uczucia, nasuwającego mu na myśl czasy jego młodości. Po téj saméj rzeczce brodził za kaczkami, chlustał wodą na Kaśkę i od niéj wzamian odbierał ten sam poczęstunek, a potém oboje wśród obopólnéj zgody suszyli się na słońcu. Wstrząsnął nogą, woda rozprysła się, krople jéj padły na trawnik i nadbrzeżne kamienie.

— Tak samo — pomyślał — jak dawniéj i poszedł daléj.

Boso było mu raźniéj, nogi wykąpane w wodzie zrobiły się czerwone i lekkie.

Słońce przechylało się na drugą połowę jasnego błękitu, powietrze przepełnione było wonią, w przestrzeni brzęk i śpiewy łączyły się przy akompaniamencie szumu rzeczki. Stanął na wyniosłości, skąd widać było całą dolinę: tłem był ciemny las, kolorytem szmaragd łąk oświecony słońcem i złoto dojrzewających zbóż. Patrzał — nie umiał odczuć piękności widoków, lecz serce jego wypełniało się tajemną radością, wspomnieniami i pragnieniem życia wśród tego słońca, zieloności, wśród tych gór, na swym kawałku ziemi.

Pomknął daléj,— rad był dostać się jak najprędzéj do rodzinnéj wioski. Pierwsze jéj chaty już widać było przyczepione do parowów, otoczone zielenią drzew. Droga zbiegała na dół, zmieniając się w stromy, waski wąwóz. Po nad nim wznosiły się łany pszenicy z jednéj strony, wypełnione promieniami słońca, z drugiéj zieleń i bławaty łączyły się z błękitem. Łagodny, południowy wietrzyk chłodził rozpaloną jego twarz i wzruszał kłosami pszenicy, które uderzając się wzajemnie, wydawały cichą, tajemniczą, pełną szeptów muzykę, ożywioną śpiewem skowronka w górze i przepiórki ukrytéj w zbożu.

Sidor stanął, słuchał i patrzał.

— Ej, to ino kłosy pszenicy się tłuką. Pszenica ziarnista i sucha, woła aby ją żąć. Czy ino moję zżęto? Wielki czas, przepiórka woła a skowronek przyśpiewuje....

Zanim doszedł do chaty, wspomnienia dziecinnych lat, wpływ przyrody i budzące się troski przemieniły go z żołnierza cesarskiego w chłopa polskiego. I już mu się więcéj na myśl nie nasuwały koszary, kapral i mustra. Gdy buty zdjął, nie maszerował już z nogi. Stawiał szerokie kroki, pochylając się naprzód, aby swobodniéj oddychać. Szedł, jak chodził jego ojciec, jak chodzą wszyscy górale, zniecierpliwiony długością drogi i roztargniony nawałem myśli.

Po za wąwozem szumiała po kamieniach ta sama rzeczka, rozlewając się w niewielki staw. U przeciwnego brzegu czernił się młyn i woda z hałasem na szczeble koła spadała.

— Serwus! — rozległ się głos zakończony śmiechem.

Józek spojrzał w stronę głosu. Nad brzegiem stał młynarz, łowiąc siecią ryby.

— Serwus! już tak prędko!—Młynarz służył w wojsku, podobno dobił się stopnia frajtra i dumnym był z tego zaszczytu. Z całéj wojskowości został mu „serwus“, używał go téż jak mógł najczęściéj.

— Serwus — powtórzył Józek i przyśpieszył kroku.

Przywitali się jako koledzy uściśnieniem rąk.

— Jak się macie? — spytał Józek wesoło.

— Chwalić Boga, pcha się biedę i już. Alež się téż z ciebie zrobiło kawał chłopa. Chodź, spocznij se. Cóż tam na świecie słychać?.. Gospodyni! — zawołał na żonę.

Wybiegła młynarka, ocierając sobie twarz zapaską.

— Józef Sidor! a niechże cię! Tyżeś-to? anibym cię poznała. Prosty jak świéca i niczego z ciebie chłopak.

— Wojak i jeszczeby mu co brakowało—odparł z dumą młynarz.

Sidor pocałował młynarkę w rękę.

— Cóż tam na wsi? matusia — zapytał nieśmiało.

— Ha, niedaleko masz, to się dowiesz wszystkiego.

— Cóż się ma dowiedziéć—przerwała ostro mężowi młynarka.— Matka, Bogu dziękować, zdrowa, z Kaśki zrobiła się dziewka aż miło spojrzéć. Dobytek nie zdycha i tyla.

Sidor z odpowiedzi młynarza zmiarkował, że jest coś, lecz bał się rozpytywać.

— Cóż stryk? — zapytał.

— Bogacz i już—odpowiedziała krótko i urwała.—Pijże mleko, a tu masz chleb.

— Co tam wojakowi mleko — wódka....

— On zaraz wódka — pochwyciła gospodyni.

Młynarz zamilkł zawstydzony, a Józek dziwił się jego pokorze i również się nie odzywał. Wtedy młynarka rozpuściła język jak pytel, i dalejże opowiadać historyą wioski.

— Wiesz, Kubowskiemu się zmarło, majątek zapisał żonie. Kobiéta nie młoda, a chłopa do gospodarstwa potrzeba. Ale to pani: sześć sztuk bydła, garnkami co tydzień masło wozi do miasta. A stroi ci się: pończochy, trzewiki, haftowane chustki, spódnice w kwiaty, koszule długie i Bóg wié nie co. Pono sobie parasolkę zamówiła z Dembicy.

Józek pił mleko, jadł chleb, słuchał, a niepokoił się, co mogło stać się w domu, o czém młynarka zabroniła mówić mężowi.

Gdy gospodyni przestała, aby chwilę odpocząć, powstał, pożegnał się i poszedł. Młynarz wracając do nastawionéj sieci odprowadził go.

— Józek w niedzielę w Tatarczonce przypomnimy sobie wojackie czasy....

— Czegóż się to dowiem, gdy do chaty zajdę? — zapytał cicho chłopak.

— Czego? wszystkiego, co ci potrzeba.

Chłopak popatrzał smutno na młynarza, powiedział: „serwus“, podał mu rękę i poszedł.

Z drogi skręcił na znaną ścieżkę, wdział buty i przez łąki pańskie dostał się w sam środek wsi. Przyśpieszał kroku i stawał, zamyślając się. Rad był być już w chacie, cieszyć się matką i Kaśką, a bał się.

Słońce się zniżało, szmaragdowe łąki kąpały się w purpurze, wierzby i osiki rosnące nad rzeczką stroiły się w złoto. Jedne świerki stały czarne i ponure, odpychając szmaragd łąk, błękity nieba i purpurę słońca.

Szedł coraz prędzéj. Krople potu ściekały mu po twarzy, nie zważał na nie; ptaki świergotały wesoło żegnając słońce, nie słyszał ich, — smutne przeczucia świdrowały mu mózg i tłoczyły serce.

— Józek wrócił! Sidor wrócił! — wołały dzieci, pędząc bydło z pastwiska. — Józek! wojak! — rozległo się dokoła.

Jeden z gromady poleciał naprzód, dopadając do chaty Sidorowéj krzyknął:

— Józek wrócił!.. jest pod chatą Klisia.

— Wrócił! idzie! — wołała uradowana i wylękniona kobiéta.

Kaśka wybiegła z izby i puściła się pędem, lecz się zatrzymała, czekając na gospodynią.

— Chodź, chodź, Kaśka, chłopca trzeba powitać — ucieszy się.

Kaśka, blada ze wzruszenia, szła obok gospodyni, nogi pod nią uginały się, oddech w piersi zapierał. Postępowała wolno, chociażby rada ze skóry wyskoczyć.

Zaledwo uszły kilkadziesiąt kroków, zobaczyły go.

Schodził ze stoku wzgórza otoczony dziećmi. Spotrzegł matkę i Kaśkę, przyśpieszył kroku, kobiety biegły ku niemu.

— Józek, nijakiéj wiadomości nie dałeś, a tobym przyleciała naprzeciwko do miasta. To ci się z niego zrobił chłop jak trzcina.— Spojrzała mu w twarz. — Przybiedniałeś moje dziecko—ujęła go za szyję i ucałowała.

— Jak się macie?—mówił wzruszony chłopak,—Kaśka, jak się masz?..

Kaśka pokraśniała i odpowiedziała cicho lecz serdecznie.

— Tak ta; a wyglądamy cię, a czekamy niemal od czterech niedzieli.

— Trzy lata, całe trzy lata nie widziały cię moję oczy, zawodziła matka. Taki kawał i jak zleciało. Poszedłeś chudziak a wracasz chłop, aż miło popatrzyć. Kaśka, prawda?

Kaśka spuściła oczy.

— Ale i z Kaśki dziéwucha,—odparł Józek wesoło.

— Dajno zawiniątko, poniosę choć ten kawałeczek, — przerwała mu dziewczyna.

— Weź Kaśka, weź, biedaczek nadźwigał się dosyć.

Kaśka ściągnęła tobołek z pleców chłopaka, zarzuciła go na swoje i razem szli drogą. Z chat wybiegali ludzie, gospodynie stawały na progach.

Józek gospodarzy witał „serwus“ a kobiety pochwalonym Chrystusem. Matka czuła się dumną z syna, Kaśka szczęśliwa i wzruszona.

Weszli do chaty.

— Spocznijże se, mój panie wojaku,—zapraszała matka, ścierając zapaską ławkę.—Kaśka, nie ma co, ino złap i zarznij czubatą i tak ci jaj nie niesie.

— Daruj Kaśka życie czubatéj, a mnie zgotujcie zaciérkę z mlékiem. Mam jakoś smak na zacierkę, trzy lata nie miałem jéj w gębie.

— A to i lepiéj.

Kaśka dorzuciła wiórów na ogień, matka usiadła przy synu i gładziła go ręką po twarzy.

— No cóż, no cóż moje dziecko, jakże ci tam było w tém wielkiem mieście i jakże ci podobała wojaczka?

— A u was co słychać?

— U nas stara biéda,—podchwyciła Kaśka i z całych sił dmuchnęła na ogień, płomień się wydobył, rzucając złotawe światło na izbę.

— Zaciérka będzie migiem,—dodała rada, że jéj się udało odwrócić ciekawość Józka.

Chłopak pociągnął ku sobie zawiniątko i zaczął je powoli rozwijać. Matka patrzała ciekawie, Kaśka rwąc zaciérkę, rzucała niespokojne spojrzenia.

Naprzód wyjął białą z haftowanym rogiem chustkę i podał ją matce, z papiera wydobył korale i oddał Kaśce.

— Pamiętałyście o mnie obie, to i ja téż o was pamiętałem.

— Patrzajcie,—zawołała matka—jaki to dobry chłopak jakici to syn, Boże, Boże, nie przehulał z wojakami, nie przepił ze starszyzną, ino ciułał, aby udarować matkę i dziéwuchę.

Oglądała chustkę.

— Kaśka a przymierzże korale.

Kaśka wpatrywała się w korale, lecz przymierzyć ich jakoś się wstydziła. Stara wzięła korale, zawdziała jéj na szyję i zawiązała.

— A toś jéj dogodził. Korale ją lubują; patrzno, jak ci zczerwieniały na jéj szyi; a ona?

Józef spojrzał i rozśmiał się, rozśmiała się dziewczyna.

— Wiedziałeś ty, czém jéj dogodzić, a i starą uradowałeś—mój Boże?

Kaśka w koralach na szyi wsypała zaciérkę do wrzącego mléka, wrzuciła szczyptę soli, zamieszała raz i drugi, dmuchnęła na ogień, garnek odstawiła, war wylała do miski i postawiła ją na stole, a sama poskoczyła po blaszane łyżki.

Przy wieczerzy obie kobiety wyścigały się w opowiadaniu zaszłych wypadków w wiosce.

Józek znał je potrosze od młynarki, lecz mimo to słuchał z zajęciem i przyjemnością. Dobrze mu było wśród swoich, ciepło i serdecznie. Nie słyszał trąbki wygłaszającéj mu rozkazy, nikogo się nie bał, i na nikogo nie oglądał. Śmiał się głośno i mówił głośno, a tymczasem noc zapanowała głucha.

— Józek, dziecko moje, idź już spać, koguty północ wypiały. W stodole w sąsieku jest siano, pachnie jak ruta, połóż się tam i prześpij.

Usłuchał, pocałował matkę w rękę, do Kaśki się zwrócił, i powiedział serdecznie.

— Dobra noc ci, Kasiu.

— Dobra noc, odpowiedziała cicho dziewczyna...

— O Boże, Boże, a to chłopak mój gada ci jak miastowy kawaler; a niechże cię—zawołała wesoło matka.—No idź, idź, jutro gdy zaciérkę uwarzę, zbudzę cię sama.

Chłopak poszedł, matka z Kaśką patrzały za nim, póki nie zniknął we wrotach stodoły.

— Kaśka,—szepnęła gospodyni,—ale co będzie jutro, jak pójdzie w pole i zajrzy do obory. Co będzie, mów, bo mi głowa pęka.

— Cóż ma być? Cóż to przepiliście czy co? Musi się zgodzić, abo niech znajdzie radę.

— Mnie żal chłopaka i cierpnę ze strachu.

— Będziemy się bronić.

Ułożyła starę w łóżku, przykryła pierzyną i wyszła z izby.

Ciemna noc, ciepła i cicha otulała ziemię, gwiazdy migotaly, mleczna droga blado świeciła. Dziewczyna nie wiedziała, po co wyszła, co ją wyprowadziło z izby. Jakiś niepokój ogarniał ją, a serce się radowało. Obejrzala się dokoła i powoli, aby nie zrobić żadnego szelestu, podeszła do stodoły, stanęła we wrotach i słuchała. Miarowe chrapanie rozlegało się.

— Dobranoc ci, Kasiu,—szepnęla i uśmiechnęla się.—A może i lepiéj, że jesteś biedakiem. Gdybyś był bogacz, możebyś i nie spojrzał na mnie. Ja się pracy nie boję, choćby najcięższéj, bylebyś ty przy mnie był.

Zawróciła ku chacie, lecz nie miała ochoty wejść. Błąkala się po nocy, kąpiąc nogi w rosie. Radość tajemna wypełniala jéj serce i sen odpędzała.

— Dobranoc ci, Kasiu,—powtórzyła patrząc w niebo. Gwiazdy mrugały na nią wkoło, mleczna droga blado świecila. Nic nie przerywalo szeptu jéj myśli i radości. Zaledwo rosa szeleściała strącana z traw stopami dziewczyny.

— Prosiak się zabiera—myślała,—podpasę go na ziemniakach i na odrobinie jęczmienia. Żeby to chociaż wziąć za niego ze trzydzieści papiérków. Podatek by się zaplacił i jeszcze parę grajcarów zostałoby przecie... Bała się dokończyć. Zaplotła ręce, spojrzała w niebo. Gwiazdy się w nią wpatrywały mrugając wesoło, mleczna droga blado świeciła, cisza ją obejmowała, łagodzona szmerem rosy strącanéj z traw jéj stopami. Podeszła do chlewka, uderzając ręką we drzwi. Prosiak zbudzony krząknął.

— Jest, — szepnęła i uspokoiła się. — Muszę ci go dobrze wypaść,—zdecydowała.—Co tam podatek fracha, ale wesele... rozśmiała się. Chłopak jak świeca, a jaki ci grzeczny, przychlebny.

— Dobranoc ci, Kasiu,—powtórzyła z rozkoszą i upojeniem.—Ty musisz być moim,—szepnęła z mocą—boś ty mi przeznaczony przez Boga i ludzi.—Odetchnęła głęboko, jak gdyby jéj ciężar spadł z serca, i poważna, zamyślona, poszła do obórki, położyła się na posłaniu ze słomy, obok krowy i zasnęła. Krowa ją obwąchała, polizała ostrym językiem, przeżuwając poważnie zjedzoną trawę przy doju.

II.

Na samém zaraniu zdawało się Józkowi, że słyszy pobudkę i głos kaprala. Zerwał się, przetarł oczy, spojrzał dokoła. Przez uchylone drzwi stodółki wciskało się blade światło pierwszych brzasków dnia. Zobaczył siano obok siebie, nad głową krokwie i słomianą strzechę. Ocucił się, przypomniał sobie, że jest we własnéj stodole, przeciągnął się i padł na siano. Oczy zamrużył, lecz nie mógł usnąć. Zagadkowe wyrazy młynarza i wczorajszy niepokój matki, olbrzymiały w jego wyobraźni. Nie mógł uleżéć. Cisza przerywana świergotem ptaków więcéj go jeszcze rozdrażniała. Zsunął się z siana na boisko, poszedł do studni, wyciągnął wiadro wody, wylał je do koryta, umył się, twarz otarł chustką i rzeźwiejszy, nie zaglądając do izby, poszedł w pole.

Widziała go Kaśka przechodzącego, zadygotała ze strachu, lecz biorąc na odwagę powiedziała sobie.

— Co ma być, niech się stanie—i zabrała się do dojenia krowy.

Józek minął wrótka, skręcając w stronę swych pól. W dolinach zaległa mgła, w górze widniało niebo jasne i przezroczyste. Księżyc podobny do białéj chmurki tonął, rozpływając się w błękitach. Słońce bez promieni jak kula ognista płynęło po szafirach, mknąc w górę. Mgła bielała, lekki, ledwo uczuty wiatr spychał ją w parowy, rozdzierając na szmaty.

Józek się radował, widząc, jak słonko i wiatr spychają mgły z jego pola, aby je lepiéj mógł ujrzéć.

Z przeciwległego wzgórza, z zabudowań Sobka Sidora, wynurzyła się gromadka ludzi z gospodynią na czele, trzymając sierpy w rękach.

Józek patrzał ciekawie. Gromadka zwróciła wprost na jego grunta, rozłożyła się pod jego pszenicą i żąć zaczęła.

Chłopcu krew uderzyła do głowy, dusiło go w gardle, pięście ściskał, nie mógł wydobyć głosu.

— To moje,—szeptał,—moje, nie dam...

Jakaś siła popychała go, zlatywał z góry, że aż ziemia dudniała.

— To moje,—wrzasnął,—rabusie, złodzieje, precz!—pochwycił kamień.—Precz!—podniósł rękę w górę. Kobiety z krzykiem zaczęły uciekać i nie zatrzymały się aż na granicy.

Sobkowa ujęła się pod boki i odpowiedziała.

— Ten będzie zbierał, kto siał.

— To nie siéj na cudzém,—wrzasnął Józek.

W téj chwili stary Sobek wyjeżdżał parą koni i pługiem z za wrót i słyszał odpowiedź chłopaka.

— Ja ci dam,—krzyknął—kamieniami ludzi zabijać. Lećcie po wójta i po żandarmów. Wrócisz ty, zkąd przyszedłeś, ale cię żandarmi zaprowadzą. Kto zapłacił w urzędzie, to tego jest,—rozumiész...

— Ja tu pan na swoich śmieciach. Mnie nie zapłaciłeś, ja nie zezwalałem.

— Nie zezwalałeś, ale byś zezwolił na to, żeby cię jak psa z chałupy wygnali, gdybym się nie ulitował. Nie zezwoliłeś ty, ale zezwolił wójt, rada i matusia twoja. Hanka, biegnij po wójta i radę, niech mi z nim porządek zrobią.

Jedna z kobiét oderwała się od gromadki i pobiegła drogą.

Józek stał w miejscu jak wryty, patrząc na starego Sobka i zbite w gromadkę kobiéty. Kamień mu wypadł z rąk, odwrócił się, głowę pochylił na piersi i powoli szedł pod górę. Dolatywał go śmiech kobiet, i żarty starego Sobka. Krew w nim wrzała, przyśpieszał kroku i gdy dostał się na równinę biegł, bez upamiętania aż zdyszany rozszalały z bólu i gniewu wpadł do izby.

— Oddajcie mi ojcowiznę,—krzyknął ochrypłym głosem, przyskoczył do matki i pochwyciłby ją za gardło, gdyby nie Kaśka.

Kaśka jednym skokiem stanęła między nim, a matką i odepchnęła go tak, że się potoczył i padł na ławę.

Zerwał się i nie śmiejąc rzucać się na matkę i Kaśkę, zaczął ubranie na sobie targać i włosy z głowy drzéć. Stara złożyła ręce jak do modlitwy i szeptała.

— Jezusie Nazereński, ulitujże się nademną sierotą.

Kaśka odważniejsza krzyknęła.

— Wściekasz się, a sam nie wiesz czego.

— Czego? wrzasnął.—Zrobilyście ze mnie dziada, zatraciły ojcowiznę i gdzie się teraz podzieję?... rozpłakał się.

— Dziecko moje jedyne,—zaczęła stara żałosnym tonem,—a czemuż to twój ojciec wziął z Banku pieniądze i nie oddawał ich. Kary rosły, procenta rosły i gdy mu się zmarło, z czegóż to ja biedna wdowa miałam płacić? z czego? zalała się łzami. A czym to jadła abo piła, abo się stroiła? Obieśmy z Kaśką palice pourabiały, nogi zachodziły, aby uratować te dwie morgi, które zostały i to obejście co jest.

Józek rozpaczał, rwał włosy na głowie i wydawał dzikie głosy. Kaśka i matka truchlały.

Kury słysząc krzyk w chacie, zbiegły się jedna po drugiéj, postawały w otwartych oknach i słuchały.

Nadeszła Joskowa.

— Józek, — odezwała się, — czy tobie się zdaje, że targaniem włosów wytargasz swój grunt? Jakiś ty głupi...

— Stul pysk,—wrzasnął chłopak, przyskakując do okna.

Kobiety przestraszone cofnęły się.

— Nie stulę,—krzyknęła żydówka.—A ty, żeś u żołnierzy służył, to myślisz, że ci wolno na ludzi szymfować i że cię się tu kto zlęknie. Żebyś miał rozum, a nie był głupi, tobyś nie ryczał jak byk, nie targał ze łba włosów, a pieniędzy szukał. Chodźcie matki, warto to z głupim się wdawać.

Kumy dziwując się odwadze żydówki i jéj rozumowi, poszły za nią.

Joskowa, propinatorka z pobliskiéj karczmy, właścicielka sześciu morgów gruntu i pięciorga dzieci, córka piekarza z Wielopola, chodząca w jedwabnéj sukni w szabas, miała prawo być obrażona na Józka za brak dla niéj szacunku.

Przemowa żydówki podziałała na rozpacz chłopaka. Zmęczony siadł na ławie, głowę zwiesił, sapał, a łzy jak groch ściekały mu po twarzy.

Kaśka nie mogła dłużéj wytrzymać, zbliżyła się, przytuliła jego głowę do piersi, fartuchem obcierała mu twarz z łez i mówiła cicho.

— Nie bój się, nie; co ojciec stracił, to syn odrobi.

— Czém?—odezwał się żałośnie,—temi dziesięcioma palicami?

— Cicho,—krzyknęła, nabierając odwagi.—A dwie morgi gruntu, krowa, jałówka, wieprzek co się pasie—to nic. Zbierze się przecie coś z pola, tyś młody, zdrów i dasz sobie radę.

— Ale straconego nie odbiję. A jaka ci pszenica złocista, a jaka kapusta!

I znowu mu ból i żal ścisnął serce i wytoczył z oczu potok łez.

— Cicho, cicho: straconego nie odbija się żalami,—pocieszała Kaśka.—Ino się weźmy rzetelnie do roboty, a zobaczysz. Matusiu, zwróciła się do gospodyni—żyto na garściach nie związane, słonko rosę wypiło, na odwieczerz Kliś przyjedzie z furą.

— Oj śpieszmy się, moja Kasiu.—I zaczęła się krzątać po izbie, szukać sierpa, chustkę na głowie wiązać. Kaśka wylała zaciérkę na miskę, wyjęła z łyżnika drewnianą łyżkę, podając Józkowi.

— Jak se poisz, zajrzyj do nas. Tuż będziemy przy Banasiowéj drodze.

— Pomożesz nam wiązać?—spytała go stara.

— Przyjdź, przyjdź—prosiła Kaśka.

Józek ponury i milczący czekał, póki nie wyszły, i dopiero wtedy zabrał się do jadła. Kluski i mleko gorzkie mu były; głowę oparł na ręku, jadł powoli i długo. Zaledwo do połowy miski dosięgnął, łyżkę położył, oparł się plecami o stół, nogi wysunął, ręce mu zwisły, głowa opadła na piersi i dumał. Serce ściskał żal, gniew wy-

buchał, wstrząsał nim nerwowo i cichł powoli, ustępując miejsca żalowi i rozrzewnieniu.

— Na dziada wyszedłem, na dziada—powtarzał.

Nie umiał inaczéj oznaczyć swego żalu za straconym kawałkiem ziemi.

Zmęczony zamknął oczy. Na ciemném tle nocy przesuwały się w jego umyśle zagony pszenicy o złotych kłosach i wielkie głowy kapusty; owies poruszany wiatrem szeleściał, drżał i kołysał się, jak gdyby go witać chciał. Zbite w gromadkę kobiéty śmiały się z niego. Śmiech ten palił mu serce, szarpał nerwy. Zerwał się, schwycił się za włosy i znowu usiadł. Łzy świeciły w oczach, tęsknota brała go pod swe panowanie. Nieznane mu dotąd uczucie rodziło się w głębi jego piersi. Czuł, że zaczyna kochać utracony kawałek ziemi. Z miłością wzrastała gwałtowna, niczém niepohamowa chęć zdobycia go.

— Muszę go mieć,—szepnął,—muszę go mieć,—zawołał i uderzył pięścią w stół.—Muszę, choćbym starego udusił, zagrodę jego spalił... I cóż? jest baba, są dzieci.

— Muszę,—szepnął z mocą,—choćbym miał sobie palice pourabiać, nogi uchodzić, muszę.—Wstrząsnął ręką.

Pocieszony tém postanowieniem, pochwycił czapkę, nakrył nią głowę i wyszedł. Zajrzał do obórki, była pusta; przez zrobiony otwór we drzwiach chléwka przypatrzył się wieprzakowi, spojrzał na nawóz, chatę, stodołę, drzewo ułożone w stértę, popatrzał na kury rozgrzebujące piasek, kaczki żerujące w gnojówce i sześcioro gęsi spacerujących poważnie z wyciągniętemi szyjami.

— Jest czém zacząć,—zdecydował, i jakby żałując straconego czasu, ruszył żywo na Banasiową drogę, wijącą się jak złota wstęga, wśród kłosów zboża i zagonów ziemniakow.

— Jesteś, mój chłopcze,—zawołała matka—to i dobrze. Wiążże snopy, a my ci garście będziemy nakładać.

Józek nic nie odpowiedział, pochwycił za powrósło pierwszego snopa, związał snopek postawił, ogarnął go i poszedł do drugiego.

— Toś ty, bez te trzy lata nic se nie zapomniał,—mówiła z przymileniem Kaśka.—Patrzajcie matusiu, jaki ci to snop, aż miło go w garść wziąść. Ej, ej Józek prześcigniesz ty wszystkich parobków. Do gumniskiego dworu wołali w niedzielę przed kościołem na jutro do kośby. Idą Madéj, Purchla i Gawlik...

— Jest w domu kosa?—przerwał Józek.

— A zkądby się wzięła? Gospodarz coś na dwa miesiące przed śmiercią, zastawili u żyda—dokończyła cicho Kaśka.

— Nakładajcie chyżo,—zawołał.

Matka z Kaśką składały snopy, on je wiązał. Robota szła ochoczo i szybko. Józek zdejmował czapkę, obcierał chustką pot z czoła, a wiązał i wiązał. Zaledwo mu Kaśka nastarczyć mogła. Matka zmęczona ustała i pod pozorem gotowania obiadu poszła do chaty.

Zostali sami. Józek milczał, Kaśka nie śmiała pierwsza przemówić. Przed samém południem ostatni snopek związano i zmęczony Józek siadł na nim, Kaśka obok niego na drugim.

— Będzie trzy kopy?—spytał się.

— Będzie z półtrzeciéj, odpowiedziała.

— Snopy wielkie.

— Wsypie się do sąsieka pięć korcy. Wystarczy na chléb do nowego.

Zamilkli. Józek patrzał na zaprzepaszczone swoje pole, ciągnące się długim pasem ku górze; Kaśka na Józka, jego bladą twarz i niebieskie oczy.

— Niby jaki panicz, — myślała, — taki ci biały i taki delikatny. Dobranoc ci, Kasiu—powtórzyła w duchu, i dużoby dała, gdyby do niéj chociaż raz jeszcze tak przemówił.

— Kasiu,—zaczął Józek cicho.

Kasia zadrżała i pokraśniała.

— Wiele się twoich pieniędzy zostało?

— Moich?... nie wiele, mój Józku.

— I te zmarniliście,—odezwał się z wymówką.

— Jakże było nie zmarnić,—odpowiedziala żałośnie,—kiéj ostatnią krowinę wyciągali za podatek. Abo jak przyszło te raty płacić do banku, a gospodarz zaczął kląć, toby się z pod żebra ostatni grosz wydarło i oddało. Tatusiowie twoi przygarnęli sierotę do siebie, sąd pieniądze oddał, i jak tu nie dać, kiéj wołają, krzyczą i pomstują. Dawałam na podatek, dawałam na raty, ale na wódkę zawzięłam się i nie dałam. Powiedziałam, że wybrali wszystko i już.

— Dużo zostało?—spytał chciwie chłopak.

— Ośm dziesiątek.

— Tylko?

— To i tak wiele. A żebyś wiedział, com się nie naszamotała, nie napłakała. Raz to ci mnie tak zdzielili pięścią w kark, żem padła na ziemię, krew mnie zalała, myślałam, że nie doczekam bożego dnia. Alem nie dała. Myślałam, że jak wrócisz, to będą dla ciebie.

Józek zamyślony nic nie odpowiedział, patrzał na swe pole ciągnące się długim pasem ku górze, a Kaśka patrzała na niego.

Dziewczyna nie mogła znieść długiego milczenia, coś ją podrywało i odezwała się znowu.

— Wieczorem, gdy gospodyni położą się spać, oddam ci je. Trzeba będzie jakie bydlątko kupić na zimę, może parę ciołków, to i zarobek będzie inny. A cóż my dwie głupie, mogłyżmy to dać sobie jaką radę?

Józek przyjął ofiarę w milczeniu. Był wzruszony lecz nie śmiał dziękować i wstyd mu było rozczulać się po tylko co minionéj rozpaczy...

— Jutro, mówisz, kośba we dworze,—zapytał.

— I cztery szóstek jak nic bez dzień zarobisz.

— A to trzeba leciéć do miasta po kosę.

— Po co do miasta. Mordko na Kamieńcu ma cosik aż dziesięć kos, wybierzesz jednę, poklepiesz, grabki są w komorze, przymocujesz i jutro staniesz na pańskim łanie.

Powstała, zerwał się i Józek. Chłopak szedł naprzód, dziewczyna za nim.

— Nie frasuj się, mój Józku,—mówiła.—Młody jesteś, do roboty ochotny, jest się na czém wesprzeć. Dorobisz się i ojcowiznę wykupisz.

To samo myślał Józek, lecz po tak wielkiéj i głośnéj rozpaczy nie chciał się do tego przyznać. Żal jego był jeszcze zbyt świeży, strata wielka i ciężka.

Słońce białe, palące, mknęło w górę, wiatr się skrył w lesie, ptaki umilkły, muchy tylko i bąki brząkały rozkoszując się promieniami słońca z upałem. Chłopak szedł żywo, dziewczyna biegła za nim. Stanęli na szczycie wzgórza. Dębowy krzyż wyciągnął ramiona, przy nim na straży stał ciemny świerk. Zmęczony chłopak oparł się plecami o drzewo, dziewczyna zatrzymała się opodal niego. Przed ich wzrokiem na przeciwległéj górze rozciągał się zbity w ciemno-zieloną masę liściasty las, otoczony niebieskawą gazą wilgotnego powietrza. Józek widział tylko długi ciągnący się w górę pas zabranéj mu ojcowizny, Kaśka tylko Józka.

— Pójdę do Mordka po kosę,—odezwał się.

— A masz pieniądze?—spytała go Kaśka.—Żyd nie borguje.

— Mam,—odpowiedział i poszedł. Dziewczyna została, patrząc za nim.

— Wlubiły się w ciebie moje oczy,—szepnęła—i gdybyś ty nie był moim?... Dreszcz ją przeszedł. Dobranoc ci, Kasiu, powiedziała półgłosem i roześmiała się głośno, serdecznie, że aż echo z przyległego lasu odpowiedziało jéj. Przelękła się w wobec Józka swéj wesołości i uciekła ścieżkami do chaty.

— Cóż Józek?—pytała ją stara.

— Musi przyjąć, co Bóg dał. Jutro idzie do dworu kosić.

— Chłopak do rany przyłóż,—choć mu ojciec ciężką krzywdę zrobił.

— Wié ci on, że głową muru nie przebije. I cóż ma robić?

— Inny by wrzeszczał, pomstował i pił.

— Ale nie Józek,—odparła z dumą Kaśka i wyszła ze skopkiem doić krowę.

Józek wrócił, zjadł obiad, kosę wyklepał, kosisko przyprawił, rączkę wystrugał i dopasował, grabki założył, drutem je zmocował i na próbę jak kosa chodzi, skosił ćwierć morgi matczynéj pszenicy.

— Pokosy, jakbyś je z pod sierpa ręką układał, leżą gładziutkie i równe,—pochlebiała mu matka.

Chłopak na pochwały matki nie odpowiadał. Kosę schował do komory i gdy Kliś z Kaśką przywieźli żyto, układał je w sąsieku stodoły.

Wieczorem, o samym zachodzie słońca wymknął się z obejścia, obejrzał się, czy go kto nie widzi, zbiegł szybko na dół, przypadł do własnego zagona i pełen żalu i tęsknoty rzucił się na ziemię. Obejmował ją rękami, tulił się do niéj

— Wydarto mi ciebie,—szeptał,—zagubiono, przepito. Ale cię odbiorę, odpracuję, choćbym miał paść i zmarniéć.

Przysięgi uspokoiły go nieco. Oparł głowę na łokciu i zaczął plany układać, liczyć, oszczędzać. Dziesiątki zmieniały się w stówki. Stówka jedna po drugiéj przyrastały i suma potrzebna do wykupna jakby z pod ziemi rosła i urosła. Skowronek się wyrwał z roli, śpiewał i leciał w górę, póki nie zniknął w błękitach. Świerszcz w trawie ukryty zaczął świerszczyć i weselić się, przepiórka, zawołała „pójdźcie żąć“ i zamilkła, wróble na gałązkach wierzbiny zaświergotały i przytulone do gałązek zasnęły, słońce czerwone i duże jak rozpalona kula utonęło w fijoletowém morzu. Nastała cisza przerywana krótkim urywanym świstem świerszcza, szumem rzeki w dolinie i rżeniem koni pasących się na błoniu. Parobek na wygonie zagwizdał, dziewczyna niosąc wodę ze studni, zaśpiewała. Józek się zerwał, nie mogąc znieść samotności przerywanéj wesołością ludzką. Patrzał na długi łan swéj ojcowizny ginący w mroku i znowu żal ścisnął mu serce, schwycił go za gardło a gniew i chęć zemsty paliły w nim krew. Podbiegł ku chacie Sobka, lecz zatrzymał się.

— I cóż-że go spalę — pomyślał — czy bez to odbiorę grunt? Spalę dziś, a jutro mnie wezmą.

Zawrócił do domu. Szedł obok zasadzonych ziemniaków. Wysokie, bujne krzaki, zbite w ciemną masę, stały jak mur.

— Moje ziemniaczki, nie ja was kopać będę—szepnął żałośnie. Schylił się, poderwał krzak i ręką szukał w ciemnościach.

— Sześć, ośm, dziesięć, dwanaście — liczył. — Dwanaście pod jednym krzakiem! — zawołał i wściekłość go opanowała. Święta ziemia rodzi dla tego cygana, dla tego zbója, a ja na łyżkę strawy muszę ciężko pracować. Był oburzony na ojca, matkę, Kaśkę, świat cały i sprawiedliwość ludzką. Gdyby się nie bał, spalilby całą wieś, a gdyby miał tyle sił, wymordowałby wszystkich ludzi.

Szedł pod górę do chaty, złość i wściekłość dodawały mu sił.

— Józek — usłyszał blisko siebie szept i stanął.

Kaśka zbliżyła się do niego.

— Józek! to ty! Czekałyśmy z wieczerzą i nie przyszedłeś?

Chłopak chciał iść daléj, zatrzymała go.

— Czekaj, są tu te ośm dziesiątek, gospodyni śpią, wyjęłam je ze skrzynki; masz. — Wzruszona i zawstydzona wsunęła mu je w rękę. Pieniądze zelektryzowały chłopaka, ściskał je mocno.

— Kaśka — szepnął — klnę się na wszystko, że ci je oddam.

— Ja nie chcę, żebyś mi oddawał — zawołała i uciekła. Łkanie wydobywające się z jéj piersi chciała zagłuszyć odgłosem własnych nóg.

— I czego ona ucieka, głupia — mówił do siebie, lecz jéj nie przyzywał i nie gonił.

Sierp księżyca poprzedzony złotawą łuną wychylił się z południa. Światło jego czerwone nie rzucało promieni, na szarém niebie gwiazdy blado świeciły, wiatr zachodni gorący zrywał się i milkł, ani jedna kropla rosy na spieczoną ziemię nie spadła. Józek usiadł na murawie i liczył pieniądze. Każdą dziesiątkę oglądał przy księżycu, gładził na kolanie, odkładał, potém razem je przeliczył, schował do kieszeni i poszedł do domu.

Przez drzwi obórki patrzała na niego Kaśka i widziała, jak się zapędził do chaty, lecz w połowie drogi zawrócił; potém popatrzał na obórkę, podszedł pod same drzwi, postał chwilę i prosto skierował się do stodoły.

Dziewczyna odetchnęła i uspokojona położyła się spać, rozważając, co Józek z jéj pieniędzmi zrobi.

III.

Cały tydzień chodził z kosą do dworu kosić jęczmień i pszenicę. Kaśka w dwojakach przynosiła mu obiad na pole. Wieczorami klepał kosę, naciągał druty na grabki i kładł się wcześnie. Wszystkie go stawy bolały. Zdawało mu się, że nazajutrz rąk nie podniesie w górę, lecz o świtaniu zrywał się, brał kosę na ramię i odchodził.

Taka zawziętość w nim była. Gdy się rozmachał, ból się rozchodził po kościach, ręce przyzwyczajały się do kosy. Schudł, zczerniał od wiatru i słońca, zostały mu tylko oczy duże, świecące; mimo to był zdrów, choć smutny i milczący.

Kobiety, jak kobiety, gwarzyły w chacie; gdy Józek wchodził, milkły i smutniały.

Nocami, gdy księżyc świecił, zbiegał na ojcowiznę patrzéć czy jest, jak była, czy mu jéj nie rozszarpali i nie zagubili. Długi, wązki łan ciągnął się w górę, ginąc w cieniach nocy.

— Musisz ty do mnie wrócić—powtarzał. Wtedy serce mu biło, coś grało mu w piersiach, ręce się trzęsły, miłość do kawałka ziemi i namiętność posiadania go szarpały nim.

Na Bartłomieja obębniono wielki jarmark w Dębicy.

Józek miał zarobionych piętnaście papierków od kośby, dołożył je do ośmdziesięciu wziętych od Kaśki i świtaniem, nie mówiąc nic nikomu, poszedł.

— I po co? — pytała matka Kaśki.

— On ta wie lepiéj — odpowiedziała.

— Coś go urzekło, ani gęby nie otworzy, chodzi jakby zamroczony.

— Urzekły go ośm morgów ojcowizny. Nocami lata na zagon.

— Widziałaś? Słyszałaś?...

— Com nie miała widziéć. Śpię ci w obórce, burek na podwórzu zaszczeka a potém zaskomli, zrywam się, patrzę. Józek wyłazi ze stodoły, ogląda się i za bramę. Ciekawość mnie zdjęła gdzie on leci. Noc była ciemna, miesiączek się schował, otuliłam się starą płachtą, bo ci już niemal czarna i zdaleka idę za nim, a on prościusieńko na swe pole. I jak ci się nie zacznie skarżyć, wydziwiać, pomstować, płakać, całować świętą ziemię, — strach i wielka żałość mnie zdjęły i uciekłam.

Stara nic nie odpowiedziała. Należało skarżyć się na nieboszczyka męża, a bała się.

Józek na jarmarku pracował, chodził między bydłem, szukał, oglądał, wybierał i wybrał dwa młode ciołki, które już od wiosny w jarzmie chodziły, stargował je za dziewięćdziesiąt dwa papierki, zapłacił, ciołki zabrał i pognał drogą.

Przy przecięciu gościńców stoi murowana karczma „pod Krakusem.“ Zdaleka widać nad jéj drzwiami malowany szyld. Na niebieskiém tle, w kierezyi i czapce czerwonéj stoi krakus, prawą ręką trzyma krakowiankę, lewą ujął się pod bok. Szyld ten posiada wielki dar przyciągania ludzi. Patrzą, dziwują się i wchodzą. Dziś oprócz szyldu wabiła muzyka, wylatująca na pola przez otwarte okna.

Józek wpędził woły do stajni, kupił dla nich porcyą koniczyny i poszedł do karczmy.

Rojno tam było i gwarno, zaledwo niewielkie kółko do tańca zostało. Na stole siedziała bogaczka wdowa w żółtéj spódnicy, w wielkie czerwone kwiaty i aksamitnym gorsecie, przy niéj stala młynarka, wełniana chustka spadała jéj z ramion.

— A no, panie wojaku, wiele za ciołki?— zawołała młynarka.

Józek pocałował ją w rękę, zapłacił kufel piwa i podał go jéj do upicia. Kobieta upiła parę łyków i podała wdowie. Czarne oczy wdowy spoczęły na chwilę na twarzy Józka, usta jéj rozśmiały się; z po za grubych warg ukazał się szereg białych, dużych zębów. Upiła parę łyków i oddając kufel Józkowi, odezwała się wesoło:

— Panie wojak, pokażcież jak to w Tarnowie tańcują.

Dała znak muzyce i zsunęła się ze stołu.

— Ludzie, rozstąpcie się! — wołał żyd z za szynkwasu.

Józek trzymając w pół wdowę, obszedł z nią wkoło, ludzie im się ustępowali, — za nimi poszła młynarka z kołodziejem i kilka innych par.

Józek stanął przed muzyką, wsunął w skrzypce dwie szóstki i zaśpiewał:

„Kupiłem se konia, a na konia derę,
Ludzie się dziwują, skąd pieniądze biorę.“

— A dziwują się, dziwują!— zawołała młynarka—zkądeś wziął na woły, chudziaku.

Józek nie miał czasu na odpowiedź. Wdowa położyła rękę na jego ramieniu i puściła się w wir tańca. Chłopak tańczył delikatnie, w takt, i drobił jak panna, wdowa tuliła się do niego i pociągała ku sobie. Żyd z za szynkwasu klaskał w ręce, gospodarze paląc fajki, mówili o jarmarku, dziewczęta chwaliły taniec Józka i opowiadały o wdowie dziwy i ramoty.

Klarnecista zadął przeciągle, długo i urwał; muzyka zamilkła, wdowa usiadła na stole, chłodząc się chustką, młynarka stanęła przy niéj.

— Piwa!—zawołała bogaczka na żyda i podanym kuflem przepiła do Józka.

— Tarnowskie wojaki siarczyście tańcują — odezwała się, pokazując białe zęby.

Józek się uśmiechnął i odpowiedział:

— Wojaki muszą tańczyć po wojacku, taki już rozkaz mają.

Upił trochę piwa z podanego kufla, oddał go młynarce, zapalił krótkiego za dwa centy i poszedł do wołów.

Koniczynę zjadły i leżąc, żuły w spokoju. Pogładził je ręką po tłustych karkach, zaprowadził do studni, napoił i drogą w górę pognał do domu.

Wdowa patrzała za nim przez okno.

— Chłopak jak malowany — rzekła — ale jakiś dziwny, zamroczony, czy co?

— Stracić taki majątek, to może zamroczyć — odpowiedziała młynarka.

— Delikatny, jakby jaki panicz — mówiła półgłosem więcéj do siebie wdowa.

— Jaki, jaki—dogadywała jéj młynarka—na całą okolicę drugiego takiego nie znajdzie, bo i prawda.

Wdowa się zamyśliła. Do karczmy wszedł chłop barczysty i zuchwały z batem w ręku, czapką nasadzoną na ucho. Na jego widok klarnecista zadął, skrzypki zawtórowały wesoło, ludzie się rozstąpili.

Ożenił się Kuba kóli (1) opierunku
I narobił sobie niemało frasunku,
Bo go jego Magda nie słucha w téj mierze,
Lecz miasto koszuli, to po pysku pierze.

zaśpiewał, bat oddał młynarce, objął wdowę w pół, zsadził ze stołu, puścił się w taniec, a za nim, kto mógł i umiał wcisnąć się wkoło.

— Jeżeli Bartek nie złapie wdowy, to już nikt, bo on nikogo do niéj nie dopuści,—mówili ludzie, patrząc jak Bartek obraca wdowę, a ona trzymając rękę na jego ramieniu, mruży oczy i usta odchyla, pokazując białe, duże zęby.

Samym wieczorem Józek wpędził woły na dziedziniec. Stanęły, obejrzały się i zaryczały żałośnie. Krowa odpowiedziała im z obórki. Ryk wołów wywabił matkę i Kaśkę z izby.

— Czyjeż to? — spytała matka.

— Najprzód boskie — odpowiedział. Nie śmiał dokończyć wobec Kaśki, że potem jego.

— Bój się Boga, a zkądżeś ty wziął tyle pieniędzy?...

— Dużoś dał? — przerwała Kaśka.

— Zgadnijcie?

Kobiety zaczęły oglądać i głaskać bydlęta, głowami kręcić, namyślać się.

— Dałeś stówkę i dziesięć ?.. — spytała Kaśka.

— Stówkę, ale brakowało do niéj ośm papierków.

---

(2) Kóli — gwoli.

— Bój się Boga! — zawołała matka — a toś ty się chyba na przelewacza (1) urodził. I dalejże zaczęły obie z Kaśką pieścić bydlęta, gładzić je po szyjach, rozmawiać z niemi, wynajdując coraz to nowe przymioty. Nogi grube, karki, twarde, szerokie w krzyżach.....

— Gdzie ty je, mój biedaku podziejesz? — frasowała się matka. Obórkę takie hamany w lot rozwalą.

Józek zaprowadził je do stodoły, dał siana i mając po bokach matkę i Kaśkę, w tryumfie poszedł do izby.

— I nie powiesz, zkądeś wziął tyle pieniędzy— nalegała matka.

— Dała mi śliczności dziewucha — odpowiedział żartobliwie.

Na Kaśkę buchnęły ognie, czuła je na twarzy, i aby ich nie zobaczono, poskoczyła do komina.

— Pleciesz, a zkądby się taka głupia wzięła.

— Abo mi to co brakuje? — odparł dumnie.

— To się chyba będziesz musiał z nią żenić, co?

— A cóżto? nie wolno mi?

Matka pokazała oczami na Kaśkę, Józek się rozśmiał, a Kaśce serce tłukło się o żebra tak głośno, że aż ją lęk zbierał, żeby w izbie nie było słychać.

Józek pierwszy raz od powrotu z wojska rozochocił się i rozgadał, pierwszy raz zapomniał o ojcowiźnie i żartował.

— Lżéj będzie — mówił — bo przecie bydlątka teraz zaczną na człowieka pracować: ludziom orać zagony, sągi do miasta wozić.

Kaśka ze swéj strony dowodziła, że co innego ludzka, a co innego bydlęca praca. Obliczali i para wołów miała dwie stówek dochodu na rok przynieść.

Późno w noc matka i Kaśka odprowadziły Józka do stodoły, aby jeszcze raz zobaczyć bydlątka, które im wniosły do zagrody zgodę, uśmiech szczęścia i nadzieję.

— Patrzajcie jak se to leżą, jak jacy hrabiowie—zawołała matka. A gdy Kaśka zaczęła jednego z nich głaskać, wyciągnął łeb do niéj i z nozdrzy wyrzucał parę, co wiele uciechy sprawiło.

Józek rad był zostać z Kaśką, lecz dziewczyna jakoś się bała i wstydzila. Nie chciała, aby jéj dziękował za woły, gdyż przecie i ona uważała je za swoję własność. Chłopak był dziś serdeczny, gdy spojrzał na Kaśkę, ogień mu strzelał z oczu, gdy uśmiechnął się do niéj, coś ją chwytało za serce, że aż się jéj w oczach mroczyło. Dlatego dziewcze bało się zostać z nim samo i bało się wracać z izby do obórki. Gospodyni dała jéj poduszkę, położyła się na stole i przez otwarte okno wpatrywała się w uchylone drzwi stodoły. Rada była

(1) Handlarz bydła.

z siebie, dziękowała Bogu, że choć ją stary katował, pieniędzy mu nie dała. Szczęście rozsadzało jéj serce, ogień ją palił i nie dał oczu zmrużyć.

O północy zaskrzypiały wierzeje na rozcież, dziewczyna przestraszona patrzała. Józek wyprowadził na powrózku woły i znikł, noc go przykryła. Wstała, wysunęła się przez okno i pobiegła za nim na ścieżki. Noc bez księżyca cicha i gorąca nie pozwoliła jéj widziéć daleko. Wytężyła słuch. Z doliny dochodziły ją miarowe odgłosy stąpań wołów. Wystraszona chciała biedz, nie śmiała, chciała wołać, bała się aby hałasu nie zrobić. Wróciła do obórki, rzuciła się na słomę i dygotała nie mogąc oczu zmrużyć.

Józek wprowadził woły na grunt ojcowizny.

— Posmakujcie z mojego pola koniczu—szeptał —to może raźniéj będziecie się brać do roboty i grunt rychło wykupię. Wtedy samę koniczynę będziecie jadać. Położył się przy nich i patrzał z rozkoszą jak młode ciołki chciwie i żarłocznie rwały trawę, wypełniając nią pyski.

— Widzicie, tak to moja ziemia rodzi, a jakie słodkie, jak pachnie....

Woły radosném mruczeniem odpowiedziały, nie odejmując pysków od ziemi.

Gdyby go w téj chwili Sobek napadł, zabiłby go. Na samę myśl, krew kipiała, gniew wstrząsał nim.

— Moja, moja — szeptał — wpił palce w ziemię i twarzą przytulił się do wilgotnéj ziemi; a woły rwały żarłocznie koniczynę z obawy, aby ich nie odpędzono.

— Muszę cię odebrać, z prawa i ojcowizny moją jesteś. I nie legnę spokojnie w grobie, aż cię wyrwę z pazurów starego. Woły wgryzały się coraz daléj zachodząc w zagony, objedzone ciężko sapały. Chłopak się zerwał, pomacał je ręką, przeląkł się, odciągnął z całéj siły i gnał pod górę do domu. Szły, oglądając się i mrucząc żałośnie. Coraz większa na ziemi zalegała ciemnica, ciepły deszcz drobnemi kroplami zaczął cicho padać. Zdaleka psy naszczekiwały, nocni stróże na rogach żałośnie trąbili. Jeden drugiemu podawał odzew, głosy mknęły daleko i nikły za wodą.

Nazajutrz stary Sidor stojąc nad zjedzoną koniczyną, klął i pomstował okrutnie. Głos jego rozlegał się po całéj dolinie. Szukał śladów dokoła, lecz napróżno. Gniew jego srożył się, przekleństwa wzrastały.

Kaśka wpadła do stodoły, Józek spał.

— Słyszysz—zawołała. Chłopak oczy otworzył. — Słyszysz jak stary klnie, zdaje się, że święta ziemia drży. Józek, raz to nic, ale teraz Sidor będzie sypiał przy koniczynie.

— To i cóż? — spytał Józek.

— A nic, tylko zabiłbyś starego, jakbyś go w ciemności zdybał.

— To niech mi nie włazi w drogę.

— Pójdziesz do cienia i oko cię ludzkie więcéj nie ujrzy.

Odwróciła się aby ukryć wzruszenie.

— To i cóż?...

Dziewczyna załkała i wybiegła ze stodoły.

— Kaśka! — wołał za nią.

Nie odwróciła się.

— Do cienia — powtórzył; — radby on mnie zamknąć do cienia, ale nie zamknie. Wołom rzucił garść siana i poszedł do izby na śniadanie. Głos Sidora przycichł, czasem tylko odbijając się od lasu wlatywał przekleństwem na dziedziniec.

(D. n.). *Sewer.*





LUDY ZNIKŁE I GINĄCE.

3.

Czarna wojna nie zapełnia całkowicie dramatu odbywającego się na ziemi Van-Diemen od czasu osiedlania się na niéj Anglików do pamiętnego roku 1835, w którym na Tasmanii ostatecznie Tasmańczyków nie stało.

Naród, który wydał Szekspira i Byrona, który pierwszy poczuł się do krzywd wiekowych, wyrządzonych innemu, i dąży do ich naprawienia, nie tylko przez wyrzutków społeczeństwa swego i wojsko zawiązuje stosunki z obcymi, a dla nieprzyjaciół słabszych a zwłaszcza pokonanych coś więcéj nad najemnych niszczycieli chowa.

Czarna wojna wrzała głównie na wschodniém i północném wybrzeżu wyspy, w promieniu zwłaszcza dwóch pierwszych i najgłówniejszych osad, gdzie osiedlali się pojedyńczo koloniści. Zachodnie i zachodnio-południowe brzegi nie były jeszcze przez Anglików zajęte. Na zachodzie więc i południu chroniły się niedobitki ze zniesionych gromad Tasmańczyków; tam koczowały nieznane i nietknięte rody; ztamtąd występowały posiłki i coraz nowe oddziały, na zmianę walczących, na zastąpienie zniesionych.

Dwadzieścia wszelako sześć lat tępienia ciągłego dokonały swego: z tysięcy pozostały setki zaledwie. Więc chociaż tysiące gromad z setek osób złożone i również grożące z ich strony niebezpieczeństwo istniały tylko w wyobraźni wylękłych lub w interesie zawsze i w każdym kraju pojawiających się *bushranger'ów*, jednakże dopóki na zachodzie wyspy pozostawali krajowcy w takiém usposobieniu jak poprzednio, dopóty była usprawiedliwiona obawa napadów, dopóty wojna ciągnąć się mogła a eksterminacya pomyślnie rozpoczęta musiała dosięgać celu.

Pożądanéj zmiany w usposobieniu, zupełnego uspokojenia, tak pożytecznego dla stron obu, dokonał jeden człowiek. On pierwszy do krajowców przemówił w ich języku, przemówił jak należy przemawiać do ludzi na takim stojących poziomie rozwoju, a przy zetknięciu się postępkami dowiódł, że im szkodzić nie zamierza wcale.

Na początku tego roku, w którego drugiéj połowie wielka obława przekonać mogła każdego, że koniec wojny jeszcze daleki, w zatoce Davey, na zachodnio-południowym brzegu wyspy, wylądował w towarzystwie syna, kilku białych i kilkunastu krajowców Jerzy August Robinson. Gromadka ta była zupełnie bezbronną; nawet psów z sobą nie mieli. Celem wylądowania jéj było przebieganie kraju, spotykanie krajowców, przekonywanie ich o bezużyteczności walki, nakłanianie do porzucenia obecnego sposobu życia, pociąganie za sobą.

Dokąd-że przekonanych i powolnych obietnicom zaprowadzić mieli?

Dwóletnie wyprawy oddziałów łowieckich kilkudziesięciu dostarczyły rządowi porwanych żywcem krajowców. Założył on dla nich kolonią na wysepce Bruni, leżącéj na przeciw ujścia rzeki Derwent. Kolonia owa nazwaną została *Establishment for the civilisation of the Aborigines.* Robinson był w niéj dozorcą. Łagodném postępowaniem swojém zjednał sobie miłość i zaufanie dozorowanych. Powziął więc zamiar do takich kolonii przesiedlić resztki pozostałych przy życiu. Do tego pomagać mu mieli sami krajowcy, którzy do Anglików już się byli zbliżyli. Zwłaszcza kobiety misyą pokojową przejęte zostały.

Wśród gromadki wędrującéj po zachodniém wybrzeżu Tasmanii największego używali szacunku Unreddy, naczelnik rodu zamieszkałego na wysepce Bruni, żona jego Trugunina, zachwycająca swemi wdziękami i dla tego przezwana Lalla-Rook, Manalagana, wojownik znany z odwagi i męstwa, który poznawszy Robinsona zaczął podzielać jego plany i żona jego Tanlebonejer, przewyższająca wszystkie swe rodaczki sprytem i godnością. Te i inne kobiety, przybrane w stroje europejskie, niosły z sobą zapasy świecidełek dla przynęty.

Czas atoli źle był dobrany na uspakajanie. Obława burzyła umysły, nieciła popłoch. Bezbronna gromadka, przedzierając się ku północy, nigdzie złego przyjęcia, nieprzyjaznych czynów nie doświadczyła. Ale bezskutecznemi pozostały jéj namowy. Rok następny był już pomyślniejszy. Na początku roku zyskał dla swéj sprawy Robinson ród jeden cały, którego naczelnik Multealerguna wsławił się ja-

ko *łowca białych*. Następnie jeszcze z trzynastu rodami traktował; rezultatem czego było ujęcie 123 osób.

Następujący wypadek dokładniejsze niż inne może dać pojęcie o tém, jak się zawiązywały stosunki. Rzecz się odbywała na środkowém płaskowzgórzu.

Rody krajowców otrzymywały od Anglików rozmaite nazwy. Najczęściéj od miejsca zamieszkania. W czasie wojny zasłynął był ród z nad rzeki Uz, dopływu rzeki Derwent. Na czele jego stał waleczny i śmiały Montpeliata, postrach wielki kolonistów. Robinson ze swoją gromadką zetknął się ze strasznym wrogiem.

Montpeliata szedł na przodzie, trzymając w ręku ośmnasto stopową dzidę. Za nim piętnastu wojowników z dzidami i maczugami. Wydawali oni okrzyki bojowe, poruszali ze wściekłością bronią. W ich oczach wrzała nienawiść. W postaci całéj przebijała się gotowość rzucenia się na wrogów. Wódz zaledwo powstrzymał ich gestami i głosem. Otaczało ich sto kilkadziesiąt psów, warcząc i skomląc. Za niemi szły kobiety, dźwigające zapasy broni. Nakoniec Montpeliata zwrócił się do Robinsona z zapytaniem, kto są, czy mają strzelby i dzieci strzelby (pistolety); usłyszawszy, że ani broni palnéj nie mają, zwrócił się do kilku starszych ze swego otoczenia. Przyłączyły się do nich kobiety. Po krótkiéj naradzie te trzykrotnie wzniosły ręce do góry. Był to znak pokoju. Wnet dzidy i maczugi zostały odrzucone. Z okrzykami radości i łzami rzucili się ku gromadce Robinsona. Nie jeden z wojowników znalazł wśród téj gromadki swojego dawnego znajomego. Nie jeden usłyszał wieści o swoich. Nastąpiła uczta, zawarto przyjaźń wieczną, cały ród udał się za Robinsonem. Składało go 16 meżczyzn, dziewięć kobiet i jedno dziecię (1). A był to ród zaprawiony do walki z Anglikami, o którego dzikości i okrucieństwie potworzyły się legendy, którego członków na setki liczono.

W Hobart-Town zapanowała radość wskutek przybycia Robinsona w takiém otoczeniu. Rządca kraju Arthur przyjął go ze wszystkiemi honorami wojskowemi. Wyprawił ucztę w domu rządowym dla niego i wszystkich z nim przybyłych krajowców. Prasa miejscowa wystąpiła ze świetnymi artykułami, głoszącymi jego zasługi. Miejscowi poeci opiewali jego czyny w odach i sonetach. Wdzięczny ogół nazwał go *uspokoicielem* (conciliator).

Jeszcze lat trzy trwały wędrówki po zachodniéj części wyspy. Każda kończyła się sprowadzeniem do Hobart-Town kilku, kilkunastu lub nawet kilkudziesięciu krajowców. W roku ostatnim dotarł

(1) Bonwick: The last of the Tasmanians, 225—6.

był Robinson do tych rodów, które w pierwszym obojętnie słuchały jego przemówień i dowodów, i jeszcze do innych, które były zupełnie nieznane, nie przyjmowały udziału w wypadkach, jako zamieszkałe najdaléj od ich widowni, na zachodnio-północnym cyplu wyspy, w porzeczu rzeki, która otrzymała uastępnie nazwę Arthur. I te pociągnął za sobą.

Dnia 22 stycznia 1835 r. wprowadził Robinson do Hobart-Town ostatnich wolnych *ośmiu* Tasmańczyków. Gdy tych ośmiu posadzono na okręt, Tasmania już nie posiadała dawnych swych mieszkańców! Dramat dziejowy został zakończony...

Lecz znamy i epilog.

Zakład dla cywilizowania krajowców, w skutek zwiększania się liczby poddających się cywilizowaniu, z maleńkiéj wysepki Bruni w 1832 roku został przeniesiony na znacznie większą wyspę Flindersa, leżącą w cieśninie Bassa. Tam już przeto odsyłano sprowadzonych przez Robinsona do Hobart-Town.

Zakład był urządzony na sposób więzienia a raczéj koszar, z rygorem obowiązującym w tego rodzaju zakładach. Pierwszym dozorcą w nowéj miejscowości był niejaki Wight, sierżant dymisyonowany. On nigdy nie chciał w pupilach swoich uznać wtajemniczanych w dobrodziejstwa cywilizacyi dzikich, lecz zawsze ich miał za jeńców wojennych, za pokonanych wrogów, którzy przedtém tyle strachu wzbudzali w jego rodakach. Odpowiednio więc do swoich poglądów znalazł dla pomieszczenia ich miejscowość, na brzegu zupełnie otwartym, gdzie ni las ni wzgórza od wiatrów nie zasłaniały, a nawet wody słodkiéj nie było. Odpowiednio téż do swego usposobienia i postępował z nimi. A ponieważ zawsze do pomocy miał przebywających na wyspie rybaków, w okrucieństwie więc nawet obawą odwetu z ich strony nie był wstrzymywany. Lecz dzicy, działając pod wpływem instynktów jeszcze zupełnie nie stłumionych, zrobili rokosz. Sprawa doszła do rządu. Przewódcy zostali ukarani. Ale sierżanta odwołano.

W doborze nowych dozorców zakładu rząd dowiódł rzeczywiście dobréj chęci. Wight'a zastąpił kapitan Darling, człowiek dobry i wykształcony. Następcą zaś jego został w 1835 r. Robinson. Rzeczy się zupełnie zmieniły. Osadę przeniesiono w głąb wyspy nad brzeg jeziorka. Pobudowano małe ale schludne domki, otoczone ogródkami. Po domkach tych rozmieszczono rodziny krajowców. Sprowadzeni duchowni chrzcili ich, nadawali imiona, wtajemniczali w praktyki religijne. Na każdą godzinę wyznaczono stosowne zajęcie lub zabawę. Ścisły rygor bronił od wszelkich nadużyć. Dorosłych chłopaków i dziewczęta chłosta wstrzymywała od zdrożnych

w obec nowych zasad moralności postępków, prowadziła do moralności i przyzwoitości. Zapanował zupełny porządek.

Dorośli i starsi uczyli się rękodzielnictwa, uprawy roślin; dla przyzwyczajenia się do hodowania zwierząt domowych obdarzeni zostali owcami i krowami. Dla młodszych wiekiem i dzieci założono szkołę; uczyli się w niéj czytania, pisania, rachunków, geografii, historyi. Zwłaszcza wielki postęp robiła dziatwa w katechizmie.

Przechował się protokół egzaminu. W najniższéj klasie jeden z uczniów tak odpowiadał na zadane pytania. „Czy kochasz dyabła? Nie. Czy kochasz Boga? Tak. Czy możesz widziéć Boga? Nie. Co jest dyabeł? Ojciec kłamstwa. Co Bóg zrobił z żebrem Adama? Uczynił żonę mu.“ W wyższéj klasie zadawane były zapytania trudniejsze. I na nie odpowiedź trafną zawsze była: „Co jest w niebie? Bóg, aniołowie, dobrzy ludzie i Jezus Chrystus. Co jest niebo? Miejscem piękném. Co jest piekło? Miejsce mąk. Co cierpią w piekle? Ogień wieczny... Jaki tekst Mr. Dove czytał w przeszłą niedzielę? Parabolę o dziesięciu dziewicach“ (1).

I nikt by zapewne nie poznał w siedzących w ogrodzie na ławach pod domami, nad robotą ręczną, w wymytych, ostrzyżonych, w europejskie suknie przebranych, kobietach i mężczyznach a tych ostatnich nawet ogolonych, owych dzikich, którzy przed laty trzydziestu mogli jeszcze wszystkiego zazdrościć europejczykom, na których ci z taką wyższością słusznie spoglądali. I zdawało się, że ci ludzie dopiero teraz poznali co stanowi życie, gdzie leży jego urok. Patrząc zaś na dziatwę schludną, rozsadowioną w szkole w porządku, przez ich pilność, uwagę i postępy w naukach wskazanym, na zatopionych w tekst książki lub z chciwością śledzących każdy wyraz światłego nauczyciela, który nie tylko o rzeczach dawnych i dalekich, ale o wieczności całéj wykładał, że dopiero z téj szkoły wyjdą ci, co potrafią resztki ludu wprowadzić na nowe drogi.

Zaszło atoli coś, co świadczyło o pewnéj nieprawidłowości w ich rozwoju. Zasadnicze prawo wymiany, utrzymujące istnienie społeczeństw, zostało naruszone. Stosunek zwykły pomiędzy wypadkami śmierci i urodzeń zmienił się. Dorastający, dorośli i starzy wymierali szybko i gwałtownie, a liczba nowonarodzonych nie zrównoważyła ilości pogrzebanych, ilość urodzeń do normy zwyczajnéj nie dochodziła nigdy.

Wymierali, chociaż ściany domów i pokrycie zabezpieczały ich od wichrów i deszczów, a ubranie utrzymywało ciało w jednakowéj temperaturze, schludność oddalała pierwiastki szkodliwe dla zdrowia

(1) Bonwick: The last of the Tasmanians, str. 261—264.

od osób i z otoczenia; wymierali, chociaż pożywienia nigdy im nie zbrakło, a przyprawa pokarmów była bardziéj zastosowaną do organizmu ludzkiego. Nawet i opieka jeszcze bardziéj troskliwa, roztoczona nad młodzieżą szkolną, nie zabezpieczała ich życia. Nikt z uczących się nie doszedł wieku dojrzałego. Jedno tylko z dzieci sprowadzonych przez Robinsona dobiegło lat człowieka dorosłego, lecz ono dla braku zdolności do szkoły nie zostało przyjętém.

Nie rodzili się, chociaż nad czystością związków rodzinnych czuwały zasady religii chrześciańskiéj, chociaż wzajemnych ku sobie praw małżonków strzegły artykuły kodeksu cywilnego.

Osady tasmańskie porównać możemy do rozsianych po miastach europejskich ogrodów zoologicznych. A one wszak nie dla utrzymania gatunku zwierząt są zakładane.

Robinson dostarczył osadzie do dwóstu; połowę téj liczby — oddziały łowieckie. Tymczasem według urzędowych dat w 1835 na wyspie Flindersa było Tasmańczyków 100. W 1848 zwiedzający osadę Strzelecki zastał ich 54. W 1847 było tylko 44; mężczyzn 12, kobiet 22, dzieci 10, od lat 4 do 14. Cyfry te uderzały.

Garstka dogorywających krajowców zaczęła zwracać na siebie uwagę wielu i wysoko postawionych osób. Ich osobiste przymioty, powolność zupełna, spokój tchnący rezygnacyą, zjednywały życzliwość. Odwiedzał ich często *Governor* Denison, biskup Dixon, rozmaici podróżnicy, uczeni, różni szperacze naukowi. Przyjaciele ich sądząc, że zmiana miejscowości może korzystnie na ich zdrowie oddziałać, a powrót do rodzinnych miejsc ożywić, wyrobili u rządu postanowienie przeniesienia ich na Tasmanią. Denison przeznaczył na nową osadę wybrzeże w zatoce Ostryg. Byli atoli tacy, że w tym kroku rządowym dojrzeli niepotrzebnéj słabości, a dla kolonii wróżyli groźne ztąd następstwa. Anglików było już podówczas przeszło 80,000.

W październiku 1847 roku 44 pozostałych przy życiu Tasmańczyków stanęło na brzegach dawnéj swéj ojczyzny. Lecz ich ojczyzna dawna stała się dla nich obecnie domem pogrzebowym. Może i sami zbliżając się do niéj łudzili się, że warunki ich bytu zmienią się, może nie przypuszczali tylu i tak gwałtownych zmian na niéj. Tymczasem takie same domki, otoczone z ogródkami ich i w *Oyster Cove* przyjęły w swe ściany, taki sam porządek pochłonął ich istoty, a z dawnych wspomnień nic rzeczywistość nie budziła obecna. Może i zewnętrzne wpłynęły okoliczności. Niektórzy z ich przyjaciół powymierali, inni ich wraz z Tasmanią opuścili. Dla dozorców swoich stali się znowu przedmiotem do strzeżenia; ich istnienie—polem dla drobnych interesów i oszczędności. Dość, że stan rzeczy jeszcze się bardziéj pogorszył. Dawniejszy spokój przeszedł

w rozpacz. Mocne napoje stały się koniecznemi dla podtrzymania życia. Na nie szły zarobki wszelkie; w braku oszczędności nabywano je za ubranie i sprzęty, któremi obdarzał ich zarząd osady.

W 1859 r. odwiedzający osadę Bonwick zastał tylko 15 (6 mężczyzn i 9 kobiet). W 1869 umarł ostatni Tasmańczyk.

Był nim Wiliam Lanné. Ciekawe są losy jego. Rodzina jego stanowiła owych ośmiu ostatnich wolnych Tasmańczyków, których Robinson w 1835 r. sprowadził do Hobart-Town. Miał wtedy on lat do dziesięciu. Przewieziony na wyspę Flinders, uczęszczać do szkoły nie mógł dla braku zdolności. Wzięty jednakże na okręt stał się zdolnym marynarzem i lubionym przez towarzyszów kolegą.

W 1877 umarła ostatnia Tasmanka. Losy pozwoliły przeżyć wszystkich swoich téj, która tak gorliwie wspierała Robinsona w jego misyi uspakajania. Była to Truganina.

Krótkie zetknięcie się Tasmańczyków z Anglikami, oraz charakter stosunków zaszłych między obu ludami, przeszkodziły nawet powstaniu pokolenia metysów.

4.

Z jakiegokolwiek bądź punktu patrzylibyśmy na człowieka, przyznać zawsze musimy, że cechą główną jego jest twórczość. Ona pozwoliła mu istnieć, kiedy wszystko wokoło ginęło i przeobrażało się. Ona stanowi istotę rozwoju i podstawę cywilizacyi. Niszczenie, jako antyteza twórczości, budzi w nim wstręt i boleść.

Polem twórczości jest życie. Instynktowo więc boimy się śmierci. Celem twórczości — doskonalenie życia. Instynktowo więc cofamy się przed wszystkiém, co powstrzymuje owo doskonalenie. Instynkt stał się sumieniem. Sumienie nie pozwala odwrócić się od ofiary, owszem zmusza przypatrywać się jéj, poznawać ją, badać wszystko co się jéj tyczy, odkrywać prawdę częstokroć nawet wbrew swemu interesowi. W tym akcie właśnie leży kara.

Gdy ostatni Tasmańczycy dogorywali, James Bonwick, przybyły do Tasmanii by poznać ich i zbadać przyczyny wojny, zapytywał J. E. Caldera, długoletniego widza wszystkich wypadków, czy zdolni oni byli dojść do cywilizacyi. „Jes, undoubtedly“ (tak, bezwątpienia) brzmiała odpowiedź (1). Gubernator G. Arthur, za którego zarządu wysyłane były *oddziały łowieckie* i urządzona *wielka obława*, w urzędowem sprawozdaniu przedstawił ich jako prostą lecz bitną i, jak się zdaje, szlachetnemi popędami obdarzoną (noble minde)

(1) Bonwick: The last of the Tasmanians, str. 352.

rasę“ (1). Na czém więc było oparte twierdzenie pierwszego, określenie drugiego?

Podróżnicy, zwiedzający Tasmanią przed osiedleniem się na niéj Anglików, opisywali, chociaż to było owocem dorywczych tylko spostrzeżeń, obraz życia zewnętrznego jéj mieszkańców, tak jak się ono im w codziennym swoim biegu przedstawiało. Nie mając w znajomości języka klucza do ich pojęć, zadawalniali się tém, co widzieli, i podnieść zasłony z życia umysłowego nawet się nie kusili. W zupełnie odmiennych warunkach znaleźli się ci, którzy się zbliżali do Tasmańczyków osiedlanych w koloniach. Na co tamci patrzyli, dla tych już przestało istnieć. Regulamin więzienny zastąpił krajowcom dawniejszy tryb życia. Stosunki ich społeczne rozbiła utrata wolności i kraju. Lecz za to byli oni w stanie porozumiewania się z Tasmańczykami mową. Niektórzy bowiem z krajowców mówili po angielsku, niektórzy z Anglików nauczyli się języka tasmańskiego. Ta okoliczność otwierała nakoniec zakryty dotychczas przed obcymi świat wewnętrzny ginącego ludu, pozwalała wniknąć w ich życie umysłowe.

Lecz czy otwarła rzeczywiście? Czy chwila była stosowna do tego?

Życie, które prowadzili Tasmańczycy w osadach, przygnębiało ich. Wszelkie przygnębienie oddziaływa zgubnie na umysł, pozbawia go jasności, zacieśnia granice, tamuje polot. Jakże więc mogli wtajemniczyć innych w to życie, którém sami nie żyli w całéj jego pełni? Następnie Tasmańczycy zaniechali wszystkich praktyk odbywanych na swobodzie, utrwalonych przez zwyczaj, jako to rozmaitych zabaw, obrzędów. Z praktykami wiążą się pojęcia pewne. Zaniechanie praktyk pozbawia te pojęcia ich siły i treści. Nie będąc symbolizowane w czynach, zamierają. Daléj, od czego Anglicy zaczynali kształcenie Tasmańczyków. Od przekonywania ich, że wszystko co dotychczas wiedzieli, myśleli, czuli— jest błędném. Odkrywając więc swoje przekonania, Tasmańczycy bronić by je zarazem byli powinni. Przegrawszy zaś jedną walkę, jakże mogli występować do drugiéj? A czyż zresztą fakta same za Anglikami nie przemawiały? Przytém trwożliwość, konieczna w ich położeniu, zmuszała ich kryć się z wielu rzeczami. A nawet, pomimo zaufania do niektórych osób, czyż nakoniec mogli oni zapomnieć czém są Anglicy dla nich; czy przy takich stosunkach byli oni w stanie otworzyć przed niemi swą duszę, wyjawić im swe tajemne wierzenia, skryte myśli, odżywiające marzenia?

---

(1) Bonwick: The daily life of the Tasmanians, str. 9.

Z drugiéj strony sami ci Anglicy, którzy się stykali z Tasmańczykami, nie byli uzdolnieni do zrozumienia, a témbardziéj do odtworzenia życia ich umysłowego. Zwalczywszy z biegiem czasu odrazę ku nim lub niechęć, pokonawszy pod wpływem okoliczności obojętność, wnet przystąpili do uczenia. Uczenie zaś to zarazem z przekonania, jak téż dla skuteczniejszego oddziaływania, oparli na podkopaniu i wykorzenianiu wszystkiego, co czas mógł wyrobić w umysłach, do czego naturalny rozwój doprowadzić. Podkopując zaś i wykorzeniając, czyż dbać mogli o to, co niszczą, czy na to, według ich widzenia, warto było nawet zwracać uwagę. W najlepszym razie wszystkie pojęcia Tasmańczyków i wierzenia były dla Anglików *superstitions* (przesądy, zabobony) (1).

Wszystkie więc wiadomości otrzymane tą drogą, inną zaś drogą otrzymanych nie mamy, przedstawiają się jako spostrzeżenia luźne, jako okruchy zaledwo. Razem zebrane nie odtwarzają całkowitéj treści życia umysłowego. W każdym jednakże razie starczą, by wywnioskować na ich podstawie, że Tasmańczycy wstąpili już byli w ten okres rozwoju, od którego rozpoczyna się życie umysłowe w każdym narodzie.

Nie był Tasmańczykom obcy kult zmarłych. Ciała grzebali. Rozmaite były sposoby grzebania, stosownie do zwyczajów rodowych. W jedném miejscu ciało wraz z bronią zmarłego wkładano do wydrążenia w drzewie i otwór drzewem zakładano. W drugiém składano je na ziemi w postaci siedzącéj, usypywano nad niém mogiłę, następnie ogradzano płotem; w innéin zaś palono, a kości zpopielale starannie przechowywano. Zapytywani, po co kładą dzidę z ciałem, jedni odpowiadali, że tak zwykle robią czarni, drudzy twierdzili, że na to, by zmarły miał się czém bronić. Jedni wskazywali na gwiazdy, jako na miejsce pobytu zmarłych. Drudzy opowiadali o oddalonéj wyspie, na którą wędrują zmarli, gdzie się spotykają ze wszystkiemi przodkami, gdzie się stają białymi.

W kulcie zmarłych przeważała obawa nad innemi uczuciami. Nigdy imienia zmarłego nie wymawiali wyspiarze, a to z bojaźni, by przypadkowo wymówione swe imię zmarły nie poczytał za przywoływanie do życia, lub za niewłaściwe lekceważenie siebie, co mogło by wywołać jego zemstę. Ta ostrożna przezorność spowodo-

---

(1) J. Bonwick, oprócz kilkakrotnie wzmiankowanego dzieła *The last of the Tasmanians*, napisał drugie, poświęcone obyczajom, życiu społecznemu i umysłowemu Tasmańczyków: *Daily life and Origin of the Tasmanians*. W znaczeniu dla przedmiotu nie ustępuje ono pierwszemu. W rozdziale *Superstitions* znajdujemy obraz rozwoju umysłowego.

wała dziwny zwyczaj. Albo wyraz, który służył za imię zmarłego, wyrzuconym zupełnie bywał z użycia w mowie i zostawał zastąpiony innym; albo też przy obrzędzie wprowadzenia dorastającego młodziana lub dziewczyny do towarzystwa dojrzałych osób, na którym dopiero nadawano imiona, przewodniczący w obrzędzie szeptał na ucho wtajemniczonym wybrane dla nich imiona prawdziwe, które pozostając w taki sposób nieznane nikomu, po śmierci nie mogły być wymawiane; ci zaś nosili poprzednie nazwy, za właściwe imiona nie uważane.

Kult zmarłych nie był zjawiskiem oderwaném. Jak wszędzie pozostawał i na Tasmanii w ścisłym związku z kultem duchów wogóle. Wierzyli oni w istnienie duchów i aniołów stróżów. Pierwsze zawsze były źle dla ludzi usposobione. Zamieszkiwały jaskinie po górach, drzewa wewnątrz puste, doliny samotne. Jedne z nich były potężniejsze od drugich, a więc stanowiły już hierarchią. Aniołami stróżami zostawali ludzie zmarli, jeżeli ku żyjącym byli przychylni. W przeciwnym zaś razie również jak i duchy szkodzili żyjącym.

Wynalazłszy duchów, przyznawszy im władzę nad sobą, możność szkodzenia sobie, zdobyć się musiał człowiek i na sposoby zaradcze przeciw nim. Niemi są zamawiania, modlitwy, ofiary. Powstają więc obrzędy coraz bardziéj komplikujące się z czasem, obrzędy wymagają już ludzi biegłych, poświęconych im zupełnie. Ztąd powstają zaklinacze, wróżbici, kapłani. Tasmańczycy kapłanów jeszcze nie mieli. Lecz zaklinacze byli im już znani. Odpędzali złych duchów, leczyli chorych.

Zaklęcia i modlitwy nie improwizują się. Raz powstałe, ujęte w pewną formę odmienną od mowy zwykłéj, przechodzą z ust do ust, przechowują się od pokolenia do pokolenia. One to dają następnie początek poezyi religijnéj, z któréj powstawała zwykle powszechna. Istnienie pieśni religijnych u Tasmańczyków jest rzeczą dowiedzioną.

Porwane przez rybaków angielskich kobiety tasmańskie w czasie nieobecności długiéj swych mężów, śpiewały pieśni z żywą i jakby do osoby jakiéj zwróconą gestykulacyą. Melodya tych pieśni była rzewna i przyjemna (1).

Nie zawsze atoli ludzie mają wzrok utkwiony w ziemię. Z podniesieniem głowy obejmują oni przestrzenie po nad sobą. Myśl zaprzątnięta przeciwdziałaniem złym duchów zostawała nieraz wstrząśniętą zjawiskami w atmosferze. Regularne pokazywanie się ciał niebieskich na horyzoncie i zależne od tego zmiany dnia i nocy uczyło ludzi podziału czasu i porządku w czynnościach życiowych. Kult

(1) Bonwick: The daily life etc. str. 173.

duchów na ziemi w miarę rozwoju umysłowego ludzi pierwotnych ustępował przed kultem słońca, księżyca, gwiazd, aczkolwiek nigdy w całości nie ustąpił. Czy już Tasmańczycy doszli byli do kultu ciał niebieskich, nie wiadomo. Byli wszakże już na drodze prowadzącéj do niego. Słońce było dla nich istotą niewieścią; a więc tworzyć się zaczynały o niém myty. Na cześć zaś księżyca w czasie pełni wykonywali tajemnicze tańce, a raczéj przechadzki po lesie, w któréj jakby szukali kogoś lub czegoś ukrytego, oświecali więc pochodniami miejsce, po którém ostrożnie stąpali. Kobiety udziału w téj uroczystości nie brały. Z pośród gwiazd wyróżniali konstelacyą Oryona, W niéj upatrywali młodziana polującego na kangura, przedmiot miłości młodych niewiast, przedstawianych przez Plejady.

Umysłowy rozwój ludów pierwotnych skupia się w sferze pojęć, które my nazywamy religijnemi. Mitologia, staje się polem pierwszego kojarzenia ich, dociekania rzeczy skrytych, początku istnienia i przyczyn. Oto urywek z mytu zapisany z opowiadania jednego krajowca. „Dawno już to było. Mój ojciec, mój dziad i wszyscy owi (przodkowie) żyli w całym tym kraju. Ognia oni nie znali. Dwaj czarni ludzie przybyli. Spali oni u podnóża góry, góry w tym kraju. Na wierzchołku góry zobaczyli ich nasi ojcowie i ziomkowie. Na wierzchołku góry oni stali. Rzucili ogień niby gwiazdę. Padł ogień wśród czarnych moich ziomków. Oni się przelękli i uciekli od nich. Po jakimś czasie oni wrócili. Zebrali ogień i rozniecili stos drzewa. Od tego czasu nie zabrakło ognia na naszéj wyspie. Dwaj czarni są w obłokach. W noc czarną widzimy ich jako dwie gwiazdy (Kastor i Polluks). To oni przynieśli ogień moim ojcom“ (1)...

Nie mniejsze niż życie umysłowe przedstawiało trudności poznanie języka tasmańskiego.

Zgromadzeni z rozmaitych krańców wyspy do jednéj osady, Tasmańczycy siebie wzajemnie nie rozumieli. Powstało to ztąd, że będąc rozrzuceni poprzednio gromadami lub rodami po dość znacznéj przestrzeni, tylko z najbliższemi sąsiadami jak i wszystkie ludy pierwotne podtrzymywali stosunki. Odosobnienie takie prowadziło do powstawania narzeczy. Naliczono ich do dziesięciu. Wyrósłszy jednakże na pniu jednego języka, narzecza te różniły się z sobą słownictwem. Podstawy gramatyczne pozostawały te same. Dowiodło tego wyrobienie się w osadzie języka pośredniego dla porozumiewania się ogółu. Ten to dopiero język poznawali Anglicy.

Obeznani z językami plemion australskich twierdzili o wielkim podobieństwie języka tasmańskiego z australskimi; ci którzy znali ję-

---

(1) Bonwick: Daily life... str. 202.

yk mieszkańców wysp odleglejszych, np. Nowéj Kaledonii, to samo twierdzili o podobieństwie z kaledońskim. W każdym razie podobieństwo do australskich jest bardziéj stwierdzoném.

Poznając język tasmański Anglicy nie mieli na celu utrwalenie go przez pismo lub przez przechowanie pamiątek językowych, lecz względy czysto praktyczne. Nie zapisywali więc opowiadań, tylko oddzielne słowa; nie układali tekstu tasmańskiego, tylko listy wyrazów, i to najczęściéj nie trzymając się jednych zasad przy transkrypcyi, lub nie uwzględniając różnic dyalektycznych. Kilka jest zbiorów wyrazów. Nawet jeden (Dr. Milligana) zawiera ich dwa tysiące. Jednakże wskutek wadliwéj metody zbierania materyał ten językowy pozostał nieobrobionym i dotychczas jeszcze dla językoznawstwa ogólnego niewyzyskanym.

Różnicę dyalektowową a zarazem sprzeczności powstałe ze sposobu zbierania wykażą następne przykłady:

Słońce oznaczał we wschodniéj części wyspy wyraz *puggano-obra-nah*; w zachodniéj—*panubrynah*; w południowéj—*pallanubranah*. To według jednego zbieracza (Milligana). Inny podaje: *pnggalena*; jeszcze inny: *loina*, *paganooboya*; Labillardière: *panubere*.

Księżyc na wschodzie brzmiał: *wiggitena*, na południu: *weetah*—według jednego; tymczasem drudzy podają: *ooeta*, *weedina*, *luina*, *wena*, *betana*, *webba*.

Słowo *przychodzić*: na wschodzie—*talpeyawadeno*; na południu—*tutta watta*, według jednego; inni podają: *tarrabilgie*, *togannera*, *tial ieh*, *tepera*, *ganemora*.

Oto są niektóre zdania:

Lona tyennabeah mito—podaje mi kamień.

Umgamlea nangeena—gdzie jest ojciec.

Lowanna olle tubbrana—kobieta plecie kosz.

Malongeebeah—dziecię jest małe.

Kalungunya tagumena liyetitta—łabędź pływa po wodzie.

Tagantyaryak—on jest zły człowiek (*).

Jako dowód rzeczowy i bezpośredni zarazem istnienia Tasmańczyków, pozostalo kilkadziesiąt (54) czaszek i kilka (6) szkieletów (**). Jako dowód pośredni—kilkanaście rysunków i fotografii, przedstawiających postacie Tasmańczyków i kilka ulepionych z gliny ich po-

(*) Bonwick: Daily life... str. 162, 164.

(**) Cztery szkielety i największa ilość czaszek znajduje się w zbiorach angielskich (26). Paryż posiada 9; Berlin, Wiedeń i Wrocław po jednéj, Hobart-Town—16 czaszek i dwa szkielety.

piersi (1). Taka spuścizna stać się może przedmiotem badań antropologa. Jakoż tylko w antropologii opisowéj, częściéj niż w innych naukach tyczących się człowieka, spotykamy nazwę tego ludu zniknęłego, w antropologii więcéj niż w innych dziełach znajdujemy jemu poświęconych kart. Tylko więc antropologia może odkryć nam miejsce tego ludu wśród rodziny ludzkiéj.

Ludy oceanijskie przedstawiają obecnie cztery odrębne typy. Są to australczycy, polinezyjczycy, papuowie, negryci. Z każdym z typów Tasmańczycy mieli coś wspólnego, ale zarazem przedstawiali takie cechy, które ich od niego oddalały. I tak. Pomiary czaszek wykazały, że Tasmańczycy byli długawogłowi (subdolichocefale 76, 11—78, 88); ściany skroniowe prawie prostopadłe; pośrodku sklepienia czołowego wzniesienie łódkowate; prognatyzm nie większy jak u europejczyków. Australczycy i papuowie są długogłowi (dolichocefale). Negryci—krótkawogłowi (subrachycefale). Tylko polinezyjczycy są również jak Tasmańczycy długawogłowi (76, 30); a nadto, ich czaszki przedstawiają również wzniesienie łódkowate pośrodku sklepienia czołowego, aczkolwiek znacznie mniejsze. Tak więc ustrój głowy zbliża Tasmańczyków bardziéj do polinezyjskiego typu niż do innych oceanijskich. Lecz za to oddala ich od typu polinezyjskiego barwa cery i uwłosienie.

Tasmańczycy byli bardzo ciemni; cera ich brunatno-czarna przedstawiała odcień kasztanów lub czekolady. Włosy mieli czarne, kędzierzawe. Rosły one krzaczysto, jakby pęczkami i zwijały się w długie sploty. Zarost u mężczyzn był silny; wąsy tylko stosunkowo do brody, lub bokobrodów były nie wielkie i nikłe. Co témbardziéj uwydatniało grubą i nad dolną znacznie wystającą wargę górną. Kobietom na starość rosły bokobrody. Cera przeto a zwłaszcza sposób rośnięcia włosów, zbliża ich do papuów i negrytów.

Od najbliższych sąsiadów, Australczyków, z którymi często pod względem intelektualnym a nawet powierzchowności porównywują Tasmańczyków, oddalały ich oprócz ustroju głowy, jeszcze cera skóry, u tamtych jaśniejsza zwykle, i włosy. Australczycy mają włosy prosto, równo i gładko rosnące.

Oczy Tasmańczyków czarne, wielkie, horyzontalnie a głęboko pod sklepieniem czaszkowym osadzone, okolone bujnemi, w lekki łuk zagiętemi brwiami, opatrzone dlugiemi rzęsami, były ruchliwe, ożywione, wyrażały wszelkie uczucia i gwałtowne ich zmiany a dobrze ku nim usposabiały obcych. Czoła mieli prawie prostopadłe

(1) Najbardziéj rozpowszechnione przez sztukę europejską są postacie: Truganiny, jéj męża, Unreddego, Manalagany i Wil. Lannego.

i dość wysokie. Tylko w wielkich puklach lub kędziorach spadające na nie włosy, zasłaniały je i nadawały całéj postaci, zresztą proporcionalnéj, lekkiéj i zwinnéj, charakter dzikości. Rozwój czaszki objętością przewyższającéj nie tylko czaszki australczyków ale wszystkich czarnych, nawet na wyższym stopniu cywilizacyi od nich stojących, wskazuje uzdolnienie *in potentia*.

Na podstawie tych danych Antropologowie uważają Tasmańczyków za osobną rasę, czystą, niezmieszaną, która do końca swego istnienia czystość krwi przechowywała w zupełności (1).

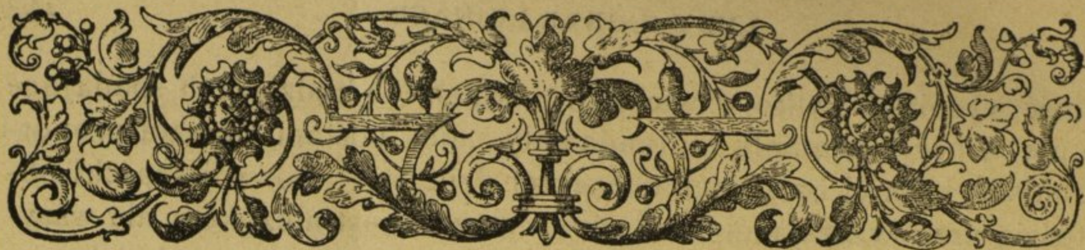
Z wygaśnięciem ich znikł piąty typ ludności oceanijskiéj.

---

(1) Quatrefages, Hommes fossiles et hommes sauvages, str. 313. Cf. P. Topinard: l'Anthropologie, 516—518.

Ign. Radziński.





Z POEMATU
„KNIAZIOWIE ROŻYŃSCY.“

VII.

Widmo przeszłości.

Trzeci dzień dzwony kamienieckiéj fary
Łzy swe spiżowe bezustanku ronią;
Wtórzą im wszystkich wież żałobne gwary,
Echa daleko w okolicę gonią,
W rozdźwięku gubiąc się miękkim, łagodnym,
Het, za Smotryczem, co nurty przelewa
Wśród skał spienione. Na jasnym, pogodnym
Błękicie niebios, kir z baszty powiewa.
Razwraz zamkowych posadami dzielnic
Salwa dział wstrząsa, dawana ze strzelnic.

A już i smętne zdala słychać chóry;
Wyruszył z fary korowód ponury
I wolnym krokiem do zamku się zbliża.
Słońce się rzuca wprost w ramiona krzyża,
Co długie rzędy wiedzie księży, bractwa,
Szlachty, rycerzy i drużyn cechowych.
Zewsząd się ciśnie do mar tłum biedactwa,
Rohatynami pachołków grodowych
Powstrzymywany. Blaski i bogactwa
W obliczu śmierci nawet, swych niezdrowych
Nie tracą ponęt, żądzy nie osłabią
Ludzkiéj — z mar jeszcze oko kuszą, wabią.

Pawie obsiadły mur zamku i wrzaskiem
Przedrzeźniać zdają się dzwony i działa —

Może je korci, z takim hukiem, blaskiem
Pośmiertna dzisiaj oddawana chwała
Temu, którego zajęciem jedynem
W ostatkach było ciężkiego żywota,
Drażnić je ciągle swoim karmazynem?
A może górę dziś wzięła tęsknota
Nad pychą — ptaki z żalu się zanoszą,
Że kir tu zamiast karmazynu wnoszą?

Orszak w dziedziniec wkroczył, kędy stągwie
Płoną ze smołą i żagwie na szczapach.
Widać we środek wziętą przez chorągwie
Trumnę, przed którą konie w ciężkich kapach
Po ziemię, wiodą śpieszeni giermkowie;
Za trumną postać niewieścia, odziana
Żałobą, w kwefie, co spięty na głowie
Do ziemi spływa, boleścią złamana
Cichą, znać ciężkiéj doświadcza dziś próby.
A daléj rycerz, klejnot dźwiga rodu,
Który dziś z jego rąk dziejów cheruby
Wezmą w niebiosy, imieniem narodu,
Gdyż zmarły, lubo znak swój stary wsławił,
Jednak dziedzica dłoń nie pozostawił....

Ośmackim cugiem dobranych drygantów (1)
Pan wojewoda na zamek przybywa
Po raz ostatni; śmiertelnych kurantów
Odzew z wież jemu to teraz wygrywa.
Ze złotolitych całun amarantów
Trumnę i rydwan wspaniały pokrywa,
Co się zatrzymał przed kapliczną broną,
Mroczną, bezdenną, jak wieczności łono.

Kaplicę zaduch napełnia, gryzący
Swąd spalonego wosku i jałowca;
W pośrodku licznych rzędów świec stojący
Tapczan, na czarném dnie swego pokrowca
Cały upstrzony jest w śmierci znamiona,
W czaszki, co zęby szczerząc nad klepsydrą,
Zdają się dumać nad tém, kto dziś skona,
Przemyślać, rychło życiu łup znów wydrą;

(1) Drygant, ogier szlachetny.

A teraz, kiedy ustawiono trumnę,
Z zadowoleniem zdają się uśmiéchać
I na obecnych oczy swe rozumne
Zwracać z pytaniem: „Cóż tam zresztą słychać
„Panowie bracia? senatory dumne?
„Długo tam jeszcze waszmościowie wzdychać
„Dacie nam, sami słoneczkiem pieszczeni?
„Ach! ach! ach! mróz nas przenika do rdzeni!..“

Obrzęd żałobny odbywa się daléj
Z okazałością wielką i powagą;
Kapłani psalmy wszystkie odśpiewali,
Rycerz u trumny skruszył klingę nagą,
Znak též herbowy na tarczy już starty—
W dziedzińcu dziwnie chorągwie szeleszczą,
Konie prychają, grób czując otwarty,
Od ryku armat węgły baszt aż trzeszczą,
Dzwony ochrypły, spór wiodąc zażarty,
Sieroty pawie coraz głośniéj wrzeszczą,
Jakby wiedziały, że w kaplicznym lochu
Złożono właśnie pana — proch do prochu!...

* * *

Ach, jakże zimna jest taka wspaniałość!
Łza ją przeważy jedna — cicha, rzewna...
Jak zbladła przy niéj, jeśli była, żałość
Ludzka — jak dziwnie weselu pokrewna
Żałoba taka, pełna zgiełku, tęczy!...
Ucichło wszystko; — w posępnéj otchłani
Kaplicy, jedna tylko postać klęczy
U owéj mrocznéj a głuchéj przystani,
Do któréj właśnie nieboszczyk zawinął
Po srogich burzach długiego żywota.
Pan wojewoda w młodszych latach słynął
Równie z rycerskiéj fantazyi, z brzeszczota,
Jak i z rozumu statysty, nad innych —
A umiał godzić z krewkości szaleństwy
Dzieła, co rzymskich senatorów słynnych
Zawstydzić mogły. Tak więc dostojeństwy
Obsypan, z gniazda pan fortuny znacznéj,
Na ziem podolskich pierwszym się urzędzie
Znalazł niebawem; pozór dawał baczny

Na ten próg kraju, o który w rozpędzie
Pierwszym, straszliwą uderzał nawałą
Srogi bisurman. Przez ćwierć wieku prawie
Urząd ten pełnił z pożytkiem i chwałą;
Jakoż nietylko domowe bezprawie
Gięło się przed nim: wojewody imię
Poznano dobrze i w Rzymie i w Krymie.

Możny pan jednak nie zaznał tu miru —
Ogół w nim pychę widział niepomierną;
Syn mu jedyny nikł, do monasteru
Wstąpił i wkrótce Bogu duszę wierną
Oddał w młodości. Za nim rychło poszła
Jejmość — zostały dwie córki sieroty:
Młodsza, Wasylia, lat prawie nie doszła,
Kiedy z ojcowskiéj wydarł ją pieszczoty
Hymen okrutnik — biedną! wydarł na to,
By z niéj w rok późniéj Tatarom dać brankę....
Sędziwy ojciec, już nad tą się stratą
Nie mógł pocieszyć. Szklankę i hulankę
Precz wyrugował, nikogo nie prosił
Na zamek, kędy wrzało dawniéj życie —
Całemi dniami swe pawie komosił, (1)
Które sam z ręki zwykł karmić obficie
Gdy się nad niemi dość już nawynosił.
Dniami zamykał się, mówiono: skrycie
Układa plany wielkie, o koronie
Marzy, i z przyszłą elekcyą wystąpi;
Teraz już nawet zasiada na tronie
W swéj zegarowéj sali, a tak skąpi
Gościnnych progów młodszéj swojéj braci,
By jéj już teraz z przyszłym majestatem
Nie spoufalić... Co prawda, z postaci
Nikt go nie widział dawno; całym światem
Był dlań ów zamek na skale, wyniosły.
W radzie królewskiéj nie brał też udziału;
W chórku, za kratą, jak mnich badał posły
W sprawach publicznych. Słowem, w mocy szału
Czy też obłędu dni trawił ostatek,
W uczuciach wystygł, w umyśle zdziecinniał;

(1) Komosić, rozbestwiać.

Ogół mu nadał miano „majestatek“ —
Ni wiek go, ani los nie uniewinniał.

Spytacie: jak więc zadaniu mógł sprostać?
Strzedz kresów, w które wciąż wróg bił potężny?
O! na tak ważnym nigdyby się ostać
Nie mógł urzędzie starzec niedołężny,
Gdyby nie dziwny zaiste przypadek.
Na wschodnich kresach Rzeczypospolitéj
Tak tajemniczych jeszcze i zagadek
Pełnych naówczas — w krainie zakrytéj
Nieledwie całkiem jeszcze oczom świata,
Rzeczy do wiary prawie niepodobne,
Kryjome, działy się już długie lata...
Potencya nowa jakaś i osobne
Jakieś rycerstwo, nieznanego znaku,
Urosły nagle na Dnieprowym niżu;
One straż teraz dzierżyły na szlaku
Czarnym i innych; a tak wielka w krzyżu
Była ich ufność i siła i męstwo,
Że Ruś nieszczęsna odetchnęła nieco,
Jakby odwieczne już teraz przekleństwo
Bóg zdjął z téj ziemi, kędy czaszki świecą
Wśród grzędy kwiatów — powstrzymał się z karą,
Przebłagan owych rycerzy ofiarą.
Nikt tajemniczéj téj dotąd potęgi
Zbadać nie zdołał, choć rozgłos jéj czynów
Nietylko w bliższe Naddnieprzu okręgi,
Nietylko echem pod niskie Rusinów
Zabiegał strzechy, lecz szedł coraz daléj,
Tak, że dziś Stany i sam król jegomość
Już owych wieści błogich zaznawali.
Ciągle téż nieśli do kraju wiadomość
O tém kryjomém rycerstwie, z jasyru
Dzielnością jego wyzwoleni brańce;
Krótko: Podole zażywało miru
Jak nigdy przedtém; łupieżczy pohańce,
Rwani na stepie, poniechali żéru
Za Bohem, Dniestrem; stare zamków szańce
Zwolna zmieniły się w ogrody strojne —
Miał wojewoda władanie spokojne!

W smutku, nieszczęściu, starości, chorobie,
Córka mu starsza jedyną podporą
Była i ulgą; lecz i ta w żałobie
Życie trawiła, jedną prawie porą
Z ojcem, doznawszy zabójczego ciosu,
Który nazawsze serce jéj zakrwawił.
Czy z wyższéj woli, czy zrządzeniem losu,
Jéj narzeczony, co się był już wsławił
Cnotą rycerską w wojewódzkich znakach,
Choć młody jeszcze kawaler — wśród zwiadów
Z chorągwią swoją na tatarskich szlakach
Bez wieści zginął. Odtąd nawet śladów,
Jakiemi wojna każdy krok swój znaczy —
Rycerza ani owego pogromu
Nie odszukano. Po pierwszéj rozpaczy,
Wojewodzanka łzy już tylko w domu
Zbierała ciche, a lubo lat szereg
Długi od czasu straty téj upłynął
I marzył jéj się cichy monasterek —
Przecież niepewność, czy żyje, czy zginął
Ścibor, nadzieja, że może powrócić,
Powstrzymywały ją w postanowieniu.
Czuła téż, że jéj nie wolno porzucić
Rodzica swego, który w otoczeniu
Całém przyjaznéj nie miał duszy jednéj,
A z dniem jéj każdym potrzebował więcéj.
Śmierć jego była poniekąd dla biednéj
Z mąk wyzwoleniem, bo lubo dziecęcéj
Zdziwaczałemu, choremu starcowi,
Wcale miłości nie szczędziła, troski,
Nikt przecież czyśca tego nie wysłowi,
Jaki z nim przeszła, znosząc wyrok boski
Z całem poddaniem i czołem pogodném.
A teraz, kiedy jéj zabrakło oto
Téj męki, sercem władnęła swobodném —
Teraz już zgoła samotną sierotą
Na wielkim uczuć się musiała świecie,
Błędnym pielgrzymem wśród tego manowca,
Co taki ludny, a tak głuchy przecie
Jest dla sieroty, jak wnętrze grobowca,
Nad którym, kiedy już umilkła pycha
Owa pośmiertna i gwary cerkiewne,

Klęczała, dłonie załamawszy, cicha,
Łzy jeno roniąc obfite a rzewne.

Bóg jeden widzi te łzy... ha! i drugi
Ów człowiek jakiś smutnego oblicza,
Co zda się przylgnął ciałem do framugi
Bocznéj kaplicy, która mu użycza
Niewidzialności głębią swego wnęku.
Z postaci, stroju, mógłby być pielgrzymem...
Strudzoną głowę opiera na ręku
I w jałowcowym mroczną jeszcze dymem
Przestrzeń kaplicy zagłębia spojrzenie,
Jednéj nie tracąc łzy z tych, co płynęły
Z oczu klęczącéj sieroty niebogi.
Jednego ruchu rąk jéj, co się gięły
Boleścią, grobu obejmując progi,
W nadziei może, że u zimnych głazów
Da się coś jeszcze wybłagać, wyżebrać,
Cofnąć moc jeszcze niebieskich rozkazów....
Pielgrzym się wstrząśnie czasem, jakby zebrać
Siły chciał, wolę, na coś się odważyć,
Od czego jednak wstrzymuje go zawsze
Przemagający rozmysł; — to znów marzyć
Zda się spokojnie, oczy wtedy łzawsze
Wznosi do krzyża, co lampy wieczystéj
Oblany światłem, do swéj aureoli
Przyjmuje chętnie każde piersi czystéj
Westchnienie — echo każde ludzkiéj doli.

Wojewodzanka widocznie, biedactwo,
Rozstać nie może się z grobowca progiem.
Widząc swe smutne na świecie tułactwo,
Długo się z sercem naradza i z Bogiem;
Szeptem, co raczéj jest głośném wzruszeniem,
Rozmawia z duszą. Człowiek nieznajomy
Słysząc to, jeszcze staranniéj się cieniem
Otulił teraz, sam jak cień znikomy —
Powstrzymał oddech, wzrok i słuch wytężył
I te z jéj szeptu mógł pochwycić słowa:
„Młodość i serce los mi już zmitrężył,
„Dusza przynajmniéj czysta się zachowa
„Dla światła Twego, zbawco mój i Boże!

„Wolnoż mi jeszcze mieć nadzieję? czekać?
„Gdzież mi ostoja, jeśli nie w klasztorze?
„Mamże Cię kusić, Panie, dłużéj zwlekać?
„Ach, sama! sama! na takie przestworze!
„Dokądbym indziéj miała iść, uciekać?
„Gdy tego sam już czas nie przeinaczył,
„Niech mi się ziści, Panie, coś przeznacył!

„Dawno ja z świeckich tęsknot i dziewczyny
„Marzeń obrana, mniszką prawą kroczę
„Przez smutne życie; krzyż mój cel jedyny!
„Cóż, że się jeszcze murami otoczę?
„Cóż że odprawię śluby, obłóczyny?
„Poświęcę chyba te marne warkocze,
„Te bielejące już umartwień sploty,
„Co nie zaznały tu nigdy pieszczoty.

„Jakby pod klątwą, ród mój nieszczęśliwy
„Zeszedł—grobowca jego stoję stróżka,
„O grób dla siebie troszcząc się godziwy...
„Ach, czemuż obok drogiego staruszka
„Rodzica, nie mam miejsca, przez Bóg żywy!—
„Więc się przytulę do Twego podnóżka
„Ojcze niebieski! wśród osamotnionych
„Murów, by drogich płakać zaginionych!

„Może łzy mniszki i rzewne westchnienia
„Nieszczęsnym moim, w jasyrze, przyniosą
„Pociechę, ulgę w trudach przeznaczenia;
„Niebieską może na dusze ich rosą
„Padną, łagodząc smutki i cierpienia.
„A to okupić mogę jedną kosą
„Méj biednéj głowy—taką ceną małą!..
„Wybór zrobiony, Boże!—Już się stało."

Powstała z kolan, spokojna i mocna
Postanowieniem, a z lica tak smętna,
Duchowa, jako godzina północna
W ludzkiéj postaci. Wśród rysów jéj, piętna
Dopatrzyć łatwo niezwykléj urody,
Jaką w swych młodszych lśnić musiała latach;
Starszą, zawiędłe czynią ją jagody,
Co jeszcze bardziéj przy żałobnych szatach

I smutnych oczach, zdają się woskowe,
Gdyż narcyz w licu jéj zastąpił różę.
Słuszna, wyniośle małą nosi głowę,
Gasnącym blaskiem płoną ciemne, duże
Oczy, a lśniące brunatne kosmyki
Bujnych jéj włosów, które nie wiek, ale
Troska w srebrzyste upstrzyła promyki,
Z pod kwefu biegną ku stopom, jak fale.
Szła ślepo; wzrok ją, dnia blaskiem wiedziony,
Pociągał ku drzwiom—lecz zaledwie kroków
Zrobiła kilka: „Chrystus pochwalony!“
Głos ją doleciał, co z kaplicznych zmroków
Zdał się wychodzić i na wskróś przenikał,
Jakby był echem starego grobowca—
A dziwnie z sercem sieroty się stykał.
Wojewodzanka, nie widząc wędrowca,
Nie oglądając się nawet w tę stronę,
Dłoń wyciągnęła ku niemu z jałmużną—
A głos się ozwał znów: „Świętą skarbonę
„Dzierżę ja, panno; któréj jesteś dłużną
„Nie tylko grosik ten srebrny, maleńki,
„Ale i dłoń tę, co mi go podaje...
„Szczególny, powiesz, żebrak!—żąda ręki
„Wojewodzanki, na rozległe kraje
„Słynnéj z dostatków, rodu!—O zaiste!
„Strasznyś waćpanna zrobiła dziś wybór...“

Ona nie patrzy, ale słucha. „Chryste!“
Krzyknęła nagle spojrzawszy nań—„Ścibor!“
I stoi niema, dłonie swe złożywszy
Jak do modlitwy; naprzód się pochyla
W nieznajomego błędny wzrok utkwiwszy,
A każda, każda mijająca chwila
Blaski roznieca w oczach jéj, szczęśliwszy
Wyraz w jéj licu, które już umila
Uśmiech tak błogi, jak na twarzy świętych
Odblask męczeńskich palm, w raju uszczkniętych.

A pielgrzym okiem płonącém, choć suchem,
W nią się wpatruje, wzruszeniem przybity;
I tylko głowy, ramion swoich ruchem
Zdradza, że człowiek jest, a nie spiż lity.
Ona też rzecze: „Jeśliś nie jest duchem,

„Do mnie wysłanym tu z wieczności skrytéj,
„Na pokuszenie, żem grobu w klasztorze,
„Chciała już szukać—to przemów, Ściborze!
„Dotąd ja tylko sercem cię poznaję,
„Najmilsze mojéj przeszłości jawisko!
„Zmysły zamroził czas; gdy lód ich staje,
„One też swoje poznają ognisko.
„Jakież tak długo więziły cię kraje?
„Losy?—zkąd nagle stanąłeś tak blisko
„Dawnéj... sieroty?—Widzę po krzyżyku,
„Żeś tu pątnikiem szedł, mój nieszczęśniku!
„Krzyżyk ten dałam ci ja dla ozdoby
„Rycerskiéj raczéj, by drogą husaryę
„Olśniewał chwałą—on zaś do żałoby
„Wiódł cię i całą przejść kazał Kalwaryę!
„Ach, bo i cóż tu dziś zastałeś? groby!
„Kir i sierotę!—Cóż? poznałeś Maryę,
„Którąś miłością darzył czystą, jawną,
„Którąś nazywał swoją—kiedyś! dawno!..“

Tu pielgrzym piersią przebraną wybuchnął:
„Nie znałbym ciebie, którą zwałem swoją?
„Takżeby łatwo więc czas urok zdmuchnął,
„Jakim anieli serca ludzkie stroją?
„Chybabym grobem już i trupem cuchnął—
„Lecz rany moje, przeciwnie, się goją,
„Gdy patrzę na cię, słyszę twój łagodny
„Głos—serca mego śnie ty nieodrodny!

„Więc najprzód stopy pozwól ucałować
„I szat twych rąbek do ust mi przycisnąć,
„Żeś potrafiła mnie dotąd zachować
„W pamięci, w sercu! Ileż to już prysnąć
„Związków w tym czasie mogło i szwankować
„Ślubów, najświętszych! Ach, nigdy mi błysnąć
„Nie śmiała nawet gwiazda miłosierna,
„Że ty pamiętasz o mnie, duszo wierna!

„Jednak—o Boże! Ty mnie słyszysz, jużci!—
„Myślą o tobie zbywałem terminy
„Owe czyścowe, co w jęctwa (1) czeluści

(1) Jęctwo, niewola.

„Rok wiekiem robią, a rokiem godziny;
„Tusząc, że jeśli Bóg kiedy odpuści
„Nieszczęśliwemu grzesznikowi winy,
„Ojczyznę ujrzéć da i swe kochanie,
„Jedno modlitwą twoją to się stanie!

„A toż i widzę, ile to z tych smutnych
„A szczerych oczu łez musiało spłynąć;
„Z piersi, w uczuciu dla mnie tak rozrzutnych,
„Ile się westchnień musiało wywinąć
„Przez długi szereg owych lat pokutnych,
„Co nigdy, zdało się, nie zechcą minąć,
„Gdy niespodzianka, równa świętym cudom,
„Kres położyła tęsknocie i trudom.

„Tę niespodziankę, jako pacierz wiernie
„Ja ci opowiem; lecz ty mi tymczasem
„Swoje, nieszczęsna, wbij też w serce ciernie...,
„Poczekaj! —pójdę sam żałobnym lasem,
„W którym przepadłem, jak kamień w cysternie...
„Pamiętasz? z jaką otuchą, hałasem
„Szliśmy z Eustachym na podjazd ostatni,
„Ani złowrogiéj przypuszczając matni?..

„Zasadzka była w brodzie Jahorlika!—
„Co legł trup gęsty, to popłynął z wodą—
„Zduszeni, ośmiu ze stu, idziem w łyka.
„Na targi owe bezecne nas wiodą,
„Gdzie rozpacz ludzka kamienie przenika—
„Gdzie obok dziecka nieraz, brankę młodą
„Kupczą, a starzec włos rwie niedołężny...
„Kupił nas basza Bajrutu potężny.

„O ty aniele mój orędowniczy!
„Mógłżebym kiedy ujść szpon Antychrysta,
„Gdyby nie owe, których nikt nie zliczy
„Łzy twe i modły?—Jak lampa wieczysta
„Dusza twa płonie tu świętemi zniczy;
„A jako w Bogu duch z ducha korzysta,
„Tak mi zbawienie przyszło łez twych ceną,
„Jak sama uznasz to... Posłuchaj jeno!

VIII.

Marya i Amina.

„Z kniaziem Eustachym“—mówił pielgrzym, dłonie
„Złożywszy obie na swoim kosturze—
„Z kniaziem Eustachym, a w dość liczném gronie
„Druhów niedoli, zaniosły mnie burze
„Srogiego losu aż za morskie tonie.
„Com widział, przecież sto razy powtórzę:
„Cudny jest wielki świat—ale w tym cudzie
„Nic nie dorówna szaréj, polskiéj grudzie.

„I to powtórzę: że lubo ogromny
„Ten świat, w Wszechmocy niknie nieboraczek.
„Dziwna! że kiedym był w umyśle skromny,
„Życia nieświadom, zgoła jeszcze żaczek,
„Wtedy Bóg wielki tak mi był przytomny
„Jakby rówieśnik—a zaś ziemski maczek
„Zdał mi się górą; gdy dziś mi i morze
„Małe, a Ciebie nie ogarniam, Boże!...

„I to powtórzę: że wszędzie i wszędzie
„Napotkasz serca, co po ludzku biją;
„Że kwiaty znajdziesz i na Turka grzędzie.—
„Że się gadziny w pośród kwiatów wiją
„Jednako w świecie; że jeśli w tym względzie
„Ojczyzna zawsze najmilsza: niczyją
„Jest to zasługą, a jedno słodyczy
„Większéj serc bratnich, słodkich i w goryczy...

„Pan nasz, Saracen możny a dostojny,
„Dość ludzki nam się okazywał, jeńcom.
„W pracy pędziliśmy żywot spokojny,
„Już to w ogrodach pieląc, już téż żeńcom
„W polu przewodząc. Wieczne tylko wojny
„Z tęsknotą, to nam biednym potępieńcom
„Przypominały, że się pasiem chlebem
„Niewoli.. Polska zdała się nam niebem!

„Ach, ileż razy, gdy słowik zakwili
„W zaciszny wieczór, my smutni, ubodzy,
„Pytamy siebie: Czy tam nasi mili

„Gruchają o nas? Czy jeszcze na wodzy
„Serca, oddane nam, dzierżą w téj chwili?—
„Miesiączek zeszedł, a my: Nasi drodzy
„Pewno nań patrzą także, a wzdychają—
„Bywało, serca się nam z żalu krają!—

„Rok pierwszy jęctwa wlókł się nam najdłużéj—
„Dni liczym... a tu z kraju ani echa!
„Pamiętam—kiedy z jesiennéj podróży
„Pierwsze tam boćki przyszły: płacz! uciecha!
„Łapią je w polu, szukają obróży
„Na szyjach—rzewna, święta nasza strzecha
„W duszy każdego staje jako żywa
„Z tym ptakiem swoim—boleść pierś rozrywa!

„Dopieroż, kiedy ten ów na zdrowiu
„Szwankować pocznie—dwóch śmierć nam wyrwała—
„Stwórco!—te dusze nasze, jak z ołowiu
„Ulane, same wypadały z ciała!
„Tęskność kamieniem gniotła nas w wezgłowiu,
„Tęskność cierniami łoże nasze słała,
„Z bratem gotowibyśmy staczać bitwy—
„Usta od świętéj odwykły modlitwy!...

„Ty płaczesz Maryo? ach, nie na to przecie
„Wróciłem do cię i powieść tę smętną
„Zacząłem, aby jak na minarecie
„Mołłah wyjący, lodem ścinać tętno.
„Czyż nie wylałaś dość już łez na świecie?
„Żeś tylko moich mąk była pamiętną!—
„Ukój się, droga! Wszak tam także bielsze
„Mieliśmy czasem chwile i weselsze.

„Bo kiedy miną czasy strasznéj próby,
„Bywało, dziwnie jesteśmy znów rzewni,
„Wiecznéj przyjaźni ponawiamy śluby,
„Wszyscyśmy sobie znów najbliżsi krewni;
„I jakby wyżéj nam urosły czuby
„Chodzim ni pawie, przyszłości swéj pewni—
„Sen nasz spokojny—ach, Boże kochany!
„Jakież to różne układamy plany!...

„Twojego serca wtedy miodem żyłem!
„Nic mi, że wróg się z łez moich natrząsa;

„Obrazem twoim łagodnie prześniłem
„Niejedną długą noc, choć w dzień mną wstrząsa
„Dreszcz, cień tęsknoty;—wspomnieniem twém miłem
„Rany goiły się, gdy mnie pokąsa
„Bywało rozpacz... A zawsze nademną
„Stał kniaź Eustachy, z pociechą wzajemną.

„Z kniaziem, uczciwém, rycerskiém się słowem
„Związałem zaraz w początku niedoli,
„Że gdy jednemu z nas, Bóg z ciałem zdrowem
„W miłe te strony powrócić dozwoli—
„To ten tak długo cieszyć się swém nowém
„Życiem nie będzie, nie spocznie, a z woli
„Własnéj z sandałów kurzu nie otrzepie
„I strzechy własnéj nad głową nie sklepie—

„Dopóki bratu drogiemu w jasyrze
„Pomocy nie da... A śluby te czyste
„Słyszał Bóg—spełnić więc trzeba je szczerze"...
Przerwie mu tutaj Marya: „O zaiste!
„Godneście bark swych wzięli na się krzyże,
„Wielkie wy dusze! Dajże wam, o Chryste,
„Do celu dobić. Z serdeczną ochotą
„Dla ślubu tego znów będę sierotą!"

I na kolana padła i gorące
Usta do jego przytulała dłoni—
A on jéj głowę wziął na piersi drżące
I pocałunek złożył na jéj skroni.
Światło, u stopy krzyża migocące
Zda się, że teraz tęcze same roni,
A zaś Król Męki ów, Ukrzyżowany,
Z błogim uśmiechem patrzy na swe rany...

„Bóg-że ci zapłać mój aniele za to!"
Rzecze znów Ścibor—„miałbym na sumieniu,
„Żem cię tą nową znękał jeszcze stratą,
„Zamiast oszczędzić. Lecz ukryty w cieniu
„Mrocznéj kaplicy, nad ową komnatą
„Wieczności, widząc cię w straszném zwątpieniu,
„Tęskniącą jeno za cichym klasztorem—
„Musiałem zejść cię—przeszłości upiorem!

„Poniechaj myśli o sieroctwie wszelkiéj,
„Duszo ty moja! Jest jeszcze Bóg w niebie!
„Ojciec litośny On równie, jak wielki,
„Co znaczy mądrze kres ludzkiéj potrzebie;
„Pieczy się powierz Świętéj Rodzicielki,
„A nawet na swych nadziei pogrzebie
„Otuchy doznasz od Matki Boleści..
„Słuchasz mnie, Maryo?—Wracam do powieści.

„Ano do owéj idę, z niespodzianek
„Najprzedziwniejszéj, którą mam zawdzięczyć
„Li modłom twoim... W każdy latem ranek,
„Gdy ledwie słońce zaczyna się wdzięczyć,
„Każą mi robić w ogrodzie sułtanek.
„Prawda, nie było tam nad czém się męczyć:
„Więc ścieżki omieść, opatrzyć poniki,
„Więc przystrzydz owe ich wirydarzyki.

„A śliczną pan nasz miał Czerkieskę, brankę.
„Tę, afekt ku mnie tak owładnął, zdrożny,
„Że mi na schadzkę znaczyła altankę;
„Gdym zaś jéj zamiar karcił, nieostrożny,
„To nawet z lica swój jaczmak (1), firankę,
„Którą im zwyczaj ich każe pobożny
„Nosić przed ludźmi, zrzucała przedemną,
„Wciąż mnie pokusą nękając daremną.

„Że była świeża, hoża, miła, gładka,
„W wielkiem ją basza miał téż zachowaniu;
„Choć i to przyznać muszę, że jak matka
„O ludziach wszystkich, na owém wygnaniu
„Żyjących, dbała, i nieraz z ukradka
„Niosła im pomoc;—w noc lub na zaraniu
„Przez seraiku wązkie w oknach kratki
„Bywało, darzy naszych, dłonią matki....

„Lata mijają, a zapał jéj rośnie,
„Kiedy mnie, z żalem moim, ni do tanu,
„Ni do pieszczoty. Wciąż kusi miłośnie;
„„Pokochaj! zmykaj precz, do Lechistanu,
„„Z twą niewolnicą; a ona zazdrośnie

(1) Jaczmak, zasłona twarzy.

„„Nie zajrzy pewno szczęścia swemu panu—
„„Boć to uważam i czuję nareszcie,
„„Żeś tam już jakiejś dał serce niewieście!“—“

„A że przez pana pieszczona nad inne
„Była ta wdzięczna jego faworytka,
„Więc ją ostrzegam: Bacz, by zbyt uczynne
„Druchny, jakiego nie spłatały zbytka
„Przed baszą, tobie; bo lubo niewinne
„Nasze są schadzki, to jednak jak nitka
„Wątła jest łaska zazdrośnego Turka!—
„Ona w śmiech: „„Nie masz pono na mnie sznurka!

„„Dla ciebie zresztą chętnie oddam szyję,
„„Nigdy miłości się téj nie wyrzecze
„„Serce me harde! Jeśli mnie zabije,
„„To cóż?““—Ja widząc, że jéj nie wyleczę
„Strachem, przekładam: Wiesz ty, jeszcze czyje
„Życie w tém? szczęście?—któż tego docieczę,
„Czy Bóg méj kiedy nie da kresu męce?
„„To więc bywało płacze, składa ręce.

„„Szczęśliwy—mówi—i błogosławiony
„„Kwiat ten, nieznany mi, w ojczyznie twojéj,
„„Kwiat, dla którego, choć w te zagnan strony
„„Słowiczek serca, nigdy nie uznoi
„„Kwilącéj piersi. Cóżem ja przy onéj
„„Sultance polskiéj? Czy was anioł poi
„„Ałłaha jakim nieśmiertelnym zdrojem
„„Że serc wam z czasem przybywa i znojem.““

„Nieraz, gdy pora przyszła Ramazanu,
„Po którém święcie u nich, jak w zapusty,
„Każdy używa uciech według stanu—
„Dopieroż dobrze w naszéj piersi pustéj
„Żal gra!—to ona swego teorbanu
„Już nie żałuje. My, bledsi od chusty,
„Pod jéj oknami, jak cienie występne,
„Chwytamy duszą jéj dumki posępne.

„Każde żal miało inny, lecz łzy wspólne—
„Litość téż nieraz brała nad nią szczera,
„Gdyż dobre było stworzenie, potulne...
„Wtém, do godności wyniesion wezyra

„Pan mój: „„Chcę dla niéj uświęcić trzytulne
„„Me dostojeństwo—rzecze;—niech wybiera
„„Między jeńcami, a którego wskaże,
„„Tego jéj oddam już wolnego w darze.“"

„Więc zgiełk i wielka wpośród naszych radość—
„A mnie coś tknęło, jakoby przeczucie
„Nieszczęścia... Wcale mi się owa bladość
„Twarzy baszyńskiéj i oczy berkucie
„Nie podobały. Ha! lecz trzeba zadość
„Uczynić woli baszy na Bajrucie—
„Idę więc, dziwnie coś w duszy stateczny,
„Jakby już sąd tam miał być stateczny!

„Wszyscy nieszczęśni stajemy szeregiem,
„A w każdym serce jako młot kołace;—
„Inni już myślą zyskać coś wybiegiem,
„Twarz układają z oczu miotą race...
„Ach, trzeba było widzieć ją, ze śniegiem
„Jednéj białości, kiedy się pałace
„Rozwarły wreszcie i krokiem słabnącym
„Szła wolno ku nam, w milczeniu stojącym.

„Basza i cały dwór stanął w półkolu,
„A cisza była jak w wigilią gromu;—
„Widzę, że biedna słaniając się z bólu,
„Wprost na mnie idzie, z lęku czy ze sromu
„Głowę w dół spuszcza;—widzę, baszę w wolu
„Ponieważ zadławia—ach, więc jużem w domu—
„Myślę, gdy ona dotknęła mnie w ramię
„Szepcąc: „„I dzisiaj me serce nie skłamie!“"

„Nikt w baszy zmiany nie dostrzegł wyrazu,
„Gdym ja już wiedział, że tu grom uderzy!
„Odgadłem jego zamiary odrazu—
„Widzę, jak okiem w nią, by grotem mierzy.
„Więc szeptem błagam: Poniechaj! żelazu
„Drogi nie wskazuj, co już ostrze szczerzy
„Na twoją głowę, nieszczęśnico biedna—
„Odstąp mnie! jeszcze się basza przejedna!

„Lecz ona daléj, głośno: „„Ten z czeladzi
„„Wiernością, statkiem, zasłużył na względy

„„„Między wszystkimi.—Niechaj cię prowadzi
„„„Ałłah nasz wielki w pokoju, tam, kędy
„„„Z całego serca będą tobie radzi;
„„„Tam, gdzie z rodzinnéj czeka na cię grzędy
„„„Kwiatek miłośny, w nagrodę stałości...‘“
„Mówiła, ale słaniała się z mdłości.

„Więc skoczą druhny, mnie też towarzysze
„Obstąpią, szczęścia dzieląc się godziną—
„Kiedy w tém basza, co dotąd haszysze
„Ciągnął w milczeniu, weźmie głos: „„Amino!
„„„Żałuj, że widzę co widzę, i słyszę
„„„Co słyszę tutaj; samaś się z swą winą
„„„Wydała teraz, o któréj ja jeszcze
„„„Wątpiłem dotąd. Toż los wam obwieszczę!...““

Powieść tę rzewne przerwało szlochanie—
Wojewodzanka łez nie może wstrzymać:
„Biedna! ach, biedna!“—woła—„przywiązanie
„Snać nie zna wiary, więc grzech się nadymać
„Nad tymi, w których się opamiętanie
„Nie budzi w Bogu i nie chcą się imać
„Znaku Golgoty, wrogami się głoszą
„Krzyża, jak branka owa, a Krzyż znoszą!

„Cóż się więc stało z wami, biedni, daléj?“—
Pielgrzym na piersi głowę zwiesił smutną,
Westchnął i mówił: „Wszyscyśmy słuchali,
„Jaki to wyrok będzie, a jak płótno
„Każdy był blady. Basza, znać na szali
„Zemsty grzech ważył, bom widział okrutną
„Złość w nim, gdy dobył jedwabnéj pętelki
„I zaczął: „„Ałłah kerim! Bóg jest wielki!

„„Ty, sługo krzyża—tu do mnie się zwrócił—
„„Wytrwałeś, weźże też słuszną nagrodę:
„„Masz wolność!—obyś co rychléj porzucił
„„Tę kaźń i znalazł dom swój i wygodę!—
„„Ty zaś słowiczku, coś fałszywie nucił—
„„Rzecze wzrok topiąc groźny w niéj—na brodę
„„To ci przysięgam proroka, że śpiewu
„„Poniechasz swego w gromach mego gniewu.

„„Rodzaj ci kary daję do wyboru,
„„Byłem z niéj oczy napasł twoim trupem —
„„Może kąpieli we wnętrznościach woru
„„Chcesz użyć, rybek potém stać się łupem —
„„Albo daj białą szyję bez oporu,
„„Bo to najmniejszym jeszcze mąk okupem
„„Do celu ciebie zawiedzie, zdrajczyni!...““
„Nie skończył, a już katy stały przy niéj.

„Z lica nieszczęsnéj wraz zasłonę zdarto,
„Na śliczną szyję sznurek zadzierżgnięto —
„A ona stała z twarzyczką otwartą,
„Bez trwogi, żalu — zdawała się świętą.
„Ochotę widać miała nieprzepartą
„Umrzéć w obliczu mojém — wyciągniętą
„Podała sama szyję... Kto żyw, płacze!
„Zdziwieni nawet stanęli siepacze.

„Ja zaś tém zajściem, jak ukropem polan,
„Ledwie się zdzierżam, a godzę w zabójcze
„Spojrzenie baszy. Kilku mnie Podolan
„Wstrzymuje siłą. Ach, święty Ogrojcze!
„Kiedyż to nagle nie runę do kolan
„Baszyńskich, kiedy nie krzyknę w głos: Ojcze!
„Także wymierzasz ludziom sprawiedliwość?
„Wnet go minęła pierwsza zapalczywość.

„I rzecze, wyraz oblicza łagodząc:
„„Cóż masz, niewierny psie, na jéj obronę?““
„A ja, z żałości od zmysłów odchodząc:
„Mam wiele, baszo! boć wiesz sam, że one
„Afekta przeszły, nic tobie nie szkodząc.
„O! choćbyś dał mi z wolnością koronę
„Sułtańską, polską, to ci ją pod nogi
„Rzucę, gdy wyrok dasz spełnić tak srogi!

„Do żadnéj większéj nad innych zasługi
„W twéj służbie, panie, nie roszczę ja prawa,
„Cierpiałem równo, jako każdy drugi —
„Więc gdy mi wyrok twój najwyższą dawa
„Nagrodę: wolność — niechże tu krwi strugi
„Nie płyną, niechaj mi gołąbka krwawa

„Nie stoi w oczach, gdy pełnemi blaski
„Świecić mi będzie wolność z twojéj łaski.

„Jako łza czysta ona, a ty baszo
„Bądź téż i trochę dla niéj miłosierny!
„Stopy-m mu usty zmiótł... Tamci się straszą
„Śmiałemi słowy, które tak mizerny
„Wygłasza jeniec; lecz słowa te gaszą
„Gniew, zamiast jątrzyć — o! duch to twój, wierny
„Nieszczęściu memu, wyjednał przed Panem,
„Żem Saracena rozbroił — kolanem.

„Więc tedy Turczyn łbem długo kołysze,
„Aż rzecze w końcu: „„Bóg jest wielki! Lachu,
„„Nad prawowierne masz ty moc derwisze
„„W języku swoim. Niechże się na strachu
„„Skończy tym — Ałłah niech wam wyrok pisze
„„Obojgu: z życiem, i ją samą, gachu,
„„Daję ci, całą... Cóż? stoisz jak głupi?
„„Nie chcesz jéj? Ha! ha! nikt już jéj nie kupi!..
„„Wiedział ja dobrze, że taki ostatek
„„Będzie jéj zdrady, jaki był początek —

„„Wiedział ja dobrze, jaki w tobie statek
„„Sługo Chrystusa, który niewiniątek
„„Oszczędzać każe — jako jest ów kwiatek
„„Haremu mego, co woni swéj szczątek
„„Na upor niesie ci sercem przeklętem,
„„Choć ty się odeń odwracasz ze wstrętem!""

„Boże! — krzyknęła Marya, łamiąc ręce —
„Teraz wiem, co to prawdziwe nieszczęście!"
On kończył powieść: „Jéj strasznéj się męce
„Przypatrywałem, zaciskając pięście
„W swéj nieradności. Myślę: ha! zakręcę
„Tak, że ją wezmę tutaj na osięście —
„I rad już myśli owéj, do niebogi
„Rzeknę: Amino! zbieraj się, czas drogi!
„Szmer się radosny ruszył wśród orszaku,
„Druhny szlochając do biednéj przypadną,
„Winszują: Użyj przy grzecznym Polaku
„Słodyczy wszelkiéj! — lecz ona na żadną
„Nie spojrzy nawet, a w fałdach jaczmaku

„Przebiera ręką i sięga aż na dno
„Stanika — szybko do ust coś poniosła —
„I jeszcze bardziéj stała się wyniosła.

„A jako była już przedtém wybladła,
„Krédą stanęła teraz — lecz uśmiechy
„Gorżkiemi zdradza, że myśl mą odgadła....
„„Już — rzekła — wszystkie zmazane są grzechy
„„Baszo!““— i w moje objęcia upadła
„Jęknąwszy: „„Téj mi ostatniéj pociechy
„„Nie odmów!““ Drgnąłem—dwór osłupiał wszystek,
„Każdy, sam basza nawet, drżał jak listek.....

„Lecz jeszcze, tém się jéj do mnie tuleniem
„Drażnion, zawracał swe bielma jaszczurcze.
„Ja sam myślałem, że tylko omdleniem
„Nagłem się słania... Aż tu ją wnet kurcze
„Chwycą śmiertelne, oczy mgłą a cieniem
„Zachodzą całkiem; śliczne dzieło twórcze
„Dawcy żywota — widzę — w strasznych mękach,
„Jak się rozpada w proch, na moich rękach!

„Zastygł — wolności méj gołąb bieluchny!
„Basza precz poszedł, a my, smutni jeńce,
„I zachodzące się łkaniem jéj druhny
„Wzięliśmy biedne to ciało na ręce,
„Na kierkut nieśli — jéj świętemi próchny
„Zacny, jak cmentarz. W sercu, Bożéj męce
„Zleciłem duszę jasną, choć pogańską —
„Bo szczerą była męczennicą Pańską.

„Prawda, że powieść godna starych kronik?“
Umilkł — a tylko łzy ich teraz płyną....
Po chwili dodał: „Jest tam cichy ponik
„Fontany, który płacze nad Aminą
„I dniem i nocą. A oto podwonik,
„Alsztyn (1), z trucizny zieloną gadziną,
„Który z jéj ręki; już śmiercią stygnącéj,
„Nieznacznie przeszedł do méj dłoni drżącéj.“

To mówiąc, krymkę ukazywał małą,
Ni to amulet, z pociechą Koranu.

---

(1) Alsztyn, podwonik, orzeszek woniejący.

„Chowam go — rzecze — bo przezeń się stało
„Me wyzwolenie; więc niebios go Panu
„Złożę, by zmarłą obdarzył swą chwałą,
„Chrześciańskiego godną Ramazanu!
„Maryo! ty pacierz szepcesz? — O tak, droga,
„Módl ty się za nią do żywego Boga!

„Jakoś dotychczas niebieskiéj litości
„Wzywała dla mnie, tak odtąd, o miła
„Orędowniczko dusz, pomóż wdzięczności
„Dźwigać mi brzemię; aby téj mogiła,
„Co krwią świadectwo dała swéj miłości
„Nie była ciężką. Pomóż, bo jak zgniła
„Jest zbrodnia różna, jak występki blade,
„Tak zgnilszych nie masz nad niewdzięczność, zdradę!

„Moc twéj modlitwy wielka jest! Gdy tedy
„Moją z umysłu znasz już i z postaci
„Wybawicielkę, co z tak wielkiéj biedy
„Mnie i twych innych ratowała braci —
„Z któréj ja życia prawdziwie i schedy
„Wolność mam — módl się: niech jéj Bóg zapłaci!
„Módl się — boć właśnie na to moja powieść
„Była: by mocy twéj modlitwy dowieść!“

Bronisław Komorowski.





PRAWA FABRYCZNE
w Anglii,
dzieje walki o nie i ich owoce.

Największy nawet optymista przyznać musi, że w łonie każdego społeczeństwa toczy się nieustanna walka. Mniejszość, silna bogactwem, rozumem, a często i tradycyą dawno nabytéj potęgi, stara się zawładnąć większością. Usiłowania te zostają najczęściéj uwieńczone pomyślnym skutkiem, gdyż owa większość nie poczuwa się do swéj klasowéj odrębności, a przeto nie łączy się i nie solidaryzuje między sobą, a pozbawiona przysługujących pierwszéj przywilejów, łatwo podpada jéj władzy. Owszem skłonna jest nawet do uznawania dobrodziejstw oddzielnych jednostek, które łaskawiéj są dla niéj usposobione.

Liczba nic tu nie znaczy: tłum łatwiéj podzieli się na grupy i w rozbiciu da się poprowadzić tym lub owym przedstawicielom warstwy uprzywilejowanéj, niż dojdzie do samowiedzy swéj klasowéj odrębności i odpornego stanowiska w obec klasy panującéj. Historya ludów i władza nad nimi nielicznych zwykle klas uprzywilejowanych, wymownym prawdy téj jest dowodem. Klasa, dzierżąca w ręku władzę, stara się ulegalizować ją, utrwalić swoje przywileje, odjąć czynom wszelką cechę samowoli i dla tego nadaje im sankcyą prawną. Jest to chyba geneza wszystkich praw; samo istnienie prawa stanowi już dowód, że grupa ludzi, któréj przysługuje, zdobyła sobie przewagę nad innemi i stanowi potęgę, z którą się liczyć trzeba.

Podobne pojmowanie prawa jest w sprzeczności z dotychczasowemi na nie poglądami i, o ile wiem, zostało poraz pierwszy wypowiedziane w dziele młodego uczonego Gumplowicza (1), jako wy-

---

(1) „Grundriss der Sociologie.“ Wien, 1885. (Wcześniéj jeszcze w „Rechtsstaat und Socialismus.“ Innsbruck, 1881. *Przyp. red.*).

nik jego teoryi powstawania państw. Prawo uważane dotąd było jako jedno z najwyższych dobrodziejstw cywilizacyi, gwarantujące swobodę jednostki przed niesprawiedliwemi żądaniami jéj bliższego, lub dalszego otoczenia. Sądzę, że nikt zaprzeczyć nie może, iż prawo jest rzeczywiście wynikiem cywilizacyi, czy zaś jest ono dobrodziejstwem, czy klęską. o tém sądzić możemy tylko z jego skutków: kto przyznaje w historyi ludzkości działanie praw, że tak powiem— naturalnych, które, choć niezbadane dotąd, kierowały wszakże jéj rozwojem, ten faktów na dobre i złe klasyfikować nie może, dla tego będą one tylko koniecznemi.

Że jednak prawa są tylko uświęceniem raz zdobytéj przez jednostkę lub grupę ludzi przewagi, o tém przekonać nas może i to także, że klasy silniejsze, lub jednostki, cieszące się w społeczeństwie władzą, więcéj praw mają ku swojéj obronie, aniżeli słabsi, którymby się troskliwsza opieka prawa należała, gdyby zadaniem jego było ochronianie niezaradnych. I tak np. najwięcéj stosunkowo praw dąży do obrony własności, a więc tych, których samo już ich stanowisko w społeczeństwie i ów przywiléj własności silniejszymi od innych czyni. We wszystkich zaś krajach klasy t. zw. niższe znacznie późniéj otrzymały jakieś prawa i wtedy dopiéro, gdy wywalczyć je sobie potrafiły. To też teorye utopistów, którzy chcieli i chcą z góry świat przerabiać i obdarzać ludzkość prawami, których ona nie wywalczyła, do których przeto przygotowaną nie jest, których utrzymać nie potrafi, pozostaną pewno na zawsze w krainie nieziszczonych marzeń.

Ta ogólna teorya z całą dokładnością zastosować się daje do praw, regulujących stosunek kapitału do pracy. Pierwszy, od czasu powstania i skoncentrowania się w niewielu rękach, ustanowił cały regulamin postępowania, aby zabezpieczyć się przed wygórowanemi żądaniami robotników, i zapewnić sobie ich czynny, wytrwały współudział w przedsiębiorstwie. Robotnicy w ostatnich dopiero czasach otrzymali pewne prawo i to nie wszędzie, tam tylko, gdzie, jak w Anglii, wywalczyć je sobie potrafili. Gdzieindziéj klasy zamożne i rządzące odmawiały im stale wszelkich praw na ich korzyść, wzbraniały się uznać ich za wyodrębnioną, a więc solidarną w swych żądaniach i potrzebach klasę, za stan czwarty. W téj jednak nierównéj walce robotnicy wykazali niezwykłe organizatorskie talenty, umiejętności zapominania o sobie, jako o jednostce, a popierania interesów klasowych, solidarność wielką i karność niemal bojową. Historya proletaryatu angielskiego i praw, jakie sobie zdobył, wszystkie te przymioty uwydatnia.

Prawa fabryczne są dowodem nietylko rozwoju kapitalizmu, czyli koncentracyi kapitału z jednéj strony, a powstania licznego proletaryatu z drugiéj, ale także stosunku potęgi dwóch niezbędnych w produkcyi czynników—kapitału i pracy. W Belgii np. kapitalizm rozwinięty jest już w całéj pełni, pomimo to prawa fabryczne nie istnieją, bo klasa robotnicza nie była zorganizowana i, gdy w zeszłym roku, parta okropnemi warunkami życia, wystąpiła przeciwko kapitałowi, żądania swe popierając krwawą łuną pożarów, domaga się o głosowanie powszechne, aby zdobyć jakikolwiek udział w konstytucyi kraju, która dotąd tylko dla klas możnych istniała. W Anglii, gdzie organizacya klasy roboczéj za wzór innym służyć może, stosunek kapitału do pracy ujęty już jest w karby całego szeregu praw i przepisów, które mają na względzie nietylko korzyść pierwszego, ale i zabezpieczenie bytu drugiéj. Nigdy jednak przy kapitalistycznéj produkcyi wszyscy robotnicy zajętymi nie są, i t. zw. armia rezerwowa nie jest niestety wymysłem Marxa, który tylokrotnie zaprzeczonym został, ale istniejącym faktem, jątrzącą się raną społeczną, któréj zdobyte dotychczas prawa usunąć nie potrafiły. Pomimo całego szeregu instytucyi i praw, jakiemi w Anglii klasa robocza byt swój możliwym uczynić się stara, w styczniu bieżącego roku było 60,000 robotników bez pracy. Wielu robotników ma zajęcie niewystarczające do utrzymania swego i rodziny. W ciągu r. 1884 przeszło 4½ miliony ludzi otrzymywało zapomogi z kas dla biednych; rozdano im 1½ miliona f. szt. (1). Trudno przypuścić, aby choć połowę téj liczby stanowili starcy i kaleki wobec tego, że biednych w domach przytułku w r. 1883 było 807, 680 czyli 3,5% całéj ludności (2). To też w gazetach robotniczych angielskich spotykać się dają nieraz rozpaczne okrzyki upokorzonéj dumy i zadraśniętéj miłości własnéj robotników, którzy nie są już dziś bezmyślnym tłumem, lecz doskonale czują potrzeby swe i prawa (3).

Właściwe prawo fabryczne datuje się dopiero od naszego stulecia. Wszakże i przedtém istniała już cała sieć przepisów ku obronie różnych gałęzi przemysłu tak, że gdy w r. 1802 Pitt objął rządy, dla uproszczenia zawikłanego systemu celnego, znieść musiał około 3000 przepisów i praw różnego rodzaju. Już w 1381 r. rozpoczęto ograniczać prawo wwozu obcych towarów do Anglii na krajowe

---

(1) Patrz artykuł Fr. Engelsa „England—1848 u. 1880“ w *Neue Zeit*, listopad, 1885.

(2) Leone Leri. „Wages and carnings of the working classes“ 1885.

(3) I tak np. Commonweal (marzec 1886 r.) podaje wzruszającą skargę pewnego robotnika londyńskiego, ojca licznéj rodziny, który na opłacenie szkoły przyjmować musiał zapomogi. Szkoła w Anglii jest obowiązkową, ale płatną.

tylko okręty, co świadczy, że już wtedy Anglia nie zadawalniała się własnemi rynkami, lecz szukała handlu ze światem. Prawo to dopełniane ciągle zamieniło się nareszcie w r. 1651 w sławny akt nawigacyjny, który taki cios zadał handlowi Holandyi. Do brzegów Anglii przebijać mogły tylko okręty, stanowiące własność angielską, prowadzone przez Anglików i mające $^3/_4$ załogi angielskiéj. Towary z Afryki, Azyi, Ameryki mogły również być dowożone tylko bezpośrednio na okrętach angielskich. Dla zapewnienia wszelkich zysków handlowych Anglikom wyłącznie, zabroniono nienaturalizowanym cudzoziemcom zajmować się handlem w koloniach, dokąd europejskie towary tylko z Anglii sprowadzone być mogły. Nie można zaprzeczyć, że podobny system znakomicie się przyczynił do wytworzenia tego, co w zwykłym rozumieniu stanowi potęgę narodową; kapitały też rosły i zamożne klasy Anglii coraz możniejszemi się stawały. W obec szybkiego rozwoju przemysłu uregulowanie stosunku kapitału do pracy stawało się naglącą potrzebą. Stosunek ten rozwija się tu nieco odmiennie, niż w innych krajach. W Niemczech np. wolny pierwotnie kmieć stawał się z czasem poddanym, niektórzy z wolnych i poddanych przenosili się do miast, rozpoczynali pracę na własną rękę, uprawiali rzemiosła i kunszty wraz z czeladnikami i dla podtrzymania danego rzemiosła i pracowników w nim zajętych, tworzyli cechy. W Anglii poddaństwo znacznie wcześniéj zniesione zostało; chłopi nie posiadali własności, ale byli wolnymi dzierżawcami. Rzemiosła układały się w korporacye, ale właściwe cechy nie istniały tu wcale. Cały wszakże system przemysłowy aż do wprowadzenia maszyn w produkcyi, zowią cechowym. W ogóle instytucye, dążące do obrony jednych warstw ludności przed drugiemi nie miały powodzenia w Anglii (1): prawodawstwo dążyło do obrony całego narodu przed zagranicą, przez naród zaś rozumiało głównie klasy zamożne.

Ogólne prawodawstwo policyjne dla wolnych robotników rozpoczyna się w r. 1350, kiedy prawo powstrzymać się stara próżniactwo, wymagania wysokich płac, ogranicza potrzeby robotnika. Noszenie pewnych kolorów i tkanin było robotnikom surowo wzbronione, budżet ich domowy nie powinien był przekraczać oznaczonéj sumy. To też panowie, dający zbyt wysoką płacę, byli karani, w późniejszych zaś czasach karano nie przedsiębiorców, dających wysoką

---

(1) Jest to także przyczyna, dla któréj towarzystwa monopolowe mało było w Anglii protegowane. Pomimo to jednak potęga kapitału była tak wielką, że już w r. 1701 otrzymało przywiléj Towarzystwo oceanu południowego (zbankrutowało w r. 1720) i założona jeszcze w r. 1600 kompania wschodnio indyjska.

zapłatę, ale robotników, którzy takową brać się ośmielali. Od roku 1562 płace regulują sądy pokoju, oznaczają także godziny pracy, jej podział i zbyt produktów na najbliższych rynkach. Dla przeszkodzenia zbytniemu napływowi robotników, którzy nie przebyli oznaczonych lat nauki, wydane zostało w r. 1562 przez królowę Elżbietę prawo, regulujące stosunki uczniów w każdém rzemiośle. Nie wolno było prowadzić żadnego rzemiosła nie przebywszy poprzednio 7-letniéj nauki. Majster na każdych 3 uczniów trzymać musiał jednego czeladnika. Czas pracy oznaczony był na 12 godzin. Prawo to jednak już w XVIII w. nie było ściśle wykonywaném i służyło nie za środek obrony, ale raczéj wyzyskiwania robotników przez drobnych majstrów, jak to np. miało miejsce w Birminghamie.

Drugi szereg tworzyły prawa o biednych (poor law). Już w roku 1376 karano żebraków, włóczących się po ulicach (1), biedni obowiązani byli mieszkać na miejscu swego urodzenia; utrzymywać ich musiała gmina. Za biednych zaś uważali się wszyscy niezdolni do pracy. To prawo wyrodziło drugie, zmienione dopiero w roku 1875, które wbrew brzmieniu *habeas corpus* ograniczało bardzo wolność osobistą klas niezamożnych. Rozróżniało ono 4 rodzaje robotników: 1) domową służbę, 2) uczniów, 3) wyrobników dziennych i 4) wyższych robotników (inspektorów, rządców i t. p.). Dla wszystkich tych rodzajów istniało prawo przymusu do pracy, polegającego nietylko na odmówieniu im wsparcia, lecz i czynném zmuszaniu ich do zajęcia. Prawu temu podlegali mężczyźni nieżonaci od 12 do 60 lat, żonaci do lat 30 i kobiety od 12 do 40 lat, nie mające środków utrzymania (2).

Jak widzimy ówczesne prawa, odnoszące się do stosunku kapitału i pracy, miały całkiem odmienny od dzisiejszych charakter. Szło im nie tyle o zabezpieczenie pracy przed kapitałem, ile o zapewnienie rozwoju pewnym gałęziom przemysłu, które robotnicy wyspecyalizowani uprawiać mieli. Przy wzrastającéj koncentracyi kapitału, posiadacze narzędzi pracy starali się uczynić pracowników zależnymi cd siebie, określając wymagania, jakie robotnicy stawiać mogą, i wtłaczając cały ich tryb życia w ramy najodpowiedniejsze do swych celów. Prąd w tym kierunku odruchowo wywołać musiał pewien opór wśród robotników, zwłaszcza wśród już zajętych w danéj gałęzi pracy, którzy przebywszy lata nauki, więcéj byli od towarzyszów umysłowo rozwinięci i pragnęli byt swój zapewnić. Temu to przypisać należy ów szereg przepisów co do przyjmowania ucz-

---

(1) Held: Zwei Bücher der socialen Geschichte England's.

(2) Blackstone 1 księga — Prawo Elżbiety.

niów i czeladników w daném rzemiośle, czasu pracy i płacy roboczéj, których określanie wskutek zatargów robotników z pracodawcami oddane zostało w ręce neutralnych pośredników. Prawodawstwo dążyło do zabezpieczenia losu tych robotników, którzy się raz już do przemysłu dostali, broniło ich od współzawodnictwa innych i wyzysku majstrów. Jednakże powstający wielki przemysł z prawem cechowém pogodzić się nie mógł; 7-letnia nauka dla wszystkich, roczne umowy, określanie zapłaty i godzin pracy, wszystko to ograniczało jego swobodę, za którą walczyli z jednéj strony ekonomiści wolnohandlowcy, z drugiéj fabrykańci. To téż coraz mniéj stosowano się do dawnych praw. Każda nowa maszyna wyrzucała na bruk setki robotników, nauka stała się już niepotrzebną od czasu, gdy robotnik był cząstką maszyny. Wielkie zwłaszcza niezadowolenie wzbudzało 7 lat nauki. W r. 1790 np. tkacze materyi jedwabnych z Coventry i Warwich podali petycyę o zmniejszenie czasu nauki; zresztą warunek ten był tak nieściśle wykonywany, że w Paisley na 800 uczniów tylko 4 miało prawidłowe patenty (1).

Wśród tego przewrotu zręczniejsi robotnicy dostawali się nieraz w szeregi pracodawców, lecz tak jedni jak drudzy czuli dobrze, że dawne prawa racyi bytu już miéć nie mogą. To téż robotnicy widząc, że maszyny są główną przyczyną złego, sprzeciwiali się wszelkiemi siłami ich wprowadzeniu. Przez całe sto lat widzimy toczącą się walkę: robotnicy zanoszą skargi na fabrykantów, naruszających ich prawa, ci odpowiadają im petycyami o zniesienie praw. Pierwsi łączą się w stowarzyszenia zrazu chwilowe, późniéj stałe, drudzy wszelkich usiłowań dokładają, aby istnienie ich uniemożliwić. Stowarzyszenia te starały się głównie o ograniczenie ilości uczniów do dawnéj normy i podwyższenie obniżonych płac roboczych.

Już w r. 1721 wybuchły niepokoje wpośród krawców londyńskich o podwyższenie płacy i skrócenie czasu roboczego (2). Między rokiem 1758 i 1799 podawali petycye mularze, pończosznicy, młynarze, robotnicy z fabryk wstążek i kopalni węgla (3).

Faktów podobnych możnaby nazbierać bardzo wiele, ale i wyżéj przytoczone mogą wystarczyć za dowód, że między prawodawcami i robotnikami wrzała zacięta walka, która przejawiała się nietylko w petycyach do parlamentu, ale także w niszczeniu i paleniu fabryk i maszyn. Już w r. 1780 i 1802 wybuchły niepokoje z powodu wprowadzenia maszyn. Od r. 1803 zaczyna się systematyczna opozycya przeciwko fabrykantom. Robotnicy, pomimo zakazu stowarzyszeń, tworzą rozległy związek, którego członkowie należą do

(1) Held: Zwei Bücher d. Socialen Gesch. England's. — (2) Tamże. — (3) Tamże.

dwóch głównych okręgów produkcyi wyrobów wełnianych. Utrzymuje on kasę pomocy, popiera interesy swych członków, a nawet przybiera groźną postawę, prześladując tych, co ze związku wystąpili (*snakes*) i urządzając bezrobocia. Za cel postawił on sobie utrzymanie przemysłu domowego i przeszkodzenie istnieniu fabryk (1). Opór robotników nic jednak dokazać nie mógł, w r. 1815 majstrowie osiągnęli zwycięstwo i łączenie się w stowarzyszenia znów zakazane zostało. Robotnicy pracujący w innych gałęziach, postępowali tak samo, zwykle nie osiągając żadnych dodatnich rezultatów. Płace spadały w zatrważający sposób, zarówno w fabrykach jak i w warsztatach rękodzielniczych. I tak np. tkacze bawełny przy pracy, trwającéj 15—16 godzin dziennie i więcéj zarabiali 7 do 9 szylingów tygodniowo. I oni téż założyli stowarzyszenie. Do tkaczy z Lancashire przyłączyli się robotnicy szkoccy, którzy w ciągu lat 70 przyzwyczajeni byli do jednostajnych płac, teraz zaś otrzymywali 5 sz. tygodniowo i cierpieli straszną nędzę, bo każdy dzień groził im wyrzuceniem na bruk. Nędza wzrastała ciągle i w r. 1834 stała się publiczną klęską, gdyż z powodu łatwości roboty mnożyła się ciągle ilość tkaczów ręcznych. Irlandzcy robotnicy, których napływ i dziś tylokrotnie obniża płace i wtedy już silną stanowili konkurencyą. Podobnie opłakany stan trwał bardzo długo, gdyż maszyna powoli coraz bardziéj zdobywała tu pole.

Robotnicy walczyli zawzięcie przeciw nowemu porządkowi; nie mogli pojąć, że wprowadzenie maszyn jest olbrzymim krokiem na drodze postępu, że jest koniecznością dziejową, któréj tamy stawić niepodobna. Widzieli oni tylko, że dotychczasowe ich stanowisko jest zachwiane, że przy produkcyi maszynowéj nigdy jutra pewni nie będą, że schodzą do znaczenia siły roboczéj i pary rąk jedynie. Umiejętność ich nic tu nie znaczyła, ośmioletnie dzieci okazywały się niemal zdatniejszemi do obsługiwania maszyn od swych ojców, chociażby ci byli w pełni wieku męskiego i posiadali wszelkie niezbędne dawniéj kwalifikacye. Była to straszna ruina materyalna milionów, to téż nic dziwnego, że wytworzyła rozpaczną walkę i że poród nowego porządku rzeczy, połączony z tylu cierpieniami, witany był przekleństwem. W Nottingham np., gdzie w r. 1811 maszyna pończosznicza odebrała chleb tysiącom, podpalano fabryki i niszczono maszyny (2). W r. 1810 powstał w Manchester, Manlesfield, Stanley-Bridge, Ashton-Hyde, Oldham, Bolton, Preston strejk 30 tysięcy ludzi, który trwał 4 miesiące (3).

---

(1) Report of the wollen manufacture, 1805 r. Cyt. u Helda.

(2) i (3) Fr. Bitzer: Arbeit u. Kapital, str. 33 i 34.

Nie zatrzymało to jednak biegu wypadków, praca dorosłych stawała się coraz mniéj potrzebną; zastępowała ją praca dzieci i kobiet. Pierwszych dostarczały w wielkiéj ilości parafie z pomiędzy biednych dzieci, utrzymywanych ich kosztem. Dzieci te oddawane w 7 roku życia, pracowały nierzadko po 18 do 20 godzin dziennie, aby późniéj, gdy dorosną, być wyrzuconemi na bruk. Domy przytułku dopłacały jeszcze za utrzymanie swoich dzieci; był to więc dla fabrykantów świetny interes. Ale jakim był los małych pracowników, łatwo sobie wyobrazić. Held podaje przykład 3-letniego dziecka, które pracowało w fabryce. Znane są dzieje kominiarczyków, którzy stali się z czasem dziecięciem ukochaném filantropii angielskiéj. Do téj pracy używano dzieci w wieku lat 4 lub 5, a gdy nie chciały iść w komin, kłuto je w pięty szpilkami. Dla obrony kominiarczyków zawiązało się w r. 1817 stowarzyszenie dam, którym zawdzięcza istnienie przepis, zabraniający używania dzieci do czyszczenia kominów. Z czasem oprócz domów przytułku, kontyngens małych pracowników rekrutować się począł zpośród rodzin robotniczych. Rodzice posełali do fabryk synów i córki, a sami trwali w uporze pracowania na warsztatach ręcznych. Zresztą walka z maszynami trwa tylko do r. 1826. Od tego czasu nie spotykamy usiłowań niszczenia maszyn; pozbawianie jednak robotników pracy trwa daléj. Były przykłady, że ojciec gotował i szył, a rodzinę utrzymywała praca matki i małoletnich dzieci (1). Początek naszego stulecia był czasem najgorszéj nędzy dla robotnika angielskiego. Wyrzucany na bruk setkami z wprowadzeniem każdego nowego wynalazku, opłacany skąpo jako siła robocza, która żadnéj umiejętności nie wymaga, znajdował się w bezprzykładnéj nędzy, w poniżeniu materyalném i moralném (2), pozbawiony zupełnie praw dawniéj przysługujących. W r. 1814 ze strony fabrykantów i robotników podawano prośby o zniesienie, lub reformę dawnych praw. Reformy żądało 300,000 głosów, zniesienia tylko 2,000, pomimo to prawa zniesiono (3), nowych zaś robotnicy nie zdążyli sobie jeszcze wywalczyć.

Coraz większa koncentracya kapitałów i powstawanie olbrzymiego proletaryatu, który nawet w innych, niż ludzie zamożni, zamieszkiwał dzielnicach (4), kopały co dzień głębszą przepaść po-

---

(1) O takim przykładzie opowiada Engels (Die Lage der arbeitenden Klassen in England, 1847).

(2) Czytelnika interesującego się tym bliżéj odesłać mogę do wyżéj cytowanego dzieła Engelsa, gdzie znajdzie on obrazy okropne, lecz prawdziwe.

(3) Lujo Brentano: D. Arbeitsverhätniss.

(4) W Londynie, Manchester, Leeds istniały oddzielne kwartały dla ludności robotniczéj. Tak np. w Manchester część robotnicza tak była odgraniczona od reszty, że

między temi dwiema warstwami społeczeństwa, przekonywując robotników o ich klasowéj odrębności. Dawniéj, za czasów cechowych walczyły z sobą oddzielne specyalności; majstrowie na równi z robotnikami strzegli pilnie, aby nikt niepoświęcony rzemiosłem ich zająć się nie mógł (1); teraz walka ta przybrała całkiem odmienny charakter. Specyalizacya w pracy doszła do wyższych jeszcze rozmiarów, ona to przyczyniła się także do zniesienia praw cechowych, gdyż wszelkie prawie przygotowanie dla robotników stało się zbytecznem. Tak było np. w zegarmistrzowstwie, pomimo że maszyny nie zostały do niego wprowadzone (2). Chociaż więc fabryki zawzięcie z sobą konkurowały, choć doprowadzały się wzajemnie do bankructwa, interesować to mogło tylko ich właścicieli, nie zaś robotników, którzy łatwo do innéj pracy przerzucić się mogli. Nic ich nie przywiązywało do danego fachu, ale za to między sobą tworzyli coraz bardziéj solidarną masę, bo każdemu z nich groziła codzień możliwość stoczenia się w szeregi armii rezerwowéj przemysłu, która stała bezsilna i bezradna wobec przygniatającego ją kapitału i musiała zamienić się w białych murzynów, lub wytworzyć drugą potęgę, z którą by się kapitał liczyć potrzebował.

Działalność związków robotniczych w Anglii określić można jako ciągłe dążenie do wytworzenia takiéj potęgi; usiłowania ich nie ustawały ani na chwilę i mają już swoję historyą, którą robotnicy angielscy słusznie poszczycić się mogą.

Już w r. 1815 agitacya, podniesiona przez Roberta Owena, pragnęła ograniczyć pracę dzieci. Trzydzieści lat trwała walka w tym kierunku, przybierając rozmaite postaci. Jak słusznie zauważył Leon Faucher, robotnicy w polityce Anglii aż do r. 1837 spełniali rolę podobną jak łucznicy w bitwach XIII i XIV w.; służyli oni po to, by zwycięskie staczać walki z opinią publiczną, którą burżuazya usiłowała przechylić na stronę swych żądań, byli użytecznym narzędziem w jéj ręku, ale niczém więcéj. To téż i reforma wyborcza 1832 r., choć przeprowadzona została tylko w interesie warstw ekonomicznie uprzywilejowanych, zawdzięcza swe urzeczywistnienie

---

nikt się jéj istnienia nie domyślał. W Londynie St. Giles leży wprawdzie wśród ludnych ulic, lecz jest to bezładna masa domów; wąskie ulice niepodobne są do reszty miasta. W roku 1840 w Westminster mieszkało 5366 rodzin, czyli 26830 indywiduów w 5294 mieszkaniach, składających się najczęściéj z jednéj izby. (Engels: Die Lage d. arb. Kl. in Engl.).

(1) Obok tego jednak miały miejsce i walki czeladzi z majstrami na podobieństwo dzisiejszéj walki pracy z kapitałem. Patrz L. Brentano „Arbeitergilden" i „Arbeitsverhältniss." (*Przyp. red.*).

(2) Held: Zwei Bücher d. s. G. Engl.

agitacyi robotników. Gdy jednak zreformowany parlament zamiast uwzględnić żądania robotników, mniéj przyjaźnie niż poprzednio, względem nich się zachowywał, utworzyli oni partyą oddzielną. W r. 1837 zawiązało się w Londynie stowarzyszenie, noszące skromne miano: Stowarzyszenia robotniczego. Ono to dało pierwszy impuls nowemu kierunkowi, stawiając sobie za zadanie wywalczenie prawa głosowania powszechnego. Dalszym celem, który stowarzyszeni rzadko wypowiadali, było przeobrażenie stosunków społecznych odpowiednio do interesów klasy robotniczéj. Tylko przedstawiciele téj klasy mogli być członkami stowarzyszenia, które wszelkiemi środkami starało się zakładać filie po prowincyach i zyskiwać nowych adeptów. Przyszło im to tém łatwiéj, że wobec kryzysu handlowego, podniesienia cen na zboże i pszenicę, nędza materyalna, a z nią i niezadowolenie wzrastały w zastraszający sposób. Gdy przy otwarciu pierwszéj sesyi parlamentu przez królową Wiktoryą, ostatecznie odrzucony został 501 głosami przeciwko 22 projekt reformy prawa wyborczego, partya robotnicza postanowiła działać energiczniéj i dążyć do przeprowadzenia billu t. zw. *Karty ludowéj*, która domagała się następujących zmian: 1) głosowanie powszechne dla mężczyzn, 2) roczne parlamenty, 3) głosowanie tajne, 4) zniesienie cenzum wyborczego, 5) dyety dla posłów i 6) równomierne okręgi wyborcze.

Od téj chwili rozpoczyna się potężny ruch Chartystów, który olbrzymie miał znaczenie w historyi proletaryatu angielskiego, a przytém tak mało jest u nas znany, że pozwolę tu sobie dłużéj się nad nim zatrzymać (1). Do wywołania samodzielnego ruchu wśród robotników, oprócz nędzy materyalnéj, przyczyniło się jeszcze przeświadczenie, że klasy rządzące i inteligentne nie mają bynajmniéj zamiaru zająć się ich losem. Dowodem tego była między innemi ogromna popularność, jaką zyskała sobie teorya Maltusa; z jednéj strony wywołała ona zniesienie prawa o biednych (*poor law*), a więc pozostawiła jeszcze większą niż dawniéj, ilość ludzi bez chleba, z drugiéj dała powód do powstawania teoryi, skierowanych bezpośrednio do wytępienia jednostek z uboższéj klasy. Za dowód, do jakiego obłędu dochodzili ludzie w tym względzie, posłużyć może książka Marcusa (2), która do r. 1846 doczekała się już 4-ch wydań.

---

(1) Bliższe wiadomości o tym ruchu znaleść można w dziele Gammage'a, po części Carlyle'a, oraz w pracy Brentana „Die englische Chartistenbewegung" (Preussische Jahrbücher, 1874). To ostatnie służyło mi za źródło do powyższego streszczenia.

(2) On the possibility of limiting populousness, an Essay of populousness, to which is added the Theory of *painless* extinction. 1840.

Autor, wychodząc z teoryi Maltusa, podaje sposób bezbolesnego tępienia klasy uboższéj. Radzi on mianowicie, aby ludzie ubodzy mieli prawo wychowywać tylko po troje dzieci, zgładzając ze świata pozostałe potomstwo przy pomocy gazu zabójczego. W taki sam sposób uwolnić się mają także od ¼ części trzecich potomków. Żeby zaś matki nie oburzały się na los, jaki spotyka nadliczbowe niemowlęta, groby ich zamienione być miały na piękny ogród, któryby służył za miejsce przechadzki dla klas pracujących. Ta okrutna ironia dała doskonałą broń w rękę przywódcom ruchu. Posługiwali się też nią niejednokrotnie, jako klasycznym przykładem zapatrywań burżuazyi, dla spotęgowania nienawiści klasowéj.

Pomimo gorliwości, z jaką robotnicy londyńscy zabrali się do dzieła, ruch chartystów najwięcéj sił swych zawdzięczał udziałowi prowincyi, które dały inicyatywę do manifestacyi i tworzyły demokratyczne stowarzyszenia robotnicze. W okręgach fabrycznych w Lancashire, Yorkshire i Cheshire nie było ani jednego miasta, ani nawet wioski, któreby nie posiadały stowarzyszeń podobnych. Na czele ruchu stał Feargus O'Connor, dawny adwokat irlandzki, pochodzący z arystokratycznéj rodziny, duszą i ciałem oddany ruchowi, któremu z początku herkulesowe świadczył usługi, chociaż pod koniec sprzeniewierzył się i cofnął (1). Założone przez niego kółka polityczne wśród robotników odrazu oświadczyły swą solidarność z Kartą ludową; to samo uczyniło radykalne stowarzyszenie w Birmingham, na czele którego znajdowali się ludzie, zajmujący wybitne stanowisko społeczne, a radykalna partya północnéj Anglii i Szkocyi przyłączyła się także niebawem. Wzmógłszy się na silach chartyści, obok dawnych swych żądań poczęli się domagać wprowadzenia 10-godzinnego dnia roboczego i przywrócenia prawa Elżbiety, tyczącego się biednych. Te ekonomiczne czynniki przyczyniły się do ugruntowania ruchu, który miał zrazu czysto polityczny charakter. Że jednak z czasem żądania polityczne poczęły być uważane tylko za środek do osiągnięcia bardzo określonych i naglących potrzeb ekonomicznych chwili, o tém przekonać się możemy, czytając przemówienia przywódców i artykuły organów partyi. I tak np. jeden z najczynniejszych przywódców, zapalony pastor-metodysta, Stephens, w mowie, jaką wypowiedział u bram Manchesteru, na Kersall Moor przed tłumem 200,000 ludzi powiada: „Chartyzm, moi przyjaciele, nie jest bynajmniéj polityczną kwestyą, dążącą do zapewnienia wam prawa głosu, ale jest to kwestya żołądka; urzeczy-

(1) On to wydawał najpopularniejszy organ Chartystów „Northern Star", mający 50,000 czytelników.

wistnić *kartę*, znaczy mieć dobre mieszkanie, obfity obiad i kolacyą, dostateczne dochody i krótki dzień roboczy“ (1).

Chartyści podzielili się na dwie partye: jedna, na czele któréj stał O'Connor, chciała gwałtownych środków; druga, któréj przewodniczący Lowelt, robotnik, był najwięcéj dodatnią jednostką w całym ruchu, użyć chciała władzy opinii publicznéj. Obie jednak zgadzały się na to, że zacząć trzeba od środków pokojowych. Do parlamentu wysłać postanowiono petycyą z 3 milionami podpisów. Dla osiągnięcia takiéj liczby zwolenników przywódcy zwołali przeszło 100 zebrań, z których najmniejsze liczyło 30,000 uczestników, niektóre zaś były dziesięćkroć liczniejsze. W nocy i po deszczu nieraz, z wiosek, o kilka mil od miejsca naznaczonego odległych, przybiegali mężczyźni i kobiety z rewolucyjnemi chorągwiami w ręku, aby wziąć udział w zebraniu. Fabryki musiały niejednokrotnie odpoczywać, gdyż żaden robotnik się nie zjawiał. Rząd nie stawiał zrazu tamy tym manifestacyom; burżuazya wszakże pod wpływem obawy samodzielnie uorganizowała kluby dla obrony osób i własności, a nareszcie w listopadzie 1838 r. rząd zabronił liczniejszych schadzek przy blasku pochodni. Zakaz ten, a także i odrzucenie przez parlament petycyi, podpisanéj przez 1,280,000 rob., zapewniły wpływ petycyi, żądającéj gwałtownych środków. Odtąd akcya główna koncentruje się w Birminghamie, gdyż Londyn mniéj był rewolucyjny. W Birminghamie codziennie prawie dochodziło do krwawych potyczek z policyą, przy których palono domy zamożniejszych mieszkańców, robotnicy jednak nic sobie nie przywłaszczali, palili tylko kosztowniejsze sprzęty.

Aresztowanie przywódców, oraz 380 wybitniejszych jednostek z ruchu, ubezwładniło go prawie w r. 1840. Bezwładność ta wszakże była tylko pozorną. 20-go lipca tegoż roku powstało „narodowe stowarzyszenie chartystów Wielkiéj Brytanii“, nadając ogólny charakter ruchowi, który dotąd był wszędzie lokalnym. Ogłoszone w r. 1841 nowe wybory do parlamentu, wskutek upadku ministeryum whigów, które tak wrogo do żądań robotniczych się odnosiło, dały powód do nowéj agitacyi i nowych nadziei. Jednakże większość właściwych wyborców nie należała do chartystów i żadnego też z téj partyi nie wybrano; natomiast przeszło kilku radykalnych, sprzyjających ruchowi. Narodowe stowarzyszenie chartystów W. Brytanii postanowiło sobie dążyć do celu tylko prawnemi środkami,

(1) Ciekawym jest fakt, że w ruchu znajdujemy mnóstwo duchownych, zwłaszcza z biednych parafii wiejskich, którzy naocznie przekonać się mogli o nędzy swych owieczek.

to też spróbowali poraz wtóry podać petycyą do parlamentu. Petycya ta do dawnych łączyła i nowe żądania, a mianowicie zerwania unii między Anglią i Irlandyą. Opatrzona była 3,300,000 podpisów i w długiéj uszeregowanéj procesyi podana do parlamentu 2-go maja 1842 roku (1). Odrzucono ją jednak przeważną większością głosów. To poddało robotnikom myśl zorganizowania ogólnego strejku tak zw. świętego miesiąca. Bezrobocie rozpoczęło się w Ashton, gdzie robotnicy zobowiązali się powrócić do pracy dopiéro po zatwierdzeniu Karty ludowéj. W Manchester i na 50 mil na około ustały wszelkie roboty; gdy to jednak nie pomagało, z północy coraz gorsze nadchodziły wiadomości, a nędza stawała się coraz więcéj dojmującą, zaczęto powoli powracać do roboty, nie dotrzymawszy przysięgi. Jednakże autorowie opisujący tę olbrzymią walkę proletaryatu angielskiego, a wśród nich Disraeli, przyznają jednogłośnie, iż zachowanie robotników w czasie tak ogólnego poruszenia umysłów najwyższy zaszczyt im przynosi i świadczy o dojrzałości umysłowéj i politycznéj. Tłum nie rabował nigdy, występował spokojnie i z godnością, a gdy wielka biéda i głód czuć się dawały, prosili o pomoc kogoś z bogatych i dziękowali nawet za małe datki. Naturalnie, że dużo przyczyniło się do tego i zachowanie rządu, który starał się legalnie postępować, zostawiał swobodę zebrań i działania, na każdy gwałt zaś odpowiadał gwałtem. Nieporozumienia między dowódcami na czas dłuższy osłabiły ruch chartystów; główna idea jednak miała wciąż zwolenników i z przejawami jéj spotykamy się znów w r. 1848. Podana wówczas petycya nie odniosła poraz trzeci żadnego skutku, a zapowiedziana olbrzymia manifestacya miliona robotników nie przyszła wcale do skutku. Przyczyną tego były ogromne przygotowania, jakie zrobił rząd dla odparcia robotników. 150,000 konstablów miało bronić Londynu, a naczelnik policyi uprzedził O'Connor'a, że rząd nie pozwoli na pochód. Naturalnie, od owego dnia wpływ ubóstwianego dotąd przywódcy zachwiał się zupełnie a wraz z jego upadkiem potworzyło się mnóstwo mniejszych i większych partyi, które przez lat parę jeszcze ruch podtrzymywały. Gdybyśmy ruch chartystów sądzić chcieli, zastosowując miarę wypływających z niego korzyści, uwzględnić by nam należało korzyści praktyczne, widoczne i wpływ niezaprzeczony, jaki na umysły proletaryatu angielskiego wywrzéć musiał taki szereg protestów samodzielnych, przeciwo istniejącemu porządkowi. Pomijając niewłaściwość podobnego miernika dla osądzenia objawu społecznego, gdy

---

(1) 16-stu ludzi niosło ją przez ulicę, ponieważ jednak była zbyt wielką, aby przejść przez bramę izby niższéj, pocięto ją w kawały i położono na podłodze.

ekonomiczne stosunki i polityczne położenie proletaryatu angielskiego wytworzyć musiały, odruchowo chociażby, przeciwdziałanie, ujawniające się w buncie przeciwko dotychczasowemu położeniu, i sądząc go tylko z punktu użyteczności, przyznać należy, że wpływ ruchu chartystów był bardzo doniosły. Dał on robotnikowi angielskiemu poczucie odrębności klasowéj i wspólności interesów całego proletaryatu, ujawnił energią i zdolność wielu jednostek; które w innych warunkach nie byłyby świadomemi swoich sił, dał mu pojęcie o tém, co znaczy dążyć do określonego celu i wszystko inne dla celu tego poświęcać, zapominać o interesach chwili obecnéj dla przyszłości. A ruch ten miał tém większe znaczenie i wpływ, że robotnicy nie służyli tu za narzędzie żadnéj innéj klasie, nie ulegali nikomu, lecz samodzielnie odczuwali swe potrzeby i bronili praw niezaprzeczonych. Nie był on wywołanym z zewnątrz, jak to niejednokrotnie utrzymywano, dając za dowód, że do żadnych nie doprowadził rezultatów: o tém przekonać nas może zachowanie się robotników i wielka ilość przywódców ruchu z ich własnych szeregów. Z drugiéj strony burżuazya poznała, że ma do czynienia z potęgą nietylko liczebną, lecz że naprzeciw niéj stoi żywioł wyodrębniony, świadomy swéj siły i celów, dojrzały i zdolny do organizacyi, że przeto przez zrozumienie własnego interesu żądaniom jego ustępować nieraz powinna. Jednocześnie z Kartą ludową wystawione żądanie 10-godzinnego dnia roboczego zostało uwzględnione i stanowi dowód, potwierdzający teoryą, że prawa są tylko sankcyą zdobytéj już przewagi. Historya innych praw fabrycznych nie zaprzecza również temu wnioskowi.

I tak np. pierwsze prawo, regulujące pracę kobiet i dzieci, zdobyte zostało w następujący sposób: 1 lutego 1832 r. podało petycyą 10,000 robotników fabrycznych z Leeds, z takąż ilością podpisów, zebranych w Bradford i Huddersfield. W Glasgowie tkacze fabryczni zebrali w przeciągu jednego dnia około 7,000 podpisów; oprócz tego Sadler i lord Morpeth podali petycyą ze 130 i 138 tysiącami podpisów (1). Liczba miast, żądających ograniczenia pracy dzieci i kobiet, coraz się pomnażała. Czyż parlament, pamiętając o ruchu chartystów, mógł się oprzéć żądaniom popartym przez taką siłę, i czyż wobec tego twierdzenie, że prawa fabryczne nadane zostały z góry z celem uszczęśliwienia robotników nie wyda się paradoksem?

Prawo z r. 1860 ograniczające pracę w kopalniach podobną ma historyą: w Leeds, w listopadzie, i w Ashton, w maju, były zebrania ogólne, z których wysłano przedstawicieli do parlamentu. Umieli

(1) Ludlow i Jones: Die arbeitenden Klassen England's (str. 70).

oni tak dobrze bronić sprawy towarzyszy, że parlament ustąpił. Koszta wyniosły wprawdzie 900 f. szt., ale robotnicy dopięli swego celu (1). Prawa ograniczające robotę w kopalniach były także rezultatem długoletniéj agitacyi.

Przedewszystkiém zwrócono uwagę na pracę kobiét i dzieci, która przybierała coraz szersze rozmiary i ograniczoną być musiała, nie tylko dla szkodliwego wpływu na zdrowie i moralność młodego pokolenia, lecz także i dla położenia tamy wyrzucania na bruk coraz większych zastępów dorosłych mężczyzn. Zresztą blade twarzyczki dzieci tak małych, że nieledwie od piersi matki szły do fabryki, musiały wywołać protest ze strony każdego myślącego człowieka. Owen np. powiada, że pierwszy bill Peela w r. 1802 zastał w fabrykach Lancashire'u przeszło 5,000 dzieci, nie liczących lat 10-ciu (2). Żadne prawo w Anglii nie ma ogólnego charakteru, to téż i prawa ograniczające pracę kobiet i dzieci wydawano kolejno dla każdego rodzaju fabryk oddzielnie, co jest jednym więcéj dowodem, że prawa fabryczne były tylko potwierdzeniem faktycznych zdobyczy samychże robotników. W r. 1867 rozciągnięto je na cały wielki i drobny przemysł Anglii, Szkocyi i Irlandyi. Dziś praca kobiet i dzieci podlega całemu szeregowi ograniczeń. Nadzór nad wykonywaniem przepisów powierzony jest inspektorom fabrycznym, którzy nie zależą zupełnie od innych władz. Inspektor naczelny (*chief inspector*) (3)ześrodkowuje władzę w swoich rękach i ma pod sobą 5 pomocników, którzy czuwają nad czynnościami 39 inspektorów (na tyle okręgów inspekcyjnych Anglia jest podzieloną). Inspektorowie zwiedzają fabryki, posełają sprawozdania tygodniowe głównemu inspektorowi, każdy z nich ma obowiązek zwiedzenia 1500 do 1800 fabryk w ciągu roku. W ostatnich czasach, mianowicie od r. 1881 na inspektorów fabrycznych wybrano 5 robotników. Postęp to bardzo ważny, gdyż inspektorowie robotnicy lepiéj są wtajemniczeni w potrzeby i wymagania swéj klasy, aniżeli ludzie z innych stanów pochodzący.

Prawa fabryczne uogólnione i dopełnione zostały w roku 1878, i główny ich zarys przedstawia się jak następuje (4).

Prawo fabryczne i warsztatowe z roku 1878 weszło w życie od 1 stycznia 1879 r. W warsztatach i fabrykach właściciel starać się

---

(1) Ludlow i Jones: Die arbeit. Klassen Engl. (str. 72).

(2) Held: Zwei Bücher etc.

(3) Obecnie Aleksander Redgrave.

(4) Podług: Das englische Fabrik u. Werkstätten-Gesetz. 1878. Mitgetheilt von V. Bojanowsky. Jena 1882.

powinien o dobre i świeże powietrze i oddalanie wszelkich szkodliwych zdrowiu wpływów, a także o czystość i porządek, nad czém czuwa inspektor fabryczny. Wszelkie środki, zabezpieczające od wypadków, powinny być przedsięwzięte, a także czyszczenie kół i maszyn wzbronione dzieciom i młodzieży (1). Młodzież i kobiety mogą być zajmowane tylko przez czas oznaczony, między 6 rano i 6 wieczór, albo też 7 rano i 7 wieczór, z dwugodzinną przerwą dla przyjęcia posilku. W sobotę praca trwa do godziny 1 lub 1½ po południu.

Dzieci pracujące w fabryce podzielone są na 2 serye rannych i popołudniowych pracowników, lub też pracują co drugi dzień. Serya przedpołudniowa zajmuje się po tygodniu pracą po południu. Praca dzieci trwać tylko może 5½ godzin. Jeżeli dziecko zajęte jest co drugi dzień, to wolno mu pracować godzin 10 z dwugodzinną przerwą. Prawa te przysługują dzieciom, młodym osobom i kobietom, pracującym we wszelkich fabrykach i warsztatach.

W warsztatach, gdzie nie pracują dzieci, ani młodzież, kobiety zaczynają pracę o 6 rano, kończą o 9 wieczór, przerwa 4½ godzin. O każdéj zmianie właściciel zakładu ma obowiązek zawiadomić inspektora.

Przy zajęciach w domach prywatnych, gdzie siła pary, wody lub inna mechaniczna nie ma zastosowania, prawa powyższe nie obowiązują, ale za to istnieją inne przepisy:

Czas zajęcia nawet w domu własnym dla młodych osób jest ściśle ograniczony, mianowicie między 6 rano i 9 wieczorem z 4½ godzinami przerwy. Dzieci pracują od 6-stéj rano do 1-széj, albo od 1-széj do 8-méj, i uważane są jako należące do rannéj, lub poobiedniéj seryi. Dzieci nie wolno zajmować dłużéj jak 5 godzin z rzędu. Godziny posiłku powinny być stałe, a podczas niego dzieci nie mogą zostawać w tym samym pokoju, w którym się odbywa praca. Świadectwa o stanie zdrowia, nadającym się do zajęcia w fabryce, są potrzebne tu, tak samo, jak i w fabryce.

Rozkład godzin pracy i posiłku, poświadczony przez inspektora fabrycznego, powinien wisiéć w fabryce i być oznaczonym naprzód.

Praca dzieci młodszych od lat 10 jest wzbronioną

W niedzielę praca dzieci, młodzieży i kobiet ani w fabrykach ani w warsztatach nie jest dozwolona. Ze świąt fabryki obchodzą

---

(1) Za *dzieci*, mające prawo pracować w fabrykach i warsztatach, uważani są nieletni w wieku od 10 do 13 lat skończonych; od lat 13 do 18 należą do kategoryi *młodzieży* (*young persons*).

Boże Narodzenie i wielki piątek przez cały dzień i 8 świąt przez pół dnia. Strejk uważany być może za dzień świąteczny tylko w takim razie, jeżeli zostało już wywieszone ogłoszenie o nadchodzącém święcie. Pół święta wyłącza pół dnia roboty nie sobotniéj, lecz innego dnia. Za przekroczenie tych przepisów fabrykanci płacą kary 5 f. szt. (1 f. st. = 6,27 rub. zł.).

Dziecko powinno chodzić do szkoły codziennie raz, między 6 rano i 8-mą wieczór, jeżeli należy do rannéj, lub poobiedniéj seryi; jeżeli zaś pracuje co drugi dzień, to w dniach wolnych 2 razy dziennie. Świadectwa szkolne muszą być składane u właściciela fabryki Szkołę wybiera inspektor. Jeżeli dziecko, skończywszy lat 13, otrzymuje świadectwo, że dostatecznie posiada naukę czytania, pisania oraz inne elementarne wiadomości, to można stosować do niego prawa tyczące młodzieży.

Dzieci i młodzież niżéj lat 16 zajmować można dłużéj nad dni 7, tylko za świadectwem lekarskiém, wydaném na mocy metryki i dokładnego zbadania danego indywiduum. Gdy dziecko zaliczone zostanie do kategoryi młodzieży dawne świadectwo nie wystarcza, lecz należy przedstawić nowe.

W razie nieszczęśliwego wypadku, który jest przyczyną utraty życia, lub uszkodzenia cielesnego właściciel, lub nadzorca obowiązany jest pod karą zawiadomić natychmiast inspektora, oraz dołączyć świadectwo lekarza. Późniéj sprawa idzie na drogę sądu polubownego, lub państwowego.

Czas pracy dodatkowéj, oraz praca nocna dozwoloną jest tylko w określonych warunkach. Praca nocna nie może trwać dłużéj nad 12 godzin, razem z określonemi przerwami, i obejmować więcéj nad 6 nocy, na każde 2 tygodnie.

Władza inspektorów fabrycznych jest bardzo obszerna. Mogą oni o każdéj porze dnia i nocy stawić się w fabryce, nawet w towarzystwie konstabla, jeżeli spodziewają się oporu ze strony właściciela, lub zarządu fabryk. Mogą nastawać na wykonanie przepisów, zwiedzać każdą szkołę, w któréj uczą się dzieci, pracujące w fabryce. Zbierać wiadomości od robotników, słowem stawać wszędzie między robotnikiem i pracodawcą i to po stronie pierwszego.

Lekarza, udzielającego świadectwo dzieciom i młodzieży, opłaca właściciel fabryki. Inspektor oznaczyć powinien zegar, podług którego czas pracy ma być regulowany.

Inspektor ma być zawiadamiany o każdéj zmianie, czy to w personelu fabryki, czy o zmianie właściciela, lub o zmianach technicznych.

Za każde przekroczenie przepisów, dotyczących tego prawa, właściciel fabryki podlega karom pieniężnym, a w razie nieprawnego użycia dzieci i młodzieży niżéj lat 16 karani są również rodzice i opiekunowie. Wszystkie te prawa rozciągają się także na Szkocyą i Irlandyą.

Młodzież i dzieci nie mogą być zajmowane w fabrykach rtęci, ołowiu, szkła, w fabrykach gdzie polerują metale, krają barchan, jako też w warzelniach soli, i cegielniach.

Przejrzawszy główne zdobycze klasy robotniczéj na drodze prawnéj, rozpatrzmy wpływ, jaki one wywarły i następstwa ich, tak dla rozwoju przemysłu, jak i stanowiska i położenia ekonomicznego robotników.

Przy każdym ograniczeniu, czy to czasu pracy, czy wieku pracowników podnosiły się głośne ubolewania ze strony fabrykantów, którzy przepowiadali ruinę przemysłu angielskiego w razie, jeżeli robotnicy ich pracować będą mniéj, niż 15 lub 17 godzin na dobę. Konkurencya zagraniczna, która tak skutecznie spełnia rolę groźnego widma, ile razy fabrykanci chcą przeprowadzić jakikolwiek ze swych celów, i tu przywoływana była niejednokrotnie na pomoc. Po stronie fabrykantów stała także szkoła ekonomistów wolnohandlowców, sprzeciwiających się temu, aby swoboda w przemyśle i w konkurencyi pracy i kapitału w czémkolwiek zatamowaną została. Tymczasem statystyka dowiodła, że robotnicy przy krótszym czasie roboczym pracowali z większém natężeniem i wykonywali tę samę pracę w przeciągu 10 godzin, która dawniéj wymagała 15 i więcéj. W latach od 1832 do 1866, tj. w czasie, w którym wydano najwięcéj praw fabrycznych, produkcya Anglii rozwinęła się do niesłychanych rozmiarów. Weźmy kilka przykładów (1):

Ilość czynnych warsztatów wynosiła w przędzalniach:

w 1850 r. — 17,099.231
w 1865 r. — 30.387,267.

Ilość wyrobionych materyi bawełnianych w yardach wzrosła od 1830—1860 r. o 384%, siła motorów, poruszających fabryki bawełny, zwiększyła się w tymże czasie o 300%. Ilość strycharzy i stolarzy wzrosła o 29%, robotników maszynowych o 50%, papierników o 50%, drukarzy o 37%. Woźniców w prywatnéj służbie o 18%, a ogrodników prywatnych o 532%. Wzrost tych dwóch ostatnich kategoryi wskazuje naturalnie na zwiększenie się ilości ludzi bogatych, lub też ich majątków. Co do innych gałęzi przemysłu, to między r. 1857

(1) Ludlow i Jones. *Op. cit.* str. 78 i 79.

i 1882 produkcya ich wzrastała w następujący sposób: Węgla o 146%, ołowiu o 134%, okrętów o 204%, wyrobów bawełnianych o 129%, export żelaza i stali w tonnach o 163% (1).

Rozwój przemysłu Anglii nie może wzrastać nadal w jednakowym stopniu, musi ona bowiem dzielić olbrzymie swe zyski z innemi krajami, których produkcya rozwija się także, dziś przeto rynek nie jest już przez nią zmonopolizowany i wzrost bogactwa stosunkowo zmniejszyć się musiał.

Ciekawym jest wzrost bogactwa angielskiego. Za panowania Henryka VIII, ogólny dochód obliczano na 4 mil. funtów szt. rocznie, co przy 5 milionach ludności dawało 16 sh. na głowę:

	fun. szt.	ludność	fun. szt.
W 1822 r. Lord Liverpool podaje dochód na	250 mil.	— 14,400,400 —	17 na głowę
„ 1854 r. (podług M'Cullocha) „ „	370 mil.	— 21,600,000 —	17 „
„ 1868 r. („ Dudley Baxtera „ „	814 mil.	— 30.000.000 —	20 „
„ 1881 r. „ „	1,000,000,000	— 35,000,000 —	28 (2) „

Z podobnych rezultatów nawet J. Ch. Say mógłby być zadowolony. Prawa fabryczne nie zatrzymały wzrostu przemysłu, ale przeciwnie chyba mu dopomogly. Kto jednak żywił nadzieję, że one utrzymać potrafią istniejące dziś stosunki społeczne, nieco zawiedzionym ten czuć się musi, Anglia jest tak typowym krajem produkcyi kapitalistycznéj, że z niewielkiemi odstępstwami dzisiejszy rozwój każdego ze społeczeństw europejskich przypominać ją musi, w jakimkolwiek okresie jéj rozwoju. To téż historya przemysłu angielskiego stanowi niejako ilustracyą ekonomicznych teoryi. Trudno przypuścić, aby istniejący dziś porządek utrzymać się mógł na długo, jeżeli z jednéj strony stanie bardzo mała garstka olbrzymio-bogatéj burżuazyi, z drugiéj silny milionami, z których się składa, i organizacyą bojową proletaryat fabryczny. Dziś w zjednoczonych król. W. Brytanii proletaryat ten obliczają już na 12.200,000 (w r. 1867 robotników fabrycznych było 11,018,000). Jeżeli zaś obliczyć zechcemy całą klasę nieposiadającą własności wraz robotnikami wiejskimi, dzierżawcami i służbą domową, to stanowić ona będzie 70% ludności (3). Drobny przemysł nie istnieje już prawie w Anglii, klasa średnia przeto jest nieliczna, za to coraz większe sumy gromadzą się w ręku klasy kapitalistów. Oto jakim jest podział dochodu między 3 klasy ludności zjedn. królestw:

---

(1) Wages and earnings of the working classes—Report to sir Arthur Bass by Leone Leri—1885 r. str. 29.

(2) Tamże, str. 4.

(3) Tamże str. 2.

	W r. 1867 f. szt.	% ogólnéj sumy dochodów.	W r. 1882/3 f. szt.	% ogólnéj sumy dochodów.
1) Kapitaliści płacący podatek dochodowy (dochód roczny wyżéj jak 150 f.) .	423.000.000	44.00	613.000.000	47.70
2) Klasa średnia . . .	120 000.000	12.50	140.000.000	10.90
3) Płace robotnicze. . .	418.000.000	43.50	521.000.000	41.40

Licząc na rodzinę 4½ osób (r. 1879/80) (1) należało:

	Osób	Rodzin	Dochód na osobę:
Do Klasy 1-széj	4.700.000	1.060.000	544 f. st.
Klasy 2-giéj	5.900.000	1.300 000	110 „
Klasy 3-ciéj	24.600.000	5.400.000	83 „
	35.200.000	7.760.000	—

To skupienie się kapitałów w niewielu rękach uwydatni się jeszcze lepiéj, jeżeli weźmiemy samę tylko Anglią, gdzie produkcya kapitalistyczna najwięcéj jest rozwinięta. Tam do wyższéj klasy należy 49%, do robotniczéj 41%, a do średniéj tylko 10% całego dochodu.

Obok téj koncentracyi kapitałów, plagą życia robotników angielskich są przesilenia przemysłowe i handlowe. Anglia peryodycznie przez ciąg naszego stulecia miewała przesilenia co lat 10; obecnie od r. 1867 przemysł angielski znajduje się w stadyum chronicznego przesilenia, czemu znaczna część biedy między robotnikami przypisana być musi, a potém dopiero idzie próżniactwo i nadużycia trunków; zresztą te dwie ostatnie wady bardzo często podczas bezrobocia się rozwijają.

Najwięcéj dotknięty jest przemysł żelazny, bawełniany, budowa okrętów i wydobywanie węgla. W tych gałęziach zauważyć można znaczną redukcyą w płacach roboczych, które spadły o 15%, tj. w ogóle suma ich w ostatnich latach zmniejszyła się o 70 milionów (2). Na pytanie jednak, czy położenie robotników w ogóle po-

(1) Wages and earnings etc.

(2) Tamże, str. 13.

prawiło się od czasu wprowadzenia prawodawstwa fabrycznego, odpowiedź może być tylko twierdzącą. Z wprowadzeniem normalnego dnia roboczego robotnicy zyskali bardziéj ludzką egzystencyą; przy określonym czasie zajęć łatwiéj im jest zastanowić się nad osobistemi i klasowemi sprawami. Stopień wykształcenia robotnika angielskiego jest dziś bez porównania wyższy aniżeli 28 lat temu. I tak ilość dzieci w szkołach początkowych Anglii była w 1857 r. 531,000, w 1883 doszła do 3,560,000 (1). Dla dorosłych istnieje także mnóstwo wykładów publicznych, szkół, bibliotek, gdzie robotnik angielski kształcić się może. Najsłynniejszemi są t. zw. „Working men's colleges," istniejące w różnych dzielnicach Londynu. Pierwsze takie kolegium założone zostało w 1851 r. dzięki staraniom Kingsleya i Ludlowa, którzy między rokiem 1848 i 1860 stali na czele potężnego chrześcijańsko-socyalistycznego ruchu w Anglii. Celem ich jest kształcenie robotników starszych nad lat 16. Przedmiotami wykładowemi były historya, geografia, polityka, nauki przyrodnicze, języki nawet—grecki i łacina, a także hiszpański, włoski, rysunki, muzyka, nauka biblii. Każdy uczeń wybiera dowolnie potrzebne mu przedmioty; nauczycielami byli najlepsi pedagogowie Londynu, nawet profesorowie uniwersytetu, wykładający po większéj części bezpłatnie. Lekcye odbywały się wieczorami, a uczniowie rekrutowali się przeważnie z robotników. Zaklad posiadał bibliotekę wszelkie pomoce naukowe; urządzano nieraz zabawy, wieczory, wycieczki z udziałem uczniów i nauczycieli (2). Dzisiejsze kolegia przyjęły ten sam niemal program. Robotnicy opłacają małą kwotę i wstępną imatrykulacyą; kończąc otrzymują dyplomy i stopnie naukowe; niektórzy zostają późniéj nauczycielami szkoły. Stowarzyszenia robotnicze posiadają zwykle czytelnie i na zaopatrzenie swych bibliotek wydają dosyć znaczne kwoty. Thornton np. powiada (3), że w 1867 r. pionierzy rochdalscy przeznaczali 2½% czystego dochodu, tj. około 1,000 f. sterl. rocznie na kupno książek i inne cele naukowe.

Biblioteka nie stała próżno, gdyż wydawano z niéj dziennie około 200 tomów; na 6,832 członków ilość to niewielka, ale trudno wymagać, aby robotnik przy pracy ręcznéj i czytaniu pism czytał więcéj jak 1 tom na miesiąc. Jeżeli porównamy te cyfry z nędzą i ciem-

---

(1) Tamże.—Godnym uwagi dla ogólno-ludzkiéj psychologii jest fakt, że zanim parlament zawotował pierwsze 30,000 f. szt. (w 1840 r.) na wychowanie początkowe dzieci ludności roboczéj, myślano już o szkołach w Irlandyi i oddawna zajmowano się nauką wyzwolonych z niewoli murzynów.

(2) L. Brentano. Die Christlich-sociale Bewegung in England, str. 181.

(3) Die Arbeit str. 438.

notą, jakie maluje np. Engels w r. 1847, będzie to obraz bardzo pocieszający.

Wolność tworzenia stowarzyszeń zupełnie jest dziś robotnikom angielskim przyznana, ale i o nią staczać musieli długoletnie walki. Sprawozdanie komisyi izby niższéj z r. 1824 powiada, że nie było ani jednego wypadku prześladowania pracodawców za tworzenie prawnych koalicyi, tymczasem robotnicy już aktem z 1802 r. pozbawieni zostali prawa stowarzyszeń, na naruszających to prawo nakładano kary, dochodzące do 200 funtów szt. (1). Wywołało to nieustanne petycye i po długoletniéj, trwającéj aż do r. 1852, walce udało się nareszcie robotnikom zdobyć prawo zawiązywania stowarzyszeń wszelkiego rodzaju (Industrial a. provident societies act), które uznaje także wszystkie dawniéj już istniejące, z celem wzajemnéj pomocy, wsparcia, lub wzajemnego popierania wykonywanych rzemiosł. Dla zawiązania prawnego stowarzyszenia potrzeba 9 członków (2). Aktem tym nie byli objęci robotnicy pracujący w kopalniach. Dopiero w 1875 r. i oni uzyskali te same prawa.

Robotnicy angielscy z prawa o koalicyach zrobili obszerny użytek. Oprócz słynnych *Trades-Unionów* (3), które obejmują zaledwie $^1/_{10}$ część robotników angielskich, stowarzyszenia wzajemnéj pomocy miały w 1883 r. —4,242,084 członków i kapitał 8.550.355 f. szt. Stowarzyszenia przemysłowe i korporacyjne w 1883 r. miały 572,610 członków z kapitałem 8,200,722 f. szt. Stowarzyszenia budowlane miały w tymże roku kapitał obrotowy 48,938,320 f. szt. (4). Muszę tu powiedziéć jeszcze słów parę o trades-unionach angielskich; gdyż im to wielka część praw fabrycznych zawdzięcza swe istnienie. Celem tych stowarzyszeń jest zapewnienie klasie pracującéj takiéj siły, aby przedsiębiorcom warunki swe przepisywać mogła (5). Trades-Uniony zajmują się regulowaniem płacy roboczéj, robią umowy z fabrykantami, którzy dają im zwykle lepsze warunki, niż umawiając się z pojedynczymi robotnikami. Działalność trades-unionów bywa też niekiedy polityczną; wystosowują one petycye do parlamentu, starają się wpływać na wybory, a także do nich to należy zakładanie kas oszczędności, szkół, wspólnych zabaw, bibliotek i czy-

---

(1) Brentano: Arbeitsverhältniss. Adam Smith wspomina już o tém w dziele swém, wydaném w r. 1776, musiały więc już dawniéj istniéć podobne przepisy, które w r. 1802 tylko uogólniono.

(2) Ludlow i Jones str. 38.

(3) Obszernie traktuje o nich artykuł p. A. Oskierki w zeszycie kwietniowym „Ateneum" z r. 1885.

(4) Wages and earnings... str. 40.

(5) Takie określenie spotykamy u Thorntona: Die Arbeit str. 100, i nast.

telni. W teoryi taki związek robotniczy jest rezultatem dobrowolnego połączenia się atomów, w praktyce dzieje się jak zwykle w każdém stowarzyszeniu. Jednostki energiczniejsze zabierają w swe ręce władzę i zmuszają opierających im się członków do poddania się pod ich prawa. Despotyzm taki, choć nadużywany niekiedy, jest konieczny. Kto zna historyą jakichkolwiek stowarzyszeń, ten wié, że rządzi tam nie masa, lecz kilku, lub kilkunastu energiczniejszych członków. Masa zresztą może stanowić przepisy, lecz jako władza wykonawcza nie ma znaczenia. I tu więc jak wszędzie większość ulega mniejszości, lecz że owa mniejszość jednakowe z większością ma interesy, dążności i cele, że osiągnąć je może tylko łącznie z całą klasą robotniczą, przeto działalność jéj zwykle na korzyść większości wypada.

Z drugiéj strony jednak, ponieważ trades-uniony nie obejmują i obejmować nie mogą wszystkich robotników angielskich, przeto wpływ ich, na stosunek pracy do kapitału jest ograniczony i prawie o tyle tylko rozciągać się może na całą klasę robotniczą, o ile związki te wywalczą jakieś prawo fabryczne. Nie można wszakże zaprzeczyć, że porównywując byt materyalny robotników angielskich z r. 1867 i z lat ostatnich, znajdujemy znaczne podniesienie się ich skali życiowéj. Płace ich bowiem w tym okresie wzrosły, ceny zaś większéj części produktów obniżyły się, skutkiem czego powiększyć się musiało ich spożycie.

I rzeczywiście od r. 1871 do 1883 w Anglii:

konsumcya	mięsa	wzrosła	o	103%,	cena wzrosła	o	7%
„	masła	„	o	51%	„ spadła	o	8%
„	séra	„	o	30%	„ „	o	1%
„	cukru	„	o	89%	„ „	o	24%
„	herbaty	„	o	22%	„ „	o	26%
„	ryżu	„	o	66%	„ „	o	19%

Czyli, że ceny powyższych produktów spadły przeciętnie o 15%, konsumcya ich zaś zwiększyła się o 60%. Ceny towarów również spadły. W tym samym mniéj więcéj czasie, a mianowicie od r. 1867 do 1884 ogólna ilość zarabiających we wszystkich dziedzinach pracy wzrosła o 10,90%, (z 11 mil. na 12,2 mil. osób), suma płac o 24,64%, (z 418 mil. na 521 mil. f. st.); w szczególności zaś liczba robotników zajętych w wielkim przemyśle powiększyła się o 17,86% (25,6 mil. do 6,6 mil. osób), suma ich płac o 35,85% (z 226 mil. do 307 mil. f. st), a zarobek przeciętny o 15,25% (z 40 do 46,1 f. st.) (1).

---

(1) Leon Levi: „Wages and earnings."

W obec tego niepodobna zaprzeczyć, że dobrobyt angielskich warstw pracujących w ciągu ostatnich lat kilkunastu dość znacznie się podniósł, a pocieszający ten takt musi być w części przynajmniéj przypisany oddziaływaniu praw fabrycznych. Z drugiéj strony wszakże niepodobna dopatrywać w tych prawach cudownego środka, leczącego skutecznie wszelkie dolegliwości życia klasy robotniczéj, jak tego chcą niektórzy. Że dotychczasowe prawa nie uczyniły w zupełności zadość wymaganiom, nawet w tym zakresie, w jakim możnaby było tego oczekiwać bez różowych złudzeń, przekona nas najlepiéj następująca tablica porównawcza ogólnéj liczby robotników, podzielonych na kategorye według wieku i płci i zajętych we wszystkich dziedzinach pracy w r. 1867 i 1884 (1):

Kategorye.	Liczba robotników.		Przyrost bezwzględny osób.	Przyrost procentowy.
	w r. 1867.	w r. 1884.		
Mężczyzni niżéj lat 20 w.	1.200.000	1.650.000	450.000	37,5%
„ od lat 20 do 65 „	5.900.000	6.530.000	630.000	10,7%
Kobiety niżéj lat 20 w.	1.300.000	1.300.000	—	0,0%
„ od lat 20 do 65 „	2.600.000	2.720.000	120.000	4,6%
Ogółem . . .	11.000.000	12.200.000	1.200 000	10,9%

Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że ogólna ludność zjednoczonego królestwa wzrosła w tym czasie o jakieś 15 do 16% (2), to dojdziemy do przekonania, że ograniczenia prawne oddziałały głównie na stosunkowe zmniejszenie liczby zarobkujących kobiet, lecz nie zdołały dotąd zapobiedz temu, ażeby młodzież męzka pozbawiała zajęcia swych ojców, gdyż przyrost liczby robotników dojrzałych (10.7%) jest znacznie niższy od wzrostu ludności ogólnéj, przyrost zaś robotników nieletnich (37,5%) znacznie wyższy od tego ostatniego. Winniśmy jednak zwrócić uwagę na tę słabą stronę powyższéj tablicy, iż nie ogranicza się ona do samych robotników przemysłowych, do których wyłącznie stosują się prawa fabryczne, lecz obejmuje cały ogół warstw pracujących.

Mniéj jeszcze uczyniły prawa fabryczne pod względem zapobieżenia nieszczęśliwym wypadkom. Niestety, do dziś dnia pomimo wszelkich odnośnych postanowień, pomimo ciągłego podwyższania kar i starannéj czujności inspektorów, są one tak częste, iż robotnik

(1) Tamże. — (2) Od r. 1861—71 przyrost jéj wynosił 8,6%, w następném za dziesięcioleciu 10,68%.

fabryczny znajduje się prawie w podobném niebezpieczeństwie utraty życia, lub poniesienia jakiegoś mniejszego uszczerbku na zdrowiu, jak żołnierz na wojnie. A jeżeli dodamy jeszcze, że, ażeby otrzymać wynagrodzenie, musi on, lub jego rodzina, przeprowadzić proces sądowy i udowodnić świadkami, iż wypadek nastąpił nie z jego winy, to chyba los tych nieszczęśliwych w bardzo opłakaném przedstawi się nam świetle, zwłaszcza że wynagrodzenie nie może nigdy przenieść trzechletniéj emerytury. Nie to wszakże najbardziéj rozdrażnia robotników, ale częsty, a niezależny od ich woli i winy brak zarobku i rażąca różnica ich położenia ze zbytkiem warstw zamożnych. Kiedy naokoło nich złoto kapie, kiedy widzą, że wybrańcy fortuny wpadają aż w przesyt z nadużycia wszelkich roskoszy, jakie tylko wymarzyć można, a im pomimo pracy i zabiegów brak nie raz środków na zaspokojenie najniezbędniejszych nawet potrzeb życiowych i wielu z nich musi się uciekać do poniżającéj ich godność pomocy dobroczynności publicznéj, wtedy w ich sercach musi wzbierać nienawiść do takiego porządku rzeczy. Tém się właśnie objaśnia fakt, że w ostatnich kilku latach pomimo dość znacznego, jak widzieliśmy, polepszenia warunków bytu klasy robotniczéj, pozyskał sobie grunt w Anglii socyalizm. Wprawdzie członkowie *Trades-Unionów* dotąd od niego stronią, jak tego dowiódł zeszłoroczny międzynarodowy kongres robotniczy w Paryżu, lecz wśród nie należącéj do tych związków rzeszy proletaryatu dają się już wyraźnie dostrzedz objawy dążeń rewolucyjnych. Za dowód tego, może posłużyć okoliczność, że dwie dopiéro od lat paru istniejące w Anglii partye socyalistyczne, *Socialist-league* i *Socialistic-Federation*, liczą od 15 do 20 tysięcy członków, posiadają własne organy i pozyskują sobie podobno bardzo szybko coraz więcéj zwolenników.

Zofia Poznańska.





POWIEŚĆ SPÓŁCZESNA W ANGLII.

Jeżeli wierzyć się godzi cyfrom statystycznym — a jakże im nie wierzyć w kraju tak szanującym powagę cyfr jak Anglia — trzy powieści dziennie w przybliżonym rachunku opuszczają prasę, od 1-go stycznia do 31 grudnia, na terytoryum trzech połączonych królestw. Pociąga to za sobą roczną przeciętną produkcyą tysiąca utworów i 2,000 do 2,500 tomów. Moda sprzyja w saméj rzeczy od lat kilku dwutomowym powieściom, i najpopularniejsi pisarze, William Black, Mac-Carthy i sama pani Rhoda Broughton, okazują jéj stałe posłuszeństwo; ale pani La Ramée (Ouida) żywi osobiste upodobanie do trzytomowéj formy, pani Cross zaś (Jerzy Eliot) nie lękała się, okolicznościowo, i ośmiu tomów. Świadkiem „Daniel Deronda."

Kto pisze te powieści? A zwłaszcza kto je czyta? Liczbę producentów łatwiéj jeszcze przypuścić tutaj można jako nieograniczoną; ale liczbę czytelników? Wiemy kto u nas czyta „*Cometh up as a flower*", „*Red as the rose is she*", i co tam się jeszcze dostaje do nas z Tauchnitzowskiéj biblioteki. Ale nietylko naszych wyedukowanych i w angielszczyźnie biegłych panienek, samych rodowitych angielskich *misses* nie starczyłoby chyba dla przetrawienia owéj olbrzymiéj tysiąco-tomowéj produkcyi. Chyba by przypuścić trzeba, że dzielą one między siebie robotę....

Rozwiązanie zagadki wymaga bliższego zetknięcia się z literaturą, będącą przedmiotem niniejszego studyum niż to, które stało się pospolitém u nas w ostatnich czasach, za sprawą nowoczesnych edukacyjnych wymagań. Mało jest rzeczy powszedniejszych, nawet u nas, od pewnego rodzaju angielskiéj powieści. Kto nie czytał Ouidy? Kto nie spotkał się na parterze tego lub owego codziennego pisma, w mniéj lub więcéj udatnych przekładach, z imieniem i eks-

centryczną wyobraźnią Wilkie-Collins'a, pani Braddon, albo samego nawet Crawforda? Mało jest rzeczy tak mało znanych, nietylko u nas ale nawet gdzieindziéj, nawet o godzinę drogi od Duwru, z téj strony cieśniny Kaletańskiéj, jak to, co stanowi treść właściwą i racyą bytu piśmiennictwa, o którém mowa. Któréj z pięknych naszych czytelniczek poufalem, albo nawet znaném jest imię Karoliny Brontë? Nie ręczyłbym za samo wielkie imię Jerzego Eliot.

Anglia przedstawia w tym względzie osobliwe zjawisko imion tak głośnych w jéj granicach, jak u nas imię Mickiewicza, utworów tak popularnych, jak u nas „Pan Tadeusz", a prawie obcych reszcie europejskiego społeczeństwa. Wielu miłośnikom powieściowéj literatury, na kontynencie, przytomną jest postać „Adama Bede"? A przecież „Adam Bede" w angielskiéj literaturze, to prawie tyle co „Pan Tadeusz" w naszéj.

Zjawisko to tłómaczy się wielorakiemi przyczynami, z których jedną, ale nie najgłówniejszą, jest swojski, oryginalny, zasadniczo angielski charakter takich postaci jak „Adam Bede", i brak należytéj łączności pojęć, należytego *czucia* między nami a *niemi*. To pewna, że zrozumiéć się nam trudno, nawet przy najlepszém spoufaleniu się z językiem, którém *one* mówią. Powieść angielska jest najpowszedniéj *opisową*, opisuje zaś ona rzeczy, które mimo całego naszego zbliżania się do pewnych form życia tamtejszego, są tak od nas odległemi, jak gdyby mieściły się na księżycu. Dodajmy pewne właściwości układu powieściowego, z któremi pogodzić się nam trudno, tak dalece sprzeciwiają się one naszym pojęciom i nawyknieniom. Nie rozumiemy tego, aby autor założywszy sobie napisanie dwutomowéj powieści, mógł poświęcić cały pierwszy tom wstępowi do zamierzonego opowiadania i załatwić się z resztą w drugim tomie. A jednak „The Mill on the Floss" uchodzi *tam* za perlę spółczesnego powieściopisarstwa. Nie przyszłoby do głowy żadnemu z naszych pisarzy powiązać z sobą dwa albo nawet cztery wątki powieściowe, nie mające żadnéj koniecznéj ani nawet logicznéj styczności, i ulepić z nich całość. Jednak „Daniel Deronda" jest takim amalgamatem, a spotkał się *pośród swoich* z najżywszą ciekawością i z najgłębszym podziwem.

Ale nie na tém koniec. Jeżeli powieść angielska jest i pozostaje absolutnie angielską, bez szerszego echa po za sferą swojskiego ruchu umysłowego, mimo olbrzymiego swojego rozwoju, to dla tego, że odpowiada ona swojskiéj przeważnie, narodowéj potrzebie. Narzędziem rozrywki gdzieindziéj, albo narzędziem polemiki, szopką, albo trybuną, jest ona tam w Angli czémś innem jeszcze, czémś więcéj: łącznikiem, za pomocą którego społeczeństwo tamtejsze, to społeczeństwo wyniańczone przez parlamentaryzm, wzrosłe w atmosfe-

rze wolnego słowa, czyni zadość najpierwszéj ze swych potrzeb, potrzebie wymiany — wymiany ciągłéj, nieprzerwanéj, codziennéj— swoich uczuć i pojęć. Kto pisze powieści w Anglii i kto je czyta? Odpowiedź brzmi krótko: wszyscy! Każdy po swojemu i każdy dla siebie. Olbrzymi to, ciągle drgający telefon, z otwartym dla wszystkich przystępem. Powieściopisarstwo nie jest tam osobnym zawodem, tak jak lord Beaconsfield, piszący swego „Endymiona" między dwoma przesileniami gabinetowemi, nie jest wyjątkiem. Kiedy p. Mac-Carthy nie pisze powieści, tedy *debatuje* w izbie nad kwestyą irlandzką, albo maczając pióro w tym samym kałamarzu, pisze historyą polityczną swojego czasu („*History of my own Time*"). PP. Beresford Hope i Lewis Wingfield, trzymający niepoślednie stanowisko w spółczesnéj powieściowéj literaturze, są także członkami parlamentu.

A jak rozmaitemi muszą być wymagania, które zadawalniać jest jéj powołaniem, tak rozmaitemi są rodzaje téj literatury. We Francyi bywszy swojego czasu filozoficzną z Chateaubriandem, stawszy się późniéj historyczną z Dumasem i znowu filozoficzną z panią Sand, powieść zamknęła się dziś w rodzaju psychologiczno-obyczajowym. I niemasz innéj powieści. (Przepominam o spadkobiercach nieboszczyka Ponson-du-Terrail). Tam, w Anglii, są dziś jeszcze, jak były wczoraj, wszystkie możliwe powieści. Jest ich raczéj więcéj niż wczoraj. Jest powieść obyczajowo-satyryczna, stworzona przez Walter-Scot'a w „Antykwaryuszu", rozwinięta przez Thackeraya, reprezentowana dziś, choć z mniejszym blaskiem przez autora „Miss Misanthrope" i „Donny Quixote", Mac-Carthy'ego. Jest i na pierwszém nawet miejscu, dzięki Jerzemu Eliot, powieść filozoficzna, któréj Tomasz Hardy, autor „*Far from the Madding crowd*", zdawał się niedawno obiecywać świetną przyszłość. Jest powieść psychologiczna, wywodząca się od Karoliny Brontë, zdobywająca sobie od wczoraj nowe stanowisko z Jerzym Moore. Jest powieść polityczna, choć braknie już Bulwera, Trollope'a i Disraeli'ego. Jest powieść sensacyjna, dopóki żyje Wilkie Collins obok Miss Braddon, a zapewne oboje nie zejdą ze świata bezpotomnie.

I wszystko to znajduje odbyt. Każden z rodzajów ma swoję klientelę. Ale, jak dotąd, klientelę prawie wyłącznie angielską. Postawiłbym zakład, że tu w Paryżu, gdzie piszę, na sto *wykształconych* Francuzów, 50 dowiedziało się o istnieniu Jerzego Eliot, w miesiąc po śmierci wielkiéj powieściopisarki, a i to dzięki „Revue des deux Mondes" i panu Montégut.

Nie idzie zatém, aby literatura ta pozostawała bez wpływu na rozwój umysłowy i piśmienniczy w sąsiednich krajach. Większość

czytelników Emila Zoli i Alfonsa Daudeta nie czytała nigdy Eliota i czytać go nigdy nie będzie; ale nie tak się ma z Zolą samym i z Daudetem. Wprawdzie przeciętny Francuz nosi się z przekonaniem, iż cała Tauchnitzowska biblioteka składa się z przeróbek francuskiego materyału, przywłaszczonego drogą kontrabandy, przez niecny Albion. Nawet w sferze literackiéj, u jednego z popularnieiszych zabawicieli fejletonowéj publiki tutejszéj spotkałem się świeżo z tém pojęciem. Ale rozumiem, że wspomniany dopiero co autor „Assomoir'u“ inaczéj o tém trzymać musi, i zgodziłby się ze mną na to, że jeżeli kontrabandzie w saméj rzeczy przypisać wypada osobliwe podobieństwo zachodzące między początkiem ostatniéj jego powieści p. t. „L'Oeuvre“, więcéj nawet, między jéj filozoficznym punktem wyjścia i jednym z jéj głównych motywów, a początkiem, punktem wyjścia i niektóremi scenami powieści p. t. „*A modern lover*“ (młodego pisarza, Jerzego Moore), dwoma latami pierwéj ogłoszonéj, tedy kontrabanda zaszła chyba w odwrotnym kierunku. Przypuścić zresztą jestem gotów, że nie było wcale kontrabandy, że zbieg przypadkowy natchnień zrobił tu wszystko, i takiemu samemu przypadkowi przypiszę chętnie tę okoliczność, za któréj sprawą „Nowoczesny kochanek“ pana Moore'a jest w ogólnéj swéj charakterystyce, a nawet w wielu szczegółowych rysach, prototypem Maupassantowskiego „Bel-Ami.“ Ale niezaprzeczenie tego rodzaju *przypadki* każą, same przez się, domyślać się pewnéj *łączności duchowéj*, bez któréj byłyby one nie dającém się wytłómaczyć zjawiskiem. Łączność zaś ta objawia się nadto innemi jeszcze, wymowniejszemi świadectwami.

Zkąd się wzięła u Zoli dramatyczna scena w pracowni malarskiéj, w któréj nadobna Krystyna poświęca swoję wstydliwość na ołtarzu sztuki i budzącéj się do życia miłości; zkąd się wziął u pana Maupassant „Bel-Ami“ tego przesądzać nie chcę; ale skąd się wziął w spółczesnéj powieści francuskiéj przeważny jéj kierunek: realizm, naturalizmem czy eksperymentalizmem zwany okolicznościowo,— w tym względzie nie może być wątpliwości. Import to świeży stosunkowo, i import angielski. Realizm, to jest przewaga realistycznych pierwiastków nad idealnemi, datuje tu od chwili, w któréj Shakspeare przestał dla tutejszych umysłów być tym barbarzyńcem, którym był dla Woltera. Aż do przewagi udzielonéj jednocześnie opisowéj formie, aż do jednocześnie wyrobionéj pogardy dla dawnych prawideł powieściowéj architektury, aż do nabytego nowego pojęcia o granicach cierpliwości, któréj wyglądać wolno od czytelnika, wszystko u dzisiejszych koryfeuszów powieściopisarstwa francuskiego jest jawnie angielskiego pochodzenia.

Zapewne między tym przyswojonym realizmem francuskim, a starym oryginalnym angielskim zachodzą niejakie i głębokie nawet różnice. Przedewszystkiém jest stanowcza różnica tendencyi. Realizm angielski ubiega się o pokazanie rzeczy tak jak są, ale mu nie chodzi wcale i nigdy o pokazanie najbrzydszych rzeczy, jakie mogą być na świecie. Przypuszcza on, wbrew pojęciom zaszczepionym u głównych adeptów szkoły Goncourtowskiéj, że to co jest najbrudniejszém, może nie być najwięcéj interesującém. Wyjątkowém w tym względzie zjawiskiem pozostaje dotąd wspomniany dopiero co p. Jerzy Moore; zjawiskiem znaczącém, niezaprzeczenie, bo wskazującém wyłom dokonany w nietkniętym przez wieki całe murze pewnych narodowych pojęć i nawyknień, w téj *sui generis* pruderyi tamtejszéj, która uchodzić może za instytucyą narodową. Ale i w tym wyłomie nie zmieściłaby się jeszcze szkoła Goncourtowska. Jeżeli p. Moore czytał w saméj rzeczy Emila Zolę, więcéj zapewne niż był przezeń czytanym, tedy między jego realizmem a realizmem autora „Nany“ utrzymuje się przepaść niezmierna. „*The Mummers Wife*“ („Żona komedyanta“), druga z kolei powieść angielskiego realisty, jest bezsprzecznie kreacyą zbliżającą się przez treść i formę nawet do „typowéj książki“ (*livre-type*) Goncourtowskiéj, do „Germinii Lacerteux“ i do „Pani Gervaisais,“ ale zawsze zdaleka. Kiedy w przedmowie do siódmego wydania młody autor zapewnia, iż nie znalazł w przejrzanym przez się tekście jednego słowa wykraczającego przeciw moralności (*to cancel for moral*), gotów jestem prawie przyznać mu słuszność. Ani brutalnością rzuconych przed oczy obrazów, ani cynicznem wysłowienia nie sięga on nigdy francuskich swoich wzorów.

A jednak „*The Mummers Wife*“ wywołała burzę; podobno nawet koalicyą londyńskich księgarzy, sprzeciwiających się długo rozpowszechnieniu „niegodziwego“, „wstrętnego“, „upokarzającego“ dla Anglii dzieła. I naśladowców nie doczekał się dotąd Jerzy Moore.

Ale oprócz téj różnicy w mierze i jakości przyswajanych tu i tam pierwiastków realistycznych jest jeszcze między francuskim a angielskim realizmem różnica inna, głębsza, choć subtelna—tak subtelna, że zdefiniowanie jéj, oznaczenie jéj właściwéj istoty dało powód do bardzo rozmaitych i sprzecznych poglądów. Biograf francuski Jerzego Eliot i Karoliny Brontë, p. Emil Montégut, dopatrzył się téj istoty *w pierwiastku religijnym*. Obecność tego to pierwiastku—„monady religijnéj, zaszczepionéj w narodowym organizmie przez protestantyzm“—daje, w jego pojęciu, realizmowi angielskiemu jego wartość moralną, broniąc go zarazem przeciwko tym zboczeniom, którym podlega on pod piórem pisarzy francuskich. Pogląd to, nie waham się rzec, bardzo osobisty, i w tém podobno mający swoje źró-

dło, że dla pana Montégut świat moralny kończy się na chrystyanizmie tak, jak realizm angielski na Jerzym Eliot i Karolinie Brontë. Religijne, chrześciańskie motywy odgrywają w saméj rzeczy u dwóch tych powieściopisarek niepoślednią rolę. Ale trzymać właśnie można, iż w tym względzie stanowią także te powieściopisarki wyjątkowe zjawisko pośród spółczesnéj literatury angielskiéj.

Więcéj, podług mojego widzenia, zbliżył się do prawdy krytyk „Revue des deux Mondes“, p. Brunetière (1), wskazując na „sympatyczną tendencyą“ realistów angielskich, w przeciwstawieniu do „ironicznéj tendencyi“ ich francuskich naśladowców. Tak, realizm angielski *jest sympatycznym* zasadniczo; uwydatniając słabe strony ludzkiéj natury, ciemne strony życia ludzkiego, ujemne rysy ludzkiego charakteru, wszystkie ułomności, poziomości i śmieszności nasze, czyni on to bez sarkazmu, z mieszaniną współczucia i wesołego humoru. Realizm francuski jest zasadniczo *ironicznym*; miejsce współczucia zabiera w nim pogarda, miejsce wosołości, szyderstwo. Tamten śmieje się, albo się lituje; ten wyśmiewa się, albo piętnuje. Z tamtego bije ciepło uczucia, z tego chłód lodowy.

Ale przykład lepiéj uwydatni to wszystko od definicyi. Oto piórem szefa realistycznéj szkoły francuskiéj, Flaubert'a, skreślony wstęp do opisu miejscowości, w któréj rozgrywają się losy „Pani Bovary.“

„Aż po rok 1835 nie było kołowéj drogi żadnéj wiodącéj do Joinville; od tego jednak czasu otwartą została droga *de grande vicinalité*, łącząca trakt wiodący do Abbeville z traktem wiodącym do Amiens..... Ale, mimo tych nowych środków komunikacyjnych, Joinville nie weszło na drogę postępu. Kościół znajduje się na środku rynku. Widać w nim konfesyonał naprzeciwko gipsowéj figury wyobrażającéj Matkę Boską. Kopia Rafaelowskiéj Rodziny Ś-téj, dar *Pana Ministra Spraw Wewnętrznych*, panuje nad głównym ołtarzem między czterma lichtarzami. Ratusz zbudowany podług planów paryskiego architekta, jest rodzajem świątyni greckiéj....“ i t. d.

Czy odczuwa czytelnik ironią zimną, suchą, bezlitośną?—A oto odpowiedni ustęp z „*The mill on the Floss*“ Eliot'a:

„Religia „Dodsonów“ polegała na szanowaniu wszystkiego, co należało do rzeczy w zwyczaju będących i poszanowania godnych. Trzeba było być ochrzczonym, inaczéj nie można było być pochowanym na miejscowym cmentarzu, ani przyjąć sakramentów przed śmiercią, ale nie mniéj niezbędnem było mieć na swoim pogrzebie przyzwoitą liczbę ludzi do noszenia płaszczy i odpowiednią liczbę

---

(1) Le naturalisme contemporain. Paryż, 1883.

szynek przygotowanych jak należy, a także zostawić testament nie ulegający zakwestyonowaniu. Nie przystało żadnemu Dodsonowi być oskarżonym o zaniedbanie czegośkolwiek należącego do przyzwoitości, a wskazanego przez przykład główniejszych parafian i familijne tradycye, jako to posłuszeństwo rodzicom, wierność małżeńska, pracowitość, uczciwość nieskazitelna, zabiegliwość, czyszczenie peryodyczne naczyń drewnianych i mosiężnych, przechowywanie monet zagrożonych wycofaniem z kursu, dostarczanie produktów pierwszorzędnego gatunku na targ, i t. d.“

I tu jest ironia, ale inna, lekka, ślizgająca się po powierzchni i ciepła, *sympatyczna* właśnie! Rzecz to odcieni zapewne tylko, nie łatwych nawet do uchwycenia w pojedyńczych obrazach. W całości utworów odcienia te składają się na bardzo wyrazistą antytezę. Jak zaznaczyłem to z góry, różnica jest subtelną, ale jest i sięga głęboko.

Podejmując niniejsze studyum w dalszym ciągu tego, które poświęciłem na tém samém miejscu powieści francuskiéj, właściwą rzeczą zdało mi się zacząć od ogólnego tego zestawienia, do powtórzenia którego w szczegółowych rysach będę miał niejednę jeszcze sposobność. A teraz przystępuję do przedmiotu. Zapewne jednak nikt mnie nie posądza o zamiar wyczerpania tegoż. Co najwięcéj, w szczupłych ramach, które muszą tu być mojemi, pokusić się mogę o uwydatnienie głównych kierunków téj twórczości, któréj olbrzymi rozwój zaznaczyłem na wstępie. Zamiast jednak trzymać się ogólników, sądzę, iż lepiéj zrobię uprzytomniając czytelnikowi każdy z tych kierunków w bliższéj, choć zawsze bardzo treściwéj, charakterystyce kilku najwybitniéj uosabiających go przedstawicieli. Ma się rozumiéć klasyfikacya, do któréj uciec mi się wypada w tym celu, niema nic absolutnego. Autor najgłębiéj pomyślanéj i najartystyczniéj obrobionéj powieści, jaka się ukazała od czasów „*Adama Bede*“, wytrawny psycholog i wytworny stylista z „*Far from the madding crowd*“ („Z daleka od szalonego tłumu“), Tomasz Hardy jest głównym i rzec prawie można jedynym dotąd poważnym spadkobiercą filozoficznéj puścizny na tém polu; innemi stronami jednak swego bynajmniéj nie jednolitego talentu należy on raczéj do humorystyczno-opisowego rodzaju. Autor „*Donny Quixote*“ i „*Miss Misanthrope*“, Mac-Carthy, zaczął od rodzaju sensacyjnego, przerzucił się w rodzaj satyryczny, a skończył ostatnim swoim, wczorajszym utworem (*Down!*) na tém, od czego zaczął.

Zacznę sam od powieści filozoficznéj i od pośmiertnéj monografii, poświęconéj talentowi, gotów jestem poprawić się i napisać: geniuszowi, który, choć już do świata cieniów należący, zbyt bliskim

jest dotąd pamięci i sercu swych wielbicieli, a zbyt mało znanym prawdopodobnie moim czytelnikom, aby mi go tu pominąć było wolno. Jerzy Eliot nie przestał należyć do spółczesnego powieściopisarstwa.

I. POWIEŚĆ FILOZOFICZNA.

1. Jerzy Eliot.

Rzec można, iż wszystkie rodzaje powieści, nie wyłączając filozoficznego, odnajdują się w zawiązku u trzech patryarchów angielskiego powieściopisarstwa w bieżącym wieku: Walter-Scot'a, Thackeray'a i Dickens'a. Aż do ostatnich czasów jednak filozofia pozostała zjawiskiem sporadycznêm w pismach całego legionu epigonów, zostawionych przez genialną trójcę na opuszczonêm przez się polu. Nie straciła tego charakteru nawet u Karoliny Brontë. Aż po rok 1856 nie widać w literaturze angielskiéj nic podobnego do tendencyjnych kreacyi pani Sand czy do powieści *à thèse* Dumasa syna. Zapewne, niezmordowany Wilkie Collins filozofuje często, a czasem nawet, na swoich czytelników nieszczęście, sama Miss Braddon. Ale są to zawsze z ich strony okolicznościowe tylko wycieczki w obcą okolicę. W roku 1856 nie stało już od lat trzech Karoliny Brontë; Dickens i Thackeray, choć żyjący jeszcze, zeszli z pola. Nietylko do stworzenia nowego rodzaju, do uprawiania dawnych zabrakło rąk. Aliści pojawiać się zaczęły w czasopismach artykuły filozoficznéj treści, zdradzające pióro wprawne, umysł oswojony z labiryntem duchowym swojskich i obcych myślicieli, pojęcie bystre a zarazem duszę gorącą, duszę artysty. Niebawem zaś pod nazwą „Scen z życia klerykalnego" (*Scenes of the clerical life*) ukazała się, têm samêm piórem skreślona, wiązanka szkiców, która dobyła z tysiąca ust okrzyk, że nietylko nowy powieściopisarz, ale nowy rodzaj powieści narodził się w Anglii.

Nowym był w saméj rzeczy ten rodzaj, nowym nietylko w Anglii, ale w całym świecie, bo na wskróś angielskim; filozoficznym i tendencyjnym zasadniczo, ale oryginalnie; nie od trybuny czy katedry ród swój wiodącym, ale raczéj od kazalnicy; coś nakształt homilii kościelnéj, ubranéj w szatę powieściową. Tylko naród, który wydał metodystów, mógł wydać taką powieść i tylko w takim narodzie, wzrosłym w atmosferze duchownego namaszczenia, wsłuchanym w biblijne kontrowersye sekciarzy kościelnych, mogła taka powieść stać się popularną, mimo całéj swéj artystycznéj wartości.

Na okładce rozchwytywanych szkiców stało imię: *Jerzego Eliot*.

Czyjem było to imię? Najprawdopodobniéj prowincyonalnego *clergyman*'a. Może kobiety? Podczas gdy umysły gubiły się w przypuszczeniach i sporach, szczupłe grono przyjaciół, ze znanym publicystą Jerzym Lewis na czele, otaczało hołdami 38-letnią, niełądną miss, córkę wiejskiego urzędnika mierniczego (*landsurveyor*) świeżo przybyłą do Londynu, z właściwego imienia i nazwiska, Maryę Evans, autorkę szkiców.

Czém mogło być życie téj kobiety aż do tak późnéj chwili, która ją powołała do przeznaczonego jéj zawodu—w tym względzie żaden dokument nie przychodzi w pomoc naszéj wyobraźni. Do 37 roku życia swego Jerzy Eliot niema historyi. Co nie zdaje mi się dowodzić koniecznie, aby te długie panieńskie i samotne lata były dla niéj latami szczęścia. Zapewne pracowała wiele i myślała dużo. Przypadek zetknął ją z Jerzym Lewis i sprowadził do stolicy. I znowu zapewne jakiś „dziennik wrażeń", czy okolicznościowa próba pióra w powieściowym rodzaju, oddana w ręce opiekuńczemu publicyście, stała mu się zachętą do skierowania szukającego drogi swéj talentu na tę drogę, na któréj czekało go tyle tryumfów.

Odtąd historya Jerzego Eliot splata się z historyą angielskiego piśmiennictwa i angielskiego życia umysłowego w ostatnich latach trzydziestu.

Z dawniejszego kierunku swych prac i pierwszéj swéj twórczości piśmienniczéj wyniosła ona i wprowadziła do nowych swych kreacyi doktrynę filozoficzną, dogmatycznie prawie sformułowaną i przeprowadzoną do końca przez wszystkie zawroty artystycznego natchnienia z nigdy nie zachwianą konsekwencyą. Doktryną tą jest *altruizm* jak najszerzéj rozwinięty, posunięty aż do abnegacyi, do aktualnego zaparcia się siebie. Życie o tyle tylko jest coś wartém, o ile żyje się dla drugich. Oto kardynalny artykuł téj filozoficznéj wiary. Gdzie zaś jéj fundament? W religijném jakowémś pojęciu przeznaczeń i obowiązków naszych? Nie, w czysto filozoficzném pojęciu, podług którego osobiste szczęście nasze może być tylko odbiciem szczęścia cudzego; w *sympatycznym* pierwiastku, który w przekonaniu autorki jest podstawą naszéj natury, w stanie normalnym, w stanie moralnego odrodzenia. Egoizm stanowi w jéj oczach zboczenie, odstępstwo od naturalnego planu stworzenia i naturalnego charakteru stworzeń. Jest ułomnością. Człowiek moralnie zdrowy *kocha* naturalnie, tak jak człowiek fizycznie zdrowy *jé i pije*, tak jak drzewo rośnie i krzak róży pokrywa się pachnącym kwiatem. I kocha coś czy kogoś *po za sobą*. Tak chce prawo psychicznéj jego organizacyi. Kochając *siebie samego*, gwałci on to prawo i gwałci je z własną krzywdą. Tak jak gdyby łaknąc pożywienia, pożerał samego

siebie. Jest on wtedy skazanym na śmierć głodową potępieńcem, gryzącym swoje palce.....

Opiera się jednak w pewnéj mierze to pojęcie o pewną przychodzącą mu w pomoc religijną podstawę. Ktoby domyślał się w Jerzym Eliot chłodnéj racyonalistki, myliłby się stanowczo. O niczém więcéj nie okazuje się ona przekonaną jak o potrzebie religii. Jakiéj religii? Jakiéjkolwiek. Tak jest—jakiéjkolwiek. Obojętność jéj co do kwestyi wyznaniowéj zdaje się być zupełną. Protestantyzm nie ma wyraźnie dla niéj nic wstrętnego. Pastor wiejski *Irwine* z „Adama Bede", dziekan *Gascoigne* z „Daniel Deronda" należą do typów skreślonych przez nią z największém upodobaniem i najwidoczniejszą sympatyą. Metodystka *Dinah Morris* owładnęła najwyraźniéj jéj sercem aż do poróżnienia jéj na dobre z realizmem i zapędzenia w lazurowe sfery ideału. Ale ani metodyzm sam, ani żaden inny sąsiedni kościół nie skrępował jéj w swojéj ciasnéj formule. Pewną stroną swych religijnych tendencyi zbliża się ona aż do katolicyzmu. Otwarcie bowiem przyjmuje konieczność duchowego kierownictwa sumień. *Daniel Deronda* spowiada z iście kapłańskiém namaszczeniem piękną *Gwendolinę Harleth*. (Prawda, że czyni on to we fraku i białym krawacie, który to notabene frak pokrywa kształty Belwederskiego Apolina). Ale i judaizm nastręcza się naszéj powieściopisarce na którymś zawrocie téj eklektycznéj wędrówki i nie cofa się ona przed nim bynajmniéj. Owszem, dobywa z brudnego londyńskiego zaułka, z pośród rodziny trudniącéj się przyjmowaniem w zastaw pierścionków brylantowych, zagadkową postać „*Mordecaï'ego*" i czyni zeń natchnionego apostoła mesyanizmu.

Czém jest tedy właściwie dla niéj ten drugi pomocniczy pierwiastek religijny, od wszelkiéj formy i od wszelkiego dogmatu nawet niezależny? Tego nie umiem powiedziéć. Podobno czémś bardzo nieokreśloném w jéj własném pojęciu. Rzeczą uczucia zapewne, więcéj niż wiary; natchnienia raczéj niż logiki. A jednak nie rozumie ona religii bez pewnych praktyk zewnętrznych, obojętną tylko pozostając co do ich wyboru. Czytelnik pogodzić zechce te dane z sobą podług własnych pojęć—jeżeli potrafi. Wyręczyć go w tym względzie nie podejmuję się. Chyba powtórzeniem ustępu, w którym metodystka *Dinah Morris* odwiedza starą *Lisbeth*, matkę *Adama Bede*, płaczącą nad zwłokami męża:

„....I tak tedy była żarliwa modlitwa, była wiara, był zdrój miłości i nadziei lejący się tego wieczora w ubogiéj kuchence. I bez uchwycenia jakiegokolwiek jasnego pojęcia, bez przebycia jakichkolwiek religijnych wzruszeń, biedna, stara, rozdrażniona *Lisbeth* doświadczyła wstępującego w nią niewyraźnego uczucia dobroci

i miłości i czegoś sprawiedliwego, leżącego pod powierzchnią i po za obrębem tego troskami napełnionego życia. Zrozumiéć, dla czego to życie jest takiém, nie mogła, ale pod ujarzmiającym wpływem natchnionego ducha swéj towarzyszki, czuła, że powinna być cierpliwą i milczéć.....“

Cała religia Jerzego Eliot mieści się w tych kilku wierszach.

Nie tylko zaś religijną ale i artystyczną doktrynę własną przyniosła z sobą i rozwinęła autorka „Scen z życia klerykalnego.“ Dla określenia jednak téj ostatniéj gotów jestem znowu uciec się do jéj własnych słów, raczéj niż do moich osobistych analitycznych zasobów.

„Nie dążę do niczego więcéj jak do wiernego przedstawienia rzeczy i ludzi, tak jak ich postać odbiła się w moim umyśle. Zwierciadło nie jest zapewne doskonałém, tén i ów rys znajdzie się w niém fałszywym, całość obrazu niewyraźną lub zagmatwaną; jednak czuję się w obowiązku pokazania wam tego odbicia z taką dokładnością, jak gdybym siedziała przed sądem na ławie przeznaczonéj dla świadków i składała zeznanie pod przysięgą“ (1).

Oto więc teorya metody artystycznéj; a oto druga teorya co do wyboru przedmiotów.

„Odkrywam bezdenne źródło ciekawości i współczucia w próbowanych tutaj przedstawieniach jednéj z tych monotonnych domowych egzystencyi, które są losem większéj nieskończenie liczby mych bliźnich. Daleko mniéj konieczną rzeczą zda mi się, aby mnie nić sympatycznie wiązała z owym łotrem w czerwonéj wstędze i zielonym pióropuszu, niż z tym oto pospolitym obywatelem, który w kamizelce źle leżącéj i krawacie źle dobranym, sprzedaje mi funt cukru.....“ (2).

Z dwoma temi teoryami wiąże się jeszcze trzecia, osobna i bardzo osobista teorya—w materyi piękna. Czy i o ile osobisty żal do natury, dający się przypuścić u Miss Evans, wpłynął na wytworzenie tego kierunku w jéj artystyczném natchnieniu, przesądzać nie chcę. To jest rzeczą pewną, że Miss Evans nie była ładną, i że może nie dla tego, ale obok tego utworzyła sobie aksyomat z pogardy dla ładnych twarzy i dla piękności wogóle.

„Czy tylko rzeczy piękne mogą być godnemi kochania? Mam nadzieję, że nie! Nie jestem wcale pewną, czy przeważna większość ludzkich stworzeń nie była od początku świata brzydką. Mam między moimi przyjaciołmi jednego i drugiego towarzysza, których rysy należą stanowczo do téj kategoryi, że uwieńczenie ich czoła Apo-

(1) „Adam Bede“. — (2) Tamże.

linową fryzurą okazać by się musiało nader przykrém doświadczeniem; jednak wiem z zupełną pewnością o czułych sercach, które biły dla nich, i miniaturowe ich konterfekty—pełne pochlebstw, ale jeszcze dalekie od piękności--spotykają się, w sekrecie, z pocałunkami ust macierzyńskich... Znam niejedną przezacną matronę, która w najpiękniejszych dniach swoich nie mogła być ładną, a która chowa przecież w strzeżonéj zazdrośnie szufladzie wiązankę pożółkłych bilecików, i na któréj żółte policzki sypią się pocałunki całéj gromadki rozkosznych dzieciaków. Domyślam się także całéj rzeszy młodocianych bohaterów, którzy, dopóki im broda nie zagęściła się na twarzy, nosili się z przekonaniem, że niepodobna im kochać czegoś mniéj wspaniałego od boskiéj Dyanny, a którzy czują się obecnie szczęśliwymi zgoła, w małżeńskiém pożyciu z towarzyszką, posiadającą chód młodéj kaczki... Tak jest. Dzięki Bogu, uczucie ludzkie ma podobieństwo do potężnych rzek użyźniającyeh ziemię naszą: nie ogląda się ono za pięknością; płynie z niepowstrzymaną siłą i *przynosi* piękność z sobą!"

Ale nietylko zbyteczną jest piękność, w pojęciu naszéj powieściopisarki; jest ona nawet szkodliwą. Pięknemi są wszystkie jéj grzesznice, zacząwszy od zalotnéj *Hetty Sorrel* a skończywszy na dumnéj *Gwendolinie Harleth.* I wszystkim piękność właśnie staje się okazyą do grzechu. Natomiast idealna *Dinah Morris* posiada tylko moralną piękność wyrazu w natchnionéj twarzy. A już połączenie się z sobą dwóch pięknych istot przedstawia się 38-letniéj samotnicy w charakterze czegoś zgoła nielogicznego, anormalnego, potwornego prawie. Jeżeli piękność może miéć wartość jakową, to chyba tylko przez ofiarę uczynioną z siebie; owóż istota, która już sama przez się jest piękną, nie potrzebuje takiéj ofiary, nie potrafi jéj ocenić. Złośliwość znajdzie i tu pole do wniosków, wiążących się z osobistemi zewnętrznemi, właściwościami panny Evans. Osobiście wolę poprzestać na zaznaczeniu faktu, bez wnioskowania o jego zagadkowych przyczynach.

Realizm tedy posunięty aż do protokólarnego oddania zebranych wrażeń, przywiązanie się do przedmiotów poziomych i pozornie trywialnych, nakoniec cześć zazdrosna i prawie wyłączna dla *duchowego* piękna—oto trzy artykuły wiary artystycznéj, któréj *credo* znajduje się już w „Scenach z życia klerykalnego," a któréj ewangelią jest „Adam Bede."

Czy atoli jest zarazem tenże „Adam Bede" ostatecznym wyrazem artystycznéj twórczości przez się reprezentowanéj? Odpowiedź wypada przecząco. Powiedziałem wyżéj o wierności przechowanéj przez naszą powieściopisarkę w ciągu jéj całego zawodu, dla wypie-

lęgnowanych w długiéj samotności filozoficznych pojęć i przekonań. Inaczéj się ma z artystyczną tegoż zawodu połową. W tym względzie „Silas Marner“ (1863), trzecia z kolei powieść szerszego zakroju, podpisana imieniem Jerzego Eliot, stanowi granicę między dwoma kierunkami, przedstawiającemi jeszcze pewne cechy wspólne, ale też i głębokie różnice. W chwili téj, autorka rozchwytywanych, entuzjazmujących Anglią całą arcydzieł, dobiła się szczytu sławy; świat cały, nietylko ten świat monotonnych egzystencyi i poziomych istot, który zjednał sobie pierwsze jéj sympatye, ale sam *wielki świat*, z pierwszorzędnych gwiazd literackich i arystokratycznych potentatów złożony, uderzył czołem przed nią i otworzył jéj swoje progi. Weszła ona w te progi, niegdyś zdaleka pogardliwém mierzone okiem,— i niebawem zapomniała o dawnych sympatyach i dawnych prostaczych ulubieńcach swéj wyobraźni. Episier z przeciwka przestał jéj zdawać się równie interesującym jak poprzednio. Trywialne postacie pospolitych tkaczy i majstrów ciesielskich przestały jéj zdawać się zdolnemi do odziewania jéj wybredniejszych już teraz pomysłów. Nie chcąc może przyznać się do tego saméj sobie, cofając się przed natychmiastowém zaparciem się swojéj wiary artystycznéj, szuka ona zrazu ucieczki w świecie fikcyi i w dalekich historycznych widnokręgach. Ona, wczorajsza realistka, powtarzająca *pod przysięgą* to, co widziała naocznie i słyszała własnemi uszami, przenosi się do Włoch, w czasy Medyceuszów. Ubiera swą filozoficzną tezę w fantastyczne kształty greckiego bakałarza *Tito-Melemy*, i Sawonarolowskiéj uczennicy, *Romoli*. Ale, w obec wyraźnego niepowodzenia téj próby, kapituluje ostatecznie, pali dawne swoje bogi i wkracza stanowczo z „Danielem Deronda“ w poufałe teraz sobie sfery *highlife'u*. *Gwendolina Harleth* jest tą samą wprawdzie grzeszną niewiastą co *Hetty Sorrel*, tak samo zbałamuconą przez własną piękność i przez powiązane z tym zdradzieckim darem pokusy światowe, ale, zamiast robić séry, jeździ konno na czystéj krwi rumakach *lorda Grandcourt*.

Pilno mi dodać, że, w pewnéj mierze, zwrot ten tłómaczy się także naturą samą talentu, który dostał się w dziale autorce „Adama Bede“ i „Daniela Deronda.“ Talent to potężny—ale potężny głównie refleksyjną właśnie siłą swoją. Wyobraźnia okazuje się skąpą u Jerzego Eliot. Jej obraz życia Florenckiego, w epoce dzielącéj śmierć wielkiego Medyceusza od śmierci Savonaroli, jest suchą kronikarską kompilacyą. Natomiast jéj dzisiejsi powszedni tkacze i majstrowie ciesielscy są postaciami mistrzowską oddanemi ręką i tak samo mistrzowskim typem jest *lord Grandcourt*. Tych widziała w saméj rzeczy autorka na własne oczy i słyszała własnemi uszami.

W ogóle jednak, druga połowa jéj „zwierciadlanych“ odtworzeń mniéj okazuje się szczęśliwą od pierwszéj. Snać zwierciadło stało się już mniéj czułem, siła jego refleksyjna mniéj potężną.

Ten refleksyjny charakter jéj twórczości jest tak dalece wybitnym u Jerzego Eliot, że wyklucza nawet tę miarę osobistéj fantazyi, za pomocą któréj pędzel innych artystów, nie przekształcając natury, opromienia ją poetycznym urokiem. Jéj opisy są dokładnemi, ale nic nad to; jéj krajobrazy mają podobieństwo do map geograficznych. Chyba że jakaś myśl filozoficzna, czy poetyczna, rzucona w poprzek, udziela im osobliwego blasku i niezwykłéj wypukłości:

„...Jakże szczęśliwym wyglądać musi kraj ten przed oczyma obojętnego wędrowca, przebiegającego tę oto dolinę, zatrzymującego się na tym oto pagórku. Myślałam często o tém, w obcych krajach, kiedy, trafiwszy na pola i lasy podobne do naszych w *Loamshire*, na żyzne role z równém uprawione staraniem, i drogi zbiegające tak samo z łagodnych pochyłości i zielone łąki—spotykałam się nagle z czémś, co przypomniało mi, że nie jestem w *Loamshire*; z obrazem strasznéj męczarni—męczarni krzyża! Wyrósł on oto przedemną w cieniu kwitnących jabłoni, albo w pełnym blasku słońca przy porosłych bujném zbożem zagonach, albo na zakręcie leśnéj drogi, opodal od jasnego strumyka szemrzącego w wąwozie; i zapewne, gdyby zjawił się tam pielgrzym, nie wiedzący nic o historyi naszych losów na téj ziemi, ten męczeński wizerunek musiał-by mu się zdać dziwnie nie na swojém miejscu pośród téj wesołéj przyrody. Nie zgadłby on, że za kwitnącemi jabłoniami, albo pośród złotéj fali kłosów, albo w leśnych pachnących klombach kryje się może serce ludzkie, bijące trwogą i rozpaczą; kryje się może młoda, do pączka róży podobna dziewczyna, która nie wié, gdzie szukać ucieczki przed szybko nadchodzącą hańbą“...

Takim opisem otwiera autorka scenę (w „Adam Bede“)—jednę z najdramatyczniejszych jéj piórem skreślonych—w któréj *Hetty Sorrel* znajduje *ucieczkę* przed hańbą, w morderstwie swego dziecka.

Kilka słów teraz jeszcze o *realizmie* artystycznym autorki „Adama Bede.“ Jest to realizm rzetelny, ale realizm *sui generis*, który nie przeszkadza temu, że ten sam „Adam Bede“ liczyć się może śmiało do najidealniejszych i nie waham się dodać, najfantastyczniejszych kreacyi, jakie wyszły kiedykolwiek z pod czyjegokolwiek pióra. Jużci za realnego i realistycznie traktowanego ujść musi ten syn cieśli i cieśla sam, kiedy, pracując nad sporządzeniem trumny dla swojego ojca, (który wypiwszy za wiele, swoim zwyczajem, utopił się w sąsiednim stawie), nie broni się on przed uczuciem pewnego zadowolnienia na myśl, że ten wiecznie pijany ojciec nie będzie już dlań

powodem zmartwienia i wstydu, a potém kieruje swoje wspomnienia do pięknych oczu *Hetty Sorrel*. Ale w pięć minut potém ten sam cieśla mówi takim językiem, najwznioślejszych uczuć pełnym, jakim nie mówił nigdy żaden cieśla. Mówi jak mędrzec grecki a działa jak bohater z pierwszych wieków chrześciaństwa. Brat zaś jego młodszy, *Seth*, współzawodniczy z nim w tym względzie i bodaj czy go nie przewyższa jeszcze. Brat ten rozkochał się w metodystce, *Dinie Morris*; ta jednak nie chce kochać go inaczéj jak braterskiém uczuciem, pragnąc poświęcić się w całości służbie bożéj. Po rozmaitych dopiero kolejach i bolesnych przeprawach, serce jéj mięknie i daje przystęp uczuciom czulszym—ale dla *Adama*. Tak się przynajmniéj zdaje temu ostatniemu, który pyta przeto brata:

— „Czy sprawiło by ci to przykrość, gdyby ona kochać miała więcéj mnie niż ciebie?

— Jak możesz przypuszczać coś podobnego?—odpowiada *Seth* gorąco. Żaliż tak mało współczułem twojemu smutkowi, iżbym nie miał współczuć twojéj radości?"

Jedna tylko Hetty Sorrel,—*piękna* Hetty—nie zabłąkuje się nigdy w sfery ideału:

— „Czy kochasz mnie na prawdę, *Hetty*?—pyta ją *Adam*.—Czy chcesz być moją żoną, towarzyszką, którą kochać i pielęgnować będę, tak długo jak Bóg mi żyć pozwoli?"

Hetty oddała dopiero co swoje serce, i coś więcéj jeszcze, młodemu i pięknemu spadkobiercy imienia i majątku *Donnithornów*. Ale *Artur Donnithorne* odjechał, nie wiadomo kiedy wróci i niema pewności, czy wróci *do niéj*, więc *Hetty*:

„... Nie rzekła słowa, ale czując twarz *Adama* blizką swojéj twarzy, przytuliła rumianą buzię do téj męzkiéj twarzy, jak kotka. Potrzebowała pieszczoty, potrzebowała wyobrazić sobie, że *Artur* jest znowu przy niéj"...

W jakiż tedy sposób realistką jest Jerzy Eliot? W ten sposób, że dostrzega ona, rozróżnia i zaznacza z przedziwną przenikliwością, wszystkie rozmaite, sprzeczne czasem, rysy i odcienia ludzkiéj natury, ludzkiego charakteru; ale, dokonawszy téj analizy, *potęguje* dowolnie ten lub ów rys, najpospoliciéj rys dodatni, i tworzy, za pomocą téj sztucznéj kombinacyi, postaci, względnie prawdziwe, bo niemasz w nich nic fałszywego, prócz przesadzonéj skali pewnych, prawdziwych zresztą i w naturze zaobserwowanych uczuć, względnie realne, ale z absolutnego punktu widzenia, zgoła należące do fikcyi. W ten sposób osięga ona tę idealną plastykę, która udziela jéj kreacyom ich niezrównanego uroku, w ten sposób oblewa strumieniami poezyi najtrywialniejsze szczegóły i najpospolitsze typy, w ten spo-

sób i w téj mierze, pozostając wierną swemu realistycznemu programowi, czyni ze swojéj rzekoméj prawdomówności największę pochlebczynię serc i sumień ludzkich, z jaką spotkać się można. To jéj sekret, to jéj sztuka i najpewniéjsze źródło jéj powodzenia przed światem. Kilkakrotnie ponawiane przez nią próby kreacyi poetycznych w wiązanéj mowie nie wypadły szczęśliwie. Ale „Adam Bede" mimo prozaicznéj swéj formy jest najrzetelniejszym poematem.

Mistrzyni zresztą, niedościgniona mistrzyni w zakresie analizy psychicznéj. Powiedziano o subtelnéj czułości jéj analitycznego zmysłu, w tym względzie, to co mówią o zmyśle muzykalnym chińczyków, których ucho zdolném jest podobno uchwycić *ćwierci tonu.* Pełna także trafnych spostrzeżeń, bystrych pomysłów i głęboko sięgających poglądów—choć zawsze prawie drobiazgowych bardzo, nie wychodzących ze *szczegółu.* Do szérszych ogólnień mało zdolna. Powiedziano o niéj także, że byłaby mogła napisać „Charaktery" La Bruyer'a, ale nie „Maksymy" La Rochefoucauld'a. Jakoż spróbowano uzbierać i wydać w osobnym tomie wiązankę najpiękniéjszych kwiatów jéj myśli—i próba nie powiodła się. Uszczknięte z miejsca, na którém rozsiała je jéj ręka, kwiaty straciły barwę swoję i zapach.

Rozszerzyłem mimowolnie ogólną tę charaterystykę i brakuje mi miejsca na krótki nawet, zamierzony przegląd główniejszych utworów wspomnianych w jéj ciągu lub pominiętych.

„Sceny z życia klerykalnego," mimo powodzenia, z którém się spotkały, są jeszcze świadectwem niewyrobionego talentu. Widać w nich jakby próbę doświadczalną rozmaitych metod artystycznych. Mistrzem wyzwolonym, pewnym siebie i swojéj sztuki okazuje się Jerzy Eliot dopiero w „Młynie nad rzeką Floss". Historya to dwóch charakterów, i dwóch temperamentów brata i siostry. *On* krzepki, energiczny, tępy do książki ale przedziwnym zmysłem obdarzony do interesów, pełen poczucia obowiązku, ale nie znający pobłażliwości, nie przebaczający niczego ani sobie ani drugim,—typ najdoskonalszy może w całéj literaturze angielskiéj zimno-krwistego Anglika. *Ona* wiotka, nerwowa, z czułém sercem i gorącą wyobraźnią, rozczytana w romansowéj literaturze i szukająca romansu w życiu—typ przedziwny także swojskiéj wyegzaltowanéj *miss.* W nim *pierwiastek sympatyczny* zanikł zupełnie; w niéj rozwinął się fałszywie. *On* dochodzi do tego, że wypędza z domu własną siostrę, niesprawiedliwém oskarżeniem zniesławioną. *Ona* do tego, że daje się uwieść narzeczonemu najlepszéj swéj przyjaciółki. Oboje jednak przychodzą do poznania swego błędu. *Ona* wyrzeka się dobrowolnie szczę-

ścia wydartego nieprawym postępkiem ukochanéj przez się istocie, opuszcza swego uwodziciela i skazuje się na życie pokutnicze w niedostatku i upokorzeniu. On—nie przebaczający brat—doczekuje się nocy, w któréj wezbrana nagle powódź zaskakuje go, grożąc niechybną śmiercią, w zalanym dokoła domu, do którego wdzierają się piętrzące się fale. W tém zjawia się pod oknem łódka z kobiecą w niéj postacią. To *ona*, wypędzona z domu siostra, przybywa na jego ratunek. Ale napróżno. Porwany przez powódź stos belek potrąca kruchą łódkę, i wtedy obejmując ją ostatnim braterskim uściskiem, *on* pogrąża się razem z nią w przepaść.

Tyle filozoficznéj treści powieści. Reszta należy bądź do obrazowego opisu obyczajów i typów, bądź do rozbioru charakterów i temperamentów. Strona opisowa jest szeregiem arcydzieł; ale szereg może trochę długi. Świat *Dodsonów* i *Tulliverów*, młynarzy, *farmerów* i mało miasteczkowych rentyerów przedstawia się nam z plastyką zapożyczoną od holenderskich mistrzów pędzla, ale nuży nas trochę. Strona analizy psychologicznéj niema podobno równéj sobie w żadnéj literaturze. *Tom Tulliver* i *Maggie Tulliver*, jego siostra, są unikatami w tym względzie. Ale może i zabrana z niemi znajomość, tak bliska, że każde uderzenie ich serca staje się nam przytomném, naprzykrzyć się jest w stanie mniéj cierpliwemu czytelnikowi. Zapewne sprawiedliwém jest to pojęcie, że, dla dokładnego poznania i należytego zrozumienia danego charakteru i temperamentu, trzeba sięgnąć do samych początków powolnego ich rozwoju. Ztąd w „The Mill on the Floss“ ustęp poświęcony idylicznemu opisowi dziecinnych lat obojga *Tulliverów*. Ale ustęp ten zajmuje 400 kartek, całość 1-go tomu dwutomowéj powieści. Idylla jest ładną, ale trochę długą. Historya także finansowych kłopotów i niefortunnych spekulacyi starego *Tullivera*, ojca, trzyma zawiele miejsca w obu tomach.

Godzi się dodać że, według wszelkiego prawdopodobieństwa, obraz sympatyczny *Maggie* w dziecinnych latach, jest w pewnéj mierze autobiografią—co udziela mu osobliwego interesu.

Te same przymioty po części i te same wady odnajdują się w „Adamie Bede“—razem z tą samą myślą filozoficzną, tylko w odmiennym kształcie. *Adam Bede*, cieśla z profesyi, jest ideałem ciesielskiego majstra i nawet do pewnego stopnia ideałem mężczyzny. Biegły w swém rzemiośle, pracowity, sumienny, silny jak lew i jak lew wspaniałomyślny, pełen naturalnego rozumu przytém, bystrości, energii i woli, grzeszy on chyba tylko zbyteczną pewnością siebie i skłonnością do ulegania popędom szlachetnego serca. Piękne oczy *Hetty Sorrel* pociągnęły go ku sobie i nie oparł się on ich magnetycz-

néj sile. Tak samo młody przystojny, dzielny i szlachetny *Artur Donnithorne* ujść by mógł za ideał dżentlemana wiejskiego, gdyby lepiéj umiał trzymać na wodzy swój krewki temperament. W rezultacie, rozumny i poważny *Adam* robi z pięknéj ale płochéj *Hetty* swoję narzeczoną, sympatyczny zaś *Artur* uwodzi ją i przyprowadza do dzieciobójstwa. Ocalona od haniebnéj śmierci pod szubienicą, dzięki usiłowaniom *Artura*, *Hetty* umiéra za dalekiemi morzami w pokutniczéj szacie galerników. *Artur* opuszcza dostatki i rozkosze życia, o którém marzył, a którego progi śmierć wuja otworzyła właśnie przed nim, i idzie zmywać swoję winę krwią wylewaną na polach bitew. *Adam*, przebolawszy swoję boleść, łączy się z metodystką *Diną Morris*.

Powieść otwiera się kazaniem, wygłoszoném w otwartém polu przez młodą metodystkę, (która, pracując w papierni, jako prosta robotnica, znajduje zagadkową możność obnoszenia po całéj okolicy swego apostolstwa). Kazanie to, nieco długie znowu, nadaje ton całéj powieści, pełnéj skądinąd idylicznych a nawet dramatycznych scen, mistrzowską skreślonych ręką. Sceny, w których *Hetty Sorrel* walczy najpierw z myślą samobójstwa a późniéj z myślą drugiéj, ostatecznie spełnionéj przez się zbrodni, są arcydziełem i dramatycznego obrazowania i analizy psychicznéj. Z niezrównaną także biegłością i niezrównanym wdziękiem oddać umie Jerzy Eliot powolne stopniowanie uczuć, za pomocą którego dwa stworzone dla siebie serca, *Adama* i *Diny*, przebywają dzielącą je z początku przestrzeń. Nikt chyba nie przewyższył, nikt nie doścignął może autorki angielskiéj w misterném a pełném poezyi odwzorowaniu: „drobnych słów, nieśmiałych spojrzeń, bojaźliwych dotknięć, za pomocą których jedna dusza zbliża się powoli do drugiéj, niby dwa drżące dészczowe strumyki, dopóki nie spłyną w jeden potok“...

Po „Adamie Bede,“ „Silas Marner“ jest rodzajem artystyczno-filozoficznego intermezzo. Historya to nieszczęśliwéj ofiary ludzkiéj niegodziwości, biednego tkacza, który niesłusznem podejrzeniem o kradzież dotknięty i odepchnięty od swoich, zamyka się w samotności i w rozwiniętéj stopniowo namiętności do zbierania, srebrnych szylingów i złotych gwinei. Jednego dnia skarb, zazdrośnie przezeń strzeżony, znika zbrodniczą uniesiony ręką, i zdaje się wtedy rozpaczającemu starcowi, że nic już nie pozostaje dlań na ziemi. Aliści, w niepewném blasku płonącego komina, spostrzega on przed sobą, na ziemi, coś podobnego do kupki złota: to złotowłosa główka dziecka, którego matka umarła dopiero co z głodu i zimna pod progiem jego domu. Dziecko zostawione samo sobie zobaczyło przez otwarte drzwi płomień komina i przypełzło do światła i ciepła. *Silas*

Marner przygarnia biedną sierotkę, przywiązuje się powoli do niéj i w tém przywiązaniu odnajduje skarb prawdziwy, odnajduje stracone szczęście.

Obraz humorystyczny stosunków społecznych i towarzyskich w parafii Raveloe wiąże się z tą filozoficzną treścią.

Po „Silasie Marner“—„Romola,“ to jest, jak już miałem sposobność nadmienić, przełom w dotychczasowéj jednolitości artystycznego zawodu, rozpoczętego „Scenami z życia klerykalnego.“ Chodzi tym razem naszéj autorce o wykazanie, do czego doprowadzić może człowieka, nawet niezłego z gruntu, przewaga choćby raz tylko udzielona przezeń instynktom egoistycznym. Dla czego podobało jéj się szukać swojego egoisty aż na wyspach greckich i w XV wieku, o tém wspomniałem już także. Tito Melema jest tedy młodym Grekiem, którego jedna z częstych w owéj epoce przygód morskich rzuca na brzeg włoski i zawodzi do Florencyi. Z rozbitego przez burzę statku uniósł on razem z życiem kilka drogocennych klejnotów, które pozwolić mu mogą na osiedlenie się w rozkoszném mieście włoskiém i na szukanie w niém szczęścia. Ale klejnoty te są własnością jego przybranego ojca, jego opiekuna i dobroczyńcy, który prawdopodobnie dostał się do niewoli i wygląda okupu.

Znanym jest zapewne czytelnikom apolog *o mandarynie*, świeżo wyzyskany przez francuzkiego powieściopisarza (Juliusza Claretie) w „Janie Mornas.“ Gdyby ktoś wiedział, że jedném skinieniem palca może o cztery tysiące mil zabić gdzieś w Pekinie nieznanego mandaryna i odziedziczyć po nim jego dostatki, czy ten ktoś cofnął by się przed taką zbrodnią? — *Tito Melema* nie zabija nawet *mandaryna*, tylko przypuszcza, że on nie żyje. W tém pochlebiającém mu przypuszczeniu, sprzedaje klejnoty przez się jakoby odziedziczone, i zaczyna wieść wesołe a szczęśliwych przygód pełne życie. Aliści mandaryn—to jest za nieżyjącego poczytany dobroczyńca—zjawia się. Co ma począć nieszczęśliwy *Tito*? Przyznać się do winy i pożegnać się z rozkoszami i obietnicami dopiero co rozpoczętego zawodu? Dusza jego zepsuta, znikczemniona pierwszém ustępstwem, uczynionem przezeń podszeptom i wymaganiom egoizmu, cofa się przed tém żądaniem surowego obowiązku. Wyrzeka się on, zapiera się biednego starca, któremu winien w przeszłości wszystko. Ale odtąd brnąć mu już przychodzi z jednego kłamstwa w drugie i z jednéj zbrodni w najstraszniejszą przepaść moralnego upodlenia. *Tito Melema* jest właściwym bohaterem powieści i może—niezależnie od swego otoczenia, jako psychologiczne studyum — najdoskonalszą kreacyą Jerzego Eliot. Tytułowa bohaterka, *Romola*, idealnie szlachetna małżonka niegodnego greka, służy właściwie tylko za kontrast i za

pretekst do wprowadzenia na scenę *Savonaroli*, którego penitentką i wyznawczynią entuzyastyczną staje się ona chwilowo. Powiedziałem już, co myślę o podjętém przez autorkę wskrzeszeniu odległéj a burzliwéj epoki życia włoskiego. Panoramiczny charakter skreślonych przez nią obrazów nie przyczynia się do ich ożywienia. Postać zagadkowa natchnionego mnicha nie występuje z nich dość wypukło. *Tito Melema* ginie w ulicznym rozruchu, przez siebie po części wywołanym; chroniąc się przed rozwścieczonym tłumem rzuca się do rzeki, i dobija się do brzegu, ale, w pół omdlały, wpada w ręce mściwego starca—zdradzonego przez się dobroczyńcy—który dusi go i kona sam na jego trupie. *Romola* poświęca się dobrym uczynkom.

Artystyczna metoda kontrastu, wyzyskana tutaj za pomocą dwóch postaci *Tity-Melema* i *Romoli*, doczekuje się szerszego jeszcze rozwinięcia w „Danielu Deronda." Dwa tu już światy całe, niby świat Ormuzda i świat Arymana, występują przed nami w pełnym antagonizmie. *Daniel Deronda* jest synem słynnéj niegdyś śpiewaczki, żydówki z pochodzenia, która wydała się za księcia rosyjskiego, pierwéj zaś jeszcze powierzyła swego syna lordowi angielskiemu, który go wychował jako anglika i zataił przed nim jego pochodzenie. Mimo swéj nieświadomości w tym względzie, *Daniel* ulega tajemniczemu pociągowi do religii i do rasy, z któremi wiąże go węzeł krwi, a także zagadkowemu fatalizmowi, który go zbliża do jednéj i do drugiéj. Pływając łódką po Tamizie, znajduje on młodą żydówkę, która chce się topić; tropiąc zaś po zaułkach londyńskich za rodziną tejże ocalonéj przez się żydówki, z imienia i nazwiska *Maryi* („Miriah") *Lapidoth*, spotyka uczonego talmudystę *Mordecai'ego*, który okazuje się być bratem pięknéj *Miriah* i natchnionym prorokiem. Prorok umiera, *Daniel* zaś dowiaduje się o swojém pochodzeniu, i bierze w spadku po zmarłym jego siostrę, z którą się żeni, i jego mesyaniczne marzenia, dla urzeczywistnienia których udaje się na wschód.

Dlaczego wśród tych wszystkich zdarzeń spotyka się on w Homburgu z piękną i arystokratyczną *Gwendoliną Harleth* i dlaczego my sami spotykamy się z jéj historyą oraz z historyą jéj późniejszego męża, lorda *Grandcourt*, które te dwie historye biegną odtąd przed nami równolegle z losami samego Daniela i jego semickich przyjaciół, nie wiążąc się zresztą z sobą żadnym koniecznym węzłem? Dla kontrastu właśnie i tylko dla kontrastu, *Daniel*, *Mordecai*, *Miriah*—to świat wzniosłych idei, szlachetnych uczuć i poświęceń bez granic, świat sympatycznych pierwiastków. *Gwendolina Harleth*, i lord *Grandcourt*—to świat małoduszności, nikczemnéj dumy i egoizmu. *Gwendolina Harleth* wydaje się za lorda *Grandcourt*, nie kochając go,

dla jego imienia i dostatków—i znajduje w tym pożądanym przez się i zazdroszczonym przez drugich losie tylko upokorzenie i niesmak. Przyjmuje ona to imię i te dostatki, choć wié że, tak czyniąc, krzywdzi inną kobietę, któréj dostojny lord przysiągł niegdyś wieczną miłość—i zgryzoty dręczące mszczą się na niéj. *Daniel Deronda* słucha tylko głosu sumienia i serca, kocha i poświęca się—i jest szczęśliwym. Takim jest los dzieci Ormuzda a takim dzieci Arimana. Przy końcu powieści Ormuzd tryumfuje stanowczo. Lord *Grandcourt* tonie wśród yachtowéj wycieczki na morzu Adryatyckiém, wyspowiadana zaś przez *Daniela* i nawrócona *Gwendolina* wyrzeka się wszystkich marności tego świata i wszystkich jego rozkoszy—zaczynając od téj, (niedostępnéj zresztą dla się), która przypadła w udziale szczęśliwszéj *Miriah*, ukochanéj przez *Daniela*.

Jednym z najdoskonalszych i najplastyczniéj oddanych typów, w całéj galeryi Jerzego Eliot, jest typ spleenowatego, wykwintnego w obejściu a brutalnego w czynie, zamkniętego w swym egoizmie, jak żółw w swéj skorupie, a zimnego jak wąż—lorda *Grandcourt*.

Przegląd mój zatrzymać się tu może. Jeżeli „Silas Marner“ zaznacza przełom w talencie i zawodzie literackim swéj autorki, tedy „Daniel Deronda“ stanowi metę, po za którą talent ten i zawód przestają być równemi sobie. Natchnienie wyczerpało się widocznie, zmysł artystyczny przytępił się i uległ niepożądanym wpływom. W „Feliksie Holt“—nie nadto szczęśliwym portrecie demokraty angielskiego i nie nadto szczęśliwéj wycieczce na pole literatury politycznéj—widać chęć obronienia się przed zarzutem dostrzeżonego przez niektórych krytyków braku pomysłowości w dotychczasowych kreacyach; więc przerażającą obfitość dramatycznych komplikacyi, intryg, spisków, zbrodni, fałszywych metryk i zabójstw. Widać w „Middlemarch“ rozpaczliwy zamach na stworzenie czegoś oryginalnego, nie *widzianego* przez się, ani téż przez nikogo, więc dziwaczny pomysł „ś-éj Teresy Protestanckiéj,“ a obok tego cudaczną plątaninę aż czterech na raz wątków powieściowych. We „Wrażeniach pana Teofrasta Such“ („Impressions of sir Theofrastus Such“), ostatnim, wczesną śmierć poprzedzającym utworze, nie widać już nic—ani nawet szczątków wielkiego talentu.

Śmierć ta (w 1880 r.) osierocając liczne już teraz grono przyjaciół, nie przyniosła krzywdy ani sławie autorki,—ani literaturze angielskiéj.

2. Tomasz Hardy.

„Kiedy *Farmer Oak* śmiał się, krawędzie jego ust rozszerzały się tak, iż mało już znacząca przestrzeń tylko dzieliła je od uszu, oczy

jego sprowadzały się do rozmiaru prostych szczelin a rozchodzące się na wszystkie strony zmarszczki występowały dokoła nich, pokrywając całą jego fizyonomią, nakształt promieni w skreślonym na prędce obrazie wschodzącego słońca.

„Na imię chrzestne było mu *Gabryel* i w dnie robocze odznaczał się on jako młodzieniec obdarzony zdrowym sądem o rzeczach, swobodnemi ruchami, przyzwoitém odzieniem i charakterem ogólnie dobrym. Dnie świąteczne natomiast pokazywały w nim człowieka o mglistych poglądach, skłonnego do odkładania rzeczy na późniéj i zakłopotanego swoim niedzielnym strojem oraz okazałym parasolem: zajmującego jednem słowem pod względem moralnym szeroką neutralną przestrzeń między nabożną połową parafii a połową pijaną—to jest, że chodził do kościoła, ale ziéwał prywatnie podczas *Nicejskiego credo*, a myślał o tém, co będzie na obiad, wyobrażając sobie, że słucha kazania....

„Nosił *Mr. Oak* w charakterze zégarka instrument, który właściwiéj zwać się mógł małym srebrnym zégarem; innemi słowy był to zégarek z kształtu i intencyi, ale mały zégar z rozmiarów swoich. Instrument ten kilkoma latami starszy od *Oakowego* dziada, miał tę podwójną właściwość, że albo chodził za prędko, albo wcale nie..... Téj ostatniéj właściwości zaradzał *Oak* często powtarzaném szturchaniem i potrząsaniem; złym zaś następstwom wyniknąć mogącym z pierwszéj zapobiegał ciągłemi porównawczemi obserwacyami dokonywanemi na słońcu i gwiazdach, oraz przykładaniem twarzy do szyb sąsiednich domostw, posiadających ścienne, zielono malowane regulatory.... Nadmienić godzi się, że przystęp do *Oakowego* zégarka przedstawiał osobliwą trudność, ze względu na nieco wysoko położoną sytuacyą tegoż w kieszeni od pantalionów, wysoko pomieszczonéj także pod kamizelką; przezwyciężenie przeto téj trudności wymagało koniecznie przechylenia całego ciała na jednę stronę aż do ostatecznéj przez równowagę dozwolonéj granicy, z równoczesném sprowadzeniem gęby i twarzy do bezkształtnéj masy cielesnéj, skutkiem nieodzownego wysiłku muszkułów; poczém zégarek wyciągał się za pomocą łańcuszka doń przytwierdzonego, niby kubeł ze studni.....“

Kiedy tym portretem rozpoczynająca się powieść p. t. „Zdala od szalonego tłumu“ („*Far from the madding crowd*“) ukazała się na kilka lat przed śmiercią Jerzego Eliot, zrozumiano powszechnie i ogłoszono entuzyastycznie, że wielka powieściopisarka, autorka „Adama Bede“, doczekała się następcy. Za portretem szła scena oświadczyn *Gabryela Oak* o rękę ubogiéj wyrobnicy, *Betsy Overdene*. Przypadek niefortunny zrządził, że *Betsy* nie znalazła się w domu podczas przybycia rozkochanego w jéj piękności *fermera*. Ciotka

zaś jéj uznała za stosowne dać temuż do zrozumienia, że co najmniéj tuzin konkurentów wyprzedził go w pochlebnych skądinąd intencyach.

„— To okoliczność nieszczęśliwa — rzekł *Farmer Oak*, wpatrując się z głębokim smutkiem w szczelinę kamiennéj podłogi.—Jestem prostym tylko człowiekiem i mogłem rachować na to jedynie, że będę pierwszym.... Kiedy tak, nie mam co czekać.....“

Ale zaledwie *Gabryel Oak* uszedł paręset kroków z powrotem do domu, usłyszał za sobą przeciągłe „*hoi - hoi!*“ ze śpiewnego wychodzące gardła; obejrzawszy się zaś, zobaczył dziewczynę, biegnącą za nim i powiewającą białą chustką. *Gabryel Oak* zatrzymał się i krew nabiegła mu do twarzy. Poznał piękną *Betsy*.

— „Fermerze Oak — rzekła *Betsy*, i zatrzymała się dla braku oddechu, przykładając rękę do boku. Pobiegłam za tobą, ażeby ci powiedziéć, że moja ciotka omyliła się odprawiając cię i odstręczając od swatów.... Tak, była to prosta omyłka. I to co ciotka powiedziała o téj masie konkurentów, to nieprawda. Niemam żadnego i nie miałam nigdy....“

— „Dalibóg rad jestem to słyszéć“ — rzekł *Farmer Oak* i roześmiał się jednym ze swych szerokich uśmiechów, czerwieniejąc jednocześnie od radości. Poczém wyciągnął rękę, aby ująć tę, którą *Betsy* odjęła w téj chwili od boku, ulżywszy sobie z téj strony, a przyłożyła do głośno bijącego ciągle serca. Ale zaledwie dotknął jéj, téj pożądanéj rączki, schowała się ona za plecami, wymykając się z jego grubych palców jak piskorz.

— „Mam ci ładną, chędogą *fermę* — rzekł *Gabryel Oak*, tracąc połowę dopiero co osiągniętéj ufności.

— „Tak jest, wiem o tém.

— „Znalazłem trochę pieniędzy do pożyczenia, na początek, ale te będą spłacone wkrótce; a choć jestem tylko prostym człowiekiem, jednak wyrobiłem się trochę od czasu jak byłem chłopcem. Gabryel wymówił „trochę“ tonem oznaczającym, że używa téj formy przez skromność, zamiast „dużo“. — Jestem pewny—ciągnął daléj— że skoro się pobierzemy, będę mógł pracować dwa razy tyle co teraz.

„Tu postąpił krokiem naprzód i wyciągnął znowu rękę. *Betsy* dogoniła go była w miejscu, w którém wyrósł niski krzak ostrokrzewu, pokryty w téj chwili czerwonemi jagodami. Widząc, że ruch jego przybiera kierunek grożący możliwém uwięzieniem jeżeli nie przygnieceniem jéj osobie, *Betsy* szybkim zwrotem umieściła kolczasty krzak między swym konkurentem a osobą.

— „Ależ Farmerze Oak — rzekła przez wierzch krzaku, poglądając nań okrągłemi od zdziwienia oczami — nie powiedziałam wcale, że myślę iść za ciebie.

— „A to nowina dopiero!—rzekł *Oak* z najwyższym niesmakiem.

Ale Betsy wyparła się na seryo wszelkiéj matrymonialnéj intencyi, nie odmawiając sobie jednocześnie odrobiny kokieteryi, dostatecznéj do napełnienia biednego *Gabryela* nowemi nadziejami.

— Dalibóg mogę cię uczynić szczęśliwą — rzekł, zwracając tymrazem mowę do jéj pleców. — Będziesz miała fortepian za rok, albo za dwa — żony fermerów grywają teraz na fortepianie — ja sam zaś gram na flecie jako tako, i grywać będziemy razem wieczorami....

— Tak, to by mi się podobało.

— I podobało by ci się także miéć mały dwukołowy wózek (za dziesięć funtów) do jeżdżenia na jarmark, i ładne kwiaty, i ptaki (koguty i kury ma się rozumiéć, jako użyteczne) — ciągnął daléj Gabryel, czując się zawieszonym między poezyą a prozą.

— O! tak, bardzo!

— I beczki do ogórków, jak u gentlemana i lady.

— Tak.

— A po ślubie ogłoszenie w dzienniku, na liście nowych małżeństw....

— O! to także, bardzo!

— I małe stworzonka w pieluchach — tęgie chłopaki jeden w drugiego. I w domu, przy kominie, byleś spojrzała znajdziesz mnie obok; bylem spojrzał, znajdę obok ciebie.

— Nie, to zanadto, proszę nie być nieprzyzwoitym!

Jéj twarz, rozjaśniona na chwilę, spochmurniała. Jéj usta zamilkły, Gabryel patrzył i patrzył na dzielący go od niéj krzak ostrokrzewu, tak, że w późniejszém życiu ostrokrzew zdawał mu się znakiem kabalistycznym, oznaczającym oświadczyny. Nakoniec *Betsy* odwróciła się ku niemu.

— Nie, to całe gadanie na nic. Nie chcę stanowczo iść za ciebie.

. . . .

Nie potrafiłem, czuję to dobrze, zachować w moim przekładzie niezrównanéj świeżości, prostoty i wdzięcznéj naiwności obrazu. A i tak może ująłem czytelnika. Za tym zaś obrazem rozwinął się w dwóch tomach powieści cały ich barwny szereg, te same odsłaniające przymioty, ten sam zmysł spostrzegawczy, tę samę plastyczność wyrazu, ten sam wdzięk, ten sam humor; obok zaś głębokie i poetyczne i oryginalne poczucie natury, któregośmy napróżno szukali u saméj pani Eliot; oryginalny, własny, nowy sposób widzenia rzeczy widzianych od dawna.

„Dla osoby stojącéj samotnie na wzgórzu w jasną noc gwiaździstą, podobną do téj, ruch słonecznego świata w stronę wschodu jest prawie dotykalnym ruchem. Czy panoramiczne posuwanie się

gwiazd w stosunku do ziemnych przedmiotów, łatwo dostrzedz się dające w ciągu kilku minut spokoju i ciszy, czy szerszy z wysokiego miejsca rzut oka na przestrzeń, czy wiatr, czy samotność staje się tego uczucia narzędziem, mniejsza, ale uczucie samo, uczucie pochodu naprzód, jest żywém i trwałém.“

Kto nie spędził kilku chwil samotnych na wzgórzu pod gwiaździstem niebem? Wielu doświadczyło dopiero co opisanego wrażenia, które uderza jednak jak coś nie kłamliwego, nie sztucznego, odczutego na prawdę?

Ale znalazło się coś więcéj jeszcze w „*Far from the madding crowd.*“ Bez kaznodziejskiego tonu, cokolwiek nużącego czasem w „Adamie Bede“, bez wyraźnego tendencyjnego założenia, bez wygłoszonych z katedry filozoficznych pretensyi, znalazła się myśl filozoficzna konsekwentnie przeprowadzona, formuła etyczna głęboko pomyślana, w artystycznén wcieleniu. Tak jak *Adam Bede*, *Gabryel Oak* jest także idealnym symbolem pewnéj wiary filozoficznéj, typem pewnéj doskonałości moralnéj— w zetknięciu z pewnemi słabościami, nieodstępnemi od ludzkiéj natury. Zaraz na wstępie niewywołana przezeń żadną winą katastrofa pozbawia go owocu długoletniéj pracy. Spłoszone przez wściekłego psa stado owiec, jedyne jego bogactwo, wpada w głęboką jamę i ginie w niéj. Wobec tego nieszczęścia, wobec ruiny grożącéj mu za jego przyczyną, wobec straconéj *fermy* i konieczności przyjęcia znowu służby u obcych, pierwszém uczuciem biednego *farmera* jest litość dla nieszczęśliwych stworzeń, konających tam, na dnie przepaści, w strasznych męczarniach, a drugiém uczuciem—wdzięczność.

— Dzięki Bogu nie ożeniłem się ; coby się z *nią* stało wśród téj nędzy, która mnie teraz czeka?

Nędza ta, dla tak dzielnego pracownika jak on, nie trwała by prawdopodobnie długo. Raz się już dorobiwszy jakiego takiego dostatku, potrafiłby on dorobić się go raz drugi. Ale jest przeszkoda, która staje mu na wstręcie: miłość—miłość ślepa i nierozsądna—dla pięknéj, ale skądinąd na tyle przywiązania nie zasługującéj *Betsy*. Podczas gdy los nieprzyjazny przyprawiał go o ubóstwo, Betsy wyrosła niespodzianie na wielką panię. Wędrując za służbą, *Gabryel Oak* trafia na pożar w przydrożnéj fermie. Przyczynia się roztropnością i dzielnością swoją do ugaszenia go, i w nadgrodę dostaje wakującą posadę owczarza—u swéj bohdanki. Właścicielką teraźniejszą fermy, świeżo po zmarłym wuju odziedziczonéj, jest Betsy. Nie odstręcza to bynajmniéj Gabryela ; owszem, ale ta służba u lekkomyślnéj, zarozumiałéj a pogardliwie teraz traktującéj go pani, jest dlań źródłem nieskończonego szeregu upokorzeń, prześladowań, po-

święceń i udręczeń. Piękna Betsy nie umie dać sobie rady ze swoją *fermą* i *Gabryel* pracuje po nocach, aby zapobiedz skutkom jéj nieudolnych rządów. Piękna Betsy flirtuje z sąsiednim *farmerem*, panem *Boldwood*, narażając się złym językom niechętnéj parafii, i *Gabryel* ostrzega ją napróżno. Ostatecznie piękna Betsy wydaje się za przystojnego podoficera od kawaleryi, wielkiego łotra, który ją ograbia z pieniędzy, przyprawia niemal o ruinę i porzuca ostatecznie. *Gabryel* nie przestaje grać roli niewdzięcznością odpłaconego anioła-stróża, doradcy, opiekuna i obrońcy. Nakoniec jednak, pod brzemieniem nawiedzających ją ciosów, w świetle przebytych doświadczeń, oczy pięknéj zawsze ale osamotnionéj teraz i przygnębionéj Betsy otwierają się. Mąż jéj poległ z ręki zazdrosnego *farmera Boldwooda*, który sam ocalał od szubienicy na to tylko, aby skończyć życie w więzieniu; a oto *Gabryel Oak* sam, chcąc niby szukać lepszego losu dla siebie, a właściwie strzegąc siebie i płochą Betsy przed nowemi podejrzeniami, mogącemi doświadczyć jéj i tak już nadwerężoną dobrą sławę, objawia zamiar oddalenia się. Tak jest, ludzie zaczynają pomawiać go o chęć pozyskania młodéj jeszcze i przystojnéj wdowy.

„— Pozyskanie mnie? — pyta zawsze skłonna do kokieteryi Betsy. — Co to ma znaczyć?

„— No, ożenienia się z panią w prostéj angielskiéj mowie. Odpowiadam jak byłem pytany, więc nie powinienem ściągnąć na siebie nagany.

„*Gabryel* przypuścił, iż ta odpowiedź zrobi na *Betsy* wrażenie armaty wystrzelonéj tuż mimo jéj ucha. Ale *Betsy* nie okazała się bynajmniéj przestraszoną do tego stopnia.

„— Ożenienie się ze mną! — rzekła spokojnie. — Nie myślałam, abyś o tém chciał mówić. Byłoby to zanadto nie do rzeczy, zawcześnie myśléć o czémś podobném, o wiele zawcześnie.

„— Tak, nie do rzeczy, zapewne. Nie pragnę nic podobnego; przypuszczam, że rzecz to dość widoczna dzisiaj. Niezawodnie jesteś ostatnią osobą, o któréj pozyskaniu w ten sposób mógłbym myśléć. Byłoby to zanadto nie do rzeczy, jak powiedziałaś sama.

„— Powiedziałam: „za wcześnie.“

„— Przepraszam, że poprawić muszę. Powiedziałaś pani: „zanadto nie do rzeczy“, i ja mówię tak samo.

„— Przepraszam także—odparła ze łzami w oczach. „Za wcześnie“ — oto słowa, których użyłam. Rzecz to obojętna zresztą, całkiem obojętna, ale chciałam tylko powiedziéć: „za wcześnie.“ Doprawdy nie chciałam powiedziéć czego innego, panie Oak, i musisz wierzyć mi.“

„*Gabryel* spojrzał jéj w twarz i patrzył długo, ale ogień z komina oświecał słabo, więc nie było wiele do zobaczenia.

„— Betsy — rzekł w końcu z mieszanym wyrazem czułości i zdziwienia w głosie, zbliżając się nieco, — gdybym wiedział tylko jednę rzecz; gdybym wiedział, że mi pozwolisz kochać cię i zjednać cię sobie i miéć cię za żonę w końcu, gdybym wiedział tylko!

„— Ale nie będziesz nigdy wiedział.

„— Dla czego?

„— Bo nigdy nie pytasz."

. . . .

„Odprowadził ją z powrotem do domu, aż pod sam szczyt pagórka, tłómacząc jéj przez drogę środki obmyślane przez się dla objęcia w posiadanie sąsiedniéj fermy. O wzajemnych uczuciach swoich mówili mało; zapewne dlatego, że piękne słowa i czułe wyrażenia były zbytecznemi między taką parą wypróbowanych przyjaciół. Ich przywiązanie wzajemne do siebie było tém treściwém uczuciem, które powstaje (jeżeli powstaje uczucie jakiekolwiek) między dwojgiem ludzi, którzy zaczęli od zapoznania się z najmniéj dodatniemi stronami swych charakterów, a przyszli późniéj dopiero do poznania lepszych. Romans wyrósł wtedy ze szczelin téj twardéj skały, która zwie się prozaiczną rzeczywistością. Taka przyjaźń, taka *kamaraderya*, będąca pospolicie owocem mierzących do jednego celu usiłowań, bywa rzadkim przyczynkiem do miłości między mężczyzną a kobietą, ponieważ mężczyźni i kobiety łączą zazwyczaj nie prace swoje, ale przyjemności tylko. Kiedy jednak okoliczności sprzyjają jego wytworzeniu, to z dwóch pierwiastków złożone uczucie okazuje się jedyną miłością silną jak śmierć,— tą miłością, któréj fale morza zagasić ani zatopić nie zdołają, a wobec któréj namiętność, tém imieniem zwykle zwana, jest tylko kłębem pary rozwiewającéj się w powietrzu."

Teorya w ten sposób rozwinięta może nie znaleść łaski u wielu moich czytelników a zwłaszcza czytelniczek. Nie myślę też czynić się jéj obrońcą; zwłaszcza, że proces rozwojowy zbiorowego uczucia (*compounded feeling*), cieszącego się sympatyami autora, zdaje mi się niedokładnie wskazanym w jego powieści. Nie umiem mianowicie dostrzedz *ujemnych* stron w charakterze wiernego, heroicznie wiernego i poświęcającego się Gabryela. Prawda, że charakter lekkomyślnéj *Betsy* dostarcza ich na dwie osoby. W scenie oświadczyn, *Gabryel* okazuje istotnie pewną słabość, która nawet staje się ostatecznym w umyśle i sercu pięknej *Betsy* argumentem przeciwko niemu.

— „Panie Oak — rzekła Betsy z olśniewającą jasnością w doborze słów i podziwienia godnym rozsądkiem,—jesteś w lepszéj kon-

dycyi niż ja. Tak jest. Ja nie mam jednego prawie *penny* przy duszy; mieszkam przy ciotce, która mnie żywi za moją pracę; jestem lepiéj wychowaną od ciebie i nie kocham cię ani na krztę: to moja strona w téj sprawie. A teraz twoja: jesteś dopiero co poczynającym *farmerem* i, rozsądnie rzeczy biorąc, powinieneś, jeżeli się masz żenić (o czém niepowinieneś niezawodnie myśléć na teraz) szukać żony z majątkiem, któréj posag pozwolił by ci wziąć większą fermę niż tę, którą masz.

Gabryel spojrzał na nią z niejakiém zdziwieniem a z wielkim podziwem.

— „Akurat to co sam myślałem — rzekł naiwnie.

„*Farmer Oak* posiadał półtora z chrześciańskich charakterystycznych cnót zanadto, dla podobania się pięknéj *Betsy*: skromność swoję i zbyteczną połówkę uczciwości. *Betsy* uczuła się stanowczo zniechęconą."

Oczywiście jednak te *półtora cnoty*, jakkolwiek zbyteczne w stosunku do *Betsy*, nie może w stosunku do jakiegokolwiek etycznego ideału, ujść za rys *ujemny* w charakterze *Gabryela*. — Co nie przeszkadza temu, że pisząc „*Far from the madding crowd*", autor napisał małe arcydzieło. Tylko na nieszczęście znużył się jego napisaniem. Czy nie miał w sobie więcéj materyału jak na jednę powieść téj wartości, czy zbałamucił się osiągniętém powodzeniem, czy zwichnął swój talent używając go do nieodpowiednich dlań przedmiotów, dość, że nietylko nie napisał drugiéj powieści takiéj jak ta (choć zapełnił półki księgarskie sporą liczbą tomów), ale nie napisał żadnéj chociażby tylko zbliżającéj się bądź głębokością treści, bądź doskonałością formy do zostawionego za sobą wzoru.

Są zapewne ładne rzeczy w „Szefie trębaczów" (*The Trumpet-Major*); jest obraz młynarskiéj osady (*Overcombe*), przywołujący plastycznością wykończenia pamięć Eliotowski młyn nad *Flossą*; jest zwłaszcza historycznego niemal dokumentu wartość przedstawiający wizerunek prowincyonalnéj okolicy nadmorskiéj, w epoce poprzedzającéj bitwę pod Trafalgarem i oczekiwane wylądowanie Napoleona — strasznego „*Boney*."

„Sierżant, który dopiero co przytwierdził do słupa przed kościołem odezwę, wzywającą do broni całą ludność męską parafii, stanął teraz pośrodku placu a przed nim wyciągnął się szereg rekrutów zwołanych na mustrę. Zastęp ten przyszłych pogromców „*Boneya-ludożercy*" składał się z mieszkańców sąsiednich osad w zwyczajnym stroju świątecznym. W téj chwili bojowa ich postawa polegała na zwróceniu oczu w jednę stronę, w stronę sakiewki, z któréj sierżant dobył garść szylingów, dając każdemu po jednym w nagrodę za stawienie się do musztry.

— „Ludzie! rozpuściłem was, jak widzę, za wcześnie. Do musztry! do musztry napowrót, mówię wam. Mój zegarek musi się śpieszyć. Nabożeństwo nie rozpocznie się jak za dwadzieścia minut. Daléj! Ci, którzy nie mają karabinów na lewo! Oczy przed siebie i równać się!

Na nieszczęście każdego z szeregowców zaprzątnęła widocznie ciekawość zobaczenia jak sąsiedzi stoją w szeregu. Z prawego i z lewego końca wysunęli się rekruci naprzód w tym celu; tak, że w końcu projektowana linia prosta zamieniła się w podkowę.“

— „No patrzcie na siebie teraz! Jeden przez drugiego lezie przed front. Do szeregu! Równać się!

„Jakoż zrównali się na chwilę, ale niebawem, skutkiem tych samych motywów, linia wygięła się napowrót w kabłąk. I już zostawił ją tak biedny sierżant, dając za wygraną.

— „A teraz — rzekł stojąc pośrodku utworzonego łuku — mam nadzieję, że będziecie miéć trochę cierpliwości i pilnować się będziecie komendy, bacząc na każde słowo, tak jak je wam powiem; jeżeli się zaś omylę, będę wdzięczny każdemu dżentlemantowi za sprostowanie omyłki, ponieważ byłem sam w wojsku tylko trzy tygodnie i jesteśmy wszyscy ludźmi skłonnymi do błądzenia.

— „Jesteśmy! Jesteśmy!—powtórzył szereg z serdeczném przekonaniem.

— „Baczność! Prezentuj broń! Doskonale!

— „Za pozwoleniem, co mają robić ci, którzy nie mają broni? ozwały się głosy od lewego końca z rozpaczliwą intonacyą.

— „Czy słyszał kto kiedy takie pytanie? Co macie robić? A jużci nic, tylko myśléć jakbyście prezentowali broń, gdybyście ją mieli! Wy parobcy co macie kije albo motyki do kapusty, powinniście naturalnie używać ich, niby karabinów, ażeby wam się zdawało, że macie karabiny. Baczność teraz! Na cel! Ognia! (Nie strzelać na prawdę, ma się rozumiéć). Bardzo dobrze—doskonale; tylko że niektórzy pośpieszyli się trochę, a reszta spóźniła się trochę.

— „Za pozwoleniem, panie sierżancie, czy mogę odejść, bo moje skrzypce, co na nich gram na chórze, nie chcą całkiem trzymać strun o téj porze roku, kiedy ich nie naciągnę zawczasu....

— „Tfu do licha! Jak możesz myśléć o kościele i skrzypcach, w takim czasie, kiedy twoja własna rodowita ojczyzna zagrożona jest najazdem? — rzekł sierżant poważnie. — A przytém wiecie, że musztra kończy się na trzy minuty przed nabożeństwem, tak mówi prawo, a brakuje jeszcze kwadransu. Baczność! Kiedy powiem: Ładuj!— Sypcie proch (ci co mają) do panewek; potém zamykajcie panewki, ot tak, szybkim ruchem prawéj ręki do ciała. Zapomniałem po-

wiedzieć wam pierwéj, że na komendę: *bierz ładunek!* — powinniście schwycić szybko ładunek, podnieść do ust, odgryść wierzch dobrze, a nie połykać prochu zanadto i krztusić się potém a kichać, zamiast pilnować musztry. A co tam? Czego chce ten z drugiego szeregu?

— „Za pozwoleniem, panie sierżancie, to Antoni Cripplestraw, który chce wiedzieć jak ma odgryzać ładunek, kiedy niema jednego zęba w gębie?

— Człowiecze! A gdzie twój zmysł wojenny? Jak masz radzić sobie? A jużci podnieść ładunek do pierwszéj sąsiedniéj gęby z prawéj strony, żeby ci go odgryziono! A czego jeszcze chce ten drugi? Czy nie rozumiesz po angielsku?

— „Z przeproszeniem, panie sierżancie, ale jeżeli Boney przyjdzie, zanim dostaniemy karabiny, my z lewego końca, to co?

— „Co?— weźmiecie dzidy razem z resztą niezdolnych do musztry. Znajdziecie ich przygotowany zapas w rogu od wieży kościelnéj. A teraz, na ramię brrroń!...

— „Stójta! Dzwonią do kościoła!—zawołał Dawid, parobek od młynarza z Overcombe.

„Cały szereg wydał jedno wielkie westchnienie zadowolnienia, i ciskając broń, rozbiegać się zaczął.

— „Cóż robić — rzekł sierżant— muszę was rozpuścić. Ale nie, czekajcie! Przyszła musztra we wtorek. Czekajcie! Baczność! Od prawego boku w lewo, to jest nie, nie, w prawo, marrrsz!

„Niektórzy ruszyli w prawo, niektórzy w lewo, a niektórzy skłonni do ustępstw, próbowali za przykładem Antoniego Cripplestraw iść jednocześnie w jednym i drugim kierunku.

— „Stój! Do szeregu! Czekajcie nowéj komendy. Dżentlemeni, na nieszczęście, kiedy mi się śpieszyć trzeba, nie mogę nigdy odróżnić prawéj strony od lewéj, i nie mogłem od dziecka. Zechcecie mi przebaczyć. Praktyka wydoskonala, jak mówi przysłowie. Ale choć się człek uczy dużo, zawsze znajdzie się coś nowego. A teraz baczność. Z prawego boku w prawo! Marsz! Stój!... Zdaje się, że tak trzeba; ale zobaczę w książce, przed wtorkiem.“

Wogóle nastrój ducha w parafii *Overcombe* i w jéj okolicach, tak jak nam przedstawia autor w téj dramatycznéj chwili, nie jest bohaterskim. Nutą przeważająca zdaje się być panika, obok uczucia zazdrości względem szczęśliwych mieszkańców północnéj strefy kraju, do któréj groźny Boney późniéj dopiero dotrze, albo nie dotrze wcale, w swym zwycięskim pochodzie. „Szef trębaczów“, choć żołnierz z profesyi i przeznaczony do chlubnéj śmierci na hiszpańskiém jakiémś pobojowisku, nie ma tymczasem serca i oczu jak tylko dla pięknéj *Anusi Garland.* Drugi bohater powieści, *Bob Loveday*,

brat trębacza i szczęśliwy jego w sercu *Anusi* współzawodnik, odznacza się wprawdzie późniéj pod Trafalgarem, ale tymczasem chowa się w kryjówkach starego młyna przed niemiłym *press-gang*'iem, werbującym ludzi do wojennéj floty.

Nie brakuje ładnych szczegółów i w „*A Laodicean. Or the castle of the de Staneys*“, jednéj z ostatnich powieści młodego jeszcze autora,— zacząwszy od charakterystycznego portretu prowincyonalnéj piękności, „która daje sobie dwadzieścia pięć lat, wygląda na trzydzieści, uchodzi za mającą trzydzieści pięć, a ma czterdzieści.“ Jest nawet w dość błahym i pospolitym wątku opowiadania (w którego wysnuciu nie nadużył autor tym razem swéj wyobraźni) coś podobnego do intencyi filozoficznéj, a nawet do dwóch filozoficznych intencyi powiązanych z sobą. Stary malowniczy zamek *de Staney*'ch dostał się razem z dostatkami przywiedzionéj do ubóstwa szlachetnéj rodziny w ręce *Miss Power*, córki wielkiego kolejowego przedsiębiorcy. *Miss Power* jest młodą i piękną osóbką, wielce wyemancypowaną, przesiąkniętą od stóp do głów duchem czasu i rozpoczynającą swoje zagospodarowanie się w staréj arystokratycznéj siedzibie od ustawienia w swoim sypialnym pokoju aparatu telegraficznego. Powoli jednak atmosfera otaczająca ją w tych sędziwych murach, pokrytych portretami bohaterskich przedstawicieli wielkiego rodu, zaczyna oddziaływać na nią. Powziąwszy z razu myśl przebudowania normandzkich sklepień, ostrołuków i bastyonów, nie mile rażących jéj oko, w upodobanym przez się neo-greckim stylu, nakłania się ona późniéj do odrestaurowania ich z pobożną archeologiczną dokładnością, poświęca dwa miliony na ten cel, rozkochuje się w młodym architekcie powołanym do spełnienia planu restauracyjnego, a w końcu bierze przed się odrestaurowanie samego rodu *de Staney*'ch — przed oddanie swojéj ręki dojrzałemu już oficerowi od kawaleryi, noszącemu to imię.

Ale duch czasu upomina się niebawem o swoje prawa. Kapitan *de Staney* nie jest złym z gruntu człowiekiem, ale jest lekkomyślnym i skłonnym do kompromisów wstydliwych między cnotą i honorem a dokuczliwemi wymaganiami swego położenia. Posiada on zaś w dodatku naturalnego syna, Williams'a, który choć lat ośmnaście liczący zaledwo, jest już skończonym łotrem, typem wyrodzonéj i spodlonéj rasy, i, aby zapewnić ojcu a pośrednio sobie olbrzymie wiano panny *Power*, ucieka się do najhaniebniejszych intryg i podstępów, w których sam *de Staney* nie macza wprawdzie rąk, ale z których korzysta. Ostatecznie prawda wychodzi na wierzch, i rozczarowana *Miss Power*, uciekając od arystokratycznéj przeszłości i od zgnilizny dobywającéj się z jéj szczątków, wraca do zdrowéj, sumiennéj, szlachet-

néj i pracowitéj, choć mniéj poetycznéj teraźniejszości — w osobie wzgardzonego na chwilę architekta.

Co nie przeszkadza temu, że gdy w kilka dni po ślubie stary zamek ginie w płomieniach, mściwą ręką Williams'a podpalony, odzywa się ona do niemile tą uwagą dotkniętego zapewne męża:

— „Mniejsza, ale wolałabym jednak aby mój zamek był się nie spalił i abyś ty był *de Staney*'m.“

Miss Power jest z instynktu wyznawczynią eklektyzmu i ztąd tytuł powieści *A Laodicean*, będący nadaném jéj przez autora przezwiskiem; ale duch czasu sprzeciwia się jakoby jéj eklektyzmowi, i ztąd powieści rozwiązanie.

Wogóle p. Tomasz Hardy nie dotrzymał dotąd tego, co obiecał. Może obiecał za dużo. Realista tak jak Eliot, w téj saméj mierze i w tym samym do idealistycznych pierwiastków stosunku, ale mniéj konsekwentny w zastosowaniu identycznéj metody artystycznéj, bezwiednie raczéj niż samowiednie przyswojonéj przez się. Stylista mniéj wytworny także, o ile cudzoziemcowi wolno być sędzią w téj materyi; a bezwarunkowo mniéj wytrawny psycholog, mniéj subtelny analizator uczuć i wrażeń w grę wprowadzonych; w układzie natomiast swych powieści o wiele poprawniejszy,— pomiędzy żyjącymi pisarzami mający, bądź-co-bądź, prawo do jednego z pierwszych, jeżeli nawet nie do pierwszego miejsca.

K. Waliszewski.





REGULOWANIE STOSUNKU ILOŚCIOWEGO PŁCI

U ISTOT ORGANICZNYCH.

Jakkolwiek sama istota życia w ogóle stanowi dla nas jedną nierozwiązalną zagadkę, to przecież nie bacząc na ogólną trudność zrozumienia tego zjawiska, biologowie badają i rozstrząsają najrozmaitsze pytania, istoty życia dotyczące, i w taki sposób coraz bardziéj rozszerzają granice poznania téj dziedziny zjawisk.

Nowoczesne poglądy biologiczne, jakie zapanowały w nauce dzięki pracom Karola Darwina i całego szeregu jego poprzedników i następców, rzuciły nowe i odmienne od dawniejszego światło na istotę osobnika żyjącego. Osobnik żyjący nie jest żadną całością naturalną, nie jest istotą ograniczoną w przestrzeni i czasie, podobnie jak nie realném jest pojęcie gatunku, lub rodzaju. Osobnik, powstający z komórki i już jako zarodek noszący w sobie komórki rozrodcze, które w nowe rozwinąć się mają osobniki—jest tylko przelotną fazą długiego łańcucha życiowego, podobnie jak wszystkie stadya jego rozwoju osobnikowego są znów tylko ogniwami téj fazy. Ważne i niezmiernie interesujące fakty, dotyczące tak zwanéj przemiany pokoleń, znakomicie stwierdzają ten pogląd. Z jajka rozwija się polip, organizm pozornie skończony i stanowiący zamknięty osobnik; polip ten drogą pączkowania wydaje wszakże potomstwo całkiem różne od siebie, płodzi osobniki odmienne—meduzy, z których znów wytwarza się na drodze płciowéj polip itd. Ani więc polip, ani meduza nie stanowią całkowitéj jednostki fizyologicznéj zamkniętéj w sobie i przedstawiającéj skończoną całość życiową; tylko obie te formy razem tworzą cykl całkowity. Jeśli sobie wystawimy, że forma *a* płodzi formę odmienną *b*, ta zaś różną znów formę *c*, którą

wytwarza znów pierwotną formę *a* (przykłady takiego rozmnażania się istnieją u zwierząt), będziemy natenczas twierdzili, że kolejne formy *a*, *b*, *c*,—stanowią zamknięty jakby cykl życiowy, tj. cykl od powstania osobnika do wydania takiego samego osobnika. Możemy sobie daléj wystawić, że tych odmiennych kolejnych form pośrednich jest bardzo wiele, a wtedy pojęcie skończonego osobnika fizyologicznego obejmować będzie długi łańcuch istot żyjących. Gdy różnice pomiędzy temi kolejnemi pośrednikami coraz będą mniejsze i wreszcie staną się tylko bardzo podrzędnemi, natenczas zamiast przemiany pokoleń, znów mieć będziemy zwykłe rozmnażanie się. Widzimy więc stąd najwyraźniéj, że we wszelkich tych formach rozmnażania różnice są więcéj natury ilościowéj, niż jakościowéj, dlatego téż niepodobna nakreślić granic naturalnych dla osobników fizyologicznych, wychodząc rozumie się ze stanowiska ogólnobiologicznego, filozoficznego.

Jeśli tedy pojęcie osobnika żyjącego wiąże się tak ściśle i nierozerwalnie z kwestyą życia gatunkowego, czyli życia pokoleń, jeśli życie osobnikowe uważać musimy ze stanowiska ogólnego za cząstki, ogniwa, za oddzielne jakby stadya przelotne trwałego życia pokoleń, to wynika z tego, jak wielką dla zrozumienia właściwéj istoty procesu życiowego mają doniosłość prawa rozmnażania się zwierząt, czyli prawa związku biologicznego pomiędzy następującemi po sobie osobnikami.

Te prawa związku biologicznego kolejnych osobników oznaczane są ogólném mianem praw dziedziczności i zmienności, a najprostszym, że tak powiem, objawem praw tych jest powstawanie płci. W zjawisku tém mamy zawsze jednocześnie dziedziczność i zboczenie. Jeśli bowiem osobnik męski *a* i żeński *b* wydają osobnik trzeci *c*, który jest wypadkową fizyologiczną obu pierwszych, to jakąkolwiek będzie płeć osobnika tego, będzie ona zawsze odziedziczeniem jednéj tylko płci rodzicielskiéj, zboczeniem zaś od drugiéj. Dla zrozumienia przeto praw dziedziczności kwestya powstawania płci jest pierwszorzędnéj wagi naukowéj.

Nad zagadnieniem tém pracowało bardzo wielu uczonych w różnych czasach i rozmaitemi metodami. Dosyć będzie wyliczyć tylko nazwiska Hofackera i Sadlera, Plossa, Thury'ego, Janke'go, Burdacha, Leuckarta, Mayerhofera, Hensena, Darwina i wielu innych. Każdy z tych uczonych posunął naprzód kwestyą tę drogą usilnych badań i trudnych doświadczeń. Ale każdy z nich pracował wyłącznie w pewnym tylko kierunku, nad jedną tylko stroną tego złożonego przedmiotu. Dlatego też gromadziło się w nauce mnóstwo faktów pozornie najzupełniéj sprzecznych z sobą, nieraz wyłączających się

nawet wzajemnie. Zjawisko takie daje się spostrzegać w nauce zawsze, ilekroć faktycznéj stronie przedmiotu brak pewnéj ogólnéj myśli przewodniéj, brak hypotezy, teoryi, która by z jednéj strony nagromadzone fakta wiązała, z drugiéj zaś wskazywała, w jakim kierunku dalsze prowadzić poszukiwania. W ostatnich czasach młody uczony jenajski, dr. C. Düsing, zestawił z sobą mnóstwo napozór najsprzeczniejszych faktów, dotyczących téj ważnéj kwestyi naukowéj i oświetlił je hypotezą, która najlepiéj godzi je z sobą i dla tego téż posiada niemało prawdopodobieństwa.

Postaram się zapoznać czytelnika z wywodami Düsing'a (1). Gdyby nawet pewne strony teoretycznych wniosków Düsing'a okazały się słabemi lub téż zupełnie upadły, praca jego będzie miała zawsze nieposlednią doniosłość naukową z tego już ważnego względu, że uczony ten zebrał w systematyczną całość tysiące rozrzuconych faktów z téj dziedziny, a prócz tego ogłosił bardzo wiele nowych danych statystycznych z niezużytych jeszcze dotąd źródeł urzędowych, półurzędowych i prywatnych.

Teorya dra Düsing'a wychodzi z tego faktu, iż stosunek ilościowy płci u człowieka, zwierząt i roślin, jest stały, o ile rozumie się wykazują wszystkie dotychczasowe badania w tym względzie. Pod słowem stosunek ilościowy płci pojmujemy stosunek ilościowy osobników męzkich do żeńskich, w danym gatunku istot żyjących. Rozumie się, że mowa tu o stosunku statystycznym, rozciągającym się na wielką ilość osobników. Co do człowieka np. wiadomo, że w każdéj rodzinie pojedynczéj ilościowy stosunek chłopców i dziewcząt bywa różny. Jeśli jednak rozpatrzymy stosunek rodzących się chłopców i dziewcząt w danéj prowincyi lub w danym kraju, znajdziemy, że wynosi on stale 106:100 (na 106 chłopców, 100 dziewcząt). W taki sposób u ludzi rodzi się zawsze przeciętnie więcéj nieco potomków płci męskiéj aniżeli żeńskiéj. Zupełnie co innego znajdujemy u innych istot. Tak np. u konia na 100 klaczy rodzi się 98 ogierów, a zatém więcéj samic niż samców. U innych zwierząt, jak u owiec, żab, wykryto także drogą statystyczną pewną stałą prawidłowość stosunku płciowego. Ale stałość taką nie tylko napotykamy u zwierząt; u roślin, o ile wszystkie dotychczasowe badania wykazują, znajdujemy również pewien stały, przeciętny stosunek płciowy. Tak np. u rośliny szczyr występuje zawsze więcéj urodzeń

---

(1) *Dr. C. Düsing.* Die Regulierung des Geschlechsverhältnisses bei d. Vermehrung d. Menschen, Thiere und Pflanzen. 1884, Jena.—Porównaj téż „Kosmos" wydawany przez prof. Vettera 1885, gdzie sam Düsing streszcza teoryę swoją, oraz „Biologisches Centralblatt" 1885.

męskich, u konopi zaś więcéj żeńskich. U pierwszéj z tych roślin stosunek osobników męskich (pręcikowych) do żeńskich (słupkowych) jest prawie taki sam, jak u człowieka. Wszelako stosunek ilościowy płci u rozmaitych gatunków zwierząt i roślin jest stałym tylko przy jednakowych warunkach zewnętrznych, albowiem, jak to późniéj zobaczymy, te ostatnie ważny wywierają wpływ na jakość rodzącéj się płci.

Jeśli zatém u różnych istot żyjących stosunek płci jest stałym przy jednakowych warunkach, zachodzi bardzo ważne pytanie, w jaki sposób przyroda zachowuje wciąż ten stały stosunek? Ponieważ większość cech morfo- i fizyologicznych przynosi zwierzętom jakąś korzyść. albowiem cechy te zostały nabyte drogą doboru naturalnego, należy więc, jak powiada Düsing, przypuszczać, że organizmy i ze względu na produkcyą obu płci, mają własności pożyteczne. Własności te muszą zatém służyć do tego, aby zachowywać stały stosunek płci, czyli regulować go. Tak np. gdy panuje znaczny brak samców, będzie się rodziło następnie więcéj samców, tak iż brak ten zostanie wkrótce wyrównany, a stosunek płci tym sposobem uregulowany; przy braku zaś samic następuje większa produkcya samic. W taki sposób wszystkie przypadkowe wahania w ilościowym stosunku płci bywają wyrównywane; Düsing oblicza nawet matematycznie w dziele swém, że te osobniki, które produkują więcéj téj płci, jakiéj jest brak, wydają więcéj wnuków czyli mają w ogóle liczniejsze potomstwo, aniżeli osobniki téj właściwości pozbawione. Nie ulega zatém wątpliwości, iż jest to cecha pożyteczna—produkować więcéj osobników téj płci, jakiéj panuje ubóstwo.

U ludzi więc powinno się rodzić więcéj chłopców wtedy, gdy mało jest mężczyzn i na odwrót. Wskutek stosunków panujących w pośród społeczeństw ucywilizowanych, często się zdarza, że kobiety względnie późno za mąż wychodzą. Kobiety więc owe znajdują się w takiém położeniu, jak gdyby był pewien brak osobników męzkich. I rzeczywiście, jak wykazuje statystyka, pierwsze urodzenia przynoszą znacznie większy procent chłopców niż dziewcząt; gdy bowiem zwykły stosunek chłopców do dziewcząt wynosi 106 : 100, przy pierwszych urodzeniach stosunek ten wynosi 120 : 100. Wynika to z tablic podanych przez Heckera, Ahlfelda, Winckel'a, Schramm'a, Bidder'a i innych. Tablice te wskazują nawet, że im w późniejszym wieku kobiety rodzą po raz pierwszy, tém większą jest przewaga chłopców (1). Ogólny zatém wynik jest taki, że koncepcye w póź-

(1) W dziele Düsinga są zestawione stosunki liczbowe z prac powyższych autorów i ściśle rozebrane oraz porównane z sobą, dokąd téż odsyłamy czytelnika pragnącego bliżéj poznać tę kwestyę.

nym stosunkowo wieku kobiety przedstawiają prawdopodobieństwo urodzenia się płci męzkiej, gdyż późne koncepcye odpowiadają brakowi osobników męzkich.

Statystyka wykazuje daléj, że po każdéj wojnie długotrwałéj kiedy znaczna ilość osobników męzkich ubywa, wzmaga się bardzo widocznie procent rodzących się chłopców. We Francyi po wojnach Napoleońskich zjawisko to występowało zawsze tak silnie, że obawiano się braku kobiet.

Przy pierwszych urodzeniach (bez względu na wiek kobiet) istnieje także pewna przewaga płci męzkiéj nad żeńską, albowiem, jak powiada Düsing, kobiety znajdują się przeciętciowo przed weselem w stanie, odpowiadającym brakowi płci innéj, gdy tymczasem u mężczyzn miewa to miejsce daleko rzadziéj.

Brak osobników jednéj płci wywołuje przedewszystkiém taki skutek, że nieliczne osobniki płci téj bardziéj oddają się życiu płciowemu, aniżeli wtedy, gdy ich jest więcéj. Gdy np. znajduje się w naturze mało samic, a wielu samców u pewnego gatunku zwierząt, pierwsze są bardzo poszukiwane przez ostatnich. Jeśli zatém teorya regulacyi płci jest prawdziwą, natenczas płeć, któréj osobników jest mniéj czyli, co na jedno wychodzi, płéć częściéj spółkująca, winna płodzić więcéj osobników własnéj swéj płci. Tak np. samice częściéj pokrywane, winny rodzić więcéj samic, niż pokrywane rzadziéj, częściéj zaś pokrywające samce—więcéj samców. Statystyka stwierdza najzupełniéj ten wniosek teoretyczny. Tak np. znany hodowca amerykański Fiquet powiada: „Jest to zjawisko bardzo zwykłe, stale występujące w wielkich stadach bydła, żyjących na stepach amerykańskich, że byk, bardzo często pokrywający, płodzi najwięcéj byczków, gdy tymczasem w stadach, gdzie jest wiele byków, przeważają jałówki.“

Okoliczność tę Düsing rozjaśnia daléj na zasadzie bardzo obficie zebranego i zestawionego materyału statystycznego, zaczerpniętego z roczników stadnin pruskich. W stadninach tych ogiery nie pokrywają jednostajnie; w jednych stadninach częściéj, w innych rzadziéj, a także rozmaicie w różnych porach roku. Otóż na zasadzie stosunku płci 800,000 urodzeń—liczby jak widzimy bardzo pokaźnéj—wyprowadza Düsing wniosek, że im częściéj ogier pokrywał, tém więcéj płodził ogierów, im rzadziéj zaś—tém więcéj klaczy; klacze zaś, najczęściéj pokrywane, płodziły najwięcéj klaczy i na odwrót. Ponieważ wniosek ten wyprowadzony został z bardzo obficie i ściśle zebranych danych statystycznych (jak się o tém można przekonać, czytając dzieło Düsing'a), musimy więc mieć do niego zaufanie.

Teraz zachodzi pytanie, jakie właściwie cechy stanowią o płci zarodka? Ponieważ zarodek rozwija się z elementów rozrodczych czyli płciowych t. j. z jajka i ciałka nasiennego cechy te podobnie jak wszelkie inne cechy dziedziczne spoczywają głównie w samych komórkach płciowych, a także poczęści we własnościach osobników o tyle, o ile wpływają one na cechy elementów rozrodczych. Czém że więc różnią się elementy płciowe, np. nasienie samca, płodzącego wiele, od nasienia samca, powstrzymującego się od częstych spółkowań. Düsing odpowiada na to tak. Przy częstych spółkowaniach zaledwie nasienie wytwarza się, natychmiast zostaje zużytém, przez co bywa ono bardzo młodém. Przy częstych zatém spółkowaniach samce zapładniają stosunkowo młodém nasieniem, a *nasienie* takie, jeśli teorya jest prawdziwą, dąży do wydania płci mezkiéj. To samo stosuje się i do płci żeńskiéj. Jeśli samic jest niewiele, zostają one pokrywane natychmiast po wystąpieniu okresu ciekania się, przez co zapładniają się jajka młode, a *jajka* te znowu dążą, na zasadzie teoryi regulacyi, do produkowania płci żeńskiéj. Można więc w ogóle powiedzieć: „im większy jest brak osobników jednéj płci, im bardziéj przeto pozostałe oddają się życiu płciowemu, im szybciéj i w młodszym okresie zużywają się ich produkty płciowe, tém dążą one do wydania większéj ilości osobników płci swojéj.“

W jaknajściślejszym związku z tym postulatem pozostaje kwestya opóźnionego zapładniania jaj. Znany hodowca szwajcarski *Thury*, wypowiedział twierdzenie, że krowy pokrywane na początku ciekania się, rodzą zawsze cielęta płci żeńskiéj. U krów takich jajka, zapładniane są dosyć młode, i dlatego dążą do wydania płci żeńskiéj. Krowy zaś pokrywane w długi czas po okresie ciekania się, które w ten sposób musiały długo czekać, rodzą, według *Thury'ego*, tylko cielęta mezkie; albowiem zapładniane jajka są wtedy dosyć stare. *Thury* wykonał doświadczenia z 29 krowami, pokrywanemi na początku ciekania się, lub późniéj, a w obu razach rodziły się albo wyłącznie samce, albo téż tyko samice. Gdy Thury ogłosił teoryę swoję, która nie mało zdziwiła uczonych i hodowców, zaczęto w rozmaity sposób próbować prawdziwości jéj. Badania te przemawiały poczęści za, poczęści przeciwko teoryi. W akademii rolniczéj w Pruszkowie i w Eldenie wykonano szereg doświadczeń, które wypadły na niekorzyść teoryi, podobnie jak i doświadczenia wykonane w stajniach księcia Fryderyka Wilhelma; przeciwnie zaś *Touchon* w Hohenau i *Albini* w Neapolu potwierdzili znów teoryę Thury'ego. Nie będziemy wspominali o wielu innych doświadczeniach, dotyczących kwestyi téj, a podanych dokładnie i zebranych skrzętnie w dziele Düsing'a. Zauważymy wszakże, że u ludzi skonstatowano także

wpływ opóźnionego zapłodnienia na płeć zarodka. Tak np. większą przewagę chłopców u żydów w porównaniu do innych plemion objaśniają niektórzy (Thury, Hermman) tém, że według przepisów mojżeszowych mężowi nie wolno obcować z żoną dosyć długi czas po monstruacyi (jajko więc bywa zwykle stare, długo czeka).

Wszystkie doświadczenia w celu rozjaśnienia teoryi Thury'ego doprowadziły ostatecznie do rezultatu, że nigdy nie rodzą się, jak twierdził Thury, wyłącznie samce, ani też wyłącznie samice, lecz że przy odpowiednich warunkach istnieje tylko pewna przewaga jednéj płci nad drugą.

Najbardziéj krańcowy wypadek opóźnionego zapłodnienia jajka, ma miejsce wtedy, gdy jajko mogące być zapłodnioném i zwykle zapładniane, nie ulega zapłodnieniu w skutek braku samców. Ma to miejsce przy t. z. arrenotokicznéj partenogenezie czyli mężorodném dzieworództwie. Działanie tego, najbardziéj krańcowego wypadku braku samców objawia się téż najbardziéj krańcowym stosunkiem płci, albowiem zgodnie z teoryą Düsinga z jaj takich powstają tylko samcy. Takie niezapłodnianie jaj znajdujemy u pszczół i os. Królowe owadów tych mogą składać jaja zapłodnione i niezapłodnione. Z pierwszych rozwijają się tylko samice, z ostatnich tylko samce tj. trutnie. Jak wiadomo, składanie naprzemian jaj zapłodnionych i niezapłodnionych stanowi u pszczołowatych owadów zjawisko normalne. Ale i w tych także wypadkach, kiedy samica przypadkowo nie zostaje zapłodniona, składa ona jajka na samce. Tak np. według Siebold'a, gdy królowa pszczół posiada szczątkowe skrzydła i nie może być przeto zapłodniana w locie lub téż gdy np. ciałka nasienne zapładniających ją trutniów zostają zabite przez mrozy składa ona jajka, z których rodzą się wyłącznie samce. Pozornie wydaje się to bardzo dziwném i zupełnie niezrozumiałém, iż jajka niezapłodnione, czyli nie zlane z komórkami męzkiemi, wydają właśnie samców; zdawałoby się, iż naodwrót w samców powinny prędzéj rozwijać się te jajka, które zawierają w sobie element męzki, czyli— zapłodnione. Trudności te wyjaśnia jednak, jak widzimy, najzupełniéj teorya regulacyi stosunku płciowego; albowiem absolutne niezapłodnianie jaj równa się absolutnemu brakowi osobników męzkich, a stąd téż jajka niezapłodnione wydają samych tylko samców.

Jeśli zatém właściwości produktów płciowych (różny wiek ich) warunkują sobą płeć potomstwa, wynika z tego, że i wszystkie postronne okoliczności, wywierające wpływ na własności produktów tych, muszą téż oddziaływać na jakość płci potomstwa. Do okoliczności takich należy przedewszystkiém zaliczyć „odżywianie się układu płciowego." Im słabiéj jest on odżywiany, tém wolniéj mogą się

odnawiać zużywające się produkty płciowe. Im zaś odżywianie się jest lepsze, tém odnowa elementów płciowych jest szybszą. A daléj, wynika z tego, że np. samiec dobrze odżywiany będzie zapładniał ciałkami nasiennemi znacznie starszemi, niż samiec odżywiany gorzéj, u pierwszego bowiem ciałka prędko się tworzą i mają czas długo leżeć w organizmie, zanim znów zostają użyte. To samo rozumowanie prowadzi nas do wniosku, że samiec źle odżywiany, zapładniać będzie nasieniem młodszém. Według zaś teoryi, w tym ostatnim razie powinno się rodzić więcéj samców. I rzeczywiście liczne doświadczenia wykonane przez *Fiquet'a* dowiodły, że gdy dobrze odżywiana krowa pokryta zostaje przez głodzonego byka, rodzi się cielę płci męzkiéj. Układ narządów rozrodczych źle odżywianego byka jest tak samo nadwerężony, jak i byka bardzo często pokrywającego przy zwykłém odżywianiu. Oba zapładniają stosunkowo bardzo młodymi ciałkami i przeciętiowo produkują téż więcéj samców. Fiquet powiada: „Zauważyłem pomiędzy swymi znajomymi, że wszędzie, gdzie silny, sangwiniczny i namiętny małżonek żeni się z zimną i nienamiętną kobietą, ilość córek przeważa i że przeciwnie, przy stosunkach odwrotnych, rodzi się więcéj chłopców. To naprowadziło mię na myśl, aby podobną różnicę w temperamentach wywołać téż sztucznie u bydła i w ten sposób sprobować rozwiązania kwestyi.“ Obserwacya powyższa, dotycząca ludzi, o tyle tylko zgadza się z wynikami doświadczeń Fiquet'a i Janke'go (zwolennika teoryi Fiquet'a), o ile siła, sangwiniczność i namiętność płciowa idą w parze z dobrém ożywianiem się i w ogóle z dobrą i normalną przemianą materyi.

Wszelako doświadczenia Fiquet'a „nie są bardzo liczne i dlatego téż ta część teoryi (Düsinga), wymaga jeszcze nowych doświadczeń. Jeśli jednak dotąd wyjaśniona część teoryi jest prawdziwą, i ta téż musi być słuszną; jest ona bowiem bezpośrednim wynikiem tamtéj.“

Daleko bliżéj i dokładniéj rozjaśnioną została okoliczność, dotycząca wpływu *wieku ojca i matki* na płeć potomstwa. Bardzo liczni statystycy twierdzili, że im starszy jest ojciec w porównaniu do wieku matki, tém więcéj rodzi się chłopców. Hofacker i Sadler pierwsi wypowiedzieli to twierdzenie. Jakiż wpływ wywiera wiek na układ płciowy? Nie ulega, zdaniem Düsinga, wątpliwości, że system rozrodczy w młodości bardzo słabo jest odżywiany, że następnie odżywianie wzrasta stopniowo i dochodzi do maximum w czasie największéj działalności reprodukcyjnéj, późniéj zaś znów stopniowo osłabia się. Tak więc w pewnym wieku sprawność płciowa osiąga swoje maximum. Zgodnie zaś z teoryą Düsinga, *à priori* możemy po-

wiedzieć, że w tym to właśnie wieku u mężczyzny powinno być niewielkie prawdopodobieństwo rodzenia chłopców, u kobiety zaś— dziewcząt. Z drugiéj zaś strony, prawdopodobieństwo rodzenia chłopców będzie największém wtedy, gdy mężczyzna będzie w wieku najbardziéj odległym od tego maximum, kobieta zaś—w najbliższym. „Ponieważ jednak w większéj części małżeństw to maximum wieku bywa przekroczone—według więc teoryi, powinno się rodzić tém więcéj chłopców, im starszy jest mężczyzna w porównaniu do kobiety.“ A to właśnie stanowi prawo, wypowiedziane już dawno przez Hofackera i Sadlera. Prawo to było wielokrotnie stwierdzane i wielokrotnie też obalane. Ciekawego czytelnika odsyłamy do dzieła Düsinga (str. 68—74), gdzie podane są cyfry i statystyczne dane, wyjęte z obserwacyj różnych badaczów téj kwestyi. Najrozleglejsze atoli badania statystyczne, opierające się na 300.000 wypadków przeprowadził w najnowszych czasach Düsing i doszedł do wniosku, że teorya stwierdza się.

Przy wszystkich rozpatrzonych dotąd stosunkach szło nam o różnice pomiędzy obojgiem rodziców. Jedno z nich było nadwerężone zbyt częstemi spółkowaniami, inne—nie, jedno było młode, drugie—stare, jedno dobrze odżywiane, drugie—źle. Wszystkie te wypadki, jak widzieliśmy, dają się zawsze sprowadzić do tego, że brak jest osobników jednéj płci i że zawsze rodzi się wtedy więcéj osobników téjże płci, dla wyrównania, uregulowania stosunku płciowego. Sądząc zatém tylko z tego, co mówiliśmy dotąd, możnaby wnosić, że w naturze istnieje tylko dążenie (rozumie się, nie w znaczeniu celowości) do regulowania, normowania, stosunku płciowego, stosunku określonego i pożytecznego dla rozmnażania się danego gatunku. Ale zachodzi pytanie, czy byłoby to korzystne, aby stosunek płciowy pozostawał zawsze taki sam przy wszystkich okolicznościach? Otóż, wcale tak nie jest. Przeciwnie, dla prosperowania danego gatunku przy niektórych okolicznościach bardzo jest korzystném, aby rodziło się raz więcéj samców, w innym znów razie—więcéj samic. To stanowi drugą część teoryi Düsinga, do przedstawienia któréj przystąpimy z kolei. Dla zrozumienia jednak dalszych wywodów teoryi téj, rozpatrzmy naprzód pokrótce stosunki *płodności* u różnych zwierząt, gdzie przez wyraz płodność pojmować będziemy ilość rodzących się młodych.

Wiadomo powszechnie, że niektóre zwierzęta np. słonie rodzą niewiele tylko młodych, inne, jak myszy, rodzą ich bardzo wiele. Widzimy zatém, że podobnie jak u rozmaitych zwierząt istnieje dla każdego gatunku pewien stały i określony stosunek płciowy, tak też i stałą jest płodność. Używając tu wyrażenia „stały“ nie mamy,

rozumie się, na myśli jednego lub kilku wypadków, lecz cyfrę przeciętną, pojedyncze bowiem osobniki mogą się odznaczać większą lub mniejszą płodnością, przy przeciętnéj zaś z wielu pojedynczych wypadków wahania te wyrównywają się, tak, że przeciętna jest stałą dla każdego gatunku przy jednakowych rozumie się warunkach.

Płodność zwierzęcia nie jest zatém czémś przypadkowém, lecz związana jest ściśle z jego stosunkami życiowemi.

Tak np. gatunki zwierząt, posiadające wiele nieprzyjaciół, ginące w wielkiéj ilości, są bardzo płodne, inaczéj bowiem mogłyby wygasnąć bardzo prędko. Zwierzęta małe są zwykle więcéj na niebezpieczeństwa, na napaści nieprzyjaciół wystawione, one téż rozmnażają się zwykle silniéj niż większe, tak, że nawet niektórzy naturaliści szukali bezpośredniéj mechanicznéj zależności pomiędzy wielkością ciała zwierzęcia, a płodnością jego. Sądzono np. że ptaki śpiewające są płodniejsze od drapieżnych, ponieważ są mniejsze; jest to wszakże pogląd, zdaniem Düsinga, niesłuszny. Ptaki śpiewające mają bez porównania więcéj wrogów niż drapieżne i to jest właśnie przyczyną większéj ich płodności. Że wielkość ciała nie odgrywa tu żadnéj roli, dowodzi np. fakt, iż drobny kolibr rozmnaża się tak samo słabo, jak wielki kondor; kolibry wskutek nadzwyczajnie małych wymiarów ciała i niepospolicie bystrego lotu posiadają bardzo mało wrogów, tak mało jak kondory — wskutek wielkości i niezwykłéj siły swéj; dlatego więc oba te ptaki są jednakowo mało płodne. Podobnych przykładów można by przytoczyć bardzo wiele.

Nietylko jednak zwierzęta mające więcéj nieprzyjaciół są bardziéj płodne; większą płodnością odznaczają się téż i te gatunki, które wskutek jakichkolwiekbądź innych właściwości życia lub rozwoju swego narażane są częściéj na zagładę. Tak np. robaki pasorzytne, potrzebujące do całkowitego rozwoju swego odbyć złożone wędrówki z ciała jednych gospodarzy do drugich, są ogromnie płodne. Soliter produkuje do ośmdziesięciu pięciu milionów jaj! Ale jakież olbrzymie ilości jaj zwierzęcia tego giną. Ile to bowiem potrzeba szczęśliwych zbiegów okoliczności, aby drobne jajeczka, wydostające się na zewnątrz ciała ludzkiego z kałem, dostały się do żołądka i do mięsa świni, a ztamtąd, aby znów nienaruszone i żywe przedostały się, jako węgry, do żołądka ludzkiego! Mniemano, że robaki pasorzytne składają takie olbrzymie ilości jaj dlatego jedynie, że żyjąc we wnętrzu ciała gospodarza swego, posiadają znakomite warunki odżywiania się i wskutek tego produkcyjność ich narządów płciowych jest tak wielką; że nie stanowi to wszakże przyczyny płodności ich, dowodzą fakta, iż liczne inne zwierzęta, jakkolwiek nie są pasorzytami, są niemniéj płodne, potrzebując, podobnie

jak soliter wielu bardzo szczęśliwych zbiegów okoliczności do całkowitego swego rozwoju. Wspomnę chociażby o owadzie majówce, której gąsienice muszą skakać na ciała samców pszczelich, stąd przeskakiwać na samice pszczół, zanoszące je do swych gniazd podziemnych; majówki odbywające tak liczne i niebezpieczne wędrówki w młodocianym swym wieku są też niezwykle płodne; odwłok samicy brzęknie, pęcznieje i wypełnia się cały olbrzymią ilością drobnych jajeczek.

Widzimy więc, że im dany gatunek bardziéj narażany bywa na zagładę, tém jest płodniejszy. Skutkiem tego zachodzi ścisła zależność pomiędzy śmiertelnością a płodnością zwierząt. Stąd też, pomimo, iż różne gatunki odznaczają się tak rozmaitym stopniem płodności, ilość osobników każdego gatunku pozostaje mniéj lub więcéj jednakową. Niekiedy jednak nie dostrzegamy tego. Tak np. szczur wędrowny rozmnożył się niezwykle w ostatnich czasach; rozsiedlił się bowiem z Rosyi po całéj Europie i po innych nawet częściach świata, liczba zaś pewnych zwierząt, jak np. słoniów znacznie znów zmalała, a niektóre gatunki całkiém wyginęły. Wogóle jednak takie powiększanie lub zmniejszanie się ilościowe różnych gatunków zwierząt jest nie bardzo znaczne, i jest raczéj zjawiskiem wyjątkowém, uwarunkowaném specyalnemi jakiemiś okolicznościami, niż objawem powszechnym.

Skoro więc rozmnażanie się, t. j. ilościowy stosunek osobników każdego gatunku jest ściśle określony, zachodzi pytanie, w jaki sposób reguluje się ten stosunek, t. j. w jaki sposób różne warunki zewnętrzne wpływają na większą, lub mniejszą płodność osobników i w jakim to pozostaje związku *z jakością rodzącéj się płci.*

Zwierzęta posiadają to więcéj, to mniéj żywności. Większość ma podczas lata nadmiar żywności, podczas zaś zimy cierpi niekiedy głód. Jeśli pożywienia jest podostatkiem, w takim razie pożyteczną jest dla gatunku wielka płodność, albowiem liczne młode pozostaną wszystkie przy życiu, doczekają dojrzałego wieku i znów będą mogły się rozmnażać. Ponieważ widzimy, że w naturze gatunki rozmnażają się, o ile tylko nie stają temu na przeszkodzie warunki zewnętrzne, czyli w najobszerniejszém tego słowa znaczeniu — walka o byt, rozmnażanie się będzie energiczne, ilekroć razy pokarmu znajdować się będzie podostatkiem.

Gdy żywność będzie szczupłą — rzeczy mieć się będą inaczéj. Gdy przy braku dostatecznego pożywienia, zwierzę zrodzi wiele potomków, każdy z tych ostatnich nie znajdzie dla siebie dosyć żywności, nie rozwinie się przeto jak należy, a dzieci jego w tém gorszém jeszcze będą położeniu. Wskutek tego liczne z nich zginą, a pozo-

stanie przy życiu z konieczności pewna ograniczona tylko liczba osobników; a nawet z tych, co przy życiu zostaną, nie wszystkie rozwiną się dobrze, albowiem w młodości zmuszone będą cierpieć głód i współzawodniczyć ze słabszymi braćmi swemi. Dlatego też, wychodząc z zasady doboru naturalnego, rozwijającego i utrwalającego właściwości dla osobników żyjących korzystne — dojdziemy do wniosku, że dla organizmów korzystném jest słabe rozmnażanie się przy niedostatecznych środkach żywności. Można więc przypuszczać, że zwierzęta osiągnęły właściwość regulowania swéj płodności, zależnie od istniejących warunków życiowych. Płodność zatém nie jest nieustannie jedną i tą samą, lecz istnieje *regulowanie rozmnażania się.*

Düsing wykazuje bardzo wielką ilością przykładów, iż u człowieka, zwierząt i roślin przy lepszych okolicznościach ma rzeczywiście miejsce silniejsze rozmnażanie się. Z wielu tych niezmiernie interesujących przykładów i danych statystycznych, przytoczymy tu tylko kilka, dla wykazania czytelnikowi prawdziwości powyższego twierdzenia. Co do człowieka, istnieją między innemi następujące spostrzeżenia podróżnika Barrowa, cytowane przez Herberta Spencera w jego „Zasadach Biologii.“ — „Plemię Boerów na przylądku Dobréj Nadziei nie lubi pracować i prowadzi życie rozpustne. Kobiety ich wiodą żywot bez trosk i pracy. Hotentoci przeciwnie, jakkolwiek są biedni i źle odżywiani, muszą spełniać za nich wszelkie roboty.“ Stosownie też do tego, różną jest płodność tych plemion. „Sześcioro lub siedmioro dzieci w rodzinie Boerów uważa się za ilość małą; tuzin do dwudziestu nie jest niczém nadzwyczajném.“ Hotentoci przeciwnie, „mają rzadko więcéj niż troje dzieci, a wiele ich kobiét jest całkiém niepłodnych.“ W przeciwstawieniu znów do nich Kafrowie, posiadający wiele bydła i wiodący życie bez trosk, są bardzo płodni i nawet bardzo często rodzą bliźnięta. Jakkolwiek sam Spencer sądzi, że liczby powyższe są może nieco przesadne, w każdym jednak razie zredukowane nawet, wskazują znaczną różnicę. Wpływ klimatu jest także znaczny. Im mniéj człowiek traci na produkowanie ciepła, tém więcéj materyi może zużywać na działalność płciową. Tak np. ku południowi staje się obfitszém krwawienie podczas menstruacyi; u angielek wynosi ono 90—105 gr., u mieszkanek Niemiec południowych 230 gr., u hiszpanek 350 gr., u murzynek 600 gr. (Ludwig). W klimacie cieplejszym występuje też znacznie wcześniéj dojrzałość płciowa. Płodność człowieka zmienia się też bardzo podczas różnych pór roku. W zimie zużywa organizm więcéj materyału na potrzeby indywidualne, niż w lecie, kiedy człowiek więcéj też może zużywać materyi na dzia-

łalność reprodukcyjną, o czém przekonać się łatwo z interesujących tablic statystycznych Horn'a (1).

Co się tyczy zwierząt, to Crampe (1883) miał sposobność zbadać wpływ odżywiania się na płodność szczura wędrownego. Powiada on: „Gdy szczury były karmione racyonalniéj, stały się wcześniéj płodnemi, rodziły wcześniéj, a potomstwo ich rzadko ginęło.“ Herbert Spencer (2) cytuje następujący trafny przykład, dowodzący, iż pomiędzy domowemi ssącemi, dobrze odżywiane są płodniejsze od odżywianych gorzéj. „Na wysokich i stosunkowo nieurodzajnych Cotswolds rzadko się zdarza, aby owce rodziły bliźnięta, gdy tymczasem bardzo często rodzą one bliźnięta w sąsiedniéj, bujnéj dolinie Sewernu....“ Weismann wykazał daléj, że raczki dafnidy są bardzo czułe na brak pokarmu pod względem swych zdolności reprodukcyjnych. Doszedł on do wniosku, że podczas głodu bardzo prędko ulegają wsysaniu ich komórki płciowe, grupa za grupą. Claus i Siebold zauważyli również, że źle odżywiana królowa pszczół składa jajka „głuche“, to jest nie mogące się rozwijać. Trembley, a w nowszych czasach William Marshall zauważyli daléj, że stułbia czyli polip wód słodkich dobrze karmiony silnie pączkuje i jest bardzo płodny, głodzony zaś—przestaje się rozmnażać. Ponieważ zwierzęta domowe lepiéj są odżywiane niż dzikie, są téż dlatego płodniejsze od tych ostatnich. Według Darwina, „dziki królik mnoży się cztery razy na rok i co najwyżéj produkuje sześcioro młodych; królik zaś oswojony—sześć lub siedem razy na rok rodzi czworo do jedenaściorga młodych.“ Według Spencera, pies rodzi naraz 6—10 szczeniąt, wilk zas i lis 5—7; dziki kot rodzi raz na rok 4—5 kociąt, domowy zaś dwa lub trzy razy rocznie po 5—6 kociąt. Zwierzęta jednak dzikie, trzymane w niewoli, gdzie wogóle warunki życia są dla nich po większéj części niekorzystne, tracą na płodności; niektóre, jak np. ptaki drapieżne, przestają się całkiem rozmnażać, gdy są trzymane w niewoli.

Podobnie téż zmniejsza się odżywianie układu płciowego w starości. Klimat, pory roku, wielkość pracy mięśniowéj i inne okoliczności okazują téż wpływ na energią odżywiania się układu płciowego, a tém samém i na płodność zwierząt.

Nakoniec przekonano się, że i u roślin także lepsze warunki odżywiania się sprawiają większą płodność i naodwrót. Stwierdzają to doświadczenia i obserwacye Hermana Müllera, Heyera, Hoffmana, Darwina i wielu innych naturalistów.

---

(1) Bevölkerungswissenschaftliche Studien aus Belgien. Von J. C. Horn. 1854.
(2) Zasady Biologii.

Bardzo liczne zwierzęta posiadają nader pożyteczną właściwość wtórnego, czyli następczego regulowania rozmnażania się swego. A mianowicie, gdy to ostatnie było zbyt silném w stosunku do istniejących warunków, młode pożerają się wzajemnie, lub też rodzice zjadają dzieci swe. Dla pozostających przy życiu jest to pożyteczne. Düsing oznacza to zjawisko mianem „poprawki (*correction*) płodności przez bratożerstwo, lub dzieciożerstwo." Dziecio- i bratożerstwo obserwowano u głodzonych szczurów, dzików, wilków, os.

Jeśli zważymy wszystkie powyższe fakty, musimy przyznać, że istoty żyjące posiadają rzeczywiście pożyteczną zdolność, regulowania swéj płodności, zależnie od warunków zewnętrznych. Otóż zachodzi teraz pytanie, jaką rolę odgrywają w tém obie płcie? Teorya odpowiada na to, że wskutek fizyologicznego podziału pracy, samce i samice wzięły na siebie różne role przy rozmnażaniu się. Samiec szuka samicy, która wyczekuje spokojnie zapłodnienia; samiec jest ruchliwszy, czynny, samica spokojniejsza i bierna. Za to samica dostarcza materyi, potrzebnéj do budowania ciała młodych; zarodki rozwijają się i rosną w jéj łonie, karmiąc się krwią jéj, lub też gdy rozwijają się po za obrębem jéj ciała z jaj składanych, w tych ostatnich nagromadzone jest żółtko odżywcze, dla karmienia rozwijających się młodych przeznaczone, a z ciała matki pochodzące. Wynika z tego, że samica potrzebuje *do reprodukcyi znacznie więcéj żywności niż samiec.* Tysiączne fakta stwierdzają tę prawdę. Nie znany jest ani jeden wypadek u zwierząt, gdzieby męski układ płciowy był lepiéj odżywiany od żeńskiego, z drugiéj zaś strony znamy bardzo wiele faktów, dowodzących, iż dzieje się wprost przeciwnie.

Już przy pierwszém różnicowaniu się męskich i żeńskich elementów istnieje podobna różnica ze względu na odżywianie się obu płci. Tak np. u toczków (*Volvocineae*) komórki żeńskie są znacznie większe niż męskie, więcéj zawierają zarodzi. Uderzającą taką dwukształtność widzimy u wrotek (*Rotatoria*). Samce są tu znacznie mniejsze od samic, nie mają ani przełyku, ani kiszki. Opuszczają jajko zupełnie rozwinięte, nie przyjmują pożywienia i żyją wogóle tylko bardzo krótko; natomiast znacznie większe samice zaopatrzone są we wszystkie organy, służące do dobrego odżywiania. Najciekawsze stosunki znajdujemy u owadów. Samcy są tu prawie zawsze mniejsze i ruchliwsze od samic, które niekiedy nie mają nawet wcale skrzydeł; u wielu form (np. u termitów) samice w epoce dojrzałości jaj karmią się bardzo obficie, a odwłok ich pęcznieje i wielkie przybiera rozmiary. U pasorzyta winnic, *Phyloxery*, można nawet odróżnić dobrze jajka, z których mają się rozwinąć samce od jajek samiczych;

z większych jaj powstają samice, z mniéjszych samce, pozbawione kiszki i nie przyjmujące przeto żadnego pokarmu. U wielu owadów dwuskrzydłych samce (pozbawione żądeł) karmią się tylko sokami roślin, podczas gdy samice żywią się wyłącznie krwią zwierzęcą. Ponieważ wogóle samice potrzebują tak wiele materyi odżywczych, są one często wskutek przystosowania przekształcone w pasorzyty, podczas gdy taki jednostronny pasorzytyzm u samców nigdy się nie zdarza. U raków wiosłonogich (*Copepoda*), a mianowicie u rodzin *Lerneae*, *Lerneopoda* i innych samice dosięgły wskutek życia pasorzytniczego kolosalnych rozmiarów; przyczém wszystkie organy zanikły, ciało rozszerzyło się i utworzyło liczne wypukliny. Samiec natomiast zachowuje normalny wygląd i nie dorasta takiéj wielkości. Jak dalece posunąć się może dwukształtność (dimorfizm) płciowa, wskazuje fakt, dotyczący glisty okrągłéj pasorzytnéj *Trichosoma crassicauda* oraz sikwiaka *Bonelia*, gdzie samiec tak jest mały, iż cały żyje w organach płciowych samicy. Düsing przytacza téż fakty, dowodzące, że i u roślin organy, a tém samém i osobniki żeńskie więcéj potrzebują pożywienia niż męskie. I tak u żeńskiéj płci pożywienie, jak tego dowodzą powyższe i liczne inne przykłady, odgrywa większą rolę niż u męskiéj. Z téj już okoliczności wynika, że zmiana w odżywianiu się wywołać musi znacznie większe skutki u płci żeńskiéj, niż u męskiéj, a mianowicie gorsze odżywianie zmniéjsza siłę reprodukcyjną samicy; płeć żeńska, *respective* jéj organ płciowy jest daleko wrażliwszy na wahania w odżywianiu się, aniżeli u płci męskiéj. Przytoczymy na dowód tego spostrzeżenia Weismana, że u pewnych raków liścionogich podczas głodu następuje wessanie, czyli resorpcya żeńskich produktów płciowych; u samców nie zauważono tego dotąd. Zaznaczmy nakoniec, że i u roślin osobniki żeńskie czuléj reagują na zmiany w warunkach życia.

Nie ulega zatém wątpliwości, że wogóle płeć żeńska potrzebuje znacznie więcéj pokarmu, niż męska, i że wskutek podziału pracy przypada na nią główna rola przy rozmnażaniu się. Od ilości samic zależy stopień rozmnażania się; jeden samiec może w krótkim czasie zapłodnić bardzo wiele samic, większa zatém ilość produkowanych młodych zależy przedewszystkiém od większéj ilości samic. Możemy więc powiedzieć, że jeśli w pośród danéj ilości osobników będzie więcéj samic niż samców, w takim razie rozmnażanie się będzie energiczniejsze, potomstwa—więcéj; jeśli przeciwnie przeważać będzie ilość samców, rozmnażanie się będzie stosunkowo słabsze. Ponieważ zaś z drugiéj strony wykazaliśmy, że o ile przy nadmiarze pokarmów dla zwierząt pożytecznéin jest energiczne rozmnażanie się, o tyle znów przy braku dostatecznego pożywienia korzystném

jest zmniejszenie się jego, musi też na zasadzie powyższego dowodzenia być korzystném dla organizmów, aby przy nadmiarze, obfitości środków pożywienia rodziło się więcéj samic, przy braku zaś— więcéj stosunkowo samców; tylko bowiem przy obecności wielu samic rozmnażanie się może być energiczném i silném. Jeśli zatém istnieje *regulowanie* stosunku płciowego w zależności od zewnętrznych okoliczności, to musi rodzić się więcéj samic przy korzystnych środkach odżywiania się i naodwrót więcéj samców, gdy warunki odżywiania się są niesprzyjające. Ten wniosek teoretycznie z góry wyprowadzony stwierdzają liczne fakty, dotyczące człowieka, zwierząt i roślin.

Co do człowieka, należy naprzód wyjaśnić pewną kwestyą, pozornie sprzeciwiającą się teoryi. Otóż okoliczności, iż przy gorszém odżywianiu rozwija się chłopiec, przy lepszém — dziewczyna, nie można pogodzić z faktem, że chłopiec podczas życia zarodkowego zużywa więcéj pokarmu niż dziewczyna, albowiem, jak się przekonano, płód męski jest cięższym od żeńskiego. Otóż słabsze odżywianie rozwijającego się płodu powoduje, zdaniem Düsinga, na drodze mechanicznéj powstanie płci męskiéj, a okoliczność, iż płód męski, który raz rozwinął się jako taki, silniéj rośnie i energiczniéj karmi się, jest już zjawiskiem wtórném, od warunków powstawania płci niezależném. Skoro jednak płeć męska rozwija się wskutek braku dostatecznego pożywienia, musi być ona stosunkowo gorzéj rozwiniętą od żeńskiéj, powstającéj wskutek nadmiaru takowego. A jako bezpośredni wynik tego Düsing uważa większą śmiertelność chłopców tak w stanie już zarodkowym (t. j. płodów męskich), jakoteż po urodzeniu; że tak jest rzeczywiście, dowodzą tego dane statystyczne, zebrane przez Walsera na zasadzie 14,000 urodzeń; wynika z nich, że na 100 żeńskich martwych płodów dojrzałych i niedojrzałych wypada 206 męskich, a na sto dziewcząt umierających w pierwszym roku życia, umiera 154 chłopców. Stwierdzają to również tablice statystyczne Plossa, Engla, Granville'a, Bentzen'a i wielu innych (patrz dzieło Düsing'a, gdzie wyniki te są przytoczone). Większą śmiertelność płci męskiéj obserwowano nie tylko u człowieka, lecz i u innych istot: u koni, owiec, a z roślin także u konopi.

W dziele Düsinga podane są daléj bardzo interesujące tablice statystyczne, dowodzące, że w latach pomyślniejszych, kiedy środki życia były obfitsze i tańsze, rodziło się więcéj stosunkowo dziewcząt, aniżeli w latach niepomyślnych. Po wsiach, gdzie ludność odżywia się, jak wiadomo, znacznie gorzéj, niż w miastach, przewaga rodzących się chłopców jest większą niż w tych ostatnich. Stan rodziców okazuje również wpływ na płeć dzieci; gorzéj odżywiani rodzice wy-

dają więcéj chłopców. Bardzo interesującemi są stosunki u bliźniaków i trojaków. Bardzo jest naturalném, że bliźniaki, rozwijając się jednocześnie w łonie matki, robią sobie wzajemnie konkurencyą, która nie jest wszakże tak silną jak u trojaków; dlatego téż warunki odżywiania się trojaków są znacznie gorsze niż u dwojaków, a to właśnie wyjaśnia nam, dlaczego u pierwszych daleko więcéj rodzi się stosunkowo osobników męskich niż u drugich.

Wiek matki wywiera również wpływ na płeć dziecka, albowiem w miarę starzenia się osobnika, układ płciowy, a tém samém i płód odżywia się gorzéj. Starsze kobiety muszą więc stosunkowo więcéj rodzić chłopców; a jakkolwiek istnieją liczne na to dowody statystyczne, kwestya ta jednak komplikuje się téż bardzo wiekiem mężczyzny; stosunki te rozpatrzyliśmy wyżéj. Widoczniejszym jest wpływ klimatu i pór roku. Z koncepcyi, jakie miały miejsce podczas ciepłych miesięcy, kiedy organizm mniéj się zużywa na potrzeby indywidualne, rodzi się stosunkowo nieco więcéj dziewcząt, niż z koncepcyi zimowych; dowodzą tego dane statystyczne, opierające się na więcéj niż dziesięciu milionach wypadków. Większa produkcya dziewcząt w lecie nie dostarcza rozumie się człowiekowi żadnéj korzyści (w znaczeniu powiększenia rozmnażania się), albowiem zanim dziewczęta wzrosną, lato dawno już mija. Jest to jednak całkiém obojętne, czy jaka właściwość działa w pewnym danym wypadku pożytecznie, czy téż niepożytecznie, jeśli wogóle wpływ jéj jest pożytecznym. U człowieka tak sprzyjające, jako téż nieprzyjazne okoliczności (ze względu na sprawę płodności) są po większéj części przejściowe. Rzadko tylko naród jaki pozostaje przez dłuższy czas w warunkach niesprzyjających. W takim właśnie znajdują się dzikie pokolenia Ameryki i Australii, którym nagle narzuconą została kultura europejska. Otóż niezwykle szybka zmiana w sposobie życia i odżywiania się musiała być nieznośną dla tych ras. Wskutek téj ciągłości warunków niesprzyjających nastąpiło nadzwyczajne zmniejszenie się płodności, tak, że nieraz na sto rodzin przypada tylko kilkoro dzieci, przyczém dzieci te bywają przeważnie płci męskiéj.

Można z wielkiém prawdopodobieństwem przypuścić, że siła menstruacyi oraz waga łożyska okazują wpływ na późniejsze odżywianie się płodu. Otóż okazało się, że rzeczywiście przy słabszych menstruacyach i mniejszéj wadze łożyska rodzi się nieco więcéj chłopców.

W przeciwstawieniu wszakże do zwierząt, człowiek żyje w daleko jednostajniejszych warunkach odżywiania się, a stosownie téż do tego mają u niego miejsce nieznaczne tylko wahania się liczeb-

nego stosunku płci. Daleko silniéj występują one u zwierząt. U nich znajdujemy często najbardziéj krańcowe stany: nadmiar pożywienia i głód.

Przedtém już niektórzy przyrodnicy, a szczególniéj Rolph (1) starali się ująć w przyczynową zależność: wzrost ilości rodzących się samców ze zmniéjszeniem się dowozu pokarmów. Rolph nazywa nawet samców „pokoleniem głodowém" („Hungergeneration"); ponieważ jednak odżywianie się nie stanowi tu jedynego momentu, wyrażenie to jest, rozumie się, nie dosyć ścisłém. W nauce istnieje wiele faktów, dotyczących wpływu pokarmów na płeć zwierząt. I tak Landois z tysięcy młodych gąsienic motyli (*Vanessa urticae*) otrzymywał dowolnie samców lub samice, zależnie od tego, czy dawał im lepsze, lub gorsze pożywienie. To samo ma też miejsce, według Landois, u pszczół; a mianowicie larwy robotnic i królowych otrzymują początkowo jednakowo obfity pokarm, przez co rozwija się u nich płeć żeńska; po pewnym wszakże czasie larwy robotnic otrzymują gorsze pożywienie, a przez to płeć ich pozostaje nierozwiniętą. Daléj według Martergoute'a, owce, które rodziły osobniki żeńskie, miały przeciędiowo większą wagę, aniżeli te, które rodziły tryków. Ploss zaś twierdzi, że ta większa waga pierwszych dowodzi lepszego ich odżywiania się, a tém samém i lepszego odżywiania się płodu. U zwierząt jajorodnych stopień odżywiania się zarodka zależy wprost od ilości t. z. żółtka odżywczego w jajku. Otóż u wielu zwierząt spotykamy jajka większe i mniejsze (mające więcéj lub mniéj żółtka odżywczego), a okazało się, że z większych rozwijają się samice, z mniejszych samce; widzimy to np. u *Phyloxery*, a także u grupy zwierząt niższych, zwanych *Orthonectidae*.

Nie będziemy już wyliczali innych przykładów, przytoczonych przez Düsinga, który rozbiera też i na swoją tłómaczy korzyść kilka faktów, dotyczących wpływu pokarmu na płeć i pozornie niezgodnych z teoryą. Prócz wpływu pokarmu na płeć potomstwa ważnym jest też wpływ wieku, klimatu oraz pory roku. Okazuje się, że wogóle wszelkie niesprzyjające warunki wywołują przyrost osobników męskich.

Widzimy więc w ten sposób, że u zwierząt przy nadmiarze pożywienia rodzi się więcéj samic. U wielu zwierząt niższych występuje nawet podczas największéj obfitości pożywienia—wypadek najbardziéj krańcowy tego zjawiska, a mianowicie: rodzą się tylko samice, które znowu tylko samice produkują i tak daléj, dopóki tylko warunki życia (ze względu na obfitość pokarmów) są pomyślne.

---

(1) Biologische Probleme, zugleich als Versuch einer rationellen Ethik. 1884.

Przy tém możliwie najsilniejszém rozmnażaniu się „które w ogóle ma miejsce podczas gorących miesięcy lata, samców brak zupełnie.“ Każdy osobnik płodzi samice, o ile można żyworodnie, które znów samice wydają i przytém bardzo często przy urodzeniu już są ciężarne. W ten sposób ma miejsce kolosalnie szybkie rozmnażanie się drogą dzieworództwa. Takie rozmnażanie się widzimy np. u mszyc i pcheł wodnych, czyli u dafnidów podczas lata, kiedy istnieje nadmiar pokarmów. Gdy zaś tylko z jesienią następuje brak tych ostatnich, znów powstają samce i znów jajka ulegają zapładnianiu.

Przedtém już rozpatrzyliśmy inny rodzaj dzieworództwa, przy którém z jaj niezapłodnionych rozwijały się samce. Dzieworództwo to możnaby więc nazwać mężorodném czyli samcorodném (*arrenotokia*) w przeciwstawieniu do dzieworództwa ostatnio opisanego, które należy oznaczyć mianem samicorodnego (*thelytokia*). Pierwsze warunkuje się brakiem zapłodnienia, wywołującym płeć męzką, drugie—nadmiarem pokarmów, określającym płeć żeńską potomstwa, albowiem gdy tylko nadmiar ten ustaje, kończy się też wpływ jego i nie rodzą się wyłącznie samice, lecz powstają także samce. Że wyłącznym czynnikiem w tym razie jest nadmiar pokarmów i w ogóle dobre warunki odżywiania się, dowodzą tego fakty następujące. Na różach i na goździku żyją mszyce, które podczas lata rozmnażają się bardzo silnie, wydając same tylko samice. Jeśli przez sztuczne oziębianie wywołamy (Landois) zamieranie roślin, na których mszyce te żyją, to wskutek braku odpowiedniego pożywienia, przestają one płodzić same tylko samice, lecz wydają też i samców, a dzieworództwo ustaje. U wielu innych zwierząt zauważono też podobne interesujące zjawiska.

Pączkowanie i dzielenie, które widzimy u wielu bardzo niższych zwierząt, np. u polipów, stułbi, u wielu robaków, może być także uważaném fizyologicznie jako rozmnażanie się samic niezapłodnionych, czyli jako pewna forma dzieworództwa. Otóż, i pączkowanie oraz dzielenie bywa najenergiczniejszém w lecie, gdy tymczasem w jesieni zastąpione zostaje mniéj lub więcéj przez rozmnażanie się drogą płciową. Rozmnażanie się bezpłciowe jest zatém stosunkowo silniejsze w czasie, gdy warunki odżywiania się są korzystniejsze. Bardzo ważnemi są pod tym względem poszukiwania Marshall'a nad rozmnażaniem się stułbi, czyli hydry wód słodkich. W naturze rozmnaża się ona przez pączkowanie tylko na wiosnę i w lecie, w jesieni zaś, kiedy warunki życia pogorszają się, ma miejsce rozmnażanie się płciowe; pączkowanie ustaje zupełnie, natomiast powstają jajka i ciałka nasienne. Otóż Marshall wykazał, że osobniki dobrze odżywiane mogą bez przerwy pączkować, gdy zaś tylko (nawet w lecie) zaczynamy głodzić stułbię, natychmiast występuje reprodukcya płciowa.

Szczególniéj interesującemi są zwierzęta, u których płciowe i bezpłciowe rozmnażanie występują kolejno, na przemian, jedno za drugiém (jak np. u *salp*). Otóż w wypadkach takich można zauważyć, że rozmnażanie się bezpłciowe występuje u pokolenia, które posiada nadmiar środków odżywczych. Często także to pokolenie dzieworodne jest pasorzytném, podczas gdy płciowe żyje swobodnie. To samo znajdujemy téż u rozmaitych organizmów jednokomórkowych, które rozmnażają się przez dzielenie i u których występuje tak zwane sprzęganie się czyli konjugacya, odpowiadająca procesowi zapładniania u zwierząt wyższych. Otóż u organizmów tych (u wielu wodorostów, wymoczków) rozmnażanie się drogą dzielenia, czyli bez zapłodnienia trwa tak długo, dopóki warunki zewnętrzne są sprzyjające, gdy tylko zaś przestają być takowemi, gdy np. woda, w któréj organizmy te żyją, zaczyna wysychać, natychmiast rozpoczyna się rozmnażanie drogą konjugacyi.

Düsing poświęca téż w dziele swém bardzo wiele miejsca rozpatrzeniu zjawiska tego u roślin. Ogólny wynik jest taki według niego, że przy lepszych warunkach odżywiania się roślin powstaje więcéj osobników żeńskich, przy gorszych zaś (gdy rośliny są bardzo gęsto posiane obok siebie) więcéj męskich. Düsing stara się obalić sprzeczne z tém prawidłem wyniki, jakie wyprowadza z doświadczeń swych Heyer. Ważnemi są tu spostrzeżenia Hermana Müllera, które wskazują, że niektóre rośliny alpejskie, marniejące w dolinach, produkują najwięcéj osobników męskich, a także doświadczenia Prantla, który wywoływał u paproci dowolnie osobniki męskie lub żeńskie, zależnie od tego, czy lepiéj, lub gorzéj odżywiały się przedrostki. — Do innych czynników, wpływających na regulowanie stosunku płciowego, Düsing zalicza daléj krewniacze krzyżowanie się. Większość naturalistów uważa krzyżowanie się bliskich krewnych tak u człowieka, jakotéż u zwierząt i roślin za szkodliwe dla potomstwa, jakkolwiek od czasu do czasu niektórzy badacze sprzeciwiali się poglądowi temu (co do człowieka, patrz poszukiwania Jerzego Darwina (1)). Szkodliwości krzyżowania krewniaczego starali się dowieść dr. Mitchell, Buxton, Montegazza, oraz prof. Stieda z Dorpatu (2), który wykazał statystycznie, iż w tych departamentach Francyi, gdzie małżeństwa pomiędzy krewnymi są najbardziéj rozpowszechnione, ilość ułomnych tak pod względem cielesnym jakotéż umysłowym jest największą. Co do roślin, szkodliwość krew-

(1) Die Ehen zwischen Geschwisterkindern und ihre Folgen. Von George Darwin. Lipsk 1879.

(2) Roczniki Medycyny Schmidta. 1866, pag. 89: „O małżeństwach pomiędz krewnymi.

niaczego krzyżowania wykazali Knight, Herbert, Gärtner, a szczególniéj Karol Darwin, który stwierdził to licznemi bardzo przekonywającemi doświadczeniami. U roślin istnieją bardzo liczne i interesujące przystosowania w budowie kwiatów, mające właśnie na celu przeszkadzać téj tak niekorzystnéj dla roślin ewentualności.

Ponieważ krewniacze krzyżowanie jest niekorzystném dla istot organicznych, rzecz naturalna, że przy rozmnażaniu się zwierząt i roślin wszelkie wogóle właściwości, sprzyjające usuwaniu takiego krewniaczego zapładniania, jako pożyteczne, powinny się przez działanie doboru naturalnego rozwinąć. Przypatrując się roli samca i samicy w rozmnażaniu się zwierząt, widzimy, że na samicę przypada głównie rola dostarczania pokarmu potomstwu, samiec zaś ma za zadanie wyszukiwanie samicy. Samica przy rozmnażaniu się jest bierniejszą, samiec zaś czynniejszy. Samce są też dlatego ruchliwsze, często mają skrzydła wtedy, gdy samica jest ich pozbawioną (np. u świetlika świętojańskiego), są lżejsze i mniejsze. Ponieważ zatém samiec przy krzyżowaniu ma rolę czynną, od niego to głównie zależy, czy krzyżowanie to ma się odbywać pomiędzy bliskimi sobie osobnikami, czy też odległymi. Unikanie zatém krewniaczego krzyżowania zależy przeważnie od samca. Düsing twierdzi, że im więcéj jest samców, tém prawdopodobieństwo krewniaczego krzyżowania jest mniejsze; im zaś samców mniéj, tém spółkowania pomiędzy bliskimi krewnymi są prawdopodobniejsze (1). Dlatego też ilekroć razy wskutek jakichbądź warunków wzmaga się krzyżowanie krewniacze, natenczas rodzić się powinno więcéj stosunkowo samców w celu przeszkodzenia temu. Jest to wszakże dotąd tylko przypuszczenie teoretyczne, któremu brak dowodów faktycznych. Szereg doświadczeń nad tém, czy rzeczywiście ze spółkowań pomiędzy osobnikami bliskimi rodzi się więcéj samców, byłby bardzo pożądany.

Widzimy więc w taki sposób, że rozmaite okoliczności, warunkujące sobą płeć, dają się sprowadzić do cech pożytecznych, zdobytych na drodze doboru naturalnego. Rozpatrzone dotąd czynniki wynikały z warunków ogólnych, dających się zastosować do wszystkich zwierząt i roślin. Liczne atoli zwierzęta posiadają jeszcze specyalne właściwości życiowe, wskutek których rozwinęły się u nich szczególne cechy, wpływające też ze swéj strony na liczebne stosunki rodzącéj się płci. Uderzającym tego przykładem są liczne gatunki pcheł wodnych, czyli dafnidów, których stosunki rozmnażania się poznaliśmy dzięki niestrudzonym i starannym poszukiwaniom prof. A. Weismann'a. Mianowicie liczne z nich żyją w bardzo ma-

---

(1) Wniosek ten wydaje mi się bardzo naciąganym. — (*Przyp. autora*).

łych kałużach wodnych, w lecie wysychających bardzo często. Kiedy wegetacya jest najbujniejszą, znajdujemy prawie same tylko samice, rozmnażające się bardzo szybko i silnie. Składają one jajka letnie, a te posiadają pożyteczną w tych warunkach właściwość szybkiego rozwijania się. Powstające samice stają się bardzo prędko płciowo dojrzałemi i mnożą się równie silnie. W taki spósób ma miejsce energiczne rozmnażanie się, odpowiadające obfitości środków pokarmowych w lecie. W jesieni zaś, kiedy występuje brak środków odżywczych, powstają też i samce i zostają składane jajka zapłodnione. Noszą one nazwę jaj trwałych (*Dauereier*), leżą przez całą zimę i rozwijają się dopiero wtedy, gdy z początkiem wiosny woda zaczyna się ogrzewać. Gdyby woda w lecie wyschła, wszystkie raczki wyginęły by. Dlatego też raczki te rozwinęły w sobie pożyteczną cechę płodzenia od czasu do czasu samców i podczas lata oraz składania jaj trwałych, które mają zdolność rozwijania się wtedy dopiero, gdy przez pewien czas znajdować się będą w suchém miejscu. W taki sposób to ważne i pożyteczne przystosowanie się w sprawie płodzenia, zabezpiecza gatunek od zupełnego wygaśnięcia w danéj okolicy podczas gorących miesięcy letnich, kiedy wszystkie małe kałuże zazwyczaj wysychają. Otóż te gatunki pcheł wodnych, które zamieszkują bardzo małe kałuże i bagienka, często wysychające, produkują stale samców i jaja trwałe; te, które zamieszkują większe stawy, produkują już takowe znacznie rzadziéj, tylko od czasu do czasu. Nakoniec te gatunki, które zamieszkują jeziora, nigdy nie wysychające, wydają latem wyłącznie tylko jaja letnie i nie produkują wtedy wcale samców, gdyż taka właściwość rozmnażania się nie jest dla nich wcale pożyteczną.

Na zasadzie wszystkiego, cośmy dotąd powiedzieli, wynika jak najoczywiściéj, że na powstanie téj, lub owéj płci składają się liczne przyczyny. Przyczyny te działają nie tylko w chwili zapłodnienia, jak to niegdyś przypuszczano, lecz w rozmaitych, kolejnych okresach czasu. Już z góry jajko, jak powiada Düsing, ma tendencyą do rozwinięcia się w płeć męzką lub żeńską; tak samo też ciałko nasienne. Przy zapłodnieniu działają one z sobą harmonijnie, lub też wręcz przeciwnie, a od wypadkowéj ich zależy płeć płodu. Ale jeszcze długi czas po zapłodnieniu, kiedy zarodek rozwija się, odżywianie wywiera wpływ na powstawanie téj lub owéj płci. Nawet wtedy, gdy organy płciowe zaczęły się już rozwijać, nagła zmiana warunków może powstrzymać ten rozwój i spowodować częściowe przynajmniéj przeobrażenie się na organy innéj płci. W taki sposób wytłómaczyć sobie można powstawanie hermafrodytyzmu. Düsing przytacza nawet niektóre spostrzeżenia (nad cyklopami), wskazujące, że

gdy warunki odżywiania się nagle pogorszają się w lecie, mnóstwo samic okazuje ślady hermafrodytyzmu.

Tak więc na zasadzie wszystkich powyższych faktów i rozumowań Düsing dochodzi do wniosku, iż wszelkie właściwości zwierząt i roślin, okazujące wpływ na powstawanie płci, rozwinęły się przez działanie doboru naturalnego. Są one pożyteczne dla rozmnażania się osobników i działają w taki sposób, że jedna płeć produkowaną bywa zawsze obficiéj w takich warunkach, w jakich podobna odnośna nadprodukcya korzystną jest dla rozmnażania się gatunku. Przy pomocy tych właściwości stosunek płciowy sam się reguluje i waha wciąż około określonéj, wyrównywującéj się zawsze liczby. W niektórych atoli okolicznościach anormalny stosunek płciowy może być dla rozmnażania się korzystnym i występuje też dlatego rzeczywiście.

Oto taką jest treść teoryi młodego biologa jenajskiego. Czytelnik, który uważnie śledził za całym biegiem myśli teoryi niniejszéj, powiązanych z sobą nierozerwalnie jakkolwiek niekiedy jakby sztucznie, który ocenił doniosłość naukową rozumowań, gdzie dedukcya i indukcya wzajem się wspierają, gdzie dla dowiedzenia każdéj *à priori* wypowiedzianéj idei podane są najróżnorodniejsze fakty— przyzna bez wątpienia, że teorya ta przedstawia istotnie niezmiernie interesujący, niemal cały filozoficzno embryologiczny systemat. Ale z drugiéj strony sprawia ona wrażenie jakiejś spekulacyi, opartéj na darwinizmie, oraz dowcipnego jakby zestawienia szczęśliwie i udatnie dobranych faktów. Wrażenie takie jest wszakże tylko pozornem. Bliższe bowiem zastanowienie się, głębsze wmyślenie się, że tak powiem, w rozumowania Düsinga przekonywa nas, iż liczne fakty, dotyczące téj kwestyi są rozebrane i roztrząsane wszechstronnie, że autor w wielu miejscach sam sobie stawiał pewne zarzuty, odpierał je i wyjaśniał, że wreszcie sama myśl samoregulacyi płciowéj nie jest żadną spekulacyą filozoficzną, lecz wprost jednym z owych licznych powikłanych objawów biologicznyeh, jakie występują powszechnie pośród istot żyjących.

Aż dotąd teorya Düsinga jest tylko hypotezą, i będzie nią dopóty, dopóki większa ilość faktów a głównie eksperymentów nie potwierdzi jé lub nie obali. Stwierdzenie stanowcze jest tu jednak nadzwyczaj trudne, czynniki bowiem, płeć warunkujące, są bardzo różnorodne i współcześnie działające; a wskutek tego wykrycie bezpośredniéj przyczyny i bezpośredniego skutku staje się niezwykle uciążliwém.

Teorya Düsinga przewyższa jednak sobą wszystko, co dotąd w kwestyi przyczyn powstawania płci było wyrzeczone w nauce.

Wyższość jéj polega na tém, że jest najwszechstronniejszą, że bierze pod uwagę naraz wszystkie prawie czynniki i wszystkie prawie fakty ważniejsze, w nauce nagromadzone. Poprzednicy zaś Düsinga starali się stosunki ilościowe płci wyjaśnić albo tylko przez różnice wieku rodziców, albo przez konstytucyą i sposób odżywiania się tychże itp., jednėm słowem; przez jeden tylko główny czynnik. Słusznie też powiada prof. Preyer, że, wyłączając niektóre trudności téj teoryi, musimy ją uważać faktycznie, za czyniącą zadość surowym wymaganiom naukowym, a dzieło Düsinga, za niezwykle ważne dla nauki o rozmnażaniu się zwierząt. Nawet gdy przyszłe badania i nowe fakty podkopią tę, lub ową stronę teoryi regulacyi płciowéj, to jednak w każdym razie stanowić ona będzie niezaprzeczenie ważny krok naprzód w zrozumieniu téj dziwnéj zagadki życia, jaką jest płodzenie.

Jako jeden z najpoważniejszych krytyków hipotezy Düsinga wystąpił niedawno prof. A. Weismann (1). Wychodząc z téj zasady, że *wszelkie* cechy dziedziczne (a tém samém i odziedziczanie płci po rodzicach) przenoszą się z rodziców na potomstwo za pomocą plazmy elementów płciowych i zależą jedynie od jéj budowy *wewnętrznéj*, oraz że żadne cechy, nabywane przez rodziców w życiu indywidualném nie odziedziczają się przez potomstwo—Weismann tém samém nie przyjmuje wpływu warunków zewnętrznych na powstawanie płci zarodka. Nie będziemy jednak w tém miejscu wdawali się w bliższy rozbiór poglądów Weismanna. Stanowią one cały szereg niezmiernie interesujących dociekań w kwestyi istoty dziedziczności w ogóle i rzucają nowe światło na liczne kwestye, dotyczące życia, rozwoju i rozmnażania się organizmów. Z poglądami Weismanna zamierzam zapoznać czytelników w innym, specyalnie téj kwestyi poświęconym artykule.

---

(1) Dr. A. Weismann: „Die Continuität des Keimplasmas als Grundlage einer Theorie der Vererbung" 1885, „Ueber die Bedeutung des geschlechtlichen Fortplanzung... itd." 1886 i inne.

J. Nusbaum.





O TAK ZWANÉJ
TABLICY PASCHALNÉJ LUBIŃSKIÉJ.

Roku 1883 umieścił pan St. Ł. w pierwszym tomie „Ateneum“ na str. 527—540 ciekawą rozprawę pod tytutem „Tablica paschalna lubińska“, w której wzywa i mnie, abym zabrał głos w przedmiocie przezeń poruszonym. Zanim jednak to uczynię, muszę naprzód tok całéj sprawy przypomniéć czytelnikom.

W drugim tomie „Monumentów“ ogłosił niegdyś Bielowski rocznik lubiński, obejmujący lata 1143—1176, a w przypisku umieścił wyrazy odczytane w ułamku pergaminowym, który znaleziono razem z kartą pergaminową zawierającą ów rocznik.

D-r Tadeusz Wojciechowski ogłosiwszy roku 1880 w czwartym tomie Pamiętników akademii umiejętności w Krakowie swą rozprawę: „O rocznikach polskich X—XV wieku“, zwrócił baczną na te zapiski uwagę i rozpatrując się w nich, spostrzegł ślady tablicy paschalnéj, która według jego zdania obejmowała lata 1169—1180.

Pisząc o jego rozprawie recenzyą, a mając pod ręką odpis własnoręczny Bielowskiego, który poprawniejszym i dokładniejszym był od druku, wykazałem, że owe daty paschalne nie odnoszą się do lat 1169—1180, lecz do lat 1263—1275, a zarazem starałem się udowodnić, że ułamkowe zapiski zawierają oczywiście wiadomości o zdarzeniach, które miały miejsce w owych czasach. Co się zaś tyczy zapisek na tak zwanéj stronie odwrotnéj się znajdujących, które żadnych dat nie zawierają, mniemałem, że te obejmują lata dalsze; dwie z nich należące niby do lat 1279 i 1280 objaśniłem tak, jak umiałem. Mając bardzo niedostateczną podstawę, t. j. odpis nie całkiem dokładny, Wojciechowski i ja zrobiliśmy, co wśród danych okoliczności było możebnem.

Biorąc asumpt z rozprawy Wojciechowskiego i uwag moich umieszczonych w Przewodniku naukowym i literackim, pan St. Ł.

poświęcił temu przedmiotowi bardzo gruntowną rozprawę; był jednak w szczęśliwszém od nas położeniu, bo jego zabiegom udało się otrzymać nowe odpisy, jeden zrobiony przez senatora Romualda Hubego, a drugi sporządzony przez d-ra Franckego w Berlinie i sprawdzony przez taką znakomitość jak ś. p. Waitz. Odpisy te dają po raz pierwszy dokładniejszy obraz ułamku; odwrotna strona, która dotychczas największe nastręczała trudności, została z wzorową prawie dokładnością odczytana, tak, że mając pewniejszą już podstawę, można było pomyśléć o odcyfrowaniu jéj. I na głównéj stronie jest postęp. bo zamiast odczytanego przez Bielowskiego „lectio" (1) znajdujemy wyraz „ecclesia", który daje sens odpowiedni; inne miejsca jednak mniéj dobrze są oddane, mianowicie „post mar...", gdzie Bielowski dobrze już czytał „post incen..." i niektóre inne, o których późniéj dopiero mówić będziemy.

Mając taką podstawę, pan St. Ł. słusznie odrzucił zdanie moje, jakoby zapiski na stronie odwrotnéj pomieszczone ściągały się do czasów po roku 1275 i wykazuje, że należy je odnieść do lat 1242—1258 i stosownie do tego starał się objaśnić i uzupełnić zapiski, co z wielką znajomością rzeczy wykonał. Opierając się na zapiskach przez siebie odczytanych i uzupełnionych, doszedł pan St. Ł. do rezultatu, „że cała strona odwrotna uznana być musi za pomnik historyograficzny niezależny od tablicy paschalnéj, za nieznany dotąd rocznik lubiński, a raczéj za nieznaną część jego obejmującą środek XIII wieku, mianowicie od roku 1242 (?) do roku 1258; że część ta zajmuje co do czasu środkowe miejsce między rocznikiem lubińskim, ogłoszonym przez Bielowskiego, a zapiskami annalistycznemi znajdującemi się na tablicy paschalnéj." Co do strony zaś głównéj zgadza się pan Ł. na zapatrywanie Wojciechowskiego, że to tablica paschalna; moje zaś wnioski co do dopełnienia miejsc uszkodzonych wogóle przyjmuje, modyfikując je nieco, gdzie tego okazała się potrzeba. Trzy inne zaś zapiski przezemnie wcale nie objaśnione stara się na podstawie nowego tekstu tłómaczyć i uzupełnić.

Posunął zatém p. St. Ł. całą sprawę sporo naprzód, ale sam sobie nie zataił, że ostatecznego słowa nie wyrzekł i sam niewątpliwie czuł, że ostateczne rozwiązanie kwestyi nie jest możliwém, póki się ma przed sobą kopie zrobione przez obce osoby. Bielowski zrobił swój odpis bardzo prędko i dorywczo, bo nie miał czasu ślęczyć długo nad oryginałem. Odpis zaś Franckego jest kopią cudzoziemca, któremu do zrozumienia liter zatartych brak głębszéj znajomości historyi i historyografii polskiéj. Jestem przekonany, że i p. Ł. miał

(1) W 22 wierszu podobizny pana St. Ł.

wątpliwości, których nie mając oryginału przed sobą, sprawdzić nie był w stanie. I rzeczywiście rozwiązanie całéj kwestyi da się uskutecznić tylko za pomocą samego oryginału.

Podejmując na nowo kwestyą poruszoną przez p. St. Ł., czynię to, mając pod ręką oryginał, który dyrekcya biblioteki królewskiéj w Berlinie na prośbę zakładu narodowego im. Ossolińskich uprzejmie wypożyczyła do Lwowa.

Jak już wiadomo, cały rękopis (Msc. lat. fol 378) składa się z jednéj całéj karty pergaminowéj *in folio* i z ułamku drugiéj, które niegdyś razem znalezione przez Pertza, obecnie razem są oprawione. Wysokość karty głównéj wynosi mniéj więcéj 27·5 cm.; szerokość w miejscu najszerszém 17·7 cm.

Pierwsza stronica, która stanowiła niegdyś zewnętrzną stronę okładki książki drukowanéj, jest mocno zbrukana i wytarta, tak, że tu i owdzie tylko pozostały ślady linii, i pismo gdzieniegdzie ucierpiało; druga strona natomiast, która przylegała do książki, zachowała dotychczas całą swoją świeżość pierwotną.

Stronica ta zawiera 34 linii poziomych; margines po lewéj stronie jest 2 cm. szeroki i odgraniczony linią pionową; równolegle z nią a tylko przestrzenią 5-milimetrową od niéj oddzielona, idzie druga linia pionowa; jest to rubryka dla liter słonecznych; rubryka dla liczb rocznych wynosi 32 mm. i jest również osobną linią pionową oddzielona od tekstu; reszta stronicy jest przeznaczona dla zapisek. Brzeg górny wynosi 18 mm.; dolny zaś 46 mm.

Na trzeciéj linii z góry zaczynają się lata; dla każdego roku przeznaczono dwa wiersze bez względu na to, czy przy nim znajduje się zapiska lub nie; wyjątek stanowi rok przedostatni, dla którego wyznaczono tylko jeden wiersz.

Taki sam układ, takie samo urządzenie było, o ile to poznać jeszcze można, i na pierwszéj stronicy z tą jedną różnicą, że margines boczny nie znajduje się po lewéj stronie, lecz po prawéj i jest 26 mm. szeroki, to jest cokolwiek szerszy od marginesu na drugiéj stronie.

Lata pisane są cynobrem, a litery początkowe ozdobione czerwoną kréską; atrament ma kolor ciemno-czekoladowy.

Ułamek ma wysokość 16·4 cm. a szerokość 4·6 cm. Margines dolny wynosi na stronie z datami paschalnemi 11 mm., na drugiéj około 16 mm. Daty wielkanocne zajmują miejsce szerokie na 20—34 mm. i nie były oddzielone osobną linią pionową od zapisek. Linii poziomych jest lub raczéj było 24, nie wszystkie bowiem poznać jeszcze można. Daty są również pisane cynobrem, tudzież wielkie li-

tery początkowe są ozdobione czerwonemi kréskami na jednéj i na drugiéj stronie, z wyjątkiem jednak zapisek późniéj dodanych. Na odwrotnéj stronie nie ma żadnego śladu linii, to jednak nie dowodzi, aby ich pierwotnie wcale nie było; gdybyśmy z całéj karty wycięli równie wielki kawałek, mielibyśmy to samo zjawisko, bo że pierwsza stronica była liniowana, tylko w jedném miejscu jeszcze można wyraźnie widziéć.

Gdy porównamy pismo jednéj karty z drugą, łatwo się przekonamy, że najdawniejsza ręka w jednéj i drugiéj jest ta sama; skonstatować to można nie tylko na liczbach cynobrem pisanych, lecz na jednéj i drugiéj karcie powtarzają się te same wyrazy, jak np. „lubinensis“, „succedit“, „Bol..“, „eff...“, przekreślone wielkie *O*, jako znak za „obiit“ i t. p., które najlepiéj tożsamość pisma uwidoczniają. Ponieważ ostatnia zapiska tejże ręki odnosi się do roku 1275, stąd wynika, że prawdopodobnie około tego czasu musiała być czynną; jeżeli się zdaje, że ma charakter dawniejszy, to tylko dla tego, jak już p. Ł. słusznie zauważył, że należała do człowieka sędziwego, który się uczył pisać jeszcze w początkach XIII wieku.

Od téj ręki pochodzą na główném karcie zapiski z lat 1143, 1144, 1145, 1147, 1153, 1154, 1157, 1163, 1165, 1166, 1167, 1170, 1172 (pierwsza połowa), 1173 i 1175, a na ułamku wszystkie z wyjątkiem trzech.

Oprócz téj głównéj ręki spostrzegamy jeszcze na karcie główném późniejszą rękę XIV wieku, która zapisała wiadomości o biskupach poznańskich z lat 1146, 1152, 1159, 1164 i 1172 (druga połowa); tą samą ręką pisana jest na ułamku niezawodnie wiadomość o translacyi św. Jadwigi.

Okoliczność zatém, że tak karta główna jak i ułamek pisane są *jedną* ręką najdawniejszą XIII wieku, oraz że mają dodatki jednéj i téj saméj ręki XIV wieku, pozwala nam wyprowadzić wniosek, że w ułamku nie mieści się ani oddzielna tablica paschalna w ścisłém znaczeniu, ani oddzielny jakiś rocznik, lecz że cały ułamek jest tylko cząstką tego samego rocznika lubińskiego, którego jednę kartę całą razem z tym ułamkiem znaleziono kiedyś w jakiejś książce drukowanéj; można nawet iść daléj i powiedziéć, że jest cząstką tegoż samego arkusza pergaminowego, bo ułamek i karta pod tym względem niczem się nie różnią od siebie.

Świadomość tych stosunków ułatwi nam wielce pracę naszą około ułamku, bo możemy z góry przypuścić, że karta, z któréj ów ciekawy strzępek sam pozostał, była téj saméj wielkości i miała takie samo urządzenie jak karta powyżéj opisana. Nie mylimy się zatém zapewne, gdy utrzymujemy, że i ułamek w pierwotnym stanie

zawierał również po lat siedmnaście na każdéj stronicy, że również dla każdego roku dwie linie były przeznaczone. Mając to na uwadze, nie trudno będzie nam wyrachować, które lata się mieściły na obu stronicach ułamku, zwłaszcza że dolna część jego nie została uszkodzona, bo odcięto tam tylko kawałek szerokiego marginesu. Ułatwia nasze zadanie także tablica paschalna, któréj daty z największą ścisłością dadzą się oznaczyć.

Otóż ostatnia data paschalna z dołu, jak to ja i pan St. Ł. już wykazaliśmy, odnosi się do roku 1275; licząc 17 lat wstecz, otrzymamy jako pierwszą datę na téj stronicy rok 1259; dolna data zaś na stronie odwrotnéj, która, jak to p. St. Ł. dowodnie wykazał, odnosi się do czasów poprzedzających lata poprzedniéj stronicy, będzie w takim razie rok 1258. Że nasza rachuba słuszna, tego dowodzi okoliczność, że pan Ł. idąc zupełnie inną drogą, tę samę datę, ten sam rok wyprowadził. Gdy liczymy od roku 1258 począwszy 17 lat wstecz, otrzymamy jako pierwszą datę na téj stronicy rok 1241.

Jeżeli ten obrachunek jest prawdziwy, przestrzeń między pierwszym rokiem tu wykazanym, t. j. 1241 musi się w prawidłowy jaki sposób łączyć z ostatnią datą całéj karty, t. j. z rokiem 1176. Licząc od roku 1177, który był pierwszą datą na zaginionéj karcie następnéj, do roku 1240, jako ostatniego przed rokiem 1241, otrzymujemy lat 64; ta liczba nie da się wprawdzie dzielić przez 17, lecz przez 16, a tém samém daje dowód, że pomiędzy całą kartą a ułamkiem zaginął jeden arkuszyk pergaminowy, stanowiący 2 karty czyli 4 stronice, na każdéj z których było po lat 16, oraz że ten arkusz był środkowym całego zeszytu pergaminowego. Rękopisy bowiem składają się zwykle z pewnéj ilości zeszytów liczących po 4, 6, 8 i więcéj arkuszyków; do takiego zeszytu należały także te dwa arkusze, o których dopiero co mówiliśmy. Ponieważ, jak wykazaliśmy, zaginiony arkuszyk był środkowym, zatém ułamek i karta cała, jako łączące się z nim z jednéj i drugiéj strony bezpośrednio, musiały należéć do jednego arkuszyka, co potwierdza zdanie moje poprzednio już wypowiedziane. Lata zatém były na tych czterech kartach rocznika tak rozłożone:

str. 1.	1143—1159	po 17 lat na stronicy.
str. 2.	1160—1176	
str. 3.	1177—1192	po 16 lat na stronicy.
str. 4.	1193—1208	
str. 5.	1209—1224	
str. 6.	1225—1240	
str. 7.	1241—1258	po 17 lat na stronicy.
str. 8.	1259—1275	

Stąd znów daléj wynika, że oznaczenie stronic teraźniejszego ułamku jest mylne a oprawa jego bałamutna, bo dzisiejsza główna jest odwrotną a odwrotna główną stronicą.

Uzyskaliśmy w ten sposób pewną podstawę do oznaczenia czasu pojedyńczych zapisek; ale, aby wiedziéć, ile nam wolno dodać słów z początku i końca każdéj zapiski, trzeba koniecznie dobrze obliczyć, jakie miejsce ułamek zajmował niegdyś w całéj karcie. Nie mogąc robić eksperymentów z oryginałem, gdyż jest oprawiony, karty wszyte, a zatém nieruchome, zróbmy sobie wzór z papieru tak całéj karty jak i ułamku. Ponieważ odstępy linii poziomych, jednéj od drugiéj, na obu kartkach są równe, poliniujmy kartę papierową w ten sam sposób jak str. 2; przeznaczmy na lata i daty paschalne, których cała karta nie ma, przestrzeń taką jak margines z latami razem, t. j. około 37 mm. i umieśćmy tam lata i daty paschalne, trzymając się ściśle wzoru; ułóżmy potém wzór ułamku na karcie tak, aby pismo jego łączyło sie z naszym rysunkiem a oznaczywszy brzeg jego ołówkiem, będziemy mieli prawdopodobne miejsce jego w karcie pierwotnéj na stronicy powyżéj jako 8-ma oznaczonéj. Gdy jego brzeg szpilką przekłujemy, uwidoczni się miejsce ułamku i na drugiéj stronie, to jest na stronicy siódméj. Dodawszy tam takie samo miejsce na margines i lata, pokaże się, że dla uzupełnienia zdań uszkodzonych otrzymamy z przodu miejsce 31-milimetrowe a na końcu 28-milimetrowe; jest to przestrzeń wystarczająca na wszystkie potrzeby; należy naturalnie pisać wszystko zwyczajnemi skróceniami.

Podamy teraz lata przez nas znalezione oraz dopełnienia, zamykając wszystko, co od nas pochodzi, klamrami; skróceń tu używać nie możemy, a więc rozwiązujemy je, a zamiast liczb łacińskich podajemy arabskie, bo tu nie chodzi już o sposób naszego dochodzenia, lecz o jego ostateczny rezultat; przy każdéj zaś zapisce czynić będziemy uwagi, o ile takowe się okażą potrzebnemi.

Według naszéj rachuby przypada na pierwszą zapiskę na str. 7 rok 1247, a rozwiązujemy ją w ten sposób:

[1247. Conradus dux Maso]uiensis obiit et Bol[eslaus filius eius obiit.]

Pan Ł. odnosił to miejsce do roku 1242 i tłómaczył je: [Paulus episcopus Pozna]niensis obiit et Bo[guphalus succedit.]. Temu rozwiązaniu jednak sprzeciwia się raz okoliczność, że następna zapiska z r. 1248 od poprzedzającéj oddzielona jest 6 latami a tylko jedną linią w tekscie; powtóre, że o Boguchwale nie może być tu mowy, bo po literach „Bo“ widać jak najwyraźniéj ślad litery „l“ w rękopisie; gdyby tam było „g“, byłby ślad téj litery pozostał z dołu; tam

jednak nic nie widać. Bielowski zatém w tym wypadku dobrze czytał. Moje rozwiązanie opiera się na roczniku krakowskim (M. P. II, 838).

[1248. Gotfridus frater]ordinis predicatorum nunci[us domini pape venit in Poloniam]colligere ab omnibus clericis[quintam partem
1249. de redditibus] omnium ecclesiarum.

Trzeci wiersz wkroczył już w rubrykę roku 1249, pod którym jednak żadnéj zapiski nie ma, wskutek czego wolne zostało miejsce na jeden wiersz. Co do treści zapiski, zgoda jest pomiędzy mną a panem Ł., bo różnię się od niego tylko w drobiazgach.

[1250. Heclinus ab]bas lubiniensis effe[ctus est.]

Źródła lubińskie: *liber confraternitatis* pisany w XII i XIII wieku, nekrolog założony w początku XII-go i doprowadzony do tego wieku, ale uszkodzony, bo brak nieomal 4 miesięcy, Krzywińskiego *Antiquitates* i Kieszkowskiego *Accessio ad libros duos antiquitatum* nie wyjaśniają początkowych dziejów klasztoru lubińskiego należycie. Wiemy tylko, że w XII i XIII wieku nie wybierano opatów dożywotnych, lecz tylko na czas krótki, zwykle na 3—4 lata.

Od roku 1246—1250 był poraz wtóry opatem Wojsław, który umarł dnia 22 stycznia r. 1250. Że tu nie ma mowy o jego śmierci, jest dowodem, że umarł już po złożeniu godności opackiéj i po obiorze następcy. Tym następcą zdaje się być według wspomnianych źródeł Jakób, pierwszy w XIII wieku opat dożywotni, który umarł dnia 1 grudnia roku 1278. Ale że rocznik pod rokiem 1254 podaje śmierć opata i wspomina o obiorze jego następcy, którym według téj zapiski jest Jakób, musi być tu mowa o kimś innym. Znamy 10 opatów lubińskich, których rok śmierci nie jest znany, ale tamci należą zapewne jeszcze do XII i do początku XIII wieku. Od roku 1238 począwszy mamy już dokładne wiadomości o śmierci opatów z wyjątkiem opata Heklina, który tę godność przed Wojsławem już 2 razy piastował i to od r. 1240—1242 i od r. 1243—1246. Z współczesnych mu opatów około r. 1250 nikt już nie żył; przypuszczam zatém, że roku 1250 jego obrano po raz trzeci opatem i że potém umarł dnia 22 czerwca r. 1254. Przy roku *1251* nie ma zapiski; pomiędzy poprzednią a następną są zatém 3 wiersze wolne.

[1252. Boguphalus] episcopus poznaniensis obiit et [Petrus succedit.] lub „eligitur", jak pan St. Ł. chce. Ł. podaje tę zapiskę pod rokiem 1253 i słusznie, bo pod ten rok należy. Tu jest ona pomylona, jak i następna, o czém późniéj pomówię; pomimo to tak zostać musi, bo żadną miarą data zmienić się nie da.

[1253. Petrus episcopus p[oznaniensis obiit et Bogup[halus succedit.] lub „eligitur“, jak pan Ł. ma. Ł. nadaje téj zapisce słusznie r. 1254, pod którym jednak tutaj żadną miarą stać nie mogła.

[1254. Heclinus ab]bas lubiniensis obiit et J[acobus succedit].

Obacz r. 1250. Pierwszą literę imienia zupełnie dobrze jeszcze poznać można.

[1255. Castrum Nakel a p]omoranis capitur et circa [illud postea pomerani] multi occiduntur.

Co do roku i treści zapiski jest zupełna zgoda pomiędzy mną a panem Ł.; różnimy się tylko w drobiazgach stylistycznych.

[1256. Boleslaus dux Polonie] *) duxit uxorem fili[am regis Hungarie].

Tak czytam zgodnie z rocznikiem Traski: 1256. Boleslaus Jolentam duxit in uxorem; Ł. przypuszcza rok 1258, ale według rocznika wielkopolskiego (M. P. III, 32) żonę swoję roku 1258 adduxit in terram suam de terra Cracoviensi; ślub zaś odbył się tak według roczników wielkopolskich jak i kroniki wielkopolskiéj (II, 582 M. P.) anno uno ante obitum fratris sui Premislonis, t. j. roku 1256.

[1257. Premisl dux Polo]nie obiit et eodem anno [natus est filius
[1258. Fulco archiepiscopus g]nezdnensis obiit. || **) ducis Premislii.]
[Janussius in] archiepiscopatum successit.

W tych zdaniach nieco większa jest różnica pomiędzy mną a panem Ł. i to dlatego, że jego odpis w tém miejscu był wadliwy. Opuszczono bowiem w drugim wierszu po „gnezdnensis“ wielkie O przekreślone, t. j. „obiit“, co przy dobrém oświetleniu gołem okiem widzieć można; od „O“ do || jest miejsce niezapisane. W pierwszym wierszu stoi wyraźnie „nie“ a nie „otte“, jak to w Berlinie wyczytano. Dla tego też zapiski te nie odnoszą się tylko do śmierci arcybiskupa Pełki i wyboru jego następcy, lecz mowa tu jeszcze o drugiéj; poprzedzające zaś „nie“ każe się domyśléć Polonie“ a zatém śmierci księcia; tym księciem był Przemyśl, który umarł roku 1257 pridie Nonas Junii. Co następuje nie można łączyć ze śmiercią Pełki, która wiadomość zajmuje pierwszą połowę linii następnéj; odnosi się bowiem do innego zdarzenia, gdyż to zdanie kończy się w końcowéj części linii następnéj, jak nas o tém poucza znak tam stojący. Po śmierci księcia Przemyśla najważniejszém zdarzeniem tegoż roku

---

*) „nie“ znajduje się już na ułamku, ale bez reagensów chemicznych, których mi niewolno użyć, nic wyraźnego wyczytać nie potrafię.

**) W tém miejscu jest kréska taka sama jak pod rokiem 1163 i 1175, która oznacza, że pisarz koniec zdania przenosi z linii poprzedniéj na następną.

było niewątpliwie dla Wielkopolan urodzenie się Przemyśla II, syna dopiero co zmarłego księcia tegoż imienia. W tym sensie zatém uzupełniłem owo zdanie ułamkowe.

Na tém skończyliśmy restytucyą tekstu stronicy, która najbardziéj uszkodzona i zbrukana, najwięcéj nastręcza trudności.

Lat 1259—1262, które były początkowemi na stronicy następnéj, wcale nie ma.

[1263. Kal. Aprilis. Castellania Lovicensis domini archiepiscopi a] pruthe[nis vastatur.].

Brak czerwonéj kréski w „p"(ruthenis) dowodzi, że wyraz ten stoi w środku zdania i dla tego téż nadałem zapisce teraz nieco inną fornę jak dawniéj.

[1264.] XII Kal. Maii. Boguph[alus episcopus Poznaniensis obiit; Petrico] succedit et [paulo post resignavit.]
[1265.] Nonas Aprilis.
[1266.] V Kal. Aprilis. Ecclesia p[oznaniensis exusta est.]
[1267.] XV Kal. Maii. Nichola[us episcopus poznaniensis in Romana cu]-ria cons[ecratur.]
[1268.] VI Idus Aprilis. Translac[cio sancte Hedvigis.]

Ta zapiska nie jest współczesna, lecz została w XIV wieku do rocznika wciągnięta przez tegoż, który na głównéj karcie rocznika umieścił biskupów poznańskich.

[1269.] IX Kal. Aprilis. Anno Domini [MºCCCCºLXXX...] post incen[dium ecclesie lubiniensis]
[1270.] Idibus Aprilis. campane [nove date sunt monasterio] per Kazi[mirum regem.].

Roku 1474 Szlązacy spustoszyli Wielkopolskę i nawiedzili tak ciężko Lubin, że według świadectwa przeora Tomasza († 1567), autora zaginionéj kroniki klasztornéj, w początkach XVI wieku jeszcze nie wszystkie skutki téj klęski były usunięte. Spalono wtedy także kościół w Święciechowie, wsi do Lubina należącéj, oraz jak z niniejszéj zapiski domyśléć się można, i kościół klasztorny w Lubinie. Stąd wynika, że klasztor otrzymał dzwony od króla Kazimierza pomiędzy r. 1474 a r. 1492. Ponieważ odbudowanie kościoła trwało zapewne lat kilka, przypuszczam, że to miało miejsce w ośmdziesiątym którymś roku. Źródła lubińskie o téj darowiźnie nic nie wspominają. P. Ł. opierając się na mylnéj lekcyi „mar" zamiast „incen", chciałby zdarzenie to odnieść do r. 1457 i 1460; sądzę jednak, że tłómaczenie moje jest bardziéj uzasadnioném. Nadmienić należy, że cała zapiska została wciągnięta do rocznika ręką współczesną, ręką XV wieku.

[1271.] Nonas Aprilis.
[1272.] VIII Kal. Maii.
[127]3. V Idus Aprilis. Constru[cta est nova domus claustralis, in] qua refe[ctorium fratrum pulcherrimum.]

Ponieważ mam wątpliwość czy w XIII wieku istniała już odrębna *curia abbatialis*, wolałem myśl podaną przez Ł. zmienić w sposób powyższy. Wiadomość ta pochodzi od innéj ręki XIII wieku.

[127]4. Kal. Aprilis. Ecclesia p[oznaniensis a Nicholao episcopo conse]crat[a est.]

W Berlinie czytano: Ecclesia et. . .
domus. ;

„et" niewątpliwie nie ma; można natomiast przy dobrém oświetleniu poznać wyraźne ślady litery „p"; również „domus" odkryć nie mogę; pierwsza litera ma wprawdzie pewne podobieństwo do „d", ale nie jest „d", lecz „c", nad którém jest znak „r"; następna litera zdaje się być „a"; po „a" następuje „t"; innych liter pozostały tylko ślady niewyraźne; niewiedziéć zatém, czy tam było „est" lub czy inne jeszcze nastąpiło słowo. Katedra poznańska ulegała częstym pożarom; ale znowu przypuścić trudno, aby w przeciągu 8 lat dwa razy zgorzała; dlatego też nie można tu zastosować wiadomości Wspominek poznańskich pod r. 1274: Teutonici Poznaniam comburunt. Od czasu pożaru w r. 1266 aż do zupełnego odbudowania katedry minęło zapewne lat kilka i dlatego przypuszczam, że roku 1274 katedra już była tak dalece wykończona, aby ją otworzyć dla pobożnych i że w tym celu ją konsekrowano, na co zdaje się wskazywać kilka liter w drugim wierszu, które właśnie w tym sensie dadzą się dopełnić.

[1 78]. XVIII Kal. Maii.

Przy téj dacie, która jest ostatnią, nie ma żadnéj zapiski.

Załatwiwszy się z ułamkiem, należy się zastanowić jeszcze nad rocznikiem samym. Przechował się niestety tylko drobny fragment jego, z którego jednak tyle wnieść można, że w pierwszéj swéj części nie jest samodzielną pracą pisarza lubińskiego, lecz kopią jakiegoś starego rocznika, który blisko jest spokrewniony z rocznikami krakowskiemi i małopolskiemi. Ponieważ obejmuje tylko lata 1143—1173, w których nie spotykamy żadnych charakterystycznych zapisek, ponieważ nie znamy ani jego początku, ani jego końca, trudno zatém o nim coś stanowczego wyrzec. Zdaje się jednak, że był jednym z roczników, z których powstała kompilacya zwana dziś rocznikiem Sędziwoja. A że nadzwyczaj mało posiadamy roczników w kształcie dawnym lub pierwotnym — najwięcéj jest odpisów

XV wieku —tém bardziéj jest dotkliwą strata właśnie tego rocznika, że do najdawniejszych należy. Do pierwotnego tego rocznika nie należało jednak to, co pisarz opowiada o Lubinie; to jest niewątpliwie jego własny dodatek, opierający się zapewne na zapiskach klasztornych.

W czternastym wieku inna ręka dodała zapiski o biskupach poznańskich, najdawniejsze, które w historyografii naszéj posiadamy; w dokumentach współczesnych tylko znajdujemy o nich nieliczne wzmianki.

Jeżeli nad utratą pierwotnego rocznika ubolewać nam przychodzi więcéj ze względów krytycznych, bo mógłby się nie mało przyczynić do wyjaśnienia stosunku roczników pomiędzy sobą, aniżeli ze względu na treść jego, bo zapiski mogące tam się znajdować, zawiera niewątpliwie rocznik Sędziwoja, to ubytek wiadomości o dziejach klasztoru lubińskiego i o biskupach poznańskich jest wielką klęską dla naszéj wiedzy historycznéj. Źródła lubińskie o założeniu klasztoru i jego historyi XII wieku i w początkach XIII nic pewnego nie podają, a spisy dobrodziejów kościoła, zakonników i opatów z XII wieku, które zawierają tylko daty dzienne każdéj śmierci a nie rok, wiedzę naszę niezbyt zdołają zbogacić.

Co się zaś tyczy historyi biskupów poznańskich, to zapiski o nich znajdujące się na głównéj karcie porównane z Długoszem pokazują, jak ważne są dla historyi. Katalog bowiem Długosza jest nadzwyczaj niedokładny; brak w nim całego szeregu biskupów a następstwo imion w nim pomieszczonych jest pomięszane i pobałamucone; nadto daty przez niego podane są mylne i aż do początku XIII wieku na żadną nie zasługują wiarę.

Jeżeli rozważymy skład roczników podobnych do naszego, będziemy mogli twierdzić z wszelką pewnością, że, jak rocznik Sędziwoja i inne, zaczynał od roku 965 lub 966. Jest to kwestya o tyle ciekawa, że pozwala nam wnieść o objętości rękopisu lub zeszytu, w którym się mieścił niegdyś nasz rocznik. Dochodzenia nasze pouczyły nas, że na 4 kartach, któremiśmy się bliżéj zajmowali, mieściło się 4 razy po 16, również 4 razy po 17 lat na stronicy. Stosunek ten był zapewne wszędzie zachowany w obrębie rocznika. Licząc zatém 16 lub 17 lat na każdéj stronicy, dojdziemy do rezultatu, że przed kartą główną dotąd przechowaną zaginęło kart 6; cały zatém zeszyt pergaminowy zawierał 8 arkuszyków *in folio* czyli kart 16 w szeregu ich zajmują lata 1143 — 1176 siódmą a ułamek kartę dziesiątą.

W ułamku mamy niewątpliwie już wiadomości miejscowe, o których piszący z własnéj pamięci mógł nam donieść; odnoszą się bo-

wiem głównie do Lubina, Poznania, Gniezna i wogóle do Wielkopolski; do Mazowsza odnoszą się dwie zapiski; jedna podaje wiadomość o splądrowaniu kasztelanii łowickiéj, ale fakt ten interesował Wielkopolan, ponieważ Łowicz był własnością arcybiskupa gnieźnieńskiego; druga wspomina o śmierci księcia mazowieckiego Konrada i syna jego Bolesława, które zdarzenie dla zakonników lubińskich było o tyle ważném, że fundacya książąt mazowieckich, Jeżów, była ich filią, była pod ich opieką i zarządem.

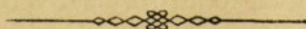
Że zaś zapiski w ułamku przechowane jeszcze nie są współczesne, że w części przynajmniéj za takowe nie mogą być uważane, tego dowodzą pomyłki w datach śmierci biskupów poznańskich Boguchwała II i jego następcy Piotra, które o rok zawcześnie podaje. Stąd wynika, że te wiadomości nie zostały wciągnięte współcześnie, lecz o kilkanaście lat późniéj, gdzie taka pomyłka była już prędzéj możliwą. Nie wiedząc, do którego roku pisarz swoje notatki doprowadził, nie możemy też odgadnąć na pewno, kiedy przestał pisać ani kiedy zaczął pisać. Co do pierwszéj kwestyi, zapewne nigdy już nie otrzymamy odpowiedzi, chyba żeby się udalo odszukać resztę rocznika; co do pytania ostatniego, nastręcza sam rocznik nam niejakie wskazówki. Tą wskazówką są właśnie daty paschalne. Skoro ich w dawniejszéj części nie było, mogły mieć tylko praktyczne znaczenie, bo znajomość daty wielkanocnéj była dla zakonników konieczną potrzebą w licznych obchodach i obrządkach kościelnych. Przypuścić zatém należy, że zaczęto je zapisywać dopiero wtedy, kiedy dla piszącego okazała się potrzeba praktyczna. Ponieważ na stronnicy ostatniéj obejmującéj lata 1259—1275 daty te już były, możnaby sądzić, że pisarz zaczął pisać już około r. 1259; temu jednak sprzeciwia się okoliczność, że daty z lat 1253 i 1254 są pomylone a człowiek piszący około r. 1259 byłby je z pewnością dobrze jeszcze pamiętał. Z drugiéj strony musiałyby nieliczne zapiski następne być zapisywane w przeciągu lat kilkunastu, każda z osobna, a w takim razie musiałaby się dać widzieć pewna różnica w piśmie i kolorze atramentu. Atrament jednak i pismo są jednostajne i wskazują na to, że zapiski od razu zostały zaciągnięte. Ta okoliczność zniewala nas przypuścić, że jedna z końcowych dat téj stronicy oznacza początek pracy pisarza; daty zaś paschalne dodał od początku stronnicy, choć nie były mu potrzebne, dla tego tylko, aby utrzymać pewną harmonią dolnéj jéj części z górną. Sądzić należy, że zakonnikom nie chodziło o to tylko, aby przez zapisanie dat paschalnych ówczesnych zadość uczynić chwilowéj potrzebie, lecz aby się raz na zawsze w stałe daty zaopatrzyć na jak najdłuższe czasy, i pewnie nie mylimy się, gdy utrzymujemy, że następujących 6 kart było temu celowi

poświęconych. Rachując po 16—17 lat na każdéj stronicy, wnieść można, że daty paschalne doszły mniéj więcéj do r. 1470, najdaléj do r. 1480. Że zaś przypuszczenie nasze nie jest może nieuzasadnioném, tego dowodzi okoliczność, że wiadomość o dzwonach podarowanych przez króla Kazimierza, którą do czasów po roku 1480 odnoszę, umieszczono pod rokiem 1269—1270, naturalnie dlatego, że rocznik i daty paschalne tego roku już nie miały, oraz dlatego, że karty musiały być zapełnione zapiskami, bo inaczéj pisarz byłby ją niewątpliwie bliżéj właściwego czasu umieścił.

Jeżeli pierwszy pisarz zaczął pisać około roku 1275, być może, że późniejsze jego zapiski jako współczesne były liczniejsze; być może, że je daléj prowadzono po jego śmierci, na co wskazywać by mogła druga ręka XIII wieku, którą pod rokiem 1273 spotykamy. Że zaś w XIV wieku rocznik otrzymał staranniejszą kontynuacyą, wnieść można z licznych i ciekawych zapisek, które wówczas zostały dodane na jednéj i drugiéj z kart uratowanych rocznika. Zwyczajem bowiem było kontynuatorów uzupełniać wiadomości swych poprzedników.

W całości był to, jak się zdaje, rocznik nadzwyczaj ciekawy, składający się z rocznika małopolskiego i kilku kontynuacyi, sięgających do drugiéj połowy XV wieku. Póki daty paschalne były w używaniu, rękopis był w poszanowaniu; gdy zaś potrzebom codziennym służyć już nie mógł, gdy nadto rozczytywano się w książkach drukowanych i mniéj zważano na rękopisy, użyto go jak wiele innych cennych rękopisów, do oprawy książek drukowanych. Przeor lubiński Tomasz, który napisawszy kronikę klasztorną umarł r. 1567, rocznika już nie znał, bo choć jego dzieła dziś już nie posiadamy, to jednak mieli je pod ręką Krzywiński w XVII i Kieszkowski w początku tego wieku. Pisząc o XII, XIII i XIV wieku, opierają się tylko na dokumentach; stąd widać, że ani Tomasz, ani oni nie znali rocznika i jego zapisek o zdarzeniach klasztornych. Chwila zniszczenia rocznika przypada zatém prawdopodobnie na początek XVI wieku; z tego czasu pochodzą także napisy znajdujące się na głównéj karcie będącéj wówczas już okładką: „Iste liber est Lubinensis monasterii“ i „Largitor omnium bonorum benedicat potum suorum servorum.“

Dr. Wojciech Kętrzyński.





JEGO JUŹ NIEMA!

(MAJACZENIA CHOREGO).

Było nas dwóch na świecie bliskich myślą, uczuciem, wiekiem, krwią... dziś jego już niema—ja sam jeden, sam jeden!...

Nas dwóch stanowiło całość—dziś połowy zabrakło... Nie! to nie możebne!! Jakżeby jeden z nas mógł pozostać bez drugiego?! Jakżeby on mógł mnie opuścić, porzucić??! Chyba to sen? Albo mnie trapi zmora, że on umarł? albo może, ja sam go rzuciłem i teraz, po śmierci, roję że żyję?! Nie! my razem i teraz; tu, w tym zimnym grobie, marzymy o chwilach przeżytych... Tam na powierzchni ziemi, los nas na krótko rozdzielił... śmierć litościwa połączyła, a dobrzy ludzie, wiedząc żeśmy nierozdzielni, złożyli do jednej mogiły....

Co to jest?! Dzień świta—tu w podziemiu?... okno? A tam—ruch, gwar, turkot.,. A! dziś piątek.—Wieśniacy na targ... Wisła szara... czerniejący most, Zjazd .. tu—kolumna wysoka a na niéj mały król... Więc ja widzę, czuję, żyję??! A on? on?!

W studenckiéj naszéj izbie jeszcze ciemno. Gdy się rozjaśni, zobaczę łóżko i w łóżku jego. On śpi.—Cicho!

Rozwidnia się.—Łóżko—puste! Gdzie on?

A!.. wyjechał—na krótko, bo czyż my możemy żyć jeden bez drugiego?! Miał wrócić—wróci—jutro, pojutrze, może dziś? Tak! dziś go jeszcze zobaczę.

Odkąd jego niema, żyję jakiémś połowicznem życiem—i on takiém żyć musi! Nawykliśmy oddychać dwiema parami płuc, patrzéć czterma oczami. Czego brakło mojéj głowie, to odnajdowaliśmy pod jego czaszką; czego on nie uczuł, to ja odczułem—dopełnialiśmy się. Byliśmy jednem w dwóch, i para kochanków nie jest ściśléj złączona sercem i myślą, jak my dwaj,—on i ja...

Byliśmy?... Nie!.. To trwa ciągle... Tylko los na chwilę rozłączył dwa ciała, a one trzymają w rozłączeniu dwa duchy... dwie myśli. . których wysiłek dąży do unicestwienia przestrzeni... Od dzieciństwa—zawsze razem... O! pamiętam... zabawy, uczucia... grzechy i nadzieje wspólne... On i ja—on i ja...

Była już chwila rozdziału, jedna chwila. Zakochał się—przestaliśmy rozumiéć siebie... Wrócił, i znowu my razem... Był blady i smutny: „Żadna kobieta nie zrozumie mnie, jak ty bracie...“

Odtąd, znów jedne nauki, jedne cele, wspólne błędy i nadzieje... Cele? nadzieje? Przez zwątpienie do prawdy, przez pracę do zasługi... Jeśli nie prawdę pochwycić, to przynajmniéj fałsz zwalczyć! jeśli nie dosięgnąć zasługi, to jednak nie o chlubę, nie o próżność, a o nią jednę się starać. Jeśli gwiazd nie posiąść, to chociaż wzrok zwracać ku nim! Roskosz najwyższa... czuć się zdźbłem, prochem, a pojmować, odczuwać bezmiary... być czémś ograniczoném, a przecie takiém, czego widnokrąg pomieścić nie zdoła, czuć że nieskończoność drży w naszém łonie... i być istotą zdwojoną odczuwającą dwa razy, wszelką rozkosz, istotą o dwóch siłach, a z jedną wolą!..

Czasem... przypominam sobie... różniliśmy się w zdaniach... lecz po to tylko, żeby je lepiéj wyjaśnić. Żeby z dwóch powstało jedno, oczyszczone, nieosobiste, lepsze od każdego z obu pojedynczych... sprawiedliwsze. Różniliśmy się w chęciach, ale nigdy w doniośléjszych pragnieniach! Jedne ideały przyświecały naszemu życiu i nie wiém, czy nie gwałtowniejszą walkę, między dobrém i złem, czuł nieraz każden z nas w pojedynczéj swéj piersi, od tych walk, które powstawały między nami i pomagały zwyciężyć tamtą... wewnętrzną...

Dla czego ja tak mówię, jakby to wszystko minęło?.. Wszak to nie było... ale jest—i będzie? On wyjechał, ale powróci—dziś... jutro Nie, dziś koniecznie!

Już dzień zaświtał... Wiosenne słońce wstaje za Wisłą... Nad rzeką, jak puch lekkie, opary białe... złocą się... czerwienią... Wśród oparów maszty... Berlinki za mgłą majaczą... Kłęby dymu, u parowego statku, rozbijają tę zasłonę z wilgoci i wznoszą się ku górze, niebieskie... kręte... jak welon nowo-zaślubionéj, długie. Tam... na dole... targ... za gmachem z łazienkami parowemi. Pstry tłum rusza się... zielone gałęzie u wozów... mnóstwo zieleni... Czy mi się wydaje, że aż tu gwar słyszę?.. Z przeciwnéj strony, bzy na tarasach zamkowych, takie świeże... wilgotne... że patrząc na nie, czuję ich zapach... Krzyż w ręku Zygmunta III-go, złoci się w porannym blasku.

Która godzina?.. Ot zegar... piąta... W pokoju pusto... tylko na stole leży kapelusz... Dlaczego krepą opasany?.. dlaczego!? A!.. wiem;

śnił mi się pogrzeb... śnił mi się?.. Ależ teraz nie śnię... kapelusz trzymam w ręku... dotykam go... czuję pod palcami... To i pogrzeb snem nie był?.. Ratujcie! zbudźcie jeśli to sen!..

Ach! nie sen!.. Teraz przypominam... Tak było... On wyjechał. W dni kilka miałem list... interesa urządzał... miał wrócić... pilno mu było. Pisze...—pamiętam—że mu trudno radzić sobie bezemnie... A ja?., ja zupełnie uczyć się nie mogłem! Błąkałem się jak cień po elizejskich polach... Chwile naszego rozdziału uprzytomniały mi zawsze męczarnie Tartaru... Żyłem tylko... pisząc do niego... i w nocy,—kiedy śniłem o nim.

Gdyby tak potrwać miało?...

I po co uczyć się bez niego? Wszak mieliśmy jednocześnie zdawać egzamina ostateczne. A potem?... potem czuć się już ludźmi... Od przygotowań, przejść do czynu,—do działania.

Nocy jednéj położyłem się rozstrojony, myślą rachując, ile jeszcze godzin upłynie do jego powrotu... Zbudziłem się zmartwiałym. Śnił mi się pogrzeb,—pogrzeb jego... Obce miejsca... czarny karawan... nieznany kościół... i cmentarz, nad którym szumiały sosny... Wtedy, to był na prawdę sen... tak mi się zdaje... Potém...

O już nie wiem. Ja w sny nie wierzyłem... ja miałem jakieś przeświadczenia przyrodnicze... Dziś?..—nie mam żadnych pojęć ustalonych... Dziś, ja wierzę w sny i... nawet nie wiém, jak rozróżnić marzenie od jawy?..

Tak!—

Po tym śnie, wyszedłem na powietrze zmęczony i z takim bólem w członkach, jak gdyby były łamane na kole. Szedłem powoli,—niby w marzeniu... (może to wszystko było marzeniem tylko?..) Dzień był kwietniowy, pochmurny trochę... Czułem jakiś nacisk na mózg, który rozbijał moję świadomość na takie przelotne chwile i takie drobne szczegóły, że całkowitéj skupionéj samowiedzy, miéć nie mogłem. Widziałem psa, który przebiegł przed memi nogami. Nie chciałem o niego zawadzić; lecz na bok się biorąc, zauważyłem jakąś wystrojoną pannę na mojéj drodze. Nie umiałem z dwóch trudności wybrać mniejszéj,—i wpadłem na pannę... Spostrzegałem dorożki, i gdy mi trzeba było przejść ulicę, wyczekiwałem aż wszystkie przejadą, nie mogąc wymierzyć oddalenia... Jak mnie to wszystko stoi przed oczami. Wreszcie zdecydowałem się w chwili, gdy nadjeżdżał powóz... Nie dostrzegłem go... i nagle posłyszałem nad sobą chrapanie głów końskich, które w tył ciągnął furman, klnąc nieuwagę moję.

Dziś wszystko to sobie przypominam... wówczas, doznałem uczucia nieświadoméj przykrości... i szedłem daléj.

Tak minąłem duży kawał Krakowskiego Przedmieścia i stanąłem u bramy, wiodącéj na wystawę obrazów Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych. Afisz oznajmiał „Chrystus przed Piłatem“ Munkaczego. — Widzę i teraz czerwone głoski afiszu. — Wszedłem, — nie myśląc co robię... W ciemném otoczeniu, z blaskiem padającym od góry, obraz ten, jak żywa scena, pochwycił moję wyobraźnię... Dziś bo już nie umiem postawić granicy między tém, co zwą rzeczywistością, a tém, co uważają za złudę.... Słyszałem... tak, słyszałem, zewnątrz siebie, nie w sobie,—namiętny głos oskarżyciela, słyszałem szmer tłumu i wrzask krzykacza... zdziwiony, że kiedy mnie, obcego téj scenie, wrzask ten wstrząsał do głębi, żaden z jéj uczestników nie zwrócił nawet głowy.... Zauważyliście to?... Słyszałem, jak ten żyd w beduińskim burnusie, widać kupiec z karawaną wędrujący... z twarzą wyschniętą i spaloną, jak twarze flisów naszych... zjadliwie woła, ukazując palcem: „On powiada, że jest królem żydowskim!“ A tłum podnosi krzyk: „Ukrzyżuj go! ukrzyżuj! bo powiemy, żeś ty wróg cesarza!“ I wtedy ta młoda matka, stojąca pod murem, wzrok pełen słodyczy i prawdziwie kobiecéj litości zwróciła na tego człowieka w białéj szacie, co stoi w pośrodku, oskarżony i z góry potępiony.—Ona to wié! Podobno krytyka niezadowolona jest z postaci Chrystusa. Dla mnie on żył! Dla mnie, w tym wzroku spokojnym, było przeświadczenie takie i wiara taka, że stanąłem zatrwożony, czy on i ja... mamy takie wiary, za które znieślibyśmy obelgi i z podobną pogodą, patrzali w oczy męce?...

A gwar po za Chrystusem trwał. Głosy niepewności, zwątpienia, nienawiści, jaką każda wyższość budzi.... głosy nigdy nie milknące małych przedstawicieli wielkiéj ludzkości, a rozszalałe, ile razy zjawi się reformator i prorok.... głosy te odzywały się zewsząd. Jeden z kapłanów wzrokiem wściekłéj pogardy mierzył zwiastuna nowéj doby i radował się, że pomści upokorzoną swą pychę... że zgniecie tę myśl... zagasi ten płomień... I dziś są myśli... i dziś są płomienie, które stłumić by chciano. I dziś są faryzeusze... ale dziś tak samo.... krew prześladowanych rodzi wyznawców nowych.

Płomień... zgaszony. I on był płomieniem!.. Jakąż matką jest ta przyroda, jeśli sama gasi najlepsze światła swoje?... najlepsze światła.

O! on... był jasnym płomieniem!

W oczach mi ciemno i myśl się mąci... O czém ja mówiłem?.. A! wiem.

Stałem przed obrazem, aż żal mię zdjął, żem ja tam bez niego! Każdą radość zwykliśmy dzielić, jak i cierpienie każde... Cierpienie w podziale... łagodzi się, — radość się dwoi... Nie chciałem już pa-

trzyć... „Wrócimy tu razem“—pomyślałem. I... nie wróciliśmy!.. i ja sam nie wrócę!! Nigdy już obrazu tego widzéć nie chcę! Nigdy!

Wyszedłem. U Gebethnera sprzedawano bilety na odczyty. Dosyć Munkaczego! — Nie chcę żadnéj przyjemności, — bez niego wyrzucałbym ją sobie.

Spotykam kolegę;—namawia na koncert;—nie pójdę!

Zawróciłem do domu.

Powoli—nie śpiesząc się,— bo nie było do czego, — szedłem ku Zjazdowi. — (Sądziłem żem zapomniał wszystko... wszystko... a jak ja każden szczegół pamiętam!..). Powoli wchodziłem na nasze poddasze. Czekała mnie pusta izba i samotność... tak samo jak na ulicy; tu, czy tam, wszystko jedno! — Wielkie przywiązania wyosabniają. On i ja kochaliśmy ludzi, aleśmy potrzebowali ich mało. Braliśmy udział we wszelkich robotach zbiorowych, organizowaliśmy nawet niektóre; koledzy zbierali się u nas... ale my — w ich życiu hulaszczém—mały braliśmy udział. Dla wszystkich byliśmy przychylni... płacono nam życzliwością, ale nie mieliśmy przyjaciół. Jeden drugiemu wystarczał zupełnie i święte to miano chowaliśmy wyłącznie dla siebie tylko. Dla mnie, po za nim, — dla niego, po za mną, nie mogło być przyjaciela...

Otworzyłem drzwi;—pod nogami zaszeleściał mi papier; — telegram w szparę wsunięty. Otworzyłem... Z początku zrozumiéć nie mogłem; wkońcu pojąłem.

On był chory!

Jechać natychmiast!

Pojechałem... Pamiętam stacyą kolejową, gwizd lokomotywy słyszę.... Sen powtórzył się... Zastałem martwe zwłoki!!.. o! straszny sen! — Leżał wyciągnięty, sztywny, na wołanie moje głuchy!... I był czarny karawan... i obcy kościół... i nieznany cmentarz—pod sosnami...

Miesiąc już... a ja ze strasznego snu tego zbudzić się nie mogę, i sam jestem, sam jeden! Jego już niéma! niéma!

Żyję wspomnieniami... Jakeśmy uczyli się razem... marzyli razem.... Przechadzki nasze... i winy wspólne. Wybryki młode i radości wielkie... i nadzieje bezmierne... Przeżywam to wszystko... siadam nad książką czytać niby i wzrok od kart podnoszę: czy on nie siedzi po przeciwnéj stronie stołu? — Niema go! niema już. — Drzwi skrzypną... Może to on wchodzi?... Nie! nie wszedł! — W nocy się budzę i szukam go na łóżku... łóżko puste i zimne!.. I koszmar to, czy rzeczywistość?... nie wiem!.. Wiem tylko, że cierpię... ogromnie... że jeśli on umarł, to i ja już nie żyję...

Dnia jednego, chłopiec blady, kolega nasz, przyszedł do mnie:

— Gdzie on jest?—spytałem. Zdaje się, żem wszystkich tak pytał.

On wziął rękę moję. Chłodne miał dłonie... Ogarnęła mnie świeżość jakaś, jak powiew wiosennego wiatru.

— Ty cierpisz—powiedział—ja cię żałuję; jego kochałem. Czy chcesz, żebym jego zastąpił?.. żebym był tobie przyjacielem?...

— Jego zastąpił?... przyjacielem?!

Szał jakiś mną owładnął. Więc jego naprawdę tak zupełnie niema, że chcą go już zastąpić?...

Potém — nie wiem co się stało....

Gdym oprzytomniał, chłopak blady siedział na mojém łóżku... dłoń moję trzymał w swojéj, lecz już nic nie mówił...

Teraz często przychodzi i snuje się po izbie; ale dla mnie dziś wszystko senną marą. Jego już niema!.. Z nim — zniknęła rzeczywistość !

Jeśli to nie sen, jawa straszna niedługo potrwa — bo ja pójdę do niego.

W. Waleska.





ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Dr. Józefa Rostafińskiego Botanika szkolna dla klas niższych z kluczami do oznaczania 536 pospolitych roślin, ozdobiona podwójną tablicą barwną, oraz 374 figurami w drzeworytach. Kraków 1886, 8⁰, str. 120 i 52.—Botanika szkolna dla klas wyższych ozdobiona podwójną tablicą barwną, 553 figurami w drzeworytach, oraz tablicą rozsiedlenia roślin. Krak. 1886, 8⁰, str. 192.

Przeglądając nasze dziełka szkolne, służące do początkowego wykładu botaniki, widzimy w nich wielkie braki. Prócz kilku tłómaczeń, częścią zbyt dawnych, częścią bez wartości naukowéj, a co gorsza jeszcze źle tłómaczonych, które nikogo zachęcić a wielu zniechęcić do nauki mogły, nie mieliśmy dotąd nic, coby nawet najskromniejsze mogło zadowolić wymagania. Z dzieł na wyższym stopniu naukowym stojących, prócz wybornego przekładu botaniki Jussieugo przez dr. Tytusa Chałubińskiego, który dziś nawet pod względem terminologicznym za źródłowy uważać musimy, są tylko rzeczy tak przestarzałe, iż czytanie ich nie przyniosłoby innego skutku nad smutne przekonanie, że tak strasznie w tym kierunku za cywilizacyą zachodu opóźnić się zdołaliśmy. Tém też miléj przyjąć musimy dwie nowe książki prof. Rostafińskiego, znając bowiem jego talent pisarski, oraz wielkie zasługi naukowe, szczególniéj przez wprowadzenie do nas nowéj szkoły botanicznéj, musimy rokować z połączenia tych dwóch właściwości świetną przyszłość i zbawienny wpływ jego dwóm dziełkom. Zupełnie oryginalny podział przedmiotu, zaledwo w zarysach przypominający niektóre nowsze podręczniki francuzkie i angielskie, zmusza mnie do bliższego rozpatrzenia się w metodzie, jaką przyjął pan R. w swym kursie niższym i wyższym botaniki Zaczynam od Botaniki dla klas niższych.

Celem autora jest zapoznanie ucznia ze światem roślinnym otaczającym go, w formach najpospolitszych, codziennych towarzyszkach naszych przechadzek, przystępnych tak dla dzieci miasta jak sioła, a często już z życia im z nazwiska dobrze znanych. Dziecię wita więc w tym dziełku swych dawnych znajomych, zaciekawione tém dochodzi zwolna do zrozumienia ich budowy, co mu nader liczne a po części oryginalne rysunki ułatwiają; zrozumiawszy ich budowę, sięga daléj, bo zaczyna poznawać ich koléj życia, ich pokrewieństwa nasuwają mu się już same; grupując, dochodzi zwolna do ogólnych wyników, do zrozumienia życia przyrody, które raz już wpoiwszy się w umysł, pozostaje niezatarte na całe życie, jako najwyższa zdobycz nauki.

Dziełko swoje zaczyna pan R. od krótkiego wyłożenia czém jest roślina, i z jakich części się składa. Budowa kwiatu, owocu i nasienia wyłożona jest na piwonii, któréj wcale udatna kolorowana podobizna zdobi tablicę tytułową samego dzieła. Mówiąc o jaskrze i pokrewnych, wykłada teoryę terminologii botanicznéj i sposób nazywania roślin, przy lnie zaś jest wytłómaczona budowa złożonéj zalążni, nasienia oraz cała fizyologia kiełkowania. Lak, kapusta, tasznik, wiśnia, śliwa, róża, grusza, jabłoń, jeżyna, malina, poziomka i groch są dalszemi typami, które służą panu R. do wyłożenia uczniowi grupy wolnopłatkowych. Jako nadzwyczajny dodatek, który pan R. radzi wziąć przy powtarzaniu, są muszec (muchotrzew), kąkol, ślaz, marchew, barszcz. Z grupy zrosłopłatkowych opisuje pan R. jak pierwéj, z zupełném wyjaśnieniem ich morfologicznéj budowy a po części i wytłómaczeniem ich czynności życiowych: wilczojagodę, ziemniak, jasnotę, karczoch, podróżnik i stokrotkę, z dodaniem, opisu bani i jéj pokrewnych.

Rośliny bezpłatkowe, których zrozumienie dla ucznia utrudnia nader drobna budowa ich kwiatu, omawia pan R. przy opisie tatarki, szczawiu, konopi, chmielu, wierzby, brzozy, dębu, dodając do nader jasnego opisu tak liczne rysunki, że zrozumienie roślin tych najmniejszéj nie może robić trudności. Nie wchodząc daléj w szczegóły, powyższe bowiem wyliczenie daje dostateczny obraz nader trafnego wyboru reprezentantów świata roślinnego, wspomnę tu tylko, iż w podobny sposób przechodzi pan R. rośliny jednoliścienne, nagozalążkowe i skrytokwiatowe. Skrytokwiatowe dzieli na Rodniowce i Plechowce, opisując przytém ich typy, podaje możność ogólnego obznajomienia się z tą, obecnie tak interesującą częścią świata roślinnego, która dotychczas w dziełkach tego rodzaju najczęściéj pomijaną bywała.

Przegląd świata roślinnego, odpowiedź na pytanie: co to są rośliny, oraz pogląd na postaci ciała roślinnego i jego narzędzi, obejmując krótko wszystko to, co pierwéj było powiedzianem, są tą ostateczną treścią, która przy możliwém zapomnieniu wszystkich nawet szczegółów daje wystarczający pogląd na cały świat roślinny.

Osobny rozdział, tworzący dodatek do całego dzieła, zawiera „Sposób poznawania roślin kwiatowych, pospolitych w naszym kraju“ wraz z uwagami „o zbieraniu, badaniu i suszeniu roślin kwiatowych.“ Pierwszy klucz służy tylko do oznaczania pospolitszych drzew i krzewów, drugi zaś do oznaczenia najpospolitszych ziół i roślin trwałych, którym autor starą a tak trafną nazwę „byliny“ przywraca. Oprócz praktycznéj strony w ułożeniu samego klucza, podnieść jeszcze muszę stronę tegoż naukową. Zamiast zupełnie nienaturalnego, dziś już tylko bezmyślność popierającego systemu Linneusza, używa pan R. sposobu naturalnego, opartego na stopniowym oznaczeniu, zacząwszy od rodziny, rodzaju a kończącego się dopiero na oznaczaniu gatunku. Oznaczając w ten sposób rośliny, jest zmuszonym młodziuchny badacz głębiéj wejrzéć w naturę i pokrewieństwo pewnego gatunku, gdy przeciwnie używając klucza Linneusza, dochodzi się tylko do nazwy gatunku, przyczém o saméj roślinie i jéj pokrewieństwach nie może się nabrać żadnego lub tylko złe wyobrażenie. Znaczenie zaś samego zbierania roślin dla nauki botaniki najlepiéj omawia w przedmowie do swego dziełka pan R. „Rysunki i modele są bezwątpienia koniecznie do wykładu potrzebne, ale natury nigdy nie zastąpią, trzeba więc zachęcić ucznia, żeby się zapoznawał z żywą przyrodą, żeby sam zbierał rośliny na ojczystéj niwie, żeby je porównywał, badał, poznawał ich obyczaje, wtedy bowiem będzie dlań botanika prawdziwie *scientia amabilis.*“

Przejdźmy teraz do dzieła drugiego, do Botaniki szkolnéj dla klas wyższych. Plan téj książki jest zupełnie innym aniżeli w dziełku dla klas niższych, przyczém jednak sposób przeprowadzenia saméj rzeczy przypomina bardzo dziełko pierwsze. Nie chcąc podobnie jak to pierwéj już uczynił, oddzielać anatomii, morfologii, fizyologii od systematyki roślin, omawia pan R. pojedyńcze te rozdziały przy odpowiedniéj sposobności, z którego to zadania tém się łatwiéj wywiązuje, iż zaczynając od roślin najniższych, pod każdym względem tak formy jak i czynności fizyologicznéj najprostszych, przez ustawiczne dopełnianie przedmiotu dochodzi do form tak morfologicznie jak i fizyologicznie najwyżéj stojących. Wstęp stanowi krótka historya botaniki wraz z nauką o systemie botanicznym. Przy wodorostach, których najzwyklejsze formy wybornie unaocznia barwna tablica, omawia pan R. anatomią i fizyologią komórki. Dalsze

części skrytokwiatowych, znacznie obszerniéj i w naturalnym porządku opracowane, dają pod każdym względem doskonałe wyobrażenie o ich formach i życiu. Rośliny jawnokwiatowe poprzedza ogólny rys anatomii tkanin, morfologii i fizyologii tychże, przyczém jednak pan R. trzymając się pierwotnego planu, omawia to częściowo przy odpowiednich grupach roślinnych. Przy opisaniu pojedyńczych rzędów roślinnych, które gdzieniegdzie jeszcze p. R. i na rodziny dzieli, trzyma się autor systemu Brogniarta z poprawką Eichlera. Pośród wolnopłatkowych pominął p. R. rząd *Frangulineae* i *Saxifrageae*, reprezentowany w naszéj florze przez rodziny *Vitaceae* i *Rhamnaceae*, *Saxifragaceae* i *Crassulaceae*, których to rodzin dodanie przedmiot by znacznie lepiéj zaokrągliło. To samo mogę powiedzieć i o grupie zrosłopłatkowych, których opracowaniu zarzucić muszę zbyt wielką zwięzłość. Ostatnie dwa rozdziały, zawierające paleontologią i geografią roślin, dają krótki zarys przeszłości świata roślinnego, tegoż powolny rozwój oraz stan obecny. Podział na grupy geograficzne względnie do ich klimatycznego rozprzestrzenienia się, lubo tenże niezupełnie zgadza się z najnowszemi zapatrywaniami, uważam za bardzo szczęśliwy, daje on bowiem nie tylko obraz najnaturalniejszy ale i najjaśniejszy.

W całém tém dziele kładzie pan R. nie tyle nacisku na stronę systematyczną, to jest na opisy form roślinnych, czém dawniéj wszystkie tego rodzaju książki były przepełnione, ile raczéj na porównanie ich budowy morfologicznéj i poznanie czynności fizyologicznych. Poznanie jakiegoś organu może nas dopiero wtedy zainteresować, gdy zrozumimy jego znaczenie życiowe, jego funkcyą fizyologiczną. Pan R. zapoznając uczniów z otaczającym ich światem roślinnym, mniéj zajmuje się opisywaniem tego, co oni sami widzą, idzie mu głównie o to, ażeby uczący się zrozumieli życie roślin, ich naturalne ugrupowanie, a więc i rozwój całéj przyrody. Zwięzły ale nader jasny tekst samych książek bardzo urozmaicają liczne figury w drzeworytach, bez których nawet najlepsza treść byłaby suchą i trudną do zrozumienia. Wykonanie rysunków, niektóre z nich są oryginalne, zaspokaja najzupełniéj wszelkie wymagania, dozwalając współubiegać się o lepsze dziełkom tym ze wszystkiemi tego rodzaju wydawnictwami zagranicy. Rzecz cała, nader jasno, prosto i pięknym językiem napisana, jest zdrowym, dobrze przyprawionym pokarmem umysłowym, czego niestety o poprzednich wydawnictwach szkolnych powiedzieć nie mogę.

Oprócz jednak zalet czysto pedagogicznéj natury muszę podnieść jeszcze i wielką zasługę naukową, jaką zdobył sobie pan R. przez wydanie tych dwóch dziełek.

Pominąwszy bowiem już to, że dają one doskonałą sposobność wykształcenia młodszych pokoleń, są one dziś jedynym i do tego wybornym materyałem, z którego wreszcie czerpać możemy nasze naukowe słownictwo. Nieco już liczniejsze prace naukowe, jakie zaczęły się pojawiać w dzisiejszych czasach, grzeszą albo zupełnie odrębném, dla wielu całkiem niezrozumiałém słownictwem, albo są przeładowane tak dla nas niesmacznemi wyrazami obcemi. Słownictwo, przyjęte przez pana R., tworzą przedewszystkiem co najlepsze nazwy, zaczerpane z dawnych zielnikarzy, niektóre z nich są już tak stare, że ich dziś zrozumiéć nie możemy, dane wyjęte z dzieł nowszych botanicznych i zupełnie nowe przez pana R. powiększéj części bardzo szczęśliwie utworzone słowa. Rzecz ta napozór nie wielkich rozmiarów, wymagająca jednak nader wiele pracy, jest jedną z największych ozdób tych dwóch książek, zmusza ona bowiem nawet naszych ludzi fachowych do zajęcia się na seryo temi, w zasadzie tylko dla dzieci przeznaczonemi dziełkami, aby czerpać z nich to tak długo nam zbywające słownictwo naukowe. Musimy też uważać za niepomierną zasługę, skreślenie tych dwóch książek, pominąwszy bowiem już obszerne wstępne studya terminologiczne, najwięcéj właśnie wymaga pracy to, co ma być najprościéj i najprzystępniéj napisane. Usunięcie się chwilowe od studyów naukowych, dla zajęcia się tego rodzaju pracami, jest największém poświęceniem, na jakie może się zdobyć uczony, zadowolnienia bowiem, jakie nam daje nauka, nic innego zastąpić nie może. Tylko gorące przekonanie o obowiązku służenia krajowi może odsunąć na chwile uczonego od prac ścisłych i zwrócić plon pracy jego w kierunku czysto pedagogicznym.

W tym jednak razie plon, nader bogaty pod każdym względem, może zupełnie zadowolnić autora, który przez napisanie tych książek nie tylko dał nam wreszcie tak oddawna wyczekiwane podręczniki, ale jeszcze stworzył pod każdym względem tak wyborną całość, iż mimo dobréj znajomości obcych podręczników, nie wiem czy mógłbym który z niemi porównać. Przełożone na inne języki stały by się nawet wśród obcych równą ozdobą ich szkolnéj literatury, a kto wie, czy nie zdołały by wyprzéć ich domowych produktów. Dziś więc nikt się już żalić nie może, mamy własne książki, książki wyborne i nader tanie, czas więc odsunąć od nauki obce dzieła lub poronione przeróbki i tłómaczenia, które dziś niestety tak zdołały zalać pułki szkolne i cały handel księgarski, że wśród ich powodzi utonęła i sama nauka.

Dr. Ign. Szyszyłowicz.

Ród Gedimina. Przez Józefa Wolffa. Kraków 1886. 8-vo, str. VIII i 172.

Przybyła nam oto, po znanych już zaszczytnie monografiach historycznych — jak „Senatorowie i Dygnitarze w. ks. litew.", „Pacowie" i inne pomniejsze — nowa praca źródłowa niestrudzonego p. J. Wolffa pod tyt. „*Ród Gedimina* — Dodatki i poprawki do dzieł hr. K. Stadnickiego: Synowie Gedymina, Olgierd i Kiejstut i Bracia Wład. Jagiełły."

Sam tytuł tego poważnego przyczynku do dzieł znakomitego badacza zawikłanych stosunków rodowych domu Gedymina, jedną z gałęzi którego są i Jagiellonowie, dostatecznie wskazuje jego treść i wartość historyograficzną. Mimo szerokiego zakresu swych prac, hr. K. Stadnicki nie był w stanie ogarnąć ogromu całego szczegółów, jakie w sobie ukrywa badany przezeń przedmiot, a cóż dopiero szczegóły te wyczerpać. Tymczasem—próżna to rzecz—bez wyczerpującego poprzednio rozjaśnienia stosunków heraldyczno-genealogicznych wśród tłumnego zastępu kniaziów i możnego bojarstwa, niepodobna zrozumiéć należycie i saméj istoty faktycznéj udzielno-feudalnego porządku rzeszy rusko-litewskiéj w epoce jéj uniowania się z Polską. Co więcéj, niepodobna zgłębić bez tego aż do źródeł pierwotnych owego potwornego oligarchizmu, który ze wschodniéj połaci przedewszystkiém zaciężył późniéj tak fatalnie i nad całą zuniowaną już Rzpltą, niby żywe szyderstwo z tyle umiłowanego przez rycerską drobnotę hasła: „szlachcic na zagrodzie rówien wojewodzie." Próżna rzecz — powtarzamy: poważne badanie historyczne szczegółów heraldycznych przestaje być, jakby to się na pozór wydawało, bezowocném amatorstwem; nieodzowność takowego przy śledzeniu rozwoju wewnętrznych przedewszystkiém stosunków Rzeczypospolitéj, jako *p. ex.* szlacheckiéj, zbyt widoma. Takie więc prace, jak K. Stadnickiego, nabrały słusznie wagi niepospolitéj. Że zaś zostawało zawsze niejedno w nich do wyświetlenia; nie mała tedy zasługa p. J. Wolffa, gdy przedstawia nam on właśnie na podstawie nowych częścią materyałów, to co się dało tam już sprostować i uzupełnić. A jeśli i on sam nie zdołał oprzéć wszystkich swych, sprzecznych ze Stadnickim wywodów i domniemań na podstawach zupełnie niezachwianych, to zato pobudził żywiéj badaczy do dalszych na tém polu wyświetlań.

Rzućmy też okiem na wybitniejsze zaznaczenia autora.

P. Wolff zaraz we wstępném swém przemówieniu wskazuje, że K. Stadnicki dość pesymistycznie odniósł się do całego szeregu kniaziów, którzy we współczesnych źródłach występują jako krewni Jagiełły lub Witolda, i że kniaziów tych on albo całkiém pominął, albo

starał się połączyć ze znanemi już osobistościami. Pomiędzy innymi nie przyznaje wśród synów Olgerda z pierwszéj żony Fedora, identyfikując go z innym Olgerdowiczem-Wiguntem, skutkiem czego odrzuca pochodzenie od Gedymina kniaziów Koreckich, Pińskich, Trubeckich, Czartoryskich, Kobryńskich i Sanguszków.

Mniejsza tu zapewne o żale głośne i ciche, jakie kiedyś z tego powodu w pewnych sferach to się rozlegały, to były tłumione!

Synów Gedymina podaje autor w następującym porządku: Monwid, Narimont, Olgerd, Jewnut, Kiejstut, Koriat, Lubart.

Gdy każda z możniejszych z czasem rodzin litewskich starała się zaczepić swój rodowód co najmniéj o jakiego choćby gminowego kunigasa z zamierzchłéj epoki, śmielsze z nich przypytywały się do krwi Gedymina.

Od najstarszego z jego synów Monwida w w. XVI poczęła się wywodzić rodzina Moniwidów i pochodzące jakoby od niéj rodziny Zabrzezińskich, Dorohostajskich, Hlebowiczów i Wiażewiczów. Autor podaje rzeczywisty rodowód tych domów, dzieląc je na trzy grupy odrębne.

Miał szczęście do szlachty i drugi z rzędu syn Gedymina, Narimont-Hleb. Choć zbyt późno, odwołali się doń przecie Sapiehowie; rzeczywisty zaś ich protoplasta Sopeha był w latach 1440—50 pisarzem kancelaryi w. księcia a potém króla Kazimierza. Co do kniaziów Rożyńskich a raczéj Rużyńskich, wyprowadzonych również od Narimonta, nic — zdaniem autora — nie przemawia za tém, aby pochodzili rzeczywiście z książąt litewskich. W XVI w. zwali się oni także Rohowickimi. Były wszakże na Litwie i Rusi liczne téż rody, pochodzące istotnie od Narimonta. Najliczniéj rozrodzoném było potomstwo syna jego Patryka. Od tego pochodzą do dziś dnia kwitnące w Rosyi domy książęce Golicynów, Kurakinów i Chowańskich; jako téż wygaśli już ks. Koreccy. Ci — zdaniem autora — pochodzą nie od urojonego syna Olgerda, Butawy-Dymitra, lecz, co dlań niewątpliwe, od Aleksandra Patrykiejewicza, kn. starodubowskiego, któremu potém wydzielono pewnie Korzec. Od syna jego Semena poszła krótkotrwała linia kniaziów Koreckich na Moskwie, od Wasila zaś głośny ród wołyński. Inny syn Narimonta, Michał, odziedziczywszy po ojcu Pińsk, staje się protoplastą pierwszéj linii kniaziów Pińskich z rodu Gedymina, co zastąpiła tam Rurykowiczów, los których dalszy nie znany jest dokładnie (Czetwertyńscy?). Lecz cały rodowód kniaziów Pińskich-Narimontowiczów, podany przez autora, jest własném jego zdaniem jeszcze bardzo niepewny. Z jednym z kn. Pińskich, Michałem Konstantynowiczem, starostą włodzimierskim przy Swidrygielle (1437) mieszają kn. Michała Kurcewicza. Gdyby

tożsamość ich okazała się istotną, w takim razie i tradycya o pochodzeniu kniaziów Kurcewiczów z książąt litewskich znalazła by potwierdzenie. Koriatowicze to przecie, jak chcą niektórzy. Po śmierci kniazia Iurija Semenowicza, Pińsk, spadły na króla, został 1471 nadany wdowie Semena Olelkowicza, ks. kijowskiego, Maryi i jéj potomstwu, które dało początek drugiéj linii ks. Pińskich z rodu Gedymina.

Trzeci z rzędu Gedyminowicz, Olgerd, miał aż 12 synów, których rozrodzenie się osobno traktowane. Z córek jego — przez Teodorę, żonę kn. karaczewskiego Swiatosława Tytowicza, wiąże się z domem Gedymina ród kniaziów Masalskich, pochodzący od syna ich Jurija; przez Helenę zaś wydaną za kn. Włodzimierza Andrejewicza, przezwanego „Chrobry", brata stryj. w. ks. Dymitra „Dońskiego" — występujący z czasem na Polesiu ród kniaziów Jarosławiczów. Pochodzili oni od syna ich Jarosława, udzielnego kniazia na Borowsku, wnuk którego kn. Iwan Wasilewicz Jarosławicz przybył za młodu na Litwę, gdzie od króla Kazimierza otrzymał Kleck a potém i Horodek Dawidowy (Dawidgrodek), założony widocznie przez kn. Dawida Dmitrewicza, męża córki tegoż Olgerda Maryi.

Jewnut-Iwan, czwarty syn Gedymina, miał po ojcu objąć Wilno razem z dostojeństwem w. książęcia. Prof. Włodz. Antonowicz fakt ten podał w wątpliwość, utrzymując, iż pierwiastkowo wszyscy synowie Gedymina byli równymi pomiędzy sobą, dopóki dwaj najzdolniejsi z nich Olgerd i Kiejstut nie położyli końca temu nieokreślonemu położeniu. Autor wszakże wątpliwość tę usunął, powołując się na świadectwo samego Witolda, który w jednym z listów do zakonu pisze: „dziad nasz Gedymin przeznaczył ostatnią wolą wielkie księstwo w Wilnie Jewnucie, Olgerdowi Witebsk, a memu ojcu Kiejstutowi Troki i t. d." Z synów Jewnuta kn. Semen schodzi widać bezpotomnie. Inna to wcale osobistość od kn. Semena Jamuntowicza, z rodu jakichś kniaziów drobnych czysto litewskiego pochodzenia, jako to wskazują imiona ich pogańskie, w istnienie których pan Stadnicki wierzyć nie chce. Kojałowicz od tych Jamuntowiczów wyprowadza najbezzasadniéj ród Chodkiewiczów; prędzéj można przypuścić, że pochodził z ich krwi żyjący na początku XVI w. kn. Semen Jamontowicz Podberezski. Drugi syn Jewnuta, Michał, jest protoplastą, jak wiadomo, rodu kniaziów Zasławskich na Litwie, różnych zupełnie od tejże nazwy rodu wołyńskiego z domu Ruryka. Jeden z linii tych kn. Zasławskich, Michał Iwanowicz, otrzymawszy po ostatnim z Lingweniewiczów Mścisław, począł się pisać kn. Mścisławskim. Od syna jego Fedora poszła gałąź moskiewska — wygasła w XVII w.

Kiejstut, piąty syn Gedymina, miał z dwóch żon 5-ciu synów, imiona których: Patirg, Wojdat, Butaw-Henryk, Witowd-Aleksander, Towtiwił Konrad, Zygmunt. Z tych trzej młodsi z Biruty. Ród Kiejstuta wygasł już na wnuku jego, kn. Michale Zygmuntowiczu. Wszelkie więc podania o pochodzeniu z tego rodu domów kniaziowskich a tém bardziéj szlacheckich należą do bajek. Tak kn. Kroczyńscy, mający pochodzić od Patirga czy Wojdata, wyszli z gniazda smoleńskiego; rodzina Zgierskich, wywodząca się, przez Piotra Białego i Kiszków, od Towtiwiła—nic z nim nie ma wspólnego; a cóż dopiero rodzina Żaglów herbu Trąby, którą przewodnik heraldyczny p. Kosińskiego (II. str. 683) wyprowadza od Michała Zygmuntowicza.—Synów Witolda—jakoby otrutych w Królewcu—autor nie przyznaje.

Koriat-Michał, szósty syn Gedymina, był ojcem czterech znanych książąt podolskich: Jurja, Aleksandra, Konstantego i Fedora, Mógł on jednak mieć jeszcze kilku synów, albo też który z wyżéj wymienionych pozostawił potomstwo. Tych nowych Koriatowiczów p. Stadnicki, usiłuje zaliczyć do innego domu. Ród Koriata wcześnie znika z widowni. Kniazie Kurcewicze, którzy dziś używają przydomki „Koriatowicz“ i herbu Pogonia są widocznie pochodzenia ruskiego. Protoplasta ich kn. Michał Kurcewicz otrzymał 1451 przywiléj na Buremlę, zkąd niektórzy z jego potomków pisali się kn. Buremskiemi; żyjący zaś w poł. XVI w. kn. Wasil Kurcewicz nosił przydomek „Bułyha“. Nie mniéj bezzasadném jest wyprowadzanie (p. Paprockiego) od Koriata kn. Rużyńskich.

Lubart Dymitr, najmłodszy z synów Gedymina, również najniesłuszniéj był długo uważanym za przodka pewnych rodzin kniaziowskich na Wołyniu. Miał on syna Fedora (Fieduszka), znanego—razem z innymi imiennikami—stronnika Świdrygiełły. Fakt, że jedyny ten głośny Lubartowicz, umierając 1431, uczynił króla ogólnym swoim spadkobiercą, dowodzi zdaniem autora dostatecznie, że nie tylko nie pozostawił on żadnego potomstwa, ale nawet nie miał blizkich krewnych a mianowicie, potomków braci lub siostr. Na nim więc wygasł ostatecznie ród Lubarta. Wszelkie podania o jego potomstwie urosły w drugiéj połowie XVI-go w. i odnieść je należy nie do Fedora Lubartowicza, lecz do brata jego stryjecz. Fedora Olgerdowicza.

Przechodząc do synów Olgerda, autor dziwi się, iż p. Stadnicki, wyliczając braci Władysława Jagiełły, poszedł za rodowodem książąt litewskich przy kronice Woskreseńskiéj, ułożonym w XVI wieku. Niema bowiem zasady trzymania się go nawet dla poprawności niby podanych w nim imion Olgerdowiczów. Zestawiwszy te-

dy wszelakie źródła, przedstawia nam p. Wolff szereg 12-stu synów Olgerda w następ. porządku i pierwotném brzmieniu: Z pierwszéj żony jego ks. witebskiéj 5-ciu: Andrzej, Dymitr, Konstanty, Włodzimierz, Fedor; z drugiéj—ks. twerskiéj, 7-miu: Jagajło-Władysław, Skirgajło-Iwan, Koribut-Dymitr, Lingweni-Szymon, Korigajło-Kazimierz, Wigunt-Aleksander, Szwitrigajło-Bolesław. Co do imion samych tego licznego potomstwa Olgerda, uderza nas ta okoliczność, że synowie jego z pierwszéj żony noszą tylko imiona chrześciańskie a synowie drugiéj tylko pogańskie. Fakt ten zastanawiający rozjaśnia autor dosyć przekonawczo. Olgerd, powiada on, jeszcze przy życiu ojca swego otrzymał w udziale Krewo, a następstwie ożeniwszy się z dziedziczką księztwa witebskiego, posiadł Witebsk. Niema wątpliwości, że ochrzcił się on dla żony. W owym czasie Gedymin nie był przeciwnym chrześciaństwu: nie tylko zezwolił na ochrzczenie się synów swych Narimonta, Olgerda, Koriata i Lubarta, ale sam nosił się z zamiarem przyjęcia chrztu, jak tego dowodzi korespondencya jego z papieżem. Pod wpływem jednak rozbójniczych napaści Zakonu, chwilowy prąd ten się zmienił i na Litwie przeciwko chrześciaństwu silna wyrosła opozycya. Wielki książe musiał koniecznie być poganinem i Jewnut przyjął chrzest dopiero po strąceniu swojém z godności w. książęcéj. Olgerd nie będąc ani najstarszym z synów, ani ulubieńcem ojca, nie marzył o objęciu po nim najwyższéj władzy; przesiadywał spokojnie w Witebsku i synów wychowywał w wierze chrześciańskiéj. Imion pogańskich żadnego z nich (5-ciu) nie znamy. Po wyniesieniu jednak Olgerda na w. księstwo, stosunki się zmieniły: polityka wymagała aby w. książe do chrześciaństwa się nie przyznawał. Nie obcym wzmacniającemu się prądowi musiał być i Kiejstut, sam żonaty z poganką i gorliwy stronnik wiary i obyczajów swych przodków. To też synowie Olgerda z Julianny ks. twerskiéj, którą poślubił 1349 r, będąc już w. księciem, nie byli ochrzczeni przy urodzeniu, i po śmierci ojca występują tylko pod swemi pogańskiemi imionami. Autor odrzuca tedy dowodnie bałamutną wersyą, według któréj i wszyscy synowie Julianny byli wychowani przez matkę w obrządku wschodnim i obok trzech średnich, którzy istotnie późniéj przyjęli chrzest grecki, mieli nosić imiona: Jagajło-Jakóba, Korigajło-Wasila, Wigunt-Fedora lub Wasila a Szwitrigajło-Lwa. Teoryi téj hołduje większa część historyków: Długosz i jego naśladowcy, Narbut, Stadnicki i naturalnie źródła ruskie; obszerną rozprawę za nią napisał p. Smirnow (Jagiełło etc. Odesa, 1868). My jednak, powiada p. Wolff, w tych imionach Jakóba, Wasila, Lwa, widzimy z jednéj strony chęć pogodzenia sprzecznych kronikarskich podań, a z drugiéj wyraźną tendencyą politycz-

ną, która nie waha się wyprowadzać Gedymina od Ruryka. Na zakończenie tego trzeba dodać, iż Olgerdowicze starszéj linii wyraźnie różnią się od braci swoich przyrodnich: z bratem swym, królem Władysławem, w rzadkich pozostawali stosunkach, na dworze w Krakowie nie bywali etc.

Najstarszy z synów Olgerda, Andrzej, któremu bałamutnie kronika litewska przydaje imie pogańskie Wingolt (—tyle co Wigunt, imie rzeczywiste innego Olgerdowicza), uważanym jest nie mniéj mylnie przez naszych heraldyków za protoplastę, to kniaziów Łukomskich, to Połubińskich oraz Trubeckich. Sprzeczność zaś ta podań czyni i samo istnienie jakichś dalekich potomków kn. Andrzeja nieprawdopodobném.

Drugim z rzędu synem Olgerda był Dymitr (starszy) kn. brański. P. Stadnicki poplątał życiorysy jego i brata jego Koributa-Dymitra. Syn jego kn. Michał Dymitrowicz ma być, według rodowodu, protoplastą kniaziów Trubeckich. Faktycznie jednak tyle tylko wiemy, że Dymitr Olgerdowicz, który oprócz Brańska władał i Trubczeskiem, pozostawił syna kn. Michała, oraz że przodkiem kn. Trubczeskich był także żyjący jednocześnie kn. Michał. Bardzo więc być może, że Michał Dymitrowicz Olgerdowicz i Michał Trubecki są jedną osobą; jest to przecie tylko prawdopodobieństwo, powiada autor, i do odnalezienia jeszcze innych na to dowodów, fakt ten za zupełnie pewny uważanym być nie może.

Konstanty, trzeci syn Olgerda, mało znany. Źródła późniejsze każą mu władać Czartoryskiem i Czernihowem. Według rodowodu książąt litewskich Wasil, syn Konstantego Olgerdowicza Czartoryskiego, pozostawił synów kniaziów Iwana, Aleksandra i Michała Czartoryskich. Rzeczywiście w połowie XV-go w. występują w dokumentach kniaziowie Iwan, Aleks. i Michał Wasilewicze Czartoryscy; czy jednak ojciec ich, całkiem nieznany kn. Wasil, który musiał rezydować w Czartorysku na Wołyniu i kn. Wasil, syn Konstantego Olgerdowicza, są jedną osobą?—na to brak współczesnych dowodów, uważa to jednak autor za bardzo prawdopodobne. Daléj—występując przeciw negacyi w tym względzie p. Stadnickiego, wskazuje na to, iż kn. Aleksander Wasilewicz, podobnież jak kniaziowie z rodu Gedymina był nie mały czas namiestnikiem (kniaziem) we Pskowie oraz Nowogrodzie Wielkim. Pyta więc: gdy p. Stad. tak słusznie zauważył, iż miasta te zapraszały tych kniaziów z zasady, aby mieć zawsze księcia panującéj w Litwie dynastyi w swych murach—to czemuż by kn. Aleks. Czartoryski nie miał być jednym z tych książąt? Poczém przytacza p. Wolff tyle zakwestyonowany przywilej, jaki miał otrzymać 1442 w Budymiu kn. Michał Wasile-

wicz, towarzyszący królowi Władysławowi Warn. do Węgier, mocą którego król: troskliwy o godność trzech braci swoich Iwana, Aleks. i Michała kniaziów na Czartorysku, tym kniaziom krewnym swoim, pozwala używać pieczęci książęcéj, jakiéj od ojca i dziada używali, to jest zbrojnego jezdca trzymającego w ręku miecz dobyty. I zamyka rzecz uwagą, iż nie mamy najmniejszego powodu podejrzywać autentyczność tego dokumentu; nie zawiera on żadnego błędu, gdy i inne dokumenty, w tymże roku przez Władysł. Warn. w Bud. wystawione, pod względem pisania i świadków, wielkie z powyższym mają podobieństwo. Jak wiadomo, wnuk tego Michała kn. Aleksander Fedorowicz woj. wołyński na sejmie w Lublinie 1569 r. przedstawił królowi wzmiankowany przywiléj Wład. Warn. i na jego zasadzie domagał się dla członków swéj rodziny miejsca dziedzicznego w radzie w. książęcéj czy senacie. Dodać tu jeszcze można, iż nasi starzy heraldycy zawsze wyprowadzali ród książąt Czartoryskich od któregoś z synów Olgerda—jedni od Lubarta inni od Korigajły. Czy odtąd już spór ten o rodowód skończony?—wątpliwa.

Włodzimierz czwarty syn Olgerda, książe kijowski a potém kopylski, był protoplastą rozgałęzionego rodu. Od najstarszego z synów jego Aleksandra (Olelka) poszedł głośny dom Olelkowiczów. Syn tego kn. Semen Olelkowicz władał po ojcu Kijowem, lecz wnuk Wasil Semenowicz dzierżył już tylko Pińsk, który z ręką jego siostry dostał się potém kn. Fedorowi z ruskiego rodu Jarosławiczów. Drugi zaś syn Aleksandra, Michał Olelkowicz, kn. na Słucku i Kopylu dał początek linii książąt Słuckich, ostatnia latorośl których Zofia wniosła 1600 dziedzictwo swe w dom Radziwiłłów. Od drugiego syna Włodzimierza Olgerdow., Iwana poszli kn. Bielscy, którzy przenieśli się do Moskwy—gdzie byli kniaziowie tejże nazwy i z r. Ruryka.

Fedor Olgerdowicz. Pięć kronik ruskich i jedna litewska zaliczają Fedora do synów Olgerda z pierwszéj żony. Miał on sobie wyznaczony udział w ziemi chełmskiéj, który stanowiło Ratno z okręgiem. Historycy i heraldycy z dziwnym uporem starali się—powiada p. Wolff, usunąć możliwość istnienia Fedora Olgerdowicza: p. Stadnickiemu był on tak nie na rękę, iż dwa razy musiał się z opuszczenia jego tłómaczyć, zresztą każe Wiguntowi przyjąć chrzest ruski i imie Fedora; inni zaczepiają go to o Korybuta (Sokołowski) to o Lubarta (Radzimin.). Fedor Lubartowicz (jedyny) umarł bezpotomnie. Fedor Olgerdowicz zaś pozostawił—zdaniem autora—potomstwo, najpewniéj aż trzech synów: Sanguszkę na Ratnie, Romana na Kobryniu i Hurkę na Kraśniczynie (w z. Chełmskiéj). Sanguszko był protoplastą znanego rodu kniaziów na Wołyniu, który prostaczą formę pieszczotliwą imienia jego (jak Fedjuszko, Kostjuszko itp.) przybrał,

zwykłym dość w owe czasy trybem, za nazwę familijną. Sanguszko—tyle co Semen (a może Samuił), tak jak Hurko—tyle co Gurij, znane imie wschod. kalend. Sanguszko Fedorowicz miał między inn. synów: Aleksandra i Michała, od których poszły dalsze trzy gałęzie rodu. Syn Aleksandra Andrzej był twórcą linii na Niesuchojeżach, z któréj pochodził hetman polny kn. Roman a która wygasła w końcu XVI-go w.; wnuk jego Andrzej Michałowicz stał się głową linii Koszerskiéj wygasłéj w poł. XVII-go w., od syna zaś Michała Sanguszkowicza Wasila poszła linia na Kowlu istniejąca po dziś dzień. Jeszcze na początku XVII-go w. mylna tradycya o pochodzeniu kn. Sanguszków od Lubarta nie była ustaloną; występują oni wtedy jeszcze jako Olgerdowicze. Drugi syn Fedora Olgerdowicza Roman dał początek domowi kn. Kobryńskich, który już wygasł na jego wnuku. Z potomków zaś kn. Hurka, trzeciego Fedorowicza, znany tylko Janusz proboszcz wieluński, kanonik warszawski. Cały przecie ten rodowód kn. Kobryńskich i Sanguszków od kn. Fedora na Ratnie pan A. Boniecki (w Bibl. Warsz.) podaje stanowczo w wątpliwość.

Jagajło-Władysław szósty syn Olgerda, a najstarszy z drugiéj żony, przez ojca przeznaczony na następcę na w. ks. Robi przy nim autor słuszną uwagę, iż zostawszy 1386 królem polskim, przez lat sześć panował wspólnie w Polsce i Litwie i dopiero 1392 złożył godność w. książęcą w ręce Witolda, sobie tylko tytuł zwierzchniego księcia Litwy i Rusi zachowując.

Skirgajło-Iwan, siódmy syn Olgerda, pierwszy z drugiéj jego żony, co przyjął chrzest—w obrz. wschod. Uważają go pospolicie historycy za następcę po Jagielle na w. książęcą stolicę, co jest wielkim błędem, przeciw któremu autor w dowodnéj rozprawie występuje najenergiczniéj. Litwa, wskazuje on, w pierwszych latach po wyniesieniu Jagiełły na tron pols. przedstawiała stan bardzo nieokreślony, głównie z przyczyny, nieobecności panującego. W kolei starszeństwa zaraz idąc po Jagielle, był Skirgiełło na Litwie pierwszą osobistością po królu i miał nad młodszymi i przyrodnimi braćmi przewagę moralną, którą powiększało jeszcze posiadanie najznaczniejszego udziału; albowiem oprócz Trok, które otrzymał 1382 po ucieczce Witolda, król nadał mu jeszcze 1387 po Andrzeju Olgerd. Połock etc. To też mniemanie, iż w zastępstwie króla Wład. był w. księciem Litwy, było tak rozpowszechnioném, że już w 1416 w procesie polsko-krzyżackim na soborze konstanc. w wystosowanéj przez Zakon obronie, znajdujemy wzmiankę, że Skirgiełło w nieobecności króla sprawował rządy Litwy; nic więc dziwnego—twierdzi autor daléj, że mogli to powtórzyć, piszący późniéj, Długosz i kronikarz litewski a za nim wszyscy historycy. Że jednak Skirgiełło nie piastował godno-

ści wielkiego księcia lit., przekonywamy się ze współczesnych dokumentów, w których tytułuje się nie „wielkim ks. Litwy", ale tak jak i inni książęta „wielkim księciem" lub tylko „księciem litewskim i panem na Trokach i Połocku." Tak samo z tytułem „wieliki kniaź" występują Michał Gedyminowicz, Andrzéj i Dymitr Olgerdowicze, Fedor Lubartowicz i Witold przed 1392 a „książętami litewskimi" byli *de facto* wszyscy kniaziowie rodu Gedymina. Nadto kroniki poświadczają, że Skirgiełło w Wilnie nie rezydował. Tylko Wilno mogło być miejscem stałego pobytu panującego w. księcia; to też w nieobecności Jagiełły żaden z jego braci stale w niém nie przemieszkiwał, a dowództwo nad zamkiem sprawowali z ramienia królewskiego starostowie, których król dla pewności wybierał między wypróbowanymi katolikami, jakim był Gasztold, lub polakami, jak Mik. z Moskorzewa i inni. Również mylném jest podanie, jakoby król Wigunta-Aleksandra, brata swego, uczynił zastępcą swoim w Wilnie i na Litwie. Jednem słowem wielkim księciem litewskim do 1392 był tylko Jagiełło.

Korybut-Dymitr, ósmy syn Olgerda. Życiorys jego p. Stadnicki niedostatecznie oddzielił od życiorysu przyrodniego jego brata Dymitra Olgerdowicza brańskiego. Nie Korybut ale Dymitr starszy władał Brańskiem, brał udział 1380 w wojnie w. ks. moskiew. z Tatarami i 1399 zginął nad Worsklą. Udziałem jego był Nowogródek-Siewierski. Trzej jego synowie wymarli bezpotomnie, podanie zatém jakoby od jednego z nich (Fedora) mieli pójść kniaziowie Zbarazcy i ich jednoplemienni nie ma żadnéj podstawy. Kwestyą tę podniósł pierwszy p. Stadnicki; jednak w pesymistycznych — jak nazywa autor — swych poglądach poszedł za daleko, gdy Zbarazkim nawet kniaziostwa nie przyznaje i każe im pochodzić od ziemiańskiéj rodziny Mokosiejów. Poszedł za tém zdaniem Bartoszewicz i inni. Dalsze śledzenie wszakże okazuje, iż potężny ów dom książęcy powstał z kniaziów Nieświckich (ze krwi Ruryka widocznie). Ród kniaziów Nieświckich, gniazdem którego miał być Nieświd pod Łuckiem istniał oddawna. Kn. Juri „Nieświeżski" (?) poległ 1225 nad Kalką. W latach 1387, 1403 występuje kn. Iwan „Neswiski". Potém głośny kn. Fedko „Nieswidski" (może syn Iwana?), którego Długosz miesza z kn. Fedorem Ostrogskim, gorliwy stronnik Swidrygiełły. Ten przechodząc 1434 na stronę królewską, w zapisie na wierność zapewnia sobie potwierdzenie przez króla posiadania ojcowizny jego, to jest włości Zbarażskiéj i in. Widocznie jednak król nie potwierdził mu posiadania Zbaraża na wieczność ale tylko na dożywocie; 1442 r. bowiem, prawdopodobnie po śmierci kn. Fedki, Zbaraż, również do żywota, nadanym został przez w. ks. Kazimierza Deniskowi Moko-

siejewiczowi i dopiero w następstwie powrócił znów do potomków kn. Fedki. Już syn jego Wasil niewątpliwie—zdaniem autora—otrzymał Zbaraż. Z synów tego kn. Semen Wasilewicz jeszcze (1461 r.) zwie się „Neswizskim“. Wszakże 1463 trzéj bracia Wasilewicze, kn. Wasil, Semen i Sołtan czynią jako „otczyce i dziedzice Zbarażscy“ między sobą dział, wskutek którego kn. Wasilowi dostał się Zbaraż, Semenowi Kołoden, a Sołtanowi Horodek i inne włości między któremi „dwa Wisznewcy.“ Odtąd o kniaziach Nieświckich na Wołyniu więcéj nie słychać; natomiast występuje głośna rodzina kniaziów Zbarazkich, od którego poszły gałęzie Wiśniowieckich, Poryckich i Woronieckich. Jakiś kn. Wasil Nieswizski miał na początku XVI w. wyjechać z Litwy do Moskwy, gdzie stał się protoplastą dotąd istniejącéj rodziny kn. Nieswickich.

Lingweni-Semen, 9-ty syn Olgerda, ks. na Mścisławiu. Ród jego wygasł na wnuku Iwanie Jurjewiczu Lingweniewiczu, w r. zaś 1499 Mścisław dostał się po kądzieli kn. Michałowi Zasławskiemu, który zarzuciwszy ojczyste nazwisko, przybrał tytuł kniazia Mścisławskiego.

Trzej najmłodsi Olgerdowicze: Korigajło-Kazimierz, Wigunt-Aleksander i Szwitrigajło-Bolesław potomstwa nie zostawili.

Jak z powyższego widzimy, przedstawił nam p. J. Wolff w ostatniéj swéj pracy sporą wcale wiązankę faktów, które uzupełniają i rozwidniają bardziéj, pożądane tyle dla należytego rozumienia wewnętrznych osobliwie stosunków Litwy a zawsze zmącone dosyć wiadomości nasze, dotyczące powikłanych wielce rozgałęzień rodu Gedymina. *A. J.*

= **N. Liubowicz:** 1) **Zimlerowskoje sobranije rukopisiej,** 2) **Otczet o zagranicznoj komandirowkie na lietnieje wakacionnoje wremia 1886 goda.** (*Warszawa. 1886*). — Po zmarłym w r. 1788 w Zurichu Janie Jakubie Simlerze pozostało 458 tomów rękopisów, zawierających obfity materyał do historyi reformacyi wszystkich państw europejskich. Rękopisy owe, będące obecnie własnością biblioteki miejskiej w Zurichu, przejrzał autor „Istorii reformacii w Polszie“ i z rezultatów poszukiwań zdał sprawę w pierwszéj z zatytułowanych broszurek. Dodał na końcu: 1) ciekawy manifest podkomorzego łęczyckiego Stanisława Lasockiego przeciwko biskupowi krakowskiemu Andrzejowi Zebrzydowskiemu z okazyi krzywd różnych, 2) list Marcina Kromera do drukarza bazylejskiego Oporina w sprawie wydania geografii Polski braci Grodzickich, 3) list Krzysztofa Tretzego (Threcius) do Bullingera z października r. 1561. Interesujący doda-

tek drugiéj broszury stanowi odezwa kalwinów wielkopolskich (z 17 lipca r. 1775) do rzeczypospolitéj genewskiéj z prośbą o zasiłek pieniężny i datowane w Leszna 23-go lutego r. 1776 podziękowanie za pomoc. *Sm.*

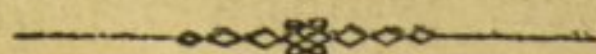
= **Nowe pisma techniczno-gospodarcze**. W końcu roku zeszłego pojawiły się dwa nowe pisma techniczno-gospodarcze. Jedno z nich *Tellus*, półmiesięcznik, zajmujący się sprawami rolnictwa i przemysłu rolnego, wychodzi już stale od 1 października. Drugie—*Przemysłowiec*, „tygodnik popularny, poświęcony sprawom przemysłu, rolnictwa i handlu“, wypuściło przed nowym rokiem jeden numer okazowy i jeden nadliczbowy, będący wyłącznie sprawozdaniem z „wystawy konfekcyi i przyborów mieszkalnych w Muzeum przemysłu i rolnictwa.“ Że pisma tego rodzaju mogłyby oddać wielką korzyść naszemu społeczeństwu przy dobrém ich prowadzeniu i szerokiém kole czytelników z właściwéj dla nich sfery, zaledwie o tém wzmiankować potrzeba. Czy prenumerata im dopisze, dziś przewidziéć trudno, lecz o *Tellusie* przynajmniéj, którego już 8 numerów leży przed nami, możemy bez wahania powiedziéć, że redakcya jego zrobiła wszystko, co do niéj należało. Spotykamy w nim świetny dobór artykułów z dziedziny rozmaitych gałęzi rolnictwa, oraz cukrownictwa, piwowarstwa, gorzelnictwa i młynarstwa, skreślonych piórem specyalistów, nierzadko znanych i uznanych. Dla zainteresowania czytelników przytoczymy tu kilka ważniejszych, jak np. *Nasze chmielarstwo i handel chmielem* przez Józefa Rzętkowskiego, *Kilka uwag o dyfuzyi* przez inżyniera Rudolfa Farkacza, *Kredyt rolniczy Banku państwa* i *Wekslowy kredyt rolniczy* przez J. Kirszrota-Prawnickiego, *Pszenica szklista i mączysta* przez d-ra A. Sempołowskiego, *O wyborze wysadków burakowych* przez d-ra S. Kudelkę, *Fermentacya alkoholowa przy fabrykacyi spirytusu* i *O działaniu diastazy w zacierach gorzelniczych* przez Wesołowskiego, gorzelnika w Strzalkowie, *Woda dla browarów* i *Jęczmień browarny* przez d-ra Al. Weinberga, *Przychód i rozchód* (w gospodarstwie rolném) przez J. hr. Łubieńskiego, *O możliwém zwiększeniu się współzawodnictwa Indyi z Król. Polskiém i Połud. Zach. prowincyami* przez Fr. G., wreszcie o plantacyach buraków, tytoniu i w. i. t. p. Nadto znajdujemy jeszcze pogadanki ogólniejszéj treści z dziedziny gospodarstwa, prowadzone głównie kompetentném piórem p. F. O. Wilkońskiego. W artykułach wstępnych porusza redakcya ważniejsze kwestye bieżące z zakresu pisma w sposób poważny i ujawniający prawdziwą znajomość rzeczy. Wreszcie dopełniają treści pożytecznego dwutygodnika korespondencye różne, krótkie wiadomości praktyczne, notatki o najnowszych wynalazkach przemysłowych, o próbach różnych nowych maszyn i utensyliów,

sprawozdania o handlu zbożem, mąką, wełną, cukrem i okowitą w kraju i na rynkach zagranicznych. — Obok wyrazów uznania dla staranności i umiejętnego kierownictwa redakcyi winniśmy jednak zanotować i jednę drobną usterkę, a mianowicie pomieszczenie projektu konwersyi długów, obciążających własność ziemską p. H. Wiercieńskiego. Żąda on, ażeby państwo dla uratowania upadających właścicieli ziemskich zabroniło ich wierzycielom, bez względu na wszelkie poprzednie umowy, pobierania wyższéj stopy procentowéj nad 5%. Ktoby z wierzycieli zażądał zwrotu swéj należności byłby obowiązany ją przyjąć w wypuszczonych *ad hoc* przez państwo 3% listach likwidacyjnych *po ich cenie nominalnéj*. Bezpieczeństwo zaś tych listów i procentów od nich opierałoby się *wyłącznie na dochodach* z dóbr zadłużonych, i w razie niewypłacalności dóbr *dochody jedynie* mogłyby być poddane egzekucyi. Naturalnie, że przy tak chwiejném i niepewném zabezpieczeniu, oraz niezwykle nizkiéj u nas stopie procentowéj owych listów, kurs ich rzeczywisty musiałby być bardzo niekorzystny i wierzyciele, żądający splaty długu, otrzymaliby zaledwie część wypożyczonych przez się kapitałów. Na podobne załatwianie swych zobowiązań nie pozwala w żaden sposób poszanowanie cudzéj własności, nie mówiąc już o tém, że operacya taka zachwiała by bardzo i ograniczyła kredyt właścicieli ziemskich, przez co oddani by zostali wyłącznie na pastwę lichwiarzy, którzy wszelkie prawo obejść potrafią. W projektach, dotykających cudzych interesów, pamiętać zawsze należy, że *hodie mihi, cras tibi*.—Wracając teraz jeszcze do ogólnéj rekomendacyi *Tellusa*, polecamy go gorąco odnośnym sferom czytelników naszych. Pismo to powinnoby się znaleść w rękach każdego wykształconego i postępowego rolnika i przemysłowca rolnego. Prenumerata wynosi rocznie w Warszawie rs. 6, na prowincyi rs. 8. Każdy numer razem z ogłoszeniami zawiera 4 arkusze in 4°. — Tygodnik *Przemysłowiec* w numerze okazowym zapowiedział program podobny do *Tellusa*. Widocznie jednak spostrzegł, iż dwu pism o jednym kierunku byłoby dla potrzeb naszego społeczeństwa za wiele, bo w numerze drugim przedstawił swoje zadania i cele inaczéj, mówiąc, iż chce zająć w piśmiennictwie naszém stanowisko zawieszonego przed kilkoma laty *Ekonomisty*. Zamiarowi temu możemy tylko szczerze przyklasnąć, uznając w zupełności potrzebę i pożytek organu, rozpowszechniającego wśród szerszych kół publiczności znajomość zasad ekonomii. Nauka ta, niestety, pomimo całéj swéj donioslości praktycznéj, jest u nas dotąd w zupełném zaniedbaniu. Oto jak *Przemysłowiec* streszcza jéj zadania: „Wszelka praca na najrozmaitszych polach działalności ludzkiéj przedsiębrana bywa zwykle w widokach korzyści indywidualnéj. Nie zawsze je-

dnak interes jednostki zgadza się z interesem ogólnym danego społeczeństwa, a często nawet praca korzystna dla jednostki, lub dla pewnéj grupy społecznéj, jest wprost szkodliwą dla społeczeństwa jako całości. Przestrzeganie pod tym względem harmonii, a więc wytykanie takich dróg dla pracy, które do obu tych celów zarazem, t. j. do uczynienia zadość interesowi jednostki i interesowi ogólnemu kraju prowadzą, jest zadaniem ekonomii społecznéj. Oprócz tego głównego celu zadaniem jéj jest także wskazywanie łączności i wzajemnego na siebie oddziaływania wszelkich zjawisk, podchodzących pod ogólne nazwy przemysłu, rolnictwa i handlu.“ W objaśnianiu kwestyi szczegółowych przyrzeka *Przemysłowiec* kierować się przedewszystkiém interesem społeczeństwa naszego i wskazówkami nauki, któréj postęp chce stale śledzić i popularyzować. Stając na stanowisku narodowém, zamierza nowy tygodnik we wskazówkach praktycznych dbać szczególniéj o rozwój i postęp gospodarczy żywiołu rdzennego w społeczeństwie naszém, oraz o jego obronę od zalewu niemieckiego i wyzysku ze strony spekulantów żydowskich. Jeżeli redakcya potrafi się w tym względzie kierować spokojną i sprawiedliwą oceną faktów, opartą na wszechstronném rozważeniu naszych stosunków społecznych, nie dając się unieść ślepéj nienawiści plemiennéj, a zwłaszcza zawziętemu antysemityzmowi na wzór i podobieństwo *Roli*, to będzie mogła w tym kierunku oddać krajowi prawdziwą przysługę. O wykonaniu programu nowego tygodnika na podstawie dwóch, a właściwie jednego numeru nic stanowczego powiedzieć nie możemy, dlatego nie wdajemy się w bliższą jego ocenę. Jako pismo popularne obliczony on jest dla szerokiego koła czytelników. Życzymy mu szczerze, ażeby je sobie wyrobić zdołał. Prenumerata *Przemysłowca* wynosi w Warszawie rs. 8, na prowincyi rs. 10 rocznie. *W. Wścieklica.*

= **Żywot kozaków lisowskich**, poemat Józefa Bartłomieja Zimorowicza, ocenił i wydał Korneli Juliusz Heck. Z 3-ma podobiznami. (We Lwowie. 1886, str. 35). — Utwór ten jako druk nie znajduje się obecnie w żadnéj ze znanych bibliotek; nie objęła go też Bibliografia p. Estreichera; p. Heck wydał go z odpisu, który sporządził przed laty Maurycy hr. Dzieduszycki, a który dziś znajduje się między rękopismami Zakładu Ossolińskich we Lwowie. Składa się on najprzód z satyrycznego 10-wiersza „na herb kozacki“ przedstawiony w rycinie, przedstawiającéj wojaka na beczce z kuflem w jednéj a szklanką w drugiéj ręce, w towarzystwie Marsa i Wenery, a następnie ze 168 wierszy uszykowanych w 4 grupy: 1) „ćwiczenie kozackie,“ 2) „prawa kozackie,“ 3) „obyczaje ciurów kozackich,“ 4) „potyczki kozaków lisowskich;“ całość kończy się czterowier-

szem rusińskim w formie rozmowy między *Iwanem* i *Kiwajłą*. Większość utworu ma charakter satyry wymierzonéj przeciwko mniejszym i większym wadom owéj drużyny wojackiéj, wsławionéj dzielnością ale zarazem i drapiestwem: „Gębą pić, czołem zaś bić—to kozacka sprawa; rąbać, strzelać, uciekać gonić—to zabawa"; „Jako magnes żelazem, grosze nimi władną; desperaci okrutni, upiwszy się, kradną:" takie są według poety znamienne cechy tego wojska i jego ciurów. Jeden tylko ustęp, wspomnieniu samego Lisowskiego poświęcony, trzymany jest w poważnym tonie; czy-to co poeta mówi o działaniu lisowczyków podczas wojny trzydziestoletniéj w Węgrzech i Czechach należy brać poważnie czy ironicznie („Ażeby heretycy ślepi nie błądzili, wyście je od złéj drogi za łeb odwodzili: wyście Lutrom do nieba porobili mosty, obudziwszy pokutę i wskrzesiwszy posty" itp.), to rozstrzygnąćby można wówczas dopiero, gdybyśmy znali poglądy 23-letniego Zimorowicza. Wydawca pod tym względem nie wyraził się jasno i stanowczo (str. 19), lubo wyróżnia „poważny nastrój" pierwszéj połowy ustępu poświęconego „potyczkom kozaków lisowskich" jako nie licujący „z treścią i tendencyą całości." W każdym razie dobrze ocenia tę całość pod względem formalnym (str. 21, 22), ale niewłaściwie łączy nieudatność rymowania z brakiem plastyczności i obrazowości jakoby rzeczy zawsze z sobą w parze chodzące, bo to są właściwości odrębne i mogące istniéć niezależnie od siebie. Za mniéj trafną uwagę poczytujemy podniesienie zalety poematu Zimorowicza, iż w nim makaronizmy tylko sporadycznie się napotykają, gdyż to powiedziéć można o wszystkich poematach wieku XVII. Objaśnienia dodane do poematu przez wydawcę są wogóle dobre; możnaby tylko zauważyć, że wyraz *derewnia* (na str. 34) nie oznacza budynku drewnianego, ale wieś, a wyrażenie: „rzadki kozak stary; jeszcze rzadszy, któryby zmarszy przyległ mary" prędzéj znaczy, iż rzadko kozak na marach spoczywa, bo zazwyczaj ginie w bitwie, a tam o kładzeniu na mary nie myślą, niż, jak to autor wyjaśnia: „kozak nie ma nigdy takiéj tuszy, *aby sobą całe mary wypełnił*." Wstęp, którym autor poprzedził wydanie, o utworzeniu się i charakterze Lisowczyków oraz o tych, co ich czyny opisywali, bardzo dobrze przygotować może do czytania utworu Zimorowicza.





KRONIKA MIESIĘCZNA.

„Potop“ chwili obecnéj.—Katon polski —Początek ratunku.—Czytelnie ludowe.—Wyznanie wiary studentów krakowskich —Pisma o najwyższym tonie i ich gromy.—Wspomnienie z czasów szkolnych.—Obowiązki młodzieży uniwersyteckiéj, jej idealy i zrozumienie swego stanowiska.—Stosunek społeczeństwa i prasy do studentów.—Egoizm starszych i doktryny młodych.—Wykolejeni.—Powikłane drogi wychowania.—Pan Puciata jako oskarżony i oskarżyciel.—Insynuacya bez dowodów.—Towarzystwo Biblioteki Polskiéj w Jassach.

Są wypadki, wzbudzające we wszystkich jednakowe uczucia, a tak bolesne, że uskarżać się na nie głośno było by tém samém, co rozdrapywać ranę bez celu, zadawać sobie męczarnię nie do zniesienia, dręczyć się widmem przepaści, *mogącéj* pochłonąć nas i drogie nam istoty. Do takich wypadków należy sprzedanie przez p. M. Łyskowskiego dóbr Radłowa, będących własnością Banku Rolniczo-przemysłowego „Kwilecki, Potocki i s-ka.“ Sądząc z głosów zgnębienia i zniechęcenia, odzywających się tu i owdzie, wypadek wyżéj wspomniany wywarł wrażenie, dające się streścić w słowach: „kiedy do tego doszło, to nie ma co robić, kiedy tak postąpił człowiek, co się zaliczał do inicyatorów ratunku, to niema już na kogo liczyć.“ Po Ujściu i Kiejdanach można było z większą słusznością toż samo powiedziéć, a jednak stało się inaczéj. W chwili ciężkiego zgnębienia jesteśmy usposobieni do przesady, do nadawania rzeczom zbyt tragicznego cienia. Faktem pewnym jest to tylko, że p. Łyskowski nie pozostaje w żadnych stosunkach z nową instytucyą, ani instytucya z p. Łyskowskim. Jeżeli zaś pokładano dawniéj jakie nadzieje na dyrektorze banku „Kwilecki i s-ka,“ to stanowi to jeszcze jeden dowód staréj jak świat prawdy, że pozorami można wywieść ludzi w pole, i że pięknym słowom często nadajemy wartość cnoty. Katon potrafił tak szczelnie okryć się togą prawości, że osłonił nią nawet zyski, jakie ciągnął z lu-

panaru niewolnic swoich. Pan Łyskowski należał w Poznańskiém do najczęściéj i najdonośniéj mówiących o obowiązkach, o wytrwaniu na stanowisku itd. i, wzorem Katona, dla uchybień innych był surowy, nieubłagany. Dziś najlepiéj udrapowana toga nie zdoła zakryć plamy, jaką się okrył. Że zaś nie jest on zjawiskiem normalném nie stanowił typu, o tém świadczy niepokój i oburzenie opinii w Poznańskiém.

Dnia 17 grudnia r. z. zaciągnięte zostało w Poznaniu do rejestru firmowego nowe towarzystwo akcyjne pod nazwą „Banku Ziemskiego." Aby módz uczynić zadość wymaganiom pruskiéj procedury handlowéj, która żąda przedstawienia całéj sumy przy zapisie, początkowy kapitał oznaczono jedynie na 50000 marek, z tém zastrzeżeniem, że może być podniesiony w przyszłości do 10 milionów. Dnia 25 stycznia r. b. odbyło się pierwsze walne zgromadzenie, które ostatecznie urządzilo bank i podniosło kapitał do 3 milionów tymczasem. Akcye nowéj instytucyi, wydawane na okaziciela, wystawione są po 1000 marek, na niższą sumę prawo nie dozwala. Uczestnik każdy odpowiada za interes i czynności banku tylko kapitałem, wpłaconym za nabyte przez siebie akcye, po za tém wolny jest od wszelkiéj odpowiedzialności. Akcyonaryusz ma prawo uczestniczenia na zebraniach walnych; każda akcya daje prawo do jednego głosu, lecz właściciel większéj ilości akcyj nad 20 nie może mieć ilości głosów, przenoszącéj tę liczbę. Zyski banku po odtrąceniu kosztów administracyi i odłożeniu pewnéj sumy na kapitał rezerwowy, dzielone będą między uczestników. Zarząd składa się z dyrektora i jego zastępcy, zostających pod kontrolą rady nadzorczéj z pięciu osób, wybieranych corocznie na walném zgromadzeniu. Zadaniem Banku Ziemskiego jest: 1) pośredniczenie w zaciąganiu pożyczek hypotecznych; 2) regulowania hypotek; 3) pośredniczenie w nabywaniu, wydzierżawianiu i parcelowaniu ziemi.

Niepodobna nam tu notować wszystkich pomysłów zagłady, stosowanych w Prusach, jak również wszystkich smutnych faktów, za które odpowiedzialni jesteśmy sami. Padają one na głowy nasze już nie jak deszcz, lub grad, ale jak potoki z rynny. Smutną tę kronikę dzienniki ledwie prowadzić wydążą. Gdy nawalna ulewa napadnie nas w drodze, a nie możemy się ani schronić ani osłonić przed jéj gwałtownością, najlepiéj jest wtedy znieczulić się siłą woli, zobojętnieć na działanie napastniczego żywiołu, nie zwracać uwagi, czy siła jego wzrasta, czy maleje, i iść daléj do celu, przyśpieszywszy tylko kroku. Chwilami zdaje się, że takie zachowanie się wobec powodzi klęsk publicznych sprawiło by ulgę. Byle tylko z oczu nie stracić jasnego celu, byle nie przestawać dążyć do niego.

Zwracamy uwagę czytelników na list p. Stanisława Belzy, drukowany w 50 nrze „Kraju" z r. z., a dotyczący stanu rzeczy w Poznańskiém. Autor nie pierwszy raz zabiera głos w téj sprawie i jak zawsze tak i obecnie przekonywa, że prawa wyjątkowe pozornie są tylko skierowane przeciwko garstce bezsilnéj dziś szlachty; w rzeczywistości ks. Bismarkowi chodzi o zniszczenie masy twardego w oporze chłopstwa polskiego. Jako dowód p. B. przytacza fakt, że wszystkie środki, z równą surowością jak w Poznaniu, stosowane są w Warmii, nad Notecią i na Szląsku Górnym, gdzie szlachty polskiéj wcale nie ma. Zdaniem więc autora, taka tylko działalność ratunkowa będzie brzemienną w poważne następstwa, taka tylko rozchwieje złe zamysły, która przedewszystkiém w rachubę weźmie najwłaściwszy i najpodatniejszy do skutecznéj obrony pierwiastek—lud. Parcelacya ziemi i osadzanie na niéj włościan polskich z Górnego Szląska, zakładanie kółek włościańskich, urządzanie jak najczęstsze chłopskich wystaw rolniczych, tworzenie banków i kas pożyczkowych ludowych—oto środki, które powinny być wzięte pod szczególną całego społeczeństwa naszego rozwagę. Ponieważ ani rozsądne słowa o środkach ratunku, ani taki punkt widzenia, jak autora listu do „Kraju", nie są wcale czémś nadzwyczajném w prasie naszéj, nie powtarzalibyśmy więc myśli p. St. Belzy, gdyby był on jedynie mówiącym literatem. W pracy przeciw-germanizacyjnéj bierze p. B. czynny udział i to oddawna. Zajmuje się zaś szczególniéj zakładaniem i rozwojem czytelni ludowych; niegdyś był współpracownikiem na tém polu ś. p. Karola Miarki. Przed kilku zaledwie laty założoną została w Poznańskiém taka czytelnia—bezpłatna......

Szczęśliwy wypadek nadarzył mi sposobność poruszenia, nie schodząc z gruntu spraw bieżących, kwestyi, która od dawnych już czasów leży mi na sercu. Chcę mówić o usposobieniu umysłów i uczuć, a przez to o kierunku pracy i działalności, jak również o pojmowaniu swego stanowiska wśród młodzieży uniwersyteckiéj.

W Krakowie prezes czytelni akademickiéj p. Płochocki wypowiedział, jakie według pojęć jego i kolegów, powinno być stanowisko i dążność młodzieńca, przygotowującego się do służenia krajowi działalnością ogólnie obywatelską i pracą w obranym zawodzie. Kwintesencya tego przemówienia była taka: student zapominać nie powinien, że jest synem tego a nie innego kawałka ziemi, że jest członkiem ludzkości, ale najpierwszym obowiązkiem jego jest *uczyć się*; uczyć się tych przedmiotów, które wykładają na odpowiednim wydziale.

Można było być z góry pewnym, że część przynajmniéj prasy galicyjskiéj rozedrze z tego powodu szaty, rzucając słowa klątwy na p. Płochockiego i jego wyborców. Tak się téż stało, grom padł ze szpalt „Kurjera Lwowskiego.“ Nie znam bliżéj tego pisma, ale słowa jego, użyte w tym wypadku, przypomniały mi setki artykułów, jakie czytałem w „Strażnicy“, „Sztandarze“, „Przyszłości“, „Równości“, „Przedświcie“, „Kurjerze Paryskim“, „Gminie“ i t. d. — słowem we wszystkich tych gazetkach, które podobne są do człowieka, krzyczącego w uniesieniu, albo do śpiewaka, ćwiczącego się w braniu najwyższych nut: o sens słów nie chodzi, byle ton był wyciągnięty do najdalszéj granicy. Pisma takie mają pewną, ograniczoną ilość nie pojęć prostych, lecz ich gotowych kombinacyi, ujętych w stanowcze frazesy, często z wykrzyknikami lub z kropkami na końcu. Gdy jaka kwestya zaliczoną zostanie do jednéj z przyjętych kategoryi, to pismo wypowie o niéj wszystkie przepisane na ten wypadek maksymy. Kto dużo czytał takich rzeczy, ten z góry na pamięć wyrecytować może, co dane pismo wygłosi o jakimś wypadku, może pomylić się tylko w porządku zdań. Frazesy, używane w różnych gazetach tego rodzaju, nie zawsze naturalnie są jednakowe i zależą od barwy stronnictwa. Pochodzenie ich téż różne: czasem jest-to przebrzmiałe hasło jakiéj spóźnionéj partyi politycznéj, jako takie mogło ono być niegdyś w jednym wypadku dobrze użyte, ale zaraz po wydostaniu się na świat szeroki zwietrzało; czasami znowu paradoks jakiego domorosłego, swojskiego, lub cudzoziemskiego filozofa, śmiały, jak nie obciążony nauką umysł; nareszcie i najczęściéj, takim forsownie, a jednostajnie najwyższym tonem wykrzykiwane bywają pojęcia, zaczerpnięte bądź z marzeń utopijnych, bądź z poezyi. Gdy się od uczniów szkoły jakiejkolwiek wymaga, aby łamali, czego rozum nie złamie, lub żeby ziemskie kolisko wpychali na nowe tory, to się prostą drogą dąży do tego, aby kraj rok rocznie zamiast rozumnych pracowników, otrzymywał z uniwersytetu pewną ilość ludzi nic *gruntownie* nieumiejących, t. j. takich, którzy ani naukowego poziomu społeczeństwa nie podniosą, ani do spełnienia poruczonych obowiązków uzdolnieni nie są, ani na żadną szerszą obywatelską działalność poważnie patrzéć się nie nauczą. „Kurjer Lwowski“ domaga się widocznie od studentów bohaterstwa, działalności politycznéj i przodowania społeczeństwu, gdyż rozsądne przemówienie p. P. nazwał *wstrętném*, *serwilistyczném*, *konserwatywném*. Czytelnia akademicka odpowiedziała na to odezwą z hasłem „*Audiatur et altera pars.*“ Zaimponował mi jeden ustęp odezwy. Zdarzało mi się słyszéć, jak jeden postępowy pisarz drugiemu perswadował: nie rób lub nie mów tego, bo cię okrzyczą za *konserwatystę*. Widocznie możność

spotkania się z tym epitetem przestrasza nawet ludzi poważnych. Tu młodzież, dowodząca swojej postępowéj działalności, powiada spokojnie: „Nie zarzut konserwatyzmu zrzucić z siebie chcemy, gdyż i konserwatysta, jeżeli pracuje uczciwie i w dobréj myśli, pracuje dla kraju.“ Brawo! W odezwie znajdujemy jeszcze taki ustęp: „Za przykład, za wzór, którego się trzymamy, wzięliśmy program, głoszony przez warszawskie „Ateneum“ i petersburski „Kraj“. Wybór ten cieszy mię dlatego, że obojętność względem czczonych gdzieindziéj *stanowczych* organów uchroni akademików krakowskich od straty drogiego czasu i pozwoli należycie skorzystać z lat spędzonych w szkole. „Kraj“ jest jedyném w granicach państwa rosyjskiego pismem polskiém, który decydował się powiedzieć studentom słowa prawdy, gdy się brali do nie swoich rzeczy.

Skłonność uważania się za siłę odpowiednią do pchania społeczeństwa na nowe tory, rzadko zapewne gdzie była tak silnie rozwiniętą wśród studentów, jak w Petersburgu za czasów mego tam pobytu w jednym z zakładów naukowych. Ile też razy, rozmawiając dziś z kolegami, ubolewać musimy nad prądem, skutkiem którego straciliśmy tyle dni i miesięcy, lat nawet na próżnych szamotaniach się w walce wewnętrzéj bez treści, w gorączce, trawiącéj siły. Skutkiem najfałszywszych pojęć o zadaniu swojém i o stanowisku, robiliśmy wszystko, aby wyszastać uczucie na marne, choć szlachetne u źródła fantazye, wykoślawić umysły, a następnie całe swoje życie. Nie większość wprawdzie, ale część jakościowo lepsza nie rozumiała lub nie pamiętała, że jest w szkole, że wstąpiła do niéj po to *jedynie*, aby się wykształcić w zawodzie,— ba, pamiętający o tém byli nieraz przedmiotem pogardy i szyderstwa; natomiast żyło się niby w klubie politycznym, wśród walki partyi, mówiło się i działało z zacięciem i pewnością doświadczonych mężów stanu, powołanych i nieomylnych „akuszerów społecznych.“ Umysłowo nabyło się wtedy pewną ilość nazwisk uczonych i demagogów, zdolność mówienia, chwalenia i potępiania książek i autorów, których się nie czytało nigdy, a o których słyszało się wśród sporów od kolegów, również ustnie przez kogoś poinformowanych. O poczuciu i zrozumieniu potrzeby gruntowności w czémkolwiek mowy nie było. Dzisiaj widzieć już możemy owoce takiego biegu rzeczy. Zajęty w domu socyologią studyował w szkole medycynę lub nauki techniczne, matematyk oddawał się ekonomii politycznéj, prawnik — ludoznawstwu i t. d.... dzięki temu społeczeństwo zyskiwało ciągle byłych studentów bez patentu, lub upatentowanych partaczy, partaczy zarówno w medycynie, jak i w socyologii. Ci, którzy zdolni byli do wznioślejszego polotu, wyszafowali swe uczucia w epoce życia, kiedy się jeszcze nie umie racyonalnie używać sił.

Ponoć i dzisiaj choroba ta nie wszędzie i nie zupełnie grasować przestała. Przeczytanie jakiéjś broszury, zasłyszenie o nieznanéj dotąd idei zapala łatwo młodą głowę; wydaje jéj się wtedy, że jest w posiadaniu prawdy, któréj świat cały albo nie zna, albo poznać nie chce bądź przez głupotę, bądź przez egoizm kastowy, lub jaki inny. Dzięki temu, dobre mniemanie o sobie wzrasta niepomiernie; na wszystko, zewnątrz siebie i zewnątrz braci swych w prawdzie, spogląda się z wysokości niedoścignionéj. (Dowody takiego traktowania nawet uczonych o rozgłośnych nazwiskach widziéć możemy w artykułach pewnego pisma). Młodość zaczyna być uważaną nie za wiek, lecz za zaletę. Gdyby się patrzyło na pozę młodzieńca w takiém stadyum z zewnątrz czysto, nie współczując ani jemu, ani społeczeństwu, na posługi którego się wychowuje, miało by się zabawny widok; przypomniał by się nam Wojtuś z bajki, który głosi, że dosiada rumaka, a obejmuje nogami patyk, lub dziewczynka, udająca się z powagą dorosłéj damy na wizytę do drugiego pokoju. Ale po za śmieszną stroną jest inna, bardzo przykra; przez cały czas trwania choroby, dotknięty nią młodzieniec staje się niedostępnym dla wszelkich rozsądnych wpływów, marnuje czas. Społeczeństwu rzadko kiedy tylko wybryki studenckie przynoszą bezpośrednią szkodę, ale złém jest, że przez nią obniża się wartość przyszłych obywateli.

Z tego, co mówię, nie wynika wcale, aby ideałem był mi zaciekły specyalista, niechcący nic wiedziéć po za sposobami rozwiązywania równań różniczkowych, lub nowemi odkryciami w embryologii. Owszem, pragnę gorąco, aby w młodzieży tętniły żywo uczucia, łączące jednostki z krajem i ludzkością. Niech studenci w marzeniach, a nawet w rozmowach usiłują łamać, czego rozum nie złamie, bratają niebo z ziemią; niech mają przekonania i uważają je za słuszne, bo kto tylko interesuje się tém, co się naokoło niego dzieje, ten musi wytwarzać sobie pojęcia jakieś; niech nie pozwolą, by ktokolwiek bezkarnie poniżał ich godność osobistą,—ale niech to wszystko koronuje zrozumienie swego stanowiska. Uczeń najwyższéj nawet szkoły rozumiéć powinien, że nie stoi na stanowisku żadnego sternika i że *obowiązkiem* jego jest ze spędzonego w uniwersytecie czasu wyciągnąć jak największą korzyść. Jeźli marnéj trawy wyhodować, lichego klombu z kwiatami doskonalić nie potrafi nikt, kto parę lat nie studyował i nie praktykował w tym zawodzie, — to tém bardziéj społeczeństwa nie zbawi ani jeden, ani stu entuzyastów, posiadających tymczasem prócz entuzyazmu bardzo niewiele. Aby pojąć i zrozumiéć stosunki ludzkie, trzeba wiele badać, wiele doświadczyć, wiele się nauczyć, a nauki nie daje Duch święty, tylko mozolna praca. Pożyteczna dla społeczeństwa działalność w szerszém

znaczeniu słowa wymaga nietylko wiedzy i talentu, ale także hartu, mocnego charakteru. Kto się jéj chce oddać, ten powinien dobrze poznać siebie i niejedną chwilę spędzić na badaniu duszy własnéj, jak Jezus na pustyni. Życie długie, dosyć czasu zostanie nawet po 30-tym roku do działalności obywatelskiéj, gdy umysł dojrzeje i sił się potrafi użyć lepiéj i właściwiéj.

Każdy, kto porównywał naszą młodzież uniwersytecką z zagraniczną, w pierwszéj chwili był przekonany o stanowczéj niższości drugiéj. Tamci to dzieciaki, gotowe na korytarzu szkoły bawić się w chowanego, nasi—statyści sami. Tymczasem, gdy na zachodzie nie brak w dojrzałym wieku ani serc gorących, ani umysłów wzniosłych, ani pracy olbrzymiéj, z naszych obiecujących młodzieńców wyrasta coś tak powszedniego, że w każdéj gałęzi życia czuje się nieustannie brak ludzi. Naturalnie różne przyczyny wywołują takie zjawisko, ale bez kwestyi jest tam i ta, że rozwój człowieka idzie bardziéj prawidłowo. Dziecko jest dzieckiem, młodzieniec młodzieńcem,—uczy się, słucha rozumu i daje mu się powodować; tam do życia przystępują ludzie z nabytą wiedzą, u nas często z rozczarowaniem i przesytem.

Zwykle studentów na właściwéj drodze trzyma wpływ profesorów, którzy pracy swojéj nie ograniczają na wygłoszeniu prelekcyi w audytoryum. Gdy zaś to miejsca miéć nie może, wpływ taki wywiérać powinna cała inteligencya danego społeczeństwa. Jest-to jednak bardzo trudne. Młody umysł nie zawsze pojąć zdoła głębszą prawdę, a łatwo bardzo da się pociągnąć bezwzględnością paradoksu; dowodem tego jest uznanie, jakiém długo cieszyły się pisma Pisarewa, którego płytkości nie osłaniają nawet żadne pozory. Ażeby więc do młodzieży trafić mógł rozsądek, trzeba wprzód zdobyć zaufanie, zaimponować wiedzą. Profesorowi to się udać może łatwo, każdemu innemu śmiertelnikowi w wyjątkowych chyba wypadkach. Tém nie mniéj za panujący stan rzeczy odpowiedzialność w znacznéj części spada na ogół. Ci, którzy sami doszli do smutnego przeświadczenia o straconym czasie w uniwersytecie, nic robią nic, aby od tegoż samego uchronić młodszych kolegów. Wśród społeczeństwa i prasy istnieją co do studentów stare przesądy, które utrwalają wśród młodzieży chorobę na wielkość i złą jéj przysługę oddają.

Dawnemi czasy uczniowie szkół wyższych w Paryżu, w Wiedniu i gdzieindziéj przyjęli udział w wypadkach, które uzyskały późniéj sympatyą powszechną; od tego czasu uważani są za rodzaj legionu, gotowego zawsze do walki za narody. Stare to dzieje; podczas ostatniéj wojny francuskiéj starano się, aby kursy w zakładach naukowych nie przerwały się, szkoła politechniczna, mająca naj-

świetniejsze tradycye z dni walki, przeniesioną została z Paryża do Bordeaux i Littré tłómaczył zebranym słuchaczom, jak różne względem ojczyzny są obowiązki dla ludzi różnego wieku.

Im bardziéj na wschód, tém jaśniejsza aureola otacza młodzież szkolną; Turgieniew, który nie wahał się w powieściach smagać naiwność, zarozumiałość i inne wady *nowych ludzi*, w „Senilii“ ubolewa, że młode serca odwróciły się od niego, że nie ma wśród nich uznania. Zabawne żądanie i dziwna skarga: uznanie łatwo zdobyć sobie, schlebiając słabostkom i próżności; gdy się chłoszcze wybryki, trudno wymagać uznania od schłostanych. Nasza prasa jest także skłonna do wyśpiewywania różnych czułości w kierunku serc studenckich. Nawet w „Roli“ w odpowiedziach od redakcyi można znaleść taką mniéj więcéj deklamacyę: Drogiem nam jest szczególnie uznanie wolnych od egoizmu czystych serc młodzieży itd. Ludzie, którzy łatwo zrozumieją, że student nie może być skarbnicą mądrości, gotowi są przysiądz, że w téj sferze żyją same uczucia najwybrańsze. Jestto złudzenie. Ludzie nieskrępowani interesami osobistemi mogą miéć uczucia czystsze, to prawda, ale pamiętać należy, że w tym wypadku głos serca nie wydostanie się na zewnątrz, bo zawsze prawie myśli i mówi jakaś doktryna, nieubłagana, jednostronna, zapamiętała doktryna. Wiek młodzieńczy, gdy się umysł zacieknie w pogoni za widmami, jest nietolerancyjny, okrutny. Gdy się takich umysłów zbierze dużo, to panuje nad nimi najkrańcowszy, najbezwzględniejszy z nich, który znowu podbijają oklaski i uznanie. Wiemy, że w tym wieku nie rozumie się odmiennych pobudek, lub innego zdania. Każdy chłodniejszy głos — to syczenie zdrady; każdy powściągliwszy temperament—to idyotyzm, lub egoizm.

W stosunku prasy, a przynajmniéj pewnéj jéj części do młodzieży szkolnéj, jest jeszcze gorsza strona. Studenci stanowią bardzo liczny kontyngens prenumeratorów i nabywców pewnych wydawnictw i są głównymi ich protektorami wśród okolicy, z któréj pochodzą. Toż samo pismo, które zarzuca służalczość „Słowu“ lub „Niwie“ wobec szlachty, mocno się liczy ze zdaniem, gustem i usposobieniem wychowańców zakładów wyższych, i stale dba o ich względy. W ten sposób na opinią publiczną wywiera wpływ sfera, która go wcale miéć niepowinna.

Słowa moje wzięte będą naturalnie przez młodzież za objaw wstecznictwa, uczuć „burżuazyjnych,“ lub czegoś jeszcze gorszego. Niestety, doświadczenie starszych mało jest pouczające dla młodszych. Pochodzi to może stąd, że dla wykroczeń wiosny życia czujemy pewną słabość, stąd niedosyć energicznie występujemy przeciw nim u innych. Pewien pisarz, cieszący się za moich czasów

wśród ław uniwersyteckich wielką powagą, w powieści „Prolog do Prologu“ mówi: „kto z nas nie żałował tego, co zrobił w 24 roku życia.“ Sądzimy, że nikt nie żałował, jeżeli się w tym czasie nauczył chemii, lub historyi, żal, o którym mowa, stosować się tylko może do jakiejś roboty na zewnątrz; a jednak pisarz ten nigdy myśli swéj nie rozwinął, nie ostrzegł zwolenników i wpływ jego wciąż sprawiać może, że ludzie żałują lat straconych. I tu i za granicą wśród emigracyi widziałem tylu ludzi pełnych nadziei niegdyś, którym zbyt wczesne rzucenie się w wir działalności publicznéj wyjałowiło umysł, stargało siły i tak daleko odgoniło od prawidłowéj drogi, że na nią wrócić już nie mogą. Niezahartowane charaktery gięły się, pękały wśród demoralizujących wpływów. Niegdyś na nich skupiały się nadzieje starszych i rówieśników,—dziś stali się roztrajkotanemi katarynkami, które się tłuką po świecie, nie obchodząc nikogo, sprzykrzywszy się sami sobie. Dla tego téż nie mogę obojętnie patrzéć, na te stosunki i nie przestaje mnie gnębić myśl, że stan podobny trwa daléj, i że w ten sposób społeczeństwo wciąż marnieje.

Jak niewłaściwie u nas plączą się nieraz drogi wychowania, przez jakie ciernie i głogi przechodzić muszą zdolności zanim się wydostaną na właściwe pole—jeżeli się wydostaną—tego przykładów nie brak.

Od niejakiego czasu we wzmiankach prasy, w ogłoszeniach „Kuryera“ i nareszcie na okładkach broszury oddzielnéj spotkać można było nazwisko pana *Ryszarda Leona Puciaty*, którego bieg życia wymownym jest do pewnego powyższego zjawiska dowodem.

W roku 1878 skończył on wydział mechaniczny Technologicznego Instytutu w Petersburgu; potém jakiś czas zajmował się drobnemi i dorywczemi pracami technicznemi, następnie został nauczycielem, inspektorem, a w końcu i właścicielem szkoły ś. p. Ludwika Łopuskiego. Na co panu P. zdało się skończenie wydziału mechanicznego w pracy pedagogicznéj, albo na co się wziął do niéj po pięcioletniém kierowaniu się na technika—trudno zgadnąć. Jakie studya poprzedziły objęcie tak ważnego stanowiska, jak wychowywanie setek dzieci—niewiadomo. Gdy zakładano stacyę meteorologiczną w Warszawie, kierownictwo jéj poruczano byłemu profesorowi Szkoły Głównéj, człowiekowi wyjątkowo głębokiéj wiedzy, znającemu się na rzeczy na wylot. Zrozumiéć, jak urządzić należy stacyą meteorologiczną, daleko łatwiéj można z książki, niż nauczyć się prowadzić szkołę z jedno, czy dwuletniéj praktyki. A jednak uczony fizyk, obejmując swoje stanowisko, widział potrzebę przyjrzenia się podobnym urządzeniom za granicą, pojechał, zwiedzał, badał; pan P. zaś spokojnie od pewnego dnia zaczął rządzić, uczyć, karać. Jak się

tam działo, opisze może kiedyś jaki współpracownik pana P. Nareszcie pan P. szkołę zamknął z własnéj woli, a potém został kierownikiem zakładu w Studzieńcu. I znowu odrazu uznał się za zupełnie odpowiedniego do pracy w nowym zawodzie, do poprawiania małoletnich przestępców. Po niejakim, bardzo niedługim czasie pan Ryszard Puciata opuścił instytucyę studzieniecką, tą razą nie z własnéj woli. Wynikły nieporozumienia, które ściągnęły na zarząd Osad Rolnych nieprzyjemny proces, zakończony przegraną p. Puciaty. Gdy kto jest zadumnym, aby się ugiąć do usprawiedliwienia nawet przed społeczeństwem, ten... milczy. Pan Puciata nie zrobił ani jednego, ani drugiego, natomiast wydał na gwiazdkę broszurę pod tytułem: „*Co nam daje prasa Warszawska czyli podarek dla naszych wielkich napisał w obronie maluczkich Ryszard Puciata.*“ Po tytule znajduje się jeszcze bardziéj pretensyonalny wstęp, czy dedykacya, a późniéj napaść na prasę, która jakoby nie spełnia swoich obowiązków. O ile zrozumiéć się da, p. P. chciał powiedziéć, że prasa z początku rozzuchwala, a późniéj nie ściga zarządców instytucyj publicznych, którzy nadużywają swego stanowiska. Dzieją się okropne rzeczy, których się publiczność nawet nie domyśla; wszelkie sprawozdania, roczniki — to blaga, prasa często wie, że jest złe i milczy. Czy można nie pomyśléć, że tu mowa o Osadach Rolnych? Hola, panie Puciata, albo pan coś wiesz, posiadasz dowody i w takim razie *masz obowiązek* uwiadomić ogół szczegółowo o nadużyciach, albo nie odciągaj uwagi ogółu od własnych wykroczeń i nie mścij się na prasie i Zarządzie za swoje winy. Sumienie społeczne takiemi insynuacyami musi zostać zaniepokojone, w instytucyi za grosz, zebrany z trudem, dzieją się niby nadużycia, a niewiadomo jakie; trudno żądać od zarządu tłómaczenia, kiedy ten wiedziéć nie może o co go oskarżają. Jeden p. Puciata utrzymuje, że wie i mówić nie chce. Pan Puciata zgłaszał się do różnych pism z aktem oskarżenia, ale nie składał dowodów, i następnie pomstował na przewrotność prasy. Przed 3 miesiącami słyszałem z własnych ust p. P. te utyskiwania, które brzmiały, iż w Warszawie nie może znaleść śmiałego literata, któryby ujął się za jego krzywdą. Na pytanie o dowody odpowiedział, że takowe posiada i że są aż nadto wystarczające. Prosiłem go o nie, upewiając, że znajdę mu i literata śmiałego i pismo dosyć odważne do wydrukowania skarg. P. P. wziął mój adres i nie pokazał się. Czy zamiast wydrukowania niedorzecznéj broszury, nie lepiéj nie właściwiéj było opublikować dowody? Jeżeli prasa taka niegodziwa, że milczy wobec występku, to dlaczego ją p. Puciata naśladuje? A wiesz, panie dyrektorze, jak się nazywają ludzie, co oskarżają przed opinią niesłusznie? Broszurami takiemi się pan nie wykręcisz.

Towarzystwo Biblioteki Polskiéj w Jassach w Rumunii nigdy nienależało do najruchliwszych kolonij naszych na obczyznie, ale było może najwytrwalszém. Zdaje się, wielka część zasługi przypada na pracę nieustanną i dbałość dr. Łukaszewskiego, znanego autora dzieł i artykułów polityczno-historycznych, człowieka bardzo czynnego. Ktokolwiek choć przez krótki czas brał udział jakiś w życiu Polaków na obczyznie, ten słyszéć musiał o dr. Łukaszewskim, który nie ogranicza się na pracy na miejscu, lecz utrzymuje stosunki z wieloma wybitnemi osobistościami, zachęca do łączności, podsyca życie. W tym roku, jak lat dawniejszych, wydał dr. Ł. sprawozdanie Towarzystwa. Prócz duplikatów, książek dla dzieci i ludowych zawiera obecnie biblioteka w 2678 numerach 4248 tomów. W 1886 r. powiększyła się ona o 158 dzieł, z których 83 darowanych, 75 kupionych; wydawnictw peryodycznych nadsyłano bądź darmo, bądź za zniżoną cenę 25. Członków towarzystwo liczyło 45. Opiekunów jest obecnie jedenastu, są to najszanowniejsze osoby z kraju i z zagranicy. Fundusz żelazny wynosi 7444 franki, obrót roczny 1043 fr. Towarzystwo pomagało biednym rodakom i grosz swój słało na potrzeby kraju.

Ludwik Straszewicz.

NEKROLOGIA.

† **Teofil Borzęcki**, najstarszy niewątpliwie z pedagogów naszych, był najprzód nauczycielem w t. z. „akademii szczebrzeszyńskiéj“, a po jéj zamknięciu kolejno nauczał w Łukowie, Kielcach i Radomiu. W r. 1862 wydał książkę p. n. „Treść logiki popularnéj, poprzedzona krótkim wykładem psychologii“ (Warszawa, w 8-ce, str. IV i 247), zaradzając potrzebie, wynikłéj z zaprowadzenia w Warszawie Szkoły przygotowawczéj. W 86-tym roku życia zmarł 26-go stycznia r. b. w Warszawie, gdzie osiadł jako emeryt.

† **Andrzéj Ruszyński**, urodzony 1861 r. w Mażucie, po ukończeniu szkół maryampolskich, wstąpił do seminaryum w Sejnach, potém w Żytomierzu, następnie do Akademii duchownéj w Petersburgu, którą ukończył r. 1884 i wyświęcony został na księdza. Prace swoje pomieszczał w „Przeglądzie powszechnym.“ Zmarł z przeciążenia pracą umysłową w Petersburgu w styczniu r. b.

OGŁOSZENIE.

„KRAJ“

(NN. 49, 50, 51 i 52).

Artykuły wstępne: Po latach pięciu, Wł. Spasowicza; Na grobie ś. p. W. Kalinki; Zniesławienie i potwarz w druku; Europa pod bronią; Przyczynek do sprawy sądów gminnych w Królestwie.

Korespondencye: Z Paryża, Zyzmy; z Tylży, Budrysa; z Filipopola, Stan. Biern.; ze Lwowa, Iw. Franko; z Mińska lit., Al. Jelskiego; z Kijowa, Lektora; ze Lwowa, Janusza; z Galicyi, J. Rogosza; ze Lwowa, Veraxa; z Suwałk, Towciwiłła; z Kamieńca, dr. Antoniego J.; Z sądów. Sprawy bieżące. Dział polityczny. Z tygodnia. Dział ekonomiczny. Ogłoszenia.

Przegląd literacki: W mroku (wyjątki z Imaginy). M. Konopnickiéj. Nowe dzieło o Bulgaryi (Gopczewicz), Wł. Spasowicza. Jan Lam, J. Tretiaka. Unia dwu wysp (Hervé), Hodi'ego. Aplikacya urzędnicza Jul. Słowackiego, Wł. Sabowskiego. Dnie głodu, T. T. Jeża. Za i przeciw, J. Baudouina de Courtenay. O. Piotr Semeneńko, *t.* Przemytniczka, opowiadanie W. Tissota. Dzieje Ploski d-ra Caro, K. Jarochowskiego. W noc Bożego Narodzenia, St. Z dysonansów, Bożydara. Trzechsetna rocznica, J. Stekinta. A. H. Kirkor, Al. Jelskiego. Towianizm hr. Tołstoja, Zdz. M. Pogadanka naukowa, Ad. Mahrburga. Tułactwo Izraela, H. Żel. Śmiech wody, Mendesa. Sprawozdania literackie. Kronika nauk. liter. i artystyczna. Nowe książki. Treść pism. Bibliografia.

Odcinek: Żal, nowela Ostoi. Pan burmistrz z Pipidówki, powieść M. Bałuckiego.

Cena w Cesarstwie i Królestwie 10 rs., za granicą 12 rs. rocznie. Adres: *Petersburg. Plac W. Teatru, 10.*

OFIARA.

Pan Henryk Janowski z Petersburga nadesłał na ręce redakcyi „Ateneum“ rubli 5 na rzecz Kasy imienia Mianowskiego.

SPROSTOWANIE.

W zeszycie styczniowym r. b. na str. 84, w wierszu 14 od góry, zamiast „szesnastkowym“ czytać należy „sześćdziesiątkowym.“

Wydawca **W. Spasowicz**. — Redaktor **Piotr Chmielowski**.



KIERUNKI NASZYCH CZASÓW.

Prądy, objawiające się w tegoczesnych społeczeństwach, pod wpływem rozwoju, osłabienia, lub zmiany najgłówniejszych — zasadniczych pojęć, przedstawiają wiele pozornych, a nawet rzeczywistych sprzeczności, zaciemniających dalszą drogę. Wynaleźć punkt zapatrywania się, najodpowiedniejszy ku wyrozumieniu obecnego położenia i ruchu, jest zadaniem pracy niniejszéj.

I. NARODOWOŚĆ.

Pojęcie narodowości jest przez każdego inaczéj rozumiane; nadawane mu są bowiem najrozmaitsze znaczenia, idąc od materyalnych, rasowych, aż do najzupełniéj oderwanych.

Nie mam pretensyi do wywodzenia naukowych teoryi, sam przedmiot jednak nie może być zbytym pobieżnie; chociażbym więc przekroczył nieco miarę dla publicystyki codziennéj właściwą, będzie to winą nie moją, lecz doniosłości przedmiotu.

1. Uczucie samozachowania jest pierwszém, najogólniejszém i najtrwalszém uczuciem całéj żyjącéj natury.

Człowiek — istota towarzyska — w miarę umysłowego rozwoju swego i społeczności, do któréj należy, rozciąga stopniowo to uczucie na rodzinę, na ród, na pokolenie, na naród i każde z tych przejść, to formacya geologiczna w moralnéj sferze, trwająca dziesiątki, może setki wieków, a im szerszy jest krąg, z którym zespala człowiek swoję osobistość, tém wyższém staje się jego uczucie, tém bardziéj z egoizmu wypalają się okruchy, a spływa czysty metal poświęcenia.

Jakim sposobem odbywają się te przemiany i gdzież jest ta spójnia wiążąca rody, pokolenia i plemiona w jeden naród, w jeden

żywy organizm, w olbrzymią osobistość o niezaprzeczonych, jasnych i wyrazistych rysach ?

Rząd, prawa, religia, język, zwyczaje, obyczaje, są to najwybitniejsze zjawiska zewnętrzne życia społecznego. Stanowią one widomy węzeł każdéj narodowości, i zdaje się najprostszém szukać *w nich tylko samych* źródła spójni. Zastanawiając się jednak kolejno nad każdém z tych zjawisk z osobna, daje się dostrzedz i udowodnić fakt, że po za pomienionemi zjawiskami, których doniosłość jest niezaprzeczenie niezmierną, inne jeszcze, głębsze, wewnętrzne warunki stanowią samę istotę i treść narodowości.

2. Pod jednym rządem pozostaje częstokroć kilka narodowości, które duchem są sobie najzupełniéj obce, a czasami nawet dzieli je nienawiść. Duńczycy, Polacy w sejmie pruskim nieraz doznali niedwuznacznych tego dowodów. Niemcy i Węgrzy pod berłem Habsburgów są to dziś, jak i dawniéj, dwie odrębne, duchem sobie obce narodowości.

Z drugiéj strony, naród może się rozpaść pomiędzy rozmaite rządy, nie zatracając jedności narodowéj. Tak Włosi, przed laty jeszcze trzydziestu, pod mnóstwem rządów tą samą oddychali myślą zjednoczenia, o którém ongi jeszcze marzyli Dante i Machiavelli. Półtoratysiąca lat rozdrobnienia i całe szeregi gwałtów jedności ich nie zniszczyły.

A daléj, jeżeli dana forma rządu wpływa w swoim czasie na wyrobienie charakteru narodowego w pewnym kierunku, to znów naodwrót: pod działaniem tego charakteru, istota rządu w danych narodowych warunkach bardzo często przestaje odpowiadać formie, rząd monarchiczny staje się w zastosowaniu republikańskim, a republikański autokratycznym.

A więc rząd nie powoduje ani scementowania obcych sobie narodowości, ani téż zdoła rozbić już istniejących narodowych węzłów; forma nie stanowi o istocie jego w zastosowaniu, przeciwnie, kierunek rządu bardziéj jest zależnym od ducha narodowości panującéj, niż mu ten duch podlega nawzajem.

3. Prawa w znacznéj części utraciły w nowszych czasach miejscową, narodową cechę. Minęły dawne wieki, kiedy naród cały swój geniusz wcielał w prawodastwo; przychodzimy coraz więcéj do kilku oderwanych typów. Tym samym typem kierują się często narody, pomiędzy któremi niéma skądinąd żadnego podobieństwa, a każdy z nich inaczéj wykonywa te prawa, tak że sposobem wykonywania praw więcéj różnią się między sobą narody, niż zyskują na podobieństwie przez przyjęcie praw jednakowych.

4. Znając naród i charakter jego, można rokować, jak pojmie on, uszanuje i wykona prawa jakiejkolwiek religii. Znając religią i jéj ducha, niepodobna przewidzieć jak przystosuje się ona w narodzie bliżéj nam nieznanym. Górujące prawdy téj saméj religii tłómaczą się bez względu na czas i miejsce w sposób zawsze i wszędzie jednakowy, lecz to, co w zastosowaniu jest tych prawd kwiatem samym — uczucie religijne, inną ma woń i barwę pod każdém niebem.

Rażące jest podobieństwo pomiędzy purytanizmem Szkotów a Hiszpańskim katolicyzmem, kiedy znów ten ostatni mało ma wspólnego z pogodną, nawpółpogańską religijnością katolickiego Włocha.

Anglia z jéj niesłychaną rozmaitością wyznań — to jeden naród. Austrya z jedną religią—to zbiór narodów. Skoro więc jedna religia w różnych narodach objawia się różnie, a w jednym narodzie różne religie objawiają się jednakowo, to pomiędzy religią i narodem niéma stosunku przyczyny i skutku, a tak charakter narodowy jak i stosunek narodu do religii zdają się być wspólnemi następstwami innéj, dalszéj przyczyny.

5. Język jest już cechą narodowości tak wyraźną, iż o niéj zdaje się stanowić niewątpliwie.

Nie sprawdza się jednak ta zasada na wielojęzycznéj maleńkiéj Szwajcaryi, którą jeden mocno zjednoczony zamieszkuje naród, nie sprawdza się na Ameryce północnéj, gdzie Niemcy, Skandynawi, Polacy utrzymują każdy język macierzystéj swojéj narodowości, a jednak stwarzają w oczach naszych, wszyscy pospołu, odrębną narodowość, coraz wyraźniejszą. Nie sprawdza się też ani na Alzatczykach, którzy mówią po niemiecku, ale nazwać się Niemcami nie chcą, lecz mianują się Francuzami; ani na Szwajcarach, mówiących po francuzku, którzy jednak oprócz języka mało zresztą z Francuzami mają i mieć chcą wspólnego.

6. Wewnątrz każdéj większéj narodowości napotykają się grupy nietylko o gwarze, ale i o zwyczajach i obyczajach zupełnie odmiennych. Nie można powiedzieć, że język-to i zwyczaj z Bretona i Baska czyni jednolitych Francuzów, skoro dziś jeszcze nie bardzo się oni rozumieją; a powiada Hellwald, że i obecnie większa pomiędzy nimi zachodzi różnica, niż pomiędzy każdym z nich a Niemcem. Któż wątpi jednak o tém, że należą obaj nietylko do jednego państwa, ale i do jednego narodu. Toż samo da się powiedzieć o Piemontczyku i Sycylianinie.

7. Wszystko zatém prowadzi do przekonania, że zjawiska zewnętrzne nadające narodowi cechę jednolitości nie są przyczyną zjednoczenia narodów lecz wprost przeciwnie wchłonięte przez naród naginają się one do jego ducha, i treści od tegoż zapożyczają. *Spo-*

sób ich pojęcia i wykonania nie jest przyczyną lecz skutkiem narodowości w duchu swoim wyrobionéj.

Poszukajmy więc w prawach ducha tych węzłów, które wiążą w jedną osobistość zbiorowisko nieprzeliczone.

8. Najistotniejszemi prawami wszelkiego życia są nieprzerywalność i zmienność. Ileż to razy w ciągu krótkiego istnienia przerabia się ustrój istot organicznych aż do najdrobniejszéj fibry, a jednak trwa on wciąż jeden, niezaprzeczenie ten sam. Podobnie i każda ludzka gromada w jedném osiedlona miejscu przechodzi zmiany najrozmaitsze, a przez wszystkie zjawiska wspólnego jéj życia wije się jednak nić ta sama, widoczna dla najpowierzchowniejszego badacza.

Nie cofając się w te wieki, ani idąc w te miejsca, których stosunki zbyt od naszych są różne, przypatrzmy się, jak snuje się ta nić przed naszém okiem w czasach dzisiejszych.

Pierwsze wrażenia umysłu, wszechmocny przykład, popęd do naśladownictwa i chęć wyróżnienia się wyrabiają w rodzinie umysł dziecięcia swojém współ i przeciwdziałaniem. Chęć do naśladownictwa prowadzi do ustalenia przyzwyczajeń, do wyrobienia z nich *zwyczaju*, którego znaczenie jest niezmierne, jest on bowiem pierwowzorem prawa i wywołuje zewnętrzną łączność społeczeństwa, ujednostajniając postępowanie jego członków; szanowany w rodzinie zwyczaj nabiera powagi pod grozą rodzicielskiéj kary. Wrodzony znów każdemu samorzutnemu umysłowi popęd do wyróżnienia się, który w rodzinie węzłami sympatyi połączonéj potępianym nie będzie, wnosi do zwyczaju pierwiastek zmiany o tyle do przyjęcia łatwiejszy, o ile nic szanowanego nie łamie.

Rodzina, wyrabiając uczucie i podległą mu wolę drogą sympatyi, na gruncie utrwalonych doświadczeń przeszłości, jest zawiązkiem organicznym narodowéj spójni; przez wymagane posłuszeństwo i karność daje dziecięciu pierwsze poczucie obowiązku, przez wzajemne przywiązanie i ustępstwa jest szkołą poświęcenia i ofiary.

Popędy odebrane pod dachem rodzinnym trwają przez całe życie, tak jak ta siła ciążenia, która wiąże ciała do słońca i nie dopuszcza im lecieć w nieskończoność, każdemu swoim szlakiem.

Chęć wyosobnienia się—popęd do indywidualizmu, to siła rzutu w przestrzeń, która broni ciało od spadania na słońce.

Ze *szkoły* odbiera młodociany umysł cały szereg uczuć, wiadomości i wyobrażeń, które się wiążą w sieć tak splątaną, że najczęściéj w stanie całości nierozerwanéj niesione są z człowiekiem do grobu. Tadeusz Kowalski

Wpływ szkoły jest tém silniejszy, im więcéj dąży ona do spotęgowania uczuć nadanych przez rodzinę, im więcéj posiłkuje się założonym już w głębi ducha fundamentem.

Dla ludzi w wieku dojrzałym uznana wielkość, wyższość umysłowa i moralna osobistości przodujących, stanowi trudną do zwalczenia *powagę*. Tą drogą nabiera człowiek przekonań, do których nie doszedł własném doświadczeniem, a tych posiada całe mnóstwo.

Najsilniejszym wreszcie bodźcem do działania, miarą do moralnego sądu o wypadkach i ludziach jest *opinia publiczna*. Nadaje ona temu z pomiędzy współczesnych wpływ nieprzeparty, kto umie być zrozumianym, trafić w tętno narodowych skłonności, mową i czynem ucieleśnić ducha otaczającéj go społeczności. Taż sama opinia pozbawia wpływu innych, choćby najrozumniejszych, jeżeli idą na przekór narodowym skłonnościom. Spotyka ich to obojętność — to wstręt—to nienawiść, i pozostają bezsilni. Tak to uczucie narodowe chciwie wchłania te siły, które idą na jego wzmocnienie, inne sobie przeciwne bezwzględnie odrzuca, zatém z pokolenia w pokolenie musi się wzmagać. Żywi się własną piersią; soki, duchowi swemu obce, rzadko przyswaja, najchętniéj odtrąca.

Te cztery siły społeczne: rodzina, szkoła, powaga i opinia tak ściśle są z sobą powiązane, tyle w każdéj z nich napotyka się śladów i działania trzech pozostałych, że wszystkie razem tworzą jedną, jednoimienną siłę społeczną, są podścieliskiem tradycyi i nadają *ciągłość* zjawiskom narodowym.

Cóż to jest tradycya?

Jest to złożone a przecież jednolite pojęcie, w którém połączone są w organiczną całość: kraj przez społeczność zamieszkany, obyczaje, zwyczaje, prawa, język, zdobyte skarby nauki i sztuki, religia i przeszłość historyczna.

Kto tradycyą pokochał, w tym bije żywe źródło przywiązania do domowéj zagrody, do współobywateli, do kraju, tym włada uczucie narodowe.

Uczucie to tém jest silniejsze im bogatszą w treść jest zawartość tradycyi. Dopóki naród na widowni świata nie zaznaczy swojego historycznego pochodu, dopóki jakąkolwiek stroną nie zaważy dodatnio w losach ludzkości, dopóty jest zbiorem pokoleń, nie zaś narodem, masą niekształtną, nie zaś osobistością o postaci wyraźnéj, jaką być musi przedmiot, jeśli uczucie, jakie wzbudza, ma być zdrowe i płodne.

Powody tego są proste.

Historyczna przeszłość, to dzieje walk przetrwanych zewnętrznych i wewnętrznych, a skutki walki są dla uspołecznienia najdonio-

ślejsze, gdyż wyrabiają pojęcia porządku, karności, zasługi i powagi, a więc zaciskają społeczne węzły. Historyczna przeszłość, to wspomnienia wspólnych klęsk i wspólnéj chwały, wspomnienia dni wspólnéj obrony od wroga, kiedy wyszły na jaw dotykalne korzyści z narodowéj spójni, kiedy dał sobie naród nowe rękojmie braterstwa.

Udział w losach ludzkości zdobywa się dołożeniem swojéj cegły do wspólnéj budowy, do rozwiązania zadań szlachetniejszych i wyższych, niż samolubna troska o chléb powszedni; tą drogą naród w ludzkości może nabyć téj saméj powagi, jaką pośród niego posiadają przodujący ludzie, więc czuje się uznawanym i szanowanym członkiem wszechludzkiéj rodziny i o tyle téż więcéj sam siebie szanuje.

Pod wpływem przyczyn podobnych, w tym samym narodzie różne jego klasy niejednakowe mają narodowe uczucie, siła i objętość tegoż idzie w równéj mierze za siłą i objętością przyswojonych przez umysł nabytków tradycyi, nie zaś za stopniem oświaty. Kiedy w Anglii i Węgrzech uczucie narodowe najmocniejszém jest w klasach wyższych, to we Włoszech i Francyi w średnich, a w Irlandyi i Czechach w najniższych. U jednych tradycya wyrasta na gruncie historycznym, u drugich z ustnego podania i legendy. Niejednokrotne jednak mieliśmy tego dowody, że w danych momentach historycznych jedno wspólne uczucie przebiega jak iskra elektryczna przez wszystkie warstwy narodu i łączy je z sobą doraźnie. W tych wypadkach przemiana zewnętrzna dokonywa się nagle, wewnętrzną musiały przygotowywać wieki. Trudno jednak wyśledzić i opisać te drogi, jakiemi przenika uczucie narodowości i do tych klas, które względem niego zdają się być obojętne.

Zjawiska, co z osobna wzięte, nie tłómaczą ani charakteru narodowego, ani jego siły, téż same zjawiska nabierają znaczenia, właściwéj wagi, kształtu i barwy, skoro tylko w skład tradycyi wejdą; ona to przysposabia i urabia na swoję modłę wszystko, co ma być przyswojoném, a już przyjęte stawia zaraz na ołtarzu narodowym.

Tradycya jest uczuciem nieprzerwanego związku z dawno wygasłemi pokoleniami, z najbliższym światem zewnętrznym, kolebką i piastunem owych pokoleń, a siła tego uczucia jest niezmierna. Stąd idzie i przeważny wpływ jego, wiemy bowiem dowodnie, że nie od rozumu, lecz od natężenia i kierunku uczuć zależném jest postępowanie. Rozum wpływa na wolę o tyle tylko, o ile przez mocne uprzytomnienie koniecznych następstw danéj przyczyny, przez narzucenie wyobraźni tych następstw w zarysach pełnych i wyraźnych, zaszczepi w umyśle nowe uczucie pożądania, lub obawy względem koniecznych następstw danéj przyczyny. A więc znów

nie przekonanie, ale nowe to uczucie będzie jedną z sił wpływających na dalsze postanowienia.

Tymczasem uczucie narodowe obejmuje w sobie nieprzebrane mnóstwo skłonności i popędów wspólnych ogromnemu ludzkiemu zbiorowisku, a więc stale wzmacnianych i przez dziedziczność i przez oddziaływanie masy. Do tego związanego w całość ustroju wprowadzić pierwiastek nowy nie łatwo, i tém trudniéj jeszcze, że podczas gdy dla zmiany kierunku byłoby wymagane nieomylne ocenienie stosunków, to naród patrzy na świat i wypadki współczesne przez pryzmat wyrobionéj pracą wieków tradycyi; trudno więc przebić gęstą tkaninę uczucia, które w swoje barwy nawet rzeczywistość ubiera. To nam tłomaczy, dla czego Anglicy, przy umyśle tak politycznie dojrzałym, nie chcą widzieć skutków swego postępowania w Irlandyi. Szkła narodowe, przez które patrzą, zaciemniają im sam fakt popełnianéj niesprawiedliwości. Gdyby widzieli tenże okiem bezstronném, umieliby obliczyć jego następstwa.

Potęga rozumu w odrębnéj objawia się sferze. Udziałem jego jest postęp w dostrzeganiu zjawisk, i wykrywaniu zachodzących między niemi stosunków. Jest to życiodawcza siła, bez któréj tradycya zamyka się w saméj sobie, kamienieje i przechodzi w bezmyślną rutynę. Bez zmienności niema życia. Rozum jest źródłem *zmienności*, tego koniecznego czynnika wszelkiego życia, a zmienność w dobrém znaczeniu to *postęp*.

Więc postęp prowadzi coraz nowe soki do skończonego organizmu tradycyi, odmładza ją wciąż i urozmaica, lecz działając szybko na wszystkie objawy, mające związek z poznawaniem, tylko nader odległemi i powolnemi drogami, już to wprowadza nowe strony moralne do charakteru narodowego już to dawne usuwa. Zmienia on natężenie, wydobywa nowe odcienia uczuć, ale ich ustosunkowania i natury ledwie dotyka. Chociażby nabytki rozumu poszły w kierunku rozjaśnienia praw moralnych, to i wtedy jeszcze lepsza znajomość teoretyczna tych praw mało wpłynie na ich przyswojenie. Tém bardziéj zaś dotyczé to postępu w zakresie nauk ścisłych i stosowanych. Można w jedno pół wieku wprowadzić koleje żelazne, telegrafy, telefony, oświetlenie elektryczne, można lądy przebić i oceany połączyć, ale trzeba długoletnich doświadczeń wyraźnych, a bolesnych, trzeba zdobytego przez rozum jasnego, wypukłego, że tak powiem, w kształtach swoich wyobrażenia o koniecznem następstwie każdego działania, aby wprowadzić jakiś nowy czynnik do ducha narodowego.

Wieków mało, aby przerobić naród, gdyż sprzeciwia się temu tkwiące w nim zbiorowe uczucie, które należy do najsilniejszych.

Jeżeli zaś przeciw temu mniemaniu walczy pozorna sprzeczność, że z plemion pokrewnych i w pobliżu siebie osiedlonych, sobie podobnych, mogły powstać narody o charakterach zgoła odmiennych, to przypomnimy, że takiéj zmianie uległy jedynie plemiona bez historycznéj przeszłości, po większéj części wędrowne. Przyroda każdego nowego siedliska na duchu niewyrobionym z łatwością mogła wyciskać swoje piętno, a nadto plemiona te spotykały w swoim pochodzie inne, z któremi zmuszone były wojować, a łącząc się z niemi po walce, cząstkę ich podań i zwyczajów przejmowały. Żydzi z plemienia stali się narodem od chwili, jak zwyciężywszy narodki semickie, wierzeniami Egiptu wzbogaceni, na stałe osiedlili się w Palestynie.

W ostatecznym wywodzie tego co powiedziano przyjść musimy do następujących konkluzyi:

Uczucie narodowe jest wyrobioną w pewnych utartych kierunkach żywszą wrażliwością, jest zbiorem skłonności i popędów sharmonizowanych, a wspólnych ogromnemu zbiorowisku ludzi, których jedna wiąże tradycya. Ta wrażliwość, te skłonności i popędy, to osobna dziedzina ducha, skończona w sobie, psychicznie rzeczywista. Na jéj tle dopiero rozwijają się indywidualne kierunki. *Jest więc w rodzinie ludzkiéj narodowość, bez żadnych poetyckich przenośni, skończoną i wyraźnie określoną osobistością. Ciałem jéj jest tradycya, a duszą—wspólne popędy.*

Ciągłość i tradycya stwarzają narodowość, zmienność i postęp tworzą sferę cywilizacyi wszechludzkiéj. Oddziaływanie wzajemne tradycyi i postępu wydaje cywilizacyą narodową, w imię któréj naród zajmuje miejsce we wszechludzkiéj rodzinie.

II. SOCYALIZM KRAŃCOWY.

Prace fizyokratów i Adama Smitha, pod wpływem ducha rewolucyi francuzkiéj, wprowadziły do gospodarstwa społecznego nową zasadę wolnéj konkurencyi. Płodna w niesłychane i dobroczynne następstwa pod względem wytwarzania bogactw, poprowadziła ta zasada do normowania płacy roboczéj możliwie najniższą cyfrą. Kto płaci drożéj nie wytrzyma konkurencyi, gdyż pozostanie z niesprzedanym towarem, gdy inni taki sam wyrób rzucą na rynek po tańszéj cenie. Z drugiéj strony pracodawcy nie mogą darmo wkładać swego majątku i pracy. Im który, obok umiejętności i sprężystego zarządu, zasobniejszy jest w kapitał, tém wyższy osiąga z tegoż procent, a nadto tém większa część dochodu przechodzi na jego korzyść. Szersze stosunki, tańszy i łatwiejszy kredyt, możność natychmiasto-

wego stosowania wynalazków, a nadewszystko bardziéj szczegółowy podział pracy pomiędzy robotników i korzyści ekonomiczne płynące z pracy zbiorowéj, najdoskonaléj zorganizowanéj, wszystko to przypada na jego udział. Nieubłagana konieczność prowadzi zatém do smutnego następstwa, że w każdym oświeconym narodzie na miliony liczą się ludzie, których życie całe przechodzi na nieustannéj pracy bez nadziei polepszenia bytu i wytworzenia zapasu na wypadek nieszczęścia, i na tysiące znów inni, którzy dochodzą do bogactwa przewyższającego wymagania zbytkownéj egzystencyi kilku pokoleń. Pierwsi, tak zwani proletaryusze pędzą żywot z dnia na dzień, pod ciągłém zagrożeniem, że lada jaki przewrót handlowy, okoliczności niezależne ani od nich, ani od chlebodawców, pozbawiając ich zarobku, rzucą ich na pastwę głodu i ostatecznéj nędzy. Drudzy—kapitaliści—jeżeli tylko nie zaniedbują pracy i rządzą się przezornością, muszą powiększać swój majątek, gdyż spotrzebować dochodów nie są w stanie. Jedną z przyczyn takiego położenia jest okoliczność, że jakkolwiek Smith, Ricardo tudzież inni wielcy ekcnomiści, stawiając sobie jedno jedyne założenie: „wynaleźć jaką drogą uzyskuje się jaknajwiększe bogactwo,“ pominęli w rozbiorze inne zadania społeczne, nie zaprzeczając ich ważności; to w praktyce przyjęto ich zasady bezwzględnie, zaniedbując po za obrębem potrzeb ekonomicznych, dotyczących wytwórczości potrzeby społeczne jaknajszerszego a sprawiedliwego podziału bogactw. W obec takiego kierunku gospodarstwa położenie kapitalisty tém się polepsza, że rosnące z każdym rokiem potrzeby państwowe poprowadziły do wypuszczenia nieprzeliczonéj liczby papierow procentowych, od których odcinając kupon, kapitalista otrzymuje dochód bez potrzeby dokładania pracy. Położenie zaś klasy robotniczéj tém się pogorsza, że każdy wynalazek, zastępujący maszyną pracę ludzką, ruguje z warsztatów pewną liczbę robotników, od których wymagana była inteligencya, a więc lepiéj płatnych, i zastępuje ich mniejszą liczbą robotników, przeważnie kobiet i dzieci, od których nie wymaga się nic więcéj jak uwagi i pilności, a więc płatnych gorzéj. Téż same wynalazki sprawiają, że przemysł z biegiem czasów staje się coraz mniéj dostępnym dla osób z umiarkowanym zasobem, i przypada na coraz wyłączniejszy udział wielkiego kapitału, gdyż im więcéj maszyn i przyrządów, tém większego potrzeba funduszu zakładowego dla każdego przedsiębiorstwa. Tym sposobem wielki kapitał stopniowo pochłania mniejszy, klasy o pośredniéj zamożności nikną, na drabinie społecznéj wyłamują się szczeble, i otwiera się nieprzebyta przepaść pomiędzy proletaryuszem z jednéj—wielkim kapitalistą z drugiéj strony.

Do tego dochodzą jeszcze okoliczności zewnętrzne pierwszorzędnej wagi. Koleje żelazne, kanały i w ogóle komunikacye stanęły na téj stopie kolosalnego rozwoju, że na każdym rynku współubiegają się wyroby całego świata. Wzmaga się więc konkurencya do niesłychanych rozmiarów, w zawody idą kraje i strefy produkujące w warunkach najkorzystniejszych, a ponieważ konkurencya jest tą przyczyną, któréj następstwa wskazaliśmy powyżéj, wzmocnienie więc przyczyny sprowadzić musi i następstwa spotęgowane.

Dopóki stosunki międzynarodowe były powolniejsze i trudniejsze, a rozwój przemysłu słabszy, dopóty przemysłowcom łatwiéj było obliczyć się z rodzajem i rozmiarem najkorzystniejszéj w danym czasie i miejscu produkcyi. Dziś wszelkie obliczenia nierzadko chybiają, gdy gdzieś w dalekich stronach powstaje nagle i nabiera szalonego rozrostu produkcya lepsza i tańsza, dla naszéj zabójcza. Rozwija się kryzys częściowy, oddziaływający zawsze na ogół produkcyi, gdyż sprowadza niedokonsumcyą, a więc odpowiednio do zmniejszonych potrzeb, nadprodukcyą. Wprawdzie kryzys wybucha z rozmaitych przyczyn a przedewszystkiém z wybujałości kredytu, z pod którego lada panika wytrąca podstawę, lecz olbrzymi rozwój przemysłu i nader ułatwione komunikacye uczyniły go częstém zjawiskiem. Każdy zaś kryzys to zepchnięcie licznéj klasy właścicieli do proletaryatu—a proletaryatu do pauperyzmu.

Daléj państwowe formacye powiększyły się i wzmogły w nasze czasy olbrzymio, a jedne tak mocno zapragnęły rozszerzyć swoję sferę, drugie tak bardzo potrzebują zabezpieczyć się od grożącego im niebezpieczeństwa, że cała niemal stara nasza część świata stała się jedną wielką placówką, na któréj luzują się warty. Że te warty nic pożytecznego nie produkują, o to pozornie być może mniejsza, gdyż przy dzisiejszych środkach przemysłu rąk do roboty nie braknie; ale wytężenie sił militarnych kosztuje drogo, tak że siły podatkowe krajów już nie wystarczają, i konieczność zmusza państwa do zaciągania coraz nowych pożyczek i płacenia od nich coraz większych sum odsetek. Na te procenty trzeba szukać źródeł dochodu w podatkach pośrednich, pogorszających położenie robotnika i wypuszczać papiery procentowe, polepszające położenie kapitalisty.

Konieczność—przeznaczenie—prowadzi do szybkiego pogłębiania otchłani pomiędzy proletaryuszem, a kapitalistą.

Od wieków bardzo dawnych idealiści pieścili się myślą o zrównaniu ludzi pod względem zamożności, i utrzymywaniu ich stale w tém położeniu. Ruch rewolucyjny umysłów epoki reformacyjnéj,

i drugi silniejszy jeszcze z przeszłego wieku, narodziły mnóstwo teoryi niwelacyjno-społecznych. Teorye te wszystkie raziły jednak widoczną niepraktycznością, a co ważniejsza nie trafiły jeszcze na grunt właściwy. Dopiero w naszym wieku te utopie, w obec przemysłu, rozwijającego się olbrzymio, znalazły szerokie dla siebie podścielisko w nader licznéj klasie roboczéj i wyrosły na fakt przerażający ogromem na nieustającą groźbę gwałtownego przewrotu społecznego.

Coraz wyraźniéj, coraz dotykalniéj rysuje się doktryna socyalna wywrotowa, która domaga się bez ogródek doraźnego starcia z postaci ziemi całego dzisiejszego układu społeczeństwa, w interesie stałego dobrobytu klas zarobkujących, a więc domaga się gwałtownéj zmiany wszelkich dzisiejszych praw i urządzeń, innego rozmieszczenia władzy i siły społecznéj, usunięcia ze społeczeństwa warunków wytwarzających klasę wolną od pracy, i zastąpienia ich takiemi, przy których cały zarobek, bez najmniejszego uszczerbku, dostanie się robotnikowi. Wyznawcy téj doktryny nie cofają się ani w teoryi ani w praktyce przed żadnym środkiem, prowadzącym do jéj celów.

Zdaniem socyalistów wywrotowych religią wytępić trzeba koniecznie i przedewszystkiém. Ona to wskazuje człowiekowi inne życie, lepsze, po za grobem, jako nagrodę i równoważnik za doznawane tu na ziemi cierpienia i pokorne znoszenie doczesnego losu. Ona to odejmuje popęd do nieustającéj walki o dobra tego świata. Ziemię zdobywać trzeba krwią i żelazem i dla możności zwycięstwa zaciągnąć w szyki bojowe jaknajwiększą liczbę walczących. Jeżeli cudem do szeregów dałby się zwerbować ten, kto pewny jest życia po za grobem, to cicha pokora i łagodne zaparcie się siebie będą mu obezwładniać już podniesioną rękę, będą rodzić skrupuły wśród zastępów, dla których każdy skrupuł jest niczém więcéj jak wytworem, ale też i tarczą dawnych stosunków i właśnie dla tego razem z niemi, a nawet i przed niemi iść musi na zagładę. Socyalizm wywrotowy i religia nie mogą znosić się nawzajem. Religia dóbr doczesnych z religią dóbr wiecznych pogodzić się nie dadzą.

A teraz jakiż być może stosunek socyalizmu do narodowości. Naturalnie ten, że tradycya—wyobrazicielka ciągłości, uważaną jest przez socyalistów za największą przeszkodę do zwalenia istniejących porządków, za najgłówniejszą tamę na drodze do celu. Zdaniem więc wywrotowców tradycyą gwałtem zburzyć trzeba. W tym celu socyaliści świadomie dążą do zniweczenia lub zupełnéj zmiany tych sił, które wytwarzają tradycyą.

W pierwszym rzędzie na zagładę skazana jest przez nich rodzina, aby wyrwać z podstaw społeczeństwa podwalinę dawnych wierzeń, przywiązań i poświęceń.

Daléj wołają o gruntowne zreformowanie szkoły, o wytępienie z niéj tak zwanych przesądów, inaczéj zawsze znajdą się słabi, którzy zadrżą przed zagładą wszystkiego, co wniosły w ducha narodowego nieprzeliczone pokolenia. W tym téż kierunku rzuconą jest anatema na twory najwznioślejsze ducha ludzkiego, na wszystko, co stworzyły literatura i sztuka. Co się zaś tycze powagi ludzi przodujących, co się tycze opinii publicznéj, to pierwsza dla socyalistów zmieniła się na powagę apostołów ich doktryny, druga na opinią socyalistycznych kółek, zgromadzeń i stowarzyszeń. Inna powaga, inna opinia jest dla nich śmieszną i wstrętną. Jest to więc cały świat odrębny, samodzielny, w sobie zamknięty: rzeczpospolita głodu, chłodu i złudzeń.

Dla powodzenia wywrotu potrzeba połączenia wszystkich sił klas zarobkujących całéj Europy, przeciwko połączonym siłom klas posiadających. Czyż nie jest oczywistém, że stokroć bliższy jest stosunek pomiędzy robotnikiem francuskim a włoskim, wynikający ze wspólności interesu, niż stosunek robotnika włoskiego z kapitalistą włoskim, lub robotnika francuskiego z kapitalistą francuskim. W oczach socyalisty kapitalista ma z nim zawsze interesa sprzeczne, a kapitalistą jest w jego wyobrażeniu każdy, kto nie należy do robotniczych związków. Co może obchodzić tych i tamtych robotników kwestya Alzacyi, co ich obchodzić może tak zwany honor narodowy: oni wiedzą to tylko, że nawet za zwycięstwo zapłacą nowym podatkiem. Czy nie lepiéj im wyciągnąć do siebie bratnią rękę i pracować razem nad wywrotem stosunków, wytwarzających nieznośne dla nich położenie.

Tymczasem to położenie w znacznéj liczbie wypadków byłoby znośném, gdyby nie palące pragnienia i pożądania, nie pojęcia skrzywione, nie te niedościgłe ideały, jakie w umysłach robotników rozbudzają apostołowie socyalizmu. Nieszczęściem największém dla robotnika jest odskok pomiędzy jego bytem rzeczywistym, a bytem wymarzonym, jaki do osiągnięcia możliwym mu się zdaje. Przecież warunkiem szczęścia nieodzownym jest właściwe ustosunkowanie pomiędzy natężeniem pragnień a możnością ich zaspokojenia.

Z drugiéj strony, trudno znaleść u wyznawców socyalizmu ściśle określone normy, wedle jakich, stosownie do ich potrzeby, ma być urządzone społeczeństwo. Da się jednak dowieść, że nieodzowném następstwem zniszczenia rodziny, prawa dziedziczenia i przedsiębiorczości prywatnéj, żądanych przez wywrotowców, byćby mu-

siał fizyczny przymus do pracy względem tych obywateli, którzyby nie potrafili wyrobić w sobie najidealniejszego z pojęć — *pojęcia obowiązku pracy nie dla siebie lecz dla społeczeństwa.* Wykonanie przymusu należałoby do rządu, którego władza, obejmując wszelkie sfery działalności ludzkiéj, przeszłaby rozmiarem swoim najdziksze despotyzmy wschodu. Że rząd taki byłby obieralnym, mała stąd pociecha, dała bowiem dowody z wyborów powstała konwencya za czasów wielkiéj rewolucyi francuskiéj, do jakiego stopnia posunąć się może ludzka samowola. Ciągłe zmiany poprzedzane wstrząśnieniami, a prowadzące w następstwie za sobą hekatomby ludzkie i wzrastającą nędzę, byłyby wypływem téj samowładzy teoretycznej ludu i samowładzy praktycznéj rządu. Widząc niepokonane trudności w postawieniu pozytywnych zarysów przyszłych urządzeń w ich wzajemném oddziaływaniu i związku, socyaliści wywrotowi stawiają szereg oderwanych żądań, stawiają luźne obrazy łudzące i ponętne, lecz nie wiążą tego wszystkiego w organiczną całość, gdyż najbujniejsza wyobraźnia nie zdoła wymyśléć do ich budowy takiego cementu, któryby wszystko, co zbudowali, mógł w jedności trwaléj utrzymać. Dla tego to, najlogiczniejsi z wywrotowców nie stawiają żadnego innego programatu, jak tylko zagładę obecnych urządzeń społecznych. Takiém też jest *jedyne* hasło anarchistów, którzy, dając przynajmniéj w przeczeniu wyraźny program, coraz więcéj zdobywają sobie stronników. Tu już ustaje wszelka logika, jednéj i drugiéj stronie pozostaje — walka.

Józef Jeziorański.





DLA ŚWIĘTÉJ ZIEMI.

NOWELLA.

IV.

Wieść o kupnie wołów przez Józka rozbiegła się po całéj wsi, w chwili nastania siewów. Biedni szukali u młodego chłopaka pomocy. Orał im rolę, siał i włóczył zasiewy, płacili mu za to gotówką, ziarnem i odrobkiem. Ciołki młode i silne, chłopak żwawy i ciekawy do pracy, robota szła aż radość brala,—ludzie go lubili i garnęli się do niego. „Józek“ imię to wymawiano z odcieniem szacunku i sympatyi. Żałowano chłopaka powszechnie i pocichu szeptano, że stary Sidor go skrzywdził, zabierając kawał pola za byle co—za te parę stówek zapłaconych w banku.

Jesień zbliżała się powoli. Zimne ranki, ciemne grube i ciężkie chmury zwieszające się nad ziemią, wiatr pędzący przed sobą gromady żółtych liści i babie lato rozsiadłe po ścierniach mówiły, że już jest, że się zagospodarowała na ziemi.

Roboty ubyło, Józek na pochyłości wzgórza pasąc woły, wpatrywał się w zagony swego pola. Kopali ziemniaki. Widział jak zajeżdżały fury jedne po drugich, ładowali pełne wozy wywożąc je do zagrody Sidora. Ziemniaki czerwieniały zdaleka jak jabłka. Narachował ich ośm fur, i nie było końca, gdy on zaledwo miał ich dwie. Śmiechy i wesołe piosenki dolatywały go, krwawiąc mu serce. Smutny i zamyślony wrócił do izby.

— Bo i czego tam ciągle siedzisz i patrzysz, mówiła Kaśka. Żal cię ino po próżnicy zbiera, serce się krwawi i tyle twego. Matka potakiwała Kaśce głośnemi westchnieniami.

Józek nie odpowiadał, uznawał racyą Kaśki, lecz gdy wyganiał woły na paszę, coś go ciągnęło w stronę swego pola, szedł, siadal na wygonie, patrzał i serce krwawił.

W późnéj jesieni wieczorem przy zapalonéj lampce, gdy Kaśka z matką przędły len na wrzeciona, obliczono się. Pokazało się że Józkowi nie wiele z zarobionych pieniędzy ciołkami zostanie. Należało zapłacić podatek, kupić ziarna na chleb, jedna więcéj gęba do jedzenia przybyła—Kaśce i matce sprawić buty. Zdałaby się i chustka, lecz o chustce nie mogło być nawet mowy.

— Dziękuj Bogu, że chleba nie zabraknie, zdecydowała Kaśka.

— Tak, tak dziękuj Bogu, poświadczyła matka.

Chłopak nie dziękował, podparł głowę ręką, serce krwawił i żal go zbierał. Nigdy, już nigdy nie odbierze swego; chociaż się zapracuje, chociaż za nim do ust kawałek chleba poniesie, dwa razy go obejrzy. Nie mógł znieść téj myśli, a nie chciał głośno się skarżyć.

— A prosiak—zawołał, jakby przebudzony ze snu.

Na Kaśkę buchnęły ognie, chwilę milczała, nareszcie odezwała się cicho.

— Weź go sobie — i nie mogąc znieść spojrzenia gospodyni wybiegła z izby.

Józek patrzał zdziwiony.

— Ukąsiło ją czy co—zwrócił się do matki.

— Nie ukąsiło, ale zabolało. Pieniądze za wieprzaka przeznaczyła na wasze wesele. Ale kiej chcesz go zabrać, weź, ona ci marnego słowa nie powie.

— Nie chcę, krzyknął.—Tak się tylko pytałem w pogwarce.

— No to wiedz, że Kaśka powoli ciuła i ładuje się na wesele. Gdzie się ino ruszysz, to za tobą poziera. Miarkujesz ty dobrze, że ona się wlubiła w ciebie, jeszcze kiej była dziopa (1)... Józek,—dodała poważnie,—tak być powinno. Sierota; ojciec twój zmarnił jéj pieniądze. I cóż z nią zrobić, jakbyś się z inną ożenił: wygnać?

Józek milczał. Kaśka, stojąc we drzwiach obórki, słyszała wykrzyknik: „Nie chcę.“

Oparła się o wierzeje, nogi pod nią zadygotały, gniew wstrząsał. Dała dwa kroki naprzód, zatrzymał ją wstyd, za wstydem przyszedł żal.

— Ojciec wydusił, co ino mógł, syn zabrał resztę a teraz wygnają mnie na cztery wiatry. Wygna mnie *ona*.... Otarła łzy z oczu ręką, namacała w ciemnościach stołek i skopek, zarzuciła krowie garść koniczyny i doić zaczęła.

— Ona? kto jest ta ona, co mnie ztąd wyrzuci?—Gubiła się w domysłach.

— Bo żebym chwilki tu nie wysiedziała, jak się z inną ożeni

(1) Dziopa—podlotek.

to jak Bóg na niebie.—Wykrzyknik ten łagodząco na nią podziałał. Uspokojona wróciła do izby. Przecedziła ze skopca do garnka mleko, zamięszała żur, ziemniaki wysypała na miskę, omaściła, postawiła na stole i podała łyżki. Józkowi blaszaną, dla gospodyni i siebie drewniane.

Jedli w milczeniu, Kaśkę dławiło w gardle, że ledwo przełknąć mogła ziemniaki. Zjadła ich zaledwo kilka, parę łyżek żuru i zabrała się do przędzenia.

— Kaśka, dla czego nie jesz?—spytała ją gospodyni.

— Bóg zapłać,—odpowiedziała. Matka spojrzała na Józka, chłopak oczy spuścił. Spojrzenie to zobaczyła dziewczyna, ręce jéj zadrżały, w piersiach zaparło, lecz milczała, zwijając daléj nić na wrzeciono.

Chłopak zamyślony i smutny posiedział parę chwil w izbie i poszedł spać przy wołach, którym żłób i drabinę w obórce ustawił.

— Gdyby ojcowizna była moja, gdyby mi moich zagonów nie wydarli, to i Kaśka byłaby moja. A tak cóż? Przyjdą dzieci, będzie bieda. Ja muszę odebrać swoje.

Dziwna walka zaczęła się w nim odbywać: miłości do utraconego kawałka ziemi i przywiązania do Kaśki.

W izbie gospodyni nie śmiała się odezwać do sieroty. Dobra jéj natura czuła, że jéj robiono krzywdę, a syna własnego oskarżać nie mogła. Przywiązała się do dziewczyny, kochała ją jak córkę, a bała się obcéj synowéj.

— Kto wie,—myślała,—czyby mnie obca nie wygryzła. Kaśka nie wygryzie.—Zbliżyła się do niéj i pogłaskała ręką po twarzy. Serdeczność ta rozczuliła sierotę, rozpłakała się.

— Nie bój się nie,—mówiła stara.—On jeszcze się nie uspokoił po stracie ojcowizny. Wieprzka nie chce i pieniędzy za niego nie chce. Gody wnet nastaną, pójdziecie do księdza na pacierze, dasz na zapowiedzi i będziesz go miała, a wtedy ci go już nikt nie wydrze.

— Czy ino pójdzie,—szepnęła Kaśka.

— Pójdzie, pójdzie, bo cóżby robił. Czy on to gdzie lata? Dzień cały przy robocie, wieczór siedzi z nami. Chodź spać i nie trap się, bo nie masz czego.

Śnieg okrył ziemię. I nic nie było widać na świecie jak tylko biały całun na dole, w górze niebieski błękit, dokoła czarne lasy i gdzieniegdzie dymy wznoszące się ciemnemi kitami z kominów chat. Słońce jaskrawo świeciło, złote jego promienie padające na

śnieg oślepiały ludzi, ciągnących wydeptanemi ścieżkami. Góry się ożywiały ludzkiemi głosy, przystroiły w czarne kołnierze kożuchów mężczyzn i czerwone chustki, okrywające ramiona kobiet.

Lud spływał do ogniska, do murowanego kościołka z czarną, drewnianą wieżyczką, stojącego na obmurowaném urwisku podmywaném przez rzeczkę. Wody jéj, mimo mrozu i śniegu, szemrząc po kamieniach płynęły. Na cmentarzu stali gromadą parobcy, kobiety i gospodarze śpiewali godzinki w kościele, czekając na rozpoczęcie nabożeństwa.

Przez rzeczkę przechodziła przodem Kaśka. Na głowie miała białą chusteczkę darowaną jéj przez Józka, niebieską w żółte kwiaty chustkę na ramionach, pięć spódnic kolorowych, mocno wykrochmalonych i buty na wysokich obcasach. Za nią szli Józek i matka. Chłopak podtrzymywał starą za rękę, aby przechodząc po ślizkich kamieniach, nie wpadła w wodę.

Kaśka na widok gromady chłopaków pokraśniała i przyśpieszyła kroku, znikając w drzwiach kościoła. Gospodyni poszła za nią, Józek przyłączył się do gromady, witając się uściśnieniem rąk z parobkami stojącymi z kraja.

— Patrzcie!—zawołał jeden z nich.

W bramie cmentarza ukazała się wystrojona, uśmiechnięta wdowa. Dziesięć sznurów korali na szyi, aksamitny wiśniowy gorset wyglądał z zielonego kubraka obszytego białym barankiem. Skłoniła się gromadzie, gromada przywitała ją zdjęciem czapek.

Zobaczyła Józka.

— Ani widu ani słychu,—mówiła.—Nie pokazujecie się na lekarstwo. Kaśka jak was pochwyciła w pazury, to i na krok z izby ruszyć się nie da.

Parobcy w śmiéch. Józek się zmieszał, nie wiedząc jak się bronić. Wdowa pokazała białe, duże zęby.

— Boi się Bartka i już,—odpowiedział jeden z gromady.

— Wojak i bałby się? Nie wierzę,—odparła rezolutnie.

Zadzwoniono, gromada ruszyła do kościoła, rozpromieniona wdowa na jéj czele. Józek uczuł się upokorzony śmiéchem parobków i żartami wdowy. Zły był na siebie, obrażony na Kaśkę, roztargniony i smutny. Wdowa dwa razy obejrzała się na niego. Dwa razy się zarumienił i oczy spuścił.

Po nabożeństwie szukał Józka na cmętarzu młynarz.

— Serwus,—wołał, wyciągając ku niemu rękę—Zhardziałeś, gdyś do ciołków przyszedł.

— Zimno, mróz, śnieg drogi zawalił—tłómaczył się chłopak.

— Mówią, że cię Kaśka opętała.

— Bajki, co mnie Kaśka—wzruszył ramionami.

— Źleby było, żeby wojak dziéwki się bał.

— Baby prędzéj—przyciął mu Józek.

Młynarz się rozśmiał.

— Babie się nieraz ustąpi dla świętego spokoju. I ty to poznasz. a teraz chodź do mnie, gospodyni będzie ci rada.

Kaśka na załomie drogi czekała. Zmarzła, policzki jéj zsiniały, lecz stała wciąż patrząc w stronę kościoła.

— I cóż czekasz,—odezwała się stara, gramoląc się powoli pod górę.—Poszedł pewno zabawić się do karczmy. Chłopak ciągiem siedzi w izbie, nosa na świat nie wychyli.

Obudzona ze smutnéj zadumy, dziewczyna odwróciła się szybko i poszła naprzód, ogień rozpalić pod blachą i garnki nastawić na obiad. Ciężko jéj było na sercu, smutne przeczucia szarpały nią, smutne myśli zalegały jéj umysł. Nie zazdrościła, uczucie to nie zrodziło się jeszcze w jéj sercu, nie miała o kogo zazdrościć; opanowywały ją tylko żal i tęsknota...

Za to w chacie młynarza było wesoło. Wprawdzie młyn nie turkotał, lecz młynarka dzielnie go zastępowała. Józek posłał po wódkę.

— Gdybyś ty miał rozum, mój wojaku,—mówiła, upijając z kieliszka po odrobinie „słodkiéj,"—gdybyś ty ino miał rozum, byłby z ciebie pan. Jeździłbyś końmi do miasta, cały tydzień jadł mięso i ojcowiznę od Sobka wykupił.

Na wspomnienie ojcowizny chłopak drgnął, oczy mu zaświéciły ogniem, muskuły na twarzy zadrgały.

— A to za czyje pieniądze?—zawołał.

— Za czyje? A za wdowy. Nie widzisz, że wdowa za tobą ślepia przewraca.

— Dwa razy ją widziałem.

— To dosyć. Jakeś ino wszedł do karczmy pod „Krakusem," trąciła mnie nogą, nachyliła się i szepnęła: „chłopak do malowania." A z jaką ochotą poszła z tobą w taniec, a jak zęby do ciebie wyszczérzała, nie widziałeś co? Wyzierała za tobą, gdyś wyszedł i jakoś potém posmutniała. Widzisz, szczęście samo lezie do ciebie, bylebyś je umiał chwycić w garść.

Chłopak oszołomiony milczał i jak gdyby we śnie widział zielone pola i złote kłosy na ojcowiznie, chciał ręce wyciągnąć, słyszał szept tajemniczy: to będzie twoje, twoje, twoje.

— I nic nie gadasz?.. Ej bo ciebie Kaśka...

— Co mnie Kaśka,—przerwał obrażony.—Wdowa, baba stara, chciałaby rządzić wszystkiém, chłopa wziąć za parobka.

— A chłop od czego, żeby się babie nie dał? Mój Boże, mój Boże — mówiła daléj żałosnym tonem — takie bogactwa, ośm krów, cztéry woły, para koni, chleba pełna stodoła, pieniędzy huk.... Ale cóż, jak szczęście na głupiego trafi, to je zawdy odepchnie.

— Nie odepchnie! — zawołał młynarz — dajcie mu się ino pomiarkować. Kaśka wlazła mu w łeb.

— Dajcie mi spokój z Kaśką! — krzyknął. — Cóż to ja jéj przysięgałem.

— Bo pewno — potakiwała młynarka. — Nie przysięgałeś. Mogły gruntu pilnować i staremu nie dać pić...

— No, kiedy nie Kaśka—zabrał znowu głos młynarz, wyuczony przez żonę—to dlaczego nie wdowa? Bartek wdowy pilnuje, ale jak zmożesz Bartka....

— Cóż Bartek?—przerwała gospodyni,—abo go to wdowa chce. Niech Bartek nie zaczyna, bo my sobie z nim poradzimy. Chyba byłbyś głupi, gdybyś się Bartka bał.

— Ja się nikogo nie boję—odparł chłopak rezolutnie. W głosie jego czuć było obrażoną dumę i pewność siebie.

Wieczorem młynarz odprowadzał Józka, młynarka poszła z nimi pilnować starego. Na „Tatarczonce“ grała muzyka; skrzypce, klarnet i buczenie basów rozlegały się daleko w suchém i mroźném powietrzu. Nie naradzając się, nie mówiąc nic, wszystko troje zwrócili się do karczmy. Józek blady i niespokojny spodziewał się zastać wdowę i Bartka; młynarka uśmiechnięta rozkosznie, młynarz nastawił marsa i uzbroił się w powagę pijaka.

Z otwartych drzwi buchnęła para, przesycona wyziewami wódki i piwa, a z nią hałaśliwe tony muzyki, zmieszane ze szmerem pogwary i śpiewami parobków.

Na środku izby stanęła młynarka, przy niéj Józek; młynarz zniknął w tłumie gospodarzy. Wśród pary zmieszanéj z dymem, między szynkwasem a oknem zamajaczała twarz wdowy, oświecona płonącą lampą zawieszoną u powały. Młynarka trąciwszy Józka, poprowadziła go do wdowy. Chłopak ujął jéj rękę i nie wiedząc co zrobić, poniósł ją do ust, wdowa drugą pogłaskała go po twarzy.

— Przyszliście przecie—i pokazała szereg białych zębów. Młynarka, stojąc za Józkiem, mrugała znacząco.

— Nie lubię i ja karczmy — mówiła daléj wdowa, siląc się na powagę—tylo że w chacie saméj się cnie i coś pcha do ludzi.

— Człek się nie odrzeka zabawy— odpowiedział cicho Józek— ale jak strapienia się na kark zwalą....

— Co tam strapienia — przerwała wesoło wdowa — chłop gdy ino chce, da sobie radę. Mosiek, dawaj słodkiéj.

Mosiek postawił flaszkę z kwaterką słodkiéj i kieliszek. Wdowa, śmiejąc się z utrapień chłopów, przepiła do Józka, chłopak do młynarki. Koléj dwa razy obeszła.

— Krótkiego! — zawołała, zwracając się do Mośka.

Żyd podał cygara, Józek wybrał najczarniejsze i zapalił.

Wdowa skinęła na muzykę, przegrywka zabrzmiała, Józek zaśpiewał skocznego, skrzypek w lot pochwycił melodyą, klarnecista mu pomógł, a basy w takt zabuczały. Puścili się w taniec, młynarka szła w drugą parę, młynarz z wójtową w ostatnią. Wdowa tuliła się do zgrabnego chłopaka, rozkoszując się siłą jego uścisku i gorącym oddechem. Oczy zmrużyła, w głowie jéj się mąciło, pulsa biły. Oparta na jego ramieniu posuwała się w takt skocznéj muzyki.

— Odbijanego! — zbudził ją głos Bartka.

Wdowa potoczyła się od silnego pchnięcia, jakie otrzymał Józek. Chłopak zbladł, krew w nim zakipiała, i w jedném mgnieniu oka rzucił się na Bartka. Walka zawrzała. Bartek silny, wielki chłop, lecz niezgrabny, usiłował odrazu zgnieść przeciwnika. Młody Sidor, zdawało się ukuty z żelaza, wyśliznął się. Chwycili się w pół, Józek porwał Bartka w pas, Bartek Józka objął w ramiona. Od tych uścisków zdawało się, że krew wytryśnie im z oczów, twarze zsiniały. Wodzili się po izbie, ludzie się cofali, wdowa roziskrzonemi oczami wpatrywała się w tę śmiertelną walkę staczaną za nią. Młynarka wzywała wszystkich świętych na pomoc, Mosiek wybiegł z za szynkwasu, lecz bał się rozbrajać walczących. Podłoga jęknęła: Bartek podniesiony przez Józka w górę, zwalił się z nóg, a przygnieciony kolanami i duszony za gardło, puścił przeciwnika.

Józek syt zwycięstwa, powstał. Bartek się zerwał i rzucił się po raz drugi na zwycięzcę. Krew wdowy zakipiała, przyskoczyła z tyłu, pochwyciła go za włosy i ściągnęła na ziemię.

— A ty jakie masz prawo do mnie i do niego? — wrzasnęła.— Żem ci pożyczyła pięćdziesiąt papierków na te cztery zagony zastawu? Jak mi się go dotkniesz, konia ci sprzedam i swoje odbiorę.

Bartek nie słuchał i rwał się do Józka.

— Wynoś się! — krzyknęła strasznym głosem.

— Szaje, leć po żandarmów! — zawołał Mosiek.

Żydówka wybiegła, trzaskając drzwiami alkierza.

Wdowa, Mosiek, młynarz, młynarzowa, dwóch kumów wdowy ciężarem swym zwalili się na Bartka i wyrzucili go za drzwi. Żyd zamknął je na klucz, żydówka wróciła, Józkowi dano kieliszek słodkiéj, aby się otrzeźwił.

Na dany znak przez Mośka, muzyka znowu zagrała skocznego i Józek wśród niemego podziwu i szacunku, zwycięzca, objąwszy wdowę w pół, puścił się w taniec.

Z początku ochoty nie było. Wspomnienie świeżéj walki, obawa powtórnéj napaści Bartka mąciły wesołość. Dopiero gdy wdowa kazała postawić dwie flaszki wódki, Mosiek zaczął częstować ludzi, Mośkowa przez alkierz puściła parobków, wtedy objawy dobrego humoru tryskały w układanych piosnkach i uciesznych dowcipach.

Józek, uznany został za przyszłego dziedzica bogactw wdowy, odbierał dowody uznania i ogólnéj sympatyi. Mosiek nie śmiał mu mówić *ty*. Traktował go przez *wy* i żartobliwie przezywał: „panie wojak.“ Młynarka trącała go łokciem, szepcząc mu do ucha.

— Widzisz, widzisz, a nie chciałeś. Cóż Kaśka ze swoją urodą? ma te pięć spódnic, co je do kościoła wdziała.

Chłopak, rozmarzony wódką i powodzeniem, uśmiechał się, myśląc, jak on to będzie rozkazywał parobkom, jeździł końmi do miasta, jadał mięso i jaki sobie kożuch żółty z czarnym baranem kupi w jarmark. Stary Sobek musi zejść z jego pola, a on pan na niém. Wspomnienie to rozsadzało jego piersi radością i dumą.

Jedénasta chrapliwym głosem wydzwoniła na ściennym zegarze, zawieszonym w alkierzu. Mosiek zaczął się bać żandarmów i udał się w prośby do wdowy i Józka, aby przerwali zabawę.

— Gdybym się nie wstydziła ludzi, tobym cię nie puściła—szepnęła wdowa chłopcu. Nie domyślał się zaprosin i nie odpowiedział, jak się spodziewała, że przyjdzie późniéj, byle drzwi nie były zamknięte.

Parobcy chcąc sobie zaskarbić łaski przyszłego bogacza, oświadczyli, że go odprowadzą i bronić będą przed Bartkiem.

Napróżno wdowa zaklinała się, że mu włos z głowy nie spadnie, że go Bartek nie będzie śmiał zaczepić. — Poszli. . . .

— Będziesz ty mój, niech tylko gody nastaną — powtarzała w duchu patrząc za chłopcem. — Musisz być moim, choćbym połowę majątku straciła.—Stanęła na ścieżce patrząc za nim.

— Walny chłopak — odezwała się młynarka, podchodząc do wdowy. — A com go nie namolestowała, żeby zajrzał do karczmy.

— Nie chciał?. . .

— Rwał się do Kaśki. Widzicie jak pomyka, parobcy nie mogą mu nadążyć.

Patrzały obie.

Na ciemném tle nocy, oświeconéj światłem wyiskrzonych gwiazd, widać było na śniegu cztery ciemne postaci, niknące w wielkiéj rozpadlinie. Zdawało się, że się zapadają w biały całun śmierci. Przerażona wdowa patrzała na wielką pustkę, oświeconą gwiazdami a zakończoną czarną masą lasów świérkowych.

— Zniknęli jak zaklęci — rzekła młynarka i chciała iść daléj. Zatrzymała ją wdowa.

— Czekajmy, póki ich jeszcze raz nie ujrzymy.

— Długo czekać — szepnęła; mimo to została.

— Muszę go jeszcze raz zobaczyć, usnąćbym nie mogła.

Na szerokiéj białéj ścianie góry zamajaczał czarny punkt.

— To on! — zawołała wdowa i odetchnęła.

— Leci do Kaśki, pomyka jak kula, skóra na nim drży ze strachu; ale nie bój się, wróci on do ciebie, musi wrócić.

— Musi — powtórzyła cicho wdowa. Zazdrość o Kaśkę wciskała się jéj do serca i krwawiła je. — Musi—szepnęła. — Musi—zawołała. — I niechaj ta Kaśka nie staje mi w drodze.

— Tobie bogaczce, Kaśka? a co ona ci zrobi. Stara z Kaśką zaprzepaściły chłopcu grunt, zabrał go Sobek za cztery stówki. Pieniądze staremu oddasz, zabierzesz pole, a chłopak do nóg ci padnie.

— A Kaśka?

— Cóż Kaśkę przymierzać do ojcowizny. Cóż to on głupi?

— On nie, ale Kaśka....

Przybiegł młynarz podochocony, huknął im nad uchem krakowiaka, pochwycił wdowę w pół i zaczął się z nią obracać, noga mu się pośliznęła, wpadli oboje w śnieg. Nadeszli gospodarze i dużo było śmiéchu i żartów z tego wypadku. Śmiała się młynarka, śmiała się i wdowa.

Józek pomykał w górę rozpromieniony zwycięstwem nad Bartkiem i nadzieją odzyskania ojcowizny. Nadzieja ta wydobywała uśmiéch na jego usta i głowę wypełniała rozkosznemi myślami. Zapomniał o wdowie, nie zajmował się Kaśką, przed oczami jego duszy snuły się obraz po obrazie przyszłego szczęścia. Widział się panem na swych zagonach, na jednéin polu złociła się pszenica, na drugiém zieleniły ziemniaki, koniczynę spasał wołmi i hardo spoglądał na ludzi.

Wrótka na dziedziniec zaskrzypiały. Skrzyp ten przypomniał mu Kaśkę, zawstydził się. Chciało mu się pić, lecz nie śmiał wejść do izby, nabrał w garść śniegu, zgniótł go, gryzł i łykał. Po cichu otworzył drzwi obórki, wlazł na wérko, położył się, okrył płaszczem i usnął.

Kaśka długo w noc czekała świeciła gaz i aby się jéj nie cnęło, pierze darła. Gaz się wypalił, lampka zgasła, ona usiadła przy oknie i patrząc na zaczernioną w śniegu ścieżkę, oświeconą blaskiem wyiskrzonych gwiazd, czekała póki ją sen nie zmorzył i zimno trząść nie zaczęło.

Nazajutrz rano, miało się dobrze na dzień, żur był gotów, Józek nie wstawał. Kaśka wydoiła krowę: nic słyszał i nie obudził się;

po obórce rozlegało się miarowe chrapanie. Dziewczyna zbliżyła się do wérka, wpatrując się w twarz śpiącego, do połowy okrytą derką. Popatrzała, wzięła skopek i wróciła do izby.

Przed samém południem wszedł Józek.

— A tobie co? — zawołała matka.

Chłopak się zmieszał.

— A cóżby? — szepnął.

— Któż ci tak pomalował oko?

— Gdzie? co?

Kaśka wyjęła lusterko ze skrzynki i potrzymała przed nim. Spojrzał, krew buchnęła mu do głowy i rozlała się rumieńcem po twarzy.

— Abo ja wiem — odpowiedział. — Młynarz zaciągnął mnie do karczmy, młynarka spoiła.

— Nikogo więcéj w karczmie nie było? — spytała matka.

— Gdzie tam, nikogo. Było ludzi ćma, ktoby spamiętał.

Kaśka nie odzywała się, postawiła przed nim żur, bochenek chleba i odeszła do komina. Matka również nie śmiała ciągnąć go za język.

Józek w milczeniu jadł żur, w gardle go coś dławiło, nie śmiał spojrzéć na Kaśkę, nie wiedział co mówić, czuł się jakoś obcym w własnéj chacie i to go gniewało, a nie mógł wstydu pokonać i nie miał odwagi rozśmiać się i przemówić. Czekał, aby się matka odezwała, lub Kaśka przemówiła. Nie doczekał się.

Wstał i wyszedł z izby. Otworzył stodółkę, wyrzucił pół kopy owsa i młócić zaczął, zły i obrażony na Kaśkę i matkę.

— Kiej zamurowałyście se gęby, to je trzymajcie!—zawołał po zmłóceniu posady.

Wyrzuty sumienia ze zdrady Kaśki wytworzyły w nim rozdrażnienie, niepokój i żal, objawiające się wybuchami gniewu.

— Coś źle z Józkiem — odezwała się cicho Kaśka i westchnęła.

Matka również nic dobrego nie przypuszczała, lecz nie chciała martwić Kaśki, milczała.

Zwołano go na obiad. Zasiedli we troje za stołem. Matka z Kaśką razem, Józek naprzeciw po drugiéj stronie stołu. Jedli z jednéj miski kaszę jęczmienną, rozwiedzioną mlekiem. Chłopak milczał, matka z Kaśką nie odzywały się. Dziewczyna na niego nie patrzała, za to on wiele razy nabierał łyżką strawę, obejmował ją wzrokiem i mimowolnie porównywał z wdową. Dziewczyna w zimie wydobrzała. Szyję miała białą, twarz wypełnioną i rumianą, oczy niebieskie, błyszczące, i pierś wydobywającą się z za gorsetu. Koszula jéj nieco się odchyliła, Józek zobaczył białe, pełne ciało drga-

jące życiem. Ręka mu się zatrzęsła, gdy łyżkę niósł do ust, oczy spuścił. Kaśka urodą zaćmiła wdowę, skromnością i dziewczęcym urokiem coraz głębiéj wpijała się w serce chłopaka. Zły był na siebie i Kaśkę, milczał, czuł się nieszczęśliwym, rad był jak najprędzéj wyjść z izby i zaczął jeść szybko. Kaśce się zdawało, że Józek się boi, aby go nie odjadła, łyżkę położyła na stole i odeszła, matka zrobiła to samo. Został sam przy zaledwo w połowie zjedzonéj kaszy. Popatrzał na Kaśkę i matkę, położył łyżkę na stół, wstał i wyszedł z izby.

Kaśka wyjrzała za nim, zwrócił się ku stodole. Za chwilę słychać było uderzanie cepów o boisko.

— Coś mu jest—odezwała się smutno dziewczyna i westchnęła.

— Coś mu jest—powtórzyła matka. — Chodź Kaśka, dojédzmy kaszę, bośmy obie głodne.

Zasiadły za stołem i raźniéj im było we dwie.

— Co mu się stało? — zachodziły w głowę i długo na ten temat gwarzyły.

Przed samym wieczorem, gdy Kaśka poszła do obórki, stara zarzuciła białą płachtę na ramiona, wysunęła się cicho z chaty, dróżką wydeptaną w śniegu dotarła do gościńca i niezadługo znalazła się w karczmie oko w oko z swą przyjaciółką Joskową. Wypiła za cztery centy wódki, aby się zagrzać i więcéj nabrać śmiałości wobec żydówki.

— Nie słyszeliście, co się działo wczoraj na Tatarczonce ?— zapytała. — Chłopakowi ktoś podbił ślepie.

— Matka i nie wié, jakie jéj syna spotkało szczęście.

— Że mu ślepia podbili?

— Głupstwo. Wdowa bogaczka wlubiła się w chłopaka i chce się wydać za niego. Bartek się o tém dowiedział i podbił mu ślepię. Całą noc hulali, muzykę sprowadziła wdowa, częstowała ludzi słodką. Mosiek kontent, robi pieniądze, ale niech ten łajdak wié, że są żandary na świecie i starostwo.....

— Józek żeni się z wdową ! — zawołała stara.

— Nie pochwalił się, bo się wstydzi Kaśki. Co Kaśka to nie wdowa: stara, żółta, wyszarzana. Ale cóż, bogactwo wielkie, a chłopak radby ojcowiznę z Sobkowych łap wydrzéć. Zwyczajnie chłop, coby się dał obwiesić za kawałek pola.

— Z wdową bogaczką—powtarzała stara, wzruszając głową.— Mój Boże, mój Boże, to ci chłopak los robi.

— Wielgi — dodała żydówka i nalała drugi kieliszek wódki.

Stara duszkiem go wypiła, pożegnała się, otuliła płachtą i biegnąc żywo, wróciła do chaty.

Kaśka jeszcze nie wróciła z obórki.

— Dobrze, że cię nie ma — mówiła do siebie — nie dowiesz się, żem latała do karczmy. Niech ci kto chce mówi, ja ci nie powiem. Biednaś ty, ale przecie dobrze, że zostaniemy we dwie na swoich śmieciach, że tu obca swych rządów wprowadzać nie będzie. Zostaniemy obie i niech się dzieje co chce, będzie nam cicho.

— To mój chłopak bogacz!—zawołała głośno—grunt od Sobka odbierze. A coby nie odebrał — rozśmiała się.—U wdowy pieniędzy pełnemi garnkami, to i o matce nie zapomni.

Wróciła Kaśka, rozniecila ogień. Niedługo przyszedł Józek, niosąc na plecach worek z omłóconém żytem. Matka poskoczyła ku niemu, odebrała zboże, zaniosła je do komory i gdy wróciła do izby, podeszła do Józka, i głaszcząc go ręką po twarzy, mówiła pieszczotliwie:

— Moje chłopczysko spracowało się dziś okrutnie. Tyle zboża omłócić. Kaśka, a gotujże raźno wieczerzę.

— Cóż tak pilnego? — odezwał się chłopak.

— Bo może radbyś lecieć do parobków zabawić się. Smutno ci w izbie z babami.

Kaśka ściągnęła brwi, Józek nic nie odpowiedział. Siadł na ławie, nogi wyciągnął, oparł się plecami o stół i pod pozorem, że patrzy na ogień, wpatrywał się w Kaśkę.

Stara zaświeciła lampkę, dziewczyna w podwójném świetle ognia i lampki wyglądała uroczo. Granatowy z rękawami kaftanik, zapięty pod szyję w dwa rzędy mosiężnych guzików, wdzięcznie rysował jéj figurę w pasie wązką, w piersiach pełną.

Po wieczerzy matka go znów zagadnęła:

— I nie pójdziesz do kamratów? — Zdawało się jéj, że radby biedz do wdowy.

— A cóż wam tak wadzę?

— Nie o to, tylo że ci się cnie bez zabawy i wesołości. A tyś przecie młody wojak.

Chłopak obrażony powstał, był pewny, że to sprawa Kaśki, że ona go umyślnie z izby wypędza. Wdział czapkę i powiedziawszy: zostańcie z Bogiem, wyszedł.

Kaśka poskoczyła do okna, stara za nią. I widziały, jak stał chwilę na dziedzińcu, wahał się gdzie iść; poszedł ku wrotom, lecz w połowie drogi cofnął się, zwrócił się do obórki i drzwi zamknął za sobą.

— Nie potrzebnieście go z izby wygnali — odezwała się Kaśka z cieniem wymówki.

— Siedzi jak mruk, gęby nie otworzy, niech leci—odparla stara stanowczo, zla na żydówkę, że ją zwiodła.

— Gdyby to była prawda, poleciałby do wdowy — myślala.

W milczeniu przędły. Kaśka pocieszona i troszkę, chociaż nie śmiala się do tego przyznać, szczęśliwa....

— Jutro jarmark — zagadnęła dziewczyna.

— Więc cóż?

— Mieliście jechać z prosiakiem. Pojedziecie?

— Pojedziemy to razem. — A jeżeli żydówka skłamala?—przeszło jéj przez głowę. — Jedźmy—mówiła daléj głośno. — Ziarna nie ma żeby go paść na słoninę, ziemniaków niewiele: jedźmy. Skoczże do Kuby Gawlika. On nie opuści żadnego jarmarku, zabierze nam wieprzka.

Dziewczyna skoczyła....

— A weźże głupia chustkę! — wołała za nią stara.

— Ciepło mi — odpowiedziala w sieni.

— A nuż to prawda, co mówiła żydowka? Nie pomoże ci i pięć takich prosiaków. Co tobie chudzinie równać się z wdową—Boże....

Kaśka minęła wrótka i ścieżką udeptaną w śniegu dobiegla do gościńca. Z okien chaty Kuby Gawlika biła czerwona łuna. Zdyszana wpadła do izby, gospodynią i gospodarza pocałowała w rękę.

— Mój tatusiu, jedziecie jutro na jarmark i nie zabieracie czego? — mówiła, przymilając się.

— Babę — odpowiedział.

— A prosiaka naszego weźmiecie?

— Za dwie szóstki.

— I wzięlibyście odemnie, biednéj sieroty?

— A czegóżeś ty taka rada? — spytała ją gospodyni.

— Z młodości i zdrowia— odpowiedziala wesoło dziewczyna.— Abo to mało?...

— Dosyć.

— Jutro rano prosiaka przyżenę. Bądźcie zdrowi.

— Z Bogiem. A gdzie Józek?

— Śpi, wczoraj się zhulał i wrócił z umalowaném okiem.

— A któż mu zmalował?

— Wiem-ci?.. — wybiegła.

— Z czego się ona cieszy? — spytał gospodarz.

— Bo głupia — odparła gospodyni.

— Nie taka ci ona glupia, tylo nie wié, że chłopaka jéj wdowa odbiera.

Kaśka biegla gościńcem pod górę, mróz tamował jéj oddech i chwytał za twarz; gwiazdy wyiskrzone świeciły, srebrny pas mlecz-

néj drogi otaczał niebo, sierp księżyca okolony jasnością, zwolna zachodził, kryjąc się za czarny las. Kaśka patrzała na srebrny pas mlecznéj drogi, wyiskrzone gwiazdy, a myślała o Józku.

— Nie poszedł, choć go wyganiała z izby gospodyni. A jak się we mnie wpatrywał, gdym się krzątała przy kominie. Radością i nadzieją drżało jéj serce, krew szybciéj zaczęła biedz, pulsa żywiéj bić. Żeby chociaż za prosiaka dostać trzy dziesiątki — i do księdza!

Wpadla do izby zdyszana, zaczerwieniona od mrozu, uśmiechnięta i rozpromieniona. Stara spojrzała na nią z pod oka i tonem źle ukrytego gniewu spytała :

— I cóż? jadą?

— Jadą, jadą, moja matusiu złocista. Pogoda, wiatr ustał, mróz szczypie, jarmark będzie walny.

— Z czego ci ona taka rada? Czy ludzie jéj powiedzieli, że Józek nie chce wdowy? Cóż to u głupiego!

— Nikogo nie widziałaś?

— Nikogo matusiu, ino Kubę i gospodynią, powiedzieli że zawiozą za szóstkę i już. Usiadła na ławie przy kominie i aby się módz oddać swobodnie myślom, zaczęła prząść, że aż wrzeciono warczało.

Józek otulony płaszczem wojskowym, leżał na słomie w obórce i czegoś zasnąć nie mógł. Co oczy zmrużył, widział jak mu wdowę zasłaniała Kaśka, a Kaśkę jego ojcowizna o złotych kłosach pszenicy i wielkich głowach kapusty.

V.

Długa była narada i wiele zachodów, zanim podpasiony wieprzak został umieszczony w półkoszkach. Musiano wóz przewrócić, skrępowanego wtaczać, a potém razem z nim podnosić. Kaśka drżała, aby mu się co złego nie stało, tak żałośnie kwiczał. Gdy już był na wozie, wsunęła pod niego słomy, pogłaskała po białéj sierści, okryła workiem, przytrząsła sianem i uspokojona siadła obok Gawlika. Gospodynie zajęły honorowe miejsca na wozie.

Szara barwa zmroku zlewała się harmonijnie ze złotem wschodzącego słońca, na tle kolorytu z purpury. Gospodarz podcinał koniki, szron okrywał im sierść, one rade parskały. Wóz skrzypiał na mrozie, tocząc się szybko z góry, mijał na drodze wozy i ludzi. Przywitań było bez liku, wesołe, urywane pogwarki rzucano w przelocie. Kaśka oglądała się za Józkiem. Jakby się w ziemię zapadł, nie było go na drodze. Dziewczyna posmutniała na chwilę, lecz pocieszała się tém, że przysiadł się na wozie kowala i pognali jak wiatr; ktoby ich dognał.

Zajechali na targowicę trzody. Kubowa do Sidorowy szepnęła:

— Patrzcie, Kaśka wygrała, mało dziś prosiaków nagnali.

Kaśce biło serce z radości, uśmiéchała się, patrząc na wieprzka.

Złożyli go z wozu, Kaśka pochwyciła sznur przywiązany do jego nogi i stanęła na małéj wyniosłości, czekając na kupca.

Sidorowa z Kubową pobiegły między ludzi wymiarkować ceny.

— Kaśka trzymaj się! — wołały uradowane, wracając.

— Wiele? wiele? — pytała niespokojnie.

— Ceń trzy dziesiątki.

— A wiele brać?

— Dwie dziesiątki i pięć papierków.

Gospodynie poszły zagrzać się do szynku, Kaśka została sama, niespokojna, czekająca kupców.

Dwóch mieszczan z Wielopola stanęło przed wieprzkiem. Jeden z nich pomacał go ręką po karku.

— A wieleż to za tego chudziaka?

— On taki chudy jak wy tłuści — odpowiedziała.

— Wiele?

— Trzy dziesiątki.

— A półtory nie będzie?

— Szukaj sobie takich mądrych, jak sam jesteś.

— I cóż się tak sierdzisz?

— Ja kpinek nie potrzebuję.

— Moje dziewczę, wiele za tego tłuściocha — przerwał sprzeczkę młody panicz.

— Panoczku złoteńki! — zawołała Kaśka — nie wiele, ino trzy dziesiątki.

— Przetnijmy ostatnią dziesiątkę na dwoje — co? — pogłaskał ją po twarzy.

— Kiej nie mogę.

— Możesz — odpowiedział panicz, odchodząc.

— Ośm! — zawołała dziewczyna.

Panicz szedł daléj.

— Siedem, paniczu...

Panicz szedł daléj.

— Sześć, — nie mogę mniéj, klnę się na wszystkie świętości,— nie mogę.

Panicz wrócił, zapłacił i wskazał dziewczynie, do któréj fury ma odprowadzić wieprzka.

— Żebyś nie była taka ładna, tobyś i dwóch dziesiątek nie dostała.

— Gdzie tam ja ładna — odpowiedziała, rumieniąc się.

Odebrane pieniądze schowała za gorset, zapięła granatowy kaftan pod szyję, odprowadziła prosiaka, i daléj w pogoń za gospodynią. Przeciskając się przez tłum, usłyszała: — Kaśka, Kaśka. . . .

Na schodach karczmy „pod kogutkiem“ stała gospodyni z Gawliczką: przybiegła do nich.

— Dwie dziesiątki i sześć papierków — mówiła zdyszana.

— A widzisz, co? Nam nie potrzeba więcéj, jak okiem rzucić na jarmark.

— Naprzód — opowiadała dziewczyna — przyszli „kulony“ (1) z Wielopola i dawali pietnaście papierków.

— A juchy — szepnęły gospodynie oburzone.

— Ale ich zwyzywałam publicznie. Za nimi przyszedł panicz z Brzezin i kupił. Powiedział mi, że ino dla mojéj urody tyle daje. Ale ja przecie wiem, że sobie żartował, bo se myślał, że na głupią trafił.

— Abo to nie wiesz, żeś walna dziéwka. Nie udawaj — przerwała jéj Gawliczka.

— Nie udaję, matusiu, nie udaję—mówiła z uśmiechem, strojąc skromną minkę i oczy spuszczając.

Weszły do karczmy. Kaśka przepchała się do szynkwasu i przyniosła we flaszce kwaterkę słodkiéj i trzy obwarzanki. Posadziła gospodynie za stołem i nalewając wódkę do kieliszka, zaczęła z niemi radzić, co kupić na jarmarku. Marzyła o wyprawie: czterech krótkich koszulach i dwóch spódnicach, o kożuchu i chustce na głowę, gdy jéj włosy przy czepinach utną. Spodziewała się, że gospodyni jako matka Józka, coś o tém wspomną, lecz stara piła wódkę, głową kręciła, zagadywała to i owo, a o weselu pary z ust nie puściła.

— Kupujże sobie, co ino ci potrzeba, a my od południa będziemy czekać na ciebie pod „Krakusem“ — zakończyła pogwarkę Kubowa.

Dziewczyna posmutniała.

— Myślałam, że mi przecie pomożecie.

— Ty wiesz jedno, a my drugie—odparła tajemniczo.—Chodźcie kumo — odezwała się do staréj, wyprowadzając ją z karczmy.

Kaśka oniemiała i wytrzeszczonemi patrzała za niemi oczyma.

— Uciekacie ? . . .

Kobiety znikły w tłumie.

— Uciekacie?... — powtórzyła cicho — i dlaczego?... i za co?... Co ja wam krzywa?...

Smutne przeczucia obsiadły jéj mózg; odechciało się jéj iść na kupno, mimo to poszła, wytargowała perkal na koszule; chustki na czepiny kupować nie miała odwagi.

---

(1) Mieszczanie z małego miasteczka.

Ugadana i zmęczona targiem, usiadła na podcieniu, oparła łokcie o kolana, głowę na rękach, zamyśliła się głęboko, lecz myśli uporządkować nie mogła. Bała się czegoś, lecz nie wiedziała, czego. Przeczuwała nieprzyjaciela, lecz nie była w stanie odgadnąć go. Józka nie było na jarmarku, zobaczyłaby go przecież?...

Słońce przechyliło się na drugą stronę, lud zaczął się rozchodzić, żydzi zwijali swoje baraki; dziewczyna przypomniała sobie malowanego „Krakusa“ na szyldzie karczmy za miastem, perkal zwinęła w płachtę, przerzuciła przez ramię, związała i poszła.

Pod „Krakusem“ grała muzyka, słychać było zdaleka jęczenie basu i rozdzierający pisk klarnetu. Miejsce przed karczmą zawalone wozami i bydłem, w bramie tłok. Śmiéchy, żarty i kłótnie wytwarzały chaos, podobny do dzikiéj muzyki, przedrzeźniającéj szumy drzew w lesie i świst wiatru.

Kaśka niecierpliwie przeciskała się przez tłum zapełniający bramę. Drzwi do izby były otwarte, buchała z nich para, dym fajek zamroczył ją. Oczy przetarła, wzrok wytężyła, rozpatrując się w tłumie. Pary jedna za drugą mijały, na czele Józek z wdową. Zobaczył ją chłopak, zmylił takt w tańcu, poprawił się, zawołał: hu-ha! podniósł w górę rękę i zwrócił się w lewo. Pot spływał mu po twarzy, blady patrzał ponuro. Kaśki się wstydził i wściekły był na nią za to, że umyślnie przyszła patrzéć na niego, kiedy on zaleca się do wdowy i tańczy z nią. Podprowadził wdowę do muzyki, zaśpiewał, i tupiąc w takt nogą, tańczył zawzięcie. Spojrzał wyzywająco na Kaśkę, zmarszczył brwi i pomknął daléj. Wdowa wysuwając z za mięsistych warg białe, duże zęby, uśmiechała się do młodego chłopaka.

Klarnet przeciągle jęknął, zmęczeni muzykanci przestali. Józek trzymając wdowę wpół, podprowadził ją do matki, siedzącéj na wystawie okna z Gawliczką i młynarką.

— Widziałeś Kaśkę? — szepnęła stara do syna.

— Co mi tam Kaśka! — odparł szorstko chłopak.

Wdowa spojrzała ku drzwiom: Kaśki nie było. Rozśmiała się tryumfująco, pokazując duże, białe zęby, i zawołała o piwo dla kum.

— Nie chciała przyjść — odezwała się stara.

— Głupia, zdaje się jéj, że może się równać z takiém bogactwem — dorzuciła młynarka.

— Bogactwo jak bogactwo, ale powinna wiedziéć, że tu idzie o ojcowiznę.

— Co się po sprawiedliwości boskiéj chłopakowi należy — poświadczyła młynarka.

— Powinna wiedziéć a nie wié — powtórzyła stara.

— Gadajże z głupią, kiej wlubienie wlazło jéj w głowę.

Józek słyszał pogwarkę i zły powtarzał w duchu.

— Głupia nie wie, że tu idzie o świętą ziemię.—Tym argumentem usprawiedliwiał siebie i gniewał się na dziewczynę, że tego nie rozumiała.

Kaśka rozpychała gorączkowo w bramie ludzi, minęła natłoczone wozy, dobiegła do gościńca i uciekała, jak gdyby ją kto gonił. Zmęczona i zasapana stanęła na wzgórzu, pot z czoła obcierała płachtą, odwróciła się i spojrzała na karczmę. Mrowie ludzi w kożuchach i czarnych czapkach wydawało się jéj, jak rój pszczół brzęczących. Z czarnego otworu bramy co chwila wylatywały żałosne jęki klarnetu na wesołą nutę i huczenie basów. Podniosła zaciśniętą pięść w górę.

— Obdarliście mnie ! — zawołała dzikim głosem — twój ojciec i ty! a teraz odpychacie jak psa!... Czekajcie, ja was nauczę, ja wam pokażę, ja! ja!... — zdławiło ją w gardle, słowa więcéj wymówić nie mogła. Zbiegła ze wzgórza, droga prowadziła przez bukowy las, zawahała się i u kraju stanęła czekając na ludzi i wozy.

— Przysiędę się na szóstkę — zdecydowała. Z żalu i gniewu nogi pod nią drżały i uginały się.

— Obdarli, zrabowali sierotę, a teraz ją wygnają jak psa, na cztéry strony świata — powtarzała, wstrząsając smutnie głową.

Nadjechał Smoleń na małych, wązkich saneczkach z babą i kupionym prosiakiem, zabrał dziewczynę.

— Biednaś ty, schowaj se szóstkę i tak cię zawiozę—oświadczył.

Dziewczyna siadła, koniki małe i młode pogalopowały stęsknione za ciepłą stajnią i obrokiem.

— Biednaś ty, biedna — ciągnęła daléj Smoleniowa— wdowa ci odbiła chłopaka i już se rady nie dasz.... Ale co ona w nim uwidziała? Chłopak nikły i bladziutki.

— Delikatny — szepnęła Kaśka.

— A jéj potrzeba Bartka, coby babę wyprał i w garść ujął gospodarstwo. Ale cóż, upodobała se w nikłym, żeby nad nim przewodzić... i nie ma rady.

Kaśka się rozpłakała.

— I czémże się postawisz przeciw takiéj bogaczce? Ale ci pieniądze twoje muszą oddać.

Dziewczyna cicho lecz serdecznie płakała, Smoleniowa pomacała worek, czy kupiony prosiak leży w nim. Pociśnięty zaprotestował energicznie. Kwik rozweselił gospodynią, gospodarz zapalił fajkę i pojechali daléj.

Za powrotem do chaty opanował dziewczynę cichy żal, krwawiący jéj serce. Wydoiła krowę, rozpaliła ogień, uwarzyła wieczerzę i zapatrzona w płomień skarżyła się na swą dolę.

Skrzyp śniegu od stąpań ludzkich ocucił ją. Pochwyciła za kądziel, usiadła na ławie i prząść zaczęła nerwowo, że aż wrzeciono w palcach jéj warczało.

Do chaty weszła matka, za nią Józek. Blady był, oczy miał głęboko wsunięte i świécące. Stara spojrzała na Kaśkę, potém na syna. Chłopak milczał, Kaśka przędła, że aż wrzeciono warczało. Rozebrali się w milczeniu matka i syn, Kaśka przygotowała wieczerzę.

— I czegożeś uciekła? — odezwała się gospodyni.

Kaśce wargi drżały, lecz nic nie odpowiedziała. Przy wieczerzy Józek nie spojrzał na nią. Ona za to zatrzymywała wzrok na jego twarzy, wahający się między pogardą a litością. Chłopak podparł jedną ręką głowę, drugą sięgał łyżką do miski, brał po troszku i jadł powoli. Nie był głodny, tylko nie wiedział, co z sobą zrobić. Matka rozmarzona „słodką“ i szczęściem syna, jedząc drzémała. Chłopak położył łyżkę i oczy przymknął, dziewczyna zebrała ze stołu naczynie, stół otarła fartuchem, otworzyła skrzynkę, wyjęła pieniądze i kładąc je na stół, powiedziała:

— Macie za prosiaka.

Stara wyciągnęła rękę.

— Nie ruszajcie! — krzyknął Józek—to jéj! ona go sobie uchowała. I nie czekając na odpowiedź wyszedł, trzaskając drzwiami.

Wściekły był na wdowę i rad był kości jej połamać. Wściekły był na Kaśkę. Cóż-to ona nie wié, że idzie o całe ośm morgów, o ojcowiznę. Cóż-to ona nie wié, że inaczéj anibym na starą nie spojrzał. Wié dobrze, ale chce mi dopiec, dokuczyć, i kąsa jak żmija. Rzucił się na posłanie i pomimo że pół kwarty słodkiéj burzyło się w nim i w głowie szumiało, nie mógł zasnąć.

— Byle tylko swoje odebrać, byle tylko rozeprzéć się na ośmiu morgach gruntu, byle wydrzéć z pazurów Sobka ojcowiznę—cicho powtarzał, gotów dla tego pragnienia poświęcić wszystko: Kaśkę, matkę, wdowę, siebie samego, cały świat.

— Bierzcież!—odezwała się Kaśka, podsuwając staréj papierki.

— Nie słyszałaś to, co syn powiedział—odparła. Ściągnęła buty, zrzuciła kaftan, wsunęła się pod pierzynę i zaledwo głowę przyłożyła do poduszki, sen ją zmorzył; zachrapała.

Dziewczyna została sama z pieniędzmi.

— Stérali mnie, obdarli do nitki, kazali się wysługiwać lata, a teraz wyzbywają się temi paroma papierkami.

Odepchnęła od siebie pieniądze, jak gdyby raził ją ich widok. Nie mogła ustać na nogach, zsunęła się na ławę, położyła ręce na stole, głowę oparła i cicho długo płakała. Myśli jedne po drugich wolno, jakby zmęczone przesuwały się przez jéj mózg. Raptem pod-

niosła głowę, zebrała pieniądze, schowała je do skrzynki. Wyciągnęła powoli poduszkę swoję z pod głowy gospodyni, zabrała leżącą w nogach pierzynę, związała je płachtą, z izby wybiegła, przyciągnęła pod drzwi saneczki, wyniosła skrzynkę, zawiniątko, drzwi za sobą zaparła, otuliła się chustką, spojrzała dokoła, jakby się pożegnać chciała, pochwyciła z zawziętością sznur, i ścieżkami, ciągnąc za sobą sanki, dostała się do gościńca.

— Szerszeńka mnie przyjmą — szeptała. — Nie chcę waszego chleba więcéj jeść, boby mnie udławił, nie chcę się wam więcéj wysługiwać. Byle przezimować, roboty na wiosnę nie zbraknie.

Chata Szerszeńki stała na górze, panującéj nad gościńcem i rozrzuconą obok niego wioską. Dziewczyna ciągnąc sanki, wdzierała się powoli oślizgłą z mrozu ścieżką. Odpoczywała co chwila i co chwila zrywała się do dalszego pochodu. Gniew i zawziętość dodawały jéj sił, mróz zapierał oddech, całodzienne zmęczenie i głód występowały kroplami potu na jéj czoło.

Nareszcie dostała się na równię; odetchnęła głęboko i daléj biegnąc, dopadła do chaty. Drzwi nie były zaparte, Szerszeńka nie bała się napaści.

— A kto tam? — zawołała, zrywając się z pościeli.

— To ja, matusiu, Kaśka Łubianka; nie bójcie się, przychodzę do was z dobrém słowem. Nie macie patyczków do zapalenia, a drewek na kominie, bom zmarzła siarczyście.

— A zkądby się u mnie wzięły?

— Ha, to się przy was położę i ogrzeję, ino wniosę skrzynkę i pościel.

Szerszeńka usiadła na łóżku.

— Co? co?—pytała, przeciérając oczy, pewna że śpi jeszcze.

— Przyszłam do was na komornicę.

— Dziewczyno!

— Nie bójcie się nic, będziemy miały za co przezimować.

— Sidorowa — syn?

— Wygnali mnie!

— W ciemną noc, sierotę!

— Wygnali.

— A pieniądze sierocińskie?

— Zabrali co do grosza. Zostawili parę dziesiątek za prosiaka.

— Parę?...

— Dwie i coś trzy papierki.

Szerszeńka odetchnęła.

— Dwie — szepnęła — to wystarczy do wiosny.

— Wystarczy—poświadczyła Kaśka. — Wdowa bogaczka wydaje się za Józka, a matka temu rada. Dla mnie nie ma tam miejsca.

— Nie ma dla sieroty. Kłuła byś ich sobą w oczy i przypominała im sierocą krzywdę.

Kaśka z żalu i na poświadczenie słowom Szerszeńki zapłakała.

— I cóż ci płacz pomoże? — Szerszeńka zerwała się, rozwiązała płachtę z pościelą, rozesłała na łóżku pierzynę i poduszkę, kazała dziewczynie ściągnąć buty i poprowadziła ją do łóżka.

— Spocznij se i wyśpij się. Jutro rano uwarzę ci mléka, to się skrzepisz. Kupimy sobie przędziwa, sprzędziemy go, damy do tkacza, a płótno sprzedamy. Nię będzie nam się cnęło i parę szóstek się zarobi. Tu ci marnego słowa nikt nie powie i będzie ci jak u Pana Boga za piecem. Położyła ją, otuliła pierzyną, głaskała po twarzy, póki dziewczyna zmęczona całodziennym trudem i nieszczęściem, które ją tak niespodzianie przytłoczyło, nie zasnęła.

— Bóg mi cię zesłał — pomyślała — bo inaczéj przyszłoby krowinę sprzedać, lub z głodu zamrzéć. Dwie dziesiątki i trzy papierki — uśmiéchnęła się radośnie. A to ci się sieroty wyzbyli. I to biedajstwo do nikogo ino do mnie. A niechże cię....—Wsunęła się pod pierzynę, przytuliła do dziewczyny i snując rozkoszne marzenia, rozgrzana ciepłem ciała śpiącéj, zasnęła.

Ciemno jeszcze było a już ogień na kominie płonął. Suche gałęzie drzewa trzaskały, rzucając dokoła iskry. Trzask i krzątanie się Szerszeńki po izbie zbudziły dziewczynę. Zerwała się, oczy przetarła, patrząc nieprzytomnie.

— Kasiu, to ja, nie pamiętasz jakeś zaszła do mnie w nocy?

— Pamiętam — szepnęła.

— Nie wstawajże póki ogień izby nie ogrzeje i mléka ci nie uwarzę. Spocznij se, spocznij Kasiu, moja rybko, zimno na dworze, a nie masz się czego zrywać, krowinę wydoję i wrócę. — Pogłaskała ją szorstką ręką i szukając skopca, mruczała półgłosem:

— Taką dziewuchę, takie śliczności, co to samo zdrowie, porzucić dla staréj baby, a niechże cię kolka zeprze.

Kaśka podzielała opinie Szerszeńki, lecz się nie odzywała. Gdy stara zniknęła za drzwiami, zerwała się z posłania, obuła, gorącym oddechem odchuchała zamróz na szybie i ciekawie wyjrzała.

Na wschodzie płonęło niebo, ciemne lasy na górach kąpały się we krwi i ogniu. Na dole rozrzucone chaty wioski, drzewa okryte szronem rumieniły się od krwawego wschodu, z kominów długie kity dymu w niebo strzelały.

W obejściu Sidorów było cicho, jakby tam wszystko zamarło. Dym z komina nie strzelał w górę.

— Śpią — mówiła do siebie Kaśka — bo se myślą, żem wstała, drew przyniosła, ogień rozpaliła, uwarzyła śniadanie. Biéda wam bez Kaśki dokuczy, zobaczycie.

Drzwi obórki rozwarły się: wyszedł Józek okryty płaszczem żołnierskim i pobiegł żywo do izby; mróz go palił.

— Co to będzie! — zawołała, rada ze swéj ucieczki.

Za chwilę chłopak wybiegł, zajrzał do stodoły, rozglądał się, jakby szukał po śniegu śladów. Nic nie znalazł; powoli wrócił do izby.

— Szukają mnie! — zawołała z tryumfem.

Dym niebieskawy jak obłoczek zamajaczał nad kominem chaty Sidorów, wzmagał się co chwila, rósł, aż wybuchł ciemną kitą w niebo.

— Łatwo wam palić, kiej wam naznosiłam gałęzi z lasu. Teraz po drzewo będziecie sami chodzić — rozśmiała się sucho.

Weszła z mlekiem Szerszeńka.

— Patrzysz na obejście staréj jakby z nieba. Tak ja na ciebie nieraz patrzałam. Muszą cię szukać i w głowę zachodzą, gdzieś się podziała, i ani im w głowie, żebyś tu była. Oj, oj, będzie się Sidorowéj bez ciebie cnić. Zazna ci ona teraz dopiero, co to ciężka robota. Ale kiej się jéj zachciało bogaczki, niech ją sobie ma.

Mimo przychlebstwa Szerszeńki, dziewczyna zaczynała tęsknić za domem. Była pewna, że gdy się dowiedzą gdzie jest, przyjdą ją prosić, aby wróciła.

Gdy chłopak ukazał się w drzwiach izby, zawołała matka:

— I cóż?...

— Ani widu, ani słychu.

Zamyślili się oboje.

— A czy się czasem nie obwiesiła na górze. Dziewczyna harda i jak se zacznie przybierać do głowy....

Józek skoczył do sionki, po drabinie dostał się na strych, rozejrzał dokoła, spojrzał po za komin i wrócił. Blady był i wylękniony.

— Nie ma jéj?.. — spytała.

Chłopak głową potwierdził.

— Może do lasu poszła?

Nic nie odpowiedział, usta zacisnął, ściągnął brwi, zamyślił się i siadł zmęczony na ławie.

Kobietę coraz więcéj żal zbierał za dziewczyną.

— Krzywda, krzywda — szepnęła. — Niech co chce będzie, skrzywdziło się sierotę.... Powinna przecie zrozumiéć, o co chodzi; ale gadajże tu do rozumu kochaniu... Ty se myślisz o ojcowiznie, a ona o tobie.

Chłopak wlał żur z miski do garczka, wypił go duszkiem, kawał chleba wsunął do kieszeni płaszcza, czapkę nasadził na uszy i nie pożegnawszy się z matką, wyszedł.

Matka patrzała za nim przez okno, szedł prosto ścieżką pod górę do lasu, zkąd Kaśka sankami woziła gałęzie.

— Wlazła ci Kaśka do głowy — szeptała — że se jéj wybić nie możesz. Strach cię przejmuje o nią i sumienie gada.—Zamyśliła się.

— Gdyby nie kawał świętéj ziemi, miałabym walną synową. Ha człowiek tak, Pan Bóg inaczéj.—Smutno jéj było bez dziewczyny, tęsknota ją zbierała i żal. Odzwyczajona od pracy, nie umiała sobie radzić, nie szła jéj robota, stawała, zamyślała się i mimowolnie oglądała się za Kaśką.

Na południe wrócił Józek zmęczony, smutny i zły.

— Nigdzie—pochwyciła matka.

— Byłem tak, jak ino daleko zajść mogła.

— I nic?...

— Nic—obcierał pot z twarzy i ciężko oddychał.

— Boję się, czy dziewczyna nie zmarniła się.

Chłopak zasępiony milczał chwilę.

— Wściekła ta baba,—szepnął, myśląc o wdowie.—I gdybym Kaśkę przez nią stracił, uśmierciłbym siebie i ją.

— Tak, tak—ale grunt.

— Wiem—krzyknął—że to mus,—waląc pięścią w stół,—ale nie taki, żebym dziewczynę zaprzepaścił.

— Mus, mus, mój synu. Cóżto, ojcowizny byś nie odebrał bez głupią dziewkę.

Weszła Gawliczka.

— Nie wiécie, gdzie Kaśka?—spytała.

Józek się zerwał, gospodyni zbliżyła się rozciekawiona do kumy...

— U Szerszeńki i z góry patrzy na was.

— U Szerszeńki,—powtórzyli matka z synem.

— Bądźcie zdrowi, poleciałam na kieliszek do żydówki i ucie-kam. Stary wraca z lasu i jakby nie zastał obiadu, toby mnie sprał i miałby prawo.

— Któż wam mówił,—spytał Józek.

— Widziałam ją na własne oczy. Ślepa nie jestem. Zostań-cie z Bogiem—wybiegła; stara wyszła za nią, lecz za chwilę wróciła.

— A to ona u Szerszeńki.—Spojrzeli oboje przez okno na przyległe wzgórze, zkąd widniały na białym śniegu ciemne ściany chaty.

— Myśmy się bali, czy się gdzie nie zatraciła, a ona ci siedzi w ciepłéj izbie, patrzy na nas i śmieje się. Zadrwiła se okrutnie. Widziała, jakeś ją szukał i poleciał za nią w las.

— Dawaj matka jeść,—przerwał chłopak gwałtownie.

Stara w głosie syna uczuła gniew i zamilkła.

— Ja ci dam drwiny,—powtarzał w duchu.

Po obiedzie przybrał się w mundur, buty wyczernił, wymył się i uczesał, wdział nowy kożuch i czapkę baranią, zabrał pieniądze, pocałował matkę w rękę, matka go w głowę i zniknął za drzwiami. Nie przemówili do siebie ani słówa, lecz rozumieli się wybornie.

— Ja ci dam drwiny,—powtarzał, zbiegając z góry. Śnieg skrzypiał mu pod nogami: słyszał w nim śmiech Kaśki.

— Ja ci dam drwiny,—zawołał tak głośno, że aż echo z po za góry odpowiedziało mu. Czuć było w nim namiętność i chęć zagłuszenia sumienia krzykiem i gniewem.

Na „Tatarczance“ kupił flaszkę słodkiéj. Mosiek wpatrywał się w niego z pół uśmiechem radości i protekcyi.

— Sidor, pamiętaj, że to w téj karczmie takie szczęście cię spotkało. Drugi dzień wesela u mnie. Dobrze?

— Dobrze—odpowiedział Sidor, wychodząc.

— I trzeci, pamiętaj, i trzeci...

Chłopak nie słyszał. W uszach mu świszczał śmiéch Kaśki. Drwiny jéj czuł głęboko, paliły mu krew i gniew wydobywały.

Doszedł do młyna.

— Zbierajcie się swachu—rzekł, udając wesołość, flaszkę wódki postawił na stole.

— Przyszedłeś, to już dobrze. Pójdziecie zaraz, niech tylko mego ogarnę,—odparła młynarka. Wdowa ci się dopiero ucieszy. Mówię ci baba mało co się nie zagubi, tak się jéj cnie. Na Bartka teraz ani popatrzy.—Zawiązała mężowi czerwoną chustkę na szyję, podała mu siwy surdut i gdy się zapinał, zarzuciła chustkę na siebie.

— Polecę naprzód, idźcie wolno: kobieta musi przecię izbę uprzątnąć.

Matka długo w noc czekała syna, ciekawa, co się stało ze swatami.

Kaśka również czekała, pewna, że przyjdą prosić ją, aby wróciła. Nikt nie przyszedł. Widziała Józka, gdy wychodził przy zachodzie słońca. Niebo się krwawiło, wybiegła z izby i stojąc na mrozie, patrzała. Nie wracał. Żal ścisnął serce dziewczyny, smutne przeczucia opanowywały ją i gdyby się nie wstydziła Szerszeńki, zapłakałaby rzewnie i serdecznie...

VI.

O zbliżającém się weselu wdowy mówiła cała wieś. Sześciu drużbów wplatało w grzywy koniom kolorowe tasiemki, sześć dru-

żek naszywało złote blaszki na gorsety, wdowa sprowadziła białą, haftowaną chustkę z Dembicy. Młynarka ją widziała, śliczności.

Józek zdał gospodarstwo na matkę. Nic nie robił, przechodził tylko od wdowy do własnéj chaty i znowu wracał do wdowy. Był smutny i ponury. Nocami stawał we drzwiach oborki, wpatrując w światełko migocące w oknie chaty Szerszeńki.

Ludzie opowiadali, że oboje jeździli do miasta. Był z nimi organista, młynarz, i Sobek Sidor i tam u „matereusza“ (1) wykupiła wdowa od Sidora grunt dla Józka. Na wesele kazała zabić rocznego prosiaka, placki piekła dwa dni, a piwo i wódkę przywiozła z Dembicy.

W dzień wesela zaraz po wschodzie słońca zbudziły ludzi strzały z pistoletów i tentent koni drużbów, jadących po pana młodego.

Kaśka z Szerszeńką wybiegły z chaty na ścieżkę.

— Widzisz, widzisz—mówiła Szerszeńka,—Józkowi przyprowadzili siwego od wdowy, a jakie ci na nim siodło: sam je kupił w mieście..... Prowadzą go, a to ci się zestroił. Czapka czerwona a na niéj pawich piór moc.

Kaśka blada i zalękniona wpatrywała się w pana młodego.

Czy od siły jéj spojrzenia, czy skutkiem, że myślał o niéj, spojrzał w górę i zobaczył dziewczynę. Kaśka śmiała się nerwowo. Nie dojrzał uśmiechu, lecz go przeczuł. Nacisnął czapkę na prawe ucho, dosiadł siwego, prawą ręką ujął się pod bok i z fantazyą wyśpiewując: hu—ha, popędził. Starszy drużba przodem, drudzy obok niego.

Wykrzykniki ucichły, tentent ustał, pan młody i drużbowie rozpłynęli się we mgle, zaledwo strzały z pistoletów przynosiły echa, Kaśka stała, patrząc na gościniec, zesiniała od zimna.

— Chodź, chodź Kasiu—przemówiła Szerszeńka, prowadząc dziewczynę do chaty.—Kiej przenosi nad ciebie starą babę, to już na to nie poradzisz.

Dziewczyna dała się pociągnąć. Gniew wyglądał jéj z oczu, usta układały się do uśmiechu.

W izbie wyjęła Szerszeńka ze skrzynki świąteczną odzież, głowę przewiązała chustką.

— A gdzież to?—spytała Kaśka.

— Do kościoła, a potém zajrzy się choć przez okno na wesele. Zbieraj się i ty, pójdziemy razem. Właśnie pokażesz mu, że nie dbasz o niego.

Dziewczyna zaczęła się szybko ubierać. Włosy zaczesała, warkocze czarne, długie zaplotła i zarzuciła je na plecy, wdziała czystą

---

(1) Notaryusza.

koszulę z kryzą, obszywaną po brzegach czerwonemi nićmi, kaftan granatowy i czerwoną w białe kwiaty spódnicę.

Szerszeńka spojrzała na nią.

— Taką dziewuchę porzucić dla staréj baby, a niechże cię gęś kopnie,—zawołała.

Kaśka się uśmiechęła smutnie.

— Chodźmy, matusiu.

— Chodźmy, tylo pamiętaj Kasiu, abyś w kościele jakich szlochów i szamotań nie wyprawiała.

— Ja?..—odparła oburzona dziewczyna.—Ja mu się w ślepia zaśmieje i tyla.

— Bo nie wart niczego innego—poświadczała Szerszeńka.—Chłop by myślał, że Bóg wie co. A ty mu właśnie pokażesz, że stoisz tyle o niego, co o ten wiatr wiejący po polu.

Wyszły, mróz zelżał, mgła zaległa dolinę. Na gościńcu Kaśka wyprostowana, pewna siebie, biegła naprzód, Szerszeńka za nią. Ludzie, widząc Kaśkę, zaczęli szeptać między sobą.

— Idzie Kaśka, pewnikiem w kościele wyprawi turbacyą Sidorowi.

— Abo wdowę schwyci za włosy i ściągnie ze stopni ołtarza.

— Kaśka na wszystko gotowa.

Gotowość na wszystko Kaśki budziła ogólną ciekawość i niemal całą wieś sprowadziła do kościoła.

Zagrały organy, przed wielkim ołtarzem uklękła wdowa, Józek obok niéj. Kaśka stanęła naprzeciw, przeszywała go wzrokiem i uśmiechała się. Chlopak spojrzał na nią, zobaczył uśmiech ten sam: widział go we śnie, widział gdy oczy zmrużył, widział gdy patrzał na świat i myślał o swéj ojcowiznie. Zbladł, zatrząsł się i brwi ściągnął. Schwyciłby Kaśkę i zdusił, gdyby nie kościół, wielki ołtarz i ksiądz przed ołtarzem. Czuł w uśmiechu dziewczyny zemstę jej, tryumf, a własne upokorzenie. Kaśka się śmiała z niego i baby klęczącej przy nim. Kiedy ona młoda, samo zdrowie, przeznaczona mu przez ludzi i Boga, zdała od niego śmieje się i drwi.

Kaśka, wciąż patrzała i uśmiechała się. Ludzie, dziwując się jéj spokojowi, szeptali do siebie:

— Czy Kaśka zapomniała Józka? Czy znalazła sobie innego chłopaka?—Markotni byli, że się wszystko spokojnie odbywa; żal mieli do dziewczyny...

Ksiądz zmienił pierścionki i związał stułą ręce państwu młodym. Wdowa promieniała radością, Józek był blady, matka jego płakała dla zwyczaju i z żalu za synem.

Organista zagrał marsza, organy huczały. Jakże nie miały huczéć takiéj bogaczce?.. Józek szedł naprzód, wdowa tryumfująca tuż obok niego, za nimi matka, drużbowie, druchny w kwiatach na głowach i zaproszeni goście. Ludzie im się ustępowali i dziwili.

Ostatnia wyszła Kaśka z Szerszeńką. Na cmentarzu było pusto, zdaleka zaledwo dolatywały ich tony muzyki, śpiewy drużbów i trzaskania z biczy.

— Amen i już po wszystkiemu,—odezwała się z determinacyą Szerszeńka. Kaśka wstrząsnęła głową i łowiąc niknące tony muzyki, stała zapatrzona w jeden punkt, niema, zrozpaczona.

— Wracajmy do chaty, moje dziecko. O jednego chłopa i tak sobie zaraz przybierasz do głowy.

Dziewczyna ocuciła się.

— Ja przybieram sobie do głowy, o tego draba? Nie doczekanie jego. Chodźmy...

Szła prędko naprzód że zaledwo jéj Szerszeńka wydążyć mogła.

Wieczorem wyszły obie zajrzéć na wesele.

— Niech on nie myśli, że ja siedzę w komorze, głową biję o ścianę i włosy rwę.

Przed chatą wdowy było ludzi jak mrowia, przypatrywali się zabawie przez otwarte okna. Kaśce mimowolnie zrobiono miejsce. Oparła się o framugę okna i żartując z dziewczętami, śmiała się głośno.

Śmiech jéj wśród wrzawy usłyszał Józek. Zapalił krótkiego, wziął ze stołu flaszkę i zaczął częstować słodką swych gości. Ręka mu drżała, rad był poskoczyć do dziewczyny i zdusić ją, lecz się bał. Ludzie by ją obronili, a jemu wstyd.

Gospodyni w swoim domu skłoniła się Kaśce lekkiem poruszeniem, dziewczyna nie odpowiedziała jéj, patrzała na nią, nie widząc.

Wdowa kazała słudze podać jéj placka i mięsiwa. Odsunęła rękę sługi z jadłem i daléj żartowała i śmiała się z dziewczętami.

Państwo młodzi zobaczyli, jak Kaśka odepchnęła podane jadło, lecz udawali, że nie widzą.

Dziewczyna zabawiła godzinę przy otwartem oknie, naśmiała się z rówiennicami i razem z niemi odeszła. Po jéj odejściu wdowa odetchnęła, lżéj się jéj zrobiło. Józek udawał wesołego, ale był zgnębiony i smutny.

VII.

Wiosna powoli z po-za zczerniałych płatów śniegu wydobywała się zieloną trawą, słońcem płynącém w błękitach, ciepłym, południowym wiatrem i piosnką skowronka.

Kaśkę podrywało i ciągnęło z chaty Szerszeńki na boży świat. Przybladła przy wrzecionie i smutnych myślach.

I Sidorowa zbiédniała, syn wtedy tylko zaglądał, gdy szedł na swe pole patrzéć, czy śnieg zleciał z oziminy i rachować dnie, kiedy będzie mógł wjechać pługiem na własny zagon. Uśmiechał się ze szczęścia na samę myśl téj pracy.

Południowy wiatr napędził chmury, dészcz ciepły, drobny i gęsty spadł w nocy na ziemię, rankiem słonko rozpędziło mgły, śnieg znikł, promienie słońca przeglądały się w kroplach rosy błyszczącéj na trawie. Ptaki świérgotały w powietrzu, kury grzały się na słońcu, bydło ryczało w oborach, ludzie się radowali wiośnie.

Sidorowa wybiegła z izby, stanęła na dziedzińcu i grzejąc się na słońcu, patrzała na chatę Szerszeńki.

— Jakże ja sobie biedna sierota teraz dam radę. Ręce i nogi nie słuchają mnie, krzyże bolą, a tu tyle roboty, że Boże zlituj się..... Niech będzie co chce,—szepnęła z mocą, chustkę pociągnęła na głowę i prosto poszła do chaty Szerszeńki. Kaśkę zastała samę.

— Cóż to Kasiu, markocisz się jeszcze i nie ulitujesz nad starą. Wiem, że ci się krzywda stała, ale przecię powinnaś sobie pomiarkować, że chłopak sto razy ciebie by wolał i twoję urodę, jak swoję babę. Wszystko to bez tę ojcowiznę się stało: ośm morgów pola i miałby ci go stracić i nie bać się pomsty Bożéj?.. Aboś to ty taka głupia, żebyś nie rozumiała, że mu ino o świętą ziemię szło?

Kaśka spuściła głowę i milczała.

— Zostałyśmy tylko dwie, na Bożym świecie—mówiła daléj Sidorowa serdecznie,—odchowałam cię i gdym się zestarzała, robić nie mogę, uciekasz odemnie, a przecie wszystko, co zostanie po mnie, to twoje... Marnego słowa odemnie nie słyszałaś...—Rozpłakała się, ocierając chustką oczy.

I Kaśka buchnęła płaczem, głośnym, płynącym z pod serca. Długo tajony ból, żal i smutek znalazły ulgę w tym płaczu.

Stara ocierając chustką oczy, głaskała po twarzy dziewczynę.

— Człowiek chce tak, Pan Bóg inaczéj. A czy to ja kiéj była krzywa temu, abyś nie została moją synową? Powiedz sama? Cóżem zyskała, że chłopak przyżenił się do bogaczki, co? Ani go oko moje widzi, ani uszy słyszą... No Kasiu, wrócisz do własnéj zagrody?

Dziewczyna milczała. Sidorowa zwinęła w płachtę pierzynę jéj i poduszkę, zarzuciła zawiniątko na plecy i wychodząc:

— Chodź, chodź—mówiła.—Po skrzynkę przyślę wieczorem Magierę. Roboty nie braknie, Szerszeńka się u nas na przednowku przeżywi i parę grajcarów weźmie.

Kaśka okryła się chustką i wyszła; na drodze odebrała staréj zawiniątko, bo coby ludzie powiedzieli, i poszła zawstydzona. Dopiero w chacie ożywiła się i rozweseliła. Pobiegła do krowy: wtorucha poznała ją, wyciągnęła szyję i lizała ostrym językiem. Cielę urosło, ciołki były wypasione, Józek przywiózł im siana z domu. Sidorowa goniła dziewczynę wzrokiem pełnym radości i uśmiechem szczęścia.

— Co tu roboty, co tu roboty—mówiła Kaśka,—nie wiedziéć do czego się tknąć.—Gospodyni potakiwała jéj.

Wieczorem przyszła Szerszeńka, Magiera przyniósł skrzynkę. Tymczasem od chaty do chaty biegła wieść o powrocie Kaśki, dobiegła i do bogaczki. Józek drgnął, lecz nic nie mówił. Bogaczka posmutniała czegoś, lecz nie śmiała się odzywać.

Pod promieniami słońca i południowego wiatru ziemia w oczach obsychała; lud się wyroił na rolę jak mrówki i zaczęła się wiosenna praca.

Na ośmiu morgach ojcowizny Sidora, Magiera ciołkami orał ziemię. Józek czterema końmi włóczył zimową uprawę. Gdy spoczęli chwilę, młody gospodarz zwrócił się do Magiery.

— A co, będzie tu jęczmień?

— Chybaby Pana Boga nie było,—odpowiedział stary,—bo téż to grunt, grunt jakiego drugiego na okolicę nie znajdzie.

— A Kaśka—kończył w myśli Józek—chciała, abym się wyparł kawałka świętéj ziemi... Wio, wio—śmignął batem: cztery mierzyny ruszyły raźnie, ciągnąc brony. Kaśka—na wspomnienie tego imienia dreszcz go przechodził, serce się ściskało i urok świętéj ziemi zanikał...

— Hetta, wista—wołał na ciołki Magiera. pług odwalał skibę tłustej ziemi, połyskującéj na słońcu.

Józek za chwilę stanął, podszedł do orki, patrzał i szepcząc, powtarzał z uczuciem nieokreślonéj czci.

— Święta, święta—a mimo to wspomnienie Kaśki zasłaniało mu ją a wstyd i żal gnębiły.

W południe nie poszedł do chaty matki. Udawał, że się gniewa na Kaśkę, lecz się jéj w głębi duszy bał. Dziewczyna również się nie pokazywała, obiad w dwojakach przyniosła mu matka. Zaledwo raz widział zdaleka Kaśkę, idącą do lasu i wracającą z brzemieniem gałęzi na plecach. Na jéj widok krew mu buchnęła do głowy, lecz się odwrócił i powoli ochłonął.

Siéwy skończone, z pod ziemi wydobywały się zielone źdźbła zasianego zboża, szerokie, jasne listki jęczmienia i długie, ciemne owsa. Ziemniaki wychylały się granatowemi liśćmi z po za czarnych

skib. Czarne lasy zmieniły barwę, stały się podobne do miękich, wzorzystych dywanów, falujących podmuchami wiatru.

Ciepło było, zielono, rozkosznie. Biała kula słońca rzucała promienie przedzierające się przez niebieskawą mgłę widnokręgu. Świergoty ptaków łączyły się z wesołym rykiem bydła, krakaniem wron i piosnkami pasterek. Zdawało się, że cały świat się raduje, a ziemia oddycha dziewiczą świeżością.

Józek pchany ciekawością, przywiązaniem do ojcowizny i tęsknotą do własnego gniazda, uciekał od gospodarstwa wdowy patrzéć na swe zasiéwy. Stawał na wzgórzu, obejmując wzrokiem długi, wązki pas ziemi, ciągnący się łukowato w górę.

— Mam cię nareszcie i już cię mi nikt nie wydrze. Nikt—zawołał i czekał w nadziei, że mu to święta ziemia powtórzy. Święta ziemia odpowiadała wesołą zielonością rosnących zbóż.

Obejrzał się, od strony lasu zamajaczyła w zieleni drzew i błękicie powietrza czerwona spódnica Kaśki, biała koszula i granatowy gorset. Chłopak zadrżał: coś go ścisnęło za serce, w uszach zaszumiało, krew biła mu do głowy.

Czerwona spódnica i biała koszula znikły za zielonemi gałęziami. Józek stał, wytężył wzrok i uczuł w sobie nieznaną siłę, popychającą go w stronę lasu. Namyślając się, zrobił pierwszy krok, po nim drugi, trzeci—szedł coraz szybciéj, nareszcie zaczął biedz i biegiem dopadł do lasu. Zatrzymał się na kraju, patrzał i słuchał.

Z głębi dolatywał go trzask łamanych gałęzi, za dolatującym głosem, skierował wzrok, lecz nic nie widział. Serce mu biło, lęk go zbierał, tchu brakło w piersi. Oddychał ciężko, posuwając się zwolna za rozlegającym się odgłosem. Po za krzakami leszczyny zobaczył czerwoną spódnicę, granatowy gorset i białą koszulę. Zdobył się na odwagę, skoczył, przedarł się przez gałęzie i stanął przed dziewczyną.

Struchlała: nie mogła słowa przemówić i kroku jednego zrobić; blada drżała na całém ciele.

— Kaśka, gniewasz się—szepnął.

Dziewczyna zalękniona nie odpowiedziała.

— Markocisz się, wyśmiéwasz się ze mnie, a nie wiész sama o co. Miałem zatracić ojcowiznę, ośm morgów pola, jak złoto? Czyś ty oszalała? Czy mi to wolno marnić świętą ziemię? gadaj!

Kaśka milczała.

— Z początku zdało mi się, że wypracuję te cztery stówki i wykupię zastaw. Harowaliśmy całe lato i zarobiło się na sól, buty i podatek, a tymczasem rolę niszczył Sobek. Kaśka markocisz się?

— Nie—szepnęła, spuszczając oczy i wsłuchując się w bicie własnego serca.

— Przecie ja nie chciałem cię krzywdzić, i co zostanie po matusi, wszystko twoje. Kasiu, com przez ciebie przeciérpiał—zbliżył się do niéj i objął ją w pół.

Wiewiórka przeleciała po ziemi, szeleszcząc suchemi liśćmi; dziewczyna odskoczyła.

— Uciekasz—odezwał się smutno, a serdecznie.

— Nie,—szepnęła.

Zbliżył się znowu.

— Kasiu...

Dzięcioł zaczął bić w drzewo, łoskot rozlegał się po lesie: dziewczyna była pewna, że las ożył, patrzy i słucha. Kruk zakrakał w powietrzu, krowa zaryczała na wygonie, gołąb' przesunął się wśród gałęzi: Kaśka myślała, że las się wypełnia ludźmi i sto oczu patrzy na nią. Zaczęła się cofać.

— Boję się—szepnęła.

— Czego?..

— Jasności słońca, ludzi...—schyliła się, aby ukryć zarumienioną twarz i połamane gałęzie układać na rozłożony na ziemi powróz. Józek jéj pomagał. Milczeli ze wzruszenia, gwałtowne bicia własnych serc ogłuszały ich.

Dziewczyna chciała brzemię zarzucić na plecy, chłopak ją uprzedził. Szli razem aż do kraju lasu.

— Józek oddaj—szepnęła,—ludzie zobaczą i gotowe ramoty.

— A co mi ludzie! czy to ja się boję staréj?

— Oddaj—powtórzyła, zatrzymując go.

Chłopak zrzucił gałęzie na ziemię.

— Kasiu—odezwał się, głos mu drżał ze wzruszenia—sypiasz zawdy w obórce?—Dziewczyna odpowiedziała purpurowym rumieńcem.

— W nocy—mówił daléj,—tu, na tém miejscu będę cię czekał. Nikt cię nie zobaczy. Przyjdziesz?

Zamiast odpowiedzi poprawiała rozluźnione w wiązce gałęzie.

— Przyjdziesz—powtórzył rozkazującym tonem. Dziewczyna się przelękła.

— Może—szepnęła.

— Musisz! Będę czekał choćby całą noc; musisz—powtórzył.— Kasiu!—jęknął żałośnie.

Kaśka brzemię gałęzi usiłowała zarzucić na plecy, pomógł jej.

— Przyjdziesz?

— Przyjdę,—szepnęła—lecz nie chodź za mną. Wracaj Marcinową miedzą.

Chłopak został, patrząc za dziewczyną, póki nie znikła za wyniosłością wzgórza.

Granatowe niebo oświecały srebrne blaski gwiazd, na ziemi było ciemno i ciepło. W umówioném miejscu stał Józek: wytężył słuch, czekał. Cisza panowała w naturze, chłopak czuł, że ziemia, niebo i drzewa w lesie, razem z nim czekają, wytężywszy słuch. Zaszumiały wierzchołki drzew: był pewny, że to szelest spódnicy Kaśki. Szmer przeszedł po ziemi: wierzył, że to odgłos jéj stąpań po oblanéj rosą murawie. Zimno go przejmowało, drżał na ciele, a wewnątrz palił ogień... Godzina po godzinie mijały, czekał i słuchał. Daleko, daleko zaszczekał pies, kogut zapiał w zagrodzie, za nim drugi i trzeci. Od wschodu gwiazdy powoli bladły i gasły, na gałązkach drzew budziły się szmery od skrzydełek ptaków. Nieśmiałe ich szczebiotania wydobywały się z po za liści, ciemność znikała, chłodny wiatr przeciągnął od wschodu. Chłopak się zatrząsł z gniewu i żalu i jakby się bał, aby go słońce nie prześcignęło, zaczął biedz. Na górze stanął, nabierał w płuca powietrza i oglądał się. Od wschodu krwawe strugi światła spłynęły na ziemię. Wystraszony i niecierpliwy poleciał jak oszalały do zagrody matki, rozbił nogą wrotka, wpadł do obórki i drzwi za sobą zatrzasnął.

Józek przesiadywał w swéj chacie i jedynie uprawiał rolę ojcowizny, mało się zajmując swą babą a mniéj jeszcze jéj gospodarstwem. Matka się cieszyła powrotem syna, a Kaśka pocieszała słowami: „Stało się, co się stać musiało.“

Bogaczka zrazu pozwalała na wycieczki swemu chłopu, mówiąc „niech się nacieszy własnym zagonem.“ Lecz gdy ją słuchy zaczęły dochodzić o Kaśce, wybuchła strasznym gniewem, pomstowała i groziła.

Chłopak rad był ująć się za dziewczyną, lecz nie śmiał. Przecież to była jego baba, odkupiła mu ojcowiznę, starsza od niego, bogaczka i gospodyni. Rad był ją sprać należycie, nie śmiał, ręce mu drżały, lecz je trzymał przy sobie i milczał.

Milczenie i pozorny spokój chłopaka, podsycały zazdrość w kobiecie. Żółkła i starzała się. Co dnia przybywały jéj zmarszczki na żółtéj twarzy.

Kumoszki szpiegowały chłopaka i za garść soli lub kwartę grochu opowiadały o nim i dziewczynie dziwy, a ludzie mówili.

— Zachciało się babie młodego i już. Gdyby się wydała za statecznego gospodarza, miałaby spokój i ład. A tak odebrała chłopaka sierocie i teraz ma za swoje. Krzywda krzywdą się płaci, takie prawo na świecie.

Jedna z kum wczesnym rankiem wpadła zdyszana do izby bogaczki, mówiła długo i cicho, wykładała rękami i głową wstrząsała. Bogaczka słuchała, zaciskając w pięść rękę. Wyprawiła kumoszkę, zarzuciła chustkę na głowę i prosto poleciała do chaty Sidorowéj.

W otwartém oknie zobaczyła starą. Przyskoczyła do niéj.

— Tom ja tego dziada z barłogu dźwignęła, okryła, przytuliła, wykupiła grunt, oddałam mu własny dobytek, a ten łajdak z dziéwką się zadaje, sromoci twój dom i ty, czarownico, pozwâlasz na to, zamykasz ich w oborze, aby ci się ino lepiéj działo.

Sidorowa zbladła jak biała chustka, okrywająca jéj głowę.

— Syn mój jest lepszym gospodarskim synem, jak ty córką,— wrzasnęła.—A żeś mu grunt wykupiła, boś po nieboszczyku zabrała pieniądze; a że chłopak ucieka od ciebie, boś stara.

Zatrzasnęła okno, wdowa pięścią wybiła szybę, wyzywała starą i klęła, póki nie ochrypła. Kumy stojąc we drzwiach chat, słuchały.

Wieczorem Józek wracał do domu; wrótka do obejścia były zamknięte na kłódkę, na dziedzińcu stała wdowa, podparta pod boki:

— Gdzie?—krzyknęła.

Chłopak stanął, popatrzał na nią i ciskając błyskawice z oczu, zawołał.

— Do domu.

— To nie twój dom i jak tu wléziesz, psami cię wyszczuję. Ruszaj do swéj budy, do dziewki i do téj staréj czarownicy, co ją matką nazywasz. Precz!—krzyknęła ochrypniętym głosem.—Parobcy, do mnie!

Parobcy wyglądali z drzwi stajni, lecz nie śmieli wychodzić z szacunku dla gospodarza: dobry był, a nie chcieli babie pomagać, bo wstyd.

Józek mienił się z gniewu, ręce mu się trzęsły. Czuł, że gdyby tknął baby, mógłby jéj kości połamać. Stał, patrzał na nią, drżące wargi zębami trzymał i gdy się uspokoił do tyla, że mógł przemówić, odezwał się:

— Bądź zdrowa, stara—zwrócił się i poszedł.

Śmiéch od strony stajni rozległ się po dziedzińcu, łagodząc w nim uczuciecie doznanego upokorzenia i szalonego gniewu. Czuł, że się zemścił i to robiło mu ulgę.

Śmiéch parobków doprowadził do wściekłości kobietę, trzęsła się; chciała krzyczéć, dusiło ją w gardle; chciała biedz do stajni, nogi się pod nią uginały. Zaciskając kurczowo ręce, powoli wróciła do izby, zatoczyła się i padła na łóżko.

I znowu cicho i spokojnie płynęło życie wioski, wśród pracy i powszednich trosk, tylko ludzie mówili:

— Józek Kaśce był przeznaczony. Pan Bóg wié, co robi.

Braciejowa dnia 24 pazdziernika 1886 r.

Sewer.





Z GALICYI.

Styczeń 1887.

Zmiana marszałka krajowego i ks. Adam Sapieha.—Tegoroczna sesya sejmowa. Spór o 115 milionów. — D-r Smolka w Rzymie. — Ze statystyki.

I.

Gdy rok temu pisząc na tém samém miejscu o trudnościach, z jakiemi walczył ówczesny marszałek krajowy dr. Zyblikiewicz, przewidywałem jego ustąpienie, nie byłem jeszcze pewny, kiedy to nastąpi; tymczasem rok się nie skończył, a smutne proroctwo stało się faktem spełnionym. I nie mogło być inaczéj. Spór między marszałkiem a namiestnikiem doszedł był już do punktu kulminacyjnego, więc też jeden z nich musiał ustąpić. Gdy przyszło do ostatecznego starcia, utrzymał się ten, który mocniéj w siodle siedział. Tym był namiestnik Zaleski, podtrzymywany gorliwie przez ministra Ziemiałkowskiego i rodzinę hr. Alfreda Potockiego, bardzo wpływową tak w Galicyi, jak w Wiedniu. Walka między temi dwiema osobistościami była natury więcéj prywatnéj niż publicznéj. Dr. Zyblikiewicz, znany powszechnie z gwałtownego temperamentu i szorstkiego obejścia, wyrażał się przy każdéj sposobności w sposób lekceważący o namiestniku, któremu przedewszystkiém to zarzucał, że stara się o protekcyą dam wpływowych; namiestnik ze swéj strony był zdania, iż człowiek niehołdujący zasadzie Talleyranda, iż na to język mamy, byśmy tém lepiéj ukrywali nasze myśli, nie powinien zasiadać na równie wpływowém jak zaszczytném krześle marszałkowskiém. Smutném następstwem tego antagonizmu, który trwał cztery lata, a z każdym dniem się zaostrzał, było, że tak się wyrażę, kawęczenie naszéj autonomii, namiestnictwo bowiem, jako władza wykonawcza, nie raz rozmyślnie stawiało trudności wydziałowi kraj., co

na pożytek kraju wyjść nie mogło. Sprawa rachunków funduszu szkolnego, w któréj Zyblikiewicz zajął stanowisko zupełnie legalne, była tą kroplą ostatnią, która czarę przelała. Gdy Zyblikiewicz zażądał dymisyi, cały kraj zaczął go szczerze żałować. I żałowało go nietylko stronnictwo krakowskie, które go z dawien dawna za swego poczytywało, ale także mieszczanie i demokraci, choć do pierwszych, mimo iż z ich grona wyszedł, dr. Zyblikiewicz wcale się nie przyznaje, drugich zaś z całéj duszy nienawidzi, nazywając ich „warcholami“, „ulicą“, Bóg wié jak jeszcze. Wprawdzie zabawnie to wygląda, gdy człowiek, urodzony i wychowany w ubogiéj chacie małomiasteczkowego baraniarza, chce koniecznie grać rolę arystokraty, ale już to samo, że nasze żywioły demokratyczne przebaczyły mu tę jego fanfaronadę i na dawném stanowisku chciały go koniecznie utrzymać, jak z jednéj strony świadczy dobrze o ich zmyśle politycznym, któremu przedewszystkiém idzie o treść rzeczy, nie zaś o formę, tak z drugiéj strony daje także dobre świadectwo pożytecznéj działalności byłego marszałka. Gdyby Zyblikiewicz nie był się dobrym okazał na swojém stanowisku, nikt by go z pewnością nie żałował; jako człowiekowi, możemy mu bardzo wiele zarzucać, ale jako naczelnikowi naszéj autonomii chyba to jedno, że nie umiał dla dobra kraju zaprzéć się swego ja, i z rządem dobréj harmonii utrzymać. Wszyscy jego poprzednicy w ciągu lat dwudziestu tyle nie zrobili, co on w ciągu pięciu lat. Ci, co koniecznie chcieliby zmniejszyć jego zasługi, utrzymują, że gdyby był chciał, mógł jeszcze więcéj dokonać; lecz czy było to możliwe w ciągu pięciu lat, nad tém się oni nie zastanawiają. W tak krótkim przeciągu czasu prowincyi sześciomilionowéj nikt nie potrafiłby odrodzić, u nas bowiem wszelkiéj pracy około podźwignienia kraju z nędzy materyalnéj, nie tylko brak pieniędzy stoi na zawadzie, lecz także nasz nieszczęsny stosunek do innych prowincyi monarchii, które z Galicyi żyją. Jakim cudem np. podźwigniesz rolnictwo i chów bydła, jeżeli rząd dla dobra fabrykantów wiedeńskich, którzy wschód swoją tandetą zarzucają, otwiera ci granice południowe dla pszenicy rumuńskiéj i wołów stepowych, które prócz niskich cen przynoszą nam także zarazę; a jakim sposobem rozkrzewić przemysł, skoro Galicya nie ma i nigdy nie będzie miała ceł ochronnych? Ktoby się chciał dowiedzieć, z jakiemi trudnościami od lat stu walczymy na polu przemysłowém, tego odsyłam do mego artykułu poświęconego téj sprawie, a umieszczonego w „Ateneum“ w r. 1885. Zyblikiewicz zrobił tedy tyle, ile mógł. Najpiérw przekonał on nasze społeczeństwo, że bez podstawy materyalnéj nie ma ani cywilizacyi, ani postępu, ani prawdziwéj wolności; następnie on pierwszy założył przynajmniéj jakie takie podwaliny

pod gmach naszego materyalnego odrodzenia. Nie powiem, by droga, którą do tego celu wybrał, była *najlepszą*; w każdym jednak razie, wśród stosunków, w jakich jesteśmy żyć zmuszeni, była ona *jedynie możliwą*. Ponieważ wielkiego przemysłu fabrycznego geniusz nawet nie potrafiłby u nas stworzyć, gdyż państwo było temu zawsze przeciwne, a i dziś, mimo konstytucyi i autonomii, nie wspiera naszych usiłowań w tym kierunku, przeto nie pozostało nic, jak tylko dźwigać, o ile to się da, upadający przemysł domowy, a równocześnie forytować zdrowy handel i rękodzieła przez racyonalne opiekowanie się zdrowemi spółkami. Galicya ma dziś 43 szkoły przemysłowe, do których uczęszcza blisko 5,000 uczniów, 13 niższych szkół rolniczych, kilkadziesiąt spółek szewckich, garbarskich, powroźniczych i innych, fundusz melioracyjny dla rolników, bank krajowy, którego samo istnienie przyczynia się w wysokim stopniu do zniżenia stopy procentowéj, i wiele innych rzeczy pożytecznych. Wszystkie one zawdzięczają swoje istnienie inicyatywie Zyblikiewicza. Czy to nic? O ile ta praca okazała się korzystną, niech następujące fakta udowodnią. Koleje galicyjskie zaopatrywały się dotąd we wszystko bądź w Wiedniu, bądź w innych miastach niemieckich. Spółka kuśnierska w Starym Sączu, istniejąca tylko dzięki poparciu Zyblikiewicza, zaopatruje już od kilku lat w wyroby kuśnierskie koléj Karola Ludwika i Czerniowiecką, teraz zaś otrzymała dostawę kożuchów dla zachodnich linii kolei państwowych w Galicyi, a prócz tego spodziewa się uzyskać takąż dostawę dla dyrekcyi ruchu kolei państwowych we Lwowie i w Lińcu na trzy lata. Fakt drugi: świeżo zawiązane w Komarnie towarzystwo tkackie, otrzymało zawiadomienie od dyrekcyi monopolu tytoniowego w Wiedniu, że cała dostawa płótna, w ilości 35,000 metrów, zostanie oddana temuż towarzystwu na r. 1887, a jeżeli jakość wyrobu okaże się dobra, dostawa będzie przedłużona na lata następne. Fakt trzeci: w Zakopaném istnieje od lat kilku szkoła koronkarstwa, któréj założycielką była pani Helena Chłapowska (Modrzejewska), ponieważ przeznaczyła na nią 1200 guldenów. Późniéj szkoła przeszła na fundusz krajowy. W pierwszym roku uczennic było ledwie 14, w roku ubiegłym chodziło ich już do szkoły 96, a czysty dochód ze sprzedanych koronek, po odtrąceniu materyału wynosił 1150 guldenów. Zysk ten został między uczennice rozdzielony. Fakt czwarty: mimo spławności naszego Dniestru, nie mogliśmy się na nim doczekać żeglugi parowéj. Wprawdzie w Stanisławowie od lat blisko dziesięciu istnieje spółka, mająca dwa małe okręciki, lecz ta, dla braku funduszów, nie mogła się rozwinąć. Dopiero teraz sejm przeznaczył dla niéj subwencyą roczną w wysokości 3000 guldenów, a prócz tego postanowił poręcz-

czyć jéj 5% od kwoty 125,000 guldenów rocznie. Znając dobrze stosunki, nie wątpię, że teraz spółka żeglugi parowéj na Dniestrze znakomicie się rozwinie. Wybrałem cztery fakta na chybił trafił z długiego rejestru innych, i śmiem zapytać, czy one nie ilustrują dostatecznie pożytecznéj działalności Zyblikiewicza? Wiem ja dobrze, że to, co jego inicyatywie zawdzięczamy, kraju nie wzbogaci, w stuleciu bowiem pary praca ręczna nie może wytrzymać współzawodnictwa z wielkiemi machinami, lecz w każdym razie przyczyni się do zmniejszenia nędzy, wyrobi siły fachowe, i co może najważniejsze, obudzi w nas wiarę w siebie, którą straciliśmy już oddawna, a bez czego nie ma przyszłości.

Ciekawy był pojedynek, jaki po ustąpieniu Zyblikiewicza toczył się między stronnictwem krakowskiém a ks. Adamem Sapiehą, który już od roku spodziewał się zostać marszałkiem i w tym celu nawet w Wiedniu bawił. Książę ma wiele przymiotów, które mu jednają serca panów braci. Mówi pięknie i najczęściéj z tonu demokratycznego; ilekroć potrzeba, nie szczędzi grosza na cele publiczne, w pamiętnych latach zawieruchy odgrywał rolę wybitną, nawet w kozie siedział; słowem, ma w sobie wiele rzeczy chwytających za serce. Lecz z drugiéj strony, książę jest człowiekiem w wysokim stopniu nerwowym, fantastą, zapominającym dziś o tém, co wczoraj poczytywał za rzecz niezbędną, podobniusieńkim jak jedna kropla wody do drugiéj, do ks. Skirgiełły w „Dziwnych karjerach“ Jana Lama. Dzięki swoim przymiotom, książe jest w Galicyi, zwłaszcza wśród szlachty, osobistością wielce popularną; z drugiéj wszakże strony, jego wady, między niemi głównie kapryśność i wstręt do pracy wytrwałéj, nie pozwoliły mu dotąd odegrać roli wybitniejszéj. Ponieważ w roku ubiegłym otrzymał on od cesarza tytuł ekscelencyi, przeto po upadku Zyblikiewicza wszyscy byli pewni, że nikt inny, tylko on, zostanie marszałkiem. Tymczasem stało się inaczéj. Stronnictwo krakowskie, które w radzie korony ma swego rzecznika w osobie ministra Dunajewskiego, a między wpływową arystokracyą hr. Ludwika Wodzickiego, który jako osobisty przyjaciel hr. Taaffego, umié lepiéj niż ktokolwiek inny ważne rzeczy przeprowadzać, tak się zręcznie zawinęło, że prawie w ostatniéj chwili korona ks. Sapiehę pominęła, a hr. Janowi Tarnowskiemu oddała laskę marszałkowską. Krzyk z tego powodu był z początku wielki, dziennikarstwo bowiem galicyjskie, lękając się przewagi stańczyków, jak mogło i umiało, popierało księcia, upadek więc jego poczytywało za klęskę dla kraju. Nie trwało to jednak długo. Ledwie nowy marszałek w sejmie się pojawił, wnet wystąpieniem swojém, pełném taktu, zjednał sobie wszystkich serca, i dziś ci nawet, którzy jeszcze nie-

dawno najgłośniéj krzyczeli, mówią: „kto wié, czy Tarnowski nie jest lepszym od Sapiehy.“ O ile ja znam stosunki, pod tym względem nie ma najmniejszéj wątpliwości. Sapieha byłby pięknie kraj reprezentował i wygłosiłby nie jednę mówkę ognistą, lecz z drugiéj strony jego autokratyzm, kapryśność i brak zamiłowania do zmudnéj pracy, byłyby się w wysokim stopniu przyczyniły do zdezorganizowania całéj autonomii. Tarnowski przeciwnie—nie będzie olśniewał, ale za to w miarę swych zdolności będzie gorliwie pracował, a tego głównie potrzeba. Zresztą trzeba i to wziąć na uwagę, że Tarnowski pójdzie daléj drogą wytkniętą przez swego poprzednika, gdy przeciwnie Sapieha byłby chciał wszystko sam stworzyć, i — wypowiedzmy to szczerze—byłby w końcu nic nie zrobił. Takie jest głębokie przekonanie znakomitéj większości ludzi trzeźwych w Galicyi, i dlatego wolą oni widziéć teraz na krześle marszałkowskiém stańczyka niż „czerwonego“ księcia.

II.

Tegoroczna sesya sejmowa nie była ani długa, ani w ważne uchwały obfita. Posiedzeń odbyło się tylko dwadzieścia, a i z tych nie wszystkie były doniosłym sprawom poświęcone. Gdy w myśli przebiegam sesye ubiegłe, nie widzę między niemi ani jednéj tak jałowéj. Lecz mimo to nie rzucam kamieniem na naszych wybrańców. Nie oni winni, że sesya była krótka, tylko rząd, który zwołał sejm pod sam koniec r. 1886, i w dodatku odroczył go w środku sesyi na kilka tygodni; to zaś, że posłowie nasi nie mogli tym razem zajmować się ważnemi sprawami, poszło głównie ztąd, że nowy marszałek objąwszy urzędowanie w ostatniéj godzinie, nie miał czasu rozpatrzéć się należycie w rozmaitych projektach, więc téż nie mógł ich wnieść przed *plenum* izby. Zaraz w początkach sesyi ks. Sapieha spełnił czyn, który mu niemało zaszkodził w opinii jego własnych przyjaciół. Ledwie posłowie się zjechali, zaczął on natychmiast formować koalicyą przeciw stronnictwu krakowskiemu, aby się na niém za to zemścić, że go ominęła laska marszałkowska. Wszystko zdawało mu się sprzyjać: prócz centrum sejmowego, przyrzekli mu poparcie nawet opozycyoniści polscy i Rusini. Zwycięstwo było tedy zapewnione. Cóż się jednak okazało? Oto gdy przyszło do głosowania na członków jednéj z licznych komisyi sejmowych, lecz zarazem najważniejszéj, tak zwanéj „komisyi matki“, która na bieg spraw sejmowych stanowczy wpływ wywiera, książę idąc za popędem swojéj nerwowości postawił niespodziewanie taki wniosek, który zamiast zaszkodzić, raczéj pomógł stańczykom. Rzecz prosta, że po tym

czynie ludzie najbardziéj nawet księciu życzliwi, przestali weń wierzyć i dziś nie tają przekonania, że choćby nie wiedzieć jak gorąco pragnął, nie potrafiłby on nigdy dobrze rządzić. W żadnym też sejmie nie uformuje książę wpływowego stronnictwa, gdyż rzadko kto mógłby podporządkować swoję osobę jego kapryśnéj naturze. Jakby w zamiarze zatarcia złego wrażenia, spowodowanego tém pierwszém wystąpieniem, książę w pięknéın przemówieniu zażądał wkrótce od reprezentacyi kraju, aby w naszych szkołach średnich język niemiecki był lepiéj udzielany. Jednych ucieszyło to wystąpienie, drugich rozgniewało, a wszystkich zdziwiło. — Co to ma znaczyć?—pytali ci ostatni. — Czy książę, odkąd został tajnym radcą i otrzymał tytuł ekscelencyi, chce być bardziéj austryackim niż sam rząd? Zdaniem mojém w tém posądzeniu nie ma ani krzty słuszności, gdyż książę tylko to uczynił, co oddawna było niezbędném. Galicya przez długie lata walczyła z germanizmem, nie dziw więc, że gdy nareszcie powiodło jéj się pokonać tę hydrę, i odkąd w naszych szkołach został zaprowadzony język polski jako wykładowy, że od tego czasu język niemiecki poszedł w zaniedbanie. Patryotyzm żądał, by wystrzegano się mowy teutońskiéj, a myślano, mówiono i pisano tylko po polsku. Wkrótce jednak okazało się, że ostateczność, w jaką kraj popadł, nie jest dla niego korzystną. Wszak mimo autonomii nie przestaliśmy być poddanymi dynastyi niemieckiéj, armia jest dotąd niemiecka, poczty i telegrafy są niemieckie, wreszcie nawet na kolejach państwowych cała administracya jest niemiecką. Chociaż język niemiecki nie został *de jure* uznany za państwowy, jednakowoż jest takim *de facto*. Zresztą należy i to wziąć na uwagę, że z językiem polskim można znaleść kawałek chleba w jednéj tylko Galicyi, i że język Goethego jest silnym łącznikiem z zachodem i jego cywilizacyą. Ci, którzy to wszystko mieli na uwadze, nie od dziś przemawiali za potrzebą lepszego nauczania po niemiecku w szkołach średnich, a piszący te słowa umieścił w r. 1875, a więc dwanaście lat temu w „Tygodniu“ lwowskim artykuł, poświęcony téj ważnéj sprawie. I musiał już wtedy trafić w sedno złego, skoro nikt się nań za to nie oburzył, nikt go nie posądził o zapędy germanizacyjne, a minister Ziemiałkowski w uprzejmym liście przyznając słuszność jego wywodom, równocześnie donosił, że na tę kwestyą zwrócił swoję uwagę. Dziś, po kilkunastu leciech, z szumem i patosem poruszył ją w sejmie ks. Adam Sapieha, a kraj jednogłośnie mu przyklasnął. Dowód to chyba uderzający, żeśmy w ostatnich latach znacznie wytrzeźwieli, skoro dobrowolnie chcemy się lepiéj uczyć po niemiecku. Sejm postąpił z wnioskiem ks. Sapiehy bardzo roztropnie. Bojąc się otworzyć wrota germanizmowi, który tylko na to czyha, by znów

zalać naszą prowincyą, nie poczynił językowi niemieckiemu żadnych ustępstw, tylko polecił, by go lepiéj nauczano w zakresie teraźniejszego ustawodawstwa szkolnego. Znaczy to innemi słowy, że wszystkie przedmioty będą jak dotąd wykładane po polsku, a dla języka niemieckiego, jako jednego z przedmiotów, o tyle więcéj się zrobi, że go profesorowie będą dokładniéj uczyli. Prócz strony czysto praktycznéj, wniosek ks. Sapiehy ma jeszcze drugą, polityczną. Wiedeńscy centraliści, którym autonomia krajów koronnych jest solą w oku, już oddawna o to się starają, by rada państwa uznała język niemiecki za państwowy. Na razie nie można nawet przewidzieć, jak smutne takiéj uchwały byłyby następstwa. Niemcy otrzymawszy raz język państwowy, narzucali by znów innym narodowościom austryackim swoję wolę, i eksperymentom germanizacyjnym końca by nie było. Wniosek ks. Sapiehy wytrąca im broń z ręki. Bo czy potrzeba uchwalać, że język niemiecki jest państwowym, skoro Polacy chcą go się uczyć dobrowolnie? Takie też wrażenie zrobiło w Wiedniu wystąpienie księcia, a cała prasa półurzędowa nie miała dlań dość pochwał.

Skorom dotknął spraw językowych, muszę więc jeszcze powiedzieć, cośmy na téj sesyi dali Rusinom i jaki los spotkał utrakwistyczny wniosek Małeckiego. Ustępstwa językowe, które w roku ubiegłym nasza reprezentacya Rusinom poczyniła, a o czém swego czasu na tém miejscu obszernie pisałem, nie otrzymały sankcyi cesarskiéj. Tak więc rzecz, o któréj tyle mówiono, i nad którą w sejmie tak długo się kłócono, poszła do kosza. Jest to los wszystkich naszych prac i projektów, gdy te nie mają szczęścia w Wiedniu się podobać. Jest to także odwrotna i nader smutna strona naszego konstytucyjno-autonomicznego medalu. Mimo szumnie zapowiedzianéj wolności, nam wolno tylko projektować, inni zaś decydują co dla nas, a właściwie dla nich, może być korzystne.... Zeszłoroczne uchwały nie zostały tedy wysłuchane, a jaki los spotka tegoroczne, dopiero przyszłość to okaże. Poseł rusiński, Romańczuk, zażądał od sejmu utworzenia w Przemyślu drugiego gimnazyum z wykładowym językiem rusińskim. Gdy komisarza rządowego o zdanie w téj materyi zapytano, tenże odpowiedział, że rząd nie ma nic przeciw temu. To oświadczenie wszystkich uderzyło, wiemy bowiem dobrze, że teraźniejszy minister oświaty, Gautsch, z obawy, by proletaryat inteligentny daléj się nie zwiększał, jest raczéj za zwijaniem gimnazyów, niż za zakładaniem nowych. Zkąd więc zebrało mu się na taką miłość dla Rusinów, że aż im chce nowe gimnazyum w Przemyślu utworzyć? Odpowiedzi nie trzeba daleko szukać. Wszak od wschodu burza nadciąga, a ponieważ nie można przewidzieć dokąd

ona Austryę zaprowadzi, możeby zatém nie źle było już teraz pozyskać Rusinów dla jéj polityki..... Oto proste i nie mniéj jasne rozwiązanie zagadki. Mimo tak stanowczego oświadczenia rządu, sejm nasz podzielił się w téj sprawie na trzy obozy. Jedni byli zdania, żeby dać całe gimnazyum; drudzy utrzymywali, że wystarczy, jeśli w istniejącém już w Przemyślu gimnazyum polskiém będą utworzone klasy równoległe (paralelne) z wykładowym językiem rusińskim; inni nareszcie, jak jowialny hr. Golejewski i jego przyjaciele podolscy wręcz oświadczyli, że Rusinom nie potrzeba nic dawać, gdyż oni i tak mają za wiele. Gdy sprawa stanęła na porządku dziennym w izbie, byliśmy świadkami niebywałego dotąd widowiska. Hr. Stanisław Tarnowski, jak wiadomo jeden z koryfeuszów partyi krakowskiéj, w imieniu komisyi, która się zastanawiała nad wnioskiem posła Romańczuka, był za utworzeniem osobnego gimnazyum; tymczasem drugi koryfeusz tegoż stronnictwa, prof. M. Bobrzyński zażądał jedynie rusińskich klas paralelnych. Podczas głosowania zwyciężył Bobrzyński acz bardzo słabą większością. Po spełnionym fakcie mimowoli każdy pytał: Co się stało? Stańczycy, owi *par excellence* karni i zawsze zgodnie idący szermierze parlamentarni, w sprawie rusińskiéj, zasadniczéj i ważnéj jak żadna inna, rozbili się zupełnie, i gdy jeden ciągnął do sasa, drugi hejże do lasa! Jest tu coś, czego nasz umysł pojąć nie może, a że tajemnice wielkiéj polityki nie dla każdego są dostępne, przeto my, prostaczkowie, przypuszczamy tylko jedno, mianowicie, że partya krakowska przez wzgląd może na swoich sojuszników, podolaków, którzy z dawien dawna Ruś negują, nie chciała właściwie Rusinom nic dać, a że jawna odmowa byłaby niepolityczną, przeto odegrała komedyą, by się zdawało, że nie była im przeciwną.... Komedyą zaś dla tego to nazywam, ponieważ uchwalenie paralelek, przeciw którym komisarz rządowy oświadczył się ze względów pedagogicznych, nie pociągnie za sobą następstw praktycznych. Nie trudno przewidziéć, że cesarz odnośnéj uchwale nie udzieli sankcyi. A gdy jéj odmówi, Rusini odejdą z próżnemi rękami, i wtedy ukryty cel głębokich polityków zostanie w zupełności osiągnięty. Lecz czy w rzeczy saméj była to głęboka polityka? Wszyscy na to się godzą, że spór polsko-ruski szkodzi nam w wysokim stopniu, a więc jako rzecz zła, powinien ustać. Godzimy się i na to, że słusznym żądaniom reprezentantów narodowości ruskiéj powinno się zadość czynić, tymczasem ilekroć nadarzy się po temu sposobność, nie możemy dobrych zamiarów przeprowadzić, i zapowiadana nasza miłość dla Rusinów kończy się zwykle kilkoma pustemi frazesami, po których tylko niesmak zostaje. Takie postępowanie jeszcze bardziéj jątrzy Rusinów i jest wodą na

młyn jedynie naszych nieprzyjaciół, którzy z dawien dawna hołdują zasadzie *divide et impera*. Że rząd znów skorzysta z naszego niepolitycznego postępowania, to prawie wątpliwości nie ulega. Aby Rusinów pozyskać, gotów sam w Przemyślu gimnazyum ruskie założyć, co gdy nastąpi, my z naszą miłością platoniczną, osiądziem na koszu. Oto dokąd wiedzie polityka krótkowidząca. W smutnéj téj sprawie najbardziéj jednak to mnie zastanawia, że stronnictwo krakowskie, które dotąd na sprawę ruską zapatrywało się trzeźwiéj niż każde inne, a którego dawny przewódca, ś. p. Adam Potocki, był nawet jawnym zwolennikiem Rusinów, że to stronnictwo tak niefortunną odegrało tu rolę. Skoro partya miała być koniecznie przegraną, należało przynajmniéj wetknąć karty komu innemu w ręce, np. pp. Golejewskiemu i Torosiewiczowi, ale nigdy nie powinni ich byli trzymać pp. Tarnowski z Bobrzyńskim, ponieważ gra w ten sposób prowadzona nie świadczy korzystnie o ich zmyśle politycznym, o którym dotąd mieliśmy wcale dobre wyobrażenie.

Utrakwizm, proponowany w roku ubiegłym przez dra Małeckiego należy uważać za rzecz pogrzebioną. Wszystkie instytucye i korporacye, które wydział krajowy zapytywał o opinię w tym przedmiocie, odpowiedziały nieprzychylnie. Opinia rządu jest także przeciwna temu projektowi. Rząd zwraca najwpierw na to uwagę, że utrakwistyczne urządzenie szkół średnich, sprzeciwiałoby się art. 19 ustawy zasadniczéj państwa o ogólnych prawach obywateli. Artykuł ten wyklucza przymus uczenia się drugiego języka krajowego, a bez przymusu projekt nie miałby racyi bytu. Wprawdzie między pierwotnym wnioskiem Małeckiego, który utrakwizm całkowity ujął w formę ustawy, a uchwałą sejmową, zalecającą wydziałowi krajowemu niejako akademickie zbadanie kwestyi tylko co do niektórych gimnazyów wschodnio-galicyjskich, zachodzi różnica wielka, ale mimo to myśl sama tak w jednym jak w drugim wypadku sprzeciwia się artykułowi 19 ustawy zasadniczéj, i z tego powodu szkopuł prawny pozostaje w całéj swojéj mocy. W dalszym ciągu rząd opiera się na tych objekcyach, które ze stanowiska dydaktyczno-pedagogicznego podniosła krajowa rada szkolna, idąc w téj mierze za elaboratem i wnioskami swego członka, Stan. hr. Tarnowskiego. Na czele opinii rady szkolnéj podniesiona jest powszechnie uznana zasada, że udzielanie nauki w tym języku, w którym uczeń myśli i mówi z natury, a więc w języku ojczystym, stanowi jeden z głównych wymogów skutecznego nauczania i wychowania. Jeżeliby uczeń musiał tracić czas i trud na łamaniu się z formami i na walce z trudnościami około przyswojenia sobie biegłości w obcym języku, to niewątpliwie stracić by na tém musiał jego postęp w nauce, a więc i jego wiedza.

Rada szkolna krajowa nie zaprzecza bynajmniéj pokrewieństwa, istniejącego między językiem polskim i ruskim, ale to pokrewieństwo może tylko łagodzić trudności, połączone z przyswojeniem sobie innego obcego języka, nie uchyla zaś zupełnie tych trudności, więc też nie uchyla obawy jaka ztąd wypływa co do szkodliwych następstw pod względem postępu w nauce. Żeby uczeń nie doznał ujmy w postępie, trzebaby chyba tworzyć klasy przygotowawcze, skutkiem czego nauka w gimnazyach przedłużyłaby się o jeden rok. Rada szkolna podnosi daléj, że wniosek Małeckiego nie wskazuje, które przedmioty miały by być wykładane w ruskim, a które w polskim języku. Trudno rzecz tę pozostawić decyzyi przypadku, tj. każdoczesnemu składowi ciała nauczycielskiego w pewném gimnazyum. Trzebaby więc przyjąć pewien stały podział przedmiotów według istoty nauki. W takim razie byłyby dwie główne grupy: 1) *humaniora*, tj. języki starożytne, historya i religia; 2) *realia*, tj. matematyka, fizyka i historya naturalna. Pierwsza grupa jednak, kształcąca i wyrabiająca najdzielniéj nie same tylko pojęcia, lecz uczucia i zasady, wymaga przedewszystkiém wykładu w języku ojczystym. Filologia wymaga nadto z natury rzeczy języka ile możności wyrobionego i giętkiego. To samo można powiedzieć o drugiéj grupie przedmiotów, których nie można się nauczyć bez łatwego przyswojenia sobie bogatéj terminologii, a nadto, jak matematyka, mają sposobić młody umysł do logicznego i wyostrzonego myślenia, w czém znowu ojczysty język ważną odgrywa rolę. Rada szkolna wyraża powątpiewanie, czy język ruski, który nie przebył jeszcze okresu kształcenia się i wyrabiania, jest tak zasobnym, żeby uczeń, zmuszony do pobierania nauki w tym języku, nie miał doznawać uszczerbku pod powyższemi względami. Rada szkolna podnosi także naturalne i faktami stwierdzone oddziaływanie języka wykładowego na język literacki i towarzyski. Arbitralne i sztuczne zmieszanie języków nie mogłoby wypaść korzystnie dla ich czystości. W końcu nie pomija rada szkolna i tego względu pedagogicznego, że przymus językowy, jak wogóle każdy przymus, nie usuwałby uprzedzeń i niechęci narodowych, lecz prędzej by je zaostrzał.

Podałem dość obszerne streszczenie memoryału rady szkolnéj ponieważ utrakwizm, jako rzecz na wskróś oryginalna, i mogąca na pozór łatwiéj niż cokolwiek innego zażegnać spór polsko-ruski, tak wielkie w roku ubiegłym zrobił wrażenie, iż zdawało się, że po za nim nie ma zbawienia. Słuszna tedy jest rzecz, by jego wielbiciele, dowiedzieli się teraz, co przeciw niemu przemawia, i czemu z dziedziny pięknych marzeń nie może on, niestety, zstąpić na pole praktycznéj rzeczywistości.

Budżet nasz krajowy nie przedstawia się bardzo ponętnie. Jak przeciętny szlachcic galicyjski ma nierównie większe wydatki niż dochody, tak samo dzieje się z naszą autonomią. Dochody wydziału kr. płynące z rozmaitych źródeł, wynoszą mało więcéj niż pół miliona, wydatki zaś na reprezentacyą i na rozmaite cele publiczne wraz z odsetkami i amortyzacyą zaciągniętych długów, przekraczają kwotę półczwarta miliona guldenów; roczny nasz niedobór wynosi zatém wzwyż trzech milionów. Aby go pokryć sejm ustanawia dodatki do podatków, które po koniec roku 1886 wynosiły 30%. Jeźli to przetłómaczę na język całkiem jasny, wtedy ta rzecz tak się przedstawi: kto rządowi płaci np. 100 guldenów podatków, ten na cele autonomii uiszcza jeszcze dodatkowo 30 guldenów. Jest to ciężar znaczny, zwłaszcza gdy się zważy, jak przykre są u nas stosunki materyalne. Sejm, aby ludności nie uciskać, chwytał się pokilkakroć innego środka i pożyczki zaciągał, lecz ta droga okazała się najgorszą. Wydatki przez to bynajmniéj się nie zmniejszały, dług był długiem, a prócz tego trzeba jeszcze było odsetki od niego uiszczać. Dziś suma długów krajowych wynosi 6,660,454 guldeny. Po namyśle postanowi' 'o wziąć raz na zawsze rozbrat z pożyczkami, a trzymać się tylko dodatków do podatków. Lecz i ten sposób nie może złemu zaradzić. Wydatki naszéj prowincyi, jako kraju cywilizowanego, który chce się rozwijać prawidłowo i iść z postępem, zwiększają się z każdym rokiem. Lecz z drugiéj strony, czy jest rzeczą możliwą rok rocznie podwyższać dodatki do podatków? Ponieważ tego rodzaju gospodarstwo musiałoby z czasem doprowadzić do ogólnego bankructwa, przeto niektórzy posłowie zaczęli przemyśliwać nad wyszukaniem nowych źródeł dochodów krajowych. W ten sposób powstał projekt zaprowadzenia opłat konsumcyjnych od gorących napojów. Po dokładném obliczeniu okazało się, że dochód ztąd płynący wynosiłby rocznie około 500,000 guldenów. Gdyby wydział kraj. otrzymał tę kwotę, w takim razie w budżecie jego zapanowałaby równowaga, i przez długi szereg lat nie potrzeba by więcéj pobierać niż 30% w dodatkach do podatków. Zdawałoby się na oko, że uczciwéj téj operacyi, skoro ona wszelkie trudności usuwa, nie powinnoby nic stać na przeszkodzie, tymczasem tak nie jest. Jak w każdéj rzeczy, tak i w téj, rząd ma głos decydujący. I on téż oświadczył poufnie, przez usta namiestnika, członkom komisyi budżetowéj, że w zasadzie nie sprzeciwia się zaprowadzeniu krajowych opłat konsumcyjnych od gorących napojów, wszelako nie w téj wysokości, w jakiéj je komisya proponuje, a prócz tego wynurza on życzenie, aby w razie ich uchwalenia, nastąpiła redukcya dodatków do podatków. Znaczy to innemi słowy, że rząd na nic nie pozwala. Bo jeźli np.

opłaty konsumcyjne mają przynieść tylko ćwierć miliona, a równocześnie dodatki do podatków zostaną zniżone także o ćwierć miliona, natenczas fundusz krajowy właściwie ani grosza więcéj nie dostanie, a na sejm spadnie tylko *odium*, że zaprowadził nowy rodzaj opłat. Być może, że po długich korowodach a usilnych staraniach, komisyi powiedzie się skłonić rząd do ustępstw, w każdym jednak razie nie będą one takie, jakich byśmy potrzebowali, aby w naszym budżecie autonomicznym równowagę zaprowadzić. Ponieważ sprawa opłat konsumcyjnych nie mogła być załatwiona przez sejm tegoroczny, przeto na pokrycie dalszego niedoboru musiano znów o 1% podwyższyć dodatek do podatków, skutkiem czego w r. 1887, będziemy płacili na potrzeby kraju nie jak dotąd 30, ale 31 centów od każdego guldena podatków bezpośrednich.

III.

Dużo mówiono w roku ubiegłym o imponującéj kwocie 115 milionów guldenów, o którą już od dłuższego czasu toczy się spór między Galicyą a rządem centralnym. Ponieważ nie jednemu mogłoby się wydawać, że musimy być bardzo bogaci, skoro spieramy się o tak wielkie sumy, przeto ciekawą tę sprawę rozjaśnię na tém miejscu.

Dnia 17 kwietnia r. 1848 cesarz austryacki wydał patent, znoszący raz na zawsze pańszczyznę w Galicyi. Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że wielkie to dobrodziejstwo spłynęło na chłopa z inicyatywy samego rządu. Bynajmniéj! Obywatelstwo galicyjskie nosiło się oddawna z tą myślą, czego dowody znajdują się w uchwałach sejmu postulacyjnego i w historyi z przed r. 1848, która mówi o licznych deputacyach wysyłanych z prośbą do Wiednia, aby właścicielom ziemskim wolno było w Galicyi pańszczyznę darować. Rząd jednak był wtedy temu przeciwny, gdyż jemu szło o to, by chłop *zawdzięczał wszystko Austryi.* Faktem téż jest historycznie stwierdzonym, że gdziekolwiek obywatel sam pańszczyznę darował, starostowie wieśniakom surowo zakazywali darowiznę przyjmować, szlachciców zaś za czyn nielegalny pociągano nawet do odpowiedzialności. W patencie cesarskim, znoszącym pańszczyznę, znajdowało się uroczyste zapewnienie, że stanie się to *kosztem skarbu.* Ponieważ właścicieli ziemskich, uprawnionych do żądania pańszczyzny, trzeba było wynagrodzić, przeto zaciągnięto pożyczki, które należało oprocentować i umarzać. Na ten cel potrzeba rocznie blisko 6 milionów złotych reń. Zaraz w pierwszych latach okazało się, że kraj nie jest w możności opłacania caléj téj sumy i dla tego po uzpełnienie po-

trzebnéj kwoty musiano udawać się do skarbu państwa. Gdy zaś do r. 1857, tenże skarb wydał na to uzupełnienie blisko 10 milionów, więc 13-go października r. 1857 wyszło rozporządzenie cesarskie, aby odtąd skarb państwa dopłacał corocznie 2,625,000 guld. wszelako z zastrzeżeniem zwrotu téj sumy z funduszów galicyjskich. Otóż tytułem tych zaliczeń, dał skarb państwa galicyjskiemu funduszowi indemnizacyjnemu do końca r. 1880 około 70 milionów, gdy zaś amortyzacya kończy się dopiero w połowie r. 1898, przeto zapłacił by do tego czasu jeszcze blisko 46 milionów, skutkiem czego cały dług Galicyi wyniósłby przeszło 115 milionów guldenów. Sejm nasz przeczy temu, iżby kraj nasz do zwrotu téj kwoty był obowiązany, a nawet ze swéj strony zastrzega sobie pretensyą, aby skarb państwa zwrócił Galicyi wszelkie sumy, jakie kraj włożył na cele oprocentowania i umorzenia kapitałów indemnizacyjnych. Stanowisko naszéj reprezentacyi jest zupełnie prawne. W patencie cesarskim, znoszącym pańszczyznę, cztery razy jest z naciskiem powtórzone, że indemnizacyą będzie płacił *skarb*, nie zaś *kraj*. I zgodnie z tą zapowiedzią, aby chłopa jeszcze bardziéj dla swéj polityki pozyskać, uwolniono go zupełnie *od opłat na fundusz indemnizacyjny*. Stało się to w jednéj tylko Galicyi. Na tém uwolnieniu chłopa od wszelkiej daniny kraj ekonomicznie zamiast zyskać, stracił. Darowizna ta, zwłaszcza że chłopu pozostawiono równocześnie służebności na gruntach dworskich, zdemoralizowała włościan do tego stopnia, że zamiast pracować jeno wyglądali, rychłoli rząd daruje im także te grunta, na których używali służebności. Dwór tymczasem nie tylko stracił pańszczyznę, a na wynagrodzenie za nią długie lata musiał czekać, lecz gdy chłopi żadnych nie mieli ciężarów, nie mógł także znaleźć robotnika, skutkiem czego gospodarstwa coraz bardziéj upadały. Na te fatalne stosunki Waleryan Kalinka zwracał uwagę już w r. 1853 w znakomitém swojém dziele: „Galicya i Kraków pod panowaniem austryackiém.“ Gdy po niejakim czasie rząd przekonał się, że z samych obywateli i miast nie można ściągnąć sumy potrzebnéj na fundusz indemnizacyjny, minister Bach zwołał do Wiednia komisyą, która miała obmyśléć sposób uregulowania téj sprawy. Ówczesny przewódzca Rusinów, biskup Litwinowicz, oświadczył w tejże komisyi „że obarczenie chłopów jakimkolwiek podatkiem do zebrania funduszu indemnizacyjnego, przy ich ubóstwie, *i po otrzymaném przyrzeczeniu NPana, że wynagrodzenie dziedziców nastąpi ze skarbu państwa*, doprowadziłoby ich do krwawéj rewolucyi, któréj cała armia austryacka nie zdołałaby poskromić.“ Po tém oświadczeniu nie żądano i nadal żadnych opłat od chłopów. Z tego, com dotąd przytoczył, jasno wypływa, że skoro w patencie cesarskim ogłoszo-

no, iż zniesienie wszelkiéj robocizny dzieje się kosztem skarbu państwa, skarb ten ma obowiązek ponieść koszta i zwrócić Galicyi to, co ona dotąd na fundusz indemnizacyjny wpłaciła. Rząd jednak jest innego zdania i domaga się od nas nawet wrzekomych swoich zaliczek. I o to spór się toczy. Pomimo że słuszność jest po naszéj stronie, sejm galicyjski okazał się skłonnym do zgody i zaproponował skarbowi państwa układ, mocą którego swoje prestacye roczne chce nieco powiększyć, a natomiast żąda, by skarb, który ze swéj strony cały ciężar indemnizacyi chce złożyć na Galicyą, zrzekł się pretensyi swoich do zwrotu owych kwot, które zaliczkami nazywa, i nadal, aż do amortyzacyi, żeby nieco mniejszą niż dotychczas kwotę opłacał. W ważnéj téj sprawie, sejm tegoroczny powziął następujące uchwały:

I. Sejm królestwa Galicyi i Lodomeryi, wraz z w. ks. Krakowskiém oświadcza, że tak teraz, jak zawsze dotychczas, nie uznaje żadnego obowiązku kraju do zwracania skarbowi państwa dopłat, zaliczek lub zasiłków dawanych funduszom indemnizacyjnym galicyjskim ze skarbu państwa; że, zdaniem sejmu, skarb państwa, dając te zaliczki lub dopłaty, wypełniał tylko swój obowiązek Wogóle sejm oświadcza, że nie schodzi bynajmniéj ze stanowiska prawnego, zajmowanego w sprawie indemnizacyjnéj, przez kraj i jego reprezentacyą od początku téj sprawy i stanowisko to na wszelką ewentualność niniejszém oświadczeniem wyraźnie sobie zastrzega.

II. Sejm pragnąc usunąć spór o stosunek państwa do funduszów indemnizacyjnych galicyjskich, i tę oddawna toczącą się sprawę załatwić ostatecznie nawet ze znaczną ofiarą, upoważnił uchwałą swoją z dnia 20 października 1882 r. wydział krajowy do zawarcia ugody z administracyą państwa, pod warunkami wówczas uchwalonemi. Teraz zaś sejm wzywa rząd, aby dopełniając zobowiązania, które zaciągnął przez początkowanie téj ugody przedłożeniem swojem z d. 2 września 1882 r., przeprowadził na drodze konstytucyjnéj ugodę, regulującą stosunek państwa do funduszów indemnizacyjnych wschodniéj i zachodniéj Galicyi, a to w myśl swego przedłożenia z d. 9 września i uchwały sejmowéj z 20 października 1882 roku.

Teraz punkt ciężkości sprawy indemnizacyjnéj zostanie przeniesiony do rady państwa. Oto jak wygląda spór o 115 milionów. W każdym razie nie ma nam czego zazdrościć.

Wskutek otwarcia przed czterema laty przez papieża Leona XIII archiwów watykańskich dla badań historycznych, wszystkie prawie narody ustanowiły w Rzymie instytucye, w celu prowadzenia systematycznych i umiejętnych poszukiwań w archiwum watykańskiém za dokumentami i wiadomościami, mogącemi rozjaśnić ich

dzieje. Za ich przykładem poszedł u nas profesor uniwersytetu Jagiellońskiego, dr. Stanisław Smolka, gdy z początkiem roku zeszłego powziął myśl urządzenia wyprawy naukowéj do Rzymu, w celu wzbogacenia naszych dziejów ojczystych. Zebrawszy częścią od osób prywatnych, a częścią od Akademii umiejętności kilka tysięcy guldenów, wyjechał z początkiem października roku zeszłego do Rzymu, a wraz z nim udało się tam także pięciu byłych uczniów uniwersytetu Jagiell., pracujących na polu nauk historycznych. Sejm uznawszy pożyteczność téj wyprawy, powziął na żądanie jéj kierownika następujące uchwały: I. sejm wyznacza przez lat 3 po 1,500 guldenów rocznie na prace naukowe w archiwum watykańskiém; II. zasiłek na ten cel 1500 guld. na r. 1887 wypłaci wydział kr. do rąk profesora dra S. Smolki, na utrzymanie do końca roku bieżącego wyprawy naukowéj, pracującéj w archiwum watykańskiém; III. co do wypłaty w następnych dwóch latach zasiłku po 1.500 guld. rocznie, porozumiewać się będzie wydział kr. z polską Akademią umiejętności w Krakowie, a względnie z jéj komisyą historyczną. IV. Wzywa się rząd, ażeby udzielił subwencyi odpowiedniéj, organizującemu się oddziałowi polskiemu przy Instytucie historycznym austryackim w archiwum watykańskiém.

Ważna ta sprawa została tedy załatwiona przez sejm po myśli prof. Smolki i całego kraju. Teraz z upragnieniem będziemy wyglądali owoców wyprawy. Ciekawiśmy również dowiedzieć się, czy rząd uczyni zadość wezwaniu naszéj reprezentacyi i da stałą subwencyą polskim historykom, mnie się zdaje, że będzie to głos wołającego na puszczy, ponieważ pan minister gotów odpowiedzieć, że Austrya, jako państwo, ma obowiązek wspierać tylko tych uczonych, którzy badają historyą austryacką. Zresztą czekajmy. Może tym razem wypadnie lepiéj niż przypuszczamy.

Skoro mowa o rzeczach odnoszących się do nauki, nie zaszkodzi, jeżli tu nadmienię, że między funduszami, któremi opiekuje się wydział kr. znajduje się zapis Fr. Kochmana dla literatów polskich, opiewający na sumę 24,305 guldenów. Odsetki od téj kwoty mają być obracane na nagrody dla dwóch dzieł, uznanych przez komisyą za najlepsze. Pierwsza nagroda wynosi 1,000 guld., druga 500. O nagrodę może ubiegać się każdy utwór drukiem ogłoszony w ciągu ostatnich lat 10-ciu, bez względu na to, jakiéj jest treści. Wykluczone są jednak dzieła teologiczne i prawnicze. Fundacya Kochmana weszła w życie niedawno, pierwsze zaś nagrody zostaną przyznane i wypłacone dopiero w r. 1888. Na czele komisyi, która będzie wartość dzieł oceniała, stoi znany uczony, dr. Antoni Małecki.

IV.

Dr. Tadeusz Rutowski, urzędnik wydziału krajowego w biurze statystycznėm i prezes lwowskiego Koła literackiego, wydał książkę niezmiernie cenną, p. t. „Rocznik statystyki Galicyi za r. 1886“ (zeszyt I). Z ciekawéj téj publikacyi wyjmę rozmaite daty, rzucające jasne światło na nasze stosunki.

Obszar Galicyi wynosi 78,497 kilometrów kwadr. Prowincya nasza stanowi blisko trzecią część, bo 26 procent całego obszaru Austryi, nie licząc w to Węgier. Po koniec roku 1885 w Galicyi było 6,253,311 mieszkańców, t. j. 27% ludności Przedlitawii. Na jeden kilometr przypadało 76 mieszkańców, na jedną gminę 918, a na jeden obszar dworski 50 mieszkańców. Ostatnie obliczenie ludności odbywało się w Austryi 31-go grudnia 1880 r. i wtedy miała Galicya 5,958,907 mieszkańców. W téj liczbie było: katolików rzymskiego obrządku 2,714,977, czyli 45,5 procent; unitów wschodniego obrządku 2,510,408, czyli 42 proc.; żydów 686,596, czyli 11,5 proc.; ewangelików 40,190, czyli 0,7 proc. i t. d.

Według języka towarzyskiego, było używających w potocznéj mowie języka polskiego 3,058,400, czyli 51 proc.; rusińskiego 2,549,707, czyli 43 proc.; niemieckiego 324,336, czyli 5,5 proc. Do niemców zapisało się 40,000 prawdziwych germanów, osiadłych w kilkudziesięciu koloniach i 280,000 żydów. Reszta żydów oświadczyła, że w mowie potocznéj używa języka polskiego.

Najwyższy stan oświaty wykazuje miasto Kraków, gdzie liczba umiejących czytać i pisać dochodzi do 58 proc. We Lwowie jest już tylko 53 proc. Zresztą w kraju piśmiennych mamy w przecięciu tylko 25 proc., w niektórych zaś górskich powiatach spada ona nawet poniżéj 5 proc. ogólnéj cyfry ludności.

Pod względem organizacyi wyznań, przedstawiał się stan rzeczy z końcem roku 1880 jak następuje.

Cała prowincya jest podzielona na 4 dyecezye rzymsko-katolickie, mianowicie: lwowską, krakowską, przemyślską i tarnowską, z których największa co do obszaru jest lwowska, obejmuje bowiem 51,728 kilometrów kwadr. Pod względem liczby wiernych, najludniejszą jest przemyślska, licząca 885,062 dusz, najmniejszą jest zaś dyecezya krakowska: 4131 kil. kw. i 487,777 dusz. Łacińskich dekanatów jest w całym kraju 106 z 803 parafiami i 1722 dusz-pasterzami. Jeden duchowny wypada na 1625 wiernych.

Grecko katolickich dyecezyi jest 3: lwowska, przemyślska i stanisławowska, z 88 dekanatami, 1737 parafiami i 2121 dusz-pasterzami. Jeden duchowny przypada na 1266 wiernych.

Ormian (katolików) jest w Galicyi 2724. Mają oni własnego arcybiskupa we Lwowie, a w trzech dekanatach i 9 parafiach, znajduje się razem 14 dusz-pasterzy. Jeden duchowny przypada na 194 wiernych, czyli mniéj więcéj na 40 rodzin, licząc 5 głów na jednę rodzinę.

Po rozbiorze Polski, w r. 1782 było w Galicyi klasztorów 219. Cesarz Józef II zniósł 15 zakonów, skutkiem czego liczba klasztorów w ciągu dwóch lat zeszła do 104. W r. 1880 było znów 162 klasztorów, w nich 2069 zakonników i zakonnic. W pięćdziesięcioleciu od 1830—1880 r. zwiększyła się liczba zakonników o 105%, zakonnic o 693%, klasztorów zaś przybyło 87.

Uniwersytetów mamy dwa: Jagieloński w Krakowie, z czterema fakultetami: teologicznym, filozoficznym, prawniczym i medycznym, i we Lwowie z trzema wydziałami, bez lekarskiego. Uniwersytet Jagielloński miał w roku szkolnym 1885/6 109 sił nauczycielskich, w téj liczbie 57 profosorów zwyczajnych i nadzwyczajnych, a w półroczu zimowém 1066 słuchaczów. Skarb państwa wydaje na jego utrzymanie 367,670 guldenów. Uniwersytet lwowski miał 61 sił nauczycielskich (w tém 35 profesorów) i 1030 słuchaczów, a kosztował 177,200 guld. W Krakowie jest najliczniejszy wydział medyczny, na który uczęszcza przeszło 400 słuchaczów, we Lwowie prawniczy, który liczy stale od 500—600 słuchaczów. Szkoła politechniczna we Lwowie z czterema wydziałami: inżynieryi, budownictwa, mechaniki i technologii chemicznéj, posiadała w ubiegłym roku szkolnym 42 siły nauczycielskie, między niemi tylko 15 z rangą profesorów, a słuchaczów ledwie 200. Budżet zakładu wynosił 96,250 guld. Najwięcéj słuchaczów poświęca się naukom inżynierskim, najmniéj mechanice, gdyż w kraju nie mającym przemysłu, najzdolniejszy nawet mechanik nie ma się gdzie pomieścić. Na innych uniwersytetach austryackich przebywa rocznie blisko 600 słuchaczów z Galicyi, w akademiach technicznych 180, w Akademii sztuk pięknych w Wiedniu 13, w Akademii handlowéj 23. Stosunek narodowości w trzech naszych szkołach akademickich przedstawiał się w r. 1883/4 jak następuje (w procentach):

	Polacy	Rusini	Niemcy
Uniwersytet w Krakowie . . .	97,3 proc.	— 2,0 proc.	— 0,5 proc.
Uniwersytet we Lwowie. . . .	64,6 „	—35, „	— 0,1 „
Szkoła politechniczna we Lwowie	95,9 „	— 2,9 „	— 0,6 „

Jak się z tego zestawienia okazuje, ruskiéj młodzieży w wyższych zakładach naukowych jest bardzo mało. Najwięcéj jeszcze uczęszcza jéj we Lwowie, ponieważ w tém mieście znajduje się wydział teologiczny.

Szkół średnich mamy 33, w téj liczbie 27 gimnazyów i 6 szkół realnych. Jedno gimnazyum przypada na 3000 kil. kwadratow. i na 226,000 mieszkańców. Jedna szkoła realna na milion mieszkańców. Do gimnazyów uczęszcza 12,000 uczniów, a do wszystkich szkół realnych niespełna 1000 uczniów. Lat temu kilkanaście rząd, wychodząc z najfałszywszéj w świecie zasady, że szkoły realne przemysł stwarzają, założył ich w Galicyi stosunkowo bardzo wiele, lecz w ostatnich czasach musiał je na gimnazya pozamieniać, ponieważ nie szkoła stwarza przemysł, lecz przemysł szkołę. Według wyznań było w szkołach średnich: katolików 7180, unitów 1939, żydów 2142. Szkoły specyalne posiadamy następujące:

	Liczba zakładów		Liczba naucz.		Frekwencya
Seminaryów nauczycielskich	9	—	149	—	1155
Szkół gospodarczych	13	—	86	—	317
Akademia sztuk pięknych w Krakowie	1	—	12	—	105
Szkół przemysłowych.	47	—	236	—	4666
Szkół muzycznych.	7	—	31	—	662
Szkoła weterynaryi i kucia koni . . .	1	—	9	—	65
Szkół akuszeryi.	2	—	2	—	64
Innych szkół specyalnych	41	—	482	—	2748

Szkół ludowych mieliśmy w Galicyi w r. 1884 razem 3,387, które służyły 3855 gminom, z 4,448,716 mieszkańców; do nich uczęszcza 414,000 dzieci. Dotąd nie posiada szkół 2376 gmin z 1,349,692 mieszkańców. Utrzymanie szkół ludowych kosztuje rocznie 1,696,998 guldenów. Szkół ludowych z polskim językiem wykładowym jest 1212=45%, z ruskim 1376=51%, z niemieckim 86=3%. Szkół talmudycznych, tak zwanych chajderów, o ile są znane urzędom, jest przeszło 1000.

Dziennikarstwo nasze, w oświetleniu statystyki p. Rutowskiego, tak się przedstawia:

		Ilość	Przyrost
Pism polskich:	1875 . . .	52	96%
	1884 . . .	102	
Pism ruskich:	1875 . . .	8	260%
	1884 . . .	21	
Pism niemieckich:	1875 . . .	2	—
	1884 . . .	2	
Pism hebrajskich:	1875 . . .	6	100%
	1884 . . .	12	

Podczas gdy liczba pism polskich w ostatniém dziesięcioleciu wzrosła w dwójnasób, ruskich w tym samym czasie prawie się potroiła. W każdym razie świadczy to o wielkiéj ruchliwości Rusinów

i jest dowodem, że poziom inteligencyi ich narodowości z każdym rokiem się podnosi. W r. 1875 rozesłano pism krajowych peryodycznych 1,164,589 egzemplarzy, a w r. 1884 5,922,000 egz.

Według zajęcia licząc, wynosi ludność rolnicza 4,419,636, czyli 74%; drobnych przemysłowców i rękodzielników 456,502 = 7,7%; kupców 216,864 = 3,6%; urzędników tak państwowych jak prywatnych 192,814 = 3%; właścicieli domów i kapitalistów utrzymujących się z renty 99,302=1,7%; wyrobników ze zmiennem zajęciem 495,954, czyli 8,32%.

Z ogólnego obszaru 7,849,699 hektarów gruntów przypada na własność państwa 3%, na majoraty 0,37%, na wielką własność ziemską 37,45%, na wspólną własność gmin 4,76%, na drobną własność ziemską 54,36%. Na podstawie szacunku katastralnego, czysta wartość gruntów wynosi w Galicyi 490,402,813 guldenów,
wartość budynków. . . . . 315,234,805 „

Cała wartość włas. nieruch. 805,637,618 guldenów.

Od roku 1867, odkąd włościanom przyznano wolność dzielenia gruntów, do r. 1883 zwiększyła się liczba samoistnych posiadaczy gruntów z 584,675 do 1,569,844, i gdy dawniéj na jednę posiadłość przypadało 13,4 hektarów, teraz liczy się na jednę rodzinę włościańską 3,9 hektara. Przy téj sposobności muszę nadmienić, że ponieważ rozdrobnienie małéj posiadłości ziemskiéj postępuje z nadzwyczajną szybkością, co już w niedalekiéj przyszłości może wytworzyć stosunki anormalne, przeto konserwatyści krakowscy noszą się z zamiarem postawienia w sejmie wniosku, ograniczającego wolność dzielenia chłopskich gruntów. Ważna ta sprawa nie pojawiła się dla braku czasu na sesyi tegoroczném, lecz jest nadzieja, że w następnéj znajdzie się na porządku dziennym.

Na zakończenie tych cyfr wielce pouczających, przytoczę jeszcze zmiany, zaszłe w stanie posiadłości tabularnéj, czyli tak zwanéj większéj. Zmian takich między r. 1868 a 1884 było razem 4561. Największa przeciętna cyfra zmian przypada na lata 1880—1884, mianowicie po 317 rocznie. Najwięcéj majątków sprzedano w r. 1875, bo 398, jednakże obszar ziemi sprzedanéj był największy w r. 1873, a suma zań osiągnięta przenosiła 29 milionów guldenów. Zdaje się, że wielkie to przesilenie spowodował ówczesny krach wiedeński. Dóbr państwowych (królewszczyzn) sprzedano od r. 1800 do 1870 ogółem 485,142 hektarów, za sumę 12,501,388 guldenów, czyli przeciętnie po 25 guld. 76 centów za hektar. Pieniądze ztąd nabyte przelano do skarbu państwa, Galicyę zaś zubożono o kilkadziesiąt milionów, gdyż istotna wartość sprzedanych majątków była bez porównania większą. *Józef Rogosz.*



DROBNA UMIEJĘTNOŚĆ

W NIEMCZECH, FRANCYI I ANGLII.

I.

Nazywam drobną umiejętnością te nieambitne prace akademickie z tematem zazwyczaj bardzo szczupłym i specyalnym, z wartością rzadko tylko trwałą a najczęściéj efemeryczną, noszące w Niemczech nazwę dysertacyi doktorskich, we Francyi tez, w Anglii zaś prac konkursowych, i służące autorowi do pozyskania bądź doktoratu, bądź wogóle wyższego stopnia w hierarchii akademickiéj. Zasadnicza różnica ich układu i treści tłómaczy się warunkami, w jakich powstały, celami, do jakich są przeznaczone. Niemiecka rozprawa doktorska, o objętości ograniczonéj przepisami i przenoszącéj rzadko 6—8 arkuszy druku, jest wykwitem umysłu niezbyt jeszcze dojrzałego, surowym systemem niemieckiéj umiejętności ścieśnionego w porywach szerszego frazesu i swobodniejszego stylu, pohamowanego przeciw polotom ogarniającym rozleglejsze przestrzenie wiedzy; maszynową tkaniną zestawionych w danéj kwestyi sądów i hipotez—jeżeli jest rozbiorem krytycznym; szarpią wyskubaną ze szmatki ile można najmniejszéj, aby najcieńsze nitki jeszcze dały się rozkręcić i w ściśle zaznaczonych granicach w sumiennym ułożyć porządku,—jeżeli jest roztrząśnieniem tematu oryginalném. Ponieważ rozpraw takich piszą się w Niemczech corocznie seciny, bo—pominąwszy fakultety prawny i medyczny, gdzie doktorski egzamin jest obowiązkowy, student filozofii uważa tradycyjnie za punkt honoru przedstawić ojcu doktorowi i dziadowi doktorowi po wyjściu z uniwersytetu tenże sam banalny tytuł; ponieważ nie ma naukowego pola, którego by umiejętność germańska wielokrotnie nie przekopała;

ponieważ skutkiem tego, badania dzisiejsze muszą się ograniczyć do przetrząśnienia grządek już przetrząśnionych i o tyle drobnych o ile reszta ma wystarczyć dla innych badaczy i dla innych pokoleń; ponieważ wybór podnioślejszego i bardziéj pociągającego tematu, zatrzymanie oczu na postaci Goethego lub Schillera uważane byłoby za świętokradztwo, przeto dysertacye niemieckie odstręczają swą małodusznością, swym krecim horyzontem, swą mrówczą budową, w któréj niedziw, że każdy polotniejszy duch postać się lęka. Przytém względna ich wartość przedstawia się równie nikle. Gdyby te skromne badania dokonywały się na podstawie podziału pracy, gdyby te szczupłe a mozolnie zdobywane przyczynki skierowane były ku pewnemu, z góry określonemu celowi i służyły za posiłek badaczom układającym wielkie dzieła, jak się rzecz miała ze słownikiem Littré'go i ze wszystkiemi dykcyonarzami, każda z tych dysertacyi miała by racyą bytu. Tymczasem, jak już zauważył Taine, uczony niemiecki stanowi dla siebie świat odrębny; sobie znosi cegiełki i sobie stawia budowy, czy to tworząc nowe teorye filozoficzne, czy estetyczne, czy filologiczne. Stąd, jeżeli między tytułami dysertacyi owych spotykamy takie jak: *De interrogationibus obliquis apud Ciceronem*, albo: *Vollständiges Rimarium Henri d'Andelli's*, to wnosimy, przypuszczając w autorze nieco zdrowego rozsądku, że pierwsza ma posłużyć do wymarzonego już w kolebce dzieła o Cycerońskiéj, a może—(choć to myśl zuchwała)—rzymskiéj retoryce, druga zaś do obszernego studyum o wierszowaniu francuskich truwerów. Kto inny z nich korzystać nie będzie, chyba synowie i wnucy, którym uczony badacz dostojne te zadania zostawi w spuściźnie; a jeżeli już on sam ocknie się nad grobem, wołając jak Faust dyabła, aby mu wrócił straconą dla zawiędłéj kochanki wiedzy młodość, to i tak znów marnie przepadną. (Mówię straconą młodość, bo zdanie, że niemiecki student umié pracować i używać życia, zjawi się paradoksem dla każdego, kto się owemu używaniu przypatrywał z bliska). Często nawet takiego przypuszczalnego celu dopatrzyć w nich trudno, do czegoż bowiem może służyć rozprawa: *De futuri exacti usu Plautino*?

Inaczéj tezy francuskie. Zasadnicza różnica ustroju francuskich szkół wyższych. Od reorganizacyi Napoleona I, Uniwersytet, *l'Université* obejmuje całą instytucyą szkół publicznych: szkoły elementarne, średnie i wyższe, *l'enseignement primaire*, *sécondaire*, *superieure*; szkoły wyższe składają się z fakultetów, nie zawsze w pełnéj liczbie. Są to: fakultet teologiczny, prawny, medyczny, fakultet umiejętności ścisłych, *faculté des sciences* i literacki *f. des lettres*. Wskutek tego ustroju, nie czyniącego z uniwersytetów ciał samorządnych jak

w Niemczech, ale podporządkującego je wspólnéj instytucyi; w skutek braku prywatnych docentur a za nim braku, że się tak wyrażę, kasty uczonych; nareszcie z powodu drobnéj liczby poświęcających się wyłącznie naukowéj karyerze—stał się tytuł doktora zbytkiem; zbytkiem dla nauczycielstwa szkół średnich, nie dobijającego się katedry, poprzestającego co najwięcéj na „agregacyi,“ zbytkiem równie dla dyletantów, nie uważających, co się znów tłómaczy narodowym charakterem francuskim,—tytułu tego za ostatni wyraz doskonałości człowieczego jestestwa, jak w Niemczech. Doktorat służy na jednych fakultetach (jak medycznym) do otrzymania agregacyi; na drugich (jak literackim) do pozyskania katedry. Rzadkość i dostojność tych posad sprawiają, że tezy muszą wykazać wartość istotną, są one pracą umysłów dojrzałych, wypróbowanych już w umiejętnych badaniach, skierowanych specyalnie ku naukowéj karyerze, zwykle wróżbą prawdziwych talentów, a nieraz cennymi skarbami, jak sławna teza Gastona Paris'a: *Histoire poétique de Charlemagne*, stanowiąca epokę dla dzisiejszych badań starofrancuskiego i starowłoskiego eposu. Właściwie więc tez niemieckich z francuskiemi zestawiać-by nie należało, bo pierwsze mają przeciętnie zaledwo wartość tych prac zadawanych przez komisyą egzaminacyjną we Francyi, które są ćwiczeniami próbnemi licencyi lub agregacyjnego konkursu. Ale: z historycznego stanowiska dysertacye i tezy mają pochodzenie wspólne i godność tę samę—(jeszcze jeden przyczynek do spencerowskiéj teoryi o wyradzaniu się tytułów); następnie, służą zawsze do pozyskania tegoż samego akademickiego stopnia; nakoniec, choć niemieckie ograniczone są w swéj objętości, francuskie zaś nie, nic nie przeszkadza niemieckim w wolności stania się równie ważnemi, równie epokowemi, jak teza profesora paryskiego.

Równorzędne nakoniec prace studentów angielskich są ćwiczeniami konkursowemi noszącemi nazwę według nagród. (Gaisford Prize, Newdigate Prize itd.),—i przynoszące autorom w skomplikowanéj akademickiéj hierachii stopnie bakałarzy sztuk, pomocników (*fellows*) mistrzów etc. Charakter ich tłómaczy się znów odrębnością angielskich uniwersytetów, tych zapleśniałych gmachów, trącących średniowieczczyzną, niedostrojonych do dzisiejszych wyników wiedzy, nie wyszłych ani na krok po za scholastycyzm, nie cierpiących w murach swych ni medycyny, ni historyi, ni nauk przyrodniczych a jedynie prawie teologią, filologią, pedagogią; z profesorami, którzy dają rocznie ledwo 12 lekcyj, z uczniami ugrupowanymi w samorządne, choć niby zależne od uniwersytetu kolegia, przystępne wyłącznie dla bardzo zamożnych, bo są nie przybytkiem wiedzy ale rozrywek, szkołą dżentelmenów, niedającą nic nad duchową i cielesną gimna-

stykę, wiedzę ogólną, nie specyalną. Temat tych prac zawarowany jest konkursem, ale treść ich i wykonanie dowolne; zasługują zaś o tyle na zestawienie z francuskiemi i niemieckiemi, że wychodzą z pod pióra studentów i oryginalnym swym wyglądem stanowią z nimi kontrast nader ciekawy.

II.

Wielokrotnie zwracano uwagę na niebezpieczeństwa zagrażające młodzieży polskiéj ze strony niemieckiego pedantyzmu, wykradającego soki żywotne głów i serc na robotę niepłodną, nieużyteczną dla postępu i zadań narodowych; zbyt mało podawano jaskrawych i odstraszających takiego niebezpieczeństwa dowodów. Niemiecki system traktowania badań wkradł się nietylko do nas; opanował on Włochy i zaczyna, jak się wykaże, bruździć we Francyi na wielką szkodę charakterystycznego francuskiego stylu i metody; przemycił się zaś wszędzie wabnym pozorem doskonałości, która że taką nie jest, okazuje się najłacniéj z jego owoców. Owoce systemu niemieckiego ocenić się dadzą najdotykalniéj z doktorskich dysertacyi; przedstawi się w nich wynik owych wiekowych skłonności tak uczących jak nauczanych, który się zwie pedantyzmem, owo zeszczuplenie horyzontu młodych pracowników, które się zwie zespecyalizowaniem umiejętności, owo wysuszenie i onieśmielenie myśli, które się nazywa surowością badań,—co wszystko zresztą godności i wysokiego znaczenia cywilizacyjnego wiedzy niemieckiéj nie neguje.

Przejrzałem 280 dysertacyi niemieckich, ograniczając się do wydziału filozoficznego, wyłączając zeń nawet umiejętności ścisłe, jak matematykę, fizykę, chemią, oraz umiejętności przyrodnicze, a obserwując jedynie prace z dziedziny filologii klasycznéj i nowożytnéj, lingwistykę, filozofią, historyą i estetykę; ograniczając się następnie do roku 1885 i uniwersytetów najwybitniejszych: w Berlinie, Bonn, Erlangen, Fryburgu, Giessen, Gettyndze, Greifswaldzie, Halli, Heidelbergu, Jenie, Królewcu, Lipsku, Marburgu, Monachium, Monastyrze, Rostocku. Liczniejsze nagromadzenie dokumentów,—(których pewne braki usprawiedliwiam niedostatecznością środków)—nie odmieniło by, sądzę, rezultatu uwag, które z nich wyciągnąć się dadzą w postaci, jak następuje.

Z liczby owéj przepada na filologią klasyczną 40%, na filologią francuską 20%, angielską 6½%, wschodnią (sanskryt i grupa semicka) 4%, niemiecką 3%, filozofią 5½%, historyą i geografią 16½%;—reszta na filologią włoską, na literaturę powszechną, lingwistykę porównawczą, historyą sztuki, pedagogią etc.

Potrzeba wtajemniczyć się i wżyć w niemieckie uniwersyteckie stosunki, aby zrozumiéć niektóre zjawiska; jak nadzwyczajną szczupłość rospraw berlińskich (23) w stosunku do lipskich (58); pierwsza tłómaczy się uciążliwemi wymaganiami formalnemi oraz bezwzględnością profesorów, prawie odstręczającą; (Grimm, Scherer), czego nie doznaje się w Lipsku, nęcącym zwłaszcza filologią klasyczną i lingwistyką. Studenci estetyki uciekają do Monachium, do łagodnego Carriera; historycy do Halli; Królewiec i Marburg wykazują zadziwiającą przewagę prac z zakresu filologii klasycznéj i francuskiéj (Królewiec na 25 dysertacyi: 8 z fil. klas., 12 z fil. fran.; Marburg na 24 dysertacyi: 6 z fil. klas., 15 z fil. fran.),—Halla najwyższą cyfrę rozpraw historycznych (11); niektóre większe uniwersytety, jak monachijski, przedstawiają cyfrę nieproporcyonalnie małą doktoratów (5;—złośliwi tłómaczą to mnogością miejskich browarów); a znowu niska wartość dysertacyi z Rostocku lub Jeny znajduje wytłómaczenie w upadku tych uniwersytetów, zniżających z tego względu poziom swoich wymagań.

We wszystkich da się zaznaczyć, w przeciwieństwie do francuskich i angielskich, zupełne zaniedbanie stylu dla treści; te które pisane są w języku łacińskim (obowiązkowym dla tez filologicznych), posługują się utartym frazesem, mającym naśladować cycerońską prozę; od tych zresztą oryginalności stylu się nie wymaga, bo jéj martwy język dać nie zdolny. Równie jednak maszynowo i banalnie rozwija się tam frazes niemiecki; ani śladu owego pieszczenia się z słowem, które czyni styl ciepłym i pociągającym nawet mimo najsuchszy temat; peryody za peryodami, ustawione jak żołnierze, zbite, i szczupłém zadawalniające się słownictwem—oto reguła prawie nie znajdująca wyjątku.

Przedewszystkiém uderza niepomierny stosunek rozpraw z filologii klasycznéj, zatrudniającéj, jak świadczą cyfry, blisko połowę niemieckich głów uczonych, boć liczbę uczonych z zawodu można śmiało wywnioskować z liczby doktoratów. Przyczyna leży nie ze wszystkiém w zamiłowaniu do klasycyzmu, jakie nas zachwyca w wieku Odrodzenia; raczéj w prozaicznéj potrzebie zdobycia pod protekcyą doktoratu posady nauczycielskiéj w średnim zakładzie naukowym; ważę się nawet przypuścić, że ta chorobliwa skłonność jest naturalną spuścizną pierwszych bakałarzy, którzy uczynili z obowiązku zamiłowanie, pulsujące w krwi niemieckiéj od tych pór. Płytka inteligencya i skromne zdolności tych kandydatów nauczycielskich tłómaczą małocenność większéj części rozpraw, które cierpiane być powinny co najwięcéj jako seminaryjne ćwiczenia, ale nigdy, jako próby dojrzałości umysłowéj do tytułu doktora. Są to

przeważnie prace ściśle gramatyczne, bo temata literackie już zostały wyczerpane, układ ich zawsze ten sam. Na czele bibliografia badanego przedmiotu, dochodząca nieraz do kilkudziesięciu tomów. Następnie zaczepienie któregoś z poprzednich badaczy, lub złożenie hołdu dotyczącym profesorom; następnie postawienie tezy—tę sprawiedliwość oddać należy — przejrzyście i zwięźle, wreszcie udowodnienie jéj albo ilustrowanie ułożonemi wedle systematycznéj modły przykładami. Weźmy np. rozprawę: *De hiatu Plautino* (Berlin). Autor stawia pytanie, czy zachowane w plautyńskich kodeksach rozziewy należy zachować czyli lekcyą odmienić, co znów rozstrzygnie się zbadaniem, czyli Plautus dopuszczał się hiatu czy nie. W swych formach ludowych oczywiście dopuszczał się. Tu następuje przedstawienie owych wypadków według naturalnego, fonetycznego podziału i poszczególnych rodzajów wiersza i stopy; a więc monosylaby z wygłosowem *e*, *i*, *u*, *oi*, *am*, *em*, *om*, *um*; hiatus w cezurach; polysyllaby z wygłosowem *e*,.... Na tém rozprawa się kończy; rzecz, która zdawała by się nieprawdopodobną, a która powtarza się nader często; lekceważenie zewnętrznéj strony tak przez profesora jak ucznia, skoro wykazał już znajomość i zdolność dzierżenia naukowéj metody. Niekiedy urywa autor pracę, tłómacząc, iż obawia się, aby nie przeniosła żądanéj objętości! Wiadomo, że rzucono się od niedawna na dyalekty greckie; na tém polu spotykamy prace nieco oryginalniejsze: *De dialecto Thessalica* (Berlin), w któréj autor tłómaczy swój wybór cytatą z Goethego: *Homeride zu sein, auch nur als letzter, ist schoen*; lub *De dialectis aeolicis* (Aug. Brand. Berlin), godna roztrząśnienia dla nowości przedmiotu.

Sprawa ma się tak. Dyalekty eolskie dzielą się na dwie grupy: lesbijski, tessalski, beocki z jednéj, eleocki, arkadyjski, cypryjski z drugiéj strony. Wszystkie posiadały niegdyś wspólną siedzibę i wspólny język. Dotychczasowe badania Ahrensa, Curtiusa, Kuehnera skończyły się hypotezami, że eleocki i arkadyjski należą albo do dyalektu doryckiego, albo powstały z eolsko-doryckiego. Autor więc rozkłada pracę swą na dwie części: jaki był stan tych dyalektów, które stworzyły dyal. lesbijski, tessalski, beocki, — następnie: czy eleocki i arkadyjski należy liczyć między dyalekty eolskie. Pięknéj téj rozprawy czytamy tylko część pierwszą i to znów w ułamku: Ekspozycyą fonetyki owego pierwotnego dyalektu eolskiego.

Podobne jéj są rzadkością; do wyliczanych powyżéj tematów dodaję jeszcze jeden: *O imiesłowach u Tucydydesa.*

Wyjątkowo między lipskiemi spotyka się napisaną po grecku (jest to zapewne folga dla autora, Greka z Itaki), równie jak inne lipskie dysertacye, pisane przez Anglików po angielsku.

Najwyższy procent po filologicznych przedstawia kategorya rozpraw z gramatyki i literatury francuskiéj i prowensalskiéj, zjawisko dające się znów wytłómaczyć obowiązkowością języka francuskiego w szkołach średnich. Ponieważ studya romańskie, począwszy od Herdera, Schlegla i Grimmów, aż do ostatnich lat 30 były prawie monopolem umiejętności niemieckiéj, która wydobyła z kurzu najważniejsze manuskrypty; ponieważ wskutek konkurencyi wybór oryginalnego tematu z téj dziedziny stał się niemal niepodobieństwem; ponieważ wreszcie umysły, ścieśnione w prasie formuły filologicznéj, nie potrafią już nawet oryginalnego tematu z oryginalnéj traktować strony, rozprawy te przedstawiają z poprzedzającemi analogią najzupełniejszą.

Są, którym wartości odmówić nie można, np. habilitacyjna rozprawa d-ra H. Koertinga w Lipsku: *Historya romansu francuskiego w XVII w.* Traktuje tu autor romans idealistyczny, poczynając od wpływu rycerskiéj książki: *Amadis z Galii*, od wpływu romansu greckiego i hiszpańskiego; przedstawiając daléj w swym rozwoju romans pasterski, polityczny, alegoryczny, religijny, heroiczny, kawalerski (galant), aż do pani *Scudéry*, kończąc psychologicznym romansem pani *Maryi de Lafayette* i przywracając rodzajowi temu należne w literaturze stanowisko.

Druga rozprawa: *Pieśni kasztelana de Coucy* (Fr. Fath. Heidelberg) zajmuje się wykryciem osobistości tego truwera i wydaniem krytyczném 11 jego pieśni. Ale najpiękniejsze temata psują się opracowaniem. Rozbiór rymów w Mistrza Wace: *Roman de Rou* (Bonn) mógłby, jak sobie zakłada autor, „przedstawić językowe stosunki poety“; temat jest zupełnie nowy, bo wersyą normandzką M. Wace'a wydał Andresen dopiero w 1877—81. Niestety, część, którą nam podaje, jest rozpaczliwie sucha; ogranicza się na roztrząśnieniu liczby zgłosek, hiatów, elizyi, wokalizmu, rymów; rezultaty pozostawione zapewne do przyszłego dzieła, ale czyż tym sposobem cel rozprawy osiągnięty?

Najciekawiéj przedstawia się Marburg; tam widocznie badanie rymów jest chorobą odnośnego profesora, bo stanowi przeważne zadanie rozpraw w liczbie 15. Mówiłem już o truwerze Henryku d'Andelli. Podobnie traktowany jest trubadur Wilhelm z Tuluzy; podobnie *Miracles de Saint-Eloi*, praca najstraszniejsza ze wszystkich. Podział jéj: rimarium, o wokalizmie, o konsonantyzmie, o fleksyi. W całéj broszurze nie ma prawie jednego wyrazu: podziały, podpodziały, cyfry i znaki. Ma to być statystyczny przyczynek do językowych badań według metody *par excellence* niemieckiéj; może i przydać się

na co, tylko sądzę, że ze stu wierszy przeczytanego poematu można o jego języku lepsze sobie wyrobić pojęcie, niżli z całego arsenału podobnych przyczynków. Tak przedstawia się gramatyka; równie budujące są dysertacye „literackie": *Strój kobiety według starofrancuskich Chansons de Geste*, jeszcze nie bez wartości, może być cenna dla malarza; *Zatrudnienia dzienne w starofrancuskim karolowym eposie*; szkic oparty na 56 poematach z podziałami, które wypisują dosłownie, by nie uronić nic z ich wdzięku: 1) *Schlafengehen und Nachtruhe*, 2) *Aufstehen am Morgen*; 3) *Messen und religiöse Gebraüche*; 4) *Essen und dabei vorkommende Gebraüche*; 5) *Belustigungen und Vergnügungen.*

Podobne szkice, odtwarzające ludzi i obyczaj odnośnéj epoki, są u pisarzy francuskich prawdziwemi cackami stylu, choć dlań filologicznéj ścisłości nie poświęcają; dość czytać Leona Gautier'a: *Epopeja francuska.* Uczony niemiecki gromadzi dokumenta; jest-to jak muzeum systematycznie ułożonych okruchów, z których tylko artysta miłą dla oka ułoży budowę. Ktoby zaś wątpił jeszcze o przesadzie téj bezcelowéj ścisłości, temu radzimy przejrzéć rozprawę: *Die Tiere im Altfranzösischen Epos* (Marburg).

Autor cytuje ni mniéj ni więcéj, jak wszystkie — bez wyjątku wszystkie miejsca, gdzie w *Chansons de Geste* wspomniane są zwierzęta. Do tego kolosalnego zadania potrzeba mu 72 poematów i fragmentów. Wiadomo, że niektóre *Chansons de Geste* dochodzą objętości 20 tysięcy wierszy; proszę zważyć ogromną zasługę autora. Dysertacya jest widocznie odkrawkiem wielkiego dzieła; tu zadawalnia się wyrazem *koń.* Wielu słów w niéj nie szukać; podziały i cyfry; surowo, sumiennie; wieje z niéj egzaltacya pracownika, kreślącego światu nowe drogi; Napoleon nie liczył tak pod Austerlitz nieprzyjacielskich pułków. Naprzód więc koń wyrażony ogólnie przez wyraz: zwierzę, *beste.* Następnie rycerskie nazwy rumaka: *destrier*, *palefroi*, *roncin* etc.; koń różnych maści: *aubain*, *fauvel*, *grisel* etc. Nakoniec imiona sławnych koni, od *Baiarta* począwszy. Broszura obejmuje 8 arkuszy druku, co się tłómaczy częstą oczywiście wzmianką koni w owych rycerskich eposach; reszta fauny, jeżeli dzieło ukaże się kiedykolwiek, zapewne także pokrzywdzona nie będzie. Zaciekawia niezawodnie czytelnika fizyonomia autora; znamy ją z autobiografii, która, jak wiadomo, jest obowiązkowa na końcu każdéj dysertacyi. P. Fritz Bangert liczy lat 36. W 17 roku życia był już nauczycielem; na uniwersytet nigdy nie uczęszczał; samouctwem dobił się pozwolenia na złożenie doktoratu; w szkołach średnich wykładał język francuski, angielski i... geografią. Z prac dotychczasowych wymienia kilka przyczynków (*beiträge*) i sprawo-

zdań. Oto obraz człowieka posiadającego zapewne żonę i dzieci, pędzącego desperacko na Rolandowym biegunie po nieśmiertelny tytuł doktora!

Co zadziwia, niecierpliwi, a często oburza, to zagarnianie pod niemiecki pytel najczarowniejszych dziedzin; każdy wdzięczny temat wychodzi z pod tych zapluskanych piór, jak piękna kobieta z pod brutalnych dotknięć cyrulika; płaskie stopy niejednego nie postały nigdy we Włoszech i Prowancyi, a o ich niebie, o ich pieśni i ludziach pisze z pyszałkostwem wszędobylca — zawsze na podstawie dokumentów. Charakterystyczna pod tym względem jest rozprawa: *Syntaktyczne właściwości mowy mniéj oświeconych Paryżan* (Berlin). Autor nie widział francuskiego przedmieścia i bulwaru; studyum swoje oparł na książce H. Monniera: *Scènes populaires dessinées à la plume. Paris 1846.* Arsenał posiłkowy składa się z czternastu gramatyk i dykcyonarzy. Przeciw układowi saméj roboty protestu zakładać nie można; w przedmowie wyłożono bardzo trafnie sposób powstawania ulicznych żargonów: przez archaizmy, w mowie oświeconych zatracone, przez nowotwory urobione ludową fantazyą i humorem, przez swobodę składni nie przygiętéj dla okrągłości frazesu, dla logicznéj ścisłości. Nie uważa jednak autor, że ten język uliczny, a zwłaszcza gwara paryskiego gamena jest jego osobistym tworem i własnością, że tych zjawisk pochwycić i podpatrzyć nie można, a tém mniéj wykreślić ich prawideł, bo w ustach każdego zmieniają się jak w kalejdoskopie. Obserwując więc nieregularność składni rzeczownika w frazesie: *J'veux savoir quel état qu'il est*, tłómaczy ją autor fałszywie analogią z angielskim: *But what trade art tou* (Shakespeare: *Jul. Caes.*); zaznaczając niezgodę rodzaju w imiesłowie: *tiens! l'opera déja finite*, ostrzega zbytecznie przed nieprzypuszczalną hypotezą, jakoby był to wpływ innych języków romańskich; cytując przykłady etycznego datywu: *Qu'est-ce qu'elle te lui a fait?... Un beau matin elle te lui a renvérsé toute une cafetière*, odnosi tę naturalną skłonność mowy do starofrancuszczyzny wcale niepotrzebnie, zważywszy, że ją wszystkie wykazują języki i w każdéj swéj epoce. A już karykaturalnie wyglądają sztywne gramatyczne prawidła i obserwacye, obok tryskających humorem zwrotów,—niby ksiądz z popielnicą nad zamączoną głową pierrota: *Bisweilen stehen die persönlichen Pronomina in prägnanter Bedeutung auf Personen hinweisend, deren genaueres Bezeichnung dem Sprechenden unnötig erscheint: Y z'en changent, à present de vicaires, comme de chemises*; albo téj skargi biedaka, że przez jego ciało zégar na kościele obaczy: *J'allons dev'ni à rien, qui pourriont voir l'heure au cadran d'l'église au travers ed' mon corps!*

Jak daleko wiedzie autora krótkowidztwo i nieznajomość potocznéj mowy francuskiéj, dowód na to jeden. Wiadomo, że do rozprawy dołącza się kilka tez, których doktorant (tradycya tego zwyczaju dziś ginie) bronić ma publicznie w akcie inauguracyi; między tezami niniejszéj czytamy jednę p. t.: Jest rzeczą nieprawdopodobną, aby francuski język ludowy (t. j. owa uliczna gwara) wywarł kiedykolwiek pod względem składni wpływ na język oświeconych. Otóż w tém autor się myli. Nikt nie powie oczywiście: *I'l'ons dit que j'la j'terions par la croisée, je n'l'ons point fait*; ale bulwarowy wyga, ale artysta używa ciągle w kapryśnych swych zwrotach anakolutów, nadużywa przysłówkéw *en*, *y*, lekceważy prawa składni zaimka. Dość otworzyć książkę Zoli lub Goncourtów: *Manette Salomon*,—świat paryskich malarzy: „*Quel homme du monde ça fait*, *ce Coriolis*"; albo: „*Ce gueux de Paris*, *c'est si charmant*"; albo: „*Eh! bien! il lui en est arrivé*, *figure toi! D'abord un héritage de trente mille francs*, *qui lui est tombé.*" — „*Vrai? Tiens*, *il n'avait pas une tête à ça.*"

O dysertacyach z filologii angielskiéj i niemieckiéj chwalebnego da się powiedziéć tyle, że wychodzą z pod piór inteligentniejszych, bo mniéj pospolitych, które usiłują przynajmniéj wartość im nadać wyborem. Takiemi są np. *Studya do anglosaskiéj Księgi Rodzaju* (Lipsk), lub: *Język anglonormandzkiéj legendy Brandana* (Halle), zawierająca krytykę ich tekstu i ekspozycyą własności gramatycznych. Pedantyzm jednak węszy i tutaj; bezbarwną i jałową pracą są *Spostrzeżenia nad metrum Ben Jonsona* (Halle).

Szacunek dla tematów niemieckich wpłynął równocześnie na ich rzadkość i cenność. Cytujemy tu dzielną, pracę erudycyjną: *Najstarsze północne napisy runowe* (Berlin), w któréj autor wykazuje naprzód w polemice z Buggem i Wimmerem, że język najstarszych napisów jest już samodzielnym, wybitnym, różnym od spółczesnych gockich i germańskich dyalektów idyomem, następnie odczytuje napisy na złotym rogu z Gallehus, tarczy z Torsbjerg etc.

Jeżeli filologia włoska i hiszpańska traktowane są po macoszemu, za to języki wschodnie dostarczają rozprawom ogromnego kontyngensu tematów; studya te kwitną przedewszystkiém w Lipsku, ale przeważna liczba uniwersytetów niemieckich posiada równie katedry filologii oryentalnéj; stąd w dysertacyach spotykamy się z literaturą, filozofią, historyą, paleografią: indyjską, asyryjską, babilońską, egipską, arabską, hebrajską etc. Określać je bliżéj rzecz zbyteczna.

Literatura porównawcza podaje szerokie pole erudycyi, lecz styl w nich zaniedbany a strona psychiczna lekceważona nawet w tych, które do szczególnéj obserwacyi tego punktu zdałyby się miéć prawo, jak temat: *Psychologiczne warunki zmiany znaczenia słów.*

W filozofii zawsze jeszcze na pierwszym planie są transcedentaliści; temata historyczne zeszczupliły się do drobnych przyczynków, jak: o stosunku poszczególnych miast do cesarstwa, biografii hercogów i mężów stanu, i t. p.

Za to estetyka i historya sztuki uprawiane w Niemczech tak namiętnie, wydające owoce studyów tak szlachetne mimo cały brak artyzmu w charakterze narodowym, znajdują równie wdzięczne odbicie w tych drobnych badaniach; sama wierzchnia szata niektórych, jak lipskiéj: *Kleinmeister als Ornamentisten*, ozdobionéj drzeworytami arcydzieł Behoina lub Aldegrevera, świadczy o wysokim pietyzmie autora dla ponętnego tematu..

III.

Tezy francuskie są zjawiskiem tak rzadkiém (mówię jedynie o tezach fakultetu literackiego), że dla wyrobienia sobie pojęcia o charakterze tych robót we Francyi trzeba mi było rozpatrzéć roczniki z lat kilku (1882—1885) z fakultetów w Aix, Bordeaux, Clermont, Lyonie i Paryżu (ostatnie z r. 1884—1885). Z sumy 60 prac przypada na sam Paryż 49, rozkładają się zaś tak, że na filologią klasyczną przypada 22, filologią francuską 9. wschodnią 3, angielską 2, włoską 1; na filozofią 13, historyą 8, pedagogią 1, estetykę 1. O Paryżu da się jeszcze zauważyć to, że odtrąciwszy od filologicznych tezy z tematem filozoficznym czy teozoficznym, jak: *Zenonis Eleatici argumenta*, lub *Quid de Deo Seneca senserit*, lub *O dziełach filozoficznych Cycerona*, lub *Historya kultu Serapisa, Izydy etc.... w Aleksandryi*, wyrównamy prawie cyfrę obu. Tłómaczy się to tradycyami Sorbony, wrogiéj pozytywizmowi, pielęgnującéj troskliwie metafizykę. Nie jest ona już, czém była dawniéj, kiedy rzucała klątwy na papieży, dopatrzywszy w nich herezyi; kiedy dla przywdziania togi poddawała swych słuchaczy-obywateli, po dziesięcioletnim najmniéj pobycie w dostojnych murach, próbie „wielkiéj Sorboniki", w któréj kandydat musiał bez jadła, napoju, bez opuszczenia nawet na krok celi wytrzymać kwestye dwudziestu przeciwników, zmieniających się kolejno przez 12 godzin. Mimo to, kto już zdecydował się żądać doktoratu, śpieszy zwykle na fakultet paryski; doktorat prowincyonalny, wskutek anormalnéj centralizacyi, któréj szczęściem dla siebie zdołały ujść uniwersytety niemieckie, a która umiejętności francuskiéj nieobliczone wyrządza szkody, utracił prawie wartość i staje w poprzek karyerze nawet utalentowanych.

Rozmiary tez nie są ograniczone, dochodzą téż niektóre objętości 25—30 arkuszy druku; już to samo świadczy o poważnéj war-

tości doktorskiego tytułu, a warunki ubiegania się oń powiększają się jeszcze tą trudnością, że tezie w języku francuskim musi być przyłączona druga, w łacińskim, któréj temat brany bywa zazwyczaj z tego samego dzieła; tak spotykamy po parze filozoficzne, historyczne, lingwistyczne, etc. Rozumie się, że ta przymusowość języka łacińskiego wpływa niekiedy niezbyt korzystnie na jego poprawność; czasem składnia przypomina przedrenesansową „średnią łacinę"; barwny, gadatliwy styl francuski przebija przez nią wyraźnie i mimo niepoprawność umila ten sztuczny pedantyzm, bo jest to przynajmniéj język, w którym czuć pulsujące życie.

Aby dać czytelnikowi pojęcie o charakterze tych rozpraw, podaję treść niektórych cenniejszych:

O użyciu składni rodzaju nijakiego w języku francuskim. (A. Aubert, Aix, 1884). Duch języka łacińskiego nałożył dyscyplinę gramatykalną na język francuski i nagiął jego mechanizm w modelu swéj składni tak, że rodzaj nijaki, który formalnie zaginął, a w rzeczywistości zawsze istnieje, rekonstruował się w elementach równorzędnego znaczenia, jest zaś nie tylko spadkiem historycznym łaciny, ale służy jeszcze dziś do logicznego odróżnienia znaczeń idei i rzeczy. Następuje wyliczenie neutralnych funkcyi zaimków, przymiotników, rzeczowników. Praca oparta na systemie porównawczym posiłkuje się idyomami całéj familii romańskiéj, nie przestając na starofrancuszczyźnie, ale czerpiąc przykłady z najnowszych nawet autorów: V. Hugo, Richepina, Daudeta, rzecz, która by w Niemczech uchodziła za beletrystyczny, a przeto nienaukowy wybryk.

Studyum języka angielskiego w wieku XIV. (Adr. Baret. Bordeaux, 1885) przedstawia historycznie rozwój dyalektu anglo-normandzkiego, z którego wykształcił się klasyczny język angielski, *King's English*, język Chaucera.

Przegląd retoryk sanskryckich (P. Regnault. Paryż, 1885) rozbiera bardzo starannie i subtelnie te dzieła sanskryckie o sztuce pisania, które noszą nazwę: Źwierciadło poezyi, Wykład poezyi, Źwierciadło kompozycyi, etc.

Z łacińskich przedstawiam przynajmniéj tytuły: *Quid anglica lingua latinae debeat* (Bordeaux); *De unitate religionis homericae in Iliade* (Paryż); ale już i tu wdarło się bezcelowe specyalizowanie niemieckie: *De usu participiorum praesentium in sermone gallico* (Aix), francuskiego stylu przecież w zupełności przygnębić nie mogąc.

Obok tez filozoficznych, hołdujących znowu niemczyźnie, jak: *Krytyka teoryi Kanta w estetyce transcedentalnéj* (Paryż 1884) lub: *De logica Spinozae* (Paryż, 1884) stoją prawdziwie oryginalne, jak: *Podstawy wiedzy.* (P. Lesbareilles, Paryż 1884), w któréj autor anali-

żując trzy fundamentalne systemy: spirytualizm, materyalizm, panteizm,—objaśnia naprzód, że spirytualizm i materyalizm prowadzą do takiéj koncepcyi objektywnego bytu, która go czyni nieprzydatnym wiedzy, jużto pozbawiając go wszelkiéj pochwytnéj jedności, jużto odmawiając realnego istnienia po za umysłem;—a w dalszym ciągu dochodzi do wniosku, że panteizm jest identyczny z głównemi zasadami wiedzy i da się wyprowadzić wprost z analizy tych zasad, a więc, że jest jedynym systemem zapewniającym poznaniu fundament obiektywny i rzetelny.

Studyum: *O sądzie estetycznym* (C. E. Adam, Paryż 1885) podaje za rezultat roztrząśnienia zdanie, że sądy estetyczne są możebne nie przeto, że człowiek jest istotą posiadającą czucie i rozum, ale przeto, że jest istotą wolną.

Fakultety literacki w Besançon, Dijon, Douai, Grenobli, Montpellier, Nansy, Poitiers, Rennes, Tuluzie nie oglądały od dawna aktu doktoryzacyi; jak poważnie w ogóle traktuje się dostojeństwo togi, z jakim pietyzmem gotuje się do przyjęcia jéj francuski licencyat, przykład na to mam w Montpellier, gdzie obecnie p. Dubouchet, wielki erudyt bibliograf i bodaj czy nie jeden z najlepszych znawców Rabelais'go, drukuje pracę, któréj część napisana językiem XV w. i nosi tytuł: *La Vray Cronicque de ce que fist à Montpellier Maistre François Rabelois, Chinonois, Docteur en Médicine, naguieres escripte et composée. Par A. Dubouchet, Bourbonnoys, Maistre es Arts en la docte Eschole de la dicte ville.*

Słowem, Francuz rozumie godność doktoratu; żywi dla umiejętności to poszanowanie, które każe mu stroić ją w szaty świeże, oryginalne, często zalotne i czuwając jak nad kochanką, trzymać zdala od pospolitości; jeżeli od sąsiada przejął co, to jedno : sumienność, a te dwa czynniki: styl i metoda złożyły się na każdéj tezy francuskiéj wartość często skromną, lecz zawsze istotną.

IV.

Anglia posiada uniwersytety z utrojem jak w Niemczech, średniowiecznym, a to w Oxfordzie, Cambridge, Saint-Andrews, Dublinie i Londynie (ostatni uniwersytet najmłodszy, bo założony w 1828 r.). Co odróżnia je od innych europejskich, to kolegia, samodzielne związki studentów, każdy zostający pod władzą swego kanclerza. O ich postaci, celach i działaniu pisać tu nie pora: chcę przedstawić jedynie charakter studenckich prac, analogicznych do niemieckich dysertacyi i mających nad nimi pierwszeństwo swą wartością prak-

tyczną, jeśli nie naukową donioslością. Kto dziwił się niemieckiéj erudycyi, zdumieje się angielskiéj; niektóre gałęzie umiejętności, jak filologia, lingwistyka, literatura angielska, szczycą się tam znawcami, którzy w pewności siebie, mocni resztę świata wyzwać na dysputę. Tylko u nich traktowanie wiedzy dla wiedzy nie mroczy już nigdy swéj czystości ubocznymi celami a nawet pedantyzm nosi jakąś milszą cechę tą odrobiną duchowego pierwiastku, który najsuchszy uszlachetnia temat. Przedewszystkiém nie bije on w oczy, nie lubi jaskrawo i pysznie wyskakiwać naprzód; cała posiłkowa praca kryje się z bibliograficznym swym balastem tak, że z rezultatów jedynie domyślić się można olbrzymiego mozołu, jaki jéj towarzyszył, a czy w dziełach naukowych, czy w drobnych broszurach, o jakich mam mówić, metoda ta jest jednakowa.

Poprzestaję na tezach uniwersytetu Oxfordzkiego; kilkanaście broszur z lat 1882—1885 wystarczy na wyrobienie sobie sądu o całym ich rodzaju. Z jednéj strony filologia i lingwistyka, z drugiéj utwory oryginalne: poeye, przekłady, ćwiczenia retoryczne,—oto przeważna ich dziedzina; pedagogia, etnografia liczą téż, choć nielicznych, przedstawicieli.

Praca E. Nicholsona z Trinity College, nosząca tytuł *New Homeric Reserches*, ma na celu zbicie pedantycznego przesądu, że u Homera wiersze daktyliczne idą w parze z żywością akcyi; bo akcya żywa opisana bywa często spondejami i odwrotnie; dla dowiedzenia swego sądu autor obliczył wszystkie daktyle w Iliadzie i Odyssei. *The characteristics of Primitive poetry* (W. Bartlett) jest bardzo wdzięcznėm studyum o charakterze pierwotnéj poezyi, opartém głównie na dokumentach greckich, hebrajskich, oryentalnych, z przybraniem świadectw celtyckich, słowiańskich, germańskich, choć nie w téj mierze, ile by żądała równowaga, czego przyczyną niezmierna skłonność uczonych angielskich do filologii oryentalnéj.

Jedna praca nosi tytuł *Teorya starożytnéj edukacyi*, druga jest monografią Czarnogóry etc.

Najciekawiéj wyglądają utwory oryginalne, składające się nieraz z 3 lub 4 kart jedynie, papierem, drukiem i oprawą świadczące o zbytkownych kaprysach autorów. Wiersz *The Sea of Galilea* jest utworem religijnym na temat: Galilaee vicistil; wiersz *The Thames* uwielbieniem Anglii, zowiącém entuzyastycznie Tamizę, „rzeką srebrną i kryształową“; grecka proza: *The athenian state* podaje nam specymen dyalogu platońskiego, w którym własnym językiem wiodą dysputę Sokrates, Alcybiades i Arystofanes; *Quae marmoreo fert monstra sub aequore pontus*, jest sielankowym poematem łacińskim

w któréj wergiliuszowym tonem opowiada rybak pasterzowi o dzisiejszych cudach morza aż do elektryczności i pary; jeden utwór jest greckim przekładem Shelleyowego *Adonais*, (strofy 39—46), drugi przekładem Szekspira. *Król Henryk IV*, (Cz. 2, A. 1, Sc. 1), z poprzemienianemi nazwiskami angielskiemi na klasyczne: Worcester = Ἀρσάμης, Lancaster = Ἀρκτεὺς; nazwisko Hotspur wdzięcznie opisane, imię Kaina przedzierzgnięto w Iksyona. Nie są to wszystko roboty, mogące się mierzyć z tezami francuskiemi; ale jeżeli akademickie prace mają za jeden ze swych celów przedstawienie stanu intelektualnego młodzieży uniwersyteckiéj, to swą trzeźwością, swobodą wyboru, wykazującą zdolności autorów z najwłaściwszéj strony, angielskie trzymają z pewnością prym przed niemieckiemi.

Nasze uniwersytety pielęgnują, jak wiadomo, metodę niemiecką. Względy pietyzmu nie pozwalają mi roztrząsać doktorskich tez pierwszego z nich, krakowskiego; pragnąłem jedynie rozbiorem niniejszym wykazać, że po za systemem niemieckim istnieją inne, bardziéj może z duchem i narodową pracą naszą harmonizujące; zwłaszcza, że umiejętność niemiecka, zagarnąwszy monopol niektórych dziedzin, nic nam już prawie do dopełnienia nie pozostawiła a byłoby szaleństwem kształcić całe pokolenia, by dorósłszy wysokości Niemiec, uczyniły dopiero po wielu przedwstępnych studyach jakieś drobne odkrycie np. w dziale filologii. Obok Apulejusa i Seneki potrzeba nam znać Dantego i Szekspira; wyzyskiwanie tak ogromnéj liczby rąk i głów na owe badania, jest to puszczanie wszystkiéj wody na jeden młyn, a wody téj, okazuje się, coraz większa potrzebna ilość, bo filologia wraca do powijaków.

Weźmy np. kwestyą homerycką. Naprzód kwestya autorstwa, potém krytyka i ustalenie tekstu, potém ortografia połączona z całą kwestyą fonologii i dyalektologii a zakończona przywróceniem digammy (Ϝ). Dziś na widnokręgu jawi się nowe zadanie: rekonstrukcya eolskiego tekstu Iliady i Odyssei (1), która może sprowadzi znowu rewolucyą w ustaleniu tekstu. Homerowego tekstu zatém dotąd nie mamy; nie mamy równie ostatecznie przyjętego tekstu tragików,—dość obserwować ustawiczne projekta do poprawek w czasopismach niemieckich i angielskich, bo uczoność owa zacietrzewiła się tak, że gdyby nawet Sofokles wstał z grobu i błagał o spokój, tłómacząc: „Ależ, ja tak napisałem“,—odpowiedziano by mu: „Nie mogłeś tak napisać,—jesteś za wielki!“

---

(1) *Die homerische Ilias.* A. Tick. 2 vol. Göttingen, 1886.

Studentowi niemieckiemu pedantyzm nie szkodzi, jak nie szkodzi bagnisko roślinom i zwierzętom, które w niém mieszkają, ale naszym, entuzyastycznym zawsze w pierwszych uniwersyteckich chwilach, młodym pracownikom może widmem przepaści bez dna złamać od razu odwagę. Jest jedna rada: zwrócić prąd bezcelowo miotającéj się wody na literaturę powszechną i studya porównawcze; byłaby to jednak rewolucya, któréj bliskości przeceniać nie śmiem a prosić o nią nie mam prawa.

Edward Porębowicz.





ZE SŁOWACYI.

Brzegami wartkiego Wagu wracałem z zamku orawskiego w roku 1884 w towarzystwie jednego ze znajomych rodaków, którego zaciekawiała ta czasowa niegdyś siedziba Kostków i Komorowskich. Na stacyi Ruttka, przy kolei Koszycko-Bogumińskiéj mieliśmy się rozstać, korzystając z dłuższego przestanku. Towarzysza mego nagłe sprawy powoływały na Szlązk, ja postanowiłem się udać do Słowacyi południowéj. Była wiosna. Zaledwo kilkadziesiąt godzin oddzielało nas od miesiąca zakochanych i poetów. Po parutygodniowéj słocie kwietniowéj, wyjrzało z za obłoków poraz pierwszy słońce, kąpiąc w wiosennych promieniach całą tę podtatrzańską krainę, a uśmiechem szczęścia i nadziei rozpogadzając twarze jéj mieszkańców. Pod ożywczém, wesołém światłem tych złotych promieni piękny ów kraj stawał się ponętniejszym: zapomniało się o posępnych ołowianych chmurach, niedawno rozwieszonych nad niém, a serce lgnęło do ziemi, ogrzewanéj oparem opadającéj mgły.

Na dworcu kolei żelaznéj panował ruch niezwykły. Oprócz podróżnych ze stron dalekich, którzy tu cisnęli się na krzyżujących się liniach północnych i środkowych Węgier, widzieliśmy gęste gromady wędrownych druciarzy i kramarzy słowackich, wracających z całego świata na wiosnę do zagonów rodzinnych, i rolników, pragnących, jak nam się zdawało, skorzystać z pogody wiosennéj i śpieszących do robót polnych. Pomiędzy nimi była znaczna ilość kobiét. Uderzył nas jednak widok licznych pakunków i węzełków, jakiemi one były obciążone. Zbliżyliśmy się do jednéj grupy. Zdala od innych stała samotnie nad kilku dużemi zawiniątkami młoda dziewczyna z czarnemi kruczemi włosami i ciemniejszemi może oczyma, które w téj chwili były spuszczone na dół i błądziły po zawiniątkach.

Ubogie jéj wiejskie ubranie, skromna postawa i zaduma ładnéj twarzyczki pociągnęły nas mimo woli ku niéj.

— Povedz mi, dievčatko, čo sa mi to stalo,
Ked-sa moje očko v twoje zadivalo? —

pomyślałem sobie, a postąpiwszy parę kroków naprzód, zwróciłem się do towarzysza — tak aby ona słyszała—ze znaną ludową piosnką słowacką:

De-že si ty, lastarienko, letala,
ej, de-že sis'ty krýdelenká zlaté zlámala?

Żadnéj odpowiedzi nie było. Dziewczyna spuszczoną głowę odwróciła nieco od nas.

— Prozą nas lepiéj zrozumieją — podszepnął mi towarzysz.

— Powiedz mi, moja miła — zapytałem tedy, zwracając się wprost ku niéj — czego tak stoisz sama? może ci brak czego? może zgubiłaś kogo?...

— Czekam na siostrę, poszła kupować bilety.

— Daleko jedziecie?

— Do Ameryki — odrzekła obojętnie.

— Jakto, do Ameryki? Tak daleko! same kobiety!

— A ino.

— I nie żal wam opuszczać kraju rodzinnego, téj ziemi ojczystéj?

— Ba, ked' jej nie mamy! — odrzekła lakonicznie, podnosząc długie rzęsy i wodząc kolejno po nas wzrokiem zdziwionym.

I pojechały za ocean. Przeprowadzałem je spojrzeniem aż ostatnie wagony pociągu, unoszącego je na obczyznę, zniknęły mi z oczu. Ale długo jeszcze potém dźwięczały mi w uszach te smutne słowa tak uroczéj a młodéj dziewczyny: *kiedy jéj niema!* W tych paru wyrazach skrystalizował się mimowolnie obraz losu tego narodu, którego dzieci o łagodném wejrzeniu a smętnéj twarzy, z króbką na plecach lub wiązką drutów za pasem, spotkacie z taką samą łatwością nad Wisłą jak nad Amurem, w Berlinie i Teheranie. I skarga dziewczęca żałosném echem odezwała się w duszy mojéj: są Słowacy, a gdzież Słowacya?

. . . .

Nitro! miła Nitro! ty Nitro wysoka!	Nitra mila, Nitra, ty vysoka Nitra!
Gdy spojrzę na ciebie, łza mi płynie z oka;	Kde že sú tie časy, v których si ty kvitla?
Ty matko słowiańska, oj Nitro ty miła,	Nitra mila, Nitra, ty slovenská mati!
Odkądeś ty kwitła, ubiegło lat siła.	Čo pozrem na teba, musim zaplakati.
Oj byłaś ty grodem, w ziemi pełnéj sławy.	Ty si bola nekdy všetkých krajin hlava,
Około Dunaju, Wisły i Morawy!	V ktorých tečie Dunaj, Visla i Morava.
Króla Światopełka tyś była dziedziną,	Ty si bola sidlo krála Svatopluka,

Zkąd władał potężnie szeroką krainą;	Ked' tu panovala jeho mocná ruka,
Oj ty byłaś świętem miastem Metodowem,	Ty si bola sväte mesto Methodovo,
Gdzie ojców nawracał niegdyś Bożem słowem.	Ked' tu našim otcom kázal božie slovo.
Czemuż dziś twa sława w toni skryta leży?	Teraz tvoja sláva v tôni skrytá leži:
Tak czasy się mienią! oj tak to świat bieży!	Tak sa časy menia, tak tento svet beži!

Hymny państwowe różnych ludów tak w muzyce jak słowie noszą zwykle cechę uroczystéj powagi, majestatu i tryumfu. W narodowych zaś przebija się energia, zapał i gorące tchnienie wolności. Taką jest... np. Marsylianka francuska. Slowacy mają na wzór pieśni polskiéj, utworzoną przez Tomaszyka „Héj Słovaci, ešte naša Slovenska reč žije“, ale po za tą pieśnią natchnionego pieśniarza, noszącą znamiona zapału narodowego, właściwym ich hymnem ludowo-państwowym czerpanym z charakteru i motywów ludowych, a wysnutym ze wspomnień dziejowych jest „*Nitro! mila Nitro! ty Nitro wysoka!*“, która uroczystą powagą i skargą przypomina naszą pieśń Felińskiego a jeszcze bardziéj znany chorał Kornela Ujejskiego. Ale gdy ten ostatni trzymany jest od początku do końca w tonie męzkiéj, groźnéj skargi, wołającéj o pomstę do nieba, słowacki hymn z archanielskich wzniosłych tonów przelewa się odrazu w niewieście, łzawe, rzewne a tęskne skargi, w nucie wciąż zmiennéj, wbrew charakterowi jednostajnemu innych pieśni; motywa epizodyczne zmieniają się co chwila, oplatając dokoła jeden minorowy żałośny ton. Ilustracya téj muzyki słowem mimo narzuconych obrazów plastycznych, gubi się tak w mglistéj a dalekiéj pomroce dziejowéj, że widoczna, iż sama plastyka nie wyłoniła się z duszy pieśniarza, nie była naturalném zwierciadłem jego załzawionego serca, lecz dziełem refleksyi, która potrzebowała znaleść jakąś osłonę dla złamanéj a dźwięczącéj harfy uczucia narodowego, jakiegoś sklepienia świątyni, o które oparły by się skargi zbolałego serca. I tak być musiało, jeśli się miało szukać wyrazów z przeszłości dla uczuć dzisiejszych. Jakże mglisto musiała się przedstawić ta przeszłość skoro po strunach tych żalów chorału słowackiego potrzeba aż przebiedz przestwór tysiąca lat, aby po za niemi szukać tradycyi dziejowéj i kanwy dla tego chorału, skoro po nici téj przerwanéj tysiącletnią robotą innego plemienia, trzeba cofnąć się aż pod mury Brzetysławy, gdzie przed 10-ciu wiekami zagrzebaną została samoistność państwowa Słowacyi, czyli tak zwanego Wielkomorawskiego państwa Świętopełka.

. . . .

Jeden z posłów węgierskich na sejmie Peszteńskim, zagadnięty o to, jak się zapatruje na literaturę słowacką, odrzekł: jutro ją wam pokażę. Nazajutrz zjawił się w sali sejmowéj, niosąc coś w węzełku,

zrobionym z chustki od nosa, a rozwiązawszy ją, wyrzucił na stół kilka książek słowackich, wołając z uśmiechem: oto jest cała literatura słowacka! Jeśli to naigrawanie się było nie na miejscu i nieuzasadnione faktami, jak niżéj zobaczymy, to natomiast polityczne dzieje niezawisłego państwa Słowaków dadzą się naprawdę zamknąć w kilku słowach. Podług ich własnych źródeł, przybyli oni pod ojczyste góry Tatr (1) w czasach przedhistorycznych; podług zas innych źródeł — w V po Chrystusie wieku, po ustąpieniu Herulów i Gepidów. Spokojny i łagodny, jak dzisiaj, lud ten, oddany rolnictwu i pasterstwu, a rozdzielony starosłowiańskim zwyczajem na plemiona i żupy, został trzykrotnie najechany przez hordy wojowniczego szczepu fińskiego, po raz pierwszy przez Hunów pod Attylą w końcu IV-go wieku; po raz drugi przez Awarów pod Kahanem w końcu VI-go wieku i nareszcie przez Madiarów pod siedmiu wodzami przy końcu IX wieku. Pierwsi zdobywcy wskutek własnych niesnasek sami ustąpili; drugich wyparł Karol Wielki łącznie ze Słowakami, którzy oparłszy się potędze cesarstwa zachodniego, potrafili pod grozą zewnętrznych nieprzyjaciół połączyć rozdzielone żupy i księstwa w jedno ciało polityczne i nadać mu organizacyą państwową w granicach tak zwanéj Wielkiéj Morawii, pod wodzą takich monarchów, jak Mojmir, Rościsław i Świętopełk. Większą jeszcze spójnię i siłę nowemu państwu dał kościół narodowy słowiański, niezawisły od hierarchów niemieckich, a założony nieśmiertelną pracą braci sołuńskich, Cyryla i Metodego. Cesarz Arnulf nie mógł podołać téj sile i w zapasach z nią stracił nawet własną Panonię, ale wezwał na pomoc zbliżające się od wschodu Europy nomadyczne zastępy Madiarów. Kilkunastoletnie boje zahartowanego w walkach ludu potrafiły wstrząsnąć podwalinami młodego państwa, które też po śmierci Świętopełka, rozdzielone w siłach swoich pomiędzy jego synów, legło u stóp zdobywców. Bitwa pod Brzetysławą (Pressburg) 907 roku zakończyła istnienie państwa wielkomorawskiego. Od téj pory powtórzyły się parę razy słabe tylko echa téj niezawisłości. W połowie X wieku Słowacyą zdobył na Madiarach Bolesław czeski, a 999 roku Bolesłach Wielki polski. Za panowania jego syna Mieszka II zdobył ją na Polakach Stefan węgierski i od téj pory do dnia dzisiejszego Słowacya, stanowiąc część Węgier, wchodzi w skład korony Ś-go Stefana. Po wygaśnięciu węgierskiéj dynastyi Arpadów, Maciéj trenczyński zawładnąwszy częścią Słowacyi, założył na początku XIV wieku niezawisłe księstwo, które istniało lat 11-cie. Słabszy jeszcze oddźwięk niezawisłości narodowéj ale za to większą łą-

(1) Tata—hora, w późniejszym skróceniu Tatra.

czność plemienną z Czecho-morawianami i nieco nawet Polakami spowodował w Tatrach słowackich ruch husycki za powodem Iskry z Brandysa, który w ciągu 20 lat rządził prawie niezawiśle jedną częścią Słowacyi, gdy drugą — różni magnaci słowaccy.

Oto jest cały wątek niezawisłego politycznego bytu Słowaków—krótki ale wymowny, bo z głębi jego wynurzają się dwa wielkie fakta dziejowe mające ogromną, niepospolitą doniosłość nietylko dla Słowaków, ale i dla całéj Słowiańszczyzny a nawet Europy. Temi wszechdziejowemi faktami były: usadowienie się Węgrów nad dolnym Dunajem na gruzach państwa Świętopełkowego i losy apostolstwa Metodowego. Pierwszy błyskawiczny tylko rzut oka na mapę pouczy nas o wielkiém znaczeniu Słowaków i dzierżaw Świętopełkowych dla zamiany idei cywilizacyjnych między Wschodem a Zachodem, tudzież dla przetwarzania się pojęć plemiennych w narodowe i państwowe wśród Słowiańszczyzny, Plemię słowackie jak dziś tak i przed 1000 lat stykało się z polskiém w Tatrach, a jeśli dziś oddzielnemi tylko posterunkami sięga jeziora Błotnego (Platensee), to wówczas tak gęstą masą przypierało do niego, że mogło nad brzegami jego utrzymać stolicę jednego ze swych książąt Kotela (gdzie téż jakiś czas przebywał biskup Metody). Tuż na zachód od téj rezydencyi zaczynały się plemiona Słowieńców, a na południe i południowy wschód, po nad Drawą i Dunajem — serbskie. Na północnym wschodzie jak i dziś stykały się one z plemieniem ruskiém; na północnym zachodzie granica ich nie była dzisiejszą lecz sięgała znacznie wgłąb Morawii. Pas ziemi leżący między Czechami a Styryą, a tworzący górne Rakuzy, tworzył podówczas tak wązki klin niemieckich posiadłości że nie byłby w stanie rozsadzić północnéj od południowéj Słowiańszczyzny. Rozszerzyć go tylko mogło zawładnięcie średnim Dunajem. I tego dzieła dokonali wezwani przez Niemców na pomoc Madiarzy. Już Palacki (a zanim jeszcze dosadniéj Hilferding) patrząc na tę konfiguracyę ziem słowiańskich, ujawnili z saméj natury rzeczy nasuwający się pogląd, że zawładnięcie przez Węgrów średnim Dunajem rozszerzając ostrze owego górno rakuzkiego klinu, rozszczepiło Słowiańszczyznę na dwa odłamy i zerwalo organiczną łączność między północnemi a południowemi i południowo-zachodniemi plemionami. Jeśli Hilferding zadaleko posuwa swą unifikacyjną hipotezę powiadając, że bez tego obcego nowotworu oddzielne plemiona z nad Wisły, Odry i Dunaju scaliłyby się w jeden organizm państwowy, a nawet narodowy, jak to się stało u wschodnich plemion, które późniéj utworzyły jednę Rossyą, to w każdym razie zdaje się być rzeczą niewątpliwą, że wtargnięcie Węgrów na długie wieki opóźniło wzajemność duchową i polityczną

między temi ludami, przyśpieszyło osłabienie każdego z nich i jak z jednéj strony odroczyło udział Słowiańszczyzny w cywilizacyjnéj pracy ludzkości, tak z drugiéj wyrób ich rodzinnéj kultury. Do wspólnych węzłów, łączących podówczas jeszcze całą Słowiańszczyznę tak przez bliższe poczucie pokrewieństwa jak większą jednostajność form społecznych i obyczajowość, przybywał łącznik potężny w jednym kościele narodowym, a zanim w jednostajności form piśmiennictwa w apostolstwie braci Soluńskich. Obcy duchem, organizacyą społeczną i językiem, nie mającym nic wspólnego z ustrojem wszystkich indoeuropejskich języków, Madiarzy wcisnąwszy się w serce Słowiańszczyzny, rozparłszy i odcisnąwszy obie jéj połowy ku dwóm przeciwległym punktom atrakcyjnym ówczesnéj cywilizacyi, Zachodowi i Wschodowi, spowodowali wyłączne oddziaływanie każdego z tych czynników na odciśniętą ku niemu cząstkę. W tén sposób lechickie plemiona, czeskie i zachodnio-serbskie poddały się parciu i wpływowi latynizmu i germanizmu, pozbawione dobroczynnéj kultury apostołów słowiańskich, natomiast wschodnio-serbskie, bułgarskie i ruskie poszły na łup gnijącego Byzancyum, pozbawione dobroczynnych czynników kultury zachodniéj. Od téj pory nastąpił nietylko przełom i rozdwojenie istniejące dotychczas między obu zbliżonemi do siebie częściami Słowiańszczyzny, ale każda z nich, przyparta odtąd do obcego organizmu zachodniego i wschodniego, zaczęła żyć ich życiem, stała się tylko biernym ich dodatkiem, przejmującym chętnie lub niechętnie ich wyrób cywilizacyjny, a pozbawiona możności wytworzenia z łona swego rodzimych sił żywotnich. Od téj pory powiada Europa, że cywilizacya jej, to cywilizacya pod sztandarem ludów romańskich i germańskich, Słowiańszczyznę zaprzągnięto do ich rydwanów, praca jej ducha skazaną została na bierność, na przyjmowanie inicyatywy i wrażeń zachodnich, a rola jej w dziejach ludzkości ograniczyła się do biernego oddawania téjże ludzkości wyrobów ducha, przetworzonych za tąż obcą łacińsko-germańską inicyatywą. I gdzieś w Rzymie lub w Akwizgranie jako centrach owéj cywilizacyi germańsko-romańskiéj można byłoby postawić pytanie: jaka szkoda wynikłaby dla ludzkości gdyby Słowiańszczyzny nie było? Na to pytanie już dziś odpowiedzieć można i my tę odpowiedź sformułujemy.

Takie to powszechne znaczenie miało rozbicie przez Madiarów słowackiego państwa Świętopełkowego i w spółce z Germanami obalenie apostolstwa Metodowego.

I.

DRAMAT LUDOWY

Z TÉJ I TAMTÉJ STRONY TATR.

(Jasełka—szopki w Słowacyi i Polsce).

Badać dzieje dramatu ludowego lub przedstawiać objawy jego ze stanowiska czy to historyi sztuki, czy historyi literatury, nie wchodzi w zakres niniejszéj pracy i nie może być przedmiotem studyów poświęconych poznaniu kraju ze stanowiska bardziéj ogólnego. Rzecz to oddzielnych monografii, których opracowanie pozostawić należy miejscowym siłom każdego narodu. Nas nęci przedewszystkiém chęć stwierdzenia samego faktu istnienia śladów dramatu ludowego w Słowacyi, chęć poznania twórczości w nim ludowéj, a następnie zestawienia go z takim-że samym objawem u naszego ludu, przeprowadzenia paraleli między jedną a drugą twórczością, a jeśli okaże się możność, to i analogii między niemi.

Jakoż znaleźliśmy się w tém szczęśliwém położeniu, że możemy zupełnie identyczny zestawić materyał z jednéj i drugiéj strony. Z literatury słowackiéj mamy pod ręką t. z. „*Chodenie s Betlehemem na Vianoce*“; z literatury polskiéj „*kolędę*“ krakowską, spisaną w okolicach Kalwaryi przez p. Karola Matyasa, młodego, zdolnego i wielce zamiłowanego w badaniu zwyczajów ludu naszego pisarza, pozostającą jesze w manuskrypcie, a przeto mogącą obudzić tém żywszą ciekawość, że nieznaną dotąd w literaturze naszéj.

Mamy więc przed sobą tu i tam szopkę czyli jasełka, znane dyalogi ludowe, występujące tu jednak w nowéj i bardziéj wykończonéj formie z ekspozycyą sceniczną, o wiele doskonalszą i zupełniejszą, niż w miejskiéj szopce krakowskiéj. Przedstawienia jasełkowe zaczynają się, jak wiadomo, w pierwszych dniach po Bożém narodzeniu i trwają aż do Trzech króli. Przedmiotem głównym i wątkiem, około którego snuje się cała akcya wszystkich jasełkowych przedstawień, a więc i obu powyższych utworów, jest narodzenie Chrystusa. Fakt ten uplastyczniony bywa nie akcyą sceniczną, ale pomocniczą w przygotowanéj już szopce, w któréj umieszczone bywa dzieciątko Jezus, zrobione bądź z papieru, bądź w formie lalki. Ale gdy w słowackiéj szopce oprócz Chrystusa widzimy obok Maryą i Józefa, w polskiéj już ich tam nie ma: ożyły one w prawdziwych, poruszających się ludziach: role obu tych postaci odgrywają żywe osoby, wchodzące w skład całego personelu jasełkowego, — dowód

to już większego wyemancypowania się z pierwotnych ograniczonych warunków szopki, a zbliżania się do istotnych wymagań dramatu. Ztąd i sama akcya staje się bardziéj ożywioną, zamiast niemych dwóch tak ważnych postaci, występują żywe, wypowiadające własnemi słowy i gestykulacyą uczucia i pogląd na świat.

Dzięki temu, cała akcya jest zupełniejszą i wcześniéj się rozpoczyna w polskim niż w słowackim dramacie. W tym ostatnim początek i pierwszą scenę tworzy śpiew anioła, zwiastującego światu narodzenie Zbawiciela; w polskim rzecz się rozpoczyna od popisu ludności za czasów cesarza Augusta, z prologiem na wzór starogrecki, wypowiadającym przez usta jednéj z osób dramatu, a mianowicie sędziego — motywa głównéj akcyi — konieczność narodzenia Odkupiciela za grzechy Adamowe (w słowackim prolog ten zastępuje chóralny śpiew dwuwierszem: „Pan Boh daj večer dobry“....). Właściwy dramat (polski) rozpoczyna się z chwilą, kiedy sędzia cesarski usiadłszy za stołem każe woźnemu przywoływać z kolei różnych popisowych i zbadawszy każdego zajęcie i stan majątku, wciąga do rejestrów i każe płacić podatek. W liczbie innych popisowych zjawia się téż i stary Józef z drzącą i stroskaną Maryą, którzy uczyniwszy zadość obowiązkowi cesarskiemu, zaczynają szukać schronienia i noclegu. Noc nadchodzi, zimno się wzmaga, a biednych ludzi wszędzie spotyka odmowa: nikt nie chce ich przyjąć do gospody, któréj nie mają czém opłacić. Po długich poszukiwaniach i wzmagającym się niepokoju Maryi, po słowach pociechy nie mniéj zafrasowanego Józefa, który sam przejęty obawą, z ojcowską troskliwością stara się czuwać nad skarbem swoim — przyszłą matką Chrystusa,—dostrzegają nareszcie pustą szopkę, gdzie z rezygnacyą znajdują upragniony spoczynek.

Akt drugi (pierwszy w słowackim tekście) wprowadza nas pod otwarte niebo, zapewne niedaleko pastwiska, gdzie pastuszkowie, znużeni dzienném czuwaniem i pracą, układają się na ziemi do spoczynku. Zaledwo otulili się w płaszcze góralskie i zaczęli przymykać powieki do snu, zjawia się w białych szatach jasny anioł, z pochodnią w ręku i śpiewem:

w słowackim:	*w polskim:*
Sem, sem, kresťané, k jasličkam Pane, Sem pośpiechajte, krála vitajte; Neb sa narodil, który žiadan byl, V meste Betleme, v tom tmavom chlieve.	Gloria summa Deo in excelsis et in terra pax bonae voluntatis.

budzi pasterzy, ogłaszając im wielką nowinę—przyjście i narodzenie się Zbawiciela. Od téj chwili już dalsza akcya jednakowo się rozwija w obu dramatach. Pastuszkowie zbudzeni ze snu, pytają wzajem

siebie, czy który z nich śpiewał, czy głos słyszany pochodził z zewnątrz, czy też od jednego z nich. A gdy każdy się zapiera, wszczyna się między nimi dłuższa rozmowa, powstają z ziemi, żartują wzajem z siebie, piją gorzałkę dla orzeźwienia się i dobrego humoru, lub dodania odwagi, spłoszonéj nocném przywidzeniem. Jakoż spokój i dobry humor wraca, zaczynają żartować z siebie i z pozostałéj w domu rodziny, gdy daje się znów słyszéć po raz wtóry głos anioła:

w słowackim:

Gloria, gloria in excelsis Deo

w polskim:

Gloria summa Deo i t. d. jak wyżéj.

A następnie po raz trzeci:

Vzhúru, pastúši, Kuba, Matuši i Šimo
. . . .
Prečo tak spite a neslyšite zpivani?
Vidzte s pilnosti svetlo radosti nad vami.
(daléj mówi):
Čo sa ma bojite a trápite seba?
Hl'a, velikú radosť prinášam vám z neba
Lebo sa narodil sveta Vykupitel',
Buducich národov od Boha učitel.

Gloria summa Deo i t. d.
(a następnie śpiewa):
Chwała bądź Bogu na wysokiém Niebie,
A ludziom pokój na niskim padole!
Bóg się w człowieczéj narodził osobie,
W Betlejem miescie tam leży w żłobie.

Nareszcie anioł w całéj wspaniałości otoczony światłem promiennėm, zjawia się przed nimi, wzywając, aby natychmiast udali się do sąsiedniego miasteczka Betleem, gdzie w pustéj szopie znajdą w żłobku nowonarodzonego Zbawiciela świata.

Pastuszkowie usłuchali wezwania i w trzecim akcie widzimy już ich w Betleemie, stojących przy żłobku, podziwiających wprawdzie ubóstwo Chrystusa, ale uważających przecie za obowiązek swój odpowiednio przywitać tak wielkiego Pana. Ztąd pewne zafrasowanie, bo chcieliby zwyczajem słowiańskim przywitać go suto i gościnnie, a tu ubóstwo ich samych nie bardzo pozwala być szczodrym. Dobry humor jednak przeważa nad zaambarasowaniem i każdy po kolei przystępując do żłobka, kłania się, caluje dziecinę i po odpowiedniéj oracyi składa mu w ofierze co ma przy sobie, ten chleb, ów sér, trzeci kiełbasę. Nie obeszło się i bez wesołych dodatków. Jak przy pierwszém przebudzeniu się śpiewem anioła, muzyką starali się pastuszkowie rozweselić i wlać w serca otuchę przed rzekomym strachem, tak tembardziéj teraz zobaczywszy zapowiedzianego Chrystusa, zagrali mu wesołego góralskiego tańca i nawet przetańcowali przy nim.

Uszczęśliwiony Józef i Marya tak niespodzianą a wesołą wizytą, dziękują poczciwym ludziom za odwiedziny i obiecują im za to, że Chrystus będzie na nich łaskawy:

MARYA.

O szczęśliwi pasterze i nader szczęśliwi,
Coście nas nawiedzili w tym ubogim chléwie,
Szczęśliwie witaliście syna mego,
Którego mieć będziecie na się łaskawego.

JÓZEF.

Z przywitania waszego wielce się cieszymy
I za podarunki wasze także dziękujemy.
Już się nie starajcie o dobytki wasze,
Będą zachowane bez (przez) przyczyny nasze.

Gdyby więc nie te dodatkowe przemawiające postaci Józefa i Maryi, gdyby nie odmienny początek polskiego dramatu — można byłoby oba utwory uważać za zupełnie analogicze, a nawet identyczne, a słowacki za fragment takiéj saméj całości, jakby tylko nadwerężonéj i gdzieś w pewnéj części zagubionéj. I być bardzo może, że jak teraźniejszy polski tekst dopiero teraz się odszukał jako zupełniejszy od dotychczas znanych, tak téż i w Słowacyi istnieją jakie nieznane zbieraczom fragmenta, mogące uzupełnić podany powyżéj. Tak jak jest obecnie, przy zestawieniu go z polskim, wybornie charakteryzuje stopniowe rozwijanie się i możliwość dalszego rozwoju dramatu ludowego. Ten początek o popisie ludności i sceny dalsze z dyalogów Józefa i Maryi są wtrętami tak jednak dającemi się usunąć lub włączyć do całości, że akcya sama nic nie traci na organiczności, na myśli przewodniéj, jeno się bardziéj wypełnia, zaokrągla, rozwija, więcéj nabiera żywiołu scenicznego i dramatycznego.

Podobieństwo w pozostałych waryantach między obu utworami jest tak wielkie, że nie tylko tu i tam wchodzą takie same prawie osoby, nie tylko niektóre z nich mają wspólne i jednakie nazwy, ale nawet przy jednakim układzie i następstwie sceny posługują się analogicznemi obrazami w swych przemowach i nawet wyrażeń jednakowych dobierają.

Gdyby nawet nie treść biblijna i sam obchód szopek przypadający w święto katolickie, to wyrażenia tu i owdzie, jak np. łaciński śpiew anioła, zdradzają nie tylko pierwotne pochodzenie kościelne i to kościoła katolickiego téj misteryi, ale wskazują, że pierwotne opracowanie, albo przynajmniéj znaczna część współpracownictwa była pochodzenia refektarzowego, albo z pod pióra jakiego organisty. To téż i budowa dramatyczna obu utworów — bardzo pierwotna — zastosowaną być musiała do gotowéj już fabuły biblijnéj; chociaż znać tu i samodzielną twórczość w usiłowaniu wydobycia efektów, nie zupełnie w duchu wulgaty, lecz w stosunku do niéj charakteru bardziéj apokryficznego, więcéj dającego swobody fantazyi

twórczéj. Dość tu przytoczyć swobodną pogadankę pastuszków między sobą, ich raczenie się, muzykę, albo np. następujący w tekście polskim dyalog między Dametą, odmawiającym noclegu, a Maryą ubolewającą nad tą odmową:

DAMETA.

Miejsca tu u nas niema, bo mi zakazano,
Aby tu podróżnych nie noclegowano,
Bo widzę bracie (*do Józefa*) po tobie, żeś w latach dojrzały,
Chodzis z taką młodą, jak sam co młodego,—
Nie będę was noclegować, daléj ztąd wędrujcie,
A tam sobie za miastem zgoła nocnik opatrujcie.

MARYA.

A mój miły Józefie, cóż teraz poczniemy
I gdzież my się ubodzy ludzie podziejemy?
I jak surowo postąpił i z jaką furyą!
Natenczas ja rozumiała, że nas już ubije,
Że nas bezbożni ludzie nie chcą przenocować,
A ten to srogi mróz już przyjdzie skosztować.

Mniéj w tym dyalogu już rygoryzmu kościelnego, a więcéj świeckiego wylewu uczuć ludzkich, obrachowanych widocznie na efekt, poruszających te struny uczucia ludzkiego, które dostępne są każdemu człowiekowi codziennie.

Toż samo ludzkie, poufałe traktowanie postaci religijnych widzimy w zachowaniu się pastuszków w Betleemie przy żłobie, dokąd idąc — w słowackim tekście — pastuszkowie nie pod wrażeniem suchego strachu lub etykiety religijnéj, lecz kierowani uczuciem litości i miłości dla dziecka przestrzegają siebie wzajemnie:

Nuž my tedy, pastuškovia, do Betlema pod'me,
pomalučky, po tichučky Ježiska ne zbud'me.

A przyszedłszy tam, jeden z nich (Kuba)—w polskim tekście—zwraca się bez ceremonii do Józefa i z litośném zadziwieniem a naiwnością woła:

Owo li go tu macie w ty carny odziezy!

a następnie wprost poufale pyta tegoż Józefa:

Pytam się was, Panocku, gdzie syn Bozy lezy?

a gdy Józef wskazuje:

Oto leży w żłobie,—

Kuba nie dowierza:

Bie jacy, Panocku, a któż go tam położył?

Oryginalność i samodzielność widzimy—jak już nadmieniliśmy—w użyciu muzyki i tańców, które zgoła wyklucza fabuła biblijna, oraz wprowadzenia do akcyi oprócz trzech pasterzy (w polskim tek-

ście Dameta, Matys, Kuba; w słowackim: Bača, Stacho, Fedor) jeszcze czwartą istotę, która jako Kuba występuje w tekście słowackim, jako coś pośredniego między człowiekiem a zwierzęciem w rodzaju satyra greckiego. Nazywają go starym psem (1), a on sam o sobie powiada, że ma głowę po wszystkich szkołach wyćwiczoną i samym papierem napchaną; przemawia grubym głosem, rej wodzi w śpiewie, ma długi na wywrót włosami kożuch, starą wywróconą czapkę na głowie, brodę długą, a twarz poczernioną.

Postacią i zachowaniem się swojem przypomina on kozła z kolend ukraińskich i w ogóle małoruskich, albo też samą istotę z „Gwiazdy“ krakowskiéj, ale dźwięk i charakter śpiewu jego zostaje w pewnéj analogii ze śpiewem Matysa z polskiego niniejszego tekstu, Matysa, który w braku oddzielnéj istoty satyrycznego pierwiastka, jaki w słowackim tekście wyobraża Kuba, widocznie część (2) roli jego przyjął na siebie, jest tak samo starym (3), wié o wszystkiém, bo się ocierał po świecie, skory do wszystkiego, ma tenże humor i ten sam gust do napojów, a podchmieliwszy sobie (dla nabrania fantazyi po strachu, wywołanym pieśnią budzącego pasterzy anioła), śpiewa:

Zonko moja, zonko! zebyś ty wiedziała,
Ze ja piuł gozałke, tobyś ty łajała!
Taditąm! taditąm! taditąm!

Kuba w słowackim tekście z tegoż samego powodu podchmieliwszy, śpiewa jowialnie:

Na husličkach jujuju,
A na gajdách dududu:
Hajdom, haj dom, tidlidom,
hajdom, hajdom, tidlidom.

Przygrywka w obu pieśniach widocznie ta sama gardłowo-nosowa, nieco nadwątlona w słowackiéj pieśni utratą dźwięków nosowych, ale nosząca ten sam, a nawet w wyższym stopniu niż w polskim tekście charakter pastoralny fujarki pastuszéj.

Dla przeprowadzenia dalszéj analogii i różnicy między Kubą słowackim, a Matysem polskim, tudzież dla mocniejszego zarysowa-

---

(1) „Či ho znaš ty, *stary* pes?“—pyta Bacza Kubę o anioła.

(2) Drugą część roli tj. doświadczenie i mądrość astrologiczną ma w polskim tekście także Kuba, którego Matys nazywa *prandykazem*, tj. praktykarzem, znającym się na niebie i zjawiskach natury (Matyas).

(3) Matys polski, ganiąc ociężałość młodszych kolegów, wzdragających się tańczyć przed Jezusem, sam siebie nazywa starym i tak powiada:

„Ej cyt, cyt, prostaku! a widzis mnie najbardzi *starego*,
A kto wié, jeśli nie wyskocę lá pana takiego.“

nia charakteru narodowego w obu utworach, przytoczę pieśni i słowa, wypowiedziane przez jednych i drugich pastuszków przy żłobku podczas składania przez nich podarków Jezusowi. W słowackim tekście przy téj sposobności Kuba mityguje wszystkich, a sam przy składaniu darów trzyma się na uboczu tak, że go trzeba skłaniać ku temu; w polskim tekście Matys także mityguje, wypycha naprzód do grania i tańców, a w końcu także mimo ociągania się i sam składa dary. Wszyscy tak przemawiają:

W słowackim.

FEDOR podchodzi do szopki i klęka na jedno kolano:

Nu, ja Fedorik, bystrý paholik,
Oferujem tebe také jablčko,
ako tvoje srdiečko:
Vezmi si a hryz!
STACHO to samo czyni:
A ja tebe oferujem hrozna za košiček,
ešte k tomu mädu hrnčiček,
ešte k tomu takú klbásu,
čo tá trikrát' nou opášu:
Vezmi si a hryz!
BAČA to samo czyni:
A ja tebe oferujem takého barana,
čo ho nezješ od večera do rana,
k temu ešte jednu hrudu syra,
aby teba vychovala tvoja matka mila
Vezmi si a hryz!

W polskim.

Kiedy Józef na zapytanie—kto dzieciątko Jezusa położył w tak ubogim żłobie, odpowiada, że sam się tak uniżył.

DAMETA.
Toć go tsa psywitać, tsa było co darować
Tsa było sie nam, jacy dobze psygotować,
a myśmy wybiegli jak z lasu jakiego,
nimamy nic w kobieli lá Pana takiego!
MATYS.
Nie taki on to Pan, jak nasi byli psodkowie
aby miał co potsebować,
Jest on Bogiem: co das to das, tem się
będzie kontentować
(klęka przed szopką, w której leży dzieciątko Jezus)
Ach witajze, psewitajze Paniątecko! zbawicielu świata
A cegoz się docekały moje siwe lata,
Gdy patsemy na Boga nowo zrodzonego,
Który nas ma wybawić z mocy carta złego
Ale słys! słys! mam tu watecek syra, mam
tyz i spyrecke
A bądź na mnie łaskawy, ba i na tsodecke
Od wilków leśnych, aby mi nie cyniły skody-nijakie
niek ik tam wezmie niescęscie wselakie.
Mój dziadek nieboscyk—Boże mu tam bądź miłościwy!
to się i dziewięciu wilków nie bał,
choć był stary i siwy.
DAMETA: Twardy był...
MATYS: Ale ty takim nie będzies...
Psyniesę ci tyż co więcy, jak po drugi raz psyde,
bo ja nie rad do Pana s próznom rękom ide
Tylko zaźre do swoje, co się to s niom dzieje
Chora mi była, mała ji nadzieja.

Radże mi je uzdrowić, prose Cię jak Pana,
a jak po drugi ras psyde, psyniese ci tlustego
[barana.
DAMETA (*klęka*):
Ja ubogi Dameta, najlichsa chłopina,
Abym miał, tobym dał choć samego wina,
Ale my ta nieboze o niem nie slychamy,
Tylko sie po kapecce gozałecki napijamy.
Mam sam jesce kapitek, cośmy nie wypili,
cośmy sie na halu psy tsodzie bawili;
aleć ten kapitek, nic to na młodego,
tylko pocestuję ś nią tego starego.
(*do Józefa*)
Ráccie sie tem pocestować, abo se schowajcie
a jak po drugi rás psyde, flaske mi oddajcie.
Mám tyz jesce kiełbasę i kasę—kiełbasę to
[sami zjédźcie
a kasę to małemu schowajcie,
bo to Panu memu! byście to kędy nie podzieli!
Nie wymawiám, com dáł, tom dáł—a bądź na
[mnie łaskawy,
a psyjmij mnie do nieba, bo ja prostak cały!
KUBA (*klęka*) (trzymając ochtabkę czyli
skrzypki pasterskie w ręku):
Ja ubogi pastusek, ze wszyćkich najmizer-
[niejsy,
opuścilem owiecki psy dolinie ksewisty,
atoli zeby cie, dziecino, w ty sopie uciesyć,
(*śpiewa*)
Pásáł já se owiecki psy dolinie, psy dolinie,
ozleciały mi sie po ksewinie, po ksewinie—
taditąm! taditąm! taditąm!
Darować ci ik tseba jako ubogiemu,
ale mnie tyz bida dojmuje samemu,
weźnico który gras za nic, dzicie ulubiane
ale wpsód lá zwycaju smyka nasmaruję,
a jak po drugi rás psyde— zywnoć ci daruję

Jak wieje tu na wskróś ten sam charakter kantyczkowy, znany nam skądinąd, którego wdzięk, swojskość i prostota nasza rodzima mogła się tak serdecznie zarysować na tle tradycyi religijnej, że jak z jednéj strony stanowi czar dla ludu samego, tak też zdołała zachwycać takich ludzi jak Mickiewicz, upatrujących w nich niezrównane piękno i ten charakter odrębny, którego nie zobaczycie po za obrębem chaty polskiéj, chaty słowiańskiéj.

Nie wiadomo, co tu więcéj podziwiać—czy prostotę i naiwność, czy rzewność i serdeczność, czy uczucie i realizm, czy naresz-

cie udatne połączenie tendencyi kościelnéj z apokryfizmem i charakterem starogreckim, nadającym własności ludzkie bogom.

W tekście słowackim widzę delikatną poetyckim urokiem owianą obrazowość z iście słowiańskim jowializmem. Gdy Fedor ofiaruje Jezusowi takie piękne jabłuszka, jako dzieciny (1) serduszko, a Bacza, cieplejszém, ojcowskiém uczuciem przejęty, troska się o to tylko, aby Chrystus dobrze się wychował i ofiaruje mu oszczepek séra, aby nim Chrystusa wychowała matka miła,—to zamożniejszy i zadowolony z siebie Stacho nie zadawalnia się koszyczkiem winogrona, garnuszkiem miodu, ale mu daje nad to tak wielką kiełbasę, że się nią Chrystus może trzykrotnie opasać. Jakbym widział przy tych słowach wesoły uśmiech zadowolenia na twarzy ofiarującego, że tak potrafił zakasować swych towarzyszy i zadowolnić samego Pana Boga: vezmi si a hryz—powiada—masz co jeść.

W teście polskim również sporo poetyckiego nastroju w obrazach, dość wdzięku i takiż skok gwałtowny do jowialności, a rzewność i serdeczność przepysznie przeplata się humorem i poufałością krakowską, ciepło uczucia rozwagą i szczerością. Matys wié już—kto jest Pan Bóg i jak mu ksiądz przykazał—zaczyna się zachwycać dzieciną i niemal już utonął cały w téj kontemplacyi religijnéj, ale będąc zarazem praktycznym, wié, że to nie wiele pomoże głodnemu Chrystusowi, przypomina więc sobie, że ma gdzieś kawałek séra i szpérkę,—chętnie więc to składa w ofierze, ale teraz chce pamiętać i o sobie, targuje się z Chrystusem i napomina go, aby zato nie zapomniał o nim, był na niego łaskawy i baczył na to, aby mu wilki nie czyniły szkody w trzodzie; a jak po raz wtóry przyjdzie, to już więcéj darów przyniesie.

Bogaty Stacho słowacki, mając z tamtéj strony Tatr winnice, mógł Chrystusowi ofiarować winogrona, ale Dameta polski nie ma wina, jeno gorzałkę, a gorzałka szkodzi dzieciom, częstuje więc nią starego a zziębniętego Józefa, ale również praktyczny jak Matys, napomina go, aby flaszki nie zapomniał mu oddać, a tymczasem daje mu po wódce zakąsić kiełbasą, która również może szkodzić dziecku Chrystusowi i za to pozwala mu zjeść kaszę, pilnując aby nią Józef nakarmił dziecinę w rzeczy saméj, a sam nie zjadł. Daje to dość serdecznie, nawet nie wypomina co dał, to dał, ale także poleca się, względom Chrystusa.

Kuba to już nic nie ma, bo jemu samemu biéda dojmuje. Czyżby jednak miał pozostać w tyle za innymi? Gdzie tam. Wszak ma

---

(1) Podług innych waryantów, porównywa je do własnego serca: „jako *mé* srdiečko.“

skrzypce. A kiedy biéda, to hoc. Dalejże po krakowsku Chrystusowi zagra od ucha.

Ten ton, że tak powiem fujarkowy, pasterski, połączony z tą niehamowaną niczém swobodą kantyczkową, która potrafiła ożywić suchą legendę biblijną i w zupełności nad nią zapanować, stanowi cały urok, świeżość i wdzięk tych kreacyi ludowych, nie wyczerpuje jednak w zupełności ich znaczenia. Byłaby to tylko wielka zaleta artystyczna, świadcząca o bujnéj fantazyi autorów, a względnie ludu naszego. Co jednak nadaje im znaczenie głębsze, społeczne, wybiegające po za ramy artyzmu, znaczenie niemal polityczne, a w każdym razie narodowe, to ten koloryt miejscowy szopki, który nie tylko zabarwia cały ten obraz jasełkowy, ale przenika go na wskroś, każdéj postaci nadaje wyraźnie piętno rodzime i całą scenerye otacza tak głęboką atmosferą swojską, że ona pochłania w zupełności tło i fabułę obcą, które w niéj toną i przetwarzają się całkowicie na nasze własne typy, charaktery, sytuacye, podług naszych pojęć, uczuć, wyobrażeń. Szopka polska wcale się nie troszczy o to, jak wyglądali pastuszkowie palestyńscy, ona wié tylko, że istnieją górale tatrzańscy, będący pastuchami specyalnymi, przebiera więc ich po góralsku i każe im mówić, żyć i poruszać się po góralsku. Szopka słowacka nawet tego nie potrzebowała. Powstała ona widocznie na południowym stoku Tatr, w sercu kraju pasterskiego,—pastuchów słowackich nie potrzebowała ich przyodziewać w strój odrębny; stanęli oni w tych strojach, w jakich chodzą, i już są gotowymi aktorami, ale oczywiście na zakrój i w duchu rodzimym. O tak, przedewszystkiém rodzimym. Stoją oni w koło i trzymając toporki czyli „osekance“ nad głowami, tańczą swój „odzemak“ zupełnie tak samo jak polscy górale swego „zbójeckiego“. A jak w każdym ich ruchu, tak téż i w każdém słowie widać tu Słowaka lub naszego podhalanina, albo krakowiaka. Co więcéj—nawet w tych scenach i postaciach, które są zaledwo z lekka naszkicowane, widać charakter swojski i to nawet w głębszém znaczeniu, bo narodowy, jak np. ów rys delikatności i skromności natury słowackiéj, przejawiający się w tém ostrożném, cichem stąpaniu, kiedy zbliżają się do żłobka, aby Jezusa nie zbudzić; albo ów żałośny lament Maryi, pozbawionéj dachu i w omdleniu spuszczającéj się całkiem na opiekę mężką; to jéj podziękowanie pełne uprzejmości, rzewnego uczucia, a jednocześnie protekcyjności, właściwéj niewieście polskiéj.

Otóż ten to kolory miejscowy, ta siła pochłaniania obcych żywiołów i zdolność zupełnego, organicznego przetwarzania ich na własne, swojskie żywioły jest właśnie ową siłą asymilującą w życiu polityczném, którą w wysokim stopniu posiadamy w szczególności, a i po-

siada ją każde plemię słowiańskie jako naród, siłą, która zapewnia im żywotność, wzmaga opór obcym, choćby nawet wyższym co do kultury nad niemi narodom, bo je nagina do siebie i asymiluje je ze swoją naturą.

Właściwość ta rasy słowiańskiéj, czyniąc ją twardą do przyjmowania obcych pojęć, utrudniała zarazem wszelkie zaszczepianie idei cywilizacyjnych Zachodu, wskutek czego powierzchowni badacze nazwali i nazywają nas barbarzyńcami. Powiadam — powierzchowni, nie znający warunków rzetelnéj kultury. Bo owa zdolność utrudnia wnikanie obcych pojęć, ale nie uniemożliwia. Wręcz przeciwnie — właściwość powyższa poucza nas, że jesteśmy przystępni wszelkim pojęciom, ale potrzeba, aby one wciskały się do nas nie w obcéj, ale swojskiéj formie, zgodnie z naszemi obyczajami i warunkami naszego życia; poucza nas, że nie jesteśmy ślepymi naśladowcami, że jeśli surowa masa ludowa zdoła abstrakcyjne nawet pojęcia religijne i nauki kościoła powszechnego przyswoić sobie i tak je sprzęgnąć z warunkami własnego życia, tak oblać atmosferą własną, jak to czyni w kantyczkach i w jasełkach (1), to témbardziéj naród, jako siła wyższa, zdolny jest nie tylko sobie przyswoić obce pojęcia, ale i zapanować nad niemi, własną twórczością przetworzyć je w niemal oryginalne i odpowiadające własnym pojęciom lub warunkom życia.

Wracając do artystycznego znaczenia mocnych barw kolorytu miejscowego, jużci o wiele łatwiéj spotkać się z zarzutem, że taki koloryt przeczy ścisłéj przedmiotowości pierwotnéj barwy dramatu. Betleem szopki słowackiéj i polskiéj wcale nie jest Betleemem palestyńskim, a jéj bohaterowie nie mają nic wspólnego z bohaterami hebrajskimi. Ale zarzut taki, w niczém nie uwłacza sile dramatycznéj i właściwościom dramatu. Czyż Juliusz Szekspira jest cezarem rzymskim, a Marya Stuart Schillera lub Słowackiego—istotnie kobietą szkocką? A mimo to, są to utwory genialne i w wysokim stopniu dramatyczne. Historya i etnografia nie są czynnikami pierwszego planu w dramacie. I gdyby to miał być istotnie zarzut, zasługujący na uwagę, to go sowicie opłaciły obie szopki jedną zaletą o wiele wyższą od owego warunku, o wiele głębszą i bardziéj życiową,— a mianowicie realizmem, tą prawdą psychiczną, życiową, która czy

---

(1) W słowackim tekście jasełek widać niekiedy mniejsze, to znów większe jeszcze wyemancypowanie się żywiołów miejscowych z pod legendy biblijnéj i nauki kościoła katolickiego niż w polskim, jak np. skromniejsze użycie łaciny, silnie zamarkowane charaktery góralskie—mimo skąpstwa tekstu w porównaniu z bogactwem polskiego, gdzie większą w ten sposób miano możność rozwinąć indywidualizm każdéj postaci.

to w troskliwości Słowaka o wychowaniu dziecka („...oferujem k tomu este jednu hrudu syra, aby teba vychovala tvoja matka mila“); czy w chlubie Polaka z odwagi przodków („Mój dziadek nieboszczyk—Boże mu tam bądź miłościwy! — to się i dziewięciu wilków nie bał, choć był stary i siwy“); czy nareszcie wogóle w tém zmodernizowaniu i zlokalizowaniu akcyi na terenie ojczystym wszędzie występuje, potęgując się z niezrównaną siłą w akcyi przynoszenia ofiar dzieciątku w żłobie, ofiar, przy których warunki życia codziennego, pojęte realnie a z ciepłem uczucia, pozostawiają daleko za sobą wszelką mglistość i ckliwą sentymentalność legendy kościelnéj (1). Realizm ten o wiele bardziéj nabiera interesu, że nie jest bezbarwnym i monotonnym, lecz pełnym rozmaitości, naginającym się do wymagań indywidualizmu każdéj z osobna występującéj postaci w jasełkach. Chociaż bez wykończenia artystycznego, widać tu choć szkicowo zarysowaną rozmaitość osób. Matys jest innym niż Dameta i Kuba, tak samo jak dostrzedz można pewną różnicę w usposobieniu i charakterach między Fedorem i Stachem, a Baczą lub Kubą.

Ja inny zarzut podniosę — o wiele istotniejszy — zarzut co do pierwiastku tragicznego. By jednak ocenić ten zarzut, popatrzmy jeszcze na jednę właściwość tych szopek, właściwość rodzimą naszéj twórczości — humor i jowialność. Przejawiają się one nie tylko w ogólnym tonie wesołym, w radośnych śpiewach i w tańcu, bo to leży i w zakresie saméj fabuły biblijnéj, zalecającéj wesołość przy akcie radośnym narodzenia Zbawiciela świata, chociaż w samym charakterze téj wesołości widać przedewszystkiém koloryt miejscowy: wszędzie śpiewy słowackie lub polskie trzymane są w tonie czysto miejscowym tak co do słów jak melodyi, a taniec góralski wyłącznie typowy — nosi znamie lokalne. Ale humorem tym, i to czysto rodzimym, przejęte są na wskróś charaktery osób pojedyńczych. To obdarowanie małego Chrystusa kiełbasą takiéj długości, że się nią trzykrotnie opasze, albo baranem, którego nie zje od wieczora do rana — ma w sobie ten jowialny, rubaszny, iście słowiański charakter, którego gdzie indziéj nie spotkać, a który w pewnych ustę-

(1) Kuba dla pociechy dzieciny śpiewa: „Pásál já se owiecki psy dolinie, psy dolinie“ i t. d. Zdawałoby się, że utonie w zapomnieniu téj pieśni. Ale nie—przypomina sobie, że samą pieśnią nie ucieszy, nie utuli, nie nakarmi dzieciątka, że wszak przybył do niego, aby mu jaki dar złożyć, więc przerywa piosnkę i w dobroci serca woła serdecznie, spozierając zapewne na skrzypce: „Darować ci ik tseba jako ubogiemu.“ Wnet jednak i ten wylew uczucia, uczuwszy własne ubóstwo, zniża ton jego o kilka skali i rzuca jakby przypadkową skargę: „ale mnie tyz bida dojmuje samemu“—i znów wraca do spółczucia dla dzieciny: „weźnies który gros za nie, dzicie ulubione.“

pach, zwłaszcza polskiego tekstu, dochodzi do przepysznych wybuchów krakowskiego humoru, jak np. w następującym ustępie, kiedy Matys zagrzewa Kubę do grania Chrystusowi, a Dametę do tańca.

DAMETA.

Ej, s kiemze? cy sam bede skakał?
Dyćby ja sie wpsód, nizli to dzicie, rozpłakał.
Choćbym wzion Matuchne Paniątecka, boję się, dam ji spokój,
[bo widze, ze schozała,
Skocmyz, Matysku, społem by nas nie złajała.

Mało więc brakowało, aby góral polski nie wziął do obertasa Matkę Boską. Na to się zdobędzie tylko krakowiak.

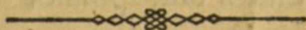
Co więcéj, ton ten wesoły, żartobliwy nawet, występuje epizodycznie wśród momentów dość poważnych, a tak znienacka ucinkowo i docinkowo, że zgorszyłby estetyka niemieckiego.

Kiedy Fedor w tekście słowackim wyśpiewuje znużenie swoje przy pasaniu i przyznaje się, że wobec tego znużenia, gotów choćby zostać zbójem, a Stacho namawia go do przygotowania się ku temu, Fedor pyta dokąd ma się udać, czy do powiatu: „Azda na stolicu?“ Stacho: „Nie! ale na vysoku šibenicu.“

Albo w tekście polskim, kiedy Matys w rozczuleniu poleca się łasce dzieciątka Bożego i prosi je o opiekę nad swojém stadem od wilków, a przy téj sposobności przypomina odwagę dziadka, który się nie bał i dziewięciu wilków, Dameta z uroczystą powagą przerywa mu: „Twardy był!...“ Matys wnet mu się odcina: „Ale ty takim nie będzies....“

To są niemal szekspirowskie rysy, rozsiane jak perły po całéj téj kreacyi ludowéj i takie też istotnie miałyby znaczenie, gdyby budowa dramatu była bardziéj wykończona i gdyby architektonika jego była konsekwentnie przeprowadzona w stylu poważnego dramatu, gdyby momenta wysoce dramatyczne rozwinięte były w sytuacyi i w charakterach do wysokości wymaganéj od tego rodzaju utworów. Tak jednak nie jest. Twórczość ludowa słowiańska wogóle, a jak w tym wypadku słowacka i polska, nie wykazała ani materyału, ani zdolności opracowania go w stylu tragicznym lub dramatycznym. Natomiast ogromna przewaga pierwiastku komicznego uprawnia do mniemania, że twórczość ludowa słowiańska z wielką korzyścią zużytkowana być może dla komedyi i ten rodzaj dramatu mógłby się rozwinąć w szérszych rozmiarach wśród mas ludowych; a w każdym razie zasoby w téj mierze nagromadzone wśród ludu mogłyby, jak w swoim czasie pieśni ludowe odrodziły poezyę liryczną i epiczną — odrodzić dramat nasz.

Jan Grzegorzewski.





PODOLE STAROŻYTNE.

PRZED WCIELENIEM ONEGO DO BYŁÉJ RZECZYPOSPOLITÉJ.

Oczerk izwiestij o Podolskoj ziemle do 1434 goda. N. Mołczanowskaho. Kijów 1885.

W zakresie prac historyograficznych nad zamierzchłą przeszłością staréj Rzpltéj przechodzimy dziś dobę rozjaśnienia źródeł i układania zaledwie monografii. Na szérokie wyczerpujące uogólnienia jeszcze czas nie przyszedł—daleko nam jeszcze do tego! Wśród monografii zaś niepoślednie muszą zajmować miejsce i dzieje pojedynczych krain oraz ludów wchodzących w skład Rzpltéj. Badania w tym kierunku bardzo ożywione: każdy rok prawie przynosi nam sporą wiązankę z tego pola pracy.

Od pewnego czasu stają w obec nas coraz poważniéj, szczególnie w dziedzinie przeszłości południowych ziem ruskich, i badacze kijowscy po rosyjsku piszący. Jako najświeższa z prac tego rodzaju słusznie zasługuje na pilniejszą naszą uwagę monografia młodego adepta źródłowych badań dziejowych nad starą Rusią, p. N. Mołczanowskiego, pod tyt. „Zarys wiadomości o Ziemi Podolskiéj do 1434 r.“, wydana w r. przeszłym w Kijowie a opracowana „przeważnie podług latopisów,“ oraz innych materyałów, na ile takowe zgromadzić się dały.

W naszém piśmie (p. Aten. 1880 II. 526 i III, 87, 328) zamieścilišmy już przed paru laty zarys stanu Podola u schyłku wieku XV-go, do jakiego to zarysu upoważniły nas skromne wprawdzie, lecz dosyć ciekawe ułamki archiwalne. Od pół wieku z górą było już Podole województwem, integralną częścią Korony, wywalczoną na Litwie, nabytkiem tém cenniejszym, o ile z tą samą prawie łatwością co „wyższa“ Ruś czerwona z Małopolską gniazdową, biało-chrobac-

ką asymilującym się. Bardzo to interesujący a poważnéj doniosłości w następstwach etnologiczny fakt dziejowy. Dotknęliśmy byli pobieżnie pierwotnych źródeł onego w naszym zarysie. Widać było ztamtąd naocznie, na ile i zmienne koleje ogólnego rozwoju zajmującéj nas krainy, w epokach życia jéj poprzednich, od chwili jak dalego pamięć dziejów sięga, byłyby zaciekawiające. Tém więc chętniéj zwracamy się i my ku tym odległym czasom, ile że w zarysie p. M-go spotkamy niejeden promień obiektywnego zapatrywania się na rzeczy, opartego na krytyczném rozważeniu rozproszonych po latopisach faktów. Najpilniejsza zaś poprzednia ocena i—gdyby się tak powiedzieć dało,—niewzruszone umocowanie samych faktów są tu pierwszorzędniéj wagi, by wybrnąć z chaosu luźnych wzmianek i oderwanych podań.

Sama nazwa „Podola“ nie jest dostatecznie określoną i ograniczoną. Wielce ona rozciągliwa, stosowana względnie do epoki do mniéj lub więcéj przestronnego obszaru ziemi, podobnie jak nazwy Podlasze (Podlasie), Wołyń, Ukraina itp. W rozleglejszém znaczeniu rozumiano przez nią całą krainę spływającą z biegiem Dniestru i Bohu od rubieży Rusi czerwonéj aż nieraz do morza; a więc nie, tylko wyższą dzielnicę—kamieniecką, lecz zarazem bezbrzeżną Bracławszczyznę. W ściślejszém zaś—tylko właściwe Podole, bez Pobereża i średniego Poboża. Ustaliło nazwę tę dla określonego już pewnemi granicami terytoryum dopiero utworzenie województwa (podolskiego). Do tego czasu miała ona znaczenie obszerniejsze, bardziéj topograficzne i historyczne doraźnie bez wagi ścisłéj, urzędowéj. I w takiém znaczeniu właśnie bierze ją p. M. w swojéj pracy, stosując onę zarówno do dzielnic kamienieckiéj jak i bracławskiéj. Ma to wprawdzie pewne poważne uzasadnienie: takiéj rozciągłości „Ziemia Podolska“ dostała się po Tatarach Litwie, takież obszary napewno rozumie pod mianem „Podolskie krainy“ M. Bielski, przy okolicznościowéj wskazówce z r. 1403. Może téż istotnie i najodpowiedniéj było traktować razem obie te dzielnice, póki się miało do czynienia z epoką, do r. 1434, poczynając od prastarych Tywerców, całe podniestrze ogarniających. Ale naprawdę, dzielnice te tak są różne między sobą—pod względem geograficznym, historycznym, etnologicznym, ekonomicznym, kulturowym, że przedstawiają wciąż chyba przeciwieństwa tylko, nie zaś odłamy jednorodnéj natury. Jeśli bowiem Bracławszczyzna (Średnie Poboże z Pobereżem) ma być uważaną za dzielnicę podolską, to jedynie jako podolska „ukraina,“ podobnie jak potém stała się ukrainą wołyńską, nim ją pamiętny r. 1569 nie usamoistnił w postaci odrębnego województwa. Widać téż i u p. M-go konieczność robienia nieuniknionych wyróżnień, nawet

w traktowanéj przezeń epoce do 1434, przy każdéj okoliczności potrącania o fakta dotyczące kresów stepowych. My zaś tém bardziéj przez „Podole starożytne“ rozumiéć podawnemu (p. Aten. 1880) będziemy przedewszystkiém dzielnicę zamienioną późniéj na województwo tego nazwiska, gdy przez takie ograniczenie się zdobędziemy możność wyrazistszego oznaczenia właściwego charakteru życia przeszłości badanego przez nas kraju, przy potrącaniu tylko nawiasowém jego ukrainy.

Przejdźmyż do samych dziejów.

Kraina, która otrzymała z czasem nazwę „Ziemi Podolskiéj“ czy Podola w obszerniejszém znaczeniu, w pierwszéj dobie powstawania i rozrostu Rurykowskiéj ludów rzeszy stoi długo, w sposób zupełnie niewytłómaczony, prawie na uboczu. Widocznie od Kijowa nie zależy: latopis pierwotny Rusi jakby ją pomija. W połowie XII w. dają się spotykać w latopisie halicko-włodzimirskim wzmianki o kilku jéj miejscowościach; świadczą one tém nie mniéj o luźnym tylko stosunku z resztą południowéj Rusi. Nie inaczéj się dzieje nawet przy potężnym Danielu „królu ruskim,“ po śmierci którego zawisa nad tą ziemią bezpośrednie a mało również co do swéj istoty znane, Tatarów zwierzchnictwo. Dopiero w drugiéj połowie XIV w. zetknięcie się z rosnącą od północy potęgą Litwy uwydatnia się na dorzeczach Dniestru i Bohu pewien do jakiegoś stopnia zaokrąglony organizm polityczny, noszący już nazwę „ziemi podolskiéj,“ powstałą widocznie w epoce panowania tatarskiego i obejmującą cały obszar ten bezpośrednio hordzie podwładny.

Kogo tu przecie zastali, z kim się zetknęli Rusowie przy pierwszém wytężeniu sił swych z Kijowa ku Karpatom i Dunajowi? Kto im tu czoło mógł stawić, czy uledz ich przemocy? Otóż Nestor wskazuje na Tywerców, plemie potężne, co się rozsiadło po całém dorzeczu Dniestru „aż do morza“ w licznych „grodach.“ Koło nich zaś siedzieli gdzieś zagadkowi dotąd Uhlicze. Walczą Tywercy obok Rusów, lecz czy im ulegli—wątpliwa: w wyprawie Olega na Greków występują tylko jako ich sprzymierzeńcy („tołkowiny“). Ostatni raz nazwa ich wspomniana w 944 r. Potém znika na zawsze z widowni dziejów. Wskutek jakich przeobrażeń miejscowych?—ani śladu nigdzie. Czy wypierają ich ku północy i zachodowi Pieczyngi, Połowcy, a plemienna nazwa ginie w mianie ogólném Rusi?—bardzo możliwe.

Najprawdopodobniéj cofnięcie się przypuszczalne Tywerców od strony morza i stepów w górę po Dniestrze i Bohu w taki sposób było spowodowane przez uderzający coraz mocniejszemi falami napór ludów szczepu turskiego (tjurk), w jaki to się stało u schyłku X-go

wieku na sąsiedniém Podnieprzu polańskiém, na kresach Rosi i Trubeży. Tam na Porosiu i Posulu osadnictwo rolne słowiańskie, wzmagające się doraźnie przy każdéj sprzyjającéj okoliczności, często i potém było zmywaném bez śladu, a właściwa granica księstwa kijowskiego—„ruskiéj ziemi“ wtedy *per excellenciam*—nie przekraczała z téj strony nieraz dorzecza tak bliskiéj od stołecznego grodu wielkich książąt Stuhny. Fale zaś owe turańskie parły bez przerwy jedna drugą naprzód: Pieczyngów pędzili przed sobą Połowcy, a tych spychali ku południo-zachodowi Torcy i pobratymi ich przeróżni — widać dla swych jednostajnych czarnych czapek baranich, ogólnie „Czerni Kłobucy“ zwani — sadowiący się niemal pod samemi murami Kijowa. Ztąd macierz ta i głowa całéj Rusi staje się pod koniec wieku XII-go jakby strażnicą, już tylko leżącéj po zanią ziemi, tyle wrogich dawniéj Drewlan. Ztąd i dzieje same wewnetrzne Kijowa i „pól“— stepów pobliskich tak różny od siebie stale noszą charakter. Toż samo przypuszczać nam wypada i na Podniestrzu. Tu również Pieczyngowie, Połowcy, a potem i Torcy spychają pewnie słowiańskie osady (Tywerców) wyżéj po Dniestrze i ku górnemu Bohowi — i tak już wcześnie dwie dzielnice geograficzne późniejszéj ziemi podolskiéj, Podola w obszernem znaczeniu, jakby z natury już saméj pozornie do siebie wzajem należące, stają się widownią wcale różnych dziejów wewnętrznych. Po dwóch stronach skromnéj Murachwy historya przedstawia wciąż dwa oblicza tak różne, że je prędzéj za przeciwieństwa uznać trzeba. W obliczu tak wybitnéj różnicy między krainami niby macierzystemi, jak Kijów i właściwe Podole a ich stepowemi ukrainami, musi uderzać nie mniéj, jeśli już nie jednorodność, to ścisła bliskość tych ukrain między sobą, jaką przeważniéj chyba wytworzyła geografia, niż dzieje faktyczne.

Wszakże co się nadmienia o wypieraniu z jej siedzib słowiańskiéj ludności rolnéj przez stepowych koczowników ukraińskich, nie może to być rozumianém w znaczeniu ich własnego, natomiast osiedlania się jako żywo! Lecz dosyć było ich nieustannych najazdów by uniemożliwić ustalenie się osadnictwa rolniczego, daléj ku południowi. Łącznie z tém, już z saméj natury rzeczy, pomiędzy właściwemi koczowiskami turańców a gniazdowemi osadami ruskich włości — musiał był pozostać szeroki pas pustyni, pas nienależący do nikogo i służący za szranki nieustannych między sąsiadami zapasów. I rzeczywiście wcześnie też dostrzedz się daje i na Podolu pas taki przerzynający średni bieg Bohu od Dniestru do zasłaniającego Kijów Porosia.

Z koczowników stepowych poważniejsze, aniżeli ujemne tylko, znaczenie zdobyły sobie w dziejach południowéj Rusi jedynie, drobne plemiona Czarnemi Kłobukami zwane. Ciekawym jest wielce przebieg i charakter ich stosunków z tą Rusią, waga ich w jej życiu wewnętrznéin, ich asymilacya następnie i dostarczenie przez się pierwszego materyału, na którym zaszczepić się miało najwcześniéj kozactwo etc; ale że przedmiot ten pośrednio jedynie Podola dotyczy, nie możemy tu zastanawiać się nad nim obszerniéj.

Odgraniczywszy się w taki sposób od stepów, łatwiéj nam teraz będzie zająć się ściśléj Podolem właściwém.

W jakim czasie i przy jakich okolicznościach późniejsze Podole zostało zagarniętém w szeroki splot rzeszy Ruryków, oznaczyć dowodnie niepodobna: lasopisy nic nam o tém nie podają a domysły historyków późniejszych bardzo problematyczne. W połowie XII-go wieku wszakże już średnie Podniestrze należy do Rusi czerwonéj (halickiéj) nie stanowiąc przecie żadnéj dzielnicy odrębnéj— jeśli nie przyznamy za taką Zwinogrodu doraźnie posiadanego przez Iwana Rościsławicza — rozgłośnego późniéj pod mianem „Berładnika.“ Pierwsza zaś nazwa poniekąd je terytoryalnie wyosobniająca. „Poniże“ ledwie w XIII w. występuje.

Co do starożytnych osad czy grodów onego, pierwszą niewątpliwą wzmiankę o nich spotykamy w latopisach dopiero pod r. 1144. W roku tym, podczas wojny o Wołyń pomiędzy Władymirkiem halickim a Wszewołodem kijowskim, śpieszący z Połowcami na pomoc temu ostatniemu ks. Izjasław Dawidowicz zajmuje po drodze Uszycę i Mikulin (dziś Mikulińce nad Seretem) należące do księstwa halickiego. W nowéj wyprawie tenże sam Wszewołod oblega 1146 r. bezskutecznie Zwinogród. Byłyż to grody stare zapomnianych już Tywerców?

Podniestrze podolskie zależy i daléj od Halicza. Ale widocznie nie sprzyja podnoszonéj przez tamecznych książąt idei mocniejszéj centralizacyi państwowéj i przy każdéj sposobności przechyla się na stronę ich wrogów—grozą tylko w posłuszeństwie trzymane (Zwinogrod). Paladyn starego udzielno-wiecowego porządku, pierwszy z Rurykowiczów „izgoj“ (wydziedziczeniec z ojcowizny) wspomniany Berładnik, w niezmordowanéj walce całego życia o zdobycie sobie udziału „w ruskiéj ziemi“ zawsze spotyka tu przychylność. Śród zapasów z Jarosławem Osmomysłem halickim, synem Władymirka, oblega 1156 Uszycę i znajduje tam współczucie nawet „smerdów.“ Potém opiera się najwidoczniéj o Podniestrze podobnież i syn Berładnika, Rościsław, w dalszéj walce o dzielnicę. Czy nie uważał on właśnie téj krainy przedewszystkiém za swą ojcowiznę?

Tak jak z drugiéj znów strony—i oná sama uważała się za coś odrębnego oczywiście, gdy przy każdéj okoliczności zdradza gotowość wyosobienia się i uwolnienia z pod przewagi Halicza.

Poboże górne nie występuje pierwotnie w ścisłéj jedności ze służącém mu niejako za podwalinę od południa średniém Podniestrzem, niby naturalne dopełnienie onego. Owszem, niejednokrotnie zdaje się ono ciążyć bardziéj ku Wołyniowi jak do Halicza a nawet zostawać w dyspozycyi bezpośredniéj w. książąt Kijowa. Po śmierci wspomnianego wyżéj Wszewołoda 1146 r. następca jego na w. książęcym stolcu, Izjasław II wydziela jego synowi Swiatosławowi, zamiast miasta Włodzimierza—Bożsk, Międzyboż, Kotelnicę i jeszcze inne jakieś dwa grody w latopisie niewymienione. Tęższamę dzielnicę oddaje też wprędce potém synowi Dołhorukiego Rościsławowi, ze znaczącém zaleceniem: „postereży zemli ruskoi ottole!“ Spędzony następnie sam z Kijowa do Włodzimierza, zatrzymuje on widocznie pięć tych grodów przy sobie, nim ich ostatecznie już zapewne halicki Władymirko na rzecz swoję nie zagarnął. Mimo wszystko, Poboże korzystając jednak ze swego pośredniego położenia pomiędzy trzema współzawodniczącemi potężniejszemi księstwami Przeddnieprza, wcześnie poczyna myślić o wydobyciu się z pod władzy i wpływu nawet samego, bez różnicy, rodu Rurykowiczów!

Co za ukryte przyczyny jednak leżały w podstawie tak wytrwałego dążenia ziemic tych przyszłego Podola (tak pobohskiéj jak i podniestrzańskiéj) ku wyosobnieniu się i politycznéj samoistności, posuniętego aż do zaparcia się wszelkich obowiązków względem domu Ruryka, którego prawa do panowania nad Rusią całą ówczesną ogólnie były jeszcze szanowane—na to odpowiedzieć wyczerpująco niepodobna. Powszechny prąd składowych cząstek Rusi z owéj epoki ku rozprzężeniu i wyosobnieniu się w grupy dzielnic, mających zbyt różną przeszłość dziejową i etniczną (choćby nawet w sferze słowiańskiéj) a sprowadzonych do jednego mianownika podbojem Waregów i ustaleniem jednoistnéj hierarchii—nie może tego tłómaczyć. Względna tylko różnica etniczna tutaj również by na to nie wystarczyła: nic wybitnego pod tym względem dostrzedz się tu nie da—Tywercy zapomniani a żywioł turański koczowniczy, niezaprzeczenie przeważny na średnim Bohu jak na sąsiednim Porosiu, mógł mieć na Pobożu górném i przyległém mu Podniestrzu wpływ chyba bardzo nieznaczny. Nie decydowało by tu nic i samo geograficzne położenie—na rębie świata obcego a w równéj prawie oddali od głównych ognisk życia Rusi południowéj—podniecające do korzystania z nieustannego współzawodnictwa postronnych a potężnych zapaśników: dla przyzwyczajenia się powoli, w obec ciągłéj potrzeby

obronności od granicznych nomadów, do sobie tylko właściwego na w pół niezależnego życia. Prawdopodobnie oddziaływało to wszystko w zespoleniu. Najprzeważniéj wszakże musiały tu, pośrednio i bezpośrednio, działać stosunki wewnętrzne w samym Haliczu, jako ognisku zwierzchniczém, — tameczne prądy oraz ważenie się żywiołów politycznych i społecznych, przy rozszczepieniu się tych prądów w dwóch przeciwległych kierunkach. Mianowicie: tyle ku wzniesieniu powagi władzy książęcéj, prowadzącemu do wytworzenia u podnóży Karpat silnie zkonsolidowanego państwa; ile z drugiéj strony, ku uniemożliwieniu tego przez usamowolnienie czerwonoruskich działów drobnych w osobne, luźnie tylko związane ogniska, nad czém niezwalczenie pracowała oligarchia.

Najwyżéj podniósł na południu zasadę władzy autokratycznéj pan Włodzimierza i Halicza, głowa nowéj tu linii panującéj, potomek Monomacha Roman Mścisławicz. Groźnie trzyma on berło swe nad głowami bojarów, a wzniesiona jego prawica potężna ani na chwilę nie słabnie w walce. Wielka szkoda, iż nie posiadamy szczegółów téj walki zapamiętałéj: wiadomo, iż ustęp latopisu obejmujący panowanie Romana zaginął. Ale dla charakterystyki ogólnéj wystarczy i tego, co nam źródła postronne podają. Dla zrozumienia istoty rzeczy dość tu przypomniéć sobie, że to właśnie ów nieugięty Roman, co to zwykł był mawiać, iż by dostać miodu, trzeba pierwéj pszczoły wybić! — i trzymał się naprawdę téj polityki; ten sam gwałtownik, który u Wisły pod Zawichostem zginął.

Twarda dłoń takiego jak Roman pana nie mogła nie zaciężyć i nad powładną mu krainą przyszłego Podola, wywołując i tu przeciwdziałanie przemocy. Wprawdzie, z powodu może tylko przerwy w rocznikach, nie posiadamy świadectw faktycznych; ale uwzględniając wymowne bardzo objawy późniejsze, nie podobna przypuścić, żeby surowość halickiego autokraty nie przyłożyła się była do ożywienia tu pragnień tém gorętszych trwałego wywalczenia swéj odrębności. Zkądinąd jednak sprężysty Roman mógł się przyczynić niepomału i do podniesienia rozwoju swych podolskich rubieży. Pomyślnemi wyprawami na Połowców ubezpieczał on kraj od strony stepowéj, a niezawodnie wpłynął przez to pośrednio i na ustalenie bardziéj już określonych jego granic, gdy wprędce potém występuje i nazwa odrębna „Poniże“, jaką poczęto wyróżniać średnie Podniestrze.

Rozpasana burza polityczno-społeczna, w odmęty któréj po śmierci Romana porwaną była cała właściwa Haliczyzna, a wśród któréj książęta Igorowicze wymordowali 500 znakomitszych bojarów, bojarowie zaś w odwet 3-ch książąt haniebnie powiesili, jak

gdyby nie dotknęła też rozgranicza podolskiego. Czy zajęło już ono z początkiem XIII w. odrębne stanowisko, czy zostało spustoszoném śród zapamiętałych walk wewnętrznych lub też czy na swobodnym przestworze gospodarzyli tu bojarowie namiestnicy — nic pewnego prawie nie wiemy. Wszakże nie może być dalekim od faktycznéj prawdy nasuwający się sam przez się wniosek, że już owo widoczne uchylanie się téj krainy od solidarności z Haliczem w tak stanowczych dlań chwilach żywo uwydatnia stałą jéj dążność ku wyosobnieniu.

Uchylając się od Halicza Podniestrze podolskie, nim jeszcze Poniżem zostało nazwane, ściśléj za to spoliło się ze stroną przeciwległą, spływającą od wierzchowisk Prutu i Seretu ku Dunajowi. W parze jakby z Uszycą, występuje Kuczelmin (dziś Kuczermyk za Chocimem) i inne miejscowości późniejszéj „Mołdawy." Czy by i Berład tu należał, ów punkt oparcia awanturniczo-rycerskiego księcia Zwinogrodu? Niżéj Uszycy, widocznie stepowa pustynia, bez osad. Po Dniestrze przecie pewien ruch handlowy — przychodzą statki z Olesza, od ujść Dniepru, a Berładnik oto zasiadłszy z Połowcami w grodach podunajskich (?), „izbi dwi kubari (komięgi) i wzia towara mnoho w neju i pakostiasze rybołowom haliczskym."

Jak głęboko zaś sięgało na Pobożu i Podniestrzu w epoce przed przyjściem Tatarów rolne osadnictwo słowiańskie nie łatwo oznaczyć. W każdym razie, mając przed oczyma przykład na Porosiu, odgraniczającém i zasłaniającém zarazem stanowiskami na pół już osiadłych Czarnych Kłobuków, Kijów od „pól" dzikich połowieckich, można bez chyby przypuszczać, że i tu rolnik nie stykał się z koczownikiem bezpośrednio. Zdaje się, iż wstęga ta pośrednia turskich plemion na pół osiadłych spadała łukiem od Rosi przez Boh, u zawrotu jego ku południowi i sięgała aż Dniestru, gdzieś może powyżéj ujść Murachwy. Tém łatwiéj zgodzić się na to przypuszczenie, iż napierani od południa przez wrogich sobie Połowców, Torcy i ich pobratymi bliżsi mogli się posuwać swobodnie tylko ku zachodowi, gdy i ludność rolna na tamtych rubieżach mogła tylko przychylném patrzéć na to sąsiedztwo okiem, zostając pod ciągłą grozą ze strony połowieckich najeźdźców. Odpływ ten Czarnych Kłobuków napewno tembardziéj wezbrał, gdy w początku drugiéj połowy XII w., za Dołhorukiego, powstała na Porosiu osobna dzielnica książęca—fakt podniecający mało okiełznanych sojuszników Kijowa do szukania ochrony swéj swobody gdzieindziéj.

Od wieków przecie osłaniały rolnika na Podniestrzu i własne grody. Latopisiec końca wieku XI-go wspominając o Tywercach, świadczy: „sut' hrady ich i do seho dnie." Ale jakie to były te gro-

dy? — długo nic o nich nie słyszymy. Dopiero w połowie XII wieku a bardziéj w XIII występują naraz Uszyca, Bakota, Kalus, Kuczelmin i in. Nadto, ze wskazówką za każdym razem prawie, dowodzącą niedwuznacznie, że z uchyleniem się od Halicza łączyła się pamięć o dawnéj niepodległości i pragnienia onéj przywrócenia. Górnego Poboża broniło jakieś pięć grodów: Międzyboż, Bożsk, wcale dziś nie dający się umiejscowić, Kotelnica i inne nieznanéj nazwy.

Tyle tylko wiemy o krainie przyszłego Podola w epoce przed przyjściem Tatarów (1223) po ścisłém zestawieniu luźnych danych rozproszonych latopisów.

Fakt tak wielkiéj i tak powszechnéj dla całéj Rusi doniosłości, jak zjawienie się u jéj granic straszliwéj nawały mongolskiéj, nie mógł przeminąć bez natychmiastowego oddziałania, nawet na tak oddalone od stepów kipczackich Podniestrze. Wiadomo, iż po rozgromie nad Kałką napór Tatarów pchnął hordy połowieckie, jakby wezbranemi falami ku Rusi. Połowcy odtąd przyjmują żywszy udział w jéj sprawach i walkach wewnętrznych, zjawiają się częściéj w granicach księstwa halickiego i sługują stale w zbrojnych zastępach Romanowego syna, Daniela. Tém swobodniéj naciskają na Porosie, wypierając pozostałych tam Czarnych Kłobuków ku zachodowi i zajmując zarazem ich uprzednie wobec książąt stanowisko. Skutkiem których to poruszeń, bardziéj śpiesznych i wytężonych teraz, i nasza kraina, jak cały pas kresowy Rusi południowéj wogóle, znalazła się oczywiście wystawioną na spotęgowany przypływ pomiędzy jéj ludność rolniczą żywiołów turańskich, co łącznie z oczekującym ją niebawem losem wyjątkowym nie mogło nie oddziałać następnie i na sam charakter dalszego jéj rozwoju.

Tymczasem zwierzchnictwo Halicza trwa daléj. Mścisław Wdały 1226 ustępując przemocy bojarskiéj, zmuszony oddać Halicz królewiczowi węgierskiemu Andrzejowi, zatrzymuje dla siebie z Porosiem i „Ponižie“— raz pierwszy przy téj okoliczności przez latopisca wymienione. Po jego śmierci dzielnica ta dostaje się Danielowi. W r. 1229 Sudysław, przewódca stronnictwa węgierskiego w Haliczu, kusi się o zajęcie Poniża, lecz napróżno, a wprędce Daniel wypiera Węgrów i z Halicza, chociaż nie na długo. Daléj wśród wrzawy nieustannych zapasów Daniela z bojarstwem halickiém i onego wybrańcami, nie słychać nic o Poniżu. Dopiero występuje ono znów na widownię po strasznem spustoszeniu całéj Rusi południowéj przez Batuchana 1240 i za powrotem Daniela ze schroniska na Mazowszu. Wtedy to możnowładztwo halickie korzystając z wywołanego ogólną klęską kraju rozprzężenia powszechnego, zdaje się dochodzić do

szczytu swych uroszczeń. Dawniéj już (1234), „przyjmując“ ziemię halicką on, „razda horody bojarom i wojewodom i—biejasza u nich korma mnoho.“ Teraz zaś oni „Daniła kniaziem sobi nazywachu, a sami wsiu zemlu derżachu.“ Mianowicie „Dobrosław wokniażyłsia bje i Sudjicz, popow wnuk.... i wszed w Bakotu wse Poniżje prija, bez kniaża pozwolenija“; inny zaś z bojarów „sobi hornuju stranu Peremyszlskuju myslasze oderżaty.“ Wobec czego „byst' miateż welik w zemli i hrabeż ot nich.“ Jedynie współzawodnictwo wzajemne oligarchów dało możność Danielowi okiełznania ich nieco. Lecz w tym razie jeszcze bojarowie zagarniają Poniże, chociaż wbrew woli, ale napozór przynajmniéj w imieniu księcia, przyczém jedność ziemi halickiéj pozostaje w zasadzie niby nie tkniętą. Wprędce jednak rozpasane bojarów dążenia spotęgowują na Ponižu i pragnienie zupełnego oderwania się od Halicza. Już bowiem pod r. 1241 widzimy, iż Rościsław Czernichowski w związku z książętami „Bołochowskimi“ rusza na Poniże i oblega Bakotę. Cóż mogło tu sprowadzić Rościsława? Mamy wskazówki, iż działał on w ścisłém porozumieniu z bojarami halickimi, niezadowolonymi widocznie z tego, iż Daniel mało co przedtem, powściągnąwszy w Bakocie „hrabitelstwa neczestywych bojar, utyszy zemlu.“ Lecz właśnie to uciszenie ziemi, dokonane mądrością i dzielnością“ pieczętarza książęcego Cyryla, udaremniło zamachy obecne przeciwników. Rościsław został od Bakoty odparty, a tak zwani Bołochowscy książęta srodze ukarani,—grody ich spalone, okopy zburzone. W czasie pogoni za ks. czernichowskim dowiaduje się Daniel o zwróceniu się Tatarów z Węgier na ziemię halicką; cofa się i rusza na Ponizie, „chotja ustawiti zemlu i jecha do Bakoty i Kaliusa.“ Mimo wszystko przecie, kraina ta w dość luźném tylko, jak to się okaże daléj, zostawała z Haliczem i jego władcami stosunku, o charakterze którego decydowała jedynie moc ich doraźna, czy takową posiadali książęta czy bojarowie, jak ambitny Sudysław, Sudjicz i inni, lub też o ile wśród gwałtowniejszych w saméj Haliczyźnie zamieszek znajdowało się Poniże zostawioném samemu sobie.

Nie potulniéj od Poniża ulega Romanowiczom górne Poboże. Ciąży ono po dawnemu bardziéj ku Wołyniowi, ku dzielnicy łuckiéj. Główny gród jego, Międzybóż dostaje się 1227 razem z Peremiłem, w zamian za Łuck, ks. Jarosławowi Ingwarowiczowi. W walce zaś późniejszéj Daniela z bojarstwem występuje 1234 przeciw niemu i Borys „Meżybożskyj“ — namiestnik tameczny widocznie.

Ale najwybitniejszy przykład objawów działania siły odśrodkowéj, nurtującéj ówcześnie we wnętrzach Rusi południowéj, od Karpat do Dniestru przedstawia tak zwana „ziemia Bołochowska“ i „ksią-

żęta Bołochowscy.“ Spotykamy tu ścisły związek 7-miu drobnych grodów, zostających pod zwierzchnictwem całéj grupy „kniaziów“, trzymających się stale jednostajnéj polityki i uczestniczących gromadnie w wojennych wyprawach. Kniaziów nie rurykowskiego rodu wcale, lecz powstałych (podług Kostomarowa) najprawdopodobniéj z bojarstwa, co się tu wyosobnić i uniezależnić od książąt z domu Ruryka potrafiło. Widzimy ich téż stałymi sojusznikami bojarów halickich w walce ich z Danielem, czém téż sprowadzili na siebie w srogim odwecie 1241 ostateczną swą zgubę. Daniel burząc ich grody i „hrebli“ nie oszczędzał i ludności. A więc ta stała przy swych kniaziach? Czy była czysto słowiańską? Nie miał tu żadnego znaczenia przypływ żywiołu turańskiego, czarno-kłobuckiego? Zkądże ta łatwość, z jaką się późniéj Bołochowcy poddają bezpośredniejszemu zwierzchnictwu Tatarów, którzy wkładają na nich tylko obowiązek „da im orjut' pszenyci i prosa“? Wszystko to ciekawe, lecz nie rozwiązane dotąd. Ani specyalne studyum prof. Daszkiewicza pod tyt. „Bołochowska ziemia i jej znaczenie w ruskiéj historyi“ (Kijów 1878, po ros.), ani ustęp obszerny w pracy p. Mołczanowskiego, a wymierzony głównie przeciw hazardownym wywodom i wnioskom poprzednika, zagadnień nie wyjaśniają. Co zaś najdziwniejsze — sama miejscowość ziemi bołochowskiéj i jéj 7-miu znanych z nazwiska grodów nie została dotąd ostatecznie na mapie zaznaczoną. I dziś jeszcze to tylko wiemy napewno, iż znajdowała się ona gdzieś pomiędzy Pobożem, Wołyniem właściwem a starą ziemią Drewlan. I tyle. Właściwie więc w zakres historyi Podola nie wchodzi i ubocznie tylko mogłaby być w zwykłym razie dotykaną przez badacza przeszłości naszéj krainy, gdyby nie ścisły związek, że tak powiemy, natury moralnéj, jaki je w owéj epoce łączy. W Bołochowskiéj bowiem drobnéj ziemicy, wchodzącéj również w splot luźnych dzielnic wydźwigającego się państwa potomków Romanowych, wcześnie uwydatniają się takie objawy i fakta życia, jakie późniéj niby niespodzianką występują na Podolu, przez co stają się tamtych jeśli nie zapowiedzią, to wytłómaczeniem.

Wróćmyż tedy na Podole ku Ponizu.

W pierwszym groźnym pochodzie 1240 przez posiadłości Daniela na zachód Batu-chan, podług wszelkiego prawdopodobieństwa, Poniże pominął, posuwając się od Kijowu przestworami Wołynia. Błędne mniemanie o spustoszeniu jednoczesném i Podola powstało z mylnego rozumienia wskazówek geograficznych (Kołodiażen, Kamieniec—wołyńskie).

Przy pierwszém zjawieniu się Tatarów, w obrębie dziedzin Danielowych, występuje — jakeśmy tego dotknęli już wyżéj — otwarta

opozycya przeciw nowemu porządkowi państwowemu, jaki ten usiłował zaprowadzić i utrwalić. Opozycya ta gnieździła się, ile się zdaje, głównie na Wołyniu: wiemy już jak się stawił Bołochów. Gdy tedy ukazali się tam Tatarzy, wszystkie żywioły opozycyjne zwróciły się—i z konieczności i rozmyślnie—ku zdobywcom. Ci oczywiście, mimo swéj potęgi, nie lekceważyli podobném korzeniem się, nastręczającém im możność łatwiejszego utrzymania całéj krainy w posłuchu. Zatém rzadko tylko zajmowali sami pewne punkta obronne, poprzestając przeważnie na zobowiązaniu swych podwładnych do stałego dostarczania określonych rekwizytów wojennych. Odpadły od Daniela i poddały się Tatarom, między innemi, następujące jeszcze miejscowości: Poteterewie, Zwiahel, a nawet Międzyboż z dalszém Pobożem.

W jakim stosunku stanęło względem Tatarów od pierwszéj chwili Poniże — wskazówek o tém nie znajdujemy. Podług wszelkiego prawdopodobieństwa, za pana téj krainy uważał siebie Daniel, a Tatarzy istotnie aż do poddania się im Bakoty, żadnéj tu siły nie mieli. Pracuje on daléj niezmordowanie nad dźwignięciem i umocowaniem poważnego państwa, — wobec czego ani lekceważy korony z Rzymu, ani się wzdraga uderzyć czołem chanowi w saméj hordzie. Dzielny ten syn Romanów, już „król ruski“, o ile z jednéj strony, dla upodrzędnienia nieustannie wichrzącego Halicza, wyniósł się ze stolicą aż do Chełmu, o tyle z drugiéj musiał niewątpliwie dbać o utrzymanie w należytém posłuszeństwie a ładzie i krańcowego teraz Poniża. Ale też i Tatarzy, którzy, jak się zdaje, zajęli już byli na stałe stepy pobozkie, po Połowcach i Torkach, wcale nie byli obojętni na możność zagarnięcia pod swą bezpośredniejszą władzę i téj tyle ponętnéj dziedziny. Témbardziéj gdy na Poniżu nie zamierało wcale pragnienie wyosobnienia się, a lekkie warunki zwierzchnictwa mongolskiego w sąsiedztwie tylko kusząco oddziaływać mogły. Oligarchia zaś czerwono-ruska nie przestawała uściełać sobie gniazdek książęcych, wszędy gdzie mogła, choćby pod opieką chańskich baskaków. Powodzenie jednych ośmielało innych, poczynano od dwulicowości, jak ów Andrzéj krzemieniecki, o którym latopisiec powiada: „Andrejewi że na dwoje buduszczu, owohda wzywajuszczusia: „korolew jeśm’“ (Daniela), owohda że „tatarskym“—derżaszczu naprawdu wo serdci. ..“

Otóż podobny Andrzejowi krzemienieckiemu namiestnik „królewski“ zasiadał i w głównym grodzie Poniża—Bakocie. Zwał się Milij, a nie był to napewno ani Połowiec, ani Torczyn, pomimo iż brzmienie jego nazwiska wnosić by to dozwalało. Porozumiewał się on widocznie dawno z Tatarami, a był pewnym swych podwładnych po-

dolskich, zawsze do oderwania się od Halicza gotowych. Kuremsa zaś, jeden z wybitniejszych wodzów mongolskich, który był się już ustalił w Kijowie, i odciągnął (1255) tyle włości od Daniela na Wołyniu, wyczekiwal tylko sposobnéj chwili dla rozszerzenia swego wpływu i po dalszéj Rusi. Gdy tedy „król ruski“ był zajęty wojną na Litwie, koło Nowogródka, podstąpili Tatarzy pod Bakotę—„i pryłożysia Milij k nim.“ Na wieść o tém, wysyła Daniel na Poniże syna swego Lwa. Temu udaje się buntownika pochwycić na razie—„i prywede Lew Milija otciu si, i byst' paki Bakota korolewa otca jeho.“ Ale już nie na długo. Za wstawieniem się i poręką syna, Daniel nie tylko ułaskawił jeńca, lecz przywrócił go do dawnéj godności. Napróżno. Wprędce—koło 1260 r., już pewno przy Burundaju, następcy Kuremsy w namiestnictwie na Dnieprze—ordyńce podstąpili znowu pod Bakotę—i Milij znów „stwori lest' i predast' ju paki Tataram“!

Więcéj nadto nic nie znajdujemy o Podolu w halicko-wołyńskim latopisie — chyba że tu wspomnimy jeszcze o śmiałém, lecz w skutkach bezowocném, rzuceniu namiestnikowi chańskiemu rękawicy przez Daniela, dla przywrócenia pod swe posłuszeństwo odpadłych dziedzin. Po niepowodzeniu doznaném pod Krzemieńcem przez Kuremsę i przywróceniu czasowém Bakoty, wypowiada on ordyńcom otwartą wojnę: 1257 odbiera im między innemi Międzyboż, Poboże „i ludi tatarskyja“... „i wsi horody, sidiaszczyja za Tatary“— które skazuje na pastwę srogiego za przeniewierstwo odwetu. Wszystko przecie daremnie: skoro tylko Tatarzy ukazali się w większéj sile—znowu się zwrócono ku nim, do obowiązku jakiéj solidarności narodowéj nikt się nie poczuwał.

Potém już aż do drugiéj połowy w. XIV-go wiadomości kronikarskie zupełnie się przerywają. Mimo to jednak, o stanie Podola w epoce panowania w niém Tatarów możemy sobie zdobyć pewne, zbliżone do prawdy faktycznéj, wyobrażenie, posiłkując się wskazówkami źródła późniejszego—mianowicie latopisu w. ks. litewskich, ułożonego w pierwszéj połowie XV-go w.

Jeśli sobie unaocznimy owo rozprzężenie powszechne, jakie charakteryzowało efemeryczną budowę królestwa Danielowego a wśród tego rozprzężenia stałą dążność tak Poniża, jak i Poboża ku wyosobnieniu, z łatwością zgodzimy się na przypuszczenie, że Tatarowie wcale nie potrzebowali używać przemocy dla zajęcia tych ziemic pod swe posłuszeństwo. Ogarnąwszy cały bieg dolny Bohu i Dniestru, oparci na średnim Bohu może na bliższe sobie krwią i obyczajem resztki połowieckie i innych plemionek, posunęli oni stopniowo swą zwierzchność w górę tych rzek, aż do właściwych miedz halickich. Powoli cały ten obszar kraju, nigdy za Rurykowiczów nie sta-

nowiący osobnéj ziemi, odrębnéj książęcéj dzielnicy, poddany teraz jednéj władzy zwierzchniczéj i jednostajnemu zarządowi, począł nosić miano „Ziemi Podolskiéj.“ Rozprzężone pod Rusami dziedziny starych Tywerców Tatarzy teraz zjednoczyli—„oli do morja,“ występując odtąd nadal jako „otczyczy i didyczy Podolskoj zemli.“ I władali oni Podolem z górą wiek cały. Nie mniéj słusznie można wnosić, iż panowanie to ich było tutaj względnie łagodném i wcale nie uciążliwém dla mieszkańców, którzy widać bez oporu byli się im poddali i o wyswobodzeniu się nie myśleli. Na właściwém téż Podolu tj. dawném Poniżu i Pobożu górném Tatarzy wcale nie osiedlali się— czemu za dowód służyć może, iż nazwy tatarskie miejscowości kończą się prawie na Pobereżu; przedewszystkiém zaś chodziło im tylko o porządne i ścisłe składanie nałożonéj na kraj daniny.

Zagarnąwszy Podole, Tatarzy zaprowadzili tu znany skądinąd a surowo wykonywany, swój porządek poborowy. Zaprowadzono go już od czasu Kujuk-chana wogóle w ziemiach ruskich, podległych hordzie kipczackiéj. Opierał się zaś on na ścisłym i często powtarzanym popisie ludności, Podole tedy podzieloném zostało na „tmy“ (od „tume,“ „tumen“—tyle co 10 tysięcy) czyli obwody podatkowe do koła miast ważniejszych. Na czele tych obwodów stali „atamani“ przedstawiciele opodatkowanéj ludności, którzy zebraną daninę składali przyjeżdżającym z hordy chańskim „baskakom“. Lecz kto to byli w istocie rzeczy owi atamani? Latopis powiada, iż oni „zawiedali Podolem od Tatar.“ Byliż by to tatarscy urzędnicy, stawieni przez baskaków? Rzecz bardzo wątpliwa: prędzéj była to starszyzna miejscowa, zatwierdzana tylko w swém dostojeństwie przez władzę zwierzchniczą—niby wassale jacy naczelnych panów kraju, blizko zespoleni ze swym ludem, z niego może powstali; spadkobiercy może takich ludzi jak Milij, stojących w ten lub inny sposób na czele grodów podolskich wtedy, gdy one przechodziły pod władzę tatarską. Jedném słowem, owocześni ci atamanowie podolscy wyglądają bez mała jakby drobni kniazie, z władzą ograniczoną oczywiście. Wiemy bowiem, iż Tatarzy nie pozwalali im wznosić ani zamków ani żadnych warowni i doprowadzili rzeczy do tego, że nie było na Podolu ani jednego grodu „ni derewom rublenaho, ni kamniem budowanaho“. A przezorność ta mongolska, wywoływana obawą zbrojnych powstań, trudniejszych dla koczowników do pokonania w kraju posiadającym miejsca obronne, nie dozwalała atamanom spotężnić swego politycznego znaczenia. Ale téż, mimo podziału kraju na „tmy“, nie spotykamy tu i tatarskich „temników“—dowodzców wojennych, zajmujących pojedyńcze obwody swemi oddziałami „Tma“ najwidoczniéj ma znaczenie głównie administracyjno-poborcze. Cała ta organi-

zacya kraju z jego atamanami—tyle oryginalna, przypomina jednak niemało i związek Bołochowców z ich kniaziami zagadkowymi. Niewątpliwie tryb podobny zarządu mógł być dogodniejszym dla Tatarów, jako zapewniający porządniejsze zaopatrywanie żywnością sił ich wojennych. Czy to wszakże było zastosowaniem znanego zkądinąd „iktaa"—bardziéj prawidłowego systemu poborów, wprowadzonego w niektórych podległych Mongołom ziemiach w drugiéj połowie XIII-go wieku? nie zdaje się. Tamto był system przeznaczenia pewnych dzielnic (iktaa) ziemi, na utrzymanie pewnych oddziałów wojennych, których naczelnicy poddzierżawiali od siebie owe dzielnice mieszkańcom samym na prawach feudalnych, pod obowiązkiem stałych osepów i danin. Tu zaś cech porządku feudalnego nie widać.

O stanie wewnętrznym, kulturze i pomyślności Podola pod panowaniem Tatarów możemy robić tylko wnioski uboczne, pośrednie. Stepy południowe aż do morza były pokryte „koszami"—koczowiskami nomadów, wszędy i po wszystkie czasy jednostajnemi. Wyżéj zaś, na właściwém Podolu, zajętém przez ludność przemożnie słowiańską, mogła przeważać gospodarka rolna, choć w najbardziéj pierwotnéj jeszcze swéj postaci. Słabe względnie zaludnienie mogło nawet w ciągu wieku znacznie się podnieść dzięki większemu względnie spokojowi, jakim się kraina ta pod panowaniem tatarskiém cieszyła, zwabiającemu ku niéj przybyszów z sąsiednich a częściéj pustoszonych ziem. Co do pomyślności, Podole chociaż się znajdowało w daleko szczęśliwszych od sąsiadów warunkach, nie było w stanie zapewne zabezpieczyć się na stałe od nieodzownych ze względu na jego położenie klęsk i ciężarów. Mniejsza jeszcze o dociski baskaków i różne powinności, nie wyłączając może wojennéj—ludność Podola musiała znosić przecie nieustanne przechody wojsk tatarskich, tak często wyruszających ku Rusi czerwonéj, ku Polsce, ku Litwie—to jako nieprzyjaciele, to jako sojusznicy choćby potomków króla Daniela, wcale nie sromających się związków z nieprzejednanym wrogiem swego dzielnego przodka!

Stosunki polityczne zwierzchniczych władców Podola również znane tylko ogólnie. Ziemia podolska, leżąca na krańcu posiadłości mongolskich przedstawiała oczywiście grunt bardzo sprzyjający dla wszelakich kuszeń się odpadnięcia od głównéj hordy Kipczackiéj. Wysyłani na Dniepr namiestnicy chańscy wcześnie już poczęli zdradzać dążenia do niepodległości, które następnie rozprzęgły rzeczywiście olbrzymie państwo, wzniesione przemocą przez Czyngiz-chana. Ku końcowi wieku XIII-go na południu Podola spotykamy koczowiska głośnego Nogaja, jednego z chanów podrzędnych, który prowa-

dził zaciekłą wojnę ze zwierzchnim swym władzcą, chanem „złotego“ Kipczaku. Korzystając z rozterek między synami buntownika, chan kipczacki Toktaj przechodzi Dniepr i rusza ku Bohowi, gdzie się znajdował „jurt“ jego. Pobity Nogaj ratuje się ucieczką, po nim umykają też ztąd i jego synowie a cały przestwór kraju aż do Dniestru wraca znów bezpośrednio pod posłuszeństwo główném hordzie. Lecz po powrocie Toktaja do Seraju, wojna domowa znów się rozpoczyna. Dopiero po śmierci Nogaja „ułus“ jego rozpada się na części. Jaką rolę w obec tych wypadków odgrywało Podole—nie wiadomo. Nie jest zarówno rzeczą pewną, czy wytworzyli podolscy Tatarowie na obszarach obojga dorzeczy Bohu i Dniestru osobny, na pół niezależny, „ułus“ lub też trzymali się hordy krymskiéj. Charakterystyczna nazwa „ziemia podolska“, która występuje w drugiéj połowie XIV wieku w powszechném użyciu, jako miano oddawna ustalone, zdawala by się przechylać szalę ku pierwszemu mniemaniu.

Ale wyosobniwszy się z ogółu południowéj Rusi, porwana w wir obcego sobie życia tatarskiego, zmuszającego ją do kroczenia odrębną od najbliższych swych drogą, kraina ta, mimo wszystko, musiała jednak miewać przejścia zbyt ciężkie śród domowych przedewszystkiém walk Tatarów, by nakoniec zapragnąć zupełnego uwolnienia się z pod ich mocy.

Tymczasem pod koniec pierwszéj połowy wieku XIV-go w najbliższém sąsiedztwie Podola zachodzą radykalne zmiany, nadające zupełnie nową postać rzeczom, nowy kierunek wypadkom. Królestwo Daniela, po śmierci (1340) prawnuka jego, księcia mazowieckiego Bolesława, rozpada się ostatecznie na swe części składowe: dzielnicę halicką zagarnia na rzecz potężniejącéj Polski Kazimierz W., wołyńska zaś przez Lubarta dostaje się Litwie, wchodząc w skład rzeszy Gedyminowiczów. Na dwóch ścianach podolskich występują jako sąsiady dwa młode, pełne siły żywotnéj państwa—od północy i zachodu opasują je jakby pół kolem, ściskają półobręczą. W obec tego, zwierzchnicy Podola, Tatarowie, trwonili swe siły w walkach wewnętrznych, sprowadzających powszechne rozprzężenie i bezwład, które podnosiły serca podwładnych i dawały im otuchę zrzucenia jarzma, choćby mniéj uciążliwego nawet.

(*d. n.*) *Aleksander Jabłonowski.*





PRZEGLĄD POEZYI NAJNOWSZÉJ.

1) Poezye Wiktora Gomulickiego. (Warsz. A. Gruszecki, 1887, str. 284). — 2) Strofy. (Kraków, Gebeth. 1886, str. 167 + VI). — 3) Król Salomon, poemat liryczny w trzech pieśniach przez Włodzimierza Zagórskiego. (Warszawa, A. Gruszecki, 1887, str. 90). — 4) Stanisław Rossowski: Poezye. (Lwów, 1886, Gubrynowicz, str. 128). — 5) Korczak: Baśń, część pierwsza. (Kraków, autor, 1886, str. 112). — 6) Pieśń lirnika, powieść wierszem przez Tadeusza Otawę. (Warsz. Paprocki, 1886, str. 47). — 7) Bolesław Londyński (Bruno Las): Poezye. (Warsz. 1887, str. 238). — 8, 9) Dr. Józef Długoborski: Poezye. (Kijów, autor, 1886, str. 121); Echa szalonéj Ameryki. I. (Kijów, autor, 1886, str. 38).

Oto przed nami suto zastawiona biesiada poetycka. Wszelkie niemal usposobienia, nastroje, zamiłowania i przekonania znajdą w niéj karm' dla siebie i to jaknajróżnorodniéj przyrządzoną. Czy kto tęskni za urokami wybujałych marzeń romantycznych i całą wartość życia we wspomnieniu tylko widzi; czy kto szuka zadowolenia w prostych, choćby najzwyczajniejszych scenach życia powszedniego; czy kto lubi szerokie przestrzenie pól i lasów i chętnieby się napawał wonią kwiatów i szumem drzew; czy też przywykł przebywać bez obrażenia swego węchu i smaku w zaułkach miejskich i piwiarniach; czy kto smakuje w takich jedynie przetworach, co w gwarze zabiegów ekonomicznych i walk społecznych powstają, czy też rozkoszuje się w atmosferze piękna bezinteresownego; czy kto pragnąłby znajdować się w otoczeniu poważném lub lekkomyślném, wesołém lub smutném, dowcipném lub refleksyjném, pesymistyczném lub optymistyczném, czy też wolałby pozostać jedynie we własném i Muzy towarzystwie: w uczcie owéj znajdzie wszystkiego podostatkiem, w lepszym lub gorszym gatunku, w zręcznie lub mniéj zręcznie wykonanych formach. Zasiąść tylko za stołem i wybierać.

I krytykowi wybierać wolno, ale jako informator biesiadników, musi on ich przedewszystkiém zapoznać ze wszystkiemi daniami i z tymi, co je zastawili.

Mistrza pomiędzy tymi wystawcami produkcyi poetyckich znają już czytelnicy *Ateneum*. W roku 1882 z powodu ogłoszenia w *Lirze* zbioru poezyi Wiktora Gomulickiego starałem się scharakteryzować jego talent, widząc go przedewszystkiém w arcydzielném władaniu formą, oraz jego nastrój nie lubiący żadnych krańcowości, ale dążący do zharmonizowania obficie i żywo napływających mu wrażeń. Powiększone obecnie w trójnasób wydanie jego „Poezyi" może posłużyć zarówno do ugruntowania jak i do pogłębienia tego sądu. Spotykamy się tu z całą najdrobniéj szczeblowaną skalą uczuć ludzkich, począwszy od dziecinnego napawania się uciechami życia, aż do beznadziejnego westchnienia za śmiercią, a to wszystko wyśpiewane z jednakowém mistrzowstwem w wierszach układanych jaknajrozmaiciej zarówno w zwykłéj strofie czterowierszowéj jak i w wykwintnéj formie sonetu, oktawy, tercyny, lub téż we wspaniałych aleksandrynach naszych, idących sfornie jak żołnierze — dwójkami. Jak wszyscy u nas dzisiaj co najznakomitsi poeci, jest i Gomulicki wirtuozem treści i formy, obejmuje i władnie najróżnorodniejszemi tematami, poddaje się najsprzeczniejszym uczuciom, wyśpiewuje na najdowolniejsze napozór tony, wchłaniając te prądy, jakie przebiegają w naszém i wogóle—europejskiém społeczeństwie.

Z usposobienia i upodobań pierwotnych jest on nie myślicielem, co nad zagadnieniami wszechświata najchętniéj rozmyśla lub nad bolesną dolą ucywilizowanych narodów się zastanawia, ale poetą, który śpiewa jak ptaszek o miłości i naturze, i zadowolnienie największe znajduje w marzeniu i ułudzie; ale żyjąc w czasie, kiedy przemożne okoliczności i prąd ogólny przedstawiły każdemu myślącemu człowiekowi do rozważania i rozwiązywania naglące sprawy społeczne, zająć się niemi musiał i z niejaką zapewne goryczą w sercu, lecz z poczuciem nieuchronnéj konieczności pomieścił na czele zbioru swoich poezyi dział zatytułowany: „Pieśń w służbie świata", przypominając tym napisem Pegaza w jarzmie. Poeta jednak pogodziwszy się z losem, nosi to jarzmo swobodnie i z godnością. W wierszu: „Dwa głosy", odpowiadając na zarzut bezużyteczności poezyi w pracy społecznéj, w walce z materyą, w olbrzymiéj fabryce świata, roztacza on obraz całéj armii ludzi, „co przegrała ciężką życia bitwę" i w cichą duszę poety „rzuca, jak do urny, ból swój i złorzeczenia, klątwy i modlitwę", wykazując, że te walki duchowe, przez poetę opiewane, warte są przynajmniéj tyleż, co wysiłki armii pracującéj w pocie czoła w wielkiéj fabryce świata. „W księgach drzemią czyny, jak w chmurach grom złoty"—powiada, odpierając zdanie, jakoby poeci znali tylko „głupie nerwów niepokoje", a w rozwinięciu téj myśli o nastroju bohaterskim pieśni, woła:

Ty dzielisz pieśń od czynu? Wspomnij Tyrteusza,
Za którym lud lawiną potoczył się w pole!
Bohaterów pieśń tworzy i unieśmiertelnia....
W dłonie mężów miecz wciska, laur kładzie na głowy
I kreśli pierwszy zarys społecznéj budowy,
Którą kończy powszednich pracowników kielnia.
Pieśń nie jest gołębicą, która słodko grucha,
Gdy jéj dobrze, a cierpiąc, równie słodko kwili —
Idzie ona do boju jako szermierz ducha,
A nigdy i przed nikim czoła nie uchyli.

W takiém odparciu pocisków przeciw poezyi miotanych tkwi prawda niewątpliwa, o ile się rozważa całkowity rozwój twórczości w dziejach powszechnych, lecz w bezpośredniém zastosowaniu do naszych najbliższych stosunków dźwięczy, niestety! przeważnie frazeologia tylko. Nie mamy dzisiaj Tyrteuszów nie tylko tam, gdzieby ich głos był tłumiony, ale i tam, gdzie mógłby się rozlegać swobodnie. A nie o Tyrteuszów tu idzie w dosłowném znaczeniu, lecz o tych wogóle, coby myślą jakąś wielką i gienialną stali się istotnymi przodownikami narodu, coby rzeczywiście „kreślili pierwszy zarys społecznéj budowy“, coby inicyatorami byli jakiéjś lepszéj, jaśniejszéj przyszłości. Poeci dzisiejsi zbolali, znękani, zmuszeni do bronienia już tylko racyi bytu swojego, nie posiadają ani odwagi, ani siły, ażeby choćby zamarzyć jedynie o przodowaniu w społeczeństwie. W rozległe pomysły ubodzy, albo przetwarzają w obrazy poetyczne to, co rozum analityczny już zbadał, co do katechizmu nauki przeszło, albo téż wysiłkom tym złorzeczą i usiłują bezskutecznie pochód prawd niemiłych sobie powstrzymać. Braknie im tytanicznego pędu, którym niegdyś ich poprzednicy porywali za sobą tłumy, braknie im téj wiary prawdziwéj, głębokiéj, niepokonanéj, w możność przetworzenia budowy społecznéj za pomocą pieśni, téj wiary, która lubo nie ziszczona, stanowiła przecież potęgę wieszczów narodowych. I dlatego nie dziw, że królewskie miejsca tracą a schodzą w tłum „powszednich pracowników“, manipulujących nie „kielnią“ lecz piórem, szczęśni, jeśli ich talent uczyni zadość potrzebom duchowym społeczeństwa.

Gomulicki do tych szczęsnych należy. Odczuwa on i rozumié drgnięcie społeczne wśród mas i lubo jest czcicielem piękna, wié, że głód nędzarzy przedewszystkiém zaspokoić potrzeba („Głodnego nakarmić“, „Bez chleba“, „Na zgliszczach“). Przedstawiwszy cierpienia wygłodzonego kamieniarza, w przepysznych tercynach przemawia do ogółu:

O wznośmy pięknu wspaniałe ołtarze,
Marmur i złoto niech rzucają blaski,
Wino niech szumi w kryształowéj czarze;

Skroń strójmy w róże, twarz w wesołe maski,
Myśl nasza słońcem niech będzie pojona,
A słuch zamknięty na niesforne wrzaski;

Wieżami tumów prujmy chmurom łona,
Niech posąg każdą przyozdabia niszę,
Rzeźb koronkowych niech błyszczy zasłona;

Niech nas pieśń wieszczów dopóty kołysze,
Aż każdy smutków daremnych zaniecha,
I myśl pogrąży w olimpijską ciszę,

Wesołe tylko budząc w życiu echa;
Niechaj ofiary biorą od nas wszędzie:
Miłość i rozkosz, piękno i uciecha....

Lecz wprzód—niech głodnych pośród nas nie będzie!

Jak w wyliczonych dopiero co wierszach brzmi wspaniale głębokie współczucie dla cierpień mas wogóle, tak w poemacie „Żydzi“ przejawia się toż współczucie dla biednych, pogardzanych i poniewieranych tłumów ludu, niegdyś wybranym nazywającego się. Gomulicki wyprowadza na scenę różnorodne głosy potępiające ów lud i skazujące go na zagładę z powodu przywar właściwych rasie, wśród nader nieprzyjaznych okoliczności rozwijającéj się, a sam pod imieniem „poety“ głosi słowa wyrozumiałości i miłosierdzia. Są w tém przemówieniu i uczucia podniosłe i myśli zdrowe, ale całości nie zdołał autor uchronić od nieco oschłego tonu dydaktycznego.

Podobny charakter nosi téż piękna, trochę może tylko za ogólnikowa pochwała „Szekspira.“

Nie ma tego tonu w poezyach, poświęconych zobrazowaniu życia powszedniego i w malowaniu smutnych, bolesnych przejść ducha. Wszystko tu żyje, drga, lśni się i błyszczy; najsubtelniejsze nawet odcienie wzruszeń znajdują swój właściwy, najzupełniéj do treści dostrojony wyraz. Nie mówiąc tu o tych utworach, które już dawniéj wyróżniłem, zwrócę jedynie uwagę na opowiadanie o losach cudzoziemki-nauczycielki („Francuzica“), w którém rzetelny humor jaśnieje, na pełen bolesnéj prawdy „Pogrzeb aktora“, na zręczną i powabną „Warszawiankę“, na nieporównanéj lekkości i werwy ironiczne obrazki z życia miejskiego, zaklęte w misterną formę sonetów: „Ogródek na przedmieściu“, „Na huśtawce“, „Odpoczywa“, „Ślepy“, „Na wodzie“, „Tajemnica róży“, „Nazbyt lubił“, „Balkon“, „Rodzina“, „Wspomnienie“, „Ostatni cygan“, „Parjas“. Wdzięk tym utworom właściwy nie da się wykazać przez streszczenie i rozbiór; potrzeba je czytać i odczuwać. Łagodném i spokojném malowidłem cichego a bezbrzeżnego smutku wciska się do duszy „Ständchen“, przypomnienie muzyczne krótkich błogości chwil, póki zbolałego

serca grób nie przytulił; a siłą wyrażenia wymownie się zapisują w pamięci „Piołuny“, skarga na cierpienia dotkliwe zakończona prośbą o śmierć, jako jedyne na nie lekarstwo. Scena „Na balu“, gdzie poeta opowiada roztańczonéj kobiecie o losach jéj dziecka porzuconego wśród ludzi i zmarłego, chociaż razi trochę nieprawdopodobieństwem jako całość, posiada w częściach swoich moc wzruszającą do głębi.

Pieśni miłosne, zapełnione zachwytami nad powabami ciała, świeżością cery, uroczym uśmiechem, wesołą rozmową, w większéj części powtórzone zostały w tém wydaniu z poprzedniego; nowych przybyło niewiele. W jednéj („Non omnia vanitas“) opiewa odwiedziny dziewczęcia — „niezbyt może skromnego jak na kapłankę zimnokrwistéj Westy, lecz Nimfom równego“ — w izdebce studenta, „co rzadko chrzęsty spódniczek pamięta, a częściéj — myszy zgłodniałych szelesty“, — i rozpamiętywając, jaki kontrast tworzyła jéj młodość i jéj suknia perkalikowa ze zbutwiałą księgą, na któréj usiadła, dochodzi do tego przekonania, „iż za lat trzysta i z naszéj mądrości tylko zbutwiałe pozostaną kości—dziewcząt zaś lica zawsze będą świeże“—rozumie się nie tych, co przed trzystu laty siadywały na dziełach Alberta Wielkiego. W innéj („Gdy kochasz“) zachęca kobietę do wyłącznego poświęcenia się wybranemu duszą i ciałem, nawet wówczas gdy on jéj darów odpłacić nie zdoła, bo „kto kocha, bardziéj jest z bóstwem zbratany, niż kto kochany.“ We „Wniebowziętéj“ opowiada o „nieszczęśliwéj nieszczęściem innych“, która „chłonęła w siebie smutek wszechrzeczy, rozlany po niebie, gwiazdach i morzu, obłokach i ziemi“... ale dla ukochanego miała „wesołe słówka, uśmiechy cukrowe, pierś pełną żaru, pełną marzeń głowę, w ciemnościach oczu fosforyczne błyski, krótkie piosneczki i długie uściski“; jéj pocałunek „miał coś w sobie z powabu stokrotki, którą dziewczyna, wyjąwszy z warkocza, daje lubemu“, podobny był winu, „co nie odurza, ale rozwesela, i miał potęgę cudownego ziela, które do skarbów ukrytych prowadzi.“ W wierszu „Na dzień dobry“ wysuwa szereg komplementów, jak szereg pereł nie nowych wprawdzie, jak nie nowém jest to porównanie, ale nie tracących przez to swéj ceny. „Nad brzegiem morza i nieskończoności“ rozkochana w sobie para błądzi senna, jakby z ciał wyzuta, „słuchając w cichém zmysłów upojeniu, jak wrzawa miasta z wrzawą fal się kłóci“, zadowolona, że nikt jéj nie rani spojrzeniem ciekawém, że niczyje śmiechy czaru chwili nie płoszą... Wśród takiego upojenia, mówi poeta:

Mgły gęstwiejącéj biała, mokra fala
Zatapia domy, gasi księżyc złoty;
Lecz im się bardziéj świat od nas oddala,

Tém bliższe siebie są nasze istoty;
Chwilami, patrząc na światła, co bledną,
Zda się nam, żeśmy nie dwoje, lecz jedno...
Święte złudzenie! Czyż się w niém nie mieści
Zachwyt najwyższy i siła i szczęście?
Ach! człowiek doszedł głównéj bytu treści
Przez takie duchów cudowne zamęście,
I niech się jak chcą dni jego wypełnią,
On już szczęśliwy—bo żył życia pełnią.

Żartobliwie zabarwioną historyą miłości młodego prowincyonalisty, który przybył do Warszawy szukać zajęcia, przedstawia poemacik p. n. „Kocia.“ Młodzieniec chciał skorzystać z listów polecających „od wuja i stu ciotek“, ale na niewiele mu się one przydały; za to bez jego przyczynienia się zagustowała w 16-letnim chłopcu prezesowa. Ale Otton nie umiał się poznać na tym guście, który dla jego karyery mógł się stać pożytecznym, sam natomiast poczuł wielką skłonność do kwiaciarki „Koci.“ Rozmawiali z sobą mało, a raczéj nie rozmawiali wcale słowami, tylko oczyma, bo mieszkali naprzeciwko; raz zetknęli się na schodach i rozbiegli się czémprędzéj; drugi raz listek kwiatka może naumyślnie upuszczony przez Kocię podjął młodzieniec, ale popieściwszy się z nim, odniósł go jako zgubę sąsiadce. Romans ten bez wyrazów mógłby zapewne ciągnąć się długo, gdyby nie przypadek. Zadumanego Ottona spotkała raz w ogrodzie prezesowa, pociągnęła za sobą i próbowała na nim siły wdzięków. Gdy mu kazała wyszukać sobie komara pod brodą, i gdy się ku niéj bardzo blizko nachylił, rozległy się dwa krzyki: prezesa i kwiaciarki; prezes odpędził chłopca od owocu zakazanego, a kwiaciarka odepchęła go od siebie jako zmiennika. Treść sama tego poemaciku nie zaleca się niewątpliwie pomysłowością, ale o treść poecie nie bardzo chodziło, użył on formy opowiadania na podobieństwo Słowackiego w Beniowskim, do wypowiedzenia pewnych uwag i refleksyi, którym umiał nadać lekkość, wdzięk i rozmaitość. Całość jest powiewna jak puszek kwiatu i po przeczytaniu na drobne rozpada się płateczki i nitki.

Uwielbienie dla natury, zamiłowanie wiejskiego krajobrazu i atmosfery wiejskiéj widoczne są we wszystkich niemal pieśniach Gomulickiego; poświęcił on atoli wyjawieniu tych uczuć osobne działy w swéj książce: „Z księgi przyrody“ i „Sub tegmina.“ W pierwszym dziale najpiękniejsze utwory („Pod toporem“, „Pustkowie“) znane były już z dawniejszego zbioru; przybyły do nich obecnie piosenki i uwagi nie mogące z niemi rywalizować, ale posiadające piękności cząstkowe, jako to: „Bzy zakwitły...“, „Jesień“, „Zima“, „Gwiazdy.“ Dział, zatytułowany klasycznie „sub tegmina“, przedsta-

wia poetę uciekającego z miasta na wieś, by zapomnieć w cieniu drzew, pod przykryciem błękitu o książkach, obrazach, koncertach, dziennikach, teatrach i fabrykach. Nie jest to jednakże sielankowe, sentymentalne zatopienie się w urojonych wsi urokach, wyzłoconych i wybłękitnionych „ciężką wieszczów pracą“, bo poeta zna cierpienia i brzydotę wsi rzeczywistéj, — ale jakby panteistyczne „zespolenie się miłosne z ziemią“, o którém powiada w zakończeniu téj wycieczki wiejskiéj, przedstawionéj w 7 ślicznych sonetach:

Zwolna się cały tracę we wszechbycie
I snem odrębne zdaje mi się życie,
Ten szlak samotny, żałobny, tułaczy...

Wzlatam w wietrzyka subtelnym podmuchu,
Błyszczę w grze świateł, płynę w chmurek puchu—
Lekko mi, błogo — wiem, co umrzeć znaczy!...

Z tego stanu zlania się z naturą, do którego zaprowadziły poezye Gomulickiego, budzą nas „Strofy“ bezimiennie wydane, przypominając szereg tortur, na które skazani jesteśmy w życiu dzisiejszém, jako ludzie wogóle i jako naród. Poeta znękany sam i zbolały, „zimny, bez wrażeń, jak zrąb krateru, żyje już tylko wygasłym duchem i mknie przez życie jak łódź bez steru, rzucona w odmęt wichrów podmuchem“, bo dawna jego wiara w ideały ludzkości, braterstwa, zburzona została najświeższemi objawami cywilizowanego barbarzyństwa, znęcającego się brutalnie nad pokonanym narodem, głoszącego zwycięstwo siły nad prawem, podającego za trzy główne dziejów czynniki: nienawiść, krew i żelazo. Tak usposobiony składa przed nami „zwęglone uczuć swych szczątki, co słabym żarem jeszcze się palą“, mając nadzieję, że ci, których serce kochające wchłonie je w siebie sympatycznie, węgiel na dyament przetworzą... Że w niejednéj duszy proces taki nastąpi, to chyba wątpliwości ulegać nie może, bo miłość zdolna do przetwarzania, ale byłoby złudą, któréj autor „Strof“ niewątpliwie nie ma, ażeby przemiana zawsze i we wszystkich dokonała się sercach. Nie dlatego bynajmniéj, iżby pomiędzy owemi „zwęglonemi uczuć szczątkami“ a społeczeństwem całém nie było nici sympatycznych. I owszem, kiedy w strofie XX („Intryga“) upomina się za prawem bronienia bytu narodowego, kiedy w XXI „Dziennikarzom“ wypomina przewrotność w potępianiu tego, co cześć wzbudzać powinno, kiedy w XXVI zgadza się na to, iż prawom natury ulegać trzeba, ale robi uwagę, że i ziemia ciąży ku słońcu, a jednak słońce jéj nie pochłania, kiedy w XXXI kreśli obrazek posiedzenia sądu, na którém wszyscy byli Polacy, a jednak obcym mówili językiem, kiedy w XXXVIII zaznacza zmianę w poglądzie na cywilizacyę niemiecką, kiedy w XXXIX woła:

Mury spiżami z armart obwiedli,
Milion bagnetów ich strzeże,
Pod twierdz basztami groźnie przysiedli
I wdzieli lśniące pancerze...
Lecz troska marszczy ich chmurne czoła
Przyszłości lękać się każe...
Więc gdzie słowiańskie kwitnęły sioła,
Wzrość mają pruskie cmentarze...

kiedy w LXXI przedstawia żarłoctwo pruskie; kiedy w LXVIII charakteryzuje „pieśni nasze“; słowem, kiedy pomysły swoje osnuwa na uczuciach trwałych, głębokich, albo mających w danéj chwili silne rozpowszechnienie to „zwęglone szczątki“ natchnień poety „Strof“ łatwo przemienić się mogą w dyamenciki. Ale kiedy utrwala wierszem uczucia przelotne, myśli nieprzetrawione, aspiracye chwilowe, rozgoryczenie z powodów mniéj ważnych (III, VIII, IX, XIII, XV, XXII, XXXVII, XLVI, XLVII, LXXV); to czytelnik zanadto się krztusi pyłem węglanym, ażeby nie pragnąć usunięcia go z téj atmosfery, którąby wraz z poetą oddychać pragnął i trudno od niego żądać, ażeby przerabiał te atomy na dyamenty; woła wtedy z poetą, który w strofie p. n. „Skrzydeł“ bardzo pięknie powiada:

Chwastem porosła poezyi gleba,
Brak duchom wyższéj podniety,
Wielkiego wieszcza światu potrzeba,
Dantejskiéj siły poety...
Onby umysłom dał skrzydła nowe,
Tchnąłby w nie iskrę zapału.
On jeden mógłby duchy lodowe
Roztopić w czci ideału!...

Każdy musi trochę liczyć na wyrozumiałość ludzką, ale nie można liczyć na nią zanadto. Nie każde wrażenie da się przebrać w szaty poezyi tak, ażeby znalazło spółczujący oddźwięk w duszy bliźnich; zbyt wielka pochopność w tym względzie szkodliwie oddziaływa na ocenę całéj produkcyi poetyckiéj, zwłaszcza gdy się łączy z łatwością rymów i ze zwykłym jéj towarzyszem, zaniedbaniem w formułowaniu myśli. Są w „Strofach“ dobre pod względem ogólnego pomysłu i sympatyczne pod względem treści utwory, ale nie mogą obudzić myślowego lub estetycznego zadowolenia dlatego, że w nich przez jakieś niezręczne, a niewątpliwie z zaniedbania tylko pochodzące, wyrażenie lub przez pierwszy lepszy, bez wyboru wzięty obraz albo rym, treść ta wypaczona została. Takiemi są w znacznéj części wiersze pomieszczone w dziale „Scherzo.“ Są one zazwyczaj lekkie, zręczne, tu i owdzie istotnie dowcipne, ale klejnocikami nazwać ich

niepodobna, gdyż ogólnie chorują na słabe, pospolite rymy, na niewybredne porównania, na szlafrokowe wyrażenia. Podobnych okazów nie brak również w działach: „Adagio" i „Andante," lubo ich tutaj mniéj znacznie. Dla przykładu wskażę jeden tylko wierszyk: „Ausrotten!" z chwili bieżącéj, z tendencyą sympatyczną. Jakżeż niedbale wykonał go autor! Ani logika ani gramatyka nie zostały w nim uwzględnione; a wyrazy i wyrażenia dla rymów tylko pozbierane. „Narodem mędrców ich nazywano"—mówi poeta o Prusakach. Dlaczego? „Bo wiedzy czcili *wyniki*", a dopiero po takiém zaznaczeniu rezultatów dodaje o procesie myślowym, który do nich doprowadził: „Metodą nową, *głupcom* nieznaną, *badali* myśli tajniki"; a to określenie metody niczém się nie da wytłómaczyć jak tylko potrzebą rymu. Następnie mówi: „Czerpali mądrość z źródeł Prakritu, Z teoryi Indów—nirvana..." Prakryt oczywiście wspomniany tylko dla osobliwości dźwięku, gdyż nie stanowi ani antytezy do „teoryi Indów;" ani rozwinięcia myśli; nirvana zaś użyta w formie nieodmiennéj z powodu, że trzeba było zrymować z filozofią Hartmana w dalszym wierszu...

Autor „Strof" niewątpliwy ma talent, ale go lekceważy, może z przekonania, że wszystko jest marnością na ziemi, że tedy nie warto nad doborem pomysłów i wyrażeń myśléć zbyt długo, a może dla uilustrowania w sposób dotykalny tych przeszkód, jakie w pracy poetyckiéj napotyka, co żartobliwie opowiedział w wierszu XCV „Męczarnie poety." I pierwszy i drugi powód nie jest przekonywający. Kto drukiem ogłasza swoje poezye, nie może ich poczytywać za marność i dbać winien o to, co ogółowi do ręki podaje; a szczegóły *roboty* poetyckiéj dobrze jest zachować przy sobie, zostawiając czytelnikowi gotowe już *prace*. Szczerość uczuć, ukochanie tego, co kocha ogół, szlachetne i rozumne myśli przewodnie są-to istotne zalety „Strof"; to téż ze względu na nie tém przykrzejszym dla mnie obowiązkiem było wytknięcie usterek i wad, które wynikły z zaniedbanego sposobu traktowania tematów, co się mogły stać przedmiotem prawdziwie pięknych utworów.

Wiele „Strof" dźwięczało pesymizmem, a oto mamy przed sobą cały poemat liryczny w 3 pieśniach „Król Salomon", nastrojem tym przejęty do głębi. Autor jego atoli, p. Włodzimierz Zagórski zastrzega się w przedmowie, żeby „Króla Salomona" nie brać za „syntezę jakiegoś filozoficznego credo." „W chwili—powiada—gdy pesymistyczna nuta tak głośno rozbrzmiewa we wszystkich utworach piśmienniczych, uważam za swój obowiązek położyć szczególny nacisk na to zastrzeżenie." Każe więc go uważać za wyraz stanu duszy poety „w pewnéj danéj chwili" życia; a chcąc dla niego pozyskać

i szersze uzasadnienie, dodaje: „Doświadczył tych smutków i tego bolesnego znękania z pewnością każdy, ktokolwiek spragnione usta zbliżył do krynic nowożytnéj nauki.“ Jeżeli w tém zdaniu zmienimy ostatnie wyrażenie zbyt jednostronne o wpływie nowożytnéj nauki na inne obszerniejsze, wskazujące cały szereg zawodów, smutków, cierpień życiowych i jeżeli jako spółczynnik tych wszystkich bolesnych doświadczeń dołączymy wyobraźnię żywą a skłonną do zadumy; to niewątpliwie przyznać będziemy musieli słuszność twierdzeniu, iż człowiek wśród takich okoliczności zmuszony do życia nieraz zawoła:

Marność jest klątwą ziemi syna,
A działem jego—nieświadomość,
A losem jego dzieł—znikomość
A imię jego proch i glina!
Próżno się kusi wzlecieć duchem
Z pyłu, gdzie trawi go tęsknota;
Próżno się zrywa i szamota
Skowan glinianym pęt łańcuchem.
Dni jego są jak dni najemcy,
A jak sęp głodny jego serce
I w wiecznéj z sobą on rozterce
I niemasz, niemasz dłań rozjemcy!

W tych słowach streszcza się, ściśle biorąc, wszystko, co „Kaznodzieja“ a za nim p. Zagórskl w pierwszéj części utworu „Vanitas vanitatum“ wypowiada. Wszystkie inne ustępy są już tylko rozwinięciem i zastosowaniem ogólnego spostrzeżenia o znikomości myśli, uczuć, rozkoszy, bólu, czynów i zabiegów ludzkich. Gdy mówi o pracach człowieka, o wiecznem „prochów wirowaniu,“ o marności użycia zmysłowego, o miłowaniu mądrości, o gospodarności i marnotrawstwie, o szukaniu sławy w sprawach wojennych, o losie dobrych i złych; wszędzie znajduje rozczarowanie, wszędzie widzi, że w świecie panuje, nie mądrość ni téż sprawiedliwość, jeno bezmyślność i przygoda, że wszystko, za czém się ludzie ubiegają, jest tylko chwilowém omamieniem zmysłów lub ducha, że znikąd niepodobna zaczerpnąć otuchy, że celem wszystkiego istnienia jest ciągłe dążenie do nicości, a raczéj ciągła bezmyślna przemiana. Po tak bolesném uświadomieniu sobie marności snów i czynów ludzkich, mędrzec w II części poematu zatytułowanéj „Vae soli,“ przeciwstawiąc swój los jako reprezentant ludzi losowi kwiata, ptaka i błękitu niebios, które pędzą żywot swój pełen wdzięku bez trosk i smutków, najsilniejsze udręczenie odkrywa w tym fakcie, że jemu jednemu „mózg żrą myślenia głody“, że on jeden dobaduje się przyczyny swych nieszczęść. Uciekając od gwaru życia, wśród którego snuł dotychczas przędzę swych

myśli, pobiegł w „step głuchy i stroskany, w krainę śmierci i milczenia,“ by tam poszukać spokoju. Nie rozumiemy dostatecznie powodu, dlaczego tak sobie znękany i znużony mędrzec postąpił, boć chyba po wielu doświadczeniach tajném mu być nie mogło, że przyczyna jego bólów nie leżała w otoczeniu, wśród którego żył, ale najprzód w ogólnym ustroju świata a powtóre i głównie w jego własném usposobieniu, w jego wnętrzu. Mędrzec taki musiał wiedzieć, że samotnym można być wśród największego gwaru, a zupełnéj samotności nie osiągnie człowiek nawet w takim samotnym i głuchym stepie jak ten, do którego się schronił, gdyż zawsze towarzyszem jego nieodłącznym będzie nieubłagany sęp myśli. Raz wprawdzie czytamy, że mędrzec szedł piasków stepowych topielą „pod straszną nieba *rozgorzelą*,“ myśląc, że wyjdzie „z dróg żywota“, ale zdaje się, że to tylko frazes, bo nigdzie daléj naseryo do samobójstwa czy wogóle do unicestwienia nie dąży. A do takiego przypuszczenia skłania nas zachowanie się mędrca na owym stepie—dziwnie żakowskie. Powiada on, że krocząc puszczą, stawił słońcu czoło hardo „chcąc przesiłować je *pogardą*,“ aby mu „z czaszki mózg wyżarło,“ to znowu wyzywał wiatr pustynny, żeby mu otworzył grób gościnny; ale że próżny był jego zgrzyt i jęki, więc porzuciwszy nieme stepy, dlatego, że go *gniewała* ich zmartwiałość, pobiegł „przez skał urwiska i wertepy“ po to, żeby hyeny głodne i lamparty, a nawet lwy płoszyć „srogiém wejrzeniem“ lic swoich. A tłómacząc tę zrozumiałą ze strony hyen, ale dosyć zabawną ze strony lampartów i lwów tchórzliwość czy też grzeczność, powiada, że ponieważ był jak ogniem owionięty klątwą, iż śledzi dróg żywota, więc go „prawa świata“ nie dotykały... To wyjaśnienie trąci zanadto mistycyzmem, ażebyśmy mogli mu uwierzyć, i musimy przypuścić, że autorowi zabrakło pomysłu, ażeby zgodniéj z rzeczywistością przeprowadzić dzieje wewnętrzne swego mędrca. Bądźcobądź rozpędziwszy swém „srogiém wejrzeniem“ hyeny, lamparty i lwy, wydostał się wreszcie mędrzec ze stepu, dokąd zabiegł chyba dlatego tylko, ażeby autorowi dać sposobność do namalowania krajobrazu ponurego, i wybiega nareszcie na szczyt wysoki Libanu, mając u stóp gaje mirtów, słuchając tęsknych pieśni słowiczych i wtóru potoków. „Grało wszędzie bujne życie“, ale wdzięki jego nie wzruszały znudzonego mędrca; tonął więc w coraz „*grubszą* smętność i w cięższy przesyt i *surowość* (? dla kogo?), klął po staremu świata bezcelowość, aż nareszcie padł na zimny głaz i sądził, że go już ciemnie czarne śmierci ogarniały, co witał jak wybawienie, jak rozkucie pęt. Wtém (w III części poematu p. n. „Sulamit“) zbudził go głos dziewiczy, co „jak srebrny promień księżycowy lał się przez górskich łąk parowy, pełen tęsknoty i słodyczy.“ Mędrzec na ten

głos zbudził się i poczuł, że dźwięk jego padał mu na duszę „jak na ów kwiat, co zwiądł w posusze, pada ożywczy deszcz wiosenny," obmywał go „jak łez potokiem i głód mu życia w piersi wlewał i niby światłem go przewiewał, kojąc pieszczoty swéj urokiem." Ten cudotwórczy wpływ głosu dziewiczego, jak wyjaśnia mędrzec, pochodził stąd, że dawniéj badając zawiłe sprawy świata „zapomniał wdzięczną miłość, co jedna słodzi życia wstrętność." Zdaje się, że to wyjaśnienie podane zostało wśród omroczenia erotycznego, bo gdyby mędrzec mówił w stanie normalnym, toby musiał się sam zastanowić nad sprzecznością słów swoich z tém, co powiedział dawniéj (str. 28 i 29), gdzie przedstawił nam się jako człowiek, który wszystkich już rozkoszy kosztował: „I piłem, piłem życia krużę ustami, sercem, całą duszą, myśląc, że wiecznie żądze kuszą i wiecznie kwitną wianka róże." I wówczas to doszedł do przekonania, że „rozkosz ziemska jest zwodniczą i leży na dnie jéj znikomość, i czarem jéj jest nieświadomość, a nasycenie jéj—goryczą!" Widocznie jednak wtedy się omylił, kiedy oto teraz w młodéj i pięknéj Sulamitce znalazł „mistrzynię słodką prawdy wiecznéj," co miodem swych całunków odtruła wszystkie wstręty i frasunki dawniejsze. A może... może to nie był wcale mędrzec, tylko stary znudzony sybaryta, co się *bawił* przez czas jakiś w mędrca, nibyto badając zawiłe sprawy świata, dopóki nie znalazł jednego, świeżego ciała, które mu obiecywało dać chwilowe przynajmniéj podrażnienie zmęczonych nerwów?...

Takim rozdźwiękiem pomiędzy zamiarami autora a wrażeniem czytelnika kończy się poemat, w I części którego znaleźliśmy rzeczywiście odbicie przejść duchowych, doświadczanych przez niejednego i dawniéj i dzisiaj. Poeta źle zrobił, przeniewierzając się tradycyjnemu sposobowi pojmowania „Pieśni nad pieśniami" i przenosząc miłość do Sulamitki na zakończenie pesymistycznych poglądów „Kaznodziei." Tylko z epikurejskiego (w zwykłém znaczeniu tego wyrazu) punktu widzenia zakończenie to dałoby się usprawiedliwić, sprowadzając wszystko do rozkoszy zmysłowéj. Ale ani pod względem estetycznym ani moralnym takie zakończenie nie zadawalnia; bo estetycznie brzydkim jest obraz przeżytego starca w objęciach hożéj dziewczyny, a moralnie bolesném jest przyznanie zwycięstwa zmysłów nad rozumem.

Autor nie jest mistrzem formy; nie popełnia wprawdzie rażących usterek, umie zachować raz obrany ton i sposób obrazowania, lecz nie stara się bardzo o świetność dykcyi ani o dobór rymów; końcówki jego wierszy—to pospolicie jednakowo kończące się kształty gramatyczne, a we frazeologii aż nazbyt często pojawiają się ab-

strakcyjne wyrażenia zamiast konkretnych. Baczny czytelnik odnajdzie przykłady téj charakterystyki w poprzedniém streszczeniu: tu dodam tylko parę uwag co do niestosowności lub niepoprawności niektórych wyrażeń. Przymiotnik *łasy* stosowany do kotów i do dzieci łakomych jest nieodpowiednim w charakterystyce żywota, co ,,plon zgonów chłonie" (str. 25). Forma czasownikowa *zmęci* (str. 27), użyta dla rymu zamiast *zmąci*, jest niepoprawna; a formy *wiera*! (str. 39) niema w języku naszym; po staropolsku mówiło się *wierę*! Dlaczego śmierć idzie dzieci ludzkich *sadem* (str. 38), to wyjaśnia się jedynie potrzebą zrymowania jakiegoś wyrazu ze *śladem*. Wyjątkowe użycie form staropolskich *rodzajowie* (str. 51) *zatrzymywasz*, (str. 70) również tylko koniecznością rymu da się usprawiedliwić.. Czasownika *ściemiał* (str. 68), imiesłowu *nurząc się* (str. 84) nie zna język polski.

Od tych grozą pesymizmu albo szałem zmysłów przejętych zwrotek dobrze jest przejść na chwilę do uczuć spokojniejszych, codziennych. P. Rossowski za pośrednictwem ,,Poezyi" swoich może nam ku temu skutecznie dopomódz. Jest on bowiem przedstawicielem natchnienia miarkowanego ciągle i w każdym temacie przepisami życia salonowego, strzeże się wybuchów namiętnych, któreby widziane były źle jako nieprzyzwoite lub śmieszne, mówi głosem przyciszonym, starannie modulowanym, któremu nie brak tu i owdzie pewnego wdzięku, ale który lęka się zbytecznego natężenia i ubliżenia konwenansom. Wprawdzie powiada poeta, że hasłem jego jest dążyć ciągle wyżéj i wyżéj, choć sam nie wie dokąd (,,Fragment"), byle tylko opuścić poziome szranki żywota i wydobyć się z jakiejś „krainy chmur" i „z toni mgły ciemnéj"; wprawdzie utrzymuje nawet,—wbrew temu, co mówił o nieświadomości celu swéj wędrówki w sfery wyższe,—że dopóki widzi jasnych bóstw swych twarze, to nie da się odwieść niczém od wzniosłego polotu i zdruzgocze w proch czarnego anioła, który nań woła: „Wstrzymaj się, Ikarze":—ale okazuje się niebawem, że to tak sobie frazes tylko rymowany, dla zwrócenia uwagi wygłoszony. Bo oto dowiadujemy się z wiersza „Zapóźno," że jasne bóstw twarze nie przyświecają poecie na jakichś przyszłości wyżynach, ale że ,,gwiazdy marzeń" jego ,,śpią dawno w mogile wieków głębokiéj;" że zdaniem jego przyszedł na świat zapóźno, że trzeba mu było urodzić się ,,pod dachem sklepień gotyckich" i tam urość w truwera, albo w giermka, coby nosił „ogon królowéj i z łąki rwał dla niéj kwiaty." Ale w tym westchnieniu poety za czasami rycerskiemi brzmi także frazes tylko. Truwerem chciałby zostać i zachwycać „różnemi baśniami bitną drużynę," ale dodaje, że w te baśnie sam nie wierzy. A co do marzenia o zostaniu gierm-

kiem, toć i wśród dzisiejszych okoliczności o rolę podobną nie trudno; sam poeta kreśli następny obrazek (str. 31):

Chociaż cię miłość na złotych
Skrzydłach swych niosła,
Byłaś zmęczona podróżą,
Siadłaś na osła.
Za cugle wiodłem go nakształt
Wiernego sługi..,
Szedł jeden osioł pod tobą
Przy tobie—drugi...

Pozowanie na Ikara lub na wielbiciela wieków średnich nie może trwać długo, bo ani bajronizm ani romantyzm nie w modzie; łatwo też autorowi zastosować się do wymagań salonu, mieć dowcip żartobliwy i kostyczny w miarę, prawić komplementy, czasem tkliwą strunę zlekka poruszyć, o pięknościach natury słówko rzec—jeżeli się nadarzy sposobność zrobienia zręcznéj aluzyi do zwyczajów świata, w którym poeta przebywa. Tak np. gdy chce odmalować poranek w górach (str. 45) przychodzi mu na myśl, że góra otulona w mgłę wygląda „jak w koszulce panna“: bo „wiotkie jodły na jéj szczycie falują jak włosy, wiatr *fryzuje* je i *zwilża* kropelkami rosy“. A gdy przedstawia miłość narcyza do lilii, to zaraz dodaje, mając na widoku plotki i poetę salonowego: „Więc szemrzą zielska: to miłość zdrożna, strzeżmy zasady! Słowik zaś duma, czyby nie można mieć stąd ballady...“ (str. 51). Takie połączenia myśli zrozumiałemi się stają, gdy zważymy, że poecie życie przedstawia się w formie *kajetu* (str. 74), z którego przeszłość (?) wydziera ręką *potężną* (! kajet może cały podrzéć i dziecko—niemowlę... po co tu potęga!) karta po karcie,—albo też w formie *rebusu* (str. 96, 97), którego nikt nie rozwiązał, choć każdy bada, lubo jeżeliby tak było, dodam od siebie, niewarto czasu tracić na odgadywanie takiéj jak rebus błahostki.

Właściwy poecie nastrój wyraża najlepiéj może następująca faramuszka (str. 92):

Byłaś piękna — to za mało!
Byłaś dobra — to za wiele!
Ja wzdychałem — to za trwożnie!
Całowałem — to za śmiele!

Odważyłem się bezbożnie
Rzec ci: „bóstwo me, aniele!“
I wzdychałem — to za trwożnie!
Całowałem — to za śmiele!

Karcąc mowę mą zuchwałą,
Ty szeptałaś, jak w kościele...

Byłaś piękna — to za mało!
Byłaś dobra — to za wiele!

Ta udana prostota i naiwność, to przekomarzanie się dziecinne, te igraszki słów i uczuć, ta gładkość wierszy a ubóstwo motywów odnaleźć się dadzą w wielu, bardzo wielu „poezyach“ p. Rossowskiego. Najlepiéj mu się udają obrazki z życia powszedniego, traktowane częścią poważnie, częścią żartobliwie, takie np. jak „Wigilia,“ „Urodziny święconego“, „Balowa sukienka,“ „Profesor z miłości,“ „Recepta na zięciów.“ Ładną jest także naśladowana w tonie i rytmie z Bohdana Zaleskiego „Piosnka z ogródka.“ Satyrycznym nastrojem, ale łagodnie przeprowadzonym odznacza się „Legenda miłości,“ w któréj miłość kołace po kolei do drzwi króla, magnata, tajnego radcy, wieszcza, uczonego—i wszędzie napróżno; każdy umiał znaleść odpowiedź stosowną, to że nie ma czasu na rozkosze, to że miłość zameldowała się bez karty wizytowéj, to że przyzwoitość nie pozwala przyjąć damy o niewłaściwéj porze, to że nie jest dość piękną, to że takiéj osoby wcale nie zna... „Cały świat—powiada w końcu poeta—jak rozpieszczone dziecię, Z poza blasków, dźwięków wzdychał do niéj... Szkoda tylko, że na całym świecie Nikt jéj nie chciał podać swojéj dłoni...“ Satyryczno-rzewna jest pieśń p. n. „Łzy,“ gdzie autor widzi we śnie płynące łzami koryta z odpowiedniemi napisami; były tam do sprzedania łzy kochanki, łzy spadkobierców milionów, łzy udanéj nędzy; tylko łzy matki nie miały ceny oznaczonéj, bo nie były na przedaż.—Trafnością przeciwstawienia z punktu zapatrywania się przeciętnego ogółu, oraz doborem przenośni celuje wiersz gnomiczny p. n. „Skromność.“ Skromność—mówi p. Rossowski—jest dzieckiem ospałém, które chwiejną swą ręką nie uszczknie kwiatów błyszczących na życia niwie i chociaż ciosom nadstawi łono, nie zdoła dosiądz celów; gdy tymczasem zuchwalstwo przemocą złamie twarde zapory gniewu, niechęci, a skruszone w boju ramię upadkiem swym uświęca tryumf jego; „i kiedy łaski losów bogate oplotą skronie zuchwalstwa harde, skromność otrzyma jako zapłatę: politowanie, szyderstwo, wzgardę.“

Ostatni dział „Poezyi“ p. Rossowskiego p. n. „Dziś i jutro“ ma trochę odmienną od poprzednich fizyognomią. I tu nie znajdujemy naturalnie objawów siły, ani wrzących namiętności, ale poeta porusza kwestye wychodzące poza obręb przekomarzań miłosnych, słodkawych wynurzeń uczuciowych, konwencyonalnych obrazków życia... Przeczuwa tu i przepowiada „przewroty nowéj ery“ i pragnie, ażeby grom potężny strzaskał przepróchniałe świata stery, żeby rozwiał „tę drzemiącą w cieniu wiatrów senną ciszę i potężném uderzeniem rozkołysał huragany.“ Jest to negatywne tylko określenie, że

to, co dotychczas było, nie zadawalnia już ludzkości , a pozytywne przyszłe nabytki ogólnikowo tylko zaznaczone są jako wyniki poznania „prawdy nagiéj“; ale jak na poetę, który dotąd krążył wśród poziomych szranek, i to dosyć, że czuje już potrzebę zmiany. Zastrzega się p. Rossowski, żeby go nie brać za radykalnego burzyciela, nie każe śmiać się z mar jasnych, „co tam śpią w mogile głuchéj,“ powiada, że „nam idei ich nie wolno czczą piętnować tylko brednią; przeszłość matką jest przyszłości, więc uchylmy czoła przed nią.“ Żaden téż zapewne z czytelników nie posądzi autora, który chciałby być truwerem i giermkiem, o zamach na „jasne mary“ przeszłości; co więcéj z pewném zdziwieniem odczyta daléj, iż „szara chwila, mgliste świty fałszem są w dziedzinie ducha,“ iż „próżne wszystkie wysilenia, które wsteczny prąd poczyna,“ bo gdy w ludzkości żądza (tj. nowa idea) powstanie, „depce bezlitośnie własny plon na świata łanie.“ A to zdziwienie wzrośnie jeszcze, gdy pod adresem wsteczników ujrzy słowa: „Niechaj serca ani duszy samolubstwo wam nie zrani, gdy padniecie pod jéj stopą niby kłosy—podeptani; może nawet sprawiedliwość w głos natenczas się rozkwili; ale dzieje, was pochwalą, żeście *w czas zejść potrafili*“ (str. 128).

Te końcowe odezwy zdają się wskazywać, że p. Rossowski sam znudziwszy się atmosferą codzienności, w któréj przebywać dotychczas lubił, zastanowić się gotów nad ważniejszemi przejawami życia społecznego i może następnie być poetą prądu nowego, wstrząsającego umysłami i gotującego dla ludzkości nową fazę bytu. Poczucia poetyckiego w nim nie brak, a ono ochronić go zapewne potrafi od suchego, dydaktycznego tonu w traktowaniu nowych dla wyobraźni jego przedmiotów, które obecnie jeszcze tylko z abstrakcyjnéj głównie przedstawiają mu się strony.

Z konwencyonalnego świata rzeczywistości, w którym trzymał nas p. Rossowski, przenosimy się wraz z „Baśnią“ Korczaka do konwencyonalnego świata romantyki. Autor prowadzi nas „tam, gdzie gwiazdy płoną, tam, gdzie niknie świata sprzeczność, gdzie w miłości bóle toną, tam, gdzie niebo, bezmiar, wieczność,“ ażeby stamtąd ukazać nam „ciemne światy ludzkości, znoje dusz i serc pragnienia.“ Podniosłe to stanowisko poety mogłoby rzeczywiście okazać się dla nas, czytelników, pożyteczném, gdyby się stało powodem do rozszerzenia widnokręgu w poglądzie na sprawy ludzkości, gdyby przyczyniło się do głębszego, wszechstronniejszego wejrzenia w owe znoje dusz i pragnienia serc. Ale niestety, u żadnego może z dzisiejszych poetów nie sprawdza się w takim stopniu jak u autora „Baśni“ trafne spostrzeżenie Gomulickiego:

Rzadko dziś czysty kruszec spotykać się zdarza
I najczęściéj poety duch jest amalgamą.

I to amalgamą — dodajmy — nie w tém znaczeniu, jakie Gomulicki miał na myśli, przytaczając Balladynę, ale w gorszém stokrotnie. Sam Korczak powiada: „niechaj wieszcze przeszłości moję lutnię nastroją“, a i bez tego wyznania łatwo zauważyć nader, lub może aż nazbyt wyraźne naśladowanie Krasińskiego, Słowackiego i Dziadów Mickiewicza. Wzory są niewątpliwie bardzo dobre, ale i bardzo podniosłe, ażeby kopiowanie ich było łatwém. Naśladowcy zazwyczaj biorą tylko zewnętrzność, powierzchowność, bo te skopiować nie trudno, ale nie potrafią pochwycić istoty wzorów. Obrać formę dramatu fantastycznego, posługiwać się legionem szatanów dla przedstawienia pewnego szeregu myśli, wywoływać z grobów dusze i kazać im przemawiać o swoich cierpieniach, używać prozy poetyckiéj naprzemian z wierszami o niewyszukanych rymach: to rzecz stosunkowo dość łatwa; ale umiéć to wszystko zastosować do odmalowania obrazów pełnych wzniosłości, grozy, nadzwyczajności, a równocześnie pełnych prawdy materyalnéj i duchowéj — to zadanie, któremu podołać potrafią tylko umysły gienialne, zdolne do lotów wysokich i do swobodnego kierowania niemi. Umysły o średnim talencie, przyswajające sobie formy umysłów gienialnych, a nie umiejące niemi się posługiwać, podobne są do tych, co chodzą na szczudłach, chcąc wmówić w widzów, że latają w powietrzu.

Gienialności zapewne i sam Korczak sobie nie przyznaje, gdyż czuje zbyt wielką, jak na poetę oryginalnego, zależność swoję od wzorów. Pragnie on wzleciéć nad poziomy, ale nie ma po temu sił dostatecznych. Nęci go przykład autora Anhellego; powiada sobie: „niech nie milczą te serca, z których pieśni brzmiéć mogą“ i roztacza przed nami dzieje poety Kinrila (t. j. Lirnika) i Ireny, jego kochanki, a to w towarzystwie i otoczeniu szatanów, aniołów i Eloe, owéj strażniczki grobowców, którą fantazya Słowackiego ze łzy Chrystusa na Golgocie przelanéj wywiodła. Szatan główny w pierwszym obrazie opowiada, że przysiągł kiedyś Stwórcy, iż postawi stopę swoję z całą potęgą na jednéj połowie ludzkości i będzie ją gniótł przez wieki. Tą połową gniecioną są kobiety, które Szatan uczynił tylko narzędziami rozkoszy i rodzicielkami, odmawiając im człowieczeństwa. Powiedzmy nawiasem, że ten szatan był ograniczonym, gdy nie umiał odróżnić narzędzi rozkoszy od rodzicielek i pomieścił je w jednéj kategoryi, ale ponieważ z nim dzieją się rzeczy trudne do uwierzenia, można nie kłaść zbyt wielkiego nacisku na jego zdolności logiczne i poczucie moralne. Ten sam bowiem szatan, który dopiero co się odgrażał na całą ludzkość, pragnąc przemienić jéj życie w „targ i gwałt“, naraz w rozmowie z Eloe, widać sprzykrzywszy sobie rzemiosło swoje, wybiera się na wędrówkę, by

policzyć łzy, co płyną na świecie, i przyrzeka, że jeżeli znajdzie jedną łzę czystą, to porzuci świat, bo i jego także ból gniecie, a drwiąc, sam z siebie drwi, gardząc, gardzi sam sobą. Prawdopodobnie przypatruje się następnie romantycznemu *hocus-pocus*, jakie wyprawia Eloe dla Kinrila, wywołując rozmaite duchy z grobów, jako to: zwolennika dawnych dobrych czasów, kiedy była wiara korna i niewolnictwo, demagoga pędzonego szaloną nienawiścią względem bogatszych i możniejszych, kobiety żyjącéj jak kwiecie i umierającéj jak kwiecie, syna nieprawego-matkobójcy, lalki salonowéj, sieroty-złodzieja, skruszonego zbrodniarza, dziecka marzącego, kochanka własnych urojeń, zawiedzionego w nadziejach, błazna, poety, całego chóru wreszcie, który błaga Stwórcę, ażeby spojrzał na świat pełen łez i krwi. Stwórca na te błagalne zaklęcie nie odzywa się, ale ukazuje się natomiast szatan, który widocznie znalazł czystą łzę, bo się ulitował nad ludzkością i postanowił zasnąć i pożegnać świat. Podczas jego snu zlatuje anioł, który słysząc szlachetne marzenia szatana, wykrzykuje, że jest godnym nieba i że jeszcze tam powróci.... Następuje pauza, ażeby szatan mógł sobie dobrze wypocząć, ale czytelnicy przez to nic nie zyskują, bo autor prowadzi ich znowu na grób kochanki Kinrila i każe jéj w długich, bardzo długich wierszach opowiadać, jak rodzice zubożali chcieli ją wydać za brzydkiego, ale bogatego starca, gdy ona kochała Kinrila, jak następnie przeniosła się dobrowolnie do mieszkanka poety, jak była przez chwilę szczęśliwą, jak oczekiwała ślubu, ale się go nie doczekała, jak następnie tęskniła po odjeździe poety, jak ucieszyła się jego powrotem, a potém popadła w smutek bezbrzeżny, gdy znowu pojechał i nie wrócił, aż wreszcie zeszła do grobu. Eloe w imię hasła romantycznego, że „miłość nie jest winą“, wyprosiła u nieba przyjęcie duszy Ireny i uniosła ją nad błękity, a dusza ta z górnych sfer przesłała przebaczenie Kinrilowi. Szatan przez cały ten czas przesypiał się, ale gdy Eloe widocznie zboczywszy z drogi do niebios złożyła „u stóp jego“ ducha Ireny, przebudził się, a lubo duchy piekielne starały się krzykami obudzić w nim dawną na ludzi zawziętość, rozczulony przemową Eloi, oddaje jéj (—nie wiadomo jakiém prawem—) duszę Ireny, prosząc tylko, by Eloe nim nie gardziła. Eloe spogląda długo na szatana ze łzami w oczach; duch Ireny przemienia się w anioła i ulatuje wraz z Eloe; szatan zaś ze łzą w oku spogląda na niknące w oddali, następnie wypowiada monolog, w którym wyraża swą zazdrość względem ludzi, którzy cierpią wprawdzie, ale kochać też mogą; rzuca wyzwanie Bogu przy strasznych grzmotach i nadzwyczajnych błyskawicach, a w końcu grozi Bogu, że rzuci nań straszniejszy nad wszystkie gromy, grom śmiechu pogardy.... Rozmowa

dyabełków kończy te sceny fantastyczne, które były, jak się zdaje, tylko snem Kinrila, który teraz dla orzeźwienia się idzie o świcie do lasu, gdzie burza szaleć zaczyna, ale to dla poety romantycznego najprzyjemniejsza zabawa, bo „potężniejsze są w szale wszystkie myśli“ jego. Głos odległy pobudza go, żeby szedł daléj: „do walk życia—do pieśni — w dźwiękach pieśni do Boga!...“ I na tém kończy się pierwsza część poematu, dotychczas ogłoszona. Czyż ona nie przypomina kroczenia na szczudłach i to wielce jeszcze niewprawnego? Czy szatan cośkolwiek wypowiedział więcéj niż Konrad w improwizacyi? Czy owe duchy budzone z grobów rzekły coś nowego lub rozumniejszego, czegobyśmy nie czytali w zwykłych obrazach życia przedstawianych w poezyi, powieściach, dramatach? Czém się wyróżnia Kinril przy swoim marzycielstwie i samolubstwie, a przy afektowaném popisywaniu się z wielkiemi frazesami od dziesiątka przynajmniéj swoich współbraci w literaturze?... Potrzeba tylko dodać, że te wszystkie powtarzania, ujęte są w formę ciężką, w styl nieraz niepoprawny. Zaplącze się tu i owdzie myśl trafna, obraz udatny; ale najpobłażliwszy nawet czytelnik nie może o nich długo pamiętać, gdy aż zanadto często musi się zżymać albo na dziwactwo formy, albo na niewłaściwość myśli, albo na słabość lub niezdarność wyrażenia. Gadanina poetycka nie zyskuje nic na tém, że jest ubrana w szaty fantastyczne, jeżeli treść nie dostraja się do formy.

W skromnych ramach prostéj powieści poetyckiéj ujął Tadeusz Otawa dzieje miłości i zgonu dwojga kochanków stepowych. Nie pierwszy to raz występuje autor z tą formą opowiadania, która dziś tak mało już znajduje uprawiaczów, a niegdyś tak szeroko była rozpowszechnioną. Czytelnicy *Ateneum* przypomną sobie sprawozdanie z jego „Haliny.“ Z gór tatrzańskich przenosi nas teraz Otawa na step ukraiński i zdaje się, że to jest dziedzina, w któréj czuje się sam bardziéj w swoim żywiole. „Pieśń lirnika“ jest o wiele prostszą od treści „Haliny“ i rozwija się swobodnie bez żadnych wielkich zawikłań. Jest ona dla niewidomego starca, który płakać już nie może, łzawém przypomnieniem dziejów serca, dawno w zamierzchłą przeszłość cofniętych, ale ciągle obecnych pamięci. Ton liryczny przejmuje też całą opowieść i serdecznością swoją przemawia do naszego uczucia, lubo wyobraźni naszéj nie daje karmi obfitéj. Kozak pokochał kozaczkę; miejscem, na którém żyło i kochało się tych dwoje był step okiem niezmierzony:

Tu pod namiotem z powietrza i słońca
My sami wiedli rozmowy bez końca;
I tu patrzałem na nią, gdy wesoła,
Pierścienie włosów odgarniała z czoła

I swoją rączką naszych stepów kwiaty
Kładła na główkę, ubarwiała szaty.
. . . .
Ach! z nią się równać nie mogłaby żadna,
Tak była świeża, urocza, tak ładna.
Gdy swoich splotów rozpuściła końce,
I szła po stepie z podniesioną głową,
To swéj jasności wstydziło się słońce.
Ona się stepu zdawała królową!
Gdy szła ścieżyną i zrywała kwiatki,
Mając na głowie różnobarwny wieniec,
To się wdzięczyły do niéj, jak do matki—
A na jéj licu rozkwitał rumieniec.
Więc, zawstydzona, że jéj twarz tak płonie,
Ukrywała ją w różyczek koronie.
Dla mnie — ach! ona była wszystkiém razem:
Słońcem, królową i lilijką białą,
Bo moje serce tak ją pokochało,
Żem jak przed świętym korzył się obrazem.

Ta prostota w malowaniu uczuć miłosnych barwami zwykłemi, trochę dziś już zblakłemi, jest bardzo właściwą w ustach lirnika kozackiego; możnaby tylko zauważyć, że ten kozak bardzo podobny do samego poety w wyrażeniach, że jest-to kozak nie prawdziwy, ale konwencyonalny, jaki w poezyi szkoły ukraińskiéj zwykle się pojawia. Bądź-co-bądź miłość ta spokojna, cicha, bez przeszkód rozwijała się na stepie do czasu, gdy „świsnęły w dali tatarskich hord strzały i krwią się Dniepru zrumieniły wody.“ Wówczas kozaczka zaproponowała kochankowi, żeby dla obrony chaty rodzicielskiéj i ziemi rodzinnéj poszli razem, przebiegli szlaki :

Jak dwa mołojce — dwa orły kozaki —
I tam, gdzie strzały nieprzyjaciół świszczą,
I tam, gdzie spisy zaporoskie błyszczą,
I tam, gdzie jęki, gdzie rozpacz, gdzie wrzawa,
Gdzie się śmierć z ludzkiéj mocy naigrawa —
I tam, gdzie męska dzielność i gdzie trwoga,
Tam my staniemy piersią *przeciw wroga!*

Po tym trochę za retorycznym wybuchu uczuć, kozaczka spełniła swoję propozycyą, przebrała się za kozaka, dosiadła dzielnego konia i wraz z ukochanym dostali się do obozu mołojców. Trochę było podejrzenia wśród nich, że to krasawica a nie kozak zwiększył ich grono, ale dzielne odezwanie się jéj przytłumiło wątpliwości — i odtąd pozostała w obozie. Niebawem przyszło do bitwy z Tatarami. Kozaczka dowiodła, że męstwo jéj i odwaga to nie puste frazesy, ale dowód ten przypłaciła śmiercią. Długo szukał naprożno

kozak towarzyszki swojéj, aż wreszcie znalazł jéj trupa. Na brzegu rzeki, przy Dnieprowéj fali grób wykopał dla niéj szablą, nanosił nań ziemi, usypał mogiłę rękami, zrosił łez strugą i obsadził kwiaty wonnemi. Odtąd codzień widywał ją o północy, jak z srebrzystéj fali wypływała, lub jak bujała po chmurkach śród niebios błękitu, lub na ziemię schodziła po promieniach tęczy. Ludzie nie wierzyli tym widzeniom i śmieli się z szalonego lirnika-dziada, ale on twierdził, że przeczono dlatego, iż nikt nie kochał tak bardzo jak on; „ona jest zawsze ze mną — powiada słusznie lirnik — bo jest we mnie.“.

Do téj pieśni lirnika dodaje autor od siebie zakończenie. Dziad widzi oczyma duszy ukochaną swą po raz ostatni; powstał, słucha. Cóż słyszy?

. . . . . . Cisza — ach! cisza grobowa!
Czy ten jęk z mogił, kurhanów? jęk bratni?
To może bardów tajemna rozmowa?...
To może dziad ten, z lirników ostatni,
Jak gdyby dawno znajome mu dźwięki,
Chwyta uszyma zagrobowe jęki?..
A kto nie wieszczem stepów, nie zrozumie,
Nic nie dosłyszy w pustych dźwięków szumie;
Lecz bard, lecz pieśniarz, lecz ten lirnik stary....
Może z nim wtenczas rozmawiają duchy?...
Może mu w pieśni wtórują moczary?...

Przycisnął mocniéj lirę do łona, coraz smutniéj grał, coraz boleśniéj, nagle dźwięk zabrzmiał ponuro, dziad urwał, spojrzał na niebo obłąkanym wzrokiem, jak gdyby szukał kogoś po za chmurami, padł na ziemię i skonał.

Bezimienność bohaterów téj powieści, brak szczegółów w roztoczeniu wypadków mogą tłómaczyć się albo lirycznym nastrojem całości, dla którego dosyć wyrazów: *on* i *ona*, albo chęcią uogólnienia, uosobienia pewnych stosunków dziejowych między Polską i Ukrainą, chęcią, któréj autor nie zamierzał zbytecznie akcentować. Piękności niezwykłych, pierwszorzędnych nie znajdziemy w tym utworze, ale niéma też zaniedbania lub nieudolności rymotwórczéj; pod tym względem dałyby się wytknąć nieliczne tylko usterki (str. 30: rzekłem-wyrzekłem, str. 38: pomkły i t. p.).

I znowu wracamy do obrazków i zagadnień życia dzisiejszego. P. Bolesław Londyński, pisujący dawniéj pod pseudonimem Bruno Las, zebrał z wydawnictw humorystycznych swoje wiersze okolicznościowe i ogłosił je jako zbiorek „Poezyi.“ A choć takim tytułem zbiorek ten przyozdobił, wyznaje, że do rzędu prawdziwych poetów liczyć się nie śmie, przewiduje z żartobliwą przesadą, że krytyka na-

zwie go „nieprawym synem Muzy,“ wié, że sława byłaby ,,za wielkim zbytkiem“ dla jego „wierszy“; ale równocześnie przytém roi o jednéj ich wartości, że wyjdą „ojczyźnie na pożytek.“ Zapewne, każdy służyć może i powinien spółziomkom tém, na co go stać, i jeżeli tylko dokona tego, co umie, tak, jak to autor określił w wierszu „Obowiązek“, to jest wytrwale, nie zrażając się przeszkodami, wciąż naprzód postępując, to może się nazwać użytecznym kraju obywatelem. Nie każdemu dostała się w podziale zdolność szybowania pod niebiosa, nie każdy potrafi odkrywać nowe prawdy lub też nadawać znanym piękną, pociągającą formę, ale każdą zdolność można doskonalić i doprowadzać ją do tworzenia rzeczy coraz lepszych. P. Londyński posiada dwa przymioty: werwę młodzieńczą, zwracającą się przeważnie ku wytykaniu wad i ułomności ludzkich, oraz niepospolitą łatwość wierszowania. Nie można powiedziéć, ażeby używał pierwszego przymiotu na złe cele; w wierszach jego znajdujemy wszędzie trafne poczucie tego, co dobre, piękne, szlachetne, a ztąd też w wyszydzaniu przeciwnych im objawów wszędzie jest słuszność. Przeciwko wadom, które chłoszcze swém piórem, takim jak: blaga, chwiejność zdania i postępowania, zakładanie całéj działalności na mówieniu ładnych frazesów, maskowanie się, pycha, zarozumiałość i nieczułość bogaczy, lichwa, pogoń za groszem, życie nad stan i zadłużanie się, patrzanie na złe przez szpary, branie kubanów, rozpusta, spodlenie i t. p., każdy uczciwy człowiek jest na równi z satyrykiem wrogo usposobiony i chłostę jego chwali. Lecz to jest etyczna zaleta, bardzo ważna niewątpliwie, ale nie dostateczna do nadania wierszom znaczenia poezyi. Wszystkie te zdrożności, które pod rozbiór wziął p. Londyński, są rozpatrywane, że tak powiem, na poczekaniu, jak to było właściwém charakterowi pism peryodycznych, w których poezye te pierwotnie się mieściły, bez głębszego wejrzenia w ich źródła i istotę tych zdrożności, bez starania o prawdziwie artystyczne ich odtworzenie. A przecież w tak popularnym właśnie rodzaju satyry, jaki uprawia autor, dbałość o te zalety byłaby bardzo pożądaną, bo idzie tu o rzecz ważną, o dodatnie oddziaływanie na ogół czytający. Autor ma tę wadę, którą sam społeczeństwu wytyka, że traktuje rzeczy „przez nogę“; i nie tylko żartobliwie, ala na seryo musi o sobie powiedziéć: „Idąc torem obyczaju, i ja, chociaż gderam, własną pracę rymotwórczą nieraz *poniewieram*“ (str. 175). Często wpadnie mu na myśl temat, który mógłby stać się prawdziwie poetyckim obrazem zdrożności, ale autor śpiesząc, ażeby coprędzéj kilka lub kilkanaście zwrotek utworzyć, dotyka go po wierzchu tylko, pobieżnie, bez pilniejszéj rozwagi. A do tego lekceważenia w traktowaniu tematów przyczynia się u niego

w wysokim stopniu łatwość wierszowania. Mając pewien zapas wyrażeń, porównań, przenośni i rymów szafuje niemi bez staranniejszego wglądania w to, czy one ułożą się w piękną harmonią, czy wypowiedzą dobitnie myśl, którą miały wyrazić, czy chęć zrymowania wierszy nie skrzywi rozpoczętego obrazu. Stąd jego poczucia logicznego i estetycznego nie razi wcale, gdy powtórzy dwukrotnie w jednym utworze: „ja z krwią w *żyłach*, z *sercem w krzepkiéj dłoni*" (str. 17, 20), ani gdy napisze: „wy, co w *nędz* ducha pogrążeni *masie*" (23), lub „czoło me zdobi werwa i otucha" (33), ani gdy temiż samemi zwroty (i to niezbyt szczęśliwemi) nieraz się pieści (zmysły onieśmielać str. 5, 228; nędza grozi szyderczo kosturem, str. 18, 24; po wertepach życia, str. 22, 33 itp. itp.). Stąd wyrażeń brukowych, żargonowych nie tylko nie unika, ale chętnie niemi się popisuje. Stąd o dobór rymów stara się niewiele. Jeśli autor chciał naprawdę poezye swoje puścić w świat „ojczyźnie na pożytek", powinien był trochę więcéj nad swoją zdolnością popracować i trochę więcéj przyłożyć starania ku wydoskonaleniu swych natchnień satyrycznych....

„Poezye" d-ra Długoborskiego co do treści swojéj na równe uznanie zasłużyć mogą jak poezye p. Londyńskiego, lubo są w innym rodzaju, bo uczuciowym lub gnomicznym, ale co do wykonania są od nich znacznie gorsze, bo oprócz zaniedbania a niekiedy nawet nieudolności formy, grzeszą jeszcze niepoprawnością języka, a mianowicie rusycyzmami. W wyrażeniu uczuć znajdujemy tu konwencyonalną frazeologią, w malowaniu krajobrazów — barwy spłowiałe, w rozwinięciu myśli—brak głębszéj analizy. Co do słabości wiersza, może dać pojęcie następny czterowiersz—oczywiście wybrany w tym celu umyślnie:

Życie jest krótkie — więc *nie męcz!*—
Oszczędź *ty* bólów bratu;
Uwij przymierze z jasnych tęcz
I okaż wzgardę światu (str. 34).

Są tu naturalnie i wiersze lepiéj rymowane; do stosunkowo najudatniejszych należy „Marzenie."

Oprócz pieśni lirycznych i gnomicznych w zbiorku mieszczą się jeszcze trzy obszerniejsze poemata: gawęda „W piwiarni", fantazya „Rusałki" i dyalogowany utwór fantastyczny „W ciemności." Pierwszy przedstawia rozprawy przy kuflach piwa, grę i śmierć muzyka steranego i zmarnowanego; wykonany jest realistycznie, ale nie budzi spółczucia tylko niesmak. Drugi opowiada o chłopcu, który nie zaproszony po zabawie u rodziców kochanéj dziewczyny na nocleg, zbłądził w lesie u jeziora i pociągnięty śpiewem rusałek obiecujących

stałe rozkosze — poszedł do nich; w drugą noc do jeziora wskoczyła téż i dziewczyna; ponieważ motyw pierwotny o nieprzyjęciu chłopca na nocleg nie jest dostatecznie jasny dla czytelnika, więc téż całość nie może sprawić głębszego wrażenia. Najobszerniejszy poemat „W ciemności" jest naśladowaniem II części „Dziadów." Powoływane z grobu duchy opowiadają sceny ze swego życia; pojawiają się po kolei: morderca, chciwiec, sierota, która wyszła za bogacza, choć innego kochała. Ta ostatnia mara najdłużéj opowiada o swoich cierpieniach, o strasznych w życiu przejściach. Chór wysłuchawszy tych sprawozdań grobowych przychodzi do wniosku, że gdy „noc ciemna roztoczyła swe kiry dokoła", gdy „myśli się poplątały, nędzy niéma końca", oczekiwać należy dnia straszliwego, który „da moc temu, co dobre, wydrze ludzkiéj złości, lub zagładę téż ześle i zażąda kary; wytępi w noc wylęgłe występki bez miary." Przedstawienie całości w formie fantastycznéj, podobnie jak w „Baśni" Korczaka, tylko z mniejszym daleko talentem słowa, nie ma właściwie żadnego celu i niczém nie jest usprawiedliwione; a nader słabe wykonanie sprawia, że wrażenie z przeczytania wynosi się ujemne.

Tenże autor ogłosił także pierwszą część „Ech szalonéj Ameryki." Nieudolność formy i niepoprawność języka jest tu takaż, jak i w „Poezyach"; tylko więcéj gadatliwości. Autor w bardzo długiéj gawędzie dowodzi rzeczy, która już dawno w publicystyce naszéj spopularyzowaną została, że kobieta potrzebuje wyższego wykształcenia, ażeby mogła zostać prawdziwą towarzyszką męża, dobrą matką, umiejącą wychowywać swe dzieci, żeby nie była ślepą naśladowniczką mody, żeby umiała rozmawiać o rzeczach poważnych, interesujących wykształconego mężczyznę i tym sposobem podniosła poziom życia codziennego. Może te prawdy nie są jeszcze dość upowszechnione, może autor z własnych spostrzeżeń przekonał się, że potrzeba je wielu powtarzać ludziom; ale należy zrobić uwagę, że aby apostolstwo takich prawd było skuteczne, aby je przyjęto chętnie, potrzeba zręczniéj się brać do niego niż d-r Długoborski, który rozwlekłą gawędą prędzéj znudzi czytelnika, niż go przekona.

Takie są ostatnie plony poezyi naszéj. Jakkolwiek wielką odznaczają się różnorodnością, można pomiędzy niemi odnaleźć jednę cechę spólną, ale niestety! negatywną tylko. Nigdzie nie odkryliśmy jakiéjś myśli wybitnéj, jakiegoś ideału, ku któremu zwrócićby się mogły uczucia ogółu. Najbardziéj utalentowani czują potrzebę takiego ideału, wyznają głośno dawne romantyczne hasło o posłan-

nictwie poezyi w narodzie, ale po za temi ogólnikowemi odezwami nie robią nic takiego, coby ich do urzeczywistnienia owego posłannictwa zbliżyło. Eklektyzm i wirtuozya — to znamiona charakteryzujące twórczość najlepszych, najzdolniejszych; powtarzanie tematów starych, naśladownictwo niezręczne lub nieudolne wzorów romantycznych, satyra zdawkowa i powierzchowna, pesymizm jednogodzinny — to cecha umysłów mniéj śmiałych lub mniéj utalentowanych. Wszędzie brak świeżości i orlego polotu. A przyczyna? Bodaj nie inna, jak — że nam wszystkim nie dostaje możności szerszego oddechu....

P. Chmielowski.





ZNACZENIE PARY WODNÉJ W POWIETRZU

DLA ZDROWIA NASZEGO.

(SZKIC TREŚCI FIZYCZNO-HYGIENICZNÉJ).

I.

Wpływ wilgoci atmosferycznéj na zdrowie nasze bardzo jest znaczny, nie tyle wszakże jeszcze znany powszechnie, jakby należało. Dla roślin i zwierząt pewna ilość pary wodnéj w powietrzu koniecznie jest potrzebna. Wiemy oddawna, że powietrze za *nadto suche* zabiera im łapczywie wilgoć ich naturalną i nad miarę wysusza wszystkie błony organiczne, szkodzi więc niepomiernie, jeśli posucha trwa czas dłuższy,—powietrze zaś za nadto wilgotne utrudnia znowu wielce transpiracyą przez skórę i płuca, dla zdrowia koniecznie potrzebną, i działając w ten sposób dłuższy czas bez przerwy, szczególnie gdy jest zimne, szkodę nam przynosi.

Lecz co rozumiemy właściwie przez wilgoć powietrza? Na pytanie to daje odpowiedź fizyka, która uczy, *a*) że powietrze zawsze i wszędzie pewien, czasem większy, czasem mniejszy zasób pary wodnéj w sobie mieści;—jestto ilość jego rzeczywista, także *bezwzględną* nazwaną, *b*) że ta bezwzględna ilość pary wodnéj w powietrzu atmosferyczném z temperaturą jego rośnie i przy wysokich temperaturach 4, 5 a nawet 10 razy bywa większą, niż przy nizkich; *c)* że przy każdéj temperaturze w powietrzu do pewnéj tylko granicy ilości pary wodnéj przybywać może. Ilość ta zowie się téż *maksymalną*, temperaturze odpowiednią ilością (*maximum*). I tak np:

przy temperaturze		1°R,	5°R	8°R,	10°R,	15°R,	20°,R,	25°R,	30°R.
co najwięcéj .	grm.	5	7·3,	9·2,	11,	16,	23·1,	32·6,	44 grm.

pary wodnéj w metrze sześciennym (stere) powietrza mieścić się może, najmniejsza zaś nadwyżka wskutek obniżenia temperatury po-

wstała, zaraz skroplić się musi (rosa, mgła). Wówczas dalsze tam parowanie wody ustaje, gdyż powietrze nasycone jest parą. Temperaturę, przy któréj to się stanie, zowią *punktem sytu* czyli także *stopniem nasycenia*. Najlżejsze zamglenie w powietrzu, najdelikatniejsza powłoka rosienna na powierzchni lśniącego się przedmiotu, zimniejszego od najbliższych warstw powietrza, świadczy o zaszłém przesyceniu powietrza parą. Jeśli ono np. przy 8°R (10°C) zawiera 5 grm. pary wodnéj w jednym *stère*, daleko mu jeszcze do zupełnego nasycenia się nią, tj. do nabrania w siebie 9·2 grm. wody, które przy téj temperaturze w stanie gazu utrzymywać może. Różnica 9.2 — 5 = 4·2 grm. przedstawia ówczesny jego *niedosyt*. Jeśli zawiera 9 grm., niedosyt wynosi 0·2 grm. i nasycenie jego już bliskie, w razie zaś dojścia niedosytu do 0, tj. *sytu* do 9·2, jest ono parą całkiem nasycone. Otóż od ułamków 5/9·2 = 0·54, 9/9·2 = 0·97, 9·2/9·2 = 1·00, czyli od stosunku rzeczywistéj ilości pary wodnéj w powietrzu danéj temperatury do *największéj* możliwéj przy téj temperaturze, czyli do t. z. *maximum* temperaturze odpowiedniego, zależy mniejsza, lub większa bliskość wydzielania się pary w postaci najdrobniejszych kropelek na zimniejszym przedmiocie, czyli *względna* ilość pary wodnéj w powietrzu, *wilgocią* w mowie potocznéj nazwana. Wilgoć największą powietrza przedstawia więc liczba 1. Dla uniknięcia jednak ułamków zamiast jedynki przyjęto liczbę 100 za przedstawicielkę téj największéj wilgoci, znacząc pośrednie stopnie wilgoci liczbami od 1 do 100 idącemi, które też panującą w powietrzu wilgoć w odsetnych częściach (procentach) téj *największéj* temperaturze odpowiedniéj ilości pary wyrażają. I tak np. w powietrzu temperatury 8°R (10°C) *okaz* 75% wilgoci znaczy, iż w jednym jego metrze kubicznym, mogącym (jak wiadomo) w temperaturze téj co najwięcéj (jako *maximum*) 9·2 grm. pary wodnéj w stanie zupełnie lotnym utrzymać, znajduje się faktycznie tylko $\frac{9{\cdot}2 \times 75}{100} = 6{\cdot}8$ grm. niedosyt więc podówczas 9·2 — 6·8 = 2·4 grm. wynosi;—w powietrzu temp. 16°R (20°C), które w jednym *stere* najwięcéj 17·31 grm. wody w stanie lotnym utrzymywać może, przy 75% wilgoci mieści się $\frac{17{\cdot}31 \times 75}{100} = 12{\cdot}96$ grm. a niedosyt czyni 4·30 gramów, nareszcie w powietrzu mającém temp. 24°R (30°C) i 75% wilgoci, ilość pary $\frac{30{\cdot}37{\cdot}75}{100} = 22{\cdot}77$ gramów, niedosyt zaś 7.6 grm. wynosi.

Przyrządy do oznaczania wilgoci w powietrzu zowią się *hygrometrami*. Najwięcéj używane i za ścisłe uznane sposoby mierzenia wilgoci atmosferycznéj są: 1) *Brunnera* czyli raczéj *Regnaulta*, me-

toda *ważenia*; 2) Renaulta metoda oznaczania temperatury sytu rzeczywistą ilością pary w powietrzu czyli t. z. *punktu rosienia*; 3) metoda mierzenia prężności pary w powietrzu zapomocą *psychrometru Augusta* lub zalecanego w najnowszych czasach *hygrometru procowego* (1), przy każdém użyciu w ruch kołowy wprawianego; nareszcie 4) metoda oznaczania wilgoci i *punktu rosienia* zapomocą *hygrometrów włosowych*.

Hygrometr włosowy polega na tém, iż czysty włos, pozbawiony ługiem tłuszczu, rozciąga się w wilgotném, a ściąga w suchém powietrzu. Na swéj podziałce ma on 100 kresek, *stopniami* zwanych, a skazówka okazuje *stopień wilgoci*. Im wyższa liczba takiego stopnia, tém powietrze bliższe punktu *nasycenia* parą a tém samém wilgotniejsze; im mniejsza zaś ta liczba, tém bardziéj powietrze od *punktu sytu* oddalone i tém więcéj jest suche.

Z pomiędzy hygrometrów włosowych, w ostatnich latach sporządzonych, zasługują na wspomnienie hygrometry według przepisu *Koppa* sporządzane przez *Hottingera* w Zurychu (szczególnie dla prostego mechanizmu justowania), tudzież hygrometry z fabryki *Lambrechta* w Getyndze (dla możliwości bezpośredniego odczytywania wilgoci w odsetkach maksymalnéj ilości i zarazem punktu rosienia). One też wystarczają zupełnie do zwyczajnego użytku domowego, tak dla hygienistów, jako też z pewną kontrolą dla meteorologów z zawodu. Egzemplarze dawniejszéj konstrukcyi, zaopatrzone są w termometr i do każdego jako część integralna należy osobna mała *tarcza* (*redukcyjną* zwana), która służy do odczytania *punktu rosienia* bez dalszego obliczania. Ustawiwszy bowiem na niéj liczbę odpowiadającą temperaturze powietrza, nad liczbą stopnia panującéj właśnie wilgoci, odczytać można wprost *temperaturę rosienia*. Jest nią ta, która wówczas liczbie 100 na cyferblacie tarczy redukcyjnéj odpowiada. Egzemplarze najnowszéj konstrukcyi, do noszenia sposobne, nie mają własnego termometru, lecz za to tak są urządzone, iż na cyferblacie odczytuje się odrazu nietylko wilgoć w odsetnych częściach, ale także *temperaturę rosienia*, *odejmując od temperatury powietrza stopień termometryczny przez skazówkę na cyferblacie uwidoczniony*. Dla łatwiejszego oryentowania się kładę tu jedno takie od-

---

(1) Dwa dokładne i z sobą całkiem zgodne termometry na jednéj osadzie blisko siebie umieszczone, z których jeden pokryty jest podwójną warstwą muślinu i w razie próby hygrometrycznéj zwilża się wodą przekroploną. Przyrząd ten na sznurku jednometrowéj długości wprowadza się jak zwyczajną procę w ruch kołowy z chyżością jednego pełnego obrotu w jednéj sekundzie i po 100 wykonanych obrotach takich odczytuje się temperaturę na suchym i zwilżonym termometrze a z różnicy obu wskazań oblicza prężność pary w powietrzu i wilgoć jego.

czytanie na hygrometrze Lambrechta. Przy temp. powietrza 12·5°C, (któréj max. pary wynosi, jak wiadomo 11 gramów) odczytano na cyferblacie oznaki: 55% wilgoci i 9°C; zatém był *punkt rosienia* 12·5°C — 9°C = 3.5°C, gdyż w powietrzu zawierało się gramów pary $\frac{11.55}{100}$ = 6·05 a ilość ta jest *maksymalną* ilością przy temp. powietrza 3°5C. Niedosyt zaś wynosił wtedy 5 gramów, tj. tyle jeszcze pary do zupełnego sytu powietrza brakowało.

Do rozwiązywania zagadnień hygrometryczno-hygienicznych potrzeba koniecznie mieć także *tablice hygrometryczne*, mianowicie *tablicę maksymalnych prężności* (w milimetrach rtęci) *i wag* (w gramach) pary w jednym *stere* nasyconego powietrza przy temperaturach od — 16° do + 40°R,—tudzież *tablice niedosytu* dla tych temperatur i różnych stopni wilgoci od 10% do 100%.

Jeśli tedy w powietrzu 15°R, utrzymać się może co najwięcéj 16 grm. pary w jednym stere,—powietrze zawierające jéj tylko 8 grm. w témże, napełnione jest tylko do połowy parą i wilgoć jego oznaczać się będzie w % liczbą 50, gdyż 8/16 × 100 = 50. Odwrotnie też, znając wilgoć powietrza w odset. przy danéj temperaturze, łatwo jest za pomocą tablicy maximów oznaczyć rzeczywistą ilość pary wodnéj w tém powietrzu, gdyż w tablicy przy 15°R stoi 16 grm. maksymalnéj ilości pary, zatém powietrze 50% zawierające tylko $\frac{16 \times 50}{100}$ = 8 grm. w jednym metrze sześciennym mieścić może. W razie zaś obecności np 5 grm. pary w powietrzu przy 8°R, musiałoby ono (jak tablica maksymów czyli sytu okazuje) oziębić się aż blisko do + 1°R, aby nastąpiło rosienie, tj. aby ono doszło do wilgoci 100%.

Temperatura też 1°R, jest *punktem rosienia* w powietrzu, które ma 5 gramów pary w każdym metrze sześciennym, czyli zawiera w sobie parę wodną blizko 5 mm. prężności (ciśnienia). Im większa wilgoć w powietrzu, tém bliżéj *punkt rosienia* leży pod temperaturą powietrza, a im daléj te dwie temperatury się rozchodzą, tém większa suchość w powietrzu panuje. Można przeto pod wyrazem wilgoci powietrza rozumiéć także *stosunek obydwóch maksymów* ciśnienia (lub wagi) pary wodnéj *przy temperaturze rosienia* i *temperaturze powietrza*, odczytanéj na termometrze.

Przy pomocy tablicy *maksymów* prężności lub wagi pary w jednym stere znajomość *temperatury rosienia* prowadzi wprost do znajomości *rzeczywistego zasobu* pary w powietrzu, gdyż ten jest właśnie maksymalną ilością dla onéj temperatury, jak to już wyżéj wspomniałem.

II.

W życiu potocznem nazywamy powietrze *suchém*, jeśli w niém rzeczy mokre prędko wyséchają, *wilgotném*, jeśli wyséchanie leniwo postępuje. W tym drugim przypadku hygrometr przeszło 75% wilgoci okazuje. W lecie powietrze suche będąc ciepłem daleko więcéj gramów pary w sobie mieścić może, niż najwilgotniejsze zimne w późnéj jesieni lub w zimie. Zachodzi tedy pytanie, ile właściwie pary wodnéj, jaki stopień wilgoci posiadać ma powietrze atmosferyczne, aby było dla nas zdrowém? Na to pytanie dziś tylko w ogólnych zarysach można dać odpowiedź. Zdania tez hygieników o tym przedmiocie nie zgadzają się z sobą. Jedni zachwalają wilgotne powietrze nadmorskie, drudzy okolice Riviery, inni zaś suchy klimat północno-afrykańskiéj pustyni,—Algier i Kairo. Tak samo ma się ze zdaniami o *normalnéj wilgoci* pomieszkań naszych. Podczas gdy *Krieger* (1) suche powietrze ocieplonych w zimie pokoi posądza o zbytnią przydatność do wywoływania *katarów* narządu oddechowego, a nawet anginy i dyfteryi, uważa przeciwnie *Reinhold* (2) suchość powietrza za rzecz dla zdrowia naszego wielce zbawienną i gani wszelkie dziś używane sposoby zwilżania powietrza pokojowego przy centralném ocieplaniu, uważając je za zbyteczne i całkiem niepotrzebne. Przyczyna takiéj sprzeczności zdań leży poczęści w téj okoliczności, że zmiany wilgoci powietrza rzadko kiedy lub może nigdy same, lecz zawsze równocześnie z innemi wpływami klimatycznemi na organizm nasz działają; przy rozbieraniu więc *sumy* wszystkich tych wpływów i ocenianiu znaczenia pojedynczych jéj części szerokie pole dowolności pojedynczym badaczom jest pozostawione. Nadto też pogląd na sposób działania różnych stopni wilgoci dlatego był dotąd utrudniony i prawie niepodobny, że za miarę wilgoci powietrza używano wyłącznie „*względnéj wilgoci w stopniach procentowych*“, ta zaś faktycznie dokładnego wyobrażenia o jakości wpływu wilgoci atmosferycznéj na stan zdrowia naszego nie daje, gdyż te same odsetki wilgoci przy różnych temperaturach (jak już rzekłem) różnym ilościom pary w powietrzu odpowiadają. Chcąc przeto wpływ ten z naukową precyzyą określić i granice jéj szkodliwości ściśle oznaczyć, prócz dotychczasowych miar innéj jeszcze koniecznie używać przyjdzie, mianowicie miary *niedosytu*, która przy rozwiązywaniu zagadnień hygienicznych ścisłe porównywanie skut-

(1) Aetiologische Studien, 2-te Aufl. Strassburg 1880.
(2) Reinhold, Archiv. f. Hygiene, 1885, T. III, str. 183.

ku różnych stopni wilgości możliwém czyni i zarazem czynność tę znacznie ulatwia. O tém będzie mowa jeszcze niżéj.

Mokra bielizna na płocie lub strychu w powietrzu parą nasyconém nie schnie, póki się wilgoć jego nie pomniejszy; rozwieszona zaś na wietrze lub blisko ognia, który temperaturę powietrza w około podnosi i śpiesznie je osusza, dość prędko pozbywa się wody. Pod pewnym względem ciało nasze zachowuje się podobnie w powietrzu atmosferyczném. Według stanu jego wilgoci i tych okoliczności, od których stan ten zawisł, ilość i sposób ubywania wody z ciała naszego przez parowanie różnym zmianom ulega. To zaś oczywiście bez wpływu na zdrowie nasze nie pozostaje. Ilość rzeczywista wody, którą w pewnym przeciągu czasu całe ciało już to przez płuca, już to przez dziureczki skóry w postaci pary na zewnątrz oddaje, przy bardzo wilgotném powietrzu może być mniejsza, przy bardzo zaś suchém znowu większa, niż na to warunki zdrowia zezwalają. Fluktuacye takowe wszakże, jak uczy doświadczenie, tak znacznie zdrowia naszego nie alterują a przynajmniéj w zwykłych okolicznościach nie przynoszą mu ciężkiéj szkody. Wprawdzie zbyt słabe wydzielanie pary wodnéj przez czas dłuższy w spółce z innemi chłodzenie ciała utrudniającemi czynnikami może się stać zdrowiu wielce niebezpiecznėm i równie też zbyt silne uprowadzanie onéj z ciała może nareszcie sprowadzić szkodliwe następstwa, jeśli ubytek wody odparowanéj wcześnie przez picie i pokarmy nie zostanie należycie wyrównany. Przy zwykłym jednak trybie życia jesteśmy zawsze w stanie bez obawy chorobliwego uszkodzenia ciała utrzymywać zdrowie w równowadze przez odpowiedni zawsze dowóz wody i pokarmów płynnych, zwłaszcza gdy organizm nasz inne jeszcze prócz płuc i skóry posiada drogi do wydzielania niepotrzebnéj wilgoci i ciągłego regulowania całéj téj sprawy fizyologicznéj. Stosunek więc bezwzględnéj ilości pary wodnéj w atmosferze do całéj ilości wody przez ciało nasze wydzielanéj i przez nie przechodzącéj w zwykłych okolicznościach żywota nie ma tak wielkiego w hygienicznym względzie znaczenia, jak się komu zdaje.

Inaczéj wszakże przedstawia się rzecz cała, jeśli z naukową ścisłością przystąpimy do rozebrania wpływu wilgoci atmosferycznéj osobno na *respiracyą* przez płuca, osobno zaś na *transpiracyą* przez skórę ciała naszego. Tu okazuje się, że inne pretensye do powietrza atmosferycznego i inne potrzeby pod względem pary wodnéj wogóle a wilgoci w szczególności mają płuca nasze, inne zaś skóra ciała naszego. Płuca dla utrzymania w normalnym stanie sprawy oddéchania potrzebują pewnéj *bezwzględnéj* ilości pary wodnéj w powietrzu, troszczą się więc głównie o *temperaturę rosienia*, skórze zaś na-

széj dla ochrony ciała od przecieplania i przeziębiania chodzi przedewszystkiém o stopień wilgoci w powietrzu, a ilość jéj procentową, czyli raczéj o *wielkość niedosytu*, na bezwzględnéj zaś ilości pary w atmosferze wcale nie zależy.

Płuca w stanie normalnym stałą prawie ilość powietrza (około pół litra) przy każdym oddechu wyziewają. Powietrze to blisko temperaturę krwi (37° C., czyli około 30° R.) posiada i parą wodną prawie całkiem jest nasycone. Metr więc kubiczny (*stere*) wyzionięgo powietrza około 44 gramów wody zawiera, czy wziewamy powietrze suche, czy wilgotne, ciepłe czy zimne. Nasycenie jego parą wodną, równie jak i ogrzanie do 30° R., rozpoczyna się w nosie i przewodzie oddechowym, a dokonywa ostatecznie w najdelikatniejszych rozgałęzieniach płuc, które tyle wody powietrzu tamże dostarczają, ile jéj ono przy temperaturze krwi zabrać jeszcze może. Im więcéj przeto pary wzionięte powietrze w sobie już mieści, to tém mniéj wyzionięte zabrało jéj z nosa i płuc i odwrotnie. Jeżeli np. powietrze atmosferyczne, którém oddéchamy, w jednem *stere* ma 5 gramów, a stere wyzionięgo powietrza zawiera ich 44, drogi oddéchowe i płuca dostarczyły temu ostatniemu 44 — 5 = 39 gramów pary wodnéj; jeśli zaś 16 grm., wyzionięte powietrze zabrało z nich tylko 44 — 16 = 28 grm., t. j. około 30% mniéj niż w poprzednim wypadku. Większe przeto ilości pary dokładać muszą płuca przy oddéchaniu w zimném, chociażby znacznie wilgotném powietrzu, niż oddéchając w powietrzu ciepłém i wilgotném. W łaźniach parowych powietrze jest do 40° R. ogrzane i parą przesycone; tam więc płuca przy oddéchaniu żadnéj pary własnéj z alweolów (pęcherzyków) swoich nie wydzielają i dla tego bez pewnych ostrożności (jak oddéchanie przez gąbkę maczaną w zimnéj wodzie) dłużéj nad 10 do 15 minut nie mogą zostawać w takiém powietrzu osoby, skłonne do krwotoków lub udarów.

Według doświadczeń *Vierordt*'a, człowiek dorosły, zdrów na piersi, wyziewa w stanie normalnym w ciągu doby blisko 10 sterów powietrza, z którém płuca 330 gramów wody z siebie wydzielają,— i ma się całkiém dobrze. Że zaś to powietrze posiada temperaturę 30° R. i jest parą przesycone, więc jeden *stere* wyzionięgo powietrza ma w sobie 44 gramów wody, któréj płuca same tylko 33 gramów dostarczają, a resztę = 11 grm. musi już zawierać powietrze wziewane. Lecz ilość 11 gramów jako *maximum* odpowiada *temperaturze rosienia* = 10° R. (12·5° C.) Dla tego też *punkt ten rosienia* normalnemu stanowi oddéchania jest najodpowiedniejszy i dla płuc naszych najbardziéj przyjemny. Bezwzględna przeto czyli *rzeczywista* ilość pary w powietrzu, którą *temperatura rosienia* wyraźnie za-

znacza i na tablicy *maksymów pary* bezpośrednio uwidocznia, na sprawę oddéchania a z nią na obieg krwi w ciele bardzo znaczny wpływ wywiera, jest dla niéj rzeczą główną i prawie decydującą.

III.

Odmienny wpływ wilgoć atmosferyczna na skórę ciała naszego wywiera. Skóra ta, któréj powierzchnia temperaturę 26° do 28° R. posiada, ciągle wodę z ciała w postaci pary wydziela. W pokoju parowanie przy każdéj temperaturze jedynie od *wilgoci powietrza* (na dworze także od wiatru) zależy i w powietrzu parą nasyconém całkiem ustać musi w chwili, gdy powietrze to dojdzie do temperatury, jaką skóra właśnie posiada. Stan ten istniałby ciągle pod odzieżą, gdyby ona nie składała się z materyi dziurkowatych, które wymianę powietrza przyskórnego na świeże zewnętrzne ułatwiają. Im lepsza ta wentylacya, tym niższy bywa stopień wilgoci powietrza w odzieży w porównaniu z wilgocią powietrza zewnętrznego, zwłaszcza jeśli ciało nie zanadto transpiruje i temperatura odzieży (jak to bywa najczęściéj) jest wyższa od temperatury otaczającego powietrza. W niebardzo gęstych i grubych sukniach na ciele posiada zazwyczaj powietrze tę samę prawie wilgoć, co powietrze zewnętrzne do koła nas. Parą przesyconém jest ono przy temperaturze skóry 26° R. tylko w razie mocnego pocenia się ciała. Gdy pewnego razu robiąc próby hygrometryczne w pokoju przy temperaturze 12° R. i 70% wilgoci, ubrany w zwykłém odzieniu, trzymałem czas dłuższy pod koszulą na gołem ciele hygrometr i termometr, okazywał ten ostatni 26° R. a hygrometr 75% wilgoci, punkt więc rosienia pod koszulą przy ciele odpowiadał temperaturze 22° R. Następnie poszedłem do kuchni, gdzie podówczas powietrze miało 22° R. i 85% wilgoci, zatém punkt rosienia 18° R. Po upływie kilku minut, ale jeszcze przed nadejściem potu, znalazłem tu znowu temperaturę powietrza przy samém ciele = 26° R., stopień wilgoci 80% i punkt rosienia = 22·5° R., zatém tylko o 0·5° R. (o pół stopnia) wyższy, niż przedtém w chłodnym stosunkowo pokoju. Jedynie w łóżku i w czasach mocnego pocenia się uważałem niekiedy temperaturę rosienia w powietrzu pod koszulą przy ciele nieco wyższą, mianowicie 24° do 26° R. Jak długo zaś skóra ciała naszego mogłaby znosić powietrze z temperaturą rosienia 28° do 30° R., nie wiadomo mi. Wiemy wszakże z pewnością, iż ona pod tym względem mniéj jest czułą, aniżeli płuca, któreby przy temperaturze 28° do 30° R. oddéchając nie mało dolegliwości ucierpiały, podczas gdy gorąca kąpiel w wan-

nie takiéj samćj temperatury co najwięcéj chwilowo osłabia osoby zdrowe i chwilowo owisłem ciało czyni, zdrowiu jednak widocznie nie szkodzi. Pochodzi to w części stąd, że woda lepszym jest przewodnikiem ciepła niż powietrze, głównie zaś, że skóra daleko lepsze środki chłodzenia się posiada niż płuca. W pierwszym rzędzie gruczoły potowe zaraz po zmniejszeniu się parowania wiele wody wydzielają. (Żołnierz przy ćwiczeniach w polu lub silnym pochodzie wojska nieraz w godzinie cały litr wody wypoci. Palacze też na okrętach parowych przy niedostatecznéj wentylacyi komory przedpiecowéj bardzo wiele wody tracą potami). Przez ten znaczniejszy odpływ wody z ciała przez pory skóry (niejako śluzy otwarte) znaczne ochłodzenie ciała, nawet wtedy następuje, gdy parowanie na jéj powierzchni przez powietrze zbyt wilgotne bywa powstrzymane. Przytém traci też ciało bardzo wiele ciepła przez promieniowanie i udzielanie się warstewkom powietrza otaczającego, które szczególnie przy mocniejszym wietrze ciągle się zmieniają. Ubytek ten ciepła jest bardzo znaczny i, według obliczeń fizyologów, przeszło 70% cz. całego ciepła wynosi, które ciało nasze ciągle z siebie oddaje. Tę jego utratę możemy według potrzeby regulować przez stosowne porze roku, godzinie dnia i meteorologicznemu stanowi powietrza odpowiednie odzienie.

Wiele chorób bierze swój początek z okazyi raptownego i zanadto mocnego oziębienia skóry. Kto nosi odzienie ze złych przewodników ciepła i z materyi tak dalece tylko dziurkowatych, aby się ciepło dostatecznie przy ciele zatrzymywało, a przytém wentylacya odbywała należycie, zaziębia się rzadziéj nawet wtenczas, kiedy na znaczne i prędkie zmiany temperatury narażać się musi. Najlepsze też okrycie ciała w znaczeniu zdrowotném jest wełniane, według reguł higienicznych należycie dobierane. Wełniana koszula i trykotowe spodnie, choć niekoniecznie Jegerowskie, i nieprzemakalny płaszcz z materyi wełnianéj—„*Erlinger Lodenstoff*", z cienkiéj wełny, nieoczyszczonéj z naturalnego tłuszczu, — dla osób chorych i rozdelikaconych nieocenionym jest ubraniem w każdéj porze dżdżystéj i niemiło zimnéj. Jest ono lekkie, zupełnie nieprzemakalne i należycie noszone w żaden sposób oddechu nie uszczupla i nie alteruje. Raglany i haweloki, na plecach, począwszy od szyi, dubeltowo grube, z przypinaną do kołnierza kapucą dla zaciągania na głowę, dopełniają w zupełności higienicznego swego przeznaczenia, jako wyśmienite ochrony przeciw deszczom, wiatrom i zanadto zimnemu chłodowi. W Alpach, gdzie ulewy i burze są na zawołanie, ubranie to jest nieocenioném, równie na grzbiecie, jak i na murawie (jako podściółka), lub na noclegu (jako nakrycie).

Skóra przy niedostateczném nawet wydzielaniu wody z ciała daleko skuteczniejsze posiada środki ochronne przeciw jego przeciepleniu aniżeli płuca (1), i podczas gdy wydzielanie wody przez te ostatnie od temperatury rosienia w powietrzu wziewaném zależy, dla *transsudacyi* skóry wilgoć otaczającego powietrza jest rzeczą decydującą, wysokość zaś punktu rosienia a tém samém bezwzględna (rzeczywista) ilość pary w tém powietrzu okolicznością małego znaczenia. Wszak ciało nasze także w normalnym stanie znajduje się zawsze w powietrzu, którego temperatura rosienia ma 20° R. a niekiedy nawet więcéj, i żadnych nie doznaje dolegliwości, gdy przeciwnie płuca już na parnotę narzekają, jeśli wziewać muszą powietrze, mające temperaturę rosienia 15° R. (t. j. 16 gramów w 1 m. kub.). Okolice, gdzie czasem powietrze do temper. ros. 20° R. (23·1 grm.) dochodzi, należą do najnieznośniejszych miejsc międzyzwrotnikowych. I tak czytałem np. że parnota w Hon-Kong wtedy jest najbardziéj nieznośną, kiedy przy ciszy w powietrzu i temperaturze 20° R. pada deszcz obfity. Jaki zaś wpływ powietrze już przy temperaturze rosienia 15° R. wywierać na nas może, przekonałem się sam kilka razy w ostatniém dziesięcioleciu. Cierpiąc w tym czasie na częste hemoragie płuc, byłem uważniejszym na zjawiska meteorologiczne i przypominam sobie bardzo dobrze, jak parę razy we *Lwowie*, raz w *Korczynie* (w stryjskim) w miesiącu lipcu, a ostatni raz w *Dorze* na początku sierpnia — zawsze pod wieczór — zachmurzenie na południowéj stronie nieba stawało się co chwila bardziéj ołowiano-szarawém, wiaterek powiewał niepokaźny, termometr na dworze okazywał tylko 16° R., hygrometr zaś 91—92% wilgoci (odpowiadającéj punktowi rosienia 15°,3 R.). Utyskiwaliśmy wszyscy na duszność i parnotę, a otylsi narzekali na nieznośny upał (w powietrzu temperatury 16° R.!). Obrzydłe czucie gorąca przenikało w istocie cały organizm, każdy obcierał sobie pot z czoła a ja wyczekiwałem chwili, kiedy się z uciemiężonych płuc pokaże krew. Słabsze panie skarżyły się na migrenę, a prawie wszyscy na brak łaknienia pokarmu. Dopiero po kilkudziesięciu minutach burza z piorunami przyniosła ulgę i wybawienie z tego przykrego położenia. Dnia następnego temperatura powietrza była daleko wyższa, lecz punkt rosienia spadł na 12° R. i zamiast wczorajszego narzekania, panowało powszechne zadowolenie z powodu pięknéj dnia pogody. Uważałem też nieraz, że przy temperaturze rosienia, wyższéj nad 14° R., krótkie burze z grzmotami i ulewą od strony południowéj nadchodziły.

---

(1) Ob. rozprawkę d-ra W. Urbańskiego: O wpływie powietrza na zdrowie człowieka. Lwów, 1883.

IV.

W pokoju łatwo można wytworzyć duszne powietrze i pocić się przy 16° R., jeśli się kilka łyżek gorącéj wody nad lampką spirytusową odparuje, lub rozpylaczem w powietrzu rozrzuca, póki hygrometr 91% wilgoci nie okaże (odpow. temp. ros. 15° R.). Gdy się tę próbę robi w lecie i następnie z niemiłéj parnoty w pokoju wyjdzie na dwór, gdzie przy pięknéj pogodzie na słońcu i ciszy w powietrzu termometr 22° R. a hygrometr tylko 45% wilgoci okazuje (powietrze więc na dworze temp. ros. 11° R. posiada), czuje się wkrótce chłód wskutek powiększonego wydzielania pary wodnéj przez skórę i płuca, chociaż temperatura powietrza tu o całych sześć stopni Reaumura jest wyższą od temperatury w onym pokoju. Z tego widać, że powietrze *dusznėm* czyli *parném* jest zawsze wtedy, kiedy *temperatura rosienia dosięgnie 15° R.* Jest to poniekąd granica, po za którą powietrze nabrawszy w siebie pary wodnéj staje się ze względów higienicznych dla nas niemiłém i niezdrowém.

Jakie mamy uczucie, jeśli czas dłuższy zostajemy w pokoju, w którém temperatura rosienia doszła do 18° R., następujące okaże doświadczenie.

D-r Fleischer opisuje stan swój w izbie kąpielowéj przy temp. pow. 20° R. i wilgoci 85%, t. j. właśnie w powietrzu temperatury rosienia 18° R. Po kilku minutach pobytu tamże uczuł ciężkość w głowie, a po 30 min. gwałtowne pulsowanie w skroniach. Oddech stawał się coraz bardziéj krótkim i częstszym. Przed rozpoczęciem próby przypadało 14, po 30 zaś minutach 20 oddechów na minutę. Puls téż z 70 uderzeń podniósł się był na 89. Chociaż siedział na krześle spokojnie, po 30 min. zaczął się pocić. Za najmniejszém poruszeniem się przy ściągnięciu surduta pot znacznie się powiększył. Po zupełném rozebraniu się do naga czuł raczéj zimno niż ciepło, z przyczyny bardzo zrozumiałéj, gdyż temperatura rosienia w powietrzu téj izby leżała o 40° R. niżéj, aniżeli w powietrzu przy samém ciele pod koszulą. Pomimo tego rozebrania się, nie czuł wszakże żadnéj zmiany w stanie opisanych dolegliwości, ani ulgi w utrudnioném oddéchaniu. Jeden tylko środek sprowadził względną ulgę i złagodził przykrości oddéchania, a tym było napojenie zimną wodą czystéj chustki i trzymanie jéj przed ustami pod nosem dla oddéchania chłodniejszém a tém samém nieco pary pozbawionėm powietrzem, która przechodząc przez chustkę zimno-mokrą, osadzała się na zimniejszym przedmiocie, poczém suchszém się stawało powietrze wziewane, miało więc niższą temperaturę rosienia, niż dalsze od chustki na izbie. Samo ochłodzenie jego nie wywarłoby było tego

skutku, gdyż (jak wiemy) przy 16° R. w powietrzu można mieć uczucie parnoty i duszności, a przy 22° R. mieć się bardzo dobrze, jeśli tylko punkt rosienia w powietrzu wdychiwaném jest odpowiednio nizki.

Podobne doświadczenia z równym prawie skutkiem i ja sam na sobie robiłem i każdy je łatwo powtórzyć może. Nie były one całkiém *lege artis* wykonywane, jednak okazało się z nich wyraźnie: naprzód, iż powietrze mające temperaturę rosienia przeszło 15° R., mniéj lub więcéj jest już nieznośne, a zatém niezdrowe; tudzież, że *tylko płuca* bez dolegliwości i uszkodzenia zdrowia nie są w stanie długo znosić powietrza z tak wysokim punktem rosienia.

Znając to, nie trudno pozbywać się *w lecie* parnoty i dusznego powietrza z pomieszkań. Sposób na to jedyny *osuszanie powietrza*, którém oddéchać mamy; jednakowoż nie chlorkalkiem (wapnem chlorowém) lub inném jakiém parę chłonącém ciałem, któreby większą nad potrzebę i zdrowiu szkodliwą suchość powietrza sprowadzić mogło, lecz lodem, który przez dłuższy czas dokoła siebie temperaturę rosienia niższą od 15° R. utrzymywać jest w stanie. Blaszanki z lodem, poustawiane wysoko w pokojach lub zawieszone nakształt lamp wiszących od czasu do czasu suchemi szmatami obcierać należy, aby rosa na ich ścianach powstała nie przechodziła znowu w parę i wilgoci powietrza nie powiększała. W pokojach można trochę wilgoci zabrać z powietrza przez rozrzucenie w drobnych ilościach *bardzo zimnéj* wody za pomocą ręcznego rozpylacza lub fontan pokojowych, wyrzucających ciągle lodową wodę do góry, która spadając spływa do blaszanego zbiornika. Także na dworze w lecie nie czuje się parnoty nawet przy 25° R. i 85% wilgoci w powietrzu, jeśli kilka kawałków lodu, owiniętych czystą szmatą trzyma się pod nosem i oddéchając przez ten zwitek wziewa nosem powietrze atmosferyczne, a wyziewa zużyte w płucach przez usta, czyniąc to ostatnie dlatego, aby lód zaprędko nie topniał. Ten sam cel osiągnąć można używając respiratora z lodem, który z łatwością da się tak urządzić, aby zbyt zimnego powietrza (co najmniéj temperatury 10° do 12° R.) do płuc nie wciągano, coby znowu zdrowiu osób, mających płuca bardzo rozdelikacone, szkodę przynieść mogło. W lecie zawsze lepiéj jest całe powietrze pokojowe osuszać a względnie także oziębiać, niż w pokoju respiratora lodowego używać.

Na pytanie, jaka temperatura rosienia jest dla nas najzdrowszą, trudno dać matematycznie pewną odpowiedź. Zdaje mi się wszakże, iż po tém, co dotychczas powiedziałem, nie jeden mając próby Vierordta na uwadze, zgodzi się zemną na zdanie, że powietrze szczególnie na dworze przy 20° a nawet 22° R. wcale nie jest uciążliwie gorą-

cém, skoro tylko jego temperatura rosienia 10°R, nie przechodzi, tj. jeśli ma 11 gramów pary wodnéj w każdym metrze sześciennym. Nie będzie téż ono wówczas *za suche*, gdyż *niedosyt* będzie jeszcze tylko 23 — 11 = *12* do 24·8 — 11 = *13·8* gramów wynosić, zatém wilgoć 51% do 55% cz. dochodzić. Odpowiedź więc na pytanie to można tak sformułować:

Wilgoć ciepłego powietrza nie powinna nigdy punktu rosienia 15°R, dosięgać, a najprzyjemniejszém jest powietrze wtedy, kiedy jego punkt rosienia przy 10°R, lub blisko niego leży (Vierordt).

Za wysoki punkt rosienia jest téż daleko szkodliwszym zdrowiu, szczególnie osób skłonnych do kongestyi, niż punkt rosienia zanadto nizki. Mieszkając w domu, którego ściany i fundamenta suche, można za pomocą dobrego hygrometru wilgoć powietrza pokojowego przy należytéj staranności utrzymywać ciągle przy miłéj dla płuc temperaturze rosienia (około 10 R, czyli 12°C), jeśli się każe w zimowéj porze palić w piecach zawsze tylko tak, aby w pokoju temperatura powietrza nie wyższa nad 15° do 16°R, (19 — 20°C) panowała. Jeśli przy téj temperaturze wydaje się w pokoju za chłodno, to znak, że powietrze mało ma pary w sobie (jest zbyt suche), gdyż przy 15°R w powietrzu i temperaturze rosienia około 10°R, jest 65% cz. wilgoci w powietrzu, a w tych okolicznościach raczéj za gorąco niż zachłodno bywa w pokojach. W razie więc *suchości* ciepłéj trochę wody odparować należy; w powietrzu zaś za *nadto wilgotném* w porze zimowéj okno na czas krótki otworzyć przyjdzie, usuwając znowu w lecie trochę pary z powietrza (jak to wyżéj rzekłem) za pomocą lodu lub rozpylacza lodowo zimnéj wody. (Respirator lodowy). Hygieniczne te środki ochronne bardziéj jeszcze są potrzebne w pokojach, zajętych przez chorych, którzy mieliby się daleko lepiéj, jak się mają, gdyby punkt rosienia w powietrzu infirmarza zamiast leżéć przy 13, 14 lub nawet 15°R (!), odpowiadał tylko temperaturze około 10°R. Tym czasem zdarza się bardzo często, że w pokoju chorego, pomimo panującéj już duszności i parnoty, gotują jeszcze różne „herbatki" na lampie spirytusowéj i podają mu gorące napoje i pokarmy, które dopiero w pokoju bywają chłodzone, przez co temperatura rosienia jeszcze wyżéj się podnosi.

Przy centralném opalaniu budynków tudzież przy używaniu pieców żelaznych do ocieplania szkół i lokalów publicznych, nie jednostajność temperatury powietrza pokojowego i zbyt wielkie skoki temperatury rosienia w ciągu doby jeszcze większe szkody zdrowiu przynoszą.

V.

Powietrze z małą ilością pary wodnéj, czyli suche sprawia daleko większe w płucach ziębnienie, niż powietrze bogatsze w parę, czyli posiadające wyższą temperaturę rosienia. Czyni to ono nietylko, gdy jest zimne, ale także, gdy temperatura jego stosunkowo wysoka. Porównywając w jakim stosunku pod względem tego ziębnienia parowanie wody w płucach i ogrzewanie w nich powietrza wzionięteg stoją do siebie nawzajem, przekonywamy się, iż wówczas nawet, kiedy suche powietrze tylko do 10°R ogrzane wziewamy, które więc o 20°R ogrzewa się w przewodzie oddechowym i w płucach, zanim z nich wyzionięte zostanie, *dwa razy tyle ciepła przez parowanie wody, co przez ogrzanie powietrza z płuc się wyprowadza.* Jeśli zaś powietrze wziewane jest cieplejsze, moc jego chłodząca w porównaniu z parowaniem w płucach jeszcze bardziéj w tyle pozostaje tak, że ostatecznie temperatura rosienia powietrza wziewanego okaże się tu najważniejszym czynnikiem.

Według tego zdawać by się mogło, iż dla płuc powietrze nigdy za suche być nie może, a dodawszy do tego jeszcze doświadczenie w ostatniém dziesięcioleciu zrobione, iż suchotnicy nietylko w gorącém i bardzo suchem powietrzu na przedmieściach *Kairu*, lecz także w zimo mroźném bardzo suchém w *Dawosie* znacznego polepszenia doznają, a niekiedy nawet zdrowie odzyskują, w zdaniu tém można by się utwierdzić. Jest ono wszakże tylko w części prawdziwe, gdyż w sprawie téj oprócz płuc także błony śluzowe przewodu oddechowego, krtani i tchawicy, mają także coś do powiedzenia.

Zwróciwszy uwagę na całą drogę przewodu oddechowego przekonamy się, iż wyższe ogrzewanie i nasycenie parą wodną powietrza wziewanego dopiero w rozgałęzieniach tkaniny płucowéj następuje. Nie oddechając bowiem głęboko, wyziewa się powietrze mniéj nasycone parą i zarazem także chłodniejsze, aniżeli przy normalném, głębokiem oddychaniu. Gdy więc tchawica na ogrzewanie wciąganego powietrza mniejszy wpływ wywiera niż płuca, błony śluzowe tém więcéj je wodą zasilać będą, im bardziéj ono jest suche. Na nie więc równie jak na skórne parowanie (czyli pocenie się) względna tylko wilgoć powietrza główny wpływ swój wysuszający wywiera, gdyż w razie, gdyby tchawica wziewanego powietrza wcale nie ogrzewała, suche powietrze więcéj by jéj oczywiście zabierało wody niż wilgotne. I w rzeczy samej oddéchając powietrzem zanadto suchem, mamy zazwyczaj uczucie wyschnięcia w gardle, chociaż powietrze jest zimne. Ilość téż pary wydzielonéj przy oddéchaniu w czasie gęstéj mgły na dniu zimowym, którego powietrze robi nam

wrażenie znacznéj wilgoci w atmosferze, może być daleko większa, niż na dniu ciepłym w lecie, kiedy powietrze (oceniając wilgoć jego jedynie czuciem) wysoko suchém (wysuszającém blony) nazywamy. Powietrze suche zwiększa parowanie skórne, przyśpiesza wymianę materyi w ciele i całe życie nerwowe podnosi, szczególnie przy jednostajnym nie zbyt silnym wietrze. Działa więc na nas pobudzająco i łaknienie pokarmu zaostrza; częstokroć jednak bezsenność sprawia. Powietrze zaś bardzo wilgotne, które 80% przechodzi, zły humor, ociężałość i ospałość, szczególnie w lecie wywołuje.

Powietrze suche i zimne (przy wiatrach N, NO i O) wzmacnia wprawdzie organizm, ale téż łatwo sprowadza zaziębienia i połączone z niemi zapalenia błon śluzowych (katary, grypy i kaszle a często nawet zapalenia płuc) powietrze zaś *wilgotne i zimne* (przy wiatrach W i NW) bywa znowu zazwyczaj u osób słabszéj konstytucyi przyczyną zmniejszenia apetytu, rozstrojenia nerwowego i różnych bólów reumatycznych.

Przy *ciepłém i zbyt suchém* powietrzu oprócz cierpiących na gardło (krtań) i piersi doznają większych dolegliwości osoby nerwowego ustroju i narzekają za bezsenność, podczas gdy ci i tamci w powietrzu umiarkowanie ciepłém i średnio wilgotném doznają polepszenia stanu swego. Przy *ciepłém* nareszcie i *wysoko wilgotném* powietrzu wiele osób narzeka na brak łaknienia, ociężałość i ogólne ciała osłabienie, także na nerwowość i nerwobóle, tudzież przy wyższéj temperaturze, zwłaszcza gdy punkt rosienia przechodzi już temperaturę 15°R, na wspomniane wyżéj przypadłości płuc, duszność powietrza i nieznośną parnotę.

Pod względem granic, w jakich wilgoć atmosferyczna nie czyni powietrza ani zbyt suchém, ani zbyt wilgotném, dotychczasowa hygiena, opierająca się głównie na wrażeniach i czuciu skóry i przewodu oddechowego, uczy: 1° że względna wilgoć około 40% w powietrzu *zwykléj średniéj temperatury* jest poniekąd granicą, przy któréj organom tym nie za nadto jeszcze wiele wody zabiera otaczające powietrze; 2° że powietrze, mające więcéj niż 80% wilgoci już zanadto ogranicza ewaporacyę skórną i wskutek tego nerwową ospałość wywołuje; nareszcie 3° iż dla naszego życia nerwowego powietrze *miernie ciepłe*, którego względna wilgoć w granicach 40—75% cz. się utrzymuje, zawsze jest zdrowiu najodpowiedniejsze. Przestrzeganie tych granic wilgoci i zarazem *niższéj koniecznie* od 15°R temperatury rosienia uważają téż hygienicy praktyczni dla *powietrza pokojowego* za rzecz bardzo wielkiéj wagi.

Wiele chorób, w części nawet ciężkich, jak zapalenie płuc i tyfus, powstaje i znacznie się pogorsza wskutek ciągłego przebywania

w zbyt suchych, lub zbyt wilgotnych mieszkaniach. Normalne stosunki temperatury i wilgoci powietrza nietylko w mieszkaniach i sypialniach, ale także w publicznych lokalach, zazwyczaj źle wentylowanych, w szkołach i biórach, teatrach i salach posiedzeń mają największe dla zdrowia ludzkiego znaczenie. Zostawać też powinny pod ścisłą kontrolą prawa. Za regułę mieć tu należy także, *aby punkt rosienia powietrza pokojowego nie dochodził nigdy 15°R, lecz ile możności trzymał się przy 10°R, lub nawet niżéj, tudzież aby temperatura powietrza między 13—16°R, była utrzymywaną i hygrometr w tych salach nigdy mniéj jak 40% a nigdy więcéj jak 75% wilgoci nie pokazywał.*

Po bliższém rozpatrzeniu się w tym przedmiocie i gruntowniejszém jego zbadaniu okazało się, iż daleko wygodniéj i pewniéj jest oznaczać wilgoć atmosferyczną w liczbach niedosytu powietrza. Oznaczenie bowiem wilgoci w procentach bez ścisłego podania temperatury powietrza jest całkiem niedostateczne, gdyż 40% cz. przy 10°R, oznacza ilość 4·4 grm. pary, przy 18°R, ilość 8 gramów. *Niedosyt* w pierwszym przypadku 6·6, w drugim 12 gramów wynosi, zatém *dwa razy* jest większy, niż w pierwszym. Większe zaś i prędsze wysuszanie wszelkiéj wilgoci—a więc także wody w skórze ciała i w błonach śluzowych zależy przedewszystkiém od wielkości *niedosytu* powietrza. W zimie przy mocném paleniu w piecach lub napuszczeniu za wiele gorącego powietrza z ogólnego kaloryfera budynkowego bardzo łatwo wytwarza się z wysoką temperaturą (nieraz 18°—21°R) także wielka i wielce uciążliwa suchość powietrza w mieszkaniu, która liczbę niedosytu ze szkodą dla zdrowia nad miarę podnosi i już przy 40% cz. wilgoci zbyt wysuszająco na organizm nasz działa.

Przypuszczalnych pod względem hygienicznym granic wilgoci atmosferycznéj w liczbach niedosytu powietrza nie znamy dokładnie. Dotyczące obserwacye nie są jeszcze dość liczne, ani też w celach hygieny należycie zużytkowane. Przyjąć jednak możemy dla ociepłanego pomieszkania, w którém się ciągle (godzinami) siedzi, liczbę *niedosytu 6·6 mm.* ciśnienia rtęci (*6·9 grm.* pary wodnéj w 1 sterze powietrza) za przypuszczalną granicę suchości, czyli *najmniejszéj* wilgoci, jaką w powietrzu pokojowém cierpieć jeszcze się godzi; liczbę zaś przeciętną *8 do 9 niedosytu* dla krótkiego tylko pobytu w ogrzanych wysoko (do 18°R), pokojach, czyli dla pobytu w tychże w ciągu zmiennego stanu temperatury (od 14 do 20°R) i wilgoci (od 12 grm. do 16 grm. niedosytu). Powodem do przyjęcia tych liczb za graniczne przy oznaczaniu przypuszczalnéj w pokojach mieszkalnych suchości powietrza jest ta okoliczność, iż siedząc przy *słabym wietrze* spokojnie na dworze pod gołém niebem, nie doznajemy ża-

dnych dolegliwości, gdy niedosyt powietrza 6·6 mm. wynosi, w pokoju więc przy jednakowych okolicznościach suchość ta nie może nam tak bardzo szkodzić; tudzież, że przy 8·0 do 9·0 mm. *średniego* niedosytu *w ciągu dnia* czujemy na dworze w lecie przy wietrze *O* i *SO* w godzinach 1—3 po południu bardzo znaczną parnotę (odpowiednią niedosytowi 17—20 mm. czyli 41—37% wilgoci i temp. pow. 28—30° C.), reszta zaś dnia przy małych niedosytach i niższych temperaturach zwykle nam miło, bez dolegliwości, upływa i krańce te zdrowiu nie szkodzą; zatém także w pokoju, chociaż jakiś czas temperatura jest wyższą i niedosyt wtedy bardzo znaczny, zdrowie nasze szwanku nie dozna, jeśli średnia liczba niedosytu rzeczonéj granicy (8—9 mm.) nie przechodzi i właśnie godziny najwyższéj w pokoju temperatury i największéj suchości, wytworzywszy sztucznie wilgoć tamże, przechadzce poświęcamy. Przy centralném ocieplaniu pomieszkań żywy ruch wentylacyjny dokonywa ze swéj strony dzieła silnéj ewaporacyi z ciała naszego, przyczyniając się niepomiernie do tego, że suche powietrze dotyka ciągle śluzowych błon mieszkańców i z nich równie prędko jak suchy wiatr na dworze zabiera wilgoć, co przy ocieplaniu pokojów piecami dla słabszéj wentylacyi nie dzieje się w tym stopniu i dlatego w tym drugim przypadku dokoła siedzącéj spokojnie w pokoju osoby wytwarza się z łatwością dość gruba osłona wilgotniejszego powietrza, która ewaporacyę powolniejszą czyni i wysuszanie ciała nieco ogranicza, ale téż za to pożądanéj czystości powietrza oddechowego zawsze pewien uszczerbek przynosi.

W zimie narażamy się niestety na wielkie i nagłe zmiany temperatury i wilgoci, wychodząc po dłuższém siedzeniu w ogrzanym pokoju *wprost na dwór*, z ciepłego (15° do 18° R.) i nad miarę suchego powietrza (36 do 40% wilgoci) do atmosfery zimnéj i stosunkowo wilgotnéj, gdzie zazwyczaj temperatura blizko 0° leży i wilgoć w powietrzu 75—80% przechodzi, niedosyt więc stosunkowo bardzo jest nizki. Te zbyt raptowne i wielkie różnice nie mogą służyć zdrowiu szczególnie osób do ciepłego i suchego powietrza pokojowego przyzwyczajonych, które mają gardło, płuca, skórę i cały organizm rozdelikacony. Tym téż one zazwyczaj bardzo dotkliwe szkody przynoszą, nie oszczędzając bynajmniéj ludzi najzdrowszych, u których także siła akomodacyjna wobec zbyt wielkich zmian jest nareszcie za słabą i do dalszego skutecznego oporu nie wystarcza. W nagłych tych zmianach, szczególnie na początku zimy (czyli raczéj pory opałowéj) leży przyczyna powszechnych katarów i częstych napadów reumatycznych, tudzież powód wzmagający się coraz więcéj dyspozycyi do tych przypadłości. Dlatego z pewnemi ostrożnościami po-

winno się wychodzić w zimie na dwór z ogrzanego pokoju,—nie odrazu z cieplego powietrza wprost na zimne,—lecz zatrzymać się parę minut w nieopalanéj sieni lub na chłodnym korytarzu, utrzymując także już w przedpokoju średnią tylko wilgotność 50—60% i temperaturę najwięcéj 10° R.

Na dworze silniejsze wiatry suche — u nas wschodnie, z okolic stepowych przychodzące—na wszelką wilgoć, gdziekolwiek się ona nadarzy, nadzwyczaj wysuszająco działają tak pod względem ilości wody, którą w parę zamieniają, jak i szybkości, z jaką to czynią. To téż pod gołém niebem, na otwartém miejscu nie sama tylko bezwzględna i względna ilość pary wodnéj w powietrzu stoi w przyczynowym związku z dobrym stanem ciała naszego. Mamy niestety bardzo często powody do narzekania na inne, bardzo szkodliwe zdrowiu czynniki w atmosferze, mianowicie na raptowność i natężenie, z jakim wilgoć na niektórych czulszych miejscach skóry i błon śluzowych ciała naszego odparowuje. Przy gwałtownem parowaniu miejscowém pokrycie strat wody w kierunku powierzchni skóry nie tak prędko następuje jak potrzeba, aby szkodliwe zmiany w tych i najbliższych im częściach ciala nie nastąpiły. Takiemi na łatwe uszkodzenia szczególnie narażonemi miejscami są leżące na powierzchni ciała i w ciągłém zetknięciu z powietrzem zostające błony śluzowe i ich przejścia do skóry zewnętrznéj, przedewszystkiém zaś wilgotne zawsze furtki do organu oddechowego. Wprawdzie górna plewka (*epithelium*) błony śluzowéj i wierzchny naskórek (*epidermis*) ochraniają wogólności niższe warstewki od zbyt prędkiego wysychania, ale pomimo tego zdarza się często, że wskutek raptownego ubytku wody z wierzchnich warstw skóry przez silniejsze parowanie nie nadpływa jéj tyle z głębszych warstw ciała, ile potrzeba, aby one nie wyschły za prędko i nie utraciły swéj naturalnéj sprężystości. Powstają téż wskutek tego rysy i przerwy w tych częściach, skoro przy nagłych ruchach mięśni wielorakie naciągnięcia i przekręcenia w błonach śluzowych nastąpią. Prócz tego już samo takie raptowne wysuszenie sprawia w wysokim stopniu drażnienia nerwowe i przekrwienia (hyperemię) błon śluzowych w miejscach dotkniętych, tudzież pryszcze i ranki na ich powierzchni i różne bóle wywywołuje. Na te właśnie chorobliwe objawy uskarżają się najczęściéj przy suchych wiatrach północnych, północno - wschodnich i wschodnich, latem i zimą. Szczególnie cierpią wówczas delikatną błonką pokryte części wchodowe do płuc, mianowicie miękkie podniebienie, tylna część języka, wnętrze szyi, krtań... Przemijające uczucie suchości i chropowatości lub łaskotania, tudzież różnych boleści w gardle, krtani i tchawicy towarzyszy zwykle tym

uszkodzeniom przez zbyt suche i zimne wiatry, poczém nieraz i cięższe następują cierpienia, zwłaszcza wtedy, jeśli wskutek częstszego powtarzania się tych uszkodzeń zapalne choroby błon śluzowych staną się nareszcie chronicznemi i dla *grzybków zarazków* wygodne nastręczywszy legowisko, do niebezpieczniejszych jeszcze chorób organizm usposobią. Uszkodzenia jednak wspomniane wtedy tylko następują, gdy większe parowanie wody odbywa się raptownie, bez pośredniczących zmian utraty jéj słabszéj i powolniejszéj, przez które by organizm powoli do strat większych i raptowniejszych niejako się przygotował, nawykł, *akomodował*. To też dłuższy pobyt w suchym klimacie, czy to gorącym, czy zimnym, szkodliwych tych skutków powietrza nie pociąga z czasem za sobą, chociaż z początku, zaraz po przybyciu z innego przeciwnego, na delikatne lub niezdrowe organizmy pomyślnie nie działa.

Także zimne i zbyt wilgotne powietrze, tak w pomieszkaniach (z których radzę każdemu wcześnie się wyprowadzić), jako też na dworze przy ostrych wiatrach W i NW w najgorszych porach roku, szczególnie w późnéj jesieni, uszczuplając całemi tygodniami, a czasami tamując całkiem naturalne wydzielanie wody przez skórę, znaczne zdrowiu szkody przynosi i wielorakie choroby obłożne, mianowicie reumatyzmy różnego rodzaju — doraźne i przewlekłe, gośćce mięśni i stawów sprowadza. Osoby delikatnéj konstytucyi ciała i wątłego zdrowia postępują więc sobie bardzo mądrze, jeśli wilgotnych pomieszkań na północnéj stronie, tudzież wilgotnych dolin międzygórskich, do których promień słoneczny mało kiedy zagląda, jak morowego powietrza unikają i przy zbyt *wilgotno-zimnym* stanie atmosfery podczas grubéj mgły lub deszczu ze śniegiem siedzą w domu spokojnie i przez należyte palenie w piecach każą powietrze pokojowe według potrzeby ogrzewać, a tém samém je do stopnia wilgoci pożądanéj osuszać; — tym bowiem sposobem na szkodliwe wpływy atmosfery nie są narażone.

VI.

Znając powyższą regułę hygrometryczno-higieniczną i w dawniejszéj rozprawie mojéj (1) podane warunki zdrowego powietrza, nie trudno ocenić także higieniczną wartość t. z. *stacyi* czyli *uzdrowisk klimatycznych* i wilegiatur letnich, dla mieszkańców miast wielkich tyle pożądanych i wielce potrzebnych.

---

(1) O wpływie powietrza na zdrowie człowieka. Lwów 1883.

Przedewszystkiém powinno się wymagać, aby były to miejscowości zaciszne i zdrowe, wolne od częstych i silnych wiatrów, wolne od kurzu, pyłku i dymu w atmosferze, tudzież od miazmów i wilgoci w gruncie, przy tém wszystkiém zaś koniecznie, aby punkt rosienia temperatury 15° R. zazwyczaj nie dochodził i jéj nigdy nie przekraczał. Miejscowość, która tym warunkom nie odpowiada, do celu zamierzonego nie jest przydatną. Wysoko położone górskie okolice, tudzież wiele stacyi nadmorskich, szczególnie nad *morzem Północném* niekiedy przez lat wiele ani razu tego wysokiego punktu rosienia nie widzą. Wprawdzie i tam czasem wysoka temperatura panuje w powietrzu, ale punkt rosienia trzyma się przy tém zawsze dość nizko i o dusznéin na dworze powietrzu, o parnocie nie ma mowy.

Przy ocenianiu wartości stacyi klimatycznych także wilgoć (%) powietrza należycie uwzględniać należy. Nie chodzi tu wszakże o taką precyzyą, jak pod względem temperatury rosienia, mianowicie aby pewne maksymum względnéj wilgoci (np. 80%) nie było nigdy przekroczone, gdyż przy każdym gwałtownym deszczu okazuje hygrometr zazwyczaj 85 do 90 a nawet 95% wilgoci w powietrzu, a do tego skóra ciała naszego, mająca zawsze jakieś pokrycie w odzieży, na wpływy zmian wilgoci jest wytrzymalszą niż płuca, które ciągle w bezpośredniéj styczności (1) z atmosferą zostają. To też dopiero dłuższy czas trwająca zbyt wysoka lub zbyt nizka wilgotność w powietrzu działa szkodliwie na zdrowie nasze.

Do warunków ideału stacyi klimatycznéj należy też średnia temperatura dnia 15° — 16° C., oraz żeby krańce nie wiele od niéj były oddalone, np. rano o 6 godz. 10° C., po południu o 3 godzinie 24° C., a wieczorem o 8-éj 12° C. Ponieważ od temperatury zawisł wielce stan wilgoci w atmosferze, zatém przy owéj średniéj temperaturze zazwyczaj:

80%	wilgoci	odpowiada	niedosyt	2·54—2·71	mm.
60%	„	„	„	5·80—5·42	„
40%	„	„	„	7·62—8·12	„ ;

na wysokościach 1500 do 2000 stóp w górach — przy średniéj temperaturze dnia — 15° do 20° C. zaś wilgoci:

80%	odpowiada	niedosyt	2·54— 3·48	mm.
60%	„	„	5·08— 6·96	„
40%	„	„	7·62—10·43	„

Niedosyt zaś 8·25 mm. na dworze w lecie dość jeszcze znośny.

---

(1) Oddéchając statecznie tylko przez nos a nie ustami, ma się tę wielką korzyść, że powietrze *wdychiwane* zimniejsze *ogrzewa* się na téj drodze do 30 przeszło stopni Cels., tudzież że się wilgocią prawie aż do sytu temperaturze téj odpowiedniego wzbogaca; nareszcie z grubszego przynajmniéj kurzu trochę się oczyszcza.

Mając tedy wzgląd należyty na skórę ciała i życie nerwowe, tudzież na indywidualność chorych, nie możemy polecać na kuracyą klimatyczną ani miejsc, których *średnia* wilgotność przy normalnéj temperaturze dobrego uzdrowiska w okresie kuracyjnym bardzo często 80% przechodzi, ani też miejsca, którego średnia wilgoć zbyt często niżéj 40% leży.

Zdawałoby się więc, iż średnia wilgoć 60% w takich miejscach utrzymywać się powinna. Tymczasem tak nie jest. Stosunki są tu bardziéj powikłane niż się wydaje. Więcéj lub mniéj częste opady atmosferyczne odgrywają tu bardzo znaczną rolę. Wielka bowiem jest różnica, czy codzień godzinami świeżego powietrza na dworze używać możemy, czy całe dni a nawet tygodnie zamykać się w pokoju musimy dla deszczu, który ledwo co ustanie, zaraz znowu padać zaczyna. Liczba dni deszczowych w pewném miejscu jest oczywiście tém mniejsza, im niższą jest średnia wilgoć powietrza tamże, czyli im większa liczba niedosytu i o tyle 60% wilgoci na hygrometrze (czyli przy temp. 15—20° C. *niedosyt* 5·08—6·96 mm.) okazywało by przeważnie „*dnie piękne i słoneczną pogodę.*“ Przekonano się też, że pora deszczowa zazwyczaj dopóty nie nastaje, póki się skazówka hygrometru wyżéj 60% nie podniesie; przed rozpoczęciem zaś deszczu wilgoć powietrza najczęściéj 75% dochodzi. Wiedząc przeto, iż okolice dżdżyste najczęściéj średnią wilgotność 75% posiadają, pogodne zaś i słoneczne najwięcéj tylko 60% wilgoci mają, łatwo zrozumiemy, że stacya klimatyczna, któréj temperatura do ideału takich stacyi się zbliża, średnia zaś wilgoć w porze pobytu między 60 a 75% leży, za miernie wilgotną uważana być może i wielostronnym wymogom odpowiada.

W miejscach, gdzie znacznie wyższa *średnia* temperatura dnia panuje, powietrze ma też znaczniejszy niedosyt i dlatego bardziéj wysuszająco działa niż tam, gdzie średnia temperatura dnia jest stale cznie niższa, chociaż we wszystkich tych miejscowościach hygrometr prawie tę samą względną wilgoć w procentach okazuje.

Atoli, gdy jak wiemy, nie sama tylko *względna wilgoć* czyli raczéj niedosyt pary w powietrzu, lecz także ruchy w atmosferze (wiatry) bardzo znaczny wpływ na czynność skóry ciała naszego wywierają, *powietrze spokojne* z 80% wilgoci nawet przy temperaturze rosienia niższéj od 15° R. działa mniéj lub więcéj deprymująco i wywołuje ociężałość, podczas gdy *wietrzne* przy téj wilgoci raczéj podnieca i wzmacnia, niż osłabia. Widać to najlepiéj, gdy porównamy pod tym względem działanie powietrza w *Wiesbadenie* i w *Norderney*. W obudwóch tych miejscowościach nieraz przy *równéj* temperaturze względna wilgoć powietrza 80% dochodzi. Podczas gdy jednak

w sławnym z ciszy powietrznéj Wiesbadenie przy 14° R. i 80% wilgoci czuje się rodzaj omdlewania, wietrzna atmosfera miejsca kąpielowego Norderney w tych samych okolicznościach temperatury i wilgoci działa jeszcze orzeźwiająco i wzmacnia organizm, chociaż niedosyt tu i tam wynosi wówczas 3 mm.; wyziewy bowiem skóry odbywają się pod okryciem odzienia śpieszniéj w atmosferze silnie poruszonéj niż w spokojnéj. Zazwyczaj w Norderney w lipcu i sierpniu *średnia* temperatura dnia jest niższa niż w Wiesbadenie i niedosyt trzyma się tam niżéj, ale dla wiatru z nad morza wpływ powietrza całkiém jest odmienny w téj porze na gości kąpielowych niż w Wiesbadenie.

Powietrze w miejscach klimatycznych zbyt też suche być nie powinno. „*W środkowéj Europie, położonéj w dziedzinach letnich deszczów, nie ma się pod tym względem czego obawiać*"—powiesz mi może szanowny czytelniku. Tymczasem zdarza się nieraz i tu, że hygrometr *znacznie niższą* od 40% wilgoć pokazuje. Są to wszakże rzadkie tylko wyjątki, które się wydarzają w pewnych miejscowościach na 2 lub 3 godziny w ciągu dnia w jednym lub drugim tygodniu, *najczęściéj na wiosnę, przy północno lub czysto wschodnich wiatrach* (1). W samym wilgotnym Wiesbadenie 13 maja 1881 i 6 kwietnia 1882 obserwowano na hygrometrze tylko 15% wilgoci atmosferycznéj. A na liguryjskiém wybrzeżu (Riviera) panują częstokroć takie ostateczności wilgoci (%), jakie tylko jeszcze w rzeczywistym klimacie pustyniowym napotykamy. W Genui i St. Remo hygrometr w zimie i na wiosnę nieraz tylko 8—13% wilgoci okazuje, podczas gdy nawet wiatr Chamsin, który ludność Egiptu przez wysuszające działanie swoje zgrozą napełnia, w najgorszych dniach panowania jeszcze 13 do 19% wilgoci zawiera. (Mimo to wegetacya na owym wybrzeżu nie ma wcale cechy przypominającéj czémkolwiekbądź okolice pustyniowe, ani też ludzie, a między nimi liczni suchotnicy, nie cierpią ostatecznie pod wpływem téj chwilowo zbyt nizkiéj wilgoci. Średnia bowiem temperatura w owych porach roku jest na Rivierze +10° C., niedosyt więc tam 7·92 mm., 8·19 mm., 8·37 mm. przy 8%, 10%, 13%—wynosi; przy temperaturze zaś 40° C u Chamsina 10% wilgoci oznacza niedosyt 49·42 mm. (!), który wszelkie możliwe granice higieniczne wilgoci przechodzi). Takie wyjątki potwierdzają właśnie regułę. Gdy zaś ta 40% za granicę suchości atmosfery uznaje, każda miejscowość z taką atmosferą stanowczo

---

(1) W stepach syberyjskich wilgoć tak jest mała, iż nieraz raptowne spadnięcie temperatury z +23° R. na—3° R. żadnego jeszcze opadu atmosferycznego nie sprawia, wiatry więc z tamtąd przychodzące są nadzwyczaj suche.

za suchą uważana być musi. Nawet gdyby hygrometr za bardzo często zbyt wysoki niedosyt okazywał, *średnia* zaś wilgoć w całości daleko była wyższą i wtedy jeszcze miejscowość taką do zbyt suchych zaliczyć wypada, chyba że ten zbyt nizki stan wilgoci (jak na Rivierze) mającéj w zimowych miesiącach średnią wilgoć 38 do 40% ogranicza się tylko na czas bardzo krótki (najwięcéj do 3 godzin na dobę) i bardzo rzadko kiedy się przydarza. Jak przy większéj wilgoci w powietrzu tak samo téż przy posusze bardzo znaczną rolę odgrywa wiatr, zbyt suche i przytém silnie poruszone powietrze daleko szkodliwiéj na nas działać może, niż takie same, spokojne.

Pod względem wilgoci powietrza—krótko mówiąc—wymaga się przeto od uzdrowiska klimatycznego i wogóle od stacyi klimatycznych dla zdrowych (w przybliżeniu): 1) aby punkt rosienia tamże, jak to wyżéj powiedziałem, nie dochodził nigdy temperatury 15°R, czyli raczéj 19°C; 2) aby przy *średniéj* temperaturze dnia 15 do 16°C, *średnia* wilgoć pomiędzy granicami 60 do 75% utrzymywała się i co najwięcéj podczas silniejszych wiatrów wartość 76% trochę przechodziła, niedosyt więc powietrza między *granicami* (odnośnie temperatury) *5·08 mm. i 5·42 mm.* z jednéj strony a *3·18 i 3·39 mm.* z drugiéj leżał; 3) aby najmniejsza wilgoć (minimum tejże) w powietrzu bardzo rzadko kiedy i to na czas krótki, i tylko przy zupełnéj ciszy w atmosferze do 40% lub nie wiele niżéj 40% spadała, niedosyt więc liczby 8·25 mm. *w regule* nie przewyższał; 4) aby hygrometr w sezonie kuracyjnym lub podczas wilegiatury nie zbyt często 80% wilgoci w powietrzu okazywał, tj. niedosyt (według temperatury) liczby 3·48 mm. do 2·44 mm. nie przechodził, a jeśli się to już stanie, aby niepogoda długo (całe dnie lub tygodnie) nie trwała.

Warunki te ważne są równie dla letnich jak i zimowych uzdrowisk klimatycznych, dla Dawosów jak i Norderneyów. Jeśli je zaś miejscowość jaka w istocie posiada, to jeszcze nie oznacza, iż ona na miano „*klimatycznego miejsca*“ zasługuje. Do tego innych jeszcze rzeczy potrzeba, mianowicie: nie wielkich fluktuacyi w zmianach temperatury dziennéj i średniéj miesiąca, tudzież w obrotach chorągiewki wietrznéj, nareszcie wypełnienia wszystkich tych warunków, o których w mojéj rozprawie: *O wpływie powietrza na zdrowie człowieka* obszernie pisałem.

Należy też uwzględniać zawsze indywidualność tak chorych jak i zdrowych, mających się udać do jakiéj miejscowości „*klimatycznéj.*“ Co bowiem jednému wybornie służy, drugiemu szkodliwém być może. Wielu znajdzie się takich, którzy w powietrzu ciepło wilgotném mieć się będą dobrze, inni zaś dopiero w suchém powietrzu doznają ulgi w cierpieniach. (Obacz dr. Reimer: *Winterkurorte*, tudzież Sig-

gmund: *Südliche klimatische Kurorte*, nareszcie dr. Schreiber: *Wesen klimatischen Kuren bei Lungenkrankheiten*).

VII.

Prostym i bardzo wygodnym, a przytém dostatecznie ścisłym probierzem wilgoci atmosferycznéj jest *hygrometr Lambrechta* najnowszéj konstrukcyi. Można go nosić w kieszeni i na tarczy jego odczytywać *bezpośrednio* wilgoć *względną w % maksymalnéj ilości* pary przy każdoczesnéj temperaturze powietrza, tudzież pośrednio *punkt rosienia*, jeśli od temperatury powietrza, na termometrze w stopniach Cels. odczytanéj, odejmie się liczbę stopnia Cels. na hygrometrze ostrzem skazówki uwidocznioną. Różnica ta jest właśnie *temperaturą rosienia*. Mając zaś prócz tego pod ręką *tablicę* sytu czyli maksymalnych ilości pary, obliczonych dla temperatur od —20°C do + 50°C, czy to w gramach (na 1 metr sześc. powietrza) czy w mm. wysokości ciśnienia rtęci, można z łatwością obliczyć w każdym razie *niedosyt* pary w powietrzu. Dajmy na to, że w pokoju termometr 20°C, a skazówka na tarczy hygrometrowéj 58% i przytém także 8°C, pokazuje. Wilgoć powietrza w tym pokoju wynosi więc 58%, a punkt rosienia jest 20 — 8 = 12°C. Na tablicy sytu odpowiada 20 stopniom Cels. ilość maksymalna pary 17·3 mm., temperaturze zaś rosienia 12°C, ilość 10·4 mm., która jak wiemy jest *rzeczywistą* ilością pary w tém powietrzu. Nie dostaje jéj tedy do zupełnéj sytności powietrza pokojowego, tj. do liczby 17·3 mm. ilość 6·9 mm.; ilość przeto 17·3 — 10·4 = 6·9 mm. jest w danym razie *niedosytem* powietrza pokojowego.

Dobry hygrometr jest prawdziwym przyjacielem dzieci, osób chorych i wogóle ludzi słabszego zdrowia. Wiatr *marcowy wschodni* nie dlatego jest zdrowiu ich szkodliwy, że zimny; równie bowiem zimnym jest nieraz także *wiatr zachodni*, szczególnie *NW*, lecz raczéj z téj przyczyny, że jest zbyt suchy i przytém zasilny, zatém rozdelikaconą w ciągu zimy powietrzem pokojowém skórę ciała i ścianki błon śluzowych przewodu oddechowego bardzo prędko wysusza i raptownie oziębia, zbyt więc wiele wody a z nią i ciepła w krótkim czasie z delikatnych i małych lub chorobą zmniejszonych płuc uprowadza. Przezorna też i troskliwa matka pomimo „*pięknego dnia i słońca na dworze*" nie wyprowadzi z domu dziatek swoich na przechadzkę, póki nie zbada należycie temperatury powietrza, kierunku i siły wiatru, tudzież stanu wilgoci w powietrzu na dworze, wystawiwszy na pół godziny przed wyjściem z domu hygrometr Lambrechta w otwartém oknie. Gdy na probierzu tym wilgoci skazów-

ka o 13 stopni wyżéj pokazuje, niż zawieszony w pobliżu za oknem termometr stopni Celsiusza, albo ich wcale na dwór nie puści, albo wyprowadzi na przechadzkę z takiemi ostrożnościami jak podczas mrozu w zimie; przez to zaś nie od jednego kataru lub zapalenia ich ochroni, szczególnie jeśli dopilnuje, aby nie były narażane przy wyjściu na bardzo szybkie i wysokie różnice temperatury i wilgoci, jakie w téj porze roku zazwyczaj panują w pomieszkaniach opalanych i na świeżém powietrzu pod gołem niebem, tudzież jeśli przestrzegać będzie reguły, aby zbyt długo pod szkodliwemi wpływami atmosferycznemi nie zostawały.

Dla ilustracyi rzeczy przytoczę tu bez dalszego komentarza z moich notatek następujące trzy obserwacye z marca 1886 r. przy wietrze wschodnim:

1) temperatura pow. 6°C., skazówka hygrometryczna *26%*, *19°C.*; *P. r.* 6 — 19 = — 13°C, zatém według *tabl. sytu* niedosyt = 6·9 mm.— 1·7 mm. = *5.2 mm.*

2) temperatura pow. 10°C. 19%, 23°C... *P. r.* = — 14°C. *Nds.* = 9·1 — 1·7 = *7·4 mm.*

3) temp. pow. (10·4 mm.) 12°C, 16%, 25°C; P. r. = 12—25 = —13°C. (1·7 mm.) *Nds* = 8·7 mm.

Jak szkodliwém jest w zimie dla zdrowia dzieci szkolnych, że po odbyciu dłuższéj drogi w powietrzu zimowém, w parę ubogiém na dworze i zimno suchém—codzień w szkole zamykane bywają na 4—5 godzin—w salach nieraz ciasnych, żelaznym piecem wysoko ogrzanych,—gdzie powietrze zbyt suche (które dopiero same płucami swemi zwilgocać muszą) i wyziewami ze skóry ciała, butów i odzieży (brudnéj częstokrokroć), tudzież dla braku należytéj wentylacyi także kwasem węglowym z płuc wyziewanym mocno zanieczyszcza się, nie trudno teraz z całą zgrozą zrozumiéć. Zwykle tam rano na pierwszéj godzinie lekcyi bywa 14 do 15°C. i około 50% wilgoci w powietrzu, popołudniu zaś nieraz 22° do 23° Cels. i 40% wilgoci a przytém duszność w powietrzu, na którą nauczyciele i dzieci bardzo narzekają, gdyż przy 14°C i 50% wilgoci niedosyt jest = 5·96 milimetrów, przy 22°C i 40% wilgoci wzrasta do 11·8 mm., wysuszające więc działanie powietrza po-południowego w szkole w porównaniu z przed-południowém podniosło się w dwójnasób. Czy nie należałoby żelaznych pieców w szkołach niepozwalać i przed rozpoczęciem zbierania się dzieci w klasach kazać naprzód każdą salę należycie przewietrzyć, a potém wedle okazu hygrometru podczas lekcyi przy starannéj nieszkodliwéj wentylacyi ciągłéj w potrzebną wilgoć zaopatrywać?!

Gdy punkt rosienia (z wyjątkiem wypadków gęstéj mgły w powietrzu i wilgotnego opadu śnieżnego) zawsze niżéj temperatury powietrza leży, każde powietrze jest w parę bardzo ubogie, które przynajmniéj 8 do 10°C. nie posiada, zimowe więc jest niém prawie ciągle i to przez całą niemal zimę. Przeciwnie *względna wilgoć* w jesieni i na początku zimy nie tęgiéj bardzo często nad miarę jest wysoka (85 do 95%), dlatego przy wiatrach W. i NW, sprawia zaziębienia i bóle gardła u dziatwy mianowicie szkolnéj, która w zbyt ocieplanych izbach mieszkalnych i salach szkolnych zaledwie się nałoży do wysokich niedosytów przy 40—50% wilgoci musi zaraz wychodzić wprost na ulicę w atmosferę zimną i wysoko wilgotną. Tak np. dziś (15 listop.) o godz. 5-éj z południa było w moim pokoju na 1 piętrze: 20°C i 52% wilg. a *P. r.* = 11·3°C, *Nds* = 7·9 mm. wynosił, podczas gdy na dworze na 1 piętrze od północy *równocześnie* było 5°C, 94% wilg. i *P. r.* 4°C, a *Nds* = 0·5 mm. notowałem. Niedosyt więc powietrza pokojowego przeszło 15 razy był większy niż powietrza na dworze. Wiatr był zachodni a cały dzień ten dżdżysty.

Nie należy też sprowadzać się do nowego budynku na stałe mieszkanie, nie zbadawszy pierwéj hygrometrem stanu wilgoci ścian jego. Jeśli one tak są jeszcze wilgotne, iż koniec skazówki probierza Lambrechtowskiego, przytwierdzonego do muru, trzyma się pomiędzy 2° — 1°C, mieszkanie z pewnością będzie zbyt wilgotne i dla tego niezdrowe. Zbyt cienkie znów ściany od dworu w budynku przy suchych wiatrach wschodnich nie dopuszczą wilgoci powietrza w pomieszkaniach dojść do pożądanéj dla zdrowia wilgoci 60—70%.

Jak człowiek zdrów, *siedzący spokojnie* w pokoju potrzebuje temperatury powietrza 16 — 18°C, na dworze zaś należycie odziany *przy miernym ruchu* bez szkody dla zdrowia znosi z łatwością mroźną temperaturę — 16 do — 18°C, tak samo może on różne stopnie wilgoci i różne niedosyty znosić, jeśli ma na sobie stosowne odzienie, które go równie od zimna jak i od nadmiernego wysuszania skóry dostatecznie ochrania, i jeśli płucom swoim nie zbyt ciężkie zadania na mrozie przekazuje, gdyż prawidłowa nawet wilgoć w atmosferze silnie i długo pracującym płucom uciążliwą i w końcu szkodliwą być może. Dlatego gdy hygrometr Lambrechta i w bliskości niego zawieszony termometr 18 do 20°C, na dworze pokazuje, prędzéj usiąść można na ławce w ogrodzie i siedzieć spokojnie *w milczeniu*, aniżeli daleką i rączą odbyć przechadzkę *w towarzystwie*, która u osób delikatnych i do plucia krwią skłonnych zawsze jest niebezpieczną. Doświadczenie to zrobiłem sam na sobie przed kilku laty, urządziwszy wycieczkę za miasto przy silnym wietrze *wschodnim na początku maja*—wprawdzie bez termometru i hygrometru, ale po po-

wrocie o godz. 5-téj do domu krwią pluć zacząłem, a innéj tego plucia przyczyny zewnętrznéj prócz téj atmosferycznéj znaleść nie umiałem. Dziś też tak samo sądzę. Jeśli bowiem hygrometr i termometr na dworze 18° lub 20°C pokazuje, przy 18° będzie 28%, przy 20% tylko 24% wilgoci w powietrzu; *niedosyt* więc w pierwszym przypadku *11·1 mm.* w drugim *13·2 mm.* wynosi. Ta liczebna jego wysokość, połączona z chyżością i temperaturą wiatru wschodniego na wiosnę i z pracą płuc, chodem i mówieniem natężonych, jest dostatecznym powodem do pęknięcia jakiegoś krwionośnego naczynka w gardle, tchawicy lub oskrzelach—i do plucia krwią.

Nawet przy 18—20°R, stać się to samo może w danych okolicznościach, gdyż niedosyty są wówczas jeszcze wyższe, jak to następująca tabliczka okaże:

Przy 18°R, (22·8°C.) jest wtedy 19% wilg. a P. r. = 0°C.
„ 20°R, (25°C.) „ „ 16% „ a P. r. = 0°C.
Syt przy 18°R, wynosi 20 mm. Syt przy 0° zaś 4·6 mm.
„ „ 20°R, „ 23·5 mm, zatém dotyczące
Niedosyty są *15·4* mm. i *18·9* mm. tj. jeszcze większe o 28% i 30% niż w poprzednim przypadku.

Meteorologowie zrobili spostrzeżenie, iż punkt rosienia, który z wieczora okazuje hygrometr, zgadza się zazwyczaj z najniższym stanem temperatury powietrza następnéj nocy. Jeśli więc *temperatura rosienia wieczorem spadnie niżéj 0°*, prawdopodobnie w nocy (zwłaszcza pogodnéj i jasnéj w kwietniu lub październiku) nastąpi mróz. Znają to w innéj formie ogrodnicy i chowają wówczas delikatniejsze rośliny na noc do cieplarni. Mając tedy na wiosnę lub w jesieni przedsięwziąć podróż w nocy, poradzić się należy Lambrechta, jak się odziać na drogę.

Dr. Wojciech Urbański.





ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Prace filologiczne, wydawane przez pp. J. Baudouina de Courtenay, J. Karłowicza, A. A. Kryńskiego i L. Malinowskiego. Tom I. Zeszyt I i III. Warszawa 1886 r.

Sprawozdanie z „Prac filologicznych“ zaczynamy od rozprawy p. J. Hanusza p. t. „Szkic gramatyczny na podstawie języków indoeuropejskich.“ Autor przeprowadziwszy z małemi zmianami terminologią polską p. Karłowicza (zeszyt I) przystępuje do skreślenia zarysu gramatyki ogólno-aryjskiéj z pewnemi zastosowaniami do badań nad polszczyzną. Nie chcąc streszczać obszernéj dosyć rozprawy, zastanowimy się tylko nad niektóremi szczegółami, które się nam bądź niejasnemi, bądź wątpliwemi wydały.

Autor objaśniając samogłoski, czyni krótką wzmiankę o tryftongach czyli trójzgłoskach. Ponieważ rzecz ta dla czytelnika polskiego jest niejasną, przeto nadmieniamy, iż tryftongi najbardziéj rozpowszechniły się w języku średniowiecznym niemieckim (Mittelhochdeutsch), którego pomniki sięgają od pierwszéj połowy XII wieku i ciągną się do drugiéj XIII st., np. *goeu* zam. *göuwe* = słow. żupa, niem. *gau*; staroniem. *chuoa*=krowa etc. Rozebrawszy atoli nieco bliżéj zjawisko rzeczone, przekonywamy się, że trójzgłoski te są pozornemi; gdyż średn. niem. *oeu* jest przegłoszeniem *ou*, zaś staroniem. *uoa*, wymawia się na sposób: *ehuo*-a, a więc dwie zgłoski czyli sylaby, z których jedna dwugłoska (dyftonga), a druga samogłoska. Trudno nam się zgodzić z autorem, żeby samogłoski nosowe były „pewnym rodzajem dwugłosek.“ Wprawdzie w sanskrycie tak zw. anusvâra czyli połączenie samogłoski *a* lub *i* z następującém *m* albo *n* tworzy przytłumiony pogłos nosowy, który w prozodyi stanowi pozycyą, bo z samogłoski krótkiéj tworzy długą, lecz zjawisko to należy do wyłącznych cech sanskrytu. W gwarze górnoszląskiéj (Ma-

linowski Luc. *Ueber die Oppelnsche Mundart in Oberschlesien. Leipzig 1873*), oprócz *ą* i *ę*, mamy nosowe *o*, *ó é i*. Zgłoskowość tych dźwięków szczególniéj w pomienionéj widoczna gwarze, jeżeli zam. *tam*, *sam* słyszéć można w Opolskiem: *tą*, *są*; zam. *psem*, *kamratem—psę*, *kamratę*. To co autor mówi, że słow. *ą* wydało polskie *ę* lub *ą* twarde, stosuje się tylko do obecnego stanu języka literackiego, a nie do przeszłości mowy naszéj, tudzież całéj dyalektologii polskiéj. Niezawsze słow. *ę* występuje w polszczyźnie w postaci *ję* lub *ją* t. j. *ę*, *ą* miękkiego, bo mamy *sążeń* = starosł. *sężeń*.

Teorya samogłosek podana przez p. H. nie stanowi nowości, gdyż niczém się nie różni od nauki Henryka Sucheckiego, na systemie Grimmowskim opartéj.

Nie jest rzeczą dowiedzioną, czy *i* w *i*grać zam. grać jest przyrzutem (prothesis).

Lubo autor jest uczniem nowéj szkoły, jednakże utrzymując, iż: „zbitki kj, gj, przechodzą w spółpowiewne ts, dz lub tš, dž“ oświadcza się poniekąd za jotacyą czyli zetacyzmem, popieranym szczególniéj przez Miklosića, Schleichera i innych dawnego autoramentu lingwistów.

Ciekawa ta pod wieloma względami rozprawa urywa się na morfologii; właściwa bowiem nauka o formach, nastąpi w przyszłych zeszytach.

Jakoby uzupełnienie „Szkicu p. Hanusza“ stanowi „Przegląd bibliograficzny prac naukowych o języku polskim“ zebrany przez pp. Kryńskiego i Appla.

P. Malinowski Lucyan („Studya nad etymologią ludową“) niezbyt ścisłą w badaniach swoich odznacza się metodą, jeżeli opierając się na pomnikach z XIV i XV w., gdzie *Ojców* nazwany jest *Oczecz* utrzymuje, iż „Ociec“ oznacza syna Ottonowego tj. *Otic*. O ile wiemy, w czeskim syn Ottona nazywa się *Otik*, u nas zaś lud patronymica tworzy zapomocą sufiksu j*ak* (Jóźwiak, Matusiak itp.) co i u Słowieńców zachodzi (Borowszczák, Dolszczák obok Borowszczek, Dolszczek itp.). Sufiks *ic* (jic) tkwiący w imionach miejscowości (Skierniewice, Maciejowice itp.), tudzież w terminach urzędniczych (wojewodzic, kasztelanic, podczaszyc, starościc) nie rozczepia się na *jec*, aby od *Otto* wydać *Otiec* tj. *Ociec*; przypuścić by chyba należało formę *Ociec* i *Ociak*, następnie powstałą ztąd nazwę miejscowości: *Ocic*. Co do sufiksu *jec* w nazwach miejscowości (Królewiec, Tyniec etc.), to takowego nie używa się na tworzenie podobnych imion, od rodowych początek swój wywodzących. Podobnież zaznaczyć nam wypada, że nie na podobieństwo imion *Jędrzej*, *Andrzej* nazwał lud polski według p. M. osadę *Andrychów* nie-

gdyś *Heinrichów* (w wadowickiém)—Jędrzychowém. Zastanowiwszy się nad wpływem czeszczyzny na język staropolski, przekonamy się, iż pierwowzoru szukać należy w czeskiem *Jindrzich* (Henryk).

Wywód wyrażenia: „Dosiego roku“ od „do siego“ nie jest nowością.

P. Bystroń Jan („Rozbiór porównawczy tekstów modlitwy pańskiéj, pozdrowienia anielskiego“ etc.) twierdzi, że zamiast przyimka *t* lub *te*, w późniejszych zabytkach występuje *d*, które powstało drogą analogii do wyglosowego *d* w przyimku po*d*. A jakąż drogą powstało czeskie *d*o, gdzie jest także po*d*, a nawet k*d*o, które napróżno starał się wyrugować ze słowackiego lingwista Viktoryn. Już w XIV st. zwłaszcza u Tomasza ze Sztitného znajdujemy ono *do* (*do* tė doby), a w deskach lennych czyli dworskich z 1389 roku (Palacký, Archiv I.) czytamy nawet: „*od*piera zbożie.“ Jeżeli *g* zam. *d* ma być wtrąconém według nauki Miklosića (Vergl. Gr. d. sl. Spr. I.) w wyrazie *rozgrzeszenie* zam. starosł. *rozrêszenie*, to czemuż ten wypadek zachodzi i w czeskiém, gdzie również *rozhrzeszeni*? Formy więc polska i czeska wcale starosł. nie odpowiadają, bo każde narzecze słowiańskie rozwija się w odrębnych i właściwych sobie warunkach, ściśle z dziejami danego narodu związanych.

Oprócz p. Bystronia umieścili tu swoje opracowania w dziedzinie zabytków języka polskiego pp. Karłowicz („Mleko duchowne“ z 1556) i Malinowski Lucyan („Zabytki języka polskiego w rękop. Bibl. Jagiel.“).

Dział recenzyjny zasilany piórem p. Hanusza. Z innych prac na szczególne zasługuje odznaczenie p. Baudouina de Courtenay: „Z patologii i embryologii jęz.“ (dokończenie) i p. Hanusza: „O wpływie jęz. wschodn. na słownik języka polsk.“

Pominąwszy małe ujemności, wydawnictwo to stanowi nietylko dla specyalistów, ale nawet dla szerszego wykształconych czytelników koła nader zajmującą i pouczającą lekturę. Wytrwałym pracownikom na polu językoznawstwa należy się godne ich trudów uznanie i do dalszego wydawnictwa zachęcenie.

Justyn Feliks Gajsler.

= Redakcya „Biblioteki Warszawskiéj“ po raz już drugi ogłasza **konkurs** na przedstawienie „*Obrazu historyi literatury polskiéj w wieku XVII.*“ Przedmiot sam pracy konkursowéj trafnie został wybrany, gdyż istotnie mało się dotychczas zajmowano tym okresem piśmiennictwa naszego, bo jakkolwiek jest kilka drobnych monografii Łukaszewicza, Mecherzyńskiego, Małeckiego, Tyszyńskiego, Tarnow-

skiego, Rzążewskiego, Chlebowskiego, Frankego, Trybulskiego, Bema jakkolwiek Adam Bełcikowski przez rok akademicki 1866/7 wykładał w Szkole Głównéj o całości Dorobku literackiego z owych czasów i część swych studyów drukiem następnie ogłosił; to przecież zawsze jeszcze daje się uczuwać brak jednolitego zobrazowania zarówno stanu umysłowego jak i produkcyi literackiéj z tego, z wielu względów niesłusznie potępionego peryodu. Wywołanie pracy, któraby nam skreśliła w wydatnych a wiernych rysach fizyonomią duchową XVII stulecia, byłoby rzeczywistą przysługą dla dziejów literatury naszéj. Zrobimy jedynie tęż samę uwagę, jaką już przed laty wypowiedzieliśmy, że nie należałoby wymagać odrazu za dużo. Redakcya „Biblioteki Warszawskiéj" nakreśliła program pożądanego dzieła zanadto obszernie, domagając się od przyszłego autora, ażeby samodzielnie ze źródeł zbadał dzieje szkół i wychowania w wieku XVII, poznał dokładnie „wszystkie gałęzie ówczesnéj wiedzy narodu, wszystkie czynniki ówczesnéj kultury", żeby się rozpatrzył w archiwach i bibliotekach mianowicie tych państw, które w wieku XVII bez wytchnienia wojowały z nami żeby dostatecznie uwzględnił nie tylko dzieła i broszury w języku polskim pisane, ale też wszystkie utwory, pisane w w. XVII w granicach Rzeczypospolitéj w jakimkolwiek języku lub narzeczu o jéj sprawach, żeby „wszystkie działy piśmiennictwa naukowego przedstawił ze stanowiska dzisiejszéj nauki, zaznaczając jednak zawsze stopień wiedzy, na jakim się znajdowała dana nauka w historyi oświaty powszechnéj w wieku XVII." Jeżeli Mecherzyński poświęcił spory tom saméj wymowie XVII stulecia a nie wyczerpnął przedmiotu; jeżeli Łukaszewicz drugi takiż tom napisał o szkołach i wychowaniu tegoż stulecia, a przecież daleko pozostał od idealnego wyobrażenia, jakie sobie o historyi naszéj szkolnéj oświaty wyrobić możemy: to jakże wymagać, ażeby jeden człowiek potrafił nie tylko te, ale kilkanaście innych działów i czynników piśmiennictwa zadawalniająco zbadać i przedstawić. Z drugiéj strony ponieważ niektóre działy naukowe nie są wcale tknięte, jak np. filozofia (z wyjątkiem logiki, którą obrobił Struve), ekonomika, nauki przyrodnicze; musiałby przyszły autor samodzielnie roztrząsnąć te tak różne przedmioty, a to chyba, względnie do wymagań redakcyi, byłoby niepodobieństwem. Wprawdzie redakcya czuje trudności postawionego przez siebie zadania, wie, że jeden człowiek nie może zbadać samodzielnie wszystkich gałęzi literatury, ale sądzi, że „historyk literatury powinien odznaczać się umysłem przez pracę metodologiczną do tego stopnia wyćwiczonym, że za pomocą rozbioru krytycznego potrafi powiązać z sobą fakta i prawidła przez *specyalistów* zdobyte i przez naukę za ostateczny wyraz

wiedzy danéj epoki przyjęte. Niewątpliwie tak może zrobić z temi wszystkiemi naukami, które stały się przedmiotem badań specyalnych u nas, ale co pocznie z takiemi, które jak wskazaliśmy, wcale przez specyalistów nie były rozbierane?... Zdaniem naszém, ażeby konkurs mógł mieć powodzenie, ażeby istotnie mógł wywołać pracę prawdziwie pożyteczną, należało bezwarunkowo ścieśnić granice programatu, zażądać gruntownego, źródłowego opracowania jakiegoś jednego działu lub pewnéj pokrewnéj ich grupy, zwłaszcza zaś jednego z dotychczas pomijanych, lub zaniedbywanych. Wtedyby można postawić najsurowsze wymagania, a żaden pracownik nie mógłby zrobić słusznego przeciw nim zarzutu. Może redakcya „Biblioteki Warszawskiéj" kierowała się w zarysie programatu poglądem, że należy dużo żądać, ażeby choć coś otrzymać, ale jest to pogląd może słuszny w sprawach praktyki życiowéj, lecz w rzeczach nauki odstraszyć on może tych, co surowo pojmując zadanie, do pracy się nie wezmą z obawy niepodołania zbyt szeroko zakreślonemu programatowi. Zdarzyć się może, iż trafem szczęśliwym redakcya znajdzie pracę pożądaną, życzymy jéj tego szczerze. Nagroda wynosi rubli 1000. Rękopisma opatrzone godłem przyjmowane będą do 1 marca 1889 roku. Nazwisko autora i miejsce zamieszkania winno być zamieszczone w osobnéj kopercie, na któréj znajdować się ma toż samo godło, co na rękopiśmie.

= Z nowym rokiem 1887 rozpoczął wychodzić we Lwowie **Kwartalnik historyczny**, organ towarzystwa historycznego pod redakcyą Ksawerego Liskego. Zeszyt pierwszy zawiera oryginalną rozprawę F. Bostela: „Orzechowski czy Górski?", 58 recenzyi różnych nowszych dzieł, przeważnie z zakresu historyi i literatury polskiéj, spis obszerniejszych recenzyi w innych czasopismach drukowanych, bibliografią dzieł zagranicznych, sprawozdania z dwóch dotychczasowych posiedzeń towarzystwa historycznego, wreszcie mowę dra Oswalda Balzera, wygłoszoną nad grobem ś. p. X. Waleryana Kalinki. „Kwartalnik historyczny" jako jedyny organ specyalny dla badań historycznych oddać może u nas téj gałęzi wiedzy nie małe usługi. Szeroko zaś i umiejętnie przez specyalistów traktowany dział krytyczny ułatwi w wysokim stopniu oryentowanie się w obfitym materyale historycznym i literackim najnowszéj doby.

= **Saturnin Kwiatkowski: Wykaz dostojników duchownych i świeckich tudzież urzędników z czasów Władysława Warneńczyka (1434—1444).** *Kraków 1885.* — Spisy urzędników należą niewątpliwie do bardzo pożytecznych prac historyograficznych. Jeżeli bowiem w stosunku do wyłożonego na nie trudu i mozołu okazują się na razie dosyć niewdzięczne, gdyż nie mogą wcale liczyć na szersze koło

czytelników, to jednak korzyść, jaką przynoszą, nie jest ani zbyt mierną, ani zbyt szybko przemijającą. Z jednéj strony są one znakomitym materyałem dla historyi urzędów, oraz przynoszą ważne usługi w badaniach dyplomatycznych, z drugiéj utrwalają liczne szczegóły, odnoszące się do pojedynczych osobistości lub wybitniejszych rodzin szlacheckich. Nadto wysnuć z nich można wnioski, jakie rodziny, jacy ludzie wywierali stanowczy wpływ na sprawy, jakiéj polityki trzymał się rząd w rozdawnictwie urzędów i t. p. Dla tego wdzięczni musimy być autorowi, że pracując od lat kilku specyalnie w czasach Warneńczyka, których dzieje wzbogacił już kilku rozprawami, dał nam wykaz urzędników z owego okresu, przynosząc tym sposobem pracę, na których taki brak w naszéj literaturze. Jak poprzednie odznacza się i obecna zwykłą autora sumiennością, ale posiada mimo to liczne niedokładności, co już oczywiście sama natura tego rodzaju zestawień i użytego do nich materyału przynosi zwyczajnie za sobą. Znajdujemy w powyższéj pracy tylko urzędników ziemskich, świeckich i duchownych, urzędników bowiem kancelaryjnych, koronnych i dworskich podał autor już przed trzema laty (Rozprawy i spraw. akad. um. T. XVII). Z duchownych mamy tylko arcybiskupów i biskupów, a widzielibyśmy chętnie i niższych dostojników, jak opatów, kanoników, urzędników kapitulnych i konsystoryalnych, notaryuszy publicznych, oraz ile możności i dostojników zakonnych. Mianowicie co do pierwszych, zestawienie takie dałoby nam pojęcie, o ile szlachta się do nich garnęła, o ile plebejusze byli do nich dopuszczeni, wiadomo bowiem, że już za Władysława Jagiełły istniał zakaz przyjmowania plebejuszów do pierwszych czterech kapituł w królestwie, a przecież przez cały wiek XV i w XVI mimo krzyki szlachty, zdołali oni go omijać i wciskać się do nich. Co do urzędników świeckich, to luki i niedokładności w wyliczaniu ich są całkiem usprawiedliwione i nie myślimy z nich robić autorowi wcale żadnego zarzutu. Drukowany materyał wyzyskał p. Kwiatkowski jaknajskrupulatniéj, prócz tego używał jednak i rękopiśmiennego i na nim przeważnie oparł swoję pracę, mianowicie w wykazie niższych urzędników ziemskich i powiatowych. Są to akta grodzkie i ziemskie, zachowane w archiwum krajowém we Lwowie, a ponieważ mamy tu głównie księgi ziem, należących do województwa ruskiego, więc też urzędnicy tych ziem znaleźli w wykazie obecnym stosunkowo najdokładniejsze i najbogatsze w szczegóły zestawienie. Jednak i tu znajdziemy liczne braki. Księgi te, znajdujące się do dziś częściowo jeszcze w stanie zupełnego chaosu, przedstawiają w użyciu nieraz niepokonane trudności i dlatego nie dziw, że autor w niejedném jest niedosyć dokładnym lub nawet pobłądził, że

w miarę postępu w uporządkowaniu, a względnie wydawaniu tych ksiąg, praca p. Kwiatkowskiego licznych dozna zmian i uzupełnień. Obecnie, na podstawie wydanych przez prof. Liskego ksiąg sanockich w XI tomie Aktów grodz. i ziems., jesteśmy w stanie porobić niektóre sprostowania przynajmniéj co do urzędników ziemi sanockiéj: 1) Podkomorzy Johannes Grzymala (de Mieszcze) był nim nie do 1435, lecz od $^{11}/_{1}$ 1434 — $^{1}/_{12}$ 1444. 2) Sędzia Klemens de Pobyedna był nie do 1439, lecz do $^{30}/_{1}$ 1440. 3) Stolnik Steczko z Tarnawy nie do 1441, lecz od $^{18}/_{11}$ 1437—$^{20}/_{6}$ 1439; następnie drugi stolnik za panowania Warneńczyka, Jan Bal $^{18}/_{3}$ 1441 — 1444, którego autor nie zna. 4) Wojski Piotr (1442—1444) zwał się „heres de Trepcza." 5) Pomiędzy burgrabiami umieścił autor Michała de Smolicze z roku 1440, tego samego zaś późniéj pomiędzy wojewodami czyli podstarościami z r. 1438—1442; już z tego samego widać, że to jedna osobistość, a ponieważ burgrabia a wojewoda (w znaczeniu ruskiém) to jeden i ten sam urząd, jak tego dowiódł w przedmowie XI t. prof. Liske, należałoby ich ściągnąć i wogóle w wykazie oddzielić ruskich wojewodów od polskich burgrabiów i podstarościch. Ten Michał Smolicki był zresztą wojewodą od $^{17}/_{4}$ 1438 — $^{9}/_{9}$ 1440. Urząd tego wojewody nie jest jeszcze dosyć wyjaśniony, czy był to trwały, czy czasowy, nie wiedziéć, prawdopodobnie to drugie; równocześnie, a właściwie może ciągle zmieniających się widzimy kilku: Stanisław był od 1434—$^{13}/_{2}$ 1437; Jacussius nie do 1443, lecz $^{27}/_{8}$ 1435—$^{9}/_{12}$ 1437; Jan Glowa nie do 1444, lecz $^{1}/_{11}$ 1442—$^{10}/_{6}$ 1443; Smyothanka (Piotr) $^{29}/_{4}$ 1443—1444. 6) Pisarz Andrzéj de Bytesch był nim nie 1434—42, lecz $^{28}/_{5}$ 1429—$^{16}/_{9}$ 1444. 7) Chcielibyśmy przy każdym urzędniku mieć wyrażone od kiedy do kiedy urzędował, czyli właściwie w którym dniu lub miesięcu występuje poraz pierwszy z tym urzędem, w którym poraz ostatni. Autor korzystający prawie wyłącznie z dokumentów i ksiąg sądowych, winien był to wszędzie skrupulatnie zanotować, gdy tymczasem znajdujemy to u niego bardzo rzadko, zwykle podaje tylko rok. Co się tyczy sanockich urzędników, możemy dać kilka uzupełnień: Starosta Mikołaj Chranstowski był nim do $^{21}/_{12}$ 1437; Piotr Smolicki od $^{2}/_{3}$ 1438 — $^{27}/_{10}$ 1442; Jan Kuropathwa od $^{17}/_{11}$ 1442 — 1444; Chorąży Piotr ze Zboisk od $^{23}/_{10}$ 1434 — 1444; sędzia Mikołaj Pelwelski od $^{14}/_{3}$ 1440 — 1444; Swensko $^{19}/_{5}$ 1435—1444; podsędek Mikołaj Pelwelski $^{9}/_{9}$ 1435—$^{30}/_{1}$ 1440; wojski Mikołaj z Jarosławic $^{18}/_{12}$ 1434—$^{9}/_{9}$ 1440; miecznik Fryderyk Jaczymirski $^{16}/_{1}$ 1434—1444. Na podstawie 11-go tomu Aktów grodzkich mógłby autor uzupełnić także i poprzednią swą pracę (Urzędnicy kancelaryjni...), np. w rozdziale urzędników królowéj Elżbiety, do któréj ziemia sanocka w tym czasie należała i któréj urzędnicy wy-

stępują w aktach, tacy, jakich autor nie wymienia: Petrus *Hochmystr*, Mikołaj Gnoiński, marszałek nadworny, Jakób Gnoiński to samo itp. Na zakończenie muszę podnieść, że tak obecnéj, jak poprzedniéj pracy p. Kwiatkowskiego brak jednéj rzeczy, która utrudnia korzystanie z tych bądź-co-bądź cennych wykazów—t. j. indeksu. Krótki spis alfabetyczny osób na końcu, nie byłby zbyt wiele czasu, ani miejsca zajął, a ułatwiłby bardzo poszukiwanie pracującemu nad monografią jakiejś rodziny lub osobistości, podczas gdy obecnie musi się przebijać przez kilkadziesiąt stron wykazu. *F. Bostel.*





KRONIKA MIESIĘCZNA.

Oczekiwanie. – Niemcy i Francya.—Zwycięstwo Arymana.—Niepewność tryumfu ks. kanclerza.—Narodowo-liberalne stronnictwo i szlachcic pomorski Alzacya i Wielkopolski Socyaliści polscy przy wyborach.—Życzenie ks. D. der . –Memoryał komisyi kolonizacyjnéj.—Smutne liczby.—Przesilenie rolne.—„Teoretycy z za zielonego stolika" i „Praktycy z Psiéj Wólki".—Prośba do uczonych.—Parcelacya i korzyść społeczna.—Złudzenia rolników.—Żydzi gospodarzami.—„Smutne wnioski" i ich źródło.—„Energia inteligentna" w luźnem obliczeniu:—Literat Coppégo i raptus z „Głosu".—Wymagania higieny społecznéj.—„Tygodnik powszechny".

Wielu poetów starało się odmalować chwilę oczekiwania na mający tuż tuż spełnić się wypadek wielkiéj doniosłości. Wzrok i słuch wszystkich zwraca się w jednym kierunku, duch zamiera, dokoła zalega cisza, wśród któréj czuć grozę gotowego wybuchu. Taką chwilę przebyła, i dziś jeszcze przebywa Europa. Od pół roku, interesy, potrzeby, widoki, nadzieje, chęci, namiętności, ambicye, uczucia gotują się, kłębią, wrą; nieustannie wydobywa się na wierzch jakiś nowy pierwiastek, zda się pryśnie i choć ofiarą zniszczenia uwolni i rozdzieli skłócone żywioły; gdzie tam, ten jak i poprzednie spada na dół, aby ustąpić miejsca następnemu. Wytworzyło się położenie mało co lżejsze dla zbiorowiska ludzkiego, niż kamień młyński, dla piersi jednostki. Przemysł i handel, wszelkie zabiegi o materyalny byt narodów podobne są do ustającéj w swym biegu maszyny: jeszcze ruch trwa ale coraz słabszy i słabszy, za chwilę ustanie zupełnie; teraz biéda, za chwilę ruina i... nędza. Znika wszelka nadzieja, aby z téj duszącéj otchłani można się było wydostać na świeże powietrze, nie przechodząc przez mordy, pożogi, mór. W takiéj chwili główny sprawca kryzysu, ks. Bismarck, osobiście i przez organy swoje i swoich cudzoziemskich przyjaciół zapewniał świat, iż upragniony spokój nastanie, pierzchną zmory, jeżeli stronnictwa pokorne jego skinieniom zwyciężą przy obecnych wyborach. Czekano też we wszystkich zakątkach Europy z bijącém sercem wieści z Ber-

lina. Żelazny kanclerz jeszcze raz zwyciężył. A więc nadchodząca wiosna ma świat powitać gałązką oliwną. Może, ale w takim razie drogo został okupiony pokój. Ileż lat jeszcze panować będzie nad Europą brutalność pruskiéj przemocy? Gdzie czasy, kiedy Francya przodowała wśród wojny i w czasie pokoju? Prowadziła ona nieraz na manowce, ale w jéj dłoni gorzała zawsze pochodnia ideałów, obejmujących ludzkość całą; nieraz jak Donkiszot rzucała się do walki z urojonemi mocami złego, niszczyła nabytki pracy, ale nad jéj czołem świeciła wciąż gwiazda miłości i poświęcenia....

Dla ks. Bismarcka przebyte wybory miały doniosłość niezmierną. Gdyby opozycya była zwiększyła swe szeregi, to tém samém przekreśloną by została znaczna część jego wysiłków i zasług; zjednoczone Niemcy wypowiedziały by bardzo dotkliwe wotum nieufności ministrowi pruskiemu. Zwycięstwa jednak swego chyba żelazny książe nie uważa za tryumf niewątpliwy. Przez ośm lat wyrywał prawami wyjątkowemi z socyalną demokracyą, ta jednak rosła i rosła a dziś w stolicy Prus bije na głowę jego kandydatów. Centrum, najwytrwalsza i najpoważniejsza część opozycyi, pomimo nadzwyczajnych środków i interwencyi władzy duchownéj nie straciło nic prawie z sił swoich. W Alzacyi i Lotaryngii, wbrew groźbom, wbrew najwyższemu naciskowi policyi i władz wojskowo-administracyjnych, z urn wyborczych wyszły imiona gorących patryotów, stwierdzając wierność oderwanych prowincyi dla niezapomnianéj ojczyzny. Pobitą została jedynie partya wolnomyślna, niestety najsympatyczniejsza i najszlachetniejsza wśród stronnictw. Wydarte jéj krzesła zajęli *narodowo-liberalni*. Zbyt dużo zostało w ks. Bismarcku buty i popędów pomorskiego szlachcica, zbyt jest przewidującym politykiem, aby go mogła nie martwić konieczność łączenia się i popierania takiego osławionego przyjaciela. Stronnictwo narodowo-liberalne jest armią baronów kapitału, wielkich przemysłowców, bankierów, kupców itd. z niejaką przymieszką reprezentantów nauki. Wszyscy przecież ożywieni szlachetnemi tendencyami przedstawiciele tych stanów, lub przynajmniéj znaczna ich większość należy do innych stronnictw, do konserwatystów, do centrum, do wolnomyślnych; tu zebrali się sami niemal bojownicy w imię egoizmu. Nazwa ich brzmi urągowiskiem podniosłym ideałom. Uczucia narodowe, to altruizm rozciągnięty na szerokie koło ludzi, uczący miłości powszechnéj i prowadzący do niéj. Dla nich miano narodowców ma usprawiedliwiać brudne samolubstwo i przykrywać chęć grabieży. Ich liberalizm znaczy toż samo co wolność duszenia słabych, odmawiając im prawa obrony. Ks. Bismarck rozumie, iż spokój społeczny wymaga pieczy nad cierpiącymi i niepewnymi jutra pracownika-

mi, to téż sojusz z narodowo-liberalnymi jest mu niewygodny. Stają oni zawsze na drodze wszelkim reformom socyalnym, których się domaga wiedza społeczna, miłosierdzie, sprawiedliwość, miłość ludzkości. Zdaje się, że kanclerz niemiecki, zyskawszy większość dla siedmiolecia, utraci ją przy pierwszéj lepszéj spornéj kwestyi w przyszłości.

Polacy nie dotrzymali niestety kroku Alzatczykom. Początkowe wieści brzmiały bardzo pomyślnie, nietylko żaden powiat nie miał być stracony, ale można się nawet było spodziewać nabytku nowego posła przy wyborach dodatkowych. Najświeższe wiadomości rozwiały tę nadzieję. W samym wiel. księstwie okręg szubińsko-wyrzyski, dotąd reprezentowany przez polaka, wybrał teraz Falkenberga, niemca (otrzymał o 588 głosów więcéj niż Skórzewski). W okręgu zaś toruńsko-chełmińskim Szczaniecki będzie musiał poddać się powtórnemu głosowaniu, mając za współzawodnika narodowo-liberalnego kandydata, Damnesa. Słowem, zamiast 16-u posłów Koło polskie w Berlinie liczyć będzie członków 13-u lub 14-u. Dodać należy, że po wyborach w 1884 roku reprezentacya polska doszła do liczby 18-u i od tego czasu dwa już razy nowe wybory zaznaczają utratę sił. Tém się tylko chyba pocieszyć można, że były czasy jeszcze gorsze a zdołano wzmódz się wbrew staraniom ks. kanclerza: może też i dzisiejsza klęska nie jest znamieniem trwałéj niemocy. Zaznaczyć należy wzrost w Poznaniu żywiołu socyalistycznego. W 1881 grupa polska, rezydująca w Genewie, a złożona z kilku emigrantów z Warszawy, postawiła kandydaturę Bebla, który nie dostał *ani jednego* głosu. Takie niepraktykowane *fiasco* było wynikiem oddalenia od kraju jednych agitatorów i uprzedniego aresztowania innych, skutkiem czego nie nastąpiło porozumienie z Niemcami, którzy pewną choć skromną, bo niedochodzącą 30-u, ilość głosów zebrali dla swego kandydata Kräckera (jeżeli mnie pamięć nie zawodzi). W tym roku podobno socyalista Konstanty Janiszewski znalazł aż dwiestu przeszło wyborców w Poznaniu. W téj liczbie byli i Polacy, chociaż na zebraniu przedwyborczém u Sundmana przemawiali głównie Niemcy. Sam p. Janiszewski jest z pochodzenia polakiem, występował w Genewie solidarnie z grupą *Równość* i był aresztowany w 1881 r. razem z dwiema innemi osobami. Wystąpienie obecne jest doprawdy dowodem zaślepienia stronniczego. Dopóki działania doktrynerskie pozbawiały nas tylko pojedyńczych jednostek, było to smutne, ale nie tak doniosłe; teraz odciąganie robotników od solidarności narodowéj, kiedy żywioł polski pasuje się w rozpaczy niemal o byt, stanowi wykroczenie, które wyświetlić należy wobec opinii publicznéj, by je surowo potępiła.

Potężną zawałę rzucił również pod koła polskiéj maszyny wyborczéj ks. Dinder; idąc zapewne za wolą posłusznego dla Prus Watykanu, wyraził on w ostatniéj chwili *życzenie*, aby ks. Jażdżewski nie przyjmował mandatu. Takie życzenie jest naturalnie rozkazem dla podwładnego.

Minister rolnictwa Lucius przedstawił sejmowi pruskiemu obszerny memoryał o wykonaniu prawa z d. 26 kwietnia 1886 r. co do kolonizacyi w Prusach Zachodnich i w ks. Poznańskiém. Nietylko Polacy, ale nawet Niemcy katolicy są tam traktowani jako *nieprzyjaciele*, którym państwo wypowiedziało wojnę i zaprzysięgło zagładę. Jestto chyba jedyny fakt podobnego stanowiska ministra w urzędowém wystąpieniu względem spokojnych poddanych swego monarchy. Memoryał pełen jest bardzo ważnych dla nas wiadomości i liczb. Aby zapobiedz przechodzeniu powrotnemu rozkolonizowanéj ziemi w ręce polskie, nabyte majątki rozdawane będą tylko Niemcom ewangelikom, na których narodowości i wyznaniu nie ciąży żadna plamka. „Dzieło kolonizacyi budzi—według zapewnienia p. ministra—najżywszy interes w najodleglejszych zakątkach wielkiéj ojczyzny niemieckiéj“, a nawet i po za jéj granicami. Dotąd zgłosiło się z różnych stron świata, z Europy, z Ameryki aż 871 kolonistów. Dwa więc główne czynniki dopisały, dużo rąk wyciągnęło się ku komisyi, dając ziemię, dużo się też podniosło, aby ją dostać. Pomimo to całkowite załatwienie sprawy nie jest wolne zupełnie od trudności. Nabyte majątki są w stanie złym, niema budynków, potrzeba kolonistom dać sprzęty, inwentarz; dla tego też p. Lucius oświadcza, że liczyć na żadne korzyści z nabytych dóbr nie można, przeciwnie nawet wypadnie fiskusowi zdobyć się na niemałe nakłady. Być może, iż dla przyśpieszenia kolonizacyi i jednocześnie dla uwolnienia Niemców od kosztu na germanizacyą, wpadną niedługo w Berlinie na pomysł obłożenia stałą kontrybucyą pozostałych w rękach polskich majątków; wobec tego, co się dotąd dzieje podobne *prawo* nie mogło by nas zdziwić nawet; wyargumentowano by go tém, że chodzi tylko o złamanie uporu, krępującego właściwy bieg życia państwowego. Tymczasem jednak p. minister nic o tém nie wspomniał. Dwa nabyte na subhastacyi po Witoldzie Łubieńskim, majątki Dolnik i Paruszka (859 hektarów w pow. złotowskim w Prusach Zachodnich), mają być użyte na rodzaj stacyi doświadczalnéj dla prób kolonizacyjnych. Rzeczywiście, ostatnie telegramy powiadamiają, że Dolnik został rozdzielony na 21 części, z których 17 już sprzedano lub wydzierżawiono.

Memoryał wylicza w dalszym ciągu nazwy majątków, nabytych przez komisyą w 1886 roku. Nie będę tu powtarzać téj pogrzebowéj litanii; ogółem na cele kolonizacyjne zakupiono 11,730 hekta-

rów za cenę 6,761,745 marek. W roku bieżącym już parę majątków wyszło z rąk polskich, przymusowa sprzedaż jest na porządku dziennym i wciąż nam ziemię wyrywać będzie; prócz tego memoryał oznajmia, iż komisya otrzymała propozycye nabycia z wolnéj ręki 140 posiadłości większych i kilkunastu chłopskich. Wprawdzie komisarz rządowy na zapytanie posła Magdzińskiego stwierdził, że nawet połowa tych ofert nie pochodzi od Polaków, jestto jednak słaba pociecha, bo trzecia, czwarta, piąta część stanowiłaby już powtórnie wielką liczbę. To jedno dodaje otuchy, że opinia w całéj Wielkopolsce jest mocno wzburzona i coraz to silniéj piętnuje „*zdesperowanych* lub *podłych*, na wskróś zgnilizną przesiąkniętych spekulantów, którzy nie mają odwagi w najgorszym wypadku z siekierą i motyką w ręku pracować na wyżywienie siebie i swoich rodzin.“ P. Łyskowskiego ścigają bardzo dotkliwe objawy ogólnéj wzgardy.

Przyznać trzeba, że rząd pruski nie mógł znaleść dogodniejszéj chwili do wywłaszczania obywateli ziemskich, jak obecna. Nigdy posiadacze majątków większych nie mieli mniéj środków do obrony aniżeli teraz. Nietylko w Poznańskiém, ale w innych prowincyach znaczniejsze obszary rolne przechodzą ciężkie przesilenie, którego koniec ani co do czasu, ani co do rezultatu przewidzieć się nie daje. Konkurencya pszenicy amerykańskiéj i indyjskiéj nie stała by się tak groźną, gdyby nasi właściciele folwarków nie byli w téj chwili podobni do człowieka, któremu tchu brak. Gotówki niéma, nie podobna więc nic przedsięwziąć, ziemia nie przynosi tyle dochodu, ile trzeba płacić procentów od długów hipotecznych i niehipotecznych. Nawet sprzedać majątku niéma komu, bo w dzisiejszych ciężkich czasach nikt nie chce kupować. Położenie rzeczywiście bez wyjścia niemal. To też ciągle w gazetach literaci z powołania i przygodni zabierają głos w téj sprawie i coraz to jednogłośniéj wskazują na parcelacyą, jako na jedyną drogę ratunku. Szkoda tylko, że poważne uwagi i rady, oparte na gruntownném zbadaniu sprawy i wskazówkach nauki, stanowią niewielki tylko procent w chórze tych głosów. Gazeciarscy rzecznicy dzielą się na dwie kategorye, można powiedzieć na dwie szkoły, traktujące się wzajemnie z poczuciem własnéj wyższości. W nadawanych sobie mianach tkwi ironia, a nawet pewna pogarda; jedni ochrzczeni zostali przez przeciwników teoretykami „z po za zielonego stolika“, drudzy „praktykami z Psiéj Wólki.“ Spory dwu tych kierunków ujawniły się we wszystkich niemal dziennikach. Zarzut braku kompetencyi powtarza się ciągle, jak przegrywka w piosence. Zielonym stolikom wydaje się, że obejmując okiem kraj cały, lub może nawet glob, sądzą trafniéj i z punktu ogólnych interesów, nie powodując się prze-

sądami, panującymi w jakiéjś parafii, nie rządząc się widokami osobistych lub stanowych korzyści. Praktycy zaś zarzucają literatom z profesyi zupełną nieznajomość stosunków. Nawiasowo zwrócę uwagę, że warszawscy socyolodzy nie zupełnie mają słuszność, pomiatając bezwzględnie zdaniem mieszkańców Wólek; tacy myśliciele, jak August Comte i Fryderyk Le Play zwracali się o rady, wskazówki i zdania do ludzi, zajętych praktyką na roli lub w fabrykach, i bardzo je wysoko cenili. Jestto zresztą łatwe zupełnie do zrozumienia, że człowiek, sądzący o czémś jedynie teoretycznie i nie mający nigdy niemal z życiem styczności, zapomni o wielu względach, o drugorzędnych stronach jakiéjś kwestyi.

W ocenianiu stosunków rolnych, w decydowaniu o przyszłości i znaczeniu większych majątków pewna część prasy, szczególniéj ta, która gorąco zaleca parcelacyą, zdaje się niezupełnie z właściwego stanowiska patrzy na rzeczy. Staje się coraz bardziéj koniecznem dla należytego pojmowania sprawy przez ogół, aby ludzie kompetentni, wolni od wszelkich tendencyi, wyjaśnili nam naukowo, czy niemoc dużych posiadłości związana jest z samém ich istnieniem i wynika jako konieczność z rozwoju przemysłu, handlu i t. d., czy wielkie gospodarstwo wydaje nieuniknienie mniéj niż małe i musi dla dobra społecznego upaść w walce o byt; czy téż kryzys spowodowany został jedynie czasowymi i miejscowymi warunkami; przy jakim systemie podziału własności siła produkcyjna ziemi wzrośnie? Inaczéj traktować należy parcelacyą, jeżeli drobna majętność jest ostatecznym ideałem i kresem rozwoju stosunków rolnych, a inaczéj, jeżeli ona, ratując może chwilowo sytuacyą, obniży wartość wytwórczą kraju. Będziemy ją naturalnie wszyscy popierać zawsze, gdy wystąpi jako środek, chroniący ziemię od napływu Niemców, lecz nie rozwiniemy wielkiéj energii dla jéj wprowadzenia, jeżeli obyć się bez niéj potrafimy. Zadłużeni i niedający sobie dziś rady posiadacze mogą się wzmódz na siłach, lub być zastąpieni przez jakieś nowe żywioły, a zachowanie lepszego warsztatu tylko korzyść krajowi przyniesie. Były próby wyświetlenia téj kwestyi, lecz na jedno zdanie odpowiedziano drugiém, przytoczone dane zbijano innemi i ostatecznie nic dziś wiedziéć nie można. Zdaje się, że różność wyników nie tyle jest spowodowaną trudnością zadania, ile domieszką tych lub owych tendencyi, moralnych, politycznych, społecznych. Tymczasem sched szlacheckich nie uratuje od upadku żadna obrona, jeżeli ten upadek wynika z biegu rzeczy; a z drugiéj strony wymierzanie sprawiedliwości społecznéj, zapewnianie bytu niemającym, protegowanie krzywdzonych żywiołów powinno odbywać się na innéj drodze. Biéda, nierówność majątkowa, upośledzenie, są wyni-

kiem tego, iż ilość materyalnych środków jest ograniczona, często niewystarczająca. Najsprawiedliwszy podział, któryby zmniejszył jednocześnie ilość bogactw, w bardzo krótkim czasie odbiłby się fatalnie na ogólnym dobrobycie. Ludzie, pragnący usunięcia nędzy, przedewszystkiém dbać powinni o to, aby nie obniżać siły produkcyjnéj społeczeństwa; są inne drogi zmieniania dzisiejszego stanu. Dlatego też nam się wydaje, że rozstrzygnięcie pytań co do wartości ekonomicznéj różnych rodzajów własności ziemskiéj może i powinno być z powszechną korzyścią zrobione niezależnie od wszelkich innych względów. Dopóki zaś to nie zostało dokonane, wszelkie wywody publicystów są zamkami na lodzie, ćwiczeniami wyobraźni i dowcipu.

Wskazówki, nadsyłane przez rolników do pism, ogół czytelników, przy zupełnym braku punktów wytycznych do oryentowania się w całości sprawy, nie wiele oświecą; ale za to badającym rzecz gruntownie bardzo przydać się mogą. Dobrze by było, aby w takich głosach ze wsi, wnioski—uogólnienia robione były z większą względnością. Na każdym niemal kroku przebija się tam ta znana słabość natury ludzkiéj, która bezpośrednim wrażeniom nadaje przesadzone znaczenie, dojrzane własném okiem, wypadki uważa za wynik jakichś praw, wszędzie panujących, a otoczenie swoje ma za typ powszechny. Spotykamy więc zdania, oceniające naturę chłopa nie z jednego jakiegoś powiatu, lub prowincyi, i w pewnym czasie, lecz zupełnie ogólnie; stosunek procentów od kapitału ruchomego do dochodu z ziemi zależy naturalnie od roku mniéj lub więcéj urodzajnego, od dobroci gleby, od położenia, środków komunikacyjnych i t. d., tymczasem podający swe uwagi rolnicy decydują to zupełnie bezwzględnie.

Mamy świeży dowód z téj saméj sfery spraw, jak łatwo jest się pomylić w sądzie, zapominając, iż to, cośmy widzieli, mogło być wyjątkiem. Kilkakrotnie słyszéć się dawały narzekania, że Żydzi rujnują majątki, które wpadły w ich ręce. Towarzystwo Kredytowe postanowiło rzecz tę zbadać dokładnie. Ani kompetencya, ani bezstronność naszéj instytucyi ziemiańskiéj nie ulega chyba w tym wypadku żadnéj wątpliwości. Wiadomości, tą drogą zebrane, dowodzą, że oskarżenia o tyle były uzasadnione, o ile ktoś gdzieś wypadkowo spotkał gospodarstwo źle prowadzone przez nabywcę żyda, ogólnie zaś rzecz się ma inaczéj. W całém Królestwie w posiadaniu Izraelitów znajduje się 335 majątków; z téj liczby w 147 (43,8%) stan gospodarstwa przedstawia się *wzorowo*, w 103 (30,7%) *mniéj zadawalniająco*, w 63 (18,7%) *zupełnie nieracyonalnie*, w 15 majątkach dzisiejsi dziedzice przystąpili do parcelacyi, 9 wypuszczono w dzier-

żawę (1). Procent 18,7% zupełnie źle prowadzonych gospodarstw jest zapewne duży, jeżeli się jednak weźmie ilość pomarnowanych majątków przez posiadaczy innego pochodzenia, to znika przyczyna do potępiania wyłącznie Żydów. Zaznaczmy jeszcze, że służebności zniesiono w 134 dobrach, w 39 pozostało niewiele do uregulowania, a 162 majątki żydowskie wcale nie przystąpiły do zamiany serwitutów.

Nasuwa się nam drugi wypadek, gdzie zbytnie zaufanie wrażeniom, doznanym z bezpośredniego otoczenia, doprowadziło do wniosków fałszywych, lub niedających się poważnie uzasadnić. Mówię o artykule „Głosu“ *Smutne wnioski* (nr. 4). Niektóre pisma ujrzały w tém przejaw, zasługujący na wyklęcie, dowodzący braku uczuć, niemal przeniewierstwo. „Kraj“ zaś z właściwą mu powagą zbijał naukowo wyniki bardzo nienaukowéj fantazyi. Mnie się zdaje, że artykuł „Głosu“ nie tylko nie dowodzi braku uczuć lub dbałości o dobro naszego społeczeństwa, lecz przeciwnie, przekonywa o zbytniéj żywości i drażliwości tych uczuć, o zbytniéj gorliwości w sprawach, które dotyczą przyszłości i szczęścia narodu. Jakieś niepewne prawdopodobieństwo groźnego objawu, słaby błysk pozoru niebezpieczeństwa pobudza autora i redakcyą do wybuchnięcia kaskadą całą smutnych przepowiedni, jeremiaszowéj rozpaczy, które ze szpalt pisma najzupełniéj niepotrzebnie roznoszą niepokój w umysły ogółu. Oto ustęp, streszczający w sobie przewodnią myśl artykułu: „Twórczość umysłowa w ziemiach rdzennie polskich *przerażająco słabnie*, wskutek wyczerpania energii intelektualnéj, nie zasilanéj odpowiednio ani świeżym pokarmem naukowym i literackim, ani świeżymi sokami warstw, w których nagromadziły się zapasy nieużytych sił duchowych. Natomiast przejawia się ona tam, gdzie warstwy inteligentne przyjmowały *dotychczas słabszy* (?) udział w życiu cywilizacyjném narodu, gdzie przedstawiają one pierwiastek etnograficznie zmieszany i gdzie potrzeby umysłowe obficiéj są zaspakajane. Ten stan rzeczy jest wszakże nienaturalnym przy prawidłowym rozwoju społeczeństwa, który opierać się powinien (?) na jednolitości plemiennéj.“ Ustęp ten tak wygląda, jak gdyby zawierał argumenty wyprowadzone przez analogią organizmu społecznego ze zwierzęcym, ponieważ jednak teorya o *energii intelektualnéj* sama jeszcze wisi wśród mgieł, domysłów i przypuszczeń, więc autor przyrodnicze uzasadnienie uważał widocznie za dodatek, w całym zaś artykule gromadził szczegółowe dowody i szedł drogą indukcyi. Wyszło to tembar-

---

(1) Dane te powtarzamy za „Kurjerem Warszawskim“, gdzie musiała zajść pomyłka w pojedynczych pozycyach, gdyż po dodaniu przenoszą one o 2 ogólną sumę.

dziéj na dobre wywodom „Głosu", że warstwy inteligentne z ziem nie rdzennie polskich wcale nie mniejszy brały udział w życiu narodu. Życie to do ostatniego wieku było główmie polityczne, tymczasem Rzeczpospolitą trzęsły rody Ogińskich, Radziwiłłów, Czartoryskich, Potockich, Sapiehów, Sanguszków, Koniecpolskich, Wiśniowieckich i t. d.—wszystkie pochodzenia rusko-litewskiego; naturalnie satelity były liczniejsze tam, gdzie słońc było więcéj. Wszystkie rody królewskie (po Piastach), lub pojedyńczy królowie, z wyjątkiem Leszczyńskiego, byli z rodów nie rdzennie polskich, lub dostali się na tron wskutek takichże koligacyj. Umysłowe życie, o ile było, tętniało żywiéj raz tu, drugi raz tam, w sumie zaś niepodobna wiedzieć, która prowincya więcéj wydała energii; w XIX zaś wieku, według zapewnień samego autora z „Głosu", puls żywiéj bije „na kresach" niż w rdzeniu.

Zdawało by się, że dla uzasadnienia powyższych twierdzeń należało wziąć ogół przejawów i sił inteligentnych tu i tam, ale *ogół*, więc zarówno uczonych i literatów, jak artystów, adwokatów, lekarzy, nauczycieli, inżynierów i t. d., porównać to z liczbą inteligentnéj warstwy w dwu częściach, a następnie ponieważ mowa jest o *słabnięciu*, zbadać rozwój i stosunek tych sił w jakimś dłuższym przeciągu czasu. Jeśli to niemożliwe, to niemożliwe są i wnioski, jako oparte na niedokładném poznaniu kwestyi. Powtóre należało zdać sobie sprawę i wytłómaczyć, co to są kresy, a co rdzeń i trzymać się tego. Tymczasem każdy przypuszcza, iż do „gniazdowo" polskich ziem należy Królestwo prawie całe, Wielkopolska i Galicya, ale zachodnia tylko; autor zaś, gdy mu tego potrzeba, Lublin (miasto), Podlasie (bez bliższego określenia) zalicza do kresów, całą Galicyę do rdzenia itd. Stąd gmatwanina nie do rozplątania. Skalą do mierzenia siły inteligencyi jest dla autora jedynie ilość prenumerowanych pism i ilość literatów z każdéj prowincyi. Ale, oparłszy swój rachunek na tak nawet wątpliwym gruncie, „Głos" nie przeprowadził go ściśle lecz naginał do potrzeby. Wątpliwe prawdopodobieństwo i własne moralne przekonanie jest mu wystarczającym dowodem.

Rozklasyfikowanie literatów i uczonych według pochodzenia z téj lub owéj prowincyi jest niesłychanie dowolne. Słabnięcia żywiołu w prowincyach rdzennie polskich ma dowodzić ten fakt, że na profesora do Krakowa zawezwany został p. Rostafiński rodem wcale nie z kresów, lub to że Ochorowicz kończył nauki w Lublinie (!), chociaż urodził się i wychował w Warszawie. Pochodzenie z jakiego kolwiek punktu kraju, leżącego po prawéj stronie Wisły, wystarcza do zamianowania kresowcem. Autor powydłubywał nazwiska

bardzo mało znanych publicystów, jeżeli tylko znalazł się pozór zaliczenia ich do przedstawicieli nierdzennych prowincyi, co świadczy iż nawet do tak luźnego dowodzenia brakło mu materyału, a niezwrócił uwagi na daleko wybitniejsze talenty (Chlebowski, Smoleński, Dygasiński, Morzkowska, Narzymski, Asnyk itd.). Nieuwzględnioną została wcale możliwość różnych uzdolnień w różnych prowincyach, lub czasowe przeniesienie się sił z pola literackiego na inne. Jeszcze w początkach obecnego wieku Mochnacki zwracał uwagę na różność kierunków, upodobań i rodzaju zdolności pomiędzy wileńskiemi przyjaciołmi Mickiewicza i warszawskiemi kolegami Wysockiego. Gdyby ktoś wpadł na myśl wniosków o przyszłości intelektualnéj prowincyj w początkach epoki romantycznéj i porównywał metodą, użytą w „Głosie", Wilno z Poznaniem, to by temu ostatniemu wywróżył wieczne ciemności, tymczasem Wielkopolska obejmuje wkrótce potém prym w życiu umysłowém i wydaje pierwszorzędne siły w nauce i literaturze.

Z Galicyą i Księstwem Poznańskiém autor obszedł się niesłychanie surowo, nie ma tam albo „nic prawie", albo „nic zgoła", ani „samodzielnych sił naukowych, ani talentów literackich", „same chwasty i nikłe, blade porosty." „Od lat dwudziestu istnieją w Galicyi dwa uniwersytety polskie i jakich uczonych, spytać można, wykształciły one?" Nietylko można spytać, ale należało nawet to zrobić przed pisaniem artykułu. Otóż w Krakowie wykształciło się kilku, a we Lwowie pod kierunkiem pr. Liskego cała falanga historyków, gruntownych i poważnych; krakowski uniwersytet wydał wielu lingwistów, na czele których postawić należy dra Hanusza prof. w Wiedniu. We Lwowie wychodzi „Kosmos". Matematyka ma swoich poważnych przedstawicieli w Galicyi, z których pracami autor może spotkać się w pamiętnikach Akademii krakowskiéj. Tutejsza „Biblioteka umiejętności prawnych zasilaną jest i przez galicyjskich uczonych. Szkoły średnie i niższe przez kilkanaście lat ostatnich wzrosły znakomicie, co przecie głównie jest owocem pracy i talentu sił miejscowych, świadkiem Towarzystwo pedagogiczne i czasopismo „Muzeum". Lam nie ustępował jako publicysta pierwszorzędnym siłom warszawskim, Bałucki, Bliziński, Lubowski muszą być także znani autorowi artykułu.

Chociażby nawet w Poznaniu już nie kłosy, ale nawet trawa bujniejsza nie porastała na niwie literackiéj, to i tak w żaden sposób nie stwierdza to faktu *słabnięcia* inteligentnego narodu. Inne prowincye, szczęśliwsze, czynią zadosyć potrzebom duchowym całości, dany więc kącik w téj bieżącéj chwili wszystkie swoje, zawsze szczupłe i nieliczne siły wytęża w innym kierunku; czy to nie konieczne,

naturalne i pożądane? W zeszłym dziesiątku lat odbierali Polacy Niemcom krzesła w parlamencie, obecnie tracą je przez wzmożenie obcego pierwiastku, ale coraz większa ilość jednostek bierze udział w życiu, jak tego dowodzą ostatnie wybory. Tam istnieją, mnożą się i rozwijają kółka włościańskie, czytelnie ludowe. Jak można w takich warunkach brać za probierz rozwoju życia literaturę? Co dziwnego, że pomiędzy różnemi częściami istnieje wymiana pomocy, wspólne załatwianie wspólnych potrzeb, rozkład sił, odpowiedni do warunków i wymagań chwili; czyż może, czyż powinno być inaczéj? Jak tak się będziem różniczkować, to niedługo kłócić się z sobą zaczną gubernie, późniéj powiaty, nareszcie parafie. Nie starajmyż się upodobniać kraju do literackiéj sfery w stolicy. Warszawska Szkoła Główna dała bardzo zasłużonych i pożytecznych profesorów uniwersytetowi krakowskiemu; skąd wiemy, że wszechnica jagiellońska nie spłaci tego długu z procentem. Utrzymana do dziś dnia możność wzajemnego posiłkowania się i uzupełniania, cieszyć nas chyba powinna, dowodzić żywotności, a nie służyć za racyą do pogrzebowych trenów.

Wierni słuchacze kazań literackich musieli być wprawieni w zakłopotanie artykułem „*Smutne wnioski*." Przez długi czas nawoływano do praktycznych zajęć, kazano brać się do rzemiosł, przemysłu, handlu, nie dać się łudzić poezyi,—zdawać się więc może tym prowincyom, które najwięcéj okazały posłuszeństwa, a wskutek tego najmniej sił mogły poświęcić innym zawodom, że są najbardziéj uzdolnione do życia; aż teraz jeszcze młodsza prasa wyrzuca i kamienuje je za brak poetów.

Słyszeliśmy od ludzi pokrewnych „Głosowi", że kresy nic nam dać nie mogą i wyrzec się ich trzeba, a i z samego „Głosu" podobne wnioski wyciągnąć się dadzą; teraz okazuje się, że wszelkie siły ztamtąd czerpiemy. Jak to pogodzić? Może by wypadało mniéj arbitralnie i bardziéj ostrożnie obchodzić się z tymi kresami.

W jakiejś nowelce Coppée opisuje paryskiego literata, jak, siedząc pod kawiarnią z kuflem piwa w ręku, wpatruje się w jedyne oświetlone okienko szóstego piętra, gdy na całéj ulicy ciemno już. W fantazyi jego przesuwają się obrazy cichego szczęścia, któremu pokrewnym wydaje się spokojny blask szyb; przebrał wszystkie możliwe kombinacye, chce się przekonać, która z nich jest prawdziwą, udaje się na górę i znajduje... trupa na marach. Autor z „Głosu" zdaje mi się popełnił przez zbyt śmiałą domyślność większą jeszcze pomyłkę; dojrzał on błysk tylko, nieujęty, niepochwytny, nie pomyślał, że to może złudzenie jego własnego oko, może odbicie jakiegoś dalekiego światła, może blask zwykłéj przenoszonéj

świecy, wyobraźnia podsunęła mu widmo pożaru i alarmuje dom cały okrzykiem *gore*! Intencya była bezwątpienia dobrą, ale dzięki jéj, mógł ktoś uledz w popłochu kalectwu, ktoś inny zachorować z przestrachu itd. Tyle mamy rzeczywistych racyj do obaw i znękania, na co jeszcze szarpać i tak zmęczone nerwy marami i przepowiedniami, opartemi na widzi mi się. Higiena społeczna wymaga oględności w takich wypadkach.

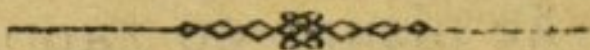
Już po napisaniu „kroniki“ przeczytałem odpowiedź „Głosu“, udzieloną „Krajowi“ w kwestyi *Smutnych wniosków*. Z przykrością przekonałem się, że tygodnik warszawski porwany został ferworem polemicznym i zajętego stanowiska opuścić nie zechce. Co gorsza, zapomniał on o pierwotném swojém założeniu *przerażającego słabnięcia* i wszedł na grunt sporu o wyższość różnych części kraju. Tu naturalnie można bronić się i napadać do skończenia świata. Można pod każdém zdaniem podpisywać kolumny nazwisk, wykreślać takowe u przeciwników, upierać się przy różności plemiennéj, lub też uzasadniać jedność, posuwać i cofać granice etnograficzne... ale *cui bono*? Czy to kwestya na czasie? Autor z „Głosu“ powiada: „We Włoszech i Francyi stwierdzono (czy też tylko twierdzono?) że ojczyzną wielkich ludzi są zawsze kraje pagórkowate, otwarte, lub też miejscowości nadmorskie. U nas widzimy to samo: pagórkowate okolice Nowogródka lub północno - zachodniego Podola i południowego Wołynia dały nam największą liczbę najznakomitszych umysłów?“ Na dowód tego autor cytuje dziesiątki nazwisk, poczynając od XVI wieku, mających stwierdzić wyższość intelektualną kresów. Ależ i owszem; tylko że ta słabość rdzenia jest chyba stałą, skoro zależy od pagórków, nie zaś od wyczerpania i energii intelektualnéj, i na co w takim razie był alarm z powodu „przerażającego słabnięcia.“ Czy w zamian za to „gniazdowe“ prowincye nie dawały rzemieślników, artystów, prawników, doktorów, architektów i t. d., czy dziś ich mniéj dają? Może to stwierdzi tylko racyą historycznego połączenia sił dopełniających się i trwałość związku w przyszłości. Dziwnie wygląda, że pismo co zapowiadało niemoc szlachty, potrzebę przewagi chłopskiego żywiołu i ideałów w życiu, powołuje się, dla dowiedzenia konieczności zwrotu do ludu, na masę nazwisk mężów zasłużonych aż do ostatniéj chwili i pochodzących wyłącznie niemal z warstw uprzywilejowanych; i co ważniejsza stwierdza, że najwydajniejsze są te prowincye, gdzie ludu polskiego wcale nie ma, gdzie „cywilizacya stanowa“, ta sprawczyni wszystkich nieszczęść, doszła do najwyższego rozkwitu.

Musimy przywitać tu nowe, lub właściwiéj odrodzone pismo, ale w innych szatach i barwach, „Tygodnik Powszechny“ (pismo po-

święcone literaturze, krytyce, sztuce i polityce). Program i zamiary, o których w każdym numerze jest mowa, tak są przysłonięte cieniami ogólników, że dobrze wymiarkować nie byłem w stanie o co chodzi. Pismo to przypomina dawne czasy, kiedy literatura peryodyczna stawiała u nas pierwsze kroki i odpowiadała potrzebom publiczności o wymaganiach o wiele skromniejszych niż dzisiejsze. Na miejsce wydawania takiego tygodnika właściwsze by było jakie miasteczko na Pokuciu niż Warszawa. Niestaranność w opracowaniu i w korekcie, błędy, których w żaden sposób nie można przypisać niewiadomości, napełniają szpalty. Bitwa pod Waterloo miała się odbyć w roku 1805 i to powiedziane jest w informacyi, danéj w odpowiedziach! Ziemi chłopskiéj jest w królestwie $^{5}/_{11}$, a szlacheckiéj $^{7}/_{11}$, czyli razem $^{12}/_{11}$, nie licząc miast i posiadłości rządowych. W artykułach, poświęconych wyłącznie Sienkiewiczowi, podano, że „Humoreski z teki Werszyłły“ (Worszyłły) drukowane były w „Wieńcu“ i t. d.; pełno tego na każdym kroku. Ortografia i stawianie znaków pisarskich odznacza się dziwną niezależnością. Może to wina zecera.

Ludwik Straszewicz.

P. S. Z powodu zdania mego w styczniowéj „Kronice“ o pannie Hubertynie Auclert, p. Szeliga w „Świcie“ wystąpiła z protestem, napisanym w sposób krzywdzący mnie, do czego redakcya też dorzuciła kamyczek. Posłałem na ręce wydawcy, p. Lewentala, artykuł, dowodzący cytatami, iż twierdzenia pani Szeligi co do życia francuskiéj agitatorki nie są słuszne. Ani głos mojéj obrony nie został przyjęty do „Świtu“, ani nie zostało zrobione sprostowanie, o które prosiłem. Nie mogąc drugiéj kroniki zaprzątać panną Auclert, muszę z konieczności wstrzymać się do przyjaźniejszéj chwili z udowodnieniem, że słowa moje, wyrażone dwa miesiące temu, odpowiadają istotnemu stanowi rzeczy.



NEKROLOGIA.

† **Teofil Żebrawski** urodzony r. 1800 w Wojniczu (w Galicyi) odebrawszy wyższe wykształcenie w uniwersytecie jagiellońskim, r. 1821 wstąpił do szkoły górniczéj w Królewcu, a w dwa lata potém wstąpił do wojska polskiego, gdzie r. 1830 został podporucznikiem sztabu. Po wypadkach r. 1831, w których czynny brał udział, na wydziale matematycznym w Krakowie otrzymał stopień doktora filozofii, a od r. 1834 wykładał tu geodezyę i topografię, poczém został adjunktem przy katedrze historyi naturalnéj. Od r. 1842 pracował jako dyrektor fabryki maszyn parowych w Leodyum, stąd w r. 1847 wrócił do Krakowa i otrzymał patent na budowniczego; wystawił kilka świątyń na prowincyi, a w Krakowie wielką nawę kościoła dominikanów. Był członkiem Towarzystwa Naukowego krakowskiego, a następnie Akademii Umiejętności. Pisał wiele i to w bardzo rozmaitych przedmiotach. Rozpoczął r. 1830 od „Kabały kwiatów" zawierającéj 63 obrazków z objaśnieniami na 6 stronicach. W 1833 wydał „Kartę okręgu w. m. Krakowa"; w 1838 „Dopełnienie dawnéj bibliografii polskiéj"; w 1841 rzecz „O moście wiszącym własnego pomysłu"; w 1847 „Kilka zadań z geometryi wykreślnéj"; w 1849 „Początkowe wiadomości z geometryi dla praktycznego użytku"; w 1860 „Owady łuskoskrzydłe z okolic Krakowa" (str. 354); w 1865—71 „O pieczęciach dawnéj Polski i Litwy"; w 1873 „Bibliografia piśmiennictwa polskiego z działu matematyki i fizyki oraz ich zastosowań" (str. 617). Wyliczyliśmy tu zaledwie cząstkę prac niestrudzonego badacza; po resztę odsyłamy do Bibliografii Estreichera (tom V i VII). Zmarł w Krakowie 5 lutego r. b.

† **Jan Zawisza** urodził się r. 1823 w gubernii mińskiéj. Ukształcony w domu, dopełnił następnie braki naukowe w licznych podróżach za granicą. Ożeniwszy się, osiadł stale w Warszawie i należał do grona gorliwych archeologów naszych wraz z Aleksandrem Przeździeckim, Edwardem Rastawieckim, Karolem Bayerem, braćmi Zeltami, Józefem Przyborowskim. Z poszukiwań swoich w kraju i udziału w zjazdach archeologicznych zdawał sprawę w języku polskim i francuskim. Był spółpracownikiem „Biblioteki Warszawskiéj", „Wiadomości archeologicznych", „Pamiętnika fizyograficz." Osobno wydał: „Poszukiwania archeologiczne" (Warsz. 1871), „Kongres antropologii i archeologii przedhistorycznéj w Brukselli 1872" (Warsz. 1873), „Jaskinia mamuta w Ojcowie" (1874), „Dalsze poszukiwania archeologiczne w Polsce" (Warsz. 1876), „Poszukiwania archeologiczne w Polsce 1877, 1878, 1879 po polsku i po francusku (Warsz. 1879). Umarł w Warszawie d. 22 lutego r. b.



KORESPONDENCYA.

Szanowny Redaktorze!

Przeczytawszy zapóźno wzmiankę o mnie w zeszycie lutowym, nie mogę dać repliki do zeszytu marcowego; przeto najuprzejmiéj proszę o zaznaczenie, że wzmianka o mnie nie jest autentyczną, a w dowód tego obowiązuję się do zeszytu kwietniowego zamiast repliki, bo polemizować nie chcę, przedstawić treściwe moje „curriculum vitæ.“

Z wysokim szacunkiem

Warszawa, 1 Marca 1887. *Ryszard Puciata.*

OGŁOSZENIE.



Wydawca **W. Spasowicz.** — Redaktor **Piotr Chmielowski.**

